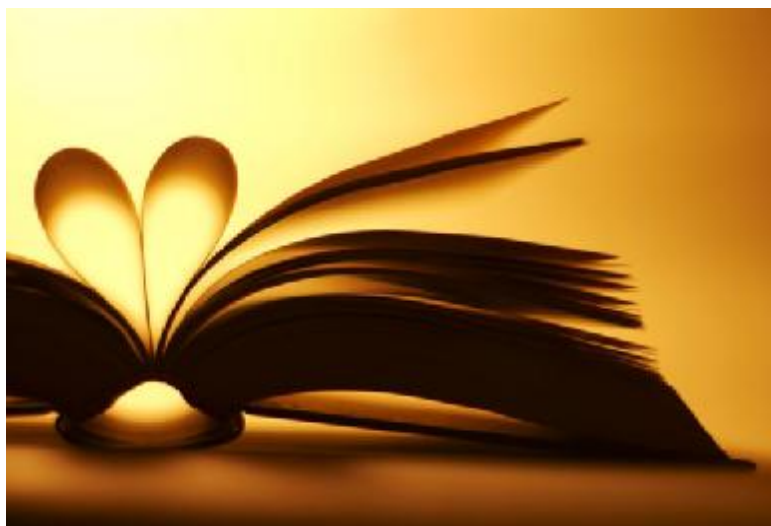




RICHARD BAUSCH



**DWA ŻYCIA,
DWIE MIŁOŚCI**

Przeszłość nigdy nie umiera. Ona nawet nigdy nie mija.

William Faulkner

Na północ od nas rozciągał się obszar leśny zamieszkały przez Fangów, plemię znane ze spożywania ludzkiego mięsa nie tylko podczas wielkich uroczystości, ale i na co dzień. Poznała tych ludzi, zachwyciła się ich męstwem i postanowiła dowiedzieć się o nich czegoś więcej. I tak w lipcu w towarzystwie tłumacza z plemienia Igalwa oraz czterech załęczonych Ajoumbów uzbrojonych w skałkówki, wyruszyła w górę rzeki na spotkanie z kanibalami.

Evan S. Connell o Mary Kingsley w *The Aztec Treasure House*

RS

PROLOG

21 grudnia 1982 roku

Tego wieczoru w Washington Theater miała się odbyć premiera *Króla Leara*. Tuman zimnej mgły, podobny do olbrzymiej chmury, ciągnął się przez całe miasto. Lily Austin, jadąc do teatru na tylnym siedzeniu samochodu ojca, wyobrażała sobie, że mogłaby to być burza na wrzosowisku, która niebawem zostanie sztucznie wywołana na teatralnej scenie. Obserwowała ją od wielu tygodni podczas prób. Jej ojciec grał rolę Edmunda i oczywiście brzydka pogoda wprawiła go w zły nastrój. Nie widział nic radosnego w tej jakże uroczej porze roku. Teraz, kiedy słońce zaszło, zebrało mu się na rozmowę o przymrozkach. Na pewno będzie burza śnieżna, narzekał, sparaliżuje całe miasto. Mruczał coś pod nosem, spoglądając przez zamknięte okno od strony pasażera. Jego zdaniem, przez ślizgawicę nikt nie odważy się wyjść z domu, żeby pójść do teatru, rzecz jasna, jeśli w ogóle premiera nie zostanie odwołana.

Tej zimy zdarzyły się już dwie podobne burze i nagie drzewa na Pennsylvania Avenue pokryła lodowa skorupa; gałęzie wyginały się ciężko przy każdym silnym podmuchu wiatru. Światła na skrzyżowaniu zakolysały się, a potem przewróciły i znieruchomiały. Ludzie na chodnikach śpieszyli we wszystkie strony, przytrzymując mocno czapki i paczuszki. Przedświąteczni zakupowicze.

Spiker w radiu powiedział, że nikt nie wie na pewno, co się dziś wydarzy. Zaraz potem dodał pocieszającym tonem, że burza powinna przesunąć się bardziej na północ, co oznacza wzrost temperatury i dużo deszczu, niemniej na mostach na Potomacu na pewno pojawi się gołoledź. Co do jednego nie ma wątpliwości: nie zanosi się na przyjemną noc. Ale mimo to świąteczny wystrój witryn sklepowych przy głównych ulicach sprawiał, że miasto aż lśniło od świateł i kolorów. Uliczne latarnie ozdobiono girlandami z gałązek sosnowych i łańcuchami migoczących lampek. Asfalt na jezdniach, dotąd niezbyt śliski, mienił się na czerwono i białą od tylnych świateł i reflektorów samochodów, chociaż samych samochodów nie można było dostrzec aż do chwili, kiedy nagle pojawiały się przed tobą, błyszczące od wody, odbijające wszystko jak w krzywym zwierciadle. Zdaniem Lily, mgliste aureole dookoła latarni stojących wzdłuż ulic wyglądały jak miliony połyskliwych kropli, wyrzucanych w każdej sekundzie przez system dysz w zmywarce. Jak deszcz brylantów, jasność wewnątrz mroku. Jakie to dziwne, myślała. Kończyła dzisiaj czternaście lat. Wyglądała przez okno, zastanawiając się, jak

opisać słowami niezwykłość tego światła. Ostatnimi czasy rodzice dla żartu nazywali ją trajtrajkotką. Z kolei, kiedy była cicho, koniecznie chcieli wiedzieć, o czym rozmyśla.

- O czym myślisz? - pytała ciągle matka.

- O wszystkim - odpowiadała Lily i była to najświętsza prawda.

Nocami leżała bez ruchu w łóżku i czekała, aż rodzice zamkną drzwi do sypialni, wtedy znowu włączała lampkę i czytała albo pisała w notatniku. Nic nigdy nie wydawało się jej prawdziwe, dopóki nie ubrała tego w słowa.

Tego wieczoru na kolanach trzymała owinięty w papier prezent - pierwszy tom *Władcy pierścieni* - i myślała o tym, że pomimo wszystkich obaw jej ojca ta noc doskonale pasuje do nastroju *Króla Leara*. Zastanawiała się też, czy atmosferę napięcia wywołała tylko premiera i nadchodząca burza, czy też przede wszystkim to, że matka oznajmiła, iż ma zamiar zrezygnować z posady w teatrze, gdzie razem z ojcem Lily pracowali tak długo, jak tylko Lily sięgała pamięcią. Dziecko przyzwyczało się oceniać nastrój i uczucia rodziców, zmiennych i romantycznych, i ich zazdrość o każdego. To było prawie tak, jakby grała w jakiejś sztuce, odgadując ich nastroje i humory. Nigdy nie przejmowała się sprzeczkami, ponieważ oni sami nie traktowali ich poważnie.

Teraz z kolei wcale ze sobą nie rozmawiali, chociaż ojciec nie przestawał roztrząsać głośno swoich obaw i przeczuć, że nadchodzi nieszczęście. Matka prowadziła samochód i wydawało się, że nie słyszy ani słowa.

Po lewej stronie przez mgłę i migoczące krople wody zamajaczył gmach teatru, z jasno oświetlonym wejściem i nazwiskiem jej ojca, wydrukowanym na afiszu razem z trzema innymi. Ludzie stali w kolejce, ściskając kurczowo parasole i tłocząc się w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Ojciec Lily wysiadał tutaj, a ona wraz z matką miały pojechać dalej ciemnymi ulicami, kierując się na północ, a potem na wschód od teatru, do domu Rony Seiver, koleżanki ze szkoły, której urodziny także wypadały w tym tygodniu. Urządzały wspólne przyjęcie i Lily zgodziła się na to dlatego, że jej „prawdziwe” urodziny miały odbyć się w niedzielę, po popołudniowym spektaklu w teatrze. Z artystami. To było to, czego naprawdę oczekiwała od życia - dojrzewania wśród ludzi sceny, jak często mawiała matka.

Samochód zatrzymał się w zatoczce naprzeciwko wejścia.

- Za mało ludzi, żeby wypełnić widownię - odezwał się ojciec Lily. - Z pewnością za mało. Ten spektakl od początku miał pecha.

Cisza.

- Posłuchaj, na pewno odwołają to cholerne gównu. Nadejdzie śnieżycy i wtedy odwołają.

Znowu brak odpowiedzi.

- Czy ja mam wystąpić o rozwód, czy ty chcesz to zrobić? - Zerknął z uśmiechem na matkę Lily. - No, Doris!

- Przecież to ty przestałeś się do mnie odzywać!

- Ale teraz się odzywam. Nie słyszałaś? Cały czas mówiłem. Tak, jestem zupełnie pewien, że słyszałem swój głos. Mówiłem o tym, że jest brzydka pogoda i będzie śnieżycy, że jest mało ludzi i są spore szanse, że odwołają spektakl.

- Jeśli to byłoby teraz - odparła matka Lily - to nie mogłoby nadejść; jeśli nie miałyby nadejść, byłoby teraz; jeśli nie ma tego teraz, jeszcze może przyjść...

- No dobrze, dobrze. Mówię tylko, że to wszystko wygląda nieciekawie.

- Biedactwo! Zobaczysz, że sala będzie wypełniona do ostatniego miejsca. Jest jeszcze wcześnie.

- Uciśnione ludzkie masy wyglądają tak żałośnie - powiedziała Lily.

- Uciśnione ludzkie masy? - zapytał ojciec - Skąd ci to przyszło do głowy? - Popatrzył na matkę Lily. - Mamy szczególne dziecko.

- To po twojej rodzinie - odezwała się Doris.

- Wciąż na nowo mi się śni, że stoję na scenie i nie pamiętam ani jednej linijki z roli. A moje dziecko miewa koszmary, że jest jedyną osobą wśród grających, która wszystko pamięta.

- Wydaje mi się, że to jest napisane na Statui Wolności - powiedziała Lily.

- Co takiego?

- Uciśnione masy.

- Jezu!

- Scott! - zawołała Doris - uważaj, co mówisz! Pocałowała go w policzek. Znowu obydwójce byli szczęśliwi.

Znowu pojednani. Ta noc, cudownie mroczna, wspaniale mieniąca się blaskami i cieniami, dawała poczucie niezwykłych możliwości - dzikiego, szczęśliwego życia, niepodobnego do innych. Świeże, orzeźwiające powietrze wdarło się do środka, kiedy ojciec otworzył drzwi. Lily wiedziała, że wszystko teraz będzie dobrze. Ich sprzeczki zawsze tak się kończyły. Wrócą do domu razem, przyjaźnie do siebie nastawieni, będą żartować i przekomarzać się bardziej niż zakochani. I będą jej dokuczać.

Ojciec Lily lubił grać Edmunda, chociaż powtarzał, że jest na to za stary, ma prawie czterdziestkę na karku. Ze swojego wieku żartował przez okrągły rok.

- Jestem starym, bardzo starym człowiekiem - mówił Lily, a jego głos drżał przy słowie „stary”.

- Jeszcze nie jesteś taki stary - odpowiadała zawsze Lily, choć w głębi duszy uważała go za dość wiekową osobę.

- No to pa, kochanie - rzekła teraz do niego matka Lily. - Już nie będziesz się na mnie złościł?

- Porozmawiamy o tym. To jeszcze nie koniec.

- Scott, wiesz doskonale, że nie podobało mi się to już od kilku lat.

- A może mnie się nie podoba, że mówisz mi o tym właśnie teraz.

Pocałowała go jeszcze raz.

- Idź już. Jest zimno.

Popatrzył znowu na Lily i pokręcił głową.

- Uciśnione masy - powtórzył.

- Idź - ponagliła go Doris. - Bo zaraz zamarznę.

Doris nie brała udziału w tym spektaklu, ale także miała istotne obowiązki. Musiała podrzucić Lily do domu Rondy, a potem wrócić do teatru. Scott pochylił się jeszcze do wnętrza samochodu i ucałował Lily w czoło.

- I cóż? - powiedział.

- Połamania nóg - odparła.

Ojciec zdążył zagrać w kilku filmach, zanim dorosła na tyle, żeby zdać sobie z tego sprawę. Nigdy nie widziała żadnego, a on nie opowiadał o nich często, ale odniosła wrażenie, że odejście taty ze świata filmu musiało mieć z nią coś wspólnego.

Powiedział kiedyś, że przeszkadzało mu, bynajmniej, by mieszkać w jednym miejscu, ale Lily wciąż o tym myślała. Czasem mówił, że wszystko mu odpowiada, choć najwyraźniej było odwrotnie. Prawie zawsze to dostrzegała. Coś zmieniało się w jego oczach i głosie, inaczej chodził, nawet rękoma ruszał szybciej. Gorączkowo pocierał twarz, następnie przód koszuli, a w końcu wkładał ręce do kieszeni i zaraz je wyjmował.

- Dlaczego nie chcesz już grać? - pytała Lily matkę.

- Już ci mówiłam, kochanie. Przestało mi to sprawiać przyjemność. Wolę zostać z tobą w domu. Zobacz, na przykład dzisiaj: dziś są twoje urodziny, a ja odwożę cię do Rondy Seiver. Czuję, że to nie w porządku. To nie fair w stosunku do ciebie i tak być nie powinno.

- Ja tam nie mam nic przeciw temu - oświadczyła Lily, choć nie powiedziała tego zwykłym, stanowczym tonem.

Matka skręciła w East Capitol Street, przejechała obok Folger Shakespeare Library i dalej zanurzyła się w opary mgły, która powoli zmieniała się w deszcz. Lily wpatrywała się przez szybę w ogromny kwadratowy budynek z wielkimi, ciemnymi drzwiami. Tam też coś się działo, ludzie czekali w kolejce, żeby dostać się do środka. Matka milczała, najwyraźniej zamyślona. Ostatnimi czasy często się to zdarzało i Lily wiedziała, że matka rozmyśla o decyzji odejścia ze sceny.

- A co masz dla Rondy? - odezwała się wreszcie.

- Nie powinnaś przeze mnie rezygnować - powiedziała Lily.

- Pytałam, co dla niej masz.

- *Władcę pierścieni*.

- Wydawało mi się, że nie lubisz tej książki.

- Ale Ronda ją lubi.

Ulica otworzyła się na przestrzeń pełną trawników, z domami ukrytymi w cieniu opadających sosnowych gałęzi i postrzępionych ramion ciężkich, sękatych dębów i klonów. Zarys kilku budynków oświetlały rzędy migających lampek. W niektórych oknach za zasłonami mrugały palące się świece: tworzyły ciepłą poświatę, z tej odległości w padającym deszczu wyglądającą jak splot misternej koronki, niezwykle delikatnej, którą może zniszczyć silniejszy podmuch wiatru.

- Jesteś trochę za bardzo przygnębiona jak na kogoś, kto właśnie wybiera się na urodziny.

- Wolałabym pójść do teatru.

- Na pewno będziesz się dobrze bawiła u Rondy. Ona tak szykowała się na to przyjęcie.

Ronda powiedziała kiedyś, że jedynym sposobem na to, by w ogóle urządzić zabawę, było zasugerowanie, że jest to także przyjęcie Lily. Rodzice Rondy mieli mnóstwo pracy - oboje prawnicy - i nie mieli pojęcia o różnych rzeczach, tak zwykle mówiła Ronda; często wyjeżdżali, zawsze goniąc od jednej sprawy do drugiej. Czasami, kiedy wybierali się w podróż, zabierali ze sobą córkę i wtedy Ronda opuszczała w szkole kilka dni. Sporo materiału musiała przerabiać samodzielnie, żeby dogonić klasę. To jednak jej nie przeszkadzało. Lubiła być

obiektem współczucia i doskonale wczuwała się w tę rolę. Przy różnych okazjach razem z Lily odgrywały jakieś sceny dla obu par rodziców - najczęściej wyjątki z Szekspira albo kilka kawałków z musicali - i Ronda, która zawsze przesadzała z emocjami, mówiła, że chce wprowadzić Lily w dobry nastrój, gdyż to właśnie Lily zamierzała zostać aktorką, kiedy dorośnie. Rodziców Lily wprost uwielbiała, podczas gdy jej obojętność w stosunku do własnych granicyła z lekceważeniem. Naśmiewała się z ich bogatego życia towarzyskiego; opowiadała, że pewno już się nie kochają i że szaleńczo łapią każdą robotę, byle tylko uniknąć przebywania ze sobą pod jednym dachem.

Tego wieczoru też nie było ich w domu. Powitał je dziadek Rondy, pan Thomas Stapleton, wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy, z siwymi kępkami brwi i siwymi kosmykami sterczącymi na szczycie głowy. W pełnym świetle widać było, że wyraźnie łyślał. Z lekkim irlandzkim akcentem wyjaśnił, że rodzice Rondy wrócą do domu w ciągu godziny, a on sam przyjechał tu z Syracuse z wizytą. Matka Lily powiedziała głośno, że tak, przypomina sobie, jak matka Rondy wspominała coś o wizycie, a po cichu z zakłopotaniem mruknęła do Lily, że wolałaby, by dzisiejszego wieczoru ktoś jej o tym powiedział. Lily szepnęła w odpowiedzi, że o niczym nie miała pojęcia. Ronda, stanąwszy w przedpokoju domu Seiverów, odgrywała rolę gospodyni. Ubrana była w krzykliwą czerwoną suknię i czarne pantofle na wysokich obcasach, a jej słomkowożółte włosy zostały starannie splecione na karku.

- Gdzie byliście? Już umierałam z niepokoju. Czy to dla mnie? Och, nie powinnaś...

- Przecież tak się umówiliśmy, prawda? - odparła Lily i zaczęła się śmiać.

- Nie będziemy późno - powiedziała matka Lily do pana Stapletona. - Jedenasta albo coś koło tego.

- Powtórzę im to.

Lily patrzyła, jak matka idzie w stronę alejki. Pan Stapleton przytrzymał drzwi. Jedna z tylnych kieszeni spodni jakoś dziwnie wystawała, zupełnie jakby ktoś właśnie wyjął stamtąd portfel. Na nogach miał tylko skarpetki. Lily zdecydowała, że wygląda raczej na kogoś niezamożnego. Powtórzyła sobie to słowo.

- Chodź - odezwała się Ronda, rozdzierając na strzępy opakowanie prezentu. - Na co czekasz?

Lily poszła za nią, mijając po drodze kawałki podartego papieru, który Ronda beztrąsko rzucała na podłogę. Minęły długi hol i weszły do salonu, gdzie czekali już inni goście: dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Oglądali właśnie sztuczną choinkę Seiverów, podziwiając

obracające się światełka. Na małym stoliku spoczywał pokrojony tort, w którym brakowało już paru kawałków, stos papierowych talerzyków, plastikowy kubeczek ze sztucami i kilka rozpakowanych prezentów. Ktoś popsikał choinkę sztucznym sprayem o zapachu sosny, silniejszym niż woń prawdziwego drzewka. Przypominał nieco środek czyszczący i Lily nagle zachciało się kasłać, toteż zasłoniła dłonią usta. Ronda przedstawiła ją jako najlepszą szkolną koleżankę, a potem zaczęła się usprawiedliwiać, że nie uprzedziła gości, iż są to ich wspólne urodziny i dlatego tylko ona przygotowała dla Lily prezent.

- Chłopcy chodzą do katolickiej szkoły - powiedziała.

Obaj uklonili się grzecznie. Ten wyższy, Brian, trzymał lewą rękę na piersi, a drugi, Dominik, za plecami. Dziewczynki nazywały się Christine i Drinda. Drinda miała długie, czarne, proste jak druty włosy, bardzo bladą twarz i była przeraźliwie chuda. Na powitanie wyciągnęła kościstą białą dłoń z pomalowanymi na czarno paznokciami. Miała szesnaście lat. Christine była rumiana, o ciemnorudych włosach i głęboko osadzonych jasnobrązowych oczach. Ciągle jeszcze nie zdołała zgubić nadmiaru dziecięcego tłuszczu. Ukloniła się, więc Lily, nieco ubawiona, z uśmiechem odwzajemniła ukłon.

- Tort jest już napoczęty - oznajmiła Ronda, ciągle rozdzierając opakowanie. - Moi rodzice chcieli go spróbować, zanim wyszli.

Wyjęła z papieru książkę i pokazała wszystkim.

- Super! Wielkie dzięki!

- To ciasto ładnie pachnie - oceniła Lily. - Nawet nie myślałam, że jestem głodna.

Do pokoju wszedł pan Stapleton, schylając się co chwila, żeby podnieść kawałki papieru rozrzucone przez Rondę.

- Bałaganiara - mrucał, kręcąc głową. - Nieporządziuch. Wrzucił śmieci do plastikowej torby i usiadł na kanapie.

Założył na nos okulary i wziął do ręki „Newsweeka”.

- Może zaśpiewamy Lily *Sto lat*? - zaproponowała Christine.

- No cóż, ja jeszcze nie śpiewałam dla Rondy - odezwała się Lily.

Zacząła śpiewać, patrząc na Rondę. Dołączyli się Christine i Brian, pozostali tylko się gapili. Pan Stapleton opuścił na kolana gazetę i patrzył znad okularów z pobłażliwym uśmiechem. W końcu Dominik też się przyłączył - zdążył na ostatnią linijkę. Pomieszali zupełnie imiona - Lily śpiewała imię Rondy, a Ronda Lily. Dominik mrucał jakąś własną wersję obu imion, aż wreszcie zaczął się śmiać.

- No dobra - powiedziała Drinda. - Skończyliście wreszcie? Jezu!

- Kiedy są twoje urodziny? - zapytała Lily.

- Och, ja się urodziłam przed tysiącami lat. Jestem wiedźmą.

- Tak, tak, ona jest wiedźmą! - zawołała ze śmiechem Ronda.

- To grzech wierzyć w wiedźmy - wtrąciła Christine.

- A kto tu mówi o wierze? - zapytała ją Drinda.

- Nie wolno tak mówić - odezwał się pan Stapleton. - Twoi rodzice powinni wiedzieć, że opowiadasz takie rzeczy.

- Hej! - zawołała Drinda. - Oni sami tak mówią! Jezu, czy ktoś pokroi wreszcie tort?

- Ja pokroję - zaproponowała Lily. - Też chcę kawałek. W końcu to również moje urodziny.

Wzięła do ręki plastikowy nóż i odcięła większą część z lewej strony tortu. Mimo iż zaczął się kruszyć, udało się jej przenieść kawałek na jeden z talerzyków, który następnie wręczyła Drindzie.

- Chyba nie przypuszczasz, że ja to zjem? - powiedziała Drinda.

- E, myślę, że to zaraz zniknie. - Lily uśmiechnęła się szeroko, unosząc jeden kącik ust. Robiła to uroczo, jak twierdził jej ojciec.

- Proszę - rzekła Ronda, wręczając jej zapakowaną książkę, jedyny prezent dla Lily. Był to jeden z seryjnych tytułów dla nastolatk. Lily przeczytała: *Wielcy odkrywcy*. Przerzuciła strony w poszukiwaniu zdjęć. Jej wzrok przykuła nagle kobieca twarz, jedyna pośród tylu męskich. Wąska, z ciemnymi oczami i kosmykiem ciemnych włosów wymykającym się spod czepeczka. Zdjęcie musiało zostać zrobione na krótko przed albo po tym, jak kobieta się uśmiechała. To było widać w ciemnych oczach, w zarysie otaczających je cieni - znak uśmiechu, duch uśmiechu. Lily wpatrywała się w zdjęcie jak urzeczona. Napis pod nim głosił: Mary Kingsley.

- Dziękuję ci, Rondo - wykrztusiła wreszcie i odłożyła prezent na stół obok tortu.

Zeszli do piwnicy, żeby posłuchać muzyki. Było to ciemne, niskie pomieszczenie, ze zdjęciami Beatlesów, Boba Dylana i rodziców Rundy na ścianach. Pokój rekreacyjny. Na środku stał mały stół bilardowy, pod ścianą szerokoekranowy telewizor i wieża, razem z zestawem kolumn głośnikowych i wzmacniaczy. Dookoła stały regały z książkami i olbrzymie biurko, zavalone papierami. Ronda włączyła muzykę - Bee Gees - i zdecydowała, że dziś będzie robić to z Dominikiem. Usiedli na sofie i zaczęli się całować, a pozostali stali dookoła.

Wyglądało to tak, jak gdyby grali scenę miłosną w jakimś filmie. Lily zajęła miejsce obok Christine w drugim końcu sofy i obie zaczęły żartować z własnego zażenowania i niemożności uczestniczenia w tym, co się właśnie działo. Po drugiej stronie pokoju Brian przeglądał książki, a potem wybrał kij bilardowy i podszedł do stołu. Drinda, która do tej pory stała z boku i najwyraźniej czuła się nieswojo, przyłączyła się do gry.

Pan Stapleton zszedł do połowy schodów i głośno chrząknął. Najwyraźniej nie chciał wchodzić do pokoju. Schylił się i patrzył na nich. Ronda i Dominik rozdzielili się i siedzieli teraz z dala od siebie. Muzyka umilkła - koniec piosenki.

- Czy wszystko w porządku tam, na dole?

- Gramy w bilard! - zawołała Lily, podnosząc się z sofy.

- W porządku. Bawcie się dobrze! - Odwrócił się i zaczął się wspinać po schodach, pochrząkując, a raz nawet wyraźnie zakasłał.

- Za pięć minut będzie spał jak niemowlę - poinformowała gości Ronda.

- No pewnie - rzucił Dominik.

Przez jakiś czas kręcili się dookoła stołu bilardowego, a potem usiedli w migotliwej, niebieskiej poświacie telewizora. Nie leciało akurat nic ciekawego, ale i tak patrzyli. Lily poszła na górę, żeby zabrać ze stolika swój prezent i przy okazji skubnąć trochę tortu. Pan Stapleton drzemał na kanapie. Nagle drgnął i spojrzał na nią.

- Co się stało?

- Nic. Przyszłam po kawałek tortu.

Zamknął oczy, westchnął głęboko i ponownie zapadł w sen, a z jego piersi z każdym oddechem wydobywał się świszczący, nieprzyjemny dźwięk. Lily odwróciła się do niego plecami i wróciła do piwnicy, niosąc książkę. Zastała Dominika siedzącego na najniższym schodku - czytał akurat ostatnią stronę albumu płytowego. Palił papierosa, wydmuchując dym do przewodu wentylacyjnego.

- Staruszek już śpi, prawda? - powiedział na widok Lily.

- Tak.

- Słyszałem go aż tutaj. Kaszle, jakby miał gruźlicę.

- Nie boisz się, że możesz coś złapać? - spytała po paru sekundach.

- Hej. - Pociągnął. - On pali jak lokomotywa. Widziałem, jak siedział na ganku. Kurzyło się jak z komina.

Lily usiadła na stopniu obok niego i otworzyła książkę. Z telewizora dobiegały odgłosy strzałów i pościgu samochodowego, pisk hamulców i wycie syren. Nadawali właśnie powtórkę *The Dukes of Hazzard*. Lily poznała to po muzyce i głosie narratora.

- Chcesz procha? - zapytał Dominik.

- Nie, dzięki.

- A próbowałaś kiedyś?

- No, jasne - skłamała.

- Paliałaś trawkę?

W odpowiedzi pokręciła głową.

- Założę się, że twoi kumple podpalają. I to pewnie często. Wiesz, jaką definicję trawki znalazłem w słowniku w bibliotece ojca? „Łagodne środki halucynogenne palone przez muzyków jazzowych w Stanach”. Super, nie?

- Moi rodzice nie są muzykami jazzowymi.

- Wiem, są aktorami. Też blisko.

- A ty?

- Ja? Ja jestem czysty. Samolubny i cudowny.

- I absolutnie niezapatrzony w siebie.

Zaśmiał się. Jego reakcja zaskoczyła Lily. Zaczęli rozmawiać o swoich szkołach i nauczycielach i Lily przekonała się, że zaczyna lubić tego chłopaka. Było w nim coś zadziornego, co ją pociągało. Podobnie jak ona czytał znacznie więcej niż jego rówieśnicy i nie bał się do tego przyznać. W szkole nie szło mu najlepiej, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Razem zaczęli przeglądać książkę o odkrywcach. Dominik zatrzymał się przy zdjęciu Mary Kingsley.

- Wygląda, jakby właśnie przestała się śmiać.

- O tym samym pomyślałam - przyznała Lily. - Jakby przestała albo jakby zaraz miała się roześmiać.

- Właśnie.

Czuła się przy nim zupełnie swobodnie i zaczęła się zastanawiać, jak to jest, gdy ma się brata. To było coś zupełnie nowego, poczucie komfortu, jakiego nigdy nie zaznała w szkole, gdzie inne dzieci traktowały ją ze złośliwym okrucieństwem, bo lubiła czytać; bo czasami robiła wrażenie nieco tajemniczej; bo wołała Ellę Fitzgerald od Pat Benatar; bo miała duży zasób słownictwa i od czasu do czasu, kiedy coś naprawdę ją zafascynowało, potrafiła o tym

czymś opowiadać w niezwykle sposób; bo była jedynaczką; bo miała większe piersi niż inne dziewczynki w jej wieku; bo ubierała się w niemodne ciuchy albo wkładała za dużo tych modnych; bo miała piegi na nosie; bo nie oglądała bez przerwy telewizji; bo jej rodzice byli aktorami i dlatego zasługiwali na zazdrość albo podejrzliwość; i tak dalej, i tak dalej - z jakiegoś spośród tysiąca nieznanymi powodów grupa dzieci, ustanawiając hierarchię, zdecydowała, że jedno z nich jest dziwne, niepodobne do nich albo niewystarczająco podobne.

Zabawa powoli dobiegała końca, kiedy zaczęli przychodzić rodzice, żeby odebrać dzieci. Mówili, że drogi są bardzo oblodzone. Rodzice Rondy jeszcze się nie pojawili, podobnie zresztą jak rodzice Lily. Dominik Martinez stał przez jakiś czas przed domem, a potem przeszedł przez ulicę, trzymając ręce w kieszeniach, żeby nie zmarzły. Lily patrzyła w ślad za nim i widziała, jak kilka razy się pośliznął.

- Gdzie się podziewają twoi staruszkowie? - zapytała Ronda. - Jest już po jedenastej.

- A twoi?

Ronda ziewnęła szeroko.

- Oni zawsze się spóźniają.

- No tak.

Lily rozejrzała się po pokoju. Starszy pan, wydając przy każdym oddechu astmatyczne dźwięki, drzemał znowu na kanapie. Na stole stały resztki tortu i talerzyki - wszystko, co zostało po przyjęciu. Ronda zaczęła zbierać swoje prezenty.

- Jestem wykończona - oświadczyła.

- Chyba nie masz zamiaru iść już do łóżka. No dalej, rusz się.

- Chcesz, żebym tu zasnęła na stojąco? Gdzie są twoi rodzice? Nie martwisz się?

Pan Stapleton usiadł, mamrocząc coś pod nosem. Spojrzał przed siebie szklanym wzrokiem.

- Do diabła, znowu zasnąłem. Która godzina?

Lily powiedziała mu która. Pan Stapleton podniósł się, podrapał po głowie i powłókł do holu w stronę drzwi wejściowych.

- Gdzie oni są?

- Powinni przyjść lada chwila - odparła Lily i poczuła, że ogarnia ją niepokój.

O północy, kiedy okazało się, że nikt w teatrze nie odbiera telefonu, pan Stapleton zadzwonił na policję. Lily siedziała obok niego na kanapie, przysłuchując się rozmowie, gdy na zewnątrz rozległ się trzask zamykanych drzwi samochodu. Lily powiedziała sobie w duchu, że

jeśli podbiegnie do okna, na pewno okaże się, że to rodzice Rondy, czekała więc, nasłuchując odgłosu kroków i wyobrażając sobie, jak Scott i Doris, niepokonani jak zawsze, zbliżają się, idąc ścieżką ramię w ramię ku frontowym drzwiom. Ale to musiał być ktoś z sąsiadów mieszkających po przeciwnej stronie ulicy. Nikt się nie pojawił. Czas mijał, a Lily poczuła, jak nedorzeczny strach chwyta ją za gardło. Upłynęło nie więcej niż pół godziny od pory, o której rodzice zwykle po nią przyjeżdżali, a ona nie mogła opędzić się od natrętnej myśli, że z pewnością oboje już nie żyją, że ta noc rozdzieliła ich na zawsze. W wyobraźni widziała ojca jako Edmunda umierającego na scenie. Nie mogła przestać o tym myśleć - o gwałtownej zagładzie i zgiełku, jaki towarzyszył zakończeniu *Króla Leara*, choć rozumiała, że nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć w normalnym, współczesnym świecie. Siedząc w salonie domu Seiverów, doświadczała przerażającego strachu istnienia: zewnętrzny świat, błyszczący od lodu i targany gwałtownymi podmuchami ryczącego wiatru był za wielki, a ciemność zbyt głęboka, by mogła ogarnąć ją rozumem.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Siedzieli we trójkę w pokoju: Lily, Ronda i pan Stapleton, który mówił, że jest absolutnie pewien, że wszystko jest w porządku, na pewno znajdzie się proste wytłumaczenie i nie ma się o co martwić. Lily odpowiadała wymuszonym uśmiechem, ledwo wytrzymując to gadanie.

- Jest dopiero kilka minut po północy. Ronda wzięła Lily za rękę.

- Chcecie coś zjeść? - zapytał pan Stapleton.

- Nie, dziękuję - odrzekła Lily, drżąc na całym ciele. Nie mogła w żaden sposób opanować tego drżenia. Przechodziło przez nią jak atak gorączki, ale nie zdradziła się ani słowem, tylko siedziała w świetle lampy i patrzyła na pana Stapletona, czekając na dźwięk telefonu. Nie mogła nabrać powietrza, a kiedy w końcu głośniejsz odetchnęła, nie była w stanie go wypuścić. Przez to nerwowe drżenie zaczęły jej sztywnieć mięśnie karku, tak że nie dawała rady poruszyć głową.

Kiedy zadzwonił telefon, wszyscy troje aż podskoczyli, a pan Stapleton prawie się zakrztusił. Podniósł słuchawkę, a Lily poczuła, jak ze zdenerwowania cierpnie jej skóra, i stwierdziła, że trzyma ręce przyciśnięte do twarzy. Spokojny ton głosu pana Stapletona uspokoił ją nieco. Po chwili wiedziała, że na drugim końcu linii jest jej ojciec. Wydarzył się niegroźny wypadek - nikt nie jest ranny. Lily wyraźnie usłyszała te słowa. Nikt nie jest ranny. Odruchowo wstała, usiadła, znów wstała, aż Ronda objęła ją tak mocno, że obie przewróciły się na kanapę. Ronda się rozplakała. W końcu obie wstały, a pan Stapleton powiedział do Lily:

- Tata chce z tobą rozmawiać. Będziesz dziś w nocy naszym gościem.

- Halo? - powiedziała do słuchawki, powstrzymując łzy.

- Wszystko w porządku, nic nam się nie stało. Przedstawienie poszło super.

- Tatusiu... - wykrztusiła.

- Jesteśmy cali, kochanie, naprawdę. Uderzyliśmy w krawężnik i nie mogliśmy się wycofać, tak jest ślisko. Teraz siedzimy u Willardów. Czy będziesz mogła zostać tam na noc?

- Tak.

- I to w twoje urodziny. Wynagrodzimy ci to, obiecuję.

- Nie ma sprawy. - Nie zdołała jednak powstrzymać łez, ale była szczęśliwa, odprężona, choć jakimś dziwnym sposobem przerażenie nie opuściło jej całkowicie. Po raz pierwszy tak naprawdę uświadomiła sobie, że coś złego może kiedyś przytrafić się rodzicom. Gdzieś w środku wszystko jeszcze się w niej trzęsło.

- Przyjedziemy po ciebie, gdy tylko rano pogoda się ustabilizuje - oznajmił ojciec.

Trochę później zadzwonili rodzice Rondy. Zostali w domu przyjaciół, do których byli zaproszeni na kolację. Jezdnie zrobiły się zbyt śliskie, żeby ryzykować jazdę. Tak więc Lily musiała zostać na noc. Ronda pożyczyła jej koszulę nocną, a pan Stapleton przygotował sobie szklaneczkę whisky, żeby uczcić to, że nikomu nie przytrafiło się nic złego. Lily i Rondzie nalał coli i poprosił, żeby jeszcze przez chwilę dotrzymały mu towarzystwa. Ronda, ziewając, zgodziła się na to z wyraźną niechęcią. Z kolei Lily, z której nie opadło jeszcze całkiem napięcie, była z tego nawet zadowolona.

Siedziały więc w salonie i oglądały późne wydanie wiadomości z najświeższymi raportami o burzy śnieżnej, podczas gdy pan Stapleton sączył whisky. Wzdychając z satysfakcją, raczył je opowieściami o tym, jakie to okropne burze zdarzały się w Syracuse, gdzie wychowywała się matka Rondy, jak zwały śniegu potrafiły sięgać okien po jednej tylko śnieżycy i nie topniały aż do wiosny.

- Na pewno słyszałyście te opowieści, jak to wasi rodzice musieli brnąć w śniegu po kilka kilometrów. Właśnie tak było z twoją mamą, Rondo. Wcale nie żartuję. - Pociągnął łyk, uszczęśliwiony.

- Słyszałam - odparła oschle.

Zaśmiał się łagodnie i znów upił ze szklaneczki. Upłynęło kilka chwil, zanim znów się odezwał:

- No cóż, nie ma sensu, żebyście dłużej tu siedziały. Idźcie spać. Tylko nie przychodźcie już i nie zwracajcie mi głowy. To nie jest nocne party ani nic w tym rodzaju.

W pokoju Rondy, oświetlonym jedynie lampką do czytania, położyły się obok siebie w łóżku i Ronda zaczęła opowiadać różne historie o rodzicach - o kłótniach, jakie wybuchają między nimi w związku z obecnością pana Stapletona. Dom nie jest aż tak duży, mówiła, żeby domownicy mogli nie wchodzić sobie w drogę, a starszy pan stanowczo zbyt często ogląda telewizję. W dodatku popija. Dziś na przykład złamał pewną zasadę - że nie powinien robić sobie drinka, kiedy ma się nimi opiekować. Czasami siedzi długo w nocy i wtedy wyraźnie można usłyszeć delikatny brzęk szkła, kiedy butelka dotyka brzegu szklaneczki. Poza tym kiepsko sypia. Ronda często budzi się w środku nocy i słyszy, jak on drepcze po pokoju.

- Kiedyś przez pomyłkę wlaź tutaj. Śmiertelnie się przeraziłam. Od lat ma kłopoty z sercem i zawsze, kiedy wchodzę gdzieś, gdzie on jest, boję się, że go znajdę nieżywego.

- Och, przestań! - powiedziała Lily. - Nie jest jeszcze przecież taki stary. Ile ma lat?

- Sześćdziesiąt dwa.

- To nie jest dużo, Ronda. Nie bądź głupia.

- Nie gadałabyś tak, gdybyś musiała mieszkać z kimś takim jak on.

- Mnie wydaje się całkiem miły - odparła Lily. Ronda wpatrzyła się w sufit rozmarzonym spojrzeniem.

- Kiedy dorosnę, chciałabym zostać gwiazdą filmową. Gdybym była twoim ojcem, nigdy bym nie zrezygnowała z filmu.

- On lubi to, co robi - odpowiedziała Lily.

- A ty chcesz być aktorką? Mama mówi, że masz zamiar zostać pisarką. To znaczy, ona mówiła, że już jesteś pisarką.

- Nie, skąd, ja po prostu piszę pamiętnik. Ronda wyłączyła lampkę.

- Ale jak myślisz, weźmiesz się też do powieści? Może ja się wezmę. Wiesz, że potrafię pisać, chociaż nie uważam, żeby to było łatwe.

- Cóż, w zupełności się z tobą zgadzam.

- Moim zdaniem powinnaś pisać sztuki. Twoi rodzice mogliby w nich grać.

Przez kilka minut leżały bez słowa. Lily ciągle jeszcze czuła, jak opuszczają je resztki strachu. Na jawie śniła o tym, że rodzice występują w sztuce, którą napisała ich córka; oczyma wyobraźni widziała siebie, dorosłą, pewną siebie, jak stoi za kulisami, podczas gdy oni kłaniają się na scenie.

- Dziadek Stapleton jest miły - przerwała te rozmyślenia Ronda. - Nie powinnam go obgadywać. Ale jest stary i pije, a ja się martwię o niego. Nie mogę zasnąć. - Westchnęła.

Niebawem jednak Lily usłyszała, jak jej oddech uspokaja się, robi coraz głębszy, aż w końcu zmienia się w lekkie pochrapywanie.

W całym domu panowała cisza. Lily nasłuchiwała, próbując zasnąć, ale jej umysł był zbyt wyczerpany. Przed oczami przesuwiała się jej wizja ojca jako Edmunda, umierającego na deskach sceny w czasie próby. Wyglądało to tak, jakby nigdy wcześniej nie rozmyślała o śmierci, o fakcie jej istnienia na świecie - i o jej nieubłaganej, nieodwołalnej władzy nad nią i każdym, kogo kochała. Serce waliło jej jak młot. Usiadła na łóżku, nadsłuchując odgłosów z dołu. Dobiegły ją kroki pana Stapletona, zmierzającego w stronę kuchni. Pomyślała o swojej książce o odkrywcach, o czymś do czytania. Kiedy pan Stapleton pójdzie wreszcie do swojego pokoju, mogłaby wymknąć się na dół i tam usiąść spokojnie z książką, dopóki nie zachce się jej spać. Czas włókł się beznadziejnie, Ronda pochrapywała i wzdychała przez sen. W końcu Lily wygrzebała się z łóżka i stanęła przy drzwiach, nasłuchując. Cisza. Wreszcie uchyliła drzwi, które otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Na dole paliło się światło, ale nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Nikt się nie ruszał. Wyszła na ciemny korytarz, zeszła schodami do holu i przemknęła do salonu. Paliła się tam jedna lampka i działał telewizor, ale z wyłączonym dźwiękiem. Na jej widok pan Stapleton usiadł prosto na kanapie i przyglądał się jej ze zdumieniem. Sięgnął po okulary i o mało nie spadł na podłogę, w ostatniej chwili podparł się ręką. Z trudem udało mu się usiąść z powrotem. Na stole przed nim stała butelka whisky i szklaneczka do koktajli. Cały czas gapił się na nią.

- Cześć.

- Nie miałam zamiaru panu przeszkadzać - odezwała się Lily.

- Nie możesz spać?

- Pomyślałam, że gdybym mogła poczytać...

- Zostawiłem w telewizorze sam obraz, jeśli cię to dziwi. Ale i tak patrzę tylko na rozmazane kolory, bo gównie widzę bez szkieł. Same kolory. To zwykle mnie usypia wieczorami. Przepraszam za słownictwo. - Założył okulary na nos.

- Więc dobranoc - powiedziała. - Miłych snów. Ruszyła w kierunku holu.

- Hej! - zawołał - Dokąd idziesz?

- Na górę.

- Ale dlaczego? - Podszedł w jej stronę - Usiądź i pooglądaj telewizję. Może wtedy zachce ci się spać.

- Telewizja zawsze mnie budzi.

- To porozmawiajmy. Rozmowa ze mną usypia każdego, możesz mi wierzyć - wyznał z krzywym uśmiechem.

Zrobiło jej się przykro. Przypomniała sobie słowa Rondy i nagle poczuła, że robi jej się żal tego starego człowieka. Zastanawiała się jednocześnie, czy mógł słyszeć ich szepty. Grzeczność nakazała podejść bliżej - chciała mu pokazać, że się go nie boi ani o nic go nie podejrzewa. Zatrzymała się i patrzyła prosto na pana Stapletona.

Przez dłuższą chwilę odwzajemniał spojrzenie. Wreszcie sięgnął do stolika za jej plecami, wziął stamtąd kawałek tortu i wyciągnął w kierunku Lily.

- Nie, dziękuję.

Ugryzł go więc sam i żuł powoli, nie spuszczając z niej oka.

- Nie jesteś głodna? - zapytał. Wciąż na nią patrzył szklonym wzrokiem.

- Nie. - Pokręciła głową.

Przełknął kęs i wziął ze stołu następny kawałek.

- Siadaj, proszę. Uśluhała.

- Opowiedz mi trochę o sobie - poprosił, wkładając do ust kolejną porcję tortu. - Masz zamiar grać w teatrze, jak twoi rodzice?

- Może - odpowiedziała - A może zostanę pisarką.

- Och, pisarką? To przyjemny zawód. Będiesz pisać o, jakby to określić... o samotności? O tym właśnie wszyscy w końcu piszą, tak przynajmniej mnie się wydaje. Samotność. Albo może napiszesz coś o starych ludziach, mieszkających pod jednym dachem ze swoimi żonatymi dziećmi?

- Nie. - Uśmiechnęła się do niego.

- Do diabła! Oczywiście, znowu zachowałem się jak głupek. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Lily zdała sobie sprawę, że przekroczona została pewna granica, i spostrzegła, że on też jest tego świadomy. Pomyślała, że może powinna w jakiś sposób go pocieszyć, kiedy zobaczyła, jak drżą mu ręce, gdy sięgał po kawałek tortu.

- Cóż - odezwał się. - To miło z twojej strony, że zechciałaś dotrzymać mi towarzystwa. Nieczęsto w tym domu mam okazję z kimś porozmawiać.

Jakoś nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź. Bała się, że pan Stapleton może odczytać z jej twarzy to, co mówiła o nim Ronda, patrzyła więc uparcie w ekran, gdzie właśnie na górskiej drodze pojawił się czerwony samochód.

- O czym chcesz rozmawiać? Powiedz, zobaczymy, co z tego wyniknie. Gdybyś mogła czegoś sobie zażyczyć od życia, co to by było?

- Chciałabym być jednocześnie i pisarką, i aktorką.

- No, no. I pewnie jeszcze dużo podróżować i być bogatą, co?

- Tak naprawdę to nie martwię się o to, czy będę bogata, czy nie.

Zaczęła opowiadać o swojej miłości do książek i muzyki; i o swoim podnieceniu, które wywoływał widok rodziców na scenie; o entuzjazmie. Wyjaśniła, że ojciec wytłumaczył jej kiedyś greckie korzenie słowa *entheos* - z bogiem w środku - i nie upłynęło dużo czasu, kiedy sama siebie zadziwiła, opowiadając, jak na próbach oglądała ojca w roli Edmunda i wszyscy czekali na jego ostatnie słowa.

- Jesteś niezwykle wyrazista - odezwał się pan Stapleton, sięgając po butelkę. Patrzyła, jak nalewa sobie więcej niż zwykle. - Twoi rodzice muszą być z ciebie strasznie dumni.

- Tak - przyznała, zadowolona z jego uznania. - Ale czasem miewam kłopoty w szkole.

- Opowiedz mi o tym. - Pociągnął łyk ze szklaneczki.

- No cóż, wie pan, jak to jest. Myślę, że wszyscy uważają, że za bardzo się mądrzę na lekcjach. I że zgrywam dorosłą, bo lubię Ellę Fitzgerald.

- Na pewno masz w głowie więcej niż oni.

- Wiem, że pana nudzę.

- Nie, nie, mów dalej! To sprawia przyjemność starszemu mężczyźnie, kiedy młoda, ładna dziewczyna opowiada o sobie. Świat na ogół jest okropnym miejscem, dlatego potrzebujemy wszystkich miłych dziewcząt, które są w zasięgu ręki.

- No, ja chyba nie jestem ładna.

- Och, tak, jesteś.

- To wcale nie sprawia mi przyjemności.

- No dalej, rozmawiaj ze mną. - Nalał sobie znów whisky. - Chyba cię to nie nudzi, co?

- Ani trochę.

- Piłaś kiedyś whisky?

- Raz. Tata pozwolił mi spróbować, ale wcale mi nie smakowała. Powiedział, że smarował mi tym dziąsła, kiedy byłam niemowlęciem. Wie pan, przy ząbkowaniu.

- Taak... Ja też to robiłem. Ale to były zamierzchnie czasy, kiedy moje dzieci były małe, a ja młodszy.

- Nie jest pan znowu taki stary - pocieszała go, myśląc o tym, co mówiła Ronda, i jednocześnie o własnym ojcu, który przekomarzając się z nią, powtarzał, że jest taki stary, bo dobiega czterdziestki.

- Dla mnie uroki życia już się skończyły, panienko - oznajmił, przełykając jednym haustem zawartość szklaneczki i zaraz ją uzupełniając. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że jestem dziś wieczorem troszkę nietrzeźwy.

- Nic nie szkodzi - odparła, bo nie miała pojęcia, jak powinna zareagować.

Pan Stapleton rozsiadł się wygodnie na kanapie.

- No więc opowiedz mi jeszcze trochę o sobie. Wspomniałaś, że ciężko ci w szkole...

Lily powiedziała, że tam, w szkole, czuje się inna, obca. Jak jakiś dziwoląg. Na przykład dlatego, że lubi słuchać Elli. Wymówiła ponownie jej imię, czując się dumna, że ma takie dojrzałe upodobania, jak to określała jej matka. Była pewna, że wywrze to odpowiednie wrażenie na jej rozmówcy, i nie pomyliła się.

- To jest naprawdę coś, że lubisz taką muzykę.

- Znam wszystkie jej nagrania. I Louisa Armstronga, i Benny'ego Goodmana. I Glenna Millera.

- O cholera - mruknął, wpatrując się w nią.

- Słucham też Cheta Bakera. Mam jego płytę.

Nie odezwał się słowem, tylko patrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na szklaneczkę. Westchnął i upił łyk.

- Czytam też masę sztuk teatralnych - dodała. - Nie tylko same książki.

- To oczywiste, jak ma się takich rodziców.

- Tak. Oni mnie zachęcają.

- Byłem pewien, że tak właśnie jest. - Znowu uzupełnił zawartość szklaneczki. - Właściwie... ty właściwie jesteś już młodą kobietą.

- No niezupełnie.

- Nie zaprzeczaj, jesteś.

Znów sięgnął po butelkę. Ręce mu drżały i na stół pociekło kilka kropli. Był już nieźle pijany i Lily poczuła się tym zafascynowana. Widziała, że przez to drżenie jego ruchy stają się wolniejsze i bardziej ostrożne.

- O czym teraz myślisz? - spytał.

- Och - zachnęła się. - O niczym. Po prostu przyszło mi do głowy, że to miło tak porozmawiać z panem.

- Naprawdę?

- O, tak. To mnie odpręża.

- Odpręża?

- I sprawia, że dobrze się czuję.

- Ach, tak. Jesteś chyba najbardziej dojrzałą emocjonalnie dziewczynką, jaką kiedykolwiek spotkałem. Bardzo dorosłą.

- Ja... nie bardzo wiem, jak to wyrazić. Jestem po prostu szczęśliwa. Dzięki rodzicom.

- Ale to też zasługa two-ojej osobowości. Powinnaś zawsze doceniać siłę charakteru. Cha-ra-kte-ru - jeszcze raz wolno powtórzył to słowo, jakby chciał je zapamiętać - Tego mnie bra-akuje. Zawsze bra-akowało.

- Założę się, że nie - odpowiedziała.

- Ile masz lat? Uśmiechnęła się.

- Dziś są moje urodziny, zapomniał pan? Czternaście.

- Czternaście...

Wziął ze stolika kawałek tortu i zaczął go jeść, wolno, małymi kęsami, rozmyślając o czymś ze wzrokiem wbitym w podłogę. Trzymana w bezwładnym ręku pusta szklaneczka przechyliła się na jedną stronę. Lily pomyślała, że pan Stapleton zaraz zaśnie. Ale on po chwili podniósł naczynie do ust, wysączył z niego ostatnią kroplę i ostrożnie odstawił.

Lily nagle poczuła zapach tortu zmieszany z zapachem whisky.

- Och, tak naprawdę to już jest następny dzień - zaczęła. - Moje urodziny były wcz...

Pan Stapleton gwałtownie się odwrócił i złapał ją mocno za ramiona. Z gardła Lily wyrwał się urywany dźwięk, jakby westchnienie; jakiś pełen desperacji okrzyk w chwili, gdy pan Stapleton przywarł twarzą do jej piersi, błagając o coś bełkotliwym głosem. Wiedziała, że czegoś od niej chce, ale nie miała dość siły, żeby wydostać się z jego objęć, niepewna, jak powinna się zachować w tej dziwnej, strasznej sytuacji. I wtedy jego ręce powędrowały pod jej koszulę nocną, która, jak pamiętała, była koszulą Rondy. Gwałtownie błądziły po całym ciele, aż wreszcie

Lily straciła równowagę i obydwójce stoczyli się z kanapy na podłogę.

- Nie - stęknął pan Stapleton. - Nie. Przepraszam. Proszę, wybacz mi.

Ale jego ręce wciąż trzymały ją kurczowo i obmacywały. Lily próbowała krzyczeć, ale nie mogła złapać oddechu, a on atakował ją dalej, sięgając do majteczek i gładząc po udach. Jego ciężar był tak ogromny, że zaczęła się dusić i teraz nie próbowała krzyczeć, ale walczyła już tylko o to, by zaczerpnąć powietrza. Młóciła go rękoma, uderzając na oślep w czubek głowy, ciągle nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. Wreszcie udało jej się wydać niski, przeciągły dźwięk, przechodzący w pisk. Natychmiast jedną ręką zakrył jej usta. Poczowała słony smak jego skóry. Bez namysłu zatopiła zęby w dłoni, jednocześnie szarpiąc go za włosy.

Nagle się zatrzymał. Lily szarpała się dalej, próbując krzyczeć.

- Nie! - powiedział bez tchu. - Wybacz mi, błagam! Musisz mi wybaczyć.

Puścił ją, podniósł się z podłogi i stał nad nią na chwiejnych nogach, płacząc i pokaszując. Wreszcie wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Lily natychmiast się uspokoiła. Przez opadające na twarz włosy widziała, jak pan Stapleton, zataczając się, idzie w przeciwny kąt pokoju, ściskając głowę oburącz.

- Ja nigdy... ja nigdy nie zrobiłem czegoś takiego. Ja... nigdy... Przepraszam. Strasznie przepraszam... Jezu Chryste! - szlochał z twarzą ukrytą w dłoniach. - Boże, nie mogę, nie mogę w to uwierzyć...

Jego reakcja zdumiała Lily. Drżącymi rękoma odgarnęła włosy z twarzy, poprawiła koszulę nocną i obserwując go nieufnie, posunęła się ku drzwiom. Nagle skoczył w jej stronę i złapał ją za ramiona tak gwałtownie, że aż krzyknęła. Trzymał tak mocno, że znów nie mogła swobodnie oddychać.

- Posłuchaj, co ci powiem - wyszeptał ochryple. - Nie wolno ci nikomu o tym mówić, rozumiesz? Nigdy, przenigdy nikomu ani słówka. Musisz mi uwierzyć: jeszcze nie zdarzyło mi się nic podobnego.

Lily znowu się rozplakała. Poczwała takie obrzydzenie, że bała się, że zaraz zwymiotuje.

- Jezu przynajświętszy, wolałbym już nie żyć. Obiecuj mi, proszę.

- Tak - odpowiedziała z płaczem, drżąc na całym ciele. - Obiecuję.

- Przestań. Przestań płakać. Uspokój się, mówię, bo przysięgam, że zrobię ci krzywdę.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie - zdołała wykrztusić pomiędzy szlochnięciami. - Pan nic mi nie zrobi.

Rzuciła mu te słowa prosto w twarz, zachłystując się z wściekłości, strachu i zmieszania.

- Zabiję cię, przysięgam!

Tym razem nic nie odpowiedziała.

- To... to nic by nie pomogło. Po prostu za dużo wypilem, rozumiesz? Nic tu się nie zdarzyło. Nic!

Znowu milczenie.

Wyprostował się i zwolnił nieco uścisk.

- Zesłaś na dół po to, żeby mnie kusić. Powinnaś zostać tam, gdzie twoje miejsce!

- Niech pan mnie puści - odezwała się wreszcie. - Proszę!

- Nikt ci nie uwierzy. Zresztą nic się nie stało.

- Czy mogę już iść?

Puścił jej ramię i odszedł w drugi kąt pokoju, oddychając chrapliwie jak astmatyk. Zostawiła go bez słowa i niepewnym krokiem zaczęła wspinać się po schodach. Bolało ją wszystko - ramiona, klatka piersiowa i plecy. Z przerażenia kręciło jej się w głowie. Odrazą mieszała się w niej z poczuciem winy - powoli docierała do niej świadomość, że w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób stało się tak z jej woli, chociaż nie mogła ubrać tego w słowa; gdzieś głęboko w jej wnętrzu tliła się pewność, że sprowokowała całe to okropne wydarzenie, miała nad nim kontrolę, przeczuwała, co może się stać i nie miała nic przeciwko temu. Czy nie sprawiało jej przyjemności, kiedy tam siedziała, a on patrzył na nią pełnym zachwytu wzrokiem dojrzałego mężczyzny? Czyż nie rozkoszowała się tym, że uznał ją za dorosłą?

Zatrzymała się przed wejściem do łazienki, bo usłyszała dźwięk butelki wrzucanej do kosza na śmieci. Cały czas słyszała także jego szloch. Oparła się o framugę i usiłowała zebrać myśli. Podciągnęła rękawy koszuli, obejrzała dokładnie ręce, szukając siniaków, ale ku swojemu zaskoczeniu nic nie dostrzegła. Weszła do łazienki, starannie zaryglowała drzwi i włączyła wszystkie światła.

Usiadłszy na brzegu wanny, puściła wodę. Potem wstała, upewniła się, czy drzwi są na pewno zablokowane i ściągnęła przez głowę koszulę, cały czas drżąc i cichutko pochlipując.

Ciche pukanie do drzwi sprawiło, że aż pisnęła.

- Czy wszystko w porządku? - usłyszała jego głos.

- Niech pan nie wchodzi! - zawołała.

- Dobranoc - odpowiedział.

Nic. Przez chwilę nasłuchiwała, ale zza drzwi nie dobiegał już żaden dźwięk. Kiedy zakręciła wodę, w całym domu panowała cisza; słychać było tylko odgłosy burzy śnieżnej, ogrzewania, które włączało się co jakiś czas, i pukanie drobinek lodu o szybę świetlika. Na zewnątrz panowała ciemność i Lily, stojąc nago w świetle, widziała w okienku własne odbicie.

„Dobranoc”, powiedział, tak jakby nic między nimi nie zaszło. On, taki dojrzały, dorosły, który wiedział, jak sprawy powinny wyglądać.

Kapała się jak najciszej. Gorączkowo tarła całe ciało, cały czas pochlipując. Na myśl o tym, że musi jakoś przeżyć tę noc i nadchodzący poranek czuła nieprzyjemne pieczenie w żołądku. Osuszyła się starannie ręcznikiem, poczekała, aż woda spłynie z wanny, po czym dokładnie wytarła wszelkie ślady swojej tu bytności - obwódkę brudu, znak tego, co się wydarzyło, a w co jakaś część jej samej nie mogła uwierzyć. „Dobranoc”, powiedział.

Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę, bo zdawało się jej, że słyszy oddech po drugiej stronie drzwi. W końcu odważyła się je otworzyć i wyszła na korytarz. Spokój. On tam, we własnym łóżku posapywał, jakby dręczyły go nocne koszmary, poświstywał przez nos, czasami wyrwało mu się głośniejsze westchnienie, pochlipywał i znów oddychał spokojnie. Lily weszła w ciemność sypialni, gdzie z otwartymi ustami leżała oglupiona snem Ronda i pochrapywała.

Lily nie mogła zmrużyć oka. Po dźwiękach dobiegających z dołu zorientowała się, że i on teraz nie śpi. Kilkakrotnie słyszała, jak pokasłuje i wzdycha po drugiej stronie drzwi. Raz nawet miała wrażenie, że włączył telewizor. Leżała cichutko, przykrywając rękoma nos i usta, i oddychała tym niewielkim ciepłem własnych dłoni. W uchu przyłożonym do poduszki słyszała bicie swojego serca. Patrzyła, jak do pokoju powoli wkrada się świt, jak z mroku wyłania się zarys postaci Rondy, spoczywającej obok niej na łóżku.

Ronda wreszcie się przebudziła, ziewnęła, w końcu wstała i podeszła do okna. Lily udawała, że ciągle śpi. Ronda wyszła więc z sypialni, zeszła na dół i na pewien czas zniknęła. Potem z dołu dobiegł czyjś kaszel, ale Lily nie była pewna, czy jej się nie wydawało. Dobiegły też inne odgłosy - radia, odkręconej w łazience wody, zamykanych i otwieranych drzwi. Wstała, z pewnym trudem ściągnęła z siebie koszulę nocną i stojąc w kącie pokoju, z dala od wejścia, pośpiesznie się ubrała.

Nagle usłyszała jego głos. Stał na dole przy schodach.

- Lily, wstałaś już? Twój tata przyjechał.

- Tak! - odkrzyknęła - Już schodzę.

Rozmawiali. Lily słyszała, że rozmawiają zwykłym tonem; ot, niezobowiązująca, przyjacielska pogawędka dwóch dorosłych facetów, a w tle niskie, buczące dźwięki muzyki z radia. Ronda wróciła właśnie z łazienki.

- No i jak, dobrze spałaś? - spytała.

Lily patrzyła, jak przyjaciółka ściąga przez głowę koszulę nocną; patrzyła na jej ciągle jeszcze dziewczęce ciało, bez zaokrąglonych piersi, bez owłosienia pod pachami; na jej chude, kościste nogi.

- Dobrze?

- Dobrze - odezwała się w końcu Lily.

- A ja całą noc przewracałam się z boku na bok.

- Nie zauważyłam.

- Nie zauważyłaś. No jasne, jak mogłaś zauważyć, skoro spałaś jak zabita.

- O, jest już mój ojciec.

Ronda podeszła i objęła mocno Lily.

- Dzięki, że przyjechałaś. To co, zobaczymy się w szkole?

Kiedy wreszcie zeszła na dół, ojciec siedział przy stole w kuchni i pił kawę. Pan Stapleton zajmował miejsce naprzeciwko; nie rzucił nawet okiem na Lily, tak bardzo był zajęty nalewaniem. Dopiero kiedy skończył, spojrzał na nią, ale z jego twarzy nie mogła nic wyczytać. Widziała tylko szare, zmęczone oczy o mrocznym spojrzeniu - oczy posągu, pomyślała - i plątaninę czerwonych żyłek na białkach o lekko żółtawym odcieniu. Spoglądał, ale jej nie widział, była tego pewna.

- Jak pani spała, młoda damo? - odezwał się.

Nie zdobyła się na to, żeby odpowiedzieć. Podeszła do ojca i chwyciła go mocno za ramię.

- Jeszcze nie oprzytomniałaś? - zapytał.

- Bardzo mocno spałam - odparła, patrząc w podłogę.

- Coś dziś rano jesteśmy nieśmiali, co? - zauważył.

Zerknęła na niego, a zaraz potem na pana Stapletona, który z uśmiechem pokiwał głową i podniósł do ust filiżankę; jego ręka drżała nieznacznie.

- Obawiam się, że spałem tak mocno zeszłej nocy, że mogłem nawet lunatykować. Czy pan chodził kiedyś we śnie?

- Miałem kuzyna, któremu się to zdarzało - powiedział Scott.

- Mnie nigdy, dopiero ostatnio. Nie wiem wtedy, gdzie jestem ani co robię. W moim wieku to straszne.

- Chcę już wracać do domu - odezwała się Lily.

Ojciec odstawił natychmiast kawę i objął córkę wpół. Prawie go odepchnęła, bo dotarło do niej, że on nic nie zauważył i - co za okropna myśl - że najwyraźniej nie było nic do zauważenia. Obaj zachowywali się niezwykle serdecznie. Pan Stapleton podniósł się z krzesła i poszedł w stronę holu, wołając Rondę, która zbiegła zaraz w kapciach, choć zdążyła już włożyć spódniczkę i białą bluzeczkę z falbanką z przodu. Na powitanie uścisnęła ojca Lily, a potem cmoknęła dziadka w policzek. Wszystko wydawało się takie urocze i pełne ciepła. Lily powtórzyła z naciskiem, że chce już wracać do domu. Pan Stapleton odparł, że musiała źle spać tej nocy, biedne dziecko.

- Założę się, że chodziłem we śnie, pewnie bez przerwy na coś w holu wpadałem i ciągle cię budziłem. Wyglądasz trochę na zmęczoną. Chyba nie... hmm, nie spałaś dobrze tej nocy, młoda damo?

Lily bała się spojrzeć na niego.

- Nie - ucięła krótko.

- A mówiłaś, że dobrze spałaś - wtrąciła Ronda.

- Cóż, lepiej jedźmy już do domu - powiedział ojciec Lily.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzałem ci przez całą noc tymi wędrówkami. Ja... ja nawet nie wiem na pewno, czy naprawdę chodziłem we śnie. - Zaśmiał się z rozdrażnieniem, jakby rozgniewał sam siebie, i pokręcił głową.

Dokładnie w momencie, gdy Lily i jej ojciec zbierali się do wyjścia, nadjechali rodzice Rondy. Pośpiesznie zaczęli opowiadać, jaką to okropną noc mają za sobą i jak próbowali się dostać do domu mimo ślizgawicy. Ojciec Lily odwzajemnił się opowieścią o wypadku, o tej długiej chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że nie panuje nad samochodem i że nie ma szans się zatrzymać, dopóki w coś nie uderzy.

- Jechaliśmy mniej więcej piętnaście kilometrów na godzinę - powiedział. - Uderzyliśmy w krawężnik i wtedy zderzak jakimś cudem zahaczył o latarnię, w żaden sposób nie mogliśmy się odczepić. Skończyło się na tym, że powolutku poszliśmy do Willardów. Wszystko było oblodzone. Dosłownie wszystko. Nawet nie było się czego złapać.

Rodzice Rondy zapytali, jak się udała premiera i trochę czasu upłynęło, zanim Scott zdołał wszystko opowiedzieć; jak na przekór fatalnej pogodzie widownia wypełniona była po brzegi. Lily rozejrzała się dookoła i spostrzegła, że pana Stapletona nie ma w pokoju. Przechyliła się trochę na bok, żeby spojrzeć w głąb korytarza, i zobaczyła, że stał tam, na coś

czekając, i uważnie ją obserwował. Jego spojrzenie było puste i zimne. Zachwiał się lekko i zniknął.

Pociągnęła Scotta za rękaw.

- Chodźmy już, proszę!

- W porządku. Ej, nie bądź niegrzeczna. Ci mili państwo zgodzili się, żebyś tu została na noc.

- Tak naprawdę to nas tutaj nie było - rzekła matka Rondy, po czym zwróciła się do Lily:

- Musisz jeszcze kiedyś przyjechać i zanoćować, jak będziemy w domu.

- Tak.

- Jeśli chcesz, możesz zanoćować nawet dzisiaj. Nie mamy żadnych planów na wieczór.

- Och, zostań! - zawołała Ronda. - Ale byłoby super! Lily pokręciła tylko głową.

- Dziękuję, ale jestem strasznie zmęczona. Tatusiu, proszę, chodźmy już.

Ojciec Lily wydawał się zaskoczony. Pokręcił głową, spojrzał na rodziców Rondy i tylko wzruszył ramionami. Wreszcie wyszli przed dom do samochodu, innego niż ten, którym Lily przyjechała tu wczoraj. Zatrzymała się, zmieszana.

- Jest z wypożyczalni, głuptasie - powiedział ojciec. - Wsiadaj.

Na trawnikach cały czas jeszcze białą tu i ówdzie płaty lodu; białe półksiężycy otaczały brzegi kałuż, które marszczyły się delikatnie poruszone lekkimi powiewami zimnego wiatru. Lodowate powietrze szczypało Lily w policzki i szyję. Kiedy już usadowiła się z tyłu samochodu, zobaczyła, że z domu wybiega Ronda, machając książką o odkrywcach. Lily natychmiast poczuła, jak ze zdenerwowania zaczyna ją boleć żołądek. Popatrzyła na przyjaciółkę i pomyślała, że chciałaby już nigdy jej nie spotkać. Bez słowa wzięła od niej książkę i położyła na kolanach, a Ronda pochyliła się i cmoknęła ją w policzek.

- To widzimy się w poniedziałek, tak?

- Tak - odpowiedziała Lily.

Ronda pobiegła do domu, a Lily zatopiła się w siedzeniu, tak że jej głowa znalazła się prawie poniżej krawędzi okna. Kiedy ojciec siadał za kierownicą, zerknęła w tył. Drzwi domu Rondy były zamknięte; wszyscy siedzieli w środku.

- Stało się coś złego? - zapytał ojciec.

Odwróciła się w jego stronę i stwierdziła ze zdumieniem, że nie może wydobyć z siebie słowa.

- Hej! - zawołał - Co jest, kochanie? Źle się czujesz?

- Nie, wszystko w porządku - wykrztusiła. Chwilę milczała, a potem odezwał się znowu.

- Powiedz mi, co złego się wydarzyło.

Przez chwilę czekała w pełnym napięcia milczeniu, czując, jak coś zapada się w jej sercu. Kiedy jednak się odwróciła, żeby przemówić, usłyszała, jak z jej ust padają same kłamstwa albo prawda, która wyglądała jak kłamstwo.

- Nie spałam za dobrze. - I zaraz dodała: - Śniły mi się jakieś koszmary.

Nieoczekiwanie całe doświadczenie poprzedniej nocy poprzedzone paniką, że rodzicom przytrafiło się coś złego, wywołało w niej teraz poczucie zagrożenia. Życie, jak zawsze wiedziała, znajdowało się w stanie niebezpiecznej równowagi; jeśli przydarzą się kłopoty, będzie to wyłącznie jej wina. Wyczuwała to bez słów i przypomniawszy sobie poczucie rozkoszy wywołanej pełnym podziwu spojrzeniem pana Stapletona.

- Śniło mi się, że oboje umarliście, ty i mama.

Wyciągnął w tył rękę i dotknął jej dłoni. Wpatrywała się w ciemne włoski na wierzchu jego palców.

Na niedzielnym przyjęciu w teatrze w charakterze gości zjawili się Ronda i jej rodzice. Ronda wyjaśniła, że dziadek nie czuje się dobrze, a Lily usłyszała, jak matka Rondy zwierza się Doris ze swoich obaw, że u ojca rozpoczyna się kolejny atak depresji. On już ma za sobą kilka nawrotów choroby, opowiadał Scottowi ojciec Rondy. Nic poważnego, wiesz, po prostu idzie wtedy spać. Lily wymknęła się do magazynu obok wejścia na główną scenę. Odkąd pamiętała, było to jej ulubione miejsce: na metalowych wieszakach w równych rzędach wisiały kostiumy ze wszystkich epok, jeden za drugim; były też tam skrzynie ustawione starannie w stos jak cegły wmurowane w ścianę; skrzynie z rekwizytami - ze sztucznymi aparatami telefonicznymi, fałszywymi butelkami, pistoletami i nożami z chowanym ostrzem; dookoła stały nieprawdziwe meble ze szklanymi figurkami i kruche porcelanowe lampy; porcelanowe popiersia fikcyjnych postaci i książki oprawione w skórę; popielniczki i haftowane serwetki, i zastawa stołowa. Pod jednej stronie łóżko z puchową kołdrą, jakby przygotowane do spania; za łóżkiem rzucone były jak hełmy, tarcze, napierśniki, miecze; i osobliwie niepasujący do tego miejsca mikrofon, wiszący na przewodzie przyczepionym do ostrza włóczni. Lily stała wśród tych przedmiotów, w ukochanym pomieszczeniu, gdzie zawsze czuła się bezpieczna - nie, niezwyciężona - wspierana przez czarodziejską, magiczną prawdę, którą nosiła ukrytą głęboko w sercu: że jeśli coś w realnym świecie pójdzie źle, możesz po prostu wyobrazić sobie, że jest inaczej. Możesz

wziąć sprawy w swoje ręce i potrząsnąć tak mocno, żeby opadła rdza i znowu wszystko stało się jasne. Gdzieś z tyłu dobiegły ją głosy matki i Rondy, powtarzające jej imię.

- Lily! - zawołała Ronda. - Gdzieś ty się schowała?

Nieoczekiwanie Lily poczuła nagłą chęć, żeby rozwalić wszystko w drobny mak. Ogarnął ją dziwny wstręt do całej reszty świata zrodzony gdzieś we wnętrzu. Ale zamiast okazać prawdziwe uczucia, odwróciła się do Rondy z uśmiechem i powiedziała to, co, jak sądziła, w tych okolicznościach będzie najlepszym wytłumaczeniem: właśnie wyobrażała sobie własną duszę jako lotny piasek unoszony gdzieś z wiatrem pod opustoszałym niebem.

Później, po południu, po zajęciach szkolnych, siedziała we własnym pokoju i próbowała namalować akwarelami ten obrazek. Ale to nie było wyobrażenie jej duszy, tylko realny świat, przynajmniej tak go teraz postrzegała.

Przez kilka kolejnych miesięcy obserwowała matkę, jak siadała przy toalecie, nakładała makijaż, poprawiała kolor i kształt ust - obraz uroczej kobiety, która stara się wyglądać jak najlepiej. Lily przeszła ochota na takie eksperymenty, choć nie okazywała tego rodzicom. Zachowywała pozory, a w końcu obraz pana Stapletona i strach z nim związany zaczęły nieco przygasać w jej pamięci. Zaczęła czytać wszystko o Mary Kingsley i autorstwa Mary Kingsley. Narysowała nawet jej portret, ale potem uznała, że nie jest zbyt udany, toteż go zniszczyła. Jednocześnie przestała w ogóle malować i rysować, a kiedy jej matka spytała dlaczego, odpowiedziała, że po prostu przestało ją to interesować. Nie zarzuciła za to pisanie pamiętnika, czasami robiła notatki w czasie krótkich godzin nocnych i nie przestała uczęszczać z ojcem na próby w teatrze. Chłonęła wszystko jak gąbka i ludzie zaczęli uważać, że jest nadwrażliwym dzieckiem, spokojnym, może nawet nieco skrytym; dziewczynką, która wszystko chowa wewnątrz siebie. Jej matkę bardzo to niepokoiło.

- Gdzie się podziała Lily, którą tak dobrze znałam? - mówiła. - Co złego się stało? Czy to przez to, że zrezygnowałam z teatru?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odpowiadała Lily. - Czy możecie przestać na mnie patrzeć tak, jakby urosła mi druga głowa?

- Zupełnie zerwałaś kontakty z Rondą. Dlaczego? Coś zaszło między wami?

- Nic. Po prostu ona ma nowych przyjaciół. Zresztą miałam już dość jej paplania. Zauważyłaś, że buzia się jej nigdy nie zamyka?

- Coś się z tobą stało, kochanie - odparła Doris. - Chodziło mi o ciebie.

Przyszło lato, jesień, potem nastąpiła zima, następnie znów wiosna. Lily każdego dnia bała się nadchodzącej nocy, ale jakoś udawało się jej ukryć ten strach. Ojciec został zaangażowany do następnych trzech produkcji; z kolei matka Lily pozostała wierna swojemu postanowieniu o rezygnacji ze sceny i prowadziła teraz dom, czasami nawet nie chodziła na spektakle. Lily spędzała w teatrze mnóstwo czasu; cały ten ruch i rozgardiasz pochłaniały ją bez reszty, wypełniały jej myśli, tłumili wewnętrzną zamieszanie, kiedy wydawało jej się, że zaraz dusza z niej uleci i rozplynie się w powietrzu. Latem ojciec pozwalał jej pozostawać z sobą na próbach aż do późnych godzin wieczornych. Dla Lily było to błogosławieństwo, bo odsuwało w czasie samotność w ciemności własnej sypialni. Wszystkie aspekty teatralnego życia zatrzymywała w sobie, jakby to było jej duchową strawą. Oczami wyobraźni widziała następującą scenę: młoda kobieta w czerni pozuje do zdjęcia razem z innymi na werandzie dworca kolejowego we Freetown, w Afryce Południowej, gdzie około roku 1895. Zapisywała słowa, bo we własnym świecie mogła nawet słyszeć ich rozmowy; było to tak, jakby duchem przeniosła się na chwilę w tamte czasy.

Którejś nocy usłyszała odgłosy bójk i kiedy wyszła za próg swojego pokoju, przy wejściu do holu zobaczyła, jak ojciec mocuje się z matką. Głowa matki przechylała się na bok, ale przytrzymało ją ramię męża, który opierał się na Doris całym ciężarem. Jego twarz wyglądała jak pusta maska, a mięśnie rąk miał napięte. Doris była kredowoblada, a z jej warg odpłynęła krew. Oczy trzymała zamknięte, lecz nagle je otworzyła, a wtedy spojrzała na Lily.

- O Chryste - wyszeptała. - Scott! Natychmiast odsunął się od niej.

- Co ty tu robisz? Czemu nie śpisz? - zapytał surowo.

- Usłyszałam jakiś hałas - odparła Lily.

- Wracaj do łóżka.

Oboje ciężko oddychali; wreszcie matka przeszła do przedpokoju, zakrywając twarz rękoma.

- To była zwykła sprzeczka - oznajmił ojciec. - Ludzie czasami się kłócą. Idź do łóżka.

Posłusznie wróciła do pokoju. Leżała cicho z dłońmi skrzyżowanymi na piersi i myślała, nie ubierając tych myśli w słowa, że ludzie są taką przedziwną mieszaniną czułości i przemocy, gniewu i śmiechu, i żalu, i wszystko to wydawało się jej trudne do zniesienia. Noc przemijała, cicha, przerażająca i pusta jak przestrzeń między gwiazdami. Nic strasznego się już nie wydarzyło.

Rano jej rodzice byli już sobą, pełni wyszukanej uprzejmości i wesołości, niesłuchanie pogodni.

W miarę upływu czasu ojciec wydawał się coraz bardziej skrepowany wszystkim, co dla Lily stanowiło istotny temat do rozmowy. Wiedziała, że jego zdaniem takie oddalenie to naturalna kolej rzeczy pomiędzy mężczyzną a jego dorastającą córką. Wspomnienie o panu Stapletonie Lily pogrzebała jak najgłębiej.

Nikommu nigdy o nim nie powiedziała.

RS

CZEŚĆ 1

Sztuka

Rozdział 1

1

Kiedy Lily kończyła pierwszy rok college'u, rodzice się rozeszli. Tego lata, najgorętszego, jakie wszyscy pamiętali, wielokrotnie słyszała, jak każde z nich z różnymi osobami omawia rozpad swojego małżeństwa rozpaczliwie obojętnym, rzeczowym głosem. Takim tonem mogliby równie dobrze omawiać sposoby refinansowania kredytu hipotecznego. W kontaktach z nią zachowywali się z rezerwą, bardzo uprzejmie i dokładali wszelkich starań, aby się wzajemnie nie krytykować. Mówili o wzajemnym poważaniu i o tym, co dla każdego będzie najlepsze; wydawało się, że nie żywią do siebie urazy. Istotnie, kiedy doszło do ostatecznych ustaleń, oboje sprawiali wrażenie zadowolonych z siebie, że prawie udało się im obejść bez patologicznych scen. Nawet prawnicy byli zdania, że sprawę załatwiono polubownie.

Według Lily Austin w żaden sposób nie dawało się tak określić rozpadu jej rodzinnego domu na dwa.

Współlokatorka z akademika, Sheri Galatierre, próbowała jakoś odwrócić uwagę Lily i stale zapraszała ją na prywatki i spotkania towarzyskie, ale Lily przeważnie odmawiała. Tak samo jak przed laty czuła się nieswojo w towarzystwie obcych, choć nie potrafiła jasno określić swoich obaw. Naprawdę nie miała pojęcia, jak wyrazić swoje pragnienia.

Sheri miała zwyczaj rozpamiętywania jej smutku w taki sposób, że Lily czuła się jeszcze gorzej, choć oczywiście przyjaciółka chciała tylko pomóc. Dominik Martinez także starał się rozerwać Lily - wygłupiał się, trąkotał bez przerwy albo błaznował. Studiował na uniwersytecie pierwszy rok, bo przeniósł się tutaj z Karoliny Północnej. Podszedł do Lily po przedstawieniu wystawianym przez wydział dramaturgii i powiedział:

- Przyjęcie urodzinowe Rondy Seiver. Pamiętasz mnie?

Lily była całkowicie zaskoczona i przez moment nie mogła go sobie przypomnieć.

- Dostałaś wtedy książkę, gdzie była wzmianka na temat tej kobiety odkrywczym.

- Dominik?

Skłonił się dokładnie tak samo, jak tamtego wieczoru w domu Rondy.

Od tego czasu stali się jak brat i siostra. Dominik czasami nie pozwalał jej uzalać się nad sobą. Mówił, żeby wreszcie dorosła i przestała wbijać nóż we własne serce. Może to dziwne, ale niekiedy to pomagało.

Mimo to, kiedy spędzała kilka godzin sama, nic nie mogło dotrzeć do głębi, gdzie krył się smutek. Bolały ją oczywiste fakty; świadomość, że to, co łączyło jej rodziców, ostatnimi czasy po prostu wyparowało, powodowała stały, bolesny ucisk gdzieś głęboko za żebrami. Nie mogła się otrząsnąć z okropnego, choć znanego odczucia, że oto została zdradzona. I podczas gdy wszyscy dookoła niej mówili językiem miłości, gdy tyle romantycznych uczuć kryło się w książkach i sztukach teatralnych, które czytała - nawet sama grała ostatniej wiosny najbardziej romantyczną postać, Rozalindę w *Jak się wam podoba* - Lily uznała, że wszystko to są kłamstwa i oszustwa.

Ojciec, całkowicie serio i bez najmniejszego śladu ironii, wplątał się w romans z kimś z pracy. Mówił, że zakochał się bez pamięci. Użył tego sformułowania, opowiadając o całej sprawie matce Lily. Idiotycznie płacząc i błagając o wybaczenie, przyznał się, że to trwa już od przeszło roku. Matka Lily, która wiedziała, że jej psychiczne oddalenie od męża stale się pogłębia, wpadła niemal natychmiast w trwającą sześć tygodni depresję, po czym zebrała siły i zadzwoniła do adwokata. Wszystko zostało przeprowadzone niezwykle sprawnie i grzecznie, nad czym Lily ubolewała. Odbierała to tak, jakby rodzice postanowili zakończyć jakąś piekielnie długą sztukę, w której oboje grali główne role.

Był rok 1988. Bush i Dukakis rozpoczęli właśnie wyścig do fotela prezydenckiego, zwalnianego wkrótce przez Reagana, a Lily, która była na ostatnim roku college'u, doszła do wniosku, że w ogóle jej to nie interesuje. Na jesieni, kiedy wróciła do szkoły, czuła się dziwnie, kontaktując się z każdym z rodziców z osobna i rozmawiając z młodą kobietą, teatralnym scenografem, która obecnie była żoną jej ojca. Ich ślub cywilny odbył się w stanie Maryland, zaledwie trzy dni po orzeczeniu w końcu lipca rozwodu. Napięcie, w którym Lily żyła, dało o sobie znać w nieoczekiwany sposób: zdarzały jej się napady paniki i bezsenne noce, a nawet kiedy zasnęła, dręczyły ją koszmary - jeden z nich, który przyśnił się całkiem niedawno, dotyczył czternastych urodzin. Bardziej ją niepokoiło, jak ten sen na nią podziałał, niż to, że się

w ogóle przyśnił. W trudny do wytłumaczenia sposób gorzej było się obudzić, niż przeżywać wszystko ponownie we śnie.

Lily zapisała się na podwójną liczbę godzin, bo straciła semestr, kiedy zdecydowała się zmienić główny przedmiot studiów, a chciała otrzymać dyplom o czasie. Jedni wykładowcy lubili ją za to, że potrafiła zupełnie się zatracić w każdej postaci, którą próbowała odgrywać, a drudzy pozytywnie oceniali jej spektakle. Kiedy grała rolę Rozalindy, bywała rozpoznawana poza sceną i sprawiało jej to przyjemność, zdążyła się jednak zorientować, że występowanie przed publicznością nie jest jej powołaniem. Istniało w niej coś, co musiała pogwałcić za każdym razem, kiedy wychodziła na scenę; to odczucie płynęło z głębi jestestwa, spotykając się z jej coraz bardziej introwertycznymi skłonnościami. Jej zakłopotanie po spektaklach, nieobecność na większości uroczystości, spotkaniach w gronie obsady czy na zebraniach towarzyskich stały się przedmiotem rozmów między pozostałymi studentami wydziału dramaturgii. Chodziła własnymi drogami - i ludzie coraz częściej zostawiali ją samą sobie. Nawet Dominik i Sheri niekiedy odnosili się do niej z rezerwą.

Panikę udawało się jej trzymać pod kontrolą, choć na myśl o tym, co będzie robić po skończeniu college'u, po tej morderczej harówce, ogarniał ją niepokój. Ten lęk stale ją prześladował, niezależnie od tego, gdzie znajdowało się jego źródło; rozpraszał tak, że nie mogła się skoncentrować na nauce na pamięć dużych partii tekstu. Nawet czytanie wyznaczonych fragmentów okazywało się zadaniem ponad siły.

W czasie jednego z „futbolowych” weekendów ostatniego roku Lily w college'u - była to rześka, wietrzna sobota, w powietrzu unosił się zapach palonych liści i czuć było przyjemny chłód, który przywodził na myśl zmierzch lata zmieszany z początkiem zimy - Sheri namówiła ją, żeby wybrały się na mecz. Wygrał wysoko zespół Cavalierów; ponieważ Lily nie interesowała się futbolem, niewiele dawało jej obserwowanie zamętu panującego na boisku i jaskrawo ubranych graczy w błyszczących w promieniach słońca kaskach, uderzających w siebie z trzaskiem na skopanej murawie. Ale odkryła, że lubi takie widowisko i przez większą część meczu obserwowała radosne reakcje widzów, zaskoczona, że komuś może to sprawiać tak dużą przyjemność.

- Jaka to fantastyczna sprawa - powiedziała do Sheri, kiedy gra się skończyła. - Było super!

Sheri, której słowotok często przerywało coś, co Lily w duchu określała mianem „fonetycznej kursywy”, natychmiast podjęła temat.

- Masz pojęcie, niektórzy z tych chłopców mogą być kiedyś naprawdę bogaci! A Dominik lubi futbol?

- Nigdy z nim o tym nie rozmawiałam, ale sądzę, że podobnie jak ja.

- Wiesz, ja nie przepadam, ale przychodzę na mecze. Wolnym krokiem zmierzały na przyjęcie po meczu do jednego z małych apartamentów w centrum kampusu. Ludzie rozmawiali za głośno i starali się przekrzykiwać jeden drugiego, wyliczając, które akcje przyniosły najwięcej punktów. Ich entuzjazm sprawił, że Lily uzmysłowiła sobie własny brak studenckiego ducha.

- Naprawdę pierwszy raz w życiu byłeś na meczu?! - pytała Sheri. - A w szkole średniej? Nigdy nie poszłaś popatrzeć?

- Nigdy.

Sheri odwróciła się i pomachała swoją kościstą, niedużą ręką w stronę zgromadzonych w pokoju ludzi.

- Hej, słuchajcie! Ta dziewczyna nigdy nie widziała cholernego meczu futbolowego! To był pierwszy raz w jej całym, cholernym życiu; możecie to sobie wyobrazić?!

Lily czuła się jak w potrzasku, ale zwalczyła chęć spuszczenia oczu i odważnie podniosła wzrok.

Z tłumu wynurzył się młody chłopak i wychodząc parę kroków przed innymi, powiedział, że owszem, potrafi to sobie wyobrazić: on także nigdy nie widział futbolu, włączając w to dzisiejszy mecz, bo prawdę mówiąc, nie interesuje się sportem. Kilku jego kumpli zaczęło z niego dobrodusznie żartować, a dziewczyna w za dużym swetrze, który wisiał na niej jak worek, podeszła i dmuchnęła mu w twarz z papierowego gwizdka.

Nieznajomy wyglądał jak ktoś, kto spokojnie mógłby grać w futbol - miał szeroką pierś i silnie zarysowane mięśnie na rękach i ramionach. Lily popatrzyła w jego brązowe oczy i jej zażenowanie minęło bez śladu; zobaczyła w nich zachętę, aby stanąć po jego stronie, z dala od pozostałych - ich transparentów, hałaśliwych zachowań, skórzanych kurtek i swetrów.

Sheri zaczęła coś mówić, ale Lily przerwała jej i zwróciła się prosto do niego.

- Nazywam się Lily.

- Tyler. - Wyciągnął do niej rękę.

Pod wpływem impulsu postąpiła krok do przodu, wspięła się na czubki palców i pocałowała go prosto w usta. Wydawał się zaskoczony, ale odwzajemnił pocałunek. Wszyscy patrzyli prosto na nich.

- No cóż - wtrąciła Sheri. - Czego można się w tym kraju spodziewać? Szczęście przychodzi tak po prostu i mówi: „Jak się masz”.

- Może wyjdziemy na balkon? - zaproponował z szerokim uśmiechem.

Lily wzięła go za rękę, a wtedy rozległy się okrzyki dopingiu. Miała wrażenie, że jest na wystawie, czuła, jak rumieniec zalewa jej policzki i szyję, ale bez wahania szła z Tylerem w stronę rozsuwanych przeszklonych drzwi prowadzących na zewnątrz. Kiedy wchodziła na taras wychodzący na Rugby Drive, powtarzała sobie, że następnego ranka on będzie gdzieś tam, a ona zupełnie gdzie indziej.

- Teraz wszyscy o nas gadają - odezwał się.

- Chyba tak. - Słyszała w swoim głosie nutkę zakłopotania, więc spróbowała się do niego uśmiechnąć, ale czuła, że był to raczej grymas niż uśmiech.

- Jest ci zimno?

Odwiązała z pasa sweter i wciągnęła go na siebie, przypadkowo uderzając Tylera łokciem w twarz.

- Oj! - powiedział.

- O Chryste! Bardzo cię uderzyłam?

- Jakoś przeżyję - powiedział i zaśmiał się łagodnie.

W jego śmiechu pobrzmiwało barytonowe mormorando i to ją uspokaja.

Z miejsca, gdzie stali, za rozległym trawnikiem widać było samochody czekające na zmianę świateł i migające kierunkowskazy. Tyler nie odrywał od Lily oczu, a ona zdawała sobie sprawę z własnej chudości, ukrytej pod dżinsami. Zawsze uważała, że jest koścista i nieatrakcyjna, ale w tej chwili, przez kilka krótkich sekund, nie miało to żadnego znaczenia.

Jakby przywołane jej myślami, zza zasłony dobiegły słowa Sheri.

- Och, Romeo, gdzie jesteś... Ty głupi sukinsynu!

W pokoju rozległy się wybuchy śmiechu. Nawet Tyler spojrzał w tamtą stronę i uśmiechnął się półgębkiem. Lily utkwiała wzrok w gwiazdach widocznych ponad szczytami dachów po drugiej stronie ulicy. Znowu nadeszła ta przykra chwila, kiedy każdy nerw w żołądku dawał o sobie znać. Wolałaby robić wrażenie osoby doświadczonej, lubiącej przygody, nawet ponętnej, choć niezbyt łatwej - krótko rzecz ujmując, w pewnym sensie podobnej do młodej kobiety, którą grała tak niedawno na scenie; kobiety, której mogło ujść na sucho to, że w pokoju pełnym obcych ludzi podeszła blisko do właśnie poznanego mężczyzny, i złożyła na jego ustach namiętny pocałunek.

Teraz byli sami. W mroku nocy Lily widziała migające światła w innych budynkach, gdzie także odbywały się imprezy. Za plecami słyszała odgłosy trwającej zabawy i głos Sheri trajkoczącej o swoich planach zmieniania rzeczywistości; dźwięk jej pełnego emocji altu wybijał się ponad piosenki Paula Simona z afrykańskiego albumu, z jego cudownie melodyjnym układem akordów.

- Może przyniosę coś do picia - odezwał się Tyler. - Na co masz ochotę?

- Poproszę o piwo.

Została sama. Oparła dłonie o barierkę i pochyliła się, spoglądając na odległy, przyćmiony odbłask światła miasta, migoczących na tle październikowego nieba. Jej policzki owiewał chłód zbliżającej się zimy. Trawnik pokrywał żółty dywan. Poczowała zapach ziemi i igieł sosnowych, i cierpką woń gnijących liści. Słyszała dźwięki innej muzyki, dobiegające z sąsiedniego mieszkania, gitarę i dudniący bas, ale nie udało się jej odgadnąć, co to było. Nagle pomyślała, że Tyler może tu nie wrócić. Jak głupio stać tak samotnie na balkonie niczym opuszczona kochanka. Jeszcze chwila, a wślizgnęłaby się z powrotem do pokoju.

Ale w tym momencie Tyler pojawił się w drzwiach, z piwem w jednym ręku i szklaneczką wina w drugiej. Zapalił papierosa i wyciągnął w jej stronę pudełko.

- Nie, dzięki. - Popijała piwo małymi łykami. Tyler pił wino i palił. Być może zastanawiał się, jak się uwolnić od jej towarzystwa.

- Tutaj ludzie palą pieruńsko mocny tytoń - rzekł w końcu. - Próbowalaś kiedyś?

Owszem, raz się zdarzyło. Paliły razem z Sheri. Potwierdzająco skinęła głową.

- Nie bardzo smakowało.

- A ja się pochorowałem - odpowiedział. - Najpierw było świetnie i myślałem, że ho, ho, a potem... rzygałem jak kot.

- Ja właściwie nic nie czułam, ale może źle się zaciągałam.

- Jestem pewien, że tak właśnie było - przytaknął.

- Co studiujesz? - ośmieliła się wreszcie zapytać.

Tyler odpowiedział, że zaczął college z opóźnieniem, jako główny przedmiot wybrał biologię, zapisał się na kurs przygotowujący do studiów medycznych, potem był przez rok na medycynie, ale przestała go interesować.

- A teraz studiuje... hmm... filozofię. - Zaciągnął się i potem odetchnął głęboko. - Wiem, że jesteś na dramaturgii.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Byłaś świetna w tamtej sztuce.

Przez chwilę uśmiechała się, jakby sam jego widok sprawił jej przyjemność.

- Dawno nie słyszałam czegoś tak miłego - powiedziała. Zaciągnął się dymem i wyrzucił niedopałek.

- Wiesz, to był mój ostatni papieros.

- Gratuluję.

Pytał o różne rzeczy związane ze szkołą teatralną, a jego zainteresowanie wydawało się tak szczere i serdeczne, że ku swojemu zaskoczeniu zaczęła opowiadać o bardzo osobistych sprawach: ledwie zaliczanych przedmiotach, złych radach, których jej udzielano aż do odkrycia, tak późno w jej karierze w college'u, że ona nie nadaje się na studia prawnicze. Opowiedziała o decyzji zmiany głównego kierunku, rozpoczęciu zajęć na wydziale dramatu i nadziei, że być może pewnego dnia będzie kogoś uczyć gry na scenie.

- A nie chcesz być aktorką? - pytał. - Masz talent!

- Tak naprawdę to nie sprawia mi to radości. Zresztą nie wiem. Chciałabym pisać.

- A co chciałabyś napisać?

- Sztukę.

- O czym?

Dawniej fascynowały ją ostatnie dni życia Keatsa, spędzone częściowo na łodzi u wybrzeży Włoch.

- Kiedyś myślałam, że mogłabym spróbować napisać coś o Keatsie. Zatyłowałabym to *Samotność wielkiego człowieka*.

- „Jasna gwiazdo! O, gdybym mógł tak nieprzerwanie...”. - Uśmiechnął się promiennie. - Keats to mój faworyt.

- Kiedy byłam na pierwszym roku, cały czas nosiłam książkę z jego odami - powiedziała Lily. - Jak modlitewnik.

- Zakładając, że pisałaś sztukę o Keatsie - czy nie czułaś presji, żeby pisać tak dobrze jak on?

- Nie przyszedł mi do głowy żaden pomysł. Kiedyś w przyszłości się do tego wezmę. Ale jest jeszcze ktoś, kto mnie fascynuje - właściwie mam na tym punkcie obsesję - od czasów dzieciństwa. To Mary Kingsley.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Umarła w tysiąc dziewięćsetnym roku. Była odkrywczynią, pisarką, podróżniczką. Czytałam o niej trochę - działała tylko przez ostatnie siedem lat życia, to znaczy do trzydziestki tylko opiekowała się matką i bratem. Jej ojciec w tym okresie wyjeżdżał na całe lata, a kiedy wracał, o niego też musiała dbać. Ale gdy jej rodzice zmarli w odstępie zaledwie kilku miesięcy, pojechała do Afryki Zachodniej i dotarła do miejsc, gdzie wcześniej nie postąpiła noga Europejczyka. Zupełnie sama weszła na szczyt góry Kamerun. Napisała książkę, która stała się bestsellerem i dzięki której przez pewien czas cieszyła się światową sławą. Kipling mówił o niej, że nie umiała się bać. Jest niezwykłą i bardzo fascynującą kobietą.

- Mówisz o niej tak, jakby ciągle żyła.

Przez chwilę oboje milczeli, a Lily się zastanawiała, czy nie powiedziała za dużo.

- Kobieta odkrywczyni - rzekł w końcu Tyler. - Wspaniale. Ciekawe, czemu jeszcze nie zrobili o niej filmu.

Z trudem wytrzymała jego spojrzenie. Teraz zwracał się do niej protekcjonalnym tonem, a ona złapała się na tym, że w duchu stara się znaleźć jakieś wytłumaczenie. Bała się, że czar może prysnąć, jeśli będzie zwracać uwagę na takie rzeczy. Jednak gdzieś tuż pod powierzchnią jej myśli pojawiło się coś jeszcze, coś bardziej niepokojącego.

- No cóż, w każdym razie dużo o niej czytałam - kontynuowała.

- Ja czytam tylko opasłe tomy - odparł. - Drzwi można nimi zablokować. Skończy się na tym, że zdobędę podwójny dyplom i zaliczą mnie do grupy najlepszych studentów. W grudniu będę miał dwadzieścia sześć lat.

- A co możesz robić po dyplomie z filozofii? Uczyć?

- Na razie nie zaprzętałem sobie tym głowy.

Z pokoju dobiegły odgłosy zamieszania - ktoś stłukł szklanę. Czekala na jego dalsze słowa, a Tyler najwyraźniej to zauważył, bo jakoś niechętnie odwrócił głowę.

- Nie sądzę, by starczyło mi cierpliwości, żeby kogoś uczyć - przyznał się.

Lily nie przestawała się uśmiechać. Znowu poczuła, jak ogarnia ją błogi spokój, który spłynął na nią niczym fala ciepła. Mogła oddychać teraz pełną piersią, a wewnętrzne napięcie nieco zelżało.

- No tak - westchnęła. - Oboje nie znosimy futbolu.

- Och, to nieprawda! - zawołał - Ja uwielbiam futbol. Kłamałem.

Było w nim coś niesamowicie nieegoistycznego, jakby myślał o wszystkich, tylko nie o sobie. Chciała jakoś odwzajemnić mu to zwracanie uwagi. W następnej chwili upewniła się, że

cała rzecz była produktem jej wyobraźni - przeciągnął ręką po włosach i odrzucił je w tył. W świetle padającym z okna zalśniły rudobrazowym blaskiem. Dopił zawartość swojej szklanki i rzucił spojrzenie w głąb pokoju.

- Przeszedłem tu z pewną dziewczyną. Wyszła na chwilę po dodatki do drinków.

- Też z kimś przyszłam - powiedziała Lily z nutką czułego rozdrażnienia w głosie. - Z panną Sheri Galatierre, współlokatorką.

- Sheri jest moją siostrą - oznajmił. Lily oniemiała.

- Nie wspominała ci, że ma starszego brata?

- Myślę... to znaczy, wydaje mi się, że musiała o tym mówić, ale sądziłam, że on jest gdzieś w Missisipi.

- Nie, jeśli mówiła o mnie, na pewno nie mogła mówić o Missisipi.

Lily czekała, co Tyler powie dalej.

- Mamy wspólną matkę. Jestem przyrodnim bratem Sheri. Zostałem z tatą. Sheri jest córką mojej matki z drugiego małżeństwa. Jej ojciec prowadzi salon sprzedaży samochodów.

- A twój?

Wbił wzrok w podłogę.

- Umarł przed dwoma laty.

- Boże, tak mi przykro.

- Cóż - westchnął. - A co powiesz o sobie?

- Och, moi rodzice żyją. Są rozwiedzeni, ale oboje żyją. - Po tych słowach pociągnęła solidny łyk z trzymanej w ręku puszkii.

- Mieszkają gdzieś niedaleko? - spytał.

- Mama w Point Royal. To około stu kilometrów stąd na północ.

- Też pochodzę z tamtych okolic. Mieszkaliśmy z ojcem w Steel Run. Wiesz, gdzie to jest?

Lily poczuła lekki dreszcz.

- Jasne, że wiem.

Do Steel Run jeździły z matką regularnie, bo co miesiąc odbywał się tam pchli targ. Często jadły lunch w maleńkiej kafejce przy bocznej ulicy. Prawie zająknęła się, pytając, czy zna to miejsce.

- Oczywiście. Pracowałem tam przez dwa lata jako barman.

- To musieliśmy się już kiedyś spotkać.

- Nie, zapamiętałbym - powiedział, uśmiechając się do niej i kładąc nacisk na ostatnie słowo. Było w tym coś delikatnego, jakby powierzał jej jakiś sekret.

- A więc, panie Galatierre - powiedziała. - Z kim pan przyszedł na tę imprezę?

- Harrison - odrzekł.

- Przepraszam?

- Harrison. To jest moje nazwisko. Ten gość od samochodów nazywa się Galatierre. Galatierre Ford and Mercury w Oksfordzie, w Missisipi.

- Och - wykrztusiła Lily. - O Boże, rzeczywiście.

- Nic się nie stało - uspokoił ją. Jego zęby były białe, drobne i równe; przypominały zęby dziecka. - Przyszedłem tu z partnerką, chociaż może powinienem powiedzieć - z przyjaciółką. Chciałbym się jeszcze z tobą zobaczyć. Czy... czy mogę zadzwonić?

- Jeśli chcesz. To znaczy tak. Tak, świetnie. Bardzo bym chciała.

Spojrzał w ciemne wnętrze pokoju.

- Ona mnie szuka. Muszę już iść.

Lily ruszyła za nim. Jego partnerką okazała się dziewczyna, z którą Lily zetknęła się w czasie zajęć z literatury - wysoka, ciemnowłosa, grubokoścista, z okrągłymi, błękitnymi oczami, wymawiająca nosowo samogłoski, w dodatku je przeciągając, co, jak zapewne przypuszczała, nadawało im bardzo szacowne brzmienie. Lily nie mogła sobie przypomnieć imienia dziewczyny, a kiedy Tyler przedstawił ją jako Deirdre, stało się jasne, że ona również nie pamięta imienia Lily. Przyznały wzajemnie, że już się przecież spotkały, po czym Lily odeszła, przekonana, że więcej nie ujrzy Tylera Harrisona. Widziała, że Deirdre wzięła go pod rękę i nie odstępowała przez cały czas, dopóki nie wyszli. Lily obserwowała ich z przeciwnego kąta pokoju i doszła do wniosku, że z pewnością się spotykają. Była wściekła na siebie, że choćby przez jedną krótką chwilę mogła pomyśleć, iż z tego wieczoru wyniknie coś wspaniałego. W końcu była to tylko impreza po meczu.

2

Do akademika Lily wróciła sama i zdążyła położyć się do łóżka, zanim pojawiła się Sheri, nietrzeźwa, potargana i w wymiętym ubraniu. Jak zwykle miała ochotę na pogaduszki. Lily podgrzała wodę na wspólnej kuchence elektrycznej i przygotowała mocną kawę, podczas gdy jej koleżanka zdołała ściągnąć z siebie ciuchy i wbić się w koszulę nocną w niebieskie

kwiatki. Lily patrzyła na powolne i niepewne ruchy Sheri - udało się jej wsadzić jedną rękę do rękawa, potem zastanowiła się przez chwilę i o mało nie straciła równowagi.

- Cholera - zakłęła pod nosem. Patrzyła na drugi rękaw takim wzrokiem, jakby zobaczyła tam instrukcję obsługi napisaną w jakimś obcym języku. Spróbowała włożyć w niego rękę i nagle usiadła na łóżku z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

- Wywaliłam się. W końcu się wywaliłam.

- Po prostu usiadłaś, skarbie - powiedziała Lily. Sheri wzbudzała w niej teraz prawie matczyne uczucia.

- Czy możesz to sobie wyobrazić? - To było ulubione powiedzonko Sheri. Używała go prawie zawsze i w każdej sprawie. Lily puszczała je mimo uszu albo odpowiadała. Sheri rozsadzał teraz nadmiar energii i musiała wyrzucić z siebie potok słów; nie wyglądała na kogoś, kto potrzebowałby spokoju i odpoczynku. Wspólne mieszkanie z nią wymagało nieco tolerancji - czasem przeszkadzała w skupieniu się na nauce - ale Lily ją lubiła. Czuła do Sheri pewnego rodzaju wdzięczność, wynikającą ze zmęczenia codziennymi sprawami, za odmianę, jaką wносиła w jej życie: za gadatliwość, energię i to, że nie przejmowała się drobiazgami. „Wiem, że kłapię jadaczką, a ty chcesz poczytać, ale po prostu musiałam komuś to powiedzieć”, mawiała zwykle, z wdziękiem przeciągając samogłoski. I gadała dalej, rozwodząc się nad ostatnimi ekscytującymi szczegółami swojego życia uczuciowego albo afrontami, jakie ją spotkały, nad czymkolwiek, co właśnie wzbudziło jej zainteresowanie, zdumienie albo uznanie.

Tym razem Sheri wydawała się podążać za jedną rzeczą, potem inną, aż wreszcie wyprostowała się i utkwiała spojrzenie w Lily.

- Musiałam za dużo zjeść!

- Musiałas za dużo wypić!

- Jak tam chcesz.

- Palilas coś?

- No jasne, jakieś grzybki.

- Na imprezie?

- To mieli je też na imprezie?

Nad ścianie nad łóżkiem Sheri wisiały proporczyki i transparenty ze średniej szkoły w Oksfordzie, w stanie Missisipi. Na tle tych żywych kolorów i kształtów wyglądała raczej nieciekawie i smutno, gdy tak siedziała w nieładzie z poszarzałą twarzą w koszuli nocnej w jaskrawe kwiaty, jak dojrzała kobieta, która sili się na wesołość i stara za wszelką cenę

wyglądać na młodszą. Oparła łokcie na kolanach, dłońmi podparła głowę i wpatrzyła się w przestrzeń pomiędzy własnymi stopami.

- Kręci mi się w głowie.

- To chyba normalne - powiedziała Lily. - Nie sądzisz? Sheri nieznacznie zmrużyła oczy.

- Byłaś kiedyś naprawdę pijana? Mam na myśli taki totalny odlot.

- Owszem.

- Słowo honoru?

Lily skinęła głową, ale wiedziała, że wypadło to mało przekonująco. Dziwne, ale czuła, że powinna dostarczyć jakiś wiarygodny dowód.

- Po prostu upiłam się, jasne? Byłam sama, zamknęłam się na cztery spusty i upodliłam na własny rachunek, z czystej ciekawości, bo chciałam zobaczyć, jak się będę po tym czuła. - Lily postawiła wiadro na śmieci obok Sheri.

- Co to jest?

- Tak na wszelki wypadek.

- Już to przerabiałam - poinformowała Sheri. Z przygnębioną miną zajrzała do wiadra, potem ostrożnie pochyliła się w przód, jakby na coś czekając.

- Wolałabym, żebyś mi tego nie sugerowała.

- Przepraszam.

Sheri przewróciła wiadro na bok i popatrzyła na Lily, nieznacznie przechyliwszy głowę.

- Zauważyłam, że coś tam się wydarzyło na tej imprezce. Coś romantycznego.

Lily podała jej kubek z kawą.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że to był twój brat?

- Nie wiem, kochanie, ale to mi może zaszkodzić na żołądek. Jak myślisz, może mi zaszkodzić? Nie czuję się całkiem normalnie. Zrobiłaś kawę?

- Tak, dla ciebie.

- Taak... to ekstra, złotko, ale to nie musi pomóc. - Sheri wzięła kubek i zajrzała podejrzliwie do środka, jakby szukała jakiegoś owada unoszącego się na powierzchni. Wreszcie podniosła go do ust i z głośnym siorbnięciem upiła mały łyk.

- Jest gorąca.

Lily odsunęła krzesło i usiadła.

- Mówiłaś mi kiedyś, że masz brata?

Sheri uniosła dwa palce, spojrzała na nie uważnie i wyciągnęła w stronę koleżanki.

- Dwa razy. Co najmniej. Mówiłam ci o tym dwa razy, rękę bym sobie dała uciąć.

- Ale nie powiedziałaś, że on jest tu, w Charlottesville. Sheri zamyśliła się głęboko.

- Powiedziałam - odezwała się po chwili.

- A co myślałaś na imprezie? Że ja go znam? Zmarszczki na czole Sheri jeszcze się pogłębiły.

- A, na imprezie? Nie... Właśnie miałam zamiar was zapoznać, ale ty podeszłaś i pocałowałaś go, więc pomyślałam, że może zanosi się na jakiś romans albo coś w tym rodzaju.

- Znowu spróbowała kawy. - Jeszcze za gorąca.

- Daj, to ochłodzę.

Lily wstała, odstawiła na miejsce krzesło, zabrała papierowy kubeczek i wyszła z pokoju. Przy końcu wąskiego korytarzyka stał dystrybutor z wodą. Nalała zimnej, a kiedy wróciła do pokoju, współlokatorka leżała przy łóżku, przyciskając do piersi transparent, który jeszcze przed chwilą wisiał na ścianie.

- Sheri...

- Przepraszam - powiedziała Sheri, wymachując transparentem. Usiadła i sięgnęła po kawę, którą postawiła na parapecie okiennym.

Lily dolała jej do kubka trochę zimnej wody, sama wypila resztę i wślizgnęła się do łóżka.

Sheri siedziała z kubkiem kawy w ręku i gapiała się na jego zawartość.

- Jestem pijana jak świnia.

- Napij się kawy. Już jest chłodniejsza.

- Ta Deirdre - była wściekła na niego jak diabli, gdy się o wszystkim dowiedziała.

Możesz to sobie wyobrazić? Pewnie jej nie całuje.

- Czy oni są razem?

Sheri chciała niecierpliwie machnąć ręką, w której akurat trzymała kubek, i wylała kilka kropli kawy.

- Czy myślisz, że oni są małżeństwem albo czymś takim?

- Mieszkają razem?

- Ależ skąd.

Chwilę później Sheri dodała:

- A myślałaś, że mieszkają?

- Nie, zareagowałam tylko na to, co powiedziałaś przedtem.

- A czemu to cię ciekawi?

- Po prostu podtrzymuję rozmowę - odparła Lily, przewróciła się na plecy i zamknęła oczy. Martwiło ją, że czuje się tak dziwnie strapiona i próbowała się z tego otrząsnąć.

Współlokatorka nie dawała jednak za wygraną.

- My z Tylerem właściwie nawet dobrze się nie znamy. Nigdy się nie spotkaliśmy, aż do czasu kiedy przyjechałam tutaj. Prawdę powiedziawszy, do tej pory zaledwie kilka razy powiedzieliśmy sobie „cześć” i to wszystko, naprawdę! Do całej tej sprawy było mi się trochę trudno... przyzwyczać.

Lily zdecydowała, że z pytaniami i opiniami zaczeka do rana - jeśli w ogóle o cokolwiek będzie pytać.

- Wiesz, ja o tym wiedziałam. - Sheri odezwała się ponownie.

Lily leżała bez słowa.

- Jedno ci powiem, pochodzę z naprawdę pieprzonej rodziny. Matka i ojciec mieli romans, kiedy ona jeszcze była żoną ojca Tylera. Ja byłam skutkiem tego związku. I ona uciekła od męża, gdy była w ciąży. Przez całe życie musiałam wysłuchiwać o jej drugim dziecku, które zostało gdzieś tam z pierwszym mężem. Ojciec pomógł jej kilka razy się dowiedzieć, co się dzieje z Tylerem. Prawdę mówiąc, wynajmował ludzi, żeby wszystko sprawdzili i zobaczyli, co on porabia. To była robota dla prawdziwych detektywów. Co kilka lat do naszego domu docierały zdjęcia: Tyler w pierwszej klasie szkoły średniej albo po skończeniu szkoły wyższej - tego typu rzeczy. Tylko po to, żeby mogła zobaczyć, jak wygląda jej dziecko. A kiedy umarł tata Tylera, napisała list. On właśnie wtedy zaczynał studia w tej szkole i, rzecz jasna, mnie zaraz też tu wysłali. - Sheri skończyła kawę, położyła się na plecach i oparła pusty kubek na brzuchu. - Mam odegrać rolę ambasadora dobrej woli. Ale ja nic nie wiem na temat Tylera. Nie wiem nawet, czy mnie lubi. Uważam jednak, że jest fajny.

- Dlaczego się nie kładziesz?

Sheri odstawiła kubek na półkę i wczołgała się na swoje łóżko, jęcząc przy tym z wysiłku.

- Czemu twoja mama zostawiła Tylera?

Sheri przekręciła się na plecy i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w sufit.

- Pomyśl tylko - westchnęła ciężko - była w ciąży. Z innym mężczyzną. Spróbuj sobie to wyobrazić. Intryga jak z opery mydlanej. Urodziłam się na rok przed latem miłości, a moi

rodzice najwyraźniej przeszli przez to wcześniej niż reszta obywateli. Lily nie odezwała się słowem.

- To by mogło być naprawdę super - doszła do wniosku Sheri. - Czy wy macie zamiar chodzić na randki albo coś w tym rodzaju?

- Nie bądź śmieszna - odparła Lily.

- Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że to świetny pomysł. A gdybyśmy tak zostały szwagierkami? Ciekawe, jak by o nas mówili. Przyrodnie szwagierki?

Lily nie odpowiedziała.

- Nie uważasz, że to byłoby super? Och, zapomniałam, że masz teraz uraz do romansów. Uznajesz tylko platoniczne więzi, najlepiej z mądralami takimi jak Dominik.

Lily puściła uwagę mimo uszu i po chwili koleżanka już leciutko pochrapywała. Słuchając jej oddechu, puściła na chwilę wodze fantazji: jak by to było, gdyby zaczęła się widywać się z Tylerem Harrisonem. Ten scenariusz absorbował ją tylko przez chwilę, bo zaraz wzięła się w garść i zaczęła koncentrować nad fragmentami tekstów, które musiała przeczytać.

3

Może to dziwne, że piszę do ciebie, tak jakbyś nie była martwa, ale znajdowała się gdzieś daleko, w innym mieście albo innym kraju. Bardzo bym chciała, żebyśmy mogły rzeczywiście porozmawiać, i przyznaję - kiedy to mówiłam, czułam, jakby powstał między nami pewien rodzaj komunikacji. Czy ci, co odeszli, mogą się w ogóle o nas nie troszczyć? Twój głos brzmi w książkach tak dźwięcznie, że nie mogę się oprzeć wrażeniu, że sama szepczesz mi coś prosto do ucha z powietrza, nie duch, lecz realna istota, jeśli tylko można ją oddzielić od świata wędrownych cieni. Nie myślę o tobie w ten sposób. Absolutnie. Ty nie jesteś przecież duchem, lecz duszą.

Przez tak długi czas pozostawałaś zniewolona. Musiało ci być ciężko, niezależnie od tego, w jak pogodny sposób o tym opowiadasz. Postanowiłam, że spróbuję poznać cię na tyle, żebym mogła sobie ciebie wyobrazić. Choć nigdy nie znalazłaś się w podobnej sytuacji, sądzę, że zrozumiałabyś, co czuję i czego doświadczam. Przebyłam tutaj tak długą drogę po to, żeby teraz zajmować się wyłącznie studiami. Naprawdę, prawie całe życie spędzam w tym pokoju. W większym towarzystwie czuję się obco i wiem, że i ty odnosiłaś podobne wrażenie. Pod moim oknem przechadzają się grupki ludzi. Albo pary. Z innych pokoi dobiegają dźwięki muzyki.

Wpatruję się w strony mojego skryptu, ale chyba nic nie wchodzi mi do głowy. Wszystko jest takie powierzchowne. Jem konserwy i piję mnóstwo kawy, żeby zachować przytomność umysłu i nie zasnąć. Tyle jest rzeczy, o które muszę się martwić, a tak naprawdę to chciałabym znaleźć własny sposób, żeby wyobrazić sobie siebie w twoich czasach i zobaczyć, jak wtedy wszystko wyglądało. Rozczarowanie, jakie czuję w związku z Tylerem Harrisonem, wynika z tego, że pieściłam w myślach jego obraz, a przecież uważam, że romans to kłamstwo. Wiem, że tobie też się to przytrafiło, że nosiłaś w sobie wspomnienie o kimś. Ale do rzeczy: zaczęłam pisać o tobie sztukę, chociaż przyznaję, idzie mi jak po grudzie. Nie mogę znaleźć wystarczająco dużo czasu na pisanie, a to sprawia, że bazgrzę byle co w pośpiechu. Zastanawiam się, czy zrezygnować ze zdawania egzaminów - nie mogę się skoncentrować, a w dodatku muszę jechać do domu na Święto Dziękczynienia i stanąć z nimi twarzą w twarz, znosić ich oddalenie i wzajemną uprzejmość; no i jego, razem z jego nową miłością i zupełnie nowym życiem. Czy słyszysz w moim głosie urazę? To boli. Mam zaledwie dwadzieścia lat, a ten ból nie mija. Zaczęłam myśleć o Tylerze Harrisonie w zupełnie abstrakcyjny sposób, jakby był moim snem na jawie, na który pozwalam sobie od czasu do czasu.

Powitanie kanibali

utwór sceniczny autorstwa Lily A. Austin

Ciemna scena. Pojedyncze punktowe światło, dobrze widoczne. Wchodzi mężczyzna, ubrany w strój typowy dla końca dziewiętnastego wieku. To Henry Guillemard. Niesie przed sobą plik dokumentów, podchodzi do krawędzi sceny i bacznie się czemuś przygląda. Spogląda na papiery, znowu szuka czegoś wzrokiem, wreszcie składa te dokumenty i chowa je do kieszeni. W końcu zniecierpliwiony opiera ręce na biodrach.

Guillemard

- Więc mam spróbować odtworzyć Afrykę Zachodnią w tak ograniczonej przestrzeni? Co więcej, oczekujecie, że w takim miejscu uda mi się wam pokazać ją tak, jak ona ją widziała?

Idzie w bok sceny, a potem kuli się, jakby chciał przekazać coś w tajemnicy.

- Ona była piękna. Właśnie taka myśl przychodziła zawsze do głowy na jej widok, nawet wtedy gdy była jeszcze niezgrabnym i pozbawionym wdzięku podlotkiem bez żadnego towarzyskiego obycia. Miała ładną twarz, choć nienadzwyczajnie piękną. Za to oczy... Coś się kryło w tych oczach.

4

Na tydzień przed Świętem Dziękczynienia Lily pojechała razem ze swoją grupą teatralną wynajętym autobusem do Nowego Jorku. W czasie jej nieobecności u Sheri rozwinął się ropień zęba trzonowego, w związku z czym znalazła się w szpitalu. Kiedy Lily wróciła w tamten poniedziałek, zastała w pokoju potworny bałagan, ale nie znalazła koleżanki. Dopiero pani Edgeworth, administratorka budynku, powiedziała, gdzie jest miss Galatierre, a w jej głosie pobrzmiwała nutka krytyki. Lily sprzątnęła pokój, a potem usiadła przy oknie i patrzyła, jak śnieg pada na kwadratowy trawnik i na budynki uniwersyteckie po przeciwnej stronie ulicy, ceglane z białymi fugami. Śnieg nie był gęsty, ale sypał równomiernie, a to sprawiło, że Lily ogarnęła tęsknota za domem. W środę miała wyjechać na Święto Dziękczynienia.

Z trudem dowlokła się do szpitala, żeby odwiedzić Sheri, która wcale nie wydawała się zaskoczona wizytą.

- Jestem chora jak diabli - powiedziała. - Ta cholerna infekcja zwała mnie z nóg. O mało się nie przekręciłam.

Lily usiadła przy jej łóżku. Było jej głupio, że nie przyniosła nic dla Sheri.

- Tyler wpadł do mnie dwa razy. Pytał, co porabiasz.

Lekki dreszcz, który przeszył Lily, trochę ją zaskoczył; odniosła nieprzyjemne wrażenie, że jej tajemnica została odkryta. Sheri wydawała się czytać w niej jak w otwartej książce.

- Według mnie to trochę dziwne, nie uważasz?

- Dlaczego? - spytała Lily - W końcu jestem twoją kumpelką i razem mieszkamy.

- Tak też sobie pomyślałam. - W głosie Sheri słychać było powątpiewanie.

- Kiedy stąd wychodzisz? - Lily zmieniła temat. - Chcesz pojechać ze mną na Święto Dziękczynienia?

- Nie wiem. To znaczy, nie sądzę, żeby mnie wypuścili wcześniej niż za tydzień. Tak to właśnie wygląda: wydaje ci się, że masz mały problem z zębem, a potem się dowiadujesz, że jesteś w stanie krytycznym.

- Przynieść ci coś do czytania?

- Mam tu telewizor. Wiesz co, Lily? Byłam już jedną nogą na tamtym świecie. Przez tą głównianą infekcję zaczęły się kłopoty z jakimiś narządami wewnętrznymi. Moje pieprzone narządy zostały zaatakowane. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę słuchać żadnych bzdur o układzie odpornościowym!

- Wyglądasz już nieźle - pocieszyła ją Lily. - Na pewno wszystko będzie dobrze.

Ale Sheri nie wyglądała dobrze. Lily zajrzała do niej we wtorek i jeszcze w środę rano, zanim pojechała na północ. Na policzki Sheri wróciły rumieńce, ale stało się jasne, że jej kariera w college'u znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Tyler nie pokazał się więcej. Sheri paplała coś na jego temat, ale tak naprawdę to niewiele o nim wiedziała. Tyler nawet się nie zainteresował, co dzieje się z jego matką, z ich matką, i Sheri poczuła się tym bardzo dotknięta.

- Och, był bardzo miły i w ogóle. Nawet kilka razy pośmialiśmy się z czegoś, ale wiesz, to tylko taki sposób, żeby sobie nawzajem podokuczać. Ale nie chciał rozmawiać o własnej matce. Robił dziwną minę i nerwowo reagował na każdą wzmiankę na ten temat.

- No cóż - odrzekła Lily. - W końcu go zostawiła.

- Ty chyba nim się interesujesz. Widzę to po oczach.

- Chryste! Czy możemy porozmawiać o czymś innym?!

- No dobrze, powiedz mi, co myślisz o Dominiku. Chcę powiedzieć, że on jest fajnym chłopakiem, i sądzę...

- Dominik i ja po prostu się przyjaźnimy - przerwała jej Lily.

- Nie możesz tak po prostu przyjaźnić się z facetem. To nie działa. Jeśli nie jesteś gejem, oczywiście. A może ty jesteś gejem, siostrzyczko?

- O Boże, możemy zejść z takich gównianych tematów? - zawołała Lily.

Szpitalna sala, z pomalowanymi na perłowy kolor ścianami i ciemnoniebieskimi zasłonami, tonęła w szarości. Na zewnątrz wietrzny dzień był tego samego koloru. Rozmowa z Sheri zakończyła się w ten sposób, że obie przez godzinę oglądały telewizję. W powietrzu wyczuwało się napięcie, bo Tyler w każdej chwili mógł pojawić się w drzwiach. Lily zauważyła, że Sheri często zerka w stronę wejścia, i wiedziała doskonale, że sama też czeka.

Ale nikt nie przyszedł.

- Daję słowo - odezwała się w końcu Sheri - można by pomyśleć, że umarłam i już nawet zdążyli mnie pochować.

- Przecież jestem tutaj - powiedziała Lily.

- Mój własny brat. Myślałam, że może w ten sposób lepiej się poznacie.

- Uważasz, że dlatego tu siedzę? - zdziwiła się Lily.

- Ciekawe, czyby go to zdenerwowało?

Żadna odpowiedź nie przyszła jej jednak do głowy.

- Przysięgam, ten chłopak jest niezłym dziwakiem. Lily doszła do wniosku, że lepiej zmienić temat.
- Będziesz się ubiegać o przesunięcie zaliczeń?
- Nie wiem. Nie chcę teraz o tym myśleć.
- Czy mogę ci jakoś w tym pomóc?
- Jesteś kochana - powiedziała Sheri. - Ale dzięki. Po prostu na razie czuję się wykończona. Kompletnie.

Rozdział 2

1

Święto Dziękczynienia Lily spędziła na spokojnym obiedzie u matki, razem z jej sąsiadem i dwiema przyjaciółkami z pobliskiego kościoła. Ojciec zadzwonił, żeby powiedzieć, że bardzo za nią tęskni. To był przykry moment. Lily nienawidziła poczucia wymuszonej serdeczności i obustronnej obłudy. Następnego dnia pojechała do Waszyngtonu, gdzie mieszkała w małym apartamencie przy Wisconsin Avenue razem ze swoją nową żoną. Macocha także miała na imię Lily, ale wszyscy mówili na nią Peggy, bo takie było jej drugie imię. Peggy wyjaśniła, że rodzice wołali na nią Lily Margaret, kiedy więc skończyła dwadzieścia jeden lat (Lily uprzytomniła sobie ze zgrozą, że zdarzyło się to zaledwie cztery lata temu), zaczęła używać krótszej formy. Miał to być jej akt sprzeciwu wobec snobizmu rodziców, pochodzących z Południa, którzy od dzieciństwa obracali się w najlepszych kręgach towarzyskich Nashville. To było ich powiedzenie, mówiła dalej Peggy, i oboje używali go bez cienia sarkazmu, ale również bez krzty zrozumienia, jak głupio to brzmi. Mówiła to z pewnym zakłopotaniem, jakby jej rodzice byli niegrzecznymi dziećmi, i rzucało się w oczy, że jest zdenerwowana. Lily nie mogła wręcz na nią patrzeć i cały czas łapała się na tym, że musi się pilnować, aby nie odwracać oczu. Peggy mówiła z lekkim niepołudniowym akcentem. Chodziła do szkoły w Chicago i jej angielszczyzna naznaczona była tym, co Lily określała jako banalną, szorstką mowę charakterystyczną dla Środkowego Zachodu.

Ojciec Lily oraz jego młoda żona zostali zatrudnieni przy nowej produkcji w Washington Theater - wznowieniu *Śmierci komiwojażera*.

Namówili ją, żeby pojechała obejrzeć tę sztukę, a potem wybrała się z nimi gdzieś na kolację. Przedstawienie nie wciągnęło Lily, w czasie spektaklu krążyła myślami gdzieś daleko, ale publiczności bardzo się podobało. Ojciec grał tytułową rolę Willy'ego Lomana, człowieka zmierzającego ku destrukcji. Lily siedziała razem z Peggy w czwartym rzędzie wypełnionej po brzegi widowni i musiała co chwila z uśmiechem kłaniać się różnym osobom z grona pracowników teatralnych: kolegom i przyjaciołom ojca, znajomym obojga rodziców, a teraz również znajomym Peggy. Peggy wciąż machała do kogoś, posyłała całusy, a nawet, zanim jeszcze kurtyna poszła w górę, dwukrotnie przeprosiła Lily, żeby z kimś zamienić parę słów.

Lily oglądała scenografię - namalowany na płótnie apartamentowiec, podziurawione ściany domu Willy'ego Lomana - i męczyła ją świadomość, że patrzy na spektakl od strony praktycznej. Zerknęła na innych widzów, kiedy akcja nabrała tempa. Scenografia była dziełem Peggy i Lily musiała przyznać, że się jej udało. W ostatnich kilku scenach obecni na widowni ocierali łzy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Według Lily młody aktor grający Biffa zbyt dawał się ponieść emocjom i w czasie scen z jego udziałem Peggy kręciła się niecierpliwie na krześle. W którymś momencie Lily nie wytrzymała. Pochyliła się w jej stronę i szepnęła:

- Czy on zgrywa Jamesa Deana?

Spojrzenie Peggy świadczyło jednak o tym, że nie zrozumiała, o co chodzi, więc Lily powróciła do obserwowania sąsiadów. Kiedy udało się jej wreszcie skupić uwagę na spektaklu, dostrzegła, że ojciec gra Willy'ego z pewną dozą profesjonalnej powściągliwości, jakby chciał dać obecnym do zrozumienia, że świetnie wie, skąd biorą się kłopoty bohatera, i że jego zadaniem jest tylko wyrażenie tego, co widzowie już przyjęli jako prawdę. Był to niemalże pokaz improwizacji: Scott nie grał Willy'ego tracącego rozum, jak mówił później, lecz jedynie gubiącego własną drogę.

Po przedstawieniu zabrał je do knajpki, gdzie spotykał się z Peggy, kiedy zaczęli się oboje angażować w ten związek. Wymówił lekko te słowa i natychmiast wydawało się, że chciałby je cofnąć, a przynajmniej złagodzić ze względu na Lily. Podniósł rękę do ust, jakby chciał wymazać to zdanie. Potem siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, nerwowo na przemian ściskając i rozluźniając dłonie. Lily wiedziała, że ich romans narodził się z przyjaźni i że nie przeczuwali, że tak się to skończy. Teraz, kiedy widziała, że ze względu na nią ojciec stara się zachowywać, jakby nic się nie zmieniło, czuła się co najmniej dziwnie

Gorączkowo szukała innego tematu, ale na myśl przychodziło jej tylko jedno: wyraźnie ostatnio schudł.

Można było przewidzieć, wiedząc, czym się Scott zajmuje, że jest człowiekiem, który dużo trudu wkłada w zachowanie dobrego wyglądu. Rzeczywiście, w talii nie miał nawet grama zbędnego tłuszczu, być może dlatego, że codziennie dwie godziny spędzał na bieżni. Włosy farbował na ciemnobrązowy kolor. Lily raz była świadkiem tych upiększających zabiegów i patrzyła wówczas na niego z żalem, jak na swoją starzejącą się własność. Teraz budziło to w niej wyłącznie irytację. Wydawał się tak komfortowo urządzony w swoim nowym życiu, jakby te lata spędzone z jej matką nigdy nie istniały.

W kąciu lewego oka Scotta pozostał ślad charakteryzacji, tak samo jak w dolnej części lewego ucha. Lily nie mogła przestać na niego patrzeć.

- Masz zamiar przygotowywać pracę dyplomową? - zapytał po chwili.

- Nie.

- Więc co? Praca? Może chcesz tutaj spróbować? Zastanowiła się przez moment, odwzajemniając jego spojrzenie.

- Ja w ogóle nie chcę być aktorką. Bieganie po scenie nie sprawia mi radości, no i prawdę powiedziawszy, wcale nie jestem w tym dobra.

Peggy delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Kochanie, cały czas masz na twarzy resztki makijażu.

- Boże, nigdy nie mogę się domyć do końca. Co czujesz, kiedy widzisz mnie starszego, niż jestem naprawdę?

- Och, przestań już - odpowiedziała Peggy.

- A co z twoim pisaniem? - zwrócił się do Lily.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że zachowuje się jak mruk, ale nic nie mogła na to poradzić. Pytanie było zbyt osobiste.

- No więc? - nie ustępował. Musiała jakoś zaspokoić jego ciekawość.

- Przez te cztery lata pisałam głównie prace do szkoły, w zasadzie nic więcej.

Siedzieli we trójkę w przytulnym kącie restauracji, a łagodna, romantyczna muzyka zdawała się sączyć ze ścian.

- No cóż, to też jest twórczość, prawda? - Po czym zwrócił się do Peggy: - Lily pisała wiersze w szkole średniej i nawet dostała kilka nagród.

- Ja też w szkole średniej pisałam wiersze - przyznała Peggy. Lily zerknęła na nią.

- Jak wszyscy, zgadza się?

Chciała, żeby ta uwaga zabrzmiała poufale, ale spostrzegła, że ta obca kobieta wzięła ją za objaw lekceważenia.

- Wydaje mi się, że spośród około czterystu dziewczyn chyba tylko ja pisałam wiersze - dodała szybko.

Peggy skinęła głową.

- Nie jestem poetką, to pewne. I to, co pisałam, nie było poezją, chociaż wtedy myślałam inaczej. Założę się jednak, że Scott miał rację i twoje utwory z pewnością były poezją.

Lily przekonała się, że ojciec opowiadał o niej i ucieszyła się, lecz i zdenerwowała.

- Ależ skąd - odrzekła ze śmiechem. - Moje dzieła to była czysta wariacja na temat nastolatki. Jak u wszystkich. Nie warto o tym wspominać.

Wróciła do domu w stanie lekkiej irytacji zmieszanej z zakłopotaniem. Matka powitała ją przy wejściu; wyglądała ociężale i starzej, niż wynikało to z jej metryki. Ubrana była w podomkę, a włosy upięła w szary węzeł. Najwidoczniej przestała je farbować. Na stoliku do kawy leżały najciekawsze gazety z minionego tygodnia i mnóstwo czasopism, z których żadne nie zostało jeszcze przeczytane ani nawet przejrane. Telewizor ryczał na cały regulator. Na otomanie stało pudełko chusteczek, szklanka soku pomarańczowego i jednorazowy talerzyk z niedojedzoną kanapką. Od czasu rozvodu Doris odpoczywała, snując się po domu, co bardzo denerwowało jej córkę. Lubiła mieszkać sama.

- No i jak ci się podobała ta miłość jego życia? - zapytała.

- Wiesz, Doris, chciałabym cię lepiej rozumieć.

Lily nazywała matkę po imieniu, jak siostrę lub przyjaciółkę.

- O rany, po prostu byłam ciekawa. Ona musi się niesamowicie zmieniać, kiedy idą do łóżka.

- Na litość boską! Doris zaczęła się śmiać.

- Kochanie, to są lata osiemdziesiąte - powiedziała.

Kochanie, to są lata osiemdziesiąte...

Tej nocy Lily śniła pół sen, pół jawę. Leżała na łóżku, w którym sypiała jako dziecko i później, kiedy już przestała nim być. Słyszała głos matki i czuła, jak balansując na krawędzi snu, odpływa gdzieś w stronę zamglonych postaci, które poruszały się w jej głowie. Sto lat temu, w roku 1888, Mary Kingsley miała dwadzieścia sześć lat. Lily leżała w łóżku pamiętającym jej dzieciństwo i myślała o dwudziestosześcioletniej dziewczynie, która mieszkała w domu podróżnika, naukowca, lekarza opiekującego się wysoko urodzonymi pacjentami, mającego skomplikowany charakter i interesującego się swoim jedynym dzieckiem płci pięknej tylko pod kątem jego przydatności do własnych celów

Nie, nie o dziewczynie - o kobiecie.

O kimś, kto w wieku dwudziestu sześciu lat mógł powiedzieć, że całe życie spędził, opiekując się niesprawną matką. Lily wyobraziła sobie Mary i zaczęła myśleć o jej dzieciństwie. W przyćmionym świecie snu dostrzegła szczupłą, wysoką dziewczynkę z włosami ciemnoblonde, zamkniętą w domu na Highgate.

Scena: Guillemard na środku, tak jak uprzednio. Wyjmuje plik papierów, czegoś w nich szuka. Wyjmuje kartkę z przygotowaną wcześniej przemową.

- Zaczniemy od roku, powiedzmy, 1874. Oto oni, wiosną tego właśnie roku. Mary i jej ojciec podróżnik, George Kingsley. Jest w domu już nieco ponad tydzień. Tym razem zostanie dłużej, całe dwa miesiące. Na pewno zauważycie, że ciągle stawia wielkie kroki; chodzi, odbijając się od ziemi jak sprężyna, co w niej wzbudza podziw, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. On jest człowiekiem, który nie cofa się przed niebezpieczeństwem, nie boi się wojny ani podróży w odległe i egzotyczne miejsca, nawet nie obawia się choroby - jego heroiczna odwaga w czasie epidemii cholery w północnej Walii w roku narodzin Mary do dziś stanowi temat rodzinnej opowieści. Wuj Charles opisał to w powieści, którą zdążyła już kilka razy przeczytać, chociaż ma dopiero dwanaście lat. Dla jej niezwyklego, śmiałego ojca rozmiary wyspy, na której leży jego rodzinny kraj, są stanowczo zbyt małe. Jest niespokojny, nawet w swym wygodnym domu, wśród zegarów z pozytywkami, książek, nad którymi Mary spędza tyle czasu, przedmiotów przywiezionych z różnych stron świata. Może dlatego, że jest tu też pokój chorej, a z niego wydobywa się zapach spirytusu kamforowego i soli trzeźwiących,

i spleśniała woń zamkniętych pomieszczeń. Widział już tyle rzeczy w odległym świecie. Kiedy zwraca ku niej wzrok, czuje, jak ją przewierca oczyma.

Od czasu do czasu Mary wierzy, że on czuje przerażenie na myśl o tym, co może się stać z jej młodym życiem, że odbiera to jako pewnego rodzaju ciężar. Rozumie, że musi go trzymać z daleka od tego, co uważa za nieprawość swojego charakteru, porywy niewypowiedzianych namiętności, tajemne pragnienia serca. Chroni go tak naturalnie, jakby stała przed nim, aby zasłonić go przed promieniami palącego słońca. Matka jest zbyt chora, żeby zająć się czymkolwiek; ciągle leży, toteż zadaniem Mary jest opiekowanie się nią. Nauczyła się zwracać baczną uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Ostatnimi czasy George spędza poranki, starając się przywrócić do życia projekt, który dawno zaniedbał, zanim jeszcze Mary się urodziła - powieść, której akcja rozgrywa się w czasach Karola II. Kiedy ma się dwóch braci, którzy za życia osiągnęli sławę dzięki pisaniu powieści, można poniekąd zacząć uważać tego typu pracę za coś w rodzaju obowiązku dżentelmena. Nie wydaje się, żeby był w pełni świadomy tego, co tu się dzieje, i to go irytuje. Mary zastanawia się, czy zaczyna go dręczyć potrzeba wyrwania się stąd, pragnienie bycia gdzie indziej.

Światło przygasa. Ciemność zapada na kilka chwil, po czym oczom widzów ukazuje się całkowicie zmieniona scena. Dróżka, wijąca się w niewielkiej odległości, okolona drzewami. Światło jak w późne wiosenne popołudnie. Po prawej stronie fasada domu Kingsleyów, ganek i mały ogródek z wysokim płotem. Mary i jej ojciec idą wolno ramię w ramię w kierunku dróżki, wreszcie się zatrzymują.

George:

- Wewnętrzny transport produktów przemiany materii w organizmie.

Mary:

- Lewa aorta, prawa aorta. Lewa komora, prawa komora. To zaczyna się tam.

George:

- A słowo?

Mary:

- Cyrkulacja.

George:

- To łatwe. A gdzie na kuli ziemskiej było miasto Tenochtitlan?

Mary:

- W Ameryce Południowej. Konkretnie w Peru.

George:

- Zdolna dziewczynka, bystra dziewczynka. Wszystko idzie łatwo. A teraz przetłumacz:

Die Fenster des Hauses gingen zur Strafs hinaus.

Mary:

- Okna... omu wychodziły na ulicę.

George:

- Okna dddd domu wychodziły na ulicę. Powtórz to. Cha, cha. Dom.

Mary:

- Dddom.

George:

- Mówisz jak twoja matka. Nie zaliczę ci tego, jeżeli nie powiesz prawidłowo. A teraz proszę, wytłumacz mi, co to jest brachistachrona.

Mary:

- To najkrótsza droga, jaką porusza się punkt A do punktu B pod wpływem siły ciężkości. Krzywa najszybszego spadku. Opisana przez Johanna Bernoulliego, jego brata Jakuba, Gottfrieda Leibniza i Isaaca Newtona.

Wracają na prawą stronę sceny. Teraz odcień światła zmienia się na złoty. Oboje patrzą na dom, potem on po chwili zastanowienia kładzie dłoń na klamce. Kiedy się odzywa, słychać w jego głosie nutkę zwątpienia.

George:

- Dzisiaj ona chyba czuje się trochę lepiej, zauważyłaś?

Mary:

- Nie, ojcze, chyba nie.

Wchodzą do domu. Na scenę wraca Guillemard, ubrany w pelerynę. W ręku ciągle trzyma papiery. Podnosi je, jakby chciał pokazać.

Guillemard:

- Po wschodniej stronie nieba wyłaniały się ośnieżone szczyty ogromnych gór, były miejscami sinoniebieskie, kiedy padały na nie promienie słońca. Równie dobrze mógłby obserwować je z tropikalnego lasu. Od kiedy Mary sięga pamięcią, jej matka miała do czynienia z chorobami - bez trudu przywołuje wspomnienie, jak siedzi na trawniku razem z wujkiem Henrym, od którego zawsze czuć było gin i którego wiecznie otaczały kłęby dymu z cygara, podczas gdy matka zajmuje się chorą rodziną mieszkającą po drugiej stronie ulicy, gotując jej

posiłki, piorąc przepecone ubrania i robiąc okłady, aby zmniejszyć gorączkę. Matka zawsze szła tam, gdzie byli chorzy, troszczyła się o cierpiących i pielęgnowała tych, którzy umierali. Mary dokładnie pamięta dzień, kiedy matka w końcu sama musiała położyć się do łóżka, i tak Mary została jej pielęgniarką, zanim jeszcze dorosła na tyle, żeby pojąć, że są inne formy relacji międzyludzkich. Nauczyła się zajmować wszystkimi członkami rodziny mieszkającymi pod wspólnym dachem. W dodatku udało się jej zachować własne przyzwyczajenia - rano gorące płatki zbożowe z jabłkami przyprawionymi cynamonem, kiedy tylko można było je kupić. I godziny spędzone na lekturze, studiowaniu dzieł pochodzących z niewiarygodnie obszernej biblioteki ojca: *Fizyki Słońca*, *Anatomii melancholii*, Darwina, Dickensa i na czytaniu wspaniałej książki, jej ulubionej, o rabunkach i rozbojach sławnych piratów. Tysiące książek podróżniczych i zapisków z wykładów, które ojciec prowadził dla wykształconych ludzi z towarzystwa, relacje badaczy Arktyki, Antarktyki, Amazonki, mórz południowych, Australii, Afryki. Listy i wspomnienia łowców przygód.

3

Sto lat, tylko sto lat...

Lily wyobraziła sobie siebie w tamtych czasach, jak pierwszy raz w życiu odwiedza Anglię i wędruje zalaną słońcem uliczką na przedmieściach Londynu.

Mogła o tym porozmawiać jedynie z Dominikiem, ale on był dobry do zabawy i raczej nie potrafił zrozumieć wątpliwości, jakie ją nękały. Lily czuła się podle, tworząc kolejne sceny jak dziecko, które udaje pisarza, chociaż prawdę mówiąc, cała ta historia zaczęła się w dzieciństwie. Traktowała pisanie jak objaw własnej słabości i miała nieodparte wrażenie, że wtrąca się w czyjeś sprawy, jak detektyw przeglądający akta i zapiski w poszukiwaniu jednego nazwiska - śladów życia, które zakończyło się tak tragicznie i tak wcześnie, w wieku trzydziestu siedmiu lat; życia, które przypominało rodzaj więzienia, z wyjątkiem ostatnich siedmiu lat...

Jak można stać się kimś tak zupełnie innym na siedem krótkich lat?

Wróciwszy do szkoły, Lily poświęciła się nauce, żeby skończyć pracę semestralną. Tak bardzo chciała mieć to już za sobą - znużyły ją wykłady, tłumy studentów, urywki jałowych dyskusji, które docierały do jej uszu, kiedy przechodziła przez główny plac kampusu, ludzie pochłonięci bez reszty swoimi sprawami, z plikami papierów i książek, zajęci ważnymi rze-

czami, które jeszcze pozostały do zrobienia. Do końca szkoły został już tylko jeden semestr i na myśl o tym Lily ogarniał popłoch. W bezsenne noce leżała, rozmyślając o zajęciach, na które jeszcze nawet nie zdążyła się zapisać. Zdecydowała, że jej pracą dyplomową będzie monolog Mary Kingsley albo cykl kilku scen o niej, albo nawet pełnowymiarowa sztuka. Czemuż by nie?

A co powiesz na to, że nie masz zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać?

- Zrobiły ci się sińce pod oczami - mówiła Sheri. - Za dużo pracujesz. Chodź, pójdziemy gdzieś położyć.

- W ogóle nie masz zamiaru uczyć się do egzaminu dyplomowego? - pytała Lily.

Sheri zaczęła płakać.

- I tak nie mam szans. Po co się okłamywać?

- Ale dotąd to robiłaś.

- Skarbie, na każdym semestrze zawieszali i odwieszali mnie w prawach studenta. Rzygać mi się chciało, kiedy musiałam przysiąc dobrze fałdów, a teraz to już naprawdę jest przegięcie.

Stała obok łóżka obwieszonego jaskrawymi plakietkami ze średniej szkoły w Oksfordzie i płakała, pozwalając, żeby łzy spływały po policzkach. Lily uderzyło, że ktoś mógł jej zazdrościć książek, gryzmołów i rzekomego talentu, choć wiedziała, że był to raczej talent do bycia samą niż do czegokolwiek innego.

Pojechała do matki na Boże Narodzenie z poczuciem narastającego niepokoju. Rankiem pierwszego dnia przyjechał ojciec z Peggy („Dziecinko, jesteśmy rodziną, są święta, a ja się już pogodziłam z sytuacją i chciałabym, żebyś się zachowywała najlepiej, jak potrafisz. Dobrze?"). Lily patrzyła, jak matka krząta się, starając, żeby wszystko przebiegło gładko. Było to irytujące, że złości aż bolało ją serce. Ojciec podarował jej chustę i nagrania piosenek Nata Kinga Cole'a, a Peggy kompakt Cheta Bakera. Najwyraźniej rozmawiali o jej fascynacji jazzem. Matka wydziergała dla niej sweter z szalikiem i także pomyślała o muzycznym upominku - kupiła zestaw płyt Elli Fitzgerald. Wszyscy chcieli się z nią zobaczyć, więc matka zaprosiła rodzinę - ciotki i wujków. Niektórych Lily nie widziała przez kilka lat. Pomyślała, że widocznie wszyscy się o nią martwili, postarała się więc uspokoić matkę i zachowywała się tak, jakby była beztroska i szczęśliwa.

4

Ponownie spotkała Tylera na początku wiosennego semestru, krótko po burzy śnieżnej, która nadeszła od strony gór i pokryła całe miasto lodem. Trwała cały dzień i noc, a potem zmieniła się w drobny deszcz, który natychmiast zamarzał, pokrywając wszystko lodową skorupą. Cały świat wyglądał tak, jakby ktoś zanurzył go w mlecznej polewie. A potem znów zaczął padać śnieg. Ludzie ślizgali się po warstwie świeżego śniegu, który tańczył w podmuchach wiatru na twardniejącej ziemi jak drobinki kurzu na powierzchni stołu. Sheri zrezygnowała ze szkoły i wróciła do domu, do Missisipi. Zadzwoiła stamtąd, żeby powiedzieć, że wychodzi za męża. Nigdy nic nie mówiła o tym młodym człowieku i nawet słówkiem nie wspomniała o jego istnieniu w czasach, kiedy mieszkały razem, ale Lily tak naprawdę nie poczuła się zaskoczona. W każdym razie spodziewała się, że nie zobaczy już więcej ani Sheri, ani jej przyrodniego brata.

Pewnego dnia, w najgorszym momencie tego drugiego ataku zimy, Lily, śpiesząc na zajęcia z improwizacji, upadła na chodnik tak niefortunnie, że dwaj starsi panowie musieli pomóc jej wstać i odprowadzili ją do ławki w pobliżu rogu budynku. Nagle z otaczającego ich ciasnym kręgiem tłumu gapiów wysunął się jakiś cień i Tyler Harrison pochylił się, żeby się przyjrzeć jej dokładnie.

- Lily, czy to ty? - zapytał.

- To pana znajoma? - zapytał jeden z mężczyzn, którzy pomogli Lily.

- Chodź. - Tyler schylił się i podał jej rękę.

Lily podziękowała nieznajomym za pomoc i wsparła się na jego ramieniu.

- Gdzie chcesz pójść? - spytał.

- Do Caball Hall - odpowiedziała.

Odprowadził ją do samego wejścia i kiedy dziękowała, zapytał:

- O której godzinie zaczynasz zajęcia?

- O drugiej trzydzieści. Spojrzał na zegarek.

- To za czterdzieści minut. Może wypiłabyś ze mną kawę?

Poszli chodnikiem aż do schodów z czerwonej cegły, które prowadziły na szerokie patio przed siedzibą Związku Studentów.

Przez środek dziedzińca ktoś wykopał dróżkę, ale była nierówna i zasypana śniegiem, tak że musieli podierać się nawzajem, by dotrzeć do drzwi. W kawiarence wybrali stół przy ścianie. Tyler odsunął dla niej krzesło i zapytał, jaką kawę zamówić.

- Czarną. - Lily lekko się uśmiechnęła. - Z dużą ilością śmietanki i cukru.

Patrzyła, jak kieruje się w stronę bufetu, żeby złożyć zamówienie. Kawiarenka była bardzo duża, ale tylko kilka osób odważyło się przyjść tutaj w taką pogodę. Ludzie siedzieli tu i ówdzie w małych grupkach, ale nie rozmawiali głośno. Niektórzy coś czytali. Ktoś włączył szafę grającą, ale za bardzo ściszył dźwięk. Ledwo było słychać muzykę.

Tyler wrócił z kawą i usiadł obok niej. Poczula zapach jego skórzanej kurtki, zmieszany z czymś jeszcze, o przyjemnym słodkim zapachu: talkiem, a może pianką do golenia. Obrócił się na krześle, kładąc jeden łokieć na oparciu, a drugi na stole i popijał drobnymi łykami kawę, obserwując jednocześnie salę.

- W samą porę się zjawileś - odezwała się Lily. - Popatrzyłam w górę i zobaczyłam, że to ty.

- Też się rano przewróciłem na schodach - powiedział. - Ale tam nie było ślisko. Po prostu myślałem o niebieskich migdałach i wywaliłem się jak ostatnia pokraka.

- Bardzo się potłukłeś?

- Trochę.

- Tak mi przykro.

Pokręcił głową, pociągnął łyk kawy, a potem obrócił się na krześle i oparł łokcie na stole, patrząc na nią z zastanowieniem, ale i z wyrazem lekkiego rozbawienia.

- Poczyniłem pewne spostrzeżenia, jeśli chodzi o dziewczęta - hmm, to znaczy kobiety, i zastanawiam się, czy też to zauważyłaś. Zacząłem odnosić wrażenie, że dziewczęta czują się odpowiedzialne za sprawy, z którymi w ogóle nie mają nic wspólnego. Na przykład gdzieś tam jest trzęsienie ziemi i wszystkie kobiety na świecie - a może tylko Amerykanki - uważają, że to ich wina. Co o tym myślisz?

- Nigdy nie dyskutuję na tematy socjologiczne przed zachodem słońca - odparła.

- No spójrz sama, spadłem jak kretyn ze schodów dzisiaj rano i kiedy siedem godzin później ci o tym opowiedziałem, wzięłaś to do siebie.

- To ty odebrałaś to w taki sposób - odrzekła. - Może kiedy mężczyzna spada ze schodów, zaczyna uważać, że jakaś kobieta musiała maczać w tym palce. Być może wszyscy jesteśmy podatni na taki rodzaj myślenia. Ale to znowu socjologia i nie chcę się w to zagłębiać.

- Cóż to za interesująca teoria - odparł z uśmiechem. Chwilę później dodał:

- Byłaś wspaniała jako Rozalinda. Pamiętam, że już to mówiłem. Po prostu nie mogłem od ciebie oczu oderwać. Nie sędzę, żeby komuś tak się udało ją zagrać.

Wyjaśniła mu, że wypowiedanie słów sztuki wypada tym bardziej naturalnie, im bardziej wczułeś się w rolę i że za każdym razem, kiedy wykonujesz ją na scenie, wydaje się, że przychodzi to coraz łatwiej. W dodatku to wcale nie jest męczące: za każdym razem dowiadujesz się coraz więcej o postaci. Najpierw zawsze jest premiera, a potem wiesz więcej i czujesz więcej za każdym razem, kiedy wychodzisz na scenę. A wygłaszane kwestie? Masz wrażenie, że te staroświeckie frazy są napisane jakby dla ciebie, że przychodzą tak łatwo jak oddychanie. I że wcale nie są już staroświeckie.

Rzucił na nią ukradkowe spojrzenie.

- Ten Szekspir... Niezły był, co?

- Z pewnością umiał pisać - przyznała ze śmiechem. - Myślę, że miał facet talent.

- Opowiedz mi o swoich zajęciach. Machnęła niecierpliwie ręką.

- No, naprawdę. Czy to są zajęcia z gry?

- Z improwizacji. Podają nam sytuację i każą to odegrać. Bez skryptu.

- Czyli po prostu zajęcia z życia. Może coś zagramy?

- W porządku - zgodziła się. - Ty zaczynasz.

To go zupełnie zaskoczyło. Niezdarnie próbował coś z siebie wydusić, aż w końcu obydwójce zaczęli się śmiać.

- Chyba byłoby lepiej, gdybym zaproponowała co innego - powiedziała.

Odstawił kubeczek z kawą i objął dłońmi. Lily nieoczekiwanie poczuła nieodpartą chęć, aby wyciągnąć rękę i dotknąć jego przegubu, i nagle, ku swojemu zaskoczeniu, zrobiła to. W tym geście był element zachwyty, jakby podziwiała cudowną krzywiznę wykutą przez artystę w kamieniu. Odwrócił się i spojrzał na nią z blaskiem w oczach.

- Cieszę się, że znów cię spotkałem - wyznał.

Siedzieli przy stoliku, patrząc sobie w oczy, a potem on opuścił wzrok. Z szafy grającej dobiegała piosenka zespołu Van Halen. Ktoś podkreślił dźwięk.

- Jak ci idzie pisanie? - zapytał podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć muzykę.

- Różnie.

- Pisziesz o Keatsie czy o Kingsley?

Fakt, że pamiętał takie szczegóły, sprawił, że Lily poczuła się niezwykle szczęśliwa.

- O Kingsley - odrzekła.
- Chciałbym umieć pisać.
- Skąd wiesz, że nie umiesz? Śmiejąc się, pokręcił głową.
- Nie, wydaje mi się, że już dokładnie ustaliliśmy, że nie nadaję się na pisarza.
- No cóż, może ja też.

Musieli teraz prawie krzyczeć, żeby się nawzajem słyszeć. Przez chwilę próbowali to robić, ubawieni absurdalnością sytuacji. Kiedy wreszcie wstali i wyszli z kawiarenki, zimno i cisza spowodowały mały szok. Znowu trzymali się pod rękę, przechodząc przez patio i kierując się w stronę Caball Hall. Przystanęli przed wejściem do budynku.

- Dostanę buziaka w policzek?

Lily z niepokojem szukała jakichś słów, żeby przedłużyć ten moment, jakiegoś pretekstu, dzięki któremu mogliby się znów spotkać. Pomyślała, że w zasadzie mogłaby urwać się z zajęć, ale powstrzymał ją jego bez troski ton.

- Innym razem - wykrztusiła.

- Posłuchaj - powiedział, a w jego oczach pojawiła się niepewność i napięcie. - Nie zadzwoniłem do ciebie, bo Sheri powiedziała, że sobie tego nie życzysz.

- Sheri... co?!

Położył ręce na ramionach Lily, przyciągnął ją do siebie i pocałował. To był długi pocałunek. A potem po prostu stali, mocno przytuleni.

Nie chciała się ruszać z jego objęć, ale inni zaczęli ich omijać, wchodząc do środka, i wreszcie odsunął się, lekko się przy tym poślizgnąwszy. Zaśmiał się, wyprostował i stał nieruchomo z rękoma w kieszeniach, a Lily patrzyła, jak obłoczek pary ulatuje z każdym jego oddechem.

- Może powinienem tu poczekać i odprowadzić cię do domu?
- Zobaczymy się? - spytała.
- Masz to jak w banku - odpowiedział.

Kiedy wyszła z zajęć, miała nadzieję, że będzie czekał, ale on poszedł.

Brnąc w śniegu, wróciła do domu, do ciszy swojego pokoju; usiadła przy oknie w świetle lampy i zaczęła rozmyślać o nim, błakającym się gdzieś tam w ciemności. Postanowiła, że spróbuje do niego zadzwonić. Wzięła więc z biurka książkę telefoniczną i zaczęła ją przeglądać w poszukiwaniu nazwiska. W wykazie figurował jakiś Harrison, ale przed nim widniała literka L. Adres też nie był adresem uniwersyteckim. Mimo to Lily wybrała numer. Wyczekała dwa sygnały, po czym odwiesiła słuchawkę. To był jakiś absurd. Co prawda pocałował ją, ale przypuszczalnie niewiele to dla niego znaczyło. Po prostu posiedzieli trochę w kawiarni Związku Studentów i pogadali, starając się być dla siebie mili. Lily spuściła żaluzję i zabrała się do studiowania zagadnienia roli monologu w teatrze i jego kontekstu społecznego. Musiała przecież przygotować się do egzaminów. Zacisnęła zęby i próbowała się skoncentrować, ale wszystko natychmiast wylatywało jej z głowy. Wyszła więc do przedpokoju, naląła do kubeczka wody z dystrybutora i wypila duszkiem, a potem poszła do głównego holu i zaczęła krążyć po schodach w górę i w dół. Opuszczony budynek wywierał przygnębiające wrażenie.

W końcu wróciła do pokoju, usiadła przy biurku i próbowała zacząć się uczyć, jednak co chwila gapiła się na posępny krajobraz za oknem w nadziei, że zobaczy znajomą sylwetkę wynurzającą się z mroku. Często, kiedy pozwalała sobie na chwilę marzeń, widziała siebie w wysokim domu na London Street i niemalże fizycznie czuła unoszący się w powietrzu dym z komina. Kiedy jeszcze była małą dziewczynką, ojciec czytał jej różne historie: *Piotrusia Pana* i Dr. Seussa, Laurę Ingalls Wilder i mnóstwo innych, a jego głos brzmiał łagodnie i uspokajająco. Wtedy wszyscy mieli nadzieję, ojciec i matka, wujkowie i kuzyni, że pewnego dnia ona wyruszy w świat i wycisnie na nim własne piętno. Nie, właściwie to były tylko przypuszczenia, że tak się stanie. Pomyślała o dniu swoich czternastych urodzin i nagle zatrzymała się, jakby dostrzegła pająka między kartkami książki. Od czasu do czasu to wspomnienie powodowało, że z przestachu ogarniała ją fala gorąca, jakby dokładnie w tym momencie uciekała z zamkniętej przestrzeni tamtego budynku.

Wargi miała suche jak pieprz. Stała, łapiąc powietrze krótkimi, spazmatycznymi haustami, aż wreszcie zorientowała się, jakie odgłosy przy tym wydaje, i zdołała się opanować.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, cicho krzyknęła. Spojrzała z przerażeniem na bałagan w pokoju i na własny, nieporządny strój. Szybko przeczesła palcami włosy i zawołała

„Chwileczkę!”. Wyjęła z szafy jakąś bluzkę, wbiła się w nią z pośpiechem i przejrzała się uważnie w lustro w przedpokoju, zanim otworzyła drzwi.

W świetle padającym z holu zobaczyła Dominika. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie okazać rozczarowania.

- Zobaczyłem światło w twoim oknie - powiedział. - Właśnie wracam do domu z całkowicie nieudanej randki.

- Świetnie, przynajmniej ty chodzisz na randki - odrzekła.

- Takie rzeczy się zdarzają - odparł. - Czasami trafi mi się jakaś zapaśniczka albo któraś z drużyny grającej w kręgle, w ostateczności ktoś z domu pogodnej starości, kto może się nade mną poużalać.

Przez chwilę gapił się na nią takim wzrokiem, jakby zobaczył jakieś egzotyczne zwierzę. Było to szczere, otwarte spojrzenie, które znała jeszcze z czasów szkoły średniej. Potem jednak na jego ustach pojawił się zwykły, znajomy uśmiech.

- Masz ochotę pójść ze mną na kawę?

- Chciałabym, serio - powiedziała. - Ale muszę się przez to wszystko przekopać.

Nerwowo przesunął dłonią po ufarbowanych na słomkowy blond włosach.

- A teraz ci powiem, jak ja to widzę. To jest moja wizja: zwyczajny mężczyzna z marzeń, jak w operze mydlanej dla płocetariatu, piękny jak wschodzące nad wzgórzami słońce - jak w *Fanfare* Coplanda - i ja, człowiek, z którym rozmawiasz we śnie, kiedy nadchodzi mężczyzna twoich marzeń. On daje mi w łeb i oboje odchodzą w siną dal.

Lily zaczęła się śmiać.

- Ładnie przerobiłeś moje marzenia.

- A jak masz zamiar spotkać mężczyznę swego życia, jeśli mnie tam nie będzie, żeby mógł mnie zbić?!

- Dom, naprawdę, może kiedy indziej - powiedziała.

- Nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby mnie złał.

- Wiesz, co miałam na myśli.

- W porządku - odparł i w geście pożegnania podniósł rękę do wyimaginowanego kapelusza. - I nie myśl, że nie poczułem się upokorzony.

- To nie tak - rzekła, śmiejąc się. - Pójdziemy później. Wejdz, Dom.

- Super. Mogę uznać, że to nie jest prawdziwe odrzucenie, ponieważ mnie nie bijesz, niczym nie rzucasz ani nie wrzeszczysz.

Pokręciła głową.

- Biedne maleństwo.

- Czuję, że coś tu się święci - rzekł. - Opowiedz mi. Lily oparła się o framugę drzwi.

- Ee, to tylko głupota.

Wydawał się zbity z pantafelku. Przygarbił się.

- Jezu przynajświętszy. Więc mężczyzna twojego życia już się zjawił.

Nie odezwała się słowem.

- Naprawdę? - dociekał.

- Dom, muszę iść się uczyć.

- Wiem, nie możesz już znieść mojego widoku!

- Przyjdź jutro - zaproponowała. - O wszystkim ci opowiem.

- Jesteś pewna, że to nie jest szczenięca miłość?

- Niczego nie jestem pewna. Już mówiłam, że to zwykła głupota. Zresztą porozmawiamy.

- Ale coś tam pojawiło się na horyzoncie. Znowu zaczęła się śmiać.

- Przystaniesz wreszcie?

- Boże! Czuję się jak idiota.

- Dobranoc, Dom - powiedziała śpiwnym tonem.

Wyszedł przez boczną bramę, kołysząc się na boki jak Chaplin.

6

Tyler nie dawał znaku życia, a Dominik bez przerwy się o niego dopytywał. Kiedy Lily zdradziła mu nazwisko, powiedział:

- Chyba znam tego chłopaka. Taak, ale wydawało mi się...

- Co ci się wydawało, Dom? - spytała Lily.

- Nic.

- Powiedz, proszę.

- No dobra, wydawało mi się, że on jest w jakiś sposób związany z kimś innym.

Mijały dni, potem tygodnie. Lód stopniał, znowu padał śnieg i częściowo znowu się stopił, na jezdniach zalegała rozmokła, brudnoszara maź, a przy krawężnikach leżały sterty zbitego śniegu, przez które Lily musiała przedzierać się, ilekroć chciała przejść na drugą stronę ulicy. Miała teraz mnóstwo zajęć w szkole. Spotykała się z Dominikiem i kilkorgiem

znajomych w barze naprzeciwko Rotundy, ale często chciała być sama, głównie dlatego, żeby nauczyć się trudnej sztuki koncentracji przed studiowaniem materiału. Książki, które czytała w związku z wykładami z literatury, składały się przeważnie z romansów i opisów dziejów sławnych kochanków. Z kolei teksty historyczne zawierały długi rejestr największych rzezi i migracji w historii ludzkości. Pewnego razu doszła do wniosku, że nie angażuje się w to emocjonalnie dzięki swojej zdolności chłodnego analizowania. Nie pozwalała sobie na żadną chwilę refleksji nad czymkolwiek innym niż kolejnym czekającym ją zadaniem. Ale prawda wyglądała w ten sposób, że pracując nad własną koncentracją, zapominała o Tylerze i nawet udawało się jej opanowywać powtarzające się od czasu do czasu ataki paniki. Lepiej spała, a przynajmniej regularnie kładła się do łóżka. Jej sny były niespokojne, pełne rozmaitych wątków, których nie potrafiła pojąć. Kochankowie z opowiadań, które czytała, albo łamali sobie nawzajem serca, albo też spełnienie miłosnych oczekiwań przekraczało ich najbardziej szalone nadzieje. Miłosna pieśń starożytnego poety. Śniła jej się także Mary Kingsley, jak na środku jakiejś afrykańskiej rzeki sprzecza się z kapitanem na temat wody przeciekającej do łodzi. Obudziła się z poczuciem psychicznej z nią bliskości i przez ten dzień nie opuszczała jej przyjemna świadomość, że ktoś się nią opiekuje. Ku radosnemu zaskoczeniu któregoś popołudnia odkryła, że przez cały dzień ani razu nie pomyślała o Tylerze.

Matka zadzwoniła, żeby dowiedzieć się, co u niej słychać, i zapytać, dlaczego w ogóle nie dzwoni do ojca. Lily obiecała, że zadzwoni, ale bez przerwy odsuwała ten moment, wiedząc, że każdy mijający dzień oznacza dodatkową porcję przykrości, którą będzie musiała znieść, kiedy wreszcie to zrobi. „Halo, tatuś? Co u ciebie słychać?”

„W porządku. Wspaniale, że zadzwoniłaś, córeczko. Sypiam z kimś zaledwie o kilka lat starszym od ciebie i w dodatku bezgranicznie podkopałem twoją wiarę w to, że świat jest godny zaufania, ale postaraj się nie zwracać na to uwagi, zgoda? Niech zawsze będzie tak jak wtedy, kiedy wierzyłaś, że dotrzymam wszystkich obietnic, jakie złożyłem tobie i twojej matce”.

Pewnego popołudnia gapiała się przez okno na parki spacerujące po pokrytej śniegiem ulicy i przez głowę przemknęła jej posępna myśl, że każda miłość kończy się separacją. To była gorzka myśl i marna pociecha, jak gdyby teraz doszła do przekonania, że potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Miała dla siebie cały pokój, przynajmniej na razie; książki i zapiski leżały na wolnym łóżku, ubranie było porzucane po wszystkich kątach. Myśli Lily płynęły leniwie, a głowa

zrobiła się przyjemnie ciężka od nadmiaru przeczytanych treści. Nie interesowała się żadnymi rozrywkami, a przyjaciele zaczęli Lily trochę dokuczać z powodu jej osobliwego, pełnego rezerwy zachowania.

7

Czy bałaś się bliskości? Czy przez cały czas prześladowało cię to samo przeczucie, że sprawy nie zmiierzają w dobrym kierunku? Że coś złego czai się po drugiej stronie każdej minuty życia? Dlaczego, kiedy wyglądam przez okno i widzę przepiękne, zielone zbocza gór, przychodzi mi na myśl morderczy mróz, kryjówki owadów i zwierzęta, które polują na siebie? Zapadła mi głęboko w pamięć scena, którą zobaczyłam w czasie pierwszych miesięcy tutaj - jak jastrzęb atakuje z góry gniazdo szpaków. One nie mogły zupełnie nic zrobić, żeby temu zapobiec. Obserwowałam to z przerażającą fascynacją i ściśniętym sercem, jakby jakaś moc urządziła ten spektakl specjalnie dla mnie, żeby pokazać, jak wygląda ten świat. Pokocham kiedyś. Pokocham i to będzie więcej niż zwyczajne zakochanie. Będzie o wiele mocniejsze i do głębi prawdziwe. Na razie zwalczam coś wewnątrz siebie, co chce temu zaprzeczyć, zaprzeczyć z całej siły. Coś, co mrozi każde radośniejsze uczucie i twierdzi z całą stanowczością, że to uczucie zostanie pokonane, przygniecione, wyrzucone precz ze swojego przytulnego gniazdka. To jest pewnego rodzaju duchowy artretyzm i zawsze staram się go zdusić, postępować tak, żeby go uciszyć. Wiem jednak, że to się bierze z mojej przeszłości; mimo tej świadomości czuję się zniechęcona, bo często nie udaje mi się całkowicie uniknąć negatywnych następstw takiego myślenia. Ludzie mówią, że powinnam grać, a ja odnoszę wrażenie, że całe moje życie jest nieustanną grą. Kiedy te wątpliwości mnie opadają, w pierwszym odruchu chcę stawić im czoło, przyjrzeć się dokładnie, udawać, że się ich nie obawiam, i całkowicie je zignorować. Ale one są cierpliwe - czekają.

Czasem pomaga mi, kiedy wyobrażam sobie ciebie w moim wieku, żyjącą w tamtych czasach, gdy społeczeństwo miało tak jasno określone wyobrażenie o roli i miejscu kobiety - i twój stalowy upór, żeby robić bez względu na okoliczności to, co sobie zamierzyłaś. Pomaga mi także pisanie tego małego dzienniczka, którego jesteś adresatką. Moja tajemna przyjaciółka, ukryta głęboko za kartkami pamiętnika, duch płonącego w mojej głowie światła - ty.

- Powinnaś trochę wychodzić - powiedział Dominik - ale najwyraźniej nie jestem odpowiednim mężczyzną, żeby cię do tego skłonić.

Odprowadził ją do domu po wykładach z literatury; właśnie stali w łukowato sklepionej bramie, niedaleko wejścia pod kolumnadę.

- Domyślam się, że to ja mógłbym zostać wylosowany, żeby cię gdzieś zaprosić, jeśli o to chodzi - mówił dalej, prawie na nią nie patrząc. - I nie próbowałbym się wymigać. To znaczy, jeśli by na mnie padło, byłbym skłonny się poświęcić. Och, już wiem. Boisz się, że zranisz moje uczucia, jeśli mnie potem odrzucisz.

- Muszę się uczyć, Dom. Nawet nie zająłam do sztuki, tej na wiosenny semestr. Jeśli zajmę się innymi rzeczami, coś na pewno wypadnie mi z planu. A swoją drogą, czemu ty się nie uczysz?

Uczył się. Oprócz tego zgłosił się na casting i dostał rolę Spodka w *Śnie nocy letniej*.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, to zostawisz robotę w spokoju i zgodzisz się zagrać ze mną w tej udziwnionej bajce o miłości, którą robi Willy.

- I skończę w szpitalu z objawami skrajnego wyczerpania. Już teraz śpię po dwie godziny na dobę.

- Prawie udało mi się cię zauroczyć. Widzę to po zdegustowanym wyrazie twojej uroczej twarzyczki.

Lily pocałowała go w policzek i odeszła. Naprawdę nie miała poczucia, że traci coś cennego. Dominik był obok jako jej przyjaciel, w nieskomplikowany sposób. Wyjaśniła, że jest na ostatnim roku college'u i nareszcie wziął to sobie do serca. Zaczęła się zastanawiać, czy po dyplomie poszukać jakiegoś sposobu, żeby pojechać do Londynu, gdzie mogłaby nareszcie napisać swoją sztukę.

- Jesteś chora z miłości i nawet tego nie widzisz - odezwał się Dominik.

- Idź już sobie - odparła Lily. - Jestem chora z nadmiaru pracy.

Matka Lily dzwoniła zwykle w niedzielę wieczorem. Od kilku tygodni nie rozmawiały na temat ojca, ale potem znowu zaczęły się pytania: czy Lily miała od niego jakieś wieści? Nie. A czy dzwoniła do niego? Nie.

- Czy nie uważasz, że byłoby ładnie z twojej strony, gdybyś do niego zadzwoniła?

- A dlaczego on nie zadzwoni do mnie?

- Mówił mi, że telefonował, ale w dzień nie odbierałaś, a nie chciał dzwonić w nocy, żeby cię nie budzić ani ci nie przeszkadzać.

- No cóż - odrzekła Lily. - Powiem ci, jak ja to odbieram.

- Gdyby to był jeden z twoich przyjaciół, zadałabyś sobie trud, żeby się do niego dodzwonić.

- I tu byś się zdziwiła. Zapytaj moich przyjaciół. Poza tym on nie jest przyjacielem.

- Właśnie. On jest twoim ojcem.

- W porządku - powiedziała Lily, czując, jak głos jej drży. - Zadzwoń.

- A teraz jesteś na mnie zła.

- Nie. - Lily usiadła i pochyliła się w przód, obejmując głowę rękoma i zakrywając dłońią oczy.

- Lily, chcesz mu zrobić przykrość, prawda?

Nie mogła zdobyć się na odpowiedź, tylko wzdychała raz po raz do słuchawki. Ze zdumieniem stwierdziła, że biorąc pod uwagę okoliczności, matka doszła do właściwego wniosku.

- Przestań się wściekać! Jeśli ja nie jestem zła, to dlaczego ty masz być?! W końcu to był mój mąż.

- Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat, Doris.

Rozmowy takie jak ta przygnębiały ją i sprawiały, że nie mogła się skoncentrować, więc po każdej z nich godzinami oglądała telewizję albo wychodziła i wałęsała się samotnie po uliczkach kampusu.

Rozdział 3

1

Pojechała do domu w czasie przerwy wiosennej. Kiedy jej matka domagała się, żeby wybrała się do miasta i odwiedziła ojca i Peggy, Lily stanowczo się sprzeciwiła.

- No, już! - ponagliła ją Doris. - Co masz zamiar zrobić, wyrzec się go czy co? W końcu to twój ojciec. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że będziesz zwracała taką uwagę na konwenanse.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odpowiedziała. - Potrzebuję trochę czasu. Jak myślisz, dasz radę zostawić mnie sam na sam z tym problemem? I jak sądzisz, czy wreszcie potrafiłabyś przestać udawać taką światową kobietę, dla której zawsze i wszystko jest w porządku?

Matka milczała. Po kilku minutach wstała i poszła do swojej sypialni. Lily patrzyła za nią - na jej okrągłą figurę, drobne stopy drepczące niezdarnie po wykładzinie na korytarzu. Niegdyśejsza tancerka, doprawdy trudno było w to uwierzyć. Był w niej jakiś brak równowagi psychicznej, coś dziwnego, co działało Lily na nerwy. Po chwili zeszła za nią na dół i zapukała do drzwi sypialni.

- Mamo? Cisza.

- Mamo, przepraszam. Proszę...

- Nie ma za co przepraszać - odezwała się wreszcie Doris. - Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc.

Lily czekała pod drzwiami, nasłuchując, ale dalej panowała cisza, a potem dobiegły ją odgłosy rozbierania się i przygotowań do snu. Doris zakasłała raz i drugi, a później Lily usłyszała, jak odkręciła w łazience wodę.

- Doris? - powiedziała, kiedy woda przestała lecieć. - Zrobić ci kawy?

- Kładę się już do łóżka, skarbie. Lily się nie ruszyła.

- Idź spać - usłyszała głos zza drzwi.

Nastąpiły dwa pełne napięcia dni, podczas których obie starannie unikały tematu małżeństwa i rozvodu, czy też w ogóle rozmowy o mężczyznach. Rozwiązywały razem krzyżówki i chodziły szperać w sklepach z używaną odzieżą i na pchlich targach w całej dolinie, a jedno popołudnie spędziły na malowaniu zabytkowych krzeseł w pokoju dziennym, na wyspie z rozesłanych gazet. Kiedy kończyły tę pracę, napięcie między nimi nieco opadło i

Doris zaczęła wspominać czasy, kiedy Lily była jeszcze mała i wymyślała dla rodziców krótkie przedstawienia.

- Pamiętasz? - mówiła. - Spędzałaś tyle czasu w tym teatrze, że aż się trochę denerwowałam z tego powodu. Wydaje mi się, że to cię wypaczyło. Jesteś takim milczkiem.

Chwilę później zapytała:

- Spotykasz się z kimś, skarbie?

- A ty?

- Nie bądź taka napastliwa.

- No dobrze, mam przyjaciela. Nazywa się Dominik.

- Czy on jest może kimś więcej niż przyjacielem?

- Jest po prostu przyjacielem. Wprawia mnie w dobry humor. Mówimy sobie nawzajem o różnych sprawach. Nie jestem nim zainteresowana w ten sposób, o który ci chodzi.

- I nie ma nikogo innego, kto by cię interesował w ten sposób?

- Doris, to zaczyna być śmieszne. Czego właściwie chciałyś się dowiedzieć?

- W porządku - odparła Doris. - Nie czuję się odpowiedzialna za to, co się z nami stało, ze mną i z twoim ojcem. Kochanie, nie mogę za to odpowiadać. Ale to była miłość. To, że się skończyła tak, jak się skończyła, nie znaczy, że nie była prawdziwa. Chciałabym, żebyś to pojęła.

- Czy sądzisz, że ja... - zaczęła Lily, ale nagle urwała. - O co właściwie się martwisz?

- Ten świat nie jest najlepszym przykładem porządku i symetrii, jak wiesz. Ludzie zakochują się trochę rzadziej, niż zaczynają się przyjaźnić.

Żadna z nich przez chwilę nie odezwała się słowem.

- Czy myślisz, że możesz przejść przez życie, kierując się samym tylko intelektem? - powiedziała w końcu Doris.

- Nie chcę, żeby rządziły mną porywy serca i poziom hormonów, a wydaje mi się, że to właśnie zdarzyło się tobie.

- Ach, więc w ten sposób mnie postrzegasz! A ojciec?

- Nie chciałabym snuć takich domysłów. Wolę zachować wnioski dla siebie.

- Więc tak oceniasz swojego ojca.

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała Lily. - Jedno z drugim się zająbia.

Upłynęła może minuta. Słychać było tylko szmer włosia pędzli przesuwanych po chropawym drewnie i szelest gazet, na których siedziały, ilekroć podnosiły się na chwilę z miejsca.

- Ze strony Dominika to jest więcej niż przyjaźń, prawda?

- Doris, proszę, daj spokój!

Po chwili lżejszym tonem dorzuciła:

- On cały czas żartuje na ten temat.

- Oni nigdy nie żartują na ten temat, nawet kiedy udają, że tak właśnie jest, kochanie.

2

Kiedy Lily powróciła do szkoły, największy stres powodowało u niej przygotowanie ostatniej pracy semestralnej i komplikacje z wysyłaniem zgłoszeń do różnych szkół wyższych. Zaczęła na serio zastanawiać się nad wzięciem na jakiś czas urlopu. Pewnego dnia wybrała się na przedstawienie, w którym grał Dominik, a po spektaklu wyszła z nim i kilkoma osobami z obsady. Rola Dominika była bez zarzutu, inni także grali nieźle, ale sztuka wydawała się nieco za długa. Z kolei Dominik uważał, że była to kompletna kłapa, a najgorzej wypadły sceny z jego udziałem. Wszyscy wałkowali zalety i wady przedstawienia, a chociaż Lily знаła je lepiej niż ktokolwiek z nich, czuła, że nic tu po niej. Dominik nie był dziś sobą; oparł się plecami o tył krzesła, a nogami nerwowo wybijał jakiś rytm; jednocześnie obgryzał skórki wokół paznokci i patrzył spode łba na każdego. Najwyraźniej coś nie dawało mu spokoju.

- Lepiej już pójde - odezwała się do niego Lily. - Mam masę roboty. Uważam, że byłeś wspaniały.

- Nie zalewaj.

- Zamknij się, Dominik - wtrącił któryś z kolegów; młody chłopak, który grał rolę Lyzandra. Lily nie miała pojęcia, kto to jest.

- Naprawdę byłeś dobry - dodała Lily.

- Hej, słuchajcie, właśnie zjechałem ze „wspaniałego” na „dobrego”! - Pokręcił głową. - Chyba nie będziemy sobie nawzajem prawić fałszywych komplementów, prawda?

- Myślę, że byłeś wspaniały. I dobry. A to, że nie będziemy się okłamywać, oznacza także, że powinniśmy sobie ufać, prawda?

- Nie ma określenia „dobry”, jeśli chodzi o Szekspira, Lily. No, dalej - albo poruszyś strunę odpowiednią do danej roli, albo prawdziwe emocje gdzieś ci umkną. To tak, jakbyś nie trafiała we właściwe klawisze fortepianu.

- A teraz kłóćmy się o to, że wybrałam takie, a nie inne słowa.

- Kto jest za tym, żeby Spodek wreszcie się zamknął? - zapytał ten, który grał Lyzandra.

- No cóż - rzekł Dominik do Lily. - W każdym razie dzięki, że przyszałaś.

Poczuła się zlekceważona. Zastanowiła się jednak, czy na pewno chce odejść, i skończyło się na tym, że została. Kiedy wychodzili całą grupą z knajpki, Dominik objął ją i zapytał, czy nie wybrałaby się jeszcze raz na przedstawienie.

- Wydaje mi się, że stać mnie na więcej - powiedział.

- Zawsze możesz poprawić to, co już zrobiłaś. Podniósł rękę.

- Nic już nie mów. Przyjmuję to jako „tak”.

Przytuliła go mocno, a potem pożegnała całe towarzystwo.

3

Tylera zobaczyła znowu pewnego ciepłego marcowego popołudnia, kiedy przechodziła przez kolumnadę. Stał w cieniu jednej z kolumn, ze splecionymi na piersiach rękami i słuchał wywodów jakiejś młodej dziewczyny. Lily pomyślała, że jeśli podejdzie do nich bliżej, będzie musiała się przedstawić, toteż natychmiast skrzyła w inną stronę, ale on zawołał ją po imieniu i kiedy się odwróciła, zobaczyła, że biegnie w jej kierunku.

- Cześć - powiedział. - Tak mi się zdawało, że to ty.

Szedł teraz obok niej. Chodnik był niemożliwie zatłoczony, a na ulicach panował duży ruch.

- Jadłaś już? - spytał. - Czy mogę zaprosić cię na lunch?

Lily zatrzymała się nagle i spojrzała na niego. Stali w plamie słońca i Tyler musiał osłaniać dłonią oczy.

- Nie chcę jeść w środku - powiedziała.

Tyler znał w pobliżu niezły bar sałatkowy, poszli więc właśnie tam. Kupił kanapki i dwie butelki mrożonej herbaty, a potem usiedli na wielkim placu naprzeciwko Rotundy, w cieniu wielkiego dębu - zjadali kanapki i rozmawiali o pięknej pogodzie, błękitnym niebie i ekscentrycznych ciuchach niektórych mijających ich studentów. Tyler opowiedział jej o jednym ze znanych mu profesorów, który podrywał studentki i miał zostać za to zwolniony.

- Nigdy się nie zdarzyło, żeby przepuścił jakiejś atrakcyjnej dziewczynie, która miała pecha do niego trafić.

- Co to znaczy według ciebie „atrakcyjna”? - odezwała się zaczepnie.

W odpowiedzi ugryzł olbrzymi kęs kanapki i zaraz potem podniósł ją wysoko, jakby była ona bardziej odpowiednim tematem do rozmowy.

- Miałem na myśli, no wiesz... no, że podobały mu się ładne dziewczyny.

- A znasz kogoś, komu podobają się brzydkie?

Żuł kanapkę, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że najchętniej wymigałby się od odpowiedzi. Wreszcie pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Pozwól, że zmienię temat naszej konwersacji, zanim popadnę w jeszcze większe tarapaty - powiedział.

- Hej! - zawołała Lily. - Może uważasz inaczej, ale ja naprawdę nie należę do osób, które starają się za wszelką cenę znaleźć jakiś powód, żeby się obrazić. Po prostu żartowałam. Nie trawię ludzi, którzy tylko czekają na okazję, żeby kogoś przyszpilić. To są małe, egoistyczne gierki i ja ich nie znoszę.

Skinął głową i znowu ugryzł kanapkę. Na ustach została mu resztką majonezu, toteż Lily wyciągnęła rękę i wytarła ten ślad własną serwetką. Zręcznym ruchem chwycił ją za nadgarstek i wsunął swoją dłoń w jej.

- O, do diabła - powiedziała Lily. - Co my właściwie robimy?

- Wiesz, że jesteś piękna?

- Nie jestem.

- Ależ tak.

Poczekala, aż uwolni jej rękę, a kiedy to zrobił, odłożyła własną kanapkę na przykrywkę z woskowanego papieru i zaczęła go całować. Całowała jego kark, ucho, wreszcie usta. Pachniały kanapką, ale i czymś jeszcze - cieniem zapachu tytoniu. Jego policzki były szorstkie - najwyraźniej nie ogolił się tego ranka. Kiedy skończyła i usiadła z powrotem na trawie, on pochylił się nad nią i przejął inicjatywę. Wreszcie oderwali się od siebie i zajęli się sprzątaniami bałaganu, jakiego narobili; kanapki leżały luzem na trawie, obok opakowań. Lily podniosła swoją, zawinęła w papier i zamknęła szczelnie torebkę.

- Tyler - odezwała się. - Co my teraz zrobimy? Siedział na trawie, obejmując ciasno kolana.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć. Ale ja... to mnie przeraża, Lily.

- Ach, tak - powiedziała po dłuższej chwili.

Zebrała pozostałości lunchu i wstała. On także wstał i nieznacznie przestępował z nogi na nogę, to patrząc na nią, to znów odwracając wzrok. Przeczesał ręką swoje gęste, brązowe włosy, które lśniły w prześwitujących przez gałęzie promieniach słońca.

- Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

- No cóż, wiesz, gdzie mieszkam. - Uśmiechnęła się. A teraz muszę już iść.

Ruszyła po trawie w kierunku chodnika, gdzie znajdował się kosz na śmieci. Obejrzała się jeszcze i zobaczyła, jak stał bez ruchu w cętkowanym cieniu dębu, może ze czterdzieści metrów od niej, a potem podniosła pokrywę i przytrzymała przez chwilę nad pojemnikiem resztki ich posiłku. Wreszcie nagłym ruchem otworzyła dłoń i upuściła je do środka, szeroko rozpościerając palce, jakby w ten sposób chciała najpełniej wyrazić własne uczucia. Owinięte resztki na wpół zjedzonych kanapek zniknęły we wnętrzu pojemnika. Wolno odłożyła na miejsce pokrywę, nieznacznie uniosła rękę, aby pomachać Tylerowi, a potem po prostu odwróciła się i odeszła.

4

W wolne od wykładów dni i weekendy zaczęła odwiedzać wyższe szkoły w obu Karolinach i w Tennessee, bo dotarły do niej informacje, że została przyjęta na kurs sztuki aktorskiej czterech uczelni: uniwersytetów w Karolinie Północnej i Południowej, Duke i na uniwersytetach w Knoxville, w Tennessee. To były odpowiedzi na podania, które wysłała wczesną jesienią, i teraz, ponieważ tak było przyjęte, napisała do każdej ze szkół list, że wkrótce podejmie decyzję. Prawda wyglądała jednak tak, że nie potrafiła zmusić się do pomyślenia, z którą z nich chciałaby się związać. Ogarniał ją jakiś wewnętrzny bezwład i coraz większa, trudna do określenia apatia.

Na początku maja, tuż przed uroczystością wręczenia dyplomów, zadzwoniła z Oksfordu w Missisipi Sheri z wiadomością, że się rozwodzi.

Lily pomyślała, że Sheri żartuje, o czym nie omieszkała powiedzieć.

- Czy to naprawdę zabrzmiało jak żart? - odpowiedziała Sheri bezbarwnym tonem, pociągając nosem, a jej głos przerywały zakłócenia spowodowane dużą odległością. - Cholera, przepraszam - dodała. - Na pewno nie potrzebujesz, żebym ci tu jęczała.

- Na pewno to byłoby mi przykro, gdybyś nie zadzwoniła z czymś takim - odparła Lily.

Po drugiej stronie odezwało się łkanie i upłynęła dłuższa chwila, zanim Sheri zdołała się pozbierać.

- Myślę, że każdy z tych pieprzonych sukinsynów jest zdrowo jebnięty. To znaczy, chodziłam z tym draniem z przerwami przez pięć lat. I któregoś wieczoru on wraca mi do domu urżnięty jak świnia i chce, żebym oglądała z nim jakieś pieprzone porno. Mieliśmy jechać do jego rodziców na kolację, a on przychodzi naprany i do tego z tym filmem! Mieszkamy u moich staruszków i, na litość boską, myślałam, że on jest tak blisko z nimi związany...

- A czy twoi rodzice wiedzą o tym - no, o tej kasecie z pornosem?

- Do diabła, ojciec cały czas z nim pije! To nie chodzi tylko o ten pieprzony film, tak jest ze wszystkim! Ojciec zaproponował mu cholerną pracę. Wiesz, chciał być dobrym teściem i tak dalej... A rodzice Nicka już na weselu traktowali nas jak gówno. Dwoje naprawdę pokreconych ludzi, prosto jak z obrazu Granta Wooda. Wiesz, o którym mówię? Zaczynam powoli myśleć, że mogłybyśmy się gdzieś razem wyprowadzić - ty i ja - bo ty nic nie robisz po dyplomie, prawda?

Lily zaskoczyła własna odpowiedź.

- Prawdę mówiąc, nic nie planuję.

- To dlaczego tu nie przyjedziesz i przynajmniej mnie nie odwiedzisz? Tu jest całkiem niezły teatr amatorski.

Przez kilka następnych minut omawiały różne warianty wizyty: Sheri miała zabrać ją na wycieczkę po delcie, a potem wybrałyby się do Nowego Orleanu, gdzie mieszkało kilkoro przyjaciół Sheri. Tak spędziłyby lipiec, przez cały miesiąc używając życia i nie przejmując się kłopotami spowodowanymi przez płęć przeciwną.

Sama rozmowa sprawiła, że dla Lily pomysł wyjazdu wydawał się bliski realizacji. To była przyjemna myśl. Lily cieszyła się nią, czując, jak w duszy wszystko ożywa, i słuchała, jak przyjaciółka opowiada o cieplej pogodzie i zatoce.

Kiedy odwiesiła słuchawkę i spojrzała przez okno na rozległą, zieloną połąć trawnika, na ludzi, którzy spędzali tam czas - dwóch mężczyzn rzucających frisbee, jakąś opalającą się na kocu parkę, dziewczynę uprawiającą jogging w opasce na głowie i z walkmanem - nagle poczuła, jak ogarnia ją przerażający chłód. Przeczesał jej wnętrze jak podmuch lodowatego wichru. Coś w jej umyśle zdawało się zapadać. Rozejrzała się po pokoju zasłanym książkami i zaczęła ustawiać wszystko na swoim miejscu, pomimo narastającego, dławiącego uczucia wyczerpania i pustki. To nie była panika, lecz niezmierna obojętność wobec śmierci.

Śmiertelny chłód w jej piersi nie zelżał ani trochę i w końcu Lily położyła się na łóżku. Odsunęła na bok myśli o opuszczeniu tego miejsca i wtedy zrozumiała, czym stało się jej życie. Powtarzanie zajęć, studia, ciągła praca, samotność stały się nie do zniesienia, a tak spędzała przecież większość czasu, większą część roku. Jak mogła nie dostrzec rutyny, w którą popadła - nie, wszystko wypracowane, starannie i skrupulatnie zaplanowane - naprawdę była to ucieczka, chowanie się do skorupy tak twardej, że nawet dwa epizody z Tylerem nie były niczym więcej, jak wychyleniem się tonącego na powierzchnię w celu zaczerpnięcia oddechu. I teraz, zrozumiałwszy wszystko, nie miała nawet do kogo zadzwonić, nie miała nikogo, z kim rozmowa by ją uspokoiła. Dom.

To słowo nie miało już znaczenia. Postrzegala siebie jak żeglarza, który na dobre odbił od brzegu. Marna to była podróż, uświadomiła sobie, i to na pewno przyczyniło się do narastania apatii. To nie była Afryka Zachodnia ani grupa nieznanych wysp na dalekich morzach. To nie była nawet Zatoka Meksykańska. To była jej maleńka, chroniona egzystencja w akademiku college'u, którą obawiała się utracić. Nie mogła otrząsnąć się z przeczucia nadchodzącej katastrofy, która zdawała się zagrażać każdej dziedzinie jej życia.

Wieczne niebo poczerwieniało, a na niebie pojawiły się ogniste nitki ciągnące się zza długich chmur aż po krawędzie wzgórz widoczne ponad placem. Pomimo narastającej desperacji opuściła pokój i wyszła w chłodny wiosenny zmierzch. W małym pubie naprzeciwko Rotundy zauważyła kilka znajomych twarzy, ale wszyscy przyszli tu parami, więc usiadła przy barze i zamówiła colę. Nikt poza nią nie był sam, nawet barman flirtował z kelnerką. Lily piła coca-colę i obserwowała ich. Nie zadała sobie nawet trudu, aby zapytać Tylera, gdzie mieszka. Zła była na siebie, że siedzi sama i rozmyśla o nim. Dopła szybko colę, zapłaciła i wyszła. Robiło się coraz ciemniej. Lily wędrowała ulicami, oglądając wystawy sklepów. W następnym barze zamówiła whisky, a kiedy barman poprosił ją o legitymację, oboje żartowali z tego przez chwilę. Miała prawo zamawiać drinki od niespełna roku. W końcu zmieniła zdanie i poprosiła o wodę sodową, ale kiedy przyniósł jej pełną szklanekę, nie mogła dopić jej do końca. Wyszła więc z baru i powędrowała z powrotem w kierunku akademika, a z różnych stron dobiegały ją dźwięki muzyki, strzępy rozmów i wybuchy śmiechu.

Scena: podniesiona kurtyna, na środku sceny Mary Kingsley, dwunastoletnia dziewczynka. Pada na nią światło. Pisze. Kiedy pisze, słyszymy jej głos, ale jest to głos dorosłej kobiety.

Mary

- Zawsze było dużo śmiechu, kiedy w pobliżu pojawiał się wujek Henry. Wujek Henry nigdy się nie zapowiadał, tylko wchodził prosto do pokoju, jakby był zupełnie pewien, że ludzie, do których przyjechał, na pewno zajmują się czymś godnym, nie obgadują nikogo ani nie robią czegoś, czego nie mogliby robić w jego obecności. A jego obecność była dla wszystkich radością, bo zawsze opowiadał ciekawe historie, lubił układać rymowanki i znajdował czas, żeby mi poczytać Browningsa albo Dickensa, kiedy udawało mi się nakłonić mamę, żeby odpoczęła. Gdy tata był w domu, we dwóch rozmawiali aż do świtu, a ja uwielbiałam leżeć i słuchać brzmienia ich głosów.

Podnosi wzrok, wstaje i idzie wolno w poprzek sceny, z rękoma splecionymi z tyłu, a jej głos rozlega się w górze i za nami.

- Ile miałam wtedy lat? Sześć, może siedem. Bardzo niedużo. Zapach tytoniu sprawiał mi przyjemność, tak samo zresztą jak wrażenie, że dzięki ich głosom mogę przenieść się w dalekie strony. Ojciec mówił o tej części rodziny, z którą nie rozmawiał - o wuju Charlesie, jego arystokratycznej żonie i ich wyniosłej próżności. Istniało między nimi jakieś napięcie, coś, co ich poróżniło, ale byłam za mała, żeby wyrobić sobie pogląd na ten temat. Lubiłam, kiedy matka zamykała żaluzje w oknach wychodzących na ogród za domem; lubiłam uczucie, które ogarniało mnie, kiedy chłodny mrok skradał się przez pokoje. Tak właśnie wyglądało Highgate. Ojciec przeprowadził się tutaj z rodziną, kiedy byłam niemowlęciem. Charley urodził się już w tym domu, w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, kiedy kończyłam cztery lata. To było przygnębiające miejsce. Dzwon w kościele baptystów odzywał się okresowo, mierząc upływ czasu. Straciłam poczucie minut czy godzin. Mijały dni, tygodnie i miesiące, kiedy tylko odwracałam kartki książek i oglądałam obrazki, czekając na wieści ze świata, z odległych miejsc...

6

Lily leżała bez ruchu na łóżku w swoim pokoju i patrzyła, jak ciemność rozjaśnia się, kiedy do wnętrza wpada snop światła reflektorów nadjeżdżających samochodów, i gęstnieje, kiedy on znika. Numer telefonu Sheri zapisała na kawałku papieru. W końcu wstała, zamknęła okno i zaczęła się przebierać. Usilnie pragnęła poczuć cokolwiek, zniosłaby nawet atak paniki, ale nie mogła dłużej zmagać się z wszechogarniającą negacją - ona była jak straszliwa burza, jak ściana oślepiającego wiatru i Lily czuła, że musi wydostać się z jej objęć. Całe to czytanie, studiowanie, harmonia spędzonych na nauce godzin, nabijanie sobie głowy szczegółami, jakby wszystko mogło być jej przydatne - okazywało się teraz niczym. Zostało anulowane. Dotarła do martwego punktu i nie mogła zrozumieć, dlaczego to musiało przytrafić się właśnie teraz, kiedy zajęcia zmierzały ku końcowi i wszystko znakomicie się udało. Nie jestem przecież zakochana. Cholerne romanse. Niech to diabli wezmą! - myślała. Włożyła skrawek papieru z numerem Sheri do torebki, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

I zobaczyła Dominika.

Jeszcze nigdy nie była nikomu tak wdzięczna, więc o mały włos nie wpadła prosto w jego objęcia. W następnej sekundzie pomyślała jednak, jak nieładnie z jej strony byłoby obarczać go własnymi nastrojami. Właśnie jego, przyjaciela poznanego w dniu, który okazał się ostatnim dniem jej dzieciństwa.

- Czy to nie byłoby fajnie, gdyby ktoś odciął kciuki Siskelowi i Ebertowi? - powiedział. - Mogliby potem pokazywać kikuty zamiast palców.

W odpowiedzi Lily roześmiała się, ale jej śmiech brzmiał jak bezradny, histeryczny spazm.

- Hej, dziewczynko! - zawołał, chwytając jej rękę. - Co jest?

- Nic. Właściwie nic.

Minęła go, ale poszedł za nią, trzymając się nieco z tyłu. Wreszcie, pochyliwszy się w jej stronę, powiedział:

- Lily, no, stój! No, już - to przecież ja. Co jest? Coś się stało?

Zatrzymała się, położyła dłoń na jego piersi, ale zaraz ją cofnęła.

- Po prostu mam trochę siebie dosyć, Dom. Możesz mi wierzyć, nie jestem dziś atrakcyjnym towarzystwem.

Razem zeszli po schodach i wyszli na plac. Nie miała pojęcia, dokąd właściwie ma zamiar pójść.

- Posłuchaj - powiedział. - Mam dla ciebie rewelacyjne wieści o Franku Caprze. Pamiętasz tę scenę w *Cudownym życiu*, kiedy anioł spełnia życzenie George'a Bailey'a i sprawia, że wszystko dzieje się tak, jakby on się w ogóle nie urodził? A on goni w śniegu, ale to wcale nie jest Bedford Falls, tylko Poterville? I ta miejscina, i cały świat są jednym wielkim bajzłem, dokładnie, ponieważ George się nigdy nie urodził. A on biegnie dalej przez ten śnieg, w tym bajzlu, i tylko z knajp po obu stronach ulicy dobiegają dźwięki jazzu. W dodatku wielkiego jazzu. A ludziom ta muzyka przypomina dawne dobre czasy. Jazz. Wspaniała, pełna życia amerykańska muzyka. Nocne kluby. Zabawa. Pomyśl o tym, z punktu widzenia Capry to jest właśnie piekło. Co o tym sądzisz? Gdyby sam nie był zarozumialcem, toby nie hołubił zarozumialców, prawda? To najbardziej niesamowity film, jaki kiedykolwiek powstał, a cały kraj jest pełen nadętych głupków.

To był jeden z wypróbowanych wcześniej sposobów, żeby odwrócić jej uwagę. Lily znowu się zatrzymała.

- Nie poszłam drugi raz, żeby obejrzeć twoje przedstawienie. A tak właściwie, to gdzie byłeś? Nigdzie cię nie widziałam od tamtego wieczoru.

- Grałem - odparł. - Poza tym musiałem się zajmować swoją bliską załamania rzeczywistością. Już wiem. Dlaczego nie wyznaczyłaś mnie oficjalnie na swojego pocieszyciela? Moglibyśmy się załapać do któregoś talk-show. Już widzę ten napis na ekranie: On słucha jej zwierzeń, ale nie może liczyć na jej miłość... Albo coś w tym rodzaju.

Posłała mu uśmiech, ale szła dalej.

- Dokąd właściwie idziemy?

Zatrzymała się na rogu ulicy, gdzie panował duży ruch. Dominik stanął obok, z rękoma w kieszeniach dżinsów i gwizdał. Kiedy spojrzała na niego kątem oka, udał, że wcale na nią nie patrzył.

- Dom - powiedziała. - Boże, przepraszam, naprawdę dziś nie nadaję się do towarzyskich spotkań.

- No nie, nie przepraszaj. Nie spodziewałem się towarzyskiego spotkania na tym rogu, zresztą jest tu bardzo przestronnie. - Odwrócił się do niej plecami i znów zaczął pogwizdywać, a potem nagle przestał i spojrzał na nią uważnie. - Czemu mi nie opowiesz, jak tam twoja sztuka o Mary Kingsley? Pracujesz nad nią cały czas?

- Nie bardzo.

- Hmm, utknęłaś... Ja zresztą też. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ty coś piszesz?

- Powieść? - powiedział pytająco, niepewnym tonem, jakby nie oczekiwał, że ona mu uwierzy. - Piszę o chłopaku, który chodzi za dziewczyną i pozwala, żeby mu okazywała, jak bardzo on ją wnerwia.

Przeszli przez jezdnię i szli dalej, w stronę Rotundy. Od tego miejsca aż do Rotundy po obu stronach ulicy aż gęsto było od knajpek i kafejek. Odruchowo skierowali się do Mexico Cafe, nie uzgadniając tego wcześniej. Kelnerka, znajoma Dominika, wskazała im stół. Dominik zamówił burrito, a Lily sałatkę. Jedli w ciszy. Jakoś przypadkiem Lily pomyślała, że ktoś ciężko pracuje i ma nadzieję, że spotka się z szacunkiem i poważaniem, a tu okazuje się, że samo poważanie nie dodaje otuchy, że jest zbyt mdłe. Dominik zapalił papierosa. Jego gładkie ręce drżały.

- Dom - odezwała się wreszcie Lily. - Naprawdę byłeś znakomity na scenie.

- Eee, zapytaj o to kogokolwiek.

- No cóż, taka jest prawda. I w dodatku jesteś takim dobrym przyjacielem.

- O psiakość, chcesz zamącić mi w głowie!

- Naprawdę tak uważam.

- W porządku. - Po raz pierwszy zobaczyła, że jest poważny. Wypuścił kłęb dymu na sufit i oparł się o tył krzesła. Wydawał się nieco roztrzęsiony, emanowała z niego pełna nerwowości energia. Lewa noga podskakiwała rytmicznie, w górę i w dół, jakby coś nią pompował, a palcami stukał o blat stołu.

- Idziesz do szkoły podyplomowej?

- Przestałem chodzić na zajęcia mniej więcej miesiąc temu.

Dominik wybrał jako przedmioty główne historię i dramaturgię, i w obu tych dziedzinach był niezły. Często pokazywał jej swoje referaty, opatrzone ocenami - był z nich niezwykle dumny.

- Na litość boską! - zawołała Lily. - Dlaczego?! Zaciągnął się dymem z papierosa.

- Bo cała sprawa zaczęła wyglądać raczej... no, jest takie słowo w naszym pięknym języku. *Beznadziejnie*. Tak, o to mi chodziło.

Czekała na dalsze wyjaśnienia, ale on tylko siedział i palił.

- Ja z kolei cierpię na... na taką okropną pustkę w środku - usłyszała swój głos. - Nie docierają do mnie żadne uczucia.

- To syndrom ostatniego roku - wyjaśnił.

- Chryste, tylko nie bagatelizuj tej sprawy przez używanie jakiegoś pseudopsychologicznego żargonu.

- Wcale jej nie bagatelizuję - odparł uprzejmym tonem. - Ja tylko sprowadzam ją do właściwych rozmiarów.

Zapadła cisza. Do restauracji weszło jeszcze kilka osób, Dominik pomachał do nich przyjaźnie.

- Chłopaki z biura prasowego - powiedział. - Znam ich.

- To twoi przyjaciele?

- No, aż tak bym tego nie określił. - Uśmiechnął się, ale było w tym coś smutnego i nieszczęśliwego.

- Powiedz mi, co miałeś na myśli.

- Nic. To ty masz depresję.

- Tak uważasz? To słowo absolutnie nie oddaje tego, co czuję.

- No cóż, jestem twoim przyjacielem i martwię się o ciebie. Trochę się martwię.

Położył na stole pieniądze, upierając się, że zapłaci za nich oboje. Kiedy zwrócił na nią wzrok, pomyślała, że widzi w jego oczach i smutek, i nadzieję jednocześnie.

Dotknęła jego dłoni, starając się, aby był to przyjacielski gest, ale zorientowała się, że został odebrany całkiem inaczej.

Wstał.

- Lily, jeśli zechciałabyś o mnie pomyśleć...

Nagle jego twarz znieruchomiała. Nigdy dotąd nie widziała go tak poważnego. Przyszło jej do głowy, że oto teraz może wydostać się z otaczającego ją mroku tylko poprzez rezygnację ze swoich zasad; chciała wreszcie zakończyć walkę z samą sobą, z czającymi się w niej tuż pod powierzchnią skóry pragnieniami i obawami.

- Odprowadzisz mnie? - zapytała.

Wolnym krokiem minęli Rotundę i skierowali się do jej akademika. Na schodach Dominik potknął się i uderzył w goleń, i zaraz zaczął się usprawiedliwiać.

Lily pomyślała, jakie to dziwne, że ze wszystkich mężczyzn wybrała właśnie jego, żeby pozbyć się dziewictwa; przyjaciela, który w żaden sposób nie pociągał jej seksualnie. Zatrzymała się przed drzwiami, żeby poszukać w torebce kluczy, a on w tym czasie schylił się i rozcierał stłuczoną nogę. Kiedy otworzyła drzwi, wyprostował się jak struna - najwyraźniej chciał wyglądać na wyższego. Spozrzegła, że jest blady jak ściana.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- No jasne! A co, nie widać, że fruвам?

W jego głosie usłyszała wyraźną obawę. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia, a może nawet zdumienia.

- Hej! - powiedziała. - Dla mnie to też będzie nowość.

Zastanawiała się tylko przez chwilę. W ciemnej ciasnocie wewnętrznego korytarzyka, kiedy już zamknęła drzwi, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować. Jego ciało było zaskakująco miękkie w dotyku, jakby mięśnie na ramionach i plecach nie były wystarczająco uformowane, a usta miały smak tytoniu zmieszanego z zapachem czosnku. Wypuściła go z objęć i sięgnęła do włącznika światła. Dominik został gdzieś z tyłu, za jej plecami. Stanowczo zbyt jasne światło zalało malutki pokój, ukazując panujący w nim bałagan. Dominik przesunął się, plecami ocierając o ścianę. Nerwowo zaciskał dłonie i rozglądał się po pokoju.

- Hej! - zawołała. - Na pewno wszystko w porządku? Popatrz na mnie - dodała, wyciągając przed siebie odrobinę drżące ręce. - Też się śmiertelnie boję.

- O, Boże. Dla mnie jesteś czymś najpiękniejszym pod słońcem.

- To nie musi być koniecznie miłość, Dom.

- Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz? - Wydawał się nieco zbity z tropu.

- Jesteś moim najdroższym przyjacielem.

- Ale ja... - zaczął. - Ja ciebie kocham. Na pewno. Wiem o tym, bo trzęsę się jak jakiś pieprzony liść.

Lily wyłączyła światło i przysunęła się do niego. Teraz największym problemem stał się panujący w pokoju rozgardiasz - cała podłoga zasłana była książkami i notatkami, a na obu

łózkach walały się ciuchy. Próbowwała zgrabnie odsunąć je nieco na bok, a on w tej ciemności stał obok niej jak wrośnięty w podłogę. Kiedy uprzątnęła łóżko, odwróciła się w jego stronę.

- Chcesz, żebym zdjął z siebie wszystko? - spytał.

- Owszem - odpowiedziała. Nawet nie drgnął.

- Dominik?

- A ty się rozbierzesz?

Szybko zdjęła bluzkę i biustonosz. W pokoju było chłodno. Wsunęła się pod koc i ściągnęła z siebie dzinsy i majteczki. Czowała, że on się zbliża, zdejmując z siebie części garderoby, i pomyślała mimo woli o małżeńskich parach, o swoich rodzicach, o rodzaju oświetlenia w salonie domu Rondy Seiver. Ta ostatnia myśl ją sparaliżowała.

- Co jest? - zapytał.

- Chodź bliżej - poprosiła. - Przytul mnie.

Dominik usiadł na łóżku, a Lily wyciągnęła rękę i dotknęła miękkiej skóry nad jego pośladkami. Przekonała się, że cały pokryty jest gęsią skórą i trzęsie się jak galareta.

- Mam gumki - rzekł pośpiesznie. - Kupiłem je już miesiąc temu.

Lily nie odezwała się, czekając, aż on nałoży prezerwatywę.

- Jezu, jak tu zimno - dorzucił.

Posunęła się, a on położył się obok pod kocem, tak że prawie się nie dotykali. Potem uniósł się, opierając na łokciu, pochylił nad nią i próbował ją pocałować, ale w ciemności nie trafił do jej ust. Jego wargi były lodowate; przycisnął je na moment do nosa Lily, a potem szybko zsunął w dół. Jego ciało zdawało się opierać o nią całym ciężarem. Pierwszym doznaniem Lily był pewien rodzaj smutku. Uświadomiła sobie, jak mało wie o tych sprawach mimo tylu obejrzanych filmów i przeczytanych książek. A potem znowu pomyślała o panu Stapletonie i w jej wnętrzu natychmiast zapanowała pustka. Dominik poruszył się, teraz był na niej, rękoma podpierał się po obu stronach jej głowy - niewielki ciężar jego ciała spoczywającego na jej piersiach i brzuchu zaskoczył Lily. Ale nic się nie wydarzyło. Jego penis nadal był miękki i kondom się zsunął z niego. Dominik przewrócił się na plecy i wzdychał, dlatego teraz Lily przejęła inicjatywę; namiętnie całowała jego usta, a jej ręka powędrowała w dół i zaczęła go pieścić. Penis Dominika przypominał teraz bezkształtny, owłosiony strączek. Był mniejszy, niż się spodziewała, a kiedy lekko zacisnęła dłoń, przesuwając nią przy tym w górę i w dół, niewiele się zmienił.

- No dalej - zachęcała. - Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

- Muszę nałożyć następną.

Czekała, podczas gdy on starał się naciągnąć lateksową gumkę. Ciągłe nie osiągnął pełnej erekcji i dlatego prezerwatywa nie spełniała swojego zadania.

- Zostaw to - powiedziała. - Chodź.

- Przecież chyba nie chcesz dziecka.

- Możesz się wycofać, po prostu wycofać, Dom. Chodź.

Osiągnęła taki stopień zdeterminowania, że chciała przejść przez to za wszelką cenę i w dodatku pragnęła, żeby wszystko poszło dobrze. Odsunęła na bok wszystkie złe myśli i skoncentrowała się na Dominiku.

- No dobrze - rzekł niechętnie.

- Może nie chcesz?

- Czuję się jak jakiś niedorozwinięty z tymi wszystkimi cudacznymi gumkami dookoła.

- Chodź tu.

Wzięła go za rękę i pociągnęła ku sobie, przewracając się jednocześnie na plecy, i w końcu dzięki jej pomocy jakoś w nią wszedł. Przez kilka chwil czuła dyskomfort przy każdym pchnięciu, ale myśl, że wszystko gra, że jest świetnie, sprawiła, że szło coraz lepiej, z coraz większym poślizgiem, coraz lepiej, aż w końcu przestała to sobie powtarzać. Dominik nie ustawał i wydawało się, że cała sprawa zmierza w dobrym kierunku, nawet starał się zwiększyć siłę pchnięć. Ale po chwili znowu zwiotczał i wysunął się. Natychmiast włożył w to miejsce palec, dotykając jej od środka, badając nieznanne rejony. Lily wpatrzyła się w ciemność, w słabo widoczny zarys jego ciała i starała się odnaleźć w sobie uczucie przyjemności, jaką sprawiał jego dotyk, namacalne ciepło Dominika, tutaj, w łóżku obok niej. Coś jednak nie dawało jej spokoju i sprawiało, że nie mogła się skoncentrować. Znowu położył się na niej, pchnął, wszedł w nią, poruszał się i przez chwilę czuła go głęboko we wnętrzu, i dzięki temu pozwoliła porwać się uczuciu seksualnego spełnienia dla samej przyjemności, prawie niewiążącej się z osobą kochanka. Starła się nie myśleć o niczym innym; wyszeptała jego imię na głos, szerzej rozsuwając nogi, i wyciągnęła dłonie w kierunku twarzy Dominika. Ale wtedy penis znowu zwiotczał i wysunął się, aż jęknęła z zawodu i sięgnęła, starając się go przyciągnąć z powrotem.

- Auu! - zawołał Dominik.

Rozłączyli się. Przez kilka sekund oddychali głęboko, a z zewnątrz dobiegł ich świst wiatru pędzącego przez świat i odgłos grzmotu mruczącego gdzieś daleko poza miastem. Sięgnęła do lampy stojącej obok łóżka, włączyła ją i popatrzyła na Dominika.

- Jezu Chryste, przepraszam - powiedział, przeczesał palcami włosy.
- Czy zrobiłam coś nie tak? Co zrobiłam źle?
- Nic. Trochę się uszczypałem. Już wszystko w porządku. - Odwrócił się do niej plecami.
- Co chcesz, żebym zrobiła?
- Wezwiesz lekarza?
- Czy aż tak cię skaleczyłam?
- Nie mówię o takim lekarzu. Milczała.
- Miałem nadzieję, że będę mógł pogadać z właściwą osobą. Rozumiesz?
- Powiedz mi, co czujesz.
- Nie tak - odparł. - Jezu Chryste!
- Przepraszam.

Podłożył sobie ręce pod głowę i gapił się w sufit.

- Mów do mnie.
- Dobrze. - Ale nic jej nie przychodziło do głowy.
- No?
- Wybierz temat. - Starła się, aby jej głos zabrzmiał obojętnie.
- Wojna atomowa to naprawdę przerażająca perspektywa, zgadzasz się?
- Delikatnie rzecz ujmując.
- Nareszcie w czymś się zgadzamy.
- Dominik, zdaje się, że chciałeś pomówić o... - Urwała.
- Nie o tym. Nie. O t y m. To właśnie miałaś na myśli?
- Sama nie wiem.
- Powiedz mi, co teraz czytasz.
- W ogóle ostatnio nie czytam. Nie mogę się skupić.
- A ja czytam. O Torquemadzie. O inkwizycji. I *Ponury dom* na egzamin z literatury, na który zresztą się nie wybieram. A oprócz tego *Kamasutrę*. I cały czas nie mogę pojąć, o co tam właściwie chodzi.
- Ostatnio coś się ze mną dzieje - powiedziała Lily. - Trudno mi to wytłumaczyć. Jakby jakaś straszna przestrzeń otwierała się w mojej duszy.
- A ja mam wielką ochotę, żeby znaleźć się w środku czegoś - odparł. - I to jak najszybciej.

Lily odrzuciła na bok koc i wzięła jego członek do ust. Smakował paskudnie lateksem i substancjami nawilżającymi z prezerwatyw, wstała więc z łóżka, owinęła się ciasno jednym z koców i poszła przez hol do łazienki, gdzie wzięła z półeczki papierowy kubek i napełniła go ciepłą wodą. Potem nabrała w dłoń płynnego mydła z podajnika, wróciła do pokoju i zamknęła drzwi. Następnie usadowiła się na Dominiku i zaczęła go myć ciepłą, mydlaną wodą. Z komody wyjęła ręcznik i wytarła go starannie. Na skutek tych zabiegów Dominik znowu dostał erekcji.

- Dobrze - powiedział.

Delikatnym ruchem odsunęła wszystko na bok i wróciwszy do łóżka uklękła i wzięła do ust sztywny organ. Teraz czuła smak mydła, ale to jej zupełnie nie przeszkadzało. Dominik leżał spokojnie na plecach, kiedy nad nim pracowała. Jedną ręką machinalnie gładził tył jej głowy, toteż przez dłuższą chwilę nie przestawała działać, aż w końcu o mało się nie zakrztusiła, powędrowała więc wargami w górę jego ciała, aż do ust. Miał szeroko otwarte oczy i zdawał się szukać w jej twarzy jakiejś reakcji. Zatrzymała się.

- O Boże - powiedział i zaczął płakać.

Owinęła się swoją częścią koca i czekała, aż on coś powie, ale leżał tylko obok niej, cicho płacząc.

- Przykro mi, Dom - odezwała się wreszcie. - Coś źle robię?

- Nie, to nie ty. - Pociągnął nosem, a potem zakrył twarz dłońmi.

- Powiedz mi, co chcesz, żebym zrobiła?

- Zamknij się. Chcę, żebyś się zamknęła.

Odwróciła się na plecy i leżała z ciasno złączonymi nogami, z rękoma wzdłuż ciała. Teraz nie stykali się w ogóle. Tysiące myśli przelatywało jej przez głowę.

- Posłuchaj - powiedział, siadając. - Przepraszam cię.

- Nie ma za co przepraszać. Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Nie wiem.

- Wydaje mi się, że to był całkiem zwyczajny pierwszy raz - rzekła. - Nie sądzisz? Nerwy i niezwykłość sytuacji. To znaczy, niezwykle miejsce. Ta okropna, ciasna klitka. - Urwała.

- To nie był pierwszy raz - powiedział niskim, zduszonym głosem.

Czekała bez słowa.

- Ani drugi.

- No dobra, więc kilka pierwszych razy. Jestem pewna... Wstając z łóżka, przerwał jej wywody.

- Och, chodź tu!

Stał nad nią. W końcu usiadł i splótł dłonie na brzuchu. Widziała na środku jego pleców rząd podobnych do guziczków kręgow.

- Zdradź mi jedną ze swoich fantazji. Postaram się ją spełnić, niezależnie od tego, co to będzie.

- Nic nie rozumiesz. Pomyślała, że być może i rozumie.

- To po prostu połóż się blisko mnie - poprosiła. - Mamy przed sobą całą noc.

- Jeszcze muszę coś załatwić. - Wstał i zaczął się ubierać.

- Dominik, naprawdę nie musisz nigdzie iść.

Odwrócił się ku niej, z jedną nogą włożoną już w nogawkę, i zobaczyła, że ma zaciśnięte szczęki, a w oczach wyraz sprzeciwu, ciemny, zawzięty, odpychający. Wsunął w spodnie drugą nogę, potem włożył koszulę i starannie ją zapiął, nie zaszczycając Lily ani jednym spojrzeniem. Kiedy ubrał się w płaszcz, podszedł, pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją w policzek.

- Teraz przez chwilę nie mam ochoty widzieć się z nikim - powiedział, a potem odwrócił się i pomaszerował w stronę drzwi.

Usiadła na łóżku.

- Co masz zamiar zrobić?

- Sama coś wymyśl. Mogę być jednym z tych, o których opowiadasz. Niezdarnym prawiczkim w twoim filmiku, poemacie, sztuce czy w czymś, co tam, do kurwy nędzy, piszesz.

- Nikomu nic nie będę opowiadać - odparła. - Jak mogłeś... jak mogłeś powiedzieć coś takiego?! To nie fair z twojej strony.

- Przepraszam. Już w porządku?

- Nie musisz przeproszać.

- Och. Czyżbyś była jedną z tych osób, które uważają, że możemy wybierać sobie uczucia?

- Miałam na myśli tylko tyle, że nie musiałeś tego mówić.

Otworzył drzwi i światło padające z holu sprawiło, że nie widziała wyraźnie jego rysów; był teraz tylko cieniem, z twarzą zwróconą w kierunku przyćmionej nocnej lampki, stojącym w aureoli blasku wylewającego się z holu.

- Mój Boże - powiedział jeszcze, a potem zamknął za sobą drzwi i już go nie było.

Lily wstała, owinęła się kocem i podeszła do okna. Zobaczyła, jak niespiesznie szedł na ukos przez trawnik, z rękoma w kieszeniach. Wyglądał jak zwykle, idąc tym swoim śmiesznym chaplinowskim krokiem. Kiedy zniknął za zakrętem, zaciągnęła zasłonę i poszła przez hol do łazienki. Spędziła tam godzinę, myjąc się i powtarzając tę czynność raz za razem. Stała pod kłującym jak pęk igieł prysznicem i patrzyła, jak strumyczki mydlin spływają po wzgórkach w dole jej brzucha. Zatem stało się i nic nie mogło już tego zmienić, choć osiągnęła swój cel w tak dziwny, mało satysfakcjonujący i wzbudzający poczucie winy sposób. Była dziwnie pewna, że zna przyczynę jego problemów; nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że to jej wina. Najwidoczniej coś nie pasowało w jej makijażu, a może stało się tak dlatego, że przyznała się, iż to pierwszy raz, albo nastrój powodował, że się zatrzymywał. Przez moment zastanawiała się nad jego wyznaniem, że nie pierwszy raz doznał niepowodzenia, choć wiedziała, że to samolubne z jej strony. Potem zajęła się bardziej przyziemnymi sprawami: wytarciem się do sucha i myciem zębów i dołożyła wszelkich starań, żeby przestać myśleć.

Kiedy wychodziła z łazienki, natknęła się na trzy dziewczyny, które właśnie wysiadły z windy. Wszystkie trzy były nietrzeźwe i tanecznym krokiem posuwały się wzdłuż holu. Mimo iż dzieliła je cała długość korytarza, zauważyły ją.

- Lily - zawołała jedna z nich. - Widziałam, jak twój chłopak wychodził.

- I co, wyglądał na szczęśliwego? - odkrzyknęła. - Jak ci się zdawało?

Weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i przywarła do nich plecami, nasłuchując odgłosów z holu. Dziewczyny chichotały, walcząc ze swoimi drzwiami. Lily podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Wybrała pięć pierwszych cyfr do domu, a potem odwiesiła słuchawkę, złapała za sznur i szarpnęła mocno, wyrывая go z gniazdka. Wskoczyła w koszulę nocną i już miała zamiar się położyć, kiedy nagle znieruchomiała. Przez krótki czas stała tak, wpatrując się w pobożowisko pogniecionych, białych prześcieradeł, gdzie tak niedawno leżała z Dominikiem. Chciała zapłakać, ale nie mogła.

Na korytarzu sąsiadki śmiały się i biły się na niby, a do Lily dobiegło nazwisko profesora psychologii, którego wszyscy serdecznie nie znosili; wysokiego, ociężałego, markotnego starszawego faceta, którego nachmurzonej miny każdy się bał.

- Słuchajcie, ja mam romans z tym kłosem! - wrzasnęła któraś, śmiejąc się. - To dlatego uwalił mnie na egzaminie na sto dwa!

Lily zmieniła pościel i położyła się. Teraz zrobiło się cicho. Wyłączyła lampkę stojącą przy łóżku i skrzyżowała na piersiach ręce. Cały czas czuła pieczenie między udami, jakby Dominik ciągle tam był. Już prawie pogrążyła się we śnie, ale raptem znowu oprzytomniała, czując dziwny ucisk w sercu, i pomyślała, że tę noc zabierze ze sobą, tak jak już kiedyś stało się z inną nocą, i będzie ją nieść w duszy przez wszystkie lata, po starość, aż do grobu, i nigdy słowem o tym nie wspomni ani przyjacielowi, ani kochankowi.

Rozdział 4

1

Przez cały następny dzień, w niedzielę, Lily wędrowała ulicami miasteczka w poszukiwaniu Dominika. Było słonecznie i chłodno, raczej jesiennie, choć nadciągała wiosna. Wiatr mrucał w koronach drzew i szarpał górnymi gałęziami tak mocno, że odsłaniał jasnozielone spody młodych liści. W powietrzu wisiał zapach kwiatów, słodka woń świeżo rozwiniętych pąków, której nie zdołał zagłuszyć nawet podmuch spalin z autobusu. Ludzie poubierani byli w swetry albo lekkie kurtki i czapki; jedni wyglądali po prostu na szczęśliwych, inni zaś na zbyt zapracowanych, żeby zastanawiać się nad tym, czy są szczęśliwi, czy nie. Wiatr wiał z różnych stron, zamiatając w rozmaitych kierunkach żwir i pył z ulic.

Tego wieczoru Sheri zadzwoniła ponownie i zaprosiła Lily do Oksfordu.

- Będziemy się świetnie bawić, tu się dzieje mnóstwo ciekawych rzeczy.

- Jeszcze nie wiem, co chcę robić - odpowiedziała jej Lily. - Teraz naprawdę nie mam czasu na nic innego poza nauką.

Ale włożyła płaszcz i wyszła. Wiatr nieco ucichł i powietrze trochę się ociepliło. Poszła do Mexico Cafe, ale nie spotkała tam nikogo znajomego. Nawet kelnerka, znajoma Dominika, miała dziś wolne. Lily wędrowała więc przed siebie, mrużąc coś pod nosem, i spostrzegła poniewczasie, że ludzie się za nią oglądają.

Wróciła zatem do pokoju i nie opuszczała go przez prawie dwa dni. Nie poszła nawet na ostatnie zajęcia.

Jadła jak ptaszek. Czytanie czy nawet myślenie o czymkolwiek wydawało jej się zadaniem ponad siły. Kiedy zadzwoniła jej matka z pytaniem, którą szkołę wybrała po ukończeniu college'u, odpowiadała wymijająco i rozmowa zakończyła się sprzeczką. Lily

rzuciła słuchawkę, ale opamiętała się i zaraz wykręciła numer do domu. Nastąpiło pojednanie poprzedzone serią uwag na temat praktycznych stron szukania sobie pracy na lato i płacenia rachunków, a kiedy Doris powiedziała, że musi kończyć, Lily przełknęła łyżę i rozłączyła się. Każda rzecz wydawała jej się ciężarem nie do zniesienia, dlatego całymi godzinami snuła się po pokoju jak cień, w stanie pół snu, pół jawy, chociaż miała trudności z zaśnięciem. Noce były niekończącym się koszmarem - leżała w łóżku i starała się czytać, powtarzając w kółko jedną linijkę, i odpływała na skraj drzemki, a potem nagle podrywała się bez powodu.

Rankiem trzeciego dnia telefon odezwał się kilka razy, ale go nie odebrała. Jednak potem zadzwonił drugi raz i dzwonił bez przerwy - dwadzieścia, trzydzieści sygnałów. To matka, była tego pewna. W końcu podniosła słuchawkę.

- Już czas wstawać, panienko - usłyszała głos ojca.

- Och - powiedziała Lily. - To ty. Cześć.

- Miło mi, że się ucieszyłaś. Dzwoniłem wcześniej, jak pewnie wiesz. Lily, wszystko w porządku?

- Wszystko. Myślałam, że to mama.

- Jeśli tak myślałaś, to czemu nie odbierałaś telefonu?

- Bo dopiero co weszłam, a telefon dzwonił. Pomyślałam, że ty... że to Doris, a okazało się, że to ty. Chyba teraz już rozumiesz, tatusiu, dlaczego powiedziałam tak na początku, prawda?

- Kochanie, ja po prostu się z tobą drocę. A w ogóle to czemu nie mówisz do mnie Scott? Przecież do mamy zwracasz się po imieniu.

Na to nie było odpowiedzi.

- Dzwonię w sprawie twojego dyplomu. Doris mówi, że bardzo się martwi...

- Jeszcze nie wiem, jakie mam plany - przerwała mu.

- No więc dobrze. Czy możemy o tym porozmawiać? Kończysz szkołę; wybierasz się na uroczyste rozdanie dyplomów? Mieliśmy pewne plany na tę okazję, prawda?

- Nie wybieram się na żadną uroczystość.

Cisza. Potem lekkie westchnienie pełne rozdrażnienia.

- Może zechcesz z łaski swojej porozmawiać ze mną, Lily.

- Nie mam nic do powiedzenia. Nie robię dyplomu. Nie mam zamiaru nigdzie dalej iść.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz zamiaru kończyć pracy dyplomowej?

- W tej chwili nie. Muszę zrobić przerwę i to właśnie teraz.

- A może chciałabyś przyjechać tutaj i popracować trochę w teatrze? Mógłbym ci zorganizować jakieś zastępstwo.

- Nie chcę robić takich rzeczy, tato. Nie.

- Przyjedziesz tutaj?

- Raczej nie.

- Czy masz... czy masz jakieś kłopoty? Jak ci się układa w życiu, kochanie?

- Muszę już lecieć, Scott - powiedziała. - Wszystko idzie super - dodała po chwili.

- Może rzeczywiście mów do mnie „tatusiu”. Ale po twoim głosie słyszę, że nie jest tak różowo. Proszę, powiedz mi, Lily, o co chodzi. Nie mogę nic zrobić, jeśli nic nie wiem, co się dzieje.

- Naprawdę wszystko w porządku. To po prostu koniec semestru. Posłuchaj, chciałabym móc pożyczyć choć trochę na własny rachunek.

Przez chwilę się nie odzywał.

- W porządku, w razie czego wiesz, gdzie nas szukać. Daj nam znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. I pozostajemy w kontakcie, choć wiem, że nie jest to znajomość, którą zbyt cenisz.

- Przepraszam. Naprawdę, tatusiu. Proszę. Wszystko jest dobrze i nie mam żadnych problemów, z którymi nie dałabym sobie rady. To wszystko przez szkołę. Stres, masa nauki i za mało czasu na spanie, rozumiesz? I na razie nie mam żadnych planów. Jak będę coś wiedzieć, zawiadomię was, przyrzekam.

- Twoja matka nie wie, że nie robisz dyplomu. Myślę, że sama powinnaś jej to powiedzieć. Na pewno byłoby jej przykro, gdyby dowiedziała się ode mnie. A jeśli o mnie chodzi, to chciałbym tylko wiedzieć, po co wpakowaliśmy w twoją szkołę te wszystkie pieniądze, jeśli masz zamiar rzucić wszystko w diabły na ostatnim semestrze. A teraz, proszę, Lily, wytłumacz mi to. Nie przyszło ci do głowy, że jesteś nam coś winna?

- Tato, tu nie ma żadnych ukrytych przyczyn. Skończę w następnym roku. Teraz muszę gdzieś na trochę wyjechać, sama. Proszę.

Westchnął znowu.

- Przynajmniej daj nam znać, jakie masz plany.

Kiedy przerwał połączenie, siedziała jeszcze kilka chwil ze słuchawką w ręku, słuchając własnego oddechu. W końcu odłożyła ją na widełki, ułożyła się na łóżku i starała zasnąć. Nic z tego. Myślami ciągle błądziła dookoła własnych nieszczęść. Było jej wstyd za swoje

zachowanie, a ponadto nie mogła się zmusić, żeby wstać albo zacząć się ruszać. Tak minęła godzina, a może nawet więcej niż godzina.

Kiedy zadzwoniła do matki, była przekonana, że Scott zdążył się już wygadać; ich rozmowa wyglądała tak, jakby Doris recytowała z góry ułożony tekst; Lily prawie słyszała głos ojca, mówiącego: „Tylko nie daj po sobie poznać, że coś wiesz”.

- To kiedy przyjeżdżasz do domu? - spytała matka.

- Nie wiem - odparła Lily. - Sheri chce, żebym przyjechała do Oksfordu.

- Do Missisipi? A co jest w Missisipi?

- Sheri.

- Kochanie, wybaczone, ale nie rozumiem.

- Mam na myśli wizytę - wyjaśniła Lily. - Zastanawiam się, czy pojechać tam na część wakacji. Zobaczyć parę rzeczy, może Nowy Orlean. Ona mówiła, że w Oksfordzie jest teatr miejski, gdzie szukają ludzi. Może tam zajrzę, pójdę na przesłuchanie albo coś w tym rodzaju. Nie chcę dostawać się do produkcji dlatego, że jestem córeczką tatusia, a tak właśnie bym się czuła, gdybym załapała się na coś w Waszyngtonie, gdzie każdy wie, kim jestem i dlaczego się dostałam.

- A co będziesz robić w tym miejskim teatrze w Oksfordzie? Zdaje się, że wspominałaś, że nie chcesz występować na scenie.

- Może będę pisać. Nie wiem. Szukam swojego miejsca w życiu i tego, co chcę robić. I nie sądzę, żeby udało mi się je znaleźć, jeśli będę mieszkać w swoim pokoju w domu, rozumiesz?

Przez kilka sekund obie milczały i tylko było słychać dziwaczne buczenie na linii spowodowane dużą odległością.

- Mnie się wydaje, że to wstyd zająć tak daleko i nie zdobyć dyplomu.

- To tylko na razie - wyjaśniła Lily. - To nie jest tak, że ja w ogóle rezygnuję. Po prostu zdecydowałam się trochę sobie odpuścić.

- Nie mam zamiaru zrzędzić, ale to, co mówiłaś, zabrzmiało tak... tak ostatecznie. Ale może ja to tak odbieram.

- Muszę już wyjść - odezwała się Lily. - Mam spotkanie.

- Zadzwonisz do mnie? - zapytała Doris i zaczęła szlochać.

Lily stała obok wymiętego łóżka i słuchała tego płaczu, nie odzywając się słowem. Narastał w niej smutek, że oto jej matka chyba potrzebuje od niej czegoś na kształt pocieszenia, a ona nie może jej tego dać.

- Jasne, że zadzwonię - wydusiła wreszcie.

- No to pa - odpowiedziała Doris.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też, maleńka.

W słuchawce rozległo się kliknięcie. Odłożyła ją i podeszła do okna. Całe niebo spowijały różowe pasma chmur, cienkie jak ślady zostawiane przez jumbo jeta. Przepiękny, wiosenny zmierzch. Plac poniżej okna był pusty, ani śladu żywej duszy. Spojrzała na parę, która właśnie zeszła z wierzchołka odległego wzgórza i zmierzała na ukos w stronę Rotundy. Starszawy mężczyzna jechał po ulicy na dziesięciobiegowym rowerze, jedną nogawkę spodni podwinął do kolana. Lily zasunęła zasłonę i znowu położyła się na łóżku. Próbowwała czytać, ale nie było sensu udawać, że weźmie udział w zajęciach ostatniego roku w college'u. W ogóle nie sprawiała to jej różnicy, a książka, którą trzymała w ręku, to były tylko słowa, słowa, słowa... Żadne z nich nie miało najmniejszego znaczenia.

Próbowwała napisać kilka stron szkicu sztuki. Wyśnione życie sprzed stu lat było jak swoisty rodzaj ucieczki. Ale wtedy zobaczyła je właśnie tak - jako formę ucieczki - i ostatecznie nie mogła nawet nastawić się pozytywnie do pracy. Odłożyła więc ołówek, oparła głowę na dłoniach i zasnęła, i znów się przebudziła, i ponownie zapadła w sen. Zatraciła zupełnie poczucie czasu. W ten sposób minął cały dzień, cała noc i jeszcze następny dzień. Przyśnił się jej sen, w którym padło słowo „anoreksja”, dlatego z przerażenia nagle usiadła wyprostowana na łóżku. Nie mogła sobie przypomnieć momentu, kiedy ostatnio coś jadła. Na wspomnienie o jedzeniu zrobiło się jej niedobrze. W głównym holu stał automat z przekąskami, spróbowała więc kupić krakersy, ale maszyna była zepsuta. Straciła tylko trzy ćwierćdolarówki, bo automat nie wypluł ich z powrotem. Walnęła w szkło i z przegródki wypadła paczka gumy do żucia. Uderzyła jeszcze raz, a potem włożyła dodatkowe pięćdziesiąt centów i dzięki temu udało się jej wydobyć małą torebkę drażetek M&M. Zjadła je, nie odchodząc od automatu, i od razu zrobiło się jej niedobrze. Pobiegła do łazienki, opryskała twarz zimną wodą, poczekała chwilę na ewentualne dalsze sensacje, a potem wróciła do pokoju; cały czas czuła zawroty głowy.

Na zewnątrz świat toczył się swoim rytmem. Wyły syreny, z ulicy dobiegał hałas samochodów, muzyka, odgłosy rozmów. Dni zrobiły się jasne od wiosennego słońca, jaskrawe od kwiatów, pełne szelestu wiatru wiejącego od niedalekich wzgórz pokrytych soczystą zielenią, podczas gdy odległe góry mieniły się kolorami błękitu. Lily usiadła przy oknie, wzięła do ręki ołówek i czekała, aż spłynie na nią natchnienie.

RS

Początek kwietnia 1875

Hol na parterze domu. Schody po lewej stronie, a drzwi wiodące do pozostałych pokoiów po prawej. Na środku sceny otwarte wejście, przez które widzimy bibliotekę. Ta sama dziewczynka stoi w progu. Spogląda na książki z wyrazem uznania, jakby podziwiała bogactwo zbiorów. Następnie zaczyna wpatrywać się w ciemność poza obrębem sceny. Mary w rozmowach z innymi posługuje się cockneyowskim dialektem, ale w monologach skierowanych do widowni mówi zwykłą angielszczyzną. Jej głos to silny, dźwięczny alt.

Mary

- Moja matka zwykle przesypiała całą noc po wieczornym posiłku, ale ostatnio zaczęła mnie wołać. W tym odcinku wspomnień mam trzynaście lat. Wróćmy znów na Highgate; dom jest zamknięty, jedno okno wychodzi na ulicę, pozostałe na ogród na tyłach domu. Wszystkie są pozamykane. Dzwony odzywają się w równych odstępach czasu, w ogrodzie odbywają się kogucie harce, ale hałasy z ulicy prawie nie przedostają się do środka. Rankami koguty budzą się o wschodzie słońca i pieją przeraźliwie, jakby dawały znak komuś, kto jest daleko stąd. One są moje - hoduję je już nieco ponad rok. Nigdy się nie biją, chociaż czasami wybuchają między nimi tak zajadłe sprzeczki, że aż musiałam kilka razy rozdzielać je miotłą. Muszę przyznać, że mam niezwykły talent do pakowania się w kłopoty. Ostatnio przeprowadziłam w ogrodzie pewien eksperyment z prochem strzelniczym, który mój ojciec przywiózł z Kanady.

Dyga głęboko.

- Spowodowałam eksplozję, która zabrudziła gnojem prześcieradła suszące się na sznurze i zaalarmowała cały dom. Kiedy ojciec zszedł do ogrodu, potrząsnął mną, i boję się, że wtedy szpetnie zaklęłam. Tak było, dokładnie zacytowałam jego słowa.

Nie uważał mojego eksperymentu za pożyteczny. Podniósł mnie jak psiaka, wsadził pod pachę i wspiał się trzy piętra w górę, do zacienionego pokoju mamy. Jak taran przebił się przez na wpół otwarte drzwi i stanął w progu.

Opuszcza brodę i mówi głęboko upozowanym głosem.

- Kto tę smarkulę nauczył takiego słownictwa? Wiesz, co do mnie przed chwilą powiedziała?

Zmienia intonację na wyższą i odzywa się miękko i błagalnie.

- Czy możesz dać mi spokój? Głowa tak mnie boli, że prawie umieram.

Powraca do właściwej postaci, pobieżnie przerzuca kartki książki, po czym ją zamyka i znów patrzy w przestrzeń.

- Popołudniami słońce padało przez świetlik w drzwiach na górną część klatki schodowej - strumień światła z wirującymi w jego blasku drobinkami kurzu. Prawie można było określić dokładnie godzinę, patrząc, jak przesuwa się po ścianie; powoli stawał się cieniutki, aż w końcu zamierał. Nauczyłam się stopniowo poznawać każdy centymetr ściany według tego cienia.

Światło pojawia się na szczycie schodów. Mary słyszy dźwięk i powoli się odwraca.

- Tak wiele czasu spędziłam w tej, jak by to określić, dość osobliwej ciszy domu, wypełnionej tysiącami skrzypnięć i migotaniem lamp gazowych. Charley jest w szkole; ogrodnik gdzieś poza domem; pani Barrett, nasza gospodyni, siedzi w kuchni na dole i wylicza swoim stanowczym głosem różne potrzeby pod adresem Pana Boga. Dla pani Barrett Pan Bóg najwyraźniej jest kimś w rodzaju niebiańskiego lokaja. Kiedy z dalekich stron nadchodzą listy od ojca, czytam je od deski do deski, zanim zaniosę na górę do pokoju mamy. Jedną z moich kuzynek, także Mary (nawiasem mówiąc, w tej rodzinie są same Mary, a mężczyźni mają na imię George lub Henry; na drugie imię mam Henrietta), napisała słodki, bardzo ciekawy liścik. Chciała, tak samo jak wujowie Charles i Henry, pisać romanse i powieści (wuj Charles jest autorem znanej książki dla dzieci *Wodne dzieci*), i odczytałam jej list na głos. Czasami robię to po prostu, żeby usłyszeć brzmienie głosu, nawet własnego. Mama także lubi, gdy czytam listy na głos, ale to zupełnie co innego czytać dla niej. Prawdę mówiąc, ona jest miłą towarzyszką. Dostyc dowcipna, choć nikt by się tego nie domyślił, wiedząc o jej kłopotach, ale reszta rodziny - oczywiście ze strony ojca - nie chce mieć z nią do czynienia. Powiedziała mi, że dźwięk mojego głosu ją uspokaja. Nasza pani Barrett przychodzi i zachowuje się władczo; to zapewne przyzwyczajenie z czasów, gdy pracowała jako sekretarka mojego ojca. Ale ja niedługo będę wystarczająco duża, żeby przejąć część jej obowiązków, i biedna, zagrożona i pobożna pani Barrett dobrze o tym wie. Na razie jednak nie ma dramatu. Dramat dopiero się zaczyna. Będzie nim moja wierna harówka, o której mam już jakieś takie pojęcie. Kiedy wędruję po schodach, żeby zająć się matką, wyobrażam sobie, że wspinam się na jakiś górski szczyt w Kamerunie po to, żeby zobaczyć, jak wszystko stamtąd wygląda. Nikomu w mojej rodzinie nawet się nie śniło, że to ja jestem tą, która odziedziczyła odwagę i siłę. I nie mówię tylko o moim ojcu i wujach.

Odwraca się, idzie na ukos przez scenę do schodów, wchodzi na piętro i zatrzymuje się przed drzwiami pokoju matki. Otwiera je, wpuszczając do środka trochę światła z lampy gazowej w holu. Światło pada na łóżko matki, która nie jest jeszcze stara, choć jej wygląd i zachowanie sugerują co innego. Jasno widać, że jest to ktoś, kto od dawna nie oddychał świeżym powietrzem i nie wychodził na dwór.

Matka

- Mary, wołałam cię. To światło mnie razi, Mary.

Mary zamyka drzwi, odwraca się i schodzi na dół, staje tam, nasłuchując, a potem ciężko wzdycha.

Mary

- Jak widzicie, jestem coraz wyższa, wyrastam z sukienek, a ten dom nie jest moim światem. Świat jest tam, gdzie przebywa ojciec, gdzie prowadzi badania i gdzie zbiera próbki. Wielka tajemnica gdzieś daleko stąd.

Światła gasną.

3

Któregoś popołudnia, trochę ponad tydzień po nieudanej randce z Dominikiem, Lily usłyszała kroki w korytarzu. Potem zapadła cisza, jakby ktoś zatrzymał się po drugiej stronie drzwi i zastanawiał się, co robić. Siedziała właśnie przy oknie z otwartą książką na kolanach, przyglądając się migotaniu promieni słońca w liściach sykomory rosnącej po przeciwnej stronie drogi, a w myślach wędrowała poprzez oświetlone lampami gazowymi korytarze domu, którego nigdy nie odwiedziła ani nie widziała. Ktoś był tam, za drzwiami - może chłopak jednej z dziewcząt mieszkających po drugiej stronie korytarza? Dziewczyny wyjechały na tydzień do Pensylwanii, żeby odwiedzić rodzinę jednej z nich. Lily słyszała, jak o tym rozmawiały.

Ten ktoś na korytarzu poruszył się - wyraźnie słyszała, jak przestępuje z nogi na nogę i jak skrzypi podłoga. Siedziała bez ruchu, prawie nie oddychając. Kiedy jeszcze mieszkała tu razem z Sheri, zdarzyło się kilka razy, że na ich korytarz dostali się podpici młodzieńcy i wywoływali je po imieniu, zataczając się przy ścianach. Te łomoty i wrzaski doprowadzały Lily do białej gorączki. Ten ktoś był jednak spokojny - za spokojny, jakby czegoś nasłuchiwał albo na coś czekał.

A może to był tylko wytwór wyobraźni.

Pukanie do drzwi tak ją zaskoczyło, że omal nie krzyknęła. Zamknęła książkę i siedziała cichutko jak myszka. Kroki się oddaliły. Słyszała ich odgłos na schodach. Wychyliła się przez okno, tak żeby widzieć wejście do budynku; pomyślała, że jeśli to Dominik, to pobiegnie za nim. Nie chciała znaleźć się z nim znowu sam na sam w tym pokoju.

To był Tyler. Zobaczyła, jak wyszedł na trawnik i zmierzał w kierunku ulicy po przeciwnej stronie placu.

- Hej! - zawołała.

Zatrzymał się, odwrócił w jej stronę i uśmiechnął. Lily przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że to wygląda jak scena z jakiegoś filmu. Pomachała do niego i założyła za uszy włosy, które rozsypały się po obu stronach twarzy. Nie szczotkowała ich od dłuższego czasu i z pewnością musiała wyglądać jak czarownica.

- Zaczekasz na mnie? - zawołała i natychmiast znienawidziła się za ten ton pytania. Usiadł na trawie tam, gdzie stał, złożył ręce i skrzyżował nogi. Lily popędziła do łazienki na korytarzu, umyła zęby, przejechała szczotką splątany kołtun na głowie i naprędce zrobiła makijaż. Ręka tak jej drżała, że nie mogła równo nałożyć szminki; cały czas wyjeżdżała poza zarys ust. Kiedy odsunęła się od lustra i rzuciła okiem na własne odbicie, spostrzegła, prawdopodobnie po raz pierwszy, jak katastrofalny wpływ na jej wygląd miało kilka ostatnich dni. Zmyła cały makijaż i zaczęła robić go ponownie drżącymi palcami, starając się pomimo zdenerwowania i zmieszania pamiętać o pierwszym przykazaniu swojej matki: lekkie muśnięcia, nigdy nie nakładać za dużo czegokolwiek, tylko tyle, żeby podkreślić urodę rysów twarzy i żeby się wydawało, że wcale nie jesteś umalowana. Zauważyła, że tuż pod linią włosów nierówno rozsmarowała podkład i o mały włos nie zmyła wszystkiego po raz drugi. Zamiast tego spróbowała zamazać tę granicę kawałkiem papieru toaletowego, jak malarz, który stara się usunąć nierówności na framudze obok szyby okiennej. Wreszcie doszła do wniosku, że wygląda mniej więcej przyzwoicie i może się pokazać publicznie.

Ale za to miała wrażenie, że minęło nie wiadomo ile czasu.

Tyler nie ruszył się z miejsca. I siedział dalej, kiedy podchodziła.

- Wyglądam okropnie - powiedziała. - Cały czas tylko się uczę.

- Uważam, że wyglądasz wręcz wspaniale. - Siedział z uśmiechem na ustach i wpatrywał się w nią. - Jesz porządnie? Wysypiasz się? Masz lekko podkrążone oczęta.

Wstał i otrzepał z tyłu dzinsy.

- Mnie został tylko jeszcze jeden egzamin - dodał.

Lily zupełnie straciła poczucie czasu; ciągle miała wrażenie, że tydzień egzaminacyjny zaczyna się za parę dni. Czyli opuściła także egzaminy!

- A co z tobą? - zapytał.

- Och, w porządku - udało się jej wykrztusić. - Jestem w trakcie.

- Pomyślałem, że może poszlibyśmy na kolację albo coś takiego.

Była tak szczęśliwa, kiedy zobaczyła go z okna swojej celi, a teraz, nagle, przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie.

- Zimno ci? Cała drżysz.

Miał na sobie lekką sportową kurtkę założoną na podkoszulek. Zdjął ją pośpiesznie i zarzucił jej na ramiona.

- Powinienem zadzwonić albo coś w tym rodzaju. Takie przyjście jak dzisiaj było... niegrzeczne. Nie pomyślałem o tym.

- I dalej nie myśl.

Cieszyła się, że go widzi. Wszystko wydawało się teraz nieskomplikowane i oczywiste. Niczym się nie przejmowała.

- Teraz tobie będzie zimno - powiedziała.

- To ci ją zabiorę. Będzie tak, jakbyśmy na zmianę popalali skręta.

Szli wzdłuż rzędu sklepów i restauracji na University Drive.

Kiedy zatrzymali się na rogu, Tyler przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. Zaskoczył ją tak, że aż raptownie wciągnęła powietrze, choć ten gest sprawił jej przyjemność. Wydawało się, że niczego nie zauważył.

- Na co masz ochotę? - spytał.

- Wszystko jedno.

Na myśl o jedzeniu głęboko pod żebrami poczuła dreszcz. Światło zmieniło się i przeszli na drugą stronę ulicy.

Zatrzymał się na rogu przy drzwiach lokalu Bavarian Food, gdzie mieli duży wybór rozmaitych gatunków piwa.

- Może być?

Skinęła głową. W środku było ciemnowo. Po lewej stronie za długim barem zauważyła kilka grup; inni siedzieli przy barze, w większości samotnie popijając piwo. Tyler znał kelnera, rudowłosego faceta o piersi przypominającej okrągłą beczkę i z pokrytymi blond włosami rękoma. Wymienili uścisk dłoni. Kelner miał na imię Thornton. Tyler przedstawił Lily

i Thornton podał jej rękę, a potem lekko się skłonił i przepuścił ją przodem. Idąc wolnym, ciężkim krokiem olbrzyma, poprowadził ich do ustronnego stolika w głębi lokalu, za grupą panów w średnim wieku, którzy siedzieli tam tylko po to, żeby pośpiewać w kwartecie wiązanki popularnych melodii. Co jakiś czas rozbrzmiewała pieśń; ich skomplikowana harmonia była nawet miła dla ucha, lecz jednocześnie trochę nudnawa, a to ze względu na niedzisiejszą i stanowczo zbyt przesłodzoną aranżację. Tyler i Lily słuchali ich popisów i zaczęli bić brawo, gdy tamci skończyli, a panowie podziękowali za aplauz i zaczęli kolejną pieśń.

- No to wpadliśmy po uszy- oznajmił Tyler.

Śpiewacy wykonywali właśnie *Let Me Call You Sweetheart*. Mieściły się w niej wszystkie rodzaje rozbudowanej harmonii i powtarzające się frazy, które zawile uzupełniały jedna drugą.

- Chyba wybrałem niewłaściwe miejsce - powiedział Tyler.

- Czy to właśnie tu szliśmy cały czas? Skinął głową, patrząc przy tym na pieśniarzy.

- Poszedłbym tam, gdzie ty byś chciała, ale zgadza się, ja chciałem przyjść właśnie tutaj.

Ze względu na jedzenie. Lubisz kiszoną kapustę?

- No jasne - odparła, starając się, żeby zabrzmiało to swobodnie. - A co jeszcze tu dają?

4

Śpiewający panowie wykonali jeszcze cztery albo pięć utworów i Lily była im za to wdzięczna, bo dzięki temu pomiędzy nią a Tylerem nawiązało się milczące porozumienie. Aranżacje okazały się tak skomplikowane, że sama linia melodyczna pieśni zaczęła się zamazywać. Thornton, stojąc obok, przewracał tylko oczami, kiedy składali zamówienie, a muzyka płynęła nieprzerwanie. Tyler zamówił pełen obiad: polską kielbasę i kapustę kiszoną, smażony stek z sałatą i duży kufel piwa. Lily poprosiła o kanapkę z kurczakiem - jedyną rzecz, którą, jak czuła, mogła strawić. Siedziała z rękoma splecionymi na podolku i starała się zebrać myśli. Zamówiła ciemne piwo, bo gdzieś czytała, że ciemne piwo łagodzi sensacje żołądkowe. Kiedy Thornton przyniósł pełne kufle, Tyler zaproponował toast.

- Za filozofię! - powiedział. - I za to, żeby mnie ktoś kupił na wolnym rynku.

Wypili. Piwo zdawało się przepalać jej przełyk. Wzięła jeszcze łyk i na szczęście nieprzyjemne wrażenie minęło.

- Mam zupełnie niezwykle nowiny. Hmm... mąż mojej matki zaproponował mi pracę, tam, w Oksfordzie. Mam sprzedawać oldsmobile. Nie mam pojęcia, czy mąż Sheri też to robi, czy nie.

Lily nic nie odrzekła. Uprzytomniła sobie, że Tyler chciał jej tylko powiedzieć, że wyjeżdża i ta świadomość uderzyła ją jak obuchem.

- Sheri opowiedziała ci o nas? O tym, co się wydarzyło? Wiesz wszystko?

Lily przytaknęła.

- No więc, dostałem te rzeczy, wiesz, od mojej matki. Parę małych karteczek. Jakieś pozdrowienia przekazywane przez Sheri i kilka listów, kiedy Sheri wróciła na południe. Myślę, że teraz kiedy taty już nie ma... że moja matka...

- Jedziesz do Oksfordu - przerwała Lily z napięciem, które zaraz postarała się pokryć uśmiechem.

- Nie widziałem jej od czasu, kiedy miałem pięć lat - ciągnął. - I niewiele pamiętam. Ale myślę, że będzie lepiej, jeśli spotkam ją tam, na jej terenie. Prawdę mówiąc, nikt nigdzie na mnie nie czeka, jak wiesz. Więc czemu nie? - Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że oni chętnie by mnie wciągnęli do rodzinnego kręgu. - Spojrzał na swoje dłonie obejmujące kufel z piwem.

- Cóż, ona jest twoją matką - powiedziała Lily. - I teraz stanowicie rodzinę.

- Tak mi mówiono.

Pociągnęła łyk piwa i popatrzyła na niego uważnie.

- Wiem, że to brzmi gorzko. Jestem trochę zgorzkniały. Ale bardziej jeszcze jestem ciekaw. Oczywiście, jestem też ciekawy jego. I przerażony. To mnie przeraża. Sam pomyśl, żeby tam pojechać i spędzić z nimi jakiś czas.

- Miałam wiadomości od Sheri - oznajmiła Lily. - Chce, żebym przyjechała do niej z wizytą.

- To może wybierzemy się razem? - zaproponował.

- Oczywiście. - Wzruszyła ramionami.

Nie mogła się zdobyć na to, żeby odwzajemnić jego spojrzenie.

- Mówię serio, Lily.

Nie odpowiedziała. Śpiew znowu przybrał na sile, tym razem były to misterne wariacje prostej melodii o przejażdżce łódką w dół rzeki.

Tyler napił się piwa i zaczął przyglądać się śpiewakom. Wydawało się, że jest ich teraz więcej.

- Nie dostanę dyplomu - oświadczyła Lily. Skinął głową.

- Ja także nie.

- Ale ja nie miałam na myśli samej ceremonii rozdania. Po prostu przestałam chodzić na zajęcia.

- Moim zdaniem to straszne marnotrawstwo zajść tak daleko i nagle dać sobie spokój.

- Masz na myśli, powiedzmy, zrobienie dyplomu z filozofii po to, żeby sprzedawać samochody?

Uniósł kufel, jakby zamierzał wznieść toast.

- To co innego. To poszukiwanie. Rodzina, więzy krwi i te sprawy.

- Sheri się rozwodzi - dorzuciła Lily po chwili milczenia. Skinął głową, upił łyk piwa, ale nic nie odrzekł.

Panowie cały czas pracowali, ćwicząc dwie oddzielne części tej samej pieśni. Lily popijała piwo i dziwiła się, jak to się stało, że wylądowała w takim miejscu. Tyler obserwował śpiewaków, bębniąc palcami po stole.

Wreszcie odwrócił się do niej.

- Nie mam zielonego pojęcia, jaka jest moja matka. Ale sądzę, że miała wpływ na to, jak dziś odbieram świat.

- A jak odbierasz?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Uśmiechnął się. - Żyję z minuty na minutę. Muszę przyznać, że czasem rozsadza mnie złość, i to taka, z którą nic nie można zrobić. A potem pojawia się strach. Taki pierwotny, co to ściska cię od środka i sprawia, że nie możesz uwierzyć, że po drugiej stronie każdej minuty życia nie zdarzają się jakieś straszliwe katastrofy.

- Możesz mi wierzyć albo nie - odezwała się Lily - ale doskonale wiem, o czym mówisz.

Znowu zrobiło się głośno, tym razem był to pojedynczy dźwięk wsparty na pokrewnych dźwiękach z akordu.

- Ona odeszła od ojca - ciągnął Tyler - ale odeszła także ode mnie i nie wiem, ile ze swojej osobowości straciłem przez to bezpowrotnie. Myślę, że byłem czymś w rodzaju nagrody pocieszenia dla staruszka.

Westchnął i zdawał się nad czymś rozmyślać, lekko kręcąc głową.

- W każdym razie nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym zostać akurat tutaj.

Lily przyszło na myśl, że ona mogłaby być takim powodem i nagle poczuła się zagubiona.

- Ja starałam się ostatnio w ogóle nie myśleć o rodzicach - powiedziała, żeby skierować rozmowę na inny temat. - Nie mam zamiaru jechać do domu, to wiem na pewno.

- A dokąd masz zamiar jechać?

Nie patrząc na niego, czuła, że pochylił się w jej stronę.

- Nie wiem - przyznała.

Te słowa uderzyły ją, jakby odkryła jakąś niezgłębioną prawdę. Serce waliło jej jak młot. Miała wrażenie, że mogłaby się roztopić i odpłynąć gdzieś w dal unoszona prądem powietrza. Pociągnęła duży łyk piwa, zakrztusiła się i zaczęła kaszleć, podczas gdy wokół rozbrzmiewała kolejna pieśń o wysublimowanej, przesłodzonej harmonii. Tyler obszedł stolik i położył rękę na jej ramieniu.

- Hej - powiedział.

Oparła się o niego całym ciężarem. Nie zwalniał uścisku, a śpiew rozlegał się dalej. Nie mogła płakać od tak dawna, a teraz, nieoczekiwanie, wreszcie jej się udało. Miała uczucie, że to takie łatwe. Jakaś część jej cały czas się temu dziwiła. Tyler zaczął gładzić ją po włosach, kołysząc przy tym delikatnie. Lily nie mogła dojść do siebie. Śpiew się skończył - panowie stali teraz, pograżeni w rozmowie; jeden czy drugi zerknął na nią, a potem patrzył w inną stronę. Lily wzięła ze stołu papierową serwetkę, wydmuchała nos i spróbowała coś powiedzieć.

- Pojedźmy tam razem, Lily - zaproponował Tyler.

- Nie wiem, czy to naprawdę aż taki dobry pomysł - odparła, pociągając nosem.

Czuła, że musi to powiedzieć.

Tyler ją pocałował. W głębi duszy tego właśnie oczekiwała albo raczej miała nadzieję, że tak będzie. W jego ramionach odprężyła się i pozwoliła, żeby to się stało, starała się o niczym nie myśleć, tylko poddała się wspaniałemu uczuciu, które ogarnęło jej wnętrze z niespotykaną siłą. Śpiewający panowie właśnie przechodzili obok nich, niektórzy znów mruclili pod nosem jakąś melodię, co podkreśliło wrażenie nierealności tej chwili. A potem poszli, a Tyler wciąż trzymał ją w objęciach.

- Pobierzmy się, Lily. Pragnę cię od pierwszej chwili, kiedy cię poznałem na party po meczu futbolu.

- Ty... ale ty... - zaczęła.

- Wiem o tym wszystkim - ale Sheri weszła mi w drogę, a poza tym spotykałem się wtedy z kimś innym. No i ja... ja mam różne psychiczne obciążenia, jak dobrze wiesz. Ale to

wszystko nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, że cię kocham. Czy mogłaś sobie wyobrazić, jak ja się czułem?

- A jak to miałam zrobić? - powiedziała. - Wydawało mi się, że pasujemy do siebie jak ulał, ale potem nie widziałam cię tak długo.

Wypuścił ją z uścisku i splótł ręce na stole. Thornton przyniósł jedzenie. Lily wzięła kanapkę i ugryzła potężny kęs, chociaż każdy gruczoł w okolicach jej szczęk zdawał się stawiać opór. Jednak smakowity zapach grillowanego kurczaka, świeżej sałaty i pomidorów zdążył przeniknąć już do jej nozdrzy, pomyślała więc, że w życiu nie jadła czegoś równie pysznego.

- A ty... ty też coś dla mnie masz, prawda? - zapytał Tyler. - To znaczy: jak czujesz? Wiem, że czujesz to samo.

Musiała poczekać, aż uda się jej przełknąć.

- Tak. Ale nie rozmawiajmy o tym tutaj. - Ugryzła kolejny kęs.

- Jestem w tobie zakochany - powiedział. - Przestań przez chwilę jeść.

- Nic nie rozumiesz.

Znowu odgryzła część kanapki. Bolał ją żołądek. Czuła każdy kęs, który tam docierał, dlatego splukiwała nieprzyjemne wrażenie piwem. Tyler wlepił w nią spojrzenie.

- Tak naprawdę to nie jadłam niczego od wielu dni.

- Dni?

Obserwował, jak jadła. W końcu powiedział:

- Od kiedy cię ujrzałem, nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o tobie, Lily. Ja... nie chodziłem za tobą, bo robiłaś wrażenie... bo, no cóż, bo ja byłem pełen zahamowań, jeśli chodziło o ciebie. Byłaś taka opanowana.

- Ja? - odezwała się z pełnymi ustami.

- Czy czujesz to samo co ja? - dopytywał się. - Czy możesz przestać na chwilę jeść? Jezu, Lily, ja ci się oświadczam, a ty siedzisz i napychasz sobie buzię!

Nieoczekiwanie w tym samym momencie obydwójce wybuchnęli śmiechem. Śmiech Tylera zabrzmiał jak krzyk, aż pozostali goście zaczęli się na nich oglądać. Śmiali się jak szaleni, a Lily zakryła dłonią usta, żeby kęs kanapki, który właśnie ugryzła, nie wylądował na stole. Wreszcie, kiedy nieco się uspokoili, próbowała go przełknąć, ale wtedy dopadł ich kolejny atak. Chwyciła serwetkę, przycisnęła ją do ust i trzymała mocno, cała się trzęsąc. Nadszedł moment kulminacyjny, kiedy każdy wybuch śmiechu powodował następny atak i Lily

pomyślała, że w którymś momencie straci przytomność. W końcu udało im się opanować i mogła się wreszcie porządnie napić.

- To co, pobierzemy się? Przepraszam, wiem, że to wygląda tak, jakbym pytał, czy chcesz stąd wyjść albo coś w tym rodzaju. To znaczy, cała ta sprawa tak wygląda. Wyjdiesz za mnie, Lily. - Ostatnie zdanie wypowiedział tonem stwierdzenia.

Znowu zaczęła się śmiać. Śmiali się oboje, patrząc na siebie nawzajem. Nie mogła wykrztusić słowa i to ich jeszcze bardziej rozśmieszyło. Wreszcie stopniowo emocje opadły i rozejrzeli się po sali. Obok nich siedzieli już inni ludzie - małżeństwo z trojgiem małych dzieci. Jedno z nich było niemowlęciem i próbowało pierwszych kroków w chodziku.

- Prawdę powiedziawszy, to mnie nie znasz, Tyler - odezwała się Lily. - Właściwie oboje się nie znamy. Nie chodziliśmy ze sobą. Sama nie wiem, czego chcę od życia. Nie wiem nawet, czy chcę mieć dzieci.

Wszystko to wyrzuciła z siebie jednym tchem, jakby długo czekała, żeby to powiedzieć, jakby nareszcie puściła jakaś wewnętrzna blokada.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł. - Dla mnie wszystko gra.

- Ale nie możesz wiedzieć, jak to będzie w przyszłości.

- Wiem, że cię kocham. I to mi wystarczy.

- Przecież nic o mnie nie wiesz, Tyler. Naprawdę.

- Wiem, co czuję. I wiem, że ty czujesz tak samo. Lily, to jest tam.

Wytarła oczy papierową serwetką. Łzy są cudowne, pomyślała, najpierw płyną, bo płaczesz, a potem, bo się śmiejesz. To przypominało czary. Tak niedawno powiedziała sobie, że nie wierzy w żadne romanse, że nigdy nie pozwoli sobie na szaleństwa młodości: zaloty, zakochanie, omdlewania jak bohaterki powieści, namiętności pościgu i pojmania, na uniesienia i poddanie się, na emocjonalną pustkę tak charakterystyczną dla literatury i wielu sztuk scenicznych, które oglądała, dorastając, bo grał w nich jej ojciec. A teraz była tutaj - i była tutaj przez ostatnie tygodnie, bardziej nieszczęśliwa, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała. To wszystko już minęło.

- No i co? - zapytał. - Tak czy nie? Zaczęli znowu się śmiać.

- Tak - zdołała powiedzieć pomiędzy wybuchami śmiechu. O cokolwiek mnie pytałeś, odpowiedź brzmi „tak”.

Kochana Doris

Nie przyjadę prosto do domu; mam nowiny, które być może będą dla ciebie i taty szokiem. Najlepiej będzie, jak powiem prosto z mostu: wychodzę za mąż. On nazywa się Tyler Harrison i jesteśmy w sobie zakochani do szaleństwa. Zdecydowaliśmy, że nie chcemy wielkiej uroczystości. Weźmiemy ślub cywilny, a Dominik będzie naszym świadkiem. ~~Jeszcze nie wiemy, jakie mamy plany.~~ Ciągle mam zamiar skończyć gdzieś szkołę - ale chwilowo będziemy mieszkać w Missisipi, bo Tyler dostał tam propozycję pracy od przybranego ojca. Na razie nie mamy czasu, ~~żeby pojechać na północ i was odwiedzić~~ - mam nadzieję, że nam to wybaczysz. Chciałabym, żebyś poznała

Tylera, więc oczywiście napiszę albo zadzwonię, kiedy sprawy się trochę ułożą, a ja poczuję grunt pod nogami. Wiem, że ~~nie byłam zbyt uprzejma przez telefon, i wiem, że powinnam zadzwonić, żeby ci przekazać tę wiadomość, ale na razie po prostu nie mogę. Myślę, że wasz rozwód pozostawił we mnie pewne ślady, o których sama nie miałam pojęcia, i nie wiem, jak mam sobie dać nimi radę. To nie jest nieczyja wina.~~ Wiem, że ten list wyda ci się nieprzemyślany, może nawet nieczyły, więc chciałabym...

Kochana Doris

Wychodzę za mąż. Chciałabym mieć trochę czasu, żeby przywieźć go na północ i przedstawić tobie i tacie, ale właśnie ruszamy do Missisipi i po prostu nie ma kiedy...

Kochana Doris

Kocham cię i mam nadzieję, że mnie zrozumiesz...

Kochany tato

Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Jednym ruchem zmiotła wszystko ze stołu, przy którym siedziała: lampkę, książki i zapiski, szklankę wody, którą popijała. Wszystko poleciało na podłogę. Potem jeszcze przewróciła stół i stała tak wśród poboju, patrząc na skaleczenie na małym palcu. Wpatrywała się w nie z uwagą, w kroplę własnej krwi. Szklanka się nie stłukła, toteż Lily nie

mogła zrozumieć, w jaki sposób się zraniła. Wyszła z pokoju, powędrowała do łazienki i obmyła ranę. Potem przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze - w pełnym świetle jej twarz wyglądała raczej mizernie. Wróciła do pokoju i zabrała się do sprzątanego bałaganu: wyrzuciła do kosza zapiski, starła z podłogi rozlaną wodę. W lampce obluźowała się żarówka i nie można było jej włączyć, Lily owinęła więc ciasno przewód dookoła podstawki i schowała ją do szafy. Większość nocy poświęciła na pakowanie książek, nagrań i kaset. Kilka razy zatrzymała się przy telefonie, żeby wystukać numer Doris, ale odkładała słuchawkę, zanim matka zdążyła odebrać. Do ojca w ogóle nie zadzwoniła.

Odezwała się Sheri, a w jej głosie było słychać prawdziwy entuzjazm. Tyler zadzwonił, żeby jej powiedzieć, że przyjeżdżają oboje z Lily. Jej głos z powodu odległości brzmiał nieco piskliwie, jakby mówiła z drugiego końca jakiegoś długiego tunelu.

- Pomyśl tylko, będziemy szwagierkami!

Później zjawił się Tyler, przyniósł jej róże i perfumy. Porwał ją w objęcia i zaniósł do łóżka. Lily przeżyła chwilę grozy, przypomniałszy sobie, co zdarzyło się z Dominikiem. Tyler całował ją i przytulał, ale nie posuwał się dalej.

- Zrobimy to we właściwym czasie - powiedział. - Możemy poczekać.

Ale ona nie chciała czekać. Chciała od razu zacząć, ogarnięta pragnieniem ponownego przeżycia tego, czego tak bardzo się obawiała. Pocałowała go długo i mocno i wsunęła mu dłoń między nogi.

- Kochanie, proszę cię - rzekł. - Ja naprawdę chcę, żeby to się stało wtedy, kiedy powinno.

- To właśnie teraz - zamruczała, nie odrywając się od niego. - Chcę tego.

W kilka chwil zrzucili ubrania. Tyler przeturlał się na nią i wszedł w nią jednym pchnięciem - to ją zachwyciło, że tak łatwo, tak dobrze - ale nagle się zatrzymał. Wsparł się na rękach i spojrzał jej w oczy.

- Boże - powiedział. - Jaka jesteś piękna. Ciągłe się nie rusza.

- No! - ponagliła go i zakołysała pośladkami.

- Czy ty... - zaczął. - Zaczekaj.

Leżała bez ruchu. Jego obecność w głębi jej ciała napełniała ją ciepłem i poczuciem komfortu; była dopełnieniem jej kobiecości.

- Co się stało? - zapytała.

- Nie martwisz się ani trochę o to, co może się stać? - W jego głosie pojawiło się coś na kształt poczucia winy, prawie przypominającego skruchę.

- O nic się nie martwię - usłyszała własną odpowiedź. I nieoczekiwanie stało się to prawdą. Udało jej się zostawić za sobą całą długą, burzliwą i złożoną przeszłość i skoncentrować na tym, tylko na tym, ponieważ to było naturalne, słuszne i niezakłamane.

- Być może... - Jego głos drżał. Żadne z nich się nie poruszyło.

- Mam bardzo regularny okres - poinformowała Lily. - Wiem dokładnie, kiedy przechodzę owulację. Nie ma się o co niepokoić.

- Ale powiedz mi, czy koniec końców chcesz mieć dziecko? - zapytał. - Czy to jest dla ciebie ważne?

- Tyler, teraz nie ma się czym przejmować. Nie chcę się nad tym zastanawiać akurat w tym momencie. Już ci powiedziałam, co na ten temat myślę.

- Mówiłaś, że nie jesteś pewna, czy chcesz mieć dzieci.

- Po co teraz poruszasz ten temat? Lepiej porozmawiajmy o przedślubnej intercyzie.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. To było dziwne i cudowne uczucie, śmiać się, czując go wewnątrz własnego ciała. Położył się na niej całym ciężarem.

- Proszę, powiedz mi - szepnął jej do ucha.

- Nie wiem. A ty wiesz?

- Nie. - Poruszył się wreszcie. To było coś wspaniałego.

- Zrób to jeszcze raz.

- Więc nie ma to dla ciebie znaczenia?

- Tyler, przecież uprawiamy seks. Czy może uprawialiśmy?

- Ale... nie boisz się, że możesz zająć w ciążę?

W odpowiedzi opuściła nieco pośladki, potem je uniosła. Westchnął delikatnie i znowu wsparł się na rękach. Lily przesunęła dłońmi po napiętych mięśniach jego ramion.

- No chodź! Zawsze wszystko planowałam i nie chcę tego więcej robić.

- Tak - powiedział i zaczął się poruszać z szybkością, która Lily zaskoczyła. Był prawie brutalny, ale to jej odpowiadało. Za każdym razem unosiła biodra, aby wyjść mu na przeciw i on miękko wchodził w głąb, jak jedwab ślizgając się w jej wnętrzu. Całkowite zespolenie.

- Och - powiedział i trysnął gorącą wilgocią, którą ona poczuła tak, jakby coś głęboko w niej się rozpuściło.

Już po wszystkim leżeli obok siebie, a światło w oknie stopniowo blakło. Ciągle jeszcze pozostało tyle do zrobienia.

- Myślę, że powinniśmy jutro pojechać zobaczyć się w twoimi rodzicami - odezwał się Tyler.

Jakże daleki był od zrozumienia jej uczuć!

- Nie chcę się z nimi zobaczyć. W każdym razie nie z ojcem. A jeśli pojedziemy do mojej matki, będziemy musieli wstąpić i do niego.

- Ja jednak myślę, że powinniśmy.

Po tych słowach wstał, wciągnął slipki i pomaszerował przez korytarz do łazienki.

- Jesteś niesamowicie wkurzona na ojca - stwierdził po powrocie.

- Och, pan doktor Freud! - zawołała.

Wstała z łóżka, owinęła się w prześcieradło i poszła do łazienki. Kiedy przechodziła przez korytarz, w głębi duszy pragnęła, żeby dziewczyny z innych pokoi były akurat w domu i mogły ją zobaczyć.

- A teraz wkurzasz się na mnie! - krzyknął za nią.

- Nie słyszę cię! - wrzasnęła, choć dobrze słyszała każde słowo. Kiedy wróciła z łazienki, Tyler był już ubrany. To spowodowało, że poczuła się niezręcznie. Zamknęła starannie drzwi i usiadła na łóżku, cały czas owinięta prześcieradłem.

- Pojedźmy tam jutro - zaproponował. - To tylko półtorej godziny drogi.

6

Kiedy wyszedł, postanowiła zadzwonić do matki. Nikt nie odbierał, ale Lily wiedziała, że Doris kupiła ostatnio automatyczną sekretarkę. Bezcielesny elektroniczny głos, maszyny, pozbawiony jakichkolwiek ludzkich emocji, powiedział:

- Dzień dobry... Proszę... zostawić... wiadomość... po sygnale...

Odezwał się sygnał, dłuższy, niż się spodziewała, dlatego niechętnie zaczęła mówić jeszcze w czasie jego trwania. Musiała przerwać, poczekać chwilę i rozpocząć znowu, kiedy nareszcie w słuchawce zapadła cisza.

- Doris, jutro rano przyjadę do ciebie z... z przyjacielem. Nie wiem dokładnie, o której będziemy, przypuszczalnie około dziesiątej. To strasznie dziwne uczucie mówić do takiego urządzenia. Czy twoim zdaniem to, co teraz powiedziałam, zabrzmiało szczerze? To na razie.

Odwiesiła słuchawkę. Miała wrażenie, że wszystko wyszło jak należy.

Na dworze pięknie świeciło słońce. Kilka osób odpoczywało w cieniu, leżąc bądź siedząc na trawie. Nie zauważyła wśród nich nikogo znajomego. Postanowiła, że pójdzie do sklepów i zrobi użytek z ostatniego czeku, który dostała od ojca, żeby kupić sobie jakąś sukienkę na ślub. Ślub. Szła chodnikiem, przepychając się pomiędzy grupkami przechodniów i rozmyślając o tym, co właśnie miało nastąpić. Zamażpójście. Zaczęła wyobrażać sobie przyszłość, tak jak to czyni prawdopodobnie większość ludzi w takiej sytuacji. Zobaczyła siebie po latach, spoglądającą z nostalgią wstecz i usychającą z tęsknoty za czasami młodości - za czasami, które świat, a potem rodzina oddaliły od niej nieodwołalnie. Ale taka jest kolej rzeczy. Postanowiła przerwać te rozmyślenia i brać życie, jakie jest. Pragnęła Tylera - tego była pewna jak jeszcze nigdy niczego; był rzeczywisty i tak do bólu związany z jej ciałem jak głód.

Na rogu Rugby Avenue i University Drive przystanęła i czekając na zmianę świateł, gapiała się na szklany kwadracik po przeciwnej stronie z napisem STÓJ! Jakaś obca młoda kobieta zakasłała, stojąc tuż obok. Lily zerknęła w jej stronę, zobaczyła ciemne rysy i wyraz zaabsorbowania, który gościł na twarzy nieznajomej. Niewiele brakowało, a powiedziałyby do niej głośno; „Wychodzę za mąż w tym tygodniu”. Zapaliło się zielone światło i kobieta zeszła z krawężnika. Lily ruszyła jej śladem. Nieznajoma, która szła tuż obok, wzbudziła w niej morze uczuć i przypuszczeń; jak dziwne wydawało się jej teraz wyobrażanie sobie czyichś osobistych problemów. Lily współczuła jej serdecznie, niezależnie od tego, jakiego rodzaju kłopoty nękały tę dziewczynę. Po drugiej stronie ulicy był sklep z ciuchami i Lily, opierając się o sygnalizator świetlny znajdujący się naprzeciw wejścia, spostrzegła Dominika. Na jej widok skrzyżował rękę. Kiedy dotarła do krawężnika, wyprostował je i Lily wpadła prosto w jego objęcia. Prawie zachwiała się na nogach pod jego ciężarem.

- Dzieciaku - powiedział na powitanie.

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytała. Była bliska płaczu i tak wiele miała mu do powiedzenia.

- Cały czas kręciłem się tutaj. - Odsunął się o krok, nie wypuszczając z rąk jej dłoni, przyglądał się jej niemal ojcowskim wzrokiem. - Wyglądasz na nieco spiętą.

- Dokąd wtedy poszedłeś, Dominiku? - Teraz płakała już na dobre. Wycierała łzy wierzchem dłoni, przy okazji rozmazując tusz.

We dwoje zaczęli wycierać ciemne smugi z jej policzków, stojąc blisko siebie w plamie słońca na chodniku. Ich zniekształcone sylwetki odbijały się w szkle szyby wystawowej sklepu.

Zobaczyła w tym odbiciu, jak słońce lśni w ich włosach. Dominik pomyślał, że Lily płacze z powodu dawnej depresji.

- Wyjechałem na kilka dni i zobacz sama, co się stało: ktoś ukradł mi przyjaciółkę. - Opuścił ręce, a kiedy zaczęła iść, dotrzymywał jej kroku. - Moja droga miss Scarlett, to się stało tak nagle...

- Dominik, nie widziałam cię...

- Masz zamiar powiedzieć, że ci przykro z tego powodu, że nie poprosiłaś mnie o pozwolenie?

Zatrzymała się. Przystanęli przed wystawą sklepu z antykami, gdzie stało mnóstwo lalek i domków dla nich.

- Jak się dowiedziałeś?

- Znam trochę Tylera. Jest strasznie podekscytowany. Moim zdaniem jest nawet trochę za poważny, stary Tyler. Ale najwidoczniej tak to bywa, kiedy człowiek jest zaabsorbowany sprawami niepodlegającymi dyskusji. Ja go nawet lubię. Dużo razy miałaś okazję, żeby z nim pogadać?

- Jestem zakochana, Dominik. Kompletnie, szaleńczo, całkowicie, bezrozumnie zakochana.

- Promieniejesz jak nowa dziesięciocentówka, oczywiście jeśli nie liczyć tuszu. - Zmazał niewielką smugę z jej policzka. - Ostatnio udało mi się dowiedzieć czegoś o mnie samym, kochanie, i czuję się nieprawdopodobnie wspaniale odprężony i szczęśliwy; i jestem szczęśliwy także z twojego powodu.

Zobaczyła na jego twarzy zagadkowy uśmiech, a potem przemknął przez nią nieuchwytny cień. Po chwili ten wyraz zupełnie się zmienił i Dominik wskazał wejście do sklepu.

- Czy właśnie tutaj szłaś?

- Chciałam kupić jakąś sukienkę - odparła. - Nie szłam w żadne konkretne miejsce.

- No to idę za tobą, dziecinko.

Lily weszła w wąskie przejście prowadzące do drzwi sklepu, a Dominik jakby od niechcenia otoczył ją ramieniem.

- Ciągłe jesteśmy kumplami? - zapytał.

- Och, Dominik! - zawołała. - Zawsze! Na całe życie!

- Obiecaj mi, że nigdy nikomu nie powiesz, że byłem twoim pierwszym - no, twoim pół-pierwszym, nieudanym pierwszym.

- Stop! - powiedziała. Przestań się upokarzać, Dominik. Nie było nic złego w tym, co zdarzyło się między nami, może z wyjątkiem tego, że nie widziałam cię przez tyle dni.

- Mam dziś ochotę na nieduże upokorzenie - rzekł. - We wszystkich książkach piszą, że to urocze.

- To nie jest zabawne. Mogłabym pomyśleć, że zrobiłam coś, co cię uraziło.

- Przepraszam. Jezu, naprawdę przepraszam. Już ci mówiłem, że to nie miało związku z tobą.

Odwróciła się od niego, podeszła do wieszaka, gdzie wisiał rząd sukienek i zaczęła je przeglądać. Dominik stał obok bez słowa. Wyjęła jedną.

- Co o niej myślisz?

Pokręcił głową i Lily odwiesiła ją z powrotem. Wyjęła następną, ale ta też mu się nie podobała. Zdjęła kolejną.

- Badziewie - ocenił. Roześmiała się i objęła go.

- Chodźmy stąd. Nie widzę tu nic, co mogłoby zyskać twoje uznanie.

Wyszli ze sklepu na ulicę zalaną słońcem i ruszyli razem wzdłuż ulicy. Dominik wziął jej dłoń, ale po chwili wypuścił i z wahaniem oparł rękę na jej ramieniu. Najwyraźniej niepokoił się, jak to będzie wyglądało. Zatrzymali się na rogu ulicy. Dominik wcisnął rękę głęboko w kieszenie i odwrócił wzrok. W końcu spojrzał na nią.

- Przypuszczam, że zauważyłaś, że jestem jakiś dziwny - powiedział po chwili.

- To nie moja sprawa, prawda? - zapytała.

- Oczywiście, że twoja. Jesteś moim najbliższym przyjacielem, Lily.

- W porządku.

Oplotła go ramionami i przytuliła się mocno. Pozostali tak przez kilka chwil.

- Jak mówią, zrzuciłem z serca wielki ciężar.

- Cieszę się - odparła Lily. - Ja także.

- Moi rodzice mają zamiar wyjechać na wybrzeże. Myślę, że mój ojciec chce pracować jako wolontariusz przy następnej wyprawie na orbitę.

Zaśmiała się i położyła obie ręce na jego piersi.

- Dom...

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął stamtąd złożony kawałek papieru.

- Tu masz mój adres i adres moich rodziców. Zawsze możesz mnie znaleźć przez nich, jeśli mój będzie nieaktualny. Albo wyślij list do ojca na adres NASA.

7

Tego samego wieczoru Doris oddzwoniła, bo koniecznie chciała się dowiedzieć, kogo Lily ma zamiar przywieźć.

- Czy to jest przyjaciółka, czy przyjaciel, Lily? I mam nadzieję, że nie będzie ci przykro, jeśli powiem, że moim zdaniem to trochę niegrzecznie, że nie chcesz mi powiedzieć nawet tego.

- Przepraszam, Doris. To przyjaciel.

- Przyjaciel czy... chłopak? Lily odczekała chwilę.

- Mamy zamiar się pobrać, mamó. Doris zakasłała, a potem odchrząknęła.

- To musi być coś poważnego, jeśli powiedziałaś do mnie „mamó”.

Zapadła cisza, wypełniona tylko długim westchnieniem Doris.

- Kiedy? - zapytała wreszcie.

- Dopiero co się zdecydowaliśmy, w tym tygodniu. Och Doris, jestem taka szczęśliwa!

- Kiedy macie zamiar się pobrać?

- W tym tygodniu. Nie chcę żadnych przygotowań. I żadnej uroczystości. Po prostu pójdziemy do urzędu. To także jest mój pomysł.

I Lily opowiedziała resztę - o przeprowadzce na południe, o pracy w Missisipi, o szczególnej historii rodzinnej Tylera - i czekała na reakcję matki. Mówiła to wszystko w głębokiej ciszy i jak błyskawica przemknęła jej myśl, że może Doris przerwała połączenie.

- Przywozisz do domu narzeczonego i uprzedzasz mnie o tym dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

- Wiem, że to wszystko dzieje się strasznie szybko. Nigdy bym nie uwierzyła, że coś takiego się przytrafi. Nie będę miała ci za złe... to znaczy, zrozumiem, jeśli potrzebujesz więcej czasu, żeby się przyzwyczaić.

Cisza.

- Doris, może sobie nie życzysz, żebyśmy przyjechali?

- Nie bądź śmieszna. Na pewno wolałabym wiedzieć nieco wcześniej, że moja córka podejmuje taką decyzję. Nie zaszkodziłoby również, gdybym miała trochę więcej czasu, by

przygotować się do takiej wizyty. Dom jest w okropnym stanie. Poza tym nie mam pojęcia, czy uda mi się złapać twojego ojca.

- Nie musisz... naprawdę nie... nie rób tego, Doris. Nie dzwoń do niego, proszę cię!

- To twój ojciec. Oczywiście, że do niego zadzwonię. Rozumiem, że nie dzwoniłaś.

- Zadzwoniłam do ciebie!

- Zobaczą, co da się zrobić - odparła Doris, ponownie wzdychając. - A ty będziesz musiała z tym żyć, czymkolwiek to się okaże. To jest małżeństwo, kochanie. To nie jest tak proste jak decyzja, że nie robisz dyplomu. Wiem, że jesteś podekscytowana i w ogóle, ale są sprawy... pewne względy społeczne, których nie możesz ignorować, jeśli nie chcesz poważnie zranić tych, których kochasz. Na pewno tego nie chcesz... z pewnością taka myśl nie przyszła ci do głowy. Czy wiesz, jak bardzo skrzywdzisz ojca, jeśli po prostu pójdziesz i zrobisz coś takiego w tajemnicy przed nim?

Lily poczuła ukłucie w okolicach serca.

- Miałam zamiar mu powiedzieć. Znowu nastąpiła długa chwila milczenia.

- To ja chciałam, żeby on się wyprowadził, Lily. Rozumiesz?

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Zobaczyła okrągłą tarczę księżyca ponad koronami drzew, poruszającymi się z gracją w lekkich podmuchach wiatru. Było na tyle widno, że przeciwną stronę placu widziało się prawie tak wyraźnie jak w świetle dnia.

- Czy mnie słyszysz? To przyniosło mi ulgę.

Znowu zapadła cisza, a potem usłyszała głos matki, przytłumiony i niski.

- Koniec miłości boli bardziej niż cokolwiek innego. I to bolało nas oboje. Nie bawię się w filozofowanie, Lily. Byłam na niego wściekła, zgadza się. Ale kiedy wyjechał z domu na kilka tygodni, poczułam po raz pierwszy od lat, że nareszcie mogę być sobą, że mogę sobie wszystko odpuścić i zrelaksować się. Rozumiesz mnie?

- Nie ma w tym nic niejasnego, Doris - odpowiedziała Lily. - Wszystko zrozumiałam.

- Przykro mi, że to cię boli, skarbie.

Lily nie chciała teraz rozmawiać o tym, co ją boli. Milczała.

- To boli każdego - ciągnęła jej matka. - Chciałabym, żeby coś mogło to zrekompensować.

Przez dłuższy czas żadna z nich się nie odzywała, nawet nie słychać było ich oddechów. Na linii panowała głucha cisza, jak w najodleglejszych zakątkach kosmosu.

- Witaj w świecie dorosłych, moja mała dziewczynko - rzekła matka bardzo cicho, gdzieś daleko, daleko stąd, głosem nabrzmiałym od łez. - Och Lily, twój ojciec i ja tak naprawdę rozstaliśmy się na długo przed pojawieniem się Peggy.

- Już cicho - powiedziała Lily. - Przestań. Masz rację, to nie moja sprawa.

- No cóż, myślimy o sobie i nawzajem o sobie dbamy.

To fakt. Lily powiedziała swojej matce, że ją kocha, przystając na wszystkie jej sugestie dotyczące małego rodzinnego zebrania - ona z Tylerem, Doris, Scott i Peggy - i zakończyła rozmowę.

8

Kiedy w mglisty, deszczowy poranek jechali na północ, Lily wspomniała Tylerowi, że poprzedniego dnia wpadła na Dominika, ale Tyler nie wiedział, o kogo chodzi.

- Dominik Martinez - wyjaśniła. - Powiedział mi, że trochę cię zna.

- Ach, masz na myśli Nika? Chłopaka, który chodził na wykłady z filozofii? Takiego wysokiego chudzielca?

- Zgadza się.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Przez gęstą mgłę nie można było dostrzec nawet zarysu gór, a tumany unoszące się tuż nad ziemią skutecznie zasłaniały drogę.

- Dobrze znasz Dominika?

- Och, on tutaj jest moim najbliższym kumplem. Poznałam go, kiedy miałam czternaście lat.

Tyler się nie odezwał. Kiedy spojrzała na niego kątem oka, spostrzegła kształtny zarys jego szczęki. Ze zmarszczonymi ze skupienia brwiami prowadził samochód, całkowicie koncentrując się na drodze. Usiadła, opierając się plecami o fotel, i rozkoszowała się myślą, jak bardzo jest szczęśliwa. Patrzyła na zielone wzgórza spowite szarością, na farmy i gospodarstwa pod skłębionym pułapem chmur. Przypominało to marzec, nie maj. Wyprzedzili kilka ciężarówek, a błoto tryskające spod kół zamazało im przednią szybę. Licznik wskazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę.

- Nie jedziesz trochę za szybko? - zapytała.

Natychmiast położył nogę na pedale hamulca.

- Jechałem tą drogą już tysiące razy, przepraszam. W odpowiedzi pogłaskała go po łokciu.

- Więc znałaś Dominika przez te wszystkie lata? - odezwał się po chwili milczenia.

- Był na moich czternastych urodzinach. Palił papierosa, zaproponował mi, żebym się sztachnęła, no i zaczęliśmy gadać. Potem nie widziałam go aż do zeszłego roku.

Wpatrywała się w deskę rozdzielczą, w lśniące kółko kierownicy z zaciśniętymi na nim palcami, w gładkość jego skóry na nadgarstkach.

- Chciałbym cię znać wtedy, kiedy miałaś czternaście lat - powiedział.

Przed nimi rozciągało się zasnute ciężkimi chmurami niebo. Słońce z trudem torowało sobie drogę. Kiedy dotarli do Steel Run, widzieli już przebłyty błękitu między szarością. Nawierzchnia drogi zrobiła się sucha. Przejechali przez Steel Run; Tyler skręcił w boczną uliczkę, za rzędem sklepów i kościołem episkopalnym, i dotarł do wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły, z gankiem ozdobionym białym gzymsem, białymi obramowaniami okien i z oknami mansardowymi na dachu. Zwolnił i zatrzymał samochód.

- To właśnie tutaj dorastałem. - Cmoknął, z udanym zdziwieniem kręcąc głową. - Śmiesznie, co?

Czekała na jego dalsze słowa, a kiedy się nie odzywał, ponagliła go.

- Opowiedz mi.

Przez chwilę zdawał się zbierać myśli. Z jego spojrzenia zniknął wyraz zadumy.

- Och, nie mam już zbyt wiele do opowiadania.

- Dlaczego to zabrzmiało tak smutno?

Nie odrywając wzroku od domu, pokręcił głową.

- Jak już kończyliśmy tutaj mieszkać, przeżyliśmy lepszy okres, to znaczy mogliśmy porozmawiać chwilę i ojciec nie dawał mi życiowych rad. Był bardzo wrażliwy, jeśli chodziło o sprawy moralności, wręcz skrupulatny. Nie pił, nie palił, nie przeklinał. Był wyjątkowo moralnym człowiekiem, który znał las i dzikie zakątki, polowanie i łowienie ryb, i wiedział o różnych praktycznych sprawach z tym związanych, a przez trzydzieści lat pracował w urzędzie statystycznym. I chciał, żebym został lekarzem.

Dom robił wrażenie opuszczonego. W oknie na piętrze ziała postrzępiona dziura, a niebo przeglądało się w resztkach szkła. Drzewo rosnące tuż obok było obsypane różowymi kwiatami, które rozsypywały się na wszystkie strony przez połamany płot okalający trawnik.

- Developerzy mają zamiar go wyburzyć - powiedział. - Sprzedałem go ludziom, którzy chcieli otworzyć Kmart. Te pieniądze i odsetki z niewielkiej polisy, którą dostałem po śmierci ojca, wystarczyły na moją długą karierę w college'u.

Potrząsnął głową i dodał gazu, a Lily odwróciła się na fotelu, żeby patrzeć na dom niknący w oddali. Ta jego strona, mimo zasłaniających go różowych kwiatów, była już zniszczona, bo wyburzona została część ściany. Na ten widok przeszył ją trudny do wytłumaczenia dreszcz, toteż skierowała spojrzenie na pobocza drogi, na domy, które mijali.

- Znasz jeszcze tutaj kogoś?

- Parę osób. Mój tata przeprowadził się do Miami kilka lat po tym, jak wyprowadziłem się z domu. Tam umarł i został pochowany. Miami. Chryste.

Na jednym z podwórek leżały rozrzucone zabawki: rowerek, lalka, kuchenka i konik na biegunach. Do konika był przywiązany mały, biały piesek i ciągnął go za sobą po całym placu.

- Znasz tych ludzi?

- Nie.

Jechali dalej. Domy znowu ustąpiły miejsca polom, a droga się obniżyła. Przekroczyli most ponad autostradą, potem zjechali w dół i włączyli się do ruchu. Droga numer dwadzieścia dziewięć. Od Point Royal dzieliło ich jeszcze czternaście kilometrów. Po jednej stronie drogi zobaczyli nowe centrum handlowe, rząd paskudnych fasad zwieńczony ciemnoniebieskim neonem - wszystko to było tak nowe, że aż lśniło. Lily zajęła się czytaniem nazw sklepów, co choć przez chwilę wypełniło jej myśli. Im bardziej zbliżała się do domu, tym większa niepewność ją ogarniała, czy matka lub ojciec nie wykażą jasno, że ta cała sprawa jest jedną wielką pomyłką, i nie wypowiedzą swojego zdania w sposób niepozostawiający miejsca na żadną dyskusję.

Matka oczywiście nie wydawała się zdolna do czegoś podobnego, ale Lily nie mogła pozbyć się obaw przed jakimś wybuchem wynikającym z niezłomnego przekonania Doris, że to małżeństwo jest zawierane zbyt pośpiesznie.

- Wydaje mi się, że jesteś trochę zdenerwowana - zauważył Tyler.

- Bo jestem, jak sądzę. Boję się tego, co każde z nich będzie miało do powiedzenia. To znaczy mam na myśli to, że decydujemy się tak prędko.

- Ej, ja już mam dwadzieścia sześć lat. I sporo myślałem na nasz temat. Jeśli przyjrzesz się temu z boku, zobaczysz, że tak samo jest z tobą.

CZEŚĆ 2

Mary i Lily

Rozdział 5

1

8 lutego 1876

Drogi...

Nie wymieniam niczyjego imienia. Nie piszę „drogi dzienniku”. Wyobrażam sobie Ciebie, przywołuję do istnienia spoza granic mojej egzystencji. Czy jakieś małżeństwo opiera się tylko i wyłącznie na racjonalnych podstawach? Z pewnością poślubię kogoś, kogo przyprowadzi do domu ojciec. Myślę o tym z niechęcią. W ogóle nie chcę o tym myśleć. Będę musiała poznać kogoś całkiem obcego, a on będzie musiał poznać mnie. Niekiedy próbuję usprawiedliwiać wady mego ojca, ale dochodzę wówczas do wniosku, że składa się wyłącznie z wad...

Mary Henrietta Kingsley budzi się pewnego ranka z ostrym, dokuczliwym bólem w podbrzuszu, które natychmiast przywodzi jej na myśl ciągnące się od wielu lat dolegliwości matki. Zdaje się, że ze mną zaczyna się to samo, myśli. Mimo to wstaje z łóżka i zaraz potem przypomina sobie, co czytała o kobiecym ciele oraz zachodzącym w nim zmianach. Zatem o to chodzi. Zamyka drzwi na klucz, korzysta z nocnika. Krew. Serce zamiera jej w piersi. Zna relacje o obyczajach prymitywnych ludów Afryki i obu Ameryk, zna listy ojca opisujące postępowanie tamtejszych kobiet, zna coraz mocniej wyrażane pragnienia swego ciała i chociaż tak młoda, uświadamia sobie, iż te wszystkie prymitywne obrzędy mają na celu przede wszystkim opanowanie owej rozrastającej się w jej wnętrzu niesamowitej siły. Jest przerażona i zarazem zafascynowana. Przez jakiś czas zajmuje się swoim ciałem, doprowadza się do porządku. Kiedy rozlega się bicie kościelnych dzwonów, spogląda przez okno i widzi ludzi na ulicy. Gdzieś niedaleko szczeka pies, jej koguciki podnoszą straszliwy rwetes. Przez resztę dnia porusza się jak we śnie, nie potrafi skoncentrować się na lekturze. Matka jest bardziej marudna niż zwykle, list od ojca jeszcze nie przyszedł. Wieczorem, przy blasku świecy, Mary rozmyśla

o zachodzących w niej naturalnych przemianach. Zdjąwszy koszulę nocną, kładzie się na łóżku i w migotliwym świetle próbuje podziwiać swoje kobiece kształty, ale nic z tego, jest za chuda: sterczące kości biodrowe, wystający obojczyk, małe piersi - to akurat w porządku - za długie ramiona. Końce palców sięgają poniżej bioder. Jeszcze nigdy w życiu nie myślała o sobie tak bezprzedmiotowo.

- Jestem inna - mówi cicho. - Jestem inna niż wszyscy.

Szpera w książkach w poszukiwaniu ustępów poświęconych seksowi i praktykom seksualnym. Czyta o afrykańskim plemieniu, w którym obowiązuje zwyczaj, że ojciec dziecka wisi na drzewie głową w dół aż do końca porodu. Zdejmuje się go dopiero wtedy, kiedy dziecko cało przyjdzie na świat, ale jeśli dziecko albo matka umrą, on również musi umrzeć. Czyta o plemionach z wysp południowego Pacyfiku, gdzie praktykuje się seks między rodzeństwem.

Podczas kolacji wpatruje się w twarz brata, dziesięciolatka, zafascynowanego groszowymi powieściami. Nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o tych sprawach. Pozostają jej książki, niepokojąco ogólnikowe wszędzie tam, gdzie przydałaby się nieskrępowana elokwencja. Udaje sama przed sobą, że nic jej nie obchodzą ani namiętności, ani przychodzące wraz z nocnymi marzeniami żądze. Przez dwa miesiące czytuje wyłącznie romanse, udowadniając sobie, że miłość wyrastająca z seksualnych fascynacji niesie wyłącznie ból i cierpienie. Opiekuje się matką, odczuwając nieskomplikowaną naturę tej miłości. Ma przecucie, że inna miłość, ta, która wydała na świat ją i Charlesa, stanowi przyczynę choroby i cierpień matki.

Dostrzega także, choć wcale tego nie pragnie, iż ta sama comiesięczna przypadłość dotyka także matkę - ba, niekiedy wydaje jej się, że to czuje! Objawy choroby przybierają wtedy na sile, ból staje się dokuczliwszy, osłabienie wyraźniejsze. Stara kobieta cierpi jeszcze bardziej z powodu swojej kobiecości. Za każdym razem w Mary narasta niezdrowa fascynacja, działa szybciej, a zarazem trochę jakby we śnie, stara się odgadywać w lot wszystkie życzenia chorej. Czy to naprawdę możliwe, żeby urodzenie dwojga dzieci przyczyniło się do tak szybkiego fizycznego upadku jej matki? Porażona tą myślą, zagrzebuje się w książkach, jakby miała nadzieję, że w ten sposób odgrodzi się od świata fizycznego.

Lipiec 1876

Postanowiłam kontynuować ten dziennik w nadziei, że kiedyś ktoś może odnieść z niego pożytek - może nawet, jak lubię myśleć, jakaś późniejsza wersja mnie samej. Wkrótce skończę czternaście lat. Nie mam i nie będę miała formalnego wykształcenia. Chyba tak powinno być. Chanie, który ma dziesięć lat, potrafi już czytać i pisać, zna trochę łaciny i greki, a przynajmniej się uczy, nawet zaczyna poprawiać moją wymowę, a mnie się wydaje, że cała masa innych rzeczy nie jest w porządku.

O jednej z nich, która od dość dawna nie daje mi spokoju, nie będę pisać. To kobieca sprawa.

Chciałabym mieć przyjaciółkę, z którą mogłabym być zupełnie szczerą, przed którą nie musiałabym udawać kogoś innego, dla której nie musiałabym być przez cały czas miłą i grzeczna. Czasem leżę długo w nocy i wyobrażam sobie taką dziewczynkę, może trochę starszą ode mnie, która mnie rozumie. Wyobrażam sobie ciebie.

Dostrzega zmiany w swoim ciele. Prowadzi zapiski w małym dzienniku, który ukrywa głęboko, broniąc swojej prywatności, choć i tak większość dni spędza samotnie.

Ofiarowuję ci moje tajemne życie. Tobie, w twoim świecie, gdziekolwiek jesteś.

Wczoraj nadszedł list od ojca, z Ameryki, po której podróżuje z lordem Dunravenem, po dzikim, rozległym kontynencie z miejscami o cudownych nazwach wywodzących się z indiańskich języków: Kolorado, Dakota, Salt Lake, Yellowstone, Wyoming. W swoich listach często pisał o niegodziwościach, jakich rząd amerykański dopuszcza się na tubylczych plemionach, o systematycznych rzeziach i wysiedleniach. Pod błyskawicznie powstającą linię kolejową zagarniano coraz więcej terenów łowieckich. *Doprawdy trudno się dziwić, że ci biedacy bronią się ze wszystkich sił. Przecież bizona stanowią dla nich jedyne źródło pożywienia, a wiadomo, że kolej i osadnicy przepłoszą stada na dobre. Jeszcze niedawno na tych rozległych równinach było wręcz czarno od bizonów, teraz zaś z najwyższym trudem udało nam się ubić dwie sztuki.*

Tego ranka, kiedy wychodzi na tylne podwórko nakarmić koguty, nad ziemią ściela się rzadka mgła. Szkliste małe oczka obserwują ją uważnie, ostre dzioby przypominają nosy starców. Uderza ją myśl, że te hałaśliwe stworzenia o ruchliwych głowach stanowią żywą manifestację tego, co tak bardzo ją ostatnio zaprzęta: namiętności i zwierzęcych potrzeb. One są niewolnikami tych odczuć i nie mają nad nimi żadnej władzy, ba, nawet świadomie nie

czerpią z nich przyjemności. To właśnie jest piekło. Nachodzi ją myśl, że ludzie po śmierci wracają w postaci tych, których kiedyś zjadali, zakłęci w ich ciałach bez władzy nad mową. Dotykając się nocami, czuje, jak wrze w niej krew. Sądzi, że doświadcza tego mocniej niż ktokolwiek, kogo zna, i zdaje sobie sprawę, iż ma to związek z jej lekturami, z wyobraźnią, która pracuje nawet podczas wykonywania najprostszycy zadań domowych, a także tych zwykle zarezerwowanych dla mężczyzn - ładowania węgla do pieca w piwnicy albo opróżniania pojemników na śmieci. W jej głowie wciąż kłębią się dzikie obrazy.

Z oddali dobiega tętent kopyt, w błotnistą uliczkę wpada grupa jeźdźców. W powietrzu czuć koński pot i sadzę z kominów. Kiedy Mary wraca do domu, jest prawie całkiem przemoczona od mgły. Pani Barrett już na nią czeka.

- Zaziębisz się na śmierć.

- Proszę zostawić mnie w spokoju.

- Powiem o wszystkim panu Kingsleyowi!

- Bardzo proszę. Gdy tylko go pani zobaczy. A może mu o tym pani napisze?

Pani Barrett, która nie potrafi ani czytać, ani pisać, mierzy ją spojrzeniem.

- Pewnie uważasz się już za niewiadomo jaką damę, co?

- Czego pani ode mnie chce?

- Nie myśl sobie, że nie wiem, co się dzieje w twojej głowie!

Mary nie odwraca wzroku.

- Czy coś jeszcze?

- Książki. Za dużo książek to niezdrowo.

- Tak, oczywiście.

Mary przeciska się obok niej i wchodzi na schody.

- Tylko nie zawracaj głowy matce!

- Spadaj!

- Coś ty powiedziała?

Mary zatrzymuje się na stopniach, odwraca się i mówi, z trudem powstrzymując wzbierający w niej gniew:

- Pani Barrett, jeżeli codziennie będę musiała wysłuchiwać od pani takich rzeczy, to poproszę ojca, żeby panią zwolnił.

- Jesteś nieznośną małą dziewczynką i nie myśl sobie, że zapomnę choć jedno słowo z tego, co mówisz!

Z piętra dobiega odgłos kaszlu.

- Widzisz? Obudziłaś ją.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę iść.

Mary dyga grzecznie, odwraca się, wspina po stopniach i otwiera drzwi pokoju matki. Matka leży nieruchomo w półmroku, z zamkniętymi oczami. Potrafi tak leżeć całymi godzinami, chociaż wcale nie śpi. Po chwili mówi, nie otwierając oczu:

- Ona w końcu doprowadzi cię do szaleństwa.

- Słyszałaś wszystko, mammo? - pyta Mary ze śmiechem.

- Ja nie kasłałam, kochanie. Ja się śmiałam.

Podnosi rękę, zasłania nią oczy, przekręca się nieco na łóżku.

- Ciekawe, czy powtórzy to ojcu? - zastanawia się głośno Mary.

- Och, na pewno. Możesz być o to spokojna. Nasze angielskie intrygi, i w ogóle...

Znowu się śmieje. Jak łatwo nawiązać z nią nic porozumienia. Jak łatwo potrafią rozbawić się nawzajem.

- Pani Barrett trochę za bardzo się przejmuje.

- To prawda - przyznaje Mary.

- No cóż, dzięki temu przynajmniej mam z nią spokój.

- Czy potrzebujesz czegoś, co mogłabym wyrwać z jej szponów i ci przynieść?

- Nie, złotko. Spróbuję znowu zasnąć.

Mary zamyka drzwi i schodzi na dół wzmocniona i odświeżona. Pani Barrett obiera w kuchni warzywa. Mary odgryza kawałek marchewki, pani Barrett wyrywa ją z jej ręki.

- Zajmij się czymś pożytecznym, dziewczyno!

- W niektórych społeczeństwach dziewczęta w moim wieku mają mężów i dzieci.

- Nie życzę sobie, żebyś w mojej obecności mówiła o tych pogańskich zwyczajach!

Rajska jabłoń była Drzewem Wiadomości, a ty już wiesz stanowczo zbyt dużo.

- Gdyby mnie pani potrzebowała, to będę w bibliotece powtarzać grzech Adama.

- Nie chcę słuchać twoich bluźnierstw!

W bibliotece ojca Mary siada w plamie szarego światła sączącego się przez okno i czyta o okręcie, który opłynął Przylądek Dobrej Nadziei. W kuchni pani Barrett krząta się energicznie i gniewnie, dając w ten sposób upust wzbierającemu w niej oburzeniu. Mary myśli o innych młodszych kobietach, puszcujących się w to popołudnie w eleganckich sukniach, romantycznych głuptaskach z głowami wypełnionymi błahymi figlami. Żadna z nich z

pewnością nie ma pojęcia, gdzie leży Przylądek Dobrej Nadziei. Zapewne wszystkie są przekonane, że taka wiedza jest całkowicie zbędna młodej kobiecie, a fakt, że Mary zaprzęta sobie głowę takimi sprawami, świadczy wyłącznie o jej niepokojącej odmienności i zdziwaczeniu. Dokładnie poznała okręt, który wyruszył w tę niebezpieczną podróż. Uczyla się terminologii żeglarskiej nie dlatego, żeby sądziła, iż kiedyś może jej się to przydać, ale dla samej radości, że wie, co znaczą tajemnicze, obco brzmiące słowa, takie jak bukszpryt, reja, bakburta, bezan sztaksel, fał. Dzięki temu przynajmniej przez jakiś czas nie myśli o swoim ciele, o ciałach innych, o ich tajemnicach.

Nie ma żadnej nadziei na opuszczenie Londynu, czasem zaś wydaje jej się nawet, że nigdy nie wyrwie się z tego domu, lecz nie uważa, żeby z tego powodu działa się jej krzywda. W takim przecież świecie żyje i, jak wielokrotnie mówiła matce, liczy się z opinią ludzkości. Ktoś, kto znaczną część czasu spędza wśród książek, musi nabrać takiego szacunku.

Tak właśnie twierdzi na użytek swojego małego świata.

Kiedy Charlie wraca ze szkoły, Mary czeka na niego w holu. Z daleka dobiega głos kościelnych dzwonów. Umarł wikary, zupełnie go nie znali. Charlie dzieli się tą wiadomością, po czym oboje wchodzi do salonu. Jest wysoki jak na swój wiek, wyższy od niej, z daleka wygląda na nastolatka.

- Czy nadeszły jakieś wiadomości od ojca? - pyta, przyjmując ton i postawę głowy rodziny. Uczęszczanie do szkoły wbiło go w dumę.

- Nie - mówi Mary.

- Proszę, każ mi przynieść trochę soku. Mam mnóstwo pracy.

- Nie chcesz się przywitać z panią Barrett?

- Czyżbyś znowu z nią miała na pieńku?

- Z pewnością sama ci powie.

- Wspaniale. Co za szczęście mieć starszą siostrę o niewyparzonym języku!

- Zaczekaj, aż ci się głos zmieni, i dopiero wtedy zacznij przemawiać takim tonem.

- Dopilnuj, żebym dostał to, o co prosiłem, dobrze?

Zostawia go w salonie, maszeruje do kuchni i informuje panią Barrett, iż pan Charley wrócił do domu i życzy sobie szklanek soku. Następnie wspina się po stopniach na piętro i zamyka w swoim pokoju, sam na sam z poczuciem pustki i niespełnienia. Co inni mówią o niej? W jaki sposób Kingsleyowie rozmawiają o samotnej Mary i jej obłożnie chorej matce?

Ma wrażenie, że od reszty świata odgradza ją wysoki mur, nieprzekraczalna linia demarkacyjno-demarkacyjna, której nie potrafi naruszyć nawet jej ojciec, kiedy jest w domu.

Nocą, nasłuchując domowych odgłosów - cichych pojękiwań matki, niechętnego skrzypienia starych desek kurczących się w chłodnym powietrzu - czuje, jak ogarnia ją bezdenny lęk, sięga aż do serca, rozlewa się po całym ciele, prawie uniemożliwia oddychanie. Sama. Jest sama. Wyobraża sobie, że umarła i leży w trumnie. Krzyżuje przedramiona na drobnych piersiach. Wie - nie próbując nawet zrozumieć skąd i dlaczego - że nigdy nie urodzi dziecka, że nigdy nie będzie wiodła normalnego życia, takiego, jakie dociera do niej we fragmentarycznych obrazach podczas rozmów z innymi członkami rodziny. Wątpi, by była naznaczona piętnem wczesnej śmierci, a jednak, choć bez trudu wyobraża sobie najbardziej odległe części świata, to jakoś nie potrafi ujrzeć oczami duszy siebie w wieku swojej matki, która nie ukończyła jeszcze nawet trzydziestu pięciu lat. Mimo to stara się ze wszystkich sił: mąż, dzieci... Być może uczony albo pisarz, może młody asystent, protegowany ojca, ktoś, kto podziela jego pasję zdobywania wiedzy i podróżowania. Zaraz potem jednak widzi matkę, siebie na jej miejscu, w łóżku, w pokoju z zaciągniętymi kotarami, otoczoną wonią cielesnych wydzielin, na pół oszołomioną laudanum. Wizja ta jest tak ponura i niepokojąca, że Mary boi się zamknąć oczy, leży bez ruchu, wpatrzona w ciemność i myśli o swoim życiu jako o wąskim pasemku jawy na granicy między dwoma nieskończonymi snami. A sen nie chce przyjść. Nie czuje się oszukana z tego powodu, choć jest wystawiona na okropności czające się na granicy między półsnem a jawą. Często wstaje z łóżka i schodzi na dół, żeby poczytać.

Słyszy wtedy tylko szelest odwracanych kartek i szmer własnego oddechu. Czasem czyta parę słów półgłosem, żeby usłyszeć coś więcej, odgrodzić się solidniejszą zaporą od ciemności za oknem. Z nastaniem świtu zasypia skulona w fotelu albo z głową opartą na książce. Wkrótce potem odgłosy krzątania wyrywają ją ze snu zaludnionego przez duchy i zjawy.

- Zapamiętujesz swoje sny? - pyta kiedyś Charleya.

- Co za głupie pytanie!

- Ale pamiętasz je czy nie?

- Nie - odpowiada z uśmiechem, po czym przygląda się jej uważnie. - Coś ci dolega?

Mówisz jak matka.

- A ty mówisz jak ojciec, chociaż jesteś na to za młody.

- Już nie.

Milczą przez jakiś czas. Po jego twarzy błąka się wyniosły uśmiezek, ale w końcu uśmiecha całkiem zwyczajnie, jak dziesięcioletni chłopiec.

- Bo ja mam mnóstwo snów, Charles. Prawie codziennie. I pamiętam wszystkie.

- Koszmary?

- Trudno powiedzieć. W każdym razie dziwaczne.

- Boisz się ich? Mary kiwa głową.

- W takim razie to koszmary.

- Ty też je miewasz? Pochyliła się ku niej nad stołem.

- Co noc.

- Czy są dziwaczne?

- Są okropne.

- Chyba nie wierzysz, że mówię zupełnie serio.

Głupio jej, że szuka u niego wsparcia i pociechy, chociaż powinna być dla niego bardziej matką niż siostrą, a równocześnie ma nadzieję, że podzieli się z nią podobnymi przeżyciami. Ale już chwilę później uświadamia sobie absurdalność prób przeprowadzenia z nim jakiegokolwiek poważnej rozmowy; jej brat wciąż jest tylko dzieckiem, choć ma cięty język, i z pewnością brakuje mu cierpliwości.

- Ciekaw jestem, czy dzisiaj nadejdzie jakaś wiadomość od ojca - mówi.

- Najwcześniej za trzy tygodnie.

- Jesteś zbyt pewna siebie, Mary. Przecież nawet nie chodzisz do szkoły, tylko zajmujesz się domem.

- Po prostu się domyślałam.

- To lepiej przestań.

- Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Mary otwiera gazetę dopiero co przyniesioną przez panią Barrett. Jej uwagę zwraca duży nagłówek po lewej stronie:

MASAKRA

Śmierć amerykańskiego generała George'a Armstronga Custer!

Mnóstwo ofiar zasadzki nad Little Big Horn.

Spogląda nad stołem na brata, który zajada udko kurczaka, pochłonięty własną lekturą.

- Charley, jak się nazywał ten człowiek, z którym mieli się spotkać ojciec i Dunraven?

- Co?

- Ojciec pisał o tym w ostatnim liście. Mieli wyruszyć na ekspedycję z...

Gapi się na nią spojrzeniem bez wyrazu. Mary podsuwa mu gazetę, po czym nagle zrywa się z krzesła, mało nie przewracając stołu.

- Mój Boże, Charley! Spójrz! Marszczy brwi, ociera usta chusteczką.

- To on! - wykrzykuje Mary. - To był on! Custer. General George Armstrong Custer! Boże, jestem tego pewna!

Charles podnosi się, idzie w kierunku schodów, przystaje na chwilę.

- Charley, proszę! Nie idź tam!

Nagle wbiega po stopniach na górę. Mary chce popędzić za nim, ale zjawia się pani Barrett i zagradza jej drogę.

- A czegoś ty taka blada?

Charley powoli schodzi po schodach. Na policzkach ma wypieki, szeroko otwarte oczy wpatrują się w przestrzeń.

- Nie mogę.

- Na litość boską, o co chodzi? - pyta pani Barrett. - Powiedzcie mi!

Chłopiec odwraca się ku niej, lecz wydaje się, że jej nie widzi, a następnie spogląda na Mary.

- Musimy jej powiedzieć, prawda? Musimy powiedzieć matce.

- Czy ktoś mógłby mnie oświecić, o co właściwie chodzi? - pyta pani Barrett.

Mary podaje jej gazetę.

- Przypuszczamy, że ojciec był z nimi.

- Na Boga! - wybucha Charley. - A ojciec tak im współczuł! Trzymał ich stronę! Dranie! Cholerni dranie!

Mary osuwa się na fotel. W salonie zapada cisza. Słychać tykanie zegara na kominku.

Charley wędruje tam i z powrotem, wreszcie wybiega do jadalni i siada na krześle przy stole. Pani Barrett mamrocze pod nosem modlitwę. Znowu cisza. Taka, jakiej jeszcze nigdy nie było. A potem z góry dobiega głos matki:

- Dzieci? Mary, Charles, co się stało? Czy coś złego?

Chłopiec zrywa się tak gwałtownie, że przewraca krzesło, i ponownie rusza w kierunku schodów. Z piętra dobiega przeciągły ni to jęk, ni to westchnienie. Charley zaczyna wspinać się po stopniach, Mary wyjmuje gazetę z rąk pani Barrett i rusza za bratem. Wydziera najważniejszą stronę, składa i chowa do kieszeni, resztę wypuszcza z palców. Matka klęczy na

podłódze w holu na piętrze, kuli się jak przed ciosem. Charley schyla się, żeby pomóc jej wstać. Po bladych policzkach płyną łzy.

- Nie! - szepcze rozpaczliwie. - Dajcie mi spokój! Zostawcie mnie!

Wspólnymi siłami prowadzą ją do pokoju, kładą do łóżka. Kuli się jak dziecko i szlocha rozpaczliwie.

- Nie dam rady... Już nie dam rady...

- Mamo - mówi Charley. - Stało się coś okropnego...

- Na litość boską! - przerywa mu Mary. Matka podnosi na nią wzrok.

- Powiedz mi - prosi. - Ty mi powiedz.

- W ostatnim liście ojciec pisał, że jego ekspedycja zamierza przyłączyć się do oddziału generała Custer...

- To chyba dobrze, prawda? To chyba dobrze?

- Mamo, boję się, że...

- Nie - mówi matka, wciąż wpatrując się w Mary. - Nie. Nie. Dziewczyna wyciąga do niej rękę z kartką z gazety.

- Tutaj jest wszystko napisane. Popatrz.

Matka wpatruje się w nagłówek szeroko otwartymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Ma również otwarte usta, z których nie wydobywa się żaden odgłos. Nawet szmer oddechu. Mary dotyka jej policzka, po czym szybko cofa rękę.

- To nieprawda - szepcze Charley. - To nieprawda...

- Cicho bądź!

- Ojciec tak im współczuł...

- Zostawcie mnie samą - prosi matka.

- Mamo... - Mary pochyła się nad łóżkiem. - Przecież nie musimy od razu spodziewać się najgorszego, prawda?

- Boję się - mówi Charley.

- Zostawcie mnie - powtarza matka. - Proszę.

- Musimy poczekać. Musimy poczekać na jakieś pewne wieści, prawda?

- Boże! - wybucha jej brat. - Przecież masz tu napisane czarno na białym! Wszyscy zginęli!

- Ale nie wiemy, czy ojciec rzeczywiście tam był! I nie wiemy, czy zginął!

- Proszę... - szepcze matka. - Nie mogę tego słuchać...

Mary opuszcza pokój, schodzi po schodach, mija leżącą na podłodze gazetę. Pani Barrett stoi tam, gdzie ją zostawili, i modli się półgłosem. Mary wychodzi do ogrodu na tyłach domu. Jest ciemno, ziemia wypromieniowuje ciepło dnia. Na bezksiężycowym czystym niebie migoczą gwiazdy. Chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem. A jeśli to jest koniec świata? - myśli. Koniec świata. Koniec świata.

3

30 lipca 1876

Priestley i Lavoisier wśród pierwszych, którym udało się otrzymać tlen. Jakie uczucie musi towarzyszyć odkryciu, że żyjemy otoczeni gazami?

Nie mogę myśleć ani pisać o niczym. Zwykle udawanie, że prowadzę te zapiski dla kogoś, kogo nigdy nie poznam.

Ojciec jest w Ameryce Północnej. Jest. Indianie północnoamerykańscy: wojny, plemiona, myśliwi i zbieracze, rozbójnicy. Jednoczą się, by walczyć z białymi. Nie odróżniliby postronnego obserwatora od wroga. Och, moja odległa przyjaciółko... Nie rozpoznałoby pokojowo nastawionego, sympatyzującego z nimi obserwatora.

Matka spędza całą noc, siedząc na krawędzi łóżka i trąc dłonie. Nie chce wstać ani się położyć. Porusza się powoli w przód i w tył, nucąc fragment kołysanki, którą dawno temu śpiewała córce, kiedy ta nie mogła zasnąć. Mary siada przy niej i przyłącza się do śpiewu, ale nie daje to żadnego rezultatu.

- Mamo... Gdyby ojciec był tam z nimi, na pewno już byśmy o tym wiedziały...

Matka odwraca głowę, nie przestając ani na chwilę trzeć dłoni. Wyraz jej twarzy mówi wszystko: wiadomości z pewnością są już w drodze. Kurczy się i pochyla, jakby czuła lodowaty podmuch zbliżających się słów. Mary stara się pocieszyć matkę, ale i ją ogarnia mrozące krew w żyłach przecucie. Rozlegnie się pukanie do drzwi, w progu stanie ktoś, kto wypowie to straszne, ostateczne słowo. Chociaż możliwe, że nic takiego nie nastąpi. Jak bardzo Amerykanom będzie zależało na identyfikacji poległych? Jak bardzo okrutni tubylcy znęcali się nad pomordowanymi?

Rankiem matka podnosi się z trudem z łóżka, podchodzi do szafy i nie zdejmując koszuli nocnej, próbuje się ubrać.

- Muszę powiedzieć reszcie rodziny... - mamrocze pod nosem.

- Już wiedzą - mówi Mary. - Od dawna.

Henry Guillemard, przyjaciel ojca, odwiedził jego krewnych. Mary zawiadomiła go jeszcze tego samego dnia, kiedy dowiedzieli się o masakrze. Mimo to Kingsleyowie milczeli jak zakłęci, natomiast Baileyowie, którzy mieszkali w Liverpoolu, przysłali bileciki z wyrazami niepokoju.

- Twój brat powiedział, że rzuci szkołę.

- Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek...

- Charles zachowuje się jak prawdziwy mały mężczyzna.

- Tak, oczywiście.

- Gdzie oni są? Gdzie jest rodzina?

Na to pytanie Mary nie potrafi odpowiedzieć. Niechęć Kingsleyów do matki od lat doprowadzała ojca do wściekłości. Prowadzi ją z powrotem do łóżka.

- W takich chwilach rodzina powinna się trzymać razem, prawda?

- Zależy jaka - wymyka się Mary mimowolnie.

Pani Barrett staje w progu i prosi o wolne pół dnia ze względu na sprawy rodzinne. Jej syn ma wysoką gorączkę, martwi się o niego. W rzeczywistości boi się, że nieszczęście jest zaraźliwe jak choroba i że może się przenieść również na nią. Mary zgadza się, po czym prawie cały dzień spędza z matką w jej pokoju. Matka nie chce się położyć, co chwila siada na krawędzi łóżka i kołysze się w przód i w tył.

- Co z nami teraz będzie? - mamrocze od czasu do czasu. - Co z nami będzie?

Mary próbuje ją uspokoić, ale to pytanie rozbrzmiewa również w jej głowie. Jeśli wierzyć matce, ojciec nie sporządził ostatniej woli, a żadna z nich nie ma pojęcia o obowiązujących w takich sytuacjach przepisach prawnych. Mary podejrzewa jednak, że aż do osiągnięcia przez Charleya pełnoletności będą na łasce sądów, chyba że rodzina zdecyduje się podjąć jakieś działania.

Charley wraca ze szkoły w towarzystwie Guillemarda, który ponownie rozmawiał z wujkami i ciotkami ze strony Kingsleyów. Jest w ponurym nastroju, podobnie jak chłopiec. Charley siada w wielkim fotelu w salonie i zaczyna obgryzać paznokcie; chociaż jest duży jak na swój wiek, wygląda w nim śmiesznie mało.

- I co powiedzieli? - pyta Mary Guillemarda.

- Że trzeba poczekać, aż nadejdą jakieś sprawdzone wiadomości.

Jest wysokim, otyłym mężczyzną ze lśniącą łysiną, obfitymi wąsami i brodą. Patrząc na niego, można odnieść wrażenie, że ubranie lada chwila pęknie w szwach pod naporem obfitego ciała. Jest lekarzem, jak jej ojciec. Wyjmuje z kieszeni surduta małą chusteczkę, zdejmuje okulary, wyciera je w milczeniu, pociągając nosem.

- Okropnie im przykro - mówi Charley. - Chętnie by jakoś pomogli. Są pewni, że lada dzień nadejdą dokładniejsze wiadomości. Przeklęci dranie.

- Uważaj, co mówisz, młody człowieku - zwraca mu uwagę Guillemard.

- Czy wie pan, co się z nami stanie, jeśli nie będzie testamentu? - pyta Mary.

- Na pewno się wami zaopiekują. Już moja w tym głowa, młoda damo.

- Gdzie się podziejemy?

Charley gwałtownie porusza się w fotelu, nabiera powietrza, przez chwilę walczy ze sobą, wreszcie wybucha:

- Mówi pan tak samo jak ona! A oni właśnie przez nią nie chcą mieć z nami nic wspólnego!

- Udam, że niczego nie słyszałam.

- Charles, bądź grzeczny! - beszta go Guillemard. Chłopiec podnosi się z fotela, idzie na górę, do pokoju matki.

Mary podąża za nim. Słysząc tylko cichutkie pojękiwanie leżącej w łóżku kobiety. Chwilę później matka porusza się i mówi:

- Mary... Trzeba im powiedzieć...

- Doktor Guillemard już wszystkich zawiadomił. Już wiedzą. Od tygodnia.

- W takim razie powinnam się jakoś przygotować...

- Nie kłopotz się - wtrąca Charley. - I tak nie przyjadą.

- Oczywiście, że przyjadą. Muszą przyjechać.

- Teraz, kiedy nie ma ojca, już niczego nie muszą. I dlatego nie przyjadą.

- Charley! - karci go półgłosem Mary.

- Wyglądam okropnie...

- Słyszałaś? Oni nie przyjadą! Nikt nie przyjedzie!

- Musi być ktoś, po kogo moglibyśmy posłać - mówi Mary. - Jakiś sposób, żeby dowiedzieć się na pewno.

- A ty znowu to samo?

- Tak naprawdę niczego nie wiemy, Charley.

- Daj spokój. Wychodzę.
- Dokąd idziesz? - niespodziewanie pyta matka.
- Wychodzę, i już.

Nie zatrzymują go. Mary schodzi na dół i zaprasza Guillemarda na herbatę, ale ten grzecznie odmawia, zapewne słysząc w jej głosie ogromne znużenie. Zaraz po jego wyjściu parzy herbatę i pije ją sama w pokoju matki, która w tym czasie ani odrobiny nie zmienia pozycji na łóżku. Mary siada przy niej i delikatnie poklepuje ją po biodrze; czyni to odruchowo, żadna z nich tak naprawdę tego nie czuje. Matka zapada w płytką drzemkę. Mary obserwuje ją przez jakiś czas, a następnie podchodzi do okna i spogląda na ogród.

Wykonuje różne prace domowe i karmi koguty. Na zewnątrz panuje taka wilgoć, że choć rozsypanie ziarna na ziemi zajmuje jej najwyżej pięć minut, wraca całkiem przemoczona. Staje w drzwiach biblioteki ojca i właściwie dopiero teraz zaczyna odczuwać ból spowodowany jego utratą. Matka się budzi, z piętra znowu dobiega pojękiwanie.

- Mamo, przecież niczego jeszcze nie wiemy na pewno...
- Ale ja już nie mogę tego wytrzymać!
- Ani ja, mamo. Ani ja.

Po południu Charley wraca do domu i zamyka się w pokoju. Nie chce jeść ani z nikim rozmawiać. Nie wychodzi wieczorem, w nocy ani rano. Przed południem zjawia się pani Barrett, ale nie chce zostać, dopóki nie będzie wiadomo czegoś więcej. Jaki jest sens pracować, skoro nie wiadomo, czy dostanie zapłatę? Mary odprawia ją, po czym wraca do pokoju matki, czyta jej, próbuje ją uspokoić. Matka zawsze lubiła Dickensa, więc Mary czyta *Magazyn osobliwości*. W pewnej chwili uświadamia sobie, że chyba zaczęły już przyzwyczajać się do myśli, iż ojciec nie wróci do domu, chociaż nadal się z tym nie pogodziły. Próbuje sobie wmówić, że wszystko zostanie już na zawsze tak jak teraz: bez ostatecznego potwierdzenia, bez niczego.

Charley wreszcie opuszcza swój pokój, schodzi do kuchni. Mary biegnie za nim, żeby go dopaść, zanim brat znowu zniknie z domu.

- Okropnie wyglądasz - mówi do niej. - Może byś się przynajmniej uczesała?
- Charley, a co będzie, jeśli nigdy o niczym się nie dowiemy?
- Dlaczego mnie pytasz? Ja i tak o niczym nie wiem.
- Wybacz mi...

- Dlaczego ty się tym nie zajmiesz, Mary? Przecież zawsze wszystkim się zajmujesz.

Dlaczego nie dowiesz się, co się stało?

- Czemu jesteś na mnie taki zły?

Chłopiec milknie, trze czoło ręką i wybucha płaczem.

- Nie chciałem. Naprawdę. Bardzo się boję.

Robi krok w jego stronę, żeby go objąć, on jednak cofa się, jakby się bał, że siostra go uderzy.

- Nie rób tego!

- Chciałam cię tylko pocieszyć.

- Ale ja tego nie chcę. Chcę, żeby ojciec wrócił!

- Prędzej czy później ktoś z rodziny na pewno nam pomoże.

- Oni jej nienawidzą, i ja też.

Uderza go na odlew tak mocno, że chłopiec zatacza się na drugą stronę kuchni. Trzyma się za policzek, a kiedy opuszcza rękę, Mary widzi wyraźny, czerwony odcisk swojej dłoni.

- Nigdy więcej nie mów przy mnie czegoś takiego!

- Kiedy to cholerna prawda! Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć!

- Myślisz, że ktoś z nich ośmieliłby się powiedzieć to głośno?

- Każdy!

Na chwilę odbiera jej mowę. Charley otrzepuje koszulę.

- Nie słyszałaś, co mówił Guillemard? Jest im bardzo przykro, ale nic nie mogą poradzić na to, co się stało.

- W takim razie damy sobie radę bez nich.

- W najlepszym wypadku wylądujemy w jakimś przytułku, oto co nas czeka.

Wraca do swojego pokoju. Mary gotuje zupę, zanoszą ją matce, która nie chce jeść ani w ogóle czegokolwiek robić. Wszystko znajduje się w stanie okropnego zawieszenia i oczekiwania - na pukanie do drzwi, na telegram, na posłańca, który przyniesie potwierdzoną okropną wiadomość. Nic takiego jednak nie następuje. Mijają dni i noce. Mary zaczyna się lękać o zmysły matki. Nie potrafi nakłonić jej do przyjmowania posiłków. Pani Barrett przychodzi codziennie, po czym wychodzi i znika w głębi ulicy. Poza nią nikt się nie zjawia. W poczcie nie ma nic istotnego. Nawet gazety przestały cokolwiek pisać o masakrze nad Little Big Horn.

Któregoś popołudnia Mary zostawia matkę pod opieką Charleya, sama zaś wychodzi na Highgate Street, idzie aż na róg i dalej, tam gdzie mieszka kuzynka Rose z rodziną. Dzień jest upalny, gorące powietrze nieruchome, słońce praży bezlitośnie. Dom kuzynki jest zamknięty na głucho, kotary w oknach szczelnie zaciągnięte. Rose otwiera drzwi, nie ukrywa zdziwienia, że Mary nikt nie towarzyszy, po czym prowadzi ją do małego saloniku, w którym krzesła stoją przy ścianach, jakby przyszykowane na przyjęcie. Rose jest starsza od niej o trzy lata, ma pociągłą, szczupłą twarz, a z powodu słabego wzroku z jej oblicza ani na chwilę nie schodzi grymas podejrzliwości.

- Są jakieś wieści? - pyta.

- Żadnych.

Do pokoju wchodzi matka Rose. Siwowłosa, drobna, o małych oczach, ubrana w koronki i jedwabie, z szalem zarzuconym na głowę i zawiązanym wokół szyi, żeby ukryć wole.

- Pięknie wyglądasz, taka duża i dorosła... - mówi, ale Mary przerywa jej w pół zdania:

- Teraz nie czas na takie głupoty!

Kobieta na chwilę traci mowę, ale szybko odzyskuje rezon.

- Panno Mary Henrietto Kingsley, bardzo proszę, żebyś uważała, co mówisz, i żebyś zachowywała się tak, jak przystoi młodej damie!

- Dawno cię nie widzieliśmy, Mary - wtrąca pośpiesznie Rose. - Czy ty w ogóle nie wychodzisz z domu?

- Przecież tu jestem.

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś, co do ciebie powiedziałam? - pyta matka Rose.

- Zrozumiałam.

- Wszyscy się o ciebie martwimy - ciągnie Rose jakby nigdy nic. - Nigdzie się nie pokazujesz. Nie przyszłaś nawet na moje przyjęcie urodzinowe.

- Chciałabym porozmawiać z wujem.

- Jest teraz w Ameryce - odpowiada matka Rose. - Przeżyliśmy okropne chwile, kiedy dowiedzieliśmy się o twoim ojcu i tym amerykańskim generale.

- Ojciec jest w mieście, które nazywa się Chicago - informuje Rose. - Zdaje się, że to setki kilometrów od dzikusów.

- Tak, to prawda. Wiem, gdzie to jest.

- Powiadasz więc, że wciąż nie macie żadnych wiadomości? - pyta matka Rose.

Mary podnosi się z miejsca.

- Muszę już iść. Do widzenia.
- Już? Tak szybko? To czego właściwie chciałaś? Po co przyszłaś?
- Żeby zobaczyć coś na własne oczy.
- I zobaczyłaś?
- Tak. Dlatego już nigdy więcej tu nie przyjdę.

4

Wiadomość nadchodzi wreszcie tego samego popołudnia w postaci listu od ojca, w którym informuje jakby nigdy nic, że opatrność uchroniła jego i Dunravena przed niechybną śmiercią nad Little Big Horn, ponieważ ze względu na złą pogodę nie zdążyli dołączyć do wyprawy.

- Ze względu na złą pogodę - powtarza Charley. - Ze względu na pogodę.

Można odnieść wrażenie, że ich matka nie jest gotowa albo po prostu boi się poddać radości na wieść o tym, że jej mąż jednak nie został zamordowany tysiące kilometrów od domu. Ale już nazajutrz zaczyna odczuwać głód: zjada jajko, które ugotowała jej Mary. Stopniowo wraca również poczucie humoru, ponieważ kwituje żartem wyrażoną przez panią Barrett chęć powrotu do rzekomo przeklętego domu Kingsleyów.

W ogóle wszystko zaczyna powoli wracać do normy, chociaż Mary wciąż na nowo twierdzi, iż nie może oswoić się z myślą, że jej ojciec jednak żyje. Jest w tym coś niesamowitego i niepokojącego. Prześladowuje ją myśl, że gdyby ojciec naprawdę zginął, to ona, w tej części świata, przez wiele dni i tak żyłaby jakby nigdy nic, nie zdając sobie z tego sprawy. To właściwie oczywiste, niemniej nie daje jej spokoju. Kolejny powód nieprzespanych nocy.

- Ciekawa jestem, co ojciec robi w tej chwili - mówi do Charleya w deszczowy poranek tydzień później.

- Dziwna jesteś. Przygląda mu się w milczeniu.
- Prawie tak ponura jak matka.

Mary bez słowa wstaje i idzie na górę sprawdzić, co robi matka. Znowu śpi. Po powrocie do pokoju zmienia ubranie i bieliznę. Dzień ciągnie się bez końca.

Patrząc na swoje szczupłe, kościste ciało w lustrze, poddaje się fali rezygnacji. Gorąco pragnie powrotu ojca, ale równocześnie lęka się wszelkich zmian. Jakie to niezwykle: miotać się w otchłani rozpacz, bólu i zwątpienia, niczym zwierzę schwyte w pułapkę, a zarazem wzdrygać się na myśl o wszystkim, co mogłoby to zmienić.

Czuje się wewnętrznie odmieniona, czas rozciąga się przed nią jak pustynia. Ogarnia ją niemożliwy do opanowania niepokój. Spóźniona reakcja na wstrząs. Rozumie to, choć nie potrafi nazwać tego słowami. Bolesna koncentracja wywołana kryzysem nie ustępuje nawet wtedy, kiedy kryzys mija.

Przez ubiegły rok robiła na futrynie znaki, żeby wiedzieć, ile urosła. Przerazające: ponad pięć centymetrów. Chwilami odnosi wrażenie, że czuje, jak to się odbywa, jak wydłużają się jej kończyny i palce. Nie bardzo potrafi sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zaczęła lękać się szaleństwa. Pamięta za to króciutki ustęp z *Króla Leara*, jedyne dzieło Szekspira, które wielokrotnie przeczytała. Niepokoi ją, lecz mimo to powtarza go wciąż jak modlitwę:

O, nie pozwólcie mi oszaleć, nieba! Przywróćcie spokój! Ja nie chcę oszaleć!*

* Przetłumaczył Stanisław Barańczak.

Służące rozrywce wytwory wyobraźni - sztuki, wiersze, piosenki, opowiadania i powieści - kryją w sobie pułapki, które grożą kolejnymi bezsennymi nocami. W związku z tym Mary ogranicza swoje lektury wyłącznie do książek naukowych: matematyka, biologia, socjologia, fizyka, chemia. Interesują ją fakty, szczególnie te dotyczące chemii. Przerabia niemal cały księgozbiór ojca dotyczący ciał stałych, gazów i płynów. Nocami leży z szeroko otwartymi oczami, powtarzając w myślach nazwy pierwiastków, teorie Roberta Hooke'a, prawo sprężystości, falową teorię światła, odkrycia Fahrenheita, Ampère'a i Roberta Boyle'a. Potrafi recytować z pamięci prace Volty o ciepłe i gazach oraz artykuły Evangelisty Torricellego o hydromechanice. A do tego, ma się rozumieć, Isaac Newton. O tych sprawach można myśleć bez emocji, dzięki czemu niosą ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Co prawda, nie rozumie wszystkiego, co czyta, wierzy jednak głęboko, że właśnie dzięki lekturze zdobędzie konieczną wiedzę, wróci do niezrozumiałych teraz ustępów i spojrzy na nie ponownie. Ta wiara nigdy jej nie zawodzi. Na dodatek w tym, co robi, nie ma nic dziewczęcego, nie ma słabości, której oczekują od niej inni, nawet Rosę i pozostałe kuzynki, przejmujące się wyłącznie swoim wyglądem.

Tamte czytają romanse, powieści gotyckie, historie o niesamowitych przemianach, a potem dyskutują o tym z błyskiem w oku i takim zaangażowaniem, jakby w całej tej grozie i lęku było coś nieprawdopodobnie pociągającego. Mimo to Mary wątpi, czy nocami nawiedzają je zjawy i upiory. Być może kiedyś nawet o to zapyta, ale na razie najzwyczajniej w świecie nie

nadarzyła się okazja, by porozmawiać na jakiś poważny temat. Kusi ją, żeby krzyknąć im w twarz: Lękacie się postradać zmysły? Dręczą was koszmary, w których pożerają was dzikie zwierzęta? Nie boicie się odłożyć książki i wrócić do świata albo spróbować zrozumieć, co tak naprawdę wpływa na wasze zmysły?

R S

Rozdział 6

1

Lily patrzyła na znajome domy, drzewa i trawniki przy swojej ulicy z mieszaniną podniecenia i niepewności. Powiedziała Tylerowi, jak ma jechać; prowadził teraz wolno według jej wskazówek. Słońce przedarło się przez dziurę w chmurach i na powierzchni jezdni kładł się szeroki pas cienia w punkciki. Odbicia liści przemykały po gładkiej, lśniącej karoserii auta i Lily przypomniała sobie, że oglądała taką grę cieni na błyszczącej masce forda ojca, kiedy jeździli tą samą drogą. Ile to czasu już minęło? Była wtedy mała. Poczowała się tak samo, jak wcześniej tego dnia. Pomyślała, czy powiedzieć o tym Tylerowi, który na pewno też się denerwował.

- Wszystko pójdzie świetnie - odezwała się.

W odpowiedzi wyciągnął rękę i dotknął jej kolana. Mgła podniosła się, rozgrzana promieniami słońca. Zapowiadał się upalny dzień. Wszystko dookoła wyglądało świeżo i nieskalanie. Na trawnikach połyskiwały krople rosy, iskrząc się tak, jakby każde źdźbło trawy zawierało kawałek płonącego słońca. Cienie pod drzewami były niebieskawe, a liście mieniły się ciemną, soczystą zielenią. Gałęzie były czarne od wilgoci.

Wreszcie wyjechali spod sklepienia z liści i zbliżyli się do domu.

Doris stopniowo coraz bardziej zaniedbywała pielęgnację trawników - ciągle uprawiała grządkę z kwiatami ciągnącą się wzdłuż całego ganku, ale krzewy wymagały niezwłocznego przycięcia, a podjazd zarastały chwasty. Pojemnik na śmieci leżał na boku obok stosu drewna, który z jednej strony zdążył się osunąć. Z zaniedbanego ogrodu wychylały się słoneczniki.

Doris, ubrana w top, ciemne szorty i sandały wyszła na ganek, żeby ich powitać. Rozpuściła włosy, które swobodnie okalały jej twarz. Z zaróżowionymi policzkami wyglądała na zdrową i dobrze odżywioną. Jej pokryta zmarszczkami twarz błyszczała w świetle dnia.

Prezentacja nie wypadła dobrze. Tyler wyciągnął rękę, ale Doris uparła się, żeby go uścisnąć. Objęła go za szyję i wycisnęła na policzku pocałunek.

- Tak się cieszę, że cię poznałam - powiedziała, robiąc krok w tył i wyciągając ręce do Lily. - Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa.

Lily spostrzegła, że ta serdeczność jest nieco wymuszona, wzięła więc Doris pod rękę.

- Świetnie wyglądasz.

Doris zaprosiła ich do środka, gdzie podała przygotowaną wcześniej lemoniadę i poinformowała o planach na wieczór: ojciec Lily ze swoją nową żoną przyjadą na kolację, a ona już wstawiła mięso do piekarnika; ma nadzieję, że Tyler lubi pieczeń wołową. Zrobiła też szarlotkę, choć właściwie nie miała z czego. Nie pamięta już, kiedy ostatnio piekła coś z niczego, dlatego kruszonka będzie pewnie twarda jak podeszwa. Ona jednak należy do osób, które uważają, że na specjalne okazje należy się specjalnie przygotować, a ta okazja należy do zupełnie wyjątkowych. Nie chciałyby absolutnie nikogo wprawić w zakłopotanie, ale osobiście wolałyby, aby odbyło się prawdziwe wesele i ślub w kościele z księdzem, chórem i tłumem znajomych, i żeby potem był tort weselny z maleńkimi figurkami pary młodej na szczycie. Tyler i Lily muszą jej wybaczyć, że porusza tę kwestię, ale nie mogła się powstrzymać. Z udawaną wesołością bez przerwy mówiła, aż dziw, że udało jej się zaczerpnąć oddech. Tyler zachowywał się, jak na dżentelmena przystało - kiwał głową, uśmiechał się i przytakiwał, popijając przy tym lemoniadę.

- Wiem, że gadam jak najęta - rzekła w końcu Doris - ale w dzisiejszych czasach ludzie nawet nie zwracają sobie głowy małżeństwem, kiedy mają zamiar razem zamieszkać. Wy postępujcie jak należy.

- Cały dom pachnie jak w Święto Dziękczynienia - odezwał się Tyler.

- Dziękuję ci, kochanie. Twój ojciec z Peggy powinni już tu być - zwróciła się z kolei do Lily.

- Mogę pokazać Tylerowi podwórko? - spytała Lily.

- Tam już nic nie ma, skarbie. Kazałam uprzątnąć twoją starą huśtawkę.

Lily uśmiechnęła się.

- No cóż, stała tam od dziesięciu lat, rdzewiejąc przy każdym deszczu. Zaczęła już wyglądać jak szkielet z wykopalisk.

Wyszli wszyscy na zewnątrz, na mokrą trawę, kiedy ojciec Lily zajechał przed dom. Peggy nosiła czarną, bezkształtną bawełnianą sukienkę, a włosy zebrała w dwa kucyki po obu stronach głowy. Wyglądała na kogoś, kto za wszelką cenę stara się zachować dziewczęcy wygląd, choć w ustach trzyma papierosa i używa ciemnoczerwonej szminki. Lily spostrzegła, że jej matka podała Peggy rękę na powitanie, a potem cmoknęła byłego męża w policzek. Tyler czuł się całkiem swobodnie. Przyglądał się kolejno wszystkim i opowiadał, że dorastał w Steel Run, niedaleko stąd.

Stali całą gromadką w gorącym słońcu, prawiąc sobie uprzejmości, w lepszej komitywie, niż Lily jeszcze niedawno sobie wyobrażała.

Przeprosila towarzystwo i weszła do domu, a potem na górę do swojego pokoju. W gruncie rzeczy wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy chodziła do szkoły średniej - zdjęcia ojca i matki z rozmaitych przedstawień, rząd książek, a wśród nich ta o odkrywcach. Otworzyła ją i wpatrzyła się w podobiznę Mary Kingsley, a potem delikatnym ruchem zamknęła i odstawiła na miejsce.

Usłyszała, jak pozostali weszli do domu. Ojciec otwierał butelkę czerwonego wina, Peggy trajkotała coś na temat wilgotności powietrza, równie uciążliwej jak nad jeziorem Michigan, albo nawet bardziej. Tyler odparł, że nigdy jeszcze nie był na środkowym zachodzie.

Lily zaczęła schodzić po schodach i wtedy głosy umilkły. Całe towarzystwo bawiło teraz w salonie, gdzie Doris na stoliku do kawy ustawiła srebrną tacę - z wysokimi szklankami, wiaderkiem z lodem i dzbankiem z lemoniadą. Nikt ich na razie nie tknął, chociaż Doris zapraszała. Peggy poprosiła trochę lemoniady i Doris jej nałala. Ojciec Lily obejmował od niechcienia jedną ręką Peggy. Doris siedziała w swoim ukochanym fotelu ze skrzyżowanymi nogami i lekko kołysała jedną z nich. Nikt się nie odzywał. Lily nagle przyszło do głowy, że być może będzie to najdłuższe popołudnie w jej życiu.

- Gdzie odbędzie się wasza uroczystość? - zapytał wreszcie Scott.

- Wyjeżdżamy do Missisipi, tatusiu. Prawdopodobnie poczekamy, aż tam dotrzemy. Na nic się jeszcze nie zdecydowaliśmy, ale nie chcę żadnej ceremonii.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś taką przeciwniczką uroczystych ślubów - odparł.

Znowu zapadła cisza. Poczucie wyobcowania było tak namacalne jak ruch rozgrzanego powietrza.

Nieoczekiwanie Doris zaczęła płakać. Przeprosila wszystkich i pobiegła do innego pokoju. Lily zobaczyła, jak jej ojciec wymienił spojrzenie z Peggy.

Ponad półeczką nad kominkiem wisiały obrazki, które Doris namalowała całe wieki temu. Tyler zaczął je podziwiać. Doris zarzuciła malowanie, ponieważ farby olejne wywoływały u niej alergię i sprawiały, że na skórze pojawiały się piekące bąble. W czasach młodości miała nawet kilka wystaw, kiedy jeszcze tańczyła i kiedy Lily była niemowlęciem. Od czasu do czasu uczyła malarstwa i rysunku w miejscowej szkole średniej.

Gdy wróciła do pokoju, wycierając oczy papierową serwetką i przepraszając wszystkich za to, co nazywała swoją głupotą.

Tyler zauważył, że chciałby, aby namalowała coś, co będzie ozdobą saloniku domu, w którym razem z Lily zamieszkają. Doris natychmiast odjęła serwetkę od oczu.

- Nie malowałam już od lat. Od farb olejnych dostaję egzemy, a z kolei nigdy nie potrafiłam namalować dobrej akwareli - powiedziała.

- Och, jestem pewien, że potrafisz - wtrącił ojciec Lily.

- Och, Scott, nigdy się tym nie interesowałeś, nawet wtedy, kiedy malowałam.

- Wybacz, proszę, ale wydaje mi się, że to ja powiesiłem te obrazki.

- Tylko dlatego, że cię o to prosiłam. Pamiętasz tamten dzień, mój drogi?

Znów zapadła cisza. Peggy przestała na chwilę grzechotać kostkami lodu i wypła łyk lemoniady. Popatrzyła na Scotta, a potem skoncentrowała się na zawartości swojej szklanki.

- A ja uważam, że to są przepiękne obrazy - powiedział Tyler.

2

Popołudnie i wieczór upłynęły w lepszej atmosferze, niż Lily oczekiwała. Każdemu udało się znaleźć jakiś neutralny temat do rozmowy. Na Lily wywarło wrażenie to, że Peggy pomagała przy przygotowywaniu i podawaniu jedzenia. Przy stole konwersacja nadal ślizgała się dookoła powierzchownych spraw, głównie niekompetencji administracji Busha. Wreszcie Doris, przepaszając wszystkich za zmianę tematu, zapytała, jakie plany mają młodzi na kilka następnych dni. Lily wyjaśniła, że chcą spakować się i wysłać rzeczy na południe, dokąd sami pojedą w ciągu tygodnia.

- Kiedy i gdzie odbędzie się wasz ślub? - włączył się Scott. - To wszystko, co twoja matka i ja chcielibyśmy wiedzieć. Wiesz doskonale, co myślę na temat rozmaitych ceremonii, ale jednak wolelibyśmy w tym uczestniczyć.

- To sprawa Lily - wtrącił Tyler.

- Musicie wszyscy zrozumieć - powiedziała Lily, kładąc rękę na ramieniu narzeczonego. Oczami wyobraźni ujrzała uroczystości ślubne i swoją rodzinę siedzącą po jednej stronie kościoła - obie pary dziadków, wszystkie ciotki, wujków i kuzynów - i rodzinę Tylera po drugiej; wyraźnie widziała puste krzesło u jego boku. - Ja nie chcę żadnego zamieszania.

- Żadnych prezentów? - zapytał Scott. - Ani tortu weselnego?

- Chcemy po prostu żyć na swój sposób, tato. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Nigdy jeszcze nie byłam w Missisipi - odezwała się w końcu Peggy. - Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam dalej na południu niż w Tennessee. Ale prawie zapisałam się tam do college'u. To znaczy w Missisipi. Miałam chłopaka, który dostał tam stypendium sportowe.

- Peggy o mało co nie wyszła za futbolistę - powiedział Scott. - Co cię od tego odwiodło, skarbie?

- Robił magisterium z kluczy nasadowych albo czegoś w tym rodzaju. Był durny jak nieszczęście.

- Ale na pewno ładniutki, co?

- Owszem, dość przystojny.

- Czy ktoś ma ochotę na kawę? - spytała Doris.

Po kolacji Scott z Tylerem wyszli na ganek, żeby zapalić cygaro. Każdy z nich trzymał w ręku szklaneczkę whisky i obaj wyglądali jak żywy obrazek przyszłego teścia udzielającego młodzieńcowi cennych uwag na temat kobiet. Lily stanęła za zewnętrznymi drzwiami i przysłuchiwała się ich rozmowie. Ze zdumieniem stwierdziła, że naprawdę opowiadają sobie kawały na ten temat.

- Cóż - mówił Scott - w czasie mojego pierwszego miesiąca miodowego jakiś cholerny gnojek z obsługi hotelowej przyniósł nam szampana i zaczął do mnie mrugać. Nigdy wcześniej go nie widziałem, a tu nagle wyszło na to, że spiskujemy razem. Miałem wtedy ochotę wyjść z pokoju i łaźać po korytarzach tam i z powrotem, udając, że nic się nie wydarzyło.

Lily wróciła do kuchni, gdzie wciąż unosił się w powietrzu zapach pieczenia, i wyszła na tylne patio, gdzie samotnie siedziała Peggy z opróżnioną szklaneczką w ręku. Doris, kiedy naczynia zostały już pozmywane, wymyśliła jakąś wymówkę i zniknęła na górze.

- Hej! - zawołała Peggy. - Jestem potwornie spragniona.

- Pozwól, że coś ci przyniosę - odpowiedziała Lily.

- Pójdę z tobą. Strasznie tu smutno samej siedzieć.

Przytrzymując przed nią drzwi, Lily po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ta młoda kobieta jest jej macochą. To była niesamowicie dziwaczna myśl. Peggy usiadła w kąciku śniadaniowym, najwyraźniej czując się jak w domu, podczas gdy Lily przygotowywała dla siebie whisky z lodem. Potem zajęła miejsce naprzeciw Peggy, bo uznała, że niegrzeczne byłoby pozostawienie jej samej sobie.

- O czym rozmawiają panowie? - spytała Peggy.

- O polityce - skłamała Lily.

- Tyler jest bardzo sympatyczny.

- Dziękuję.

Peggy przełknęła łyk lemoniady. Ponad nimi słycać było skrzypienie podłogi - to Doris chodziła po swoim pokoju.

- Mam ci coś do powiedzenia. Lily czekała bez słowa.

- Nie wiem, czy to odpowiedni moment - dodała Peggy.

Lily poczuła, jak fala gorąca pnie się wzdłuż jej kręgosłupa i zalewa policzki rumieńcem.

- Jesteś w ciąży - powiedziała.

Siedząca naprzeciwko kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się, rzucając Lily pełne ufności spojrzenie.

- Scott jeszcze nie wie.

Chyba nie sądzisz, że ta wiadomość sprawi, że będzie skakał ze szczęścia, chciała powiedzieć Lily.

- A kiedy masz zamiar mu powiedzieć? - mruknęła wreszcie pod nosem.

- Teraz chyba nie najlepszy moment. - Peggy zmarszczyła brwi, ale zaraz zmusiła się do zmiany wyrazu twarzy. Było widać, ile ją to kosztowało wysiłku. - To... to był przypadek. - Skłoniła głowę, jakby zauważyła zaskoczenie na twarzy Lily. - Sama jeszcze nie wiem, co w związku z tym czuję. Wiesz, zawsze zaklinałam się, że nigdy nie będę miała dziecka.

- Rozchmurz się - powiedziała Lily, wstając z krzesła. - Może coś się jeszcze wydarzy.

Natychmiast poczuła się zbulwersowana własnymi słowami, ale nie było już sposobu, żeby je cofnąć.

Peggy zamarła, trzymając szklankę przytkniętą do ust. Wyglądało to tak, jakby obie usłyszały jakiś nieznany i szokujący dźwięk. Lily zostawiła Peggy samą, bo nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Przeszła przez salon i wyszła na ganek, gdzie panowie ciągle delectowali się cygarami. Ojciec opowiadał właśnie o miesiącu spędzonym w Biloxi, w Missisipi, gdzie służył w lotnictwie. Zobaczył Lily i przerwał.

- Gdzie mama i Peggy?

Lily usiadła na najwyższym schodku, oparła łokcie na kolanach i położyła na rękach głowę.

- Coś się stało?

- Dobrze się czujesz, kochanie? - dodał Tyler.

- Jestem trochę zmęczona.

- Posłuchaj - powiedział Scott - mam zamiar wypisać czek na jakąś niedużą sumę. Chcę, żebyś go przyjęła jako prezent ślubny od nas obojga.

- Naprawdę nie musisz tego robić, tatusiu.

- No pewnie, że muszę - odparł. - Chryste wszechmogący, absolutnie muszę.

- To miło z twojej strony - zwrócił się do niego Tyler.

We dwóch znowu podjęli temat przyszłości; Tyler oświadczył, że nie jest pewien, jak długo będzie mógł pozostać w biznesie motoryzacyjnym.

- Spróbuję, jak to jest, i zobaczę, co dalej.

Lily przeczesła palcami włosy i popatrzyła na niego, a kiedy ujrzała, że też na nią spogląda, zmusiła się do uśmiechu.

- Jesteś dziś okropnie milcząca - powiedział.

Peggy podeszła do drzwi frontowych i spoglądała na nich przez chwilę z wnętrza pokoju. Lily dostrzegła ją kątem oka.

- Przedślubna trema - podsumował Scott. - Hej, dzieciaku! Nie denerwuj się.

Powiedział to dobrze jej znanym zaczepnym tonem, który pamiętała z czasów, kiedy on jeszcze tu mieszkał, a ona była małą dziewczynką.

Poczuła nagle neodpartą chęć, aby przejść się po domu i rzucić okiem na pokoje.

Peggy wyszła na ganek i podeszła do przeciwnego końca, z dala od nich. Stała tam ze skrzyżowanymi rękoma i spoglądała na trawę.

- Trzeba przyciąć trawniki - powiedziała załamującym się głosem.

Panowie rozmawiali dalej, tym razem na temat jakiegoś gatunku szkockiej, i nie zauważyli, że przyszła. Doris krzątała się na dole w kuchni; Lily słyszała, jak wkłada do szklanki kostki lodu. Wstała i podeszła do Peggy, ale ta nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem. W milczeniu stały tak obok siebie. Lily, opierając się o metalowe pręty, patrzyła na cienie zmierzchu kładące się na trawnikach. Na niebie błyszczało już kilka gwiazd, przebijając się przez opary lekkiej mgiełki. Tu i ówdzie odezwały się świerszcze. Po drugiej stronie ulicy w głębokim cieniu migotały skrzydła ciem. Na niebie ciągle jeszcze połyskiwały resztki promieni słonecznych, a nad horyzontem płynęły w powietrzu prawie przezroczyste pasma chmur.

- Przepraszam - odezwała się cicho Lily.

- Zapomnij o tym.

Peggy pośpiesznie przesunęła wierzchem dłoni po oczach, a potem zerknęła na panów i odwróciła się do nich, znowu krzyżując ręce.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Scott. Doris podeszła do drzwi.
- Wszystko stąd wydaje się niebieskie. Ze środka - powiedziała.

Rozdział 7

1

Tyler uzgodnił sprawę sprzedaży swojego samochodu jeszcze przed wizytą u rodziców Lily, kiedy więc wrócili do Charlottesville szybko sfinalizował transakcję. Za uzyskane w ten sposób pieniądze wysłał do Oksfordu ich książki i ubrania, a także jeszcze kilka sztuk mebli, które wcześniej należały do jego ojca i które podczas pobytu w szkole przechowywał w magazynie: cedrową komódkę, pamiętającą jeszcze dzieciństwo staruszka; szafkę nocną, którą ojciec samodzielnie zмайstrował z sosnowych desek, kiedy Tyler był niemowlęciem; wielki skórzany fotel z regulowanym oparciem; kilka trofeów łowieckich i wędkarskich - pamiątki po wielkich grach toczonych na łądzie i na wodzie, jak określał je Tyler. Chciał, żeby ich dom, niezależnie od tego, gdzie będzie, został przyozdobiony tymi pamiątkami. Sam też lubił polować, może dlatego, że jego ojciec był zapalonym myśliwym. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Tylera dotyczyło zimna, lasu, polowania na króliki i nasłuchiwanie dalekiego szczekania suki ojca, beagle'a Alice.

- Ojciec był twardym facetem - powiedział. - Ze starej szkoły.

- Masz na myśli polowania?

- Nie tylko. Kiedy miałem pięć lat, nie potrafiłem złapać piłki, niezależnie od tego, jak bardzo się starałem. A naprawdę się starałem. Więc staruszek rzucił mi ją prosto w twarz. Uderzył mnie w ten sposób cztery, pięć razy, aż w końcu nauczyłem się podnosić w odpowiedniej chwili ręce.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Lily.

- Nauczyłem się łapać piłkę. A kiedy chciał mnie zabrać na polowanie, posłusznie szedłem. I w ten sposób je polubiłem. Zabierał mnie wszędzie.

- A jak cię uczył polować? Strzelając do ciebie? Tyler uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

- Zwyczajnie. Po prostu uwielbiałem chodzić razem z nim.

Tyler miał też kilka własnych trofeów, między innymi głowę łosia, z wyprawy, którą odbyli mniej więcej na rok przed śmiercią ojca. Lily była zaskoczona, gdy się dowiedziała, że Tyler posiada dwa dużego kalibru karabiny, dubeltówkę i kilka zabytkowych pistoletów. Cały ten dobytek wyeksponował do Oksfordu.

Wzięli ślub siedemnastego maja przed urzędnikiem stanu cywilnego. Tyler, chcąc sprawić jej niespodziankę, zaprosił na świadka Dominika. Dominik objął ich oboje i wydawał się szczęśliwy, że uczestniczy częściowo w ich radości. Ucałował Lily w policzek, nazywając to „buziakiem niewinności, na szczęście”. Lily spostrzegła na twarzy Tylera przelotny wyraz zaciekawienia. Potem jednak rozmowa potoczyła się dalej, a Dominik rozśmieszył wszystkich do łez, opisując przygody swojej ciotki Rosemary, która w czasie czwartego ślubu trafiła na pijanego pastora, a ten pastor zaplątał się, ogłaszając ją żoną diler Buicka, także pijanego.

- Pastor, kiedy go doprowadzili do stanu używalności, uderzył w płacz i oświadczył, że sam jest beznadziejnie zakochany w Rosemary i cóż on może na to poradzić? Rosemary na to, że powinien iść do spowiedzi, a nam wszystkim opadły szczęki.

- Czy Rosemary owdowiała aż trzy razy? - zapytał Tyler.

- Hmm, uzyskała unieważnienia - odparł Dominik. - Z powodów proceduralnych.

We trójkę poszli do Flaming Wok na wcześniejszą kolację. W którymś momencie, kiedy Tyler poszedł do toalety, Dominik wziął Lily za rękę.

- No i jak się miewasz? - zapytał.

- Nawet mi się nie śniło, że mogę być tak szczęśliwa. A ty, Nik?

- Och, jak wiesz, ze mną jest zawsze tak samo. Obróciła rękę w jego dłoni i mocno ją uścisnęła.

- Będę za tobą tęsknić.

- Nie pozwolę, żeby do tego doszło - oświadczył.

Puściła jego dłoń, a on oparł się wygodnie o oparcie krzesła.

- Czuję się naprawdę świetnie - dodał. - „Jestem tak szczęśliwy, że aż jestem uprzejmy”. To z którejś książki Tołstoja, jak mi się zdaje.

Tyler wrócił do stolika, a kiedy usiadł, Dominik zaproponował toast za młodą parę. Wypili, a potem zapadła cisza, jakby każde z nich rozważało w myślach wzajemne ciepłe uczucia. Kiedy kelner przyniósł rachunek, obaj panowie posprzeczali się żartobliwie, który z nich powinien dziś zapłacić. Dominik czym prędzej porwał rachunku ze stołu i już nie dał sobie

odebrać. Zapłacił kartą kredytową, żartując, że to jedna z tych, które jego ojciec zapomniał zastrzec. Kiedy wyszli w wieczorny zmrok, Dominik objął ich serdecznie na pożegnanie. Lily obiecała wkrótce się odezwać; Tyler oświadczył, że Dominik musi jeszcze przed końcem lata przyjechać do nich z wizytą.

- To całkiem realne - odparł Dominik. - Już o tym myślałem.

Mimo jego beztróskiego tonu Lily przyszła do głowy czarna myśl, że może to tylko czcze słowa. Wzięła go więc za rękę i powiedziała:

- Naprawdę o tym myśleliśmy, Nik.

- Wiem, że myśleliście. No cóż, mam nadzieję, że ze względu na mnie będziecie dla siebie dobrzy.

Odwrócił się i poszedł w stronę Rotundy, college'u i nowego życia, które czekało na niego w mieście.

2

Na południe pojechali pociągiem, wykupiwszy dwa miejsca w wagonie sypialnym. Były to dwa wąskie łóżka, z których jedno należało rozłożyć nad drugim, odciągając je od ściany. W przedziale było bardzo ciasno, kiedy więc skończyli się kochać, zdecydowali się spać osobno - na jednym łóżku było zdecydowanie za mało miejsca dla dwojga. Lily leżała w nieustannie zmieniającym się mroku, patrząc na mijające światła kolejnych stacji, na wolno przesuwane się za oknami uśpione miasta. Jazda okazała się zaskakująco uciążliwa, pociąg podskakiwał i grzechotał na zakrętach, a do tego dochodziło rytmiczne postukiwanie na spawach szyn, jakby ktoś odliczał upływające sekundy. Nie mogła zasnąć. Z leżanki Tylera nie dochodził żaden dźwięk, dlatego wsparła się na łokciach i wymówiła jego imię. Nie zareagował.

Położyła się więc z powrotem na wznak. Po szybie przesunął się łańcuszek migoczących światełek i to znowu wybiło ją ze snu. Wreszcie przekręciła się na łóżku, tak że widziała tylko jasną aureolę dookoła zamkniętych drzwi przedziału.

Bliżej świtu, kiedy niebo za oknem zaczynało już szarzeć i dzięki temu blask lamp przestał jej przeszkadzać, odpłynęła w półsen, który zakłóciły głosy na korytarzu. Piętro wyżej Tyler odwrócił się na drugi bok, jęknął i wydał z siebie jakiś nieartykuowany dźwięk. Za oknem pojawiły się nieomyślne oznaki nadchodzącego poranka. Na ten widok Lily ogarnęła fala

niewysłowionej dumy i radości. Oto była zamężną kobietą. Przewróciła się znowu na plecy i rozkoszowała tą myślą.

Być może ponownie odpłynęła w dal, tego nie była zupełnie pewna. Wreszcie odwróciła się twarzą do ściany i chyba zasnęła; a później, kiedy opuścił ją głęboki, choć niejasny sen, znowu położyła się na plecach. Zobaczyła nad sobą twarz Tylera. Zdążył już zejść z leżanki i teraz stał w świetle słońca, nagi, z rękoma opartymi na pośladkach, najwyraźniej zrelaksowany i w świetnym humorze.

- Cześć, aniołku - odezwał się, kiedy zauważył, że Lily mu się przygląda. - Posuń się, skarbie.

Zrobiła, jak chciał. Jego oddech po całej nocy był dość kwaśny, jej zapewne też. Nie miało to jednak teraz żadnego znaczenia; to stanowiło integralną część ich intymnego pożycia. Kiedy poczuła go w sobie, ogarnęło ją uczucie komfortu i zachwyt na myśl, jak doskonale do siebie pasują: sposobem poruszania się; reakcją jej ciała na jego częściowe wycofanie się; sposobem, w jaki jej wewnątrz zdawało się rozdzielać, ogarnięte słodką niemocą, kiedy ponownie w nią wchodził. Wyciągnęła ramiona i oplótła nimi ciasno szyję Tylera, unosząc jednocześnie pośladki, aby umożliwić mu głębszą penetrację, a potem wygięła w łuk grzbiet, przesuwając w dół biodra i jednocześnie uciskając go rozkosznie. Przeżył orgazm, szepcząc przy tym jakieś niezrozumiałe słowo, którego nawet dobrze nie usłyszała, i poruszał się tak brutalnie, że prawie przestało jej to sprawiać przyjemność. Nie zmniejszył ani na chwilę tempa, a ona trzymała go kurczowo i pozwalała mu na wszystko, na co miał ochotę, sama przenosząc się w jakieś nieznane rejony świadomości, gdzieś pod powierzchnię kłębiących się w niej myśli. W końcu spoczął na niej całym ciężarem ciała, tak że widziała ponad jego ramieniem sprężyny górnego łóżka. Przestał wreszcie, oparł się na rękach, uniósł do połowy i spojrzał jej w oczy.

- Och, dziecinko - wyszeptał.

- Dzień dobry - odpowiedziała.

Wycofał się i położył obok, choć nie zmieścił się całkowicie na leżance. Okazało się, że nawet nie mogą się objąć. Wreszcie wstał i ostrożnym krokiem, starając się zachować równowagę mimo szarpnięć pociągu, poszedł do małego pomieszczenia pełniącego funkcję łazienki.

- Pomocy! - zawołał z udanym przerażeniem, wysuwając głowę. - Na Boga, biedni żeglarze! Naprawdę im współczuję, że muszą korzystać z czegoś takiego na morzu w czasie sztormu - dorzucił ze śmiechem.

Drzwi do łazienki się zamknęły. Lily leżała prawie bez ruchu i też się śmiała. Między nogami czuła wilgoć i zastanawiała się, jak doszło do tego, że znalazła się właśnie tutaj.

Pociąg zwalniał. Wjeżdżali do jakiegoś większego miasta. Za oknem pojawiły się inne tory, perony stacji i kilka wysokich budynków skąpanych w promieniach porannego słońca.

Od nadmiaru światła zaboląły ją oczy. Podniosła rękę, żeby je osłonić, i poczuła na dłoni ciepło, przenikające poprzez szklaną tafle. Peron za oknem przesunął się i zniknął, a na jego miejscu pojawiły się rzędy ubogich domków, z gankami i balkonami oplecionymi zielenią i przystrojonymi kwiatami. Na niektórych wisiały girlandy suszącego się prania. Sznury do bielizny przecinały każde niewielkie podwórko, zawałone dodatkowo zniszczonymi zabawkami, zepsutymi samochodami, rowerami, częściami samochodowymi i przedmiotami z wyposażenia kuchni. W pewnym momencie Lily zobaczyła lodówkę z wyrwanymi drzwiami, a kilkaset metrów dalej wannę na stalowych nóżkach, pokrytą plamami brunatnej rdzy.

Tyler wyszedł z łazienki z ręcznikiem w garści.

- Lepiej się pośpiesz - ponaglił ją. - Za kilka minut śniadanie.

- Peggy jest w ciąży - powiedziała. Nawet nie pomyślała o tym do tej pory.

- Peggy? - Przez moment wydawał się zaskoczony. - Ach, Peggy! Naprawdę?

- Ojciec jeszcze o tym nie wie.

- Jezu! - Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

Lily podniosła się z wąskiego łóżka, owijając ciasno kocem. Przestrzeń, po której mogli się poruszać, była tak niewielka, że musieli bez przerwy się przeproszać. Korzystając z okazji, Tyler złapał ją za ramiona i pocałował namiętnie. Jego usta miały teraz smak miętowej pasty do zębów.

- Przepraszam. Powinnam była ci o tym wcześniej powiedzieć.

- Szkoda mi twojej mamy - odparł.

- Nic jej nie mówiłam. Pewnie też jeszcze nie wie.

- Lily... - zaczął i urwał, zastanawiając się nad czymś głęboko.

- Słucham.

W odpowiedzi pocałował ją jeszcze raz.

- Kocham cię.

Pozwoliła, aby koc osunął się na ziemię i otoczyła ramionami jego szyję. Jesteśmy jak dwie połówki jabłka, pomyślała. Wszystko będzie super.

Dotknął jej pośladków, ale ona prześlizgnęła się obok niego w stronę łazienki.

- Zaraz będę gotowa - zawołała.

W wagonie restauracyjnym usiedli naprzeciwko siebie. Tyler wyciągnął rękę przez szerokość stołu i ujął jej dłonie. Obejrzał się na pozostałe osoby, a potem wziął głęboki oddech i mocno uściśnął jej rękę.

- Spałem dziś jak zabity - powiedział. - A ty? Uśmiechnęła się tylko.

- Byłam zbyt podekscytowana, żeby zasnąć.

Odchylił się w tył i zajął obserwowaniem innych, a ona śledziła jego spojrzenie.

- Opowiedz mi o swoim ojcu. Myślisz, że bym go lubiła? Tyler zamyślił się, marszcząc brwi.

- Czasami trudno było go rozgryźć. Ludzie, którzy słabo go znali, nazywali go stuprocentowym mężczyzną, ale przy bliższym poznaniu... no cóż, to był jego słaby punkt, jak skaza na czystym metalu. To znaczy, nie był aż tak surowy, jak mogłabyś wnioskować z tego, co powiedziałem.

Mówiąc to, patrzył w dół, na swoje palce, które nerwowo składały i rozkładały koronkową serwetkę leżącą na środku stołu.

- Był dosyć humorzasty. Po prostu miał swoje dziwactwa, jak każdy. No, może nieco większe niż pierwszy lepszy.

- Na przykład baseball.

- To i jeszcze inne rzeczy. - Nie przestawał bawić się serwetką. - Ja nie miałem z nim problemów.

Oparł się plecami o tył fotela i dorzucił:

- Jak to jest w *Hamlecie*? „Mąż to był, wszystko gdy biorę na wagę, któremu nigdy równego nie ujrzę”*. Nie wszyscy potrafili się do niego przystosować. Najwyraźniej tak też było z moją matką.

* Przełożył Leon Ulrich.

Pociąg wtoczył się na stację w Oksfordzie we wczesnych godzinach przedpołudniowych. W budynku było jasno i gorąco, a w powietrzu unosił się smród oleju i smoły. Poza zamkniętą przestrzenią zabudowań kolejowych wszystko zdawało się kwitnąć. Lily zobaczyła wysokie zielone wzgórza, upstrzone białymi kwiatami jak milionami płatków śniegu. Po przeciwnej stronie stały rzędem domy z balkonami z ciemnego drewna, przystrojonymi roślinami w doniczkach i dzikim bluszczem, które mieniły się czerwienią, fioletem i szafirem. Na niebie nie było widać najmniejszej chmurki. Sheri czekała na nich na samym końcu peronu. Miała na sobie niebieską sukienkę, a na głowę włożyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który przytrzymywała jedną ręką, żeby nie uleciał w podmuchach ciepłego wiatru.

- Wyglądacie świeżutko jak dwa nowe pieniążki - powiedziała, obejmując na powitanie Lily. - Na wasz widok ogarnął mnie entuzjazm.

- Za to ty w tym kapeluszu wyglądasz tak, jakby cię żywcem wyjęli z *Przeminęło z wiatrem* - zrewanżował się Tyler.

- Posłuchaj, ten kapelusz naprawdę zaraz „przemienie z wiatrem”! - zawołała, zdejmując go przy następnym podmuchu. Włosy natychmiast zakryły jej twarz. Sheri stanęła, opuściwszy bezradnie ramiona, jak uosobienie rezygnacji. To było wprost urocze. Kiedy wiatr ucichł, leniwym ruchem odsunęła blond pasemka z powrotem na swoje miejsce.

- No, znowu mogę co nieco zobaczyć - oznajmiła.

Czekali na tragarza, by wyładował ich bagaże. Lily ze zdumieniem stwierdziła, że z przyjemnością znów widzi Sheri, która zdawała się szczerze cieszyć z ich przyjazdu.

Bagażowy załadował na wózek ich rzeczy. Tyler dał mu napiwek, a następnie pchał wózek wzdłuż peronu, przez stację aż na parking, gdzie Sheri zaparkowała samochód. Cały budynek stacji wykończony był na brąz - błyszcząca dębowa boazeria, drewniane ławki i drewniana ściana z okienkami kas. Lily popatrzyła na młodego mężczyznę o pociągłej twarzy siedzącego za kratkami po drugiej stronie, który odwzajemnił jej spojrzenie, jakby czekał, aż ona się odezwie. Uśmiechnęła się lekko i odwróciła wzrok, a kiedy po chwili spojrzała na niego ponownie, był już zajęty czymś innym, czymś, co znajdowało się poniżej parapetu okienka. Poczula w sobie znajomą chęć rejestrowania wszystkich doznań; chęć, która ogarniała ją zawsze w związku z wizytą w obcym mieście.

- Mama nie może się już doczekać, żeby cię zobaczyć - odezwała się Sheri. - To znaczy was - dodała, skinąwszy głową w stronę Tylera.

- My też nie możemy się doczekać - odparł.

- A jak wam się udała podróż? Takie spanie w pociągu musi być fajne.

- Ja natychmiast odszedłem w niebyt, a biedna Lily nie zmrużyła oka przez całą noc.

- No nic, najważniejsze, że jesteście i że będzie super! - zawołała. - O nic się nie martwcie.

Tyler zatrzymał się na moment, ziewnął i przeciągnął się. Jego ramiona były szczupłe, pokryte siecią żyłek, ale twarde; Lily przeszył lekki dreszcz na myśl, jak on jest silny. Popchnął wózek i obie poszły za nim. Obok nich szybkim krokiem przemaszerowała grupa skautek. Niektóre dziewczęta trzymały lodowe rożki.

- Millicent jest strasznie podniecona - mówiła Sheri. - Nieważne, co sobie myślałeś, jadąc tutaj - dodała, spoglądając na Tylera.

Przez moment zdawała się zastanawiać nad swoimi słowami.

- Chciałam tylko powiedzieć, że ona nie jest taka, jak się pewnie spodziewałeś.

- A czego się twoim zdaniem spodziewałem? - zapytał. Sheri nie przestawała drażnić tematu.

- Bardzo denerwuje się całą sprawą, ale moim zdaniem przede wszystkim jest podekscytowana. Cały tydzień spędziła na sprzątaniu, polerowaniu, odkurzaniu i przestawianiu mebli.

Wszystko miało być na medal. Udało się jej nawet wyprowadzić z równowagi Buddy'ego. Nigdy byście w to nie uwierzyli!

- Buddy'ego? - zdziwił się Tyler. Sheri odwróciła się w jego stronę.

- Chce, żeby tak go nazywać. Ja oczywiście mówię do niego „tatusiu”, ale bardzo tego nie lubi.

Wreszcie dotarli do samochodu. Sheri otworzyła bagażnik i odsunęła się krok w tył, a Tyler zaczął układać bagaże, starannie, w ciasnych rzędach, tak aby wszystko się zmieściło. Sheri pomogła zamknąć klapy, a potem odwróciła się, oparła się o samochód i przyjrzała uważnie Tylerowi, ściskając jednocześnie wielki kapelusz.

- Nie przyjechałeś tu, żeby narobić nam kłopotów, prawda?

Powiedziała to z figlarnym uśmiechem, ale w jej oczach mignął jakiś cień.

- Ej! - zawołał. - Przywożę swoją młodą żonę do jedynej rodziny, jaka mi jeszcze została, niezależnie od tego, jak ta rodzinka jest zwariowana. I mam zamiar podjąć pracę, pamiętasz?

- Ja też uważam, że jesteśmy nieźle walnięci - odparła Sheri i objęła mocno Lily. - Ale najważniejsze, że nareszcie mam znowu swoją paczkę, zgadza się?

Wsiadli do auta. Tyler uparł się, żeby siedzieć z tyłu. W samochodzie było gorąco i ciasno. Sheri włączyła klimatyzację na maksimum i musieli rozmawiać podniesionymi głosami, żeby słyszeć się nawzajem. Lily przez chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma, rozkoszując się chłodnym powiewem powietrza. Wjechali w najbardziej zniszczoną część miasta; rozpadające się chałupy, zapadnięte ganki, porozbijane albo zabite deskami okna sprawiały wrażenie opuszczenia. Na zaśmieconych trawnikach gdzieś rosnęło samotne drzewo, a pod nim łąchy ciemniejszej trawy. Lily zobaczyła też domy, które na pierwszy rzut oka wyglądały na dobrze utrzymane, ale po chwili to wrażenie minęło - w ogródku wałała się obudowa pralki, a drzwi obito papą.

- Słuchajcie, dziewczyny - odezwał się Tyler. - Wiecie, jaka jest różnica między zwolenniczkami republikanów i demokratów? Republikanka oddaje serce Bushowi.

- Nie załapałam, o co chodzi.

- No to pomyśl - powiedział Tyler.

- Lily, a ty wiesz?

- O senatora Harta - wyjaśniła Lily. - Z Partii Demokratycznej. Pamiętasz, co się przydarzyło jemu i jego przyjaciółce?

Zapadła cisza, a po chwili Sheri wybuchnęła piskliwym, wibrującym śmiechem, w którym pojawiło się kilka przyjemnych dla ucha tonów.

- Niech to diabli! Zdaje się, że czas mija, a ja robię się coraz głupsza.

- Nie martw się - pocieszył ją Tyler. - Przecież nie kochamy cię za twój rozum.

- Racja.

W oczach Sheri nie pojawił się żaden cień. Wpatrywała się w drogę przed samochodem, cały czas się podśmiewając.

Lily poczuła do niej nagły przypływ czułości. Tyler pochylił się w przód.

- Dowcip jest jak żywa istota. Zabija go rozłożenie na czynniki pierwsze.

- Ten od początku był nieżywy - odparła Lily.

- Naprawdę? Mnie się wydawał śmieszny.

Zatrzymali się na światłach. Wzdłuż ulicy ciągnął się rząd sklepików, a ich frontowe okna wychodziły na wąską asfaltową ścieżkę. Za nimi wznosił się gmach teatru i centrum handlowe, którego fasada zbudowana z białej cegły wyglądała jak twierdza.

- Takie miejsce mogłoby znajdować się gdziekolwiek w Stanach - rzekł Tyler.

Światła się zmieniły i Sheri przycisnęła pedał gazu.

- Wracając do rzeczy, jakie macie plany? - zapytała.

- Będę pracował u twojego ojca. To wszystko, co wiemy na pewno.

- Żadnego miesiąca miodowego?

- Nie mieliśmy głowy, żeby się nad czymkolwiek zastanawiać - przyznał Tyler. - Z wyjątkiem przyjazdu tutaj.

- Lily, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że przedstawię cię u nas w teatrze?

- Jasne, że nie.

- Założę się, że oni chętnie wystawią twoją sztukę, jeżeli jakąś napiszesz. Pamiętam, że zawsze pisałaś.

- To naprawdę wielkie „jeżeli” - odrzekła Lily.

Tyler poprosił, żeby zatrzymali się przed sklepem, bo chciałby kupić coś do golenia i może jakiś drobiazg dla matki. Sheri wjechała na parking przed niedużym domem towarowym i wyłączyła silnik. Tyler wysiadł bez słowa i powędrował na zakupy. Przez kilka chwil obie dziewczyny siedziały w milczeniu.

- Miałam przeczucia co do ciebie i Tylera - odezwała się Sheri. - Przysięgam.

- Cały czas czuję się taka oszołomiona - odparła Lily.

- Powiedział ci, że starałam się temu zapobiec? Lily lekko skinęła głową.

- Owszem. Ponoć wspominał coś, że ponoć nie interesowała mnie jego osoba.

- Nawet jeśli tak było, to zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Przepraszał za... za to, że tyle czasu to trwało.

- Denerwuje mnie, że on jest tutaj - powiedziała Sheri.

- Dlaczego?!

- Chodzi o tę sytuację z matką. Jeślibyś wiedziała, że twoja matka cię zostawiła, bo była w ciąży z innym mężczyzną, to co byś czuła w stosunku do niej?

Lily pokręciła głową.

- Moim zdaniem on jest... zaciekawiony. Myślałam, że mieli ze sobą jakiś kontakt.

Sheri opuściła szybę, potem otworzyła drzwi, obróciła się w fotelu i wystawiła nogi na zewnątrz. Wyjęła z torebki chusteczkę i ostrożnie wytarła sobie kark, a następnie złożyła ją starannie i wyciągnęła w stronę Lily.

- Cieszę się, że tu jesteś i w ogóle, i jestem szczęśliwa, że wszystko się udało, ale prawdę powiedziawszy, jeśli o mnie chodzi, to on mógłby pójść swoją drogą, a my swoją.

- Rozmawiałaś z nim o tym poważnie?

- Och tak, naturalnie.

- Sheri, przecież chciałaś, żebyśmy tu przyjechali.

- Chciałam, żebyś ty przyjechała. Rozwodziłam się wtedy z Nickiem, pamiętasz?

Lily nic nie odpowiedziała.

Sheri przejechała dłonią po policzkach, a potem przyciągnęła do siebie drzwi i przejrzała się w bocznym lusterku.

- No cóż, mam nadzieję, że wszystko ułoży ci się lepiej niż mnie. Zresztą spotykam się już z kimś innym. Oczywiście Nick nic o tym nie wie. Ale to tylko takie platoniczne uczucie.

- Co ty robisz?!

Kiedy już padło pytanie, Lily zdała sobie sprawę, że wcale nie chce o tym rozmawiać.

- Ojej, tylko czasami - powiedziała Sheri lekko drżącym głosem. - Wiesz, w końcu ja i Nick wciąż jesteśmy razem. Ojciec go wydziedziczył. Pieprzony magnat olejowy, nie chcę mieć z nim nic wspólnego! Mieszkamy razem z mamą i tatą, bo Nick stracił pracę, no i kiedy kasa się skończyła... - Urwała nagle i pokręciła głową. Przez kilka sekund błędziła gdzieś myślami. - Nick także sprzedaje teraz samochody w salonie taty. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak to wszystko się skończy. Żyjemy z dnia na dzień. Poważnie.

Lily przypomniała sobie jak przez mgłę, że jej koleżanka uwielbiała rozprawiać o wszystkich swoich kłopotach i intymnych sprawach, jakby opowiadała jakiś aktualnie nadawany serial albo sztukę.

- Trochę się martwię, że będziemy wam siedzieć na głowie i przeszkadzać - odezwała się.

- Ty mi absolutnie nie przeszkadzasz, kochanie, słowo.

- Niepokoi cię myśl, że Tyler przyjechał... że przyjechał tu po coś w rodzaju... Nic nie pojmuję.

- Zapomnij o tym... Nie zrozum mnie źle. Mama jest bardzo podekscytowana waszym przyjazdem. Poza tym jest mnóstwo miejsca. W tym cholernym domu jest chyba z dziewięć łazienek!

Tyler wyszedł z marketu z plastikową torbą w rękę. W środku brzęczało szkło. Pochylił się do wnętrza samochodu od strony pasażera.

- Czy ktoś ma ochotę na colę albo coś innego do picia?

- Ja dziękuję - odpowiedziała Sheri. Lily pokręciła tylko głową.

Wsiadł do środka i zatrzasnął drzwi.

- Przypuszczam, że Galatierre Ford musi być gdzieś w pobliżu?

- Możemy przejechać obok, jeśli chcesz - odrzekła Sheri.

- W porządku - powiedział. - Kupiłem małą po... - Zakrztusił się, przełykając, i urwał w pół słowa. Potem wziął oddech i powtórzył raz jeszcze: - Małą pozytywkę.

Sięgnął do torby i wyjął stamtąd nieduże pudełko. Kiedy je otworzył, ze środka popłynęła trudna do rozpoznania melodyjka, przypominająca dźwięk dzwoneczka.

- No nic - dodał. - Może kiedy będę miał więcej czasu, znajdę dla niej coś innego.

- Denerwujesz się? - zapytała Sheri.

- Ja? Skądże znowu! - Spojrzał na nią ze spokojnym, pogodnym uśmiechem.

Lily dotknęła jego kolana.

- Kocham pana - powiedziała.

Tyler zajęty był wkładaniem pozytywki z powrotem do torby. Lily spostrzegła, że ręce mu drżą. Poglaskała go po kolanie i odwróciła się do przodu; nie chciała, żeby wiedział, iż coś zauważyła.

Szosa biegła zakrętami pośród pól kukurydzy, soi, czegoś, co wyglądało na tytoń, i bawełny. Ponad uprawami wznosiło się bezkresne, błękitne niebo. Tyler wyciągnął z torby kilka butelek i zaproponował po jednej Sheri i Lily.

- O kurczę, jaki on kochany! - wykrzyknęła Sheri.

Tyler otworzył swoją butelkę i jednym haustem wypił większą część zawartości.

- Co twój ojciec sądzi na temat ostatnich jesiennych wyborów? Był zadowolony z rezultatów? Założę się, że głosował na republikanów. Nawet nie znając go, jestem pewien, że nigdy nie oddał głosu na Trumana.

- Nie jest wystarczająco stary, żeby kiedykolwiek głosować na Trumana. Miał... czekaj, zaledwie sześć lat, kiedy umarł Roosevelt.

- Jezu, sama na to wpadłaś?!

- No! - odparła Sheri z udawaną czupurnością. - Sama, żebyś wiedział. No i co, wyciągnąłeś z tego jakieś wnioski?

- Że może chcesz wsiąść? - zapytał Tyler.

- Ale ty pierwszy - odparła. - Dodam gazu i od razu na starcie polecisz jak gołąb.

- Och, ja należę do gatunku kochanków, a nie wo... - znów się zakrztusił, a kiedy złapał oddech, powtórzył spokojnie: - nie wojowników.

- Jesteś moim kochankiem - powiedziała Lily, zerkając do tyłu.

Serce ją bolało na myśl, jak on musi się teraz czuć.

Krajobraz stawał się coraz bardziej nierówny i dziki: niewysokie pagórki, gdzieniegdzie skupiska marnych sosenek, rozległe przestrzenie pustych brązowych pastwisk. Słońce wypaliło tu trawę do cna, aż stała się suchym, łatwopalnym pyłem. Przejechali przez zniszczoną drewnianą bramę i oczom Lily ukazały się rzędy palików połączonych pozrywanym drutem kolczastym, niknących gdzieś w oddali wśród drzew. Drut był mocno przerdzewiały i zostawiał krwawe smugi na drewnianych palikach, podobne do śladów uderzeń bicia. Za polami, pod osłoną wysokich, rozłożystych drzew stał wyblakły żółty dom z werandą i podwójnym gankiem. Lily patrzyła, jak i on niknie w oddali. Drogę pokrywał drobny żwir i za samochodem wzbijał się obłok niebieskawego kurzu.

- Kiedyś to była plantacja - odezwała się Sheri.

Minęli łagodny zakręt i przed nimi znowu pojawił się żółty dom. Nie wydawał się teraz równie ogromny jak z oddali. Sheri zajechała przed główne wejście i zaparkowała obok furgonetki, naciskając jednocześnie klakson.

- No to jesteśmy w domu - oznajmiła.

Lily przeszył nagły dreszcz. Otworzyła drzwi; w tym czasie Tyler zdążył już obejść samochód i stał teraz obok niej, trzymając w ręku butelkę z colą i papierową torbę. Jej mąż.

- To będzie od nas obojga. Ty to dasz, dobrze? - powiedział, wręczając jej torbę.

Wzięła ją posłusznie. Czuła, że nerwy ma napięte jak postronki. Matka Sheri stała na werandzie - niewysoka, drobnokoścista kobieta o inteligentnym spojrzeniu i wyrazistych rysach twarzy. Ciemnobrązowe włosy bez najmniejszego śladu siwizny okalały jej opaloną, pokrytą zmarszczkami twarz. Podeszła bliżej i bez wstępnych ceregieli pełnym wdzięku ruchem wyciągnęła rękę w stronę Lily.

- Serdecznie witam w Missisipi - odezwała się z uśmiechem.

Lily zauważyła wydatne kości policzkowe i głęboko osadzone oczy o kolorze tak głębokiej zieleni, że granica między tęczówką a źrenicą zdawała się zacierać. Ubrana była w białą bluzkę, dzinsy i sandały. Biel podkreślała opaleniznę i brąz włosów. Naprawdę była bardzo ładna.

Odwróciła się w stronę Tylera, który oddawszy swoją rolę Sheri, zajmował się właśnie opróżnianiem bagażnika, jakby podświadomie chciał odsunąć moment spotkania twarzą z twarzą z matką. Tak samo wyciągnęła do niego rękę; w pełnym gracji ruchu nie było nic więcej ponad uprzejmość przyjaźnie nastawionej obcej osoby.

- Tyler - powiedziała. - Ależ ty wyrosłeś! I jaki jesteś przystojny!

Spoglądał na nią z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Ujął jej rękę i na moment zatrzymał w swoich. Wpatrywała się w niego bez najmniejszych oznak wzruszenia, które bez wątpienia targało jej sercem.

- To moja żona, Lily - odezwał się cicho lekko drżącym głosem. - Przywieźliśmy ci to... taki drobny prezent. Takie głupstewko.

Lily wręczyła jej papierową torbę.

- Och. - Matka Sheri zaśmiała się łagodnie. - Uwielbiam pozytywki.

- Pamiętałem o tym - odparł Tyler.

- Hej! - wrzasnęła Sheri w głąb domu.

- Nick pojechał z ojcem do miasta - powiedziała pani Galatierre.

Nastąpiła krótka chwila niezręcznej ciszy; Sheri w tym czasie podeszła do samochodu i zamknęła klapę bagażnika. Tyler i Lily zabrali się więc do wnoszenia swoich rzeczy. Sheri przytrzymała drzwi. Pani Galatierre tymczasem zdążyła już gdzieś zniknąć. Wewnątrz było bardzo przestronnie, chłodno i ciemnowo. Mijali pokoje za pokojami; korytarze prowadziły do niedużych schodów, po których znowu ujrzeli kolejne korytarzyki i jeszcze więcej pokoiów. Ogromne przeszklone okno na tyłach domu ukazywało widok na patio, basen i mały ogródek. Poza nim rozpościerało się ogromne pole, ograniczone daleko rzeką lub strumieniem, który płynął zakolami między garbami zielonych pagórków; to pojawiał się, to znów zniknął, aż wreszcie przepadał w oddali. Słońce połyskiwało oślepiająco, odbijając się w najdalszym zakręcie strumienia. Na horyzoncie można było dostrzec estakadę biegnącej tamtędy autostrady. Lily wyraźnie widziała migotanie przejeżdżających samochodów.

- To autostrada do Memphis - wyjaśniła Sheri.

Poprowadziła ich w dół, przez wąski korytarzyk, aż do pokoju otwierającego się na patio.

- Dawniej zajmowałem ten pokój. Mam nadzieję, że będzie się wam dobrze tu mieszało.

Był niski, z sufitem wspartym na belkach; w jedną ze ścian wbudowano półki i teraz mieściła się tu spora biblioteka. Lily podeszła i spojrzała na tytuły książek. Znalazła wiele egzemplarzy pochodzących ze sprzedaży wysyłkowej, które najwyraźniej miały zaspokoić kulturalne aspiracje potencjalnych klientów - ze złoconym brzegami, oprawione w skórę, często stanowiły jedynie dekorację. Kiedy jednak wyjęła jedną z nich, spostrzegła, że ktoś ją przeglądał i na marginesie znajdują się zapisane ołówkiem znaki.

- Miałam wziąć ze sobą te książki, które były mi potrzebne, kiedy wyjeżdżałam do college'u - powiedziała Sheri. - Nigdy się nie zdobyłam na to, żeby je przejrzeć.

W pokoju stało jeszcze podwójne łóżko, toaletka z lustrem, biurko, dwie nocne szafeczki - wszystko z dala od książek. Pośrodku pozostawiono dużo wolnej przestrzeni. Wyglądało to tak, jakby łóżko i pozostałe meble zostały umieszczone pod dużym oknem niczym w sklepie. Cała reszta domu znajdowała się ponad ich głowami. Z okna można było dostrzec chodnik z kostki, który prowadził dookoła budynku do wejść na inne piętra. Lekka bryza marszczyła delikatnie powierzchnię basenu. Na lewo od łóżka łukowato sklepione drzwi wiodły do malutkiej pralni, a innymi można było się dostać do kuchni.

- To jest wasze prywatne wejście na basen - oznajmiła Sheri, wskazując suwane drzwi ze szkła w tylnej ścianie. - My mamy takie drzwi w salonie.

- Jestem żonaty od trochę więcej niż dwóch dni. Nie umiem pływać i nie mam pojęcia, czy moja żona potrafi... - Umilkł w pół zdania; jego oczy rozszerzyły się, a na twarzy pojawił się wyraz zadziwienia. - Boże, posłuchaj, jak to brzmi. M o j a ż o n a . Co za niesamowicie dziwne uczucie wypowiadać takie słowa.

- Twoja żona potrafi pływać - poinformowała go Lily.

- No to przynajmniej ona będzie miała radochę - powiedziała Sheri. - Odświeżcie się trochę i przyjdźcie do nas na górę.

- A gdzie ty i... - Tyler urwał. Osobliwość łączącej ich więzi stała się nagle niezwykle wyraźna. - Nie mogę sobie przypomnieć, czy mówiłaś mi, jak ma na imię twój mąż?

- Nick. - Sheri się roześmiała. - Mama powiedziała jego imię przed pięcioma minutami.

Spojrzała na niego badawczo.

- Jesteś zdenerwowany? - zapytała.

- Raczej zmęczony. - Wzruszył ramionami.

- No cóż - rzekła Sheri. - Telefon jest przy łóżku. Lily, jeśli chcesz, możesz zadzwonić do swoich starych i powiedzieć im, że dojechaliście. Po prostu wciśnij jeden i potem numer. Macie też własną łazienkę, wchodzi się tam, z tego małego korytarza. - Wskazała palcem na prawo od półek z książkami. - Idę na górę. Teraz nic ciekawego się nie dzieje, macie więc trochę czasu dla siebie.

4

Kiedy Sheri wyszła i rozległo się kliknięcie zamykanych drzwi, Lily poczuła, że zupełnie inaczej traktuje obecnie ten pokój. Stał się częścią ich prywatności. Należał do nich. Lily spojrzała przez okno na wodę w basenie, marszczącą się w podmuchach lekkiego wiatru. W tym momencie bardziej niż czegokolwiek innego potrzebowała snu. Przypomniały się jej samotne dni w maleńkiej sypialni w Charlottesville, to powolne zsuwanie się po równi pochyłej w niebyt. To Tyler wyrwał ją stamtąd. Przytuliła się do męża i pocałowała go w policzek.

- Boże, naprawdę tu jesteśmy! - krzyknęła. - I jak się czujesz?

- Powiem ci, gdy tylko będę wiedział.

- Jednak jesteś niespokojny. Przytaknął, wyciągając do niej rękę.

- Jestem, Lily. Jestem najzwyczajniej w świecie przerażony. To dopadło mnie zupełnie zniecka. Wszedłem do tego pokoju i nagle poczułem się tak, jakby miało się wydarzyć coś strasznego. To coś na kształt przeczucia. Taki zimny strach gdzieś tu, koło serca. Zaczynam się zastanawiać, o czym właściwie myślałem, decydując się na przyjazd tutaj.

- Chciałeś poznać swoją rodzinę, a oni chcieli poznać ciebie. Wszystko się ułoży, Tyler, przekonasz się.

- Kochasz mnie, Lily? - zapytał. W jego głosie usłyszała prawie żal.

Otoczyła go ramionami.

- Tak, bardzo - wyszeptała.

Stali mocno przytuleni i czuła, jak jego ciało przeszywają dreszcze. Nie zwalniała uścisku.

- I oni też będą cię kochać.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ja... ja nigdy nie myślałem, że będę się czuć jak jakiś tchórz. Albo że będę się martwić, czy oni mnie polubią i zechcą tutaj zatrzymać. To głupie - przecież sami mnie zaprosili. Dlaczego ona zaraz wróciła do domu i nie pokazała się więcej? Powiedz, Lily.

- Pewnie poszła odstawić gdzieś pozytywkę albo coś w tym rodzaju. Pewnie też się de-nerwuje, nie sądzisz?

Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami; potem jego twarz rozjaśnił uśmiech, a w oczach pojawiła się ulga.

- Bardzo trafnie oceniasz ludzi, wiesz?

- Wiem, że jesteśmy dla siebie stworzeni - odpowiedziała.

- A ja tego nie potrafię - dokończył.

Pocałował ją i poszedł do łazienki obmyć twarz. Potem otworzył walizkę i wyjął stamtąd koszulkę i slipki.

Lily usiadła na łóżku i przesunęła ręką po kołdrze; była gładka, z miękkiego jedwabiu i grubo pikowana. Następnie podniosła z widełek słuchawkę i przyłożyła do ucha z obawą, czy nie usłyszy czyjejś rozmowy, ale z ulgą stwierdziła, że w słuchawce rozległ się sygnał wolnej linii. Wybrała numer matki. Tyler wycierał twarz, stojąc w drzwiach łazienki, i spoglądał na nią.

Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Już jesteśmy, Doris. Odezwę się do ciebie za parę dni. Proszę, zadzwoń do taty i powiedz mu, że wszystko w porządku. Kocham cię. Pa!

Odłożyła słuchawkę. Tyler podszedł bliżej.

- Nie było ich?

- Tylko ta piekielna maszyna.

Zdjęła bluzkę i biustonosz, a zaraz potem wyslizgnęła się z dżinsów i majteczek. Tyler usiadł na łóżku i obserwował jej poczynania. Nago czuła się wspaniale i nieco sennie; podeszła do niego i oparła mu dłonie na ramionach. Kiedy ssał jej sutki, jeden, a potem drugi, przeczesała palcami jego czuprynę. Następnie przewrócił się na plecy, a ona pomogła mu pozbyć się slipki. Leżeli w poprzek łóżka i całowali się bez opamiętania.

Na jeden cudowny moment Lily odpłynęła gdzieś w głąb siebie, gdzie nikt inny nie miał dostępu. Kiedy wchodził w nią jednym pchnięciem, wyprostowała się, aby patrzeć mu prosto w oczy, i skoncentrowała się na nim, tylko na nim. Tyler wymamrotał jej imię. Słyszała go jakby z wielkiej odległości, choć jego usta znajdowały się tuż przy jej uchu. Poruszyła pośladkami, wpuszczając go głębiej i głębiej; ręce oparła mu na ramionach, żeby trzymać go blisko siebie.

- O Boże - jęknął tylko.

Czuła, jak pulsuje wewnątrz niej. Rozluźniła mięśnie i coś cudownie ciepłego rozlało się po jej wnętrzu. Spływało coraz głębiej, a on ciągle na niej leżał. Uniosła nogi, rozsunęła szerzej i wtedy się zatrzymał. Opuściła więc je zupełnie, a wtedy on wycofał się i przekreślił na plecy. Lily leżała z rękoma po bokach, z lekko rozsuniętymi nogami.

- Mój Boże - powtórzył.

Delikatnie dotknęła jego pośladka i zaraz odsunęła rękę.

- Teraz chce mi się spać.

- Śpij, dziecinko - odparł.

Sen jednak nie nadchodził. Czuła dzwonienie w uszach, kiedy tylko zamknęła oczy, i nie mogła zasnąć. Obserwowała Tylera, jak starannie układa swoje rzeczy w komódce i w szafie. Jej walizki stały na podłodze obok krzesła. Tyler wrzucił puste torby na dno szafy, a potem odwrócił się i opadł na krzesło. Ciągle był nagi.

- Nie prześpisz się trochę? - zapytała.

- Ty śpij. Jestem za bardzo podenerwowany.

- Chce mi się spać, ale nie mogę zasnąć.

- Bo cały czas hałasuję.

- To by mi nie przeszkadzało. Spojrzał na nią.

- Boże, jaka jesteś niesamowicie piękna. Uśmiechnęła się leciutko i szerzej rozsunęła nogi.

- Jezu - westchnął.

- Chcesz wrócić do łóżka? - zapytała zachęcającym tonem.

- Nie boisz się, że możesz zajść w ciążę? Zadrżała, pomyślawszy o swojej matce.

- Być może to już się stało - odparła. Nie odezwał się słowem.

- Chodź do łóżka - zamruczała.

- Czy chcesz mieć dzieci, Lily?

- Już ci powiedziałam, co myślę na ten temat.

- Czyli jednak chcesz - dążył.

- A ty?

Zmarszczył czoło.

- Myślisz, że może kiedyś zmienisz zdanie?

- Skąd mogę wiedzieć? Bardzo się zmartwisz, jeśli zajdę w ciążę?

- Dużo zależy od tego, czego chcesz - powiedział.

- No cóż, sądzę, że to, czego ja chcę, zależy od tego, czego ty chcesz.
- Lily... - zaczął i urwał.
- Tak?
- Nic.
- Chodź tu i weź mnie, mój panie.

RS

- Uważam, że powinniśmy pójść na górę - wymamrotała nieco później.
- Ale tam jest strasznie cicho.
- Czy nie powinniśmy się pokazać?
- Wybacz mi... jeszcze nie czuję się na siłach, żeby stanąć twarzą w twarz z panią Galatierre.
- W takim razie jeśli nie masz nic przeciw temu, spróbuję się troszkę przespać.
- Może oboje pośpimy.

Przekręciła się na bok i zamknęła oczy. Nie przestawało jej szumieć w uszach; prześcieradła były świeże i chłodne. Tyler usiadł i kiedy spojrzała na niego kątem oka, spostrzegła, że choć na jego twarzy malował się wyraz spokojnego oczekiwania na to, co przyniesie najbliższa przyszłość, to jednak dłonie mu lekko drżały. Obejrzał się w tył, uśmiechnął, a ona odpowiedziała tym samym. Lily znowu zamknęła oczy i wsłuchiwała się w dźwięki dobiegające z wyższego piętra. Usłyszała odgłosy krzątania i szum odkręconej wody. Zaraz potem zapadła w sen. Śnił się jej Dominik; znowu wędrowała ulicami Charlottesville, rozglądając się za nim. Następnie to jej szukano, a ona próbowała się gdzieś ukryć. Dominik był gdzieś za jej plecami, ścigał ją na jawie. To była taka zabawa. A potem gra się zmieniła; nagle zrobiło się bardzo niedobrze i Lily poczuła, jak jakaś ogromna, dudniąca siła przygniata ją bezlitośnie. Szybko otworzyła oczy i zobaczyła, że Tyler poprawia swoje skarpetki w najwyższej szufladzie komódki. Układał je według kolorów, zawijając jedną w drugą za każdym razem dokładnie tak samo. Patrzyła, jak skrupulatnie składa wszystkie podkoszulki i szorty. Potem poszedł w stronę szafy i jeszcze raz zaczął układać spodnie, dresy, marynarki i krawaty, poświęcając temu tyle uwagi, że aż wydawało się to absurdalne. Jego skupienie i chłopięcy wyraz twarzy rozczuliły Lily i sprawiły, że jeszcze mocniej poczuła się z nim związana.

- Co robisz? - zapytała... albo myślała, że to robi. Nie usłyszał jej. Zamknęła więc oczy, a on pracował dalej. Zapadła ponownie w sen i kiedy obudziła się dwie godziny później, nie była pewna, czy wszystko jej się po prostu nie przyśniło.

Tyler gdzieś poszedł. W domu panowała cisza. Usiadła na łóżku i momentalnie zakręciło się jej w głowie. Wstała i sięgnęła po swoją walizkę, nieoczekiwanie zdając sobie sprawę z własnej nagości, wyeksponowanej w ogromie przestrzeni pokoju tego dziwnego domu.

Zaniosła czyste ubranie do łazienki, a potem wróciła i otworzyła szufladę komódki należąca do Tylera. Wszystko tam było starannie poukładane, z dokładnością, która obudziła w niej czułość i trochę poczucia winy, ponieważ wyglądało to tak, jakby celowo szukała jego słabostek.

6

Na górze nie było nikogo. Lily pośpiesznym krokiem przemierzała kolejne pokoje na pierwszym piętrze - ogromną jadalnię z meblami w kolorze ciemnej wiśni, z kredensami wypełnionymi kryształami i porcelaną; długi, niski salon z jeszcze jednym szerokim oknem, z którego roztaczał się widok na basen i pola otaczające posiadłość, i na nieduże pagórki, pomiędzy którymi wiała się rzeka. Czuła się jak intruz. Kiedy wchodziła do salonu, nieoczekiwanie odniosła ulotne wrażenie, że ktoś może nagle podnieść się z sofy, na której przed chwilą leżał, i spojrzeć na nią. Na myśl o tym sparaliżował ją przyływ strachu. Wyjrzała przez okno - ponad wzgórzami niebo płonęło czerwienią. Na płytkach dookoła basenu widniały mokre plamy - najwyraźniej niedawno musiał padać deszcz. Powędrowała schodami w dół, do korytarza, który zaprowadził ją do kuchni. Tam przy okrągłym, małym stoliku siedziała młoda Murzynka i łuskała fasolę, wrzucając ziarna do aluminiowej miski. Na widok Lily aż krzyknęła.

- Och, mój Boże, ale mnie przestraszyłaś!

- Ty mnie też - odpowiedziała Lily. - Nie spodziewałam się, że ktoś tu może być.

Murzynka pokręciła głową i wierzchem dłoni przejechała po czole. Palce drugiej ręki przytknęła do piersi.

- Strasznie przepraszam - dodała Lily, odzyskując normalny oddech.

- Musisz być młodą małżonką syna marnotrawnego. Lily skinęła głową twierdząco.

- Nie jest tak naprawdę synem marnotrawnym, nieprawdaż?

- Sam tak o sobie powiedział nie dalej niż dziesięć minut temu.

- A gdzie są wszyscy? - zapytała Lily.

- W mieście. Myśleli, że będziesz spała cały dzień.

Lily zerknęła na zegar. Dochodziła za dwadzieścia szósta. Nieznajoma wróciła do pracy - wprawnym ruchem urywała końcówki strączków i wrzucała ich zawartość do miski. Lily miała wrażenie, że jej przeszkadza i że powinna pójść z powrotem do innej części domu. Ale wtedy Murzynka przerwała łuskanie i spojrzała na nią z uśmiechem.

- Nazywam się Rosa - powiedziała.

Wstała, wytarła dłonie w fartuch i wyciągnęła rękę.

- Wybacz mi, że zachowałam się nieuprzejmie, ale ciągle nie mogę dać sobie rady z własną nieśmiałością.

Lily też się przedstawiła.

- Może ci pomóc? - spytała.

- Z tym? Nie, dzięki.

Rosa usiadła i znowu zaczęła urywać końcówki strączków.

Wyglądało na to, że nie ma już nic więcej do powiedzenia.

- Usiądź, czemu nie siadasz?

Lily przysunęła sobie krzesło. Zapach fasoli wypełniał całą kuchnię; przywodził na myśl woń ziemi i trawy.

- Skąd jesteś? - spytała Rosa.

- Z Wirginii.

- Spędziłam tam część mojego dzieciństwa. W Richmond. Byłaś kiedyś w Richmond?

- Parę razy. Mam tam rodzinę, kuzynów mojej matki.

- Przeprowadziliśmy się tu, kiedy miałam dziesięć lat - powiedziała Rosa. - Moi rodzice, dwie siostry i ja. Brakuje mi tamtych miejsc.

- Co studiujesz?

- Pomoc domową.

- Słucham?!

Murzynka zaniósła się niskim, gardłowym śmiechem.

- Tylko sprawdzam, czy uważnie słuchasz tego, co mówię. Wiesz, mnóstwo ludzi, których oni tu przywożą, nie widzi we mnie nikogo interesującego, tylko czarną dziewczuchę do pomocy w kuchni.

- Och, przepraszam - powiedziała Lily, choć nie rozumiała, dlaczego poczuła, że powinna ją przeprosić.

- Nie musisz za nic przeproszać. To ja przepraszam za to, że cię przetestowałam.

- Więc co studiujesz? - zapytała Lily chwilę później i obie zaczęły się śmiać.

- Historię. Chciałabym zostać nauczycielką.

- A jaki okres?

- Przede wszystkim dziewiętnasty wiek. Epokę wiktoriańską. Interesuje mnie też okres zimnej wojny. Aha, i jeszcze historia Rosji i rewolucja przemysłowa. No i trochę także wojna secesyjna.

- Musiałaś słyszeć o Mary Kingsley - powiedziała Lily. Twarz Rosy się rozpromieniła.

- Czytałam jej książkę *Podróże po Afryce Zachodniej*. Moja rodzina wywodzi się stamtąd, rzecz jasna mieszkali tam wiele pokoleń temu. Znad rzeki Gabon. To było ponad dwieście lat temu. Odkryłam tę historię, kiedy chodziłam do szkoły średniej. Takie poszukiwanie korzeni, rozumiesz? - dorzuciła z uśmiechem zażenowania. - Rodzice pasjonowali się tymi rzeczami. Ja dostałam imię po pani Parks.

- Trudno mi będzie to wyjaśnić - powiedziała Lily - ale kiedy zobaczyłam po raz pierwszy zdjęcie Kingsley, coś się we mnie zmieniło. Mam wrażenie, jakbym skądś ją знаła. Czy to, co mówię, w ogóle ma sens?

- Może spotkałaś ją w innym życiu?

- Nie to chciałam powiedzieć. Nie umiem, niestety, wytłumaczyć tego w odpowiedni sposób.

Rosa znowu się zajęła wyłuskiwaniem nasion i wrzucaniem ich do miski. Lily automatycznie zaczęła robić to samo.

- Czy twoi rodzice ciągle mieszkają w Oksfordzie?

- Tatuś mieszka w Bakersfield, w Kalifornii, a mama we Włoszech. Są w separacji, ale nie planują rozvodu. Tak przynajmniej sami to przedstawiają. Nie spotkali się od trzech lat. Różnica zainteresowań.

- A mój ojciec - Lily usłyszała własny głos - miał romans z kimś, z kim razem pracował. Rozwiódł się z matką i ożenił z tamtą. Z dziewczyną w moim wieku, która teraz w dodatku jest w ciąży.

Zapadła pełna zakłopotania cisza.

- Boże, chyba muszę jeszcze na wpół spać, że papłę ci takie rzeczy. Nie będę ci miała za złe, jeśli czujesz się teraz nieswojo.

- Hej, ze mną wszystko jest w porządku, jeśli ty nie masz psychicznego kaca.

- No cóż - powiedziała Lily. - Miło było cię poznać.

- Cała rodzinka powinna się tu zjawić lada moment - odrzekła Rosa.

W którymś z pokoiów Lily natknęła się na gablotki z trofeami: były tam odznaki łowieckie, strzeleckie, baseballowe, lekkoatletyczne - i zdjęcia dużego mężczyzny o szerokiej

klatce piersiowej w towarzystwie innych, mniej okazałych panów z różnych amatorskich drużyn sportowych: baseballowej, koszykarskiej i futbolowej. Obok znajdowały się inne fotografie tego samego mężczyzny trzymającego w wyciągniętych rękach wianuszek złowionych ryb; albo stojącego obok wyprężonego, smukłego ciała marlina; albo klęczącego ze strzelbą w dłoni nad powalonym niedźwiedziem. Bez wątplenia był to ten sam niedźwiedź, którego skóra leżała na podłodze w kącie gabinetu pana domu - dużego pokoju, gdzie znajdowały się skórzane krzesła, dębowe rozkładane stoły, półki pełne książek i przeszklona gablota z trofeami. W centralnym miejscu wyłożonej sosnową boazerią ściany wisiał łeb łośia. Po przeciwnej stronie znajdował się kamienny kominek, graniczący z kolejnym olbrzymim oknem wychodzącym na basen, pola i rzekę w oddali. W połyskującej wodzie odbijał się błękit nieba. Lily odczytała inskrypcję poniżej marlina umocowanego ponad zwieńczeniem kominka: *Złowiony przez Millicent Galatierre w wodach Golfsztromu, dwunastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Stawiał opór przez trzy godziny i czterdzieści siedem minut. Podarowany jej mężowi, Brendanowi, pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.*

Na ganku rozległy się odgłosy. Usłyszała, jak Rosa wychodzi z kuchni i zmierza przez korytarz w stronę drzwi. Przyjechali. Świadczyło o tym znajome zamieszanie, jakie zawsze towarzyszyło pojawieniu się Sheri; jej głos słychać było wyraźnie aż w głębi korytarza. Lily czekała. Tyler pojawił się w progu, dźwigając papierowe torby wypełnione butelkami ginu, whisky i brandy.

- W końcu wstałaś - powitał ją, idąc w stronę kuchni. Sheri weszła zaraz za nim, a na końcu jej matka.

- Wyglądasz na wypoczętą - powiedziała pani Galatierre. Jej głos był zaskakująco niski i głęboki. Przeszła przez niewielką przestrzeń korytarza, żeby objąć Lily. Miała ramiona szczupłe jak młoda dziewczyna. - Liczę na to, że już się zdążyłaś zadomowić, kochanie.

Tyler stał w wejściu do kuchni z butelką whisky w jednym ręku i szklaneczką z kilkoma kostkami lodu w drugiej.

- Czy ktoś ma ochotę na drinka? - zapytał.

Rozdział 8

1

Wszyscy usiedli na patio, obok basenu. Słońce zdążyło już się przesunąć na drugą stronę domu. Tyler wszedł do wody od płytszego końca i brodził w niej przez kilka minut, natomiast Sheri wskoczyła w najgłębszym miejscu i pod wodą przepłynęła całą długość basenu. Z dziarskim „buu!” wynurzyła się tuż obok brata przyrodniego.

- Hej, gdzie są moje nadmuchiwane rękawki? - zawołał Tyler, rozglądając się dookoła.

Sheri ponownie zniknęła pod wodą i odpłynęła.

- Kilka razy brałem udział w połowach na otwartym morzu i lubię przebywać na łodzi - powiedział Tyler. - Ale tak naprawdę nigdy nie lubiłem być w wodzie.

Usiadł na dnie basenu, tak że tylko głowa wystawała nad powierzchnię. Jego ruchy stały się powolne i nieskoordynowane. W końcu wstał, wyszedł na brzeg i zaczął się wycierać. Sheri skoczyła na głowę z trampoliny - widać było na pierwszy rzut oka, że musiała kiedyś trenować skoki. Jej matka poinformowała Lily, że Sheri zdobyła parę nagród w zawodach, gdy chodziła do szkoły średniej.

- Jest naprawdę świetna! - zawołała Lily, dziwiąc się w duchu, jak to się stało, że Sheri, która opowiadała jej tyle o swoich sprawach, nigdy się tym nie pochwaliła.

Po dłuższym czasie wypełnionym skokami, podpływaniem do drabinki, wspinaniem się na trampolinę i znowu skakaniem Sheri wyszła w końcu z basenu i usiadła ciężko obok matki na bujanej ławeczce. Tyler odgrywał rolę barmana. W jego zachowaniu był jakiś gorączkowy niepokój i Lily obserwowała to z bólem serca. Dla Sheri przygotował whisky z plasterkiem cytryny, Lily podał kieliszek wina i to samo przyniósł dla pani Galatierre. Rosa zapytała, o której życzą sobie kolację, i dowiedziała się, że wszyscy poczekają z jedzeniem, aż Buddy i Nick wrócą z miasta.

- Usiądź z nami - zaprosiła ją pani Galatierre. - Tyler zrobi ci drinka.

- Dzięki, ale muszę iść się trochę pouczyć - odpowiedziała Rosa.

Wszyscy patrzyli w ślad za nią, kiedy wchodziła do domu.

- Jak długo ona jest u was? - zapytał Tyler. Pani Galatierre uśmiechnęła się lekko.

- Trzy lata. No, może trochę więcej niż trzy.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy czekali, aż komuś wpadnie do głowy jakiś temat do rozmowy. Wreszcie Sheri powiedziała coś na temat zawartości chloru w wodzie, a Tyler zauważył, że są już inne sposoby odkażania wody. Pani Galatierre dorzuciła, że mają kogoś, kto zajmuje się basenem, na co Sheri zaczęła żartować, jaka to przystojna i seksowna osoba. Pani Galatierre popatrzyła na Lily i rozbawionym tonem dodała, że ta osoba jest kobietą. Rozmowa przez kilka minut toczyła się w ten sposób; czuło się, że jest pozbawiona głębszego sensu, że prześlizgują się z tematu na temat. Wyglądałoby to na zwykłe przekomarzanie się w gronie przyjaciół, gdyby nie skrepowanie. Sheri zaczęła opowiadać jakieś historie o tym, jak dorastała w miejscu takim jak Oksford, z jego paskudną przeszłością. Opowiadała też o szkole średniej i college'u. To była dziwna godzina. Lily obserwowała uważnie Tylera, który beztróskim tonem mówił na temat wyglądu domu i uroku płytkiej doliny otaczającej posiadłość, podczas gdy ona rozmyślała o obawach Sheri, że Tyler przyjechał tu tylko po to, żeby narobić kłopotów. Najwyraźniej starał się sprawiać wrażenie swobodnego i przyjaźnie nastawionego; było jasne - przynajmniej dla Lily - że bardzo obchodzi go, co sobie inni o nim pomyślą. Wstał, żeby przynieść sobie następną whisky. Przez niewielką przestrzeń dzielącą ich od kuchni słyszała, jak wymienia z Rosą uprzejmości.

Sheri wysączyła do końca drinka, zagrzechotała kostkami lodu i nie patrząc na panią Galatierre, rzekła:

- Można by pomyśleć, że będzie miał coś ciekawego do powiedzenia.

Pani Galatierre rzuciła pośpieszne spojrzenie na Lily. Sheri znów zagrzechotała lodem

- Można by pomyśleć, że ty będziesz miała coś do powiedzenia. - Moja córka nie potrafi czasami zachować nawet pozorów przyzwoitości - odezwała się pani Galatierre, zwracając się do Lily. - Może zresztą sama to już zauważyłaś.

- No cóż, ty za to zachowujesz się tak, jakby to była jakaś pieprzona opera mydlana - odparła przytłumionym głosem Sheri. Alkohol już zdążył uderzyć jej do głowy.

- Sheri, proszę - zawołała Millicent. - Opamiętaj się!

- Czy ten basen był już, kiedy kupowali państwo dom? - zapytała Lily.

- Nie. Buddy kazał go wybudować.

- Zdążyłam skończyć trzynaście lat, zanim się dowiedziałam o istnieniu Tylera - powiedziała Sheri do Lily. - Możesz to sobie wyobrazić?

- Chyba pójde poprosić o jeszcze jeden kieliszek wina - rzekła Lily. - W ten sposób będę mogła dotrzymać wam kroku.

Mówiąc to dotknęła ramienia koleżanki, dając do zrozumienia, że to miał być dowcip.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, co on właściwie knuje - kontynuowała Sheri.

- Jest dorosły. Po prostu chciał poznać rodzinę. Będzie pracował u Buddy'ego. I nie musi mieć żadnego ukrytego celu. Nie widzisz, jak bardzo denerwuje się, co wszyscy o nim myślą?

- No dobrze, ale czemu nic nie wspomniał na ten temat?

Przez chwilę żadna się nie odzywała. Z kuchni dobiegł je śmiech Tylera; nie słyszały głosu Rosy.

- Sama go o to zapytam - powiedziała Sheri.

- Ani się waż! - wykrzyknęła Millicent, wyciągając szybko rękę, żeby złapać Sheri za nadgarstek. - Już wystarczy. Nie przynoś mi wstydu.

Sheri spojrzała na nią, a potem przeniosła wzrok na swoją dłoń, zamkniętą w dłoni Millicent. Kiedy matka uwolniła jej rękę, oparła się plecami o tył ławeczki. Wypiła ostatnią kroplę whisky, a potem zaczęła przeżuwać kostkę lodu, z okropnym trzaskiem miażdżąc ją zębami.

- Ja mogłaś znieść mieszkanie z taką dziewczuchą w jednym pokoju? - zwróciła się do Lily pani Galatierre.

- Było nam super - odezwała się Sheri z ustami pełnymi lodu. - Nie chciałam nikogo urazić. Po prostu sama się boję, to wszystko.

Tyler powrócił z kuchni z pełną szklaneczką i usiadł na skraju cienia.

- Czy to Buddy zabił tego niedźwiedzia, który leży na podłodze? - zapytał cicho.

- Tak.

- No, no! My nigdy nie polowaliśmy na tak duże i groźne zwierzęta.

Lily zauważyła, że Tyler mówi o swoim ojcu.

- Buddy zrobił to tylko raz, kiedy jeszcze był chłopcem. Ten niedźwiedź ma trzydzieści lat.

- Jezu Chryste! - jęknęła Sheri.

Wstała i chwiejnym krokiem poszła w stronę domu.

- Mam zamiar się zdrzemnąć - oznajmiła.

Weszła do środka, a przeszklone drzwi zatrzęsły się za nią z głośnym stuknięciem.

- Czy ona dobrze się czuje? - zapytał Tyler.

Buddy Galatierre wrócił razem z zięciem, kiedy zrobiło się już ciemno. Był wysokim mężczyzną o muskularnej piersi i mocnych ramionach. Na jego głowie kłębił się gąszcz siwych włosów zaczesanych do tyłu, a siwe krzaczaste brwi nadawały czerstwej twarzy pytający wyraz. Nick Green nie dorównywał wzrostem teściowi. Był to kościsty chłopak, o pociągłej twarzy, ostrych rysach i niezdrowej żółtawej cerze. Włosy miał tak czarne, że aż połyskiwały na granatowo. Głęboko osadzone oczy były podkrążone, co nadawało mu posępny, pełen cierpienia wyraz. Obaj mężczyźni zdążyli już coś wypić. Można to było wyczuć, a ponadto mąż Sheri zachowywał się nieco hałaśliwie i lekko się kołysał. Dłoń, którą podał na przywitanie Lily, była zimna i bezwładna, a w dodatku nieprzyjemnie wilgotna. Lily w jednej chwili przyszły na myśl kasety z pornografią i ten obcy, przyjaciel jego żony. Natychmiast pożałowała, że wie cokolwiek na ten temat, i zaczęła się bać, czy przypadkiem nie można czegoś wyczytać z jej zachowania. Pan Galatierre powitał ją dworskim, osiemnastowiecznym ukłonem, po czym wziął do ręki tę samą dłoń, którą przed chwilą podała Nickowi, i ucałował. Wyraz jego twarzy dowodził, iż doskonale rozumie, jak nieprzyjemny musiał być uścisk dłoni Greena. Kiedy przemówił, jego pierwsze słowa były skierowane do zięcia:

- To tak sobie tutaj radzili. Następnie odwrócił się do Tylera.
 - No cóż, młodzieńcze. Miło cię widzieć.
 - Tak, proszę pana - odpowiedział Tyler odrobinę wyższym głosem niż zwykle.
- Lily stanęła u jego boku i delikatnie wzięła go pod rękę. Buddy uściśnił dłoń chłopaka.
- No i jak, gotów do pracy? - zapytał.
 - Tak jest, proszę pana.
 - Potrzebujemy zastrzyku młodzieńczego entuzjazmu - dodał pan Galatierre.

Tyler w odpowiedzi skinął tylko głową. Wydawał się nieco zmieszany i spłoszony, toteż Lily ukradkiem ścisnęła mu ramię.

- Wiesz, że ja też swego czasu byłem na kursie przygotowawczym na medycynę? - powiedział pan Galatierre.
- Nie, proszę pana, nie miałem o tym pojęcia.
- Oczywiście, no jasne, że nie!
- Jezu Chryste! - zawołała Sheri. - Czy możemy wreszcie zjeść kolację?

Rosa przygotowała stół, a pani Galatierre powiedziała jej, że może zacząć podawać. Wszyscy zresztą siedzieli już przy stole, kiedy nadjechali obaj panowie.

- Za moment wrócimy - odezwał się mąż Sheri. - Muszę się trochę odświeżyć.

- Ile już dzisiaj wypiełeś, Nick? - zawołała za nim Sheri.

- Sheri! - zmitygowała ją pani Galatierre.

- Wszystko w porządku, mamó - odpowiedział Nick.

- Proszę, miałaś nie mówić do niej „mamó” - dorzuciła jeszcze Sheri.

Ale Nick zdążył już wyjść z pokoju, teraz był na schodach. Buddy poszedł w jego ślady, szurając w nieprzyjemny sposób nogami i wołając do Rosy, żeby przygotowała dla niego toma collinsa, jeśli oczywiście nie sprawi jej to wielkiego kłopotu.

Tyler stał blisko stołu ze swoim drinkiem w ręku i patrzył w ślad za nim z wyrazem dziecięcej ciekawości na twarzy. Potem odwrócił się i spojrział na matkę.

- Założę się, że jesteś ciekaw, jak to się między nimi zaczęło - odezwała się Sheri.

Oparła ręce o blat stołu, oparła na nich głowę i spoglądała na niego z szerokim uśmiechem.

- Myślę... to znaczy, mnie się wydaje, że znam tę historię, Sheri.

Ich matka westchnęła.

- Odnoszę wrażenie, Sheri, że stanowczo za dużo wypiełeś - powiedziała cicho.

Rosa wniosła potrawy - pieczoną wołowinę w sosie, tłuczone ziemniaki, zieloną fasolkę, chleb kukurydziany i sałatę - i pokroiła pieczeń w cienkie plastry. Pani Galatierre nałożyła sobie dwa i podała półmisek Sheri, która przekazała go Tylerowi, nie tykając mięsa.

- Sheri - odezwała się pani Galatierre - powinnaś wrzucić coś na ruszt.

- Kiedy nie jestem głodna.

- No cóż, więc może powinnaś odejść od stołu.

Sheri nic na to nie odpowiedziała. Tyler trzymał półmisek z mięsem i czekał na rozwój wydarzeń, ale Sheri siedziała dalej. Wreszcie w drzwiach jadalni pojawił się jej mąż.

- Obawiam się, że pan Galatierre nie zejdzie na kolację - oznajmił. - Położył się w ubraniach w nogach łóżka i zasnął. Zostawiłem go tam.

Millicent wstała.

- W porządku, Nick. Usiądź, proszę, i nałóż sobie jedzenia.

- Mam nadzieję, że nam to wybaczycie - dodała, patrząc na Tylera i Lily.

Z tymi słowami odeszła od stołu i powędrowała na górę.

- Czy chce pani, żebym trzymała kolację podgrzaną? - zawołała z korytarza Rosa.

Odpowiedź Millicent zagłuszył zgrzyt odsuwanej przez męża Sheri krzesła. Usiadł, złożył ręce na blacie i spoglądał przez całą długość stołu na swoją żonę.

- Coś niedobrego przytrafiło się mojej dziewczyneczce? - zapytał.

- Nie nazywaj mnie tak! - wrzasnęła na niego Sheri. - Mówiłam ci już tysiące razy!

- Ach, wiem, że płoniesz z miłości.

Sheri poderwała się z krzesła i wybiegła z pokoju, zręcznie unikając uścisku męża. On zaś, dygocząc, wstał i wydawało się, że chce pójść za nią, ale chwilę później chyba to przemyślał i zmienił zamiar. Usiadł z powrotem, uśmiechnął się i wyciągnął przez stół rękę do Lily.

- Chyba się nie mieliśmy okazji przywitać.

- Ależ tak - powiedziała Lily. - Zachowałeś się z niezwykłą galanterią i było mi bardzo miło z tego powodu.

- Naprawdę? Jakoś nie mogę sobie tego przypomnieć. Pewnie dlatego, że się załamałem. Czy uścisnęliśmy sobie dłonie?

- Ty nawet ucałowałeś moją. - Zerknęła na Tylera, który uśmiechnął się szeroko.

- Hej, zaczekaj! - powiedział Nick. - No nie... Nie rób ze mnie wariata. To Buddy pocałował cię w rękę! Ja ją tylko uścisnąłem. I szczerze za to przepraszam, bo wiem, że obrzydliwie pocał mi się ręce, kiedy za dużo wypiję. Tak mówi moja nieoceniona małżonka.

Przez kilka chwil nikt się nie odezwał. Rosa weszła do jadalni i nałożyła po trochu każdej potrawy na talerz pani Galatierre, a potem zabrała talerz do kuchni. Mąż Sheri obsłużył się sam, po czym rzucił się na zawartość talerza tak łapczywie, jakby był tu sam. Tyler i Lily także zaczęli jeść, wolno żując każdy kęs i obserwując Nicka. Co jakiś czas wymieniali tylko ukradkowe spojrzenia. Nick napchał sobie do ust kukurydzianego chleba, który wcześniej zamoczył w sosie, tak że policzki wydeły mu się jak balony. Cały czas mruczał coś pod nosem, jakby miał sobie coś ważnego do powiedzenia. Nagle spojrzał na Lily.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że już się widzieliśmy?

- Mniej więcej piętnaście minut temu. Byliśmy trzymeni w niewoli przez złego księcia i nas uwolniłeś.

Uśmiechnął się i skinął głową; chwilę potem zmarszczył czoło i zaczął się nad czymś głęboko zastanawiać.

- I uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Ty nam uściskałeś dłonie, jeśli chodzi o ścisłość - powiedział Tyler.

- O Boże, strasznie was przepraszam! Możecie mi to wybaczyć?

- Już zostało wybaczone - odparła Lily i skrzyżowała ramiona. W jej odczuciu był to gest mający dać mu do zrozumienia, że nie życzy sobie ponownych uścisków.

Odebrał to dokładnie tak, jak tego oczekiwała. Spuścił głowę i powiedział:

- Nie mam do ciebie żalu.

Po czym zwrócił się do Tylera:

- A ty? Podąłem ci rękę?

- Nie - odparł Tyler. - Ucałowałeś mi dłoń.

- Cholera! - Nick zaśmiał się i wyciągnął w jego stronę palec wskazujący. - Już zostało ci to odpuszczone.

Lily wybuchnęła nerwowym śmiechem, ale szybko zdołała go zdusić. Nick wzruszył tylko ramionami i zajął się zawartością swojego talerza, tylko od czasu do czasu potrząsał głową. Pociągnął duży łyk wody, którą Rosa naląła dla wszystkich, a następnie pochylił się na krzesło i wrzasnął w stronę kuchni;

- Rosa, a co z piwem?

Z kuchni nie padła odpowiedź. Przez chwilę czekał w milczeniu, gapiąc się na drzwi, aż w końcu zdjął z kolan serwetkę, rzucił ją na podłogę i wstał.

- Obsługa w tym domu pozostawia nieco do życzenia, jak może zdążyliście już zauważyć.

Ostrożnym krokiem podsunął się w stronę drzwi, pchnął je i przytrzymał ręką.

- Rosa?

Wreszcie wyszedł na korytarz, a drzwi zamknęły się za nim z hukiem. Tyler i Lily zostali w jadalni sami. Atmosfera w tym domu wydawała się aż kipieć od złości, wzajemnych napięć i absurdalnych zachowań, których przed chwilą byli świadkami.

- Chryste - powiedział w końcu Tyler, kręcąc głową. - Nic mi tak nie pomaga się odprężyć jak odrobina patologii.

- Zastanawiam się, czy tak jest zawsze - mruknęła Lily. - Jesteś przekonany, że chcesz tu zostać?

Sheri wróciła wolnym krokiem z przedpokoju i usiadła na swoim miejscu. Nie spojrzała na nich ani razu.

- Hej, Sheri! - zawołał Tyler. - Co jest? Taka byłaś dziś rano szczęśliwa, jak nas zobaczyłaś.

Sheri dalej milczała.

Nick Green wrócił z kuchni, niosąc sześciopak piwa związany plastikową żyłką. Jednej puszki brakowało; trzymał ją otwartą w drugiej ręce. Pociągnął z niej duży łyk, mocno przechylając głowę w tył, zanim opadł na krzesło. Puszki zabrzęczały, kiedy stawiał je na stole.

- Ej! - powiedział do Sheri. - Wyglądasz bardzo seksy. - Gdybym był naprawdę pijany, zacząłbym się do ciebie przystawiać.

Dokończył piwo i otworzył następne, śmiejąc się cichutko.

- Och, Nick, zamknij się, proszę!

Śmiał się jeszcze przez chwilę, od czasu do czasu kiwając głową z boku na bok. Potem pociągnął z nowo otwartej puszki i wrócił do jedzenia, zanurzając następną porcję chleba w sosie z pieczeni.

- Sheri - zaczął Tyler - czy powiedziałem albo zrobiłem coś, co mogło cię urazić?

- No cóż, wszyscy jesteśmy dorośli - odparła przygnębiona. - A teraz mamy szansę, żeby zostać przyjaciółmi. Czyż nie?

- Powiedz mi - poprosił Tyler spokojnie. - Ja naprawdę nic nie rozumiem.

Nie odezwała się.

- Twój ojciec zaproponował mi pracę i ją przyjąłem, więc jestem tutaj.

- Twoja matka zdaje się uważać, że wszystko dobrze się układa - wtrąciła Lily. - Tak zresztą, jak mówiłaś.

Sheri spojrzała na nią ze zdziwieniem, jakby jej obecność była niespodzianką.

- Ostatnio wszystko mnie denerwuje - mruknęła w końcu. - Taki mam charakter. Nie bierzcie tego poważnie.

Zakończyła wypowiedź głośnym czknięciem. Nick Green popatrzył na nią i zaczął się śmiać, otwierając jednocześnie następną puszkę piwa.

- Sprzedałem dzisiaj pięć samochodów, skarbie. Jestem zły, zły, podwójnie zły. Pięć w ciągu jednego dnia. - Napił się piwa. - Wydaje mi się, że w przyszłości mogę być niezły w handlu. Co to za wspaniała perspektywa! Czy może być coś bardziej seksownego niż handlowiec, który siedzi na forsie?

- Miałaś na myśli nawalonego handlowca na forsie? - docięła mu Sheri.

- Hej! - Uniósł puszkę. - Sprzedałem pięć aut. To rekord.

- Czy właśnie to teraz świętujesz? - spytała Sheri.

- Ej, czemu jesteś smutna, cukiereczku? Sheri spuściła wzrok.

- Twój znakomity ojciec i ja świętowaliśmy dzisiaj wszystko razem; przyjazd nowej rodziny, polepszenie się naszych stosunków, jeśli można tak to ująć, sprzedaż pięciu wózków jednego dnia i... i... - Urwał, lekko się zachwiał i pociągnął z puszki. - Do diabła, postanowiliśmy uczcić zwykłą rzecz: że ciągle jesteśmy tutaj, tego konkretnego lata, dzięki łasce Pana Boga.

Z kuchni przyszła Rosa i z pewną obcesowością zaczęła sprzątać naczynia ze stołu. Lily podniosła się, żeby jej pomóc, ale Rosa podziękowała.

- Proszę nie robić sobie kłopotu.

- Jeszcze nie skończyłem - odezwał się Nick. - Jak to pięknie ujął wielki irlandzki poeta, pan Yeats: „Odpieprzcie się ode mnie, kiedy konsumuję”.

Rosa nic nie odpowiedziała, tylko dalej sprzątała sąsiednie nakrycia, podczas gdy on wrócił do jedzenia. Lily obserwowała tę sytuację i nagle poczuła się osaczona: bała się pójść dokądkolwiek w tym domu, żeby komuś nie przeszkodzić. Siedziała bez ruchu, nie dotykając talerza.

- Och, już skończyłam - powiedziała szybko, kiedy Rosa doszła do jej miejsca i zawahała się przed zabraniem nakrycia.

- Widzę, że nawet nie zaczęłaś - odezwała się łagodnie Rosa i zabrała talerz.

Nick oparł się wygodnie, pogładził po żołądku i beknął donośnie.

- Na litość boską - zawołała Sheri.

- Przepraszam z całego serca.

- No więc - zaczął Tyler. - Jak się spotkaliście z Sheri?

- W szkole średniej - odpowiedział zapytany. Splótł ręce za głowę i wpatrywał się przez całą długość stołu w Sheri, która przeczesywała palcami włosy, nie patrząc na nikogo. - Byłem tam ja, znana w szkole persona - redagowałem szkolną gazetkę, pisałem wiersze i opowiadania do dziennika literackiego, wszystko to w złudnej nadziei, że dzięki temu zdobędę to oto dziewczątko. Ale Sheri nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Po prostu czuła, że mnie przerasta. Oczywiście, co wszyscy mogliśmy łatwo zauważyć, miała rację.

Westchnął przeciągle i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Natychmiast się odsunęła, ale na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, jakby miała do czynienia z natrętnym dzieckiem.

- No i nic się nie działo - podjął Nick. - Dopóki nie powróciła z Uniwersytetu Wirginii, gdzie doszła do wniosku, że życie na dalekim południu powoduje ropienie zębów, infekcje i nieustanną gorączkę. Mam rację, dziewczuszko?

- Och, Nick, nie masz ochoty pójść już do łóżka i przespać się? - zapytała Sheri.

Od niechcenia Tyler sięgnął przez stół i wyciągnął jedno piwo z plastikowego kółka.

- Nie masz nic przeciwko? - spytał.

- Do diabła, nie! Chętnie się podzielę. Zresztą w kuchni jest więcej tego towaru.

Lily także wzięła puszkę i otworzyła. Obydwoje z Tylerem popijali ze smakiem.

- No, nareszcie zaczęliśmy wszyscy - powiedział Nick i zwrócił się do Sheri: - Chodź, cukiereczku, poczęstuj się.

Wzięła posłusznie puszkę.

- Jeśli wypiję jedno, będzie o jedno mniej dla ciebie.

- Ach, cóż za poświęcenie! Taka ona jest, moja słodka laseczka. Niech Bóg ją błogosławi.

Uniósł wysoko rękę z puszką, jakby chciał wznieść toast. Sheri całkowicie go zignorowała, popijając z własnej puszki. Dotknął jej ramienia, a potem złożył ręce na kolanach i popatrzył na Tylera.

- Czy zdążyłeś zauważyć, że kobiety nigdy nie wybaczą? Nawet jednej cholernie głupoty?

- Nie, jeszcze nie zdążyłem - odparł Tyler.

- No cóż, jeszcze się tego dowiesz. - Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Ej, chłopie, prędzej się o tym przekonasz, niż się spodziewasz. Mam rację, złotko? - spojrzał na Sheri.

- Idź już spać - poprosiła Sheri.

- Nie muszę iść spać, złotko. Jestem trzeźwy jak nauczyciel ze szkoły podstawowej w poniedziałek rano. A ile ty zdążyłaś dziś wysączyć?

- Wiedziałam, że tak będzie, w momencie kiedy mama powiedziała, że ty i tato pojechaliście do miasta. Dokładnie wiedziałam, jak będzie wyglądał dzisiejszy wieczór.

- No widzisz, jaka jesteś zdolna! Jesteś... cholera, co to za słowo? Już wiem: jasnowidzem. Chyba to odpowiednie słowo. Nawiasem mówiąc, tego słowa nigdy nie użyję w obecności klienta.

Tyler wypił do końca piwo ze swojej puszki, a potem ziewnął szeroko.

- Jestem wykończony - oświadczył.

- Gówno prawda - odrzekł Nick. - Nawet jeszcze nie ma dziewiątej. Czy wy nigdy nie oglądacie telewizji?

- Obydwoje jesteście zmęczeni - wtrąciła Lily.

- Sheri też nie będzie nic oglądać. A może się mylę, Sheri? Nie odpowiedziała.

Lily miała chęć na niego wrzasnąć. Ale potem wydało się jej, że ten dom, jego ściany kryją jakąś niewypowiedzianą złośliwość; każdy drażnił się z każdym, ponieważ coś wisiało w powietrzu, którym przesiąknęły belki i legary, gzymsy i nadproża, i boazeria na ścianach. Nick Green, najwyraźniej podążając za jej wzrokiem wędrującym po całym pokoju, wyjaśnił, że ten bardzo stary i mało komfortowy dom został wybudowany przez właściciela niewolników w tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku. Oparł się wygodnie plecami o tył krzesła i z pijacką uporczywością zaczął przypatrywać się kątom na suficie, sztukateriom, przedsionkowi i obramowaniom okien, wzdychając przy tym z podziwem.

- Jeśli przyjrzyście się uważnie, zobaczycie, że w kominku jest drobna krzywizna. Obramowanie jest lekko przechylone w jedną stronę i nie mamy pojęcia, czy osiadło tak z upływem czasu, czy ten, co go budował, źle to zrobił od początku - no wiecie, w jakiś sposób źle to obliczył, tak samo jak pomylił się w tylu innych sprawach, na przykład w ocenie przyszłości. Nie przewidział nieuchronnego końca instytucji, dzięki której on, ten nieznany ktoś, zdobył bogactwo, i mógł postawić taki dom. Chyba nazywał się Thomas Bilbain. Wybudował ten dom i mieszkał w nim, dopóki nie umarł w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku. Pomyślcie tylko - nie doczekał końca niewolnictwa. Jego syn Joshua walczył z Forrestem, wyszedł z tego bez szwanku, a potem zginął razem z Custerem, wiercie w to bądź nie. Wyobraźcie sobie, że facet pojechał tam, żeby sobie popatrzeć. Zapłacił słono za swoją ciekawość. W każdym razie jego brat Percival trzymał ten dom aż do późnej starości i sprzedał go w roku tysiąc dziewięćset trzecim pewnemu zegarmistrzowi... No, do diabła, kochanie, jak on się nazywał? Cholera, nie pamiętam! Mülhausen czy Münchhausen, jakiś gość z Niemiec, który umarł tutaj po czterdziestu latach odosobnienia i trwonienia wszystkiego. Potem dom stał pusty prawie przez dwadzieścia lat. Ktoś próbował założyć tu salon sprzedaży antyków, ale nie trwało to zbyt długo. A później tata Sheri kupił go za psie pieniądze, kiedy się urodziła. Tak wygląda luksus, w którym dorastała Sheri. A kiedy jeszcze dom świecił pustkami, ludzie z pokolenia mojego taty przywozili tu dziewczyny. Wyobraźcie sobie tylko, mógłbym tu zostać poczęty, gdyby na miejscu mojego starego był ktoś inny.

- Nick - odezwała się Sheri. - Proszę, już wystarczy. Roześmiał się.

- Któregoś dnia chciałbym się wybrać do biura naszego hrabstwa i dowiedzieć się czegoś więcej o tym pierwszym gościu. Bilbainie. Gdybym nie był tak świetnym sprzedawcą samochodów, mógłbym zrobić karierę jako literat. Napisałbym książkę o właścicielu niewolników Bilbainie, który przyszedł na ten świat, żył i umarł wśród niewolników. Wszyscy zdążyliśmy się przyzwyczać do wstrząsu, jakim była wojna secesyjna i linia podziału, i w ogóle to wszystko, ale tysiące ludzi żyło i umierało w starym systemie, i tak naprawdę nie mieli pojęcia, że utrwalają zbrodnię przeciwko ludzkości.

- Naprawdę sądzisz, że nie mieli pojęcia? - spytała Lily.

- No cóż, Waszyngton powiedział: „Drżę na myśl, że Bóg jest Sprawiedliwością”.

- Jefferson - odparła Lily.

- Nie!

- Ja też uważam, że Jefferson - wtrącił Tyler. - To mi nie wygląda na słowo Waszyngtona.

- A ty za kim głosujesz? - Nick spojrzał na Sheri.

- Mam to gdzieś - odrzekła, podnosząc się z krzesła.

- Cholera - powiedział Nick. - Ciągle mi się pieprzą ojcowie założyciele z matkami. Wczoraj pomyliłem Marthę Waszyngton z Jeffersonem.

- Idę do łóżka - oznajmiła Sheri. I patrząc na Lily, dodała bezgłośnie: Wybacz mi.

Pani Galatierre zeszła na dół w pogodnym nastroju, ale widać było, ile wysiłku ją to kosztuje. Jedno pasmo włosów wysunęło się z fryzury i opadało uporczywie z lewej strony.

- Przepraszam za to wszystko - powiedziała. - Chciałam, żeby ta powitalna kolacja upłynęła w miłej atmosferze.

Wyraz jej twarzy pozostał niezmienny, niemalże spokojny, tylko fryzura w nieładzie świadczyła o burzliwych przejściach.

- Idę pooglądać telewizję - rzucił Nick. - Jeżeli ktoś poczuł się urażony tym, co powiedziałem albo zrobiłem, to gorąco przepraszam.

Wstał od stołu, zabierając dwa ostatnie piwa. Zanim wyszedł z pokoju, odwrócił się jeszcze w stronę Sheri.

- Chcesz iść ze mną? - zapytał. Bez słowa wstał i wyszła za nim.

- Na pewno był to dla was obojga dziwaczny wieczór - powiedziała Millicent, nie patrząc na Tylera ani na Lily. - Wiem, że to przeze mnie. Zwykle nie okazujemy tak jawnie tego, co nas boli.

Rozdział 9

1

Listopad 1878

Droga nieznajoma

Dziś rano w alejkę za domem zawędrowała krowa. Nazywam to miejsce „dziką alejką”, ponieważ zapuszczają się tam rozmaite zwierzęta, a niektórzy twierdzą, że często korzystają z niej również złodzieje. Matka czuje się już trochę lepiej. Ojciec wkrótce wróci z Ameryki, toteż nie będzie musiała się o niego martwić. Nie mogłam przepędzić tej krowy; po prostu stała i gapiała się na mnie, jakby nigdy nic.

- Sio! - wołałam z bezpiecznej odległości.

Koguciki łaziły jej między nogami, a ona w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Nawet najbardziej pospolite rzeczy i zdarzenia nabierają niekiedy zupełnie niezwykłych wymiarów, jak choćby ta krowa, stojąca sobie jakby nigdy nic w alejce i blokująca przejście. Kiedy matka zobaczyła ją z okna, natychmiast zaczęła się okropnie niepokoić, że zniszczy jej ogród, choć doprawdy nie wiem, co tam jest do zniszczenia. Wróciłam do domu i wzięłam miotłę od pani Barrett, która uznała, że to znak od Boga, ponieważ akurat odezwały się dzwony: ktoś brał ślub. Zaczęłam okładać krowę szczotką po grzbiecie, ale ona zamiast się cofnąć, ruszyła naprzód, mało nie przewracając płotu. Matka podniosła jeszcze większy krzyk.

- Przecież to tylko krowa! - zawołałam. - Na litość boską, zamknij okno i zaciągnij zasłony!

Ludzie zaczęli przystawać na ulicy, a ona wciąż krzyczała. W końcu wybuchnęła śmiechem, i ja też. Nasze ataki hysterii czasem bardzo nas bawią. Śmiejemy się z tego, co robimy i jak wyglądamy.

Wreszcie udało mi się przekonać nieproszonego gościa, żeby sobie poszedł z naszego ogródka. Krowina, powłócząc nogami, ruszyła przed siebie, gruba, niezgrabna i zdezorientowana. Matka natychmiast się uspokoiła i zamknęła okno, ja zaś zostałam sama na podwórku z miotłą w ręce, niczym jakaś czarownica ze starych opowieści. Podczas walki z krową zabrudziłam skraj sukni, co oczywiście natychmiast wytknęła mi pani Barrett.

- Och, naprawdę bardzo pani dziękuję!

Milcząca przyjaciółko, jeśli czytasz moje słowa, to wiedz, że piszę do ciebie w szary dzień u schyłku zimnej, deszczowej jesieni w kraju zwanym Brytanią, zamknięta w pokoju, którego okna wychodzą na Highgate. Mam szesnaście lat. Nie wiem, gdzie skończy się moje życie. Nie wydaje mi się, żeby miało mnie dokądkolwiek zaprowadzić, choć w moim sercu drzemie tyle pragnień.

2

Mary i Charley jadą dyliżansem na południe, przez Surrey i Hants, do Southampton, żeby powitać ojca wracającego z Ameryki. Noc spędzają w gospodzie w małej wsi niedaleko Winchesteru. Mary długo leży z otwartymi oczami, słuchając dobiegających z parteru rubasznym piosenek, aż w pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że otacza ją cisza. Widocznie zasnęła, nie zdając sobie z tego sprawy. Wstaje, podchodzi do okna i widzi świeży śnieg. Na bezchmurnym niebie świecą gwiazdy i księżyc. Pola są białe, nieskalanie czyste. Nieopodal szczytu pobliskiego wzniesienia stoi kary koń. Rusza stępa, niknie jej z oczu, pojawia się znowu nieco dalej, tam gdzie płynie połyskujący srebrzyście strumień. Widok zapiera Mary dech w piersi. Tu jest całkiem inaczej niż na Highgate.

Na śniadanie pałaszują pudding, Charley wypija filiżankę mocnej kawy. Jest mroźny, pogodny grudniowy ranek, bezchmurne niebo ma granatowy, prawie nierzeczywisty kolor. Tam gdzie jeszcze wczoraj było rozjeżdżone błoto, teraz są zamrożone koleiny. Mimo sprężynującego zawieszenia dyliżansu, podczas jazdy mocno trzęsie. Charleyowi dokuczają mdłości; siedzi wciśnięty w kąt pluszowego siedzenia, z kapeluszem zsuniętym na oczy. Potrzebuje świeżego powietrza. Chociaż Mary jest zimno, odsuwa zasłony i do wnętrza powozu wpada lodowaty wiatr. Mijają Guildford, jadą przez piękne okolice na północ od Winchesteru, wdychając mroźne powietrze Mary myśli o tym, że z każdą chwilą coraz bardziej oddalają się od Londynu, a równocześnie ich ojciec zbliża się morzem z przeciwnej strony, wracając do domu.

W blasku słońca Southampton wygląda staro i krucho, śnieg wciąż leży na parapetach, otacza wąziutkimi obramowaniami futryny okienne, wieńczy wieże i wieżyczki. Koleiny na ulicach są jeszcze głębsze niż na gościńcu. Szyldy nad sklepowymi wystawami kołyszą się w podmuchach porywistego wiatru. Nad kominami wznoszą się porozwlekane, przechylone kolumny dymu, ceglane ściany domów są pokryte tak grubą warstwą sadzy, że aż wydają się

czarne. Wokół zabudowań na przedmieściach rosną brązowe o tej porze krzewy, ciemnozielone sosny i szarobłękitne wyniosłe świerki; same budowle wydają się przy nich zupełnie zbędne. Dylizans jedzie ruchliwymi ulicami aż na skraj lądu, tam gdzie czarna krecha oceanu graniczy z bladym i nieciekawym niebem. Gdyby nie to, równie dobrze mogliby być w Londynie.

Port wypełnia gęsty las masztów, na falach przyływu kołyszą się setki mniejszych jednostek. Na nabrzeżach wśród stert odpadków przemykają szczury. Woźnica zatrzymuje konie i Mary od razu wysiada, nie czekając, aż otworzy jej drzwi. Charley piorunuje ją wzrokiem, ale nie robi to na niej większego wrażenia, tym bardziej że sam wygląda nieszczerze - ma szkliste oczy i bladozieloną cerę.

- Proszę tu zaczekać - mówi Mary do woźnicy, który bez słowa zeskakuje z kozła i zajmuje się końmi. Chciał pół suwerena, a ona dała mu tylko koronę. - Będziesz wymiotował? - pyta brata.

- Daj mi spokój.

Wchodzą w tłum. Na kotwicy stoi już jakiś statek, ale to nie *Mercury*. Charley dowiaduje się od kogoś, że to *Aria*, jednostka handlowa szykująca się do wypłynięcia do Indii. Dziób ma tak zarośnięty glonami, że z trudem daje się odczytać nazwę. Na spuszczonej za burtę linach siedzi kilku ludzi, którzy szorują kadłub szmatami i szczotkami. Mary i Charley wchodzi do małej tawerny i siadają przy oknie, z którego roztacza się widok na ruchliwy port.

Charley zamawia herbatę z przyprawami, po czym pije ją tak szybko, jakby się bał, że ktoś mu ją odbierze.

- Ciekawa jestem, czy Dunraven przyjedzie z nim do domu - mówi Mary.

Charley zerka na nią spod oka.

- Tu cię boli.

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Chłopiec zasłania oczy rękami.

- Daj mi spokój. Nie mam ochoty na rozmowę.

Mary odczekuje chwilę. Na wąskiej wstążce horyzontu nad delikatnie kołyszącymi się pokładami pojawia się biały żagiel.

- Czy to *Mercury*?

- Nie - odpowiada Charley, wydymając usta.

Mary przenosi wzrok na jeden z przycumowanych statków, przygląda mu się uważnie, po czym chwyta brata za rękę.

- Co?

- Już tu jest. *Mercury*. Widzisz? Czwarty od nas. Widzę napis na dziobie.

Charley wyęcza wzrok, a następnie prostuje się raptownie i rozgląda dookoła.

- Już przyплыnęli? W takim razie gdzie on jest?

Mary podnosi się z miejsca, płaci, wychodzi na zewnątrz. Charley podąża za nią. Idą nabrzeżem w kierunku statku.

- Zaczekaj, nie tak prędko!

Muszą rozpychać się łokciami, tak dużo tu ludzi. Kiedy wreszcie udaje im się dotrzeć do trapu, dostrzegają schodzących na ląd George'a Kingsleya, lorda Dunravena i jeszcze kilku pasażerów. Wszyscy są bladzi i przejęci. Mary jeszcze bardziej przyspiesza kroku, chociaż Charley wyciąga rękę, żeby ją powstrzymać. Ojciec wreszcie ich dostrzega i na jego twarz powraca w miarę normalny wyraz. Mary od razu rzucają się w oczy wystające kości policzkowe i posiwiałe włosy. Ojciec sprawia wrażenie bardzo zmęczonego. Charley, dumny ze swego wzrostu, wpycha się przed siostrę, po czym wita ojca męskim uściskiem dłoni, Mary natomiast zapomina o wszystkim i rzuca mu się na szyję.

- Tato!

Z podwójną siłą dopada ją świadomość, że jest śmiertelny i że nawet jeśli uniknął okrutnej śmierci na odległych, dzikich równinach Ameryki, to i tak kiedyś będzie musiał odejść. Obejmuje go z całej siły, ale on ujmuje ją za nadgarstki, odsuwa na odległość wyciągniętych ramion i przygląda się jej z niedowierzaniem.

- To moje dzieci - mówi do lorda Dunraven.

Dunraven kłania się szarmancko, choć i z jego twarzy można wyczytać jakieś zdumiewające znużenie, a zarazem ulgę kogoś, kto właśnie wywiązał się z ważnego, choć niezbyt przyjemnego obowiązku. Jest wysokim, zwalistym mężczyzną o ciemnorudych włosach i rudych, obfitych bokobrodach. Trzeba mu się uważnie przyjrzeć, aby zobaczyć, że ma nienaturalnie wysuniętą do przodu górną szczękę; usilnie stara się to ukryć, co nawet mu się udaje, szczególnie wtedy kiedy mówi. Oczy ma żółte, zbyt duże w porównaniu z ustami, osadzone tak głęboko, że wygląda, jakby wечно marszczył brwi. Mary jest przekonana, że to najbrzydszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Mieliśmy zgon na pokładzie - informuje George Kingsley poważnym tonem. - Kapitan zmarł na apopleksję, i to w samym środku nabożeństwa. Nieszczęśnik nawet nie zdążył się zdziwić; runął na pokład jak worek ziemniaków.

- Chętnie zabiorę was do Londynu moim powozem - odzywa się Dunraven. - Mam tam parę spraw do załatwienia. Swoje zbiory i cały sprzęt możesz sprowadzić później. Co ty na to?

- Ależ... To znaczy... - George Kingsley jąka się jak uczeń. - To byłoby dla nas zaszczyt.

- Zapłaciliśmy już woźnicy - mówi Mary cicho. Kingsley mierzy córkę spojrzeniem.

- No to powiedz mu, że może sobie jechać! A dlaczego nie przyjechaliście naszym powozem?

Zerka na lorda z zakłopotaniem.

- Bo musieliśmy zwolnić pana Bethwaite'a, ojciec, a konie sprzedaliśmy, żeby mieć czym zapłacić za szkołę Charleya.

- Dość, dziewczyno! Te szczegóły nikogo nie obchodzą. Zatrudnimy nowego woźnicę, i po sprawie.

Mary idzie powiedzieć woźnicy, że może jechać, George zaś uzgadnia w kapitanacie portu szczegóły związane z transportem jego rzeczy do Londynu. Rozmowa się przedłuża, Mary dołącza więc do brata i Dunravena, który czeka z jedną ręką wspartą na biodrze, a drugą wsadzoną w kieszeń surduta. Surdut jest rudawobrazowy, w związku z czym można odnieść wrażenie, że włosy mężczyzny wyrastają prosto z kołnierza. Dunraven spostrzega, że Mary mu się przygląda, i odwraca się lekko, żeby okazać zniecierpliwienie. Po chwili zerka w jej stronę, a widząc, że dziewczyna wciąż mu się przypatruje, mówi:

- Doprawdy...

W tej samej chwili pojawia się George Kingsley i wszyscy opuszczają nabrzeże, kierując się ku dyliżansom i powozom stojącym w długiej kolejce przed bramą portu. Stoi tam również powóz lorda, a na nim dwóch służących. Mary i Charley wsiadają pierwsi, ojciec za nimi. Dunraven wydaje polecenia stangretom, po czym również wchodzi do powozu i siada obok Kingsleya, naprzeciwko jego dzieci.

- Bardzo wyrosłaś - rzuca ojciec.

Mary uprzejmie kiwa głową. Chwilę potem uświadamia sobie, co musi w tej chwili czuć jej brat, wtrąca więc pośpiesznie:

- Charley też.

- Widzę, widzę.

Charley szturcha ją boleśnie w bok i robi minę świadcząca o tym, że wcale nie jest jej wdzięczny za wzmiankę o nim. Powóz kołysze się znacznie mocniej niż ten, którym jechali poprzednio, wewnątrz panuje nieprzyjemne milczenie. Na czole lorda wyraźnie widać granicę

między opalenizną a bladą skórą skrywaną pod kapeluszem; poniżej tej linii jest czerstwy i zdrowo wygląda, powyżej jest blady i mizerny.

- Czemu się panienka tak przygląda? Przez cały czas nie spuszcza panienka ze mnie oka.

- Proszę o wybaczenie.

Dunraven lekko zadziera głowę, po czym rozpoczyna dyskusję o Disraelim. Nazywa go po prostu „tym Żydem”.

- Doprawdy, Kingsley, albo weźmy na przykład to, że Wiktoria nosi tytuł cesarzowej Indii. Czy mówimy na nią „cesarzowa”? Zupełnie nie rozumiem, dlaczego królowa Brytanii ma być cesarzową Indii. To zupełnie nie w porządku. Tak jakby rządził nami jakiś czarnuch.

- Całkowicie się z panem zgadzam.

Następnie rozmowa schodzi na walki na Bałkanach. Rosjanie wypowiedzieli wojnę Turcji i zaatakowali Rumunię, przekraczając Dunaj. Zagrożone są szlaki handlowe wiodące do Indii. Zdaniem lorda Dunraven za wszystko to odpowiada Benjamin Disraeli, któremu królowa niedawno nadała tytuł lordowski.

- To dureń. Głupi dyletant, a do tego autor idiotycznych powieści. Słyszałem, jak ludzie nawiązują czasem w rozmowach do recenzji jego książek.

- A ja czytałam te książki - wtrąca się Mary. - Czytał pan *Lothaira* albo *Sybil*, albo *Two Nations*?

Dunraven gapi się na nią bez słowa.

- No więc czytał je pan czy nie?

George Kingsley pochyla się do przodu i na odlew uderza córkę w policzek. Uderzenie jest bardzo słabe, lecz Mary odczuwa je niezmiernie boleśnie. Milknie na dobre. Powóz kołysze się i podskakuje na nierównościach, zmierzając coraz dalej na północ. Mijają Winchester, by wreszcie dotrzeć do gospody, której nie zauważali podczas jazdy w przeciwnym kierunku. Chmury gęstnieją, zanoszą się na kolejne opady śniegu, dokoła rozciągają się pola porośnięte rzadką zbrązowiałą trawą i nagimi drzewami, poprzecinane gdzieś niskimi płotami. Lord Dunraven głośno domaga się najlepszego traktowania dla swoich koni i ludzi - od razu widać, że i w tej dziedzinie oczekuje szczególnych względów. Mary, którą wciąż boleśnie piecze policzek, dostrzega dziwną nić łączącą tego człowieka z jej ojcem; kiedy Dunraven zwraca się do George'a Kingsleya, w jego głosie pojawia się coś jakby cień szacunku i zainteresowania, zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy pyta Charleya o szkołę. Chłopiec mówi, że woli czytać przekłady dzieł greckich poetów i dramatopisarzy, niż studiować antyczną grekę.

- Ja też uważam, że po angielsku to wszystko brzmi znacznie lepiej - odpowiada Dunraven.

- Otóż to, proszę pana - przytakuje Charley. - Na przykład niedawno czytałem przekład *Iliady* pióra Browninga...

- Chociaż, szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem pojąć po co to wszystko - dodaje Dunraven. - Moim zdaniem literatura to rzecz dobra dla kobiet.

- Tak, mnie też się tak wydaje.

Widać, że Charley robi wszystko, by przypodobać się ojcu. Dunraven przez chwilę jest jakby trochę zdezorientowany, po czym wybucha gromkim śmiechem.

- Mądry chłopak! Te wszystkie przeklęte książki... - Zerka na Mary i dodaje, skłoniwszy lekko głowę: - Proszę mi wybaczyć. Wracamy z dzikich okolic, gdzie rzadko miewaliśmy okazję przebywać w towarzystwie młodych dam.

Mary nieznacznie pochyla głowę, patrząc na ojca.

Dunraven ciągnie opowieść o północnoamerykańskich dzikusach, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, że przez „dzikusów” rozumie nie tylko nagich morderców z prerii. Razem z George'em Kingsleyem relacjonują Charleyowi - patrzą tylko na niego - swoje przeżycia. Dunraven mówi tonem człowieka, który ani przez chwilę nie wątpi w niezachwianą słuszność wszystkich swoich przekonań i spostrzeżeń, a mimo to ojciec Mary dwukrotnie wygłasza przeciwną opinię, za każdym razem w kwestiach dotyczących obyczajów Czejenów. W obu wypadkach Dunraven wycofuje się bez walki, jakby uznając wyższość opinii eksperta w tej dziedzinie, ustępstwa te świadczą jednak nie tyle o uszanowaniu czyichś poglądów, ile raczej o przekonaniu, że sprawy takie jak antropologia i w ogóle nauka są pozbawione znaczenia. Lord Dunraven jest podróżnikiem i awanturnikiem. Żał mu wracać do domu. Mówi o tym bez ogródek.

W gospodzie Mary szybko umyka do pokoju pod pretekstem bólu głowy. Nie je kolacji, a kiedy jakiś czas potem ojciec pyta przez drzwi, jak się czuje, odpowiada, że już się położyła, nie jest głodna i ma się znacznie lepiej.

- Czy możesz otworzyć drzwi?

Mary wstaje z łóżka, otula się szlafrokiem i uchyla nieco drzwi. W migotliwym gazowym świetle ojciec jest wysoki i niezwykle przystojny. Jego oczy mają zaszczuty, niepewny wyraz. Robi jej się go żal.

- Naprawdę wszystko w porządku, ojcze.

- Przepraszam cię za to, co dzisiaj zrobiłem.

- Zapomnijmy o tym.

Zawsze ceniła go za bezpośredniość. Nagle uświadamia sobie, że jego uległość wobec lorda Dunraven sprawiła jej większy ból niż otrzymany policzek.

- To przeze mnie rozboleła cię głowa, prawda?

- Nie, ojciec.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie bardzo dumny.

Mary nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Ojciec podnosi rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale nie czyni tego.

- Niewiarygodne, jak bardzo wyrosłaś... Dziewczyna skromnie pochyła głowę.

- Byłem bardzo zdenerwowany. Ta sprawa na pokładzie... Często widywałem takie rzeczy, ale nigdy do nich nie przywykłem. W Kansas widziałem, jak na ulicy zastrzelili człowieka. Leżał przez całe popołudnie. To było... To było...

- Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Wiem. Mam wasze listy.

- Bardzo się martwiliśmy.

- Dzielna z ciebie dziewczyna.

- Wcale nie.

- Dobranoc, Mary.

- Dobranoc, ojciec.

Odprawia go wzrokiem do końca korytarza, po czym wraca do łóżka. Wiatr huczy w kominach. Mary wyobraża sobie, jak śnieg gromadzi się na dachach, parapetach, gałęziach drzew. Wkrótce potem śni, że przysypał konie, powóz i cały budynek.

Ranek jest pogodny i rześki i okazuje się, że w nocy nie padało. Dunraven chce wyruszyć jak najprędzej. Jedzą suchary, popijają herbatę i o siódmej rano są już w drodze do Londynu. Dunraven informuje wszystkich, że dzisiaj czuje się znacznie lepiej i że już całkiem otrząsnął się z nieprzyjemnego wrażenia, jakie pozostawiły wydarzenia na pokładzie. Jest bardzo wdzięczny za miłe towarzystwo, jakie zapewnili mu w drodze powrotnej do Londynu. Posyła Mary uprzejme skinienie głową, po czym ponownie skupia uwagę na Charleyu i snuje opowieść o niebezpiecznych przygodach, które spotkały ekspedycję w górzystych rejonach Wyoming, o nagłych załamaniach pogody i zagadkowym zachowaniu tubylców, których część była całkiem przyjazna, część zaś polowała z równą zaciekłością na ludzi jak na zwierzęta.

Wykłada starannie przemyślaną teorię, według której wszystkie ciemnoskóre rasy są gorsze od rasy białej, równocześnie jednak daje wyraz swojemu zrozumieniu sytuacji i współczuciu dla tych nieszczęśników.

- Znam na nich sposób - mówi. - Kochają mnie. Po prostu mnie uwielbiają, nieprawdaż, Kingsley?

- Rzeczywiście.

Kiedy zatrzymują się na odpoczynek, Dunraven oświadcza, że pragnie przewentylować płuca, i odchodzi na bok. Mary nie wytrzymuje.

- Powietrze rozstępuje się przed nim na boki... - mamrocze pod nosem.

- Nie bądź impertynencka - strofuje ją ojciec. - To wspaniały człowiek. Widziałem na własne oczy, jak sam mężnie stawiał czoło dziewięciu Czarnym Stopom. Bez zmrużenia oka znosi wszelkie niewygody. Wiecie, w jaki sposób stracił mały palec u lewej stopy? Obciął go sobie. Własnymi rękami. Dlatego że był odmrożony. Zrobił to przy mnie. Charley jest pod wrażeniem.

- Mój Boże...

Mary przenosi wzrok na poruszającą się w pewnym oddaleniu postać. Dunraven pokasłuje, chodząc w kółko i uderzając się dłońmi w klatkę piersiową. Można by uznać to za oznakę doskonałego samopoczucia i przejaw niepohamowanej energii, gdyby nie to, że te same dłonie co chwila wędrują ku ustom, zasłaniając je podczas gwałtowniejszych ataków kaszlu.

- Suchoty? - Mary pyta ojca.

- Nie każdy kaszel oznacza suchoty. Kaszle tak, odkąd go poznałem.

Dunraven dołącza do nich, pochrząkując, po czym wsiadają do powozu i przez jakiś czas jadą w milczeniu.

- Nie ma nic lepszego dla oczyszczenia płuc niż zimne powietrze - mówi wreszcie lord Dunraven. - I dla podniesienia na duchu. Wdzięczny jestem za towarzystwo, Kingsley.

- A my za gościnność.

- Szczerze mówiąc, to ja liczę na twoją gościnność. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zjem z wami kolację?

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund nikt się nie odzywa. George Kingsley ma taką minę, jakby nie zrozumiał, co zostało przed chwilą powiedziane.

- Ależ skąd, oczywiście! - wybucha z entuzjazmem, który jednak nie całkiem pokrywa zażenowanie. - To znaczy, jak najbardziej, to jest...

Mary widzi, że ojciec jest zupełnie nieprzygotowany i rozpaczliwie próbuje załagodzić sytuację, pochyla się więc do przodu i mówi:

- To będzie dla nas prawdziwy zaszczyt.

- Właśnie! - podchwytuje ojciec z ulgą. - Zaszczyt!

Dom na Highgate wygląda jak świąteczna choinka, palą się wszystkie światła. Wsiadają z powozu. Mary widzi minę lorda, z jaką spogląda na iluminowany budynek.

- Pani Kingsley nie znosi samotności - wyjaśnia George Kingsley.

- Też lubię światło - mówi Dunraven.

Charley otwiera furtkę. Zrobiło się całkiem chłodno. Po trawniku jakby nigdy nie spacerują dwa kogutki. Mary pospiesznie zagania je na tylne podwórze.

- No proszę - mruczy Dunraven.

Niebo zaciąga się chmurami, wisząca w wilgotnym powietrzu sadza piecze w oczy. Czuć typowy smród londyńskich ulic: ścieki, odpadki, brudną rzekę, końskie łajno. Po podróży przez czyste wiejskie obszary wonie te dają się jeszcze bardziej we znaki. Ojciec i Dunraven idą od razu do salonu na brandy i cygaro. Pani Barrett zwija się jak w ukropie, zabierając stamtąd swoje rzeczy. Mary ze zdziwieniem patrzy na matkę, która schodzi po schodach we flanelowej koszuli nocnej i czepku na głowie. W ręce niesie lampę, choć w domu jest jasno prawie jak w dzień...

- Mamo...

- Nie mogłam dzisiaj przełknąć ani kęsa. Dziecko, dlaczego zostawiłaś mnie w takim stanie?

- Przecież miałaś panią Barrett. Nie byłaś zupełnie sama.

- No tak, ja przesadzam, a ty racjonalizujesz - odpowiada matka tonem, jakim zwykle wymieniają żarciki. Mary delikatnie dotyka palcami jej ramienia, czując, jak ogarnia ją fala szczęścia. Nie może się doczekać, by sprawdzić, jak się zachowa ktoś taki jak Dunraven, wystawiony na przenikliwe, kpiące spojrzenie matki. George Kingsley natychmiast podchodzi do żony i delikatnie wyjmuję jej lampę z ręki.

- Pani Kingsley, chyba powinna pani wrócić na górę. Matka spogląda na córkę.

- Mary?

- Powinnaś wrócić na górę - powtarza z naciskiem George Kingsley.

- Nie mam ochoty - odpowiada matka Mary, patrząc na lorda Dunravena, który chrząka, rozgląda się z zainteresowaniem dookoła, a następnie podchodzi i wyciąga rękę.

- Lord Dunraven, szanowna pani. Niezmiernie miło mi poznać.

Pani Kingsley zerka na niego podejrzliwie.

- Tak, oczywiście...

- Jak najbardziej, proszę pani. Miałem już przyjemność spędzić nieco czasu w towarzystwie pani męża i dzieci.

Cofa rękę, zaraz jednak ponownie chwyta jej dłoń i unosi do ust. Matka sprawia wrażenie zaskoczonej, potem w jej oczach pojawia się ironiczny błysk.

- To szpony, prawda? Czy może ugotować panu jajko? Dunraven wybałusza oczy.

- Chyba naprawdę będzie lepiej, jeśli pójdziesz na górę. - A do lorda Dunraven: - Nie czuje się najlepiej. Wie pan, kobiece problemy...

Dunraven milczy, Mary występuje krok naprzód.

- Mamo, chodźmy do ciebie. Poczytam ci.

- Ale ja nie chcę niczego stracić! Przecież muszę ugotować mu jajko!

- Nie jestem głodny, szanowna pani. Bardzo dziękuję za troskę.

Matka posyła Mary porozumiewawcze mrugnięcie.

- Jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który nie miałby ochoty na gotowane jajko.

- Oni chcą po prostu posiedzieć, wypalić cygaro i porozmawiać o wojnie z Indianami w Ameryce.

- Też chętnie bym się czegoś dowiedziała.

- Powinnaś natychmiast wrócić do swojego pokoju! - rzuca stanowczo George Kingsley.

- Walczyłem również w wojnie krymskiej - rzuca niespodziewanie Dunraven i robi taką minę, jakby sam się sobie dziwił.

- Wracaj na górę, proszę!

- Nie mam ochoty.

George Kingsley przenosi spojrzenie na córkę.

- Mary, proszę, zaprowadź matkę do jej pokoju.

- Nie mam ochoty... - mamrocze pani Kingsley.

Mimo to Mary pomaga jej wejść po schodach i kładzie do łóżka. Matka popłakuje jak mała dziewczynka; Mary tuli ją więc i kołysze.

- Ja tylko żartowałam, córeczko...

- Wiem, wiem. I bardzo dobrze.

- Cieszę się, że przynajmniej tobie się spodobało. Mary kołysze ją, aż matka usypia.

Mężczyźni jedzą kolację składającą się z pieczeni baraniej i ciastek przygotowanych przez panią Barrett. Piją koniak, palą amerykańskie papierosy przywiezione z zamorskiej wyprawy. Lord Dunraven snuje opowieści o swoich badaniach, z wielką swadą i swobodą analizując przyczyny suszy i głodu w najbardziej zacofanych regionach świata, a szczególnie w Afryce, wstrząsanej krwawymi wojnami plemiennymi. Ironizuje na temat samouwielbienia takich ludzi jak Speke, Stanley i sir Richard Burton, którzy podczas swoich wypraw widzą tylko i wyłącznie otaczający ich teren. To absurd, żeby szukać źródeł Nilu, a nie dostrzegać tysięcy pogrążonych w ciemności istot ludzkich.

- Może warto by nawiązać z nimi kontakt? - podsuwa Mary.

- Nawiązać kontakt? Pokroiliby cię na plasterki i pożarli żywcem, moja panno!

- Pan Burton ma na ten temat odmienne zdanie...

- Burton to próżny, zadufany w sobie głupiec. Nie mam ochoty o nim mówić. - Po czym zwraca się do gospodarza: - Twoja córka ma wiele do powiedzenia prawie o wszystkim, Kingsley.

- Pozwalałem jej zbyt długo przebywać w bibliotece. Przyznaję, że ma bystry umysł, a ja przedsięwziąłem pewne kroki, żeby nauczyć ją tego i owego.

Dunraven przygląda się jej z namysłem.

- Znasz pisma sir Richarda Burtona?

- Niektóre. Interesuję się naukami ścisłymi i antropologią.

- A jakie masz wykształcenie?

- Żadnego, z wyjątkiem tego, które udało mi się zdobyć na własną rękę.

Dunraven zaciąga się głęboko dymem, po czym przenosi wzrok na gospodarza.

- Odrobina wykształcenia to bardzo niebezpieczna rzecz, Kingsley.

- Na szczęście zwykle potrafi zachować się w towarzystwie, choć przyznaję, że ma cięty język, za co bardzo przepraszam...

- Nie trzeba żadnych przeprosin.

Charley przysłuchuje się rozmowie, żując ciasteczko. Potem Mary sprząta ze stołu, przekazuje naczynia pani Barrett, sama zaś siada z dłońmi złożonymi na podolku.

- Podejrzewam, że to cena za to, że pochodzi się z wykształconej rodziny, prawda? - pyta Dunraven.

- Zapewne.

- Na przykład Charles z pewnością będzie kiedyś pisał książki.

- Wolałbym być poetą - oznajmia Charley. Mary słyszy o tym po raz pierwszy.

- Poezja! - Dunraven parska pogardliwie. - Mnóstwo emocji i niewiele poza tym. Już chyba mówiłem, że moim zdaniem literaturą powinny zajmować się głównie kobiety.

- Czy zna pan dzieła lorda Tennysona? - pyta Mary.

Z pewnym zdziwieniem uświadamia sobie, że odebrała słowa gościa jako wyzwanie. Czuje, jak krew żywiej pulsuje jej w żyłach.

- Częściowo.

- A Szekspira?

- Zdaje się, że Szekspir był przez stulecia mocno przeceniany. Czytałem coś chyba na ten temat.

- Zna pan jego sonety i dramaty?

- Oczywiście!

- I nie podobają się panu?

- Wolę świat czynów, młoda damo. - Dunraven odchrząkuje, wypuszcza z ust kłęb dymu i spogląda na jej ojca. - Czy nie moglibyśmy porozmawiać przez chwilę na osobności? Niedługo będę musiał jechać.

- Panowie pozwolą... - mówi Mary, podnosząc się z miejsca. - Charley?

Przechodzą do mniejszego saloniku i siadają w fotelach przy oknie wychodzącym na Highgate Street. Z sąsiedniego pokoju dobiegają przytłumione odgłosy rozmowy, w kuchni pani Barrett pobrzękuje naczyniami. Znowu pada śnieg, płatki przedzierają się z trudem przez gęstniejącą mgłę. Wreszcie Dunraven wychodzi od holu i donośnym, oficjalnym głosem oznajmia o swoim odjeździe. Obserwują przez okno, jak idzie do powozu, pokrzykuje na stangreta, wsiada i zatrzaskuje drzwiczki. Powóz rusza.

- I co o tym myślicie? - pyta Mary, nie bardzo wiadomo kogo.

- Jest przerażony - mówi ojciec, chodząc po pokoju. Zatrzymuje się tuż za fotelem Charleya. - Żadne z okropieństw, których tyle widzieliśmy podczas podróży, nie wstrząsnęło nim tak bardzo jak śmierć tego nieszczęśnika na pokładzie. Wciąż nie może się z tego otrząsnąć. Podejrzewam nawet, że przynajmniej na jakiś czas odechciało mu się dalszych podróży.

- To będziesz musiał znaleźć kogoś innego.

- Młoda damo, twoje ironiczne uwagi są doprawdy nie na miejscu. A teraz chciałbym mieć trochę spokoju przed udaniem się na spoczynek. Czy mogłabyś zająć się matką?

- Śpi.

- Doskonale. W takim razie zostaw mnie w spokoju. Mam jeszcze trochę pracy. Oboje zostawcie mnie w spokoju.

Idą do swoich pokoi. Mary rozbiera się, wkłada koszulę nocną, po czym siada przy oknie. Na trawniku leży romboidalny płat światła padającego z okna gabinetu, poprzecinany nieregularnymi cieniami nagich gałęzi. Obserwuje, jak rośnie pokrywa śniegu, szczęśliwa, że ojciec wreszcie jest w domu, choć równocześnie zaniepokojona skomplikowanymi uczuciami, jakie zawsze w niej wyzwała: niepokojem, bezsennością, lękiem, i podekscytowaniem. W głębi serca jest rozradowana i zarazem przygnębiona. W blasku światła miasta padający śnieg zdaje się tworzyć ognistą ścianę.

Rozdział 10

1

Buddy podpisał z Tylerem umowę o pracę i od razu dał mu pierwszy tydzień wolnego. Lily bardzo chciała znaleźć dla nich jakieś inne lokum, ale Tyler powiedział, że odpowiada mu przebywanie pod jednym dachem z „resztką rodziny”, jak to określał. Czuł się w ich gronie odprężony i najwyraźniej szczęśliwy. Uwaga, jaką zwracał na każde ich słowo i gest, przekonała ją, że powinna z nim współdziałać, przynajmniej przez jakiś czas. Poza tym współżycie z nim było dla niej nowością, która sprawiała jej nieustanną radość. Doszła do wniosku, że tak naprawdę nie знаła dotąd uroków życia rodzinnego, gdyż Scott bywał tak często nieobecny. Cieszyła się każdym wieczorem, gdy wszyscy zbierali się przy stole w porze kolacji, rozmawiali, żartowali albo po prostu robili sobie nawzajem kawały. Buddy Galatierre zawsze zdawał się temu przewodzić. Miał zwyczaj charakterystycznie opierać się łokciem o blat stołu i wskazywać drugą ręką kogoś, prosząc o opowiedzenie czegoś ciekawego albo o komentarz lub odpowiedź. Lily przychodziło na myśl skojarzenie z dyrygentem, który pokazuje, jak powinna wyglądać muzyczna fraza.

Któregoś wieczoru, późno w nocy, kiedy skończyli się kochać, odezwała się do Tylera konspiracyjnym szeptem z uwagi na to, że ktoś jeszcze pływał w basenie:

- Wiesz, zastanawiałam się kiedyś, czy ty przypadkiem nie chciałeś tu przyjechać, żeby narobić komuś kłopotów.

- Boże, cóż to za pomysł - powiedział, krztusząc się ze śmiechu.

- Chyba musiałam zarazić się od Sheri paranoją.

Chociaż w ciemności nie widziała jego twarzy, poznała po krótkim westchnieniu, że na wspomnienie siostry przyrodniej odwrócił wzrok.

- Po prostu chciałem poznać tę część rodziny. Taki był mój niecny cel.

Gładził ją lekko po ramieniu, podążając palcami w dół aż do jej nadgarstka, ale po chwili się zatrzymał.

- Miałem pewien uraz. Ojciec czasami zachowywał się jak gnojek i nieraz, kiedy go rozczarowałem, na swój sposób mi o tym przypominał, a każdy myślał, że jestem synkiem tatusia, ponieważ tak desperacko próbowałem go zadowolić. Miałem fioła na tym punkcie, żeby każdego dnia wszystko szło jak należy. Zgadza się, miałem masę czasu, żeby narosła we mnie niechęć. I nie byłem przygotowany na to, żeby polubić Buddy'ego tak bardzo, jak teraz go lubię. Co do Sheri i Millicent - no cóż, one są jedyną rodziną, jaka mi została. Nie mam innej.

Następnego ranka Sheri i Lily robiły w mieście zakupy. Sheri bez przerwy paplała o swoim platonicznym przyjacielu, którego imienia nie chciała ujawnić, bo, jak powiedziała, bała się, że pewnego dnia Lily mogłaby na niego wpaść albo wygadać się przed Nickiem.

Lily nie chciała nic wiedzieć na ten temat, ale Sheri nie przyjmowała do wiadomości jej sprzeciwów. Wyglądało to tak, jakby cofnęły się w przeszłość, kiedy dzieliły pokój.

- On jest wykładowcą na uniwersytecie - opowiadała Sheri. - Jest trochę starszy niż Nick i wydaje mi się, że rozumie mnie w sposób... hmm, jakby to określić... no, jak nikt inny. Chcę być w porządku, pojmujesz? Nie mam zamiaru nikogo skrzywdzić.

Sheri zmarszczyła brwi i westchnęła. Lily doskonale wyczuwała atmosferę dwuznaczności otaczającą Nicka i nagle zapragnęła być gdzie indziej. Fakt, że jej uczucia wobec Sheri mogły oscylować między prawdziwą czułością a głęboką awersją, był dla niej źródłem nieustającego zadziwienia.

Kiedy skończyły zakupy, Sheri zabrała ją do miejskiego teatru w Oksfordzie, miejsca zwanego „Strychem”. Wchodziło się tam po schodach obok wysokiego budynku z drewna, gdzie kiedyś była apteka połączona z częścią mieszkalną, teraz zaś mieściły się biura i teatr. W oknach na drugim piętrze wisiały koronkowe firanki, a całość sprawiała wrażenie wnętrza niedużego hotelu. Za biurkiem siedziała młoda kobieta. Sheri знаła ją ze szkoły średniej i przedstawiła jako Brandi. Obie przez chwilę rozmawiały na temat rozmaitych zdarzeń z życia w college'u i poza nim. Brandi poinformowała je, że właśnie się zaręczyła; zwróciwszy się do

Lily, dodała, że zna doskonale męża Sheri, gdyż Nick brał udział w kilku produkcjach dwa lata temu. Jedną z nich było kompletna bzdura zatytułowana *Zbyt wiele jedzenia i za dużo do picia*; jej autorem był miejscowy pismak, człowiek, który zrobił dyplom z twórczości literackiej w Stanfordzie, ale potem poszedł na prawo i został adwokatem. Brandi poznała go w chwili, gdy zespół już pracował nad inscenizacją jego sztuki.

- Nigdy nie widziałam większego świra - oznajmiła. - Opowiadał mi, że pozbył się żony i dzieci i zrezygnował z lukratywnej praktyki prawniczej, żeby zdobyć literacką sławę. Koniec cytatu. A potem chciał się umówić na randkę. Och, ciekawe, czy zgadniecie, o czym była ta sztuka? Nick grał główną rolę, to znaczy... hmm, lokalnego literata, który marnuje swoje życie, uprawiając zawód prawnika.

Sheri wraz z Brandi wypowiedziała unisono ostatnie zdanie i wszystkie wybuchnęły głośnym śmiechem.

Brandi była drobnej budowy, miała długie, proste włosy w nieładnym blond odcieniu i migdałowe, ciemne oczy. Oprowadziła je po całym teatrze. Lily zobaczyła dekoracje do następnej produkcji, komedii *Dwanaście tysięcy i reszta*, która przed kilkoma laty była wystawiona z pewnym sukcesem na Broadwayu. Brandi powiedziała kilka słów na temat olbrzymiej obsady.

- Lily też pisze - wtrąciła się Sheri. - Teraz właśnie pracuje nad sztuką.

Lily odważnie wystąpiła naprzód.

- Nie mam na razie nic gotowego - powiedziała.

- Ale przecież piszesz sztukę.

- Tak, ale to pewnie jeszcze lata pracy, Sheri.

- Jej ojcem jest Scott Austin. Ten, który grał w filmach.

- Faktycznie, to nazwisko coś mi mówi - odezwała się Brandi.

- Bardzo bym się zdziwiła, gdyby tak było - rzekła Lily.

- Wpadnij coś nam przeczytać.

Wyszły na półpiętro, w ciepły blask popołudniowego słońca. Brandi Müller podała Lily rękę.

- Chętnie poznamy nowy talent - powiedziała.

Kiedy wróciły do samochodu, Lily zaczęła robić Sheri wymówki.

- Nie opowiadaj ludziom o jakiejś sztuce. Na razie nic nie napisałam. Mam jakieś notatki, parę niedokończonych scen. No i dziennik, o którym każdy mógłby co najwyżej pomyśleć, że jest... no, dziwaczny.

- Chciałam ci tylko pomóc. - Sheri się nadała.

- Wiem i doceniam to. Ale nie ma sensu uprzedzać biegu wypadków.

2

Czytałam znowu twoją pierwszą książkę i znowu podziwiałam twoje poczucie humoru. I zdumiewającą umiejętność opisywania rzeczywistości. Chciałabym móc odtworzyć tę jakość w dialogach, które dla ciebie piszę. Chociaż ostatnio zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle nadaję się na pisarkę.

Tak samo uwielbiam sposób, w jaki zapominasz o sobie i o dręczących cię kłopotach. Nie mogę sobie przypomnieć, kto powiedział, że piekło to inni ludzie, ale od czasu do czasu, mimo że nie mam problemów z tym, żeby zostać sama, kiedy piszę, przychodzi mi do głowy coś wręcz przeciwnego: piekłem może być pozostawienie kogoś samemu sobie, bez pocieszających obietnic i komfortu, jaki daje czyjaś obecność.

Tyler zaczął pracę. Buddy dał mu nowego sedana jako samochód służbowy. Trochę go podręczyłam na temat jego rakiety, bo szybki samochód to coś, o czym zawsze marzył. Któregoś ranka byliśmy wszyscy na parkingu, gdzie Buddy grał w softball z grupą chłopaków ze swojego salonu. Wielki plac wysypany żwirem. Opony trzeszczały w taki miły dla ucha sposób, a ja pomyślałam, że to jest dźwięk, jakiego ty nie słyszałaś przez całe swoje krótkie życie. Ty jesteś tam, w ostatnich latach swojego stulecia, a ja jestem tu, w moim. Tyle się zmieniło. I tyle pozostało bez zmian.

Na przykład tęsknota za doświadczeniem czegoś niezwykłego. Teraz jest tak samo. Tylko ty chciałaś za wszelką cenę odejść z domu, ja zaś stwierdziłam, że ponad wszystko pragnę odnaleźć dom.

Tylerowi udało się wczoraj sprzedać pierwszy samochód, długo po rozpoczęciu pracy. Wrócili do domu kompletnie pijani, wszyscy trzej - tak świętowali to wydarzenie. Tyler wymiotował później, biedny miś, a ja doglądałam go i myślałam o tobie, o twoich praktycznych umiejętnościach z zakresu medycyny, z takim trudem zdobytych prawie w całości z książek.

Mnie na razie nie dopisało szczęście, jeśli chodzi o znalezienie pracy, a mijają już trzy miesiące. W „Strychu” nie ma nic do roboty, przynajmniej dopóki nie uporają się z obecną produkcją. Staram się schodzić z drogi Millicent - ale chciałabym też być użyteczna. Ona jednak rzadko potrzebuje jakiegś pomocy, a poza tym jest jeszcze Rosa. Obie są niesamowicie miłe, lecz jednak czuję, że moja obecność może być czasem źródłem napięć. Jak zresztą mogłoby być inaczej? Ja jestem osobą, którą Doris nazywa „zwierzęciem stadnym”. Mam nadzieję, że wkrótce coś znajdę. Sheri pracuje w biurze nieruchomości i próbowała mnie tam wepchnąć, ale bez powodzenia. Masę czasu spędzam, wertując książki, twoje i innych, i rozmyślając, jakby tu pojechać w część tych miejsc, które odkryłaś. Wstaję rano razem z Tylerem, trochę się bawimy, śmiejemy i przedrzeźniamy, a potem jemy śniadanie z Buddym i Nickiem, a jeszcze później stoję w drzwiach i macham na pożegnanie. Pierwszego dnia pozmywałam naczynia, ale Rosa dała mi odczuć w nieco sarkastyczny sposób, że bardzo jej to nie odpowiada. Teraz więc zostawiam wszystko brudne i po śniadaniu wracam na dół, żeby poczytać i spróbować pisać. Od czasu do czasu, kiedy Sheri zgadza się, żebym ją podrzuciła do biura, mam dla siebie samochód i mogę pojechać do miasta na poszukiwanie zajęcia. Odbyłam już kilka rozmów w sprawie i nawet parę razy myślałam, że dostałam pracę, ale potem nic z tego nie wychodziło. Pojechałam też do biblioteki uniwersyteckiej. Okazało się, że mają pierwsze wydanie twoich Podróży.

Próbowałam też napisać do domu, ale o wiele prościej jest zadzwonić, więc rozmawialiśmy już kilka razy. Nieco niezdarnie. Mój ojciec w końcu powiedziała Doris o Peggy. Doris odparła, że bardzo się cieszy z tego powodu. Zupełnie tego nie pojmuję. No, ale to jest ich życie. Jeśli potrafią to sobie nawzajem wyjaśnić, mogę zostawić ich w spokoju. Albo przynajmniej spróbować.

Wszyscy w naszym domu, dzięki Tylerowi i Sheri, wiedzą, że próbuję pisać tę sztukę. Nick jest szczególnie spragniony nowin. Ma zwyczaj uśmiechać się szeroko, jeśli nie potrafię mu odpowiedzieć na jakieś pytanie, co często się zdarza. Powiedział, że chciałby dostać rolę w tej sztuce, na co ja zaczęłam się śmiać i odrzekłam, że nie przewiduję roli osła. Czasami jest mi niezręcznie przedrzeźniać go, wiedząc to, co wiem o „platonycznym przyjacielu” Sheri. Nie mogę nic na to poradzić, ale jest w tym jakiś element zdrady. W towarzystwie Nicka nie można jednak niczego brać zbyt poważnie - w ten właśnie sposób on traktuje innych. Wszystko obraca w żart; zauważyłam nawet parę razy, że potrafi się śmiać sam z siebie. Niestety, jego kpiny, często dotyczące mojej sztuki, wprawiają mnie w raczej pochmurny nastrój. Czasami nazywa

mnie Szekspirem i jasno widzę, że w jego mniemaniu to czułe określenie; nie ma w tym naj-najmniejszej złośliwości, ale pomimo to złoścuję się i szukam wymówek, żeby nie rozmawiać, albo wręcz uciekam od niego gdzie pieprz rośnie.

Bardzo chciałabym skłonić Tylera do przeprowadzki. Ale potem znowu spotykamy się w porze kolacji, śmiejemy się, opowiadamy niestworzone historie i jest tak wesoło, a ja śmieję się tak szczerze, że nie chcę niczego zmieniać. Żartujemy z Tylerem, że przecież możemy znaleźć jakieś lokum dla nas, ale dalej wpadać do Galatierre'ów na kolację każdego wieczoru. Jest nam tu razem tak dobrze, że robi mi się nieswojo na myśl, że czasami tak bardzo się denerwuję. Z drugiej strony byłoby cudownie, gdybyśmy mogli z Tylerem mieszkać we własnym domu. Zeszłej nocy długo rozmawialiśmy, leżąc w ciemności, i Tyler powiedział, że zawsze żył w strachu przed utratą prywatności, że każdej sprawie towarzyszyła natrętna myśl „co ludzie powiedzą” i że pewnie jest to skutek codziennego obcowania z ojcem, który zwracał baczną uwagę na prowadzenie się syna. I że dla niego te codzienne wieczorne spotkania przy stole, te rozmowy i żarty są najwspanialszą duchową uczcią. Ja mu na to odparłam, że dla osoby dręczonej przez takie uczucia samo przyznanie się do nich jest wielkim sukcesem i dowodem zaufania.

- No cóż - rzekł. - To dzięki tobie. I dlatego że jesteśmy tutaj.

Serce zaczęło mi szybciej bić, kiedy to usłyszałam. Objęłam go za szyję, przycisnęłam mocno i powiedziałam, że zwykle tak dzieje się z ludźmi, którzy obracają się w towarzystwie. Ale wtedy powiedział, że pomysł wyprowadzenia się stąd budzi w nim niepokój, jakby było to wzięcie na siebie jakiejś odpowiedzialności, do której jeszcze nie dorósł. I że ma wrażenie, jakbyśmy wszyscy bawili się w jakąś grę, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistym życiem

Czasem, kiedy siedzimy wszyscy razem, widzę, że ich obserwuje, a na jego twarzy pojawia się podziw i entuzjazm.

Coś dziwnego dzieje się ze mną, ale nie mogę zabrać się do pisania.

3

Każdego ranka budziła się o świcie pierwsza. Leżała w łóżku i czekała na nadejście dnia, czując, że trochę zbiera się jej na mdłości. Zdarzało się czasami, że musiała w nocy wstać, żeby zrobić siusiu. Szybko wracała z powrotem, prześcieradło było jeszcze ciepłe w miejscu, gdzie przed chwilą leżała, a Tyler przysuwał się wtedy bliżej. Ciepło i zapach jego ciała uspokajały

ją; ustępowała nerwowość spowodowana nocnymi wędrówkami do łazienki i mogła teraz spokojnie rozmyślać o rozmowach, które toczyły się poprzedniego wieczoru przy kolacji.

Buddy, Nick i Tyler odkryli, że mają wspólną pasję - polowanie. Rozmawiali na ten temat bez końca, planując wypady na jesieni, w sezonie na jelenie. Dwa razy zdążyli już wybrać się na północ, żeby zapolować na wiewiórki i inną małą zwierzynę. Była tam farma, otoczona tysiącami akrów dziewiczego lasu, a Buddy przypadkiem znalazł jej właściciela. Zabrał z sobą Nicka i Tylera, a kiedy wrócili, stroił sobie z nich żarty, opowiadając, że nie potrafią żyć z dziką naturą za pan brat i że wszędzie łazili w swoich ciężkich buciorach w obawie przed węzami. Chłopcy, jak ich nazywał, rewanzowali się historyjkami o tym, jak musieli zwalniać tempo, żeby starszy pan mógł dotrzymać im kroku.

Tego wieczoru Tyler opowiadał o tym, jak miał jedenaście lat i po raz pierwszy pozwolono mu nieść broń. Na wyprawie miał trzymać się z tyłu i tylko się przyglądać. Zdarzyło się jednak, że ścigany przez psy królik zatoczył koło w krzakach i wysokiej trawie i wypadł wprost na niego, niecałe pół metra od jego stóp. Tyler w panice wystrzelił z obu luf, niemalże raniąc siebie i prawie zmiotając z powierzchni ziemi biednego królika. Stojąc przy stole dla lepszego efektu, naśladował odgłosy strzałów, a potem opadł na krzesło i udawał, że je ugotowane zwłoki tamtego zwierzaka, które jego ojciec przygotował, nie zadając sobie nawet trudu, żeby wyjąć śrut. Odegrał przy tym całą pantomimę, udając zaskoczenie za każdym razem, gdy napotykał w mięsie kawałki metalu, które utrudniały przeżuwanie takich kęsów, a następnie, pochyliwszy się nad stołem, udawał, że wypływa śruciny. Opisał nawet, jak brzęczały, kiedy uderzały o talerz. Potem sportretował swojego ojca, który w tym samym czasie prowadził towarzyską pogawędkę z aktualną przyjaciółką, najwyraźniej nie zwracając uwagi na rozlegające się od czasu do czasu grzechotanie, jakby było najzwyczajniejszą rzeczą pod słońcem siedzieć przy stole razem z chłopcem, który pluje ołowiem. Następnie naśladował tamtą panią i wyraz zakłopotania pomieszanego z przerażeniem na jej twarzy. Pokazał także, jak z każdym brzękiem wzrastało jej zaskoczenie i konsternacja. To było prawdziwe przedstawienie. Nikt z obecnych nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Sheri położyła głowę na rękach skrzyżowanych na stole i chwytła spazmatycznie powietrze, błagając brata przyrodniego, żeby przestał.

- No, to było mocne - powiedział Nick, wycierając oczy. - Chłopie, to coś niesłychanego!

- Taki był mój ojciec - odrzekł Tyler, opierając się plecami o krzesło.

- Czy wiesz, skarbie, że ty masz talent? - Lily się uśmiechnęła. - To było superwidowisko. Zagrałeś trzy różne osoby.

- Człowieku, dlatego to było takie dobre - mówił dalej Nick.

Tyler spojrział na Buddy'ego.

- Taka jest łąwiecka sprawiedliwość, prawda?

- Chyba muszę zgodzić się z Nickiem - odpowiedział Buddy Galatierre, nie przestając się śmiać.

Któregoś ranka, kiedy mężczyźni pojechali już do pracy, Lily pracowała w swoim pokoju i mniej więcej po godzinie postanowiła pójść do kuchni po kubek kawy. Kiedy wchodziła na górę po schodach, usłyszała dobiegające stamtąd dwa głosy, kobiecy i męski. Coś kazało się jej zatrzymać, a zaraz potem poznała głos Millicent.

- Jesteś słodki.

Była w nim jakaś uległość, nawet czułość, ale z domieszką skrajnie innego uczucia - niepokoju.

- Niezła komediantka z ciebie, moja damo, wiesz o tym, co? To wszystko, na co mogę sobie pozwolić, jeśli mam się powstrzymać od zalecania do ciebie. Zresztą nie wiem, czy zdołam nad sobą zapanować.

- No cóż, może nie powinienes...

- Och, co takiego?

- Chciałam powiedzieć, że może nadal powinienes próbować.

- Co przez to rozumiesz?

- Tylko tyle, że jestem pewna, że zdołasz powstrzymać się od zalotów, Roger.

- Ale nie chcesz, żebym za bardzo się starał, co?

- Roger!

- A co ty na to, żebyśmy szczerze sobie wyznali, o czym myślimy?

- Nie stój tak blisko. Ktoś może wejść.

- Przecież jesteśmy sami.

Zapadła długa cisza. Lily odwróciła się na pięcie i bezszelestnie, tak samo jak weszła, zaczęła schodzić. Dobiegły ją odgłosy pośpiesznego stukania obcasów po kuchennej podłodze, a chwilę potem ze szczytu schodów rozległ się okrzyk Millicent, skierowany do niej.

- Cześć!

Odwróciła się natychmiast. Biała bluzka Millicent była pognieciona, a na jej twarzy płonęły krwiste rumieńce. Prawie bez tchu, pełna niepokoju, zdołała zmusić się do uśmiechu.

- Chodź, chcę, żebyś kogoś poznała.

Lily posłusznie weszła z powrotem na górę. Millicent przedstawiła jej wymuszanego mężczyznę o urodzie południowca; w średnim wieku, łysiejącego, ale niewątpliwie przystojnego. Nazywał się Roger Gault. Lily spojrzała mu prosto w oczy, zgodnie ze swoim starym przyzwyczajeniem pokonywania impulsów, które właśnie nakazywały jej odwrócić wzrok. Pan Gault był przedsiębiorcą i przyjacielem rodziny; to on urządzał kuchnię. Millicent pokazywała zgrabne szafki i drewniane wykończenia, a Gault opierał się o blat z butelką piwa w rękę i uśmiechał do nich obu. Millicent najwyraźniej była podniecona, ale panowała nad sobą; z pośpiechem opowiadała o planach wyburzenia zachodniej ściany i powiększenia pokoju o mały gabinet, z którego Buddy nigdy nie korzystał, i wybudowaniu małej szklarni dla jej roślin. Prace powinny zacząć się zaraz, gdy tylko zrobi się zimno. Gault dokończył piwo, uściskał Lily dłoń, a potem odwrócił się do Millicent.

- Najwyraźniej mam tu na kogoś zły wpływ - rzekł z łatwą do rozpoznania nutką poufałości w głosie.

Pochylił się i pocałował ją w skroń, ale musiał pochylić się dalej, niż zamierzał, bo Millicent uchyliła się przed jego dotykiem, patrząc spod oka na Lily.

- Roger, proszę...

- No to pa, dziewczęta - powiedział.

Patrzyły, jak szedł nad basenem i dalej, wzdłuż drewnianego płotu aż do swojego samochodu. Millicent trzymała ręce ciasno splecione wokół talii. Odchrząknęła, a potem spostrzegła, że jej bluzka wysunęła się spod paska. Włożyła ją starannie z powrotem, jednocześnie postępując parę kroków w stronę wyjścia, jakby chciała stąd uciec.

- Ach, ten Roger - powiedziała. - To taki flirciarz.

Lily nie odezwała się słowem. Po uwadze tego typu mogła tylko skinąć głową.

- On jest oczywiście całkowicie nieszkodliwy. Drażniłam się z nim tylko. Ale wydaje mi się, że posunął się jednak za daleko i trzeba nieco ostudzić jego zapały.

Lily wyczuła upokorzenie drugiej kobiety, jakby wisiało w powietrzu pomiędzy nimi na kształt jakiejś zasłonki. Mimowolnie przyszło jej do głowy, że Millicent opuściła ojca Tylera dla Buddy'ego Galatierre'a i że wówczas była już w ciąży z Sheri. Myśl ta przemknęła jak błyskawica i spowodowała nerwowy ucisk w gardle. Bała się, że Millicent może odczytać te

myśli przez zakłopotanie, które na pewno malowało się na jej twarzy, czym prędzej zajęła się więc nalewaniem do szklanki wody z lodem.

- Boję się, że jeśli wspomnę o tym Buddy'emu, zrobi coś okropnego i wpędzi się w kłopoty.

Lily piła wodę, żeby nie musieć nic mówić. Kiwała tylko głową, myśląc mimo woli o Sheri i jej żonatym „przyjacielu”.

- Wiesz... on... on mnie objął. Zresztą pewnie nas słyszałaś. Próbował mnie pocałować.

Lily zmarszczyła czoło w udawanym zaskoczeniu.

- Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, gdzie jest granica albo nawet, że w ogóle jakaś istnieje.

Millicent najwyraźniej rozluźniła się, usłyszawszy te słowa.

- To nie tak. Po prostu nie widzę, jakie korzyści mogłoby przynieść mówienie o tym.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Mam nadzieję... - Millicent na chwilę zgubiła wątek. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi niezręczność tej sytuacji.

- Tu nie ma nic do wybaczenia - odparła szybko Lily. - Nie wygłupiaj się.

4

Przez resztę tygodnia czuła napięcie Millicent i badawczy wzrok, który spoczywał na niej w czasie rodzinnych zebrań. W jej stosunku do Lily pojawiła się teraz niezwykła troskliwość, ale Lily czuła, że każdy drobiazg może teraz nabrać niezwykłego znaczenia i że istnieje możliwość jakiegoś nieoczekiwanego wybuchu czy wpadki. To rzuciło cień na dotychczasową dobrą atmosferę. Wyglądało na to, że zarówno Millicent, jak i jej córka zaangażowały się w sprawy, które powinny być domeną psychiatrów i poradni małżeńskich.

Lecz kiedy mniej więcej po tygodniu Millicent zapytała Tylera obojętnym tonem kogoś, kto od dawna planuje pytanie, czy wspominała mu już o tej „głupiej robocie w kuchni dla Rogera”, Lily ogarnęła fala irytacji, odwróciła się więc i zapytała:

- Jaka znów głupia robota?

Millicent przez chwilę wpatrywała się w nią bez słowa, ale potem jej twarz złagodniała i skinęła potakująco głową, dotykając jednocześnie ramienia Lily.

- No cóż, oczywiście nie powinnam ci zawracać głowy moimi głupimi sprawami. Przez cały czas martwię się właściwie bez powodu. Buddy zawsze mnie za to prześladowuje. Denerwuje mnie byle co.

- Mnie tak samo - odparła Lily, szczęśliwa, że może powiedzieć coś, co w stu procentach jest prawdą. - A zwykle okazuje się, że nie było powodu.

Później jednak złapała się na rozmyślaniu nad faktem, że nie może podzielić się z Tylerem swoją wiedzą; męczyło ją to, że wie na temat jego siostry przyrodniej i jego matki coś, czego nie może mu powiedzieć; że od mówienia powstrzymuje ją nie tyle sprawa chronienia dwóch osób, ile jej poczucie tego, co dobre lub złe w ich związku. Instynktownie czuła, że nie powinna z nim rozmawiać o tych rzeczach, i nie mogła się zmusić do tego, żeby zacząć. Zatrzymała więc te wiadomości dla siebie i sama dźwigała ten ciężar.

Pewnego ciepłego czerwcowego wieczora cała rodzina wybrała się do miasta na kolację i do kina. Wszystkim dopisywał dobry humor. Lily uważała, że film był kiepski - zły remake czegoś, co od samego początku było niedobre - i ze zdziwieniem stwierdziła, że innym się podobał, a co więcej, że podobał im się także oryginał. Wszyscy zaczęli stroić sobie z niej żarty, ale żarciki Millicent były na luzie, czułe i przyjacielskie, toteż Lily doszła do wniosku, że być może napięcie minęło.

Tej nocy, idąc do łóżka z Tylerem w ich pokoju na parterze, usłyszała, że ktoś wskakuje do basenu. Doświadczyła nieoczekiwanego dreszczyku, stwierdzając, że właśnie w tej chwili czuje się całkowicie szczęśliwa. Przez ostatnie tygodnie niewiele myślała o swoich rodzicach i o sytuacji w domu. Wspomnienie o tym nagle zepsuło jej dobry nastrój; coś wymagało zrobienia, coś, co im dłużej pozostawało niezakończonym, tym większą presję wywierało. Poza tym tak naprawdę nie wiedziała, co takiego wymagało zrobienia.

- Muszę zadzwonić do domu - powiedziała w ciemność.

- A czemu oni do ciebie nie dzwonią? Przekręciła się, odwracając twarzą do niego.

- Chodź tutaj.

Następnego ranka w związku ze zbliżającym się weekendem Tyler zapragnął wziąć dzień urlopu i pojechać gdzieś przed siebie. Zwiedzili okoliczne miasteczka i Natchez Trace, a potem pod wpływem impulsu pojechali na weekend do Nowego Orleanu. To była prawdziwa podróż poślubna. Chodzili do klubów jazzowych, próbowali rozmaitych potraw i w nocy długo się kochali. Spali znakomicie, a rano snuli się leniwie bez celu. Pogoda dopisywała; było znacznie chłodniej niż zwykle o tej porze, jak im powiedziano. Raz poszli na spacer wzdłuż Missisipi,

odpoczywali w promieniach łagodnego słońca; patrzyli, jak dzieci bawią się w parku i usiedli na kamiennej ławeczce, żeby pooglądać statki wprowadzane do portu.

- Wiesz, ta rzeka miała kiedyś rozmiary małego oceanu - powiedział. - Rozdzielała dwa olbrzymie lądy, które potem połączyły się i utworzyły ten, no, kontynent. Przepraszam - dodał z lekko przepraszającym uśmiechem.

- Nie miałam o tym pojęcia, Tyler. Naprawdę.

Pochylił się i pocałował ją, a następnie wziął w dłonie jej ręce.

- Zwykle nie mam kłopotów z tym, żeby ci coś powiedzieć. Ale teraz czuję się tak skrepowany, jakby to była randka.

Wstali i poszli wzdłuż nabrzeża. Nurt rzeki oznaczony był niewielkimi wirami, bystrzynami, a gdzieniegdzie wysepkami z mułu, wystającymi ponad gładką, lśniącą, brązową toń.

- Jakby to ująć, już się pan oświadczał, mój panie mężu - powiedziała Lily.

- Cały czas jesteś dla mnie tajemnicą, Lily. Zachwycającą i cudowną.

Pomyślała o sprawach, które trzymała przed nim w sekrecie, i zdecydowała się być z nim bardziej otwarta.

- To lubię - odezwała się. - Lubie być tu sam na sam z tobą.

W odpowiedzi pocałował ją w ucho i poszli dalej, przepychając się i potrącając dla żartu.

Nieco później wędrowali jakąś boczną uliczką, która wychodziła na nieduże jezioro. Woda była całkiem czarna, a w jej powierzchni odbijały się domy stojące tuż nad brzegiem. Usiedli na skraju jeziora i zjedli kanapki, popijając je mrożoną herbatą z dużych papierowych kubków. Niedaleko nich na molo jakieś dwie leciwe damy w słomkowych kapeluszach łowiły ryby. Lily przypomniała sobie, że miała zadzwonić do domu, i postanowiła, że zrobi to zaraz po powrocie. Tutaj oboje z Tylerem byli poza zasięgiem telefonów i ta świadomość ją cieszyła; sprawiało jej przyjemność bycie tylko z Tylerem w tak egzotycznym miejscu.

- Cieszysz się, że przyjechaliśmy tutaj, prawda? - zapytał.

- Och, tak - odrzekła.

- Miałem na myśli Missisipi.

- Wiem - odparła.

Ale tak naprawdę myślała o Nowym Orleanie. Upiła łyk mrożonej herbaty i zaczęła rozmyślać o znalezieniu dla ich rodziny jakiegoś kąta. W każdym razie powinno to nastąpić

wkrótce, bo pojawiły się nowe okoliczności. Spodziewany termin miesiączki nadszedł i minął; upływały już dwa miesiące. Zaskoczyło ją własne podekscytowanie.

- Mógłbym tu mieszkać - odezwał się Tyler. Czyżby czytał w jej myślach?

- To znaczy w Nowym Orleanie?

- Tak.

- Może się zdarzyć, że będziemy musieli się wkrótce wyprowadzić - powiedziała. - Zobaczysz, ile będzie przy tym radości.

Uśmiechnął się.

- Miło mieć prawdziwą rodzinę. Zawsze mi tego brakowało, kiedy dorastałem. Odnoszę wrażenie, że teraz dokładnie rozumiem, dlaczego Millicent opuściła mojego staruszka. Znajdziemy jakiś dom. Już czas.

- Właśnie to chciałam powiedzieć - wtrąciła. - Będziemy go potrzebować bardzo szybko.

- Co? - W jego oczach malował się kompletny brak zrozumienia.

Przypomniała sobie, jak kiedyś wspominał, że nie lubi wszelkich zagadek i gier. Jednak z jakiegoś powodu nie mogła się zdobyć na powiedzenie tego na głos. Przesunęła delikatnie ręką po dole brzucha, uśmiechając się jednocześnie do Tylera.

Patrzył w wodę. Urwał źdźbło trawy i wsadził je sobie do ust.

- Więc ty... czy ty...?

Urwał i odwrócił się do niej. Wyciągnęła rękę i musnęła jego pierś.

- Dziękujemy za udział w grze. Wygrał pan główną nagrodę.

Po chwili zapytał raz jeszcze.

- Jesteś pewna?

- No cóż, jeszcze nie byłam u lekarza, ale tak, w zasadzie jestem pewna.

Nie przestawał żuć trawy, zmrużył oczy i zacisnął szczęki. Zobaczyła, jak tuż nad skronią zaczyna mu pulsować niebieska żyłka. Nie zauważyła jej dotąd.

- Tyler.

- No cóż, skoro jeszcze nie byłaś u lekarza...

- Nie chcesz tego? - W jej głosie pobrzmiwała nutka bólu.

Spojrzał gdzieś w dal, a potem wyciągnął rękę i zerwał następne źdźbło.

- Oczywiście, dziecinko. Lily - oczywiście, że tak. Tylko... tylko myślałem, że ty nie chcesz mieć dzieci.

- Też tak myślałam. Ale kiedy zaczęło to do mnie docierać... kiedy zaczęłam myśleć, że może ja... och, Tyler, poczułam się taka szczęśliwa! Mieć coś twojego. Naszego. To jeszcze głębiej nas wiąże, nie widzisz tego? Głębiej i mocniej, niż myślałam, że w ogóle jest możliwe. Wiem, że to brzmi sentymentalnie i staroświecko, i w ogóle, ale czuję się bardzo, bardzo szczęśliwa!

Przez chwilę nic nie mówił, a potem zaśmiał się z dezaprobatą.

- Tak właśnie mnie wychowano. Nigdy nie mogłem tak po prostu uwierzyć w to, że szczęście istnieje.

Lekki powiew wiatru uniósł jedno pasemko jego włosów, a potem pozwolił mu znowu swobodnie opaść. Lily poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- Kochanie, jeśli nie chciałeś, żebym zaszła w ciążę, to przecież nie musiałam zejść. Wystarczyło się zabezpieczyć.

- Ale przecież nie wiesz na pewno, że jesteś w ciąży.

- Już to powiedziałam. Nie wiem.

- Okay.

- Tyler, o co chodzi?

- O nic. - Wstał. - Po prostu jestem głupi. Po prostu... po prostu to mnie zaskoczyło.

Rzucił z podmuchem wiatru źdźbło trawy; odszedł kilka kroków, a potem odwrócił się i patrzył na nią, osłaniając jedną ręką oczy od słońca.

- Bardzo malowniczo wyglądasz, kiedy tak siedzisz. Jak na jednym z tych francuskich obrazów w muzeach.

Wrócił i stanął nad nią. Kiedy próbowała się podnieść, nagle przyklęknął i ujął w dłonie jej twarz.

- Posłuchaj - rzekł. - Bardzo cię kocham, wiesz o tym?

- Wiem - odpowiedziała. - Ja też cię kocham. Zobaczysz, że będziemy bardzo szczęśliwi.

- Nie mówiłaś jeszcze o tym nikomu, zgadza się?

- Na razie nie.

- To nadal nic nie mów. Dobrze?

Jakiś ciemny kształt przesunął się po nich. Ciężkie jastrzębia.

- Tyler?

Zdażył już wstać i odejść parę kroków i gdy ona podnosiła się i strzepywała z kolan na ziemię okruchy kanapek, po prostu się jej przyglądał. Uśmiechał się, ale w jakiś sposób ten uśmiech nie sięgał jego oczu.

- Tyler, ja chcę tego. Wierzę w szczęście i że damy sobie z tym radę. Wierzę w to głęboko. Wiem, że to cię zaskoczyło, ale czy nie czujesz tam w środku, jak dobrze się stało?

- Ależ tak. Tylko to... no wiesz... spadło na mnie trochę nieoczekiwanie, to wszystko. Ale oczywiście bardzo się cieszę. Jeśli naprawdę jesteś, to... to będziemy... to będzie... No, chciałem powiedzieć, że będzie cudownie!

- Wspaniała odpowiedź, Tyler!

Coś poruszyło się w jej duszy, jakby jakiś nagły podmuch strącił kilka liści z drzewa. Ruszyła w kierunku ulicy, byle dalej od niego.

Chwycił ją za rękę.

- Przepraszam, kochanie. Na pewno będzie cudownie. Postaramy się o to. Jak by zresztą z tobą mogło być inaczej.

Objęła go mocno i przytuliła się, przyciskając ucho do jego piersi, tak że słyszała miarowe uderzenia jego serca.

- Kocham cię - wyszeptał. - I jestem strasznym durniem. Czy możesz mi przebaczyć?

W odpowiedzi uniosła głowę i pocałowała go.

- Myślałam, że będziesz taki dumny - dorzuciła po chwili.

- Bo jestem. Naprawdę jestem dumny. Proszę...

Przez moment myślała, że Tyler się rozplacze. Oczy mu zwilgotniały i szybko przesunął wierzchem dłoni po wargach. Wzięła tę rękę i przywarła do niej ustami, nie spuszczając z niego wzroku.

- Czy możemy jeszcze przez chwilę utrzymać to w tajemnicy? - zapytał. - Dopóki nie będziemy mieć absolutnej pewności? Chcę, żeby wszystko było pewne na sto procent, zanim im powiemy.

Oddalali się coraz bardziej od jeziora. Na gankach domów siedzieli ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, i przyglądali się przechodzącej parze. Wiatr przyniósł skądś dźwięk klarnetu - ktoś ćwiczył gamy. Wrócili do dzielnicy Francuskiej i poszli wzdłuż Chartres Street, oglądając po drodze werandy i balkony, ganki o wysmukłych kolumnkach ozdobione sztukateriami, zwieńczone łukami okna, fasady w kolorze wiśniowym lub kremowym i portale. W oddali spostrzegli wieże, które dzięki oświetleniu wyglądały jak ze snu, jak góry wyłaniające się z

gęstej mgły. Wymeldowali się z hotelu i zapakowali rzeczy do samochodu, a kiedy wsiedli, skierowali się na północ.

Tyler prowadził szybko, trzymając oburącz kierownicę. Lily zaczęła się obawiać, że być może wcale nie jest w ciąży; żałowała teraz, że w ogóle poruszyła ten temat, dopóki nie nabrała całkowitej pewności. Tyler był spokojny, jakby rozmarzony albo pogrążony we własnych myślach. Zaczęła obserwować chmurkę, która płynęła po nasłonecznionej części nieba.

- Pokochałam Nowy Orlean - powiedziała. - I od tej pory zawsze będę go kochać.

Skinął głową, nie odrywając wzroku od drogi.

- Ach, co za piękne wspomnienia.

- Zawsze zostaje nam jeszcze Paryż - odezwał się w końcu i poruszył kącikami ust, niezgrabnie naśladowując Bogarta.

Roześmiała się. Usiadła wygodnie w fotelu i przez kilka minut zajmowała się obserwowaniem okolicy. Za oknami robiło się szaro. Nadciągały chmury. Nitka autostrady wiła się przed nimi, cały czas błyszcząc w promieniach słońca.

- Zastanawiam się, jak musiało wyglądać podróżowanie po Ameryce w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, kiedy był tu ojciec Mary Kingsley. Wyobraź sobie - żadnych autostrad, nic, tylko zakurzone drogi i ścieżki.

- Nie jestem dziś w nastroju do rozmów - odrzekł. - Przepraszam.

Pocałowała go w policzek. Na szybach znowu rozbłysło słońce, a ona oparła głowę na ramieniu Tylera i poczuła, że chce jej się spać.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli się zdrzemnę?

- Nie.

Może odpłynęła w sen raz czy dwa. Kiedy Tyler lekko się poruszył, poprawiając się w fotelu, natychmiast uniosła głowę.

- Mój ukochany - szepnęła. - Mój mężu.

- Jestem - odpowiedział.

- Wiesz, że kiedyś mi się wydawało, że nigdy nie wyjdę za mąż. To przez rozwód moich rodziców stałam się taka nieufna i mało romantyczna. A potem pojawiłeś się ty, taki przystojny... pamiętasz tamten dzień po meczu futbolu.

- I chciałaś od razu wskoczyć mi do łóżka. Spojrzała na niego z ukosa.

- Hej!

- A nie było tak?

- Tyler!

- Przepraszam - odparł. - Ale to ty mówiłaś, że byłaś nastawiona mało romantycznie.

- Miałam zamiar powiedzieć, że dzięki tobie znowu poczułam się romantycznie. A później nie widziałam cię przez te wszystkie tygodnie, aż wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy poślizgnęłam się na lodzie i upadłam. Właśnie wtedy zapragnęłam być z tobą, przynajmniej tak mi się teraz wydaje. Czułam się potem tak fatalnie, bo myślałam, że cię więcej nie zobaczę. Tak nieromantycznie. A tego popołudnia, kiedy przyszedłeś do akademika, tkwiłam tam jak w norze, od nie wiem jak dawna. A ty byłeś taki słodki...

- No i wtedy zapragnęłaś pójść ze mną do łóżka.

- Ty to robisz celowo - powiedziała po chwili.

- Co robię? - Odwrócił się do niej, a w jego oczach widać było zupełne niezrozumienie. -

Przecież to był tylko żart.

Zsunęła się niżej na fotelu i skrzyżowała ręce na piersi.

- Dla mnie to wcale nie jest śmieszne, więc się odpieprz.

Wyjrzała przez okno i patrzyła na krajobraz, który prześlizgiwał się za szybą: na pola, na boczne drogi odchodzące gdzieś w dal na równinie delty. Minęli mały wiejski sklepik; dwóch mężczyzn siedziało w cieniu markizy, a trzeci stał w słońcu i coś do nich mówił. Potem jechali wzdłuż strumyczka, prawie zduszonego przez zielsko. Na obu jego brzegach rosły wysokie magnolie oplecione winoroślą.

- Przepraszam - powiedział. - Naprawdę tylko żartowałem.

- Nie żartuj w taki sposób. Wcale mi się to nie podoba. To było okrutne.

- Hej, przepraszam! - powtórzył. - Naprawdę. W porządku? Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Mój ojciec miał zwyczaj...

Urwał nagle.

- Nie, nie będę się więcej zasłaniał moim staruszkiem. Nie miałem zamiaru być szorstki. Chciałem tylko zażartować z twojej „nieromantyczności”.

Pokręciła głową, ale w jej spojrzeniu widać było zarówno akceptację jego skruchy, jak i czułość pomieszaną ze złością.

Rozdział 11

Kiedy dotarli do domu, zastali całe towarzystwo zgromadzone wokół basenu; była tam nawet Rosa, której czarne nogi w zestawieniu z białym kostiumem kąpielowym wyglądały jeszcze bardziej atrakcyjnie niż zwykle. Nick Green unosił się na wodzie na kolorowej dętce z nieodłączną puszką piwa zatknietą w styropianowym uchwycie. Na ich widok uniósł ją wysoko.

- Uwaga, wracają zaginieni! - zawołał. - Tyler, na litość boską! Gdzieście byli, u diabła?! Jak tam Nowy Orlean?

- A skąd wiesz, że akurat tam byliśmy? - odpowiedziała tym samym tonem Lily. - Polecieliśmy do Włoch i z powrotem.

Buddy Galatierre siedział na stopniach basenu, mocząc w wodzie stopy. W rękę trzymał szklaneczkę whisky, którą także uniósł, jakby miał zamiar wznieść toast.

- Witajcie - powiedział. - Obsłużcie się sami.

Millicent, która przechadzała się po dnie w głębszej części basenu, zawołała do Lily:

- Twój ojciec dzwonił. Prosił, żebyś się odezwała.

Lily poszła do kuchni, gdzie stały talerze z owocami, warzywami i serem. Wszystko było już napoczęte. Przyłożyła do ucha słuchawkę i wybrała numer; następnie wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła, nasłuchując brzęczenia i trzasków na linii. Usłyszała sygnał, a potem odezwał się głos ojca.

- To ja - mruknęła do słuchawki.

- Muszę ci coś powiedzieć, kochanie - zaczął, westchnął krótko, a potem kontynuował łamiącym się głosem: - Chodzi o Peg, skarbie... Chryste, jak mi przykro. Peg... Peg dziś straciła dziecko.

Te słowa przeszły ją na wylot; poczuła ukłucie w piersi, które spłynęło aż do dolnej części brzucha. Oparła się całym ciężarem o blat, nie mogąc wykrztusić słowa. W pamięci ujrzała wyraz twarzy Peggy tamtego dnia, kiedy powiedziała jej: „Nie martw się, może jeszcze coś się wydarzy”.

- Och, tak mi... Och, mój Boże, tatusiu, proszę, powiedz jej, że strasznie, potwornie mi przykro!

- Wiem, kochanie, wiem.

W jego głosie pojawiło się coś w rodzaju ulgi, jakby nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji.

- To było dla niej naprawdę ciężkie przeżycie - ciągnął. - Miała skrobankę. Płód obumarł i musieli starannie ją wyczyścić.

Lily zaczęła płakać.

- Tak strasznie mi przykro! - szlochała. - Powiedz jej o tym, koniecznie! Może powinnam przyjechać do domu? Przyjadę!

- Nie, kochanie. - Głos ojca drżał. - Ona nie chce żadnego zamieszania. Naprawdę. W niczym nie możesz pomóc.

- Chcę ją zobaczyć.

Ta prosta prawda spowodowała ponowne ukłucie gdzieś w głębi pod żebrami.

- Lily, ona naprawdę chce jak najszybciej o tym zapomnieć. To jej życzenie. Nawet nie chciała, żebym ci o tym powiedział. Spróbujemy znowu. Ona właśnie tego pragnie - spróbować jeszcze raz.

Lily załkała i przez kilka chwil nie mogła nic powiedzieć. Jej ojciec dalej coś mówił, ale nie słyszała słów. Poczula się tak, jakby jej niedawna radość była czymś okropnie samolubnym, a fakt, że sama była przy nadziei, pogarszał tylko sprawę. Te uczucia nadchodziły falami, aż w końcu jej ojciec umilkł. Oddychał ciężko i najwyraźniej czekał, aż ona się uspokoi.

- Boże, jak mi przykro - wykrztusiła.

- Czy wszystko poza tym w porządku? - zapytał tonem pełnym wątpliwości. Było jasne, że jej gwałtowna reakcja stanowiła dla niego całkowite zaskoczenie. - Twoja matka jest tutaj.

Usłyszała głos Doris, przepełniony łzami i nieco ochryply od nadmiaru papierosów.

- To straszne dzwonić do ciebie z taką nowiną.

Lily chciała im wyjaśnić wszystko od początku, poczynając od tej okrutnej uwagi, którą rzuciła w twarz Peggy. Chciała się upewnić, że Peggy dowie się, jak ona źle się z tym teraz czuje. Oczywiście na to nie było czasu. Jej matka zaczęła rozwodzić się nad tym, co działo się w szpitalu i jak ona bardzo pragnie utrzymywać z Lily bliższy kontakt.

- Przykro mi - powtórzyła nie wiadomo który raz Lily. Nie mogła zdobyć się na nic więcej. Powtórzyła swoje życzenie ponownie, kiedy w słuchawce usłyszała głos ojca.

- Powiem Peggy - obiecał. - Przekażę jej od ciebie uściski.

- Tak - odrzekła Lily. - Ale na pewno?

Odwiesiła słuchawkę. Zeszła do pokoju na parterze, gdzie podłogę tworzył wylany cement, a od ściany do ściany ciągnęły się półki pełne książek, i położyła się na łóżku.

Dobiegały ją odgłosy z nad basenu, chlapanie i głośne rozmowy, które przebiły się przez plusk wody. Tyler podszedł do zewnętrznych drzwi i uchylił je lekko.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Nie kąpał się jeszcze. Usiadł na brzegu łóżka i zamknął w dłoniach jej ręce.

- Powiedz mi, Lily - poprosił. - Czy to twoja matka?

- Peggy straciła dziecko.

Milczał. Na jego twarzy nie odmalowało się żadne uczucie. Ledwo odwzajemniał jej spojrzenie.

- O Jezu - odezwał się po dłuższej chwili przytłumionym głosem.

- Tyler, powiedziałaś jej coś strasznego. I to się stało.

- To nie ma żadnego związku, Lily.

- Wiem, ale mimo to czuję się podle. Chcę, żebyś mnie zostawił samą na trochę. Proszę!

- Wyjdź na zewnątrz i pobądź ze wszystkimi. Nie bij się z myślami.

- Za chwilę - odparła. - Dobrze?

- Może z tobą zostanę.

- Dzięki, ale nie.

Kiedy wyszedł, podniosła się i poszła do łazienki. Czowała się fatalnie. Zbierało jej się na wymioty, toteż złapała się za dół brzucha i starała głęboko oddychać. Spojrzała w lustro i ujrzała swoją twarz pokrytą plamami i czerwone obwódki wokół oczu. Obmyła się i wyszła z pokoju. Poszła korytarzem do klatki schodowej i dalej na górę, do kuchni. Była tam Millicent. Na ciemny kostium kąpielowy zarzuciła lekką lnianą bluzkę; stała właśnie przy lodówce i nalewała soku pomarańczowego do szklanki wypełnionej do połowy wódką. Mały przenośny telewizor był włączony i Lily ujrzała mapę pogody, na której tle stał uśmiechnięty prezenter.

- Cześć - powiedziała na widok Lily. - Właśnie oglądam prognozę pogody.

Obie obejrzały ją w milczeniu.

- Wyglądasz na lekko zachmurzoną, jeśli już o pogodzie mowa - odezwała się po chwili.

- Płakałaś - dodała.

Koniuszkami palców dotknęła czoła Lily.

- Na szczęście nie masz temperatury - oceniła. Przechyliła lekko głowę na jedną stronę.

- Kochanie, Tyler powiedział nam o Peggy. Czy jakoś możemy ci pomóc?

- Dziękuję ci, ale nie.

Spiker mówił teraz o specjalnym raporcie dotyczącym zamieszek w Pekinie, o zgromadzeniu sił specjalnych w celu zdławienia rewolty. Mówił to z powagą, niskim, sztucznie brzmiącym głosem. Millicent wyłączyła telewizor.

- Chcesz pojechać do domu? - zapytała.

- Nie chcę, żebym przyjeżdżała. Peggy nie życzy sobie żadnego zamieszania.

- Tak się czasami zdarza - powiedziała Millicent. - A czasami jest zupełnie inaczej. Miałam przyjaciółkę, która chciała pogrzebu, trumny i tak dalej dla trzymiesięcznego płodu. Jej pomogło właśnie to. Kiedy kogoś dotyka nieszczęście, ludzie zawsze robią jakieś uwagi na ten temat. Ktoś zapytał tamtą kobietę, tę moją przyjaciółkę, dlaczego nie adoptuje dziecka. I to ją przeraziło. Jakby to był jakiś towar, który utraciła. Coś, co łatwo można zastąpić, jak samochód albo jakieś urządzenie. Ale ta osoba, która to powiedziała, naprawdę miała najlepsze intencje.

Znowu dotknęła czoła Lily.

- Jesteś trochę ciepława. Na pewno dobrze się czujesz? Lily spojrzała w dół.

- Tak.

Millicent wzięła ją pod brodę i uniosła lekko jej głowę, tak że patrzyły sobie prosto w oczy.

- Wiesz, zawsze słyszę, kiedy w tym wielkim, starym domu ktoś idzie do łazienki. Mam lekki sen, dlatego słyszę odgłosy w kanalizacji. I ktoś tam na dole wstawał co godzina, żeby pójść do ubikacji.

- Nie jestem jeszcze pewna - powiedziała Lily, nie mogąc uwierzyć, że sprawy przybrały taki obrót. Ogarnęła ją ochota, żeby przytulić się do tej drugiej kobiety i zapłakać. Poczowała lekki nacisk dłoni na podbródku, jak niemą zachętę, żeby pofolgować uczuciom.

- Ale myślisz, że tak? - zapytała Millicent.

Lily przytaknęła. Na twarzy Millicent pojawił się wyraz zrozumienia. Obie były kobietami i obie musiały walczyć z komplikacjami, jakie niesło życie. Lily odbierała to niemalże jak pieczęć.

- Nie chcesz, żeby ktoś jeszcze o tym wiedział, tak?

- Powiedziałam Tylerowi. Ale on... on... ale ja powiedziałam, że to jeszcze nic pewnego.

- Jesteś całkiem pewna?

- Tak - odrzekła, znowu spuszczaając głowę.

Millicent objęła ją cudownie opiekuńczym gestem, który sprawił, że z piersi Lily wyrwało się długie westchnienie.

- Chodź ze mną - powiedziała i poprowadziła Lily do pokoju dziennego. Ciemne cienie na ścianie wyglądały jak nasłuchujące i wpatrujące się z uwagą żywe istoty.

- Nie planowałam tego, kochanie, mam rację?

Lily miała wrażenie, że ta druga kobieta czyta w niej jak w otwartej księdze, spoglądając przez wszystkie pokłady duszy aż do tego miejsca, gdzie mieszkało z wątpienie. Nie mogła powstrzymać się od płaczu.

- Miałam nikomu nic nie mówić. Tyler nie chciał, żebym cokolwiek mówiła.

- Czasem młodzi mężczyźni mają problemy z przyzwyczajeniem się do tej myśli. Ale potem zwykle się z nią godzą. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak bardzo zakochany jak wy.

Lily oparła jej głowę na ramieniu, pociągając nosem.

- Teraz przez chwilę będzie to nasz wspólny sekret - oświadczyła Millicent.

- Przepraszam - odrzekła Lily, niezupełnie rozumiejąc, dlaczego to mówi. Częściowo przypuszczalnie dlatego, że została przypadkiem wtajemniczona w pewne sprawy tej starszej kobiety. Wzięła chusteczkę, którą podała jej Millicent, przetarła oczy, po czym wróciła do opowiadania o tym, co zaszło między nią a Peggy.

- Nie wolno ci się tym martwić, kochanie. Z tego, co mówisz, wynika, że Peggy doskonale wiedziała, że źle się z tym czułaś.

Usłyszały jakieś dźwięki dobiegające z kuchni, a chwilę potem Buddy zawołał Millicent.

- Chcesz, żebym im powiedziała, że dostałaś migreny?

- Nie - odparła Lily. - Wyjdę.

- Skarbie, nie wyglądasz najlepiej.

- Hej! - zawołał Buddy. - Gdzie jesteście?

Stanął w progu pokoju, wypełniając sobą całe wejście. Lily ujrzała znajomy pytający wyraz jego przyjacielskiej twarzy.

- Dlaczego siedzicie tu we dwie po ciemku?

- Buddy, tu nie jest ciemno.

- Może odsuńcie trochę zasłonę albo coś. Trzeba wpuścić tu nieco słońca.

Podszedł do okna i odsunął na bok zasłonę. Nagła jasność boleśnie poraziła oczy Lily. Nieoczekiwanie rozbolała ją głowa.

- Idź sobie, Buddy - poprosiła Millicent.

Podszedł do nich i usiadł naprzeciwko, splatając ręce na kolanach, a następnie pochylił się w stronę Lily i powiedział delikatnie:

- Przykro mi się zrobiło, dziecko, kiedy usłyszałem, co się stało.

Jego pełen ufności ton sprawił, że poczuła się zakłopotana. Doszła do wniosku, że to dlatego, że słyszała i widziała scenę pomiędzy Millicent a tym przedsiębiorcą budowlanym. Nie mogła się opanować. Wydawało się jej, że wszystko stoi pod znakiem zapytania, a całe szczęście, które jeszcze tego ranka było jej udziałem, przepadło gdzieś w otchłani z jej winy. Zdarzało się, że w czasie przyjaznych rozmów i pełnych wesołości wspólnych wieczorów dokonywała oceny tych dwojga; złamali wszelkie zasady, a jednak żyli szczęśliwie; rozbili rodzinę i pozostawili opuszczonego chłopca bez matki, a miała wrażenie, że niczego nie żałują. Choć niechętnie, ale dopuszczała do siebie takie myśli. A teraz ich serdeczność była dla niej jak wyrzut.

- Zaraz poczuję się lepiej - powiedziała, choć sama w to nie wierzyła.

- Połóż się na chwilę - poradziła Millicent. - Powinnaś trochę odpocząć.

Podziękowała im za troskliwość i wolno zeszła na dół. Jej pokój tonął w półmroku, z wyjątkiem jednej niewielkiej plamy słońca, które wpadało przez rozsuwane drzwi w miejscu, gdzie Tyler odepchnął na bok okiennicę, żeby wejść do środka. Reszta rodziny ciągle kłębiła się wokół basenu, choć zachowywali się teraz ciszej. Słyszała tylko plusk wody i odgłosy chlapania. Jeśli nawet rozmawiali, robili to tak cicho, że nie mogła odróżnić słów. Wszyscy już wiedzieli, co się wydarzyło. Zdjęła ubranie, położyła się do łóżka i zamknęła oczy, ale sen nie przychodził. W pamięci odtwarzała minutę po minucie tamtą rozmowę z Peggy w kuchni, w domu swojej matki i z przerażeniem uświadomiła sobie, że sama także spodziewa się dziecka. Teraz była tego pewna. Nadszedł moment, kiedy racjonalne myślenie ustąpiło pola prawdzie płynącej z doznania, że całe jej wnętrze uległo zmianie, i ona wiedziała doskonale, co to oznacza. Nie miała już żadnych wątpliwości.

2

2 czerwca 1989

Niespodzianka!

*Od kilku miesięcy miałem zamiar napisać ten list, ale nie mogłem jakoś się do tego za-
abrać i głupio się czuję z tego powodu. Zastanawiam się, co u ciebie słysząc i czy zdążyłaś już
o mnie zapomnieć, i czy pamiętasz, że obiecywałem odwiedzić ciebie i Tylera. No więc piszę,
żeby złagodzić to poczucie winy i żeby zapytać, jak ci leci; jak ci się podoba stare, kwitnące
magnolią południe i życie na łonie rodziny męża, i w ogóle bycie mężatką. Tak się akurat skła-
da, że mogę ci także przekazać kilka dobrych nowin o sobie. Mieszkam teraz z fantastyczną
osobą o imieniu Manny. Rodzina wydziedziczyła go dziesięć lat temu, kiedy zdecydował, że nie
będzie zarządzał rodzinnym biznesem, który sam mógłby określić jedynie jako „imperialistycz-
ny” i „wyzyskujący”, żeby nie powiedzieć po prostu „kolonialny” (to ostatnie dodałem sam).
Jest bardzo miły i serdeczny, ale też nie jesteśmy kochankami, choć myślę, że mógłbym z nim
być (wiem, że mógłbym). Ale zamiast skorzystać z mojej opieki, jak mu sugerowałem, zdecydo-
wał się na celibat i jest jasne, że podjął tę decyzję z okropnie oczywistego powodu. Ale nie roz-
wodzimy się nad tym. Mamy dobre układy, a on radzi sobie ze zmartwieniami ze zdumiewają-
cym wdziękiem (co zresztą stało się naszą przyśpiewką). Zawsze i w każdej sekundzie myśli o
innych. Czasami (nic na to nie mogę poradzić) przyprowadzam kogoś do domu, a kiedy to ro-
bię, on zachowuje się jak wspaniały współlokator, który wszystko rozumie; jest naprawdę
świetnym kumplem! Zachowuje się całkowicie naturalnie i z niewymuszonym wdziękiem, a po-
nieważ nigdy nie zdarza się, żeby zachowywał się inaczej, więc sądzę, że taki jest naprawdę.
Lily, on nawet wybaczył, gdy się zezłościłem, że postanowił być taki szlachetny. Kocham go.
Wiem, że potrafię go zranić i że to, co czasami robię, sprawia mu przykrość, ale on nigdy nie
daje po sobie nic poznać, a to od czasu do czasu doprowadza mnie do szału. Ale zawsze potem
podejmuję mocne postanowienie, że będę lepszym przyjacielem i towarzyszem. Właściwie nigdy
nie spotkałem kogoś bardziej życzliwego od niego, chociaż ty, droga dziewczynko, prawie mu
dorównujesz w tej dziedzinie. Rozmowa z nim czasem trochę kuleje, a to dlatego, że on pocho-
dzi z Chile (naprawdę ma na imię Manuel, ale zamerykanizował je i się przy tym upiera). Po-
znałem go w tym barze, gdzie ty, Tyler i ja jedliśmy kolację tamtego dnia. Tamtego niezwykłego
dnia, który zdarzył się tak niedawno, a który wydaje się tak odległy, kiedy go wspominam.*

*Zastanawiam się, jak sobie radzisz jako zamężna kobieta, ale myślę, że cały czas jesteście
z Tylerem bardzo zakochani, i założę się, że wiesz, o czym mówię. Nie chciałaś być romantyczką
i oczywiście okazało się, że masz w duszy więcej romantyzmu niż ktokolwiek inny. Jego brak
nikogo nie zubożyłby tak jak ciebie.*

Tyler, zacząłem pracować w księgarni o nazwie *The Portico* - jest ona połączona z restauracją. Niektóre gwiazdy filmowe pokupowały sobie posiadłości w Ivy i regularnie tu przyjeżdżają na lunch. Wyglądają tak atrakcyjnie i tak zwyczajnie zarazem. Każdy omija je z daleka i daje się to zauważyć. To jest świetne! Można odnieść wrażenie, że robią to nie tyle przez grzeczność, ile z pewnego rodzaju snobizmu. Aha, pisarze też tu zaglądają. Kiedy ich widzę, myślę o tobie, Lily.

W każdym razie spodziewam się, że obydwójce dobrze sobie radzicie w nowym środowisku, i mam nadzieję, że zaprosicie mnie, bym was odwiedził. Jeśli wszystko się ułoży tak jak powinno, w listopadzie będziemy prawdopodobnie jechać z Manny'ym do Nowego Orleanu, żeby odwiedzić jego ciotecznią babkę Violet Beaumont - to znaczy on mówi do niej „babciu”, choć w rzeczywistości nie są spokrewnieni. Ona ma dziewięćdziesiąt jeden lat, była kiedyś nauczycielką i ciągle jeszcze jeździ sama pikapem. Kiedy ma się dziewięćdziesiąt jeden lat, nie planuje się niczego, jak to przedstawiła Manny'emu przez telefon w zeszłym tygodniu. Swoją śmierć nazywa „wielkim wyjściem” i nie wydaje się w najmniejszym stopniu zaniepokojona albo przerażona jej perspektywą. Po prawie wieku spędzonym na tym świecie robi wrażenie zupełnie pogodzonej z życiem. Tak czy owak ja i Manny możemy wyjechać stąd tydzień wcześniej i wpaść do Oksfordu na kilka dni. To znaczy bierzemy pod uwagę Oksford jako jeden z możliwych przystanków po drodze. To byłby drugi tydzień listopada - przypuszczam, że do tego czasu będziecie już mieć swój dom, jeśli już go nie macie. Mam nadzieję, że będę mógł zobaczyć was oboje, ale oczywiście zrozumieć, jeśli będzie to niemożliwe.

Lubię pracować w księgarni. Staram się spróbować wszystkiego po trochu. To naprawdę dobrze się składa, że nie sprzedaję likierów, bo każdego dnia byłbym mocno nietrzeźwy. Lily, przypuszczam, że ciągle pracujesz nad sztuką o Mary Kingsley, więc przysyłam ci coś, co znalazłem w tutejszym katalogu „białych kruków”. Szczerze mówiąc, przeczytałem to przed zapakowaniem do wysyłki. Co za wspaniały humor i błyskotliwa inteligencja! Założę się, że z pewnością już to czytałaś, ale chciałem, żebyś miała u siebie ten egzemplarz na wypadek, gdyby stan małżeński sprawił, że porzuciłaś swoje panięńskie zainteresowania. Czy to ostatnie zdanie jest w moim stylu? Widzisz teraz jasno, że zupełnie przesiąknęłam stylem wiktoriańskiej prozy. W każdym razie proszę, zanotuj adres z koperty i odezwij się. Czekać z utęsknieniem na wieści i pragnąłbym z całego serca, żebyście razem z Tylerem poznali Manny'ego.

Ściskam was serdecznie na zawsze twój przyjaciel Dom

- To jest do nas obojga - powiedziała Lily. - Proszę.

- Może później - odparł. - Jestem zupełnie wykończony. Stali właśnie w korytarzyku tuż za drzwiami frontowymi. Lily właśnie wybrała ze skrzynki pocztę, znalazła list, otworzyła go i przeczytała, podczas gdy on tylko się przyglądał. Akurat wrócił z salonu w sportowej kurtce zarzuconej niedbale na ramiona i wyglądał na szczęśliwego i odprężonego, chociaż przez ostatnie trzy dni, kiedy wszyscy się dowiedzieli, że Lily oczekuje dziecka, trudno było powiedzieć, żeby czuł się zrelaksowany. Pierwszego dnia przyniósł do domu zabawki zarówno dla dziewczynki, jak i dla chłopca, tymczasem z przewagą tych chłopięcych. Mówił też dużo o przyszłości, nawet zastanawiając się nad szkołą, do której dziecko będzie uczęszczać. Pozostali członkowie rodziny zaczęli się z niego nabijać, że zachowuje się jak typowy oczekujący malucha tatuś. Jednak to wydarzenie zmieniło go od środka, tego była pewna.

Był bardziej milczący, kiedy zostawali sam na sam; w trakcie rozmowy tracił wątek i zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko albo siedział z książką w ręku, gapiąc się na otwartą stronę i najwyraźniej nie widząc ani słowa. Czasami miała wrażenie, że na jego duszy położył się jakiś cień, chociaż on zaprzeczał, że coś jest nie tak, i odpowiadał na jej pytania, wyglupiając się albo wręcz twierdząc, że nie rozumie, co ją niepokoi. Zadreczęczała się, że jej nastroje mogą źle na niego wpływać. Niewykluczone, że on po prostu nie chciał jej denerwować, a ona sama zauważyła, że sprawy, nad którymi zwykle przechodziła do porządku dziennego, teraz wytrącały ją z równowagi. Pragnęła choć jednej chwili szczerości, żeby znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, która kładła się cieniem na ich wspólne życie.

- Tyler - odezwała się. - Dom chce nas odwiedzić. Ma nowego... nowego przyjaciela. Ale wybiera się dopiero w listopadzie, a do tego czasu powinniśmy już być u siebie.

- A kto jest tym nowym przyjacielem?

- Przeczytaj - odpowiedziała. - Wszystko jest tutaj.

Wziął list, pocałował ją od niechcienia i wolnym krokiem poszedł w głąb domu, nie zdejmując kurtki. Lily zobaczyła, że zatrzymał się w jadalni przy stole i wziął z patery pomarańczę. Potem powędrował do kuchni, gdzie Rosa przygotowywała kolację.

Ścieżką nadszedł Buddy Galatierre, a za nim Nick Green. Obaj jeszcze byli w swoich roboczych kurtkach i wyglądali na zmęczonych i zgrzanych. Buddy położył dłoń na ramieniu Lily.

- Witaj, pachnący kwiatuszku - powiedział. - Dostałaś list z domu?

- Od przyjaciela - odrzekła, gładząc wierzch jego dłoni. - Był świadkiem na naszym ślubie.

- Napisz mu, żeby was odwiedził. I dodaj, że nie musi mieszkać w hotelu.
- On nie będzie tu wcześniej niż w listopadzie. I przyjedzie z kimś jeszcze.
- Z dziewczyną?

Pokręciła głową, przypuszczając, że wyraz jej twarzy powie mu wszystko. Po jego minie nie było znać, czy wie, o co chodzi, ale kiedy się odezwał, stało się jasne, że doskonale ją rozumiał.

- Miałem wujka, który był gejem - powiedział. - Był z niego świetny kumpel. I także miał wiele niemiłych przejść z ludźmi.

- Świetny kumpel - powtórzyła jak echo. - Właśnie tak określiłabym Dominika.

- Napisz mu, żeby nie wydawał pieniędzy na mieszkanie, kiedy przyjedzie do mojego miasta. Niech zatrzyma się tutaj. Wy pewnie nie będziecie mieć wystarczająco dużo miejsca, co?

W odpowiedzi cmoknęła go w policzek.

- Aleś mnie uraczyła - ucieszył się.

Nick Green, przechodząc obok, mrugnął porozumiewawczo, ale się nie odezwał.

Tej nocy odwróciła się do Tylera, położyła rękę na jego pośladku i wolno zaczęła przesuwając ku przodowi. Delikatnie chwycił ją za przegub i powstrzymał.

- Nie teraz, skarbie - wymamrotał. - Nie czuję się dobrze. Strasznie boli mnie brzuch.
- Prawie się dziś nie odzywałeś. Czy dzieje się coś złego?
- Wszystko będzie dobrze. Przysunęła się bliżej.
- Czy to cię dręczy?
- Ależ skąd.

Po chwili wymamrotała znowu:

- A może coś... coś innego poszło nie tak?
- Nie. To tylko żołądek.
- Jeśli niepokoi cię sprawa odpowiedzialności za dziecko, to porozmawiajmy o tym. Ja też się tego boję.

- Wszystko w porządku - odparł. - Wydaje mi się, że trochę nerwów to rzecz normalna.
- Ale ostatnio jesteś taki zamyślony.

Przez długi czas się nie odzywał - tak długi, że zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zasnął. Ale potem przytulił ją, pocałował w ucho i w policzek.

- Lily, ty cały czas mnie obserwujesz. Wygląda to tak, jakbyś mnie sprawdzała.
- Dla mnie to też coś nowego. Myślę, że każdego w pewien sposób obserwuję.
- Szczególnie mnie - zamruczał.

Wyczekała chwilę, a potem wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. Leżeli tak w milczeniu przez jakiś czas, aż w końcu ją cofnęła.

W tę niedzielę, kiedy inni zajęli miejsca dookoła basenu, usiadła w pokoju dziennym, żeby zadzwonić do domu. Rozmawiała z matką i przekonała się, że nie może tak wprost powiedzieć tego, co by chciała. Doris najpierw zapytała, jak się czuje, a potem zaczęła opowiadać o Peggy. Lekarze orzekli, że jest w niezłej kondycji i znowu może zająć w ciążę, kiedy tylko będzie chciała. Pogoda ducha jej dopisuje, toteż wkrótce podejmą ze Scottem następną próbę. Lily odrzekła, że miło jej to słyszeć, a potem wzięła głęboki oddech i wyrzuciła jednym tchem to, co miała do powiedzenia. Wypadło to niedobrze i niesympatycznie.

Po drugiej stronie zapadła cisza. A potem Lily usłyszała, jak jej matka wciągnęła głośno powietrze.

- Czy czujesz się szczęśliwa z tego powodu, kochanie? - zapytała w końcu.

- Och, bardzo! Wręcz wpadłam w ekstazę - odrzekła Lily.

Przez szybę widziała, jak Tyler wierci się na leżance, obgryza skórkę u kciuka i gapi się gdzieś w przestrzeń. W końcu podniósł się i wyciągnął ręce dłońmi skierowanymi ku górze, jakby zamierzał zapytać, czy chce, żeby coś powiedział. Pomachała mu tylko ręką i przesłała całusa.

- Cała się trzęsę z emocji, kochanie - powiedziała Doris. - Po prostu nie mogę złapać tchu.

Lily wydawało się, że w głosie Doris słyszy wzbierający szloch. Pomyślała o jej samotnym życiu w pustym domu, którego pokoje zostały odmalowane i przemeblowane; o jej mężu, który ożenił się z kimś innym i planował założenie następnej rodziny; i o tym, że jej córka także jest teraz w ciąży. Jakie to straszne, że szczęście można było zdobyć tylko kosztem innych.

- Ja też prawie nie mogę odetchnąć - odparła szybko.

Kiedy Doris odezwała się ponownie, w jej głosie zabrzmiała zwykła energia.

- Zadzwoiłaś już do ojca, prawda? Wiesz, że koniecznie powinnaś to zrobić.

- Boję się z powodu Peggy. Nie chcę, żeby to ona odebrała telefon.

- Wolisz, żebym go poprosiła, by zadzwonił do ciebie? A więc matka zrozumiała, o co chodzi.

- A mogłabyś?

- Zaraz to zrobię. Wiem, że jest w domu, bo właśnie przed chwilą rozmawialiśmy. Zostań przy aparacie. Jeśli z jakiegoś powodu nie uda mi się go złapać, zadzwonię do ciebie.

Kiedy Doris się rozłączyła, Lily podeszła do rozsuwanych drzwi wychodzących na basen i wyjrzała na zewnątrz. Tyler siedział na wyściełanym krześle z rękoma splecionymi na brzuchu i patrzył na połyskującą w oddali rzekę i na migoczące punkciki przesuwające się po zjeździe na autostradę. Był jasny, gorący, spokojny dzień. Pozostali członkowie rodziny rozmieścili się w różnych częściach basenu i rzucali do siebie piłkę.

Aż podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon. Podeszła i podniosła słuchawkę.

- Doris mówiła, że masz jakieś nowiny? - odezwał się ojciec.

Wymówiła przygotowane wcześniej słowa. Bez wzruszenia, jakby stwierdzała tylko fakt, bez emocji, jakby podawała adres zamieszkania. Słyszała to doskonale i nie mogła nic zmienić, nie udało się jej nawet ocieplić nieco tonu. Ojciec wiedział już wcześniej o wszystkim. Poznała

to po sposobie, w jaki powiedział, że jest bardzo szczęśliwy, iż to słyszy. W dodatku wyczuwa-wyczuwała, że jego radość jest nieco sztuczna, jakby w głębi serca był nieco zaskoczony. Najprawdopodobniej ostrzeżono go, żeby nie okazał zdziwienia. Powiedziała „dziękuję, tatusiu”, chociaż w rzeczywistości nie bardzo wiedziała, co mówił na końcu.

- W każdym razie Peggy też chciałaby się z tobą przywitać - kontynuował.

Czekała, czując, jak w dole brzucha narasta bolesny skurcz.

- Halo, Lily? - usłyszała głos Peggy. - Serdecznie gratuluję!

W jej tonie można było wyczuć udawaną radość i staranie, aby zabrzmiało to z pełnym czułości zachwytem.

- Dziękuję - odpowiedziała Lily. - Wiem... wiem, że dzwonię wkrótce po...

Nie mogła wykrztusić tego do końca.

- To naprawdę wspaniała wiadomość. Ogromnie się cieszę z twojego powodu.

- Dziękuję. Naprawdę bardzo dziękuję. - Lily ze wszystkich sił się starała, aby w jej głosie nie było słyhać napięcia, które czuła.

- No cóż, daję ci z powrotem ojca - rzekła Peggy.

Znowu usłyszała Scotta, który wyrażał swój entuzjazm, powtarzał gratulacje i nalegał, żeby o sobie dbała i żeby przekazała najlepsze życzenia Tylerowi. Lily obiecała, że to zrobi.

Kiedy się rozłączyli, odwróciła się i ujrzała Tylera, który tymczasem wszedł do pokoju.

- Na zewnątrz jest strasznie gorąco, jeśli się nie pływa.

- To było gorsze, niż sądziłam - oznajmiła. - Powinam cię poprosić, żebyś zadzwonił w moim imieniu. Ostatecznie to twoje dzieło - dorzuciła z uśmiechem.

Zrobił krok w jej kierunku, ale zaraz zatrzymał się, najwidoczniej nad czymś się zastanawiając. Jego oczy pociemniały, jakby przypomniał sobie coś przykrego.

- Cały czas boli mnie brzuch - poskarżył się i otoczył ją ramionami.

Kiedy całowała go w kark, zaczął szybciej oddychać, a potem przebiegł go dreszcz. Odchyliła się w tył, żeby spojrzeć mu w oczy i poczuła ukłucie strachu na widok dziwnej pustki malującej się na jego twarzy. Przez chwilę miała wrażenie, że spogląda w zimne, martwe oczy wykutej z kamienia postaci. Ale wtedy ten wyraz zmienił się w uśmiech i Tyler pokręcił głową.

- Wiem, że to z nerwów - powiedział. - Ale po prostu czuję, jak wszystko zwija mi się w zóładku.

Rozdział 12

1

20 maja 1880

Droga Przyjaciółko,

Wczoraj ponownie ściągnęłam na siebie gniew ojca, i to niestety całkowicie z własnej winy. Schowałam mianowicie egzemplarz Fizyki Locklara, ponieważ nie skończyłam jeszcze lektury, a usłyszałam, jak ojciec obiecuje biskupowi Mayhew, że mu ją jutro pożyczy. Postanowiłam uczynić wszystko, żeby to „jutro” odsunęło się w czasie. Ojciec wpadł we wściekłość i nawet cisnął we mnie Geografią Antarktyki, przed którą jednak zdołałam się uchylić. Następnie puścił się za mną w pogoń, ale Bexley Heath to nie Highgate, toteż mimo spódnic i wszystkiego udało mi się bez trudu umknąć. Cóż to za piękny, rozległy trawnik! Wprost wymarzony do ucieczki i zostawiania gniewnych przekleństwo daleko z tyłu. Chyba przez godzinę włóczyłam się po cmentarzu, podczas gdy słońce żeglowało w stronę horyzontu, a drzewa okrywały się coraz ciemniejszą zielenią. Być może będzie ci miło usłyszeć, że mam nowego przyjaciela, w związku z czym dziękuję opatrności za to, że przywlekliśmy się do tego kraju. Nazywa się C. F. Varley i jest inżynierem od elektryczności. Odwiedza mnie popołudniami i prowadzimy długie dyskusje na temat książek, które mi przynosi do czytania. Poznaliśmy się w dość niezwykły sposób: pojechałam z Charleyem do miasta po mąkę, a przy okazji spotkałam kilku ludzi, o których wiedziałam, że są chemikami, i postanowiłam wypróbować na nich swoją wiedzę. Włączyłam się do ich rozmowy i opowiedziałam o swoich zainteresowaniach, wzbudzając powszechną wesołość.

- A nauczyłaś się już może wytwarzać złoto? - zakpił jeden z nich.

Wyszłam na dwór i rozplakałam się na ulicy jak dziecko, wściekła na siebie i na Charleya, który kpił ze mnie bez litości. Wtedy właśnie podszedł C. F. Varley i przedstawił się grzecznie. Dowiedziawszy się od Charleya - bo nie ode mnie! - co się stało, wyjawiał, że jest znajomym naszego ojca i że chętnie podzieli się ze mną swoją wiedzą chemiczną.

Nie wiem, co mówi ojcu na mój temat, ale zaraz po awanturze o Locklara przyszedł na cmentarz, po którym się przechadzałam, czytając napisy na nagrobkach. Dostrzegłam go dopiero wtedy, kiedy dzieliło go ode mnie kilka kroków. Musiałam bardzo się starać, żeby nie dać po sobie poznać zaskoczenia.

- *I co my tutaj mamy? - zapytał.*
- *Dyplomatyczne czuwanie, oczekiwanie na koniec burzy.*
- *Czy ma pani na myśli burzę ojcowskiego gniewu?*
- *Coś w tym rodzaju.*
- *Może pani wyjaśnić to dokładniej?*
- *Chodzi o konflikt interesów dotyczący pewnej książki.*

- *Moglibyśmy gdzieś o tym porozmawiać?*

Ma szeroką, pogodną twarz o nastroszonych wąsach, krzaczaste brwi i szerokie czoło.

- *Choćby tutaj.*

- *Na cmentarzu?*

- *Przynajmniej nikt nam nie przerwie.*

- *To dość oczywista prawda.*

- *Ale jednak prawda.*

- *Jest pani zdeterminowana...*

- *Tak mi się wydaje.*

- *A czy aby nie czekają panią jakieś reperkusje ze strony pana domu?*

- *Nie da się tego wykluczyć. Szczerze mówiąc, jest to nawet bardzo prawdopodobne.*

- *Dziękuję za szczerść. W takim razie sądzę, że będzie lepiej, jeśli nieco zaczekam z wizytą. Chyba mnie pani rozumie?*

- *Rozumiem doskonale.*

Odszedł, kręcąc głową i śmiejąc się pod wąsem. Mogłam długo odprowadzać go wzrokiem, ponieważ w okolicy nie było żadnych płotów ani budowli, za którymi mógłby zniknąć. Kiedy wreszcie dotarł na skraj pola, odwrócił się ku mnie, na chwilę zastygł bez ruchu, lekko zgarbiony, niczym stare drzewo w zapadającym mroku, po czym mi pomachał.

Przeprowadzka, do której doszło ze względu na stan zdrowia mamy, zdaje się mieć zbawienny efekt, i chociaż w naszym nowym domu aż roi się od błędów konstrukcyjnych: krzywe drzwi, zwichrowane parapety, koślawe framugi okien, szpary i szczeliny, przez które wieje jak w stodole, a do tego kanalizacja jest zupełnie nieprzewidywalna. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce. Pozwolono mi zaprenumerować „Angielskiego mechanika”, z którego staram się robić dobry użytek. Pomaga mi Varley, który przy każdej okazji chwali mnie i podnosi na duchu. Przyznam, że nie byłam przyzwyczajona do takiego traktowania, choć matka

i ojciec kupili mi Zdobywanie wiedzy w trudnych okolicznościach; chwilami odnoszę wrażenie, że ten prezent jeszcze bardziej mnie od nich oddalił.

Tak czy inaczej udało mi się naprawić pompę, która najpierw zaczęła pluć jakąś rdzawą gęstą cieczą, potem zaś, mimo wysiłków z mojej strony, całkowicie odmówiła posłuszeństwa. Początkowo sądziłam, że po prostu studnia wyschła, ale tak wcale nie było. Naprawiłam uszkodzenie, choć zajęło mi to całe popołudnie. Zupełnie sama. Walczyłam zawzięcie, aż w końcu moje wysiłki zostały nagrodzone strumieniem krystalicznie czystej wody, pozbawionej jakichkolwiek przykrych zapachów. Oczywiście korzystałam z pomocy „Angielskiego mechanika”. Wskazówki nie były może napisane zbyt dobrze, ale dało się je zrozumieć.

Kiedy ojciec zobaczył, czego dokonałam, wyprostował się i spojrzał na mnie zupełnie inaczej. Dostrzegłam dumę w jego oczach. Zaczął mówić, że powinnam więcej bywać, pokazywać się w świecie. Za niespełna tydzień mam wyjechać z kuzynką Rosą do Walii, a może nawet do Paryża. Ach, jakżebym chciała już płynąć przez Kanał, kierując się ku Wiecznemu Miastu! Ale teraz nie wiadomo, co z tego wszystkiego wyniknie w związku z nieporozumieniem dotyczącym Fizyki.

Przez godzinę spacerowałam po cmentarzu, po czym wróciłam do domu. Ojciec wciąż siedział w bibliotece, wertując jedną z wielkich ksiąg o historii naturalnej, których kilka sprowadził niedawno z Londynu. Na mój widok pokręcił głową.

- Zapewne jesteś z siebie bardzo dumna.

- Wcale nie - odparłam. - Ale i tak się nie ugnę, bez względu na karę. Nie oddam książki, dopóki jej nie przeczytam. Ani tobie, ani nikomu.

Długo przyglądał mi się w milczeniu.

- Czy ty się w ogóle mnie boisz? - zapytał wreszcie.

- Owszem.

- Na przykład kiedy?

- Kiedy krzyczysz i rzucasz różnymi rzeczami.

- Ale mimo to nie zmieniasz swojego postępowania. Dlaczego? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, więc tylko lekko uniosłam barki w nadziei, że potraktuje to jako najdelikatniejsze i najuprzejmiejsze wzruszenie ramionami.

- Ciekaw jestem, skąd to bierzesz.

- Co takiego?

- Nieważne. Czy byłabyś łaskawa jak najszybciej skończyć lekturę mojej książki?

- *Postaram się.*

To działo się wczoraj. Dzisiaj przez cały dzień chodził z marsem na czole i nie odzywał się do mnie, ja zaś czyniłam wszystko, co w mojej mocy, aby nie dać po sobie poznać, iż dotyka mnie to znacznie bardziej niż jego krzyki i przekleństwa. Całe popołudnie spędziłam w pokoju matki, czytając jej gazety i rozmyślając o tym, jak bardzo bym chciała wszcząć jakieś zamieszanie, które przerwałoby milczenie ojca. Gdyby tylko zażądał wina i cygar, gdyby tylko przestał się na mnie gniewać... Tymczasem porozumiewa się ze mną wyłącznie za pośrednictwem matki.

- Powiedz naszej „uczonej”, że muszę mieć tę książkę przed końcem tygodnia, oczywiście jeśli poradzi sobie z tak szybkim czytaniem.

Odchodzi, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem, a matka powtarza wiadomość słowo po słowie. Obie z trudem powstrzymujemy się od śmiechu.

Już prawie skończyłam czytać. Oddam mu ją, ale dopiero wtedy, kiedy przewrócę ostatnią kartkę.

W porównaniu z Highgate okolice Bexley Heath są prawdziwie wiejskie, nie ma tu zgiełku ani tłoku, a wysokie drzewa dają w letnie popołudnia dużo miłego cienia. Ojciec Mary wyruszył na kolejną wyprawę, ale tym razem to ona dostaje od niego najdłuższe listy. Zdaje sobie sprawę, iż świadczy to o tym, że nabrał dla niej szacunku, że w jakiś przedziwny sposób jej krnąbrność i upór sprawiły, iż stała się mu bliższa. To prawda: wszystkie pieniądze idą na kształcenie Charleya, ale w Charleyu jest coś dziecinnego, niepoważnego, a zarazem delikatnego. Ojciec zdaje sobie z tego sprawę. Możliwe, że chce się posłużyć córką, by zmusić syna do większej pilności i pracowitości.

Charley chwilami zanadto przypomina swojego wuja Henry'ego. Często miewa problemy w szkole i nie potrafi skoncentrować się dłużej niż przez pięć minut. Mimo to Mary wolno pobierać tylko lekcje niemieckiego, żeby w przyszłości mogła pomagać ojcu w badaniach nad obrzędami i zwyczajami religijnymi prymitywnych plemion z różnych części świata. Wielokrotnie powtarzał takim samym tonem, jakiego używa Charley, że to już postanowione. Mówił o tym tak często i od tak dawna, że w głębi duszy Mary nabrała przekonania, iż jego plany są takie same jak plany Charleya.

Lekcje pobiera w piątki i w prawie każdy poniedziałek. Nauczyciel, pan Müller, bywa niekiedy wzywany do miasta, gdzie wykonuje swą drugą profesję taksydermisty. W jego domu tłoczą się setki zwierząt zamarych w niezwykłych pozach: lwy, niedźwiedzie, konie, a nawet

kilka morskich stworzeń. Nauka przychodzi jej z łatwością, między innymi dlatego, że ojciec często ją odpytuje. Pan Müller nie może się nachwalić bystrości jej umysłu.

Wieczorami, jeśli akurat u boku pana Varleya nie zgłębia tajników elektryczności i chemii, wertuje medyczne podręczniki ojca. Wiedza, którą tam zdobywa, przydaje jej się w kontaktach z matką, której stan w pierwszych dniach po przeprowadzce jakby się nieco poprawił, potem jednak znacznie się pogorszył. Mary najbardziej zaniepokoił widok krwi w płwocinie, ale matka uspokaja ją, twierdząc, że zdarzało się jej to już wcześniej.

- To od podrażnienia gardła - mówi.

Mary zagląda jej do gardła i widzi białe, ropiejące czopy na tylnej ścianie. Maleją, goją się, po czym pojawiają się znowu. Mary podejrzewa, że mają jakiś związek z tym, co matka je, i próbuje zmienić jej dietę: więcej zup, mniej przypraw. Od przeprowadzki domem opiekuje się pani Craig, która jest okropną kucharką, w związku z czym Mary nauczyła się także gotować. Radzi sobie całkiem nieźle, matka często ją chwali. Wrzody w gardle znikają wreszcie na dobre, ale kaszel pozostaje, tak samo jak ból kończyn dolnych. Matka ma problemy z chodzeniem, a na dodatek nieustannie martwi się o los męża. Wyznaje córce, że za każdym razem, kiedy on wyjeżdża, spodziewa się, że już nigdy go nie zobaczy. Przecież świat jest taki niebezpieczny. Mary ponownie zaczęła czytać o Afryce, szczególnie wiele uwagi poświęcając dziełu Burtona, w którym opisał swoje poszukiwania źródeł Nilu.

Kiedy Charley wraca do domu, również oczekuje, że zostanie obsłużony. Jego siostra czyni to chętnie, sprawnie i z pogodą ducha. Dzięki jej pracy w domu wszystko toczy się jak należy. Wypełnianie codziennych obowiązków daje jej poczucie zadowolenia, koncentruje się na nich tak bardzo, że nie zostaje ani trochę miejsca na zwątpienie. Każdy dzień poświęca intensywnej pracy mającej na celu utrzymanie porządku i wzbogacenie jej szybko rosnącej wiedzy o świecie, nagrodą za to są „miłe godzinki” spędzane w towarzystwie pana Varleya. Powoli uświadamia sobie, że ma talent do nawiązywania przyjaźni z mężczyznami, szczególnie starszymi, bo w ich towarzystwie czuje się najswobodniej. Nocne poty i ataki paniki odeszły w przeszłość; kiedy rano spogląda w lustro, widzi twarz o zwyczajnych, niczym nieupiększonych rysach. Nie przygląda się już swojemu ciału. Jest dorosłą kobietą i inni stopniowo zaczynają to dostrzegać.

Pewien wikary, który przyjechał z ojcem z Londynu, spojrzawszy jej prosto w oczy, a następnie powiedział tak, jakby Mary tam wcale nie było:

- Ta młoda kobieta byłaby naprawdę piękna, gdyby zechciała choć trochę o siebie zadbać.

Mary, która przez cały dzień zajmowała się matką i zeszła wieczorem na dół tylko po to, by sprawdzić, czy ojciec czegoś potrzebuje, odwzajemniła się spojrzeniem, a następnie odparła uprzejmym tonem:

- Nie jest ze mną aż tak źle. Rozumiem, co się mówi, i nawet sama potrafię powiedzieć kilka słów.

Ojciec zbeształ ją i kazał przeprosić gościa. Uczyniła to przez zaciśnięte zęby, a wkrótce potem wylała wikaremu na kolana filiżankę herbaty, mając nadzieję, że Bóg (jeśli był choć odrobinę taki, jak wyobrażała go sobie cywilizowana część ludzkości) wybaczy jej ten uczynek.

Kiedy opowiada o tym panu Varleyowi, ten wybucha śmiechem.

- Wygląda na to, że jesteś już prawdziwą młodą damą!

- Chciałabym jeszcze kiedyś spotkać tego drania! - Zaraz przychodzi opamiętanie. -

Przepraszam...

Varley śmieje się jeszcze głośniejszym głosem, aż chwyta go atak kaszlu.

- Masz rację, to drań, i tyle. Pamiętasz jak się nazywał?

- Nawet nie usłyszałam jego nazwiska. To wikary.

- Pyszne!

- Dowiem się jego nazwiska od ojca.

- Na razie będziemy nazywać go „draniem”.

Śmieją się już oboje, jest im razem naprawdę dobrze. Jak bardzo Mary lubi spędzać czas ze swym starszym przyjacielem! Słońce świeci jakby jaśniej, kolory są żywsze. Varley mówi, wciąż krztusząc się ze śmiechu, że nigdy w życiu nie spotkał kogoś takiego jak ona, wszystko jedno, mężczyzny czy kobiety.

- Powiedz mi, Mary, dlaczego zawsze ubierasz się na czarno? Przecież, o ile wiem, nie nosisz żałoby?

- Lubię czerń, a ona mnie lubi. Podobam się sobie w czerni.

- Ale nie masz ani trochę pogrzebowej osobowości. Jesteś najbardziej uroczą osobą, jaką znam!

- Widocznie zna pan mało ludzi - odpowiada z uśmiechem, splatając dłonie na podolku.

Varley kręci głową, a następnie przechyla ją nieco, jakby szukając kąta, pod którym będzie się najkorzystniej prezentowała.

- Muszę już wracać do domu, żeby ocalić matkę przed nieszczęściem, to znaczy przed puddingiem pani Craig.

Varley ponownie wybucha śmiechem.

- Mary, obawiam się, że na jakiś czas muszę opuścić Bexley Heath. Jutro wyruszam w interesach do Glasgow. W ubiegłym roku zgodziłem się prowadzić tam wykłady. Przykro mi, ale nie będzie mnie przez większą część zimy.

Chętnie wyciągnęłaby ku niemu ramiona, błagałaby, żeby został, ale nie wykonuje najmniejszego ruchu, zachowując pogodny wyraz twarzy.

- Jestem pewna, że będzie pan zadowolony z wyjazdu - mówi wreszcie z wysiłkiem. Uśmiech, jakim go obdarza, całkowicie skrywa wzbierającą w niej rozpacz. Odczuwa wielką pokusę, żeby pocałować go w policzek, lecz nie robi tego, tylko odwraca się i rusza przed siebie. - Zapowiada się długa i nudna zima...

- Będę do ciebie pisał. Odpiszesz?

- Jeśli znajdę choć trochę czasu w moim zabieganym życiu. A może umówimy się, że będziemy ze sobą korespondować niezależnie od wszystkiego, co przyniesie nam życie?

- Mary... - Głos Varleya brzmi bardzo poważnie. - Dokonasz wielkich i niezwykłych czynów. Zapamiętaj moje słowa. Świat jeszcze o tobie usłyszy, młoda damo!

Oczy zachodzą mu łzami. Podnosi rękę, macha na pożegnanie.

- Do zobaczenia na wiosnę.

- Tak, moja droga. Do zobaczenia.

2

Po raz kolejny zobaczą się dopiero po wielu latach. Ojciec zabiera rodzinę do Cambridge, do małego domu o oknach nadających fasadzie podobieństwo do rozzłoszczonej twarzy, stojącego na skraju rozległego trawnika zwanego Parker's Piece. Latem niemal w każde popołudnie odbywają się tam mecze krykieta. Ojciec, który właśnie wrócił z kolejnej wyprawy, ma już sześćdziesiąt lat, ale wygląda na więcej. Ostatni atak gorączki reumatycznej bardzo go osłabił. Odzyskuje siły przez całą zimę i wiosnę pod opieką Mary, która troszczy się także o matkę i Charleya, wykazującego odziedziczone po matce skłonności neurasteniczne. Mary

nawet nie ma czasu na myślenie. Nocami przewraca się z boku na bok, ogarnięta przeświadczeniem, że coś zaniedbała, a kiedy wreszcie zasypia, nic jej się nie śni. Ojciec dochodzi do wniosku, że pora zaprzestać podróżowania i wreszcie napisać książkę, ale mijają dni i praca ani trochę nie posuwa się naprzód. Mary stara się mu pomóc, siada obok z ołówkiem w ręce, próbuje notować. Nie ma wielkiego pożytku ze swojego niemieckiego, niemniej wciąż pobiera lekcje. Ojciec zaczyna mówić, przerywa, znowu zaczyna, znowu zmienia zdanie, wstaje, wychodzi. Często wyrusza na długie spacery, a ona mu w nich towarzyszy, lecz matka nie pozwala jej zniknąć na długo. Ojciec całymi dniami ogląda mecze krykieta albo wyleguje się na kocu na trawie. Twierdzi, że świst przelatujących w pobliżu piłek przynajmniej częściowo rekompensuje mu brak niebezpieczeństw, do których przywykł. Jesienią, odzyskawszy siły, dociera nad rzekę i obserwuje trening uniwersyteckich załóg wioślarskich. Zbyt długo stoi na chłodnym wietrze i kiedy wraca do domu, wstrząsają nim dreszcze. Mary beszta go, mówi, że nawet jeśli nie obchodzi go własne zdrowie, to mógłby przynajmniej pomyśleć o tych, którzy się o niego troszczą. Mógłby pamiętać o rodzinie i swoim reumatyzmie. Ojciec uśmiecha się na to uroczo i mówi, że byłby wdzięczny, gdyby zachowała dla siebie opinie na jego temat. Matka uspokaja się już właściwie tylko w jej obecności. Wciąż często się razem śmieją. Chora kobieta doskonale naśladuje gardłowy głos Henry'ego Guillemarda.

W grudniu zjawia się z odwiedzinami pan Varley, który kilka tygodni wcześniej wrócił z Glasgow. Zmienił się, skurczył i wychudł. Siedząc z Mary w salonie, zachwyca się spokojem emanującym z widoku za oknem. Trzęsą mu się ręce, ani na chwilę nie wypuszcza z nich kapelusza.

- Przykro mi, że nie przyjechałem wcześniej - mówi, patrząc na nią i mnąc w palcach rondo kapelusza. - Niestety, świat potrafi pokrzyżować nam najwspanialsze plany.

Mary sporo wie na ten temat. Ogarnia ją pragnienie, żeby mu wszystko wyznać, żeby opowiedzieć o pewnym poranku sprzed wielu lat, kiedy, niespełna sześciolatka, stała pewnego zimowego ranka w świeżym śniegu i całym sercem chłonęła piękno świata. Pochyliła się nieco do przodu na krześle i otwiera usta, ale właśnie wtedy wchodzi ojciec, ściska dłoń Varleyowi i zachowuje się tak, jakby gość przyjechał w odwiedziny do niego, nie do Mary, i oczywiście w tych czasach i zgodnie z obyczajami tak właśnie powinno być, inaczej być nie może. Mary w milczeniu przysłuchuje się rozmowie; ojciec opowiada o planach przedsięwzięcia jeszcze jednej podróży dookoła świata, pod warunkiem że całkowicie odzyska siły.

- Czy wie pan, że lord Dunraven popłynął do Australii? Varley kręci głową.

- Nic o tym nie słyszałem.

- Zamierza wspiąć się na Ayers Rock. Słyszałem to z jego ust. Wspaniały człowiek ten Dunraven.

- Cóż... - mówi Varley. - Nie miałem przyjemności często z nim przebywać.

Następnie rozmawiają o morderstwie w Cheapside. Cztery zmasakrowane ciała kobiet, w gazetach roi się od domysłów. Inspektor policji otrzymał list od zabójcy, podpisany „Kuba Rozpruwacz”.

- To z pewnością nie Anglik - twierdzi George Kingsley.

- Chyba nie należy pan do tych, którzy odpowiedzialnością za tę zbrodnię usiłują obarczyć żydowskich imigrantów?

- Podobno w miejscu zbrodni na ścianie napisano ręką sprawcy „Nie winić Żydów” czy coś w tym rodzaju.

- Z pewnością nie bierze pan tego serio, Kingsley? Ręką sprawcy? Pierwsze słyszę.

- Mówią, że zabójca doskonale zna się na anatomii.

Ojciec zerka na Mary, jakby się zastanawiał, co może jeszcze powiedzieć w jej obecności.

- Czytałam doniesienia w gazetach, ojciec - spieszy mu z pomocą. - Morderca podrzynał im gardła i wypruwał wnętrzności, a także usuwał narządy rodne. Oszczędził tego tylko pierwszej ofierze z dwóch, które zamordował tej samej nocy.

- Myślę, że nie powinniśmy w ogóle o tym rozmawiać - mówi ojciec. - To zbyt odrażające.

Varley przez jakiś czas wpatruje się w nią z tak poważnym wyrazem twarzy, że aż ją to zaczyna niepokoić, ale kiedy wreszcie się odzywa, w jego głosie słychać tylko niedowierzenie.

- Czy wiesz, że był też drugi list?

- Nie.

- Niepodpisany. Dostał go człowiek nazwiskiem Lusk, razem z dwiema ludzkimi nerkami.

W gazetach nic o tym nie pisano, ale Mary pamięta, że na ostatniej herbatce u kuzynki Mary dziewczęta rozmawiały o wyciętej nerce jednej z ofiar, głupio przy tym chichocząc. Naprawdę stworzona teoria kanibalizmu doprowadziła je niemal do rozkosznych spazmów; wyobraźcie sobie tylko - kanibal przemierzający w mrokach nocy uliczki Cheapside!

- Mam wrażenie, że czytałem coś na ten temat - mówi George Kingsley.

- Gazety sprzedają się teraz jak książki Dickensa, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

- Najwidoczniej ludzie tego potrzebują. Przynajmniej w mojej rodzinie.

Rozlega się wołanie matki. Mary wstaje, dyga przed Varleyem.

- Miło było znowu pana zobaczyć - mówi.

Uśmiecha się do niego nie tylko ustami, lecz także umysłem, całą sobą. Ma nadzieję, że widać to w jej oczach. Następnie dyga przed ojcem i wychodzi. Wspina się na piętro do pokoju matki, siada przy niej, a kiedy jakiś czas później słyszy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, ogarnia ją przeczucie, że już nigdy nie zobaczy przyjaciela.

- Biedaczysko - mówi wieczorem ojciec i wzdycha. - Obawiam się, że nie zostało mu już wiele czasu.

Ogarnia ją wielkie przygnębienie, mroczne jak zapadający szybko wieczór. Ojciec wydaje się pogrążony w podobnym nastroju. Ale jego przygnębienie nie trwa długo, zwycięża niespożyta energia. Bądź co bądź, nazywa się przecież Kingsley. Tak jak dawniej wymyśla dla niej gry i zabawy, sprawdza znajomość geografii, chemii oraz innych dziedzin nauki, którymi wspólnie się interesują. Robi, co może, by pomóc jej odgonić czarne myśli. Charley również w tym uczestniczy, ale nie angażuje się do końca, ponieważ szykuje się do egzaminów. Stosunki między nim a ojcem wyglądają teraz nieco inaczej, pojawiło się w nich coś nowego, jakby rywalizacja.

3

Pod koniec marca, kiedy wreszcie zaczyna się ocieplać i można znowu otwierać okna, które wcześniej tak pieczołowicie opatrywała, ojciec wraca do pomysłu wyjazdu do Paryża. Przychodzi mu to do głowy pewnego popołudnia, podczas odwiedzin znajomej, która zapalała prawdziwą sympatią do jego trochę dzikiej, ale bystrej córki. Dama ta ma na imię Lucy, jest w średnim wieku, obdarzona silną wolą i intelektem oraz podwójnym nazwiskiem: Toulmin-Smith. Mary lubi przebywać w jej towarzystwie głównie dlatego, że tamta dużo wie o świecie (jest mediewistką o doskonałej reputacji zawodowej), a w dodatku traktuje ją jak równą sobie. To właśnie w jej towarzystwie ma udać się za Kanał.

- Już najwyższa pora - mówi ojciec. - Rozmawialiśmy o tym od lat. Mary powinna na własne oczy zobaczyć nieco cywilizacji, bo inaczej zdziwaczeje do końca.

Uśmiecha się, ponieważ często powtarza to jako żart, a Mary zastanawia się, czy i cały ten Paryż nie okaże się żartem. W domu przy Parker's Piece sprawy zaczynają się układać coraz lepiej. Matka odzyskuje siły, wstaje nawet z łóżka, ubiera się i przechadza po zacienionej alejce przed domem, wsparta na ramieniu męża. Mary wyobraża sobie, że tak samo czynili dawno temu, kiedy byli młodzi. Chwieją się trochę, kasztanowe włosy ojca lśnią w plamach słonecznego światła, siwe pasma we włosach matki są wyraźniejsze niż zwykle. Prezentują się uroczo; obserwując ich, Mary nie może uwolnić się od myśli o ich tajemnicach. Matka nigdy nie mówi o ojcu jako o romantycznym kochanku. W długie wieczory, a nawet noce, kiedy siedzą razem, czekając, aż nadejdzie sen, nie snuje pogodnych, wzruszających wspomnień. Rodziców łączą raczej normalne więzy rodzinne. Chwilami można odnieść wrażenie, że pani Kingsley traktuje męża tak samo jak córkę, córka zaś jest dla niej jak siostra. Perspektywa, a właściwie niemal pewność wyjazdu do Paryża jawi się niczym brzask na odległym horyzoncie. Mary wciąż nie może w to uwierzyć, choć przygotowania idą pełną parą, a dzień wyjazdu zbliża się nieuchronnie.

4

Wyływają na początku maja w pogodny sobotni poranek. Wody Kanału są gładkie, spokojne i piękne. Odprowadzają wzrokiem niknące na zachodzie strome klify Anglii. Lucy urodziła się w Ameryce, lecz mimo to wcale nie twierdzi, że jest Amerykanką. Jej ojciec był historykiem. Jest przyjaciółką rodziny, odkąd Mary sięga pamięcią. Rozmawiają na pokładzie łodziowym, spoglądając na gładką jak lustro powierzchnię wody. Lucy opowiada o swoich przeżyciach sprzed przeszło dwudziestu lat, kiedy odwiedziła Paryż po raz pierwszy i przy okazji poznała tam swego męża.

- To naprawdę jest miasto miłości - mówi.

Jest jasne, że wiąże zbyt wielkie nadzieje zarówno z tą podróżą, jak i z osobą Mary. Żyjąc w wyidealizowanym świecie, traktuje Paryż jako zaproszenie do romansu - nie dla siebie, tylko dla swojej młodej towarzyszki. Mary zaczyna nawet podejrzewać, że o przedsięwzięciu tej eskapady zadecydowała nadzieja ojca na to, że być może wreszcie uda jej się spotkać kogoś odpowiedniego. W pierwszej chwili ta myśl ją zaskakuje, ponieważ jeszcze niedawno byłaby gotowa przysiąc, że interesuje go wyłącznie on sam i jego sprawy. Nie żywi do niego urazy; jest jaki jest, i nic nie można na to poradzić.

Lucy Toulmin-Smith wie o wszystkim i bynajmniej nie stara się tego ukryć. Już wcześniej wielokrotnie dawała delikatnie wyraz swemu zaniepokojeniu, że dwudziestosześcioletnia Mary wciąż jest samotna. Te subtelne uwagi były adresowane głównie pod adresem George'a Kingsleya i zawierały zawoalowane oskarżenie o to, że właśnie on jest w znacznej mierze odpowiedzialny za ten stan rzeczy, ponieważ obarczył córkę obowiązkiem opiekowania się matką, zamiast wynająć zawodową pielęgniarkę.

Podczas krótkiej podróży przez Kanał Lucy nie może się powstrzymać, żeby w myślach nie kojarzyć Mary z młodymi mężczyznami, jakich wielu znajduje się wśród pasażerów statku. Mary zdaje się ich w ogóle nie dostrzegać, jakby stanowili części takielunku. Obserwuje szkwał na horyzoncie i zastanawia się, czy dopadnie ich, zanim dotrą do brzegów Francji, widocznych jako ciemnozielona linia w sinoblękitnej dali.

W porównaniu z Londynem Paryż okazuje się zaskakująco mały i raczej senny. Mary i Lucy wynajmują pokój w niedużym hoteliku przy Rue de la Paix. Okno wychodzi na Sekwanę i lewobrzeżny bulwar odgradzający miasto od rzeki. Zawsze pełno tam ludzi, mężczyźni i kobiety przechadzają się parami, kobiety w jaskrawych sukniach, z parasolkami, w wymyślnych kapeluszach. Mary byłaby gotowa przysiąc, że jeden z nich wygląda niemal jak najbardziej agresywny z jej kogutków. Znajduje się na głowie otyłej damy w białej sukni ozdobionej błękitnymi wstążkami. Mary siedzi przy oknie, podczas gdy Lucy Toulmin-Smith rozpakowuje bagaże i kąpie się, opowiadając o obiedzie w hotelowej jadalni. Mary spogląda w kierunku zakrętu rzeki odległego o jakieś trzysta metrów. Młoda kobieta stoi w drzwiach, oparta o futrynę, wpatruje się w coś hen, daleko, po czym nagle jakby otrząsa się z zamyślenia i rusza przed siebie.

Później, po długiej kolacji, uwolniona od męczącego towarzystwa Lucy, przekonanej ponad wszelką wątpliwość, iż wyjazd przyniesie konkretne rezultaty w postaci kandydata na męża dla jej młodej podopiecznej, a równocześnie powtarzającej przy każdej sposobności, iż zależy jej wyłącznie na tym, by pomóc dziewczynie zasmakować uroków miasta, Mary kładzie się do łóżka i słucha oddechu Lucy, która zasypia po drugiej stronie pokoju. Czeką jeszcze trochę, po czym nie czyniąc najmniejszego hałasu, wstaje i ponownie się ubiera. Porusza się powoli i ostrożnie, w związku z czym trwa to dość długo, ale wreszcie wymyka się na korytarz oświetlony blaskiem lamp gazowych i wyłożony miękkim chodnikiem. Mija rzędy czarnych drzwi, wychodzi na klatkę schodową i kieruje się na dół. Po drodze przechodzi obok dwóch Francuzów w średnim wieku, cuchnących alkoholem i papierosami. Przyciska się do

balustrady, żeby ich przepuścić, a jeden z nich odwraca się, patrzy na nią i mówi coś trochę zaczepnym, a trochę poufałym tonem. Mary nie rozumie ani słowa, łatwo może się jednak domyślić treści na podstawie lubieżnego spojrzenia i łakomie rozchylnych ust. Czym prędzej zbiega na parter, do głównego holu, zupełnie opustoszałego o tej porze. Na kontuarze recepcji, w bogato zdobionej popielniczce leży dymiące cygaro. Ten widok zdaje się świadczyć o tym, że wszyscy z jakiegoś powodu nagle opuścili budynek. Niespodziewanie z pokoiku na zapleczu wyłania się otyły człowiek w białej jedwabnej koszuli, wkłada cygaro do ust i zaciąga się głęboko. Nie widzi jej, toteż Mary przez chwilę czuje się tak, jakby miała popełnić jakieś przerażające przestępstwo. Przemyka do ciężkich drewnianych drzwi i chwilę później jest już na ulicy.

Jest tam chłodniej, niż się spodziewała, w powietrzu unosi się woń płonącego węgla. Miasto zdaje się żarzyć w jasnym blasku księżyca, srebrzysta poświata omywa wierzchołki drzew, krawędzie dachów i ornamenty kolumn na fasadzie budynku w stylu romańskim, stojącym po przeciwnej stronie ulicy. Piękna noc. Znad rzeki dobiega głośny kobiecy śmiech. Niedaleko z poskrzypywaniem kół przejeżdża powóz, echo powtarza klekot podków na bruku, koń parska i prycha. Mary kieruje się w stronę wody. Blask księżyca załamuje się w drobniutkich niezliczonych falach. Ogarnia ją wrażenie, że przebywa we własnym, trochę nierealnym śnie. Myślami wraca do Londynu, do zabójstw na Cheapside, do Kuby Rozpruwacza, i po grzbiecie przebiega jej lodowaty dreszcz. To Francja, powtarza w duchu. To Francja. Idzie szybkim krokiem, jakby dokądś zmierzała. W wodzie faluje obrysowane księżycową poświatą odbicie kamiennego mostu oraz znacznie ciemniejsze odbicia zdobiących go figur. Dotarłszy do nabrzeża, zatrzymuje się, wpatruje w wodę, w której pojawiają się i znikają niezliczone wiry. Kilka kroków dalej skręca w alejkę, którą wypatrzyła z hotelowego okna. Serce bije jej coraz mocniej. Jest tuż-tuż od przygody. Ulica pozornie jest pusta, ale zanim Mary pokona jakieś dwadzieścia metrów, nie wiadomo skąd zjawia się obok niej młody mężczyzna w jaskrawym, różnobarwnym stroju przypominającym kostium klauna. Mówi do niej coś, co brzmi jak jedno niesamowicie długie zdanie, ale ona, rzecz jasna, nic z tego nie rozumie. Przeciska się obok niego, a on odsuwa się na bok, wciąż mówiąc. Otwierają się drzwi, wypływa przez nie żółta smuga światła. W wejściu staje potężnie zbudowany człowiek w białym fartuchu, białej koszuli i czarnej kamizelce, z rękawami podwiniętymi powyżej łokci. Młody mężczyzna mówi coś do niego i wtedy Mary dostrzega, że tamten jest dużo starszy, ma ogromny wystający brzuch, nalaną twarz i spłaszczony nos. Rozmawiają chyba o niej, wreszcie

starszy odrywa się od drzwi i zastępuje jej drogę. Słysząc głosy innych ludzi, zza jego pleców wylewa się rozproszone światło.

- Dobry wieczór - odzywa się Mary. - Przykro mi, ale pana nie rozumiem.

Obaj milkną, patrzą na siebie ze zdziwieniem, po czym wybuchają śmiechem i znowu zaczynają rozmawiać. Mary uprzejmie przeprosza i próbuje ich ominąć, oni jednak znowu zastępują jej drogę, nie przestając się śmiać. Starszy kładzie jej na ramionach ciężkie dłonie. Nikt nigdy z nią tak jeszcze nie postąpił, przynajmniej od czasów, kiedy była małą dziewczynką.

- Proszę zabrać ręce! - mówi ostrym tonem.

- *Excusez-moi* - odpowiada mężczyzna, po czym terkocze dalej: - *Je vous rends nerveux? Mademoiselle, je ne suis pas digne de recevoir, mais dis seulement une parole et je serai guéri.*

- Proszę pozwolić mi przejść!

Mężczyzna opuszcza ręce, cofa się dwa kroki, przygląda się jej z lekkim uśmiechem na twarzy, zupełnie jakby był z niej dumny, jakby samodzielnie stworzył ją ze śmieci zalegających w alejce.

- Czego ode mnie chcecie? - pyta Mary. Jej głos brzmi zupełnie spokojnie.

Młodszy mężczyzna przysuwa się do drzwi, gestem wskazuje jej pokój ze stołami, na których stoją butelki z winem.

- Nie, dziękuję.

- *Elle est Anglais* - mówi starszy do młodszego.

Pozwalają jej odejść, odprowadzają ją spojrzeniami. Ogląda się dwukrotnie, a oni wciąż stoją bez ruchu przy otwartych drzwiach, przez które wylewa się strumień światła. Mary skręca za róg, potem za następny, i jeszcze jeden. Mija nieczynne targowisko i parkiet taneczny, na którym trzy pary obracają się w blasku chińskiego lampionu. Wreszcie trafia na otwartą kawiarnię; siedzi w niej sześć samotnych osób i popija wino, *ale* lub brandy. Kelner ma bladą, niezdrową cerę, ponurą twarz i piękne, wyraziste dłonie. Mary nie spuszcza ich z oka, kiedy mężczyzna wyciera stół i pyta po angielsku, co młoda dama chciałaby zjeść lub czego się napić.

- Skąd pan wie, że jestem Angielką?

- Mademoiselle, jak by to powiedzieć... - Uśmiecha się. - Widać to po pani.

- Widać po mnie?

Uśmiech całkowicie odmienia jego twarz. Jest to bardzo niezwykle, zupełnie jakby przeistoczył się w innego człowieka.

- Proszę mi wybaczyć - mówi doskonałą angielszczyzną. - Nie będę pani oszukiwał. Zwykle staram się udawać przed gośćmi takiego, jakiego chcieliby mnie zapamiętać, to znaczy uprzejmego francuskiego kelnera, ale tak naprawdę pochodzę z Devonshire.

- Jest pan Anglikiem?

- Urodziłem się tam. Ojciec przywiózł mnie tutaj, kiedy skończyłem dziewięć lat. Pracował w służbie zagranicznej Jej Królewskiej Mości. W wyniku mojego nieoczekiwanie trudnego przyjścia na świat został wdowcem. Wiele podróżował, zabrał mnie do Paryża, ożenił się z Francuzką i wkrótce potem zmarł. Ja zostałem. Wszyscy uważają mnie tu za bystrego Francuza, który doskonale mówi po angielsku, a ja nie wyprowadzam ich z błędu.

- Dlaczego?

- Łatwo się dostosowuję. A pani ma zdumiewającą twarz. Patrząc na panią i wciąż nie wiem, czy zaraz się pani roześmieje, czy mnie spoliczkuje.

- Czy ze wszystkimi kobietami rozmawia pan w taki sposób?

- A więc jednak raczej zamierza mnie pani spoliczkować. W takim razie będzie najlepiej, jeśli się oddalę. *Pardonnez-moi, mademoiselle.*

Mary śledzi go wzrokiem, kiedy krząta się przy innych klientach. Kelner przynosi jej gorącą herbatę i niewielki kieliszek mętnego wina. Wino zupełnie jej nie smakuje, lecz mimo to wypija je, żeby zdobyć nowe doświadczenie. Alkohol niemal natychmiast uderza do głowy. Nieprzyjemne wrażenie ogromnie ją irytuje, zaczyna czuć się tak, jakby wszystko, co dzieje się dookoła, zupełnie jej nie dotyczyło. Ludzie pojawiają się i znikają (wśród nich przygarbiony mężczyzna w czarnym stroju, który spogląda na nią uważnie, zapewne zaintrygowany faktem, że ona także ubrana jest na czarno). Wyraźnie utyka, a towarzyszy mu młoda kobieta o nieprawdopodobnie umięśnionych ramionach, z rękawami sukni podwiniętymi nad łokcie, najwyraźniej dumna z zainteresowania, jakie wzbudza wśród gości. Inna kobieta ma mocno zdeformowaną górną połowę twarzy i przymkniętą jedną powiekę, jakby była glinianą figurką, którą artysta postanowił zniszczyć, nie dokończywszy nawet dzieła. Pod opuszczoną powieką nie ma gałki ocznej. Mary nie może oderwać od niej wzroku.

Pora iść. Kawiarnia zaraz będzie zamknięta. Angielski kelner informuje ją, że zapłacił za jej herbatę i wino, a kiedy Mary protestuje, dotyka czubkami palców jej policzka i mówi:

- *Ma chère.*

Do tej pory nikt nigdy nie dotykał jej w ten sposób, nawet ojciec ani matka. W dotyku jest seks. Izolacja, w jakiej spędziła niemal całe dotychczasowe życie, zawisa teraz nad nią

niczym groźny ciężar. Mary uświadamia sobie, że to miejsce nie dla niej, kelner zaś bierze ją za rękę i prowadzi do drzwi.

- Co pan robi?

- Zabieram cię do domu, *ma petite*.

- Nie może pan tego zrobić.

- W takim razie powiedz, dokąd powinniśmy pójść. Chcę z tobą porozmawiać, poznać cię lepiej.

Waha się przez chwilę, w końcu zaczyna się od niego odsuwać, krok po kroku.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli o czym rozmawiać i nigdzie z panem nie pójde.

- Może w takim razie chociaż na spacer, nad rzekę? Mary przystaje.

- Taka piękna noc... Tam zawsze jest dużo ludzi.

- Dobrze.

Chciałaby zobaczyć jak najwięcej. Jutro czekają ją Luwr, Lasek Buloński i Ogród Botaniczny, oczywiście w towarzystwie Lucy. Długie wędrówki wśród rzeźb i obrazów przedstawiających nieruchome postaci żywych ludzi.

- Staram się tylko być miły.

- Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

- To prawda, nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Na imię mam Philippe.

Uśmiech ponownie odmienia jego twarz.

- Zdaje się, że teraz na panią kolej.

- Lucy Toulmin-Smith - mówi Mary.

5

W trakcie spaceru pogrążonymi w tajemniczym półmroku ulicami Mary uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, która właściwie jest godzina, że nie ma zegarka i że choć dużo czytała o ustalaniu czasu na podstawie położenia księżyca na niebie, to tu, w Paryżu, wysokie budynki i drzewa zasłaniają księżyc, uniemożliwiając wykorzystanie tych umiejętności. Widzi jedynie rozmazane, ślizgające się po falach odbicie w wodzie. Jej towarzysz idzie w milczeniu tuż obok, sprawiając wrażenie całkowicie usatysfakcjonowanego roztaczającymi się dookoła widokami. Przez kilka minut stoją na kamiennym nabrzeżu. Za ich plecami, na trawniku, niski zylasty mężczyzna staje na rękach i próbuje maszerować w ten sposób; przewraca się co

chwila, mamrocze gniewnie pod nosem po francusku. Na ławkach siedzi wielu wiekowych ludzi, jakiś człowiek w stroju przypominającym sutannę leży na wznak z rękami złożonymi na piersi i recytuje coś po łacinie w niebo.

- Żałuje pani, że tu przyszła? - pyta Philippe.

- Wcale nie.

- Zawsze jest pani taka milcząca?

- Nie - odpowiada Mary z uśmiechem.

Idą dalej. Drzewa ustępują miejsca trawie, dalej prowadzi droga, którą właśnie przejeżdża powóz zaprzężony w czwórkę koni. Przy ogrodzonym nabrzeżu tłoczy się spora grupa gapiów. Na wodzie kołysze się łódź z kołem łopatkowym na rufie i stolikami ustawionymi na pokładzie.

- Ma pani ochotę na przejażdżkę po rzece?

- Jest tak późno...

Ujmuje ją za łokieć i prowadzi w dół, a potem po wąskim drewnianym trapie. Razem z nimi na łódź wsiada jeszcze kilka osób: kobieta o tak jasnej, niemal białej cerze, że w świetle księżycy zdaje się rozsiewać własny blask; stary mężczyzna w towarzystwie dwóch młodych kobiet, trajkoczących niemal bez przerwy po francusku. Na ławeczce naprzeciwko siedzi kilka roześmianych, flirtujących par. Jeden z mężczyzn, mocno podchmielony, napiera ciałem na partnerkę, obejmuje ją, całuje w szyję, szeroko otwartymi ustami szuka jej ust. Mary odwraca wzrok, patrzy na pokrytą srebrzystymi zmarszczkami wodę. Philippe płaci sternikowi, siada obok niej i obejmuje ją ramieniem.

- Nie.

- W porządku, nie chcę się narzucać.

Mimo to nie cofa ręki, tylko przenosi ją na okrężnicę. Mary obserwuje brzeg, który przesuwa się obok niej jak w niewyraźnym śnie. Widzi okna wypełnione przyćmionym blaskiem, cienie na nabrzeżu i ulicach, ciężkie sylwety katedr na tle nieba usianego fosforyzującymi punkcikami gwiazd. Zerwał się lekki wiatr, słysząc czyjś śpiew. Po chwili przyłączają się kolejne głosy, a zaledwie dwa kroki od niej tamten mężczyzna wciąż wpija się ustami w usta dziewczyny. Nad rzeką powoli wstaje mgła.

- Są zakochani - mówi Philippe.

Mary odsuwa się delikatnie od jego ręki, wciąż wpatrzona w migoczącą powierzchnię wody. Wdycha woń wina i rzeki, trącającą brudem, a także paryskiego powietrza, które prawie

wcale nie różni się od tego w Londynie. Samo miasto prezentuje się natomiast w tę wiosenną noc zupełnie inaczej, zjawiskowo i pięknie. Łódź zawraca, księżyc świeci teraz z drugiej strony, wydobywa z mroku ulice i budynki. Mary wpatruje się zachłannie, śpiew trwa dalej, dołączają się kolejne głosy.

- O czym oni śpiewają?

- O miłości. O zakochanych, którzy nocą płyną łodzią.

Philippe przyłącza się do śpiewu. Okropnie fałszuje, wskutek czego słyhać go lepiej niż innych. Kiedy łódź przybija do brzegu, zrywa się z miejsca i podaje rękę towarzysze. Razem wchodzą na nabrzeże.

- Dziękuję panu. To była bardzo miła przejażdżka.

- A może byśmy...

- Muszę już wracać.

Opiera się, kiedy ponownie ujmuje ją za rękę.

- Możemy popłynąć jeszcze raz.

- Dziękuję, wolałabym nie.

- W takim razie czego pani potrzebuje? Proszę mi powiedzieć, a ja zapłacę.

- Zapłaci pan?

Z trudem dostrzega w mroku jego oczy. Nagle z głębin podświadomości wypływa wspomnienie o wuju Charlesie, który przyznał kiedyś przy obiedzie, iż razem z narzeczoną oglądał rysunki przedstawiające ich akt płciowy, tak jak on go sobie wyobrażał, i Mary uświadamia sobie, do czego zmierza jej rozmowa z tym młodym człowiekiem, i do jakiego może doprowadzić finału. Na myśl o tym krew burzy się jej w żyłach. Cofa się raptownie, zgorziona i przepełniona niesmakiem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć... - mamrocze Philippe.

- Rozumiem pana doskonale. Chce pan negocjować.

- Wcale nie. Proszę mi wybaczyć. Podoba mi się pani. Chciałbym znowu się z panią spotkać. Jutro. Chcę zadośćuczynić za to, co powiedziałem, a w ogóle to nazywam się Tristram.

- Tristram?

- Tamtego imienia używam tylko dla żartu.

Niespodziewanie spływa na nią jasne i oczywiste zrozumienie, do czego to wszystko prowadzi, czym są miłość i zdrada, aranżowane, opłacane, aprobowane lub potępiane przez społeczeństwo. Nie chce mieć z tym nic wspólnego, ani z zalotami, ani z małżeństwem, nie

zamierza dać się zamknąć w więzieniu, do którego prowadzą najpierw seks, a potem małżeństwo, tym bardziej że zna je doskonale, od lat bowiem żyje w więzieniu małżeństwa rodziców. Tutaj jest wolna, spaceruje ulicami Paryża, a ten młody człowiek wziął ją za kobietę upadłą, prostytutkę. Teraz stara się zadośćuczynić za swój błąd, ponieważ w gruncie rzeczy zapewne nie jest złym człowiekiem, tylko po prostu niewłaściwie zinterpretował sytuację. Prawie zaczyna go żałować, kiedy tak idzie pół kroku za nią, cały czas z nadzieją wypatrując oznak przebaczenia. Może tutaj być kimkolwiek zechce, ponieważ nikt jej nie zna. Nade wszystko pragnie wznieść się ponad ten zamęt, ponad te namiętności.

Aż do tej chwili trochę bezmyślnie przypuszczała, że jej życie prędzej czy później zacznie przypominać życie innych, znanych jej młodych kobiet: pewnego dnia ojciec przyprowadzi do domu jakiegoś młodego człowieka, który poprosi ją o rękę. Ojciec da jej posag i odda mu ją za żonę. Wybuchła śmiechem na samą myśl o tym. Kiedy Philippe/Tristan delikatnie ujmie ją za dłoń, Mary uwalnia ją szarpnięciem, odwraca się i idzie szybkim krokiem w ulewie księżycowego blasku, wciąż się śmiejąc i zasłaniając usta dłonią.

- Czy moje wyjaśnienia nie wystarczą? - pyta jej towarzysz.

- Raczej nie.

Ponownie chwyta ją za ramię.

- Nie jestem przyzwyczajony, żeby traktowano mnie w ten sposób.

- Jeśli natychmiast nie zabierze pan ręki, uderzę pana w twarz.

Cofa się o krok.

- Nie jestem gwałcicielem, mademoiselle.

- To bardzo dobrze dla nas obojga.

- *Bonsoir* - rzuca oschłym tonem, odwraca się na pięcie i rusza przed siebie.

- Dobrej nocy! - woła za nim Mary.

Jeszcze przez jakąś godzinę spaceruje ulicami miasta, trochę szukając hotelu, a trochę po to, żeby jeszcze jak najwięcej obejrzeć. Nocne życie Paryża powoli przygasa. Zbliża się świt. Mary bez większego trudu dociera do wylotu Rue de la Paix. W bramie narożnego domu stoi kilka kobiet w podkasanych sukniach. Mary dobrze wie, kim są; z trudem przezwycięża pokusę, żeby do nich podejść i porozmawiać. Obawia się, że Lucy się obudzi, zauważy jej nieobecność i zacznie się martwić. Sama nie czuje strachu ani nawet niepokoju, zupełnie jakby dokonała się w niej jakaś przemiana. Zatrzymuje się na chwilę, by wyszeptać:

- Jestem nadzwyczajna!

Te słowa sprawiają jej przyjemność, jest gotowa bez zastrzeżeń w nie uwierzyć, prędzej niż kiedykolwiek do tej pory. Wykonała ważny krok: od przecucia, że różni się od wszystkich, przeszła do wiedzy o swojej niezwykłości.

Ulica pnie się pomału w górę. Mary nie spieszy się, upaja się trochę aromatycznym, a trochę cuchnącym powietrzem tego dziwnego, niezasypiającego ani na chwilę miasta. Zatrzymuje się przed hotelem i zadaje sobie pytanie, co się właściwie wydarzyło. Próbuje uporządkować wydarzenia minionych godzin. Wyszła na spacer po Paryżu, spędziła trochę czasu w kawiarni, przechadzała się nadrzeznym bulwarem, popłynęła na przejażdżkę łodzią, spotkała młodego mężczyznę, który wziął ją za kobietę lekkich obyczajów, i dała mu za tę pomyłkę ostrą reprimendę, choć w gruncie rzeczy nawet ją to rozbawiło. Powzięła również postanowienie, że nigdy, przenigdy, nie stanie się niewolnicą żądz cielesnych. Oddycha głęboko, wyciąga ręce ku księżycowi wiszącemu milcząco nad opustoszałą ulicą i odległymi sylwetkami drzew. Jeszcze nigdy nie czuła się tak wolna, jeszcze nigdy nie była tak bardzo sobą. Paryż łśni tylko dla niej.

W hotelu postanawia skorzystać z nowego wynalazku, czyli windy elektrycznej. Czeką długo, lecz winda nie rusza, ponieważ obsługujący ją człowiek dokądś sobie poszedł. Za ladą w recepcji siedzi starszy mężczyzna. Mary chce do niego podejść, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie i wchodzi po schodach. Lucy wciąż pochrapuje z ukontentowaniem. Mary rozbiera się, kładzie do łóżka i podciąga kołdrę pod brodę.

Jestem nadzwyczajna.

CZEŚĆ TRZECIA

Niknie tak rączo wszystko, co się świeci.

Sen nocy letniej, akt 1, scena 1 (przeł. Stanisław Koźmian)

Rozdział 13

1

Chociaż wszyscy w domu Galatierre'ów uważali, że letnie tygodnie mijają jak z bicza trzaśł, dla Lily wlokły się one w ślimaczym tempie. Burze nadchodziły i mijały, ale dni składały się głównie z upalnych godzin, najłżejszego wiatorku, wieczorów, kiedy światło gasło powoli na czerwonym niebie, i wilgotnych, ospałych nocy, podczas których migotanie gwiazd przytłumiały ciężkie opary unoszące się z ziemi rozgrzanej lipcowym i sierpniowym słońcem. W salonie kupili z Tylerem używanego oldsa cutlassa, a Tyler dostał nowe służbowe auto, więc od tej pory nie była już uwiązana w domu, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że nie znała okolicy. Od czasu do czasu wsiadała w cutlassa i jechała wiejskimi drogami, z otwartymi na oścież oknami, tak że wiatr wiał prosto na nią, i grającym na cały regulator radiem. Okoliczne tereny były niewyobrażalnie piękne, a powietrze przesycone ciężkim zapachem słoneczników i słodyczą kapryfolium. Lubiła brzmienie swojego głosu, kiedy śpiewała głośno popularne piosenki, a białe linie na autostradzie zdawały się nadawać im rytm, znikając w regularnych odstępach czasu pod lśniącą maską ze srebrnym ornamentem.

Przy końcu lipca pojechała do Oksfordu, żeby wziąć udział w przesłuchaniu do zespołu „Strychu” i jej występ się spodobał. Tymczasem przez dwadzieścia godzin w tygodniu pracowała tam przy projektowaniu scenografii, bo na jesieni planowano niezwykle oszczędne wystawienie *Kupca weneckiego*. Nie próbowała nawet wziąć w nim udziału, bo wiedziała, że na jesieni jej ciąża będzie już widoczna. Późnym latem miało się odbyć kolejne spotkanie, mające na celu ustalenie, jakie dwie nowe produkcje odbędą się zimą.

Większość wolnego czasu spędzała na poszukiwaniu prawdziwej pracy i miejsca, gdzie mogliby zamieszkać z Tylerem i niemowlęciem. Millicent okazywała jej niezwykłą troskliwość, a Sheri bez przerwy przynosiła rozmaite drobiazgi, głównie rzeczy dla dziecka.

Obie młode kobiety często wychodziły razem i rozmawiały z różnymi agentami nieruchomości albo z ludźmi, którzy dawali ogłoszenia o wynajmie. Tyler był tak zajęty pracą w salonie, że znalezienie czegoś odpowiedniego w zasadzie spoczęło na barkach Lily, a Sheri starała się jej w tym pomóc. Nie mówiła więcej o swoim „platonycznym przyjacielu” i Lily była jej za to w głębi duszy wdzięczna.

Z tego, co oglądały, bardzo niewiele przypadło Lily do gustu. Znalazły kilka lokali w granicach miasta, ale w większości były to niewielkie apartamenty, które za bardzo przypominały jej ciasnotę pokoju w Charlottesville.

Oksford był przecież miastem studenckim.

Wcześniej, na początku lipca, razem z Sheri znalazły obity białym sidingiem dom w stylu wiktoriańskim, nieco podniszczony - został wybudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku - z małym gankiem i ukończoną suteroną, tylko pięć przecznic od salonu Buddy'ego, więc powróciły do domu z przekonaniem, że wreszcie trafiły w dziesiątkę. Tyler pojechał zaraz z Lily, żeby go obejrzeć i wyraził aprobatę. Wszyscy zdawali się cieszyć szczęściem młodej pary, a Nick odpalił nawet kilka rac, żeby uświetnić to wydarzenie.

W nocy Czwartego Lipca pojechali do szkoły średniej, żeby popatrzeć na pokaz ogni sztucznych. Po drodze do domu zobaczyli płomienie liżące niebo nad miastem, które okrywały wszystko niespokojną czerwonawą poświatą.

- Spójrzcie tylko na to - powiedział Buddy. - Paskudnie to wygląda, niezależnie od tego, co się pali.

Kiedy dojechali do skrzyżowania i zatrzymali się przed światłami, Buddy wyszedł z samochodu, przepuszczając dwie zmiany, podczas gdy reszta obserwowała przesuwający się po chmurach poblask.

- Buddy - zawołała nerwowo Millicent. - Proszę, jedźmy już. To jest okropne.

- Właśnie mamy czerwone światło, skarbie.

Czekali. Z dali dobiegło ich wycie wielu syren. W nocnym powietrzu unosił się zapach dymu i spalenizny. Kiedy włączyło się zielone światło, Buddy pojechał w dół bocznej uliczki, a potem jeszcze parę razy skręcił. Płomienie strzelały tak wysoko, że bez problemu wiedział, w którą stronę jechać. Kiedy mijał salon, z piersi Millicent wyrwało się westchnienie ulgi.

- To mnie właśnie dręczyło - powiedziała.

Buddy skinął głową, wolno jadąc dalej, i skręcił raz jeszcze. Ku swojemu przerażeniu Lily rozpoznała ulicę.

- To tutaj - zawołała.

Buddy zatrzymał samochód. Przed nimi rozciągało się ogromne, szalejące morze pędzącego w górę ognia. Płonął dom, t e n dom, ten sam, który Lily z Tylerem zamierzali wynająć. Płomienie zdążyły ogarnąć go całkowicie. Dach częściowo zdążył się już zapaść; w poczerniałych framugach okien tańczyły płomienie.

- Przecież to jest... - odezwał się Tyler takim tonem, jakby dopiero teraz to zauważył. - Mój Boże... To jest...

Nie skończył. Przez dłuższą chwilę nikt nie odezwał się słowem. W milczeniu obserwowali akcję strażaków, którzy biegali tam i z powrotem w dzikim, nieregularnym blasku graniczącym z ciemnością: ulicę pulsującą od migoczących świateł na wozach strażackich; wyginające się, ciężkie strumienie wody, które wylatywały z węży i znikwały w płomieniach.

- Ale to dziwne zrządzenie losu - mruknął Nick. - Bóg nad wami czuwa.

- Ale wcześniej ktoś inny nie czuwał - zauważyła Lily, trzęsąc się jak galareta.

- Nie uda im się zbyt wiele uratować - doszedł do wniosku Buddy.

Począł jeszcze chwilę, a potem zawrócił i skierował się tam, skąd przyjechali. Przez ramię zerknął na Lily skuloną na tylnym siedzeniu.

- Przykro mi, kochanie - dodał.

- Znajdziecie coś innego - odezwała się Millicent, sięgając ręką w tył, żeby pogłodzić kolano Lily.

Następnego dnia przez całe śniadanie Tyler i Nick rozmawiali o przeznaczeniu i o tym, jak oczywisty był to znak, że razem z Lily powinni zostać tam, gdzie są. Chociaż Lily świetnie rozumiała, że nie mówią serio, czuła jednak znaczenie minionego wydarzenia i na jakiś czas odsunęła od siebie myśl o opuszczeniu domu Galatierre'ów. Tyler bez problemu przeszedł nad tym do porządku dziennego; był zbyt pochłonięty pracą w salonie, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Przez większość wieczorów pozostawał aż do późna poza domem, a kiedy wracał, wydawał się podenerwowany i zmęczony, zresztą tak jak i ona. Praca w „Strychu” stopniowo zaczynała ją nużyć, chodziła więc tam coraz rzadziej.

Tyler bardzo się o nią troszczył. W każdych okolicznościach wydawał się mniej skory do żartów, lecz kiedy spotykali się w szerszym rodzinnym kręgu, odnosiła wrażenie, że Nick z

kolei jest zbyt rozbrykany, zawsze gotowy do przedrzeźniania, robienia kawałów albo wygłasywania sardonicznych uwag. Jego zachowanie powodowało, że Lily stawała się niespokojna i nerwowa, jakby jakaś część tego, co wiedziała o jego małżeństwie, mogła przedostać się do niego albo przez Sheri, albo przez uważne studiowanie fizjonomii Lily. Miała kłopoty z patrzeniem mu prosto w oczy, bo wydawało jej się, że on ją obserwuje. Drażniły ją dowcipy na temat pisanej przez nią sztuki i w końcu podświadomie zaczęła go unikać. Często pod byle pretekstem opuszczała pokój, kiedy do niego wchodził, i starała się nigdy nie pozostawać z nim sam na sam.

Tyler bezwiednie jej w tym pomagał; nie lubił, kiedy była sama i chodził za nią po całym domu krok w krok. Złościła się na niego za to, a jemu sprawiało to najwyraźniej przykrość, toteż spuszczał głowę jak chłopiec, którego wyrwano w szkole do tablicy. Wówczas ona zaczynała się bardziej o niego troszczyć, jakby oboje stali się nagle delikatniejsi. Lily próbowała nie zwracać uwagi na jego humory, żeby dać mu czas na przystosowanie się do zmian.

To w trakcie tych tygodni przekonała się, jak bardzo go potrzebuje. Którejś nocy przyśnił się jej koszmar, że on był oziębły i daleki, i że odwrócił się od niej. Obudziła się zrana z przerażenia, mnąc w garści koc i starając się uspokoić oddech. Leżała blisko Tylera, rozkoszując się tym, w jaki sposób otoczył ją ramieniem. Zamruczał coś, czego sens do niej nie dotarł, i ponownie zapadł w sen. Lily leżała z szeroko otwartymi oczyma, wyobrażając sobie, że oto jest w Anglii przed stu laty - był to jej dawny, wypróbowany sposób spędzania bezsennych nocy.

Zdawało jej się, że bardziej tęskni za mężem w ciągu dnia i dlatego, kiedy wracał do domu, jego znużenie dawało się jej we znaki. Ustaliło się między nimi coś w rodzaju przyjacielskiej bliskości, co nasuwało Lily myśl o parach w średnim wieku. Kiedy powiedziała o tym Tylerowi, zgarbił się i trzymając się jedną ręką za okolice krzyża, przekuśtykał przez całą szerokość pokoju jak wiekowy staruszek.

- Czy podać ci coś do zjedzenia, mamusku?

- Mówiłam całkiem serio - rzekła, ale w końcu zaczęła się śmiać.

Pewnego niedzielnego poranka, gdzieś przy końcu września, odwrócił się w łóżku twarzą do niej i zaczęli się kochać. Usiadła na nim okrakiem i poruszała się wolno, a on wyciągnął rękę i ujął jej twarz, wpatrując się w nią spokojnym, pełnym uwielbienia wzrokiem.

- Och, Lily - wyszeptał.

Uniosła się tak, że tylko koniec penisa pozostawał w środku jej ciała i zaczęła poruszać się z boku na bok, a potem opuściła się powoli, bardzo powoli, aż poczuła wewnątrz całą jego długość. Usiadła całym ciężarem i znów zaczęła się podnosić, cały czas w tym samym tempie. Powtórzyła całą operację, mówiąc Tylerowi w tym czasie, jak bardzo go kocha i że kocha robić to z nim. Właśnie to. Osiągnął orgazm, powtarzając raz za razem jej imię i trzymając ją za ramiona. Zacisnęła mocno mięśnie, kiedy kończył i ruszała się, dopóki sama nie zaczęła szczytować, a on przez ten cały czas powtarzał jej imię.

- O mój Boże - powiedział. - Kocham cię, Lily. Tak bardzo cię kocham.

Było niemal coś smutnego w sposobie, w jaki wymówił te słowa.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- O tak, tak! - potwierdził.

Przez długi czas leżeli razem, aż w końcu jego penis zrobił się miękki i wysunął z niej.

- Nie odchodź - poprosiła.

Oplótł ją ramionami i mocno trzymał.

- Wiesz, naprawdę cię kocham - powiedział. Wyprostowała się, opierając ręce o jego ramiona.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś miał co do tego wątpliwości. Zamrugał, przyciągnął ją do siebie i pocałował w pierś.

- To znowu to moje cholerne wychowanie. Pamiętasz? Ja i szczęście?

- No cóż - zamruczała. - Możesz w to wierzyć albo nie, ale ono jest dokładnie tu, na twoim czubeczku.

Wtedy rozdzielili się, a Lily poczuła, jak wypływa z niej nasienie. Tyler opuścił ramiona, westchnął i popatrzył na nią, a w jego oczach malowała się pełnia szczęścia. To też było rozkoszne. Lily przewróciła się na plecy i zajęła się obserwowaniem drobnych nierówności na suficie.

Później pojechali do miasta, na rynek i spędzili trochę czasu, myszkując po sklepach dookoła gmachu sądu. W księgarni „Na rynku” znaleźli książkę z imionami, kupili ją i weszli do małej kafejki po drugiej stronie placu, gdzie zamówili wczesny lunch. Czekaając na posiłek, zaczęli ją przeglądać i dyskutować na temat wyboru imienia dla dziecka. Lily zaproponowała Mary, gdyby okazało się, że to dziewczynka, ale Tyler od razu zaprotestował.

- O Boże, nie! Nie znoszę tego imienia! Jakiegokolwiek, byle nie to. Miałem okropną sąsiadkę, która nazywała się Mary. Prawdę mówiąc, mój ojciec kilka razy umówił się z nią na randkę.

Wydało im się dziwne, że były pewne imiona, męskie i żeńskie, co do których oboje byli nieugięci, bo albo znali kogoś niesympatycznego o tym imieniu, albo kogoś naprawdę nieatrakcyjnego. Z tych powodów kilka imion odrzucili od razu; były też inne, co do których zgadzali się, ale z oporami. Parę podobało się jednemu, a drugiemu nie. W końcu przekonali się, że wybór ten nie był prostą sprawą. Tyler zaproponował Maxwella, oczywiście gdyby chodziło o chłopca, ale ona gorąco się temu sprzeciwiała. Z kolei jej podobał się Thomas - on zaś miał w czwartej klasie nauczyciela, który nazywał się Thomas i z góry odrzucał taką możliwość. Rozmawiali, żartowali i układali różne plany, a Lily czuła się niezmiernie szczęśliwa.

Powiedziała o tym Tylerowi.

Wzruszył ramionami, a potem wyciągnął rękę i odgarnął z jej czoła pasmo włosów.

- Zastanawiam się, czy ja w ogóle jestem stworzony do szczęścia - powiedział.

Przez resztę popołudnia wydawał się nieco rozproszony, nawet nieobecny, a kiedy próbowała zbliżyć się do niego i zaproponowała, żeby poszli do łóżka, zbył ją żarciem, że najwyraźniej nie jest dość męski, aby sprostać jej potrzebom, i zmienił temat. Tego wieczoru pojechali z całą rodziną na kolację, a kiedy wrócili do domu i powiedzieli wszystkim dobranoc, Tyler pocałował ją i powiedział:

- Cóż to był za wspaniały dzień!

Kiedy odpłynął już w sen i leżał na boku, pojękując delikatnie z powodu czegoś, co mu się śniło, zrodziło się w niej niejasne wrażenie, że coś wyrosło pomiędzy nimi. Cienie w pokoju zdawały się budzić do życia, w miarę jak gasły światła w pozostałych oknach; ciemność zdawała się poruszać, a cienie przenikały przez nią jak duchy, niosąc ze sobą ciężar nękających ją problemów.

Czy szczęście miało wiązać się ze świadomością, że jest czymś tak ulotnym? I czy zawsze miała mu towarzyszyć obawa, że można je łatwo utracić? Stanowczo coś było nie tak. Dotąd wierzyła, że to ona posiadała niezwykłą zdolność rujnowania własnego powodzenia przez strach, przez oczekiwanie, że coś musi się nie udać, ale przecież to Tyler powiedział, że nie wierzy w szczęście. Nie mogła znaleźć żadnej odpowiedzi na dręczące ją pytania, karciała więc

się w myślach za swoją chorobliwą imaginację i przewracała w łóżku z boku na bok, nie mogąc zasnąć ze zdenerwowania spowodowanego, jak wierzyła, przez błahostkę.

W czasie pierwszego trymestru ciąży nie spowodowała u Lily poważniejszych dolegliwości fizycznych; jedynie kilka razy zrobiło jej się niedobrze, natomiast całkowicie ominął ją problem porannych wymiotów. Na apetyt nie narzekała i na ogół spała jak zabita. Udało jej się nawet trochę popracować nad sztuką.

Dość często jednak miała wątpliwości, czy ją kiedykolwiek ukończy.

Rankami przeglądała się w lustrze, podziwiając wypukłość w dole brzucha i zastanawiając się, jak to się stało, że nie widziała, jak rośnie. Patrzyła w swoje odbicie i usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądała jej sylwetka przedtem, ale okazywało się to niemożliwe. Rozkoszowała się własnym podekscytowaniem i strachem i myślała, jakie to dziwne, że wszystko na świecie biegnie swoim torem, według ustalonego porządku, podczas gdy wewnątrz niej dzieje się coś tak niesamowitego. Usłyszała od lekarza, że mniej więcej w połowie września powinna zacząć odczuwać ruchy, a kiedy nic podobnego nie nastąpiło, zaczęła się niepokoić. Ale ginekolog uspokoił ją, twierdząc, że wszystko jest w porządku. Oczywiście okazało się, że miał rację, ale mimo wszystko Lily się denerwowała.

Ruchy dziecka, które odebrała jak coś w rodzaju delikatnego trzepotania, uradowały ją i sprawiły, że poczuła się głębiej związana z życiem, niż potrafiłaby to wyrazić słowami. Były jak wielka tajemnica, którą posiadała, oddzielająca ją od reszty świata. To było coś niezwykle konkretnego, coś, co za każdym razem działało na nią uspokajająco. W tym samym czasie, kiedy myślała o ich znaczeniu, zaczynała jednak drżeć i doświadczać nieokreślonego lęku jak ktoś, kto staje w obliczu czegoś ważnego i nieznanego.

2

Powiedziałaś kiedyś, że nigdy nikogo nie kochałaś i że nikt nie kochał ciebie. Ale jednak podróżowałaś z mężczyznami, szorstkimi w obejściu, po których trudno się spodziewać, że będą dżentelmenami w każdych okolicznościach. Co było w tobie takiego, że miałaś siłę ustanowić granice, których oni nie mogli przekroczyć? (W czasie gdy ty przecierałaś szlaki, żaden biały nie podjął wcześniej takiego wyzwania). To musiało być coś więcej niż tylko wiktoriańska suknia i obyczaje, ponieważ w tej epoce rutynowo łamano kanony. Twój ojciec zrobił tak z twoją matką. We wszystkim, co czytałam, bardzo niewiele było na temat twojej prawdziwej

natury - na temat tego, co sprawiło, że stałaś się tym, kim się stałaś. Patrząca w przyszłość, ale zawsze ubrana na czarno; melancholijna, ale absolutnie czarująca - dowcipna i odważna. Odważny w działaniu - tak E. M. Forster mówił o Czechowie - kiedy wkraczał w świat inteligentnych, czarujących i śmiałych.

Istniały pewne zasady, których sztywno i bezwzględnie przestrzegałaś: zawsze byłaś skłonna oszukiwać władze British Museum, utrzymując, że zbierasz tylko okazy fauny i szukasz nowych gatunków - chociaż przywoziłaś ze sobą mnóstwo rzeczy - podczas gdy w rzeczywistości szukałaś drogi do poznania świata Afryki, świata fetyszy i praktyk religijnych. Utrzymywałaś, że nie masz za grosz talentu literackiego - a mimo to stworzyłaś kilka najpiękniejszych opisów, jakie powstały w języku angielskim. Kiedy poznaję ciebie i twoje przeciwności, powinnam czuć się bardziej komfortowo z przeciwnościami, które noszę w sobie - faktem jest, że jestem niepoprawną romantyczką w stosunku do mojego męża. Targają mną sprzeczne uczucia co do tej rodziny, bo w takim samym stopniu chciałabym z nimi pozostać, jak od nich odejść. Nauczyłam się ich kochać takich, jacy są, z ich skomplikowanymi charakterami i niezwykłą uprzejmością. W miarę upływu ostatnich tygodni doszłam do wniosku, że muszę mniej uwagi poświęcać mojemu mężowi, którego dręczę jakieś nieznanne mi obawy. Ostatnio ciężko mi się skupić na czymkolwiek. Kilkakrotnie rozmawiałam z Doris; mówiłyśmy jak zawsze o przebiegu ciąży, o tym, czym ona zajmuje się w domu, o tym, co porabiają Scott i Peggy. Nigdy nie udało się nam porozmawiać szczerze o naszych uczuciach. Odnoszę wrażenie, że z nikim nie potrafiłabym o tym mówić.

Odczuwam z tobą jakieś dziwne pokrewieństwo. A może moje doznania spowodowane są tym, że pragnę być do ciebie podobna? Żeby panować nad dręczącymi mnie demonami, tak jak ty panowałaś nad swoimi. Odkryłam, że wyczarowując ciebie taką, jaka mogłaś być w swoich czasach, bez przerwy muszę opierać się chęci przystrajania cię we własne, nierozwiązane i nierozwiązywalne, przeciwności. Było mi trudno przyjąć do wiadomości twoje poglądy na to, że kobiety nie powinny mieć prawa głosu; że robiąc to, co robiłaś, podróżując tam, dokąd podróżowałaś, i widząc to, co zobaczyłaś, mogłaś pozostać tak przywiązana do pewnych przesądów obowiązujących w twoich czasach; do przesądów, które sama, swoim życiem, rozwaliała w drobny mak albo których fałszywości dowiodłaś. Podziwiam twoją otwartość i jednocześnie jestem skonsternowana twoim przywiązaniem do kanonów obyczajowych. Czasami myślę, że ludzie traktowali cię serio wtedy, kiedy ty żartowałaś, inni zaś żartowali wtedy, kiedy ty chciałaś, żeby traktowano cię poważnie. Ale byłaś niezwykle zdeterminowana i

poważna, gdy chodziło o powinności kobiety, i zadałaś sobie trud, żeby wypełnić je tak, jak je postrzegałaś, nawet po powrocie z ekspedycji i napisaniu książek, nawet kiedy byłaś już sławna, a Charley nie, i kiedy on starał się pomniejszyć twoje osiągnięcia, domagając się, żebyś dalej mu usługiwała jak jakaś gosposia. Żyłaś w świecie pełnym ograniczeń, wśród represji, które tylko mogę sobie wyobrazić, wśród przesądów, które z dzisiejszego punktu widzenia wydają się tak okrutnie cię ograniczać, i ciągle musiałaś walczyć o siebie. Zaszłaś tak daleko. Zdziwiłaś wszystkich.

Wyczuwam jednak, że ten wesoły, zabawny, przeskakujący z tematu na temat styl opowiadania jest tylko tarczą ochronną.

Kiedy myślę o tobie, czuję się silniejsza. Dręczą mnie okropne sny. Zrobiło się mnie tak dużo.

Któregoś dnia rano Lily strasznie bolała głowa, wdrapała się więc na górę, żeby przynieść sobie szklankę mleka. W kuchni zastała Nicka, który właśnie rozmawiał z kimś przez telefon. Wcześniej, kiedy ucięła sobie drzemkę, przyśnił się jej okropny koszmar, na którego wspomnienie cała jeszcze w środku drżała. Myślała, że nikogo nie ma w domu i na widok Nicka ze zdumienia aż ją zatkało. Kiedy ją zobaczył, skończył rozmowę i odwiesił słuchawkę.

- Hej! - zawołał. - Musiałem wrócić po pudełko z formularzami, które Buddy rano zapomniał zabrać. Jadę do miasta. Może chcesz się zabrać?

- Wielkie dzięki - odpowiedziała. - Nie czuję się za dobrze.

Odwróciła wzrok i ruszyła w głąb kuchni, podczas gdy on nie spuszczał z niej oczu. Już prawie otwierała usta, by go poprosić, żeby przestał się tak gapić, ale postanowiła tylko nalać do szklanki lodowatej wody i zaraz wracać na dół.

- Wydaje mi się, że mógłbym ci jakoś pomóc w tej twojej sztuce - odezwał się niespodziewanie.

Wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się lekko.

- Od jakiegoś czasu nic nie napisałam. I nie czuję się dziś na tyle dobrze, żeby się z tobą prekomarzać, Nick.

- Mówię poważnie. - W jego spojrzeniu pojawiło się coś na kształt skruchy.

Przez moment czekała, ale najwyraźniej nie zamierzał niczego komentować. Oczekiwała jakiejś chytrej uwagi, a kiedy nic podobnego się nie zdarzyło, poczuła się nieco zbита z tropu.

- Byłaś na dole cały ranek - powiedział. - Coś pisałaś. Może musisz najpierw przygotować jakiś konspekt? Szkic, plan albo coś w tym rodzaju?

Stwierdziła ze zdumieniem, że on naprawdę nie żartuje.

- Właściwie to zajmuję się pisaniem listów. Do przeszłości. Do niej. Do Mary Kingsley.

- Nie chcę, żebyś to odebrała jak kpinę, ale to brzmi nieco... hmm, ekscentrycznie.

- Owszem. Właśnie tak to wygląda. Ale to pomaga mi o niej myśleć. To coś w rodzaju dziennika, a tak naprawdę... powiedzmy, że to robocze notatki. To już brzmi mniej idiotycznie, prawda?

- Ale ciągle jeszcze tak wygląda - powiedział po chwili. - Chyba znam to uczucie.

Odwróciła się w stronę lodówki i otworzyła drzwiczki. Nagle zabolą ją tak, że aż musiała złapać się jedną ręką za tył głowy.

- Gdzie jest Millicent?

- Pojechała po coś tam do miasta. Rosa razem z nią. Wszystko w porządku?

- Boli mnie głowa.

Nalała sobie zimnego mleka i piła je duszkiem, a on tylko patrzył. Wpadające do środka światło miało niebieskawy kolor; przywodziło na myśl głębinę, mroki labiryntu, ciemność, którą pozostawił po sobie senny koszmar. Odwróciła się do Nicka i spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie znoszę, jak mnie głowa boli z tyłu - powiedział.

- Ja też - odrzekła. - W ogóle nienawidzę bólu głowy.

- Widzę, że nie czujesz się najlepiej w moim towarzystwie - wyrwało mu się gwałtownie.

- Mam rację?

Wbił wzrok w podłogę, a w jego głosie pojawił się jakiś cień niepewności.

- Nie bądź głupi, Nick - odparowała natychmiast. - Przecież jesteśmy rodziną, no nie?

- Czy Sheri mówiła ci coś na mój temat?

Lily pokręciła głową, przełykając mleko. Czuła, że wszystko, co usłyszała od Sheri, można wyczytać z jej twarzy, która pokryła się krwistym rumieńcem.

- Jesteś pewna?

Nie patrząc na niego, włożyła pustą szklankę do zlewozmywaka.

- A co miała mówić?

Fałszywy ton tego pytania sprawił, że poczuła się tak, jakby ktoś ją wewnątrz smagnął biczem.

- No cóż, od pierwszej chwili czułem, że jesteś jakoś dziwnie nerwowa w mojej obecności.

- No wiesz, Nick, z początku nie wiedziałam, jak mam cię traktować - odparła. - Nie zapomnij, że nie wychowywałam się w dużej rodzinie.

Odchrząknął i popatrzył w dół, na swoje dłonie.

- Drażniłem się z tobą - to prawda. No i ten pierwszy wieczór. Muszę przyznać, że byłem nieźle wstawiony. Próbowałem... to znaczy, tak mi się wydaje, że próbowałem się z wami zaprzyjaźnić. Myślałem, że jeśli uda mi się was rozśmieszyć...

- Wiesz, jak to jest, gdy wszyscy dookoła mają drinki, a ty nie? - odpowiedziała. - Właśnie tak jest czasami ze mną. Nawet jeśli nikt nie ma już ani kropelki. Nie wiem, czemu tak jest. Albo inaczej: wydaje mi się, że wiem. Tylko nie mam pojęcia, jak to zmienić albo sprawić, żeby to uczucie na zawsze zniknęło.

- Oczywiście, tamtego wieczoru miałem w szklaneczce znacznie więcej niż tylko kropelkę.

Przytaknęła z uśmiechem.

- Dało się zauważyć.

Przez chwilę milczeli. Gdzieś na zewnątrz zaczęły głośno awanturować się wrony.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie o Sheri - odezwał się wreszcie.

- Sheri nic mi nie mówiła, Nick. Naprawdę.

- I nie opowiedziała ci o tej aferze z kasetami wideo? Dokładnie widzę to po twojej minie, Lily.

Musiała odczekać kilka sekund, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- To było tak dawno temu.

- Wystarczająco niedawno - powiedział z miną winowajcy. - Posłuchaj, chcę, żebyśmy byli wobec siebie w porządku, ty i ja. To wszystko. Byłoby mi miło, gdybyś nie myślała sobie złych rzeczy na mój temat. A jeśli chodzi o... o ten film, to chciałem się tylko zabawić, jak zwykły chłopak, pośmiać się, a w końcu okazało się, że wszystko się wymknęło spod kontroli. Słowo daję. Tylko przez chwilę, ale pozwól sobie opowiedzieć, jak mi się dotąd układało w życiu. Pochodzę z Biloxi. Wiesz, gdzie to jest?

- Nie musisz się z niczego tłumaczyć.

- Nie, naprawdę chcę to teraz wyjaśnić. Wiesz, gdzie jest Biloxi?

- Na południu. Widziałam znaki zjazdu, kiedy jechaliśmy z Tylerem do Nowego Orleanu.

- Biloxi leży nad Zatoką Meksykańską. Znajduje się tam baza sił powietrznych Keesler. To sympatyczne miejsce. W tym mieście dorastałem. Jako jedyne dziecko. Moi rodzice... no cóż, moi rodzice byli dwojgiem najbardziej ograniczonych, zamkniętych w sobie i nieszczęśliwych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałas. Zamkniętych w sobie i milczących. Całkowicie odcinali się od życia i kultury. Nie mieli nawet cholernego telewizora. Nigdy nie mieli. Zapewnili mi, powiedzmy to otwarcie, życie pod kloszem, takie dorastanie i dopiero kiedy zdałem sobie sprawę, jacy oni są, trochę się zaniepokoiłem. Głęboko przerażeni wszystkim dokoła. I nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Uważali, że reszta świata to same świry - potrafisz to sobie wyobrazić? I że ostatnią rzeczą pomyślaną przez Boga albo przez człowieka było zniweczenie ich wysiłków, zmierzających do tego, żebym stał się doskonałą, pozbawioną seksualności istotą ludzką. Teraz ten zakres należy do mamusi. Ona jest... ty byś ją określiła jako pruderyjną. Ja ją nazywam meduzą. A tatusiek... no cóż, tatuś zajmował się karaniem. To niewiarygodne. Oboje byli okropnie źli, kiedy się pobraliśmy z Sheri. Ale pomówmy o Sheri. Cheerleaderka, dobre stopnie w szkole, dobre układy w domu. Miła dziewczynka z dobrej rodziny. Trochę rozpieszczona, ale o dobrym sercu, jak zresztą wiesz. A oni zachowywali się, jakby to była Ewa Braun. To było największe cholerstwo pod słońcem. I od tamtej chwili, cóż, czasami robiłem pewne rzeczy, no wiesz... jestem pewny, wyłącznie po to, żeby ich sfrustrować. Żeby dostali kurwicy. Z pewnością wypracowałem sobie pewne sposoby wzmacniania ich wyobrażenia o moralnym upadku świata, w którym przyszło im żyć, jeśli wiesz, do czego zmierzam. Zabrałem się do badania pewnych spraw, takich jak ta, tylko po to, żeby ich dręczyć. Nie chcę oczywiście sugerować, że moje zainteresowanie tym... no filmami tego rodzaju wynikało wyłącznie stąd albo że koniecznie musiało mieć z tym coś wspólnego. Chociaż tak było, Lily, po prostu tak było. Ale to nie była czysta pornografia, jak inne filmy tego typu, tylko jakiś dziwoląg z serii „Playboy Video”, i myślałem, że to będzie świetny dowcip. Byłem trochę nawalony i wpadłem na pomysł, że obejrzymy kasetę razem z Sheri, pośmiejemy się, a potem będziemy dyskutować o filmie w obecności meduzy i tatuśka. Tylko że Sheri zareagowała tak, jak na pewno zareagowałyby moi rodzice. Wkurzyło mnie to trochę i wtedy to wszystko wymknęło się spod kontroli, ponieważ coś we mnie mówiło: „No cóż, dobrze, dlaczego nie? Dlaczego musimy być aseksualni?” a Sheri zachowała się tak, jakbym ją poprosił, by z a g r a ł a to przed kamerą. Ciągle za to płacę w kontaktach z nią, choć na to nie zasłużyłem. Nie aż tak, jak mi się wydaje. Mam na myśli to, że nie jestem aż tak

brzydkim chłopcem, za jakiego mnie uważa. A musiała ci coś podobnego powiedzieć, bo Sheri ma skłonność do przesady.

Lily szukała w myśli jakiegoś odpowiedniego słowa, ale zdobyła się tylko na skinienie głową.

- Na pewno to zauważyłaś. - Zastanowił się przez chwilę, a potem potrząsnął głową jakby z uznaniem. - Ona ma w sobie coś takiego.

Lily przytaknęła powtórnie.

- W każdym razie ta cała sprawa wygląda śmiesznie, bo moi beznadziejnie milcząco smutni rodzice i ja nie rozmawiamy ze sobą od jakiegoś czasu.

Znowu przerwał na moment, a potem westchnął, jakby chciał odpędzić jakieś wątpliwości.

- Posłuchaj, wiem, że często żartowałem z ciebie i twojej... to znaczy, z twojego pisania. Ale ty zasługujesz na to, żeby znać prawdę. Sedno całej sprawy leży w tym, że sam zawsze chciałem pisać. I pisałem. I myślę, że może jakiś kawałeczek mnie chciał cię zniechęcić. - Złożył razem dłonie i zaczął się im pilnie przyglądać. - Nie, dobrze wiem, że tego właśnie chciałem.

- Nick, a tak w ogóle, to co się tutaj dzieje? - spytała Lily.

- Wydaje mi się, że Sheri... zaczyna się czuć nieco znudzona moją osobą - powiedział ze smutnym, pełnym bólu uśmiechem. - Zastanawiałem się, czy to zauważyłaś.

- Nie - odparła natychmiast Lily, mając na myśli to, że wcale sobie nie życzyła wprowadzania jej w ich sprawy; ale pozostawiła te wątpliwości dla siebie, bo rozumiała, że on przyjął jej słowa jako odpowiedź na swoje pytania.

- A wracając do początku: chciałbym zobaczyć wszystko, nad czym będziesz pracowała, oczywiście kiedy będziesz gotowa, żeby to komuś pokazać. Nie mam za wiele talentu, ale za to jestem dość wnikliwym czytelnikiem. I obiecuję, że będę to robił życzliwie.

- Mogłabym pomyśleć, że życzliwość to to, czego potrzebuję najbardziej.

Nie miała zamiaru powiedzieć tych słów tak gładko, chciała, żeby zabrzmiały nieco sarkastycznie. Szybko wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego nadgarstka.

- Żartowałam - dodała.

- Och, słusznie! - zawołał. - Widzisz, tak jest ze mną. Zawsze jakieś żarty.

- Będę naprawdę szczęśliwa, jeśli to przeczytasz - powiedziała Lily. - Jeśli kiedykolwiek uda mi się skończyć.

Nick potarł dłonią po karku.

- Wiem, że to trudne zadanie znaleźć w tym domu czas na pracę. Myślę, że może sam zacząłbym pisać listy do panny Kingsley - powiedział.

Lily zaczęła się śmiać.

- Przecież to trochę ekscentryczne, prawda? Ale przynajmniej pomaga mi pamiętać, co czytałam. Mary napisała kilka listów do kogoś nieznanego w przyszłości, jest w nich bardziej otwarta niż w listach wysyłanych do przyjaciół. Toteż pomyślałam, że ja... - urwała, a po chwili wzruszyła ramionami - że ja jej odpiszę.

- To miłe - powiedział. - Podoba mi się. Lubię z tobą rozmawiać.

- Nick... - zaczęła. - Nick, dlaczego ty i Sheri nie szukaliście jakiegoś domu, gdzie byście sami mieszkali?

Położył ręce na stole, ale po chwili założył je na piersi.

- Dobre pytanie. Ale widzisz, jak tu jest. To ogromny dom i z mieszkania tutaj można mieć wiele korzyści. Faktem jest, że Sheri nie chce się nigdzie stąd ruszać. No i w dodatku... no cóż, zbieramy pieniądze na własny dom. Zostałem wydziedziczony, pamiętasz? Nie mamy zbyt wiele do pokazania z moich lat spędzonych w smutnym domu magnata naftowego.

- Myślę, że po latach wszyscy będziemy pamiętać te miesiące jako miłe spędzony czas - powiedziała Lily. - Ty także?

Przytaknął. Oboje milczeli. Lily opłukała szklanekę i włożyła ją do zmywarki.

- Mam nadzieję, że będziemy prawdziwymi przyjaciółmi - odezwał się w końcu Nick.

- Bardzo bym chciała - odrzekła Lily. Wstał.

- I pamiętaj, że to nie jest z mojej strony żadna sztuczka, która ma mi pomóc w sprawach z Sheri.

Nic nie mogła poradzić na to, że pomyślała o ludziach, którzy nieświadomie wyjaśniali motywy swojego postępowania poprzez zaprzeczanie im. Ale Nick nie był tak łatwy do rozszyfrowania jak tamci. W jego oczach była jakaś uległość, jakieś przyznanie się do tego, że jej potrzebuje - i to ją uderzyło.

- Nie mogę zbyt wiele zrobić, jeśli chodzi o Sheri - rzekła bez ogródek.

- Och, Sheri cię uwielbia, przecież dobrze o tym wiesz.

- Zastanawiam się czasami, co ona myśli. Ale ta prawda dotyczy każdego, czyż nie? Czy w ogóle jest coś bardziej tajemniczego niż drugi człowiek?

- Ja z kolei czuję, że ona... no cóż, czuję, że ona mnie nie szanuje i nie lubi, i zastanawiam się, czy to dlatego, że sprzedaję samochody, zamiast pisać wiersze albo grać w teatrze, albo coś w tym rodzaju, sam już nie wiem co. Może powinienem pisać artykuły do gazet.

- Mówiłeś, że chciałeś pisać. Wzruszył ramionami.

- No dobrze, sam nie wiedziałem, czego chciałem. - Zaśmiał się z irytacją. - I dalej nie wiem. Zawsze, od czasów wczesnego, bardzo wczesnego dzieciństwa, byłem zwolennikiem czegoś więcej niż po prostu zabawy.

Znowu Lily dostrzegła na jego twarzy znajomy, kpiący wyraz. Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Na wszystkich metalowych powierzchniach: ogrodzeniu, balustradach, klamrach podtrzymujących boczną drabinkę, zobaczyła poblask słońca odbitego od powierzchni wody na basenie. Odbijające się promienie migotały w niewielkich wirach spowodowanych przez lekką bryzę.

- Nie miałem zamiaru cię męczyć - kontynuował Nick. - Poruszyłem tę sprawę, bo spędzasz z Sheri trochę czasu i ona... ona z tobą rozmawia.

- Ale o tych rzeczach akurat nie mówiła zbyt wiele. Próbowalesz porozmawiać z Millicent?

- Och, nie! Do diabła, nie! Żartujesz sobie? Według Millicent ta dziewczyna nie jest zdolna do jakiegokolwiek podłości. Gdyby ona się dowiedziała, że coś było nie tak, że ja czuję coś innego niż niewolnicze oddanie... No nie, ty naprawdę nie znasz Millicent!

- Wobec mnie Millicent zachowuje się wspaniale - oświadczyła Lily.

- No, oczywiście! - pośpieszył z odpowiedzią. - Oczywiście, że tak! Ale nie wchodzi w drogę ani jej, ani Sheri. Powiem ci, lubię tutaj być, jak już zresztą wspominałem, ale czasem nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyprowadzimy. To wygląda tak, że dopóki tu jesteśmy, nie mam szans się do niej zbliżyć.

Lily nie wytrzymała dłużej.

- No cóż, Nick, może ty po prostu za dużo pijesz! - wybuchnęła.

- Taak - odpowiedział po dłuższej chwili.

- Wiem, że ona także.

- Jak każdy - odparł, opierając się o blat i potrząsając głową.

- Jak każdy co?

- Hmm? - Spojrzał na nią. - Och, nic takiego!

Westchnął i przeczesał włosy palcami.

- Wiesz co? - dodał. - Jakaś część mnie doskonale sobie zdaje sprawę z tego, że nie wyprowadziliśmy się stąd, ponieważ ja nie chciałem rezygnować z przyjemnego trybu życia, na jaki tu możemy sobie pozwolić. Wszystkie te ładne rzeczy i drinki, i niezawracanie sobie głowy pewnymi problemami...

- Posłuchaj uważnie tego, co przed chwilą powiedziałeś - odparła Lily. - Posłuchaj, co mówisz o samym sobie.

- To właśnie ciągle powtarza Sheri. Zupełnie jakbym ją słyszał.

- Wszystko będzie w porządku, zobaczysz - pocieszyła go.

- Ręce ci się trzęsą - zauważył.

- Bo jestem zmęczona.

- No cóż, powinnaś pójść i odpocząć.

Uśmiechnął się szeroko, odwrócił do niej plecami i wetknął ręce do kieszeni. Cyniczne zachowanie i pełen sarkazmu ton powróciły, jakby ktoś pstryknął przełącznik. Ale zanim zdążył wyjść z pokoju, zrozumiała, że wyjątkowo nie była to ironia, lecz brak odwagi, który wyraźnie pobrzmiwał w jego głosie i malował się na jego twarzy. Wolnym krokiem przeszedł przez sąsiedni pokój i wspiął się na schody, nie podnosząc głowy ani nie wyjmując rąk z kieszeni.

3

Luty 1893

Są chwile, kiedy język nie lepiej nadaje się do przekazywania uczuć i emocji niż beczenie owiec. Tego okropnego poranka, po długich tygodniach wypełnionych troską, opieką oraz cierpliwym znoszeniem jego ataków wściekłości i zniecierpliwienia, obudziłam się ze snu, w którym pojawił się potulny i przeproszający, całkowicie odmieniony, tak że go nie poznałam, ale ponieważ to był sen, to zgodnie z logiką snu rozpoznałam w nim ojca. Umyłam się i ubrałam, walcząc z okropnymi przecuciami. Patrzyłam na szary świt za oknem, na rozwleczone przez wiatr kolumny dymu nad drzewami i tęskniłam za latem. Później, wspinając się po schodach w milczącym domu, czułam ciężar ciszy i chyba już wtedy dobrze wiedziałam, co zobaczę. Niosłam mu listy, zapukałam, ale nie odpowiedział. Noc spędziłam w pokoju matki, czytając przy blasku świecy, ponieważ oczywiście nie mogłam zasnąć. Przed położeniem się do

łóżka powiedział, że czuje się najlepiej od wielu, wielu dni. Coś mnie wtedy tknęło, coś, co niektórzy nazywają chyba przeczuciem. Stłumiłam je w sobie, besztając się w myślach za czarownictwo. A teraz nadszedł ten ponury ranek z jeszcze bardziej ponurymi myślami. Niosłam mu pocztę jakby nigdy nic, jakbym niczego się nie spodziewała. Jeszcze raz zastukałam do drzwi, lecz i tym razem nie doczekałam się odpowiedzi. Wiedziałam już. Otworzyłam je z takim uczuciem, jakbym naruszała czyjąś prywatność. Leżał bez ruchu jak przedmiot. Położyłam mu rękę na ramieniu. Miał uchylone powieki, ale to mu się często zdarzało we śnie. Potrząsnęłam nim, powtarzałam jego imię, ale ten nieustraszony człowiek, który wyszedł obronną ręką z tyłu niebezpieczeństw, który żeglował po oceanach, żył wśród prymitywnych plemion i walczył z dzikimi bestiami, ten człowiek... Och, Boże! Przecież znam te słowa, doskonale znam te przeklęte słowa! To w łóżku nie było moim ojcem, to coś zimnego i nieruchomego nie było moim ojcem! Mój ojciec odszedł i było to zupełnie oczywiste, mogłam sobie oszczędzić powtarzania tego w kółko przez minione dwa dni, informowania o tym ludzi, którzy nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, kiedy jeszcze żył.

Odszedł spokojnie we śnie. Przynajmniej tyle.

Musiałam zawiadomić matkę, która od lat najbardziej obawiała się właśnie tej chwili. Przyjęła wiadomość lepiej, niż oczekiwałam, z rezygnacją, ale od tamtej pory ani na chwilę nie przestała płakać, tak że zaczynam się o nią poważnie niepokoić - tym bardziej że zgodnie z prawem jedynym spadkobiercą jest Charley, który z pewnością nie jest zdolny zająć się wszystkimi niezbędnymi rzeczami. Jest tak przybity, że dwa razy niewiele brakowało, bym go solidnie obsztorcowała, przypominając o spoczywających teraz na nim obowiązkach. Im wcześniej zdołamy się uporać z różnymi sprawami pozostawionymi przez ojca, między innymi z wykupem weksli, na co zresztą zostawił wystarczającą sumę pieniędzy, tym lepiej.

Dzisiaj zjawily się kobiety ze strony Kingsleyów - wszystkie w czarnej krepinie - żeby złożyć kondolencje. Siedziały w salonie z małymi czarnymi chusteczkami w dłoniach i rozmawiały szeptem, a ja musiałam powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie powiedzieć im, co naprawdę o nich myślę. Ponieważ Charley zachowuje się jak mały, wystraszony chłopiec, wzięłam na siebie obowiązek uporządkowania papierów ojca i znalazłam tam między innymi listy, w których jasno wyraża swoje uczucia wobec tych ludzi, co wykluczili go ze swego grona z powodu tego, jaką wybrał sobie żonę. Matka, mimo słabości i wątłego zdrowia, zawsze traktowała ich z nienaganną uprzejmością, wystarczyło jednak, żeby otworzyła usta, a natychmiast można było dostrzec różnicę między nią a resztą rodziny. Tak samo miała się rzecz

ze mną. Kobiety z rodziny Kingsleyów wymieniały ukradkowe spojrzenia, milcząco gratulując sobie nawzajem, że są dla niej takie dobre. Na ich twarzach malowała się satysfakcja z dobrych uczynków oraz przekonanie, że Pan aprobuje ich postępowanie i że nic im nie grozi z jego strony.

Rozmowa zbacza daleko od początkowego tematu. Wszyscy mężczyźni należeli do grona znajomych ojca: lekarze, naukowcy, a także jeden podróżnik, pan Ploworth, którego nigdy wcześniej nie widziała, a który twierdzi, że znał ją jeszcze jako małą dziewczynkę. Matka, z wypiekami na twarzy i oczami szklanymi od łez, również mówi, że go sobie przypomina. Pan Ploworth opowiada o wyspach i o obfitości dzikiej zwierzyny w lasach Ameryki Północnej. Jest potężnie zbudowanym rudowłosym mężczyzną o bujnym wąsie, grubym karku i krótko przyciętej bródce, której jedyną funkcją jest zapewne wyznaczenie granicy między okrągłym podbródkiem a szyją. Często sięga po tabakierę, manipulując nią z pewnym trudem grubymi palcami. Pali cygaro, które w jego dłoniach sprawia wrażenie cienkiego i niedużego, w sumie jednak Ploworth nie wygląda na grubasa: jest po prostu zwalisty i ogromny, z twarzą piekarza stojącego przy piecu.

- Pani ojca poznałem na Wyspach Kanaryjskich. Niezwykły człowiek, słowo daję. Kpił sobie z niebezpieczeństw. Razem polowaliśmy na bizona w Ameryce.

Mary podaje herbatę, uśmiecha się uprzejmie. Charley ukrywa lęk pod opowieściami o swoich planach podróżniczych i pisarskich. Kuzynka Lucy mówi o Tennysonie, ponieważ trochę wcześniej ktoś wspomniał o tym okropnym Gladstonie. Jej uwagi są okrutne i zarazem nacechowane obojętnością, jakby nie chodziło o żywą istotę, która tak jak wszyscy pragnie szczęścia i powodzenia w życiu. Gadanina jest tak bezsensowna, że Mary z trudem powstrzymuje się od krzyku. Powtarza sobie bez przerwy w duchu, że trzeba przestrzegać konwenansów.

Matka zapadła się tak głęboko w fotel, że wygląda jakby przygniótł ją ciężar czarnej sukni. Mało kto się do niej odzywa, i dobrze, ponieważ i tak nie bardzo nadaje się do rozmowy, trudno jednak nie zauważyć, że inne kobiety zwyczajnie ją ignorują. Charles wyciąga z pana Plowortha kolejne opowieści, co zresztą przychodzi mu bez trudu, jako że ten opowiada bardzo chętnie, między innymi o tym, jak był z George'em, kiedy ten spotkał w Chicago, w Ameryce, swojego brata. Wcześniej odniósł wrażenie, że coś jest między nimi nie w porządku, ale tam, w Chicago, szybko się pogodzili.

- Miło było patrzeć, jak witają się niczym starzy przyjaciele. Ja, niestety, nie mam rodzeństwa - mówi, wodząc wzrokiem za Mary, która w pewnej chwili uświadamia sobie ze zdumieniem, że słowa są kierowane bezpośrednio do niej. - Może wybrałaby się pani ze mną kiedyś na przejażdżkę, panno Kingsley? Mam parę nowych wspaniałych koni. Arabcy czystej krwi, bardzo dobrze ułożone. Dla pani byłaby klaczka.

- Nie jeżdżę konno.

- Tym bardziej powinna się pani nauczyć. O ile wiem, uczy się pani dużo i chętnie.

- Bardzo panu dziękuję, ale to nie dla mnie.

- Lubi pani przygody intelektualne, a co z wysiłkiem fizycznym? - pyta, zaciągając się dymem.

- Przykro mi, że sprawiłam panu zawód, ale naprawdę nie jeżdżę konno.

- Z przyjemnością zostanę pani nauczycielem.

- Proszę się nie gniewać, ale nie mam najmniejszego zamiaru wsiadać na pańskiego cholernego konia, wszystko jedno, pełnej krwi czy nie. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Później, kiedy już wszyscy poszli, a matka leżała w łóżku, Mary i Charley siadają w bibliotece, żeby porozmawiać. Mijają jednak minuty, a oni nie odzywają się ani słowem, czując w powietrzu wielką nieobecność. Pozostały tylko rzeczy - głównie książki, listy i dokumenty - które Mary przez minione dni pracowicie porządkowała.

- Wiesz - odzywa się niespodziewanie Charley - chyba wpadłaś w oko temu Płoworthowi.

- Daj spokój, proszę.

- Rozmawiał ze mną. Jestem teraz głową rodziny. Pytał, czy mógłby się z tobą widywać. Kto wie, może nawet byłby gotów się oświadczyć.

Mary otwiera kopertę i wyjmuje weksel podpisany przez ojca kilka lat temu, kiedy gromadził pieniądze na kolejną wyprawę. Weksel został wykupiony.

- Ale po tym, jak go potraktowałaś, mocno wątpię, czy się tu jeszcze zjawi.

- Nie jestem zainteresowana. Powiedz mu to, proszę, jeśli jeszcze tego nie zrozumiał.

- Takich propozycji nie powinno się odrzucać bez zastanowienia, siostrze.

W kolejnej kopercie są pusta kartka i bilet z jakiegoś teatru. Mary wyrzuca je do kosza.

- Słuchasz mnie? - pyta Charley.

- Nie interesują mnie propozycje ani tego człowieka, ani żadnego innego.

- Jesteś już w wieku, kiedy... Mary zrywa się z miejsca.

- Albo idź sprawdzić, co z mamą, albo zajmij się swoimi sprawami, ale proszę, żebyś przestał mnie dręczyć!

- Wybacz - mówi Charley z urazą w głosie.

- Musimy opiekować się mamą. Ty i ja.

- Staralem się okazać wielkoduszność.

- Mogłeś sobie tego oszczędzić.

Charley milczy przez jakiś czas, po czym wstaje, podchodzi do okna i rozsuwa ciężkie zasłony.

- Niedługo od nas odejdziesz. Zdajesz sobie z tego sprawę.

- Charley, nie mów o tym, błagam. Nie teraz.

- Też nie wiem, jak długo tu jeszcze będę.

- Również zamierzasz umrzeć?

Odwraca się z rękami splecionymi za plecami. Z wyglądu przypomina ojca, brakuje mu jednak jego energii, wdzięku i bystrości umysłu. Mary uświadamia sobie, iż od zawsze było dla niej jasne, że wszystkie zalety George'a Kingsleya odziedziczył nie jego syn, lecz córka. Żal jej tego nieszczęsnego, zatroskanego Charleya, w którego głowie rozpaczliwie kołaczą myśli, który martwi się o siostrę, bo ta wciąż jest samotna, już nie najmłodsza, i z każdym dniem jej szanse na zamążpójście stają się coraz mniejsze. Obserwuje go, jak przechadza się nerwowo od ściany do ściany. Na zewnątrz zrywa się silny wiatr, ogień w kominku tańczy i migocze. To jak na razie najzimniejsza noc w tym roku. Mary niemal fizycznie czuje napierającą zewsząd ciemność. Zima będzie straszna, a wiosna każe na siebie długo czekać. Próbuje uspokoić brata, przekonać go, że jest całkiem szczęśliwa i że niczego jej nie brakuje. To szczerą prawdą. Cieszy się, że nie musi tracić czasu na bezsensowne flirty i nieprowadzące do niczego rozmowy. Wtedy w Paryżu po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo ją to wszystko mierzi, jak bardzo nie chce mieć z tym nic wspólnego. Opowiada bratu o swojej niechęci do mało istotnych gier, podchodów i intryg.

- Ojciec zostawił nam dosyć, żebyśmy nie musiały zaprzętać sobie tym głowy. Uwierz mi, naprawdę jestem szczęśliwa.

- A ja nie wiem, co począć z przerażenia...

- Wiem - odpowiada szeptem.

Rozdział 14

1

Dziecko właśnie się porusza. To odbiera się tak, jakby poruszał się cały świat - jest dla mnie tak samo fantastyczne i tajemnicze. Biedny Tyler był chyba ostatnią osobą, która miała sposobność się o tym przekonać. Sheri to czuła, a potem Millicent. Tyler zaczął już nawet żartować z tego powodu. I oczywiście maleństwo nie rusza się wcale, kiedy on akurat jest w pobliżu. W San Francisco było okropne trzęsienie ziemi. Oglądaliśmy właśnie „World Series”, kiedy niespodziewanie obraz zafalował. Spiker zdążył jeszcze powiedzieć „Mamy trzęsienie...” i transmisja została przerwana. Wszyscy siedzieliśmy w osłupieniu. Później w „Wiadomościach” widzieliśmy płonące miasto. Panoramiczne ujęcie kamery ukazywało okropny poblask na niebie. Siedziałam na kanapie - plecy bolały mnie jak diabli, robiło mi się niedobrze - i nie mogłam oderwać oczu od telewizora. Zobaczyliśmy zdjęcie zapadniętego wiaduktu nad autostradą i wtedy Buddy powiedział: „Mój Boże, w tym bajzlu są przecież ludzie”. Zaczęłam płakać, więc Tyler podszedł i wziął mnie za rękę, i wtedy maluch kopnął! Poczułam to tak, jakby ktoś wspinał się od środka po moich żebrach. Nic nie powiedziałam, bo to akurat nie był odpowiedni moment, tylko zmieniłam pozycję, tak żeby było mi wygodniej, a wtedy Tyler zapytał: „Rusza się?”. Pokręciłam głową i próbowałam się uspokoić.

Ty, która w odosobnieniu spędziłaś pierwsze trzydzieści lat życia, tyle się napatrzyłaś na śmierć. Ludzie pewnie by powiedzieli, że w twoich czasach śmierć była czymś innym niż dziś i że ponieważ życie było bardziej niepewne, każdy szybko przyzwyczajał się do myśli o własnej śmiertelności, wskutek czego była ona w jakiś sposób mniej przerażająca. Nie chce mi się w to wierzyć. Ludzie okazują w życiu więcej odwagi, jeśli trzeba - może to i prawda. Podziwiam twoją waleczność, ponieważ wyczuwam, jak kolosalny musiał być twój strach, podobnie jak mój, ale przecież mojej codziennej egzystencji aż tyle nie zagrażało. Nigdy nie musiałam odpędzać lamparta od drzwi.

2

Lily wydawało się, że ludzie teraz patrzą na nią inaczej, ale też zdarzało się, że nikt niczego nie zauważał. Kiedy spotykała inne ciężarne, oczekiwała jakiegoś spojrzenia

świadczącego o współczuciu lub uznaniu, lecz one zdawały się w szczególny sposób unikać jej wzroku, jak gdyby cała sprawa należała do tych wstydliwych, o których raczej się nie rozmawia. Musiała przerwać pracę w „Strychu”, właśnie wtedy, gdy ukończone zostały dekoracje i lada moment miały się rozpocząć próby do *Kupca weneckiego*. Dwukrotnie wybrała się na te pierwsze spotkania i była zaskoczona poziomem gry. To z kolei pogłębiło tylko jej depresję, ponieważ nie mogła brać aktywnego udziału w próbach.

Kiedy rozpoczął się sezon polowań, mężczyźni wybrali się na północ do Tennessee na jelenie. Był jesienny dzień, wietrzny i wypełniony chłodną mgłą, i kiedy wrócili z jeleniem przytroczonym do bagażnika, zachowywali się jak rozochoczone dzieci, rozradowane i przemoknięte do suchej nitki. Jeleń był olbrzymim kozłem ósmakiem, jak z dumą zauważył Nick. Buddy z Tylerem ciągnęli ciało zwierzęcia do pomieszczenia gospodarczego, na lewo od tylnego wejścia. Nick w tym czasie popijał piwo i tylko się przyglądał, ściskając w ręku drugą puszkę i od czasu do czasu rzucając spojrzenia w stronę Lily.

- Chyba nie zamierzasz tu stać i na to patrzeć - powiedział z niedowierzaniem.

- Na co patrzeć? - zapytała.

Zafascynowały ją rozmiary cielska i walka, jaką toczyli dwaj mężczyźni, żeby ruszyć martwe zwierzę z miejsca. Ciężki, przemoczony brzuch jelenia przypominał jej worek czegoś zbliżonego konsystencją do żelatyny, tylko nieco twardszego i Lily poczuła, jak budzi się w niej niezdrowa ciekawość. Nie mogła oderwać wzroku od martwego ciała tego pięknego zwierzęcia. Zmagający się z ciężarem mężczyźni gawędzili beztrosko i było w tym wszystkim coś młodzieńczego - w nateżeniu ich głosów, w opowiadaniu o szczegółach minionego popołudnia, w oddechach unoszących się w mroźnym powietrzu. To Buddy zastrzelił jelenia.

Nick wszedł do domu, a pozostali dwaj powiesili ciało zwierzęcia, pętając tylne nogi tuż przy racicach. Lily ujrzała ciemne, obojętne, niewidzące oczy i język zwisający z pyska. Była jakoś dziwnie zubożętniała, chociaż kiedy mężczyźni podciągali ciało wyżej i głowa jelenia zakołysała się bezwładnie, poczuła, jak coś się jej przewraca w żołądku, nieco powyżej miejsca, gdzie było dziecko. Nick wrócił z pudełkiem pełnym plastikowych worków na śmieci i stertą gazet. We trzech starannie ułożyli warstwę gazet poniżej zwisającego zwierzęcia.

Tyler spojrział na Lily i zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie wrócisz do domu, skarbie? - zapytał.

- Czuję się świetnie - odparła, oplatając się ciasno rękoma.

- Chyba nie powinnaś przyglądać się temu, biorąc pod uwagę twój stan - wtrącił Nick. W jego głosie wyraźnie było słychać, że pił. - Ten widok może cię zmienić w wegetariankę.

- Jeżeli takie sytuacje będą się regularnie powtarzać, to sądzę, że muszę do nich przywyknąć.

Buddy obrzucił ją uważnym spojrzeniem i zdawał się przez moment zastanawiać, czy mądrze byłoby pozwolić jej zostać, albo też wyczuł wątpliwości, które właśnie zaczynały się rodzić. W końcu uśmiechnął się słodko.

- To nie jest przyjemny widok, kochanie - powiedział - ale to czysta robota. Nie ma tu miejsca na żadną pomyłkę.

- Wszyscy jesteście tak niesamowicie dumni z siebie - zauważyła Lily. - Czy to nie jest takie uczucie, jakbyście zabili lwa?

- Ho, ho! - zawołał Nick. - Punkt dla tej pani.

- Okay - zdecydował Tyler. - Ale pamiętaj, że nikt tu nie będzie się śmiać ani niczego komentować, jeśli po paru sekundach zdecydujesz, że wolisz jednak stąd odejść. W porządku, Nick?

- Absolutnie, jeśli o mnie chodzi - odparł zapytany.

Buddy wyjął nóż ze skórzanej pochwy przy pasie i zwyczajnym ruchem, jakby nie było to nic innego niż otwieranie listu, wbił ostrze w miękkie, białe podbrzusze zwierzęcia i pociągnął w dół, otwierając jamę brzuszną. Następnie sięgnął w głąb i wyciągnął stamtąd coś, co wyglądało jak mokry, ciemny owoc. Zaraz potem pojawił się strumień krwi i popłynął na rozłożone gazety, podczas gdy sterta wnętrzności upadła na podłogę z zaskakująco głośnym młaśnięciem. Natychmiast rozszedł się silny smród, przypominający nieco odór zatęchłej piwnicy, i Lily musiała wstrzymać oddech. Z początku przyszło jej do głowy, że tak pachnie śmierć, ale niemal w tej samej chwili zrozumiała, że to naturalny odór zwierzęcych wnętrzności, i tym mocniej odczuła przemoc, jaką było odebranie życia zwierzęciu.

Odwróciła się na pięcie i poszła do domu, gdzie znalazła Sheri i Millicent siedzące przy kuchennym stole nad szklaneczkami wina. Nie włączyły dotąd lampy, pozwalając, żeby najpierw zgasło światło dnia. To, co się działo na zewnątrz, było doskonale widoczne przez przeszklone drzwi i kobiety mogły obserwować wszystkie zabiegi z miejsca, gdzie siedziały. Lily zdjęła płaszcz i usiadła tyłem, tak żeby niczego nie widzieć. Myślała o Mary Kingsley wędrującej przez busz gdzieś w Afryce, obok rzędów zmarłych na żółtą febrę w czasie wybuchu epidemii w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym.

- Jesteś biała jak ściana, skarbie - odezwała się Sheri.

- Nic mi nie jest - mruknęła w odpowiedzi Lily.

Patrzyły, jak mężczyźni ściągają skórę, zaczynając tuż przy racicach, i jak opróżniają do końca klatkę piersiową. Wszyscy trzej uwijali się przy pracy, rozmawiając przy tym, żartując i popijając piwo. Kiedy skończyli, Buddy zaczął odcinać mięso od kości i filetować. Zajęło mu to nieco ponad godzinę. Potem obciął głowę i przez pewien czas pracował tylko nad nią. Owinął starannie w zieloną plastikową torbę to, co z niej pozostało, i wyniósł do samochodu. Kiedy wszystko zostało już zakończone, panowie spędzili kolejną godzinę, pakując mięso i układając je w zamrażarce stojącej w garażu. Do domu wrócili pokryci plamami zasychającej krwi i brudem z miejsc, po których wędrowali, polując na zwierzynę dopiero co pociętą na steki i rąbankę. Cały czas towarzyszył im nastrój radosnego podniecenia; pili dużo piwa i opowiadali jeden przez drugiego, co zdarzyło się w czasie wyprawy: o rogaczu, którego nie trafił Tyler, o upadku ze zbocza, który przytrafił się Nickowi po wypiciu drugiej puszki piwa przemyczonego w plecaku (w ten sposób dowiedzieli się, że Nick zabrał ze sobą zapas napitków). Buddy najpierw był bardzo z tego powodu nieszczęśliwy, ale potem ustąpił i sam wziął jedno. Okazało się, że Nick zapakował do plecaka osiem puszek.

- A co zrobicie z głową? - spytała Lily.

- Każemy ją wypchać i powiesimy na drewnianej tablicy na ścianie - odpowiedział Nick.

- Zawieziemy ją do fachowca po posiłku. Albo robi to Buddy. Ostatecznie to jego jeleń.

Na kolację wszyscy jedli makaron, a Sheri żartowała, że zaraz pójdzie do garażu i przyniesie trochę mięsa. Zараż potem zaczęła się dziwaczna rozmowa na temat mięsożerności i losu tych, co są zjadani. Sheri opowiedziała o małym chłopczyku, który wspiął się na ogrodzenie w zoo i został zaatakowany przez tygrysa; i jak ten chłopiec wołał do matki, że to strasznie boli, podczas gdy tygrys pożerał jego stopę. Lily poczuła, że robi się jej niedobrze, i wstała, żeby odejść od stołu. Tyler poszedł za nią aż do schodów prowadzących na dół.

- Przykro mi - powiedział przytłumionym głosem, tak żeby inni nie słyszeli.

- Och, czuję się całkiem nieźle - odrzekła. - Tylko ta ostatnia historia trochę mną wstrząsnęła.

- Sheri czasami jest subtelna jak wół pociągowy.

Lily uśmiechnęła się do niego, a następnie pochyliła się i ucałowała go w policzek.

- Przyjdź niedługo do łóżka - szepnęła.

- Przyjdę.

Dotknął jej ramienia, uściśnął delikatnie i pozwolił odejść.

Ruszyła w dół schodów, myśląc, że czasami ludziom w trakcie przełomowych momentów w życiu towarzyszy przynoszące ulgę, szczęśliwe poczucie, że właściwie nie ma znaczenia, co im ta zmiana przyniesie. Położyła się na ich małżeńskim łóżku i czuła, jak dziecko się porusza, i zaczęła płakać ze szczęścia, ale nawet wtedy widziała w głowie obraz noża rozpruwającego miękkie futro martwego jelenia.

3

Brzuch miała dość nisko i w dodatku była bardzo gruba jak na szósty miesiąc. Przybierała na wadze za szybko i ginekolog już kilkakrotnie zdążył ją za to zrugać.

Sheri i Millicent bardzo polecały tego ginekologa - a tego typu rekomendację niepodobna było odrzucić. Należały do grona jego pacjentek i obie rozwodziły się nad urokiem osobistym lekarza i wysokimi kwalifikacjami: był głową rodziny, miał żonę i siedmioro dzieci, a od niedawna także dwoje wnucząt. Wspaniałały lekarz, oświadczyły zgodnie. Lily nie mogła trafić lepiej.

Wszystkie ściany w poczekalni były obwieszane fotografiami setek dzieci, którym pomógł przyjść na świat, razem z nazwiskami i datami, a niekiedy również ze zdjęciami jego podopiecznych jako młodych ludzi i z listami do niego, jak gdyby utrzymywał z nimi wszystkimi kontakty, co może zresztą robił. Roztaczał wokół siebie aurę skrupulatności i pewnego rodzaju umysłowej otwartości. W poczekalni oprócz zwyczajnych czasopism stały tuziny książek z rozmaitych dziedzin: literatury, historii, polityki, sztuki, ogrodnictwa, geologii, uprawy winorośli, nawet książki kucharskie. Można było odnieść wrażenie, że zostały one starannie wyselekcjonowane, tak aby stworzyć określony portret właściciela. Lekarz, wysoki, przystojny blondyn, o wyrzeźbionych rysach (jak mawiała Sheri), mówił z niemieckim akcentem, który zawsze powodował u Lily napięcie. Nosił się z niewyszukaną elegancją, był schludny, rozsądny, dokładny, na pierwszy rzut oka inteligentny, elokwentny - i miał skłonność do tyranizowania. Nazywał się Rudy Volker Brauner. Konieczność przychodzenia do niego na ustalone wcześniej wizyty była niezwykle męcząca. Lily nie mogła oprzeć się wrażeniu, że był on tylko nieco bardziej zainteresowany medycznym celem spotkania niż połyskiem swoich butów albo opadającym kosmykiem nienagannie uczesanych włosów. Dotychczas jego pełna

dezaprobaty uwaga skierowana na szczegóły przebiegu ciąży była jakby częścią jego ogromnej zdolności pojmowania wszystkiego.

- Gdybym organizowała casting - powiedziała któregoś razu do Tylera, kiedy jechali na wizytę - obsadziłabym go w roli szefa gestapo. Wiem, że to może mało odkrywczе, ale tak go widzę. Nawet jeśli tam nie było żadnej roli dla gestapowca.

Zgodnie z planem mieli zaraz po wizycie pojechać na pierwsze spotkanie szkoły rodzenia Lamaze'a. Zajęcia prowadziła przyjaciółka Millicent. Tyler kierował autem. Dzień nie był może szczególnie upalny, ale od świtu zwiększała się wilgotność powietrza, a poza tym na drodze panował duży ruch. Zaczął się drugi tydzień listopada i kilka chłodniejszych dni poprzedziło nadejście babiego lata; wydawało się, że nic nie uległo zmianie, nadal utrzymywała się letnia pogoda. Jechali służbowym wozem Tylera, z otwartymi na przestrzał oknami, bo klimatyzacja i zapach wnętrza nowego samochodu sprawiały, że Lily robiło się niedobrze. Tyler wyraźnie cierpiał; strumień powietrza targał mu włosy; jedną rękę oparł na krawędzi opuszczonej szyby, a drugą ułożył niedbale na kole kierownicy. Po policzku spływała mu pojedyncza kropla potu.

- Może włącz nawiew - powiedziała.

- Źle się czujesz?

- Nie. Martwię się o ciebie.

- Ze mną wszystko w porządku.

Wcześniej tego dnia odezwał się Dominik. Dzwonił z Knoxville w Tennessee, żeby powiedzieć, że po całonocnej jeździe razem z Mannym zrobili tam sobie postój. Mieli zamiar przespać się ze dwie godziny, a potem znowu ruszyć, tak żeby na wieczór znaleźć się w Oksfordzie. Rozmawiał najpierw z Tylerem, który zaczął żartować sobie na temat zbyt szybkiej jazdy i przysypiania za kierownicą.

- Tylko bądź ostrożny - powiedział na pożegnanie, a potem wręczył słuchawkę Lily, która słysząc głos Dominika, niemalże popłakała się ze szczęścia.

- Co u ciebie? - zapytała. - Powiedz mi, co u ciebie słyhać.

- Jestem szczęśliwy, że jadę was odwiedzić - odparł.

- Nie możemy się już doczekać.

- My też.

Nastała krótka chwila ciszy, po czym Dominik zapytał:

- No i co, to wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia?

- Jestem w ciąży.

- Przecież wiem.

- Jestem taka podekscytowana.

- A co będzie, jeśli to dziewczynka? - spytał. - Żeński ekwiwalent Dominika? Dasz dziecku imię po mnie, prawda? Ja i Manny zamierzamy przez jakiś czas pomieszkać w Nowym Orleanie.

- Och, jak się cieszę!

- Będziemy mieszkać u jego ciotecznej babki, to znaczy ona tak naprawdę nie jest jego krewną. Zresztą napisałem ci o tym wszystkim w liście.

- Tylko się pospieszcie - powiedziała na zakończenie. - Strasznie się niecierpliwimy.

Teraz, siedząc w samochodzie, przyjrzała się uważnie Tylerowi. Wyglądał na wykończonego upałem. Jej ciało, rozdęte na wysokości pasa, wydawało się czymś kompletnie obcym. Tyler wjechał na wielopoziomowy parking i powoli posuwał się w kierunku górnego piętra. Ani jednego wolnego miejsca. Opony skrzypiały cichutko przy każdym zakręcie. W końcu znalazł puste miejsce i wjechał tam, ale zatrzymał samochód zbyt blisko ściany od strony pasażera. Lily uchyliła drzwi, ale momentalnie się zorientowała, że w żaden sposób nie da rady wyjść. Tyler zdążył już wysiąść i stał kilka metrów dalej, wycierając twarz brzegiem koszulki. Zamknęła więc drzwi i spokojnie czekała, nasłuchując odgłosu jego kroków, kiedy wolno wracał do samochodu. Zajrzał do środka przez okno od strony kierowcy, a jego twarz błyszczała od potu.

- O, cholera - powiedział.

Obszedł samochód od tyłu, ocenił sytuację, a potem wsiadł i głośno zatrzasnął drzwi.

- Przepraszam. Ale ze mnie idiota.

Włączył silnik, obejrzał się do tyłu i ruszył. Delikatnie dotknęła jego ramienia w miejscu, gdzie stykało się z zagłówkiem jej fotela. Zahamował i popatrzył na nią.

- Gdybym nie była taka gruba, zmieściłabym się bez problemu.

Krótko pokręcił głową i znowu zaczął się cofać.

- Powinienem o tym pomyśleć.

Następne wolne miejsce, które znaleźli, znajdowało się na najwyższym poziomie, w pełnym słońcu. Temperatura tutaj była o kilka stopni wyższa niż na ulicy czy na niższych piętrach parkingu. Podłogę pokrywał asfalt, który nasiąkał gorącem i oddawał je w postaci fal rozpalonego powietrza unoszącego się tuż nad powierzchnią. Lily i Tyler wysiedli pośpiesznie i skierowali się do windy, osłaniając oczy od blasku. Pod ich stopami rozciągał się rynek,

otoczony z czterech stron sklepami, z pomnikiem pośrodku i drzewami o zwisających gałęziach. Na ulicy nie było widać żywego ducha. W windzie Tyler zapatrzył się we własne odbicie, ledwo widoczne na metalowej ścianie. Potem, jakby nagle coś sobie przypomniał, wziął Lily pod rękę. Wyszli z windy i ruszyli wzdłuż korytarza, a ona starała się iść jak najbliżej, mocno trzymając się jego ramienia.

Kiedy doszli do brązowych drzwi pokrytych imitującymi drewno kasetonami, pogładził ją pieśczołliwie, a następnie popchnął drzwi i przytrzymał je, żeby mogła wejść.

Poczekalnia była pełna kobiet. Kilka z nich przyszło z małymi dziećmi; dwie najwyraźniej były tuż przed porodem. Nikt nikomu się specjalnie nie przyglądał. Lily zajęła miejsce na krześle, a Tyler od razu podszedł do stojaka z gazetami i półek z książkami i zaczął przetrząsać ich zawartość. Nagle otworzyły się drzwi prowadzące w głąb przychodni i stanęła w nich młoda pielęgniarka, której Lily nie znała.

- Lily Harrison?

Lily wstała, a Tyler pośpiesznie podszedł, żeby wejść razem z nią.

- Na razie tylko pani Harrison - powstrzymała go pielęgniarka. - Pana poprosimy za chwilę.

Tyler odsunął się i drzwi się zamknęły. Pielęgniarka, silna, niewysoka kobieta, której twarz i szyję pokrywały ciemne piegi, a opalona skóra zdradzała wiele godzin spędzonych na wolnym powietrzu, szła przed Lily wzdłuż długiego korytarza, którego ściany obwieszane były zdjęciami dzieci i dyplomami oprawionymi w ramki, aż do gabinetu, gdzie stała waga, na którą Lily weszła. Pielęgniarka sprawdziła pomiar i pogwizdując cicho pod nosem, zapisała wynik na karcie. Następnie, mierząc Lily ciśnienie, zauważyła:

- Ciągłe przybieramy na wadze więcej niż powinnyśmy. Popijamy naszą wodę?

- Tak jest - odparła Lily. - Popijamy.

To mówiąc, wręczyła pielęgniarce buteleczkę z moczem.

Pielęgniarka wzięła ją i popchnęła Lily do jednego z miniaturowych gabinetów. Lily zobaczyła aluminiowy zlew i nieduże obrotowe krzesło, a na ścianach ilustracje przedstawiające kolejne stadia ciąży. Stało tam także krzesło ginekologiczne, na którego widok zawsze ogarniało ją niewyraźne uczucie strachu, jakby było ono jakimś rodzajem tradycyjnego narzędzia tortur. Zaczęła się rozbierać.

- Robimy dzisiaj ultrasonografię, prawda?

- Owszem - odpowiedziała pielęgniarka. - Widzę, że zna pani rozkład badań.

Do gabinetu wkroczył doktor Brauner. Dziś wyglądał jak bankier: szary garnitur, biała koszula, srebrne spinki do mankietów i wypolerowane do połysku buty. Najwyraźniej przyszedł tu prosto z ulicy. Jego włosy były w nienagannym porządku.

- Dzień dybry - przywitał Lily. - Jak się dziś mamy?

- Mamy się całkiem nieźle - odpowiedziała Lily. Popatrzył w jej kartę, podaną przez pielęgniarkę.

- Czongle przybieramy troszku sa duszo na wadze.

- I w dodatku wcale nie jemy - odparła Lily. Oddał kartę pielęgniarce.

- Żaraż będę z pofrotem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pielęgniarka poprosiła Lily, żeby się rozebrała do końca. Lily rzuciła okiem na identyfikator siostry i przekonała się, że jest ona studentką medycyny.

- Widzę, że ma pani zamiar zostać lekarzem.

Pielęgniarka uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć, że Lily ma rację. Ale nie odezwała się słowem. Skinęła tylko głową i powróciła do sprawdzania czegoś w dokumentacji.

- Naprawdę przestrzegam diety. Nie mam pojęcia, skąd się biorą te nadprogramowe kilogramy.

- Myślę, że to od dziecka - powiedziała siedząca naprzeciw kobieta.

- Więc doktor nie ma powodu, żeby na mnie krzyczeć, prawda?

4

Po badaniu pielęgniarka wyszła z gabinetu, żeby poprosić Tylera, a w tym czasie doktor Brauner przygotowywał ultrasonograf. Tyler wszedł do gabinetu i po jego minie było widać, jak bardzo jest skrupowany i niepewny. Doktor odwrócił się tyłem do Lily i podał mu na powitanie rękę. Przez chwilę ze swego miejsca na kozetce Lily widziała tylko szerokie plecy w białym fartuchu i słyszała krótką rozmowę obu panów - Brauner gratulował przyszłemu ojcu i opowiadał o noworodkach, które odebrał, a Tyler od czasu do czasu wtrącał słowa podziwu i aprobaty.

W końcu odwrócili się do niej, a wtedy poczuła się jak wystawiona na pokaz, chociaż jej nogi okrywało prześcieradło. Brzuch pozostał nagi i asystentka doktora zaczęła pokrywać go zimnym żelazem. Tyler przyglądał się przez moment, a potem całą uwagę skupił na małym

ekranie. Doktor Brauner zaczął przesuwać po brzuchu Lily płaską głowicą, dopóki na ekranie nie pojawił się wyraźnie ciemny zarys macicy, a w nim kształt - niewiarygodnie zwinięty, nieco przypominający człowieka.

- Dziecko wygląda całkiem zdrowo - ocenił doktor Brauner. Palcem wskazał rączki, główkę i maleńkie oczy. - Bardzo dobrze.

- Jezu - wyszeptał Tyler. - Mój Boże.

- Jeszli uważa pan, że to bardzo pienkne, to pewnie nie ma pan raczji - zauważył lekarz, śmiejąc się przy tym nieprzyjemnie.

Kiedy znowu znaleźli się na zewnątrz, w upalnym słońcu, i czekali na windę, żeby dostać się na najwyższy poziom parkingu, Tyler przemówił:

- Lily... - i nagle urwał w pół zdania.

- Co jest? - Odwróciła się do niego.

- To... to było takie... takie niesamowicie dziwne. To znaczy dziecko... takie, jakie ono teraz jest.

Chwilę później dodał:

- Chcesz jechać na te zajęcia szkoły Lamaze'a?

- W zasadzie tak. Ale mogę się z nich dzisiaj urwać, jeśli chcesz. Strasznie parno.

Winda zatrzymała się i weszli do środka.

- Nie - odparł. - Lepiej pojedźmy. Wszyscy się dowiedzą, jeśli się tam nie zjawimy.

- No więc?

Wcisnął przycisk ich piętra i zrobił krok w tył, opierał się plecami o ścianę i nie patrzył na nią.

- Sam nie wiem. Powinniśmy pójść.

- A jeśli nawet się dowiedzą, że nie byliśmy, to co?

- Nie chciałbym nikomu sprawić przykrości.

- A to sprawi komuś przykrość?

Nic nie odpowiedział. Drzwi windy rozsunęły się i do wnętrza wdarł się podmuch rozpalonego powietrza. Wyszli prosto w oślepiający blask południa, w fale gorąca unoszące się nad czarną powierzchnią podłogi. Do samochodu nie dało się wsiąść; w środku panował nieznośny upał. Tyler włączył silnik, ustawił na pełną moc klimatyzację i natychmiast wysiadł.

- Kochanie - odezwała się Lily - dajmy sobie dziś spokój ze szkołą i chodźmy gdzieś na lody z polewą. Teraz przez dwa tygodnie mam spokój z Herr Himmlerem.

Spojrzał na nią z lekko wystraszoną miną. Z niewiadomego powodu strasznie ją to zderwowało.

- Powinniśmy pójść na to spotkanie. To tylko spotkanie.

- Możemy nie iść i powiedzieć, że byliśmy. A jeśli dowiedzą się o tym nasi szefowie, to jakoś to załagodzimy.

Nie odezwał się na to słowem. Wsadził ręce do kieszeni i patrzył z góry na dachy miasta. Widziała, że zacisnął szczęki, ale chwilę potem je rozluźnił. Podszedł do samochodu od strony kierowcy, wsiadł i czekał na nią. Z trudem poszła w jego ślady i zatrzasnęła za sobą drzwi. Skórzany fotel ciągle był za gorący, żeby można go dotknąć; parzył boleśnie w nogi, toteż wierciła się i starała nieco je unieść. Przez kilka chwil była zbyt zajęta wynajdywaniem sobie wygodnej pozycji, żeby zwracać uwagę na Tylera, dlatego dopiero po paru sekundach uświadomiła sobie, że coś do niej mówi.

- Nie słuchałam cię, przepraszam - powiedziała. Zaczekał sekundę, a potem powtórzył:

- Kiedy ostatni raz dzwoniłaś do domu?

- Nie pamiętam.

- No cóż... może to... może moja rodzina więcej dla mnie znaczy niż twoja dla ciebie, jeśli więc moja matka załatwiła to spotkanie, to uważam, że powinniśmy tam być.

- W porządku. - Popatrzyła na niego uważnie.

- W dodatku pozwalasz sobie na uszczypliwe uwagi o „szefach” - dorzucił.

- Przecież tylko drażniłam się z tobą. To był żart. Jedźmy już lepiej do tej pieprzonej szkoły Lamaze'a!

Pojechali wzdłuż Old Taylor Road. Na ostrym zakręcie w prawo, tam gdzie stał dom Faulknera, opony aż zapiszczały. Kilkoro ludzi na ulicy, być może turystów, odwróciło się, żeby popatrzeć w ślad za pędzącym samochodem.

5

Zajęcia szkoły rodzenia odbywały się w małym, białym domku obok Old Taylor Grocery, gdzie mieściła się restauracja. Domek, stojący nieco na uboczu, otoczony był wysokimi dębami, po których pięły się winorośle. Dęby zapewniały przyjemny cień, a ich sękate korzenie krzyżowały się na powierzchni ziemi, sięgając aż do płyt chodnika. Tyler położył rękę na ramieniu Lily, a ona oparła głowę o jego pierś.

- Wybaczysz mi? - zapytała.

- Nie mam ci czego wybaczać - odparł.

Okna domku były starannie zasłonięte, żaluzje częściowo opuszczone, a cała fasada przypominała twarz z na wpół przymkniętymi oczyma. W środku powitała ich nieduża, okrągłutka kobieta, na której widok Lily pomyślała o małych pieskach o grubym futrze i zadartych nosach. Okazało się, że to pani prowadząca zajęcia. Na wstępie przedstawiła się, ale Lily nie dosłyszała jej imienia, musiała więc poprosić o powtórzenie. Pani wymówiła je ponownie, ale w tej samej chwili mały piesek, dokładnie taki, o jakim myślała Lily, zaszczekał z głębi korytarza i imię znowu gdzieś umknęło. Lily skinęła głową, jakby wszystko zrozumiała i, poprzedzana przez pieska, razem z Tylerem trzymającym ją pod rękę weszła do salonu. Kiedy zatrzymali się na środku, piesek skoczył na nich i znowu zaczął jazgotać.

- Nelly! Do nogi! - zawołała kobieta, a na ozdobionej perkatym nosem twarzy pojawił się przepraszający uśmiech, podczas którego małe oczka zupełnie zniknęły, pozostawiając po sobie tylko dwa nieduże łuki wytuszowanych rzęs. Do Lily dotarło, że oto poznała imię psa, a imienia właścicielki nie. W pokoju były jeszcze dwie inne pary, siedziały na rozpostartych na ziemi kocach. Kanapa i mały stoliczek zostały odsunięte na bok. Lily stwierdziła, w tej samej chwili, w której została o to zapytana, że zapomniała przynieść koc.

- Mamy jakieś nadprogramowe koce - powiedziała kobieta, odwracając się na pięcie. - Pozwolicie, że sprawdzę.

Szybkim krokiem opuściła pokój i pośpieszyła korytarzem w głąb domu. Nieznajome pary przyglądały się im bez słowa.

- Dzień dobry - rzekł Tyler.

Głosy odpowiedziały na to powitanie. Obaj mężczyźni wyglądali na starszych od Tylera; jeden z nich nosił długie, ostro zakręcone na końcach wąsy, które wyglądały sztucznie, jakby zostały przyklejone ponad górną wargą. Miał niezdrową, żółtawą cerę, upstrzoną dziobami, i narośl pod podbródkiem. Wyglądał na kogoś, kto zbliża się do pięćdziesiątki. Drugi w porównaniu z nim wyglądał raczej zwyczajnie: duże, szare oczy, przerzedzające się włosy. Być może niedawno przekroczył czterdziestkę. Nosił okulary w metalowej oprawie i białą koszulkę, z której kieszeni wystawało etui na wieczne pióro. Wyciągnął dłoń do Tylera i powiedział, że na imię ma Marty. Mężczyzna z wąsami przestawił się tylko nazwiskiem - Johnson. Potrząsnął ręką Tylera, a Lily dostrzegła na jego przedramionach napięte jak powrozy mięśnie. Usiadł z powrotem na podłodze i patrzył prosto na Lily, koncentrując się na jej brzuchu, jakby tam znaj-

dowały się jakieś drogocenne przedmioty albo ciekawy sprzęt. To spojrzenie sprawiło, że poczuła się obnażona. Jego żona była pełną gracji ciemnowłosą kobietą, z czarnymi oczami i o twarzyczce w kształcie serca, nie więcej niż trzydziestoletnią. Ona także przypatrywała się Lily.

Drugi mężczyzna zwierzał się w tym czasie Tylerowi, że to już czwarty raz. Jego żona miała bardzo ciemną skórę, podługne oczy przypominające kształtem oliwki, a kiedy się odezwała, trudno było się zorientować, skąd pochodzi. Lily pomyślała, że z pewnością z jakiegoś południowego kraju, ale kiedy przyniesiono koc i Tyler rozkładał go na podłodze, usłyszała, jak ona mówi drobniutkiej pani Johnson, że przyjechała z Alaski. Żona pana Johnsona nosiła luźną bluzę z wytłoczoną strzałą wskazującą zgrubienie, gdzie znajdowało się dziecko. Na tym wystającym brzuchu oparła szczupłe ręce i zaczęła opowiadać, jak bardzo zawsze chciała pojechać na Alaskę, żeby mieszkać wśród Eskimosów.

- Naprawdę? - odezwała żona Marty'ego bez krzty zainteresowania.

Wreszcie wszyscy usadowili się na miejscach i kobieta z perkatym nosem przedstawiła się raz jeszcze. Na imię miała Lois.

- A teraz przejdźmy się po pokoju i przedstawmy się sobie nawzajem - zaproponowała.

Pierwszy odezwał się Johnson, odchrząknąwszy uprzednio, tak aby wszyscy mogli jasno pojąć jego intencje.

- Przyszliśmy tutaj, bo Janice mnie zaciągnęła. - Wskazał swoją żonę. - To właśnie jest Janice.

Roześmiała się z przymusem, najwyraźniej starając się docenić jego chęć okazania się dowcipnym. Patrząc na niego, powtórzyła raz jeszcze swoje imię i wskazując męża dodała:

- To jest Tommy.

- Proszę zwracać się do mnie po nazwisku - odezwał się natychmiast. - Oczywiście poprzedzając je słowem „pan”.

Mówił dalej, posyłając dziwne, znaczące spojrzenie gospodyni, z którą podczas oczekiwania na początek zajęć obydwójce z żoną dyskutowali o polityce. Tonem kogoś prowadzącego zebranie polityczne oznajmił, że ciężko pracował w czasie kampanii na rzecz elekcji Michaela Dukakisa i był dosyć rozczarowany wyborem na stanowisko prezydenta kogoś takiego jak George Bush. Powiedział, że wie doskonale, iż nie wygląda na osobę, która głosowałaby na demokratów, chociaż tak właśnie było.

- Och, Tommy! - zawołała jego żona. - Nie musisz opowiadać wszystkim o naszych sprawach.

- Czego się czepiasz, na litość boską, przecież właśnie o tym mówiliśmy! I przestań bez przerwy mnie poprawiać!

- No dobrze - wtrąciła się Lois. - Czyli pan nazywa się Tommy Johnson, a pani ma na imię Janice. Czy po raz pierwszy chodzą państwo na zajęcia Lamaze'a?

- Jeśli chce się pani zapytać, czy to moje pierwsze dziecko, to odpowiem, że to pierwsze, o którym wiem - mówiąc to, Johnson rzucił pozostałym spojrzenie pełne samozadowolenia, jakby oczekując, że docenią jego poczucie humoru.

- A nasze czwarte - dorzucił pośpiesznie Marty, a potem wskazał na żonę. - To moja żona, Lucinda. Odgaduję, że powinniśmy jasno powiedzieć, czy zeszłej jesieni głosowaliśmy na demokratów, czy też nie.

- Dzień dobry wszystkim - odezwała się Lucinda. - Gdyby ktoś się zastanawiał, to oczywiście, że tak! Nikt w mojej rodzinie nigdy nie głosował na republikanów.

- Lucindo, czy pani jest Eskimoską? - zapytał Johnson, wcześniej pokasłując.

Wydawała się lekko zmieszana i zakłopotana pytaniem.

- Moja matka jest Włoszką - odparła - a tata pochodzi z Irlandii.

- Więc pani wcale nie jest Eskimoską. Powiedziała pani, że jest pół Włoszką, pół Irlandką. Chciałem tylko wiedzieć, czy pochodzi pani z Alaski i jest Eskimoską, bo mówi pani z tego typu akcentem.

- Nie - zaprzeczyła znowu. - Nie mam nic wspólnego z Eskimosami. Moja matka jest Włoszką, a ja władam obydwoma językami.

- Naprawdę? Cóż to za wspaniała umiejętność - zachwyciła się Lois. - A teraz przejdźmy do naszej następnej pary.

Tyler przedstawił siebie i Lily. Johnson znowu wlepił wzrok w Lily, podobnie jak jego żona.

- Czy to wasze pierwsze? - zapytała Lois.

- Tak, pierwsze - potwierdził.

- A dlaczego przyszliście właśnie tutaj?

- Polecała tę szkołę przyjaciółka mojej matki - wyjaśnił Tyler.

- Czy ona stosowała metodę Lamaze'a?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Moja matka nazywa się Millicent Galatierre.

- Ach, tak, oczywiście! Proszę mi wybaczyć, powinnam pamiętać. - Odwróciła się do Lily. - A pani to ta młoda pisarka, której ojciec jest sławnym aktorem?

- No cóż - odparła Lily - Właściwie to nie.

Nie mogła się pogodzić z tym, że Millicent przedstawiła ją w taki sposób; z twarzy Tylera odczytała, że taka forma prezentacji także go zaskoczyła.

- Nie? - spytała Lois - Ale... ale do czego to „nie” się odnosi?

- Założę się, że do wszystkiego - wtrącił się Johnson, trącając żonę i zaraz potem wybuchając śmiechem. W tym śmiechu było coś afektowanego, jakby narodził się on w głębi gardła i został tam zatrzymany czterema palcami prawej dłoni.

- Rzeczywiście to „nie” dotyczy wszystkiego - zgodziła się Lily. - Dokładnie tak: ja nie jestem młodą pisarką, a mój ojciec nie jest sławny. Grał tylko w kilku filmach, i to wiele lat temu.

Pozostali uczestnicy spotkania okazali zainteresowanie. Żona Johnsona pochyliła się nieznacznie w przód i poprosiła o podanie tytułów tych filmów, a żona Marty'ego zapytała Tylera, czy mogłaby dostać od Lily autograf.

Johnson znowu odchrząknął i zapytał:

- To w końcu o czym będą te zajęcia Lamaze'a?

Ale nikt go nie słuchał. Tyler starał się wyjaśnić, że ojciec Lily jest zawodowym aktorem związanym stałym kontraktem z profesjonalnym teatrem w Waszyngtonie. Lois zaczęła szperać w pudle z akcesoriami, które stało w zasięgu ręki - wyciągnęła stamtąd lalkę-niemowlaka, mały ręczniczek, jakąś książkę i plastikowy model macicy i kanału rodnego w przekroju bocznym.

- No dobrze - oznajmiła. - Myślę, że możemy zaczynać.

- Ja uważam, że powinniśmy jeszcze porozmawiać o tym, czym każdy z nas się zajmuje - wtrącił Johnson. - Żeby się trochę lepiej poznać.

Zakończył zdanie, kładąc nacisk na ostatnich słowach, a w tonie jego głosu wyraźnie słychać było upór. Reszta obecnych przerwała rozmowy.

- Do tej pory nic o sobie nie wiemy. Na przykład, jeśli już mówimy o ludziach pióra, to tak się składa, że ja również do nich należę. A każdy robi zamieszanie dookoła tej panny... przepraszam, ale nie pamiętam, jak pani na imię, dziewczynko. Lily nie mogła się zebrać, żeby wydobyć z siebie głos.

- Ta pani ma na imię Lily - odezwała się Lois.

- Lily - powtórzył Johnson. - Zgadza się, Lily.

Wypadło to tak, jakby szukał tego imienia w czasie wykładu, który prowadził, i teraz, kiedy to imię zostało wypowiedziane, był w zupełności usatysfakcjonowany.

- Wszyscy bardzo się podekscytowaliście Lily, która jest początkującą autorką, a ja jestem pisarzem już z pewnym dorobkiem.

- To nie żarty - powiedziała żona Marty'ego.

Johnson, nie ruszając się z miejsca, skinął głową z przesadnym zadowoleniem.

- Opublikowałem dwie książki.

- Naprawdę - potwierdziła jego młoda małżonka.

- A o czym? - zainteresował się Tyler.

- Można powiedzieć, że to książki historyczne.

- A z jakiego okresu historii? Johnson udał, że ziewa.

- Byłem kiedyś członkiem Klanu. Tego Klanu pisanego przez duże K.

- A kto wydał panu te książki? - spytała żona Marty'ego nieco wyzywającym tonem.

- Sam je wydałem.

- Ach, zostały więc wydane prywatnie - podsumowała Lily.

- To był nowojorski wydawca, regularnie poszukujący nowych autorów - dodała pani Johnson. - Znalazłam go w jakimś magazynie.

- Popełniłem kilka błędów w czasach młodości - powiedział Johnson poważnym tonem, zaplatając ręce i kiwając głową, jakby przyjmował ich uznanie za przemianę, jakiej uległ.

Lily zaczęła się śmiać. Na początku wyglądało na to, że zakasłała, ale nie udało się jej opanować. Zakryła usta rękoma i udawała, że kaszle, ale kiedy zerknęła przez palce na Johnsona, ujrzała na jego twarzy gniew.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Może pani problem polega na tym, że spotyka pani prawdziwego pisarza. Czy jakaś pani praca już została wydana?

- Nie - przyznała Lily - Nic. Nawet jedna linijka.

- W porządku - odezwała się Janice. - Dlaczego więc nazywa pani siebie pisarką?

- Ja... ja wcale tego nie robię. - Lily nie mogła opanować wesołości.

Śmiech utorował sobie drogę przez wąską rurkę wewnątrz jej ciała i w żaden sposób nie pozwalał się stłumić. Trzymała ręce przyciśnięte do ust, a on wydostawał się na siłę w postaci słabego chichotu. Każde spojrzenie rzucone na Johnsona i jego żonę czy też ich spojrzenie skierowane na nią pogarszały tylko sprawę.

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać na temat naszych zajęć - powiedziała nerwowo Lois.

- Wcale nie jestem pewna, czy chcę chodzić na zajęcia z kimś takim - przerwała Janice, wskazując Lily.

- Ja... ja naprawdę... nic nie mogę... na to poradzić - wykrztusiła Lily pomiędzy atakami.

- Ja naprawdę nie chcę... nic przez to... powiedzieć.

- Ona od czasu do czasu miewa takie napady. To chyba skutek ciąży - wtrącił się Tyler. Ale po chwili nie wytrzymał i sam także zaczął się śmiać.

- Co jest, do wszystkich diabłów! - zdenerwował się Johnson - Para pomyleńców czy co?

- Naprawdę - zdołał powiedzieć Tyler. - Jestem pewien... absolutnie pewien... że... że to nie ma nic... wspólnego z państwem.

- Czy moglibyśmy wreszcie przejść do tematu zajęć? - zapytał Marty, spoglądając po kolei na obecnych.

Ale Lily nie zdołała opanować hysterii i w końcu zakręciło się jej w głowie, toteż musiała przeprosić i zapytać, gdzie jest łazienka. Wyszła szybko z salonu, zamknęła za sobą drzwi łazienki i stanęła pośrodku malutkiego pomieszczenia wypełnionego ciężkim zapachem perfum. Ciągle zanosila się śmiechem. W końcu odkręciła kran, nabrała wody w dłoń i ochlapała twarz. Tusz popłynął po policzkach i musiała się dobrze nameńczyć, zanim udało jej się go zetrzeć. Nałożyła go rano tylko dlatego, że Sheri nalegała. Tyler zapukał do drzwi.

- Wszystko w porządku?

W jego głosie ciągle pobrzmiwało rozbawienie. Nie mogła się doczekać, kiedy stąd wreszcie wyjdą i znajdzie się z nim sam na sam.

Upłynęła jeszcze minuta, zanim otworzyła drzwi i po cichu razem z nim wróciła do saloniku. Wszyscy się na nią gapili. Nie siadając na kocu rozłożonym na podłodze, poinformowała ich, że chciałyby wrócić do domu. Przez cały czas pilnowała się, aby trzymać oczy z dala od pana Johnsona i jego wąsów.

- Mam atak migreny - oznajmiła. - Strasznie przepraszam, że przeze mnie nie mogliście zacząć zajęć.

Tyler wziął ją pod rękę i we dwoje wyszli w upał odchodzącego lata.

- O Boże! - Lily znowu dostała napadu hysterii. - Czy mógłbyś... sobie... coś podobnego... wyobrazić?

Wsiedli do samochodu. Tyler włączył silnik, odwrócił się i zaczął wycofywać się z podjazdu; opony piszczały cichutko na asfaltowej powierzchni. Kiedy znalazł się już na ulicy, ostro dodał gazu.

- Wygląda to tak, jakbyśmy uciekali z miejsca zbrodni! - zawołała Lily. - Super! Wdepnij jeszcze mocniej!

- To była strasznie krępująca sytuacja - powiedział Tyler, ciągle się śmiejąc, choć w wyrazie jego twarzy pojawiło się coś innego. - Nie mogłem się doczekać, żeby się stamtąd wyrwać.

Lily odzyskała wreszcie kontrolę nad sobą i obserwowała przez okno zmieniający się krajobraz. Zobaczyła spalone słońcem wzgórza, brązowawe ślady po pożarach. Nad całą okolicą ciągle unosiły się opary wilgoci. Kiedy odwróciła się do Tylera, zobaczyła, że wciąż jeszcze się uśmiecha, ale w jego oczach czaił się jakiś cień.

- Ja też - odpowiedziała. - Mój Boże! Ale to będzie świetna historyjka do opowiedzenia przy kolacji.

- No tak, ale... ale co teraz zrobimy z tą szkołą?

Poruszyła się nieznacznie w fotelu, odwracając się w jego stronę.

- Cóż, chyba nie możemy tam wrócić.

- Właśnie to chciałem powiedzieć.

- Zatem, jak się domyślam, nie będzie więcej zajęć z Lois. - Znowu się zaśmiała. - To zabrzmiało jak w jakimś programie telewizyjnym.

- Lily, nie możemy tego tak po prostu zostawić.

- Ty sobie stroisz żarty, prawda? - zapytała po chwili.

- No cóż, niestety nie. Więc co z tym zrobimy?

- Najzwyczajniej w świecie o tym zapomniemy. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jezu, Tyler, powiemy im o tym przy kolacji.

- Właśnie przed chwilą mówiłem, że nie możemy tego zrobić. To sprawiłoby im dużą przykrość. I tak sprawi, bo to moja matka poleciła nam tę panią. A my poszliśmy tam i zachowywaliśmy się fatalnie.

- No, mów dalej.

- Nie, to ty mów, co dalej.

Przez moment spoglądała na niego z niedowierzaniem. Potem roześmiała się i pokręciła głową.

- To naprawdę zaczyna być zabawne. Ale jest mi za gorąco i czuję się zbyt zmęczona, żeby dalej o tym mówić.

- Nie chcesz o tym rozmawiać, więc mamy darować sobie ten temat, tak?

Patrzyła przez przednią szybę na pędzącą im na spotkanie drogę. Tyler znowu dodał gazu.

- Czy mógłbyś trochę zwolnić?

- Jadę tylko o dziesięć kilometrów na godzinę szybciej, niż jest dozwolone. Zresztą to ty mówiłaś mi, żebym wdepnął mocniej, prawda?

- Proszę, zwolnij! - zawołała. - Guzik mnie obchodzi, co mówiłam!

Przemknęli niebezpiecznie blisko bariery ochronnej ustawionej na zakręcie szosy i Lily z przerażenia zakryła twarz. Tyler na chwilę zdjął nogę z gazu, ale po chwili poczuła, że samochód znów przyspiesza.

- Wysadź mnie gdzieś tutaj, gdziekolwiek - poprosiła.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, tylko jeszcze przyśpieszyli. Pędzili teraz ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

- Czy będziesz łaskaw zwolnić, do kurwy nędzy! - wrzasnęła wreszcie.

Ku jej zdumieniu zrobił tak, jak sobie życzyła, może nieco zbyt gwałtownie, naciskając hamulec raz za razem. Zorientowała się, że za nimi pojawił się nieoczekiwanie wóz policyjny z migającymi na dachu światłami.

- Sukinsyn - wycedził przez zaciśnięte zęby Tyler, zjeżdżając na pobocze.

6

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu, a w tym czasie wóz patrolowy zwolnił i zatrzymał się na poboczu tuż za nimi. Wysiadł z niego policjant; najpierw sięgnął na tylne siedzenie po bloczek z mandatami i dokumenty. Na głowie miał kapelusz z płaskim rondem i czarnym, błyszczącym paskiem starannie zapiętym pod brodą. Ostrożnie zbliżał się do zatrzymanego samochodu.

- To częściowo twoja wina - odezwał się Tyler.

- Och tak, oczywiście - odparła natychmiast. - To ja pędziłam jak szalona, prawda? Ciekawe, kiedy zapuścisz sobie takie podkreśnione wąsiki. Co to za pierdoły, Tyler?

- Jeśli już o tym mówimy, to mnie w zasadzie podobały się te wąsy.

- Pewnie Tommy Johnson także ci się podobał?

- Przynajmniej głosował na Dukakisa.

- O Boże. - Lily się roześmiała. - To zmienia postać rzeczy. Teraz rozumiem.

Policjant z patrolu spisał numer rejestracyjny z tylnej tablicy i zatrzymał się przy oknie kierowcy. Z bliska zobaczyli, że był to przygarbiony, starszy mężczyzna w nienagannie dopasowanej, wykrochmalonej koszuli i o mocnych ramionach opalonych na ciemny brąz. Pochylił się do środka i popatrzył na Lily szarymi oczyma osadzonymi głęboko w ciemnobrązowej twarzy. Następnie przeniósł spojrzenie na Tylera i zapytał, czy zdarzyła się jakaś awaria, że tak im się spieszyło.

- Nie - odpowiedział krótko Tyler.

- Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Tyler już sięgał do schowka na rękawiczki, ale nie mógł go w żaden sposób otworzyć.

- Nowy samochód - powiedziała Lily do policjanta.

W końcu udało się otworzyć schowek, Tyler wyjął dowód rejestracyjny i razem z prawem jazdy wręczył go policjantowi, który przepisał z obu dokumentów dane do mandatu.

- Czy wie pan, jak szybko pan jechał? - spytał Tylera.

- Nie, proszę pana.

- Skasowałem pana przy stu trzydziestu kilometrach na godzinę.

Tyler nic nie powiedział.

- Ma pan w samochodzie ciężarną kobietę. Czy to pańska żona?

- To chyba nie ma nic do rzeczy - odparł Tyler. - To moja sprawa.

- Jesteśmy małżeństwem - szybko odezwała się Lily. - Przynajmniej na razie.

Jeden kącik ust policjanta uniósł się nieznacznie, ale ten uśmiezek zaraz zniknął, starty wierzchem dłoni trzymającej ołówek.

- Niech pan wypisze ten mandat - powiedział Tyler. - Nikogo tu nie interesuje pańska zabawa w detektywa.

- Myślę, że mógłbyś nieco skorzystać z dobrej rady, kolego. Nie ma potrzeby, żebyś ze mną zadzierał. Nie tu i nie w tych okolicznościach. Nie możesz w żaden sposób wygrać. Biorąc pod uwagę okoliczności, niezależnie od tego, co powiesz, to ja jestem górą, a ty przegrywasz, bo widzisz, tak się złożyło, że to ty złamałeś prawo, a ja cię skasowałem. Tyler milczał.

- W dodatku jesteś mi winien przeprosiny.

- W porządku, przepraszam.

- I ją także przeprosić.

- To już nie pańska sprawa - odparował Tyler. - Proszę dać mi ten mandat.

- No cóż, powinien pan trochę pomyśleć o swoich najbliższych. - Policjant znów popatrzył na Lily. - Czy pani lubi taką szybką jazdę?

- Nie. Absolutnie nie. Przeniósł spojrzenie na Tylera.

- Mam zamiar ukarać pana za nadmierną prędkość i za nieostrożną jazdę.

- Dobra, w takim razie niech pan wie, panie oficerze, że jeśli pan to zrobi, to zostanie wyrzucony z pracy.

- Powinieneś o tym pomyśleć, zanim wdepnąłeś gaz, synu. Tyler oparł się plecami o fotel i zacisnął dłonie na kierownicy.

Wypisywanie wykroczeń zabrało trochę czasu; żeby to zrobić, policjant wrócił do swojego samochodu. Lily i Tyler siedzieli w milczeniu. Lily widziała, jak z tłumionej wściekłości na skroniach i szyi męża zaczynają nabrzmiwać żyły.

Oficer podszedł wolnym krokiem do okna kierowcy i wręczył Tylerowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny razem z gotowym mandatem.

- A teraz grzecznie i wolno. Zrozumiano?

Tyler nie zareagował; nadal trzymał zaciśnięte dłonie na kierownicy i gapił się przed siebie.

- Zrozumiano?

- Tak jest.

- Termin rozprawy jest w okienku w lewym górnym rogu.

- Tak jest.

- No, już lepiej. - Gliniarz pochylił się w stronę Lily. - Życzę pani miłego dnia.

Tyler poczekał, aż policyjny wóz wyjechał z powrotem na drogę i zniknął w oddali, a potem nagle ruszył i omal nie wpakował się pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Kierowca ciężarówki włączył klakson i minął ich, cały czas trąbiąc, a Lily aż krzyknęła ze strachu. Kiedy ciężarówka przemknęła obok nich, Tyler siedział jeszcze przez chwilę z opuszczoną głową, ciągle ściskając kierownicę. Wreszcie obejrzał się za siebie i ostrożnie wyjechał na drogę. Poruszali się teraz tuż poniżej dopuszczalnej prędkości. Lily patrzyła z ukosa na twarz Tylera i starała się znaleźć coś, co mogłaby powiedzieć, jakąś nić porozumienia, ale nie udało się jej wymyślić żadnego neutralnego tematu. On przemówił pierwszy.

- To było po prostu coś niebywałego.

- Och, Tyler, chyba nie zamierzasz powiedzieć, że to była także moja wina!

Spojrzał na nią z zawziętością.

- Powinniśmy być teraz na zajęciach Lamaze'a.
- Bardzo jesteś śmieszny. Naprawdę. Przekomiczny.
- Mam nadzieję, że jeszcze się przekonasz, jak bardzo jestem... śmieszny.
- Co to ma być, groźba? Chryste, posłuchaj tylko sam, co ty mówisz!

Nic nie odpowiedział, tylko mocniej nacisnął pedał gazu.

- Dziewięćdziesiąt tam, gdzie wolno jechać sześćdziesiątką - odezwała się Lily. - Masz zamiar dostać dzisiaj jeszcze drugi mandat?

Skręcił kierownicą tak, że zahaczył prawymi kołami o żwir na poboczu; lekko zarzuciło tyłem samochodu, a hamulce przeraźliwie zapiszczały. Zatrzymał wóz, odwrócił się w fotelu i wpił w nią błyszczące, zimne spojrzenie. To było jak najgorszy z jej sennych koszmarów - wyraz odrazy na jego twarzy. Powoli się opanowywał, ale w sposób, który bardziej Lily przerażał niż wcześniejsza wściekłość.

- Posłuchaj - powiedziała prędko. - Oboje jesteście zirytowani, zgrzani i w złym nastroju i dopiero co dostaliśmy mandat. Może poczekajmy, aż znowu będziemy się zachowywać jak cywilizowani ludzie.

Spojrzał przed siebie i znowu ścisnął kierownicę.

- Uspokoimy się i zobaczymy wtedy, jakie to wszystko głupie.

- I co, może opowiemy to przy kolacji? - zapytał z kwaśnym, nieprzyjemnym uśmiechem. - Nie. Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Myślałem, że będę mógł, ale jednak nie mogę.

- Czego nie możesz? - zapytała.

Nie odpowiedział, tylko siedział, patrząc nieruchomo przed siebie.

- Tyler! Co jest? O co chodzi?! Dalej nic.

Poczuła, jak ogarnia ją przerażenie; coś strasznego wisiało w powietrzu. Ale chwilę potem strach ustąpił miejsca gniewowi, od którego na policzki wystąpił jej rumieniec. Otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i zaczęła iść przed siebie. Pobocze było bardzo nierówne - kilka razy potknęła się i prawie straciła równowagę.

Po dłuższej chwili wolno podjechał.

- Może zechcesz wsiąść?

Bez słowa szła dalej, patrząc prosto przed siebie.

- Zastanawiam się - mówił dalej - czy wiesz, co powiedzą ludzie z firmy ubezpieczeniowej Buddy'ego, kiedy zobaczą ten mandat za przekroczenie prędkości i niebezpieczną jazdę w tym pieprzonym samochodzie do jazdy próbnej.

Zatrzymała się, oparła plecami o barierkę, sięgnęła w dół i zdjęła but. Potem podparła się drugą ręką i zdjęła drugi. Trzymając je w rękę, ruszyła po asfalcie, chociaż parzył boleśnie stopy, tak że w końcu musiała zejść w wysoką trawę rosnącą na poboczu. Trawa była zbyt sucha i chodzenie po niej też było mordęgą. Tyler cały czas posuwał się jej śladem.

- Możemy się tak bawić przez cały dzień - powiedział. Nie odezwała się słowem.

- Okay! - wrzasnął w jej kierunku. - Mam dla ciebie trochę nowin, kochanie. Kilka miłych niespodzianek.

Wysforował się naprzód, a potem przyspieszył, aż zapiszczały opony, i pognął przed siebie, aż do zakrętu.

Przez jakiś czas, który wydawał się nie mieć końca, wędrowała wzdłuż drogi, ale nie nadjechał żaden samochód. Przeszła więc na drugą stronę, ale później wróciła i skierowała się w stronę długiego zakrętu szosy. Słyszała gdzieś w oddali zbliżający się samochód, ale trudno jej było stwierdzić, czy nadjeżdża on z tyłu, czy z naprzeciwka. Przystanęła. Na zakręcie drogi prowadzącym na wschód pojawił się zielony cadillac prowadzony przez starszą kobietę. Minął ją, a ona patrzyła w ślad za nim. Mniej więcej po minucie nadjechał cutless z Tylerem za kierownicą. Minął ją, a potem zawrócił szerokim łukiem i zwolnił tuż przy niej.

- Chcesz usłyszeć moje nowiny! - zawołał ochryple. W jego głosie była jakaś przerażająca, potworna drwina.

Nie mogła w to uwierzyć, toteż nic nie odpowiedziała. A wtedy on krzyknął okropnym, wzbudzającym trwogę głosem:

- To przeklęte dziecko nie jest moje!

I znowu pomknął przed siebie, aż opony zapiszczały, a tył samochodu mocno zarzuciło. Patrzyła w ślad za nim, nie przerywając marszu, nie zwracając już uwagi na gorący asfalt ani pończochy, które podarły się i zwisały teraz w strzępach. W jej myślach zagościła pustka; szła więc przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd zmierza. Droga prowadziła łagodnie pod górę, w cień kilku potężnych dębów, i Lily usiadła pod jednym z nich, żeby nieco odpocząć. Ściągnęła z nóg resztki pończoch i wyjrzała na drogę, za którą biegła linia kolejowa odgrodzona połacią dzikiej trawy i kopcami węgla. Gdzieś daleko usłyszała odgłos pociągu. Odezwał się gwizdek, a w powietrzu rozszedł się smród kreozotu i rozgrzanej smoły.

Obserwowała ruch na drodze i czekała, aż coś się wydarzy. Coś, co w jakiś sposób podpowie jej, jak powinna teraz postąpić. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że usłyszała od Tylera najbardziej dziwaczną i okropną rzecz, jaką tylko mógł wymyślić, i że był to kompletny absurd, tak dziecinny, że aż sugerujący jakiś rodzaj choroby. Roześmiałyby się, gdyby nie ten straszny wyraz powstrzymanego gniewu na jego twarzy.

7

Podniosła się z ziemi i przeszła jeszcze z półtora kilometra. Droga prowadziła obok ogrodu, gdzie właśnie odbywał się rodzinny piknik - niemowlęta leżały na kocach albo na kolanach matek, dzieci biegały w cieniu drzew, krzycząc z całych sił, a mężczyźni stali dookoła ogniska. Przechodząc obok, wciągnęła nosem zapach przypalonego mięsa, a oni obrzucili ją zdziwionymi spojrzeniami. Domyśliła się, że musiała stanowić dość zabawny widok: ciężarna kobieta w podartych pończochach, wlokąca się wzdłuż szosy z butami w rękę. Nawet nie wzięła ze sobą torebki.

Młody chłopak podbiegł do granicy ogrodu, kiedy akurat tam dochodziła.

- Czy wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał grzecznie.

Nie mogła zebrać się, żeby coś odpowiedzieć. Uśmiechnęła się tylko, skinęła głową i szybko poszła dalej. Kiedy mijała granicę następnej działki, obejrzała się i zobaczyła, że ciągle patrzy w ślad za nią. Miała zamiar akurat trochę odpocząć, ale pomyślała, że jeśli się zatrzyma, on niewątpliwie odczyta to jako oznakę słabości i przybiegnie, chcąc jej pomóc, toteż szła dalej, aż znalazła się poza zasięgiem wzroku uczestników pikniku. Wtedy właśnie z przeciwnego kierunku nadjechał cutlass. Kiedy mijając ją, zwolnił i szerokim łukiem zmienił kierunek jazdy, zdecydowała, że porozmawia z Tylerem.

Zjechał na pobocze i gwałtownie zahamował, wznecając obłok kurzu i rozpryskując na wszystkie strony drobne kamyczki.

- Czy chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

- Nie wiem, czy jest o czym rozmawiać - odpowiedziała. - Po prostu pan Johnson rozbawił mnie do łez i myślałam, że ciebie także...

- Nie o tym mówię - przerwał jej. - Może jednak wsiądziesz?

Zrobiła, jak chciał. Była wstrząśnięta, kiedy przekonała się, że płacze.

- Czy wreszcie mnie zrozumiałaś?

- Nie.

Jej torebka ciągle leżała na przednim siedzeniu, sięgnęła po nią, wyjęła chusteczkę i wytarła oczy, a potem całą twarz.

- Ale słyszałaś, co wtedy powiedziałem? - nie dawał za wygraną.

Skinęła głową.

- I nie rozumiesz, o co chodzi?

- Już powiedziałam, że nie. Jezu Chryste, naprawdę nie rozumiem!

Spojrzał w dal, a potem lekko pokręcił głową. Wydawało się, że naprawdę coś go dręczy. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Miałem zamiar być szlachetnym chłopcem i trzymać cię od tego z daleka. Kocham cię i naprawdę chciałem tak postąpić. I tak właśnie robiłem. Ale zobaczyłem to... no, to USG... i coś we mnie pękło. Rozumiesz? Nic na to nie poradzę.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- Chcę powiedzieć, że częściowo to moja wina, bo powinienem ci powiedzieć o tym na samym początku. Ja... to znaczy, ja próbowałem. Powiedzmy, że cię okłamałem, zgoda? Wszystko sprowadziło się do kłamstwa. I nie chciałem ci się przyznać. Teraz winię za to siebie.

- Tyler, czy będziesz tak uprzejmy mi powiedzieć, o co ci chodzi?

Jego oczy powędrowały w dół aż do jej brzucha.

- To nie jest moje dziecko - rzekł cicho.

- Co takiego?!

- To, co słyszałaś. - Wypuścił oddech, odwracając jednocześnie wzrok.

- Tyler, o co ci do kurwy nędzy, chodzi? Nie chcesz tego dziecka czy co?

Pląkała teraz na głos, z nosa jej ciekło, nie nadążała wycierać twarzy. Tyler był tylko rozmazaną plamą po drugiej stronie łez.

- W porządku, posłuchaj - odezwał się. - Chciałem tylko raz szczerze to wyjaśnić.

Załkała.

- Jezu Chryste - powiedział.

- Tyler, proszę cię, na litość boską!

- Musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz. Zaopiekuję się tobą i będę ojcem dla tego dziecka, okay? Dopóki będziesz trzymała język za zębami.

Przemknęło jej przez myśl, że to musi być jakaś choroba; że właśnie jest świadkiem napadu psychozy. Przytaknęła więc posłusznie, żeby spełnić jego zachciankę.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, złapałem świnkę. Rozumiesz? Miałem w związku z tym pewne komplikacje... a konkretnie zapalenie jąder. Wiesz, co to oznacza?

Pokręciła przecząco głową.

- No cóż, jestem bezpłodny. Teraz rozumiesz? - Zaczekał chwilę, aby te informacje do niej dotarły. - Nie mogę zapłodnić żadnej kobiety. I nie ma możliwości, żebym to ja był ojcem.

- Gwałtownym ruchem pochylił się w jej stronę. - Czy teraz już rozumiesz, Lily?

Bardzo powoli powrócił do poprzedniej pozycji, oparł ręce na kierownicy i zapatrzył się na domy stojące po tej stronie drogi. Nagle wybuchnął płaczem i łkał, zasłaniając twarz rękoma.

Lily odjęło mowę. Nie mogła poradzić sobie z tym wszystkim, co przed chwilą usłyszała. Czowała się tak, jakby stojąc na porywistym wietrze, starała się otworzyć oczy, żeby dojrzeć to wszystko, co mogło w ciemności skręcić w jej kierunku. Nabrała głęboko powietrza, wstrzymała oddech i zatrzymała go na chwilę w płucach, spoglądając jednocześnie w dół na własne ciało, na ręce i nogi. Kiedy podniosła na niego oczy, zobaczyła, że ciągle płacze. Opuścił już ręce i patrzył niewidzącym wzrokiem przez przednią szybę, a łzy ciekły mu po policzkach.

- No, ale... - zaczęła i urwała. Nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

Przez długi czas żadne z nich nie odezwało się słowem. Potem Tyler spojrzął do tyłu i ostrożnie wytoczył się na drogę. Jechał teraz wolno. Lily słyszała, jak bez przerwy pociąga nosem.

- Nie możemy tak wrócić do domu - powiedział.

- Tyler...

- A tak naprawdę, to kto był? - rzucił szorstko.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na krajobraz, na błękitne niebo. Zobaczyła odrzutowiec na skraju długiego, ciągnącego się pasma chmur i obłok przypominający skręcony biały sznur tuż nad horyzontem, jakby przeciągnięty przez ogromne siły czające się poza nieboskłonem.

- No, śmiało, możesz mi powiedzieć. A może było ich więcej niż jeden?

- Ale... to jest... to musi być... jakaś pomyłka - wykrztusiła z trudem. - Może lekarze się pomylili?

- Och, więc to było niepokalane poczęcie - zadrwił. - Niech to wszyscy diabli!

Nic na to nie odpowiedziała.

- Chciałbym tylko wiedzieć, kto to był.

- Nikogo nie było - odrzekła.

- No, nie bój się, mów! Popatrzyła prosto na niego.

- Nie wiedziałam wtedy, że do mnie przyjdiesz, Tyler. Nie sądziłam, że w ogóle się jeszcze zobaczymy.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął i znów zaczął dodawać gazu.

- Uwierz mi, proszę. - Rozplakała się ponownie. - Tak było.

- Na litość boską, powiedz mi wreszcie, kto to był!

- Nic się nie wydarzyło. Nawet... nawet nie skończyliśmy. Tyler, to nie mogło być...

Musi się znaleźć jakieś inne wytłumaczenie!

- Posłuchaj mnie uważnie - oznajmił. - Chcę wiedzieć, kto to był, i chcę wiedzieć, kiedy to się wydarzyło, gdzie i dlaczego, i chcę się dowiedzieć tego wszystkiego właśnie teraz!

Gapiała się na niego, gdy tak siedział sztywno ze wzrokiem wbitym w drogę i dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, że aż widać było zbiegające kąciki. Jego usta przypominały wąską linię, wyrażającą żądanie, złość i oczekiwanie; cała twarz przypominała maskę zastygłą w wyrazie małosłownego zarozumiałstwa i ściągniętą od płaczu. Na ten widok coś w niej wezbrało, jakiś nagły przypływ pełnego oburzenia oporu.

- Nie mam zamiaru ci powiedzieć - rzekła drżącym głosem. - Możesz iść do wszystkich diabłów.

Skreślił w wąską polną dróżkę, okoloną z obu stron kukurydzą. Ujechał tak ponad kilometr, a potem zatrzymał się na małym trawiastym spłachetku obok pola. Widać stąd było dom, stojący na odległym końcu plantacji, obłożony sidingiem, z zapadającym się gankiem i ramami okien, z których odłaziła farba. Już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie popadającego w ruinę. Lily dostrzegła zaparkowaną przed nim ciężarówkę i małe dziecko bawiące się na huśtawce. Tyler wierzchem dłoni wytarł sobie twarz.

- Co chcesz zrobić? - zapytała z niepokojem.

Nic nie odpowiedział, wyłączył tylko silnik i położył ręce na kierownicy.

Siedziała z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu, czekając, na rozwój sytuacji.

W końcu przemówił tonem, jakim zwykle zwracają się dorośli do dzieci:

- Powinienem być powiedzieć ci o pewnych faktach. Popełniłem błąd, że utrzymywałem cię w nieświadomości.

- O jakich faktach? - przerwała mu.

W jego głosie ciągle słyszała niepohamowany gniew pomieszany z frustracją i czuła, że on ledwo nad sobą panuje.

- O faktach wynikających z sytuacji. Rozumiesz? Z sytuacji. Powiniennem był, do jasnej cholery, powiedzieć ci, że jestem bezpłodny. Jasne? Na samym początku, kiedy cię zapytałem, czy chciałabyś mieć dzieci, a ty odpowiedziałaś, że nie. To ty mówiłaś, że nie chcesz dziecka, i wtedy postanowiłem, że nie będę wspominał o swojej sytuacji. Okay? Zawsze byłem cholernie wyczulony na tym punkcie. Ale powiniennem ci powiedzieć, nie zrobiłem tego i za to przepraszam. A teraz ty nie chcesz mi zdradzić, o co tutaj chodzi. Wydaje mi się, że to całkiem w porządku, że jestem troszeczkę zainteresowany, czyje dziecko będę wychowywał i utrzymywał.

- Boże, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Nie wiedziałam, że to nie było... to znaczy myślałam, że było... - Urwała.

- Wiem doskonale, co sobie myślałaś!

- Zabierz mnie do domu - poprosiła.

- Gdzie? Do Wirginii? - wrzasnął.

Nie odezwała się. Siedziała bez ruchu, patrzyła na niego i czekała.

- Czy to może był... - Przerwał się w pół słowa. Z wściekłości jego głos tak się zmienił, że prawie go nie poznawała. - Czy to był Dominik, na litość boską? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Spojrzała na niego, a potem odwróciła się plecami. Jeszcze nie dotarło do niej, że jeśli to prawda, co Tyler powiedział na swój temat, to ona rzeczywiście nosi dziecko Dominika. Ta dziwaczna myśl wykiełkowała początkowo nie do końca rozpoznana; unosiła się nad jej podświadomością jak niemy wyrzut, aż w końcu z tego odrętwienia wyrwał ją gniewny głos Tylera.

- Czy mam cię zabrać do domu mojej matki? A może do tego, z kim uprawiałaś pozamałżeński seks?

- Kiedy tamto się zdarzyło, nie byłeś jeszcze moim mężem - odpowiedziała natychmiast.

Pochylił się w jej stronę tak blisko, że czuła kwaśny zapach jego potu i nieświeży oddech. Nagle uwierzyła, że on może rzeczywiście zrobić jej jakąś krzywdę, taka wrogość i nienawiść emanowały z jego spojrzenia.

- Czy przyszło ci do głowy, że możesz być pieprzoną nosicielką HIV?

- To śmiechu warte! Nawet nie zasługuje na odpowiedź!

- Twoim zdaniem to śmieszne? Jak to mam rozumieć?

- On właśnie wtedy stopniowo odkrywał, że jest gejem. I nie za bardzo... nie poszło mu ze mną dobrze, a ja byłam dla niego pierwsza. Chryste, na pewno nie jest pozytywny!

- Nie poszło mu dobrze? Powiedziałaś, że mu... że mu nie wyszło... No, psiaakrew, to zmienia postać rzeczy! Po prostu mu się nie powiodło!

- Nie mam zamiaru rozmawiać z tobą na ten temat. Jesteś szalony. I posuwasz się stanowczo za daleko!

- Ciekawe, co sobie o mnie myślałaś? - powiedział.

- Tyler, proszę, zawieź mnie do domu!

- Powiedz, co sobie myślałaś.

- Och... - powiedziała, a potem zaczęła krzyczeć: - Nie możesz zostawić tego w spokoju?! Przestań wreszcie!

W końcu znowu się rozpląkała, choć z całych sił starała się powstrzymać łzy.

Bez dalszych komentarzy uruchomił silnik, wrócił na główną drogę i jechał z przepisową prędkością. Zamknął okna i włączył klimatyzację. Żadne z nich nie odzywało się słowem przez długie, wlokące się w nieskończoność minuty. Lily nadal płakała, siedząc w nawiewie zimnego powietrza z wentylatora, i czuła, jak robi się jej niedobrze. Tyler wjechał wreszcie do Oksfordu, ale zaczął kręcić się po bocznych uliczkach, jakby miał zamiar zafundować jej wycieczkę po mieście. Przejechał wolno obok salonu Buddy'ego i dalej, znowu w stronę granic miasteczka.

- No - odezwał się w końcu. - To co robimy?

- Zrobię, co będziesz chciał - odpowiedziała. - Chcesz separacji?

- Och, nie! Chryste, wierz mi albo nie, ale ja naprawdę cię kocham. Czy to nie zadziwiające? Moim skromnym zdaniem to cholernie zadziwiające.

Nie odezwała się.

- No, a ty kochasz mnie - mówił dalej. - Prawda?

Odpowiedziała jednym słowem, zanim zdążyła się powstrzymać, a zaraz potem uderzyło ją, że chciała cofnąć to słowo w tej samej chwili, w której je wymawiała.

- Tak - usłyszała własny głos.

To słowo było jej ucieczką i poszukiwaniem pokoju i ładu, w ten sposób wyraziła pragnienie, żeby namiastkę bezpieczeństwa okupić nawet kłamstwami. Ale to nie było kłamstwem, tylko prawdą, która bolała mocniej, niż Lily przypuszczała.

- Tak - powtórzyła łkając, zaskoczona mieszaniną żalu i niechęci, które odczuwała. - Tak.

8

Obydwoje zgodzili się, żeby pozostawić wszystko bez zmian aż do narodzin dziecka, co dla Lily było przynębiającą, choć niepozbawioną racji koniecznością. Tyler spoglądał na nią smutnymi, pełnymi rozczarowania chłopcimi oczyma i mówił, że ją kocha i że musi myśleć o sprawach w szerszej perspektywie - na przykład o ich małżeństwie, które bardzo chciałby utrzymać, i o dziecku, i o rodzinie, którą wkrótce się staną. Lily z kolei myślała, co by było, gdyby po prostu spakowała swoje rzeczy i wróciła do Wirginii, żeby zamieszkać z Doris, dopóki dziecko się nie urodzi, i dalej...

Widziała przed sobą jasno kilka najbliższych miesięcy i kiedy wjeżdżali przez zrujnowaną bramę na długi podjazd wiodący do domu Galatierre'ów i ujrzała w oddali żółty dom z podwójnym gankiem i kolumnkami, podjęła ostateczną decyzję. Muszą znaleźć jakiś sposób, żeby przebrnąć przez te kłopoty. Jeszcze raz zerknęła na Tylera, zobaczyła wyraz jego twarzy - człowieka, który jest przygotowany na najcięższą próbę - i ogarnęła ją fala paniki, która spowodowała w jej sercu zamieszanie i trudny do wyrażenia ból.

Sheri siedziała na ganku razem z Millicent, Nickiem i Rogerem „złotą rączką”. Ciężar ich tajemnic dodany do jej własnej sprawił, że prawie zupełnie opadła z sił. Nie chciała spotykać się z nimi, zwłaszcza teraz, kiedy czuła się tak wyczerpana. Między nimi stał dzbanek, w którym w jakimś płynie pływały kostki lodu; tylko Nick swoim zwyczajem popijał z puszki piwo.

- Poznałaś już Rogera? - zapytał, uśmiechając się do niej.

Lily zawahała się przez moment, ale kątem oka zauważyła szybki ruch Millicent, siedzącej z przodu.

- Już się raz spotkali, Nick - powiedziała. - Kilka tygodni temu.

- Witam ponownie - odezwał się Roger.

Nie mogła dostrzec jego oczu za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Wyciągnął w jej kierunku rękę i Lily, czując, ile wysiłku ją to kosztuje, ledwo uścisnęła dłoń Rogera.

- Miło cię znowu widzieć - wykrztusiła.

- Dzwonił ten wasz przyjaciel, no jak mu tam... Dominik - oznajmił Nick. - A w ogóle to gdzie się podziewaliście?

- Muszę iść pogadać z Buddym - powiedział Tyler. - Dostałem mandat. Za przekroczenie prędkości i niebezpieczną jazdę.

Nick pociągnął z puszki, a potem odchylił głowę do tyłu i opróżnił ją do dna; następnie zgniótł i trzymał w ręku, wolno kiwając głową.

- No to masz kłopot, przyjacielu. Buddemu to się nie spodoba.

- Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy - odrzekł na to Tyler.

- No to ja idę po następne piwko. - Nick uśmiechnął się i zatoczył; trudno powiedzieć, czy zrobił to celowo, czy też był to przypadek.

We dwóch weszli do domu przez pokój dzienny, a Lily ruszyła wzdłuż ganku z zamiarem dostania się do swojego pokoju przez wejście na basen.

- Może napijesz się mrożonej herbaty - zaproponowała Sheri.

- Usiądź z nami, kochanie - poparła ją Millicent.

Lily wyczuła, że jeśli odmówi, może zostać to opacznie zrozumiane, posłusznie więc odsunęła jedno z wiklinowych krzeseł i usiadła.

Sheri naląła herbaty i podała jej szklankę.

- No i jak tam poszło na zajęciach z Lamaze'a? - spytała.

- Nie wydaje mi się, żeby to było coś dla nas - odparła Lily.

- Chyba żartujesz! Wszyscy uwielbiają tam chodzić! - zawołała Sheri. Każdy, z kim rozmawiałam, mówił, że bardzo mu się to podoba!

- A nam nie.

- Przecież nie każdy musi na to chodzić - odezwała się Millicent.

Roger rozparł się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę, opierając ją na wysokości kostki.

- Tak, pamiętam to - Lamaze. To są takie ćwiczenia oddechowe, zgadza się?

- No, częściowo - odpowiedziała Millicent. Spojrzała na Lily, a potem szybko odwróciła wzrok.

Roger napił się herbaty ze swojej szklanki, koncentrując całą uwagę na tej czynności.

- O co, do diabła, wam wszystkim chodzi? - wybuchnęła Sheri.

- Sheri, proszę cię - mitygowała ją Millicent.

- Mogłabyś pociachać tą ciężką atmosferę jakimś pieprzonym nożem.

- Jestem przekonana, że sama nie wiesz, o czym mówisz. Może powinnaś zrobić coś, co by cię zrelaksowało i rozładowało to twoje napięcie.

- Nie chodzi o mnie - odcięła się Sheri. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

- Ta pani prowadząca zajęcia jest bardzo sympatyczna - powiedziała w końcu Lily.

Sheri popatrzyła na nią z ciekawością, którą można było odebrać niemalże jak wścibstwo.

- Pobiliście się z Tylerem czy co? Jesteś cała czerwona na twarzy. Dobrze się czujesz, skarbie?

- Jest strasznie gorąco - odparła wymijająco Lily. - A poza tym dostaliśmy mandat.

Nie czekając na odpowiedź, Sheri napiła się herbaty, która okazała się strasznie słodka i pozostawiła osad na zębach. Następnie przeprosiła wszystkich i powędrowała w stronę basenu.

Zastała tam Buddy'ego, który unosił się na powierzchni wody na wielkim, czarnym materacu, na wpół zakryty cieniem domu, w jednym ręku trzymał drinka, a w drugim papierosa w plastikowej fifice.

- Hej! - zawołał na jej widok z pogodnym uśmiechem.

Cień na jego twarzy podzielił ją na dwie części i sprawił, że upodobniła się do maski klauna. Musiał przymknąć powieki, żeby spojrzeć na Lily stojącą w pełnym słońcu, a drobna siateczka zmarszczek, które natychmiast pojawiły się wokół oczu, sprawiła, że Lily w jednej chwili doszła do wniosku, że to niezwykle pogodny człowiek. Buddy był mężczyzną wyjątkowo uprzejmym - prześwietlał cię na wylot, kiedy coś cię bolało, i zawsze wiedział, co powiedzieć.

- Wygląda na to, że ta cholerna parówka nieco cię wykończyła, kochanie, ale nawet teraz wyglądasz najpiękniej i najbardziej świeżo ze wszystkich kobiet, jakie znam.

- Chyba troszeczkę przesadzasz - odparła, układając usta w pełen aprobaty uśmiech.

- Czy wszystko w porządku, skarbie? - spytał.

- Tyler i Nick właśnie cię szukają - wyrzuciła jednym tchem. - Chyba nie będziesz zadowolony, jak usłyszysz, co Tyler ma ci do powiedzenia.

Na twarzy Buddy'ego pojawiło się zaniepokojenie.

- Mówisz serio? Naprawdę?

- Dostał mandat. Za przekroczenie prędkości.

Buddy zachichotał ponuro i pokręcił głową, ale kiedy się odezwał, w jego głosie wyraźnie zabrzmiała ulga.

- No to zostanie surowo ukarany. Lily spróbowała obrócić to w żart.

- Myślę, że mu się należy.

- Dobrze.

Podniósł do ust szklaneczkę i uśmiechnął się szeroko, jak uosobienie szczęścia.

- Mam wrażenie, że wkrótce powinien się tu zjawić. Lily ruszyła przez rozsuwane drzwi do swojego pokoju.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - usłyszała zza pleców jego głos.

Zatrzymała się. Ciężar całkowicie pokrywał już ciało Buddy'ego. Przez jedną chwilę była bliska tego, żeby ujawnić dręczące ją problemy. Och, Buddy, porozmawiaj z moim mężem! - pomyślała, ale zamiast powiedzieć to na głos, przywołała na twarz coś na kształt uśmiechu i skinęła potakująco głową.

- Może nalejesz sobie tej przesłodzonej lemoniady, którą przygotowała Rosa, i posiedzisz tu ze mną? Najlepsza rzecz, jaką można zrobić w tak parny dzień, to posunąć się dalej, to znaczy zamoczyć się całkowicie i tak pozostać.

- Dziękuję, ale może później.

W odpowiedzi uniósł szklaneczkę.

Rozdział 15

1

Dominik i Manny zjawili się nieco ponad godzinę później, zupełnie jak w jakiejś kiepskiej operze mydlanej. Lily usłyszała najpierw hałas nadjeżdżającego samochodu, potem dźwięk klaksonu, a wreszcie Sheri, która ją wołała. W zamieszaniu rozróżniła także dźwięk głosu Tylera, pełen sztucznej wesołości. Z trudem podniosła się z łóżka, gdzie leżała, na wpół śpiąc, przeczesawsza palcami włosy i weszła do łazienki, żeby obmyć twarz. Kiedy stamtąd wyszła, Buddy stał przy rozsuwanych drzwiach - na zasłonach odbijał się cień jego wysokiej, barczystej sylwetki. Dwa razy delikatnie zastukał w szybę.

- Obudziłaś się?

Lily rozsunęła drzwi na całą szerokość i wyszła na taras.

- Wyglądasz super! - zachwycił się Buddy. - To niepojęte, co mały odpoczynek i trochę cienia potrafią zdziałać.

- Dzięki, Buddy.

Odsunął się na bok i podał jej ramię.

- Myślisz, że twoi goście zostaną tu na trochę? - zapytał.

- Mam nadzieję - odparła.

I znowu odczuła pragnienie niemal nie do odparcia, żeby zwierzyć mu się, że dziecko, które nosi, jest Dominika. Ta dziwaczna myśl przeszła jej umysł jak podmuch zimnego powietrza. Zadrzała, a on natychmiast mocno chwycił ją za łokieć.

- Hej! Na pewno dobrze się czujesz?

Wpatrywała się w jego pytające oczy, a w jej sercu rosła pewność, że spośród wszystkich osób w wieku jej rodziców tylko z nim czuje się absolutnie swobodnie. Podniosła rękę i pogładziła go po twarzy.

- Och, Buddy - powiedziała cicho. - Jestem taka szczęśliwa, że cię poznałam.

- To chyba najlepsza rzecz, którą ktoś mi powiedział od bardzo długiego czasu.

Wsunęła rękę pod jego ramię i oparła się całym ciężarem.

- Jak ci się wydaje, ile różnych uczuć może się kłębić w jednej i tej samej chwili w ludzkim sercu? - zapytała.

Uśmiechnął się tylko.

- Przypuszczalnie wszystkie, jakie tam są, nie sądzisz?

Mało się nie rozplakała. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby przemówić.

- No cóż - wyrzuciła z siebie. - Chyba właśnie teraz muszę czuć coś podobnego.

Dominik stał na frontowym ganku, z jedną ręką opartą na ramieniu niewysokiego, ciemnoskórego mężczyzny o okrągłej twarzy, któremu właśnie przedstawiał Tylera. Tyler uścisnął dłoń nieznanego, potem przywitał się w ten sam sposób z Dominikiem, a następnie zapoznał gości z Sheri, jej matką i Rogerem Gaultem; wtedy dopiero zobaczył zbliżających się Buddy'ego i Lily.

- To jest mój przybrany ojciec - oznajmił. - A to Lily. - Skinął głową w jej kierunku, unikając starannie spojrzenia żony.

Dominik wymienił uścisk dłoni z Buddym, a potem dał krok do tyłu, skrzyżował ręce i zaczął uważnie przypatrywać się Lily.

- Wydaje mi się, że nieco przytyłaś w pasie - zauważył.

Miała wielką ochotę rzucić mu ręce szyję, ale zamiast tego przyjęła krótki, pozbawiony emocji, niewinny pocałunek, który został złożony na jej policzku. Przez krótką chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Nie zrobię ci nic złego, jeśli cię obejmę, co?

Dała radę tylko pokręcić głową. Zbliżył się o krok i z niezwykłą ostrożnością oplótł ją ramionami. Lily zamknęła palce na jego kościstych barkach i uścisnęła. Czuła, jak łzy napływają jej do oczu, toteż szybko się odwróciła.

- Proszę - powiedział Buddy, podając jej szklankę mrożonej herbaty. Zauważyła, że Millicent i Roger patrzą na nią z uwagą.

Ceremonia powitania trwała nadal: wszyscy się uśmiechali, padały uprzejme słowa, a Manny wyciągał rękę do każdego po kolei i mówił „dzień dobry”, z nieco dziwnie brzmiącym akcentem. Nick wniósł bagaże do środka. Buddy zapytał, czego się napiją, więc Dominik odwrócił się do Manny'ego.

- Cola?

- Tak, barzo dzjenkuje - odparł Manny z promiennym uśmiechem.

Nick przywołał Rosę, a ona zebrała zamówienia, zapisując wszystko na karteczce jak kelnerka. Kiedy zniknęła w głębi domu, Buddy zaproponował, żeby w czasie przygotowywania drinków goście udali się do swojego pokoju i przebrali w stroje kąpielowe.

- Zróbmy sobie basenowe party w dawnym stylu - powiedział, klaszcząc w dłonie.

- Ja muszę już lecieć, panie Galatierre - odparł Roger Gault.

Buddy uśmiechnął się do niego.

- Ile razy ci mam ci powtarzać, żebyś mówił do mnie Buddy?

- Och, przepraszam - odpowiedział Roger. - Siła przyzwyczajenia.

Buddy zwrócił się do Lily.

- Roger zrobił projekt i przebudował naszą kuchnię. - Poklepał go po plecach. - Jesteś pewien, że nie chcesz zostać i popływać?

- Naprawdę nie mogę.

- No cóż, może innym razem - zakończył dyskusję Buddy.

Wszyscy patrzyli, jak Roger wsiada do samochodu i rusza w stronę podjazdu. Buddy stał z rękoma ukrytymi w kieszeniach i kołysał się lekko w przód i w tył, a potem popatrzył na Manny'ego.

- A ty jak uważasz? Masz ochotę na przyjęcie na basenie?

- Tak, dobrze - odparł Manny takim tonem, jakby niczego innego nie pragnął.

Jego ciemne, wyraziste oczy lśniły. W mowie pobrzmiewał delikatny hiszpański akcent. Ma takie łagodne i pełne ufności oczy, pomyślała Lily. Uśmiechał się promiennie, a ona doszła do wniosku, że rzadko widziała u kogoś tak białe zęby. Śmiał się jak szalony, gdy Buddy komentował wygląd gospodarstwa domowego republikanów: basen, butelki z ginem i wermutem, gospodarz z nadmiarem tuszy i opinii, za to bez ideałów.

Wkrótce wszyscy rozeszli się do swoich sypialni, żeby przebrać się w kostiumy kąpielowe. Lily miała wśród swoich rzeczy kostium dla ciężarnych z koronkową wstawką na przodzie, toteż włożyła go, ale po chwili znowu przebrała się w cienkie dzinsy i bluzkę. Tyler dotąd nie wrócił do ich pokoju, usiadła więc na łóżku i czekała, podtrzymując oburącz okrągły brzusek. W końcu przyszedł, otworzył szufladę, wyciągnął stamtąd kąpielówki i rozłożył. Wydawało się, że wcale nie zauważył obecności Lily.

- To jego dziecko, prawda? - odezwał się po chwili, nie odwróciwszy się nawet w jej stronę. - Chcę raz zakończyć tę sprawę. To dziecko Dominika. Tego gnoja... - Przerwał i potrząsnął głową. - Chryste!

Lily nic nie powiedziała.

Zatrzymał się ze spodniami opuszczonymi do kolan i spojrzał na nią.

- No więc?

- Co chcesz, żeby ci powiedziała, Tyler? Wzruszył ramionami.

- Może prawdę?
- Ty tego nie zrozumiesz.
- Spróbuj, może jednak.

Podniosła się z trudem i ruszyła w kierunku drzwi.

- Wiesz, jacy są ludzie; widzisz ich na ulicy, jak są ubrani i jakie sprawiają wrażenie, i jak mają ostrzyżone włosy i jakiej muzyki słuchają, i może nawet wiesz, jak będą głosować, jeśli mają nalepkę na zderzaku swojego samochodu. Wiesz, na kogo głosowali.

Patrzył na nią, nawet nie mrugnawszy.

- Właśnie jeden z takich momentów przeżyłam z tobą.
- Chciałaś powiedzieć, że tak samo jak z panem Johnsonem - odparł prędko - Mogłaś się domyślić na kogo on głosował, tak?

Otworzyła rozsuwane drzwi, ale nie odezwała się słowem.

- No więc tak patrzysz na tych ludzi i coś sobie na ich temat myślisz, zgadza się? I wszystko już o nich wiesz.

- Nie chce mi się wierzyć, że znowu chcesz się kłócić o tę pieprzoną szkołę Lamaze'a - odparła Lily.

- Ależ skąd, próbuję się tylko bronić - zawołał.

Lily wyszła na taras. Sheri i Millicent siedziały już w słońcu po drugiej stronie basenu. Podeszła do nich i zajęła miejsce na krześle ogrodowym.

- Nie przebrałaś się w kostium? - zapytała Sheri.

- Doszłam do wniosku, że oszczędzę wam tego - odrzekła cierpko.

Ciągle jeszcze nie uspokoiła się po wymianie zdań z Tylerem. Uśmiechnęła się z przymusem, a Sheri odwzajemniła ten uśmiech.

- Ja tam uważam, że jesteś śliczna jak obrazek.

- Jestem pewna, że Rosa przygotowuje koktajle - wtrąciła Millicent.

- To najcieplejszy listopad, jaki pamiętam - mówiła dalej Sheri. - Mogłabym przysiąc, że to lipiec.

- Jutro już ma być chłodno - powiedziała jej matka. - Moim zdaniem nasze babie lato dobiega końca.

Przez kilka chwil wszystkie siedziały w milczeniu.

- Ci twoi chłopcy są bardzo mili - rzekła Sheri. - Od razu ich polubiłam. Manny jest taki spokojny, że można odnieść wrażenie, iż myśli o czymś innym. Ale tak słodko się śmieje. Jeśli

chodzi o Dominika, to wydaje mi się, że pamiętam go z jednego z tych naszych szkolnych przedstawień.

- Tak, grał Spodka w *Śnie nocy letniej* - odpowiedziała Lily. - Wtedy właśnie zrezygnowałaś ze szkoły.

- A nie Puka? - zapytał Tyler, wychodząc z pokoju. Ubrany był tylko w czarne kąpielówki, a przez ramię przewiesił ręcznik. - Puka, tego duszka?

- Tyler - skarciła go matka. Roześmiał się gardłowo.

- Założę się, że Dominik nie miałby mi za złe tego żartu. Podszedł do krawędzi basenu i zanurzył stopy w wodzie.

- Zimna - zauważył.

Buddy wyszedł z kuchni, ostrożnie popychając przed sobą tacę z drinkami. Towarzyszyła mu Rosa. Ona też się przebrała: włożyła jasnoniebieski strój kąpielowy i wyglądała w nim olśniewająco. Wdrapała się na trampolinę, zbliżyła się do końca i skoczyła, prawie bez plusku wchodząc w wodę, rozcinając toń jak ciemny cień. Wyłynęła w płytszym końcu basenu, przekreśliła na plecy i położyła na wodzie.

Buddy w tym czasie zaczął rozdzielać drinki, pochylając się nad przenośnym barkiem. Z głębi domu wynurzył się Nick, ubrany w hawajską koszulę rozpiętą na piersiach, białe kąpielówki i sandały. W ręku trzymał nieodłączną puszkę piwa.

- Czy ktoś ma ochotę na piwko? - zapytał.

- W kubelku pod tacą mam lód - oznajmił Buddy. - Dziś jestem jak steward w samolocie, który idzie wzdłuż rzędów i proponuje napitki. Kto co zamawiał?

- Ja mrożoną herbatę - powiedziała Sheri. Rozłożyła oparcie leżaka i odwróciła się na brzuch.

- Proszę, mrożona herbata dla pani. - Podał jej szklanekę.

Tyler odbił się od brzegu basenu i znalazł się w wodzie, a następnie podparł się rękoma na krawędzi i spoglądał na Lily, mrużąc oczy w promieniach słońca.

- Może tu przyjdiesz - zaproponował. - To na pewno cię zrelaksuje.

Pokręciła głową, patrząc na swoje dłonie, które wciąż splatała i rozplatała nad wypukłym brzuszkiem.

Dominik wyszedł bocznymi drzwiami. Nosił zielone spodenki, które najwyraźniej były na niego za duże. Jego skóra nabrała niezdrowego żółtawego odcienia, a on sam wyglądał dużo szczuplej, niż go Lily pamiętała. Złapała się na tym, że stara się mu nie przyglądać. Zszedł

schodkami do basenu i zanurzył się w wodzie po pas; potem zanurkował, a kiedy znów pojawił się na powierzchni, włosy oblepiały mu twarz. Wstał, odsunął mokre kosmyki z czoła, a potem znów opadł niżej, trzymając wyciągnięte ramiona dla utrzymania równowagi. Lily wcześniej spostrzegła, że szuka jej wzrokiem, kiedy tylko wyszedł z cienia budynku; teraz zaś miała wrażenie, że jest zadowolony, że siedzi w wodzie.

Tyler wziął z rąk Buddy'ego szkocką i podniósł, jakby miał zamiar zaproponować wszystkim obecnym toast. Upił łyk z wyraźną satysfakcją.

- A ty niczego się nie napijesz, kochanie? - zawołał. - Może się przyłączysz?

- Wiesz przecież, że nie mogę - odparła.

- Mrożonej herbaty? - nalegał - A może lemoniady? Soku grejpfrutowego?

W tej wymianie zdań było coś bezdusznego i przerażającego. Obserwowała obecnych i próbowała sobie wyobrazić, jak albo kiedy miałyby powiedzieć Dominikowi, że jest ojcem dziecka, które ona nosi. Dominik pluskał się w wodzie w najlepsze, gadając o czymś z Rosą, a właśnie na horyzoncie pojawił się Manny, w białych kąpielówkach ze srebrnoszarą rybką wynurzającą się z błękitno-perłowych fal na nogawce. Wziął od Buddy'ego bourbona, a następnie podszedł i zajął miejsce na wyściełanym krzeselku obok Lily, która uśmiechnęła się, mówiąc „cześć”.

Buddy wskoczył do wody, a w jego ślady poszła Sheri i Millicent.

- Barzio ścieśliwy - odezwał się Manny. Lily próbowała dodać mu odwagi.

- Skąd jesteś? Z Chile? - zapytała.

Przez sekundę albo może dwie gapił się na nią, a potem uśmiechnął się szybko.

- O tak, Chile - odpowiedział nieco zdenerwowany.

Zastanowiła się przez chwilę.

- No i jak, podoba ci się Ameryka? Natarczywy uśmiech nie zniknął z twarzy Manny'ego.

- Tak.

- A jak długo tu mieszkasz? Uśmiech nadal się nie zmienił.

- Tak - odparł.

- Do niego trzeba mówić bardzo wolno - wtrącił się Dominik, wychyliwszy głowę z basenu. - Chyba ci o tym wspomniałem w liście. Wiem, że to męczące i nudne, ale czasami konieczne, przynajmniej jeśli chodzi o Manny'ego.

- Bardzo dokładnie - przytaknął Manny.

- Tak - odparła Lily. - Bardzo.

- Tak.

- Jestem dużo starszy.

Na twarzy Lily pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Siedemnaście lat. - Puknął się w pierś. - Trzydzieści dziewięć.

- Nie wyglądasz na tyle.

Tym razem zrozumiał ją bez kłopotów.

- Dziękuję.

Z basenu dobiegał plusk i odgłosy rozmów. Nick koniecznie chciał jechać następnego ranka na polowanie.

- Co ty na to, Buddy? - pytał, płynąc na plecach.

- Mam gości - odparł zapytany.

- No to możemy ich zabrać ze sobą. Moim zdaniem nawet, no... bliska rozwiązania pani Lily pozwoli pojechać swojemu mężusiowi.

- Tyler może robić, na co tylko ma ochotę - wtrąciła Lily nieznacznie zmienionym głosem.

- O czym on mówi? - zdenerwowała się Sheri. - Co za rozwiązanie?

- Miałem na myśli to, że pani Lily niedługo urodzi - odpowiedział jej Nick. Ale przede wszystkim mówiłem o właściwej mężczyznom sztuce zabijania ze strzelby delikatnych, pokrytych futrem stworzeń.

- Zamknij się, Nick!

Buddy podciągnął się na aluminiowej drabince na brzeg i nalał sobie następnego drinka. Tyler unosił się na wodzie na plecach i nie odzywał się do nikogo. Rosa i Dominik rozpoczęli dyskusję na temat kina; trzymali się krawędzi basenu, co chwila pociągając ze szklaneczek, i kłócili się ile wlezie. Dominik rozwodził się nad tym, jak nie znosi Siskela i Eberta.

- Pomyśl tylko, czy nie chciałabyś, żeby na minutę przestali i żebyś mogła im powiedzieć: „Oczywiście, chłopcy, macie świadomość, że większość tych rzeczy, o których dyskutujecie z takim zacięciem, to absolutne gówno klasy A?”.

- To jest pewna forma sztuki tego wieku - protestowała Rosa. - Nie mam racji?

- Wiem, że ten facet uważa reklamówki za formę sztuki. Wyobraź sobie tylko zawartość jego czaszki.

- Co będziecie robić po wizycie w Nowym Orleanie? - zapytała Lily Manny'ego, starając się mówić wolno i wyraźnie.

Wydawał się zaskoczony pytaniem, ale dla Lily było oczywiste, że nie z powodów językowych - słowa zrozumiał właściwie.

- My mieszkamy tam. Moja ciocia... moja pani psyjaciółka...

- Chcielibyśmy przyjechać do was z wizytą - powiedziała.

- Z wizytą, tak.

Tyler podpłynął do krawędzi basenu obok ich leżaków. Złożył ręce na obramowaniu i oparł na nich podbródek.

- Dokąd chcesz pojechać? - zapytał.

Spokojnie odwzajemniła jego chłodne, pełne udawanej wesołości spojrzenie.

- Do Nowego Orleanu.

- Przecież niedawno byłeś w Nowym Orleanie.

- I chcę tam pojechać jeszcze raz.

- No cóż, jeśli tak, to pojedziemy.

Manny odchrząknął i pociągnął drinka, przenosząc spojrzenie z Lily na Tylera i z powrotem.

- Nowy Orlean - odezwał się. - Masa miejsca. Wielki, miły dom. *Si*. To znaczy tak. Burgundy i St. Philip. Pienkny ogród. Masa kwiaty.

- Założę się, że musieliśmy wtedy obok niego przechodzić - powiedział Tyler. - A ty jak uważasz, Lily?

- Tak - odparł zamiast niej Manny.

Lily poczuła, jakby wokół niej zaciskał się jakiś krąg. Właśnie teraz, w nadzwyczaj jasnym świetle dnia, było wystarczająco łatwo sobie wyobrazić, jaki Dominik będzie nieszczęśliwy, jeśli dowie się prawdy o dziecku. Przesunęła delikatnie rękoma po brzuchu i natychmiast opuściły ją wszystkie wątpliwości.

- Dlaczego nie przebierzesz się w swój malutki kostium dla przyszłych mamus i nie wejdiesz do wody? - zapytał z basenu Tyler. - Woda jest naprawdę przyjemna.

- Psyjemna - powtórzył Manny i wstał.

Lily patrzyła, jak podchodzi do schodków i zanurza się ostrożnie. Dominik popłynął mu na spotkanie, a za nim Rosa. Sheri razem z Nickiem, Buddym i Millicent poruszali się w kółko w płytszym końcu basenu. Zobaczyła, jak Millicent unosi głowę i całuje Buddy'ego. Szeptali coś do siebie, ślepi i głusi na wszystko dookoła. Lily odwróciła głowę, starając się nie myśleć o tym, że Millicent oszukuje.

Tyler ciągle opierał głowę na rękach i wpatrywał się w nią uporczywie.

- No, chodźże - ponaglił. Najwyraźniej szukał zgody.

- Może trochę później.

Podniosła się z krzeselka, rozsunęła drzwi i weszła do domu. Dusila się z przerażenia i gorzkiego poczucia wyobcowania, zamknęła się w łazience, żeby obmyć twarz. Nabrała w dłonie wody i ochlapała się, próbując pod wpływem szoku spowodowanego zimnem odzyskać kontrolę nad własnym umysłem. Wydawało się jej teraz, że urodzi dziecko i zostanie z nim sama, bez niczyjej pomocy, miłości czy pocieszenia. Było niepodobieństwem wyobrazić sobie szczęśliwą minę Dominika na wieść o tym, że najbardziej upokarzające przeżycie, jakie stało się jego udziałem, zaowocowało poczęciem dziecka. Ale zaraz potem przypomniawszy sobie, że nie zerwał z nią kontaktu i pozostali przyjaciółmi.

Kiedy wróciła do pokoju, Tyler stał w otwartych drzwiach prowadzących na taras, owinięty ręcznikiem.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak - odrzekła z trudem.

- Posłuchaj, chciałem cię przeprosić za to wszystko. Straciłem panowanie nad sobą... przepraszam.

Czekała, żeby wszedł do środka, ale on stał w progu i patrzył na nią.

- „Przepraszam” to tylko słowo - powiedziała. - Ja też cię przepraszam. Ale jak wiesz, Tyler, mamy kłopoty. Poważne kłopoty.

- Chcesz mu powiedzieć, tak?

- Nie wiem - wybuchnęła. - Sama nie wiem, co powinnam zrobić.

- Nie sądzę, żebyśmy powinni kiedykolwiek o tym komuś mówić.

Usiadła na łóżku i złożyła ręce na kolanach, mając neodparte wrażenie, że wygląda jak kloc, jak uosobienie ciężaru, podczas gdy on wydawał się niemalże eteryczny jak duch, kiedy tak stał tam w kąpielówkach, z ręcznikiem niedbale zarzuconym na spadziste ramiona.

- Ty masz zamiar mu powiedzieć - odezwał się. - Mam rację?

Trochę później Buddy i Nick pojechali do miasta i kupili mnóstwo rzeczy na grilla i masę zakąsek. Przytaszczyli to wszystko w plastikowych torbach, które otworzyli dopiero przy stoliku turystycznym obok basenu. Całe przyjęcie przeciągnęło się do późnej nocy. Wszyscy świetnie bawili się w basenie i nie szczydzili sobie drinków. Manny i Dominik mocno się upili i w końcu Dominik zaczął bawić całe towarzystwo, naśladując różne postaci ze świata polityki; szczególnie udawało mu się parodiowanie nowego prezydenta.

- Robi to lepiej niż ten chłopak w *Saturday Night Live* - ocenił Buddy, zaśmiewając się do rozpuku.

W którymś momencie tego długiego wieczoru Dominik opowiedział Lily, że Manny był kiedyś księdzem i pracował jako misjonarz w spokojnej wiejskiej parafii w górach Peru; że porzucił służbę Bogu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, chociaż pozostał praktykującym katolikiem.

- Potrafi znakomicie czytać po angielsku i całkiem nieźle pisać, chociaż nie zna niektórych idiomów, ale mówienie ciągle sprawia mu trudności. Cały czas próbuje mnie namówić, żebym z nim poszedł na mszę.

- To czemu nie idziesz?

Przez twarz Dominika przemknął cień, jakby coś nieprzyjemnego przyszło mu na myśl.

- No wiesz, z powodu życia, jakie prowadzę. Właściwie nie potrafię podać konkretnej przyczyny, ale faktem pozostaje, że nie chcę z nim pójść.

- A on dlatego opuścił parafię, że...

- Tak naprawdę to nie - odparł Dominik. - Nie. - Dotknął jej nadgarstka. - Nie powinnaś czuć się nieswojo, mówiąc o tym, Lily.

- Nie. To jest... to znaczy... to nie tak, Dominik.

- Ty też jesteś katoliczką, prawda?

- Myślę, że mój ojciec był. Wychowywał się w tej wierze. Boże, sama nie wiem, co powiedzieć.

- Czy denerwujesz się przeze mnie?

- Niezupełnie - odrzekła z udawaną ironią.

Przez jakiś czas milczeli i obserwowali, co robią inni.

Lily dostrzegła Tylera blisko wejścia na ganek, palił małe cygaro, przechadzając się wolnym krokiem. W tej chwili dziecko kopnęło energicznie - odrębne życie wewnątrz jej ciała. Poruszyła się nieznacznie, żeby zmniejszyć dyskomfort.

- Och! - powiedziała tylko.

- Mogę? - spytał Dominik i nie czekając na pozwolenie, położył delikatnie i niepewnie dłoń na jej brzuchu. Dziecko poruszyło się znowu i Dominik spojrział na Lily.

- O, mój Boże! - zawołał. - Poczulem to. To niesamowite!

- Tak - przyznała Lily, nie zdając sobie sprawy, jakim cudem udało się jej cokolwiek powiedzieć.

Dominik nie odsunął ręki, czekając na następne ruchy. W tym czasie Tyler podszedł bliżej i zatrzymał się, przyglądając się im obojgu. Lily poczuła wyraźnie zapach jego cygara.

- Właśnie przed chwilą poczułem, jak wasze dziecko się rusza - oznajmił Dominik, nie zmieniając pozycji.

- To jest coś, prawda? - powiedział Tyler ciepło, ale w jego spojrzeniu Lily dostrzegła cierpkie, nieprzyjazne, niemalże wrogie błyski.

Odsunęła dłoń Dominika i pochyliła się do przodu.

- Za chwilę wracam - poinformowała przyjaciela.

Pogładziła go po nadgarstku i wstała, a Tyler poszedł za nią aż do wejścia do kuchni.

- Wybacz mi - wyjęczał już przy samych drzwiach. - Naprawdę się starałem. Boże, to było okropne!

Nie spuszczając z niego oczu, otworzyła drzwi, weszła do środka i zamknęła mu je przed nosem. W kuchni zastała straszny śmietnik: wszędzie wałały się papierowe talerze, kubki i serwetki; na blacie pełno było plastikowych nożyków i widelców, i stert jedzenia przyniesionego ze sklepu. Wszystko to zdążyło już zakrzepnąć i wyglądało nieświeżo. Zaczęła zgarniać resztki do worków na śmieci i robić porządek, kiedy drzwi się otworzyły, a do kuchni wtargnęli Nick i Buddy. Szli ramię w ramię, a Nick właśnie opowiadał teściowi jakiś dowcip, ale co chwila wahał się, przerywał tok narracji i próbował się poprawiać. Wreszcie Buddy przerwał mu i spytał:

- Najpierw chyba powinieneś go zrozumieć, a dopiero potem sprzedawać, co?

- Niech to diabli - odparł Nick, chwiejąc się od nadmiaru wypitych trunków. - To też było dobre.

Wytoczył się z kuchni, a Buddy starannie zamknął za nim drzwi.

- Nick sobie zapalił. - Uśmiechnął się konspiracyjnie do Lily. - Nie on jeden, oczywiście.

Odpowiedziała pełnym tolerancji uśmiechem, chociaż sądziła, że on też palił trawkę, albo może tylko jej się wydawało. Miała nadzieję, że ją zrozumiał.

- To pewnie przykre być jedyną niepijącą osobą w towarzystwie.

Właśnie wkładała naczynia do zmywarki.

- Świetnie się czuję - odpowiedziała.

- A ja widzę, że coś ci dolega, moje dziecko. Mam rację?

Spojrzała na niego uważnie - na zmarszczki dookoła oczu, po których jedynie w niewielkim stopniu można było poznać, ile dotąd wypił. Nagle narodziła się w niej nadzieja, że może jednak Millicent go nie oszukuje. Buddy odstawił swoją szklaneczkę, podniósł papierowy talerz z resztkami jedzenia i wrzucił go do jednego z plastikowych worków, używanych wcześniej do tego samego celu przez Lily.

- Oczywiście to nie moja sprawa - dorzucił.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Naprawdę.

- Może po prostu się boisz, co? Nic nie odrzekła.

Skończył wyrzucanie odpadków, zawiązał worek i popatrzył na nią.

- Kiedy Millicent była w ciąży z Sheri, bała się tak potwornie, że nie spotkałem nigdy nikogo, kto by tak się bał.

Lily przerwała to, co akurat robiła.

- To całkiem naturalne. Mogłoby coś być z tobą nie tak, gdybyś nie czuła przerażenia.

Spojrzała mu prosto w twarz i poczuła nagły ucisk w gardle. Nie mogła wykszusić słowa.

- Chodź, pójdziemy do salonu i pogadamy - zaproponował. - Chcesz?

Podsunał się do niej i delikatnie dotknął jej łokcia.

- No chodź - powiedział. - Tylko na minutkę.

Przeszli przez mały korytarzyk do przestrzennego pokoju z niedźwiedzią skórą na podłodze i olbrzymim oknem z widokiem na całą dolinę, odległą rzekę i wjazd prowadzący na autostradę. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Na niebie odbijały się słabo światła reflektorów aut wjeżdżających do Oksfordu bądź z niego wyjeżdżających; elektryczne światła, które wyglądały jak ostatnie ogniste ślady okrytego mgłą słońca. Buddy usiadł na kanapie i wyciągnął rękę, najwyraźniej zapraszając ją, żeby zajęła miejsce obok. Zanim zdążyła

pomyśleć, co robi, usiadła w fotelu naprzeciw niego. Za późno było już teraz na zmianę miejsc. Buddy złączył obie dłonie, a następnie przesunął nimi po czole i włosach.

- Czasami jest dobrze wyrzucić to z siebie - powiedział. - Ale rozumiem, jeśli zechcesz zostać sama.

- Nie - odparła prędko. - Nie chcę.

Rozejrzył się po pokoju, jakby zapomniał, co właściwie chciał jej powiedzieć i szukał teraz odpowiednich słów.

- Ja... ja bardzo się denerwuję - zaczęła Lily. Najwyraźniej się odprężył.

- Kiedy spotkałem Millicent, Tyler miał około czterech lat; przypuszczam, że wiesz. - Przechylił lekko głowę na bok z wyrazem rozbawienia.

Lily знаła już tę minę; musiał przed chwilą pomyśleć o czymś, co sprawiało mu przyjemność.

- Nie mam zamiaru opowiadać ci tej historii. Jak wiesz, był to typowy romans. Ona pracowała u mnie, była mężatką i matką. Ale małżeństwo ją niszczyło. No cóż, wydaje mi się, że jednak mówię właśnie o tym.

- W porządku, Buddy - zapewniła go. - Naprawdę. Mów dalej.

- W każdym razie ojciec Tylera miał w sobie coś z tyrana. Lubił ją zadręczać rzeczami, nad którymi ty byś się nie zastanawiała nawet pięciu minut.

Lily nagle poczuła, jak w jej żyłach gęstnieje krew.

- Nigdy nie pozwalał, żeby Tyler to dostrzegł, i wątpię, czy Tyler w ogóle miał o tym pojęcie. A staruszek był naprawdę dobry dla niego. Nie widział świata poza swoim synem. Można nawet powiedzieć, że trochę go rozpieszczał.

Lily złapała się na tym, że kręci głową.

- Ależ skąd! - zawołała. - On był dla niego bardzo surowy.

- Masz na myśli tę historię z polowaniem, tę z królikiem i grubym śrutem?

- I tę, i jeszcze inne sprawy.

Buddy potrząsnął głową i rozważał przez chwilę to, co usłyszał.

- To prawda, tolerancja nie była jego najmocniejszą stroną. Ale pamiętaj, że mówimy o czasach przed moim pojawieniem się w ich życiu. No cóż, dzisiejszego popołudnia wyglądało na to, że Tyler nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś na niego krzyczy - dodał z pełnym wyrozumiałości uśmiechem. - Jest już odrobinę za dużym chłopcem, żeby robić sobie wyścigi po Oksfordzie w jednym z moich służbowych samochodów.

- Nakrzyczyłaś na niego za to?

- Właściwie to porozmawiałem z nim. Zebrałem już za dużo takich mandatów i mogę stracić polisę ubezpieczeniową. Na razie na pewno podniosą mi stawkę. Powiedziałem, że następnym razem potrączę mu to z wypłaty.

- Pokłóciliśmy się - wyjaśniła Lily. - Na zajęciach z Lamaze'a zdarzyło się coś nieprzyjemnego.

Wzdrygnęła się lekko na wspomnienie, że kobieta prowadząca szkołę była polecona przez Millicent i Sheri.

- To przypuszczalnie moja wina - dorzuciła prędko.

- Ale to on siedział za kierownicą, skarbie. Odprężyła się.

- W każdym razie - podjął - kiedy my... no kiedy stało się to, co się stało, i Millicent nosiła w łonie Sheri, wtedy... no oboje zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli chłopiec zostanie z ojcem. Faktem jest, że Tyler był bardzo mu oddany. Od samego początku. Jak to zwykle chłopcy, mówiła o tym Millicent.

- Jak to chłopcy - powtórzyła jak echo Lily.

- Na początku - kontynuował Buddy - to było platoniczne uczucie. Przyjaźniliśmy się i przez całe miesiące staraliśmy się zaprzeczyć temu, co w rzeczywistości działo się między nami. Przez miesiące. Ale kiedy nadszedł punkt kulminacyjny... no cóż, to było jak przerwanie zapory przez powódź. Nic nie mogło nas powstrzymać. Poniosło nas jak fala.

Lily ujrzała oczyma wyobraźni swojego ojca i Peggy trzymających się za ręce przy stole w restauracji.

- Nigdy nie mieliśmy zamiaru skrzywdzić kogokolwiek - mówił Buddy - Rozumiesz? To znaczy... no cóż, jesteś zakochana i wiesz, jak to jest. Miłość sprawia, że chcesz być dobra, że chcesz uwierzyć za wszelką cenę w to, że w zasadzie wszyscy na świecie są dobrzy i mili. Dlatego sama siebie zapewniasz, że potrafisz znaleźć właściwe rozwiązanie i ułożyć sprawy w znośny dla wszystkich sposób. Oczywiście nie możesz tego osiągnąć, nie zadając komuś potwornego bólu, i jasno widzisz, że jesteś przyczyną czyjegoś cierpienia, ale nawet wtedy tak naprawdę nie odczuwasz wielkiego dyskomfortu. Jesteś zbyt blisko osiągnięcia tego, co uczyni cię bardzo... bardzo szczęśliwą. To jest właściwe słowo - szczęśliwy.

Na twarzy Buddy'ego pojawił się wyraz lekkiej nostalgii. Zaczął teraz opowiadać Lily o swoim dzieciństwie w Tennessee, o rodzicach, którzy ciągle tam mieszkali i pracowali w tych samych zawodach - matka była bibliotekarką, a ojciec menedżerem w Bibliotece Publicznej w

Nashville. Buddy dorastał wśród ksiązek, które, jak mówił, wśród jego rodziny - wujków, ciociek i kuzynów - zawsze cieszyły się wielką popularnością. Pracę w branży motoryzacyjnej rozpoczął zaraz po college'u jako sprzedawca, robił dokładnie to samo co teraz Tyler. Powiodło mu się na tyle dobrze, że wkrótce został głównym menedżerem w dużym salonie sprzedaży w Port Royal w Wirginii. Tam właśnie spotkał Millicent. W roku, w którym się pobrali, dzięki pomocy czworga kuzynów udało mu się pożyczyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby otworzyć obecny salon. Przeprowadzka tutaj była ryzykiem, które kosztowało go sporo zdrowia; zawsze czuł się staro, kiedy myślał o tych pierwszych kilku latach. Następnie zaczął opowiadać o tym, jak Sheri była małą dziewczynką, i o strachu, który odczuwał, kiedy pierwszy raz występował w roli ojca. Widać było, że te wspomnienia sprawiają mu radość, bo pogłębiła się sieć malutkich zmarszczek dookoła oczu.

Oto szczęśliwy człowiek, doszła do wniosku Lily i aż czuła niepokój na myśl o tym szczęściu. Przypomniała sobie, że jej rodzice też sprawiali wrażenie szczęśliwych w taki sposób i zaraz potem ogarnął ją przyływ zwątpienia na samo wspomnienie czegoś takiego jak szczęście. Jako mała dziewczynka spędziła wiele bezsennych nocy, zastanawiając się nad tą sprawą; zawsze wiedziała, kiedy czuła się szczęśliwa, ale ludzie używali słowa „szczęście”, jakby mówili o jakimś miejscu, toteż myślała, czy jest możliwe, że ona nigdy go nie odnajdzie. Przyływ wspomnień z dzieciństwa mieszał się z wyobrażeniem pana Stapletona, stojącego w drzwiach domu Rondy z wypchaną tylną kieszenią spodni. A teraz była tutaj i ten siwiejący mężczyzna o gołębim sercu, Buddy Galatierre, mówił jej o tych samych nadziejach i pragnieniach, o własnych chłopięcych tęsknotach za szczęściem. To sprawiło, że nieoczekiwanie stał jej się tak bliski, że poczuła nagłą chęć, żeby podejść, usiąść obok niego i pocałować go w policzek. Mówił, że kiedy był chłopcem, miał zwyczaj leżeć w ciemnościach i rozmyślać, czy szczęście stanie się kiedyś jego udziałem. Lily nie poszła za głosem impulsu, żeby przysunąć się bliżej Buddy'ego, lecz potakiwała jego słowom, doświadczając uczucia, że oto ktoś odczytał jej myśli. A Buddy mówił dalej.

- Ludzie uważają, że szczęście to życie na wsi, na prowincji, wiesz o tym? Ale nic podobnego. To pogoda. Śliczna pogoda. Łagodny klimat tu, wewnątrz, w sercu. W większości to nie przychodzi z zewnątrz. I oczywiście jest bardziej złożone. Kiedy ludzie dzięki tobie poznają miłość i namiętność, krewni i kochankowie, to może całkiem zdezorientować człowieka.

- Moi rodzice wydawali się tacy szczęśliwi - szepnęła. Uśmiechnął się tylko.

- I pewnie byli. Długi czas pewnie byli.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało. Lily zajęła się wyskubywaniem nitki, która wylazła ze szwu z tyłu bluzki.

- Wolałbym, żebyśmy się poznali z Millicent w innych okolicznościach - odezwał się wreszcie Buddy Galatierre - ponieważ nie jestem typem mężczyzny, który buduje szczęście na gruzach cudzego małżeństwa. Nigdy wcześniej bym nie uwierzył, że mogę zrobić coś podobnego. Ale w końcu nie podajesz tego w wątpliwość. Szczęście jest wtedy, kiedy nie musisz zadawać sobie pytania, czy czujesz się szczęśliwy. Wiem, że to wyświechtany frazes, ale jakże prawdziwy.

Lily w końcu zdała sobie sprawę, że cały czas wyciąga nitkę z bluzki i natychmiast przestała to robić. Wszystko się w jakiś sposób łączyło; patrzyła na prujący się materiał jak na metaforę własnego życia.

- Mój Boże - szepnęła, właściwie tylko do siebie.

- No cóż - usłyszała głos Buddy'ego. - To wszystko działo się dawno, dawno temu. A ty nie potrzebujesz ode mnie pouczeń. Przepraszam.

- Och, nie przepraszaj. Czuję się naprawdę lepiej dzięki tobie. Jesteś wspaniałym, kochanym facetem, prawdziwym dżentelmenem. Jestem naprawdę zadowolona, że mogę mieszkać w twoim domu.

- To ja jestem szczęśliwy, że tu jesteście. I ty, i Tyler, a teraz jeszcze tak wspaniały obrót spraw - dziecko.

Przez mgnienie oka miała dziwaczne uczucie, że nawiązuje do tego, co ona odkryła właśnie tego popołudnia. Dłuższą chwilę milczeli. Buddy wpatrywał się w przeciwległą ścianę, a ona zaczęła się zastanawiać, co tam ujrzał i jakie myśli kłębią się w jego głowie.

- Muszę w poniedziałek zadzwonić do ludzi z ubezpieczeń. Myślę, że lepiej będzie, jak się dowiedzą o tym wezwaniu do sądu ode mnie.

- Strasznie mi przykro z tego powodu - powiedziała Lily.

- To śmieszne, ale kiedy ja i Millicent się kłócimy, i ona akurat prowadzi, wiesz, co wtedy robi. Wciska gaz do dechy! Zawsze muszę ustępować, żeby ją od tego powstrzymać.

- Mam nadzieję, że Tyler weźmie sobie do serca tę lekcję. Spojrzał na nią przeciągle.

- Jesteś pewna, że czujesz się lepiej?

- Och, ja... - Wyciągnęła rękę i dotknęła wierzchu jego dłoni. - Tak - dodała pewnie.

Wstał.

- Więc chodźmy na zewnątrz i weźmy coś zimnego do picia. Mogę ci nalać mrożonej herbaty.

Podziękowała i pozwoliła wyprowadzić się na taras z basenem. Wszyscy zdążyli się już przenieść na frontowy ganek z drugiej strony domu. Siedzieli na wiklinowych krzesłach, sączyli drinki i spokojnie rozmawiali.

- Chodźcie tutaj! - zawołała na ich widok Millicent. - Zaraz przyniosę krzesła.

- Dziękuję, ale chyba pójdę już do łóżka - odparła Lily. - Jestem strasznie zmęczona.

- Nie mieliśmy dziś zbyt wiele okazji, żeby pogadać - odezwał się Dominik.

Uśmiechnęła się w ciemnościach, odwracając głowę w jego kierunku.

- Nadrobimy to rano.

- Tak to już jest z damami przy nadziei - dorzucił Tyler.

Nick poruszył się niemrawo, mrużąc pod nosem słowa aprobaty, a potem uniósł rękę Manny'ego, jakby chciał pozdrowić Lily także w jego imieniu, ale Manny zdążył już zasnąć na swoim krzeselku, albo może spił się do nieprzytomności. Drgnął, cichutko się zaśmiał, a potem znowu znieruchomiał.

Nick podźwignął się z trudem.

- Czy znacie, ep, takie prawo zwyczajowe, ep, które obowiązywało w feudalnej Europie? Ktoś wie, o czym mówię? - spytał, czkając co chwila. - Był taki zwyczaj, ep, że feudalny pan mógł przespać się, ep, z wybranką swojego wasala, ep, w noc poślubną. Rozumiecie? Wszyscy załapali? I ja chcę, ep, powiedzieć w ten szczególny wieczór, że chciałbym, ep, żeby to prawo obowiązywało tutaj i żebym ja, ep, był feudałem, a Tyler moim wasalem. I żeby to była, ep, noc poślubna naszej uroczej pani Lily, ep, która wygląda jak renesansowa piękność, ep, z tym swoim wypukłym brzuszkiem przypominającym dojrzałego arbuza.

- Nick - zawołała Sheri. - Gdybyś tylko posłuchał, co ty pleciesz!

- To nieładne, wiem - odparł. - Mam bardzo kosmate myśli na temat tej pięknej pani w ciąży, która tu stoi przede mną.

Postąpił krok w jej kierunku, zatrzymał się i wykonał jakiś gest, który chyba miał być salutem, ale stracił równowagę i upadł w tył prosto w objęcia Buddy'ego.

- Śniłem erotyczny sen o pani, pani Lily - wymamrotał. - Właśnie przed chwilą.

- No, bracie, wygląda na to, że rano będziesz miał kłopoty. - Buddy śmiał się, starając się go podeprzeć.

- Kłopoty to on ma teraz - warknęła Sheri. - Niech go ktoś stąd zabierze.

- Twoje zdrówko, najśłodsza żoneczko - odparł Nick, unosząc rękę tak, jakby trzymał w niej szklaneczkę. - Dama o smutnym spojrzeniu z... no, jak to się nazywa? O, z Niderlandów.

Buddy pociągnął go w przeciwny koniec ganku.

- Rano, ep, pojedziemy zabić parę jeleni, ep. Dobry pomysł?

- Na litość boską, odprowadź go do łóżka! - wrzasnęła Sheri. Wstała niepewnie i objęła się ciasno rękoma. - Zimno mi. Czy to tylko mnie, czy to zima się już zaczęła?

Kiedy wszyscy weszli do środka, Dominik i Tyler pomogli Manny'emu wstać. Manny śpiewał cichutko coś, co w żaden sposób nie przypominało jakiegokolwiek melodii. Tyler wziął go pod jedno ramię, a Dominik pod drugie.

- Dzięki barzo - powiedział Manny, a jego angielszczyzna była jeszcze bardziej nieporadna niż wcześniej. - Ja widzieć światło, tak piękne... ja... - Urwał nagle i osunął się bezwładnie.

Tyler spojrział na niego krzywo.

- Zdaje się, że twój przyjaciel nie ma zbyt mocnej głowy - zauważył. - Nie sądzę, żeby wypił dziś więcej niż dwa drinki.

- Zawsze miał słabą głowę - oświadczył Dominik. - Ten to nigdy nie zbankrutuje z powodu alkoholu.

We dwóch z trudem powlekli Manny'ego przez drzwi wejściowe i dalej, wzdłuż korytarza aż do jego pokoju. Weszli do środka i zostali tam przez chwilę. Lily stała w smudze światła padającej przez otwarte drzwi kuchni. Rosa robiła właśnie kawę.

- Widzę, że ktoś tu posprzątał - odezwała się. Lily nic nie odpowiedziała.

- A w dodatku się upiłam.

Tyler z Dominikiem wyszli wreszcie z pokoju, zaśmiewając się z prób Manny'ego, który chciał koniecznie podnieść się z łóżka zaraz potem, jak został na nim ułożony. Rosa spytała, czy życzą sobie kawy.

- A co byś powiedziała na jajka, Rosa? - spytał Tyler.

- Nastawiłam kawę, skarbie. I właśnie idę do łóżka.

- Sama?

Rosa oparła jedną rękę na pośladku i rzuciła mu jadowite spojrzenie.

- Jak chcesz spędzić czas w szpitalu? - spytała.

- Przestań, Rosa, przecież tylko się wygłupiałem.

Spojrzała na Lily i pokręciła głową, jakby szukając moralnego wsparcia, a potem odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z kuchni. Dominik nalał kawy i przesunął filiżankę w stronę Lily.

- Nie, dzięki. Ja też już muszę iść do łóżka.

- Ona śpi za dwoje - rzucił Tyler z uśmiechem. - Idź kochanie. - Skinął w stronę Lily. - Zaraz przyjdę.

Zeszła do ich sypialni i usiadła na łóżku, żeby na niego poczekać. Kiedy się nie zjawiał, zdjęła ubranie, wciągnęła na siebie koszulę nocną i zwinęła się w kłębek pod kocem. Może nawet przysnęła, nie była pewna. Ciemność zdawała się zmieniać, choć tak naprawdę wszystko było jak przed chwilą. Gdzieś daleko w nocne niebo nad Missisipi poszybowało wycie pociągu, przeciągły jęk, który powtórzył się i zamarł w oddali.

Wreszcie Tyler przyszedł do pokoju i przygotował się do snu. Nie odezwał się do niej, a ona udawała, że śpi.

3

Kiedy za oknem zaczynało już świtać, Tyler poruszył się, wstał, wciągnął dżinsy i wyszedł na taras od strony basenu. Leżała w półśnie, czekając, aż wróci. Tej nocy kilkakrotnie budziła się w ciemności, czując bicie serca i nieokreślony strach. Teraz starała się zasnąć, ale nie mogła. Wkrótce Tyler wrócił, przeszedł przez pokój i wyszedł na schody prowadzące na piętro, skąd dobiegały odgłosy świadczące o tym, że inni też już wstali.

Do uszu Lily dobiegł śmiech Nicka, a wtedy przypomniała sobie, że panowie wybierają się dziś na północ, by zapolować na jelenie. Tyler wrócił i delikatnie zamknął za sobą drzwi, najwyraźniej starając się jej nie zbudzić.

- Już nie śpię - odezwała się.

Nie odpowiadając, poszedł do łazienki i nie wychodził stamtąd przez dłuższy czas. Jego powrót wyrwał ją z drzemki, w którą odpłynęła, kiedy zamieszanie ucichło. Włożył kurtkę i stał obok łóżka, ciężko wzdychając, a potem nagle usiadł.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Taak - mruknął, wolno kładąc się obok niej.

- Może chcesz porozmawiać?

- Nie wiem, co jeszcze można by powiedzieć ponad to, co już zostało powiedziane. Mówiłem, że mi przykro, że zareagowałem w taki sposób. I że przepraszam. Ale teraz to... teraz my... - Znowu westchnął - Nie miałem pojęcia, że tyle gniewu we mnie narosło, Lily. Myślałem, że jakoś sobie z tym radzę.

- Czy powiedziałaś mu coś zeszłej nocy, kiedy już tutaj wróciłam? - zainteresowała się.

- Nie zadawaj głupich pytań!

- No to o czym rozmawialiście?

- Trochę o Nowym Orleanie.

Usiadł i włączył lampę, a potem potarł oczy i przesunął się tak, że stopami dotykał podłogi. Na ścianie odbijał się jego cień nadnaturalnej wielkości; to sprawiło, że poczuła się przytłoczona.

- To naprawdę poważna sprawa, że nie mówi się człowiekowi o takich rzeczach - rzekł.

- Niczego przed tobą nie ukrywałam - odparła natychmiast. - Myślałam, że to dziecko jest nasze. Twoje i moje.

- Miałem na myśli to, że nic nie powiedzieliśmy jemu. Nagle ogarnęło ją uczucie, że za szorstko się z nim obeszła.

Przesunęła się nieco i dotknęła lekko jego pleców.

Odwrócił się nieznacznie, aby móc spojrzeć na nią kątem oka.

- Ile razy z nim byłaś, Lily?

- Powtarzam ci, nie byłam z nim w sposób, jaki masz na myśli.

- No to jak to zrobiłaś... używałaś aplikatora czy czegoś w tym rodzaju?

Zduśliła w sobie gniew. Mówił do niej tak po prostu, z jakąś bolesną konsternacją w głosie.

- To zdarzyło się tylko raz. Kilka dni przedtem, zanim przyszedłeś do mnie do akademika. Nie udało się i on był strasznie nieszczęśliwy. Było smutnie i trochę rozpaczliwie, i okropnie samotnie... już sama nie wiem. Jak coś w rodzaju kurczowego trzymania się razem. Nie było w tym krzty romantyzmu... zresztą to nie brzmi tak paskudnie, kiedy tylko się o tym opowiada. I nie sądziłam wtedy, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

- Ale zrobiłaś to, kiedy spotkałaś się z nim następnym razem?

- Nie! - zawołała odrobinę za głośno. - Nigdy nie byłam już z nim w intymnej sytuacji po tym pierwszym razie! Powiedziałam ci, że to zdarzyło się raz. Właśnie wtedy. I zaszłam w

ciężę od... chyba od paru kropli, na litość boską! Chcę przez to powiedzieć, że nawet nie udało nam się skończyć. On właśnie był na etapie odkrywania swoich... preferencji seksualnych.

- Powiedz to jasno: przekonał się, że jest gejem.

- Tak, gejem - potwierdziła. - W porządku. O ile się orientuję, to ciebie nie było jeszcze w moim życiu, kiedy to się wydarzyło.

- Ale tak po prostu poszłaś z nim do łóżka? Z przyjaźni?!

- To nie było tak, Tyler, i nie muszę ci się z tego tłumaczyć! Powiedziałam ci już, że to było przed tobą. Przed n a m i .

- A tak nawiasem mówiąc, to ilu facetów zaliczyłaś w życiu?

- A ty ile dziewczyn?

- Ja zapytałem pierwszy - powiedział z uśmiechem.

- Zaczynam mieć wrażenie, że wcale cię nie znałam, nawet w najmniejszym stopniu - odrzekła Lily.

- No cóż - odparł. - Wiem, że mamy lata osiemdziesiąte i wszyscy powinniśmy być seksualnie wyzwoleni niezależnie od tego, że szerzy się zaraza, która zabija tysiące ludzi. Uważam jednak, że mam prawo wiedzieć, z iloma osobami przede mną uprawiałaś seks. Na przykład, czy prowadziłaś rozwiązłe życie? I czy mam się o co niepokoić?

- Przespałam się z całym Charlottesville, jeśli chcesz wiedzieć - oznajmiła. - Przejrzałam książkę telefoniczną, zaczęłam od A i posuwałam się aż do Z. Pieprzyłam się z całymi rodzinami, i prawdę mówiąc, jak już zasnęłam w tym pociągu, kiedy tutaj jechaliśmy, przeleciałam całą załogę maszynowni i wszystkich pasażerów. Spałeś, więc sądziłam, że nie będziesz miał nic przeciw temu.

- Cha, cha - odparł, ale jego usta zaledwie się poruszyły.

- A teraz kolej na ciebie - zachęciła go. - Opowiedz o swoich przygodach. To niezła zabawa.

Cała krew odpłynęła mu z okolicy ust, a oczy zwęziły się w dwie szparki.

- O Chryste, czy kiedykolwiek uda się nam przejść nad tym do porządku dziennego?

- Racja - odrzekła. - Ale to, hmm, zależy głównie od ciebie, jak sądzę. Może powinieneś po prostu wbić sobie do głowy, że nie wolno ci się wypowiadać na ten temat. To nie jest epoka wiktoriańska, na litość boską. To moja sprawa i to się stało, zanim przyszedłeś do mnie tamtego dnia i zanim byłam taka szczęśliwa, że cię widzę. Tak było, pamiętam dokładnie. Byłam taka szczęśliwa, kiedy cię ujrzałam... i ja... och, tak... pamiętam, zapytałam cię, ile kochanek miałeś

przede mną, ale tak naprawdę wcale mnie to nie obchodziło. I myślałam, że ciebie też to nie będzie interesowało.

- Ja byłem prawiczkiem - odparł.

Gapiała się na niego bez słowa. W wyrazie jego twarzy pojawiła się jakaś godność, a może w sposobie, w jaki wysunął podbródek, kiedy wymawiał te słowa, ale natychmiast nabrała przekonania, że powiedział prawdę. Poczuli się przytłoczona gorzką myślą, że może on czuje się oszukany z tego powodu i chce wyegzekwować od świata jakąś karę za to. Zaciskał usta, a w jego oczach płonęło oburzenie i dezaprobata.

- No cóż - odezwała się w końcu. - Właściwie ja też.

- Przecież byłeś w ciąży, na rany Chrystusa! - zawołał.

- Wyjaśniłam ci już, jak do tego doszło. Znowu zapadło milczenie.

- Chryste, co my teraz zrobimy - wyjęczał.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam zamiar urodzić to dziecko, a potem wychowywać je i kochać. - Znowu znalazła się na krawędzi łez.

- Kochasz mnie jeszcze? - spytał.

- Teraz to nawet nie za bardzo cię lubię, mogę ci to spokojnie powiedzieć - odparła. - Co ty sobie właściwie myślisz, Tyler? Co według ciebie czułam przez kilka ostatnich miesięcy?

Patrzył w dół na własne dłonie.

- O Boże, Lily. Jestem przerażony.

- Nigdy nie przeżywałam czegoś podobnego. - Rozpląkała się na dobre. - Na litość boską, ja mam tylko dwadzieścia jeden lat! My nigdy... Tyler, ja myślałam, że będziemy mieć dziecko, że staniemy się rodziną! Myślałam, że denerwujesz się dlatego, że zostaniesz ojcem!

Nie odezwał się słowem, nie wykonał mniejszego ruchu.

- Rozumiesz? Nie byłam na to przygotowana... na nic z tego, co mnie spotkało. Ty miałeś więcej czasu, żeby się przyzwyczaić. Wiedziałeś o tym znacznie dłużej niż ja. Myślałam, że mówimy sobie zawsze o wszystkim...

Wielkimi krokami przeszedł przez całą szerokość pokoju, a potem wrócił na miejsce, usiadł z powrotem i ku jej zaskoczeniu zamknął jej dłonie w swoich.

- Posłuchaj - rzekł spokojnie. - Będę dobrym ojcem. Możesz być pewna.

- Tak, tak - załkała. - Wiem.

- Dominik jest bardziej twoim przyjacielem niż moim i ty znasz go lepiej niż ja. Ale nie sądzę, żeby to go uszczęśliwiło... to... ta wiadomość. A poza tym... O Chryste, jeśli on się dowie, wszyscy będą wiedzieć. - Ścisnął jej rękę. - Wszyscy!

Lily wbiła wzrok w podłogę.

- Jesteś pewna, że nie przespałaś się z nikim innym? - zapytał znowu.

- Tak. Jestem pewna - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- No cóż - podsumował. - Może byłoby łatwiej, gdybyś się jednak przespała. Nie miałabyś pewności, że to jego.

- Och - wykrztusiła przez łzy, gorzko łkając. - Byłoby wspaniale, doskonale to rozumiem.

Przez długi czas siedzieli obok siebie, nic nie mówiąc ani się nie ruszając. Od czasu do czasu Lily pociągała nosem. Dopiero po chwili zauważyła, że Tyler nerwowo zaciska dłonie.

W końcu odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Jedziemy na polowanie. Wyobraź sobie tylko: Buddy, Nick i ja. Nick próbował namówić Dominika i Manny'ego, ale Manny ma za dużego kaca. Jest kompletnie rozbity.

- Więc Dominik także z wami nie jedzie?

- Posłuchaj. Nic mu nie mów.

- Tyler, proszę cię!

- Wiesz, o czym mówię. Trzymaj język za zębami. Oni pojedą do Nowego Orleanu i na tym wszystko się skończy.

- Nie wiem, czy uda mi się przez całe życie trzymać to przed nim w tajemnicy! On jest moim przyjacielem. W dodatku chyba ma prawo wiedzieć, nie uważasz?

Tyler wstał gwałtownie i znowu zaczął się przechadzać energicznym, pełnym tłumionej wściekłości krokiem do półek z książkami i z powrotem. Na jego ramionach ukazały się żyły i napięte mięśnie, bez ustanku mamrotał coś pod nosem.

Przestała płakać, chociaż całym jej ciałem wstrząsało łkanie.

- Niech to diabli - zaklął pod nosem. - Niech to diabli wezmą!

Łamiącym się głosem wyrzuciła z siebie te same słowa, które niegdyś skierowała pod adresem młodej żony swojego ojca, przed tyloma miesiącami, kiedy jeszcze miała tak niezachwiane poczucie zła i dobra.

- Nie martw się - powiedziała, patrząc w ciemność za oknem. - Może coś się jeszcze wydarzy.

4

Jakiś czas potem poszła na górę i naląła sobie miseczkę mleka, do którego wsypała płatków zbożowych. Pozostali domownicy najwyraźniej jeszcze przebywali w swoich sypialniach. Wróciła więc do siebie, wzięła prysznic i szybko się ubrała, unikając patrzenia na swoje odbicie w lustrze. Kiedy po raz drugi wdrapała się na piętro, spotkała tam Millicent i Rosę, które właśnie wybierały się do miasta. Spytały, czy chciałyby pojechać z nimi do Square Books, ale odmówiła. Pomachała im na do widzenia i poszła na taras, żeby posiedzieć przy basenie w przyjemnym chłodzie. Powietrze było rześkie, ale nie zdążyło się jeszcze zrobić zimno, co przewidywała poprzedniego wieczoru Millicent. Nad basenem unosiła się rzadka mgiełka, a powierzchnia wody była gładka jak lustro. Najlżejszy podmuch wiatru nie zakłócał tego spokoju. Słońce grzało przyjemnie, ale kiedy weszło się w cień, natychmiast czuć było różnicę. Lily przyciągnęła mały stołek i oparła na nim nogi.

Z domu wyszedł Dominik, niosąc dla niej szklankę soku pomarańczowego. Usiadł na krześle obok. Minęła chwila, a żadne z nich nawet nie spojrzało na sąsiada.

Wreszcie Dominik westchnął i mlasnął.

- Wiesz - odezwał się - Manny przeczytał gdzieś, że Bush wysłał memorandum do urzędu skarbowego, żeby załatwili wreszcie sprawę podatków, zwłaszcza klasy średniej i najuboższych. Najwyraźniej biedni nie płacą wystarczająco dużo i wystarczająco szybko.

Wydała z siebie jakieś chrząknięcie, które, jak miała nadzieję, wziął za aprobatę.

- Co się właściwie z tobą dzieje, koteczku?

- Nic takiego - odpowiedziała prędko.

- Może po prostu mamy dzisiaj zbiorowego kaca. Przez kilka sekund panowała cisza.

- Coś jest nie w porządku - stwierdził Dominik. - Coś mi tu stanowczo nie pasuje.

Omiótł spojrzeniem dom i taras z basenem.

- Na przykład, dlaczego ty i Tyler ciągle tu mieszkacie? Przecież w tym mieście muszą być jakieś przyjemne domy do wynajęcia.

Patrząc mu prosto w oczy, opowiedziała o domu, w którym by zamieszkali, gdyby nie spłonął doszczętnie w pożarze. Przez cały czas czuła ciężar tego, co przed nim tała, podobnie jak czuła ciężar własnego ciała.

- No cóż, oni wszyscy tutaj są cudowni i tak dalej, ale jeśli o mnie chodzi, wolałbym być na swoim. Przecież ciągle musicie się czuć tak, jakbyście czekali na początek wspólnego życia. Ja bym nie zniósł czegoś takiego.

Klepał się po kolanie otwartą dłonią, wpatrując się jednocześnie w bezchmurne niebo i połyskujące zakola dalekiej rzeki. Jakaś część jego ciała zawsze pozostawała w ruchu - tak rozpierał go nadmiar energii.

- Manny... Manny jest dobry. Chyba zresztą ci o tym pisałem.

- Tak - potwierdziła. Znowu zapadła cisza.

- Spotkałem go u przyjaciela.

- Ma wspaniałe, bardzo łagodne oczy. To pierwsza rzecz, jaką się dostrzegła.

Dominik przechylił się z krzesłem w tył, a potem pozwolił mu opaść do przodu.

- Odnoszę wrażenie, że Manny byłby bardziej rozmowny, gdyby bariera językowa nie stanowiła pewnego rodzaju wymówki. Píše całkiem sprawnie. Nie domyśliłabyś się, że on nie jest stąd.

- Ma ciotkę w Nowym Orleanie? Dominik skinął głową.

- To znaczy Manny mówi o niej ciocia Violet. Zdobyła gdzieś dobre wykształcenie. Mieszka w Nowym Orleanie od lat trzydziestych. Mówiłem ci, że właśnie u niej będziemy mieszkać?

- Wydaje mi się, że wspominałeś o tym przez telefon.

- Myślałem, że ci mówiłem, że jedziemy się z nią zobaczyć. - Znowu przechylił krzesło do tyłu, z tą różnicą, że tym razem został w tej pozycji dłużej, splatając ręce za głową. Zatrzymał wzrok na migoczącej w oddali rzece.

- Czy to Missisipi? - spytał.

- Chyba jakaś jej odnoga. Odwrócił się w jej stronę.

- Nigdy nie sądziłem, że jesteś tak mało ciekawska. A tak nawiasem mówiąc, to co się wydarzyło?

Nie od razu zdążyła zrozumieć pytanie.

- Nic - odpowiedziała mechanicznie. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Dominik, o co ci chodzi? - zdenerwowała się.

- Coś jest nie tak. Czekala na jego dalsze słowa.

- Czy jesteś szczęśliwa, że spodziewasz się dziecka?

- O Chryste. A cóż to za pytanie?

- To dobrze - odparł i pochylił się w przód, rozplatając dłonie. Krzesło wróciło do poprzedniej pozycji. - Czy bardzo jesteś zaabsorbowana swoją książką?

Zmarszczyła brwi.

- Miałem na myśli tę sztukę. No, cokolwiek. To o Mary Kingsley.

- Nie wiem, co z tym będzie dalej.

- Czy właśnie to cię dręczy? - spytał łagodnie.

W tym właśnie momencie, siedząc z nim w ciepłym blasku słońca i czując na sobie bystre spojrzenie jego bladych oczu, o mało co nie wyznała prawdy. Potrzeba była tak silna, że aby się jej oprzeć, musiała wstać i odejść aż do granicy trawnika.

Poszedł za nią.

- Czy to właśnie to? - pytał raz za razem.

- Nic mnie nie dręczy, Dominik. Uwierz mi, proszę.

- A może to dotyczy ciebie i Tylera? Może nie możecie się dogadać? To widać - każdy to widzi.

Delikatnie ujęła go za łokieć.

- Czy ktoś coś mówił na nasz temat?

- Kto?

- Nick albo Sheri. Albo inni.

- Nikt nic nie mówił. Ja to zobaczyłem. Rozumiesz? Kiedy użyłem słowa „każdy”, miałem na myśli kogoś o mojej wrażliwości i spostrzegawczości.

- Dominik... - zaczęła, a potem szybko dodała: - Nie. Ja... ja nie mogę z tobą o tym rozmawiać!

Odsunęła się od niego i poszła w kierunku domu. Rosa i Manny zdążyli w tym czasie wyjść na zewnątrz i usiąść na krzesłach w plamie słońca. Lily minęła ich bez słowa. Weszła do środka, a Dominik poszedł za nią.

- Jezu, coś złego się dzieje. Może jednak powiesz mi, o co chodzi?

Ogarnęło ją straszne przeczucie, że on wie o wszystkim, ale chce, żeby to ona przekazała mu tę informację jako dowód zaufania między przyjaciółmi.

- Posprzecaliśmy się - rzuciła pośpiesznie. - Naprawdę... nic ponadto.

Przesuwając się w stronę schodów prowadzących w dół na jej piętro, powtarzała sobie w duchu, że w pewnym sensie tak właśnie było i że w zasadzie nie okłamała Dominika.

CZEŚĆ 4

JESIEŃ

Rozdział 16

1

Wieczorem tego samego dnia przyjechało dwóch policjantów z wiadomością, że Buddy Galatierre został zabity. Millicent, Sheri i Lily siedziały właśnie na ganku, czekając na powrót mężczyzn. Kiedy słońce skryło się już za drzewami po zachodniej stronie domu, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze, każdą z nich ogarnął niepokój, skrywany starannie przed pozostałymi. Włożyły swetry, lecz Lily pomimo to drżała z chłodu. Pozostały jednak na zewnątrz w zapadającym zmroku i czekały. Dominik usiadł razem z nimi i gadał jak najęty o jakiś starych programach telewizyjnych, próbując bezskutecznie rozproszyć ich zdenerwowanie. W końcu wstał i poszedł z powrotem, żeby obudzić Manny'ego z popołudniowej drzemki. Kiedy zniknął w głębi domu, odezwała się milcząca dotąd Sheri.

- Mam nadzieję, że Nick nie zaciągnął ich do jakiejś knajpy, żeby się czegoś napić.

To Millicent pierwsza spostrzegła wóz policyjny. Z nerwów aż przestała oddychać, czekając, aż policjanci wysiądą i podejną bliżej. Wszystkie trzy wstały. Na ich widok z gardła Lily wydobył się nieartykułowany jęk. Poznała starszego z funkcjonariuszy: był to ten sam oficer, który wlepił Tylerowi mandat za przekroczenie prędkości. To on właśnie bezbarwnym, pozbawionym emocji, choć uprzejmym tonem przekazał im tę straszną wiadomość. Widać było, że tylko spełnia zawodowy obowiązek.

- Pani Galatierre?

- To ja... ja - odezwała się Millicent błagalnie, jakby prosiła ich, żeby nie robili jej krzywdy.

- Proszę pani... to znaczy pani Galatierre, obawiam się, że to chodzi o pani męża. - Tu przerwał, ale po chwili kontynuował: - Obawiam się, że pani mąż... - Znowu urwał, a Millicent zaczęła powoli osuwać się na kolana. Lily i Sheri złapały ją pod ręce.

- Przykro mi - dodał.

Sheri zaczęła zawodzić. Obaj policjanci pomogli przenieść Millicent do domu i ułożyć ją na kanapie. Sheri stała w drzwiach, a na jej pełnej bólu twarzy malowało się niedowierzanie.

- To musi być jakaś pomyłka - łkała.

Policjanci wyrazili swoje współczucie, a starszy wyjaśnił, że Nick i Tyler są w szpitalu, dokąd został przewieziony pan Galatierre. Przywieźli go tam osobiście. Najwyraźniej chodziło o wypadek z bronią. Jeden z karabinów wypalił i pan Galatierre został trafiony w brzuch. Byli wtedy głęboko w lesie, nikt nie mógł szybko udzielić pomocy. Włożyli wiele wysiłku w to, żeby zawieźć go jak najszybciej do szpitala w Memphis, ale stracił tyle krwi, że lekarzom nie udało się go uratować. Nick z Tylerem byli właśnie przesłuchiwanymi przez policję.

- Wiecie panie, za każdym razem, kiedy chodzi o broń palną... no cóż, trzeba zadać trochę pytań - wytłumaczył młodszy.

- Zabierzemy panie do szpitala - dodał starszy. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Dominik i Manny wyszli z salonu i pojawili się w kuchni dokładnie w chwili, kiedy Lily sięgała po płaszcz.

- Lily, co się dzieje? - zainteresował się Dominik.

I wtedy zupełnie się załamała. Nie mogła wyartykułować żadnego słowa pomiędzy spazmami niespodziewanego płaczu, a Dominik otoczył ją ramionami i trzymał mocno.

- Lily, o co chodzi? No co jest? Co się stało? - mruczał jej do ucha.

Tylera znaleźli w maleńkim pokoiku przylegającym do głównego holu szpitala. Siedział na biurku, a nad nim stali dwaj policjanci. Najwyraźniej płakał już od dłuższego czasu i siedział z głową schowaną między rękoma. Na blacie stał magnetofon i od razu spostrzegli, że taśma się przesuwająca. Sheri głosem nabrzmiałym od łez zapytała o Nicka i została skierowana do innego pokoju mieszczącego się w głębi holu. Lily poszła razem z nią, ponieważ przesłuchanie Tylera jeszcze się nie zakończyło. Nick siedział w pokoju sam i szklanym wzrokiem gapił się w ścianę. Zobaczyły go przez szybę w drzwiach, ale nie pozwolono im wejść, przynajmniej na razie. Nie wiadomo skąd pojawił się jakiś przygarbiony mężczyzna w garniturze, ze skoroszytem w ręku i zażądał rozmowy z każdą z nich na osobności. Miał wydatne policzki, nieomal robiące wrażenie spuchniętych i zaczesaną na czoło grzywkę, która nadawała mu złowrogi wyraz, ale przemówił do nich łagodnie, a jego zachowanie wyrażało współczucie. Najpierw rozmawiał z Millicent, podczas gdy Lily i Sheri czekały w przestronnym holu na skórzanej kanapie w absurdalnie niebieskim kolorze. Sheri była w szoku; ktoś podał jej środki

uspokajające. Siedziała ze złączonymi nogami, trzymając zaciśniętą w drobnych pięściach chusteczkę, jakby miała zamiar rozerwać ją na pół. Łzy spływały po jej policzkach nieprzerwanie, ale nie odezwała się ani razu; odnosiło się wrażenie, że w ogóle nie słyszy, co się do niej mówi.

Starszy policjant wracał właśnie przez szpitalny hol.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, co się dzieje? - spytała błagalnym tonem Lily.

- Proszę pani, dopóki nie uzyskamy całkowitej pewności, w jaki sposób doszło do tego wypadku, musimy traktować całą sprawę jak zabójstwo.

Lily poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

- Został zastrzelony człowiek. Musimy ustalić, co się właściwie wydarzyło. Trzeba napisać raport. Czy to pani jest żoną pana Harrisona?

Skinęła głową.

- To z jego karabinu padł strzał.

- O mój Boże... - Tyle zdołała wykrztusić.

- Proszę! - Podprowadził ją do miejsca, gdzie siedziała

Sheri, z rękoma ciągle zaciśniętymi na kolanach i strumieniami łez spływającymi po policzkach. Kiedy Lily usiadła obok, Sheri poruszyła się i widząc policjanta, wymamrotała:

- Uważam, że on przyjechał tutaj po to, żeby zabić mojego ojca.

Policjant pochylił się nad nią.

- Proszę mi wybaczyć... czy pani Sheri... to znaczy pani Green?

Podniosła na niego zaczerwienione oczy.

- Czy chce pani mi o czymś powiedzieć?

- To on zabił mojego ojca. Po to tu przyjechał - powiedziała.

Lily delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Sheri, proszę, nie mów w ten sposób. Wiesz, co Tyler czuł do...

- Przepraszam, pani Green, ale najwyraźniej to pani mąż niósł ten karabin, który wypalił - wtrącił policjant.

- Nick? - załkała Sheri. - Nick to zrobił?

Spojrzała na niego, potem na Lily, aż wreszcie osunęła się bezwładnie w jej ramiona.

Przesłuchania trwały już ponad dwie godziny, a przecież Nick i Tyler odpowiadali na pytania policji na długo przed przybyciem kobiet. Millicent była jak ogłuszona, a środki uspokajające, które jej zaaplikowano, tak ją oszołomiły, że lekarze zdecydowali się zatrzymać ją na noc w szpitalu. Policjanci byli dosłownie wszędzie, ale zachowywali się z niezwykłą kurtuazją, kierując rozmowami tak, aby wyjaśnić to, co najwyraźniej nie było niczym więcej jak tylko koszmarnym wypadkiem. Nie mogli jednak zaręczyć, przynajmniej w obecnej chwili, że Nickowi nie zostanie postawione oskarżenie o zaniedbanie; powinien sprawdzić, czy niesiona przez niego broń jest zabezpieczona.

Cała historia, jeśli wszystko udało się dokładnie odtworzyć, sprowadzała się do tego, że trzech mężczyzn pojechali na odległe leśne tereny i w trakcie polowania oddalili się z pięć kilometrów od samochodu. Szli tropem niedźwiedzia, prawdopodobnie baribala. Nie napotkali żadnych śladów jelenia - z wyjątkiem, jak zeznał łamiącym się głosem Nick, resztek zwierzęcia zabitego na drodze przez jakiś samochód. Ze względu na to, że mieli do czynienia z niedźwiedziem i że trop był bardzo świeży, trzymali odbezpieczone karabiny. Nick poprosił Tylera, żeby pokazał mu swoją broń, więc Tyler mu ją wręczył, a w zamian wziął karabin Nicka. To była z jego strony po prostu taka zachcianka, jaka czasem zdarza się wśród męskiej części młodzieży - trzymanie cudzej broni sprawiało Nickowi przyjemność. W pewnym momencie drogę zagroził im płot z drutu kolczastego, więc przygotowali się do pokonania przeszkody i wtedy każdy z nich, zanim zaczął się wspinać, zabezpieczył broń. Tyler i Buddy weszli na górę i zeskoczyli po drugiej stronie i właśnie kiedy Nick miał pójść w ich ślady, coś się poruszyło w pobliskich krzakach. Natychmiast odbezpieczył karabin i stał w gotowości, podczas gdy Tyler i Buddy przykucnęli, nasłuchując. Czekali przez jakiś czas, prawie piętnaście minut, rozmawiając przyciszonymi głosami i denerwując się z powodu niedźwiedzia, możliwego ataku i zagrożenia wścieklizną. Byli w lesie i niepokojące hałasy znowu się powtórzyły, potem ucichły, a później rozległy się na nowo. Czekali w napięciu jeszcze kilka minut. W końcu wszystko zupełnie zamarło, ale ta cisza przepelniona była strachem przed niedźwiedziem. Mieli wrażenie, że coś ich obserwuje. Wreszcie zaczęli się śmiać, choć nerwowość jeszcze ich nie opuściła. W końcu Nick wlaź na płot, i to szybko, bo wyobraził sobie, że niedźwiedź może go dopaść, kiedy on będzie wisiał na drutach. Z pośpiechu jednym butem zawadził o krawędź drugiego i zwałił się na dół, rozdzierając sobie do krwi ramię.

Wtedy karabin wypalił. Upłynęła dobra chwila, zanim Nick czy Tyler zorientowali się, co się stało.

Nick zapomniał o ponownym zabezpieczeniu broni.

Wówczas nie myśleli logicznie. Niedźwiedź, jeśli to był naprawdę niedźwiedź, całkowicie zaprzętał im głowy. Teraz musieli pogodzić się z trudnym do wypowiedzenia faktem, że nie mogą odkręcić tego, co się stało, i wrócić po własnych śladach do punktu wyjścia. Tylko powinni być bardzo uważni i wyjątkowo ostrożni.

W czasie drogi do domu Lily prowadziła. Nikt się nie odzywał. Nocny wiatr zrobił się chłodny, a rozgwieżdżone niebo było jakby znacznie niżej niż zwykle.

Kiedy dojechali, Rosa otworzyła im drzwi. Na jej twarzy widać było ślady łez. Odsunęła się na bok, żeby wpuścić ich do środka, a potem zniknęła w jakiejś części domu, żeby samotnie przeżywać swój ból. Dominik i Manny siedzieli w kuchni, z bezsilnymi, pełnymi przygnębienia minami ludzi, którzy znaleźli się na skraju katastrofy. Sheri minęła ich, jakby byli częścią umeblowania, i naląła sobie dużą szklankę whisky. Wypiła ją wolno, dużymi łykami. Choć w jej krwi znajdowały się już środki uspokajające, cała ta mieszanka wydawała się w ogóle nie działać. Popatrzyła na obydwu chłopców i na Lily, ale nic nie powiedziała. Kiedy ruszyła w kierunku wyjścia z kuchni, Dominik zapytał, czy on i Manny mogliby w czymś pomóc.

- Och, nie... przykro mi - odparła. - Proszę... proszę mi wybaczyć.

Głos się jej zupełnie załamał. Łkając, pobiegła na górę i usłyszeli, jak cicho zamykają się drzwi pokoju, który dzieliła z Nickiem. Z kolei Tyler wędrował po wszystkich zakątkach domu, zupełnie zagubiony, z szeroko otwartymi oczyma, jak dziecko, które dopadły nocne koszmary. Nick leżał na sofie w salonie z twarzą wtuloną w poduszkę i płakał.

- Mój Boże... - westchnął Manny, zaciskając dłonie.

- Lily - mruknął Dominik. - Myślę, że ja i Manny powinniśmy wyjechać.

Skinęła głową, na wpół przypominając sobie, że miała mu coś ważnego do powiedzenia, coś, o czym powinien wiedzieć. Było prawie tak, jakby o tym zapomniała. W poszukiwaniu Tylera przeszła przez wszystkie pokoje. Znalazła go w przestronnym pokoju dziennym, tym ze skórą niedźwiedzia na podłodze i głowami zwierząt na ścianach, i przypomniała sobie, że zaledwie zeszłego wieczoru właśnie tutaj przyprowadził ją Buddy, żeby uspokoić jej skołataną nerwy opowiadaniem, jak on sam napotkał szczęście. Teraz ten epizod wydawał się odległy o całe wieki. Patrzyła, jak Tyler podnosi zdjęcie oprawione w ramki i jak je odstawia z powrotem, a kiedy odwrócił się do niej, zobaczyła na jego twarzy wyraz przerażenia.

- O Jezu - wykrztusił na jej widok i zaczął płakać. - Jezu...

Pobiegł do następnego pokoju i jeszcze do następnego, aż do schodów, po których wspiął się na piętro, kierując się do pustej sypialni matki i Buddy'ego.

Lily pobiegła za nim. Tyler usiadł na krawędzi łóżka i wydawało się, że jest bliski załamania. Zobaczył Lily stojącą w drzwiach pokoju.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwał się do niej. - Po prostu nie mogę.

Podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

W pokoju znajdowały się fotografie Sheri z różnych etapów jej dorastania i kilka zdjęć Tylera, najwidoczniej zrobionych przez kogoś, komu Buddy płacił za to, żeby jeździł na północ i przywoził jakieś dowody istnienia opuszczonego syna Millicent.

- Lily, ja nie chciałem, żeby stała mu się krzywda. Przez całe życie pragnąłem jakoś go zranić. Ich obydwójce. I teraz myślę, że to zdarzyło się przez mnie, Lily, bo jakżeby inaczej mogło do tego dojść.

- Ciii... - szepnęła Lily - Nic nie mów... Zaszlochał i przyciągnął ją do siebie.

- Ja nigdy nie marzyłem... Jezu. Tak bardzo go polubiłem. Ale kiedy byłem dzieckiem, bardzo chciałem zrobić coś, co dotknęłoby ich obydwójce. Lily, myślałem o tym, dorastając, myślałem, kładąc się do łóżka wieczorami - tak bardzo mnie zraniło to, co zrobili. I tak przez całe życie. To moja wina. Tylko moja. Ale pokochałem ich, Lily, przysięgam! Kiedy dostałem ten... no, ten mandat... on był bardzo zmartwiony z mojego powodu. Położył mi wtedy rękę na ramieniu i widziałem jasno, że się o mnie niepokoi. Właśnie on. Nigdy, nawet przez pięć minut, nie zdarzyło się coś podobnego z moim ojcem. A tak tego potrzebowałem, kiedy byłem mały...

- Och, kochanie - szepnęła Lily. - Ulżyj sobie. Mów dalej i niech ten ból odejdzie.

Kontynuował monolog, szlochając, ale teraz jego słowa były zupełnie niezrozumiałe. Płakał. Mijały minuty, a ona przytulała go coraz mocniej i także płakała. Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzieli. W końcu obsunął się bezwładnie: wyczerpanie i lekarstwa, którymi nafaszerowali go lekarze, wreszcie przyniosły efekt. W jej ramionach, na łóżku należącym do Millicent i Buddy'ego, odpłynął w niespokojny sen. Trzymała go tak przez dłuższą chwilę, a potem wyswobodziła się i zeszła na dół.

Słyszała, że ktoś się tam porusza. To był Nick Green, który stojąc przy kuchennym blacie, nalewał sobie właśnie bourbona. Jego oczy były szkliste i przepełnione bólem.

- Nie mogłem zasnąć - powiedział.

- Nie pij już więcej, Nick.

- Chłopcy już wyjechali.

- Dominik...

Skinął głową, zanim zdążyła dokończyć zdanie, i pociągnął duży łyk whisky. Lily odniosła wrażenie, że przełykanie płynu sprawia mu ból. Postawił szklanke na blacie, ściskając ją kurczowo i opuścił nisko głowę. Jakiś dźwięk przypominający zduszony krzyk wyrwał się z jego gardła. Westchnął ciężko, wyprostował się i znowu łyknął whisky. Zobaczyła krew na rękawie jego koszulki w miejscu, gdzie się zranił.

- Nick... - odezwała się przyciszonym głosem.

Znowu się skrzywił, przełykając alkohol. Kiedy podniósł na nią wzrok, zobaczyła, że jego oczy wypełniały łzy, chociaż żadna nie pociekła po policzku. Pociągnął kilkakrotnie nosem, pokręcił głową i westchnął ponownie.

- Coś mi tam dali, w tym szpitalu. Ale to w ogóle nie działa.

- Przestań, proszę. To był wypadek.

- O Boże, Lily! Jezu Chryste! - zaszlochał.

Zbliżyła się do niego i otoczyła go ramionami, płacząc razem z nim. We dwoje stali w świetle kuchennej lampy, wśród woni potu i brudu.

Wreszcie oderwała się od niego i ruszyła w stronę wyjścia. Trzymając framugę drzwi, spojrzała na niego - nie ruszył się z miejsca, w którym stał, kiedy weszła tu przed kilkoma minutami.

- Inni już śpią - powiedziała, pociągając nosem, aby powstrzymać łzy.

Zobaczyła, jak podnosi do ust szklanke.

- Idź już do łóżka, Nick. Proszę...

- Wyobraź sobie, że zabijasz człowieka - wychrypiał - a oni zadają ci masę pytań na temat, no wiesz... Chcą znać każdy szczegół, pytają cię, jak wyglądał pocisk, musisz mówić o tym, jak ten człowiek krwawił i umierał na twoich oczach... tak, na twoich oczach. Jezu! - Rozszlochał się i wierzchem dłoni przetarł lewe oko. Odwrócił się do niej bokiem i znowu zaczął pociągać nosem. - O Chryste! Tak mi przykro!

- Wiem.

Nie patrzył teraz na nią i mówił dalej jakby do siebie.

- I... i... o Boże. Każą ci to bez przerwy powtarzać... Są tacy cierpliwi i mili przez cały czas, a ty powtarzasz to i powtarzasz, aż w końcu dają ci jakieś lekarstwa, żebyś mógł zasnąć...

Nagle znowu spojrzął prosto na nią. Wyciągnął przed siebie ręce jak ktoś, kto czuje się całkowicie zagubiony.

- A potem odsyłają cię do domu - dodał.

3

Pogrzeb Buddy'ego odbył się w najbliższą środę w kościele episkopalnym św. Jana. Przybyło mnóstwo ludzi; ponad pięćset osób, jeśli wierzyć słowom pana Soburgera, prowadzącego ceremonię pogrzebową, który na tę okazję włożył garnitur z mocno zniszczonymi mankietami, jak zauważyła Lily. To wydawało się tak nie na miejscu - osoba prowadząca pogrzeb w stroju noszącym oznaki zużycia - chociaż zachowanie pastora nacechowane było spokojem i godnością. Roger Gault trzymał się blisko Millicent przez cały czas trwania ceremonii. Sheri i Nick nie odstępowali sobie na krok.

Ostateczna ocena tej katastrofy była następująca: nieszczęśliwy wypadek - możliwy do uniknięcia, przerażający - ale jednak wypadek. Dwaj lekarze na izbie przyjęć rozmawiali z Buddym, zanim stracił przytomność, i przedstawił dokładnie taką samą wersję wydarzeń jak później Nick i Tyler. Mówił o niedźwiedziu czy też czymś innym, co ruszało się w krzakach, o tym, jak Nick spadł z ogrodzenia i jak karabin sam wypalił. Jeśli nawet Millicent zamierzała przedsięwziąć dalsze kroki i wnieść oskarżenie - pewien znakomity prawnik przysłał jej wizytówkę i zachęcił do wszczęcia procesu o nieumyślne spowodowanie śmierci - to nic nie powiedziała. Pozwoliła Nickowi objąć się i tak naprawdę wyglądało na to, że to on potrzebuje wsparcia.

Pastor był niedużym, bladym mężczyzną o czarnych oczach i wyrazie twarzy pełnym goryczy; z wąskimi ustami, dołkami w policzkach i długim nosem z widoczną białą chrząstką, jakby skóra w tym miejscu była szczególnie mocno napięta. Wymawiał słowa liturgii pośpiesznie, niemalże na odczepnego, stojąc przed olbrzymim stosem kwiatów, których lwią część stanowiły te przysłane wspólnie przez rodziców Lily i Peggy. Potem wygłosił kazanie na temat zbawienia oczekującego nas wszystkich, a wówczas w jego głosie zabrzmiało samozadowolenie i satysfakcja. Kilku przyjaciół i współpracowników zmarłego wstało, żeby powiedzieć parę słów na temat Buddy'ego. W ich wypowiedziach powtarzało się zdanie, że on sam na pewno nie życzyłby sobie mów pochwalnych wygłaszanych pod swoim adresem. Buddy Galatierre był zainteresowany pomaganiem innym - naprawdę obchodził go drugi

człowiek, niezależnie od tego, kim był, i chociaż miał wyjątkowo słabą pamięć do nazwisk, pamiętał najdrobniejsze szczegóły z jego życia i zawsze chciał je znać, chciał o nich rozmawiać. I kiedy byłeś z nim, dokładnie tak to odbierałeś. Czułeś, że twoje sprawy nabierają większego znaczenia, ponieważ były ważne również dla niego. Lily płakała, słuchając tych słów. Tyler, siedzący tuż obok, wyciągnął rękę i przykrył jej dłoń.

Mowy pochwalne zdawały się nie mieć końca. Rosa wstała, żeby powiedzieć, że pierwszego dnia pracy u państwa Galatierre'ów pokłóciła się z Buddym na tematy polityczne i że w środku dyskusji przyszła jej do głowy zadziwiająca myśl, że on w ten sposób ośmielił ją do siebie i szybko mu się to udało. Przy ostatnich słowach zabrakło jej tchu od płaczu. Po niej jeszcze zabrały głos dwie inne osoby.

Dziecko poruszyło się w brzuchu Lily jak nieznośne, okrutne i prozaiczne przypomnienie faktu, że życie toczy się dalej. Odrzuciła od siebie tę myśl i skojarzenia, jakie wywoływała, ale pomimo to w wyobraźni cofnęła się w przeszłość do dnia, w którym urodził się Buddy Galatierre. Przez wszystkie lata czekał na niego taki właśnie kres życia. To całkowite rozsypanie się w proch wszelkich uczuć i oczekiwań. Do głowy przyszła jej mglista myśl dotycząca dziecka i jego nieznanego losu. Tyler ścisnął ją za rękę i dopiero wtedy dotarło do niej, że przez cały czas z jej piersi wydobywa się cichutki szloch. Millicent obejrzała się do tyłu i skinęła głową. Jej oczy także były mokre. Lily nic już nie słyszała z tego, co mówiono. Patrzyła na twarze dookoła, na łukowate sklepienie kościoła, na prosty drewniany krzyż nad ołtarzem. Żadna z tych rzeczy nie robiła już na niej wrażenia.

Tłum wylał się na zewnątrz świątyni w blask słońca i chłód. To był pierwszy naprawdę zimny dzień, bezwietrzny i jasny; na bezchmurnym ciemnoniebieskim niebie wisiał blady strzępek księżyca. Było w tym wszystkim coś okrutnie pięknego, jakaś niemożliwa bezlitosna przejrzystość powietrza, jakby świat ogłaszał wszem wobec swoją wielkość, obojętną wobec ludzkiego cierpienia. W kierunku cmentarza wolno posuwał się długi rząd samochodów. Lily z Tylerem jechali zaraz za karawanem, razem z Millicent, Sheri, Nickiem i Rosą. Sheri bez przerwy pociągała nosem, wycierała go w chusteczkę i spoglądała na przesuwany się za szybą krajobraz. Nick obejmował ją ramieniem, patrząc martwym wzrokiem w przestrzeń. Lekarze zaaplikowali mu na uspokojenie Xanax. Millicent także siedziała obok niego, po przeciwnej stronie niż Sheri, i obserwowała drogę przed samochodem. Lily i Tyler zajęli miejsca naprzeciw nich, obok Rosy, która zaciskała mocno dłonie na kolanach, jakby dzięki temu udawało się jej zachować spokój. Wszyscy czekali na cokolwiek, co mogliby zrobić;

przynajmniej Lily odbierała to w ten sposób - ogromny, nieutulony żal i poczucie beznadziei pomieszane z chęcią bycia użytecznym w jakikolwiek sposób. Millicent milczała przez cały czas, a jedynymi dźwiękami były westchnienia i pochlipywania Sheri. Lily odzyskała już kontrolę nad sobą i toczyła walkę z własnym umysłem, aby utrzymać się w tym stanie.

Nieoczekiwanie Millicent przeniosła na nią wzrok. Ku zaskoczeniu Lily poruszyła się, westchnęła, a potem zamruczała:

- Szkoda, że tamtego ostatniego ranka nie powiedziałam mu nic miłego.

W tym momencie głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Przecież każdego dnia mówiłaś mu coś miłego - prędko zaproponowała Lily.

- On doskonale wiedział, co do niego czułaś - dorzucił Tyler.

W odpowiedzi Millicent pociągnęła nosem.

- Dziękuję ci, synku. - Spojrzała na Lily. - Dziękuję wam obojgu.

Cmentarz otaczały wysokie dęby, wyciągające ku niebu swoje coraz bardziej nagie gałęzie. Ziemię pod nimi pokrywał dywan liści, które nawet przy bezwietrznej, zimnej pogodzie opadały co chwila z szelestem. Lśniące limuzyny zatrzymały się w nierównym cieniu obok grobu przykrytego chwilowo zielonym brezentem. Grabarz oraz jego pomocnik, razem z pracownikami zakładu pogrzebowego, którym pomagali Nick i Tyler, wyciągnęli trumnę z karawanu i wolno ponieśli w stronę grobu, gdzie czekały już przygotowane grube płócienne pasy. Na nich ułożyli trumnę. Dziura wykopana w ziemi wyglądała na zieloną dzięki otulającemu ją materiałowi, dopóki nie podeszło się wystarczająco blisko, żeby dostrzec czarny kolor pod spodem. Lily spostrzegła to i poczuła, jak robi się jej słabo. Zebrała wszystkie siły i udało się jej jakoś nie przewrócić. Po obu stronach ustawiono krzesła, a kilka metrów dalej wznosił się kopiec usypany z ziemi wykopanej z grobu.

- Nie! - krzyknęła Millicent, a Nick i Tyler natychmiast ją podtrzymali. Sheri podeszła do krawędzi grobu, spojrzała w dół, a potem posunęła się w stronę krzesel i opadła ciężko, przyciskając do ust chusteczkę. Nick usiadł obok po lewej stronie i wziął w dłonie jej rękę. Millicent zajęła miejsce na prawo od Sheri; Lily, Tyler i Rosa usiedli na krzesłach obok Millicent. W tym czasie nadchodzili pozostali uczestnicy pogrzebu, wolno szli po trawie w garniturach, pięknych sukniach i płaszczach, podtrzymując się nawzajem, ilekroć natrafiali na nierówności gruntu. Szli w blasku słońca, aż wreszcie zatrzymali się blisko grobu w skąpym, zielonym, zmieniającym się cieniu, który ciągle, w miarę opadania liści, stawał się coraz słabszy. Pastor - ten sam, który był w kościele - czekał, aż wszyscy dotrą na miejsce. Trzymał

w ręku modlitewnik, a jego ciałem wstrząsały lekkie dreszcze. Cisza, która panowała, zdawała się rozciągać na cały świat. Lily dostrzegła na niebie kątem oka ślady dwóch odrzutowców, wysoko i daleko, ale do jej uszu nie doleciał żaden dźwięk. Nie czuć było najbliższego podmuchu wiatru. Nie odzywał się żaden ptak. Lily słyszała tylko szelesty i ocieranie się materiału o materiał oraz przytłumione stąpanie, kiedy przybywali kolejni żałobnicy i zajmowali miejsca wokół niewielkiej ściśniętej garstki ludzi stojących już pośrodku. Lily wciągnęła w płuca zapach świeżej ziemi i spadających liści.

- Moi bracia - rozpoczął pastor.

To były modlitwy z mszy za zmarłych, końcowe modlitwy. Niewiele z nich docierało do Lily. Kilka kropli wody padło na zebranych; następnie pastor pokropił trumnę i powiedział coś jeszcze. Dziecko kopało ją bez przerwy i ruszało się energicznie, a ona nie mogła pozbyć się uczucia, że jest jakiś związek pomiędzy tym a ceremonią, w której uczestniczyła. Oczami wyobraźni ujrzała milczącą postać Buddy'ego, spoczywającą i w trumnie. Za wszelką cenę chciała odpędzić takie myśli, spróbowała więc skoncentrować się na słowach kapłana, trzymając ręce w miejscu, gdzie czuła uderzenia małych piątek.

Kiedy ostatnie wersety zostały już odczytane, Millicent i Sheri wstały i stanęły obok siebie po jednej stronie grobu, a ludzie zaczęli się tłoczyć, aby zamienić z nimi kilka słów.

- Powinniśmy być tam z nimi, chodź - mruknął Tyler.

Rosa poszła w ich ślady. Nick także stanął obok, z oczami wbitymi w ziemię - obraz całkowicie załamanej osoby. Kiedy patrzyło się teraz na niego, trudno było sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś zażartuje albo będzie uszczypliwy. Wszystko to uszło z niego i teraz dostrzegało się w jego oczach rozpaczliwą próbę stawienia czoła sposobowi, w jaki postrzegali go inni, jakby musiał odkupić każdą śmieszna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział, każdy żart, każde przedstawienie siebie jako równego gościa o ciętym dowcipie i pełnego ironii.

Stali rzędem w chłodnym, cętkowanym cieniu, podczas gdy przyjaciele Buddy'ego Galatierre'a podchodzili do nich po kolei, żeby wyrazić swój żal i wyrazy współczucia - kilka pustych frazesów, które dziesięć tysięcy lat trwania gatunku ludzkiego i cywilizacji wytworzyło specjalnie na taką okazję.

4

Następne dni w domu Galatierre'ów wypełniły zadania związane z porządkowaniem albo rozdawaniem osobistych rzeczy Buddy'ego: ubrań, listów i dokumentów, zapisków - i Millicent, zajmująca się stroną praktyczną przedsięwzięcia, zapytała niezręcznie w jakimś momencie, czy Lily uważa, że Tyler chciałby dostać kolekcję broni myśliwskiej Buddy'ego. Lily ledwie udało się wydobyć głos, kiedy odpowiadała, że naprawdę nie ma pojęcia, ale potem, gdy zobaczyła cierpienie na twarzy tej drugiej kobiety, szybko dodała, że go zapyta.

W sobotę po pogrzebie, na skutek jakiegoś makabrycznego zbiegu okoliczności często towarzyszącego utracie bliskiej osoby, przywieziono głowę jelenia upolowanego podczas przedostatniej wyprawy, przybitą do tablicy i gotową do powieszenia na ścianie. W pierwszej chwili, kiedy otwierali olbrzymią paczkę i usuwali zabezpieczający styropian, nie mieli pojęcia, co to właściwie jest. Kiedy ukazał się czubek nosa zwierzęcia, Nick wydał krótki rozpaczliwy okrzyk i wybiegł z domu w kierunku drogi, a za nim popędziła Sheri. Lily i Tyler zabrali na wół rozpakowaną przesyłkę do swojego pokoju. Tyler opadł ciężko na łóżko i rozplakał się. Lily położyła mu rękę na ramieniu. Podniósł na nią oczy i wtedy dostrzegła w nich ogromną potrzebę tego, co mogła mu dać - rozpaczliwą potrzebę pocieszenia. Usiadła więc obok i oplotła go ramionami, kołysząc się wolno, jakby trzymała w objęciach dziecko. Płakali obydwój, a wokół nich panowała cisza, świadcząca o tym, że Buddy Galatierre odszedł na zawsze. Po kilku minutach Tyler zabrał pudło z głową jelenia i wyszedł przez rozsuwane drzwi do samochodu. Odjechał, a kiedy nieco ponad godzinę później zjawił się z powrotem, powiedział krótko:

- Załatwiłem tę sprawę.

Lily nie zapytała go, co zrobił ani dokąd zawiózł trofeum.

Odczytanie testamentu odbyło się w pokoju o białych ścianach na drugim piętrze bardzo starego domu zbudowanego z kamiennych płyt, stojącego na końcu pewnej ślepej uliczki w Oksfordzie. Ten dom został zbudowany w osiemnastym wieku przez pana Dodleya, kupca handlującego szkłem, nad frontowymi drzwiami widniała tabliczka upamiętniająca kilku właścicieli kamienicy od czasu, gdy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Dodley sprzedał ją i powrócił na stałe do Anglii. W ostatnim czasie dom należał do Johna Westa - prawnika Buddy'ego i zarazem wykonawcy jego ostatniej woli, rumianego,

przysadzistego mężczyzny o zaczerwienionych, wiecznie podpuchniętych oczach i burzy ufarbowanych na czarno włosów.

Millicent poprosiła każdego z osobna, żeby jej towarzyszył, nie wyłączając Nicka, dla którego była szczególnie miła. Nick sprawiał wrażenie całkowicie odmienionego. W domu Galatierre'ów spędzał długie godziny, siedząc na ganku, nawet wtedy gdy z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej. Siedział przygarbiony, ubrany w płaszcz i palił jednego papierosa za drugim, gapiąc się na drogę i drzewa, z których szybko opadały liście. Kiedy ktoś się do niego odzywał, odpowiadał dopiero po pewnym czasie, ale jego słowa wskazywały na to, że słucha, co się do niego mówi. Na jego twarzy malował się łagodny, niepewny uśmiech, choć klócił się z nim bolesny wyraz oczu.

Sheri zaczęła się nie na żarty niepokoić, że w końcu Nick coś sobie zrobi.

- O czym on może rozmyślać, kiedy tak wysiaduje całymi dniami? - usiłowała dociec.

- Dlaczego go nie zapytasz? - odrzekł Tyler.

- Pytałam - odparła. - Mój Boże, a jakże. Lily także próbowała się dowiedzieć.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytała, stając na progu.

Spojrzał na nią przez ramię, a potem na jego ustach pojawił się uśmiech pełen przygnębienia.

- Och nie, wszystko w porządku - odrzekł.

- Co się dzieje? - drążyła dalej.

Odwrócił się, tak żeby znowu patrzeć na drogę i drzewa.

- Nic - odpowiedział po chwili.

- Nick...

Powoli odwrócił się w jej stronę.

- To nie była twoja wina.

Spojrzał ponownie na drogę i zaciągnął się dymem z papierosa. Ostatnie liście spadały już z drzew i zaczął kropić zimny deszcz, choć niebo w oddali ciągle było błękitne. Nie poruszył się i Lily w końcu zamknęła drzwi.

W testamencie Buddy zostawił salon samochodowy, dom z przylegającą do niego ziemią i większą część zysków Millicent i Sheri; mniejszą część pieniędzy synowi Millicent, Tylerowi. Millicent wyjaśniła, że dokument został sporządzony przed dziesięcioma laty na jej życzenie i że stało się to na długo przedtem, zanim Nick wszedł do rodziny czy pojawiła się nadzieja, że Tyler przybędzie kiedyś do Missisipi.

- A teraz - powiedziała łamiącym się ze wzruszenia głosem - jesteście tutaj.

Tyler ucałował ją w policzek.

Kiedy wszystko zostało podpisane, John West odchrząknął uroczyście, stojąc za swoim olbrzymim biurkiem, a potem obszedł je dookoła, żeby ucisnąć Millicent. Lily odsunęła się na bok. Kątem oka spostrzegła, jak Nick próbował ująć dłoń Sheri; Sheri odruchowo odsunęła rękę, po czym najwyraźniej zorientowała się, co zrobiła, i czym prędzej zwróciła się ku mężowi, podając ją z powrotem.

Po kolei wsiedli do samochodu i Tyler odwiózł całe towarzystwo do domu. On i Nick mieli jeszcze trochę roboty w salonie i wyjechali natychmiast do miasta, żeby się tym zająć. Millicent udała się do swojego pokoju i zamknęła drzwi, a Sheri i Lily przez jakiś czas siedziały jeszcze w dziennym pokoju, z którego rozciągał się widok na pagórkowaty krajobraz, rzekę migoczącą w oddali i wjazd na autostradę - poprzez nagie gałęzie drzew wszystko było teraz o wiele lepiej widoczne. Żadna z nich nie odezwała się przez długi czas, a Lily miała wrażenie, że obie na coś czekają.

- Już się z nim nie spotykam, jeżeli o tym właśnie myślisz - nie wytrzymała wreszcie Sheri.

- Sheri, na litość boską!

- No cóż, muszę ci to powiedzieć - załkała i zakryła twarz rękoma. - Lily, ja nie popełniłam grzechu, to dlaczego czuję się jak grzesznica? To była tylko przyjaźń!

Właśnie w tej chwili wróciła z college'u Rosa. W ręku trzymała kilka toreb wypełnionych książkami i drobiazgami z garderoby.

- Powinnyście włączyć tu światło - zauważyła, przechodząc przez pokój w stronę kuchni.

- Jestem taka przerażona - mruknęła Sheri. - Boję się, że to wszystko stało się przez mnie. Bo ja chciałam popełnić cudzołóstwo. Chciałam, rozumiesz? A to jest grzech, jeśli nawet tylko nosisz to w sercu.

- Przestań wreszcie myśleć o sobie - powiedziała przyciszonym głosem Lily. - Na pewno to nie zdarzyło się z twojej winy.

- O mój Boże - jęknęła Sheri i znów się rozplakała. - To prawda, jesteś pewna? Tak tego żałuję. Mój biedny ojciec. Mój ojciec, Lily!

- Wiem, że bardzo cię to zraniło. - Lily otoczyła ją ramionami. - Nas wszystkich także.

- Ja... ja po prostu nie mogę tego znieść.

Zadzwonił telefon, a na dźwięk dzwonka aż podskoczyły. Usłyszały, że Rosa odebrała go; po chwili pojawiła się w drzwiach pokoju.

- To twoja mama, Lily.

Doris sprawiała wrażenie, jakby nie mogła złapać tchu, jej głos drżał. Nie, nic się nie wydarzyło, wszystko w porządku, powiedziała. Chciała się tylko dowiedzieć, jak czuje się Lily i jej nienarodzone maleństwo, i jak wszyscy sobie dają radę. Lily odpowiedziała na pytanie dotyczące jej i dziecka, a resztę zbyła milczeniem. Doris nie poruszyła tego tematu.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytała Lily. - Po głosie sądząc, masz chyba dreszcze.

- Chyba tak. Chciałabym, żebyś była bliżej.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Lily życzyła sobie tego samego co matka.

- Wiem, ja też tak czuję - powiedziała wprost.

Doris odetchnęła głęboko, jak ktoś, kto usiłuje za wszelką cenę wymyślić jakiś neutralny temat.

- Tutaj wszyscy jesteśmy strasznie przybici - odezwała się Lily. - I nie mam pojęcia, kiedy to się zmieni.

- Zmieni się. To kwestia czasu.

Lily milczała. Za jej plecami w dużym pokoju rozległo się pokasływanie Sheri, a potem chyba szloch.

- Muszę już kończyć, mamusiu - rzekła przyciszonym głosem do słuchawki.

- Och. - Głos Doris nabrzmiał łzami. - Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy powiedziałaś tak do mnie ostatni raz.

- Przepraszam - szepnęła Lily.

- Nie przepraszaj. Mam zamiar przyjechać do was w lutym... zgadza się? Chcę być już w pierwszym tygodniu po narodzinach dziecka.

- Tak - odparła Lily odruchowo, chociaż nie potrafiła powiedzieć, co może się wydarzyć do tego czasu... jakie plany mógłby ktoś teraz układać. Nie przedłużała rozmowy, mówiąc o tym, że ona i Tyler dotychczas nie mają własnego kąta. Odwiesiła słuchawkę i wróciła posiedzieć jeszcze z Sheri.

Było jej trudno pozbierać w myślach wszystko razem - dziecko, niesłabnące pragnienie znalezienia jakiegoś miejsca do zamieszkania, niepokój z powodu kłopotów, które pojawiły się w ich małżeństwie, i nawet stosunkowo banalne pytanie, czy Tyler będzie dalej pracował w

salonie sprzedaży. Od pogrzebu był niezwykle uważający, uprzejmy i spokojny. Nie rozmawia-
rozmawiali o dziecku, jeśli nie liczyć drobnych codziennych sytuacji związanych z jej ciążą.
Raz nawet się kochali, kilka dni po pogrzebie, i Tyler był zaskakująco czuły. Tulił ją jeszcze
przez długi czas, tak że zasnęła w jego objęciach.

Święto Dziękczynienia nadeszło i minęło. Kiedy nastaly chłody i zbliżało się Boże
Narodzenie, pragnienie znalezienia własnego kąta jeszcze przybrało na sile. Lily nic na to nie
mogła poradzić, chociaż czuła, że w ten sposób codziennie robi przykrość pozostałym
domownikom: starali się być dla niej niezwykle mili. Millicent przy każdym wyjściu do miasta
przywoziła jakieś rzeczy dla dziecka, a Sheri i Nick troszczyli się o jej wygodę, tak samo
zresztą jak Rosa.

Na Gwiazdkę Tyler podarował jej wyściełane krzesło na biegunach i zestaw płyt z
bluesem, ona kupiła mu kurtkę sportową, kilka krawatów i taki sam zbiór płyt. Zaśmiewali się z
tego razem z resztą rodziny, a Millicent opowiedziała, jak pewnego razu pakowała kupiony dla
Buddy'ego zegarek elektroniczny, a Sheri, wówczas czteroletnia, podeszła do niej i
powiedziała: „Mamo, czemu otworzyłaś swój prezent?” i wtedy Millicent zorientowała się, że
mąż kupił dla niej to samo.

Tym razem nie przystroili frontu domu jak każdego roku, kiedy żył Buddy. Nikt nie miał
do tego serca. Nick kupił małe drzewko, które ustawili w salonie i obwiesili świecidełkami w
atmosferze wymuszonej wesołości. Millicent usiadła na kanapie i im się przyglądała, a Lily po
krótkiej chwili dołączyła do niej.

Następnego ranka po Bożym Narodzeniu zaczął padać śnieg - lekki pył, wznoszący się i
wirujący na wietrze. Tego dnia wszyscy zostali w domu i większość czasu spędzili w osobnych
pokojach. Nikt nie miał pojęcia, co mógłby zrobić, żeby innym sprawić przyjemność. Rosy nie
było, bo pojechała do Nowego Orleanu odwiedzić kuzyna. Lily zrobiła kilka zapisków w
swoim dzienniku i zaczęła przygotowywać dla wszystkich coś do jedzenia.

Po południu, gdy tak szybko robiło się już szaro, rozległo się pukanie do drzwi
frontowych. Lily usłyszała, jak Tyler mówi, że idzie otworzyć. Weszła do pokoju dziennego
akurat na czas, żeby zobaczyć Rogera Gaulta stojącego w kwadracie gasnącego dnia, ubranego
w kraciastą kurtkę i z czapką w rękę, który skinął na powitanie głową i patrzył z uśmiechem na
Tylera, na nią i na Sheri, która właśnie wyszła z kuchni. Pod pachą trzymał jakąś paczuszkę.

- Wesołych świąt - powiedział.

Tyler bezdźwięcznie powtórzył te słowa i odsunął się na bok, żeby wpuścić gościa do środka. Gault wręczył mu paczkę zawierającą, jak się okazało, pudełko czekoladek z truflami firmy Godiva, które Tyler przyjął i podał Millicent, kiedy zeszła wreszcie z pokoju dziennego do holu.

- Zaskoczyłeś nas - powiedziała pani Galatierre. - Trzeba było zadzwonić.

Lily patrzyła z ukosa na jej twarz i czuła, jak przytłacza ją przemożna chęć wydostania się z dusznej ciasnoty tego domu. Millicent trzymała w ręku czekoladki i dziękowała, przesuwając jednocześnie dłonią po włosach, a łzy ciekły jej strumieniami po policzkach. Gault nie widział tych łez, bo stał zwrócony do niej bokiem i wymieniał z Tylerem uwagi na temat śniegu i prawie białych świąt, jakie ich czekają; była to zwykła, niezdarna rozmowa o pogodzie, pozbawiona całkowicie nawet śladu prawdziwych myśli czy emocji. Wreszcie Gault zauważył, że Millicent płacze i ostrożnie położył rękę na jej ramieniu.

- Tak bardzo mi przykro - powiedział, a jego twarz zdradzała, że złości go płytkość tego frazesu. Najwyraźniej należał do tych ludzi, którzy bez przerwy się powtarzają; wiedział o tym, ale ciągle nie potrafił nic zrobić, aby temu zapobiec. Millicent przeprosiła i pośpieszyła na górę do swego pokoju, a Sheri poszła za nią.

- No cóż - mruknął Gault, jakby do siebie. - Nie mogę dłużej zostać.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że pan do nas zajrzał - powiedział Tyler.

Lily ogarnęło w tym momencie gorące uczucie do Tylera. Patrzyła, jak odprowadza gościa do drzwi i ściska mu na pożegnanie dłonie; Tyler wydawał się jedyną osobą, która wiedziała, jak człowiek powinien się zachować i co zrobić w takich okolicznościach.

Kiedy drzwi zamknęły się za Gaultem, Nick wyłonił się z kuchni.

- Jezu Chryste! - wymamrotał.

Lily odwróciła się w jego stronę, ale na twarzy Nicka nie malowało się żadne uczucie. Najwidoczniej był to tylko wyraz zwykłego wyczerpania nerwowego pojawiającego się na myśl, że musi stawić czoło światu w tej nowej sytuacji.

Dni pomiędzy świętami a Nowym Rokiem okazały się chyba najcięższe ze wszystkich. Nikt nie chciał zezwolić Lily na pomaganie w czymkolwiek, toteż mnóstwo czasu spędzała samotnie, pisząc pamiętnik albo próbując czytać; robiła cokolwiek, co tylko odrywało jej myśli od żałoby. W domu panowała przykra cisza, a kiedy wreszcie Tyler włączył muzykę - płytę z kolędami w wykonaniu różnych artystów, a potem przygnębiające piosenki Elli Fitzgerald - nastrój beznadziejności i depresji tylko się pogłębił. Nikt jednak nic nie powiedział i

dwukrotnie zasiedli do wspólnego posiłku przy akompaniamencie *Nokturnów* Chopina - bo taki był wybór Millicent. Sąsiedzi przynosili poczęstunki i upominki, pojawiła się więc potrzeba podtrzymywania pewnej formy stosunków towarzyskich. Lily starała się zdjąć z Rosy i Millicent obowiązek zabawiania gości, mówiących poufałym, łagodnym tonem o lepszym świecie, do którego odszedł Buddy. Wszyscy mieli dobre intencje, ale ich uprzejmość stanowiła część koszmaru i tego Lily była tak samo pewna, jak coraz bardziej uporczywych ruchów dziecka.

Sylwestrowy wieczór spędzili we własnym gronie przed telewizorem: patrzyli, jak obniża się świetlana kula, która nagle rozbłysła olśniewającą feerią światełek - 1990. Millicent chciała oglądać początek Nowego Roku, a jej łagodne spojrzenie pełne niechętniej aprobaty, gdy pozostali próbowali się wymówić i pójść do łóżek, sprawiło, że wszyscy ustąpili.

Wszyscy więc witali Nowy Rok. W milczeniu spoglądali w ekran telewizora.

Na Times Square zgromadziło się tysiące ludzi, którzy świętowali pośród spadających serpentyn i sztucznego śniegu, wyjących klaksonów i jazgotliwej muzyki, wśród krzyków, śmiechów i ogólnej hysterii. Dla Lily te tłumy ogarnięte szaloną wesołością stanowiły przypomnienie niewypowiedzianej, wręcz niewyobrażalnej obecności czegoś nieuchronnego i straszliwego.

Millicent zdecydowała się na powierzenie Nickowi prowadzenia salonu dealerskiego. Nawiasem mówiąc i tak od dawna to robił, ponieważ Buddy miał zamiar odejść na wcześniejszą emeryturę. Nick wyjeżdżał do pracy, tak samo jak Buddy, służbowym samochodem i zostawał zwykle dłużej niż Tyler. Tyler brał trochę wolnego, żeby wreszcie pomóc Lily znaleźć dla nich jakieś mieszkanie.

Wybrali w końcu stary domek dzierżawcy zbożowego w pobliżu Yellow Leaf Creek, pozostałość farmy, która stopniowo została w kawałkach odsprzedana developerom. W zasięgu wzroku budowano właśnie apartamentowiec - Lily i Tyler nigdy nie znaleźliby tego domku, gdyby nie weszli na plac budowy, aby zapytać o mieszkanie. Ale zauważyli go i pod wpływem impulsu się zatrzymali. Na skrzynce na listy znajdował się numer telefonu. Pojechali więc do pobliskiego 7-Eleven i zadzwonili. Tyler rozmawiał z agentem, podczas gdy Lily czekała w samochodzie, ciasno owinięta płaszczem. Wrócił i usiadł za kierownicą, marszcząc czoło.

- Już został komuś wynajęty - domyśliła się Lily.

- Ten sukinsyn zapytał mnie, czy jestem Murzynem. Powiedział, że to tylko dla jego informacji.

Westchnęła.

- No i co mu powiedziałeś?

To sprawiło, że wreszcie się uśmiechnął.

- Wiesz, co Buddy powiedział mi kiedyś, w czasie naszego pierwszego polowania? Powiedział, że na południu biali dopuszczają do siebie Murzynów, ale nie pozwolą im dojść do władzy; a na północy pozwolą, ale nie dopuszczają do żadnej poufałości.

- Buddy... - powtórzyła jak echo Lily.

- Też ci go brakuje, prawda? - zapytał cicho.

Skinęła bez słowa głową, ale Tyler już na nią nie patrzył. Spoglądał przed siebie oczami pełnymi łez, pogrążony we własnych myślach.

Rozdział 17

1

To bardzo pocieszające myśleć, jak wciąż opiekujesz się matką, wciąż troszczysz się o nią w tej nowej ciszy, która jest więcej niż ciszą. Trochę tak jak tutaj, w tym domu, gdzie matka i siostra Tylera wykonują jakby nigdy nic codzienne obowiązki, a cały świat zamilkł, i to jego milczenie nie opuszcza cię ani na chwilę, podąża za tobą w krok w krok, atakuje cię brakiem głosu kogoś, kogo już nie ma. Poskrzypywanie pióra, którym skrobię w notatniku, działa na mnie uspokajająco, choć równocześnie odczuwam coś na kształt wyrzutów sumienia z powodu tego, że w ogóle znajduję jakąś pociechę. Ale to jedyna pociecha w tych okropnych dniach. Gotuję dla wszystkich; po tym, jak Rosa odeszła, przejęłam jej obowiązki w kuchni, i nikt nie powiedział ani słowa. Zapewne dlatego, żeby nie sprawić mi przykrości, kiedy narobiłam bałaganu za pierwszym razem. Wciąż zresztą robię mnóstwo bałaganu i radzę sobie nie najlepiej, ale przynajmniej to, co ugotuję, nadaje się do jedzenia. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, muszę więc całkowicie polegać na książkach kucharskich, które, o czym dopiero teraz się dowiedziałam, zbierał Buddy. Jego obecność wciąż jeszcze silnie się odczuwa we wszystkich pomieszczeniach.

Zastanawiam się, jak się czułaś pod brzemieniem rozpaczony swojej, matki i Charleya, opiekując się nimi, wyprawiając brata do szkoły, pomagając mu w nauce, przeglądając bibliotekę ojca jako jej właścicielka, ponieważ Charley nigdy nie dorównywał ci

intensywnością i rozległością zainteresowań. Przyjęłaś te obowiązki jako coś oczywistego i doskonale sobie z nimi radziłaś. Ja dochodzę do wniosku, że jedyne, co wychodzi mi naprawdę dobrze, to te bazgroły. Nie potrafię nawet utrzymać sensownych kontaktów z ludźmi, tak bardzo jestem wewnętrznie poobijana i tak bardzo lękam się przyszłości.

Pani Gainseville spędza większość czasu w kuchni lub salonie, w związku z czym Mary ma niemiłe wrażenie, że jest ignorowana. Lada dzień będzie musiała zwolnić tę kobietę, co tamtej na pewno będzie nie w smak. Przychodzą z wizytą Lucy Toulmin-Smith, Violet Roy, Molly Brown oraz przyjaciółki z London Geographical Society, które Mary poznała za pośrednictwem ojca. Lucy nie daje jej spokoju w związku z tym, że pani Gainseville jeszcze tu jest.

- Nie uda ci się płacić jej i jednocześnie być całkiem wolną, Mary.

Nie myśli o tym. A raczej nie myślała. Znalazła sposób, żeby sobie jakoś z tym radzić, a poza tym absorbuje ją zaspokajanie potrzeb matki.

W tych dniach często odwiedza ją również Guillemard. Mary traktuje go trochę jak zdziwaczalego roztargnionego staruszka, ale pamięta, że zawsze okazywał jej przyjazne uczucia, i dodatkowo ceni jego rozległą wiedzę. Kiedy matka wzywa ją na górę, Guillemard natychmiast przerywa rozmowę i czeka cierpliwie na jej powrót, potem zaś, nawet jeśli minęła godzina albo jeszcze więcej, zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Czas oczekiwania umila sobie, buszując w bibliotece jej ojca. Zwykle Mary zastaje go z otwartą książką na kolanach, on zaś reaguje na jej powrót jak na miłe urozmaicenie i tak już sympatycznego popołudnia.

Mary cieszy się za każdym razem, kiedy odwiedzają ją przyjaciele ojca, którzy teraz są też jej przyjaciółmi. Udziela się towarzysko znacznie bardziej niż za jego życia, lecz mimo to jej duszę ogarnia dziwna apatia, choć równocześnie innym wydaje się kobietą niezwykle dzielną, uroczą i tryskającą lekko sardonycznym humorem. Wewnątrz, tuż pod skórą, rozprzestrzenia się coś okropnego, coraz bardziej zbliżającego się do serca. Mary czuje się tak, jakby wciąż spadała, zanurzając się w bezmiar nicości niedostępny dla rozkoszy i dźwięków. Żyje chwilą i poza tym nic dla niej nie istnieje.

Kiedy myje białe ciało matki, zimne i niestawiające żadnego oporu, zupełnie jak ciało trupa, rozplywa się całkowicie w tej czynności i tej chwili. Nic więcej nie istnieje. Reszta świata znika.

Któregoś ranka, kiedy rozsuwa kotary w pokoju, matka mówi z łóżka:

- Nie stój tak.

Mary odwraca się do niej.

- Proszę?

Matka patrzy na nią, ale chyba jej nie widzi.

- Zawołaj ojca.

- Mamo...

Oczy starej kobiety jarzą się niezwykłym, przerażającym blaskiem, zupełnie jakby zamieszkała w nich jakaś dzika istota.

- Mam coś do powiedzenia twojemu ojcu.

- Mamo, proszę...

- Pospiesz się, dziecko.

Siła głosu, jego stanowczość są zaskakujące. Mary szybkim krokiem podchodzi do matki i ujmuje jej szczupłe, lodowate dłonie.

- Mamo, ojciec odszedł.

- Dokąd? O tej porze?

Mary nie chce jej okłamywać, nie może tego zrobić, ponieważ w ten sposób zaakceptowałyby to, co się dzieje na jej oczach. Mówi prawdę, żeby choć w ten sposób przeciwstawić się rzeczywistości:

- Ojciec umarł w lutym. Pamiętasz?

Ale starsza kobieta milczy, pogrążona w przedziwnym stanie odrętwienia. Oddycha, ale widać, że nie może mówić. Za każdym razem, kiedy stara się wypowiedzieć jakieś słowo, z jej ust wydobywają się ciche, urwane westchnienia. Mary trzyma ją kurczowo za rękę, choć najchętniej wybiegłaby z pokoju i posłała po Guillemarda, ale boi się to zrobić, ponieważ matka wpatruje się w nią błagalnie. Wreszcie stara kobieta uspokaja się nieco, lecz Mary nadal siedzi u jej boku. Po pewnym czasie wstaje i cicho rusza w kierunku schodów, zaraz jednak zatrzymuje się, ponieważ przychodzi jej do głowy myśl, że być może właśnie zbliża się koniec. Zbiega na dół, posyła po Guillemarda, po czym zaczyna wędrować po całym domu, przestawiając rozmaite przedmioty, robiąc porządek, a raczej zmieniając ten, który już jest. Wszystko po to, żeby nie myśleć.

Guillemard zjawia się po godzinie. Ciężko wysiada z powozu, wchodzi do domu, mija Mary, która przytrzymuje mu drzwi i z trudem znajduje słowa, żeby odpowiedzieć na jego pytania. Starszy mężczyzna przygląda się jej przez chwilę, odwraca się ku schodom, znowu spogląda na nią, po czym zaczyna powoli wchodzić na piętro. Mary przez jakiś czas wędruje

nerwowo po pokojach na parterze, wreszcie nie wytrzymuje, wspina się po stopniach i nieru-
nieruchomieje na ich szczycie. Nie ma pojęcia, ile czasu upływa, ale czas mija, to pewne.
Dziesięć minut, może pięćdziesiąt lat. Wreszcie otwierają się drzwi i Guillemard wychodzi.
Daje jej znak ręką, ona natychmiast podbiega, a on mówi cicho:

- Obawiam się, że musisz się przygotować na najgorsze.

Niewiele brakuje, żeby zapytała: „Czy naprawdę przypuszczał pan, że się tego nie
domyślałam?”

- Wątpię, czy przetrzyma tę noc.

Po jego odjeździe te słowa wciąż na nowo rozbrzmiewają w uszach Mary. „Tę noc”.
Siedzi w bibliotece, wśród książek ojca, starając się o niczym nie myśleć, ale one wracają
uparcie: „Tę noc”.

Charley wraca z odwiedzin u rodziny i teraz już razem czuwają. Około północy matka
porusza się we śnie i mamrocze coś, czego żadne z nich nie może zrozumieć. Widać, że bardzo
cierpi; oboje zrywają się z miejsc i stają tuż przy łóżku, pewni, że oto nadeszła jej ostatnia
chwila, ale matka uspokaja się i odpręża, jakby to, co wywołało jej reakcję, wycofało się daleko
w zakamarki snu. Oddycha spokojnie, choć ma opuszczone kąciki ust. Mary i Charley wciąż
czekają. Po jakimś czasie dają o sobie znać potrzeby ciała; muszą ją rozebrać, umyć, wytrzeć,
ubrać i położyć do czystej pościeli. Charley pomaga siostrze z grymasem przerażenia na
twarzy, ale Mary nie musi go prosić ani ponaglać. Właściwie już są tylko we dwoje. Mają tylko
siebie. Nie rozmawiają. Mary wciąż toczy wewnętrzną walkę o to, żeby kłębiące się w niej
okropne myśli nie przybrały formy słów i nie zakłóciły wypełniającej dom ciszy, ale słowa,
tamte dwa słowa, wciąż na nowo rozbrzmiewają w jej umyśle: „Tę noc”. Matka oddycha
wolniej i z coraz większym wysiłkiem, lecz na jej twarzy nie maluje się cierpienie. Nawet
kąciki ust powędrowały nieco w górę. Mary idzie do swojego pokoju, rzuca się na łóżko,
wciska twarz pościel i szlocha rozpaczliwie. „Tę noc”. Te dwa słowa to zaledwie początek, wie
o tym w głębi duszy, zdaje sobie sprawę również z tego, co nastąpi potem. Zrywa się na równe
nogi, rozpaczliwie szuka jakiegokolwiek zajęcia. Zbiega na dół, do kuchni, parzy herbatę,
biegnie do piwnicy, dorzuca węgla do pieca, chociaż przecież jest już początek kwietnia i
nocny chłód, choć wyraźnie wyczuwalny, nie jest szczególnie dokuczliwy. Wreszcie wychodzi
z domu. Doskonale wie, że to namiastka ucieczki. Stoi w wilgotnej ciemności, głęboko
wdychając zimne, przesycone gryzącym zapachem dymu powietrze. Chyba niedawno przeszła
ulewa, ale ona nawet tego nie zauważyła. Nie może wytrzymać sama ze sobą. Spogląda na

wysoki dom z oświetlonym jednym jedynym oknem i dopiero teraz uświadamia sobie nieodwracalność tego wszystkiego, uświadamia sobie, że mimo przerażenia i prób ucieczki przed nim PO TEJ NOCY BĘDZIE WOLNA. W głębi duszy godzi się z tym, a nawet się cieszy.

- Nie! - mówi głośno, nie zdając sobie z tego sprawy, po czym osuwa się na kolana na mokrą ziemię i w bezkسیężycowej, zimnej ciemności rozlega się jej rozpaczliwy szloch.

2

Są przy niej oboje, kiedy nadchodzi koniec, mniej więcej trzy godziny po ucieczce Mary z domu. Matka nie odzyskuje już przytomności. Oddycha coraz wolniej i coraz ciężiej, aż wreszcie czyni to z takim wysiłkiem, iż wydaje im się, że każdy oddech jest już ostatni. Trwa to jednak bardzo długo, a kiedy wreszcie nadchodzi ta chwila, kiedy po chrapliwym oddechu zapada martwa cisza, przez dłuższy czas siedzą bez ruchu jak sparaliżowani.

- No cóż... - odzywa się wreszcie Charley i zaczyna szlochać.

- Już po wszystkim - mówi Mary. - Powinam chyba kogoś zawiadomić.

- Ja to zrobię.

Charley podnosi się z miejsca, chwieje się, niewiele brakuje, żeby upadł. Mary kładzie mu rękę na czole.

- Masz gorączkę.

- Okropnie się czuję.

Mary przygotowuje matkę na przybycie przedsiębiorcy pogrzebowego: myje ciało i podwiązuje szczękę szalem, który kiedyś dostała w prezencie od ojca. Charley położył się do łóżka, musi więc sama uporać się z tym zadaniem. Nie ma nikogo, kto by jej pomógł. Ciało matki, tak lekkie, kiedy żyła i powoli dogorywała w łóżku, po śmierci stało się znacznie cięższe, bardziej odporne. Mary przygląda się rękóm, długim palcom, zmarszczkom na szyi, włosom, które wciąż są bujne i lśniące jak u młodej kobiety. Ubiera ją w suknię, którą matka rzeczywiście nosiła jako młoda kobieta, i kiedy dopiero zakochała się w George'u Kingsleyu. Suknia jest koloru granatowego, a matka przechowywała ją w specjalnej skrzyni, tylko od czasu do czasu wydobywając na światło dzienne, żeby pokazać córce. Niekiedy opowiadała o tym, jak miała ją na sobie, kiedy poszła na bal z Ojcem Mary, ostatni bal w Islington Hall, gdzie się poznali, gdzie przystojny, olśniewający młody podróżnik zwrócił uwagę na wdzięki

Mary Bailey, pomocnicy kucharki. W rzeczach mamy jest też dagerotyp przedstawiający ich oboje: George Kingsley stoi za oparciem fotela, w którym siedzi jego żona z dzieckiem w objęciach. Tym dzieckiem jest Mary. Tę suknię, w której matka pozowała do dagerotypu, również włoży do grobu. Na myśl o tym Mary łzy napływają do oczu. Powtarza sobie po raz kolejny, że ten martwy obiekt, którego bezwładne ręce wciska w rękawy sukni, nie ma nic wspólnego z jej matką.

Kiedy wreszcie Mary Bailey Kingsley spoczywa w trumnie, wygląda tak, jakby była pogrążona w głębokim śnie. Mary całuje ją w lodowaty policzek. To pierwszy osobisty gest, jaki wykonuje w stosunku do tego ciała.

Przybywają członkowie rodziny, by złożyć kondolencje, po czym szybko zbierają się do odjazdu. W pogrzebie uczestniczą tylko Mary, Charley, szczupłe grono przyjaciół ojca oraz parę ciotek i kilku wujków ze strony Baileyów. Przy dźwięku dzwonów odprowadzają trumnę do mogiły obok grobu George'a Kingsleya. Dzień jest chłodny i pochmurny, w powietrzu wisi deszcz, który nie pada chyba tylko dlatego, że jest na to za zimno. Chmury na niebie przypominają nabrzmiałe sińce. Wiatr chłoszcze twarze, szarpie połami ubrań.

Spoczywaj w spokoju.

Mary spogląda na twarze towarzyszących jej ludzi, lecz nie odczuwa z nimi najslabszej więzi. Widok trumny i dziury wykopanej w ziemi, uderzenia lodowatego wiatru, przenikliwe zimno, skrzypienie kół powozu - wszystko to odbiera jako coś w rodzaju prowokacji mającej na celu wytrącenie jej z równowagi. Brat szłocha rozpaczliwie z twarzą ukrytą w dłoniach. Mary nie słyszy ani modlitw, ani tego, co ludzie do niej mówią.

3

Czas biegnie wolniej. Mary samodzielnie zajmuje się domem. Charley skończył bez wyróżnienia studia w Cambridge i całymi dniami przesiaduje w domu, a że jest wątłego zdrowia, to Mary musi troszczyć się również o niego. Nic już jej nie cieszy, nic nie sprawia radości. Robi się coraz cieplej, drzewa przy Mortimer Road zaczynają kwitnąć. Zewsząd słychać ptasie trele, ludzie krzątają się rażno, ożywieni w związku z powrotem słońca, ciepła i kwiatów. Mary chadza na spacer z Lucy Toulmin-Smith i innymi przyjaciółkami; wszystkie wyrażają zaniepokojenie jej stanem ducha. Bagatelizuje ich obawy, twierdząc, że nie dzieje się nic złego, ale nocami jej mały pokój zamienia się w przedsionek piekła.

Rozpacz Charleya uwypukliła nie najlepsze cechy jego charakteru. Często zasiada w bibliotece za wielkim biurkiem ojca i przemawia tonem bardzo podobnym do tonu lorda Dunravena, tyle że brakuje mu wigoru i majestatycznego lekceważenia. Podobny jest jedynie nawracający kaszel. Charley jest wątły i blady, a kiedy opowiada o podróżach na Daleki Wschód, jego wywody brzmią jak bajdurzenia chorego chłopca, który nawet nie może wstać z łóżka. Użala się nad sobą za każdym razem, kiedy Mary go o coś poprosi, za to coraz częściej nieproszony wygłasza swoją opinię na różne tematy.

Któregoś wieczoru, przeglądając papiery ojca, Mary odkrywa świadectwo ślubu rodziców i swoje świadectwo urodzenia. Wcześniej powzięła postanowienie, aby zebrać w postaci książki wszystkie zapiski ojca, ale - choć nie przyznaje się do tego nawet przed sobą - wszystko wskazuje na to, że jego spuścizna jest stanowczo zbyt skromna. Czyta świadectwo ślubu: „George Kingsley, kawaler pełnoletni, i Mary Bailey, panna, oboje zamieszkali przy Tavistock Terrace 30 w Islington. 9 października 1862”. Coś się nie zgadza z datą, myśli. Zagląda do swojego świadectwa urodzin, na chwilę popuszcza wodze fantazji i zastanawia się, jakby to było, gdyby przyszła na świat jako chłopiec. 13 października 1862. Wpatruje się to w jeden, to w drugi dokument, porównuje daty. Nie, to na pewno nie pomyłka. Daty powtarzają się dwukrotnie w każdym dokumencie.

Cztery dni.

Trzęsącymi się dłońmi chowa dokumenty do szuflady biurka, po czym wpatruje się w półki wypełnione książkami, czując raptowne pulsowanie w skroniach. Cztery dni. Teraz jeszcze silniej odczuwa swoje wyobcowanie, a różne drobne szykany i niedomówienia, których była obiektem w przeszłości, nagle nabierają całkiem nowego znaczenia. Zmienia się również jej wyobrażenie o wspólnym życiu rodziców. Zupełnie inaczej zaczyna rozumieć długie wyjazdy ojca, milczenie panujące w domu podczas jego obecności, lęk matki przed jego utratą, nawet jej długoletnią niesprawność. Wszystko to jawi jej się w zupełnie nowej, wcale nie atrakcyjnej ani nie radosnej postaci.

Żalodne samozadowolenie Charleya irytuje ją jeszcze bardziej niż do tej pory. Pieniądze wydane na jego edukację równie dobrze mogłyby zostać wyrzucone w błoto. Ona, Mary, wykorzystałaby je w znacznie sensowniejszy sposób.

Jestem nadzwyczajna.

Wielkim wysiłkiem woli odpycha od siebie te przykre myśli. Posłusznie wypełnia wszystkie obowiązki, ale równocześnie zaczyna stopniowo oswajać wszystkich z pomysłem

swego wyjazdu. Nawet Charley uważa, że istotnie przydałaby jej się zmiana klimatu i miejsca pobytu. Niepokoi go stan jej zdrowia, nie tylko fizycznego, lecz także psychicznego.

- Może pojechałabyś do wód do Baden-Baden? - proponuje Charley.

Mary odrzuca tę propozycję.

- W takim razie dokąd? - pyta Guillemard.

Siedzą w salonie, którego okna wychodzą na rozległy frontowy trawnik i na niezbyt ruchliwą Mortimer Road. Po drugiej stronie drogi, za szpalerem drzew, rozciąga się łąka, na której właśnie toczy się mecz krykieta. Mary myśli o ojcu, o tym, jak lubił spacerować nad rzeką i obserwować treningi wioślarzy z Cambridge. Nagle ta wielka, otwarta przestrzeń zamyka się wokół niej, napiera ze wszystkich stron. Mary czuje ucisk w klatce piersiowej i w nagłym, bolesnym przeblasku uświadamia sobie, że nie tylko Anglia, ale w ogóle Europa przygnębia ją nieznośnie.

- Chcę wyjechać dalej na południe. Na Wyspy Kanaryjskie.

Charley parska i obcina koniec cygara.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Myślę, że to da się zorganizować - odzywa się Guillemard. - Chyba uda mi się namówić panią Toulmin-Smith.

- Chcę pojechać sama. Obaj milczą.

- Zamierzam pojechać sama - powtarza Mary.

- No cóż... - mówi powoli Guillemard. - Zdążyłem się już nauczyć, że kiedy ktoś z Kingsleyów przemawia tym tonem, to dyskusja z nim raczej nie ma większego sensu.

- Ale dopiero po moim wyjeździe do Singapuru - zastrzega Charley.

Mary kiwa głową.

- Oczywiście.

- I to jeszcze wcale nie jest pewne.

- Naturalnie.

- Może jednak zdecydujesz na coś bliżej domu. W Europie jest mnóstwo wspaniałych kurortów.

- Chcę wyjechać na Wyspy Kanaryjskie.

Charley wzdycha głośno, wstaje, wychodzi z salonu. Chwilę potem z góry dobiega trzaśnięcie drzwi jego pokoju.

- Mam wrażenie, że Charley nie bardzo może się pogodzić z twoją decyzją - mówi Guillemard.

- Będzie musiał - odpowiada Mary. - I jestem pewna, że mu się uda.

RS

4

Charley odkłada wyjazd na Daleki Wschód do końca czerwca. Mary o nic go nie pyta. Czeka cierpliwie - cierpliwość staje się powoli główną cechą jej charakteru, wspaniale rozwiniętą przez dwadzieścia lat poświęcone opiece nad matką - wywiązując się ze wszystkich obowiązków siostry, przyrządzając mu posiłki i troszcząc się o jego potrzeby. Znosi to wszystko z wdziękiem, a także jego coraz bardziej zawile wywody, dzielenie włosa na czworo, bombastyczną retorykę i coraz bardziej widoczne przekonanie, że wszystko jest takie, jak on to postrzega. Mary szybko uczy się zachowywać swoje opinie dla siebie, żeby tylko nie zaognić sytuacji, i wciąż wierzy w jego dobre intencje, domyślając się, że najlepiej będzie go nie poganiać. Charley musi być przekonany, że wszystko to jego pomysł. Od czasu do czasu Mary napomyka tylko od niechcienia o planowanej podróży. Kupuje mu nowy kompas i barometr, wyraża nadzieję, że mu się przydadzą, ani słowem jednak nie wspomina o wyjeździe.

Wreszcie Charley wyznacza termin. Przy pakowaniu korzysta z pomocy przyjaciół ojca z British Museum oraz Mary, która przygotowuje listę rzeczy niezbędnych do zabrania oraz rezerwuje bilety na przejazd. Wreszcie wyrusza. Mary nie posiada się z radości, patrząc, jak parowiec odbija od nabrzeża w Liverpoolu, wymachuje rękami jak szalona, równocześnie starając się zachować smutną minę. Jeszcze tego samego dnia idzie do Guillemarda i z jego pomocą kupuje bilet na Wyspy Kanaryjskie.

Wyrusza pasażerskim liniowcem z Liverpoolu. Odprowadza ją Guillemard w towarzystwie kilku osób; są wśród nich Lucy Toulmin-Smith, kuzynka Lucy i ich dwie przyjaciółki. Niektórzy z nich są wielce zdumieni widokiem Mary, która po tylu latach spędzonych w ukryciu, wśród książek, zaspokajając potrzeby matki, teraz paradytuje po trapie w wyjściowej sukni, z parasolką i w zupełnie nieprawdopodobnym kapeluszu na głowie. Macha do nich, po czym wchodzi na pokład z ciasno spasowanych, brudnych i pożłobionych nierównościami desek. Kiedy staje przy relingu, uderza ją w nozdrza smród portu: dymu, martwych ryb, brudnej wody, starego drewna, ulic miasta. Macha przez cały czas, kiedy rzucane są cumy i statek zaczyna powoli przesuwać się ku wyjściu z portu. Zaczyna się podróż. Wydaje jej się, że to ląd się odsuwa, a ona stoi w miejscu. Odprowadza wzrokiem brud i nędzę Liverpoolu, jego ceglane fasady umorusane sadzą. Miasto maleje, zamienia się w brązową smugę na horyzoncie, po czym znika szybciej, niż oczekiwała, połknięte przez rozkołysaną

powierzchnię oceanu zwieńczoną koronkami fal. Przyglądając się temu z pokładu, Mary ma wrażenie, że jest świadkiem próby teatralnej.

Dużo dalej na południe, na burzliwych wodach Atlantyku, przekonuje się, że jest do tego stworzona. To po ojcu, przypuszcza. Poza nią wszyscy chorują, nawet marynarze. Siedzi na pokładzie w swojej czarnej sukni, pisze listy do Lucy Toulmin-Smith, Guillemarda i pozostałych. Zdumiewa ją i zachwyca łatwość, z jaką znajduje słowa opisujące wszystko, co ją otacza. Na świeżym powietrzu, z dala od wszystkiego, z każdą chwilą czuje się coraz lżej i radośniej, przygnębienie ulatnia się bez śladu niczym poranna mgła nad oceanem.

5

Siedem wulkanicznych wysp tworzących archipelag Wysp Kanaryjskich leży w pobliżu północno-zachodnich brzegów Afryki. Często zawijały tutaj statki Greków i Rzymian, a po ich upadku przez krótki czas nie pojawiali się żadni cudzoziemcy. Jeśli wierzyć legendzie, ponownie odkryła je dla świata załoga pewnego statku płynącego do Europy, zepchniętego niesprzyjającymi wiatrami z kursu. Kiedy wreszcie statek zawinął do portu na wybrzeżu Francji, natychmiast rozeszła się pogłoska o wspaniałym wulkanicznym rajem całkiem niedaleko na oceanie. W roku 1399 zjawili się tam Hiszpanie: pięć okrętów rzuciło kotwice przy wyspie Lanzarote, żołnierze uwięzili króla, królową oraz prawie dwustu poddanych. Hiszpanie nie zabawili tam jednak długo i ponownie przez wiele lat wyspiarze żyli w spokoju, odkrywani na nowo i na nowo zapomniani. Francuzi założyli tu kolonię, którą kierował Juan de Béthencourt; w ramach zaszczepiania zdobyczy cywilizacji wprowadził między innymi niewolnictwo, wybudował kościoły i ściągnął pierwszych misjonarzy. Ale dopiero Portugalczycy, we współpracy z wodzami niektórych plemion wschodnioafrykańskich, rozwinęli handel niewolnikami na wielką skalę.

Największą wyspą archipelagu jest Teneryfa ze swoim wznoszącym się na ponad cztery tysiące metrów wulkanem. Właśnie jego wierzchołek Mary dostrzega na horyzoncie po siedmiodniowej żegludze. Nocami długo przechadza się po pokładzie, chłonąc otaczającą ją bezkresną przestrzeń. Obserwuje gwiazdy i ocean, podziwia zmiany, jakie zachodzą w jego wyglądzie w miarę zbliżania się świtu. Sypia niewiele. Dokoła jest zbyt pięknie, żeby spać: ocean, ogromna krzywizna planety, tysiące kilometrów wody i nieba. Stoi przy relingu, głęboko wdycha powietrze przesycone zapachem soli i dymu.

Wreszcie, któregoś poranka w połowie lipca, z oceanu wyłania się zadziwiający wierzchołek wulkanu. Minionego wieczoru mocno kołysało, wielu pasażerów bardzo się pochorowało, a jeden marynarz złamał nogę, próbując przywiązać szalupę, która lada chwila mogła zsunąć się z pokładu. Mary pomagała nastawić kość lekarzowi okrętowemu - młodemu, krępego mężczyźnie o czarnych jak węgle oczach, który nie krył uznania dla jej umiejętności.

- Nikt mnie tego nie uczył - zapewniała go. Pokręcił głową z uśmiechem.

- Sama się pani doskonale nauczyła.

Teraz znowu stoi na pokładzie, niewyspana, nieco roztrzęsiona i patrzy na górski szczyt wyłaniający się z fioletowej mgiełki przedświt. Wydaje jej się trochę dziwne, że choć Liverpool tak prędko znikł w oddali, to dotarcie do celu podróży zdaje się odsuwać w nieskończoność; czas mija, a góra na horyzoncie zupełnie się nie zmienia. Mary czuje w piersi ukłucie samotności - nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o trawiących ją uczuciach. Niebo czerwienieje, pokład się zaludnia. Dwaj marynarze, niemiecki pastor i jego otyła żona grają w kości przy ścianie nadbudówki. Zawsze uśmiechają się do niej, choć nie zrobiła niczego, czym mogłaby zaskarbić sobie ich sympatię.

Wreszcie pojawiają się zbocza góry, a także sama wyspa. Mary siedzi przy relingu i pisze w notesie: *Żółtoczerwone szczyty i jak piękna jest czystobłękitna poświata powietrza między skalistymi graniami. Gdybym za sprawą jakiejś czarodziejskiej sztuczki zdołała zamknąć to wszystko w słoiku i zawieźć z powrotem do Cambridge, na tamtejszym szarym niebie widok ten zawisłby w postaci cudownego niebieskofioletowego obłoku.*

6

Liniowiec zawija do portu w Las Palmas; dokoła ciągną się białe plaże i białe wille, posiadłości zamożnych Hiszpanów, właścicieli plantacji bananów nadających lekko żółtawy odcień znacznym połaciom wybrzeża. Piasek jest bielszy niż piana na grzbietach fal. Bagaże znosi jej na brzeg wysoki, przygarbiony mężczyzna, doskonale władający angielskim, zresztą ku jej niekłamanemu zachwytowi. Szybko wyczuwa, że nie bardzo podoba mu się jej cockneyowski akcent, co wprowadza ją w stan lekkiego zażenowania. Mężczyzna przedstawia się jako Marco; kiedy Mary pyta go o nazwisko, Marco odpowiada, że go nie ma. Na własny użytek Mary nazywa go Polo. Towarzyszy jej do budynku z białego piaskowca stojącego w pobliżu przepięknej świątyni o wysokich iglicach i minaretach. Proponuje, że pokaże jej

miasto, lecz ona uprzejmie odmawia. Marco krzywi się, zupełnie jakby doznał fizycznego bólu, choć sądząc po tym, z jaką łatwością niesie jej bagaże, musi być bardzo silny. Budynek nazywa się Kwaterą Anglików.

Kiedy godzinę później Mary schodzi na dół, Marco na nią czeka. Odkłada książkę i zrywa się na nogi. Książka nosi tytuł *Opowieści o nieustraszonych piratach*.

- To bzdury - odpowiada na pytanie, co o niej sądzi.

- A mnie się podobała - mówi Mary.

- Jest pani jeszcze bardzo młoda.

- A ty? Ile masz lat?

- W listopadzie skończę pięćdziesiąt sześć.

- Zawsze tu mieszkałeś?

- Nie.

Czeka na bliższe wyjaśnienia, lecz te nie następują. Ogarnia ją przemożna chęć, żeby parsknąć śmiechem, ale jakoś udaje jej się nad nią zapanować.

- A gdzie jeszcze mieszkałeś?

- W Persji.

- Jesteś Persem?

- Hiszpanem, ale moja rodzina uważa, że jesteśmy też potomkami ludzi, którzy od zawsze mieszkali na tych wyspach.

- Guanczów?

Marco nie jest w stanie ukryć zaskoczenia.

- Skąd pani o nich wie?

- Od dziecka dużo czytałam. I nadal czytam, ma się rozumieć.

Zaraz po wyjściu z budynku Mary zatrzymuje się i patrzy na szeroką białą plażę. Ludzie leżą na piasku i przechadzają się nad wodą. Po lewej stronie zasłaniają horyzont poszarpane krawędzie brązowych gór, pokrytych tu i ówdzie ciemniejszymi plamami lasów składających się głównie z palm i sosen. Po ulicach przechadzają się kozy oraz ludzie w najrozmaitszych strojach: arabskich, europejskich i afrykańskich. Mężczyzna w białej szacie, mijając ją, uśmiecha się i kłania nisko. Tuż za nim podąża wychudzony pies.

- Może zechciałaby pani pójść na plażę? - pyta Marco. Przygląda się jego głęboko osadzonym oczom i ustom otoczonym smutnymi zmarszczkami.

- Masz rodzinę, Marco?

- Tak - odpowiada, kłaniając się.

- Więc idź do niej.

Rusza w kierunku świątyni, lecz on zastępuje jej drogę.

- Czymś panią uraziłem?

- Skądże znowu.

- W Las Palmas kobietom nie wolno samotnie chodzić po ulicach, proszę pani.

Nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć, lecz mimo to waha się, mierząc go spojrzeniem.

Mężczyzna opuszcza wzrok i przestępuje z nogi na nogę.

- A jeżeli nie życzę sobie towarzystwa?

Marco w milczeniu wpatruje się w ziemię pod stopami, gdy tylko jednak Mary ponownie rusza w kierunku plaży, on podąża za nią.

- Jak liczna jest twoja rodzina?

- Jestem wdowcem. Mam tylko brata.

- Tutaj, na Gran Canaria?

Marco kręci głową jak zawstydzone dziecko. Nie podnosi wzroku, na twarzy ma grymas niesmaku, jakby jego myśli znowu zaprzętało coś niemiłego, o czym tylko na chwilę zdołał zapomnieć. Mary wyczuwa, że konieczność narzucania się jej z opieką jest dla niego czymś upokarzającym, więc odwraca się i mówi:

- Dziękuję, że uchroniłeś mnie przed kłopotami. Odpowiada burknięciem:

- Nie ma o czym mówić.

- Nie chcę być dla ciebie ciężarem.

- Nie jest pani żadnym ciężarem. Płacą mi za to.

- Tak myślałam.

Przez jakiś czas idą w milczeniu.

- Cieszę się, że mogę na tobie polegać.

Marco ledwo dostrzegalnie kiwa głową, ale widać po nim, że słowa Mary sprawiły mu przyjemność.

Na plaży Marco rozkłada blisko brzegu koc i ustawia płócienne krzeselko. Tu i tam stoją budki, w których można przebrać się w kostium kąpielowy. Słońce wbija gorące sztylety w czarny materiał sukni, ale powietrze jest chłodne. Wiatr bawi się jej jasnymi włosami, przyciska kosmyki do twarzy. Mary wciąga głęboko w płuca słonawą woń morza. Marco opowiada jej o płytkich, wykopanych ręcznie zatoczkach, w których odparowuje się sól, będącą

tutaj jednym z głównych obiektów handlu. Wzdłuż poszarpanej, nierównej linii brzegowej znajduje się wiele takich „patelni”. Opowiada również o plantacjach bananów i o ludziach, którzy zatrzymują się na wyspach w drodze z Europy do Afryki lub z powrotem. Kiedy Mary ma już dość słońca, wstaje i rusza z powrotem do Kwatery Anglików, a on podąża za nią.

- Powiedz mi, Marco, czy są tu takie same domy dla Francuzów, Włochów albo Afrykańczyków?

Sądząc po jego minie, pytanie trochę go rozbawiło.

- Ten dom jest dla wszystkich Europejczyków. Nazywa się tak dlatego, że zbudowali go Anglicy.

- Wiesz może, kto jeszcze tam mieszka?

- Disraeli.

Zatrzymuje się, osłania oczy dłonią i patrzy na niego uważnie.

- Teraz?

- W zeszłym roku. Idą dalej.

- Pytałam o teraz.

- Dowiem się.

W Kwaterze dziękuje mu za towarzystwo i zamyka się w pokoju. Jest nieduży, z oknami z trzech stron. Z każdego okna roztacza się inny widok: z jednego na szmaragdową linię brzegową przechodzącą płynnie w granat oceanu i mającą w oddali brązowy maszyw Teneryfy; z drugiego na białe budynki Las Palmas z pozasłanianymi oknami, rzucające niebieskie cienie; z trzeciego na dzikie palmy i jasnoblękitne niebo, wznoszący się teren z rozrzuconymi domami i odległe góry. Mary długo stoi przy każdym oknie, wciąga w płuca powietrze, smakuje je językiem. Nie zwraca uwagi na dokuczliwy ból w krzyżu.

Posiłek spożywa samotnie w pokoju: małe, świeży chleb i owoce. Jest wspaniale. Podziwia zachód słońca nad miastem, a kiedy zapada zmrok i odgłosy miasta cichną, wychodzi samotnie na ulicę. Nikt jej nie zatrzymuje, recepcja jest pusta. Idzie aż na zupełnie pustą o tej porze plażę, przechadza się po dziewiczym piasku, takim samym jak zaraz po stworzeniu świata. Przygląda się znacznie większym niż za dnia falom; niektóre sięgają dwóch metrów. Na niebie świeci księżyc, od oceanu wieje lekki wiatr.

Po powrocie do pokoju zasypia jak niemowlę i śni o wodzie.

Rankiem czeka na nią Marco. Pozwala mu towarzyszyć sobie aż do wejścia do jadalni na parterze.

- Szukałem i znalazłem - oznajmia z dumą. - Jest tu jeszcze jeden Anglik, pewien dżentelmen, który wraca do zdrowia po chorobie.

- Doprawdy? Nie chciałabym mu przeszkadzać w rekonwalescencji.

- Już prawie całkiem odzyskał siły.

Jadalnia jest ogromna, wysoka, z sięgającymi od podłogi do sufitu otwartymi oknami. Roztacza się z niej piękny widok na brązowe budynki miasta i na ocean. W jednym z wyściełanych foteli bliżej ulicy siedzi wychudzony mężczyzna o śniadej, ospowatej cerze, opuchniętych powiekach i zapadniętych policzkach. Pali cygaro, ale na widok Mary kiwa głową i podnosi się z widocznym wysiłkiem.

- To właśnie ten dżentelmen - mówi Marco.

- Czy zechce pani się przyłączyć? - pyta mężczyzna, pociąga łyk z mosiężnego pucharu i zbliża się do niej.

Mary po męsku podaje mu rękę. Nie jest na to przygotowany, ale szybko ukrywa zaskoczenie, ściska mocno jej dłoń i z powrotem opada na fotel. Nazywa się Batty. Ona również przedstawia się tylko nazwiskiem i siada naprzeciwko. Marco ulatnia się dyskretnie. Batty odprowadza go wzrokiem, ale bez szczególnego zainteresowania: ot, jakiś ruch, który na chwilę zwrócił jego uwagę. Zaraz potem koncentruje ją na Mary. Chyba zbliża się do pięćdziesiątki, ale wygląda znacznie starszej.

- Kingsley... Czy ma pani coś wspólnego z autorem *Wodnych dzieci*?

Mary uśmiecha się, zaskoczona.

- To mój wuj.

Batty kwituje tę informację skinieniem głowy, po czym zaciąga się dymem z cygara i pogrąża w myślach. Cygaro ma bardzo ostry zapach, prawie taki sam jak te, które ojciec przywoził z Ameryki. Te jednak, informuje ją rozmówca, pochodzą z Anglii. Nigdy w życiu nie był w Ameryce. Miło jest wdychać aromatyczny dym w obszernym, dobrze wietrzonym pomieszczeniu. W otwartych na oścież oknach wiszą muślinowe zasłony, które poruszają się nawet w najłżejszych podmuchach wiatru wiejącego od plaży. Jest chłodno i raczej cicho jak na

tę poranną porę. Mary głośno wyraża zdziwienie, zastanawiając się nad obyczajami panującymi w tym kraju.

- Z tego, co zauważyłem, rybacy wcześniej wypływają na połów. - Z wyraźnym zadowoleniem pociąga kolejny łyk z pucharu. Ma żółtawe białka oczu. - Może by się pani czegoś napiła?

- A co pan pije?

- Rum z sokiem bananowym. Skosztuje pani?

Mary odmawia. Zapada długa cisza, wreszcie Batty pochyła się do przodu w fotelu i przygląda się jej uważnie.

- Nie przypomina pani kobiet, które zwykle przyjeżdżają tu z kraju.

- Od jak dawna jest pan tutaj?

Obraca cygaro w palcach, obserwując słupek popiołu na czubku. Na jego skroniach cienka jak pergamin skóra ściśle przylega do czaszki. Wyraźnie widać pulsowanie.

- Dziesięć lat - mówi wreszcie. - Przez ten czas żyłem głównie w buszu w Afryce Zachodniej. Wie pani, gdzie jest Kamerun?

Mary kiwa głową.

- Coś mnie tam ukąsiło. Nawet nie wiem co. Małe ślad na karku, a ja mało od tego nie umarłem. Bezustanne nawroty gorączki i delirium.

- A co pan robił w Afryce Zachodniej? Uśmiecha się tajemniczo.

- Prowadziłem interesy. Płynąłem w górę rzeki Gabon, zatrzymując się pod drodze. Handlowaliśmy egzotycznymi olejkami, materiałami, tytoniem i cukrem.

Mary ponownie kiwa głową, czekając na ciąg dalszy.

- Nie wiem, czy to właściwy temat do rozmowy...

- Oczywiście - zapewnia go.

- Pewnie sądziła pani, że jestem misjonarzem albo kimś takim.

- Ani przez chwilę.

Batty uśmiecha się jeszcze szerzej.

- To może pani jest misjonarką?

Mary kręci głową.

- Przyjechałam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Po raz pierwszy od wielu lat.

- Nie wygląda pani na domową roślinę doniczkową. Tym razem ona się uśmiecha.

- A co może robić kupiec w Afryce Zachodniej poza handlowaniem?

- Niewiele. Docieramy w głąb lądu, robimy interesy z tubylcami. Nie przepadają za misjonarzami, a już na pewno za Europejczykami, toteż musimy bardzo uważać. Europejczycy przynieśli ze sobą niewolę, porwania, choroby i morderstwa, a misjonarze religię, której tubylcy nie rozumieją ani nie potrzebują. Dlatego niektórzy są gotowi zabić każdego Europejczyka, jaki nawinie im się pod rękę.

- A jednak pan przeżył.

- Parę razy niewiele brakowało. Najważniejsze, żeby nie zapuszczać się zbyt daleko w głąb lądu.

- Wróci pan do Anglii?

- Na jakiś czas. Ale ja nigdy nie wracam na długo. Mam Afrykę we krwi, panienko. - Dopija zawartość pucharu, wstaje i kieruje się w stronę stojącego w kącie kelnera. - Jeszcze raz, do pełna. Szepnę słówko o tobie, kiedy stanę przed bramami raju.

8

Po południu znad oceanu nadciąga burza piaskowa. Batty wyjaśnia, że dotarła tu aż z Afryki, znad Sahary. Niebo na horyzoncie robi się brązowe, wąski pasek stopniowo szybko się poszerza, nawet woda zmienia barwę z błękitnozielonej na jasnobrązową. Jaśniejsze grzbiety fal blisko brzegu wyglądają jak dropiate plamy na skrzydłach jastrzębia. Wkrótce powietrze robi się gęste od pyłu. Na ulicach Las Palmas ludzie obwiązują sobie twarze chustami, pozostawiając jedynie wąską szczelinę na oczy, ale i tę zasłaniają jak przed ostrym słońcem. Mary dostrzega lęk w ich ruchach, a jednak ogarnia ją jakieś niezdrowe podniecenie, pragnie za wszelką cenę obserwować wszystko bez uprzedzeń powodowanych lękiem. Trudno nazwać to afektacją; ona sama traktuje to jako różnicę między tym, jak ona postrzega wydarzenie, a jak czynią to inni.

Wiatr chłoszcze piaskiem budki na plaży i zrywa poszycie z dachów w mieście. Przez jego wściekły ryk od czasu do czasu przebija się brzęk tłuczonego szkła i trzask łamanych gałęzi. Drzewa gną się niemal do ziemi, niektóre z nich pękają jak zapalki. Kiedy wichura osiąga największe nasilenie, miasto robi się zupełnie wymarłe. Po drugiej stronie placu, przy ścianie meczetu, kulą się kobiety i dzieci; wiatr sypie na nie takimi ilościami brązowego piasku, że muszą co chwilę się z niego otrząsać.

Batty przygląda się temu razem z nią, popijając wodę z chininą. Co jakiś czas zsuwa zasłonę z twarzy, starając się nie kasłać. Wyjaśnia, że odespał już skutki porannych „wyczynów” i teraz uzupełnia poziom soli w organizmie. Jego zdaniem właściwy poziom soli w organizmie jest niezwykle ważny dla zdrowia człowieka. W związku z tym, jeśli akurat nie pije alkoholu, popija wodę z chininą i zlizuje sól z dłoni.

- Proszę mi wybaczyć, to nie jest właściwy temat do rozmowy.

- Już drugi raz mówi pan to samo, a ja przecież wcale nie czuję się urażona.

Kłania się i pociąga kolejny łyk.

- Pochlebia mi pani, panno Kingsley, ale i tak wiem, że jestem gbur i prostak.

- Wcale tak nie uważam.

- Bardzo pani miła.

- Ja też miewam problemy z zachowaniem pozorów ogłady.

Batty najwyraźniej nie wie, co odpowiedzieć. Z kieszeni spodni wyciąga niewielką skórzaną sakiewkę. Kiedy ją otwiera, dokoła rozchodzi się mocna woń schnącego tytoniu.

- Nasypie się panu piasku do środka - ostrzega go na pół żartobliwie, ale on chyba bierze to serio, ponieważ wkłada do ust szczyptę tytoniu i pospiesznie chowa sakiewkę do kieszeni.

- To na ból zęba - wyjaśnia.

- Wie pan, że tytoń sprowadzono z Ameryki? - pyta go, przekrzykując ryk wichru.

Kiwa głową, splota na chodnik, po czym, chyba zawstydzony, odwraca się od niej.

Mary nadal obserwuje burzę i ludzi walczących z wichrem oraz wciskającym się wszędzie piaskiem. Miniaturowe wydmy rosną na parapetach, a nawet na podłodze w jadalni. Piasek jest też w jej włosach, na ubraniu, pod paznokciami. Oddycha przez wilgotną chusteczkę. Batty mówi coś do niej z zasłoniętą twarzą, ale nie może go zrozumieć. Wyciąga do niej rękę, na której leży szczypta brązowego piasku, drobnego niczym zmielona sól.

- Jeszcze wczoraj ten piasek jeździł na grzbiecie jakiegoś saharyjskiego wielbłąda - mówi z uśmiechem, zsunąwszy zasłonę z ust.

Ona także odsuwa chusteczkę, żeby zobaczyć, jaką przyjemność sprawiła jej ta myśl.

- To rzeczywiście niezwykle! - odpowiada, prawie krzycząc.

Burza szaleje jeszcze przez ponad dwie godziny, czyniąc wiele szkód wśród drzew i budynków, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności nikt nie ginie ani nawet nie odnosi poważniejszych obrażeń. Batty przynosi te wiadomości z wyprawy do miasta. Wraca pijany w towarzystwie innego kupca, też pijanego. Obaj cuchną tytoniem i rumem, stoją przed nią,

wymachują ramionami niczym podekscytowani chłopcy, ale ona wie, że bywali razem w nieprzyjaznych okolicach i wiele widzieli. To nie chłopcy, to twardzi, sterani życiem mężczyźni. Batty przedstawia swego przyjaciela: to Rosjanin, niejaki Dołokow, doskonale władający nie tylko angielskim, lecz także - jak zapewnia ją Batty - niezliczonymi językami i narzeczeniami indyjskimi, afrykańskimi i azjatyckimi. Przynajmniej kiedy jest trzeźwy. Uczy się języków tak łatwo, jak niektóre kobiety gry na klawikordzie, a Batty znał taką, kiedy dawno temu mieszkał w Suffolk. Opowiada dalej o tej kobiecie, która nauczyła się grać, jedynie obserwując innych i słuchając ich gry, a Dołokow wypina pierś i rozgląda się z pijacką dumą, jakby to wciąż o nim była mowa. Z trudem utrzymuje się na nogach.

- ...ale nikomu nic się nie stało - mówi Batty. - Takie burze co prawda rzadko się tu zdarzają, ale nie aż tak rzadko, żeby ludzie nie wiedzieli, jak się mają zachować.

- Więc stoimy już na afrykańskiej ziemi... Uśmiecha się szeroko, pokazując popsute zęby.

- Tak jest, panno Kingsley.

Odgarnia stopą piasek, który zebrał się na podłodze, odwraca się i razem z przyjacielem odchodzi niepewnym krokiem. Na środku pomieszczenia zatrzymuje się i odwraca do niej, jakby przewidując, że chce mu jeszcze coś powiedzieć.

- Mam nadzieję, że jutro zechce udzielić mi pan pierwszej lekcji?

- Lekcji czego? Mary też się uśmiecha.

- Rzemiosła kupieckiego. I o Kamerunie.

9

Wieczorami wychodzi zupełnie sama, dni zaś spędza albo w towarzystwie Marca, albo z Battym i Dołokowem. Dwukrotnie wyprawiają się na kontynent afrykański małym stateczkiem handlowym. Batty zna pobliskie wioski jeszcze ze swoich pierwszych wypraw z Anglii. Stateczek wiezie świecidełka, sól i żelazne okucia, wraca zaś z małpami, papugami, olejem palmowym, węzami, kanarkami, owcami, złotym piaskiem i kością słoniową. Przywozi również tubylców z rozmaitych plemion, kobiety i mężczyzn. Podczas ostatniej podróży Mary wchodzi na pokład już po załadunku i kieruje się od razu do swojej kabiny, ale otworzywszy niskie drzwi, stwierdza ze zdziwieniem, że kabina jest zajęta. Mruży oczy i dostrzega w półmroku cztery ludzkie kształty: dwa na koi, dwa na podłodze, zawinięte w koce.

- Przepraszam...

Odpowiada jej milczenie. Puka do otwartych drzwi, lecz wewnątrz wciąż panuje cisza, zatrząskuje je więc, otwiera i czeka. Nic, żadnego ruchu. Czuje wyraźną woń alkoholu, a także czegoś innego, chyba wymiocin, słodkawą i mdlącą. Wszyscy są pijani do nieprzytomności.

Wraca na pokład w poszukiwaniu stewarda. Znajduje go wijącego się w ataku delirium tremens i wymiotującego za burtę. Wydaje mu się, że oblażło go robactwo; kiedy dotyka jego ramienia, mężczyzna odwraca się z krzykiem i zaczyna na oślep młócić rękami. Niewiele brakuje, żeby ją uderzył. Ani Batty'ego, ani Dołokowa nie ma nigdzie w pobliżu. W końcu udaje jej się znaleźć intendenta, chorobliwie wychudzonego człowieka o rzadkiej brodzie i twarzy wykrzywionej wiecznym grymasem niezadowolenia.

- Tak, wiem - mówi, zanim Mary zdąży otworzyć usta. - W pani kabine. Bardzo mi przykro, ale oni nie żyją.

Wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Jest najwyraźniej zadowolony z wrażenia, jakie udało mu się wyrzeć.

- To się całkiem często zdarza - ciągnie. - Pomarli w ciągu minionych dziesięciu dni.

- Co ich zabiło?

- Chyba gorączka. Jednego coś nadzarło, albo wcześniej, albo już po śmierci.

Mary zachowuje spokój, ponieważ zdaje sobie sprawę, że intendent chciałby wytrącić ją z równowagi. Należy do mężczyzn, którzy pozornie troszczą się o kobiety, choć w głębi duszy sprawia im radość każdy ból, jaki zdołają zadać. Tym razem jednak bardzo się pomylił, a ona chciałaby dać mu to do zrozumienia, nie mówiąc mu tego wprost, toteż po prostu patrzy na niego spokojnie, tak jakby przez całe życie miała do czynienia z trupami częściowo pożartymi przez dzikie zwierzęta.

- W takim razie czy może mi pan wskazać nową kabinę? - pyta.

- Niedługo dopłyniemy do portu, panienko. Chyba nie chciałaby pani, żeby leżeli na pokładzie?

- To dlaczego nie umieścił ich pan w swojej kajucie? Przecież to pan kazał wnieść ich na statek.

Przez chwilę mierzy ją nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym odwraca się i beszta jednego z marynarzy zajętego rozplątywaniem liny.

Mary zostaje na pokładzie, wśród półnagich tubylców z plemion, których nazw już dawno temu nauczyła się na pamięć. Udaje, że obserwuje widoczny daleko na horyzoncie brzeg Afryki, lecz tak naprawdę przez cały czas obserwuje ich ukradkiem.

10

Batty i Dołokow często się upijają. Śmierdzą wtedy alkoholem i uwielbiają opowiadać „życiowe historie”. Jak się okazuje, Batty dysponuje dość ograniczoną wiedzą nie tylko z nauk ścisłych, lecz także z historii i geografii. Na przykład ma niewielkie pojęcie o tym, gdzie znajdują się Wielkie Równiny w Ameryce Północnej albo gdzie szukać na mapie niektórych państw azjatyckich. Zna za to dość dobrze wybrzeże Afryki, szczególnie zachodnie. Sam o sobie mówi jako o „człowieku wybrzeża” i zalicza się, razem z Dołokowem, do grona nielicznych, którzy znają te obszary jak własną kieszeń - obszary należące, zdaniem Mary, do najniebezpieczniejszych i najmniej przyjaznych miejsc na planecie.

Opowiadają o rozmaitych chorobach niewiadomego pochodzenia, być może powodowanych przez wodę, jedzenie, zatrute powietrze lub owady. Opowiadają o rozmaitych zabójcach: lwach, lampartach, dzikich psach, dzikich świniami i krokodylach, a także o różnobarwnych wężach, których jad zabija człowieka w ciągu kilku minut. W Afryce żyje mnóstwo stworzeń potrafiących wytropić cię i zabić. Są to nie tylko zwierzęta, lecz również tubylcy, piraci i bandyci. Całą Afryką Zachodnią rządzą kraje europejskie, ale nie robią tego dobrze. Są tu Francuzi, do których należy całe Kongo, są Holendrzy, którzy wszędzie, gdzie się pojawiają, zakładają misje religijne, Niemcy, którzy przynajmniej są zorganizowani, całkowicie bezradni Hiszpanie oraz Anglicy, najgorsi ze wszystkich.

Dołokow opowiada jej swoją nie całkiem doskonałą angielszyznę, z dość wyraźnym słowiańskim akcentem i chwilami ekscentryczną idiomatyką, o człowieku, który zajmował się połykaniem noży. W Ameryce występował w wielu cyrkach objazdowych, a nad rzeką Kongo popisywał się przed Buszmenami o twarzach pomalowanych kolorowymi farbami; tubylcy byli zafascynowani, ale i przerażeni. W chwili kiedy połknął nóż, trzech tubylców pospieszyło z włóczniami, oferując mu je na przekąskę. Jakież było ich zdumienie i jak srogi spotkał ich zawód, kiedy sztukmistrz nie tylko nie zdołał przełknąć niespodziewanego poczęstunku, ale szybko skonał, nie wykrztusiwszy ani słowa podziękowania, co stanowiło poważne naruszenie dobrych manier.

- Niewiele brakowało i nas też by zabili - opowiada Batty. - Za to, że z nim byliśmy, i za to, że nie potrafimy przywrócić go do stanu używalności po tym, jak całkiem dosłownie połknął nóż i dwie włócznie. Pochowaliśmy go jeszcze tego samego dnia na plaży tuż przy ujściu rzeki Gabon.

Dołokow zapada w ponure milczenie, popija whisky, najwyraźniej wspominając tragicznie zmarłego połkacza noży. W końcu zasypia, a Batty wlecze go do pokoju i kładzie do łóżka, po czym wraca, zataczając się nieco. Siada i zapaliwszy cygaro, spogląda na ocean.

- Dołokow już tam nie wróci.

- Przykro mi z powodu jego przyjaciela - mówi Mary.

- On był także moim przyjacielem. Doskonale grał w karty, świetnie opowiadał... W buszu dobry gawędziarz jest na wagę złota. Dołokow też był w tym kiedyś niezły, ale potem zrobił się ponury.

- Mam wrażenie, że to dobry człowiek.

- Najlepszy - odpowiada Batty. - Kiedyś płynęliśmy po rzece i zaszarżował na nas hipopotam. Co prawda hipopotamy nie są mięsożerne, ale łatwo wpadają we wściekłość. Potrafią zabić człowieka tylko za to, że wejdzie im w drogę. Ten hipcio jak nic odgryzłby mi nogę, gdyby Dołokow nie wpakował mu prosto w gardło dwukilowego pudełka z nabojami. Bydlę zakrztusiło się, połknęło poczęstunek i zrezygnowało z ataku. Ciekaw jestem, czy ten posiłek wybuchł mu w żołądku...

Mary słucha go z zapartym tchem. Chciałaby dowiedzieć się wszystkiego i wszystko wchłonąć, ale Batty traci ochotę do zwierzeń, ponieważ w jego uszach brzmią one jak zwyczajne narzekania.

Któregoś popołudnia Mary, korzystając z nieuwagi Marca, wymyka się z domu i w palących promieniach słońca idzie do portu, gdzie wypożycza czółno u ciemnoskórego, potężnie zbudowanego człowieka w europejskim ubraniu. Z jego spodni bez trudu dałoby się uszyć żagiel. Nogi ma tak grube, że musi się poruszać szerokim, rozkołysanym krokiem, dłonie z kolei przypominają rozmiarami bochny chleba. Mężczyzna bez trudu bierze całkiem spore czółno pod pachę, jakby to była paczuszka dostarczona przed chwilą przez listonosza.

- Na jak długo? - pyta zaskakująco wysokim, niemal chłopięcym głosem.

Zaskakujące jest również to, że mówi po angielsku.

- Nie wiem - odpowiada Mary, patrząc w mętne brązowe oczy.

- Nie ma pani właściwego stroju.

Mimo to wręcza jej wiosło, po czym odchodzi, kołysząc się na boki. Mary wskakuje do czółna i wypływa na płyciznę. Początkowo ma spore problemy z utrzymaniem prostego kursu, ale szybko się uczy i wkrótce całkiem nieźle daje sobie radę. Czółno stopniowo nabiera prędkości. Woda jest doskonale przejrzysta, wzrok sięga do dna. Przez jakiś czas towarzyszy jej spora płaszczka, mknąc tuż nad białym pisakiem niczym latający, a raczej pływający dywan. Mary dopływa na Lanzarote i wyciąga czółno na brzeg, walcząc nie tylko z jego ciężarem, ale i z ciężarem przesiąkniętej wodą czarnej sukni i bielizny. Podwija ją do kolan i wyżyma na gorącym piasku. Jest zupełnie sama na plaży. Rusza w kierunku widocznej w oddali smugi dymu, zbierając po drodze okazy fauny i flory. Po przejściu około kilometra dociera do solanki i małej fabryczki; obrzuca je wzrokiem, odwraca się i odchodzi. Nie potrzebuje niczyjego towarzystwa. W drodze powrotnej obserwuje piaszczyste ostrogi wrzynające się w krystalicznie czystą wodę i lśniące milionami maleńkich punkcików światła. Jak piękny jest ten świat, myśli, nie pamiętając już o całej jego brzydocie, której doświadczyła.

Dwa dni później ponownie wyrusza na wyprawę, tym razem na Gomerę, żeby obejrzeć znajdujący się tam wulkan. Ten dzień również jest bezchmurny, piękny i upalny. Kiedy wyciąga czółno na brzeg, ma ochotę zanurzyć się w wodzie aż po szyję. I ta plaża jest całkiem bezludna, nigdzie dokoła nie ma śladu dymu, więc Mary, trzymając się oburącz czółna, rzeczywiście zanurza się w wodzie. Suknia rozpościera się szeroko wokół niej. Woda jest zimna i cudownie orzeźwiająca. Mary wychodzi na brzeg dopiero po godzinie i rusza w górę po zboczu wulkanu. U podnóża rosną palmy i kolczaste krzewy, między nimi wysoka żółta trawa; wyżej jest tylko lava, czarna jak smoła. Kiedy dociera do krateru, suknia z zewnątrz jest już prawie sucha, za to mokra od środka od potu. Na rękawach i pod pachami pojawiają się wielkie plamy soli. Wnętrze krateru przecinają liczne szczeliny i pęknięcia, z których unoszą się dym i para. Przez ponad godzinę Mary wędruje powoli po krawędzi, spoglądając w dół, po czym kieruje wzrok na morze i wiszące nisko słońce i uświadamia sobie ze zdumieniem, jak dużo czasu minęło. Wątpliwe, żeby przed zachodem słońca zdążyła nawet zejść na plażę. Ogarnia ją panika... Ale tylko na chwilę.

W gęstniejącym mroku szybkim krokiem schodzi na plażę, wyciąga czółno dalej na piasek, żeby uchronić je przed falami przyływu, po czym wyszukuje między palmami zagłębienie terenu częściowo ukryte pod płaskim głazem, dzięki czemu nawet gdyby padało, nie powinny docierać tam krople deszczu. Zdejmuje wierzchnie odzienie i robi z niego coś w rodzaju dużej wilgotnej poduszki. Leżąc, myśli przez jakiś czas z niepokojem o owadach,

wężach i drapieźnikach, ale nic nie może pokonać jej zmęczenia, choć sama zaledwie przed chwilą przypuszczała, że będzie miała duże problemy z zaśnięciem.

Budzi się o świcie, zeszywniała i z bólem głowy, lecz zarazem zaskakująco świeża i wypoczęta. Ponieważ była na tyle przezorna, żeby zabrać ze sobą rzeczy na zmianę, przebiera się, spycha czółno na wodę i wraca do Las Palmas. Idąc do Kwatery Anglików, wybiera dłuższą drogę, która prowadzi ją na skraj plantacji bananów. Pracujący tam ludzie, złani potem od stóp do głów, śpiewają jakąś pieśń zdumiewająco zgranym chórem. Ich głosy o poranku rozbrzmiewają egzotyczną harmonią.

W drzwiach czeka na nią Marco z wypisanym na twarzy niezadowoleniem.

- Dzień dobry.

- Nie jest rozsądne wypuszczać się daleko bez towarzystwa.

- Postaram się o tym pamiętać.

Marco ani drgnie, ona zaś nie zwalnia kroku, gotowa nawet zderzyć się z nim, jeśli nie ustąpi jej z drogi, lecz właśnie w tej chwili na progu pojawiają się objęci, rozśpiewani Batty i Dołokow. Kilka sekund później są już przy niej.

- Witamy z powrotem! - mówi Batty. - Gdzie pani się podziewała?

- Spędziłam noc na Gomerze. Spałam pod skałą.

Ogarnia ją niemal uniesienie i zdaje sobie sprawę, że to po niej widać. Batty uśmiecha się i puszcza oko.

- Widzę, że po drodze uniknęła pani pożarcia przez rekiny.

- W tropikach nie powinno się sypiać pod gołym niebem... - mamrocze Dołokow. - Bóg mi świadkiem.

Batty, wciąż z uśmiechem na ustach, odwraca się do Marca.

- No, nie stercz tak jak jakiś stary belfer! Okropnie chce nam się pić od samego rana.

Marco odwraca się sztywno i znika w holu. Batty uchyla nieistniejącego kapelusza i podtrzymując Dołokowa, mówi:

- Niewiasto, gdzie podziali się ci, co cię oskarżali? Idź i nie grzesz więcej.

Któregoś wieczoru pod koniec jej pobytu na Wyspach Kanaryjskich znad oceanu nadciąga ulewa. Mary i Batty czekają w wejściu do katedry, aż deszcz zelżeje. Zwiedzając świątynię, doszli do wniosku, że hiszpańskie malowidła mają nieco bizantyjski charakter. Dołokow ma nawrót gorączki, został więc w Kwaterze, gdzie leży w łóżku i popija wodę z chininą.

Rozmawiają o przeżyciach Batty'ego podczas wypraw w górę afrykańskich rzek. Kiedyś widział, jak krokodyl wciągnął człowieka z łodzi do rzeki. Ten rozpaczliwie chwycił się burty, lecz bestia szarpała go tak długo, aż ofiara straciła siły i zwolniła uchwyt. W ruchach krokodyla było coś przerażająco ludzkiego. Był to młody osobnik, niewiele większy od człowieka, którego chwycił, a który przez cały czas obrzucał go najgorszymi wyzwiskami, jakby wcale nie był przerażony, tylko po prostu rozwścieczony. Obelgi umilkły, kiedy nieszczęśnik zniknął w nurcie rzeki.

Wszystko to wydarzyło się na oczach kilkunastu tubylców z plemienia Ajimba oraz Dołokowa i Batty'ego, których tak zaskoczyła gwałtowność niespodziewanego ataku, że nie wykonali najmniejszego ruchu ani nawet nie zdołali wydobyć z siebie głosu, w związku z czym przekleństwa, krzyki, a wreszcie rozpaczliwy charkot ofiary były doskonale słyszalne. To wspomnienie miało z nimi pozostać już na zawsze. Kiedy złożony gorączką Batty leżał później pod moskitierą na plaży w Kamerunie, wydawało mu się, że ten sam krokodyl wypełził z morza na piasek i wciska się do namiotu. Przerazająca wizja nie chciała go opuścić nawet wtedy, kiedy gorączka spadła. Tubylcy sprowadzili do niego dostojną niemiecką matronę z małej misyjnej osady w głębi lądu, a ta zaleciła mu kurację z koziego mleka, od czego zrobiło mu się jeszcze gorzej. Ajimba zaopiekowali się nim jednak i pielęgowali go przez cały okres szaleństwa. Tolerowali je, choć pewnie sądzili, że spadło na niego z drzew albo przyleciało niesione wiatrem z zaśnieżonego szczytu góry. Długo leżał, wpatrując się w biały wierzchołek, i często śniło mu się, że tam dotarł, stąpając w powietrzu. W stanie, w jakim się znajdował, wydawało mu się to całkowicie naturalne. Niemka, strofująca go bezustannie w niezrozumiałym, szczekliwym języku, znikła gdzieś bez śladu.

- Jeśli komuś tam w ogóle ufam, to tylko innym kupcom - mówi Batty. - No i jeszcze niektórym tubylcom. W pierwszym lepszym angielskim chłopcu jest więcej okrucieństwa niż w całej Afryce. Tutaj wszystkich traktują z szacunkiem, pilnie słuchają i szybko się uczą, ale

ponieważ cenią sobie zupełnie co innego niż my i nie wszystko im się podoba, to my, Europej- Europejczycy, uważamy tubylców za gorszych albo głupszych. Nawet jeśli nie wiem, co myśli ten czy inny tubylec, to przynajmniej zdaję sobie sprawę, że nie stara się mnie wykiwać. Nie odsłania się przede mną, ale mnie nie oszukuje. Wierzy w czary, wierzy w świat zamieszka- nych przez duchy i upiory, ale nie knuje i nie próbuje filozofować. Jego życie jest krótkie i brutalne. Według naszych standardów on sam również często bywa brutalny albo nawet okrutny, ale my w jego oczach też chyba nie prezentujemy się jako najłagodniejsze stworzenia, z naszymi strzelbami i apetytem na zabijanie. Afrykanie nie mają czasu na poszukiwanie wyrafinowania w zabijaniu ani w muzyce, ani w sztuce, jeśli rozumie pani, co mam na myśli, i dlatego nie mają wielkich szans w zetknięciu z Europejczykami. Mają jednak poczucie honoru i tego samego oczekują od nas.

- Chciałabym ich poznać.

Batty wpatruje się w swoje kolana, które od jakiegoś czasu znowu mu poważnie dokuczają. Lekko skrzywiony, pociera je dłońmi. Mary sądzi, że zinterpretował jej słowa jako uprzejmą próbę podtrzymania konwersacji, więc je powtarza.

- Tak, słyszałem.

- Ale mam wrażenie, że mnie pan nie zrozumiał.

- Niepotrzebnie uogólniałem. Tam, na kontynencie, egzystuje mnóstwo rozmaitych kultur. Niesłusznie postąpiłem, wrzucając wszystkie do jednego worka. Powinienem był raczej powiedzieć, że ci tubylcy, których znam, pochodzący z tych nielicznych społeczności, z którymi dane mi było się zetknąć, zachowywali się i postępowali właśnie tak, a nie inaczej. Nasz problem, panno Kingsley, polega na tym, że tak mało o nich wiemy zarówno jako jednostkach, jak i zbiorowościach. Często nawet nie zadajemy sobie trudu, żeby ich wysłuchać.

- Chciałabym to zmienić.

I tym razem Mary ma wrażenie, iż rozmówca potraktował to jako uprzejmą, zdawkową wypowiedź.

- Wspaniale.

- Ale zamierza pan wrócić... Batty kiwa głową.

- Nie zerwie pan kontaktu ze mną? Bezradnie rozkłada ręce.

- Nie wiem, czy mi się uda. Jestem chory.

- Naprawdę chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o mieszkańcach Afryki Zachodniej.

Batty ponownie kiwa głową i uśmiecha się.

- Już pani mówiłem, że jest pani zupełnie inna od wszystkich Angielek, jakie do tej pory poznałem, wszystko jedno tutaj czy gdzie indziej.

- Chciałabym dowiedzieć się więcej o wszystkim, co mi pan opowiadał.

- Może kiedyś napisze pani książkę, jak pan Burton?

- Może. Kto wie.

- Mam nadzieję, że pani nie uraziłem? - pyta z niepokojem.

- Skądże znowu. Za bardzo pan się przejmuję.

- Jest pani dla mnie autentyczną zagadką, panno Kingsley. Chwilami zastanawiam się nawet, czy nie robi pani tego z premedytacją.

- Ma pan na myśli moją tajemniczość? Zapewniam pana, że nie. Jestem całkiem zwyczajną osobą, o niewielkich i prostych potrzebach. Nie potrafię być inna.

Batty kiwa z aprobatą głową. Co prawda jego twarz nie wyraża żadnych uczuć, lecz Mary zdaje sobie sprawę, iż wynika to z naturalnej rezerwy Batty'ego.

- Może już byśmy wracali?

- Proszę iść, jeśli pan chce. Ja jeszcze chwilę zostanę.

- Chętnie zaczekam, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

Zdając sobie sprawę, że chodzi o dochowanie wierności tradycji, postanawia nie sprawiać mu przykrości i wraca z nim do Kwatery Anglików. Po ulewie pozostało jedynie wspomnienie w postaci niewielkiej mżawki. Przed samym wejściem do budynku Batty niespodziewanie obejmuje ją z zaskakującą obcesowością i całuje w usta. Czuć od niego silną woń cygar, co wcale jej nie przeszkadza, nie może jednak znieść bliskości jego twardego, żyłastego ciała. Odpycha go mocno, a on cofa się o krok, opuszcza głowę i przestępuje z nogi na nogę niczym uczeń przyłapany na gorącym uczynku.

- Jest pani piękną kobietą, panno Kingsley. Proszę mi wybaczyć.

Kręci się jej w głowie, serce łomocze w piersi.

- To dla mnie wielki komplement - odpowiada z wymuszonym uśmiechem.

Batty stoi bez słowa z opuszczoną głową. Sytuacja jest tak absurdalnie zabawna, iż niewiele brakuje, żeby Mary parsknęła głośnym śmiechem.

- To znaczy, tak mi się przynajmniej wydaje.

Mierzy ją badawczym spojrzeniem, jakby obmyślał plan dalszych działań zmierzających do tego - uświadamia to sobie z ukłuciem w sercu - żeby zdobyć coś, czego i tak nie mogłaby mu dać. Mimo to nadal go lubi, nawet bardzo.

- To prawda - mówi Batty. - Jest pani bardzo piękna.

- Nie chcę teraz o tym mówić.

- Nigdy nie byłem dżentelmenem. Nie mam zbyt dobrych manier. Wiem tylko tyle, że ma pani cudowną skórę i że chciałbym jej dotknąć. To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałem już wtedy, kiedy ten sztywniak panią do mnie przyprowadził. - Milknie i kuli się, jakby otrzymał mocny cios w brzuch. - Proszę mi wybaczyć...

Mary zdaje sobie sprawę, iż Batty poprzestanie na słowach. Od tej pory naprawdę będzie się zachowywał jak dżentelmen. Kładzie mu rękę na ramieniu.

- Dziękuję.

- Wyruszy pani na swoją wyprawę bez kochanka. Brzmi to prawie jak pytanie.

- Przyjechałam tu po to, żeby uciec od miłości - słyszy swoje słowa.

W pierwszej chwili wydaje jej się, że powiedziała to po to, by się od niego odgradzić, potem jednak uświadamia sobie, że to prawda: jej podróż była czymś w rodzaju ucieczki. Batty stoi przed nią jak zbity pies.

- Dopiero od kilku dni czuję, że wreszcie mogę swobodnie oddychać.

- Mam nadzieję, że nie zniszczyłem naszej przyjaźni?

- Proszę się nie obawiać.

Przestępuje z nogi na nogę, zerka na nią ukradkiem, a następnie pospiesznie odwraca wzrok.

- Był pan dla mnie bardzo miły, a ja nawet nie wiem, jak się pan naprawdę nazywa...

- James Henley. No cóż, wygląda na to, że będzie mi musiała wystarczyć pani przyjaźń.

To stwierdzenie nie wymaga odpowiedzi, toteż Mary tylko uśmiecha się przyjaźnie. Wchodzą do budynku. Mary od razu idzie na piętro, gdzie w oświetlonym lampą gazową korytarzu przed jej drzwiami drzemie w fotelu Marco.

- Marco...

Podrywa się na nogi, lekko zażenowany ociera oczy.

- Co tu robisz?

- Dowiedziałem się, że pani wychodzi nocami. Kobieta nie powinna chodzić samotnie nocą po Las Palmas.

- Nie byłam sama.

Marco pochyla głowę w milczeniu.

- I nie uważam za konieczne, żebyś trzymał straż przed moimi drzwiami.

- Myślałem, że pani jest w pokoju. Chciałem być w pobliżu, gdyby zechciała pani wyjść.

- Biedaku... Możesz już odejść.

Marco kłania się ponownie z przesadną godnością, która ogromnie ją irytuje. Mimo to stara się tego nie okazać.

- Dobranoc, pani.

Odchodzi wolnym, posuwistym krokiem, a jego cień sunie za nim po ścianie korytarza.

12

Ostatnie dni pobytu spędza na zwiedzaniu wysp w towarzystwie Batty'ego i na wypytywaniu go o podróże do Afryki Zachodniej. Wyprawiają się aż do Salinas del Rio na Lanzarote, czyli tam gdzie wcześniej samotnie dotarła czółnem, i stoją na Roque Nublo, dwóch ogromnych skałach na szczycie brunatnej góry, skąd roztacza się oszałamiający widok na inne góry i morze. Zwiedzają solanki i sklepy, Mary rozmawia z robotnikami, kupcami i właścicielami plantacji. Odwiedzają również Teneryfę i inne wyspy. Wspinają się na szczyt Pazo de los Nieves i podziwiają sąsiednią górę otoczoną wianuszkami nieruchomych obłoków. Odwiedzają Laplaya Veneguera z jej białymi domkami rozrzuconymi wśród sosen i palm; sosny są tak wysokie i wysmukłe, że ich wierzchołki wyglądają prawie nienaturalnie, jakby umieściła je tam czyjaś ogromna ręka, która na chwilę wysunęła się z chmur.

A chmur jest coraz więcej, nasuwają się spiętrzonym wałem znad oceanu. Od spodu są ciemnosine, lecz nie przynoszą deszczu. Dni są suche i prawie bezwietrzne, tylko od czasu do czasu czuć słaby powiew gorącego powietrza przesyconego zapachem bananów z pobliskich plantacji. Batty coraz szybciej odzyskuje dawne, najwyraźniej niezmożone siły. Dołokow przez dwie doby majaczył w delirium i teraz, blady jak śmierć, stopniowo wraca do sił. Częściowo odzyskał apetyt i nawet zaczyna już siadać. Atak chyba minął, ale Batty mówi, że prędzej czy później nastąpi kolejny, że nieszczęsny Dołokow nigdy nie odzyskuje pełni formy i że najprawdopodobniej jego problemy są spowodowane bardziej miłością do butelki niż malarią albo jakimiś innymi chorobami przywiezionymi z tropikalnego buszu.

- Próbowałem przemówić mu do rozsądku, ale bez rezultatu.

Chociaż Batty'emu na czoło występują żyły, bez większego wysiłku wspina się na wulkaniczne zbocza. Mówiąc o nieszczęsnym Dołokowie, uświadomił sobie, jak wiele sił już odzyskał. Zaczyna wspominać o tym, że mógłby już nigdy nie wrócić do Anglii.

- Szczerze mówiąc, kiedy tu przyjechałem, byłem przekonany, że już niedługo zabawię na tym świecie. Nie chcę żyć w Anglii, ale tam właśnie pragnę umrzeć, kiedy nadejdzie moja pora.

- Daleko panu do umierania.

Niczego od siebie nie oczekują. Mary nigdy w życiu nie była szczęśliwsza.

Kiedy wreszcie prawie po dwóch miesiącach w szary, smutny dzień wchodzi na pokład parowca, ogarnia ją przygnębienie tak wielkie, że blednie przy nim wspomnienie cudownego pobytu. Czuje się rozbita i nieszczęśliwa. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że to typowo dziecienna reakcja, wyraz pragnienia, żeby dobre czasy trwały wiecznie, i niechęci do powrotu na Mortimer Road. Ten szary dzień niczym prawie nie różni się od szarych dni w Londynie, wypełnionych kwaśną mgłą prawie uniemożliwiająca oddychanie. Batty nie mógł jej odprowadzić, ponieważ jest zajęty przygotowaniem do własnego wyjazdu - nie do Anglii, jak początkowo planował, lecz do Kamerunu. Marco stoi na nabrzeżu i macha bez zapału ręką. Tajemniczy, wiecznie ponury Marco, dla którego godność osobista i upór to niemal jedno i to samo. Ona również do niego macha, ale bez uśmiechu, ponieważ zdaje sobie sprawę, że nie sprawiłaby mu tym przyjemności.

Kapitan parowca jest szczupłym, jasnowłosym, żylastym mężczyzną zaskakująco niskiego wzrostu. Jest nawet niższy od Mary. Gdyby nie krzaczaste bokobrody i zmarszczki wokół stalowobłękitnych oczu, można by pomyśleć, że całkiem niedawno wyrósł z wieku chłopcęgo. Nazywa się Edgars i w rzeczywistości zbliża się do sześćdziesiątki. Ma szorstki głos i takie same maniery. Podwładni szybko i sprawnie wypełniają jego rozkazy. Łatwo dostrzec, że się go boją. Mary trochę śmieszy ta sytuacja: ci wszyscy wielcy, umięśnieni marynarze drżący ze strachu przed swoim małym kapitanem...

Zaprasza ją swoim chrapliwym basem na rufę, żeby mogła obserwować malejące wyspy. Wokół niej stoją inni pasażerowie: dwaj Holendrzy, Niemiec, Francuzka z dwiema córkami oraz kilku wyspiarzy, prawdopodobnie muzułmanów, podróżujących do Hiszpanii. Zwieńczone chmurami szczyty szybko nikną w oddali. Nikt nie odzywa się ani słowem. Mary na chwilę ogarnia lęk towarzyszący zwykle ludziom, którzy opuszczają ukochane miejsca - obawa, że już nigdy tu nie wrócą, że wydarzy się coś, co ich od tych miejsc na zawsze odgrodzi.

Później, już sama na pokładzie, przechadzając się od burty do burty, rozmyśla o Afryce. Powtarza to słowo jak zaklęcie: Afryka... Afryka... Piękne, melodyjne, kuszące.

Afryka. Doskonały pomysł. Spogląda na bezmiar oceanu, na spieniony ślad statku rozmywający się wśród fal i zastanawia się, jak by to było, gdyby tam pojechała. Właściwie czemu by nie? Jeśli się nad tym zastanowić, można by dojść do wniosku, że od dzieciństwa się do tego przygotowywała. Oczywiście nikt się tego nie spodziewanej decyzja z pewnością spotka się z dezaprobatą wielu ludzi, na przykład Charleya, nie wspominając o innych osobach z jej rodziny, i to z obu stron.

Mimo to pomysł podoba jej się coraz bardziej, choćby dlatego, że ma czym zająć myśli podczas długich nieprzespanych nocy, kiedy leży na swojej koi, czując całym ciałem kołysanie statku i słysząc dobiegające zza ściany jęki cierpiącej na morską chorobę Niemki i jej dzieci. Powtarza szeptem nazwy miejsc, które tak często padały z ust Batty'ego i Dołokowa: Kamerun, Agonjo, Remboue, Sierra Leone, Ogooué, Gabon. Jakie niezwykle, ekscytujące dźwięki.

Wreszcie zasypia, już nie smutna ani nie przygnębiona, lecz z oczekiwaniem myśląc o czekającej jej walce o to, by świat dał jej wolność, której tak bardzo pożąda.

13

W dniu powrotu Mary przysypany sadzą Liverpool piecze się w słonecznym skwarze. Nieliczne obłoki mają barwę popiołu. W nieprawdopodobnie gorącym powietrzu wisi ciężka woń węgla. Konie ciągnące wóz z odpadkami zwieszają łby nad samą ziemię, jakby fizycznie przygniecione jakimś niewidocznym ciężarem. Mary wsiada w dyliżans jadący do Cambridge; po powrocie do domu zastaje tam Charleya, który dwa dni wcześniej wrócił z Azji i, jak twierdzi, zamierza uporządkować i wydać zapiski ojca. Ona sama wpadła na ten pomysł już dawno temu i nawet zaczęła wprowadzać go w życie, ogarnia ją więc furia na myśl o tym, iż jej brat najwyraźniej uważa, że tylko jemu ta myśl przyszła do głowy. Całymi dniami siedzi na tylnej werandzie, wertując listy, artykuły i zapiski i samemu notując coś od czasu do czasu. Notatki czyni na tabliczce, którą trzyma na kolanach, w związku z czym z daleka wygląda na inwalidę, obłożonego papierami, które niezdarnie podnosi z podłogi i kładzie sobie na złączonych kolanach.

Mary pisze dwa listy do Batty'ego, po czym drze oba na drobne kawałeczki. Zajmuje się wszystkimi sprawami domowymi, pełniąc funkcję gospodyni i kucharki Charleya. Nikt z rodziny Kingsleyów nie zjawia się z wizytą, rzadko widuje też dawnych przyjaciół; nawet Guillemard prawie przestał się pojawiać, zajęty własnymi sprawami. Dawne lęki znów

zaczynają przybierać na sile; Mary ma kłopoty z zaśnięciem, co noc długo leży w łóżku z otwartymi oczami, starając się oczyścić umysł.

Kiedy tydzień po jej powrocie Charley oznajmia niespodziewanie, że pragnie zamieszkać w Londynie, Mary w głębi duszy nie posiada się z radości. Uświadamia sobie, że przestała rozmawiać z bratem na istotne dla niej tematy i zwierzać się ze swoich przemyśleń, ponieważ może od niego oczekiwać wyłącznie lekceważenia wynikającego z poczucia wyższości. Najgorsze jest to, że Charley nie zdaje sobie sprawy ani ze swego dyletanctwa, ani z bólu, jaki sprawia jej swoim postępowaniem. Chwilami ogarnia ją przemożna chęć, żeby posłać mu soczyste przekleństwo albo czymś w niego cisnąć. Kiedy wchodzi do pokoju i widzi jego zadowoloną, uśmiechniętą, bezmyślną twarz, ma ochotę na niego nawrzeszczyć. Jest tak zadufany w sobie, że nawet nie dostrzega, iż Mary staje się wobec niego szorstka i nieuprzejma.

Charley znajduje dla nich niewielkie mieszkanie przy Addison Road, w pobliżu Uxbridge Road Station. Nikt z rodziny ani ze znajomych nie uznałby tej przeprowadzki za udaną. W najbliższej okolicy tłoczą się piętrowe domki o jednakowych fasadach i identycznych kamiennych schodkach. Z zasłoniętymi oknami wyglądają jak smutne twarze. Szykując wszystko do przeprowadzki, Mary z bólem rozstaje się z pamiątkami po rodzicach: ubraniami, szczotkami, grzebieniami, kartami do gry, fajkami, butami. Pozbywa się wszystkiego: część oddaje biednym, część po prostu wyrzuca. Nieudane wspomnienia długiego i nieudanego małżeństwa.

Już w nowym miejscu Charley gromadzi rozmaite dokumenty, sporządza notatki i niezobowiązująco opowiada o kolejnej wyprawie, być może znowu na Daleki Wschód. Mary dopiero teraz uświadamia sobie ze zdziwieniem, że w ogóle nie rozmawiali o swoich przygodach. Nie ma pojęcia, co jej brat widział ani co robił w Azji.

Któregoś wieczoru odwiedza ich Guillemard. Kiedy rozmawia z Charleyem o paskudnych drogach w Singapurze, Mary pyta brata, czy sporządzał jakieś zapiski lub szkice dokumentujące jego odkrycia. Mężczyźni siedzą w fotelach w saloniku, sączą brandy i palą cygara. Ten sam pokój nocami służy Mary za gabinet.

- Zamierzam kiedyś to wszystko spisać. Może w jakiejś pracy, bo ja wiem, o dalekowschodnich religiach... Nie, raczej o dalekowschodniej filozofii, szczególnie chińskiej. O tym, jak wpływała i wpływa na rozwój ich kultury. I na życie codzienne. Przedziwna sprawa z tymi buddystami, powiadam wam.

Guillemard odchrząkuje delikatnie.

- Myślałem, że napiszesz biografię ojca. Jeszcze niedawno mówiłeś, że masz taki zamiar.

- I wcale z niego nie zrezygnowałem. Cały czas o tym myślę.

- Mam nadzieję, że wkrótce znowu wyjedziesz - odzywa się Mary. - Ja też zamierzam wyruszyć w podróż.

Charley robi rozbawioną minę, ale nic nie mówi.

- No cóż, nosisz w końcu nazwisko Kingsley... - zauważa Guillemard.

- A dokąd to się wybierasz, jeśli można wiedzieć? - pyta Charley.

- Na południe. Ale dalej niż ostatnim razem.

- Nie bardzo wiem, jak miałabyś tego dopiąć. Stara panna bez środków finansowych ani bez doświadczenia... I w gruncie rzeczy bez wykształcenia, bo nie oszukujmy się, wszystko, co wiesz, zdobyłaś w dość niekonwencjonalny sposób.

Mary milczy, Charley zaś wydmuchuje kłęby dymu i z zadowoleniem śledzi wzrokiem, jak unoszą się ku sufitowi.

- Mogłabyś pojechać ze mną, jeśli chcesz - mówi wreszcie.

Czeka bez słowa na ciąg dalszy, ponieważ wie, że tego właśnie się od niej oczekuje. Charley rozpiiera się jeszcze wygodniej w fotelu, zakłada nogę na nogę.

- Sądzę, że spodobałoby ci się w Pekinie.

- A kiedy się tam wybierasz?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Znowu czeka.

- Więc jak, pojedziesz ze mną?

- Raczej nie.

- No cóż, tak myślałem.

Mary nabiera powietrza w płuca, wypuszcza je z głośnym westchnieniem, po czym mówi:

- Jadę na południe.

- To znaczy dokąd?

- Do Afryki.

W chwili kiedy słyszy siebie wypowiadającą to słowo, oczami wyobraźni widzi ogromną, trudną do ogarnięcia przestrzeń tego kontynentu. Tak, powtarza sobie w duchu. Jadę do Afryki.

Żadne z jej wcześniejszych przeżyć nie może się równać z oczekiwaniem wypełniającym następne tygodnie i miesiące, szczególnie po czarnych koniach przystrojonych czarnymi sterzącymi pióropuszcami, czarnych karawanach, czarnych kwefach, perfumach, mamrotanych wyrazach współczucia, przemowach pastorów i pogrzebach, niekończących się procesjach wujów i ciotek, wyprzedawaniu rupieci i pozbywaniu się nagromadzonych pamiątek po dwojgu ludziach, po sprzedaży mebli i domu, przeprowadzce na Addison Road, usługiwaniu bratu i wysłuchiwaniu jego bajdurzeń o tym, co powinni, a czego nie powinni robić, na co wydadzą pieniądze, po dniach, tygodniach spędzonych na poszukiwaniu potrzebnych informacji i walce o równie potrzebną akceptację, a także o zdobycie niezbędnych środków, po tym wszystkim wreszcie jest wolna, wreszcie może odciąć się od świata, w którym musiała egzystować przez całą młodość, ale i tak gdzieś w głębi duszy tkwi przeświadczenie, że ucieka, że powinna nadal funkcjonować w taki sposób jak dotychczas, ponieważ jest to wpisane w jej naturę. Niepokoi ją pragnienie, by jak najprędzej oddalić się od wszystkich, którzy ją znają. Tak jak wiele poprzednich, również jej ostatnia noc w Londynie jest bezsenna. Charley wyjechał, dom jest pusty. Mary powtarza w myślach zasłyszane straszliwe opowieści o Afryce Zachodniej. Pewien znajomy lekarz opowiedział jej tę samą historię co Batty, o człowieku wciągniętym do rzeki przez krokodyla. Co prawda w tej wersji krokodyl osiągnął rozmiary dwukrotnie większe od łodzi, a jego ofiara była białym człowiekiem, konkretnie misjonarzem zmierzającym na spotkanie z Fernando Po, ale inne szczegóły doskonale się zgadzają. Mary dochodzi więc do mało optymistycznego wniosku, że obie historie są prawdziwe, ponieważ dotyczą tego samego zdarzenia, i że istotnie w Afryce Zachodniej łatwo można zostać pożartym przez krokodyla.

W końcu w ogóle rezygnuje z prób zaśnięcia, wstaje i schodzi na dół do pokoiku, w którym trzyma większość książek ojca. To właśnie dzięki nim podróżowała do najodleglejszych miejsc na świecie, to one stanowiły jej pociechę i były jej towarzyszkami. Przechadza się wśród nich, kartkuje je, przytula do twarzy, wdycha znajomy zapach. Otwiera *Zdobycie wiedzy na przekór przeciwnościom*. Kiedy miała czternaście lat, sama rozcinała jej kartki. Nagle staje się z nią coś dziwnego, nie może oddychać, rozpaczliwie łapie powietrze raz, drugi, i uświadamia sobie, że szlocha. Stoi wśród tysięcy tomów, przyciska do piersi otwartą książkę i płacze. W domu panuje całkowita cisza, zakłócana jedynie jej szlochem.

Rankiem Guillemard odwozi ją do portu. Tym razem Mary wyrusza na pokładzie statku handlowego *Lagos*. Bez niczyjej pomocy wtaszczyła kufer na pokład i teraz stoi przy niepokojąco niskim relingu, podpierając się czarną parasolką, z czarną tandetną torebką przewieszoną przez ramię. Zabrała ze sobą również duży brezentowy worek wypełniony książkami i kocami; wepchnęła tam nawet stare spodnie Charleya, na wypadek gdyby znalazła się w sytuacji, kiedy chodzenie w sukni mogłoby okazać się niezbyt bezpieczne.

Członkowie załogi *Lagos* przerzucają się żarcikami i śpiewają marynarskie piosenki. Kapitan nazwiskiem Murray, o oczach ukrytych pod krzaczastymi czarnymi brwiami i o stalowoszarych, jakby wyrzeźbionych wąsach, stoi przy kole sterowym i wykrzykuje rozkazy. Tragarze wciąż wnoszą towary na pokład, choć stary, sterany statek jest już mocno obciążony.

Mary wydaje się, że nigdy nie wyruszą w drogę. Stojąc na pokładzie w palących promieniach sierpniowego słońca, uświadamia sobie, że minął już rok od jej powrotu z Wysp Kanaryjskich. Z jednej strony wydawać by się mogło, że to zaledwie wczoraj, z drugiej natomiast to oczekiwanie na zakończenie załadunku dłuży się niemiłosiernie. Czas zdaje się mieć przedziwnie rozciągliwą naturę. Ogromnie ją to irytuje, szczególnie ze względu na fakt, iż wtedy, kiedy mieszkała na Highgate, w Bexley Heath i przy Mortimer Road tak jakby najzwyczajniej stał w miejscu.

Słońce kryje się za zasłoną z żółtych obłoków, mgły i dymu. Na chwilę znikają cienie, wszystko zalewa jednolita szara poświata, ale zaraz potem przez wąską szczelinę przedziera się promień słońca, szczelina poszerza się szybko, pojawia się nieskalanie błękitne niebo. W głębi duszy Mary budzi się pragnienie, aby poczytać to za dobry omen, lecz udaje jej się oprzeć pokusie. Co ma być, to będzie. Jakby na potwierdzenie słuszności tego twierdzenia, świat obdarza ją widokiem mokrych szcurów buszujących wśród odpadków na nabrzeżu, a powiew wiatru przynosi mdławy odór rozkładu.

Nareszcie *Lagos* wyrusza w drogę, przeciska się przez Crosby Channel, wypływa na otwarte morze. Zrywa się wiatr. Kapitan Murray mówi do któregoś z oficerów, że wieje z siłą ponad dwudziestu węzłów. Fale przetaczają się jedna za drugą, podnoszą statek, po czym ciskają go w dół z przeraźliwym trzeszczeniem i łoskotem, znowu podnoszą i znowu pozwalają mu opaść. Jednostka jest tak obciążona, że każda kolejna wspinaczka na szczyt fali przychodzi jej z ogromnym trudem. Mary niewzruszenie trwa na pokładzie, rozkoszując się słońcem i świeżym słonym powietrzem, aż wreszcie kapitan Murray każe jej udać się do kajuty.

Obraz:

Wnętrze kajuty statku płynącego po wzburzonym morzu. Noc. Słysząc podochocone pijackie śpiewy. W kabinie siedzi kobieta, która za dwa miesiące skończy trzydzieści jeden lat. Mimo hałasu i silnego kołysania czyta książkę. Zawieszona u sufitu lampa kolebie się na wszystkie strony. Świat zdaje się rozpadać pod naporem hałasu: wrzasków, śmiechów, trzeszczenia desek, skrzypienia dźwigarów i łączników. Ale wśród tego zamieszania zachowała się oaza spokoju, właśnie tu, w tej kajucie, zupełnie jakby tę ciasną przestrzeń wypełnił przedziwny, niepojęty bezruch pierwszych chwil po śmierci. Czując napór fal po drugiej stronie cienkiej zapory z desek, z każdą minutą zbliżając się ku nieznanemu, niebezpiecznemu lądowi, Mary rozmyśla o śmierci rodziców i nagle z przeraźliwą jasnością zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest samotna. Niespodziewanie ogarnia ją przeczucie, że przyjdzie jej zginąć na morzu. Pewność jest tak silna i niespodziewana, że serce prawie przestaje jej bić w piersi. Nieco wcześniej położyła się na koi, lecz teraz podrywa się raptownie, odkłada książkę, zaciska dłonie na podółku i kołysze się miarowo w przód i w tył, czekając na powrót odwagi, której tak bardzo potrzebuje. Przypomina sobie samotną noc spędzoną pod wulkaniczną skałą na Gomerze. Myśli o niej i o śnie, w który zapadła bez najmniejszego trudu, i jak wspaniale odpoczęła w nocy, mimo wilgotnego ubrania. Dlaczego teraz, na statku z doświadczoną załogą, miałyby bać się bardziej niż wówczas?

Mimo to lęk nie ustępuje, a przed jej oczami pojawia się zupełnie inny obraz: ciasna kajuta na zupełnie innym statku, a w niej cztery nieruchome kształty, cztery trupy. Czuje się tak, jakby widziała to po raz pierwszy, jakby aż do tej pory jakaś niewidzialna ściana odgradzała ją od tej wizji, a raczej od tego wspomnienia. Oczywiście zdaje sobie sprawę, iż za jej stan ducha w znacznej mierze jest odpowiedzialny sztorm szalejący po drugiej stronie ściany drewna, lecz mimo to nie potrafi usunąć sprzed oczu tamtych czterech podłużnych kształtów. Zatacza się miotana przerażeniem, tak jakby w jej kajucie rozszalała się inna zawierucha, nie mniej gwałtowna niż ta na zewnątrz.

Wreszcie opiera się o wysoko spiętrzone poduszki, wciąż kurczowo zaciskając palce. Chwilami zapada w drzemkę, potem otwiera oczy, czuje kołysanie statku i znowu zasypia, osuwa się w czarną otchłań lęku i złych przeczuc. Widzi brata w odkrytym powozie. Charley ma czarny kołnierzyk, w rękach trzyma ceramiczny dzban. W jego twarzy jest coś, co każe jej

przypuszczać, że nie żyje. Budzi się z krzykiem, zrywa z łóżka, klęka na twardej drewnianej podłodze, a potem kładzie się na niej z podkulonymi nogami. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Zanosząc się płaczem, osłania głowę rękami. Nagle kadłubem statku wstrząsa gwałtowne drżenie, rozlega się coś jakby eksplozja, sekundę później dołączają inne przedziwne dźwięki, jakby wymieszane bezładnie akordy. Jeszcze jeden wybuch i znowu sekunda lub dwie przedziwnej muzyki. A potem brzęk szkła, trzask drewna, dudnienie stali. Mary jest prawie pewna, że to okropny sen, ostatni sen przed śmiercią. Nie chce i nie może trwać w bezruchu, wstaje więc z wysiłkiem, ociera oczy, otwiera drzwi. Woda przelewa się po pustym pokładzie, niebo jest zupełnie czarne, zasnute kotarą deszczu, spienione fale przelewają się przez burty. Zatraskuje drzwi, wkłada suknię i kamizelkę, sznurowuje trzewiki. Strach pełnie w górę po jej karku, jeży włosy na głowie. Woda zaczyna się sączyć przez szczelinę pod drzwiami. Zapewne statek wpadł na coś i teraz tonie. Mary chce jak najprędzej wybiec z kajuty, sprawdzić, co się dzieje. Znowu rozlega się ten sam przedziwnie muzyczny dźwięk. Wstaje, przewraca się, na czworakach pełnie do drzwi, dźwiga się na nogi, otwiera drzwi i staje twarzą w twarz z nocą, deszczem, wichurą i szalejącym morzem. Kiedy pokład przechyla się gwałtownie, Mary niemal wylatuje z kajuty, po czym z rozpędem wpada na drzwi prowadzące do salonu, a te otwierają się na oścież pod wpływem uderzenia. W środku panuje nieopisany chaos; coś wielkiego i ciemnego sunie na nią coraz prędzej. W ostatniej chwili Mary uskakuje na bok, a ogromny czarny przedmiot wali w ścianę, ponownie rozlega się wymieszany wielogłosowy akord, statek przechyla się na drugą burtę, czarny przedmiot - to pianino, wyrwane z zamocowań siłą żywiołu - sunie w kierunku przeciwległej ściany, z łoskotem wali w przepierzenie i przewrócony, częściowo strzaskany stół. Blask rozkołysanej, dyndającej u sufitu lampy rzuca dzikie roztańczone cienie. Mary ostrożnie rusza naprzód, lecz niemal w tej samej chwili coś uderza ją w głowę. Częściowo zamroczona z trudem unika zmiążdżenia przez pianino, odwraca się i widzi młodą kobietę w białym uniformie służącej przyciśniętą do ściany, z oczami wielkimi jak spodki. Pianino zawadza o półkę, na podłogę spadają butelki z piwem i sosami, a także puszki z owocami. Mary dopada nieruchomego chwilowo pianina i napiera na nie z całej siły.

- Chodź tu! - woła do kobiety. - Chodź tu prędko! Służąca waha się chwilę, wreszcie podejmuje decyzję i doskakuje do niej. Statek prostuje się, a następnie majestatycznie przechyla w przeciwną stronę. Obie kobiety zapierają się stopami o podłogę, powstrzymują

napierający na nie ciężar. Służąca wzywa pomocy, krzyczy ile sił w piersiach, podłoga przeprzechyla się ponownie, ciężar znowu narasta, staje się nie do utrzymania.

- Już nie mogę... - jęczy służąca. - Nie dam rady.

- Dasz - odpowiada Mary, ale i ona czuje, że opuszczają ją siły.

Niespodziewanie dołącza do nich jeszcze jedna para rąk, potem kolejne, dokoła robi się tłoczno od marynarzy.

- Ratujcie piwo! - woła kapitan Murray.

Mężczyźni pracują w milczeniu, z wprawą utrzymując równowagę na wyczyniającej dzikie harce podłodze. Mary stoi oparta o ścianę przy drzwiach i obserwuje ich w milczeniu. Jeden z marynarzy zerka na nią przelotnie, zaraz potem jeszcze raz, uważniej.

- Pani jest ranna, panienko.

Służąca, piegowata dziewczyna o rudych włosach, podbiega natychmiast i przykłada jej do policzka miękką białą ściereczkę. Mary spogląda na krew na białym płótnie, dotyka palcami policzka.

- To rozcięcie - mówi dziewczyna, po czym wskazuje na niedużą sierpowatą ranę na swoim ramieniu. - Też się skaleczyłam, proszę pani.

Jej oczy dziwnie błyszczą. Mary nie wie, co to może oznaczać.

- Skąd u pani tyle sił?

Ten błysk w oczach służącej to podziw. Mary jest tak zaskoczona swoim odkryciem, że przez kilka sekund nie wie, co z nim począć, a potem ogarniają ją dumna i sympatia dla dziewczyny. Tamta jest od niej najwyżej trzy lub cztery lata młodsza.

- Razem to zrobiliśmy. We dwie.

- Gdyby nie pani, dalej tkwiłabym przy tej ścianie. Mary uśmiecha się i ociera krew z policzka.

- A gdyby nie ty, wciąż zmagałabym się z tym pianinem.

Dziewczyna wybuchła śmiechem, ale zaraz poważnieje i przygląda fartuszek, ponieważ zbliża się do nich kapitan Murray i klepie ją po ramieniu.

- Do roboty. Mnóstwo sprzątnięcia.

- Tak jest, panie kapitanie. Murray odwraca się do Mary.

- Uratowała pani sytuację. Gdyby nie pani, ten rupieć jak nic wybiłby dziurę w nadbudówce. - Wyjmuje z kieszeni jedwabną chusteczkę, dotyka jej policzka. Przez jakiś czas oboje na zmianę ocierają krew, która wciąż sączy się z rany. Kapitan delikatnie ujmuje Mary

pod brodę, przytrzymuje, przyciska chusteczkę nieco mocniej. - Rana nie jest głęboka. Blizny nie będzie.

Mary wdycha wymieszane zapachy, które go otaczają: talku, pomady, tytoniu i whisky. Ta mieszanina wywołuje zaskakująco pozytywną reakcję, czuje się trochę tak jak w domu. Patrzy mu prosto w szare oczy, starając się wyrazić spojrzeniem zadowolenie z tego, że jest przy nim. Uświadamia sobie, że go lubi, tak samo jak lubiła pana C. M. Varleya i Guillemarda. I Batty'ego. Nie ma w tym ani odrobiny seksu, choć podoba jej się dotyk silnych palców na podbródku. Zapach i właśnie ten dotyk budzą wspomnienie ojca siedzącego w fotelu i szykującego się do opowieści o swoich podróżach, o miejscach, które odwiedził, i ludziach, których spotkał.

- Dziękuję panu, kapitanie.

- To ja mam pani za co dziękować, panno Kingsley.

Po powrocie do kajuty zamyka drzwi i spogląda na miejsce, gdzie jeszcze niedawno leżała sparaliżowana obawą o swoje samotne życie w tym przerażającym, rozkołysanym świecie. Zdaje sobie sprawę (choć zapewne miałyby problemy z precyzyjnym sformułowaniem tego wniosku), że jedyną bronią, jaką ma do dyspozycji w walce ze strachem, jest działanie, nawet jeżeli miałyby polegać tylko na przemieszczaniu się z miejsca na miejsce.

Rozdział 18

1

Kochani Lily i Tyler

Zadomowiliśmy się już na dobre na 1123 Burgundy Street, dokładnie w środku dzielnicy. Panna Violet Beaumont obwozi nas po okolicy swoim pikapem. We trójkę musimy stanowić niezwykle malowniczy obrazek, jestem tego pewien. Zabrała nas także w kilka niezwykłych, dziwacznych miejsc, o których nikt chyba nie wie - na przykład do cudownej knajpki z grillem, nie większej niż dzienny pokój, którą prowadzi murzyńska rodzina Rachambois; bardzo mili ludzie, pracują prawie u siebie w domu - bo mieszkają na górze - i dzięki nim też poczuliśmy się jak w domu.

Chciałem wam powiedzieć, że nie mogłem się zebrać, by wyrazić żal z powodu tego, co się wydarzyło, i że okropnie było opuścić dom w taki sposób, kiedy wszyscy tak strasznie

pogrążeni byliście w bólu. Ale to było najlepsze, co mogliśmy zrobić - szczególnie Manny czuł, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujecie, to mieć nas na głowie. Następnego dnia i jeszcze przez trzy kolejne zastanawialiśmy się poważnie, czy wrócić na pogrzeb. Buddy był dla nas taki miły. Ale byliśmy już tam kilka dni i wydawało się nam, że byśmy tylko narobili kłopotu biednej Millicent, która nie mogłaby zajmować się wyłącznie sobą, ale musiałaby martwić się także o nas. Po prostu czulibyśmy się intruzami. Manny więc wysłał tylko kwiaty i mam nadzieję, że wyraziły one jakąś część naszego pełnego bezradności współczucia.

Myślimy o was stale, każdego dnia, i mamy nadzieję, że będziecie utrzymywać z nami kontakt. Ja dostałem pracę w księgarni, co prawda nie tak dobrej jak tamta w Charlottesville, ale płacą mi nieźle. Manny z kolei szuka czegoś w nowszej części miasta. O niego się troszczy, tak samo zresztą jak o mnie, ciocia Violet, która jest, jak zwykł mawiać mój ojciec, „czymś innym” - i bardzo chciałbym, żebyście ją poznali. Lily, ciocia Violet mogłaby być Mary Kingsley albo kimś bardzo do niej podobnym, co wyczulabyś natychmiast, gdybyś ją poznała. Ciocia Violet nigdy nie była zamężna. Przez całe swoje długie życie robiła dokładnie to, na co miała ochotę, chociaż prawie do dwudziestego ósmego roku życia wyłącznie opiekowała się chorym ojcem, który był już dość wiekowy, kiedy się urodziła, i który walczył u boku Stonewalla Jacksona w dolinie Shenandoah. Miał ponad siedemdziesiąt lat, kiedy się urodziła, a dożył stu trzech. Lily, facet skończył trzydzieści pięć lat w tym samym roku, w którym zaczęła się wojna secesyjna. Wyobraź to sobie! Przeżył ją, zdobył stopień majora, pod koniec wojny przeszedł w stan spoczynku i przeprowadził się do Luizjany, żeby zająć się biznesem tekstylnym. Na kominku stoi jego zdjęcie; wygląda jak George Bernard Shaw - długa biała broda i gęstwina białych włosów. Miał talent do robienia pieniędzy i do wychodzenia cało z najstraszliwszych opresji. Ciocia Violet ma w kufrze na strychu tysiące konfederackich dolarów - jej zabezpieczenie na dzień, kiedy wszystko znów przewróci się do góry nogami i rządy Jankesów upadną. Gość miał niesamowicie dużo kobiet i przeżył większość, a kiedy zaczął podupadać na zdrowiu, osiemnaście lat jeszcze zwlekał z odejściem. Ciocia Violet opiekowała się nim przez cały ten czas i kiedy umarł, pojechała do Japonii i została tam przez trzy lata. Zwiedziła cały świat (uczyła w średniej szkole przez prawie pięćdziesiąt lat, a w czasie wakacji podróżowała - przez pewien czas była nawet w Afryce Zachodniej i wie co nieco o Mary K.). Była zafascynowana, kiedy usłyszała o twoim zainteresowaniu tą kobietą.

Jak tam twoja ciąża; jak się układa w pracy Tylerowi i czy oboje powoli wracacie już do względnie normalnego życia? Nie, chciałbym, żeby to pytanie zabrzmiało nieszczerze czy

oschle, ale odnoszę wrażenie, że Buddy nie chciałby, żeby ktoś zbyt długo snuł się z nieszczęśliwo-nieszczęśliwą miną, nawet w takich okolicznościach. Mój ojciec, kiedy jeszcze nasze stosunki dobrze się układały, powiedział mi kiedyś w związku ze śmiercią mojego kuzyna: „Najlepiej uczcisz jego pamięć, przeżywając własne życie tak w pełni, jak to tylko możliwe”. Wiem, że to wygląda jak tekst z jakiejś cholernej kartki z pozdrowieniami, ale sądzę, że to prawda. Czuję, że to prawda.

Proszę, napisz, kiedy będziesz mogła. I pomyśl o wizycie u nas. Tak bardzo obaj chcielibyśmy, żebyście poznali ciocię Violet. A może zaraz po tym, jak dziecko się urodzi?

Zadzwońcie do nas natychmiast, gdy tylko będą jakieś nowiny albo jak najdzie cię ochota. Załączam numer telefonu. Miło wspominałam, jak Tyler opowiadał mi o waszym nieoczekiwanym miodowym miesiącu, jaki tu spędziliście - i jaki to był miły czas. Jakie okropne byłoby planowanie wcześniej takich spraw i jak zaskakująco cudowny okazał się ten pomysł.

To właśnie są niespodzianki, które uwielbiam, więc pomyślcie o tym, żeby nam sprawić niespodziankę. Ciocia Violet mówi, żebyście to sobie zaplanowali (w tym miejscu szelmowski uśmieszek). Taka właśnie jest ciocia Violet.

Ściskam was serdecznie, Dominik

Kochany Dominiku

Tak się cieszę, że napisałeś. Sądząc po twoim liście, ciocia Violet musi być wspaniała. Nie mogę teraz zbyt dużo pisać - mam skurcze. Nie mają wielkiego znaczenia, ale są nieprzyjemne.

Tutaj powoli wszystko się jakoś układa. Znaleźliśmy z Tylerem dom. Millicent chyba czuje się lepiej i nawet Nickowi wraca dobry humor, chociaż powoli. Jeździ rano do pracy i późnym wieczorem wraca do domu; nigdy nie widziałam nikogo, kto by tak harował. Zachowuje się teraz niezwykle rozważnie i uprzejmie. Prawie nigdy nie żartuje, a jeżeli już, to z siebie. I kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że on zawsze kpił głównie z siebie. Czasami jest mi go naprawdę żal - wydaje się taki zagubiony. Czyta Biblię, a ostatnio także Szekspira. Usługuje Sheri, jak gdyby była królową, a ona z kolei przez większość czasu zachowuje się jak mała przerażona dziewczynka. To Nick opiekuje się wszystkimi, przynajmniej tak mi się wydaje, a ja z kolei uczę się gotować. W domu jest bardzo spokojnie. Tyler i ja zajmujemy się naszymi sprawami; czasami patrzę na niego i widzę, ile cierpienia nosi w głębi duszy, choć wszystko tłumi w sobie. Większość rzeczy dotyczących dziecka planuję sama (to nie jest skarga,

naprawdę!) i przez większość czasu czuję się jak duchowa niańka, z wyjątkiem tych chwil, kiedy potrzebuję zatroszczyć się o siebie. Wszyscy staramy się troszczyć o pozostałych i przyzwyczaić do tego, że Buddy'ego już z nami nie ma.

No cóż, ten list będzie dosyć krótki. Muszę jeszcze napisać do rodziców, do każdego domu osobno. Zastanawiam się teraz, i czuję pewnego rodzaju ucisk gdzieś pod sercem, jak mogłam być tak rozbita psychicznie ich rozwodem, jakby to była najgorsza rzecz na świecie, jaka mogła mi się przytrafić. Jak bardzo było to samolubne z mojej strony. Jak łatwo oskarżałam mojego ojca - który jest tylko człowiekiem i w związku z tym nie jest bez skazy, jak cała reszta ludzi - że nie okazał się tym, za kogo się uważał. Postaram się wkrótce znowu napisać. I zadzwonię - albo zrobi to ktoś inny - gdy tylko dziecko się urodzi.

Buziaki Lily

PS Tyler też was pozdrawia.

Lily i Sheri siedziały w pokoju dziennym małego wynajętego domku z widokiem na olbrzymie czerwone gmaszysko, budowane na sąsiedniej działce: dźwigary, schody i drewniane framugi stanowiące szkielet wyimaginowanej przestrzeni; częściowo można już było się domyślić, jaki będzie układ apartamentów, ale w tym stadium budowy łatwo mogło wszystko obrócić się w ruinę. Kilka buldożerów stało beczynnie na placu; ich owadzie kształty z kwadratowymi metalowymi ramionami i cylindrycznymi frontami przywodziły na myśl olbrzymy o nierozpoznanych jeszcze genach. Wokół nich na wielu odcinkach teren porany był brzdami. Kopce czarnej ziemi wznosiły się też tam, gdzie miała być zbudowana dróżka prowadząca do głównej drogi. Poprzedniej nocy padał śnieg i białe płatki leżały tu i ówdzie na suchej trawie, topniejąc w promieniach chłodnego słońca. Sheri zajrzała rano z niezapowiedzianą wizytą, a w domu panował straszny bałagan. Ciągle jeszcze nie wszystko zostało rozpakowane. W pudłach pod jedną ze ścian stał sprzęt łowiecki Tylera - wszystko, co postanowił wyrzucić albo oddać. Na stole wały się filiżanki do kawy, a obok nich leżało pudełko z pączkami nadziewanymi czekoladą, które przyniosła Sheri. Obie dziewczyny kilka ostatnich minut spędziły na ogólnikowej rozmowie. Lily włączyła radio - wysłuchały prognozy pogody, a potem wymieniły uwagi na ten temat. Następnie Sheri przez jakiś czas opowiadała, co słycać w domu: że Millicent snuje się jak nieprzytomna, ale daje sobie radę z codziennymi sprawami i nawet częściowo zajmuje się prowadzeniem salonu; że Nick okazuje niezwykle zrównoważenie, a także inne zalety - cierpliwość, zapobiegliwość i siłę, o które nigdy go nie

podejrzewała. Ostatnie zdanie powiedziała jakby od niechcienia, co zapewne miało zniechęcić do zadawania pytań na jego temat. Lily gorąco pragnęła, żeby przyjaciółka wreszcie sobie poszła i zostawiła ją samą. Czowała się zmęczona; dziecko przez całą noc kopało i nie dawało jej zasnąć, a tyle jeszcze miała do zrobienia.

- A u ciebie wszystko w porządku? - zapytała Sheri.

- No wiesz, czuję się niezbyt komfortowo. Jestem już taka gruba.

Cisza, która zapadła po tych słowach, w miarę upływu czasu zdawała się stawać coraz cięższa; jeszcze chwila, a trudno byłoby ją przerwać. Spoglądały przez okno na plac budowy. Kilka płatków śniegu zawiroowało w powietrzu, spadając z prawie bezchmurnego nieba; przedziwne wrażenie wywarła ta miniśnieżyca powstająca z jednej okrągłej chmurki, która zresztą zdążyła się już rozwiać ponad skąpanymi w słońcu wzgórzami po wschodniej stronie.

- Tak strasznie się myliłam - mruknęła Sheri. - Myślałam, że Tyler może chcieć ich skrzywdzić. Dlatego byłam taka podejrzliwa.

Właśnie tego ranka przed przybyciem Sheri Lily i Tyler jedli śniadanie, ledwo ze sobą rozmawiając. W zasadzie to Tyler jadł. W ciągu kilku dni, jakie upłynęły od przeprowadzki, oboje poczuli się zaskoczeni, z jaką siłą powróciły do nich dawne problemy; te same, które w obliczu śmierci Buddy'ego wydawały się niewielkie i mało znaczące, nawet nieistotne. Bardzo ich przygnębiło odkrycie, że napięcie pomiędzy nimi nie zniknęło ani nawet nie uległo zmianie pod wpływem ich wspólnej żałoby, lecz chwilowo zostało odsunięte na bok. Drobne uprzejmości, wspieranie się, pełne czułości obawy i niepokoje, pewien rodzaj nieśmiałej wzajemnej zależności w miarę upływu czasu zniknęły i oboje znowu znaleźli się w punkcie wyjścia: znów byli zmieszani i zakłopotani tym, że oczekiwane dziecko nie jest dzieckiem Tylera.

Lily z natury była skłonna do empatii, doskonale więc rozumiała uczucia swego męża. W głębi serca wciąż był małym chłopcem, którego porzuciła matka, i w pewien sposób na wszystkie sprawy dotyczące siebie patrzył przez pryzmat tamtego wydarzenia. Tego ranka Lily starała się przerwać znowu milczenie i porozmawiać o ich problemach w szerszym kontekście. Niestety, on nie miał ochoty. Każde jej pytanie odpierał ze złością, odmawiał jakiegokolwiek dyskusji, zaprzeczał, że cokolwiek jest nie w porządku, i oskarżał ją o to, że chce tylko namącić. Powiedziała mu, że obudziła się poprzedniej nocy z uczuciem przerażenia ściskającego ją gdzieś na dnie żołądka i że dotarło do niej, być może pod wpływem jakiegoś snu, że wielkim błędem było utrzymywanie Dominika w nieświadomości co do tego, że będzie

ojcem. To było złe i wrażenie to się nasilało, im bardziej zbliżał się termin porodu. Szczerze wierzyła, że trzymanie się kłamstwa i opieranie ich wspólnego życia na fałszu z pewnością wszystko zatruje. Tyler wrzasnął wtedy, że to jej kłamstwo wszystko zatruło, a potem wypadł jak burza z domu i odjechał z piskiem opon. Lily usiadła w pokoju dziennym, pośród nierozpakowanych kartonów, karniszy i zawiniętych w gazety naczyń kuchennych, i zaczęła płakać. Dziecko wspinało się w niej po wewnętrznej stronie żeber, aż chwilami z trudem łapała powietrze. W końcu zmusiła się, żeby zacząć porządkować rzeczy. Widok samochodu Sheri wjeżdżającego na podjazd wzbudził w niej konsternację i ulgę.

A teraz patrzyła, jak Sheri przełamuje paczka i macza jedną część w filiżance z kawą.

- Roger Gault przyjechał dziś rano.

Ugryzła kęs, tak duży, że wypchał jej policzki. Siedziała, przeżuując, podczas gdy Lily czekała na jej dalsze słowa; potem wzruszyła ramionami, jakby odrzucając nękające ją wątpliwości, i pochyliła się, żeby zamoczyć resztę paczka.

- Myślę, że coś tam będzie robił w domu - dodała.

- A było coś, co Buddy chciał zrobić? - spytała Lily.

- Nie lubię go - powiedziała Sheri. - Właśnie dziś rano mnie olśniło, że ani trochę go nie lubię.

- A jak myślisz, dlaczego? Sheri zmrużyła oczy.

- To zabrzmiało jakbym była u psychiatry. - Po dłuższej pauzie potrząsnęła głową i wymamrotała pod nosem: - Nie mam pojęcia. Wszystko to jest strasznie dziwne, jeśli o mnie chodzi. Znowu zaczęłam widywać Davida.

- Davida?!

- No tak. Nigdy ci nie mówiłam, jak on ma na imię. Lily milczała.

- Chciał, żebyśmy umówili się na lunch, a ja powiedziałam „tak”. Od tej pory widziałam go dwukrotnie. Nick... Nick nawet nie stara się do mnie zbliżyć.

- Nie chcę tego słuchać - przerwała jej Lily. - Naprawdę nie chcę.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru ci mówić. Nie chciałam, żeby to tak wypadło. To po prostu... no takie mówienie sobie o pewnych rzeczach. Jak ty i Dominik. Komu mam się zwierzyć, jeżeli nie tobie, mojej najlepszej przyjaciółce.

Zapadła długa, bolesna cisza.

- Myślałam, że możemy rozmawiać o takich sprawach. Lily czuła się przyszpilona uporczywym, pełnym żalu spojrzeniem i przez moment zastanawiała się, co też Tyler mógł

powiedzieć swojej przyrodniej siostrze na temat ciąży. Teraz niczego nie mogła być już całkowicie pewna.

- Możemy mówić o wszystkim z wyjątkiem twojego małżeństwa - odezwała się wreszcie. - Dobrze?

Sheri wydała z siebie rozpaczliwy chichot.

- To w takim razie wiele nam nie zostaje. Rozumiem, że możemy porozmawiać o dziecku.

- Masz na myśli to dziecko? - zapytała Lily, głaszcząc się po okrągłej piłeczce w dole brzucha.

Sheri odchyliła się do tyłu i splotła ręce na kolanach, wzdychając przy tym ciężko. Wierciła się przez chwilę.

- Nick zajmuje się domem tak jak przedtem tata - powiedziała. - Posiadłością, basenem i biznesem. Jest o wiele bardziej opanowany niż kiedyś. Ten delikatny, czuły, słodki chłopak to nie jest Nick. Nie ten, za którego wyszłam. Wydaje mi się, że nie słyszałam, żeby się śmiał... tak naprawdę śmiał, jak dawniej, takim wysokim, dźwięcznym śmiechem z głębi serca... od kiedy... od kiedy tamto się wydarzyło.

- Wszyscy potrzebujemy czasu - rzekła Lily, doskonale zdając sobie sprawę z niedostatku tego oklepanego frazesu. Prawie zaczęła się usprawiedliwiać.

Sheri zaczęła płakać i to ją trochę zaskoczyło. Rozejrzała się dookoła, jakby w poszukiwaniu jakiegoś powodu, aż wreszcie wyprostowała się, chwyciła torebkę i zaczęła w niej grzebać, bez przerwy pociągając nosem.

- Jezu Chryste - wykrztusiła. - Nie mogę się pozbierać. Tak bardzo mi go brak.

Lily wyszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z pudełkiem chusteczek. Sheri wzięła jedną i przyłożyła do oczu.

- Wiem doskonale, że nie powinnam cię tym obarczać, kochanie. Wybacz mi, proszę.

Przez jakiś czas nie odzywały się, w milczeniu obserwując na wpół ukończoną konstrukcję naprzeciwko. Ktoś tam teraz pracował - duży, okrągły mężczyzna w brązowej kurtce, która wyglądała tak, jakby była pokryta kurzem; zresztą tumany czarnego pyłu wznosiły się dookoła niego, kiedy kilofem rąbał grudy ziemi.

Zaskoczył je dzwonek telefonu. Lily wstała z pewną trudnością i poczłapała w przeciwny koniec pokoju, żeby go odebrać. To był Tyler.

- Cześć - powiedział. - To ja.

- Cześć. Cisza. Westchnął.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że przepraszam za ten dzisiejszy ranek.

- Sheri jest tutaj - odparła Lily. - Przyjechała zaraz po tym, jak wyszedłeś.

- I co, widziała, jak spieprzałem stamtąd? Spojrzała na Sheri.

- Tyler chce wiedzieć, czy widziałas, jak spieprzał stąd dziś rano.

- Och, wielkie dzięki - usłyszała przy uchu głos Tylera, podczas gdy Sheri pokręciła głową, marszcząc brwi.

- Nie, nie widziała cię - powiedziała do słuchawki.

- Już sobie wymyśliłaś jakąś teorię, prawda? - zapytał Tyler. Znowu spojrzała na swoją szwagierkę.

- On mówi, że już sobie wymyśliłam jakąś teorię. Nie wiem na sto procent, czy ma na myśli naszą kłótnię przed twoim przyjazdem, czy nasze ogólne trudności.

- Ogólne trudności? - zdziwiła się Sheri.

- Słyszałeś, co powiedziała Sheri? - zapytała Lily męża.

- Co ty usiłujesz osiągnąć, Lily? Przecież powiedziałem, że przepraszam.

- Ja też przepraszam - odparła. Znowu zapadła cisza.

- Wolałbym, żebyś nie wprowadzała w to Sheri - odezwał się w końcu.

- W porządku.

- Dlaczego to robisz? - kontynuował. - Wiesz przecież, jak się z tym czuję.

- A ja sądziłam, że to było śmieszne. Pomyślałam, że spróbuję trochę pożartować. Myślałam, że tylko spróbuję.

- Więc między nami jest aż tak źle? - spytał cicho. Nie odpowiedziała.

- Chcesz się teraz kłócić? Kiedy Sheri tam siedzi?

- On chce wiedzieć, czy chcę się kłócić, kiedy ty tutaj siedzisz - powiedziała do Sheri.

Tyler odłożył słuchawkę. Sheri wstała.

- Muszę już iść.

- Rozłączył się - poinformowała ją Lily i odłożyła słuchawkę na widełki.

- Myślałam, że będziesz się usprawiedliwiać. Mój Boże. Co miałaś na myśli, mówiąc „ogólne trudności”?

- Chciałam się z nim trochę podrażnić - odrzekła Lily. - Wiesz, jak to jest.

Sheri potrząsnęła głową i przewiesiła przez ramię torebkę.

- Co za okropna zima - westchnęła.

Lily patrzyła, jak Sheri odjeżdża, a potem wróciła do zajęć domowych. Kiedy telefon ponownie zadzwonił, w pierwszej chwili miała zamiar go zignorować, ale przecież to mogła być matka albo ojciec i Peggy, toteż podniosła słuchawkę. Okazało się, że to znowu Tyler.

- Powiedziałem, że przepraszam - odezwał się.

- Ja też przepraszam.

- Czy Sheri ciągle jeszcze jest?

- Nie, wyszła zaraz po tym, jak się rozłączyłeś.

- Przypuszczam, że wyjaśniłaś jej, że po prostu odłożyłem słuchawkę.

- Nie pamiętam, czy wyjaśniłam, czy nie - odparła Lily. Przez chwilę próbowała odtworzyć w myślach tamtą sytuację. - Teraz zdaje mi się, że tak. Powiedziałam jej.

Nie odezwał się.

- Uważam, że powinniśmy mówić sobie o różnych sprawach - dodała. - Jestem już zmęczona ukrywaniem pewnych rzeczy.

Westchnął głęboko.

- I jestem zmęczona ciągłymi kłamstwami - dorzuciła jeszcze.

- No cóż, to nie jest takie proste. Ty jesteś zmęczona kłamstwami.

- Tak, jestem.

- Cóż, może ja także. - W jego głosie usłyszała wyczerpanie. Czekwała, co powie dalej, ale upłynęła długa chwila, zanim się odezwał.

- A co robisz? - spytał.

- Układam rzeczy.

- Chciałbym być teraz w domu, żeby ci pomóc.

Przez kilka sekund odczuwała zaskoczenie, dziwiąc się jego uporowi. Ta cecha charakteru pozwalała mu nie poddawać się złym impulsom, nawet w czasie gorącej sprzeczki. Obudziło się w niej coś na kształt podziwu, dlatego odezwała się nieco łagodniej:

- Urobiłbyś się po łokcie.

- Ale coś tam bym zrobił.

Smutek, jaki zabrzmiał w jego głosie, sprawił, że zapragnęła dodać mu otuchy.

- To nie musi wyjść nam na złe, Tyler. - Odetchnęła głęboko i dodała: - Jak myślisz, o której udałoby ci się wyrwać do domu?

- Nie zostanę dłużej niż do zamknięcia salonu.
- Chcesz, żebym ci przywiozła coś do jedzenia?
- Nie, i tak masz tam dużo do roboty.

Zakończyli rozmowę w tym duchu - troski o drugą osobę. Tyler był w gruncie rzeczy młodym człowiekiem o wrażliwym sercu, który naprawdę pragnął żyć w dobroci i pokoju. Lily doskonale to rozumiała. W głębi duszy chciał być życzliwym człowiekiem. W przeciwieństwie do wielu innych osób naprawdę zwracał na to uwagę.

Siedziała przy telefonie, cichutko płacząc, podczas gdy światło w oknie zaczęło się zmieniać, a na placu budowy pojawili się jacyś mężczyźni. Chodzili na pozór bezładnie we wszystkie strony, a wielkie żółte traktory toczyły się z łoskotem w przód i w tył po pustkowiu, jakie po sobie zostawiały.

3

Każdego dnia Lily spędzała dwie godziny na pisaniu, ale efekty tego były mniej niż zadowalające i nie dawały jej poczucia, że robi postępy czy też osiąga dobry poziom, wróciła więc do czytania. Wysłała pocztą zamówienie na książki, poza tym zostawał jej jeszcze księgozbiór uniwersytetu. W dni, kiedy czuła się wystarczająco dobrze, żeby wyruszyć na wyprawę - spuchnięte łydki bardzo jej dokuczały i stanie było mordegą - jechała do miasta i spędzała część poranka w bibliotece. Przywoziła książki do domu i robiła notatki na stronach katalogowych, starając się zachować w pamięci to, czego się dowiedziała o ludziach epoki wiktoriańskiej: o ich sposobie myślenia, tradycjach kulturowych, wartościach, którym hołdowali, i o wszystkim, co, jak podejrzewała, mogło dać jej wyobrażenie o tym, jak Mary Kingsley mogła wyjść ze społeczeństwa o tak ustalonym stosunku do kobiet i poglądach dotyczących relacji między płciami.

Przez większość wieczorów Tyler po powrocie z pracy otwierał książkę i nie odrywał się od niej, popijając przy tym piwo, podczas gdy ona szykowała kolację. Zazwyczaj czytał traktaty filozoficzne albo Biblię. Dość często sam przygotowywał posiłek, a od czasu do czasu przychodził do malutkiej kuchni, żeby zamienić z Lily parę słów. Taki sposób spędzania wieczorów ustalili się na dobre, a problemy pozornie przestały ich dręczyć, bo w pewien sposób obydwójce ich unikali. Wtedy Lily poddawała się kuszącej myśli, że sprawy jakoś się ułożą, a oni znowu będą prawdziwym małżeństwem.

Tyler tak bardzo się starał. Teraz pojawił się nowy element - zaczął na serio niepokoić się o swoje zdrowie. Najłżejszy ból czy drobna dolegliwość rozstrajały go zupełnie i niweczyły jego plany na przyszłość.

- Chcesz wiedzieć, co mi dolega? - pytał - Każda, najbardziej błaha myśl prowadzi mnie do czegoś negatywnego. Każdy zły bodziec sprawia, że zaczynam sobie zdawać sprawę z beznadziejności wszystkiego. Sprzedaję samochody tak szybko jak nikt inny, wreszcie poczułem, że mam zmysł do interesów, robię pieniądze, a jednak stale towarzyszy mi poczucie, że to wszystko zupełnie nie ma sensu. Cały czas myślę o tym, że gdyby ktoś chciał mnie komuś innemu opisać albo gdybym był bohaterem jakiegoś filmu czy książki, to zostałbym przedstawiony jako handlarz samochodów. Zdajesz sobie sprawę? Te słowa znalazłyby się w nagłówku: handlarz samochodów. Taką miałbym etykietkę. Nienawidzę tego. Po prostu nienawidzę. Ale lubię swoją pracę. Każdego dnia spotykam nowych ludzi i żaden dzień nie jest podobny do drugiego. Dobrze zarabiam. Jeżdżę nowym autem. Lubię chłopaków, z którymi pracuję. Jednak jest i druga strona medalu - to uczucie nienawiści. Gdzieś w głębi duszy tkwi we mnie przekonanie, że zostałem sprowadzony do jakiegoś przekłętą stereotypu.

Potrząsnął głową i rozważał coś przez chwilę, jakby zastanawiał się nad doborem właściwego słowa, ale zaraz Lily zrozumiała, że miał zamiar powiedzieć coś całkiem innego.

- Ale to tylko mała częśćka - podjął. - Nic nie ma teraz dla mnie znaczenia i nic nie sprawia mi radości. Wygląda to tak, jakbym pracował po to, żeby czymś zająć myśli, dopóki wszystko nie zostanie raz na zawsze skasowane. Tak jak zostało skasowane dla Buddy'ego. Właśnie tak. Jakbym tylko odmierzał czas do tego momentu. Cały czas szukam jakiejś odpowiedzi w książkach, ale nie mogę nic znaleźć.

- To jest częścią twojej żałoby - odpowiedziała. - Wszyscy to odczuwamy.

- Może. Ale nie sądzę, bo czułem to już wcześniej. Miałem zwyczaj nazywać to „martwym czasem”.

- Ale to zawsze mijało, nieprawdaż?

- Tym razem nie mija. Czuję się... jakbym był martwy. Zupełnie zdołowany. Ludzie wyglądają jak gatunek... zresztą nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

Pewnej nocy, gdzieś bliżej świtu, zbudził się z budzącym trwogę nieludzkim wyciem. Potrząsnęła nim z całych sił, powtarzając raz za razem jego imię i trzymając go mocno w objęciach, aż otrząsnął się z koszmaru i leżał, drżąc w jej ramionach.

- Możesz mi o tym opowiedzieć? Powiedz mi, Tyler.

Potrząsał głową, oddychając przy tym tak głęboko, że aż zaczęło mu rzeźcić w gardle. A potem odzyskał głos.

- O Boże - wykrztusił. - Byliśmy gdzieś z Buddym i z Nickiem. Nie na tej wyprawie, nie wtedy, kiedy zginął. Staliśmy w jakimś pokoju i rozglądaliśmy się po kątach. W takim dużym pomieszczeniu, jakby biurowym, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Byliśmy tam we trzech. A potem Buddy zaczął strasznie krwawić i on... on zaczął do nas mówić... mówił, co mamy robić. To znowu był ten wypadek. - Wziął głęboki, rzeżący oddech i przycisnął się do niej mocniej. - Lily, on był już martwy, a mówił do nas.

- To był tylko sen - szepnęła.

- Nie, ty nic nie rozumiesz! Ja mówię o tamtym. Kiedy się tamto zdarzyło. On umierał, została mu mniej niż godzina, a mówił do nas. Nieśliśmy go i powiedział: „Nie tędy”, kiedy chcieliśmy pójść jedną ścieżką. Poszliśmy więc inną, a on wy dobył z siebie coś jakby śmiech i dodał: „Właściwie to nie robi mi żadnej różnicy”. A potem powiedział Nickowi, żeby się nie winił za to, co się stało. Właśnie tak powiedział. A w tym... w tym śnie... ja wiedziałem, co będzie dalej. Buddy krwawił, byliśmy w tym szarym pokoju, a ja wiedziałem i nie mogłem powstrzymać krzyku.

Przytulała go mocno i wolno kołysała, a dziecko wewnątrz niej zaczęło się poruszać. Żadne z nich prawie nie zwróciło na to uwagi, taki był nastrój tej nocy i otaczająca ich atmosfera - ponury przedświt - toteż oboje tylko przytulali się do siebie w mroku.

- Przepraszam, Lily - powiedział nagle.

Pocałowała go w policzek. Trwali w niezmienionej pozycji przez długi czas, dopóki Tyler znowu nie odplynał w sen, poruszając się sporadycznie i szarpiąc, jakby śniło mu się coś straszego. W końcu zasnął na dobre.

4

Lily wreszcie doprowadziła dom do jakiegoś takiego porządku. W weekendy Tyler trochę jej pomagał; pozbył się wszystkich pamiątek przypominających mu polowanie. Zajął się obrazami, powiesił zasłony - robił wszystkie te rzeczy, których ona z oczywistych powodów zrobić nie mogła. Pracował naprawdę ciężko i sprawiał wrażenie, że prawie niczego nie brakuje mu do szczęścia. W przerwach miewał przebłyski swojego naturalnego apetytu na życie i wtedy znów byli sobie bliscy. Ale zdawali sobie sprawę, że to coś ich dzieli - jej ciąża. Było jasne, że to go

zniechęca bardziej niż cokolwiek innego. W tej sprawie wykazywał budzącą pożałowanie delikateską. Nigdy nie wspominał imienia Dominika, a ona zaczęła mieć nadzieję, że może Dominik więcej nie napisze ani nie zadzwoni. Wiedziała, że to nie w porządku, i czuła, że w którymś momencie będzie zmuszona wyznać mu prawdę. Tyler doskonale rozumiał jej wątpliwości i to bezsprzecznie częściowo pogłębiało jego depresję.

- Może zaczynam dostawać fioła - mawiał - bo przestaję cokolwiek odczuwać.

Często w długie noce przytulali się do siebie, kiedy żadne z nich nie mogło zasnąć; kiedy Tylera znów dręczył jakiś koszmar i przeżywał kolejny atak przerażenia albo kiedy Lily przyśniło się coś przykrego. Budziła się wtedy wśród ciszy, wpatrując się w ciemność, i próbowała z wysiłkiem odzyskać zwykły rozsądek, który towarzyszył jej na jawie; rzeczy, które przeczytała o Mary Kingsley, i listy do niej z jakiegoś powodu uspokajały ją i wyciszały. Czasami, po przebudzeniu z koszmarne snu jej oddech - kiedy walczyła z paniką, która usiłowała spłynąć na nią w ciemności - budził Tylera; wówczas bywał słodki, wyrozumiały i pytał, czy może chce o czymś porozmawiać. Kilkakrotnie zdarzyło się, że masował jej stopy i łydki, aby rozluźnić bolesne napięcie albo skurcz, a potem długo kołysał ją w ramionach, tak jak ona przytulała jego, gdy dręczyły go koszmary. Zastanawiała się wtedy, jak to jest, że są sobie najbliżsi w ciemności, w chwilach wypełnionych strachem. Nie uprawiali seksu - byli jak dwoje dzieci, przestraszeni czymś, czego nie umieli określić. Tyler ciągle studiował mnóstwo książek: Kierkegaarda i Spinozę, Hegla i Pascala, kilku chrześcijańskich mistyków, nawet św. Tomasza z Akwinu. Zachowywał się tak, jakby przygotowywał się do jakiegoś egzaminu. Ale nocami nic nie trafiało w pustkę, która go przepełniała.

- Oni o niczym nie mają pojęcia - rzucił kiedyś, spoglądając na nią znad opasłego tomu o historii zachodniej filozofii. - To wszystko to bełkot.

Lily wypuściła się na wyprawę do dzielnicy pełnej tanich sklepów, świecących neonów i osiedli mieszkaniowych, pełnej hałasu, krzykliwych kolorów i jaskrawych postaci z komiksów, błazeńskich twarzy, połamanych napisów, zabitych deskami okien i pustych placów, które okalały autostradę. Czuła się okropnie, jakby opuściła ją odwaga, jakby zapadła w sen i jedyną rzeczą, która docierała do jej świadomości, była myśl o nienarodzonym dziecku, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, co czeka jej dziecko. Znaczenie całego okresu pomiędzy narodzinami a jego lub jej ostatecznym końcem wydało się nagle pomniejszone, zbrukane przez ordynarność budynków i ohydny wygląd Ameryki schyłku dwudziestego wieku, a w końcu nawet przez dalekie zarysy wzgórz i żółknącą trawę widoczną przez nagie gałęzie drzew. Kiedy

była w takim humorze, wszystko przypominało jej chore oblicze współczesnego świata, z jego katastrofami i zamachami. Ponury nastrój Tylera miał na nią wpływ, nad czym ubolewała, ale nie potrafiła znaleźć wyjścia z tej sytuacji - na pewno nie z Sheri, Millicent czy Nickiem, albo kimkolwiek z jej rodziny, czy też, prawdę mówiąc, z kimkolwiek, kto wiedział, przez co ostatnio przeszli.

5

Tego wieczoru Tyler miał wrócić późno, Lily przyszło więc do głowy, że mogłaby zadzwonić do Sheri, ale zaraz zrezygnowała. Co jakiś czas zastanawiała się, czy jej związek z Sheri, Millicent i Nickiem nie ulega powolnemu zanikowi, ale potem Sheri lub Millicent sprawiały jej niespodziankę, zaglądając do niej w któreś popołudnie albo dzwoniąc z zaproszeniem na kolację. Kiedy pomyślała o tym przez chwilę, doszła do wniosku, że sama rzadko do nich dzwoniła. Wyjrzała ponownie przez okno, starając się skoncentrować na czymś innym. Usiadła za biurkiem, rozłożyła wszystkie swoje notatki i gotową część sztuki i próbowała zmusić się do pracy; zaczęła ją jednak boleć głowa i wcale nie mogła się skupić.

W końcu zarzuciła na siebie płaszcz i poczłapała do samochodu. Na zewnątrz poczuła przerywane, ciepłe muśnięcia południowego wiatru; gałęzie drzew stukały o siebie, wstrząsane lekko nagłymi porywami. Trawa zbrązowiała i miejscami przypominała słomę, podczas gdy czarne placki nagiej ziemi wyglądały jak plamy asfaltu. Poza niskim pułapem ciężkich, ciemnych chmur, rozciągających się po zachodniej stronie, niebo było błękitne. Być może zbliżała się następna burza. Wcisnęła się za kierownicę, włączyła silnik i pojechała przez przygnębiającą, brudną dzielnicę sklepów i stacji benzynowych w stronę domu Galatierre'ów. Pogodny nastrój opuścił ją na dobre, zanim jeszcze ujrzała dwupiętrowy budynek. Ten wielki dom był dla niej jak sanktuarium i może rzeczywiście był to nie najlepszy pomysł, żeby przeprowadzać się stąd do maleńkiego domku przy Yellow Little Creek.

Otworzyła jej Rosa, ubrana w fartuch i z drewnianą łyżką w rękę.

- Och, cześć - przywitała Lily.

Zrobiła krok w tył, przytrzymując jednocześnie drzwi, i zawołała w stronę pokoju:

- Zobaczcie, kto przyjechał.

Millicent i Sheri były w pokoju dziennym. Siedziały w przeciwnych stronach kanapy i popijały wino. Telewizor był włączony. Akurat na ekranie pojawił się Nelson Mandela na czele olbrzymiego tłumu, który prowadził ulicami Pretorii. Millicent wyłączyła dźwięk.

- Jadłaś już? - spytała.

- Nie.

- Rosa nas opuszcza - poinformowała Sheri. - To jest pożegnalna kolacja. Co prawda bez przygotowania, bo Rosa właśnie przed chwilą nam o tym powiedziała. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale musiałaś już wyjść.

Millicent wstała i zaproponowała, że weźmie od Lily płaszcz.

Sheri dołała sobie jeszcze więcej wina i jednym haustem opróżniła szklaneczkę do połowy; potem oparła głowę o poduszki kanapy, trzymając szklaneczkę pionowo na brzuchu.

- Tak pięknie wyglądasz w ciąży - powiedziała.

- Ale nie czuję się piękna - odparła Lily, siadając w fotelu naprzeciwko niej. Zauważyła, że Millicent zakołysała się lekko i doszła do wniosku, że obie kobiety były na najlepszej drodze do upicia się. Zaczęła żałować, że w ogóle przyjechała. Millicent z powrotem zajęła miejsce na kanapie i wzięła do ręki swoje wino.

- Rosa przyniesie ci do picia to, na co masz ochotę. Uparła się, żeby usługiwać dziś przy kolacji. To jej ostatni ukłon w stronę tego domu, jak to określiła.

- Mamy dziś kurczaka, ale nie wiem dokładnie jak przyrządzonego. W każdym razie nie *cordon bleu*. Tego jesteśmy w zasadzie dosyć pewne.

Obie sączyły wino, nie patrząc ani na siebie, ani na Lily. Rosa krzątała się w kuchni. Cisza była wręcz przytłaczająca.

Lily rozejrzała się po pokoju. Millicent zdjęła większość obrazów i wszystkie trofea. Na ścianach zostały puste miejsca i ciemniejsze zarysy, tam gdzie farba nie spłowieła na słonecznym świetle padającym z okna.

- Chłopcy znowu do późna pracują - zauważyła Sheri.

- Biedny Nick - mruknęła Millicent jakby do siebie.

Przez pewien czas, który wydawał się nie mieć końca, nikt się nie odzywał. Rosa przysłała z kuchni i podała Lily szklanekę mleka.

- Jeśli nie masz ochoty, to je zostaw - powiedziała. - Podobno to jest dobre dla ciebie.

- Dokąd się wybierasz? - spytała Lily.

- Z powrotem do kuchni.

- Nie, ja chciałam...

- Och. - Rosa się roześmiała. - Do szkoły. Wyjeżdżam stąd, żeby pójść do szkoły.

- Myślałam, że ty już chodzisz do szkoły.

- To jest lepsza szkoła. I będą mi tam dawać pieniądze. I jest w Kalifornii. W Bakersfield.

- Będziesz bliżej taty.

- Pamiętałaś o tym? - zdumiała się Rosa.

- Tak - odparła Lily. - Oczywiście, że pamiętałam.

- Kolacja będzie za dziesięć minut - oznajmiła Rosa głośno, żeby wszyscy w pokoju ją usłyszeli.

Kiedy nikt się nie odezwał, wzruszyła tylko ramionami i wróciła do kuchni.

Teraz na ekranie telewizora kobieta w jaskrawoczerwonej sukience stała przed zieloną mapą przedstawiającą dolną część południowych stanów i wskazywała układ pogody, zwracając uwagę widzów na masy zimnego powietrza znowu nadciągającego z północy.

- Cholera - odezwała się nagle Sheri.

- Co jest? - spytała Lily. - Najwyraźniej nie powinnam przyjeżdżać.

- Ależ skąd - powiedziała niecierpliwym tonem Millicent. - To nie chodzi o ciebie. Wiem, że jesteś w ciąży, kochanie, ale postaraj się zrozumieć, że to, co mówimy, nie zawsze dotyczy ciebie.

Lily poczuła się dotknięta do żywego tą uwagą i prawie już wstała, żeby wyjść, ale wtedy odezwała się Sheri:

- Matka po prostu próbuje mnie namówić, żebym zaszła w ciążę, dla Nicka. Uważa, że to pomogłoby mu cofnąć się znad krawędzi przepaści. No i ja też byłabym wreszcie szczęśliwa. Ja z kolei właśnie mówiłam, że moim zdaniem byłoby całkiem miło, gdybyśmy przez kilka dni nie oglądały tu Rogera Gaulta. Na dodatek w środku tej dyskusji zjawiała się Rosa i oznajmiła, że rezygnuje i że to jej ostatni dzień u nas. Jak dotąd był to naprawdę uroczy wieczór. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie jesteśmy szczęśliwe, że cię widzimy. W każdym razie przynajmniej ja jestem.

W drzwiach stanęła Rosa.

- Jeśli on ma przyjechać, to lepiej niech się pośpieszy.

- Już to przyjęliśmy do wiadomości, dziękuję, Rosa - odezwała się szybko Millicent.

Znowu zapadła cisza. Przedłużała się w nieskończoność, ale ani Millicent, ani Sheri najwyraźniej nie czuły się niezręcznie z tego powodu; każda z nich zachowywała się tak, jakby była sama w pokoju.

Lily wstała.

- Jestem zmęczona. Chyba lepiej pojedę już do domu i położę się do łóżka.

Millicent nawet nie podniosła wzroku.

- Nie pozwól Sheri wygonić się stąd, kochanie. Bardzo się cieszymy, że nas odwiedziłaś.

- Zdaje mi się, że to właśnie powiedziałam - wtrąciła się Sheri, a potem spojrzała na Lily.

- Nie daj się Millicent odstraszyć, skarbie.

Millicent wlała sobie do szklanki resztkę wina z butelki i odstawiła ją z brzękiem na stół. Sytuacja zaczęła wyglądać groźnie. W każdej chwili któraś z nich mogła zacząć wrzeszczeć.

W tę pełną napięcia ciszę nagle niczym uderzenie pioruna wdarł się dźwięk dzwonka. Sheri aż krzyknęła. Millicent podniosła się i chwiejnym krokiem podążyła w stronę wejścia, ale Rosa zdążyła już wyjść z kuchni i otworzyć drzwi, wpuszczając do środka Rogera Gaulta. Ukłonił się Rosie, która odebrała od niego kurtkę, a następnie ujął Millicent za rękę i znowu się skłonił. Wygląda nieco absurdalnie, pomyślała Lily, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego tak uważa. Gault ubrany był w sztruksowe spodnie, białą flanelową koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci i brązowe buty, chyba celowo włożył ciuchy, które zwykle nosili chłopcy w college'u - najwyraźniej starał się wyglądać na młodszego. Wszedłszy do pokoju, delikatnie uścisnął dłoń Lily - przez moment miała wrażenie, że zaraz pochyli się, aby złożyć na niej pocałunek, i odetchnęła z ulgą, kiedy tego nie zrobił - i ucałował Sheri w czoło. Sheri najpierw usiadła, a potem poderwała się i pobiegła do kuchni.

- Trzeba przynieść więcej wina! - zawołała.

- Już jesteśmy troszeczkę wstawione - powiedziała do niej Millicent. - Prawda?

- Też tak uważam - odgryzła się Sheri. Millicent usiadła na kanapie obok Rogera.

- Czasami moja córka doprowadza mnie do białej gorączki.

Lily z powrotem zajęła miejsce w fotelu i splotła ciasno ręce na brzuchu. Chciała już wyjść, ale rozumiała, jak źle zostałyby to teraz odebrane, toteż została na miejscu. Tymczasem Sheri, potykając się, weszła do pokoju z kolejną butelką czerwonego wina. Napełniła swoją szklankę, a potem wręczyła butelkę matce.

- *Pink noir* jest dobrym napitkiem na wieczór - powiedziała do Gaulta. - Oczywiście jeśli nie jesteś w ciąży, a ja nie jestem i wygląda na to, że tak już może zostać. Za to biedna Lily wygląda tak, jakby miała być w ciąży przez resztę życia.

- Też tak to odczuwam - odezwała się Lily, ponieważ wszyscy się na nią gapili, a ona nie mogła tak po prostu podnieść się i wyjść.

- No to za Lily. - Sheri podniosła swoją szklanę i jednym haustem wypila większą część jej zawartości.

Millicent spytała Rogera, czego ma ochotę się napić, a przez len krótki czas, kiedy podejmował decyzję, Lily poczuła, jak wszystko nagle z niej wyciekło; jakaś niesamowicie wielka ilość płynu zmoczyła sukienkę i wsiąkła w fotel, na którym siedziała. Odebrała to, jakby poczuła przemożną potrzebę zrobienia siusiu w chwili, gdy całkowicie przestała kontrolować mięśnie. Zrobiło jej się słabo i pojawiły się zawroty głowy.

- Och - wykrztusiła. - O mój Boże!

Millicent poderwała się na równe nogi i patrzyła na podłogę dookoła fotela. Usiłowała odstawić swoją szklanę, potrafiła ją i wino również znalazło się na podłodze. Dookoła Lily powiększała się kałuża wody zmieszanej z pasemkami krwi. Lily wstała, przytrzymując się oparcia fotela, a Sheri zawołała:

- Och, skarbie, wody ci odeszły!

Przez kilka następnych chwil panowało zamieszanie. Lily po prostu stała, a wody płodowe ciekły z niej na podłogę; nie czuła żadnego skurczu, ale w środku wszystko się zmieniło i dokładnie o tym wiedziała. Rosa wyszła z kuchni z łyżką w ręku i zaraz wróciła z powrotem. Sheri narzucała płaszcz na ramiona Lily, coś do niej przy tym mówiąc, tak samo jak Roger Gault. Głos Millicent górował nad wszystkimi, kiedy starała się ich uspokoić.

- Niech ktoś... Sheri, idź zadzwoń do Tylera i Nicka.

Ale Sheri cały czas podtrzymywała Lily i trzymała ją także wtedy, gdy Lily zaczęła się osuwać; na moment pociemniało jej w oczach, ale zaraz oprzytomniała.

- W porządku - powiedziała. - Czuję się już całkiem dobrze.

Wszyscy ruszyli w stronę wyjścia. Rosa już tam była i otwierała szeroko drzwi.

- Już zadzwoniłam do Tylera - oznajmiła. - Przyjadą prosto do szpitala.

Na zewnątrz, w chłodnym powietrzu Lily poczuła, jak robi się jej zimno - miała przecież zupełnie mokre pośladki i nogi. Sheri ciaśniej owinęła ją płaszczem, najwyraźniej czując jej drżenie.

- Jestem z tobą, kochanie. Nic się nie bój.

Wsiadli do furgonetki Millicent. Lily zajęła miejsce z przodu.

- Narobię tu straszego bałaganu - szepnęła.

- Nie zwracaj sobie głowy tym cholernym samochodem.

Siąpił drobny deszcz; rzadka, zimna mgła opadała na ziemię, a na niebie wisały nisko ciężkie chmury, doskonale widoczne przez światło padające z otwartych drzwi. Prawie sięgał powierzchni pól znajdujących się naprzeciw domu. Z niewiadomego powodu Lily pomyślała o duchach. Drzwi samochodu zatrasnęły się; nie miała pojęcia, kto jeszcze oprócz niej wsiadł do środka. Zobaczyła za kierownicą Millicent.

Oparła głowę o tył fotela i zamknęła oczy. I wtedy nadszedł pierwszy skurcz. Ogarnął jej ciało jak gwałtowny przyływ i opasał piekącym bólem dół brzucha. Próbowала coś powiedzieć, ale nie mogła. To był zaledwie początek procesu, o którym starała się zbyt często nie myśleć; narodziny dziecka, coś, z czego nie można było się wycofać. Nabrała zwyczaju sięgania myślami poza ten dzień, do chwili kiedy to wydarzenie należeć już będzie do przeszłości, kiedy dziecko już przyjdzie na świat, a ona jakoś zniesie wszystkie cierpienia związane z narodzinami. Uświadomienie sobie prawdy napełniło jej umysł strachem, a duszę radością. W środku obaw kryło się podniecenie, jak jądro wewnątrz większej całości. Teraz sama była skorupą, pod której powierzchnią znajdowało się coś fenomenalnego i zachwycającego.

Czuła, jak jej ciało zaczyna się rozciągać, a skurcz sprawił, że przestała myśleć o czymkolwiek poza wypukłością w dole brzucha i bólem zapierającym dech w piersiach. Próbowала przypomnieć sobie, co czytała na temat ćwiczeń oddechowych, ale nic nie przychodziło jej na myśl. Oczyma wyobraźni ujrzała mężczyzn pracujących na budowie: traktory, nierówności gruntu w miejscach, gdzie rozdzierały one ziemię; pomyślała, że i ona w podobny sposób zostanie rozdarta. Przed jej oczami przesunął się ciąg rozmaitych scen: ujrzała wzgórza, tak jak wyglądały z okien pociągu wiozącego ją na południe; zobaczyła Buddy'ego Galatierre'a, jak podnosi szklaneczkę, leżąc częściowo w słońcu, a częściowo w cieniu; przypomniała sobie rozpruty delikatny, biały brzuch jelenia.

Millicent prowadziła samochód, zaciskając mocno ręce na kierownicy.

- Pośpiesz się - powiedziała Lily, albo może tylko jej się zdawało.

Jej myśli skupiły się na czymś migoczącym w oddali - na płomieniu. Otworzyła oczy i spojrzała na znikającą pod kołami samochodu drogę, i znowu zobaczyła płomień. Opuściła powieki, ale obraz nie zniknął. Ucisk zelżał i znowu mogła oddychać.

- Trzymaj się, skarbie - usłyszała głos Millicent.

- Czy ktoś zadzwonił do lekarza? - spytała Sheri.

- Ja - odezwała się Rosa.

Lily przekręciła się na fotelu i zobaczyła, że z tyłu siedzą Rosa, Sheri i Roger Gault. Cała trójka patrzyła na nią ze zdumieniem pomieszanim ze strachem.

Szpital znajdował się w rzędzie białych budynków kilka skrzyżowań od stadionu futbolowego. Millicent podjechała na parking przed wejściem do izby przyjęć. Poza Lily wszyscy szybko wyskoczyli z samochodu. Roger popędził do środka. Millicent otworzyła drzwi od strony pasażera i chwyciła Lily pod kolana, pomagając jej wyciągnąć nogi na zewnątrz. Lily poczuła, jak znowu wszystko staje się niewyraźne, jakby osuwała się ze światła w jakąś ciemność. A potem dwóch mężczyzn w białych fartuchach, którzy stali obok z fotelem na kółkach, podeszło, żeby ją zabrać. Kiedy posunęła się w ich stronę, nadszedł kolejny skurcz, silny i nieustępliwy.

- Och, chyba coś jest nie tak - szepnęła.

- Już się panią zajmujemy - rzekł jeden z nich.

Zdażyła zauważyć, że miał sporą przerwę między zębami i był blondynem. W szklach jego okularów odbijały się światła przy wejściu i kształty poruszające się w tym świetle. Żadnej z tych rzeczy nie zarejestrowała jednak jako rzeczywistości; odbierała je raczej jako przypływ sennych marzeń, przeplatających się z przebłyskami świadomości. Drugi z mężczyzn podtrzymał ją za łokieć i poprowadził w kierunku fotela; wtedy zza podwójnych drzwi wyszła pielęgniarka, a jednocześnie skurcz zelżał. Lily pomyślała niedorzecznie, że pojawienie się pielęgniarki miało jakiś związek z ustąpieniem bólu, spojrzała więc na tę kobietę - przysadzistą, ciemnoskórą, o okrągłej twarzy, wyłupiastych oczach i tłustych policzkach - z wyrazem pełnego uniżenia uwielbienia, podobnego do tego, jakim domowe zwierzę obdarza osobę, która daje mu jeść. Starła się nie spuszczać z niej oczu, ale pielęgniarka obeszła fotel i popchnęła go w kierunku wejścia, gdzie stali już ci dwaj młodzi mężczyźni. Nie mogła za to nigdzie dostrzec Millicent, Sheri ani pozostałych. Korytarz prowadzący na izbę przyjęć był stanowczo zbyt jasno oświetlony; zobaczyła wiszące na ścianach zdjęcia pól i wzgórz, a oprócz tego poczekalnię, gdzie siedziało mnóstwo osób i czytało czasopisma lub oglądało telewizję. Jedna z

nich miała na nodze gips - mężczyzna wyglądający na stulatka. Pielęgniarka przez cały czas pchała jej fotel; przez następne podwójne drzwi i dalej, przez szerokie drzwi z drewna, za którymi kręcili się ludzie w białych uniformach. Nagle obok niej znalazła się Sheri.

- Mama właśnie podaje twoje dane - oznajmiła. - Jak się czujesz?

Lily przywołała na twarz jakiś grymas udający uśmiech, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała wrażenie, że nadchodzi kolejny skurcz, ale po chwili to uczucie osłabło, trzymała się więc kurczowo oparcie fotela. Przed nią otworzyły się następne podwójne drzwi, prowadzące do pomieszczenia, które przypominało hol biura, z mnóstwem różnych wejść i oświetlonym stanowiskiem znajdującym się pod podwieszanym sufitem. Zza kontuaru wyszła inna pielęgniarka, powiedziała „dzień dobry” i poprowadziła ich dookoła stanowiska do następnego korytarza i następnych podwójnych drzwi. Lily w tym labiryncie sal i przejść ogarnęło uczucie, że została porwana i nagle zaczęła się martwić o Tylera: jak też on ją tutaj odnajdzie?

Nie czuła teraz bólu, tylko dyskomfort, bo miejsce, na którym siedziała, było już zupełnie przemoczone. Próbowała nieco unieść się na łokciach, ale przypomniała sobie o dziecku.

- Dziecko chyba już się rodzi - powiedziała, ale nikt nie zwrócił uwagi na jej słowa.

W nowym korytarzu znajdowały się trzy wejścia do otwartych sal i Lily została zawieziona do drugiej z nich; zobaczyła łóżko, zlew i osobliwy szary aparat. Sheri powiedziała coś do pielęgniarki, a potem spojrzała na Lily i uśmiechnęła się. Cały czas stała w przejściu, odsunęła się, żeby wypuścić pielęgniarkę.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Lily skinęła głową, opierając się na podłokietnikach fotela. Pielęgniarka weszła z powrotem i położyła na łóżku jakąś koszulę, a potem wręczyła Lily torbę, żeby schowała tam swoje rzeczy. Sheri pomogła jej zdjąć ubranie i włożyć szpitalną koszulę, a potem położyć się na łóżku. Podparła ją poduszkami i podniosła nieco zagłówek, tak że Lily mogła leżeć w pozycji półsiedzącej. Obok łóżka znajdował się jakiś zestaw tajemniczych urządzeń z monitorem telewizyjnym pośrodku. Pielęgniarka wróciła. Wszystko teraz nabierało tempa; pojawiły się jakieś mgliste wspomnienia, kilka zapachów - perfum, mydła, czosnku, tytoniu, krochmalu i pasty do zębów, mięty i potu. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie pozostało jej ciało i kiedy zaczęły się te odczucia - ile z nich było tylko tworem jej wyobraźni, a ile rzeczywistością. Pielęgniarka, młoda dziewczyna z kręconymi włosami i w okularach o kwadratowych oprawkach, poleciła jej nieco zwolnić oddech.

- Chyba nie chcesz mieć hiperwentylacji, skarbie?

Lily spróbowała oddychać nieco wolniej. Gdzieś zniknęła Sheri. Teraz obok niej kręciły się dwie pielęgniarki; jedna z nich mierzyła ciśnienie, a druga powiedziała:

- Teraz będzie mały zastrzyk.

Lily ledwie go poczuła. Uszczypnięcie. Spojrzała na własną dłoń, którą poklepywała pielęgniarka. Ujrzała wenflon i po chwili przesunęła wzrokiem po całej krętej ścieżce łączącej rurkę z butelką wiszącą u góry. Pierwsza pielęgniarka podwinęła nieco jej koszulę i przyłożyła do brzucha stetoskop. Był strasznie zimny. Lily obserwowała te zabiegi, ale sama znajdowała się gdzieś daleko stąd, czekając na kolejną falę cierpienia. Nic się jednak nie wydarzyło. Pielęgniarki przymocowały jej do brzucha małe czujniki i teraz mogła na monitorze obserwować bicie serca, zarówno własnego, jak i dziecka. Maszyna wydawała w określonym rytmie słaby elektroniczny dźwięk.

Skądś doleciał trzask, potem zapiszczała guma, a Lily pomyślała o podeszwach butów. Dziewczyna z kręconymi włosami sięgnęła w głąb jej ciała i zbadła ją; nieoczekiwanie Lily poczuła nowy, większy ból. Było w tym badaniu coś agresywnego i nieprzyjaznego. Lily wydała z siebie krótki okrzyk i odruchowo wstrzymała oddech.

- Ma pani rozwarcie na cztery centymetry - poinformowała ją pielęgniarka. - Czy to pani pierwsze dziecko?

- Tak - zdołała wykrztusić Lily.

- Przestraszona? - zapytała ta z okrągłą twarzą. Lily przytaknęła.

- Bardzo.

Pielęgniarka wyciągnęła rękę i pogładziła dłoń Lily, tę bez wenflonu.

- No cóż, wkrótce będzie po wszystkim, a pani o wszystkim zapomni i będzie mieć śliczne, zdrowe niemowlę.

Lily zaczęła płakać. Nie łkała, nie zanosila się szlochem, tylko łzy strumieniami spływały jej po policzkach, a pielęgniarki mówiły jej kojące słowa w rodzaju „no, już dobrze” albo „dasz sobie radę”, jakby była jakąś sportsmenką w trakcie zawodów. Wreszcie zostawiły ją na chwilę i wtedy wróciła Sheri. Zobaczyła, że Lily płacze, i stanęła tuż obok, ostrożnie ścierając chusteczką łzy z policzków przyjaciółki. Lily złapała ją za rękę.

Zaczął się następny skurcz, nieduży i twardy, ale po chwili ustąpił. Lily objęła się rękoma, puszczaając dłoń Sheri, i czekała.

Do sali wkroczył doktor Brauner.

- Dziń dybry.

Sheri odstąpiła krok do tyłu.

- Byndziemy tu tylko minutke - powiedział do niej. - Czy pani to insztruktorka?

- Ona nie chodziła na zajęcia z Lamaze'a, doktorze - wyjaśniła Sheri. - Ja z nią posiedzę, dopóki jej mąż nie przyjedzie.

- Jeszli nam pani wybatzy... - odrzekł, wskazując drzwi.

Sheri wyszła posłusznie, a on odwrócił się z uśmiechem w stronę Lily.

- Wszystko idzie szwietnie.

Ze stojącego na małym stoliczku podajnika wyjął lateksową rękawiczkę, naciągnął ją z głośnym trzaśnięciem, drugą ręką podwinął koszulę Lily i zaczął badanie.

- Jeszcze trochę - ocenił.

Ściągnął z trudem rękawiczkę, drąc ją przy tym na strzępy; następnie podszedł do małego pojemnika o cylindrycznym kształcie, nacisnął nogą pedał, żeby go otworzyć, i wrzucił do środka resztki lateksu.

Nadszedł następny skurcz. Wydawało się, że przenika całą dolną część ciała, zaczynając się gdzieś przy końcu kręgosłupa. Doktor Brauner obszedł łóżko, żeby spojrzeć na jej twarz, i obserwował, co stanie się dalej. Lily zacisnęła dłonie na bokach materaca, a z jej piersi wyrwał się okrzyk pełen cierpienia.

- Żaraż damy pani czoś na ten ból. Ale muszi pani wyczymacz trochę dłuzej - powiedział Brauner.

Lily nie mogła się odezwać. W pokoju nagle zrobiło się zamieszanie; doktor i pielęgniarki miotali się w różne strony, elektrokardiograf popiskiwał miarowo, a ból towarzyszący skurczom trwał i trwał, i za nic nie chciał zelżeć. Nie chciał zelżeć, nie chciał odejść.

Nareszcie, aczkolwiek bardzo powoli, napięcie nieco zmałało. Długo oczekiwana ulga sprawiła, że Lily znowu się rozplakała. Doktor gdzieś sobie poszedł, za to wróciła Sheri. Lily spojrzała na nią i usłyszała własny głos; pytała, gdzie jest Tyler.

- Są już w drodze, skarbie.

W innej sali rozległ się nagle krzyk jakiejś kobiety, długi pisk, przechodzący przy końcu w szlochanie.

- Jezu Chryste! - zawołała Sheri. - Co to za miejsce! I pomyśleć, że takie miejsce ma zachęcać ludzi do robienia dzieci. Powinni koniecznie przywozić tutaj wycieczki szkolne.

- Och, na litość boską, Sheri, zamknij się!

Szloch w sąsiednim pokoju ustąpił miejsca głośnemu zachłystywaniu się i dyszeniu. W korytarzu zapanowało nerwowe poruszenie; Lily zobaczyła pielęgniarki przebiegające obok wejścia do jej salki, pchające przed sobą łóżko na kółkach. Na nim ktoś leżał, jakaś kobieta, uniosła głowę i szykowała się do następnego wrzasku.

Lily leżała bez ruchu. Poduszki pod plecami gniotły ją jak kamienie i nagle, w momencie gdy to sobie uświadomiła, poczuła, że dręczy ją straszne pragnienie. Zerknęła na Sheri i usiłowała coś powiedzieć. Sheri schyliła się niżej.

- No, mów, kochanie.

- Mogę dostać trochę wody?

Sheri rozejrzała się po pokoju, a potem wyszła i Lily została sama. Słyszała tylko elektroniczne popiskiwanie i własny oddech, pełen bólu, i czuła niezwykłą suchość w ustach. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Zadrzała i zrobiło się jej zimno, ale już w następnym momencie miała wrażenie, że w pokoju panuje niemożliwy upał.

Wreszcie Sheri powróciła. W rękę trzymała sprany mały ręcznik frotte, który zanurzyła w wodzie, a potem zbliżyła do ust Lily. Lily wpiła się weń chciwie, ale udało się jej wyssać zaledwie kilka kropelek. W dodatku miały one smak starej ścierki.

- Powiedzieli mi, że tylko to mogę ci dać - powiedziała Sheri, prawie płacząc. - Przykro mi.

Lily oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

Kolejny skurcz nie był już tak straszny i trwał krócej. Nadszedł jakiś czas po tym, kiedy Lily poczuła, że prawie odpływa w sen, mniej więcej pół godziny po ostatniej wizycie doktora Braunera. Sheri sprawdzała przebieg skurczu; stała przy łóżku i co chwila spoglądała na zegarek. Minuty mijały. Po następnym długim okresie oczekiwania powrócił wreszcie doktor Brauner.

- No i jak tam poszły? - zapytał.

Pochylił się w stronę Sheri i rzucił jej spojrzenie znad okularów. Zrozumiała i natychmiast wyszła z sali, a wtedy doktor znów zbadał Lily.

- No, już wkrótce powinno być - ocenił.

Wyrzucił rękawiczkę do pojemnika, posłał Lily uśmiech i wyszedł. Patrzyła na pusty korytarz, ale Sheri się nie zjawiała. Na ścianie obok zegar odmierzał czas; jedna ze wskazówek

wykonała kilka obrotów, kiedy Lily na nią spoglądała. Spróbowała nieco unieść się na łożku, żeby poprawić poduszki pod plecami, gdy nastąpił zmasowany atak bólu.

Właśnie w tej chwili Sheri weszła z powrotem i Lily ujrzała na jej twarzy wyraz frustracji i zmartwienia.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć - powiedziała.

- Nie bądź głupia. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, kochanie. Nigdzie się nie wybieram.

- Gdzie oni są? - zapytała Lily, czując, że zaczyna się następny skurcz.

Ale nagle zatrzymał się przyływ bólu. Nic się nie wydarzyło, a ona po prostu leżała w cierpieniu i niewygodzie, czując w dolnej części pleców nieprzyjemne ukłucia. Poprosiła znowu o podanie mokrej szmatki i przyłożyła do niej usta. Spłynęło trochę wilgoci.

Zamknęła oczy, a potem znowu je otworzyła. Jej szwagierka ponownie gdzieś wyszła. Było już po dziewiątej. To ją zdziwiło. Czy naprawdę leżała tutaj już dwie godziny? Może przespała ten czas?

Dwie godziny. Zamknęła oczy i poczuła, jak zbliża się kolejny atak. Tym razem było gorzej niż wcześniej. Teraz poprzedni ból i przykre odczucia wydały się nic nieznaczącymi epizodami, a ten ból ciągle rósł, powiększał się w okropny sposób. Każda kolejna fala wydawała się silniejsza i silniejsza, aż w końcu Lily zaczęła krzyczeć. Otworzyła usta i wydała jakiś agonalny dźwięk, wypchnęła go, płacząc i wrzeszcząc, a ból wydawał się nakładać na siebie i rozszerzać. Jeszcze nie osiągnął maksimum i świetnie o tym wiedziała; ogarnął ją strach i poczucie, że ta siła może rozerwać ją na strzępy, nawet zabić, jeśli dalej będzie trwać - tak jak trwa i trwa, i nabiera mocy. Później pewnie trochę zmaleje, a potem w straszliwie zwolnionym tempie zepchnie ją w dół przepaści o poszarpanych zboczach. Nadszedł wreszcie koniec, a ona leżała spocona, tylko na poły świadoma, że doktor Brauner i pielęgniarka poruszają nią, przekręcają na bok, mówią, żeby leżała spokojnie, a potem wtykają coś bolesnego w sam środek jej pleców, a później znów odwracają i układają pod nią poduszki jak bloki ciężkich kamieni; pod jej pulsującym, drżącym na całej długości ciałem.

Następny skurcz znowu przyćmił wszystko. Nie było przed nim ucieczki, a kiedy zaczął się cofać, po chwili nadszedł kolejny. I wreszcie po długiej, ciężkiej godzinie zaczęła odczuwać ucisk, straszną potrzebę, żeby w końcu urodzić, żeby wypchnąć z siebie to, co tam było, i mieć już wszystko z głowy. Doktor Brauner stał teraz obok niej; była także Sheri; potem pielęgniarka; następnie znowu doktor. A potem wieźli ją gdzieś korytarzem, wszystko uciekało

jej sprzed oczu, a ona tak bardzo chciała pojechać do domu - przypominało to pragnienie seksualne. Chciała podnieść się, wyjść ze szpitala i znaleźć się we własnym łóżku. A potem znowu czuła tylko potrzebę urodzenia, wypchnięcia z siebie dziecka, bo wtedy może minie straszliwy ból opasujący dół pleców. I parła, poddając się temu przemożnemu uczuciu i palącej potrzebie wydalania z siebie tego, co nosiła, wyrzucenia tego poza własne ciało i wyzwolenia się. Nie wiedziała, kto w tej chwili jest obok niej; jak przez mgłę widziała poruszające się postacie. Dotarło do niej polecenie doktora, żeby nie przeć, jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Ból wkroczył w coś w rodzaju fazy końcowej - ciągle był obecny, nie zmniejszył się, ale ona rodziła już tak długo, że prawie nie miało to znaczenia. Było tak, jak gdyby ból wyczekiwał, ciągle silny i przejmujący, ale jednocześnie pokonany i pobity, ponieważ mimo wszystko nie zdołał jej złamać i dłużej już się nie liczył. To, co w tej chwili się liczyło, to potrzeba parcia. Lily była w sali i doktor stał między jej nogami, a ciśnienie wewnątrz jej ciała zrobiło się tak duże, że prawie przekroczyło granice bólu i weszło w obszar pewnego rodzaju przyjemnych doznań, a lekarz kazał jej teraz przeć, jak najmocniej przeć.

- Tak jakby się pani chciało do łazienki - powiedział. - No, dalej!

I w końcu, po jednym przyprawiającym o drżenie napięciu mięśni, poczuła wreszcie ulgę. Dziecko znalazło się na zewnątrz, poza jej ciałem i doskonale o tym wiedziała. Podniosła z trudem głowę, ale zaraz opadła z powrotem na poduszkę, więc spróbowała jeszcze raz i po chwili znów leżała na plecach, odpływając gdzieś w nieświadomość. Była z powrotem w domu Galatierre'ów.

Ranek. Nikt jeszcze się nie zbudził, więc wstanę i wyjdę na zewnątrz, i postaram się nie obudzić żywej duszy, ponieważ lubię w samotności kontemplować świeżość wczesnego poranka, w tym domu, który nie jest moim domem, w moim nowym małżeństwie; ciekawe, którą drogą pójde dzisiaj, jeśli wybiorę się na spacer? Na pewno w słońcu. W kierunku przepięknej rzeki, połyskującej odbłaskami promieni, a ja jestem świeżo poślubioną żoną, zakochaną, och, szczęśliwie zakochaną; miłością, która jest godna zaufania i pełna dobroci, i otacza mnie szczęście, uroczy słoneczny dzień w sercu.

- To dziewczynka - usłyszała głos pielęgniarki.

Nie miała siły się podnieść. Doktor położył noworodka na jej brzuchu; zakrwawiony, niebieskawy kłębek członków i główkę. W pierwszej chwili wyglądał całkowicie bezkształtnie, ale zaraz potem wydał z siebie krzyk i otworzył usteczka. Lily ujrzała twarzyczkę dziecka: ściągniętą buzię, pozlepianą krwią, i włoski, czarne i zdumiewająco gęste.

- Moja mała dziewczyneczka - powiedziała z płaczem.
- A jak jej będzie na ymie? - zapytał doktor.
- Mary - odpowiedziała pewnie Lily. - Chcę, żeby nazywała się Mary.

RS

Noc.

Długie nocne godziny wlokły się w nieskończoność, a ona śniła, że doktor stoi obok i naciska silnie dół jej brzucha, wywołując następną falę skurczów, a potem nagle stwierdziła, że jest już tam zupełnie pusto i wtedy spłynęła na nią ulga. Zobaczyła, że on schyla się w skupieniu, trzymając w ręku zakrzywioną igłę i nić, i zaraz poczuła coś w rodzaju słabego klucia, kiedy igła zagłębiała się w jej ciało i wychodziła na zewnątrz. Patrzyła na wyćwiczone ręce położnych, kiedy zabierały dziecko z jej brzucha. Położyły je w małej wanience z przezroczystego plastiku, gdzie Mary została umyta, a jej usta i nosek oczyszczone, wtedy jej skóra od razu zaczęła nabierać różowego koloru, jak powiedziały Lily. Okazało się też, że wszystkie pomiary są absolutnie w normie.

Lily została zabrana do sali poporodowej - wielkiej, otwartej przestrzeni, poprzedzielanej zasłonami zawieszonymi na metalowych szynach przyczepionych do sufitu, dzięki którym utworzono szereg zacisznych kącików. Tam po pewnym czasie przyniesiono jej Mary, zawiniętą w miękką szpitalną pieluchę, żeby Lily mogła ja nakarmić. To nowe odczucie - wessanie się drobnych usteczek - okazało się niesamowicie uspokajające. Trochę bolało; nie spodziewała się, że to będzie bolało, ale właśnie w ten sposób odbierała niewielki nacisk na sutku. Pielęgniarka o okrągłej twarzy powiedziała, że wszyscy są zachwyceni ślicznymi czarnymi włoskami Mary. Lily opuściła wzrok na jej twarzyczkę, ze zdumiewająco miniaturowymi brewkami i pracującymi przez cały czas usteczkami. Maleńkie oczka się otworzyły. Oczka Mary, ciemnoniebieskie jak wieczorne niebo, spojrzwały na Lily, a potem zamknęły się cieniutkie powieki o długich rzęsach - pięknych, delikatnych i ciemnych.

- Dobrze jej to idzie - powiedziała pielęgniarka.

Lily odczytała plakietkę z nazwiskiem: „Kathleen Montera, dyplomowana położna”.

- Dziękuję pani, pani Montera - odezwała się. Pielęgniarka uśmiechnęła się ciepło.

- Mieliśmy dzisiaj duży ruch. To jest mundurek mojej przyjaciółki, Kathleen, i jej identyfikator. Mieszkamy w jednym pokoju. Ja mam na imię Ann.

- Dziękuję pani, Ann. - Lily miała chęć powiedzieć: „Kocham panią, Ann”, ale zamiast tego powtórzyła raz jeszcze: - Dziękuję.

- Och, cała przyjemność po mojej stronie.

Lily przyszło do głowy, że wspomnienie tej samej kobiety, która wychodziła zza podwójnych drzwi na izbę przyjęć, wydawało się teraz bardzo odległe, jak z zamierzchłej przeszłości. Miała wrażenie, że tamto działo się całe wieki temu. Miała ochotę podzielić się swoimi uwagami na ten temat, ale się powstrzymała. Mary zaczęła płakać; wypuściła pierś, ukazując bezzębne dziąsła i malutki drżący języczek, ale jej płacz robił się coraz głośniejszy. Była tutaj.

- Hej, maleńka - zawołała Lily.

Próbowała przystawić ją do drugiej piersi, ale usteczka nie umiały się podporządkować, nie chciały jej złapać.

- Ależ ona jest śliczna - zauważyła położna Ann.

Lily popatrzyła na nią i przypomniała sobie o Sheri i jej rodzinie.

- Czy jest ktoś... - zaczęła, ale pielęgniarka poszła już do następnego przedziału. Inna pielęgniarka, której Lily wcześniej nie widziała, przyszła i zabrała dokądś Mary. Przez chwilę Lily wydało się, że wszyscy ją opuścili, toteż zaczęła cichutko popłakiwać, rozmyślając mimo woli o Tylerze i Dominiku, o Buddym Galatierze, i o różnych komplikacjach życiowych, do których teraz musiała powrócić, i to z dzieckiem wymagającym jej opieki.

Wkrótce pojawiła się Ann, żeby przewieźć ją do osobnej sali. Znowu Lily ujrzała długie korytarze i przejechała przez podwójne drzwi, otwierające się automatycznie. I przez całą tę drogę, obserwując suwające się po jednej stronie drzwi, myślała z radością: Już po wszystkim, po wszystkim! Już mam to za sobą!

Na zewnątrz oddziału szpitalnego czekała Sheri i był tam także Tyler, siedział na plastikowym krześle z łokciami opartymi na kolanach i zaciśniętymi dłońmi. Na jej widok zerwał się na równe nogi i nerwowym ruchem przesunął ręką po włosach.

- Widziałeś ją już? - zapytała go.

- Jeszcze nie.

- No to idź i zobacz.

- Zaraz pójde.

- Cztery i pół kilograma - poinformowała go pielęgniarka. - Super!

W salce Lily się położyła, podparła poduszkami i spojrzała na Tylera.

- A gdzie są Nick i Millicent?

- Na dole w kafejce.

- Zostawię was samych - odezwała się Sheri. Podeszła bliżej, ucałowała Lily w policzek i pogłaskała po ramieniu.

- Pa, skarbie! Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Lily odszukała jej dłoń i uściśnęła.

- Dzięki - powiedziała.

Sheri przyłożyła rękę do czoła w pożegnalnym geście. Po jej policzkach spływały łzy. Rzuciła pośpieszne spojrzenie na swojego przyrodniego brata, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Tyler nie poruszył się z miejsca w nogach łóżka, które zajął od razu po przyjściu. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Było jasne, że nie ma pojęcia, czego się teraz po nim oczekuje.

- Ma na imię Mary - poinformowała go Lily.

- Dobrze, w porządku.

- Przyjdiesz wreszcie tutaj?

Podszedł bliżej, a ona wyciągnęła rękę. Uściśnął ją ostrożnie, jakby obawiał się sprawić jej ból. Potem odsunął się znowu.

- Gdzie byłeś? - spytała.

Przesunął się nieznacznie i podrapał po karku.

- Nigdzie - burknął.

- Bardzo za tobą tęskniłam. Nie odpowiedział.

Sięgnęła i dotknęła przegubu jego dłoni, a potem pozwoliła, żeby jej ręka osunęła się z powrotem na łóżko. W pokoju panowała absolutna cisza, tylko gdzieś z głębi korytarza dobiegał płacz niemowlęcia. Obok ich drzwi przeszły dwie pielęgniarki, a potem sanitariusz popychający łóżko na kółkach, z których jedno piszczało. Echo jego kroków zamarło w oddali.

- Nie mogłem tego zrobić, Lily. Nie mógłbym temu stawić czoła. Przykro mi. Nie zniósłbym tego, że ty innemu mężczyźnie... że rodzisz to... to dziecko... Ja... - Urwał, a po chwili dodał łamiącym się głosem: - Ja bardzo cię kocham.

- Co im powiedziałaś?

Patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc, o kogo pyta.

- Twojej matce. Twojej siostrze. Nickowi. Co im powiedziałaś?

- Nic nie mówiłem. Oni myślą, że jestem przewrażliwiony. No wiesz, że mógłbym mieć kłopoty z żołądkiem... - Teraz nie zdobył się na to, żeby odwzajemnić jej spojrzenie.

- Wyjdź! - powiedziała krótko.

- Co?!

- Proszę, zostaw mnie samą.

- Lily, nie mogę tego zrobić!

- Idź - odparła. - Nie chcę, żebyś tu był. Nie ruszył się z miejsca.

- Bo zacznę wrzeszczeć - dodała.

- Przestań - powiedział. - Zadzwoń do twojej matki. Już jest w drodze. Mam ją odebrać z lotniska o dziewiątej rano.

Odwróciła głowę i zamknęła oczy.

- Jest taka podekscytowana. Kazała mi powiedzieć, że bardzo cię kocha.

- No cóż, to są czyjeś uczucia.

- Już skończ z tym.

- Jestem teraz bardzo zmęczona, Tyler.

- Nawet zadzwoniłem do Dominika. Nie odwracając się, spytała:

- I co mu powiedziałaś?

- Że urodziłaś dziecko.

- I to wszystko?

- Chryste, Lily!

- A on co mówił?

- Och, no wiesz... że są bardzo szczęśliwi z naszego powodu... - Głos mu się załamał.

- Muszę się teraz przespać - oznajmiła.

Poczuła, że się zbliżył. Musnął wargami jej ucho i poszedł. Odczekała jeszcze jakiś czas, zanim zdecydowała się otworzyć oczy, żeby rozejrzeć się po pokoju. Był urządzone w żalonym stylu wszystkich tego typu instytucji: na ścianie obraz ukwieconej łąki, kremowe zasłony w oknie, stolik, lampka, toaletka, odbiornik telewizyjny zawieszony u sufitu na metalowych sztabach. Na ciemnym ekranie zobaczyła odbicie pokoju i swoją postać na łóżku. Na ten widok zrobiło się jej niedobrze i nagle zapragnęła mieć przy sobie dziecko, marzyła wręcz o tym. Być może trochę jeszcze płakała, a potem spłynęło na nią jakieś odrętwienie, jakby roztopiło się tuż pod skórą. Na początku się opierała, przypominając sobie, że coś ją martwiło, że coś było bardzo nie tak. Popatrzyła na zegar wiszący na ścianie i nie mogła odczytać godziny, tak bardzo łyzy zamglili jej spojrzenie. Zmrużyła oczy, czując, jak dwa strumyki spływają jej po policzkach, i zauważyła, że jest parę minut po drugiej w nocy. Dziecko musiało się więc urodzić przed północą. Zamruczała „Mary”, a potem odprężyła się i

ciągle lekko popłakując, odpłynęła w niesamowicie rozkoszny półsen, który zaćmił wszystko, nawet jej smutek.

Od czasu do czasu budziły ją pielęgniarki, wyłącznie po to, żeby zmierzyć ciśnienie i temperaturę. Za każdym razem przychodziła inna; ich działania robiły wrażenie niemalże przypadkowych, jak gdyby Lily nie była człowiekiem, lecz częścią jakiegoś eksperymentu, który nieszczerze je interesował. Przy badaniu Lily się budziła, lecz wszystko zasnuwała taka mgła, a jej zmęczenie było tak wielkie, że zaraz odpływała znowu, a te przebudzenia stały się zaledwie powtarzającym się elementem sennych marzeń.

Tak było do momentu, w którym ocknęła się ze snu o doktorze Braunerze. Spała bardzo głęboko, ale ten sen nie odświeżył jej ani trochę. Cierpiała i bolało ją serce. Chciała znowu kołysać w ramionach swoje dziecko, ale jakaś część duszy wcale sobie tego nie życzyła. Przeciwnie emocje sprawiły, że poczuła się wyczerpana, a wtedy pomyślała o Tylerze, o przyjeździe swojej matki, i o małym domku przy Yellow Leaf Creek. Tyle było do zrobienia, lecz jej brakowało energii albo woli. Znowu zapragnęła wrócić do domu, ale nie do Missisipi, tylko do Wirginii, do domu rodziców, w którym dorastała; i do nich, ale takich, jacy wówczas byli, i gdzie jeśli czegoś pragnęła, wystarczyło tylko poprosić. Leżała z otwartymi oczyma, a godziny upływały, drżała z obawy przed nadejściem świtu i zbliżającym się dniem.

CZEŚĆ 5

Rozdział 19

1

Sierpień 1893

Ciekawe, gdzie jesteś, a raczej, gdzie będziesz, czytając te słowa. Jak z pewnością wiesz w swojej niewyobrażalnej dla mnie przyszłości, w tej części świata, w której teraz żyję, słowo pisane uważa się za coś w rodzaju czarnej magii. Muszę przyznać, iż fakt, że ogóle rozmawiamy, że doszło do komunikacji między nieżyjącą kobietą z czasów królowej Wiktorii a... tobą, kimkolwiek jesteś, gdziekolwiek jesteś i jeśli w ogóle jesteś, zakrawa na prawdziwy cud. Muszę ci wyznać, że patrzę tu na mnie jak na jakieś dziwadło i choć opowieści o trudach i okropieństwach życia w Afryce równikowej, jakich nie szczędzą mi współpasażerowie, nie tylko nie napełniły mnie strachem ani obrzydzeniem, lecz nawet wywołały coś w rodzaju niezdrowej fascynacji, to jednak zdaję sobie sprawę, iż w gruncie rzeczy jest to reakcja obronna mego organizmu, a raczej umysłu, który w ten sposób broni się przed najgorszym. Oczywiście nikt o tym nie wie, tylko ty. Piszę te swoje listy, żywiąc słabą nadzieję, że jakimś cudem przetrwają wystarczająco długo, by w końcu trafić w twoje ręce, a równocześnie zdaję sobie sprawę, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odejdą w niebyt wraz ze mną.

Tak więc żegluję ku brzegom Afryki Zachodniej. Dzięki memu przyjacielowi Guillemardowi otrzymałam misję zbierania okazów ryb i owadów z rzek płynących na tym obszarze. Choć Guillemard nieodmiennie wierzy w moc mego dziedzictwa, to jednak podejrzewam, iż jest przekonany, że widział mnie po raz ostatni. Mam nadzieję, że mu z tego powodu choć trochę smutno. Oczywiście będę pilnie zbierała wszystkie okazy, niemniej znacznie bardziej interesują mnie wszelkie zagadnienia związane z życiem przedstawicieli ludzkiego gatunku na powierzchni tej planety.

Na razie pogoda nie jest łaskawa. Co chwila przechodzą silne deszcze i szkwały, spychające ku wodzie dym z kominów. Nasz statek ma też żagle, z których można korzystać przy łagodniejszych wiatrach. Mało kogo widuję, ponieważ większość czasu spędzamy w kajutach. Ależ ze mnie przedziwna mieszanka rodziców: żądza podróżowania ojca połączona z zamkniętą

naturą matki. Ja widzę to dokładnie na odwrót: to ojciec zamykał się w sobie w towarzystwie innych, matka zaś potrafiła nawiązać nawet najbardziej intymną nić porozumienia. Oczywiście w powszechnej opinii zbyt wiele uwagi przykładła do stanu swojego zdrowia, a niektórzy nawet mieli jej za złe, że w ogóle zaprzętała tym uwagę innych. Ja wiem jednak, że cierpiała naprawdę - być może w twoich odległych czasach będziecie już znali nazwę tych dolegliwości. Codzienne cierpienie pozbawia nas ludzkich cech, mimo to matka znajdowała w sobie dość sił, żeby żartować i gawędzić, zapewne dzięki temu, że była blisko mnie, Charleya, a nawet ojca. Intymność kontaktów międzyludzkich przerażała mego ojca tak samo, jak teraz mnie przeraża. W mojej duszy toczą walkę dwa pragnienia: żeby się ukryć i żeby uciekać, ja zaś coraz bardziej przychyliam się do opinii, że odwagę, na którą musiałam się zdobyć, by pokonać własną naturę i stawić czoło światu, zawdzięczam wcale nie ojcu, lecz właśnie matce.

Pamiętaj o tym, proszę.

Pogoda wciąż jest paskudna. Nawet młoda służąca, z której pomocą Mary okiełznała narowiste pianino, znikła gdzieś we wnętrzu statku. Mary często jada posiłki w towarzystwie kapitana Murraya, ale większość czasu spędza w kajucie na lekturze.

Jak tylko aura staje się łaskawsza, na niebie pojawiają się słońce i wysokie skłębione chmury koloru śniegu, przy kapitańskim stole zaczyna robić się tłoczno. Przychodzą dwaj mężczyźni o steranym wyglądzie, z licznymi zmarszczkami wokół oczu, których Murray przedstawia jako doświadczonych kupców z zachodnioafrykańskiego wybrzeża. Ich znacznie młodszy towarzysz zajmuje się tą profesją dopiero od pięciu lat. Starszy, nazwiskiem Conklin, odbywa już swoją siódmą podróż i spędził w zawodzie prawie dwadzieścia pięć lat.

- Ten tu Deerforth zbliża się do piętnastu.

- Siedemnastu - poprawia go kompan.

- Tak czy inaczej jesteśmy weteranami co się zowie - ciągnie Conklin. - I czymś w rodzaju anomalii. Mam nadzieję, że zna pani to słowo?

Mary odpowiada z ledwo wyczuwalnym zniecierpliwieniem, że owszem, zna.

- Proszę mi wybaczyć, że zapytałem. Kiwa głową z uśmiechem, po czym pyta:

- A może słyszeliście panowie o Jamesie Battym?

- Batty?

- Pewnie chodzi o starego Capa - domyśla się Deerforth.

- I o rosyjskim dżentelmenie nazwiskiem Dołokow - dodaje Mary.

Conklin marszczy czoło, jakby mocno wysiłał pamięć, kiwa głową i mówi:

- Owszem, znamy ich. - Drapie się po głowie. - Myślałem, że Batty wrócił do Anglii?

- Na pewno tam właśnie go poznała - wtrąca się Deerforth.

- Poznałam ich obu na Wyspach Kanaryjskich. W Las Palmas.

Trzeci mężczyzna, o brzmiącym z holenderska lub z niemiecka nazwisku, którego Mary dokładnie nie usłyszała, przypatruje im się w milczeniu.

- Byłbym gotów przysiąc, że Batty umarł na śpiączkę - mówi Deerforth.

- Miewa się całkiem dobrze. W zeszłym roku, kiedy widziałam go po raz ostatni, wybierał się ponownie do Gabonu.

Przy stole siedzi jeszcze kilku innych pasażerów: młody pastor udający się do Afryki na swoją pierwszą w życiu placówkę w Sierra Leone; jego żona, trochę skwaszona, ale w sumie całkiem sympatyczna kobieta o melodyjnym głosie i delikatnych manierach, czuwająca nad mężem jak nad dzieckiem (i rzeczywiście, z zachowania nieco przypomina dziecko); mężczyzna udający się z rządową misją do Fernando Po; kupiec; handlarz solą; rodzina misjonarza mieszkającego już od dłuższego czasu w Sierra Leone.

- Ten Batty jest twardy jak żelazo - mówi Conklin. - Kiedyś stawiał czoło w pojedynkę całej gromadzie Mpongwe, bo chcieli mu odebrać jedwabny szal. Zranili go w nogę i złamali mu rękę, ale przypominało to walkę z biblijnym Jakubem, choć z pewnością trudno uznać ich za anioły. Zdaje się, że zabił co najmniej dwóch.

- Widział pan to? - pyta Mary.

Zerknął na nią spod oka, po czym skupia uwagę na talerzu.

- Byłem niedaleko.

Deerforth parska śmiechem, dołącza do niego któryś z handlarzy, wkrótce śmieją się prawie wszyscy, chociaż większość nie zna przyczyny wesołości. Siedzący u szczytu stołu kapitan Murray pociąga łyk wina z metalowego pucharu i oblizuje usta. Tak widoczne i słyszalne oznaki dobrego humoru wyraźnie poprawiają jego i tak dobre samopoczucie. Mary obserwuje go uważnie, podczas gdy ktoś opowiada o niezliczonych niebezpieczeństwach czyhających w afrykańskim buszu.

- Mój ojciec miał ranczo w Ameryce - przerywa mu kapitan. - Hodował bydło. W Montanie są góry równie wysokie jak Alpy, a wiosna tam najpiękniejsza na świecie.

Conklin pyta młodego pastora nazwiskiem Withers, czy zabrał ze sobą szaty liturgiczne.

- Oczywiście.

- To dobrze. Przydadzą się panu na pogrzeby. Zna pan tekst na pamięć, prawda?

Pan Withers zerka niepewnie to na Conklina, to na pozostałych, podejrzewając zapewne, iż stał się obiektem żartów. Mary przypuszcza, iż nauczyło go tego życie: widocznie nieraz musiał znosić kpiny i docinki. W końcu jednak pastor wychodzi zwycięsko ze starcia z własną podejrzliwością, uśmiecha się i mówi:

- Nie muszę, mam go w mszale.

- Już po tygodniu nie będzie pan potrzebował żadnego mszału. - Następnie Conklin zwraca się do Deerforth: - Na pewno szybko nauczy się wszystkiego na pamięć, prawda?

Deerforth z uśmiechem kiwa głową.

- Najwyżej w ciągu dwóch tygodni.

- Czy wiecie, że tylko raz podczas pory deszczowej nie zapleśniały mi spodnie? - odzywa się Conklin.

- Tak jest - potwierdza Deerforth. - Wystarczy powiesić pranie na dwadzieścia cztery godziny na sznurze, a na pewno coś na nim wyrośnie.

- Czy tam w ogóle człowieka może spotkać coś poza chorobą? - pyta dżentelmen udający się do Fernando Po.

Conklin zastanawia się głęboko. Pozostali obserwują go w napięciu. Wreszcie kapitan Murray odchrząkuje, jakby chciał coś powiedzieć, lecz Conklin jest szybszy:

- Są różne choroby. Mnie dotąd żadna się nie miała, ale są tacy, których dopadła nie zwykła gorączka, ale *kraw kraw*.

Twarz Withersa przybiera barwę popiołu. Pastor odkłada serwetkę na stół i spogląda pytająco na kapitana.

- Przepraszam, a co to takiego *kraw kraw*?

- I nie tylko to - ciągnie Deerforth jakby nigdy nic, po czym zaczyna wyliczać na palcach: - Jest jeszcze świąd portugalski, wrzody, robaki gwinejskie, ospa...

- Tak, tak... - Conklin wzdycha z nostalgią, jakby było mu przykro, że choroby te nie występują na „jego” części wybrzeża, tylko na południowym zachodzie.

- Kiedyś widziałem człowieka dosłownie przyszpilonego do ziemi włóczniami - mówi Deerforth. - Za pozwoleniem, pozbawiono go też jego intymnych narządów. Przykro mi, że muszę o tym mówić, ale bez tego obraz nie byłby pełny, że tak powiem. Sterczało z niego chyba z osiem włóczni. To była sprawka Fangów, nieznanego do tej pory, wyjątkowo krwiożerczego plemienia, które dopiero teraz zaczęło dawać o sobie znać na wybrzeżu. Cywilizacja przyciąga ich z mrocznych głębi kontynentu. Są kanibalami i zdaje się, że

największe upodobanie znajdują właśnie w narządach płciowych. Ten nieszczęśnik albo coś im ukradł, albo tylko go o to podejrzewali. Są zupełnie nieprzewidywalni, szczególnie kiedy poczują się urażeni albo nabiorą apetytu na wasze narządy rozrodcze, choć w gruncie rzeczy nie potrzebują żadnego pretekstu do ataku. I oczywiście pełno wśród nich czarowników. W ogóle na świecie roi się od czarowników i złych duchów.

- Chętnie dowiedziałabym się więcej na ten temat - wtrąca Mary.

- Na temat czarów?

- Na temat afrykańskich wierzeń.

- Naucz panią, spokojna głowa. Wsadzą panią do garnka i ugotują na wolnym ogniu.

Conklin toczy dokoła chytrym spojrzeniem i nie zważając na wysiłki kapitana Murraya próbującego skierować rozmowę na znacznie przyjemniejszy temat hodowli bydła w Ameryce, zaczyna opowiadać o owadach:

- Kiedy zaatakują, nie sposób się przed nimi bronić. Pozostaje tylko ucieczka. Jeśli postanowią zająć twoje posłanie, nie masz innego wyjścia, jak się przenieść w inne miejsce, ale nie wolno ci zabrać niczego z sobą, bo w ten sposób nigdy się od nich nie uwolnisz.

Deerforth demonstruje bliznę biegnącą przez lewą dłoń od nasady palców aż po nadgarstek.

- To sprawka pewnego żuka. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem.

- Pewien gatunek czerwonych mrówek potrafi w ciągu minuty obrać człowieka z mięsa do kości - informuje zebranych Conklin, z kolei Deerforth wskazuje mężczyznę o brzmącym trochę z niemiecka i trochę z holenderska nazwisku i mówi:

- Ten człowiek kiedyś mało nie stracił głowy.

Wszyscy spoglądają w tę samą stronę, jedna z kobiet nawet podnosi się z krzesła, żeby lepiej widzieć. Mężczyzna o niemiecko-holenderskim nazwisku jest potężnie zbudowany, ma nadgarstki grubości ramion kapitana Murraya, ogromne ręce, masywną pierś, gruby kark oraz niespotykane wielką głowę ze strzechą kruczoczarnych włosów. W okrągłej twarzy przede wszystkim rzucają się w oczy pucołowate policzki i krzaczaste brwi. Usta są opuchnięte, dolna warga lekko obwisła. Mężczyzna prawie się nie odzywa. Jest w nim coś... prehistorycznego. Nawet teraz, choć doskonale zdaje sobie sprawę, że Deerforth mówi właśnie o nim, w ogóle nie reaguje.

Conklin obrzuca zebranych szybkim spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, że wszyscy patrzą na niego, po czym kiwa głową i mówi, patrząc na Mary:

- Gromada Fangów upatrzyła sobie Kurschstlera na ofiarę. Pewnie doszli do wniosku, że z jego głowy będzie ładne trofeum albo że dzięki niej zyskają jakąś magiczną moc.

- Zranili go w nogi, żeby nie uszkodzić zdobyczy - wpada mu w słowo Deerforth.

- A on się z nimi rozprawił.

Kurschstler zerka na kapitana, a następnie znów koncentruje uwagę na swoim talerzu.

- Czy on w ogóle mówi? - pyta Withers.

- Jest raczej milczkiem, chyba że się go zirytuje - odpowiada Conklin.

- Ale lepiej tego nie robić - radzi Deerforth.

- Co może go zirytować? - pyta Mary.

Deerforth rozgniała orzech, zastanawia się przez chwilę, po czym mówi:

- Myślę, że na przykład próba odebrania mu głowy. A tobie jak się wydaje, Conklin?

- Tak, nawet na pewno - odpowiada ten ze śmiechem. - Przynajmniej wtedy bardzo go to zirytowało.

Pozostali nie śmieją się, tylko w milczeniu obserwują ogromnego mężczyznę, który je jakby nigdy nic, powoli, bez pośpiechu, nie odrywając wzroku od talerza.

2

W Las Palmas niektórzy pasażerowie żegnają się z Mary, przekonani, że na dobre schodzi tu na ląd, ona jednak opuszcza pokład tylko na kilka godzin w nadziei, że spotka Marca. W Kwaterze Anglików natyka się na Dołokowa, który siedzi w fotelu i pali fajkę. W pierwszej chwili wydaje jej się, że Dołokow wygląda lepiej niż ostatnio, ale kiedy ten wstaje na jej powitanie i zdejmuje kapelusz, Mary przekonuje się, że jest porządnie pijany. Z bliska widać, jak bardzo przekrwione ma oczy.

- Witam - mówi Mary. - Pamięta mnie pan?

Dołokow mruży oczy i przygląda się jej z namysłem. Wreszcie kiwa głową, ale bez przekonania. Mary pyta go, czy wie, gdzie jest Marco.

- Nie, panienko.

- A czy Batty wrócił na wybrzeże?

- O tak, panienko. Wrócił, a jakże.

Zagląda nad jego ramieniem do holu. Pod rozłożystą palmą, odwrócony do niej plecami, stoi wysoki mężczyzna o śniadej cerze. W chwili kiedy uświadamia sobie, że to może być

Marco, zdaje sobie również sprawę z tego, że wcale nie chce go widzieć. Dyga przed Rosjani-Rosjaninem, który niemal zamiata przed nią kapeluszem posadzkę, po czym odwraca się i rusza z powrotem w kierunku portu. Dołokow dogania ją po chwili pijackim truchtem.

- Odprowadzę panienkę.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Ala ja panią pamiętam, panno Kingsley.

Zatrzymuje się, osłania oczy dłonią przed natarczywym blaskiem słońca i przygląda mu się uważnie. Bije od niego mocna woń alkoholu. Stoi, chwiejąc się lekko i wpatrując się w nią niemal błagalnym spojrzeniem.

- Cieszę się.

- Niewiele już mi zostało życia. Właśnie się dowiedziałem. Wątroba.

Mary nie bardzo wie, co odpowiedzieć.

- Czy zlituje się pani nade mną? Nie proszę o wiele. - Wyciąga z kieszeni niewielki pakiecik listów związanych granatową wstążką. - W Soho mieszka moja przyjaciółka...

- Ale ja nie jadę do Londynu - przerywa mu Mary. - Kto wie, może już nigdy tam nie wrócę.

On mimo to wpycha jej listy w dłoń, a drugą ręką zaciska na nich jej palce.

- Proszę, niech je pani jej odda.

- Nie jadę do Londynu, panie Dołokow.

- Błagam panią, na litość boską!

Wpatruje się w jego żółte, przekrwione oczy, w końcu powoli kiwa głową i chowa pakiecik do torebki.

- Może minąć wiele miesięcy. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

Teraz on kiwa głową z taką miną, jakby miał się rozplakać. Ma wilgotne oczy, usta drżą mu ledwo dostrzegalnie.

- Cieszę się, że panią widzę - mówi łamiącym się głosem.

- Ja też się cieszę.

- Nie przeczyta ich pani?

- Nie.

- Nic by się nie stało, gdyby je pani przeczytała. I tak Bóg wszystko rozsądzi.

- Dostarczę je nienaruszone - zapewnia go.

Dołokow kiwa głową na znak, że zrozumiał, po czym mówi:

- To i tak bez znaczenia. Utraciłem ją, to pewne. Odwraca się i rusza w kierunku Kwatery.

- Chwileczkę! - woła za nim Mary. Zatrzymuje się, patrzy na nią.

- Czy zna pan Conklina?

Jego spojrzenie jest tak samo puste jak przedtem.

- Deerfortha? Kurschtlera? Żadnej reakcji.

- Do widzenia - mówi Mary.

- Do widzenia.

3

Kiedy *Lagos* opuszcza Wyspy Kanaryjskie, Mary stoi na pokładzie, odprowadzając wzrokiem łód niknący na północy za horyzontem. Doskonale zdaje sobie sprawę z niezwykłości chwili: statek płynie przecież na południe, wioząc ją coraz dalej od domu - jeśli w ogóle jeszcze istnieje coś takiego jak dom. Przez pewien czas jest całkiem sama. Fale przetaczają się kolejno niczym szmaragdowe góry, w ślad za statkiem płynie gromada rozbrykanych żółwi wodnych. Sprawiają wrażenie ogromnie zadowolonych z życia.

Mary przechodzi na rufę, żeby je lepiej widzieć, a kiedy odpływają, wypatruje ich jeszcze przeszło godzinę. Tuż obok niej przechodzi Kurschstler z założonymi do tyłu rękami, ale jest tak zapatrzony w morze, że chyba w ogóle jej nie dostrzega.

Kiedy jednak nadchodzi pora kolacji i Mary zajmuje miejsce przy stole kapitana Murraya, niemal wszyscy na nią patrzą. Posiłek przebiega prawie w całkowitej ciszy. Nawet Conklin i Deerforth mało co się odzywają. Można by odnieść wrażenie, że po początkowym zainteresowaniu jej osobą teraz wszystkim zaczęło zależeć na tym, żeby broń Boże nie spojrzeć jej w oczy. Wreszcie Deerforth odchrząkuje i mówi:

- Sądziliśmy, że płynie pani tylko na Wyspy Kanaryjskie...

- Nie, wybieram się aż do Sierra Leone.

Kapitan Murray obserwuje ją spod oka, krojąc soloną szynkę na małe kawałki. Pozostali wymieniają ukradkowe spojrzenia, po czym wracają do posiłku. Ponownie zapada milczenie, jakby wszyscy potrzebowali czasu, żeby oswoić się z tą informacją. Nieco później Conklin opowiada pokrótce o porze deszczowej w tropikach i o ogromnej górze w Kamerunie, na którą zawsze pragnął się wspiąć, by podziwiać wspaniałą widok na wybrzeże i ocean.

- U podnóża panuje niesłychany upał, a w tym samym czasie wierzchołek wieńczy korona ze śniegu.

- A czasem całe to cholerstwo chowa się za chmurami.

Kapitan Murray piorunuje go wzrokiem. Również spojrzenia pozostałych trudno uznać za przychylnie.

- Powiedziałem tylko, że czasem chmury zasłaniają widok, i tyle.

Potem już nikt się nie odzywa. Mary domyśla się, że ma to związek z jej osobą, ale jest zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Zaraz po kolacji wraca do kajuty, żeby poczytać. Wieczór jest spokojny i chłodny. Kiedy zapada noc, Mary wychodzi na pokład i podziwia fale przetaczające się w blasku księżyca. Znowu ma problemy z zaśnięciem.

Nazajutrz rano kapitan Murray wzywa wszystkich na pokład na niedzielne nabożeństwo. Withersa zmogła morska choroba, toteż jeden z marynarzy, chłopak nazwiskiem Quilby, czyta z Biblii. Jąka się i zacina, a zgromadzeni słuchają go cierpliwie, rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku Mary.

- Czy zechciałaby pani pokierować modlitwą? - pyta niespodziewanie kapitan Murray.

- Słucham?

- Czy zechciałaby pani pokierować modlitwą?

- Nie, dziękuję.

Wszyscy, pasażerowie i załoga, gapią się na nią tak, jakby w tej oto chwili spadła z jasnego nieba. Już nawet nie starają się ukryć ciekawości.

Mary wraca do kabiny i postanawia nie wychodzić z niej przez cały dzień. Krótco potem rozlega się pukanie do drzwi; uchyliwszy je odrobinę, widzi kapitana Murraya.

- Zdaje się, że sprawiłam wszystkim zawód...

- Zapomniałem ich uprzedzić, że płynie pani dalej. Sądziłem, że wysiądzie pani w Las Palmas.

- Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić, żeby przywrócić im równowagę ducha.

- Przypuszczali... ja zresztą też... że pani podróż ma charakter religijny, że jest pani misjonarką.

- Nie jestem - mówi Mary, patrząc mu prosto w oczy.

Kapitan uśmiecha się pod wąsem, a zaraz potem śmieje się głośno i kręci głową.

- Musieliśmy zabawnie wyglądać dzisiaj rano!

- Szczerze mówiąc, byłam przerażona.

- My też, proszę pani. My też.

Śmieją się oboje, po czym kapitan idzie w swoją stronę, a Mary zamyka za nim drzwi kabiny.

4

Dalsza podróż w dół globusa jest w większości bardzo przyjemna; pogoda dopisuje, po niebie przesuwają się chmury w fantazyjnych kształtach. Mary i dwoje najstarszych dzieci misjonarza zabawiają się wyszukiwaniem podobieństw między spiętrzonymi cumulusami a sylwetkami zwierząt i ludzi. Mary znajduje chmurę bardzo przypominającą widzianą z profilu twarz jej brata, lecz nie mówi o tym nikomu, tylko w zadumie śledzi wzrokiem, jak obłok zmienia się powoli i odpływa ku zachodniej części horyzontu.

Mijają rafę Almadia ze szczątkami przeklętego statku - tak przynajmniej nazywa go Conklin, opowiadając z błyskiem w oku nieszczęsnemu Withersowi mrozącą krew w żyłach historię o ponad setce pasażerów, ofiar katastrofy *Port Douglas*, który rozbił się tutaj przed rokiem. Mary długo odprowadza wzrokiem kikuty masztów sterczące z wody niczym czarne kije.

Kiedy mijają Cape Verde u wybrzeża Senegalu, pogoda się pogarsza; w Afryce Zachodniej panuje pora deszczowa, wszystko spowijają mgły i deszcz. Mgła jest tak gęsta i utrzymuje się tak długo, że przez kilka dni płyną niemal po omacku, z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Od czasu do czasu z mlecznego kłębowiska wynurza się inny statek, by po chwili zniknąć, jakby był tylko złudzeniem albo widmem.

Godziny mijają powoli, załoga i pasażerowie zdają się trwać w przedziwnym zawieszeniu między snem a jawą. Mary bierze lekcje nawigacji, żeglarstwa i uproszczonej, wymieszanej z miejscowymi narzeczeniami odmiany angielskiego zwanej *kru english*. Nocami samotnie przemierza pokład, nie mogąc się nadziwić gęstości mgły. Stojąc przy lewej burcie, nie widzi prawej, a kiedy spojrzy w górę, jej wzrok natychmiast grzęźnie w nieprzeniknionej czerni wypełnionej wilgotnym oparem. Jeżeli wreszcie zdoła zasnąć, śpi głęboko, bez snów. Budzi się, na przekór wszystkiemu, wypoczęta i radosna. Miarowe kołysanie statku działa na nią jak narkotyk; z mieszaniną wyższości i rozbawienia obserwuje całkowicie odmienne reakcje współpasażerów. Opiekuje się chorymi: dwie osoby zapadły na malarię, wiele cierpi na chorobę morską. Niesie im pomoc sprawnie i szybko, korzystając z doświadczenia zebranego

podczas wielu lat spędzonych przy matce. Wydaje jej się, że choć zasypia z takim trudem, to jednak kiedy sen nadchodzi, daje jej tyle nowych sił, że wcale nie musi za nim tęsknić. Zdarza się, iż wędruje po pokładzie aż do chwili, kiedy mgła zaczyna blednąć, a jednolita czerń ustępuje miejsca subtelnie stonowanym odcieniom mlecznej szarości.

Któregoś ranka pod koniec sierpnia mgła wreszcie ustępuje. Mary obserwuje z zapartym tchem, jak nieprzenikniona do tej pory zasłona rozsuwa się, odsłaniając księżyc i roziskrzone gwiazdy, które wydają się jaśniejsze i czystsze niż kiedykolwiek przedtem, jakby nowe. Wschód słońca jest wręcz olśniewający; złocisty blask ślizga się po cofającym się w popłochu froncie chmur, przybiera szybko na sile, syci serca zapowiedzią pięknego dnia.

Mary idzie spać niedługo po świcie. Jakiś czas później budzi ją smród tak potworny, że aż duszący - łapie powietrze szeroko otwartymi ustami, lecz mimo to ma wrażenie, że za chwilę skona. Ubiera się i wybiega na pokład, ale tam odór jest jeszcze silniejszy.

- Dzień dobry, panno Kingsley - wita ją drugi oficer, Szkot nazwiskiem Corliss, który pomagał jej w nauce kru english, i przygląda się jej z rozbawieniem.

- Dzień dobry.

- Wie pani, co to za zapach? To Afryka. Czuje pani Afrykę.

Mary patrzy na wschód, ale widzi tylko pusty ocean i chmury rozrzucone nad linią horyzontu.

- Nie rozumiem.

Drugi oficer w milczeniu żuje ogryzek cygara, z którym nie rozstaje się ani na chwilę, tak że można odnieść wrażenie, iż jest to wciąż to samo cygaro, ulegające jakiejś zagadkowej regeneracji. Wyraz rozbawienia znika z jego twarzy, zastępuje go powaga, a może nawet niepokój.

- Jest blisko - mówi.

Patrzą oboje bez słowa. W końcu na horyzoncie pojawiają się dwie małe wysepki, a kiedy mija jeszcze trochę czasu, okazuje się, że są ze sobą połączone. To brzeg. Smród, jeśli to możliwe, jeszcze przybiera na sile.

- Co to? Mój Boże...

Corliss wydmuchuje kłęb dymu, odkasłuje, po czym mówi:

- To śmierć.

- Nie przestraszy mnie pan. Widziałam już śmierć.

- Wcale nie chciałem pani przestraszyć, panienko. Akurat tutaj prądy morskie znoszą na wybrzeże mnóstwo wszelakiego śmiecia: martwe ryby, rośliny i zwierzęta, które w ciepłej wodzie gniją tak szybko, że zostaje po nich tylko śluz i smród. A wiatr go roznosi. Słyszała pani o malarii? No właśnie. Mai... aria. Złe powietrze. To właśnie stąd ta nazwa.

Pojawiają się Conklin i Deerforth z chusteczkami przy twarzach. Conklin na chwilę odsuwa chusteczkę i uśmiecha się.

- Dom - mówi.

Mary stoi twarzą do wiatru, wpatrzona w zgniłozielony pas lądu. Sprzyjający wiatr pozwala im żeglować szybko na południe. Zaokrąglone wzgórza ustępują miejsca skalistym klifom, a po tych znowu pojawiają się łagodne pagórki. Mary dostrzega też drzewa, przynajmniej barwy zdające się świadczyć o ich obecności. Conklin i Deerforth rozmawiają z Corlissem o wodospadach na rzece Ogooué.

- Nie ma na świecie nic równie pięknego i zarazem niebezpiecznego - twierdzi Deerforth.

- Moim zdaniem trzęsawiska u ujścia Gabonu są jeszcze groźniejsze - odpowiada Conklin. - Bóg jeden wie, ile nieszczęsnych dusz, czarnych i białych, przepadło tam bez śladu. To paskudztwo pożera ludzi, jakby było żywe. - Pochyliła się do przodu, żeby spojrzeć Mary w twarz, i kontynuuje z uśmiechem: - Kobieta w spódnicy, no, no... Bagno będzie miało za co chwytąć.

- Postaram się nie dać mu okazji - odpowiada Mary i również się uśmiecha.

Corliss gwałtownym ruchem wyrzuca cygaro za burtę.

- Głupio pani robi, że tam pani jedzie. Ten kontynent zabija. Panią też zabije.

Bardzo długo nikt nie odzywa się ani słowem.

- Kiedyś bagno mało mnie nie wciągnęło - przerywa ciszę Conklin. - Najpierw niby nic, proszę was, słabiotko, a potem jak nie szarpnie, i już nie chciało puścić. Gdyby nie to, że zdołałem mocno chwycić się łodzi i że pomogli mi dwaj krajowcy, byłoby już po mnie.

- Bardzo jestem ciekaw, co pani właściwie chce osiągnąć - zwraca się Corliss do Mary.

- Daj jej pan spokój - mówi Conklin, lecz Corliss go ignoruje, nie odrywając wzroku od Mary.

- Czekam na pani odpowiedź.

- Będę poszukiwała interesujących okazów. Dysponuję wystarczającymi środkami, żeby to robić. Pańskie zadanie polega na tym, żeby dowieźć mnie na miejsce. Jestem panu

niezmiernie zobowiązana za lekcje języka, ale to nie oznacza, że muszę się stosować do pańskich rad.

- Głupio pani postępuje - odpowiada Corliss, wkładając do ust świeże cygaro, przycięte w połowie i niczym nieróżniące się od poprzedniego. - A Murray jest głupcem, że pani pomaga. W drodze powrotnej będziemy panią wieźć w drewnianej skrzyni.

Zapala cygaro i wydmuchuje kłęb dymu, wciąż świdrując ją spojrzeniem.

- Łajdak! - rzuca Mary, wstaje od stołu i zmierza do swojej kajuty. Za plecami słyszy pełen uznania śmiech Conklina.

- Ja też tak uważam! - woła za nią.

Mary odnosi wrażenie, że w maleńkim pomieszczeniu z twardą koją, stolikiem i sfatygowaną lampą brakuje dla niej powietrza. Smród ciągnący od lądu zagnieździł się tu na dobre, dusi ją i dławi. Siada na łóżku, rozmyśla o śmierci. Przed oczami ma niewyraźne zarysy swoich kolan ukrytych pod czarną suknią; mija trochę czasu, zanim sobie uświadamia, że się trzęsą. Cała dygocze, być może w gorączce.

Jest już tutaj. Dotarła tak daleko. Afryka znajduje się na wyciągnięcie ręki, ziejąca odrażającym smrodem. Jak to możliwe, żeby jakikolwiek ląd cuchnął aż tak bardzo? Czy to możliwe, że to tylko Corliss i reszta starają się ją nastraszyć? Czy to możliwe, że sam statek jest przesiąknięty strachem?

Wstaje. Nie, ci ludzie naprawdę się o nią troszczą, a Corlissa rzeczywiście niepokoi, co się z nią stanie. Na myśl o tym ogarnia ją fala wściekłości wymieszanej z wdzięcznością; owszem, troszczą się o nią, ale wciąż nie traktują jej jak równej sobie.

Do tej pory uważała, że jej miejsce w świecie determinuje jej płeć oraz obowiązki wobec rodziców i brata. A jednak w niezbyt przecież długim życiu zdążyła już odbyć tę długą podróż, będącą w gruncie rzeczy egzotyczną ucieczką z małego mieszkania przy Addison Road, wypełnionego skrzyniami z korespondencją i książkami. Uświadamia sobie w tej ciasnej, cuchnącej kajucie, że musi głośno i otwarcie wyrażać poglądy na temat miejsca kobiet w społeczeństwie, że powinna na każdym kroku podkreślać fakt bycia kobietą, jeśli zależy jej na współpracy i pomocy zarówno misjonarzy, jak i marynarzy i kupców. Powinno stać się to dla niej czymś w rodzaju wyznania wiary.

Wraca na pokład w samą porę, by ujrzeć czarną ścianę chmur nadciągającą od wschodu. U podstawy sięgającej połowy nieba mrocznej zasłony prześwieca zielonkawy poblask i panuje upiorny spokój. Powierzchnia morza jest gładka jak lustro, cuchnące powietrze zamarło w

bezruchu. Conklin, Deerforth, Withers, Corliss i kapitan Murray również podziwiają widowidowisko. U podnóża chmur od czasu do czasu przeskakują błyskawice.

- Tornado - mówi Conklin. - Proszę patrzeć.

Mary patrzy. Chmury jeszcze przez chwilę zdają się trwać nieruchomo, a potem, jak spięte ostrogą, ruszają gwałtownie w ich kierunku. Z podstawy wysuwa się gigantyczny ruchliwy palec, zielony ocean podnosi się i łączy z zielonkawą podstawą chmur, tworzy się najpierw jedna, a potem kilka ogromnych spirali płasających chwiejnie po oceanie w blasku coraz częstszych błyskawic. Jedna z tych spirali pędzi ku nim, siekąc poziomym deszczem, odtacza się na zachód w łoskocie fal, grzmotów i gradu. Jeszcze chwila i wraca nienaturalny spokój wypełniony lekką mgiełką i znajomym smrodem. *Lagos* musi zwolnić, ponieważ głębokość wody nie przekracza pięciu metrów i istnieje realne niebezpieczeństwo natrafienia na skały. Wszyscy na pokładzie są przemoczeni do suchej nitki. Marynarze wylewają czerpakami wodę; Mary pomaga im, nikt nie protestuje, zupełnie jakby była jedną z nich. Widują ją tak często, że stała się częścią ich życia.

Mgła gęstnieje. Od strony rufy nadchodzi kapitan Murray, wyłania się z oparu jak duch, klaszcze w dłonie i mówi:

- Rzucamy kotwicę. Sierra Leone jest bardzo blisko, ale równie blisko jest Skała Carpentera. Nie chcę, żebyśmy skończyli jak *Port Douglas* albo jakaś inna nieszczęsna jednostka. Co prawda na Skale jest latarnia morska, ale nie można na nią za bardzo liczyć, jeśli wiecie, co mam na myśli. Dobijemy do brzegu, gdy tylko mgła ustąpi. Panno Kingsley, z pewnością jest pani bardzo zmęczona. Zdaje się, że całą noc spędziła pani na pokładzie.

- To prawda.

- No cóż, powinna pani być gotowa na czekające ją niewygody. Nic więcej nie powiem na ten temat, ale mój drugi oficer jest mocno zatroskany.

- Proszę w moim imieniu podziękować mu za troskę.

- Jeśli mu wierzyć, raczej nie oczekuje pani niczyjej troski.

- W takim razie proszę go przeprosić.

Kapitan Murray z uśmiechem kiwa głową, po czym na powrót znika we mgle. Pozostali wciąż się na nią gapią.

- O co chodzi?

Jak na komendę wracają do pracy. Godzinę później wszyscy, z wyjątkiem Mary, wracają do kajut. Mary samotnie przechadza się po wilgotnych deskach pokładu. Pojawia się Corliss. Mija sporo czasu, zanim decyduje się do niej odezwać.

- Proszę mi wybaczyć.
- Nie bardzo wiem, co miałabym panu wybaczać.
- W takim razie ja wybaczam pani, skoro pani o to prosiła.
- Dziękuję.

Oficer odwraca się na pięcie i odchodzi. Chwilę potem rozlega się odgłos zatraskiwanych drzwi jego kajuty. Mary nagle czuje się bardzo samotna i również wraca do kabiny, gdzie rozmyśla o tym, że już nazajutrz postawi wreszcie stopę na afrykańskiej ziemi.

To dla niej długa noc. Sen nie przynosi ukojenia, jest tak płytki i niespokojny, że bardziej przypomina halucynację. Mary budzi się co chwila, jest zbyt podekscytowana, żeby zasnąć na dłużej. O świcie ubiera się i wychodzi na pokład, żeby sprawdzić, czy mgła się podniosła. Tak się stało, powietrze jest przejrzyste jak nigdy do tej pory. Za zielonymi górami Sierra Leone wstaje słońce, port Freetown wygląda tak, jak sobie wyobrażała przed laty, czytając stuletnią książkę Charlesa Johnsona *Historie napadów i mordów przez prawdziwych piratów popełnianych*. Nadchodzi kapitan Murray z fajką w ustach i słomkowym kapeluszu na głowie.

- Tutaj właśnie osiedlali się wyzwoleni niewolnicy - mówi. - Przypływali z Indii Zachodnich, z Kanady, dostarczaliśmy ich z zatrzymanych statków niewolniczych. Do dzisiaj mieszkają tu ich dzieci.

- Wiem - odpowiada Mary. - Kreole.

Murray kiwa głową, ssąc wygasłą fajkę. Mruży oczy z rozbawieniem.

- Co pana wprawia w tak doskonały humor?
- Młoda damo, dzięki pani znowu jestem dumny z Anglików.

Taka otwartość jest dla niego czymś zupełnie nowym. Widać, że natychmiast zaczyna żałować swoich słów, dlatego Mary kieruje rozmowę na sprawy bardziej praktyczne:

- Kiedy możemy zejść na brzeg?
- Choćby zaraz - odpowiada kapitan, uderzając fajką w dłoń.

Płyną do brzegu małą szalupą z dwoma marynarzami przy wiosłach. Morze jest gładkie i spokojne, niebo zaś bardziej błękitne, niż wydawałoby się możliwe. Mary czuje pulsowanie krwi na szyi i twarzy, oddycha płytko i szybko.

- Muszę przyznać - powiada kapitan Murray - że z autentycznym przerażeniem myślałem o tym, iż będę musiał zawieźć jedyną kobietę na pokładzie aż tak daleko na południe.

Mary kwituje jego wyznanie skinieniem głowy, on jednak zbiera siły i dodaje:

- Nie sprawiło mi to ani odrobiny przykrości. I na pewno szybko pani nie zapomnę.

- Ani ja pana.

Freetown wygląda jak chaotyczne skupisko walących się ruder częściowo skrytych w płątanie niebywale bujnej, kwiecistej roślinności. Domy o ścianach wyblakłych od wiatru i słońca tłoczą się pod czymś w rodzaju niemal jednolitego gigantycznego dachu z blachy falistej. Wiele drzwi wisi na jednym zawiasie, mnóstwo okien niemal wypada z futryn, progi i schodki się zarywiają, a wszystko to znajduje się tak blisko siebie, że na pierwszy rzut oka tworzy całość. Nawet na głównej ulicy, pełnej dziur i pokrytej łajnem, Mary ma problemy z odróżnieniem poszczególnych domów. Trudno sobie wyobrazić większą nędzę, ale mimo to ulica wygląda niemal odświętnie, wypełnia ją tłum ludzi najrozmaitszych ras i kolorów skóry, czarnych i białych, ubranych we wszystkie kolory tęczy. Daleko nad dachami wznoszą się zielone góry, blednące w oddali do delikatnego błękitu. Powietrze jest zaskakująco czyste, przesycone wonią kwiatów i owoców, a także mięsa. Mary stwierdza z zachwytem, że to dzień targowy. Miasto aż kipi: stragany stoją na ulicach, zarówno bocznych, jak i głównej. Mary chłonie wzrokiem oszalałającą obfitość towarów: niezliczone warzywa o egzotycznych kształtach, których nawet nie potrafi nazwać, dzikie sałaty, żółte pomarańcze, najróżniejsze gatunki pomidorów, paciorki nanizane na sznurki i luzem, orzechy i orzeszki, wełna, dynie, gruszki, ananasy, małpie skóry, ślimaki, poroża antylop, żelazne narzędzia. Czarne jak heban kobiety za ladami mają na sobie stroje z drukowanego jedwabiu w papuzich kolorach i różnobarwne paciorki w ciasno splecionych włosach. Mijają ją kobiety i mężczyźni, niektórzy skąpo przyodziani, z rytualnymi bliznami na twarzach i ramionach. Kapitan Murray informuje ją, że ci w długich muzułmańskich szatach to Fulani. Tu i ówdzie pokazują się też Kreole: jeden paraduje w stroju bankiera, w cylindrze, z laseczką i w getrach. Środkiem ulicy idzie obnażona do pasa młoda kobieta i niesie na głowie tacę z wędzonymi rybami; Mary nie może oderwać wzroku od jej kształtnych ramion, pełnych piersi, doskonale gładkiej skóry. Tuż za nią podąża druga, od niechcienia podtrzymując ręką niesioną na głowie małą drewnianą szkatułkę.

W palących promieniach słońca obie kobiety wyglądają jak przepiękne wypolerowane posągi. Po ulicy pęta się również mnóstwo drobiu, kóz i owiec; od czasu do czasu rzuca się na nie z ujadaniem któryś z niezliczonych kundli, nieprawdopodobnie wychudzonych i z obłędem w ślepiach. Ich nieustające skamlenie stanowi tło dla wszystkich pozostałych dźwięków.

Przy pierwszej przecznicy wznosi się katedra św. Jerzego o kamiennych murach gdzieniegdzie poplamionych i niemal czarnych, a w innych miejscach wyblakłych prawie do białości. Na krawędzi dachu siedzi pięć zgarbionych sępów. Ich obrzydliwe czerwone korale zdają się niemal tryskać krwią, podrygując za każdym ruchem łysych głów, śledzących rozwój wydarzeń w dole.

Mary i kapitan przedzierają się przez tętniące życiem, zatłoczone targowisko, przez wymieszane wonie wędzonego mięsa, owoców, kwiatów, przez przebijający się od czasu do czasu nieunikniony w takim miejscu odór rozkładu, w kierunku biura znanego Murrayowi brytyjskiego agenta handlowego. Człowiek ten nazywa się Demby. Budynek, w którym mieści się biuro, znajduje się w fatalnym stanie, lecz Mary odnosi wrażenie, iż wcale nie wynika to z zaniedbania, że zarówno ten dom, jak i całe Freetown stoją w miejscu, gdzie po prostu natura nie dopuszcza do jakiegokolwiek stałości, ponieważ toczy nieustającą walkę o odzyskanie tego skrawka gruntu. Miasto z kolei stara się za wszelką cenę przetrwać, a sam fakt, że w ogóle istnieje, stanowi dowód i zarazem rezultat nadzwyczajnej ludzkiej przemyślności.

Zaraz za drzwiami zaczyna się niewielkie podwórze, po którym spaceruje ogromny struś, mierząc ich impertynenckim spojrzeniem z osiągalnej wyłącznie dla niego wysokości. Jego zakończone potężnymi pazurami łapy wydają na drobnym żwirze odgłos niemal taki sam jak skórzane buty. Z wewnętrznych drzwi prowadzących do budynku wyłania się Demby w koszuli, kamizelce i prążkowanych spodniach. Jest niewysoki, krępy, o zmierzwionych czarnych włosach lekko siwiejących na skroniach i nieco przeredzonych nad czołem, jakby ktoś wytarł mu je tam łyżką. Ma zabawny uśmiech, ponieważ brakuje mu zębów z jednej strony, a ostro zakończony nos wykrzywia mu się uroczo.

- Kapitanie...

Kapitan Murray przedstawia Mary i w skrócie opowiada o jej misji, a raczej, jak to nazywa, o jej „zamiarach”. Demby w żaden sposób nie daje po sobie poznać zaskoczenia.

- Ze zbieraniem okazów nie będzie pani miała najmniejszego problemu. Samych owadów wystarczy pani na wiele lat. Spotyka się tu stworzenia, których my, Europejczycy, nawet nie potrafimy nazwać.

- Interesują mnie też tubylcy i ich praktyki religijne. I fetysze. - Dostrzega kątem oka spojrzenie, jakim mierzy ją kapitan Murray, ale nie zwraca na to uwagi. - Chciałabym wyruszyć w głąb łądu.

I ta informacja nie wywiera na Dembym żadnego wrażenia. Z namysłem kiwa głową, skrobie się po brodzie, przestępuje z nogi na nogę.

- Zastanawiam się nad najlepszym przewodnikiem dla pani. Zwykle bierzemy kogoś z Fulani, ale zrobili się trochę strachliwi. Ostatnio zaczęło się pojawiać więcej ludzi z interioru, są bardzo prymitywni. Słyszała pani o plemieniu zwanym Fan albo Fang?

- Niewiele.

- To kanibale.

- O tym akurat chyba słyszałam.

- Wszystko wskazuje na to, że na co dzień uprawiają ten proceder. Inne plemiona śmiertelnie się ich boją.

- Tak bardzo, że nie znajdzie się nikt, kto podjąłby się poprowadzić mnie w głąb łądu.

- Obawiam się, że to całkiem możliwe.

Przechadzają się po nasłonecznionym dziedzińcu. Upał przybiera na sile, nad niewielkim stawem pośrodku dziedzińca unosi się leciutka mgielka. Struś towarzyszy im w pewnym oddaleniu, ani na chwilę nie spuszczaając ich z oka.

- To znaczy, myślę, że ktoś się zgłosi, pod warunkiem że znajdą się odpowiednie środki.

- Środki nie są nieograniczone - mówi Mary.

- To oczywiste.

- Okrutnie męczy mnie pragnienie w tym upale - wtrąca kapitan Murray.

- Chyba znajdę coś dla ciebie, przyjacielu - odpowiada Demby.

- Taką miałem nadzieję.

Kierują się ku wejściu do biura, cały czas pod bacznym okiem strusia towarzyszącego im jak jeszcze jeden uczestnik spaceru. Kiedy wchodzi do budynku, struś podąża za nimi. Mary stara się trzymać jak najdalej od ogromnego ptaka.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - mówi Demby. - Patrick może chodzić, gdziekolwiek chce.

Kapitan Murray patrzy strusowi prosto w oczy, a ten rewanżuje mu się równie uważnym spojrzeniem, z namysłem przechylając głowę to w lewą, to w prawą stronę.

- Przedziwne uczucie - mówi kapitan. - Czy on się aby nie zastanawia, gdzie mnie udziobać?

- Jest bardzo przyjaźnie nastawiony - zapewnia gospodarz, nalewa whisky do dwóch szklanek, po czym wyjmując z metalowego pudełka kilka kostek lodu. Jedną szklankę podaje kapitanowi, a sam pociąga ze swojej i patrzy na Mary.

- Nie, dziękuję - odpowiada Mary z uśmiechem.

- Powinienem był zapytać przed nalaniem. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Struś przestaje się interesować kapitanem i zwraca głowę podobną do gadziej - z zabawnie sterczącymi niby-włosami - w kierunku Mary. Ona również go obserwuje, korzystając z tego, że mężczyźni są zajęci rozmową. Wielki ptak tak bardzo zbliża swój potężny dziób do jej twarzy, że niemal mogłaby go pocałować. Czuje kwaśną woń jego suchego oddechu. Głowa dwukrotnie przesuwając się w górę i w dół wzdłuż jej ciała, dziób delikatnie muska czarny materiał sukni, po czym struś ponownie spogląda jej w twarz zimnymi, taksującymi oczami. Kiedy do uszu Mary dociera nazwisko Batty, ostrożnie odwraca się od ptaka.

- Przepraszam, panie Demby, ale czy mówił pan o Battym?

- Owszem.

- O Jamesie Bentleyu Battym?

- Myślałem, że ma na imię Henry.

- A więc zna go pan?

- Tak jest. Podobnie jak prawie wszyscy.

- Czy jest teraz we Freetown?

Demby zerka niepewnie na kapitana Murraya, a następnie spogląda z powrotem na Mary.

- Ostatni raz widziałem go jakieś dwa lata temu. To on przywiózł whisky, którą teraz pijemy, panno Kingsley.

- Jest moim przyjacielem. Obaj wytrzeszczają oczy.

- Poznałam go w ubiegłym roku podczas wakacji na Wyspach Kanaryjskich.

Po jakimś czasie Demby kiwa głową i zwraca się do kapitana:

- Z tego, co wiem, wyruszył na północ. Zdaje się, że zamierzał wrócić do Anglii.

- Był tam, ale potem wrócił na wybrzeże. Do tej części świata. Gdzieś tutaj.

Patrząc na ich szeroko otwarte oczy, Mary uświadamia sobie, iż zapewne obaj sądzą w tej chwili, że odkryli prawdziwą przyczynę jej wyprawy i pragnienia jak najszybszego udania

się w głąb łądu: romans. W pierwszym odruchu ma ochotę wyprowadzić ich z błędu, ale natychmiast uświadamia sobie, że wszelkie protesty tylko utwierdzą ich w przekonaniu o słuszności domysłów. Widzi, jak wymieniają znaczące spojrzenia nad szklaneczkami z whisky, i postanawia milczeć. Struś znów podchodzi do niej i przesuwa dziobem po sukni. Mężczyźni rozmawiają tak, jakby byli sami w pokoju. Mary powoli wyciąga rękę, zaciska palce na jednym z piór w ogonie ptaka i szarpie z całej siły. Struś startuje jak pocisk wystrzelony z procy, łopocząc beużytecznymi skrzydłami, i wpada na Demby'ego, który przewraca się z krzykiem, rozlewając whisky. Krzyk jeszcze bardziej płoszy ptaka: struś dwukrotnie uderza potężnym dziobem, trafia Murraya w środek czoła, ten, częściowo ogłuszony, osuwa się na kolana, struś zaś przewraca stół i krzesła i wreszcie wydestaje się na podwórze, wciąż łopocząc skrzydłami.

- Dobry Boże, co mu się stało? - bełkoce Demby. - Nigdy nie przejawiał ani śladu agresji!

Mary spieszy na pomoc kapitanowi, tamuje krwotok chusteczką. Rana nie jest głęboka, to właściwie tylko zadrapanie, ale krwawienie jest obfite.

- Ma pan może jodynę? - pyta Demby'ego.

- Kwas karbolowy.

Otwiera szafkę, w której trzyma bandaże, opatrunki i butelki z alkoholem. Po chwili wraca z dużą ciemną butlą i opakowaniem gazy. Wspólnie opatrują ranę Murraya i sadzają go w fotelu. Kapitan potrząsa głową.

- Co się stało?

Demby wzrusza ramionami i spogląda na podwórze, gdzie wielki ptak przechadza się nerwowo, jakby szukając drogi ucieczki.

- Coś zdenerwowało Patricka.

- Był bardzo zainteresowany moim strojem - mówi Mary. - Może przestraszył się szelestu sukni?

Kapitan Murray jest blady i roztrzęsiony. Demby nalewa mu kolejną porcję whisky, którą ten przełyka jednym haustem.

Natychmiast zaczynają następną kolejkę; tym razem Demby częstuje również Mary, lecz ona odmawia. Wspólnie obserwują ptaka zataczającego kręgi na podwórzu. Struś stopniowo się uspokaja, wreszcie pije ze stawu, a potem nieruchomieje jak posąg, nawet nie porusza głową.

Demby i kapitan Murray rozmawiają o misjonarzach, którzy przeżyli epidemię żółtej febry. Zmarło na nią wielu świeżo nawróconych, na ludzi padł strach, ale obfite ulewy pory

deszczowej splukały z mieszkańców miasta znaczną część obaw i przerażenia. Mary podchodzi do niskiego muru okalającego podwórze i wygląda na ulicę. Natychmiast rzuca jej się w oczy niewysoki Kreol z blizną na czole, ubrany w europejską suknię z długim trenem, z parasolką w ręce. Maszeruje równym krokiem, nie rozglądając się na boki, niczym żołnierz na paradzie. Wkrótce Mary traci go z oczu i spogląda w kierunku biura, gdzie pogrążeni w głębokiej dyskusji Demby i kapitan Murray sączą kolejną porcję whisky. Mary kieruje się do bramy, wychodzi na zatłoczoną ulicę. Tuż obok niej przepycha się otyła, obwieszona biżuterią Europejka, za którą podążają dwaj tubylcy objuczeni jej bagażem. Inny Europejczyk, dżentelmen z bokobrodami i wielkim brzuszyskiem, podróżuje w hamaku niesionym przez czterech uginających się pod ciężarem młodych tragarzy.

Mary skręca w pierwszą przecznicę wypełnioną gorącym cieniem i śmieciami, ale stosunkowo spokojną. Idąc, spogląda na kamienne mury, miejscami wypalone aż do białości, ale miejscami pokryte ciemnymi plamami. Uliczka zwęża się, staje się coraz bardziej kręta. Mary przypomina sobie Paryż; co za ulga, że tutaj w hotelu nie czeka na nią pięćdziesięcioletnia matrona. Na końcu uliczki znajduje się niewielki, kamienny, nasłoneczniony plac. Panuje tu taki upał, że prawie nie ma czym oddychać. Mary wychodzi z cienia, zmierza ku czemuś w rodzaju budki z okienkiem, w którym widać pysk brzydkiego psa. Pies szczyrzy kły, wydaje paskudny, zupełnie nie psi odgłos, a potem, ku jej przerażeniu, wyskakuje przez okienko. Jest ubrany w kolorową męską koszulę, ma niemal ludzkie nogi i bardzo długie ramiona zakończone rękami o długich palcach.

Zwierzę ponownie krzyczy na nią, obnaża potężne kły, a Mary odwraca się i, podtrzymując spódnicę, oddala szybkim krokiem, a po chwili biegnie co sił w nogach, ponieważ odrażający stwór najwyraźniej ruszył za nią w pogoń. Skręca w najbliższy zaułek i chwilę potem grunt nagle usuwa jej się spod nóg. Spada razem z kamieniami, pyłem i śmieciami, ląduje z łomotem na czymś miękkim, między ciemnymi ścianami, wśród zdumionych afrykańskich twarzy.

- Dzie... dzień dobry - udaje jej się wykrztusić z najwyższym trudem.

Ktoś się uśmiecha, ktoś wymienia z kimś rozbawione spojrzenie, ktoś inny mówi:

- Pani dobrze? Być w porządku?

- Nic mi nie jest.

Zgarnia spódnicę na nogi, a oni zaczynają się śmiać, początkowo cicho i nieśmiało, ale zaraz po tym jak się do nich uśmiecha, zaczynają się wręcz pokładać ze śmiechu. To robotnicy,

którzy w suterenie szykowali bawełnę do transportu na statkach. Drewniane sklepienie przegni- przegniło i zawaliło się akurat pod ciężarem Mary. Pomagają jej wstać, otrzepują ją, a ona im na to pozwala, widząc malujące się na ich twarzach troskę i niepokój.

- Fulani? - pyta.

- Temnes - odpowiada jeden z robotników, ale jego sąsiad odsuwa go na bok i mówi:

- Mendes.

- Miło mi poznać. Czy to twoje imię?

- Tak nazywać plemię, pani - odpowiada pierwszy. - My nie mieć imię dla Europa.

- No cóż, ja nazywam się Mary Kingsley i muszę się stąd wydostać.

Jak na komendę podnoszą wzrok na ogromną dziurę ziejącą w suficie. Okazuje się, że zawaleniu uległo nie tylko sklepienie suterenu, lecz także wiodące do niej schody. Wszyscy będą potrzebowali pomocy, by wyjść na ulicę. Wołają tak długo, aż wreszcie przechodnie grupują się nad dziurą, a następnie po krzykach i klótniach zjawia się długi kawał liny okrętowej. Mary upiera się, że wyjedzie z dziury ostatnia. Kiedy pojawia się na ulicy, liczny już tłum wita ją owacją: ludzie mlaskają, cmokają, gwizdzą albo klaszczą, czyniąc to jednak zupełnie inaczej niż Europejczycy. Mary uśmiecha się, kłania, macha ręką, po czym podwija powalane suknie i pospiesznie przepycha się przez tłum. Zależy jej na tym, by jak najprędzej odzyskać anonimowość, choć gdyby ktoś zapytał dlaczego, nie potrafiłaby wyjaśnić.

W którą stronę skrócić? Musi wrócić do kapitana Murraya, bo ten ma jej pomóc w uzyskaniu stosownych zezwoleń na dalszą podróż do Fernando Po i Kamerunu. Wszyscy zdają się podążać w tym samym kierunku, ale kiedy tu zmierzała, szła pod prąd, choć równocześnie byłaby gotowa przysiąc, że nadeszła z prawej strony. Waha się jeszcze przez chwilę, po czym bierze głęboki wdech i ponownie kieruje się pod prąd. Zaledwie dwie przecznice dalej dostrzega znajome wejście na podwórze, a w nim kapitana Murraya z opatrunkiem na czole, rozglądającego się w lewo i w prawo z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy. Niemal biegnie ku niemu, zadowolona, że może wybawić go z kłopotu, on jednak spogląda na nią tak, jakby nie oddaliła się ani na chwilę albo nawet jakby był lekko zniecierpliwiony jej obecnością.

- Lepiej niech pani wejdzie do środka - rzuca ze zniecierpliwieniem, kierując wzrok w górę, nad dachy domów po drugiej stronie ulicy. Mary również patrzy w tę stronę i widzi ciemną chmurę nadciągającą od strony góry. Znowu deszcz, myśli. Dopiero teraz kapitan dłużej przygląda się jej twarzy. - A teraz będzie pani miała okazję przekonać się na własnej skórze, jak szybko tu może się wszystko odmienić.

Murray mówi niewyraźnie, prawie bełkotliwie. To z pewnością efekt działania alkoholu.

- Wiem, jak działa whisky. Mój wuj często po nią sięgał.

- Nie o to chodzi! - Kapitan nie kryje zniecierpliwienia. - O tym mówię!

Wskazuje na wał ciemnych chmur, który zbliża się szybko, choć tu, na dole, nie czuć najłżejszego podmuchu wiatru.

- Burza?

- I to taka, jakiej pani nigdy nie widziała. Ani nikt inny. Nie było takiej od paru pokoleń, a pani zjawiała się w samą porę, żeby ją obejrzeć. Są pewnie tacy, którzy by powiedzieli, że ją pani sprowadziła.

Mary przygląda się uważniej i nagle uświadamia sobie, że chmura składa się z owadów. Te najszybsze już się pojawiają: są duże, głośno brzęczą, mają długie odnóża. To szarańcza, chmara dorównująca wielkością i zasięgiem niedawnemu tornadu. Razem z kapitanem Murrayem wracają do biura, gdzie Demby bezskutecznie próbuje pozamykać okna. Rój dociera nad miasto, niebo robi się czarne. Nieprawdopodobny hałas - ogłuszający łoskot milionów skrzydełek, szelest i szum nabrzmiące do rozmiarów niepohamowanego huku - sprawia, że Mary zaczyna się lękać o swoje zmysły. Obaj mężczyźni aż chwieją się pod naporem hałasu, równie oszołomieni i bezradni jak ona, po czym zataczając się, kierują w stronę drzwi mieszkania Demby'ego. Ona także stara się tam dotrzeć. Szarańcza jest już wszędzie, na sukni i włosach, a kiedy Mary rozpaczliwie wymachuje rękami, owady siadają również na jej ciele. Nie żądają, ale potwornie drażnią skórę swoimi odnóżami, dodatkowo zaś Mary się obawia, że dostaną się do jej ust i gardła i ją uduszą. Strząsa je z twarzy i karku, osuwa się na podłogę przy ścianie, kuli się, naciąga spódnicę na głowę. Ryk nie milknie ani na chwilę. Przypomina jej się burza piaskowa na Gran Canaria; uświadamia sobie, że to również minie, więc po prostu czeka. Ma wrażenie, że mija bardzo dużo czasu, zanim chmara rusza dalej, w stronę morza.

Wszędzie dokoła walają się martwe i umierające owady, kilka żywych łomocze na oślep o ściany i okna. Demby siedzi przy ścianie naprzeciwko z płaszczem na głowie. Wygląda spod niego i uśmiecha się do niej.

- To dopiero przywitanie, prawda?

Mary podnosi się z podłogi, otrzepuje spódnicę, wyrzuca owady zza kołnierza i spod bluzki.

- Już myślałem, że nas załatwiły - dodaje Demby.

Kapitan Murray wyłania się z kryjówki pod stołem tuż obok drzwi do mieszkania agenta, wypłataje martwego owada z włosów i z odrazą rzuca na podłogę.

- Już drugi raz widzę coś takiego. Ohydztwo. Oszaleć można.

- Szczerze mówiąc, obawiałam się, że mnie to spotka. Chyba sprawia mu przyjemność tym szczerym wyznaniem.

Kapitan prostuje się, poprawia ubranie i mówi:

- Na szczęście nic wielkiego się nie stało. Bogu dzięki, że nie mają żadeł.

- W Afryce żądlą prawie wszystkie owady- wyjaśnia Demby. - A przynajmniej trzy czwarte z nich. Reszta kąsa albo potrafi załatwić człowieka w jakiś inny sposób. Szarańcza należy do tej ostatniej kategorii.

- I co, panienko? - pyta kapitan Murray. - Czy nie ma pani jeszcze dość Afryki?

6

Późnym popołudniem wracają na *Lagos*. Mary ma już wszystkie zaświadczenia i dokumenty niezbędne do kontynuowania podróży w głąb lądu. Kapitan Murray milczy z szacunkiem. Szarańcza odleciała, odsłaniając niebo zasnuwane spiętrzonymi wielowarstwowo chmurami, między którymi przeciskają się promienie słońca. Na pokładzie statku czeka już na nich delegacja z Freetown. Conklin i Deerforth zawzięcie dyskutują z czterema policjantami z plemienia Hausa i potężną Murzynką w jaskrawopomarańczowym zawoju, z włosami splecionymi w misterny węzeł na szczycie głowy. Na widok Murraya kobieta spleta ramiona na potężnej piersi i głębokim altem oznajmia z dumą i jednocześnie uraża, że nazywa się William Shakespeare i jest praczką.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem...

- Ja William Shakespeare, praczka! - powtarza kobieta takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Mary występuje naprzód i w *kru english* próbuje ustalić powód wizyty, podejrzewając, że być może chodzi o jakąś delikatną kobiecą sprawę. Czterej policjanci stoją bez ruchu, jakby czekali na rozkaz Shakespeare, w skrytości ducha licząc równocześnie na to, że go nie otrzymają. Wymieniają ukradkowe spojrzenia, podczas gdy kobieta donośnym głosem daje upust swemu gniewowi. Przyszła, żeby zaarrestować drugiego oficera statku, który rok temu odpłynął z Freetown, nie uściwszy rachunku za pranie.

- Chodzi o Corlissa? - mówi Mary, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Tak mi się wydaje - odpowiada kapitan, po czym zaczyna wyjaśniać, że obecny drugi oficer nie jest tym, który przyплыł na *Lagos* w ubiegłym roku. Conklin przyprowadza Corlissa jako żywy dowód prawdziwości słów kapitana. Murray ujmuje go za ramię i pokazuje kobiecie.

- Teraz to jest nasz drugi oficer.

Kobieta przez chwilę przypatruje się Corlissowi, a następnie kolejno mierzy wszystkich twardym spojrzeniem. Mary jest pod wrażeniem jej błyszczących ciemnych oczu i nieulekłej, zagniewanej miny. Kobieta jeszcze raz spogląda na Corlissa, po czym z pogardliwym prychnięciem, jakiego nie powstydziałaby się londyńska dama, odwraca się na pięcie i schodzi po drabince sznurowej do łódki. Dotarłszy tam, woła do policjantów w nieznanym Mary języku, a oni coś jej odpowiadają.

- Zostaną tu, żeby napić się whisky z załogą - wyjaśnia kapitan Murray.

Policjanci przechodzą na drugą burtę, nie zważając na przekleństwa miotane z łodzi przez Shakespeare.

- No cóż - mówi kapitan Murray - dobiega końca pani pierwszy dzień w Afryce. Jakie wrażenia?

- Mam nadzieję, że codziennie będzie się działo tyle co dzisiaj. - Jest jednak wyczerpana i zdaje sobie sprawę z tego, że on o tym wie. Przygląda jej się z rozbawieniem, po czym sięga po fajkę i nabija ją tytoniem. - Zapali pani?

To oczywiście żart. Murray zapala fajkę i z wielkim ukontentowaniem wypuszcza kłąb dymu.

- Lubi pan palić prawie tak samo jak mój ojciec.

- A może jednak by pani chciała? - pyta ponownie, tym razem całkiem serio.

- Ma pan cygara?

Nie odrywając od niej wzroku, odwraca głowę nieco w bok i wzywa Corlissa. Drugi oficer zjawia się natychmiast, wyraźnie uradowany faktem, że to nie jego chciała dostać w swoje ręce William Shakespeare.

- Przynieś z mojej kajuty pudełko cygar. Zapalimy sobie wszyscy.

Corliss zerka z ukosa na Mary, ale odchodzi bez słowa. Czekaając na jego powrót, Mary i kapitan przysłuchują się rozmowie policjantów z marynarzami.

- Nie zapytałem, czy pani też napiłaby się whisky, choć z pewnością na nią sobie pani zasłużyła.

- A w jaki sposób pan sobie zasłużył? - pyta Mary z uśmiechem.

- Dzielnie trwam na stanowisku.

Kiedy oficer wraca z pudełkiem, kapitan otwiera je i częstuje najpierw Corlissa, a potem Mary. Corliss obserwuje z niesmakiem, jak Mary bierze cygaro. Kapitan zamyka pudełko i pykając z fajki, przygląda się im obojgu z taką miną, jakby właśnie powołał ich do życia aktem swojej wyobraźni. Mary zaciąga się płytko, wydmuchuje gwałtownie dym; niewiele brakuje, żeby zanosła się kaszlem, ale jakoś się powstrzymuje. Smak cygara jest znacznie gorszy niż zapach dymu, lecz Mary powstrzymuje się od komentarza. Przez całe dzieciństwo zdążyła się przyzwyczaić do tej woni. Wokół nich kręcą się inni pasażerowie, w tym holenderski kupiec, który zdaje się trochę zmartwiony faktem, że nie poczęstowano go cygarem. Kiedy w końcu kapitan Murray jednak podsuwa mu pudełko, kupiec kręci głową z gorzkim grymasem na twarzy, jakby chciał powiedzieć, że teraz już za późno, po czym odchodzi z wielkimi dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie spodni. Corliss wciąż wpatruje się w Mary z dezaprobatą.

- Mój ojciec dużo palił.

- I pozwalał pani?

- Tego nie powiedziałam.

Oficer odgryza koniuszek swojego cygara, opiera się o reling i spogląda na Freetown. Słońce rozświetla jego rude włosy poprzetykane pasmami siwizny.

- A pani matka? - pyta kapitan.

- Nie, ona nie paliła.

Milczą przez kilka minut. Za ich plecami słońce chyli się ku zachodowi, cień statku wydłuża się coraz bardziej w kierunku portu. Potem Corliss nieśmiało, prawie wstydliwie, pyta o jej dom i rodziców. Mary opowiada o podróżach ojca, o tym, jak często odwiedzała jego bibliotekę, o dorastaniu wśród książek, szczególnie tych podróżniczych. Jest bardziej szczera niż kiedykolwiek do tej pory, bardziej nawet niż wobec Batty'ego. Nie zwierza się, nie odsłania się całkowicie, tylko odkrywa w sobie dar dawania świadectwa. W miarę jak rozwija się jej opowieść, ubarwia ją nieco i rozbudowuje; wspomina, jak przeczytała w gazecie o masakrze nad Little Big Horn zaledwie kilka dni po tym, jak dotarła do niej wiadomość, że ojciec zmierza na spotkanie z generałem Custerem; relacjonuje, jak spowodowała wybuch na podwórzu w Highgate, odtwarza spotkanie z krową w alejce i rozmaite problemy, jakich

nastęczała hodowla kogutów w cichym i spokojnym Bexley Heath. Okrasza to wszystko sporą dawką humoru, toteż obaj mężczyźni co chwila wybuchają śmiechem. Uświadamia sobie, że kontroluje sytuację, że może nimi do woli manipulować. Podoba jej się to uczucie. Kiedy wreszcie milknie, ma ochotę przeprosić za to, że tak długo gadała, że całkowicie zdominowała rozmowę. Nie czyni tego jednak, tylko paląc cygaro, przygląda się uważnie ich twarzom, na których maluje się wyraz podziwu i zachwytu. Corliss gapi się na nią z uśmiechem od ucha do ucha.

- Kto wie, może kiedyś spiszę to wszystko - mówi Mary.

- A ja mam nadzieję, że nie przestanie pani opowiadać - odzywa się kapitan Murray. - Nie pamiętam już, kiedy ostatnio równie miło udało mi się spędzić trochę czasu.

Czy w jego głosie rozbrzmiewa nuta protekcjonalności? Mary uznaje, że nie warto się nad tym zastanawiać, z lekkim ukłonem wyrzuca cygaro do wody, odwraca się i zmierza do kajuty.

- Za chwilę ruszamy! - woła za nią kapitan.

I rzeczywiście: godzinę później - zaraz po tym, jak dwaj marynarze odstawili do portu pijanych w sztok policjantów - *Lagos* wyrusza w dalszą drogę. Mary wciąż czuje w ustach paskudny smak cygara. Dostaje od tego mdłości. Czuje go również rano, kiedy się budzi, ubiera i wychodzi na pokład, by popatrzeć na przesuający się w oddali brzeg. Barwy znikają z nieba, statek ponownie otacza zewsząd mgła, znacznie bardziej wilgotna od tej, którą wcześniej napotkali na swojej drodze.

- Nie mogę się pozbyć smaku cygara z ust - wyznaje Corlissowi.

- Ani ja - odpowiada z uśmiechem. Oczywiście pali kolejne cygaro.

- Dobry z pana człowiek.

Sama jest zaskoczona swoimi słowami. Nie spodziewała się, że powie coś takiego.

- Staram się, jak mogę.

- Nawet nie wiem, jak ma pan na imię.

- David.

Mary kiwa głową. Przez jakiś czas milczą oboje, jakby głęboko zastanawiali się nad tym imieniem, po czym Mary mówi:

- Dziękuję, Davidzie.

Dzień spędza w kajucie, pisząc dziennik oraz listy do przyjaciół, w tym także do kogoś, kogo nigdy nie pozna, z czego zdaje sobie sprawę. Przy wieczornym posiłku, zaraz po

modlitwie odmówionej przez Withersa, tak zasłuchuje się w opowieść kapitana Murraya o tym, jak kiedyś musiał zastrzelić swojego konia w Indianie, że mija sporo czasu, zanim uświadamia sobie, że Kurschstler, ten holenderski kupiec, podsunął jej półmisek z małżami i cierpliwie czeka, aż wreszcie sobie nałoży.

- Proszę mi wybaczyć. Długo pan czeka?

Kurschstler nie odpowiada, tylko wkłada do ust porcję jedzenia i przeżuwa, wpatrując się w swój talerz.

Conklin posyła jej ironiczny uśmiezek, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że to nic nowego. Mary podaje półmisek dalej, po czym siada w taki sposób, żeby przez cały czas widzieć Kurschstlera kątem oka. Rozmowa przy stole dotyczy następnego przystanku w podróży, czyli Liberii. Wielu pasażerów schodzi tam na ląd. Conklin opowiada o gorączce, która zabiła w Bonny jedenastu albo nawet trzynastu białych. To miejscowość nad jedną z „olejowych rzek” - rzek, którymi z głębi lądu transportuje się olej palmowy.

- Paskudna okolica. Stęchła woda i ciągnące się bez końca lasy namorzynowe. Kiedy chowali jednego z misjonarzy, jego pijany sekretarz wpadł do grobu. Nikt tego nie zauważył, więc gdyby w porę nie narobił wrzasku, jak nic pogrzebaliby go żywcem.

Mary widzi, że Corliss przez cały czas ją obserwuje. Z marsem na czole zerka w jego stronę, jakby pytała, o co mu chodzi, a wtedy on nagle kiwa głową. Mary uśmiecha się i robi to samo, po czym dostrzega, że Kurschstler znowu podsuwa jej półmisek, tym razem z ciasteczkami.

- Bardzo panu dziękuję. I przepraszam, że znowu się zagapiłam.

Corliss parska śmiechem, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia wszystkich poza Kurschstlerem, który jakby nigdy nic zajada ciasteczka. Corliss zasłania usta chusteczką i śmieje się coraz głośniej.

- Ciekaw jestem, co pana tak rozbawiło - mówi Withers. Teraz śmieje się także jego żona, chociaż sama od razu przyznaje, że nie ma pojęcia dlaczego.

- Niekiedy Afryka tak właśnie działa na ludzi - wyjaśnia Conklin. - Widywałem to wielokrotnie. Niektórzy w ten sposób reagują na bliskość śmierci.

- Rozumiem.

Corliss śmieje się coraz głośniej, zarażając wesołością kolejne osoby, w tym także kapitana Murraya.

- Rzeczywiście - mówi Mary do Conklina. - To musi być przez bliskość śmierci.

Wrzesień 1893

Piszę te słowa późnym popołudniem, u schyłku pogodnego dnia. Kiedy płynęliśmy na południe wśród nieprzeniknionych mgieł, często myślałam, że gdybyśmy mieli skrzela, znacznie łatwiej oddychałoby się nam w tej atmosferze. Pierwszy raz ujrzałam wybrzeża Afryki takie, jakie były kiedyś, wolne od wpływu Europy czy jakiegokolwiek innego, dzikie i niezmiennie, tak niewzruszone w swoim trwaniu, iż łatwo jest uwierzyć, że tylko ten właśnie świat istniał, istnieje i kiedykolwiek będzie istniał, i że miasta i góry są jedynie wspomnieniami ze snów. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że i tutaj odbywa się cykliczny rytuał dnia i nocy, nic jednak nigdy nie ucisza odgłosów natury ani łoskotu przyboju.

Wyruszałam w tę podróż z przekonaniem, że muszę się mieć na baczności przed handlarzami i kupcami, o których misjonarze zwykle nie mają nic dobrego dopowiedzenia. Okazało się jednak, że nie miałam racji. Doskonale czuję się w towarzystwie ludzi takich jak Conklin, Deerforth i kapitan Murray, czego, niestety, nie mogę powiedzieć o Withersach, i to pomimo uprzejmości pani Withers. Myślę, że to kwestia mojego temperamentu - Bóg świadkiem, że ojciec także nigdy nie mógł wytrzymać z takimi ludźmi. Kupcy są całkowicie godni zaufania, przynajmniej ci tu, na pokładzie. Taki sam był zresztą James Henley Batty.

Dzisiaj dotarliśmy do wybrzeży Liberii. Słyszac łoskot bębnów i wielki zgiełk, wyjrzałam za burtę naszego małego statku i zobaczyłam zbliżające się setki czółen pełne czarnoskórych mężczyzn. Oczywiście tubylcy z wybrzeży znają już Europejczyków, a poza tym, jeśli wierzyć kapitanowi Murrayowi, są pracowitymi i uczciwymi robotnikami, ci jednak sprawiali wrażenie mocno wzburzonych, w związku z czym nie mogłam uwolnić się od uczucia, że to wyprawa wojenna. Odruchowo uczyniłam dwa kroki wstecz i wtedy stwierdziłam, że kapitan Murray, Conklin i Corliss stoją bez ruchu i zupełnie spokojnie obserwują płynące czółna. Uspokoilo mnie to, lecz nie podeszłam z powrotem do burty. Wkrótce łodzie przybiły do statku i wioślarze wdrapali się na pokład w takiej liczbie i z takim hałasem, że wycofałam się do mojej kajuty, gdzie zastałam trzech z nich przetrząsających moją walizę. Kazałam im natychmiast przestać, a wówczas jeden z nich, wysoki chłopiec o inteligentnych i zarazem psotnych oczach, powtórzył: „Przetaaaancze naaaatymast!” - jakby mnie przedrzeźniał. Powtórzyłam rozkaz i dałam gestem do zrozumienia, że nie życzę sobie, by grzebali w moich rzeczach. Patrzyłam na ich nagie uda i pośladki, podziwiałam doskonale zbudowane ramiona i pięknie ukształtowane głowy. Wszyscy

byli bardzo młodzi. Jeden nałożył sobie na głowę moją bieliznę i robił zabawne miny do pozostałych. Wszyscy mówili w *kru english*, ale zbyt szybko, żebym mogła cokolwiek zrozumieć. „Idźcie sobie - powiedziałam głośno i wyraźnie. - Wszyscy, szybko”. Najwyższy ruszył ku mnie z groźną miną, z jedną z moich koronkowych koszulek owiniętą wokół szyi. Wyszczrzył zęby i warknął, żeby mnie przestraszyć, i szczerze mówiąc, trochę mu się udało. Niewiele myśląc, złapałam stojącą w rogu miotłę i uderzyłam z całej siły, kalecząc go w czoło. Przez chwilę gapił się na mnie ze zdumioną miną, po czym cisnął koszulkę na podłogę, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że nie potrzebuje niczego, co należy do takiej przerażającej wiedźmy, a następnie z wysoko uniesionymi rękami i grymasem przerażenia na twarzy umknął na pokład. W ślad za nim podążyli pozostali, rzucając na mnie trochę wystraszone, a trochę zgorszone spojrzenia, jakimi obdarzamy ludzi, którzy w skandaliczny sposób zachowali się w dobrym towarzystwie. Kilku ich towarzyszy otaczało ciasnym kręgiem kapitana Murraya, zawzięcie o czymś dyskutując - to znaczy wyglądało tak na pierwszy rzut oka, bo po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziłam, iż po prostu są pogrążeni w ożywionej rozmowie, najwyraźniej ciesząc się ze swojego towarzystwa.

Wróciłam do kajuty w paskudnym nastroju, wściekła na siebie za to, że nie dorosłam do własnych oczekiwań. Okazało się, że nasi goście zostali na kolacji i kiedy wszyscy zasiedliśmy przy długim prowizorycznym stole zestawionym z kufrów pasażerów, ten, którego uderzyłam szczotką, jakby nigdy nic uśmiechał się do mnie przyjaźnie. W nocy zachowywali się bardzo głośno, pili rozmaite trunki, śpiewali i bębnilo na wszystkim, co dawało donośne odgłosy.

Siedziałam na rufie, za skrzyniami z parafiną, i łowiłam ryby. Niczego nie złowiłam, ale było to bardzo uspokajające. Czulałam się trochę jak nadąsane dziecko aż do chwili, kiedy dołączył do mnie Corliss.

- Najgłośniejszy wybuch śmiechu nastąpił po tym, jak młody wódz opowiedział o wiedźmie, która rąbnęła go miotłą w głowę - oznajmił. - Może to pani traktować całkiem dosłownie, ponieważ Afrykanie nie wierzą w wiedźmy latające na miotłach.

Roześmiał się, a ja razem z nim.

Jestem w Afryce. Już niedługo wyruszę w głąb lądu i udam się ku nikomu nieznanym miejscom.

W pogodny ranek Mary stoi przy relingu i obserwuje linię brzegową. Im bliżej lądu, tym bardziej błękitna staje się woda, aż w końcu ustępuje miejsca olśniewająco białemu piaskowi plaży, za którym wznosi się ciemnozielona ściana lasu, a jeszcze dalej niebieskie niebo z białymi cumulusami. Wszystko to jest skąpane w promieniach słońca. Mijają kolejne kilometry, a ona wciąż patrzy i patrzy na morze, ziemię i niebo. Zmienia się tylko niebo, wciąż ukazują się na nim nowe kształty i barwy. Mijają godziny. Słońce kontynuuje wędrówkę nad światem, oświetla zieloną ścianę lasu pod coraz to innym kątem, nadaje jej ciemniejszy odcień, barwi niebo tuż nad nią na kolor ciemnego wina. Pojawiają się gwiazdy. Mary spędziła prawie cały dzień na pokładzie, obserwując ten spektakl. Nigdy w życiu nie była szczęśliwsza. Dołącza do niej Corliss z nieodłącznym ogryzkiem cygara w ustach. W milczeniu patrzą na przesuwaną się brzeg. Mary ani trochę nie krępuje jego obecność, nie wyczuwa też z jego strony jakichkolwiek oczekiwań. W pewnej chwili w wodzie pojawiają się delfiny, ścigają się ze statkiem i wyskakują ponad fale.

- Mógłbym gapić się na nie godzinami - mówi Corliss.

- Ja też.

Później zatrzymują się w Akrze na Złotym Wybrzeżu. Mary i Corliss płyną szalupą na brzeg. Mijają port i wpływają do zatoczki o wyjątkowo spokojnej powierzchni. Brzegi porastają drzewa namorzynowe, z których zwieszają się liany i kiście dzikich kwiatów. Tutaj, na wodzie, jest całkiem chłodno. Przy wąskim wejściu do laguny z wody wystaje coś podłużnego, wielkiego, w kolorze mułu. Nie porusza się, lecz Mary i tak rozpoznaje krokodyla. Wskazuje go Corlissowi, który kiwa głową i pokazuje jej kolejne.

- Nie przypuszczałam, że są aż tak wielkie...

- Widywałem nawet dwa razy większe - mówi Corliss.

Zatrzymują się w wiosce plemienia Kru i dowiadują się, że nie dalej niż w tym tygodniu jeden z mężczyzn padł ofiarą krokodyli. Tubylcy opowiadają o tym zdarzeniu i odgrywają całą scenę przed Corlissesem, który spogląda na lagunę, jakby się spodziewał, że nieszczęśnik nagle wynurzy się z wody i zacznie wzywać pomocy. Krokodyl chwyta człowieka i pociąga go żywego na dno, a potem przekręca się z grzbietu na brzuch i z powrotem, czekając, aż ofiara utonie. Kru twierdzą, że czyniąc to, płacze, jakby użalał się nad losem ofiary.

Corliss przeprowadza kilka drobnych transakcji, ona zaś przygląda mu się z zaciekawieniem i rozdaje drobiazgi z torebki: grzebyk, tanie bransoletki i mydełko. Wszystko jest przyjmowane z wdzięcznością, ale i godnością, z szerokim uśmiechem, który nie przeszkadza tubylcom bacznie jej się przyglądać.

Jest już wieczór, kiedy opuszczają wioskę i ruszają w kierunku wejścia do laguny. Zapada zmrok, nad wodą pojawia się mgła. Corliss stoi w łódce i odpycha się od dna długą tyką. Zewsząd otacza ich gwar i harmider zwierzęcych i ptasich głosów, co jakiś czas coś pluska w wodzie. Pamiętając o krokodylach, Mary rozgląda się pilnie dookoła. Wkrótce mgła gęstnieje tak bardzo, że trudno określić kierunek, w jakim się poruszają. Corliss nieruchomieje i nasłuchuje. Słysząc skrzeczenie dobiegające z mangrowców, krzyki ptaków, bzyczenie owadów, plusk wody omywającej burty łodzi, parsknięcia jakiegoś dużego zwierzęcia. Po minucie lub dwóch Corliss ponownie wprawia łódź w ruch.

Nabierają prędkości, lecz nagle rozlega się łoskot i Corliss wali się bezwładnie na dno łodzi, częściowo lądując na kolanach Mary, a jego lewa ręka wykonuje dziwne, gwałtowne ruchy. Mary odpycha go odruchowo, gotowa dać odpór jego zapędowi, ale kiedy spogląda na jego twarz, z jej ust wrywa się okrzyk przerażenia, ponieważ widzi krew, mnóstwo krwi. Corliss uderzył w coś głową albo coś go uderzyło. Mary odruchowo ogląda się przez ramię i widzi znikającą we mgle i mroku, zwisającą nad wodą gałąź mangrowca. - Davidzie? Davidzie?!

Brak odpowiedzi. Prąd niesie łódkę w kierunku morza. Mary dotyka twarzy Corlissa i czuje, że krew przesiąkła przez jej sukienkę. Jest już niemal całkiem ciemno. Krew spływa jej do pończoch, owady siadają na twarzy i karku, a także na głowie nieprzytomnego mężczyzny. Spośród splątanych gałęzi i korzeni drzew dobiegają krzykliwe, niepokojące odgłosy, w wodzie roi się od krokodyli. Corliss oddycha, lecz Mary zaczyna podejrzewać, że jego rana może okazać się bardzo poważna. Tyle krwi... Czy to możliwe, żeby człowiek stracił aż tyle krwi i przeżył? On jednak wciąż oddycha, choć leży bez najmniejszego ruchu, z na wpół otwartymi oczami. Wygląda jak nieżywy. Mary dotyka palcami jego ust, czuje słaby, nierówny oddech. Mijają minuty, ale jej wydaje się, że wpadła w bezdenną, czarną otchłań czasu, że nigdy nie wydobędzie się z tej zatoczki okolonej lasem zamieszkanym przez niewyobrażalne potwory. Łódka uderza w coś delikatnie, zwalnia, szoruje dnem po mieliźnie, zatrzymuje się. Poziom wody opadł. Muł, w którym ugrzęźli, straszliwie cuchnie, jego odór miesza się z wonią krwi. Łódka utkwiała na dobre pośrodku rzeki.

Sięga pamięcią do lektur, przywołuje na pomoc wszystko, czego się nauczyła, żeby nie wpaść w panikę. Trzyma na kolanach zakrwawioną głowę Corlissa, godziny rozciągają się do rozmiarów całych epok. Doświadcza niewygód, jakich nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić - łapią ją skurcze, swędzi skóra, po plecach powoli, jak na torturach, ścieka strużka potu. Od czasu do czasu sprawdza, co z Corlissem, ale jego stan nie ulega zmianie: płytki oddech, szkliste spojrzenie nieruchomych oczu spod na wpół przymkniętych powiek.

Stopniowo - ale i tak znacznie szybciej, niżby sobie życzyła - do jej zmysłów docierają sygnały świadczące o tym, że w otaczającej ją ciemności coś się porusza. Mary wyraźnie słyszy delikatne stąpienia wielkich łap, szelest ogromnego cielska sunącego po śliskim mule. Wyteża wzrok, choć wie, że to nic nie da, rozpaczliwie pragnie, żeby to coś ją ominęło, lecz równocześnie zdaje sobie sprawę z porażającą pewnością, że idzie prosto na nią. Wreszcie z ciemności wyłania się łeb krokodyla zmierzającego w kierunku łodzi.

- Corliss! - szepcze Mary. - Błagam, niech się pan obudzi!

Ale on wciąż leży nieprzytomny. Mary bez namysłu, najciszej, jak potrafi, ogarnięta straszliwym przerażeniem, wyciąga rękę, zaciska palce na uchwycie wiosła, przyciąga je do siebie. Rozlega się głośny chrobot, krokodyl nieruchomieje, Mary przyciąga wiosło jeszcze bliżej, lecz krokodyl już nie czeka, maszeruje dalej. Mary doskonale wie, jak szybko poruszają się te stworzenia podczas ataku. Z siłą, o jaką by się nigdy nie podejrzewała, podnosi wiosło jedną ręką, natychmiast podtrzymuje drugą, balansuje nim niepewnie nad głową. Krokodyl skręca gwałtownie, przesuwa się teraz wzdłuż łodzi. Mary wie, że te zwierzęta nie są głupie; postanowił okrążyć ją przed atakiem, żeby upewnić się, że nie czekają go żadne niespodzianki. Na kilka sekund traci go z oczu za rufą, a kiedy gad wyłania się z drugiej strony, natychmiast atakuje i z wielką siłą uderza w burtę. Mary jest przekonana, że słyszy trzask pękającego drewna. Głowa nieszczęsnego Corlissa zsuwa jej się z kolan, z łoskotem uderza o dno łodzi. Mary osuwa się na jedno kolano, o burtę wspierają się pokryte łuską łapy o krótkich, ale potężnych pazurach, długi pysk wznosi się wysoko, stworzenie próbuje dostać się do łodzi. Mary z całych sił uderza wiosłem - ale chybia. Pod ciężarem krokodyla łódź przechyla się na bok, ciało Corlisa przesuwa się na dnie, uderza ją w nogi, prawie przewraca. Mary z trudem odzyskuje równowagę. Krokodyl jest już połową ciała w łódce, potężny ogon wije się w błocku. Mary ponownie unosi wiosło, przez sekundę wydaje jej się, że się przewróci, uderza jeszcze raz, celnie, prosto w pysk zwierzęcia. Nie czekając na efekt ciosu uderza po raz trzeci, między oczy. Krokodyl miota się rozpaczliwie - Mary sądzi, że tak podziałyły uderzenia

wiosłem, szybko jednak się orientuje, że gad nadział się brzuchem na sterczącą z burty dulkę. Uderza jeszcze dwa razy, po czym niemal wbija pióro wiosła w podgardle zwierzęcia, napiera ze wszystkich sił i spycha napastnika do bagna.

Bez tchu stoi nad nieruchomym ciałem Corlissa z wiosłem jak włócznią gotowym do zadania ciosu. Wyteża słuch i wzrok, aby się upewnić, czy nie nadciąga żadne niebezpieczeństwo. Potrzebuje kilku minut, by uspokoić się na tyle, żeby ponownie usiąść na ławeczce i wziąć na kolana skrwawioną głowę Corliss. Wiosło ma pod ręką, ułożone w taki sposób, by mogła błyskawicznie zadać uderzenie, choć nie może oprzeć się wrażeniu, że pozrywała wszystkie mięśnie prawego ramienia i grzbietu.

Tak długo czeka na kolejny atak, że wreszcie rozgorączkowana wyobraźnia zaczyna płatać jej figle. Zewsząd dobiegają tajemnicze odgłosy, ciemność gęstnieje. Czy ranek kiedykolwiek nadejdzie? Mary ma poważne wątpliwości. Wraca myślami do małego domku przy Addison Road, przypomina sobie lekcje chemii udzielane przez Varleya, spacer z ojcem, ciepły paryski wieczór i rozgwieżdżone niebo nad Sekwaną. Widzi to wszystko tak wyraźnie jak na wyciągnięcie ręki; próbuje odsunąć od siebie wspomnienia, ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, jak ważne jest zachowanie czujności. W pewnej chwili tuż przy łodzi pojawia się kolejny krokodyl; Mary chwyta wiosło, ale gad natychmiast zmienia kierunek i odpływa. Odpływa, a więc woda zaczyna się podnosić. Tak długo na to czekała, wiedziała, że się doczeka, i w końcu to nastąpiło.

- Davidzie? Davidzie, na litość boską, ocknij się!

Brak reakcji. Wolno, prawie niepostrzeżenie, woda unosi unieruchomioną łódkę, która dryfuje z prądem w kierunku mielizny. Mary czuje delikatne kołysanie, lecz ciemność jest tak nieprzenikniona, że nie sposób stwierdzić, gdzie płynie łódka. Na niebie nie ma ani księżyca, ani gwiazd, które ułatwiłyby orientację. Mary podejrzewa jednak, że nurt unosi ją coraz dalej od portu, coraz dalej od *Lagos*.

Jest wycieńczona i potwornie głodna. Nie ma nic do jedzenia ani do picia, nie zabrała żadnych środków opatrunkowych. Jest na siebie wściekła, gotowa przeklinać się na głos, ku swemu zdziwieniu stwierdza jednak, że w otaczającym ją harmidrze zagadkowych odgłosów nie może wydać żadnego dźwięku. Łódka płynie, ona wyszła zwycięsko ze starcia z krokodylem, ale noc otuliła ich szczelnie swoim całunem. Ogarnia ją przekonanie, że ciemność już nigdy nie ustąpi, że za dwadzieścia tysięcy lat jakiś uczony odkryje ich kości w skamieniałym mule.

Jakiś czas potem, zupełnie niespodziewanie, przed dziobem pojawia się miasto, nabrzeża, a jeszcze trochę dalej *Lagos* z masztami sterczącymi jak szubienice. Corliss porusza się na jej kolanach.

- Co się stało? - pyta. - Gdzie ja jestem? Moja głowa...

- Nie ruszaj się. Nie ma co, bardzo mi pomogłeś.

- Potwornie boli mnie głowa.

- Powinieneś się cieszyć, że nie więcej.

- Bardzo mi przykro...

- Nic na to nie poradzimy. Żale niewiele tu pomogą. Pamiętasz, jak się oboje nazywamy?

- Mam wrażenie, że jesteś Mary Kingsley, pogromczyni Lewiatana.

- Widziałeś to?

- Widziałem, jak włązi przez burzę, a potem znowu rąbnąłem w coś głową i byłem pewien, że tym razem to już koniec.

- Musiałam zająć się czymś innym. Przepraszam.

Pomagają jej wejść na pokład, Corlissiem zajmuje się Szkot nazwiskiem McNab. Jest lekarzem, bardzo chorym. Ma gorączkę i dyzenterię. Dopiero po pewnym czasie dostrzega krew na sukni Mary i chyba także ją samą.

- Dobry Boże, panienko! Co panienka tu robi? Dziwne, że panienka tu nie zemdlała...

- Radzę uważać, bo pana łatwo może to spotkać.

- Nie znoszę nadmiernie przedsiębiorczych kobiet, kapitanie - mówi Szkot. - Szczególnie tych, które mówią cockneyem.

Opatrzywszy ranę Corlissa - niegroźną i raczej powierzchowną, choć nie wolno zapomnieć o tym, że ranny stracił na jakiś czas przytomność - lekarz prosi o coś do picia. Kapitan Murray zaprasza do swojej kajuty na porcję rumu lub whisky. Mary idzie z nimi, narażając się na kolejne nieprzychylne spojrzenie McNaba.

- Spędziłem cztery miesiące w Kabindzie w towarzystwie pewnego prawnika. Czarny jak heban, zbudowany jak posąg. Ożenił się z drobniutką białą damą z Yorkshire albo z okolic. Była nawet podobna do pani i mówiła z takim samym okropnym akcentem.

- Z białą damą? - powtarza ze zdziwieniem kapitan Murray.

- Trzeba było panu widzieć, jak wokół niego skakała. Nie ma co gadać, niezły musiał być z niego ogier. Nie odstępowała go nawet na krok, cały czas wgapiała się w niego maślanymi oczami... W swojego wielkiego czarnego chłoptasia.

- Proszę przestać - mówi Mary.

- Przecież to chyba dla pani nie nowina? Przebywa pani wśród czarnych, więc chyba wie pani, o czym mówię.

- Ale wcale nie mam ochoty o tym słuchać.

- Pruderia? Tutaj, w Afryce?

- Zaręczam panu, że ta pani nie jest pruderyjna - mówi kapitan Murray, nalewając rumu.

- Wiem, że jest pan chory, niemniej żądam, żeby okazał jej pan więcej szacunku.

- Szanuję damy jak nikt na świecie, w tym również tę, która co noc dosiada swojego czarnego ogiera, a potem śpiewa wysokim głosem o rodzinnym Yorkshire. Bardzo zadowolonym głosem, jeśli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Mary przytrzymuje kapitana za rękę, ponieważ ten wykonał taki gest, jakby zamierzał uderzyć tamtego na odlew, uśmiecha się, powoli kiwa głową i mówi:

- Pójdę się przebrać. Zapach krwi przyciąga owady.

W kajucie zdejmuje suknię i bieliznę i staje naga przed lustrem. Na nogach i stopach ma krew Corlissa. Czuje delikatne kołysanie statku i nagle ogarnia ją wielkie zmieszanie. Opowieść doktora o damie z Yorkshire i jej czarnym kochanku ogromnie ją wzburzyła, tak bardzo, że nawet sama się temu dziwi. Na myśl o seksualnym zbliżeniu między dwiema rasami ludzi odczuwa niemal fizyczny dyskomfort, choć z drugiej strony to, co widziała do tej pory - pięknie wyrzeźbione sylwetki, prężące się mięśnie, aksamitna skóra Afrykanów - niezmiernie jej się podobało. Prawdę powiedziawszy, odkryła w sobie upodobanie dla tego widoku, tak jak bywalec galerii sztuki po jakimś czasie odkrywa w sobie szczególne upodobanie do jednego rodzaju rzeźb, lecz aż do tej pory nie dostrzegała żadnego związku między swoimi estetycznymi preferencjami a zmysłowością i cielesnym pożądaniem; uzmysłowiwszy sobie, że taki związek naprawdę istnieje, przez dłuższy czas nie może powrócić do równowagi.

Myśli kłębią się wewnątrz myśli, wracają jeszcze inne wspomnienia z Anglii, wspomnienia długich bezsennych nocy, podczas których dojrzywało jej kobiece ciało, a wraz z nim wypełniające je żądze. Przez kilka sekund cały świat wydaje się zbudowany właśnie z takich żądz, potrzeb, pragnień, potu i woni życia.

A statek dalej kołysze się na skrawku morza.

Lagos zawija do Bonny późnym popołudniem. Połyskujący słonecznymi refleksami lazur wody zupełnie nie pasuje do straszliwego smrodu zgnilizny docierającego z wiatrem od nadbrzeżnych bagien i lasów namorzynowych. Mary schodzi na ląd z kapitanem Murrayem; rezydujący tu agent brytyjski Boler zaprasza ich na herbatę. Nigdy nie słyszał o Jamesie Battym. W powietrzu wisi malaryczna wilgoć. Dowiadują się od Bolera, że w mieście szaleją śpiączka i ospa. On sam jest rumianym, mocno zbudowanym mężczyzną z przyszyżonym szpakowatym wąsem, łysiną i niezdrowymi plamami na twarzy.

Pokasłuje, chrząka, narzeka, tłucze komary, po czym opowiada historię o dwóch urzędnikach, którzy upili się na pogrzebie przełożonego i wpadli do jego grobu. Mary spogląda znacząco na kapitana Murraya, lecz ten tylko popija herbatę z taką miną, jakby ta makabryczna farsa autentycznie go rozbawiła. Boler kończy opowieść informacją, że obaj pechowcy natychmiast zapadli na gorączkę i już nazajutrz zajęli miejsca we własnych mogiłach.

- Już zdążyłem przywyknąć do takich rzeczy - dodaje. - Chwilami wydaje mi się, że tu jest koniec wszystkiego, że właśnie tu wylęga się śmierć świata.

Wracają na statek, a rankiem ruszają na południe, byle dalej od cuchnących trzęsawisk. Podążają wzdłuż wybrzeża w kierunku portugalskiej Angoli i Saint Paul de Luanda. Corliss jeszcze przez cały dzień skarży się na zawroty głowy i chodzi w białej koronie z opatrunku. Doktor McNab większość czasu spędza przy relingu, wymiotując do morza. Ponieważ w tym stanie nie na wiele może się przydać, obowiązek opieki nad panią Withers, którą dopadła gorączka, spada na barki Conklina i kapitana Murraya. Pani Withers siedzi na pokładzie w leżaku owinięta kocami, Conklin przeciera jej czoło wilgotną szmatką, a Corliss pilnuje, żeby się nie wygrzebała spod przykrycia. Kobieta ma nieprzytomne spojrzenie, jej głowa kołysze się bezwładnie w rytm poruszeń statku. Nieszczęsny Withers stoi obok i zanosi modły ku skłębionym chmurom. Dokoła nich przetaczają się burze, lecz żadna nie zbliża się na niebezpieczną odległość. Stan pani Withers pogarsza się tak bardzo, że zaczynają lękać się o jej życie, ale pod wieczór następuje przesilenie, gorączka spada, chorą chwytają gwałtowne torsje. Corliss twierdzi, że to dobry znak, ponieważ w ten sposób kobieta pozbywa się trucizn, które wniknęły do jej ciała na przeklętym wybrzeżu. Mówi to tonem człowieka, któremu znudziło się już powtarzanie wciąż tych samych prawd.

Rankiem chora czuje się nieco lepiej - Mary natychmiast poznaje to po tym, że kobieta jest uczesana i ma starannie ułożoną suknię, choć wygląda okropnie z zapadniętymi oczami, śmiertelnie bladą twarzą i skórą opiętą jak pergamin na kościach policzkowych. Podczas kolacji je niewiele i ostrożnie, obserwowana ukradkiem przez wszystkich. Withers niczym dziecko nie posiada się z radości i chce czym prędzej wracać do Anglii. Afryka pozbawiła go zapалу i dobrych intencji.

- Nie bądź niemądry, kochanie - mówi do niego żona słabym głosem. - Nie możemy teraz wrócić. Przecież tak bardzo ci zależało.

Corliss kręci głową ze spojrzeniem wbitym w talerz. Kiedy Mary nawiązuje z nim kontakt wzrokowy, uśmiecha się lekko: pani Withers nie odda łatwo pola.

I rzeczywiście, jest nieugięta przez całą drogę do Saint Paul de Luanda, ostatniego przystanku *Lagos*.

- Oczywiście chętnie znowu zobaczyłabym Anglię, najdroższy, ale przecież o tym właśnie marzyłeś. Nie zamierzam stawać na drodze twoich marzeń i ambicji.

- Ale ja chcę wrócić!

- Nawet nie zamierzam tego słuchać. Wszystko będzie w porządku. Musisz dążyć do osiągnięcia swoich celów, kochanie.

- Moim celem jest powrót do Anglii!

- Nonsens. Nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Wszystko jest już postanowione.

Kiedy schodzą na ląd w Saint Paul de Luanda, Withers ujmuje Mary za rękę i życzy jej Bożego błogosławieństwa. Jego cierpienie jest tak widoczne, że Mary z trudem powstrzymuje się przed tym, żeby wziąć go w ramiona. Pani Withers ogranicza się do heroicznego skinienia głową i ujmuje męża pod ramię.

- A ty, dokąd teraz pójdziesz? - pyta Corliss.

- Mam list polecający do konsula. Tymczasem zatrzymam się w jakimś hotelu.

- Tutaj nie ma hoteli.

- W raporcie przysłanym przez konsulat była informacja, że są trzy...

- To nieprawda.

- W takim razie zamieszkam u konsula.

Corliss przygląda jej się z uśmiechem. Oślepiająco jasne słońce wisi za jego plecami.

- A co dalej?

- Ruszę lądem na północ. Kabinda, wolne Kongo, Kongo Francuskie, Kamerun.

- Wierzę w ciebie, Mary, ale obawiam się, że już nigdy cię nie zobaczę.

Wyciąga rękę i dotyka bandażu na jego głowie.

- Niewiele brakowało.

Rozdział 20

1

25 lutego 1991

Wypowiedz to imię: Mary. I powtórz je jeszcze raz. Posłuchaj jak brzmi, wczuj się w jego głębię. Mary. Po hebrajsku: Miriam. Morze goryczy. Gorzkie morze. Świat myśli: dziewica; świat sądzi: pełna szczerości, czysta i mocna.

Twoja imienniczka nie sypia zbyt chętnie.

Doszło do tego, że zabieram ją do naszego łóżka i sama zapadam w kamienny sen, podczas gdy ona je. Kiedy już ma dosyć jednej piersi i chce się napić z drugiej, zaczyna marudzić i skarżyć się, aż się obudzę. Ma niezły temperament, ale muszę przyznać, że mnie się to podoba. Wszyscy mówią, że jesteśmy podobne jak dwie krople wody. Ma włosy takie jak ja, niebieskie oczy i zdradzające upór małe, czerwone usteczka. Prawdę mówiąc, ja nie widzę w niej podobieństwa do nikogo. Po prostu jest sobą. Całkowicie. Jest osobą, która większą część swojego życia przeżyje w następnym stuleciu i ta myśl szalenie mnie zadziwia. Pamiętam moich dziadków, którzy urodzili się na początku naszego wieku - mój dziadek przyszedł na świat zaledwie dziewięć lat po tym, jak ty go opuściłaś. Mayfield, ciotka mojego ojca, urodziła się dwadzieścia lat przed twoją śmiercią, a więc chociaż częściowo żyłyście we własnych czasach. Na przykład ludzie nie zdają sobie sprawy, że Abraham Lincoln miał siedemnaście lat, kiedy umierał Thomas

Jefferson, i że Lincoln jako młody, oddany studiom ambitny chłopak - nieznaną przecież swej przyszłości - musiał być świadom dokonania tego starszego wiekiem polityka. Wszystkie te rzeczy ogromnie mnie zdumiewają, choć nie potrafię wyrazić słowami dlaczego; z wyjątkiem tego, że ta świadomość bardzo mnie do ciebie zbliża i dla mnie nie jesteś tylko papierową postacią z książek. Jednak posiadanie dziecka nieodwołalnie kieruje uwagę ku przyszłości...

Dziecko nie pozwala mi spać w nocy, toteż kiedy tylko mogę, śpię w dzień. Doris zawsze kręci się w pobliżu, szczęśliwa, że może być użyteczna. Muszę jej pozwalać się wyręczać.

Obraz: Ponownie pusta scena. Guillemard grzebie w swoich papierach; przechodzi na skos na lewą stronę sceny, a za nim przesuwa się światło. Wydaje się czegoś szukać w tych dokumentach i wreszcie to znajduje.

- Ach, tutaj jesteście. No nareszcie.

Wyjmuje część tych papierów, ale ich nie czyta. Są to notatki, do których tylko zerka czasami w trakcie mówienia.

- Napisała dwie książki. To stało się później, już po Afryce Zachodniej, w czasie tych krótkich siedmiu lat, które Bóg zechciał jej jeszcze dać. Nawiasem mówiąc, ona zawsze pragnęła powrócić w tamte strony. Nigdy więcej nie uważała już Anglii za swój dom.

Mary podchodzi do granicy światła i staje za jego plecami jak uosobienie wspomnienia.

Mary:

- Ja nigdzie tak naprawdę nie byłam w domu, nieprawdaż? Nawet w Afryce. Stale podróżowałam do następnego miejsca. Nie wprowadzaj ludzi w błąd.

Guillemard przestaje mówić, ale nie spogląda do tyłu.

Mary:

- No, mów dalej! Chcę usłyszeć, jak bardzo przesadzasz, opowiadając o moich afrykańskich doświadczeniach.

Guillemard:

Wzrusza ramionami, podczas gdy ona znika w ciemności. Odchrząkuje, zerka w bok i wraca do tematu.

- Te książki przyniosły jej sławę, która śmiało mogła rywalizować ze sławą wuja Charlesa, autora *Wodnych dzieci*. Sława zataczała coraz szersze kręgi, co jej się nawet nie śniło. Ale próbując sprostać wszystkim oczekiwaniom swoich czasów i zaspokoić jednocześnie potrzeby serca, no cóż, wystawiała to serce na próbę. Czy wspomniałem już o tym, że miała wrodzoną wadę tego narządu? Nie? Prawie nikt o tym nie wiedział, tak jak prawie nikt nie znał jej naprawdę. Nawet ten głupek, w którym była zakochana niedługo przed swoim końcem. W liście najbardziej odkrywającym jej osobiste sprawy, adresowanym właśnie do tego gościa, Roberta Nathana, raczej mamisynka, którego bez wątpienia całkowicie zbijała z tropu...

Idzie w dół sceny, siada na jej skraju, przez chwilę przerzuca papiery, a potem opiera je na kolanie i wzdycha.

- Napisała do niego, że kiedy umarli jej rodzice, doszła do wniosku, że nikomu na tym świecie nie jest już potrzebna, więc pojechała do Afryki Zachodniej, żeby tam umrzeć.

Deklaracja, która biorąc pod uwagę jej zachowanie w trakcie różnych podróży, wydaje się nie-
niezwykła. Ale ona nie wydawała się skłonna do obłudy, przynajmniej na to wygląda.
Naprawdę stanowiła zagadkę. Nawet przyjaciele, przed którymi nie kryła swojego
psychicznego i fizycznego wyczerpania, kiedy w dniach po ukazaniu się pierwszej książki stała
się znana, nawet oni uważali ją za tajemniczą osobę i nie mogli przyznać, że doskonale ją
rozumieją. Stale żądano od niej wypowiedzi i wykładów, a w dodatku musiała sprostać
potrzebom członków jej rodziny z obu stron. Tak wiele osób wymagało jej troski - do niej
należało opiekowanie się umierającymi, organizowanie pogrzebów, spłacanie długów tej części
rodziny Kingsleyów, która nie chciała mieć z nią do czynienia wtedy, gdy była zaledwie
nieudaną córką kogoś, kto popełnił megalomanię, jak głosi plotka, która chyba dotąd nie ucichła.
Dopóki nie stała się nową Mary H. Kingsley, zostawiali ją samej sobie. A ona, nie odpłaciła im
pięknym za nadobne. Była chora z osamotnienia i desperacji, ale jako prawdziwa dama nigdy
się nie poddała.

Wstaje, krzyżuje ramiona i odkasłuje. Jest najwyraźniej poruszony wspomnieniami.

- Nigdy!

*Wchodzi kobieta z tamtych czasów. Jedna z licznych przyjaciółek Mary. Jest starsza i
stanowczo chce zaprotestować.*

Kobieta:

- Zawsze mnie rozśmieszała. Nie pozwalała nam mówić o smutnych wydarzeniach albo o
zawodach miłosnych. Każda z nas przeżyła jakąś nieszczęsną miłość. Ale ona była najweselszą
osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Potrafiła naśladować absolutnie każdy akcent, którym
posługiwali się znani jej ludzie, i umiała udawać głos kogoś innego. Dokładnie. Bardzo
wiarygodnie podrabiała ciebie, Guillemard. To było naprawdę niesamowicie śmieszne i ani
trochę złośliwe. Po prostu... no, takie figle. I przez cały czas podśmiewała się z siebie.
Powinien pan w jakiś sposób to przekazać. Otaczał ją wielki smutek, ale ona nigdy nie
pozwoliła, by nią zawładnął.

Guillemard odwraca się w jej stronę.

Guillemard:

- Madam, jeśli chce pani coś dodać, proponuję, żeby zaczekała pani na swoją kolej.

Doris spała w pokoju dziennym na kanapie, którą obłożyła dookoła stosami swoich
książek. Malutki stolik stojący zwykle obok był zarzucony papierowymi talerzykami i
kubkami, leżały na nim czasopisma i jeszcze kilka książek. W ciągu tygodnia Tyler zwykle

wracał do domu późno i po cichu zakradał się do sypialni, kiedy Lily spała już twardo z niemowlęciem u boku. Ostrożnie podnosił dziecko i odkładał do kołyski. Lily budziła się tylko częściowo, ale nawet wtedy, w stanie nieustannego niepokoju, zauważała jego czułość w stosunku do dziecka i rankami starała się zapewnić mu maksymalny wypoczynek, pozwalając mu spać aż do godziny, w której musiał wstawać do pracy.

Obecność Doris stanowiła dla nich źródło stresu, mimo że doceniali jej pomoc w opiece nad dzieckiem.

Lily ciągle jeszcze bardzo cierpiała i łatwo się męczyła. Napotykała problemy, o których istnieniu została uprzedzona - na przykład ból przy karmieniu. Zaskakująca była jego intensywność, jakby stanowił pewien rodzaj kary za przyniesienie dziecka na ten świat. Czasami Lily zdarzało się myśleć o nim w ten sposób; przypisywała to temu, że cały czas czuła się przygnębiona i przewrażliwiona, a musiała jakoś przebrnąć przez okres tego wszechobecnego zmęczenia.

Sheri i Millicent nie mogły się doczekać, żeby poznać wreszcie Doris, i oczywiście obie także chciały pomagać przy dziecku. Często wpadały popołudniami. Doris czuła się przy nich nieco nieswojo, głównie dlatego, że wiedziała o ich świeżej żałobie. Powiedziała Lily, że nie potrafi się odprężyć; obydwie tak poważnie traktowały sprawę pomocy. Sheri od czasu do czasu opowiadała jakiś dowcip, ale było w tym coś boleśnie wymuszonego. Kiedy mówiła, w jej oczach pojawiała się jakaś łagodność i nieśmiałość. Lily spostrzegła to i starała się wymyślić coś delikatnego i podnoszącego na duchu. Pragnęła uniknąć jakichkolwiek aluzji do spraw osobistych; nie miała ochoty zajmować się rewelacjami dotyczącymi sekretnego życia, jakie prowadziła Sheri lub ktokolwiek inny. Czuła się z tego powodu przygnębiona, jakby zawiodła wszystkich.

Przez większość czasu była jednak zbyt zmęczona, żeby w ogóle myśleć.

Noce upływały według stałego schematu przebudzeń, karmienia i prób zaśnięcia, i znowu przebudzeń i karmienia.

Lily rozmyślała nad tym, co jej matka opowiadała o pierwszych wspólnych latach ze Scottem - jak przez krótki czas mieszkali u jego czy jej rodziców, starając się rozpocząć życie na własny rachunek. Najlepiej ten okres charakteryzuje słowo „tymczasowość”; poczucie, że ciągle jest się gdzieś w drodze; pewnego rodzaju oczekiwanie, że zmienią się okoliczności. Nic stabilnego, nic pewnego i konieczność przeczekania do czasu, aż sprawy się ułożą.

Dokładnie to samo czuła teraz Lily. Coś nie zostało zrobione, dokończone i to przez cały czas ją dręczyło.

Rozpoczęta budowa na placu naprzeciwko - z beczynnie stojącymi buldożerami; ze ścianami, które niczego nie zamykały; z metalowymi schodami prowadzącymi donikąd - tylko wzmacniała w niej poczucie ulotności. Czasami siedziała rankami z niemowlęciem śpiącym w kołysce i z kartką papieru na kolanach, starając się napisać kilka linijek swojej sztuki, podczas gdy robotnicy chodzili wzdłuż równej ściany z cegieł, powiększając ją prawie niezauważalnie w czasie, gdy słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie i nadchodziło południe. Mary budziła się kilkakrotnie i jadła z niemalże rozpaczliwym skupieniem, w gryzając się w sutek tak, że Lily musiała pochylać się w przód i starać się rozluźnić delikatnie uścisk malutkich usteczek, aby zmniejszyć ból. To zawsze rozdrażniało dziecko i powodowało, że Mary zaczynała grymasić, pomiaukiwać i przestawała jeść.

Ciemne oczy maleństwa zwrócone na nią zdawały się coś przeczuwać. To ją niepokoiło, jakby miało jakiś związek z prorocत्वami przychodzącymi z wszechświata, doskonale znającymi wszystkie jej rozterki i wątpliwości.

Ale potem zdarzały się też chwile, kiedy niemowlę się uśmiechało albo zamykało piękne oczka i zasypiało na jej piersi. Jego oddech pachniał mlekiem, doskonale wykrojone usteczka wydymały się przy każdym wydechu; czasem lekko wzdychało przez sen i wtedy tak spokojnie wyglądało. Lily nieraz się zastanawiała, co się jej niemowlęciu śni i czy małe dziecko w ogóle może śnić o czymkolwiek.

Któregoś ranka przy końcu pierwszego tygodnia Lily była w domu sama z dzieckiem, kiedy zadzwoniła Millicent, żeby zapytać, co słyhać. Rozmawiały przez kilka minut na temat dziecka i karmienia i Millicent zaczęła wspominać czasy, kiedy urodził się Tyler. Coś zmieniło się w jej głosie, kiedy wspominała siebie z tamtych dni, przed Buddym.

- No cóż - powiedziała na zakończenie - przypuszczam, że macie tam teraz o czym myśleć.

Lily była zbyt zaskoczona, żeby od razu zareagować.

- O czym myśleć? - zapytała wreszcie.

- No wiesz. O tym, co zrobicie, jeśli Tyler zrezygnuje z pracy w salonie.

- Tyler mówi o zrezygnowaniu z pracy?!

- To on... czy on nie rozmawiał o tym z tobą?

- Od kiedy? - domagała się szczegółów Lily.

- Tyler opowiadał Nickowi, że ma zamiar wstąpić do armii. Lily na moment zaniemówiła.

- Przepraszam, ale myślałam, że ci o tym powiedział.

- Nie - wyrzuciła z siebie - Nie wspomniał ani słowem.

- No cóż... przecież wiesz, że mężczyźni... że mężczyźni często rozmawiają o tych rzeczach ot tak sobie.

Później usiadła w pokoju dziennym, przypatrując się robotnikom pracującym na budowie apartamentowca. Murowali ścianę, która rosła w oczach. Jej matka coś prasowała, stojąc z deską przed telewizorem. Dźwięk został mocno przyciszony, żeby nie przeszkadzał dziecku.

- Kochanie - odezwała się Doris. - Czy coś jest nie tak?

- Nie, jestem po prostu zmęczona, a w dodatku wszystko mnie boli - odparła Lily. - Nie byłam przygotowana na to, że tak długo będę wracać do zdrowia.

- Ja mówię o tym, że coś się dzieje między tobą a Tylerem. Czuję to. Jesteście dla siebie tak... tak uprzejmi.

Lily pokręciła głową i uśmiechnęła się sardonicznie.

- Doprawdy?

Matka przeszła przez pokój, poprawiając okulary.

- Oczywiście to nie mój interes - dodała ciszej.

Przez resztę wieczoru prawie ze sobą nie rozmawiały. Lily przewinęła niemowlę i odłożyła je do łóżeczka. Matka w tym czasie upiekła kurczaka, przygotowała ryż i marchewki. Jadły w ciszy, oglądając program na małym przenośnym telewizorze. Nikt nie zadzwonił. Razem pozmywały i znowu usiadły przed telewizorem. Silny podmuch wiatru zatrzęsł oknami, a Doris zauważyła, że jest zdumiewająco zimno jak na tak dalekie południe.

- Przykro mi - odparła Lily. Doris ziewnęła.

- Nie musisz mnie przeproszać za pogodę.

- Nie mówiłam o pogodzie.

- W takim razie nie mam zielonego pojęcia, o czym mówiłaś - powiedziała Doris, podnosząc się z miejsca. - Idę do łóżka.

Lily poczekała kilka chwil, a potem przewiozła łóżeczko do sypialni, po czym położyła się do łóżka, a niemowlę umieściła obok siebie. Doris, ubrana już w koszulę nocną, podeszła do drzwi.

- Chcesz, żebym przewinęła małą?

- Nie, już to zrobiłam. Wszystko w porządku.

- Moim zdaniem Mary jest trochę podobna do twojego ojca, nie sądzisz?

- Nie umiem na razie powiedzieć, do kogo jest podobna.

Doris splotła ręce na piersi w geście, który dla Lily był czymś w rodzaju tiku sygnalizującego nerwowość albo niepokój.

- Wiesz, oni wydają się bardzo szczęśliwi. Udało im się jakoś przeboleć tę stratę dziecka przez Peggy, a Scott zachowywał się w stosunku do niej tak, jak nigdy w stosunku do mnie.

- Przecież byliście w sobie zakochani - powiedziała Lily. - Widziałam to. Dorastałam z tym.

Na twarzy Doris ukazał się wyraz tolerancji.

- Byliśmy raczej przeciętną parą.

- Nie.

- Mam wrażenie, że nieco to sobie upiększyłaś w pamięci.

- Już przestań - przerwała jej Lily. - Nie chcę o tym mówić. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej czuję się dezorientowana.

- Bo to jest dezorientujące. Mam pięćdziesiąt lat, spotykam się z kimś i tak naprawdę w tych sprawach nie jestem ani trochę mądrzejsza niż wtedy, kiedy zaczynałam chodzić z twoim ojcem. Kiedy gawędzimy sobie z Peggy, prawie zapominamy, że dzieli nas niemal trzydzieści lat.

- Spotykasz się z kimś? - podchwyciła Lily. Doris uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Och, to tylko przyjaźń.

- Zastanawiam się, czy Scott kiedykolwiek zapomina o tej różnicy wieku - zauważyła Lily z cierpkim uśmiechem.

- To było nieuprzejme. Zwłaszcza w stosunku do mnie.

- Przepraszam - powiedziała Lily i zaczęła płakać. - Jestem... jestem zupełnie rozbita.

Doris pośpieszyła, żeby ją objąć.

- To tylko depresja poporodowa, kochanie. To minie.

- Nie! Tyler rozmawiał z Nickiem na temat rezygnacji z pracy w salonie i zaciągnięcia się do wojska!

Doris zdawała się czekać na dalszy ciąg.

- A mnie nie powiedział ani słowa!

- Może to tylko czcze gadanie, Lily.

- Ty niczego nie rozumiesz.

- Ale staram się.

- Nie... nie miałam na myśli, że... zresztą nic nie szkodzi! Masz rację, pewnie to tylko gadanie.

- Przynajmniej daj mu szansę, żeby się wytłumaczył. Tego właśnie się nauczyłam.

Lily cmoknęła ją w policzek i mocno się przytuliła.

Niemowlę poruszyło się i zapłakało, ale zaraz ponownie zasnęło. Cisza, która nastąpiła, wydawała się naładowana czymś nieokreślonym i groźnym, jak resztki nocnego koszmaru. Lily czuła to wyraźnie i zastanawiała się, czy jej matka też to czuje.

- No cóż - powiedziała w końcu Doris. - Dobranoc. I ruszyła w kierunku drzwi.

- Kocham cię - rzuciła za nią Lily.

- Och, ja też cię kocham, skarbie.

Mniej więcej godzinę później Tyler wszedł do domu. Lily leżała z otwartymi oczyma. Przez Doris nigdy nie mogli się tak naprawdę pokłócić, bo przecież ona była w pokoju obok. Jeśli chcieli porozmawiać bez wtajemniczenia w swe sprawy Doris, musieli to robić szeptem. Lily bała się, że nie potrafi bez wszczynania awantury poinformować Tylera, że wie o jego planach. Jego delikatne zachowanie wobec niej tylko podsycalo gniew

Lily. Leżała nieruchomo w ciemności, podczas gdy on przeniósł niemowlę do łóżeczka i powiesił sportową kurtkę i spodnie na krześle pod oknem. Potem poszedł do łazienki, żeby umyć zęby. Słyszała, jak odkręcił wodę. Wiedziała, że byłoby lepiej nie mówić mu ani słowa do chwili, aż Doris odleci na północ, ale wściekłość kłębiła się w jej piersi, serce waliło jak młot, tak że jego uderzenia czuła w karku i na twarzy. Wreszcie Tyler wyszedł z łazienki, wślizgnął się do łóżka, pochylił się i ostrożnie, żeby jej nie zbudzić, pocałował ją w policzek, a potem odwrócił się plecami.

Lily doskonale wiedziała, że nie zmruży oka przez całą noc i wobec tego zachowanie spokoju wydawało się jej niemożliwe.

- Tyler... - mruknęła.

Ale on już zdążył zasnąć. Przekręciła się na drugi bok i przyglądała się mu przez kilka sekund. A potem zniemacka uderzyła go w łopatkę otwartą dłonią, aż zadudniło głucho. Nagle wyrwany ze snu szarpnął się, wydając przy tym dźwięk przypominający skomlenie, a potem usiadł wyprostowany, rozglądając się dookoła.

- Lily, co jest, do diabła?!

- Nie możesz iść spać. Jeszcze nie teraz, ty cholerny draniu!

Sięgnęła ręką przez niego, żeby włączyć lampę; poczuła lekkie ukłucie w sercu, gdy zauważyła, że skrzywił się, gdy spostrzegł jej ruch.

- Co się stało, do cholery? - zapytał przyciszonym głosem. - Zwariowałaś czy co?!

Usiadła z powrotem i skrzyżowała ręce.

- Kiedy zamierzasz mi powiedzieć?

- O czym powiedzieć? I bądź cicho!

- Podobno masz zamiar iść do wojska?

Nie odpowiedział od razu. Przeczesał palcami włosy, spojrzął na drzwi, a potem potarł powieki.

- Jezu Chryste, to nie jest czas na taką rozmowę, Lily!

- A więc to prawda. Opuścił ręce na kolana.

- Myślałem o tym. Tak, być może tak.

- I kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

- Sam nie wiem... może nigdy. Co to ma za znaczenie, do diabła? Przecież nie chcesz, żebym tutaj był, prawda?

- A co spowodowało, że podjąłeś taką decyzję?

- Daj spokój!

- Wytłumacz się - zażądała Lily.

Rozmawiali szeptem i obydwójce jednocześnie usłyszeli jakiś dźwięk. To Doris wstała. Poszła do łazienki w korytarzu i zakaszła. Dobiegł ich dźwięk zamykanych drzwi.

- Chryste - jęknął Tyler. - Kocham cię i nawet kocham to dziecko. Naprawdę. Ale ty przez cały czas nie przestajesz mnie podejrzewać o różne sprawy.

- Och, czy masz na przykład na myśli swój plan zaciągnięcia się do armii bez powiedzenia mi o tym? - powiedziała to normalnym głosem, ale ponieważ było cicho, zabrzmiało strasznie głośno. Oboje przez chwilę nasłuchiwali, co robi Doris, ale niczego nie usłyszeli.

- Akurat nie o tym mówiłem - szepnął po chwili.

- Więc dlaczego chcesz iść do wojska? - naciskała Lily. Przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Bo nie mogę już tu dłużej wytrzymać - odparł.

- Tutaj? Ze mną?

- Nie chodzi o ciebie. W tym mieście. Sama zobacz, Lily. Spójrz, co mi się tutaj przydarzyło.

Nagle zrobiło się jej strasznie przykro. Postarała się, żeby jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Po prostu patrzyła mu prosto w oczy.

- A przed chwilą powiedziałaś, że to przeze mnie.

- W pewnym sensie tak - odpowiedział. - Z pewnością tak.

Niemowlę się poruszyło i zaczęło płakać. Usłyszeli, jak Doris wychodzi z łazienki na korytarzu. Zapukała do drzwi sypialni.

- Lily, czy trzeba w czymś pomóc?

- Nie - odparła.

Tyler wyjął dziecko z łóżeczka i przyniósł Lily.

- Nie wydaje mi się, żeby był sens to dalej ciągnąć - mruknął.

- Masz na myśli nas? - zapytała z nagłym strachem.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że o mało co nie wyciągnęła ręki, żeby dotknąć jego policzka.

- Mam na myśli całą tę sprawę - powiedział. - We wszystkich aspektach. Moje pieprzone życie.

Przystawiła Mary do piersi i czekała, co jeszcze powie.

- Zarabiam w salonie kupę szmalu. To dobry biznes. Nick wszystko rejestruje, wypisuje czeki, a ja je zanoszę do banku i nie mam ochoty się nimi zajmować. Moglibyśmy się stąd wyprowadzić choćby jutro i mieć naprawdę fajny dom, ale na myśl o tym chce mi się rzygać.

- To są objawy depresji - poinformowała go Lily. - Wiem... ja też na to cierpię.

- A potem będzie następny przystanek, Lily.

- I zamierzasz dotrzeć tam sam.

- Zgoda, jeśli chcesz ująć to w ten sposób.

Cisza, która zapadła na kilka minut, nie była tak ciężka, ale tylko dzięki dziecku. Lily obmyła niemowlę i przewinęła, a potem pokarmiła jeszcze przez chwilę, leżąc na jednym boku. Tyler wyrzucił zużytą pieluszkę i przyniósł Lily czystą koszulę. Kiedy wszystko zostało już zrobione, leżeli obok siebie nieruchomo, nasłuchując dźwięków, jakie wydawała Mary, ssąc, oddychając i przetykając.

- Cały czas myślę, że możemy dać sobie z tym radę - odezwał się w końcu Tyler. - Przynajmniej taką mam nadzieję.

5 marca 1990 Cześć

Wiem, że minęło już trochę czasu. Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia, co powinienem powiedzieć albo jak zacząć. W pierwszym liście napisałem, jak się tu czujemy, a potem zaczęło mi się wydawać (i cały czas mi się troszeczkę wydaje), że błędem z mojej strony było przypuszczać, iż w zasadzie mogłoby was zainteresować, co porabiam w tak egzotycznie pięknym mieście. Teraz trwa Mardi Gras. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. W Nowym Orleanie nigdy nie wybudowano zbyt wielu scen teatralnych, klubów czy czegoś podobnego, i właśnie Mardi Gras jest tego przyczyną. To wydarzenie towarzyskie roku i wszystkie środki przeznaczone są na coś, co w zasadzie jest interaktywnym teatrem, tak że nie pozostaje zbyt wiele na inne rodzaje.

Najlepszy moment, żeby przyjechać tutaj w czasie Mardi Gras, to dzień, który nazywają Tłustym Wtorkiem - ostatni przed Środą Popielcową. To totalna rozpusta przed okresem pokuty. Są tutaj pewne kręgi towarzyskie albo może lepiej kluby - naprawdę wyższe sfery, przynajmniej niektóre - nazywane Kompaniami (to taka lepsza wersja słowa „towarzystwo”), które organizują parady przez cały festiwal. I w weekend przed Tłustym Wtorkiem paradują same grube ryby: przybierają imiona takie jak Bachus, Orfeusz czy Endymion. W sam Tłusty Wtorek można spotkać dwie największe grupy - Zulu i Rex. Zulu to przeważnie Murzyni. Rzucają w tłum orzechami kokosowymi, pędami roślin, koralikami, drobnymi pieniążkami, pluszowymi zwierzakami itd. Jeżeli oberwiesz złotym orzechem, jesteś naprawdę do przodu. Szef Rexa zostaje królem Mardi Gras. Razem z szefem Zulu spotykają się w pobliżu rzeki i to jest taki symbol pojednania białych i czarnych w Nowym Orleanie. Nawiasem mówiąc, ponieważ tego roku były wywierane różne naciski na wszystkie Kompanie (a większość składa się z białych chrześcijan), żeby dopuścić także mniejszości, kilka z tych ważniejszych odmówiło udziału w marszu. Ale pani Beaumont twierdziła, że nastrój tego okresu jest zawsze tak uroczysty, że trudno sobie wyobrazić, by taki incydent mógł mieć wpływ na cokolwiek. Z pewnością tysiące ludzi, którzy przyjadą zobaczyć Mardi Gras, nic nie stracą, kiedy zjawią się te wszystkie zespoły marszowe ze szkół średnich. W Nowym Orleanie jest mnóstwo szkół średnich, w tym większość katolickich. Na paradzie maszerują ich zespoły taneczne, dziewczęta dyrygujące grupami perkusyjnymi i cheerleaderki. Najbardziej znany jest zespół ze szkoły St.

Augustine Catholic High, którą wszyscy tu nazywają Saint Aug. Pani Beaumont uczyła tam przez całe lata, dopóki nie odeszła na emeryturę.

Może ty też mogłabyś zacząć tam uczyć, jeśli kiedykolwiek z Tylerem zdecydujecie się na przeprowadzkę. Jestem pewien, że by się wam tu spodobało.

Wiem też, że z tego listu niewiele się dowiecie, co nowego u nas słysząc, ale to dlatego, że nie robimy nic, co byłoby warte wzmianki. Ja cały czas pracuję w księgarni, a Manny szuka czegoś (znowu!). Pani Beaumont matkuje nam obu. Manny wykazuje niezwykłą cierpliwość, jeśli chodzi o moje przystosowanie się do panujących tu warunków. Ja chyba cierpię na coś, co można by określić jako przesylenie zmysłów. Ale mnie się to podoba, naprawdę! Mieszkamy dokładnie w środku dzielnicy, więc hałas, jaki tu panuje, jest wręcz niewyobrażalny. Ale przy ulicy mieszczą się naprawdę fantastyczne kluby, a ludzie tak grają tam jazz, jak powinno się go grać. Bluesa zresztą też.

Jeśli już mówimy o bluesie, to muszę przyznać, że ostatnio nie miewam chandry, chyba że pomyślę o tym, że mogę was nie zobaczyć jeszcze przez długi czas. Zastanawiam się, jak dajecie sobie radę z dzieckiem - Tyler, jak dzwoniłeś, żeby nam o tym powiedzieć, odniosłem wrażenie, że jesteś strasznie markotny i wykończony. Oczywiście to zupełnie zrozumiałe. Typowy świeżo upieczony ojciec, to wszystko. Gdy już odwiesiłem słuchawkę, przyszło mi do głowy, że nie powiedziałeś, ile mała ważyła i jakie imię macie zamiar jej dać. Z kolei ja nie dzwoniłem, bo nie chciałem wam przeszkadzać. Nie budzić was akurat wtedy, kiedy udało się wam zasnąć spokojnie po raz pierwszy od tygodni. Jesteście teraz rodzicami i kiedy o tym myślę, wydaje mi się to strasznie dziwne. Ja nigdy nie będę rodzicem, teraz już wiem na pewno. Ale jestem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Manny i ja pasujemy do siebie tak bardzo, że wcześniej nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe. Obecnie uczę go przeklinać po angielsku, a on odwdzięcza mi się tym samym po hiszpańsku. To taki nasz sposób na to, żeby się trochę pośmiać i zrelaksować wieczorami przed kolacją. W hiszpańskim jest mnóstwo siarczystych przekleństw i słów uważanych powszechnie za obraźliwe; a angielski, jak sami wiecie, jest prawdopodobnie najbogatszym językiem świata, jeśli chodzi o te rzeczy, więc wymiana naszej wiedzy powoduje, że śmiejemy się naprawdę szczerze i długo. Pani Beaumont też się z tego śmieje. Od siebie dodała kiedyś opowiastkę o tym, jak pewnego wieczoru obraził ją dostawca pizzy. Zachował się naprawdę niegrzecznie! Pani Beaumont wręczyła mu dwadzieścia dolarów napiwku, potem uśmiechnęła się, a kiedy on jej dziękował, powiedziała z tą swoją zdziwioną i nieco skruszoną minką: „taak... zajrzyj sobie w dupę i sprawdź, czy cię tam nie ma, cher” (ona do wszystkich

mówi „cher”; to z kajuńskiego, chociaż ona nie jest Kajunką, tylko po prostu długo tam mieszka - chce, żebym mówił do niej „ciociu Violet”, toteż staram się to robić). W każdym razie tak do niego powiedziała, a kiedy wykrztusił „Co takiego?”, uśmiechnęła się naprawdę słodko i dorzuciła: „Z miłą chęcią nasrałabym twojej matce na narządy rozrodcze”, po czym zamknęła drzwi. Z sekundę nam zabrało, zanim się połapaliśmy, o co chodzi, a nie wiem, czy temu chłopakowi od pizzy w ogóle się to udało. Stał pod jej drzwiami jeszcze przez dłuższy czas i przypuszczalnie starał się rozszyfrować, czy ta malutka starsza pani rzeczywiście powiedziała to, co jemu się wydawało, że powiedziała, i czy w związku z tym może jest czarownicą. Opowiadała o tym doprawdy w uroczy sposób. Zacząłem się tak śmiać, że aż myślałem, że dostanę ataku serca.

Tak bardzo bym chciał, żebyście wy dwoje (to znaczy, teraz już troje) poznali panią Beaumont, jest ona cudownie zadziwiająca i przenikliwa, a do tego kochaną osobą. Mam nadzieję, że może jakimś cudem zdecydujecie się z Tylerem tutaj przyjechać. Bardzo za wami tęsknię, no i byłoby mi miło zobaczyć wasze dziecko.

Manny właśnie wrócił do domu ze swoich poszukiwań pracy, a pani Beaumont przygotowuje kolację - paluszki rybne i frytki (nie pysznego - paluszki są Mrs. Paul, a francuskie frytki pochodzą z wielkiej torby z zamrażarki w Food Lion), więc muszę kończyć. Proszę, napiszcie, kiedy będziecie mogli, albo zadzwońcie, jeśli nie macie czasu pisać. Strasznie bym chciał dostać od was jakieś wieści.

Buziaki - Dominik.

10 marca 1990

Kochany Dominiku

Strasznie cię przepraszam, że tak długo się nie odzywałam, a teraz w dodatku piszę w skrócie. Było mi naprawdę przyjemnie, kiedy przyszedł twój list. Jest tu Doris, pomaga przy dziecku, bo Tyler pracuje każdego wieczoru aż do dziewiątej. Cały czas jestem obolała, zmęczona i trochę w depresji, która podobno jest normalnym zjawiskiem (czuję się taka bezradna). Dziecko ma na imię Mary; jest bardzo zdrowa i absolutnie w normie. Ważyła cztery i pół kilograma i miała pięćdziesiąt pięć centymetrów, a oprócz tego śliczne niebieskie oczy i ciemne włosy, takie jak moje. Wszyscy zresztą mówią, że jest bardzo do mnie podobna (cha, cha). Bardzo byśmy chcieli do was przyjechać, ale naprawdę nie wiem kiedy, bo Tyler pracuje w salonie przez sześć dni w tygodniu. Poza tym jest jeszcze dziecko, które jak dotąd nie sprawia

nam kłopotów, no może trochę marnie śpi w nocy. Pani Beaumont (ciocia Violet) wydaje się naprawdę niezwykła i strasznie chcielibyśmy ją poznać.

Nie mogła się zmusić do skończenia tego listu. Dla niej wyglądał jak stek kłamstw, b y ł stekiem kłamstw, więc wypełniła gotową kartkę, taką, jaką zwykle wysyłają ludzie, żeby zawiadomić o narodzinach dziecka i dopisała na dole „Bardzo za tobą tęsknimy, może spotkamy się w późniejszym terminie” i wysłała ją. Kiedy wrzucała kartkę do skrzynki pocztowej, ogarnęło ją uczucie, że oszukuje, aż gdzieś w głębi piersi poczuła ból. Doris obserwowała jej poczynania, stojąc w dużym oknie w pokoju dziennym, obramowana blaskiem słońca, i mrużąc oczy w zbyt jaskrawym świetle. Lily wróciła do drzwi frontowych, weszła i ruszyła w stronę kuchni.

- Co to było, kochanie? - zatrzymał ją głos Doris.

- Wysyłałam kartkę.

- Ja mówię o twojej minie.

- Doris, proszę cię.

- Wyglądałaś... to wyglądało, jakbyś właśnie przyciskała włącznik na krześle elektrycznym albo coś w tym stylu. Nigdy nie widziałam wyrazu takiego niesmaku i... no cóż, poczucia winy. Wyglądałaś, jakbyś popełniała jakąś zbrodnię.

- Dominik napisał do mnie taki miły list, to wszystko. A ja wysyłałam do niego tylko tę kartkę. Powinam napisać coś więcej, ale jestem za bardzo zmęczona.

- Nie bądź dla siebie taka surowa.

- Staram się nie być - odparła Lily. Doris postąpiła krok w jej kierunku.

- Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie są skłonni do przejmowania się drobiazgami, kiedy dręczy ich coś znacznie poważniejszego.

Lily uderzyło to, że ona skupia się na jednej istotnej rzeczy. Przyszło jej do głowy, że matka często trafia w sedno sprawy za pomocą bardzo pokrętnych środków. Potrząsnęła głową, a potem pokręciła nią kilka razy, nie z powodu rozdrażnienia, ale po to, żeby zaprzeczyć domysłom Doris.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała.

- Coś nie jest w porządku w tym domu. Mam wrażenie, że to chodzi o mnie. Boję się, że już za długo siedzę wam na głowie.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Lily. - A teraz proszę, zostawmy to. Bardzo bym chciała przestać się przejmować tym, co przeżywają inni. Mamy teraz dziecko i o nim musimy myśleć. Jestem po prostu zmęczona i to wszystko.

3

Pod koniec tygodnia odwieźli Doris na lotnisko w Memphis. Niebo było całkowicie zasnuwane chmurami i zanosilo się na deszcz. Doris żartowała ze swojego irracjonalnego strachu przed lataniem w czasie burzy, ale wyraz jej twarzy zdradzał, że poważnie traktowała swoje obawy, toteż Lily zmieniła temat i zaczęła mówić o ewentualnej wizycie w Wirginii. Kiedy się żegnali, Doris wymusiła obietnicę, że przyjadą całą rodziną na północ, jak tylko dziecko będzie mogło bezpiecznie znieść taką podróż. Tylerowi spodobał się pomysł powrotu do Wirginii i zaczął na to namawiać Lily już w czasie drogi powrotnej do domu. Mogli spokojnie znaleźć na to czas, mówił. Nic szczególnego nie trzymało ich w Missisipi. Lily nie chciała się nigdzie ruszać, dopóki nie nabierze wprawy w zajmowaniu się Mary, która ciągle nie przesypiała nocy, a w dodatku często miała ataki kolki i wymagała starannej opieki. Dwukrotnie byli już u pediatry, ponieważ dziecko ulewało mleka i dostało niewysokiej gorączki. Te dolegliwości mijały, potem wracały i znów przechodziły. Lekarz zapewnił ich, że nie ma się czym przejmować, jednak Lily denerwowała się mimo wszystko i za nic nie chciała jechać w najbliższej przyszłości na północ.

Nie rozmawiali więcej o planach Tylera dotyczących rezygnacji z pracy w salonie dealerskim i wstąpieniu do wojska. W miarę upływu czasu w Lily obudziła się nadzieja, że ta sprawa już nie wróci, gdzieś jednak na dnie pamięci cały czas żyło wspomnienie o niej.

Nie chciała, żeby wyjechał. Targały nią ambiwalentne uczucia, bo jednocześnie obawiała się tego, co będzie, jeśli zostanie, i jak będzie wyglądać ich życie teraz, z dzieckiem, kiedy Doris wróciła do siebie. Sprawy coraz bardziej się gmatwały. Sporadycznie zdarzało się, że spoglądała na swoje małżeństwo obiektywnie, tak jak socjolog patrzy na mieszkańców jakiegoś miasteczka; wydawało się jej wtedy podobne do łodzi pozbawionej steru, która dryfowała od jednej minuty do następnej, jeszcze bardziej pogmatwanej. Byli małżeństwem z małym dzieckiem; on wychodził do pracy każdego ranka i wracał do domu wieczorem; ona zwykle przygotowywała śniadanie, a kiedy zdarzał się wieczór, który spędzał w domu, właśnie gotował coś na kolację. W stosunku do siebie używali pieszczotliwych zwrotów, tak jak inne

małżeństwa; rozmawiali o tym, jak mu poszło w pracy albo jak ona spędziła dzień w domu; całowali się na dobranoc i na dzień dobry; pomagał zmieniać pampersy i robił zakupy; dla wszystkich innych stanowili świetnie dobraną parę. A jednak ciągle budziła się w ciemności, drżąc z przerażenia, i choć nie potrafiła sobie przypomnieć, co się jej śniło, to intuicja podpowiadała, że coś jest bardzo źle; i musiała opierać się z całych sił, żeby nie obudzić Tylera i nie zacząć mówić o tym głośno: o problemach, z którymi ona musi się borykać, gdyż jest dziecko, o którym trzeba myśleć, a ona chce utrzymać to małżeństwo, ponieważ kocha swojego męża. To właśnie była sprawa, która niepokoiła ją najbardziej - nie chciała stracić męża, a gdzieś w głębi duszy, pod strumieniem myśli, wątpliwości i drobnych utrapień, czuła, że wszystko zaczyna się jej wymykać. Doszła więc do tego, że starała się w ogóle nie myśleć. Przez całe tygodnie zachowywała się niezwykle powściągliwie, wracając powoli do zdrowia i dostosowując się do potrzeb niemowlęcia.

Kilka razy usiłowała sformułować jakąś odpowiedź na list Dominika, ale okazało się, że nie może wymyślić nic sensownego. „Kochany Dominiku, u nas wszystko w porządku. Powoli przyzwyczajamy się do tego, że mamy dziecko...”.

Któregoś popołudnia o mały włos do niego nie zadzwoniła. Zatelefonowała do biura numerów w Nowym Orleanie, dostała telefon Violet Beaumont i zapisała go. Przez długi czas stała obok stolika z aparatem, wpatrując się w ten numer. Wtedy jednak Mary rozplakała się w łóżeczku i rozproszyła ją do tego stopnia, że rozmowa stała się wykluczona. Później, gdy znów o tym myślała, wydało jej się to bezcelowe: musiałyby coraz bardziej wikłać się w kolejne kłamstwa.

Tyler nigdy nie wspominał o Dominiku. Raz, kiedy ona mówiła o nim i o Nowym Orleanie, rzucił:

- Chciałbym jeszcze kiedyś tam pojechać.

Tego wieczoru Tyler po powrocie do domu usiadł na tapczanie, kołysał dziecko na rękę i gruchał do niego. Lily przyniosła mu piwo.

- Dzięki - powiedział.

- Dzisiaj prawie zadzwoniłam do Violet Beaumont.

- Jakiej Violet?

- Tej od Dominika... tej pani, u której mieszkają Dominik i Manny.

Wstał, wsadził Mary do łóżeczka, ucałował, a następnie położył rękę na środku jej brzuszka i zaczął przesuwać ją tam i z powrotem.

- Mały żarłoczek - mruknął.

Potem bez słowa minął Lily, wszedł do kuchni i skierował się do lodówki. Poszła za nim.

- Myślisz, że moglibyśmy tam kiedyś pojechać?

- Jasne. Kiedyś. - Otworzył lodówkę i stał, gapiąc się na jej zawartość. - Co by tu zrobić dziś na kolację - zastanawiał się. - Jadłaś już?

- Tyler, pytałam cię o coś.

- A ja ci odpowiedziałem „Jasne. Kiedyś”. Jadłaś już coś?

- Tak.

Wziął z półki kawałek sera i zamknął drzwi.

- Moim zdaniem teraz powinniśmy porozmawiać na temat wizyty w Wirginii. Twój ojciec i Peggy jeszcze nie widzieli dziecka.

- Mary jest jeszcze za mała na tak długą podróż samochodem.

Wyciągnął z szuflady ze sztucami nóż i zaczął kroić ser na plasterki. Lily odniosła wrażenie, że celowo na nią nie patrzy.

- To ty zaczęłaś mówić o wyjeździe do Nowego Orleanu - zauważył zdawkowym tonem.

- To tylko pół dnia jazdy. To nie to samo co podróż do Wirginii.

- No dobrze, więc pojedziemy wolniej. Trzy albo cztery dni po pół dnia jazdy. Będziemy się zatrzymywać w miłych motelach i zamawiać obsługę do pokoju.

Odłożył nóż, wsunął kawałek sera do ust i zaczął przeżuwać. Zachowywał się całkiem bez troski. Trzymając w ręku następny kawałek sera, oparł się o blat.

- Zresztą mamy pieniądze na samolot, jeśli o to chodzi - powiedział.

Lily ogarnęła posępny nastrój, ale postarała się, aby jej głos brzmiał normalnie i ze zwykłą siłą.

- Posłuchaj, dlaczego tak strasznie chcesz jechać do Wirginii?

- A czemu tobie tak zależy na wypadzie do Nowego Orleanu? - Jego oczy rozszerzyły się w udawanym zdumieniu, ale na ustach dalej gościł uśmiech. - Ach, no oczywiście!

- Nie, wcale nie o to chodzi - zaprzeczyła Lily. - Nikt niczego nie musi mówić!

- No cóż, ale ktoś coś jednak powie, prawda?

- To nie w porządku.

- Wcale nie staram się być w porządku. Staram się tylko chronić swoją rodzinę.

Lily patrzyła bez słowa, jak wkłada do ust kolejny kawałek sera.

- Chciałbym, droga żoneczko, wyjechać do Wirginii - powiedział. - Chciałbym się wynieść z tej części kraju. Nie podoba mi się to, że on mieszka tak blisko. Jeśli wstąpię do armii, może skończy się na tym, że wyląduję w Niemczech albo jeszcze gdzieś dalej. Tego właśnie bym sobie życzył.

Lily dalej wpatrywała się w niego.

- A tymczasem dlaczego nie mielibyśmy polecieć do Wirginii? Kup bilety dla całej naszej trójki.

- Ty nie chcesz, żeby Dominik się dowiedział - odezwała się wreszcie. - Kiedykolwiek.

- Wyjaśnię ci, jak ja widzę tę sprawę - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Utrzymuję ciebie i dziecko. Wypełniam obowiązki ojca i we wszystkich innych aspektach poza biologią jestem ojcem. Powinienem ci powiedzieć, jak wygląda sytuacja, zanim się pobraliśmy, tak samo jak ty powinnaś mi powiedzieć, co ci się przydarzyło. Ja chcę mieć rodzinę i jesteśmy rodziną, podczas gdy Dominik, wybacz moją szczerość, jest pedalem i nie pragnie założyć rodziny ani nigdy nie chciał mieć dzieci, i jest mu z tym dobrze. Moim zdaniem absolutnie mamy prawo...

- Nie mogę uwierzyć... - próbowała mu przerwać, ale on mówił dalej, podnosząc głos.

- W porządku, więc to ja mam absolutne prawo, zgoda? Mam prawo wymagać, żeby to, co wiemy o dziecku, nie zostało ujawnione nigdy i nikomu. Nikomu, Lily, i nigdy.

Odwróciła się do niego plecami i udała się do pokoju dziennego, gdzie w łóżeczku spała Mary. Poszedł za nią aż do wejścia do pokoju i stojąc tam, patrzył, jak Lily wyjmuje małą z pościeli i siada, żeby ją nakarmić.

- Czy wreszcie się zrozumieliśmy? - zapytał. Nie odezwała się.

- Chcę usłyszeć odpowiedź - dodał po chwili.

- Odpieprz się - warknęła.

Wrócił do kuchni i przez dłuższy czas nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Raz czy dwa usłyszała, jak gdzieś się ruszył, aż w końcu powędrował do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Kiedy dziecko skończyło jeść, Lily odłożyła je do łóżeczka, poszła do kuchni i otworzyła puszkę z tuńczykiem. Wymieszała jej zawartość z majonezem, nałożyła ją na tost i zaniósła talerz do pokoju dziennego. Jadła w ciszy, siedząc na kanapie i kołysząc łóżeczko tam i z powrotem. Niewielkie protesty małej wkrótce zmieniły się w pojedyncze mruknięcia.

Tyler leżał w sypialni przykryty kocem i spał. Wślizgnęła się do łóżka i leżała, czekając, że może on coś powie. Ale najwyraźniej naprawdę pogrążony był we śnie, a wkrótce także ona

zasnęła. W środku nocy obudził ją koszmar i zobaczyła, że Tyler wstał i chodzi po przedpoko- przedpokoju. Sądząc po tym, jak poruszał się jego cień, było oczywiste, że jest wzburzony: co chwilę zaciskał pięści; wyglądało, że sam z sobą toczy jakiś spór. Pomyślała, że mogłaby wstać i pójść do niego, ale potem sobie przypomniała, jak skończył się wczorajszy wieczór i została tam, gdzie była.

W tych trudnych minutach wszystko wydawało się bez sensu.

Po chwili wrócił i z powrotem ułożył się w łóżku. Przez długi czas Lily była pewna, że każde z nich świetnie wiedziało, że drugie nie śpi, ale żadne nie odezwało się słowem.

4

Wyszedł o pierwszym brzasku, zanim jeszcze dziecko zaczęło się ruszać. Lily wędrowała po domu z Mary w ramionach i spoglądała przez wielkie okno na osrebrzone trawniki i drzewa, na oldsa na podjeździe i na ciemny nieukończony apartamentowiec naprzeciwko. Zaskoczyło ją, że wszystko to widzi zupełnie niezmienione, a potem przyszła refleksja, że tak naprawdę to nic nie uległo zmianie. To była tylko zła noc.

Wykręciła numer biura Tylera w salonie dealerskim, ale nikt nie odbierał.

Później ubrała ciepło niemowlę, wsadziła je do fotelika samochodowego i pojechała do miasta. Był szary, wietrzny dzień, ale w powietrzu czuło się już nadchodzącą wiosnę. Wiatr niósł balsamiczną woń, chociaż ciągle powiewał chłodem zimowego deszczu.

Lily spędziła godzinę w bibliotece, a następnie pojechała z powrotem do domu. Nikt nie dzwonił, nikt nie przechodził obok. Nakarmiła Mary, położyła i próbowała coś niecoś napisać. Skoncentrowanie się na pracy okazało się jednak niemożliwe. Po drugiej stronie drogi, na konstrukcji apartamentowca, razem z nastaniem cieplejszej pogody zapanował ruch; teraz nieustannie warczał generator i słychać było metaliczny łoskot kafara. W kuchni, gdy przygotowywała sobie krakersy z serem, zobaczyła, że Tyler wyjął z zamrażarki wołowinę; w ten sposób dowiedziała się, że ma zamiar wrócić wcześniej do domu. Włączyła płytę Police i zaczęła trochę sprzątać. Jediną rzeczą, którą miała do roboty przez cały dzień, było obserwowanie prac na budowie. W końcu usiadła na sofie przy świetle padającym z panoramicznego okna i zabrała się do czytania książki Mary Kingsley o Afryce Zachodniej.

Tyler wrócił do domu tuż przed zmierzchem. Wszedł do mieszkania, minął Lily i od razu poszedł do kuchni, gdzie zaczął przygotowywać kolację: pokroił selera, poszatkował pomidory

i urywał liście z główki sałaty. Lily stanęła w drzwiach kuchni i obserwowała go przez jakiś czas bez słowa. Tyler wyjął z lodówki wołowinę i zaczął przygotowywać kotleciki. Zrobił trzy.

- Nie jestem głodna - odezwała się.

Odsunął jeden kotlecik na bok, wrzucił bezkształtną masę do torebki, owinął i schował z powrotem.

- Tyler... - zaczęła.

Nie odpowiedział. Zapalił palnik pod patelnią i zaczął obsmażać mięso, odwrócony do niej plecami.

- W porządku - powiedziała.

Poszła z powrotem do pokoju dziennego i włączyła telewizor. Siedziała, gapiąc się na jakiś program, kiedy zjawił się tam z książką pod pachą, talerzem z kotletami, chipsami i piwem w rękę. Usiadł w drugim końcu kanapy, położył książkę, postawił talerz i rozerwał torebkę z chipsami. Kilka posypało się na podłogę. Podniósł je i położył na brzegu stołu, a potem wziął pilota i wyłączył telewizor; przerzucił kartki do miejsca, gdzie tkwiła zakładka, i zaczął jeść, i jednocześnie czytać antologię filozofii *Od Sokratesa do Sartre'a*. Lily tego właśnie popołudnia zdążyła odłożyć ją na półkę w przedpokoju, a wcześniej znalazła ją na podłodze w sypialni obok łóżka po stronie Tylera.

Odwrócił kartkę i ugryzł potężny kęs kotleta.

- Tyler, zachowujesz się jak dzieciak - odezwała się. - To niczego nie rozwiąże.

Odpowiedziało jej milczenie.

Wstała i podeszła do telewizora, ale po drodze zmieniła zamiar i usiadła na krześle naprzeciw niego.

- Tyler...

- Mówiłaś coś do mnie? - zapytał. Tym razem to ona nie odpowiedziała.

Znów ugryzł kęs i przeżuując, wpatrywał się w otwartą książkę. Słyszała, jak oddychał przez nos, gryząc jedzenie; cały czas wpychał do ust wielkie kęsy, łykał je chciwie i z roz-targnieniem, jakby był to tylko sposób na zaspokojenie głodu, a sam proces jedzenia nie sprawiał mu najmniejszej przyjemności.

- Tyler, posłuchaj... - zaczęła.

Spojrzał na nią z taką zaciętością, że aż ją zatkało.

- Teraz jem - odezwał się: - A jak jem, lubię się czuć odprężony i nie życzę sobie, żeby mnie ktoś denerwował. Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to później. Albo jeszcze lepiej -

napisz. Taaak - mówił dalej, najwidoczniej zadowolony, że przyszedł mu do głowy taki pomysł; mówił głośno, z otwartymi ustami, tak że mogła widzieć na wpeł pogryzione jedzenie na jego języku. - Podoba mi się ta myśl. Jest kurewsko dobra. Po prostu to napisz. Przeczytam, jak będę miał okazję; jak kiedyś się zdarzy, że w czasie moich pracowicie spędzanych w robocie godzin będę miał możliwość, żeby trochę pomyśleć albo znaleźć chociaż pięć cholernych minut.

- Od kiedy moje pisanie tak cię złości? - zapytała.

- A czy ja powiedziałem coś podobnego? - prawie na nią wrzasnął. - Nie, i ty dobrze o tym wiesz. Nie pamiętam, żebym powiedział coś podobnego. I sędzę, że nie powiedziałem. Ale, do diabła, co ja mogę wiedzieć?! Może i powiedziałem. A jeżeli tak było, cóż, proszę wybaczyć mi, ponieważ jeśli jest coś, czego absolutnie nie chcę zrobić, to nie chcę irytować się na ciebie z powodu... z jakiegokolwiek powodu.

- Dziecko - jęknęła Lily. - Czy byłbyś tak dobry... dziecko.

- Och, prawda! Dziecko! Jezu Chryste, zapomniałem o dziecku. Jak mógłbym ja - ojciec z urzędu - zapomnieć o dziecku. - Ostatnie zdanie powiedział, prawie krzyżąc.

I niemowlę zaczęło kwilić na dobre, rozległ się przerażony, przestraszony płacz. Lily poderwała się na równe nogi, łkając, i sięgnęła do łódeczka.

- I co, bardzo jesteś teraz z siebie dumny?

Na chwilę się uspokoił, a potem podniósł książkę i rzucił ją przez całą długość pokoju. Uderzyła z hukiem o ścianę i strąciła wiszący na niej obrazek - reprodukcję *Błękitnej katedry* Moneta, którą kupiła Lily. Potem wstał i wyszedł do kuchni; usłyszała odgłos puszczanej wody i brzęk talerzy w zlewie. Mary zanosila się od płaczu i drżała w jej ramionach, wykręcając się w stronę wejścia do kuchni. Lily wróciła do sypialni i położyła się do łóżka, kołysząc niemowlę, które ciągle zawodziło, narzekało i drżało, dygocząc na całym ciele. Lily także płakała.

W końcu zamieszanie w sąsiednim pomieszczeniu ustało, za to pojawiło się kolejne źródło hałasu - telewizor. Jego dźwięk uspił Lily, gdy karmiła Mary.

Obudziła się, gdy próbował podnieść dziecko.

- Nie dotykaj jej! - wrzasnęła natychmiast i dziecko znowu zanosilo się płaczem.

Tyler stał obok nich - ciemny, niewyraźny kształt rysujący się na tle światła padającego zza jego pleców z przedpokoju. Przyciągnęła do siebie Mary i czekała, co on teraz zrobi.

Pozostał w tej pozycji przez kilka chwil, a potem przeszedł jak gdyby nigdy nic przez cały dom aż do drzwi frontowych, otworzył je i wyszedł. Nie zatrzasnął ich za sobą. Lily podniosła się z łóżka akurat na czas, żeby zobaczyć, jak odjeżdża wozem służbowym. Ruszył szybko, z piskiem opon; tylne światła rozpląły się na drodze i samochód zniknął w ciemnościach.

Nakarmiła Mary, a potem przyglądała się, jak mała śpi. Było za późno, żeby dzwonić do kogokolwiek. Za późno, żeby gdzieś jechać. Słuchała cichego oddechu, lekkich westchnień i poruszeń i czuła, jak ogarnia ją strach. Noc zdawała się nie mieć końca. Lily nie mogła sobie wyobrazić, że gdzieś tam właśnie świeci słońce. Wreszcie zapadła w balansującą na krawędzi jawy drzemkę, pełną obaw i złych przeczuć. Ocknęła się, kiedy usłyszała, jak Tyler niepewnym krokiem przechadza się po pokojach. W końcu stanął na progu sypialni. Leżała w bezruchu z zamkniętymi oczyma. Stał tak przez dłuższy czas, aż wreszcie zatoczył się z powrotem i powędrował do pokoju dziennego, gdzie włączył telewizor. Nasłuchiwała może jeszcze przez godzinę, zanim znowu zapadła w sen.

Mary obudziła ją przed świtem. Lily usiadła i wzięła ją na ręce, nakarmiła, a kiedy mała skończyła jeść, przewinęła i odłożyła z powrotem. Ale Mary nie miała teraz ochoty spać. W sąsiednim pokoju ciągle grał telewizor, Lily wstała więc z łóżka i poszła tam. Tyler siedział na kanapie z głową odrzuconą do tyłu, otwartymi ustami, pogrążony w głębokim śnie. Przed nim na stoliku stały dwie butelki po piwie. Wyłączyła telewizor i ruszyła do drzwi.

- Ja to oglądam.

Bez słowa wróciła i włączyła z powrotem.

- Dziękuję.

Wróciwszy do sypialni, ubrała się i znowu przewinęła Mary. Z pokoju dziennego nie dobiegał żaden dźwięk. Przez jakiś czas siedziała więc na łóżku, trzymając dziecko spoglądające na nią oczyma, w których zdawała się mieścić cała niezmierna wiedza o wszechświecie.

Tyler też już wstał i krążył po pokoju, pokaślując, chrząkając i wzdychając. Lily podniosła się, wzięła głęboki oddech, zebrała całą odwagę i weszła do pokoju dziennego. Stał przy otwartym oknie, niechlujnie ubrany, i przeczesywał palcami włosy. Położyła dziecko na kanapie, wyciągnęła z szafy swoją walizkę i zaczęła wkładać do niej rozmaite przedmioty: ubrania z szuflad w toaletce, niektóre z rzeczy kupionych przez Millicent i Doris dla dziecka.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał beznamiętnym tonem.

- Nie wiem - powiedziała. - Byle daleko stąd.

- Ja już idę. Nie ma powodu, żebyś wyjeżdżała. Popatrzyła na niego.

- Muszę iść do pracy. Pamiętasz? - Wpatrywał się w nią, ale jego twarz nic nie wyrażała, podobnie jak oczy, chociaż były przekrwione i wзираła z nich irytacja. - Teraz rozumiem, jak to widzisz.

Nie przerywała pracy: ułożyła w stos bluzki i sukienki, których nie nosiła od czasu, kiedy znów zaczęła się pokazywać; zgromadziła swoje zapiski dotyczące sztuki, listy i niektóre książki - wszystko, co się zmieściło.

- Masz zamiar nieść i to, i dziecko?

- Dam sobie radę.

Zrobił krok w jej kierunku i złapał ją za łokieć. Nie był to brutalny gest, ale Lily odsunęła się tak gwałtownie, jakby próbował ją uderzyć.

- Przepraszam - powiedział. - Posłuchaj Lily, przepraszam cię. Pozwoliłem, żeby poniósł mnie temperament. To się więcej nie powtórzy.

- Myślisz, że chodzi tylko o ten jeden moment? - zapytała.

Jego rysy złagodniały; opuścił głowę, a potem odwrócił się od okna i zobaczyła, że oczy mu zasły łzami, które spływają po policzkach.

- Przepraszam za wszystko. - Pociągnął nosem. - Czy mogłabyś mi dać jeszcze jedną szansę? Nigdy wcześniej nie musiałem stawić czoła czemuś takiemu.

- Dla mnie to też coś nowego - odpowiedziała.

- Posłuchaj... mieliśmy to jedno... to nieporozumienie. Nie było mnie - w porządku - nie było mnie wtedy kiedy rodziłaś dziecko. Stchórzyłem i za to przepraszam.

Usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach. Przez jedną chwilę zapomniała o jego obecności: była po prostu tylko ona, dziecko i jej żal.

- Zachowywałem się poniżej wszelkiej krytyki - ciągnął. - Pozwoliłem, żeby to mną zawładnęło.

- Proszę cię, idź już - zdołała wykrztusić. - Spóźnisz się do pracy.

Podszedł do miejsca, gdzie siedziała i ukląkł przed nią.

- Obiecuj mi, że nie wyjedziesz, kiedy będę poza domem. Proszę, Lily, nie odchodź. Kocham cię. I kocham Mary. Ja... ja po prostu starałem się chronić to... moją... to, co ja... na co pracowałem. Moją rodzinę. Nic innego... nic nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, tylko to, Lily. Przysięgami. Ty... ty zaczęłaś mówić o Nowym Orleanie i poczułem, że się boję.

Matka porzuciła mnie, kiedy miałem pięć lat. Czy możesz sobie wyobrazić, co to dla człowieka znaczy? Zacząłem się bać, że może mi się to znowu przytrafić. Ja nie... chyba bym nie zniósł, gdyby to się znowu wydarzyło. Nic na to nie poradzę. Lily, proszę.

Położył głowę na jej kolanach i rozplakał się. Pieszczotliwie dotknęła jego włosów, żeby choć trochę go uspokoić. Przyszło jej na myśl, że w pewnym sensie był ciągle tym małym chłopcem, który został opuszczony przez matkę, i że teraz musiał się zmierzyć z czymś, czemu nie mógł przeciwdziałać ani na co nie mógł znaleźć stosownej odpowiedzi; nie istniało wyjście z sytuacji, tylko większe cierpienie - troski, które będą tylko narastać, nawet gdy dzielnie stawi im czoło. Stwierdziła, że budzi w niej współczucie, dlatego delikatnie uwolniła się z ramion Tylera i popchnęła go tak, że się wyprostował. Jego chłopięca twarz o regularnych rysach była zalana łzami.

- Musisz iść już do pracy - powiedziała łagodnie. - Spóźnisz się.

- Obiecuj, że mnie nie zostawisz.

- Obiecuję, Tyler. Proszę cię... Podniósł się z podłogi.

- Tak mi przykro - powiedział.

Nie przyszło jej do głowy nic, co mogłaby mu teraz powiedzieć.

- Kocham cię - dodał.

Wpatrując się w niego, wymamrotała: „Ja też cię kocham”, a potem wstała i objęła go mocno.

- Będę się lepiej zachowywał - wyszeptał jej do ucha. - Taki mam zamiar. Zobaczysz.

5

Nadejściu wiosny towarzyszyły ulewne deszcze, posępne szare dni i wiatr. W delcie zaczęła się powódź, a budowa apartamentowca utknęła w martwym punkcie. W ostatnim tygodniu marca Sheri wszystkim oznajmiła, że niewykluczone, iż jest w ciąży. Millicent planowała przyjęcie, które miało odbyć się na zewnątrz, przy basenie. Cały dzień jednak padało i wszyscy zgromadzili się wewnątrz domu. Millicent zatrudniła trzech muzyków z Nowego Orleanu: gitarzystę, skrzypka i basistę, żeby umilić czas gościom. Skrzypek był młodym mężczyzną o opalonej na brąz skórze i dość przystojnym. Kiedy grał, dziecko zawieszona w nosidełku odwracało się buzią w stronę brzucha Lily i wydawało z siebie piszczące dźwięki, spoglądając szeroko otwartymi oczkami. Lily patrzyła na podskakującą główkę pokrytą

nowymi jedwabistymi czarnymi włoskami i widziała, że inni także śmieją się i mruczą coś do siebie na temat zachwyty widniejącego na dziecięcej twarzyczce. Millicent potem powiedziała, że przyjęcie odniosło sukces właśnie dzięki dziecku.

Przy końcu spotkania Millicent oznajmiła wszystkim o swoim zamiarze poślubienia Rogera Gaulta. Ślub miał się odbyć na jesieni. Następnego dnia Sheri zadzwoniła do Lily z płaczem, że jednak, że wcale nie jest w ciąży.

- Mówię ci, kochanie, byłam szczęśliwa, potem przerażona, a wszystko wydawało się takie wspaniałe i piękne, jak prześliczny sen, a teraz jest... okazało się, że to było... niczym. Po prostu niczym.

- To się zdarza - pocieszyła ją Lily.

- Nie wydaje mi się, żeby Nick spał ze mną więcej niż dwa razy od stycznia.

- On jest po prostu strasznie smutny.

- Tak samo jak ja - załkała Sheri. - Tęsknię za ojcem. Chciałabym, żeby to nigdy się nie wydarzyło. I tęsknię za dawnym Nickiem.

- Wiem - powiedziała Lily. - On próbuje znaleźć własną drogę i to musi być dla niego okropne.

- Widziałam się w zeszłym tygodniu z Davidem.

Lily przycisnęła słuchawkę do policzka i popatrzyła na śpiące maleństwo.

- Musiałam po prostu porozmawiać z kimś, kto nie jest przytłoczony tym... tym cierpieniem.

Lily nie odzywała się, nasłuchując słabych łkań na drugim końcu.

- Przepraszam - rzekła w końcu Sheri.

- Nie przepraszaj - odparła Lily. - Naprawdę, Sheri. Proszę... dziecko się obudziło.

- Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. Jestem tylko człowiekiem. Nie wiem, czego Nick się spodziewa.

- Sheri, dziecko...

- Wiem, wiem! Dziecko.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. - Wymawiając to, Lily poczuła, jak serce jej zamiera, tak pusto i bezdusznie zabrzmiały te słowa.

- Sama nie wiem, dlaczego ci to mówię - powiedziała Sheri. - W końcu masz dość własnych kłopotów.

- Nikt niczego się ode mnie nie dowie - odparła Lily.

Znowu usłyszała stłumione odgłosy, kiedy Sheri usiłowała się opanować. Chwilę później westchnęła, przeprosiła za swoje zachowanie i pożegnała się z Lily.

6

1893

Pokonawszy drogę z Kabindy do Kacongo, prowincji należącej do belgijskiego króla Leopolda, mogę powiedzieć, że zaczynam poznawać ten kraj. W Kacongo ludność dziesiątkują śpiączka i czarna ospa. Widziałam całe wioski, których mieszkańców zabiła „plamista zaraza”. Już to jest okropne, ale jeszcze straszniejszy jest widok mnóstwa dorosłych i dzieci znajdujących się w ostatnim stadium upiornej śpiączki - letargicznych, półprzytomnych, bez choćby odrobiny energii, patrzących na świat pozbawionym wyrazu wzrokiem. Są także trędowaci, w których zdeformowanych postaciach niekiedy trudno doszukać się podobieństwa do ludzi. Tak jak wszędzie, również tu, w Afryce, wszyscy unikają ich towarzystwa, ale z odmiennych powodów; otóż uważa się tutaj, iż trędowaci są pod działaniem złego uroku i nie zdają sobie sprawy ze swojej choroby. Trudno się temu dziwić, bo przecież nic nie świadczy o tym, żeby choroba ta mogła mieć jakąś inną przyczynę, i nie ma żadnego sposobu, aby jej zapobiec lub ją wyleczyć. Cierpią, a ich cierpienie jawi im się jako coś w okrutny sposób sensownego.

W pewnej małej wiosce ujrzałam na kijach pięć odrażających przedmiotów otoczonych rojem brzęczących much. Podeszedłszy bliżej, stwierdziłam, iż są to ludzkie narządy: wątroby i płuca. Kiedy z lękiem zapytałam o przyczynę, dla której się tam znalazły, przewodnik, który pochodził z tejże wioski i przeprowadził mnie przez wiele innych, rzekł, iż znaleziono je w ciałach szamanek zmarłych na „plamistą zarazę”. Nieco później tego samego tygodnia młoda kobieta zmarła - jestem tego pewna, ponieważ przeprowadziłam autopsję - z powodu zwykłego pęknięcia tętnicy brzusznej, tubylcy zapewniali mnie jednak, iż przyczyną jej śmierci były czary.

- Ona wcale nie być chora, a potem zaraz umrzeć. Ona zaczarować sama siebie.

Zdaniem najlepszych wioskowych ekspertów zginęła od czarów, które w sobie nosiła.

Z Kacongo podążyłam dalej, zatrzymując się w wioskach, handlując z ich mieszkańcami, a także wędrując tu i tam i uzupełniając zbiory. Moja waliza stała się już tak ciężka, że nawet tragarze mają problemy z jej niesieniem. Kiedy tylko mogłam, szłam, rezygnując z hamaka, w którym większość Europejczyków zdaje się znajdować nadzwyczajne upodobanie. Czułabym się

głupio, gdyby inni mnie nieśli niczym jakąś jarmarczną królową. Szłam więc i starałam się sama troszczyć o własne potrzeby. Spotkałam wielu Fjortów - dumnych, szczęśliwych i przyglądających mi się z nieskrywaną sympatią, ale też w wielu miejscach spore zdziwienie wywoływał fakt, że podróżuję bez męża. Informowałam wówczas, że małżonek ma do mnie dołączyć przy najbliższej sposobności. Tak było po prostu łatwiej, co wcale nie znaczy, że mnie to nie irytowało. Na rzece Kongo ponownie wsiadłam na pokład Lagos i popłynęliśmy do Matadi. Kiedy mijaliśmy wzburzoną kipiela u ujścia jednego z dopływów zwanego Wrotami Piekła, na okolicznych wzgórzach wypalano busz; nigdy bym nie uwierzyła, że płomienie mogą sięgać aż tak wysoko, prawie do nieba przesłoniętego gęstymi obłokami dymu. Opis tych okolic, który znalazłam w książce Stanleya, nijak ma się do rzeczywistości - podejrzewam, a właściwie jestem pewna, że ja także nie sprostam wyzwaniu. Nocą nie mogliśmy oderwać wzroku od tego niezmiernie krwistoczerwonego blasku.

W Matadi przesiedliśmy się na kolej Wolnego Państwa Kongo. Uczyniliśmy to nie bez poważnych obaw, ponieważ nawet tu, na tym kontynencie i w tym klimacie, gdzie za najdrobniejszy błąd można zapłacić najwyższą cenę, podróż tą koleją uważana jest za coś wyjątkowo niebezpiecznego. Tymczasem - z wyjątkiem nerwowej godziny spędzonej nad wielusetmetrową przepaścią w oczekiwaniu na naprawienie obłuzowanej szyny - nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Naturalnie przed wejściem do wagonu musieliśmy podpisać dokument, w którym zwalnialiśmy dyrekcję kolei z wszelkiej odpowiedzialności za nasze życie i zdrowie.

A teraz wracam do domu.

Wędrowałam pieszo po Afryce i siedziałam w łodzi na mieliźnie, czekając na pożarcie przez krokodyla. Zbierałam okazy dla British Museum i postępowałam jak naukowiec we wszystkich, nawet najbardziej mroźnych krew w żyłach okolicznościach. Przerazenie zwiastowało swoje nadejście miedzianym smakiem na języku. Czując ten smak, wiem, że nadeszła pora działania. Więc działam albo reaguję. Szybko pojęłam, że reakcja bywa często lepsza od działania. Każdy ruch, wszystko jedno w jakim kierunku, neutralizuje paraliżujące działanie strachu. To naukowe spostrzeżenie.

Jednej z ostatnich nocy, jakie spędziłam w buszu, poszłam na spacer w pełni świadoma niebezpieczeństwa, które zawsze czyha w takich miejscach, ciesząc się nim i doświadczając rozkosznego dreszczyku emocji. Chciałam sprawdzić, jak wygląda rzeka z wysokości dwóch, trzech metrów nad powierzchnią ziemi. Szukając odpowiedniego drzewa, żeby się na nie wspiąć, szłam ścieżką i w pewnej chwili spotkałam kilku Afrykanów w rytualnych strojach

wykonanych ze skór zwierząt, ozdobionych paciorkami i naszyjnikami z lwich klów. Natychmiast poczułam w ustach znajomy smak, po czym odwróciłam się na pięcie, by się szybko i bezszelestnie wycofać, domyśliłam się bowiem od razu, że natrafiłam na zgromadzenie jakiegoś tajnego bractwa i jeśli zostanę dostrzeżona, to najprawdopodobniej będzie to mój ostatni spacer nie tylko w afrykańskim, ale w jakimkolwiek lesie. Tajne bractwa nie przepadają za nieproszonymi gośćmi, szczególnie kobietami, i z reguły mają im do zaproponowania jedynie szybką - a czasem wcale nie tak szybką - śmierć. Tak więc usiłowałam oddalić się dyskretnie, zostałam jednak dostrzeżona i zanim się obejrzałam, dwóch wystrojonych dżentelmenów trzymało mnie za ramiona i prowadziło w głąb lasu. Sądzę, że określenie „łagodna stanowczość” najlepiej oddaje sposób, w jaki ze mną postępowali. Nie protestowałam, ponieważ intuicyjnie wyczułam, że zależy im na zachowaniu dyskrecji. Jeden z nich wydawał szeptem polecenia, ale niewiele mogłam z nich zrozumieć. W pewnej chwili zaczęli wydawać przedziwne dźwięki; wiedziałam, że odgłosy wydobywają się z ich gardel, lecz w tych pojękiwaniach, zawodzeniach, szczeknięciach i skowytach nie było zgoła nic ludzkiego. Wreszcie umilkli, a po chwili dotarliśmy do obszernej polany. Nie wiem, jak długo staliśmy bez ruchu i bez słowa; w końcu z drzew zaczęły ostrożnie schodzić małpy, by przypatrzeć się zagadkowym postaciom, i zostały błyskawicznie schwyte. Uświadomiłam sobie, że znalazłam się w towarzystwie łowców małp. Działali w ten sposób, że starali się wywołać ciekawość małp, zaintrygować je i zadziwić, a ja, ma się rozumieć, byłam najdziwniejszym zjawiskiem, na jakie kiedykolwiek się natknęli. Po udanych łowach traktowali mnie bardzo grzecznie i z wielkim szacunkiem; obawiałam się, że uznają mnie za coś w rodzaju maskotki i zechcą zatrzymać na zawsze.

Wkrótce wsiądę na pokład innego statku, La Rochelle, płynącego do Brytanii. Niewiele brakowało, bym napisała „do domu”, przyjaciółko.

W Libreville, w Kongu Francuskim, po raz pierwszy od wielu miesięcy otaczają ją ludzie mówiący po angielsku. Mary łapczywie chłonie każde słowo i niemal zmusza ludzi do mówienia, byle tylko móc się pławić w rozkoszy obcowania z ojczystym językiem. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wielkiego wysiłku wymaga od niej porozumiewanie się z Afrykanami, Holendrami, Francuzami i Portugalczykami; zupełnie jakby jakaś część jej świadomości trwała w ciągłym pogotowiu od tak dawna, że dopiero teraz, kiedy ta czujność nie jest już potrzebna, niespodziewana ulga świadczy o ogromie nieuświadomianego trudu. Jest głęboko wdzięczna za najdrobniejsze rzeczy, czasem nawet za jedno słowo, pozdrowienie, życzenie miłego dnia.

La Rochelle pełną parą płynie na północ do Kamerunu i widocznej z oddali góry zwieńczonej koroną śniegu. W Kamerunie mówią po niemiecku; Mary schodzi na brzeg w towarzystwie kapitana statku Harrisona, którego pociągła twarz, wysoki głos i salonowe maniere niezmiernie działają jej na nerwy. Powietrze jest ciepłe, nieruchome, wyjątkowo przejrzyste, tak że w oddali tylko błękitnieje, bez śladu jakiegokolwiek mgiełki. Aż boli ją od tego serce, ponieważ zdaje sobie sprawę, że w Anglii właśnie zaczyna się zima.

W porcie na schodzących z pokładu czeka zakonnica o niespokojnej, zatroskanej twarzy. Ma zapadnięte, poorane bruzdami policzki i oczy, które z daleka wydają się bezbarwne; z bliska Mary przekonuje się, że są bladoniebieskie, a jedno z nich jest ślepe. Źrenicę pokrywa jakaś błękitna membrana.

- Angielka? - pyta ją zakonnica.

- Tak.

- Misjonarka?

Mary kręci głową i już rusza dalej, ale coś w wyrazie tych błękitnych oczu sprawia, że się zatrzymuje.

- Znam się trochę na medycynie.

- Niedaleko mamy chorobę. W osadzie. Gorączka. Kapitan Harrison stoi kilka kroków dalej, ale słyszy wszystko.

Kłania się lekko zakonnicy, po czym mówi do Mary:

- Będziemy stali w porcie przez dwa tygodnie, panno Kingsley.

- Proszę prowadzić - zwraca się Mary do zakonnicy.

Droga jest dłuższa i bardziej męcząca, niż wynikało z zapowiedzi. Idą pod górę w głąb coraz gęstszego lasu. Mary z trudem oddycha gorącym i wilgotnym powietrzem. W końcu, po kilku odpoczynkach i w towarzystwie jeszcze jednej młodszej zakonnicy, której wspinaczka sprawia najwięcej problemów, zaczynają karkołomne zejście, w którym towarzyszą im roje owadów, by nareszcie dotrzeć na otwartą równinę ciągnącą się daleko na południe i ograniczoną z jednej strony przez dopływ rzeki Kongo. Osada składa się zaledwie z kilku wzniesionych na palach chat o trzcinowych dachach. Właśnie tam leżą chorzy: dwudziestu trzech mężczyzn w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu jeden lat, niektórzy w bardzo złym stanie, z objawami wskazującymi na biegunkę i wysoką gorączkę. W jednym z nich Mary rozpoznaje Deerfortha. Powtarza kilka razy jego nazwisko, lecz on nie reaguje. Bredzi w malignie, broni się przed pełzającymi po nim robakami. Przytrzymuje go z pomocą

błękitnookiej zakonnicy. Dopiero teraz uświadamia sobie, że nawet nie zapytała o kobiety w habitcie o imię.

Zarządza, by wszystkich chorych umieścić w centralnie położonej największej chacie, w której znajdują się niewielkie zapasy chininy i innych środków zwalczających gorączkę. Teraz zakonnice będą mogły łatwiej doglądać podopiecznych i szybciej usuwać zmarłych. Pierwszej nocy umiera dwóch mężczyzn. Mary czuwa przy łóżku Deerfortha. Chory ma tak wysoką gorączkę, że w każdej chwili może nastąpić najgorsze. Mijają jednak godziny, a on majaczy, zapada w niespokojną drzemkę, znowu majaczy, i wciąż żyje. Mary kładzie mu na czole mokre kompresy, które wysychają w okamgnieniu. Nad ranem Deerforth zaczyna rozpaczliwie chwytać powietrze. Mary wzywa zakonnice i bezradnie stoi u wezglowia, podczas gdy tamta udziela ostatnich sakramentów.

- Deerforth - mówi głośno. - Jednak udało nam się znowu spotkać. Jestem przy tobie. Nie umierasz i nie jesteś sam. Powiedz coś do mnie. Chciałabym wiedzieć, dokąd wyruszyłeś po tym, jak wylądowaliśmy w Saint Paul de Luanda. Opowiedz mi o tym, proszę.

- Obawiam się, że to już niedługo - odzywa się zakonnica. - Panie zmiłuj się nad jego duszą.

- Proszę przestać.

Siada na łóżku, bierze go za rękę. Jego skóra aż parzy. Mary zaczyna szlochać.

- Deerforth...

Zakonnica zmienia mu kompres na czole. Nagle jego ciałem wstrząsa gwałtowny dreszcz, otwiera szeroko oczy.

- Ach... - mówi. - Bóg.

Nieruchomieje, wpatrując się w pustkę szeroko otwartymi oczami.

Po jakimś czasie Mary, wciąż łkając, zamyka mu powieki. Zakonnica przygląda się jej uważnie.

- Dobrze go pani znała? Mary nie odpowiada.

- Kto to był?

- Przyjaciel.

- A więc znała go pani.

- Tak. Nie. Niezbyt dobrze.

- Jaki ogromny wysiłek towarzyszy przejściu na tamtą stronę - mówi zakonnica. - Ciało za nic nie chce rozstać się z duszą.

- Niech nas siostra zostawi. Proszę.

Zakonnica wychodzi. Mary w milczeniu krzyżuje Deerforthowi ręce na piersiach i podwiązuje mu szczękę szmatą, którą chłodziła mu czoło. W ciszy szykuje go do grobu - w Afryce cisza zapada tylko w takich okolicznościach. Szlocha, wspominając matkę i ojca i rozmyślając nad tajemnicą przemijania. Życie zupełnie nie przypomina wyobrażeń o nim ludzi z „towarzystwa”.

Przed końcem tygodnia umiera jeszcze czterech chorych. Mary na zmianę z zakonnicami czuwa przy łóżkach i kopie groby. Wokół roi się od owadów; w myślach nazywa chatę Willą Stonóg. Pozostali - zakonnice i dwaj lekarze, którzy przybyli z pomocą - nie mogą się nadziwić jej sile, odwadze i wytrwałości. Mówią jej o tym.

- Pierwszy raz mam okazję przebywać w towarzystwie kogoś rzeczywiście odważnego - powiada jeden z nich, o wyglądzie doświadczonego handlarza i manierach smutnego, zmęczonego, podstarzałego proboszcza. Rzeczywiście jest księdzem i już co najmniej od dziesięciu lat mocno szwankuje na zdrowiu. Prześladują go dokuczliwe nawroty gorączki, w jego oczach widać głębokie rozczarowanie, kości czaszki ostro i wyraźnie rysują się pod cienką, napiętą skórą. Nazywa się Empson, ale zakonnice, ma się rozumieć, mówią do niego „ojcze”. Często przygląda się Mary z takim wyrazem twarzy, jakby nie wierzył własnym oczom. Powtarza, że był o krok od utraty wiary i że spotkanie z nią odmieniło jego życie.

Mary broni się żartami na temat upału, duchoty i niezliczonych owadów i pajaków. Tego ranka rozgniotła skorpioną.

- Mówię szczerą prawdę - upiera się Empson. - Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się spotkać rzeczywiście odważnego człowieka. Widywałem głupców, idiotów, pyszałków i morderców, ale nie ludzi odważnych. To przeżycie wstrząsnęło mną do głębi.

Mary lekko unosi barki - to takie jakby niedokończone wzruszenie ramionami. Jest noc, z koron drzew dobiegają zwierzęce jęki, skowyty i westchnienia. Małpi wrzask, przeraźliwy jak krzyk kobiety. Mary zabija stonogę, zrzuca ją ze stołu i zaczyna opowieść o swoim pierwszym dniu w Afryce, kiedy uciekała przed małpą o psim pysku i wpadła przez sufit do magazynu bawełny. Czyni to po to, żeby go rozbawić, on jednak tylko wpatruje się w nią poważnie, niemal nabożnie, jak człowiek, co wreszcie odnalazł ideał, w którego istnienie zdążył już prawie zwątpić.

- Doktorze Empson, pan mnie zawstydzą.

- Proszę mi wybaczyć.

Nieco ponad tydzień później gorączka ustępuje, ci, którzy przeżyli, wracają do domów albo czują się już na tyle dobrze, żeby planować powroty, zmarli spoczywają w grobach. Atak choroby minął. Mary pakuje rzeczy, odwiedza skrawek wzruszonej ziemi, pod którą leży Deerforth, żegna się z lekarzami i zakonnicami, po czym samotnie wyrusza w drogę powrotną do portu. Zbliżają się święta. Siąpi drobny deszcz, wkrótce jest przemoczona do suchej nitki. Podąża rozmiękłą ścieżką, zdając sobie sprawę, że oto jej podróż dobiega końca, bardzo tego żałuje. Myśl o powrocie do Anglii jest jej dziwnie obojętna. Ta mała, wietrzna wyspa ze swoimi miastami i imperium, a także znacznie większa, przesiąknięta krwią Europa wydają jej się czymś nierealnym, zapamiętanym jedynie ze snów, a więc nieosiągalnym i bynajmniej niegodnym pożądania.

Nie chce tam wracać.

La Rochelle płynie na północ do Calabaru i biur protektoratu Brytyjskiego Wybrzeża Nigru. Podczas gdy trwa załadunek oleju palowego, który ma zostać dostarczony na Ojczystą Wyspę, jak mawia kapitan Harrison, Mary dokonuje szczegółowego przeglądu zebranych okazów flory i fauny, kolekcji amuletów, paciorków i figurek, porządkuje katalog zbiorów oraz pisze kilka listów. Wciąż trudno jej uwierzyć, że wraca do Anglii. Minuty wydają jej się coraz dłuższe i niemal może sobie wyobrazić, że tak będzie przez resztę jej życia.

Wieczorem wraz z kapitanem Harrisonem i dwoma marynarzami płynie szalupą na brzeg. Tutaj także pada. W drodze do biura protektoratu kapitan szarmancko osłania ją parasolką i zabawia rozmową o dzikusach - tak ich nazywa - mijanych na ulicach. Mary słucha go w milczeniu. Biura mieszczą się w budynku z dużym, otoczonym murem dziedzińcem. Kapitan Harrison przedstawia ją człowiekowi nazwiskiem MacDonald, głównemu administratorowi protektoratu. Jest to wysoki, postawny mężczyzna o wypukłej piersi i siwiejącej brodzie tak krótko obciętej, iż z daleka prawie jej nie widać.

- Słyszałem o pani, panno Kingsley - mówi głębokim barytonem. - Znam kapitana Murraya z *Lagos*. Widziałem się z nim zaledwie przed tygodniem.

- Jak się miewa?

- Wyruszył do Anglii. Sądzę, że powinien już dotrzeć do Wysp Kanaryjskich. Opowiadał o pani z prawdziwym zachwytem.

- Jak pan widzi, nie ma się czym zachwycać.

- Jeśli pani pozwoli, przychylę się raczej do jego opinii.

Mary z uśmiechem kiwa głową. Takie rozmowy nieodmiennie ją irytują, ponieważ z założenia może w nich uczestniczyć wyłącznie dlatego, że jest kobietą i właśnie jako kobieta jest oceniana. Mężczyzna, który przeszedłby przez to samo co ona ostatnio, nie wzbudziłby niczyjego zainteresowania. W oczach MacDonalda migoczą jednak iskierki rozbawienia i autoironii, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z jej uczuć i mówił to, co mówi, wyłącznie na użytek kapitana Harrisona. To taki mały spisek ich dwojga.

- Skoro uważa mnie pan za tak nadzwyczajne zjawisko, to nie powinno pana zdziwić, że postanowiłam wrócić do Afryki tak prędko, jak to tylko będzie możliwe.

- Naturalnie. Powinniśmy pozostawać w kontakcie. W Anglii z przyjemnością przedstawię panią mojej żonie, lady MacDonald. Ma na imię Ethel. To paskudne imię, ale moja żona jest wspaniałą kobietą. Na pewno ją pani polubi.

- Nie wątpię.

Przy herbacie kapitan Harrison opowiada o nieudanych próbach zmierzających do wpojenia dzikusom wartości chrześcijańskich. Jego zdaniem próby te są z góry skazane na niepowodzenie. Jest gorącym zwolennikiem handlu, choć postrzega go jedynie jako sposób powiększania potęgi i bogactwa imperium. Nie widzi powodu, żeby zabiegać o zachowanie w nienaruszonym stanie życia w odkrywanych rzekach, lasach i zatokach. Jego największym marzeniem jest jak najszybszy powrót na Ojczystą Wyspę.

MacDonald popija herbatę i spogląda ponuro na Mary, czekając, aż kapitan Harrison skończy mówić.

- Ojczysta Wyspa... Od dawna nie słyszałem tego określenia.

- Będę szczęśliwy, kiedy wreszcie nie będę musiał tu pływać. Przyznam bez wstydu, że dotarłem do kresu wytrzymałości. Oddałbym wszystko za uczciwą angielską zimę.

Przy pożegnaniu MacDonald wręcza jej kartkę z napisanym odręcznie adresem.

- Tam znajdzie pani moją żonę. Mam nadzieję, że zostanieie przyjaciółkami.

- Sądzę, że pańskie nadzieje nie są bezpodstawne. Cofa się o krok i z zadowoleniem kołysze się na piętach.

- A mnie się wydaje, że już zdobyłem nowego przyjaciela.

- Może pan zaufać swoim przeczuciom.

Idąc z kapitanem Harrisonem ulicą, odwraca się i widzi MacDonalda stojącego w bramie wiodącej na dziedziniec. Macha do niego, a on do niej.

- To dobry człowiek - mówi kapitan. - Zawsze go lubiłem.

Mary postanawia zignorować tę uwagę, rzuconą pełnym wyższości, a zarazem pobłażliwym tonem, choć od razu nachodzi ją refleksja, że być może zbyt surowo ocenia kapitana. W ogóle angielskie podejście do spraw Afryki coraz bardziej ją irytuje, przypuszczalnie dlatego, że stara się na nie patrzeć z punktu widzenia rdzennych mieszkańców kontynentu. Nie zamierza zmieniać tego podejścia, wręcz przeciwnie - jest jej z tym bardzo dobrze.

Wpatrzona w przesuwający się brzeg tego tajemniczego, dziwnego i cudownego kontynentu, odwiedzając w odwrotnej kolejności porty, do których zawijała wcześniej w drodze na południe, rozmyśla bezustannie o tym, jak przekonać władze muzeum albo Guillemarda, albo kogokolwiek, kto dysponuje odpowiednimi środkami, że musi wrócić do tej dzikiej krainy i zapuścić się dużo, dużo dalej w głąb tego kontynentu.

7

W jednym z twoich listów opowiadasz o tym, jak odpędziłaś lamparta od willi pełnej stonóg w środku nocy, kiedy akurat zdarzyło się, że miałaś krótką przerwę w czuwaniu nad chorymi i zasnęłaś głęboko. Rzuciłaś w niego tykwą pełną wody wapiennej i to go odstraszyło. Tego typu rzeczy zdarzały ci się najwyraźniej bez przerwy i przechodziłaś nad nimi do porządku dziennego, robiąc to, co do ciebie należało; wydaje się, że w twoich listach nie zwracasz specjalnej uwagi na niezwykłość takiego zachowania. Niemal niedbały sposób, w jaki relacjonujesz te wydarzenia; poczucie humoru, dzięki któremu znalezienie się w nietypowej sytuacji zdaje się nie sprawiać ci kłopotów, specjalnie mnie nie porusza. Nie sądzę, żebyś mogła zrobić coś innego i prawdopodobnie czułaś się nieswojo, opowiadając o swoich heroicznym czynach, toteż niejako automatycznie musiałaś dążyć do ich bagatelizowania. To stanowi jednak dla mnie trudny przykład. Nie mogę znaleźć w sobie tej odwagi, którą ty miałaś w tak olbrzymiej ilości. I tylko wtedy, kiedy mam czas, żeby głębiej się nad tym zastanowić, nachodzi mnie refleksja, że kontrolowałaś swój strach, że nie ma prawdziwej odwagi bez strachu - i tylko kiedy o tym myślę, mogę powrócić do mojej fascynacji tobą i uwielbienia za to, co zrobiłaś. Za wszystko, co zrobiłaś - nawet za twoje błędy.

Zastanawiam się, co byś zrobiła z tej sztuki, którą usiłuję skonstruować na kanwie twojego życia. Takie krótkie życie, a tyle udało ci się zmieścić w ciągu tych ostatnich siedmiu lat. Ale prawdę mówiąc, kiedy ktoś zastanawia się nad długim procesem twojego

samokształcenia, staje się oczywiste, że udało ci się zmieścić dużo w ciągu całych trzydziestu siedmiu lat.

Przenikliwie zimne wiosenne deszcze ustąpiły miejsca palącemu słońcu i wilgoci. Tyler zakupił okienny klimatyzator i zaczął znowu, choć ostrożnie, optować za wyjazdem na północ. Robił to w formie żartobliwej kpiny, a Lily odbijała piłeczkę. Z Nowego Orleanu nie przychodziły żadne listy, za to Doris dzwoniła prawie codziennie, żeby dowiedzieć się, co słychać. Lily mogła odpowiadać jej, nie mijając się zanedo z prawdą, że wszystko układa się znakomicie. Kiedy Nick i Sheri przyjeżdżali z wizytą albo Lily z Tylerem ich odwiedzali, zawsze pozostawało pomiędzy nimi tyle niedomówień, że Lily odbierała to jako pewnego rodzaju napięcie: oprócz tego, co wiedziała na temat małżeństwa od Sheri, cieniem na ich wzajemnych stosunkach kładł się koszmar, przez który przeszli obaj mężczyźni, a także fakt, że Nick i Tyler spędzali razem w salonie całe dni. Rozmawiali zwykle o pracy w danym dniu, a potem zapadała cisza i wkrótce najwyraźniej zaczynali odczuwać zniecierpliwienie, chociaż Nick niezmiennie okazywał Lily uprzejmość i troskliwe zainteresowanie dziecku. Wzajemne wizyty zdarzały się jednak coraz rzadziej i rzadziej. Sheri i Millicent ciągle zaglądały do niej w ciągu dnia, zwykle wtedy, kiedy Lily udało się uśpić dziecko i sama miała w planach małą drzemkę. Zawsze jednak była szczęśliwa, że je widzi. Niemniej zdarzyło się kilka dni, w czasie których Lily czuła się zupełnie komfortowo i zajmowała się różnymi sprawami, odczuwając zadowolenie z dziecka i ze swojej pracy, i z ludzi, którzy wypełniali jej życie. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, nadchodziły nocne przebudzenia, wracało poczucie pewnego fundamentalnego zagrożenia: zła, które ją prześladowało.

Nie było więcej okropnych scen z udziałem Tylera, a jeśli atmosfera robiła się napięta, udawało się ją rozładować. Oboje starali się być dla siebie uprzejmi i cieszyli się szybkim rozwojem dziecka: pewne rzeczy sprawiały, że na małej, okrągłej twarzyczce pojawiał się uroczy, otwarty uśmiech, a od czasu do czasu Mary wydawała z siebie energiczny szczebiot, który ich zachwycił. Oboje przeżywali wspaniałe chwile, obserwując maleństwo.

Ich życie intymne znowu się rozkręciło, było spokojne i zaskakująco czułe. Za pierwszym razem zainicjowała je Lily. Siedzieli obydwójce na kanapie, czytając w ciszy, a niemowlę spało między nimi. Wyciągnęła rękę i delikatnie musnęła jego nadgarstek.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła.
- Też za tobą tęskniłem - odpowiedział. Czekala.
- Czy myślisz, że moglibyśmy...?

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Był bardzo niepewny i starał się, aby jej było dobrze, ona zaś odkryła, że potrafi zapomnieć o sobie i skoncentrować się na jego przyjemności. Po wszystkim leżeli przytuleni do siebie.

- Miałem takie wyrzuty sumienia. - Westchnął.
- Przestań.
- Mam na myśli sposób, w jaki cię traktowałem.
- Nie rozmawiajmy o tym. Nie teraz.
- Myślę, że straciłem poczucie czasu.

Przez kilka chwil oboje milczeli. A potem on znów westchnął.

- Tyler, proszę.
- Nie, ja teraz myślałem o pracy.
- No więc nie myśl.
- Masz rację.

Wsparł się na łokciu, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś taką piękną kobietą.

Te słowa źle brzmiały powiedziane takim tonem - zabrzmiały prawie jak błaganie.

- Nie zasłużyłem na ciebie - dodał, kręcąc głową. Pociągnęła go w dół, żeby ją pocałował.

Tym razem nie poszło tak dobrze. Jego poruszenia powodowały u niej niewielki dyskomfort, toteż przytulała się do niego z całych sił. Zdarzył się jej moment niezwyklej jak na nią świadomości, że on jest oddzielnym ciałem, więc potem starała się, żeby mu to od razu wynagrodzić. Teraz był to czysty seks i wiedziała o tym; czuła się winna, kiedy z niej wyszedł i przewrócił się na plecy, wzdychając, ale nie z żalu, tylko z zaspokojenia.

- Było super - wymamrotał.
- Tak - odparła.
- Wiesz - zaczął - to dziwne, ale tak naprawdę to nie tęskniłem za tym, kiedy Mary się urodziła. Przez pierwsze tygodnie nawet o tym nie myślałem. A kiedy my... kiedy się nam nie układało, w ogóle nie było mi to w głowie. Nie patrzyłem na ciebie w taki sposób. Tylko przez kilka ostatnich tygodni myślałem o tym i zastanawiałem się, czy ty też myślisz.

- Myślałam - odpowiedziała. Pocałował ją, a ona się uśmiechnęła.
- Nienawidzę, kiedy się kłócimy - wyznał.

Skinęła głową, ale tak naprawdę poczuła się zagubiona z powodu czegoś, co miała mu do powiedzenia. Prawda wyglądała tak, że był tylko jeden jedyny powód ich nieporozumień i ten powód nie zniknął, niezależnie od wszystkich dopasowań i pełnych starań zabiegów o podtrzymanie wzajemnych uczuć oraz przyjaźni. Zastanawiała się, czy on naprawdę przypuszcza, że ten problem został rozwiązany, że ma go już za sobą. Tak. Jego zachowanie na to wskazywało; wierzył w to albo przynajmniej chciał zachowywać się tak, jakby już przebrnęli przez kłopoty. Wiedziała doskonale, że jeśli poruszy tę kwestię, problemy znowu się pojawiają.

- Powiedz, jak ci idzie z pisaniem? - zapytał.

- Och, teraz właściwie tylko czytam. Nie piszę za dużo. Nie tyle, ile bym chciała. Ale mimo wszystko uważam, że idzie mi nieźle.

- No dobrze, a jak w takim razie idzie czytanie?

- Mam tylko jeden problem, jak zresztą wiesz. Dziecko.

- Mary to problem?

Wiedziała, że chętnie by jej podokuczał, bo miał nadzieję, że będzie to taka beztraska zabawa, kiedy właśnie ponownie zbliżyli się do siebie. Ale Lily nie podchodziła do tego w ten sposób. Czuła się źle, jakby mieli opowiadać sobie kłamstwa. Kiedy dziecko zaczęło się ruszać w sąsiednim pokoju, przyjęła to z ulgą, choć miała nadzieję, że tego nie zauważył. Ale Tyler nie był głupi i resztę wieczoru spędził pogrążony w myślach, przewracając kartki książki.

8

Tyler zdecydował, że chciałby pojechać jesienią do Europy, jakiś czas po weselu Millicent. Nawet zaczął już zbierać na to pieniądze, powiedział. Mogliby przez kilka lat mieszkać we Włoszech, na przykład w Rzymie. Dlaczego nie? Lily mogłaby ten czas poświęcić na pisanie, Mary nauczyłaby się dwóch języków. Przez ostatnie kilka tygodni nie mówił nic na temat wstąpienia do wojska i mimo że ten nowy plan wprowadził ją w zakłopotanie, niemniej było to coś, o czym otwarcie chciał z nią dyskutować. Spędzając w domu z dzieckiem tyle miesięcy, patrząc, jak rośnie, Lily doszła do wniosku, że bardzo jej odpowiada to zadanie i że samo w sobie jest dla niej dostateczną nagrodą. Podobało jej się to, że jest tak komuś potrzebna, choć przypuszczała, że to uczucie nie było prawdopodobnie niczym niezwykłym dla kogoś, kto ma dziecko; ale tu wchodziło w grę jeszcze coś, coś niemal fizycznego, włączając w to lekko kwaśny zapach niemowlęcego oddechu obok jej twarzy, kiedy dziecko leżało w nocy u jej boku

w czasie karmienia. Tyler, śpiący głośno po drugiej stronie łóżka - nieświadomy przyjemności, jakiej ona doznaje i do tego wyłączony z tych doznań - wydawał się odsunięty na bok, pomimo wszystkich wysiłków, jakie czynił, aby się zaangażować.

Przejął obowiązek karmienia o czwartej nad ranem i robił dokładnie to, co zalecił mu pediatra. Do tego ciężko pracował. W salonie on i Nick najwyraźniej wypracowali pewien komfort wzajemnych stosunków, chociaż ciągle zdarzały się wieczory, kiedy wydawał się przygnębiony i spięty, i mruzczał coś na temat pracy, ilekroć dostrzegł, że Lily go obserwuje. Lily rozumiała, że im dłużej prawda o ojcostwie Mary będzie ukrywana przed innymi, tym ciężiej będzie im znieść ujawnienie jej, gdy nadejdzie czas; a stanie się tak wcześniej czy później. Mimo to nie potrafiła znaleźć sposobu, żeby poruszyć ten temat. Obydwoje unikali go ze skrepowaniem, z jakim zwykle ktoś stara się nie zauważać blizny lub czyjegoś seplenienia.

On ciągle wracał do tematu wyjazdu do Rzymu. Zabrał kilka broszur z biur podróży i przyniósł parę książek z biblioteki.

Ona była zaskoczona tym, jak bardzo ten pomysł zaczął się jej podobać.

Wszystkie te dni przynosiły kolejne wielkie osiągnięcia: Mary samodzielnie zaczęła się przekrecać; podniosła główkę i chwiejnie stawała na czworakach; jadła płatki ryżowe i przetarte brzoskwinie. Lily ostrożnie wkładała jej łyżeczkę do buzi i łapała to, co spadało poniżej podbródka z dołeczkiem pośrodku. Tyler pomagał w tej długiej i wymagającej cierpliwości operacji, wpychając w Mary cały słoik przetartego jedzenia. Robili przy tym komiczny bałagan. Kiedy już mieli posiłek za sobą, Tyler z błogim uśmiechem na twarzy mył wysokie krzeselko, na którym ją sadzali. Lily zauważyła to, kiedy karmiła piersią i trochę tego, co dziecko akurat miało w buzi, zostało na jej sutku. Malutkie usteczka pracowały bez zarzutu. Tyler podszedł i patrzył, a kiedy mówił, że według niego jest to cudowne, głos mu zadrzał. Rankami przysłuchiwali się gaworzeniu małej i wydawanym przez nią dźwiękom, które trochę przypominały śpiewanie.

Lily zachowała swoje złe przecucia dla siebie.

Od czasu do czasu miała wrażenie, że jest to pewnego rodzaju gra, w którą zaangażowani są obydwój; gra w udawanie, w którą mogłyby bawić się dzieci. Zawsze jednak zdawała sobie sprawę z iluzoryczności tej sytuacji.

9 maja 1990

Moja droga

Właśnie zastanawiam się, jak się tam macie. Wiosna w pobliżu wody jest strasznie mokrą sprawą. Nalewasz sobie szklankę czegośkolwiek zimnego, a szkło natychmiast się poci i dookoła na stole robi się kałuża. Nigdy w życiu nie doświadczyłem takiej wilgotności powietrza, a klimatyzator cioci Violet działa tylko w małym zasięgu. Siadamy więc tu wieczorami i kilka razy zdarzyło się, że zasnęliśmy w krzesłach. W nocy kładę prześcieradło i poduszki na chłodnej drewnianej podłodze pomiędzy pokojami na piętrze - cioci Violet i naszym - i śpię tam, ponieważ troszeczkę tam wieje. A to jest dopiero maj, na litość boską!

Manny pracuje jako kucharz w jednym z lokali w naszej dzielnicy. Nic nadzwyczajnego. Smaży jajka i bekon, robi hamburgery, kanapki z indykiem. Taki typowy fast food, ale trafia dokładnie w gust miejscowego establishmentu. Nie pomyślałabyś, że coś takiego może się utrzymać, a oni harują jak woły i Manny wraca do domu wyczerpany, zniechęcony i w złym humorze, chociaż w zasadzie podchodzi do swojego zajęcia obojętnie. To jest praca i dzięki niej można zapłacić rachunki. Kiedy ma dołek, pani Beaumont i ja staramy się go zrozumieć, ale w dzień bywa tak gorąco, że czasami także nie jesteśmy w dobrym nastroju. Ja cały czas pracuję w księgarni. Nie mamy zbyt wiele czasu na utrzymywanie stosunków towarzyskich, chociaż coś tam robimy w tym kierunku. Spotykam się z ludźmi, poznanymi na kółku literackim, do którego dołączyłem - to są naprawdę mili ludzie i traktują mnie cudownie. Ale nie mogę zwierzać się żadnemu z nich tak, jak to robiliśmy, Lily, kiedy jeszcze byliśmy studentami. Ciągle jeszcze jestem trochę zagubiony, tak przynajmniej sędzę. Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście mi się tu podoba.

Lubię ciocię Violet. Oczywiście wciąż mówię do niej „pani Beaumont”. To moje południowe wychowanie. Ona powtarza mi bez przerwy, żebym mówił do niej „Violet”. W dodatku robi to tak kokieteryjnie, że mogłabyś przysiąc, że ze mną flirtuje. Chociaż wie, kim jestem. A właściwie to kim ona jest.

Czy to nie brzmi dziwnie, kiedy się mówi o tym w taki sposób? Nawet w formie żartu? Muszę przyznać, to wygląda dziwacznie na papierze.

Ciocia Violet ma pewne powiedzenie, które powtarza nam każdego ranka, kiedy wychodzimy do pracy: „Poszerzajcie obszar miłości, chłopcy”. Wiem, że to brzmi tak, jakby

było wyjęte żywcem z jakiegoś kazania, ale dzięki temu wyruszamy w świat z pewnego rodzaju entuzjazmem. Naprawdę. Rozmawialiśmy na ten temat. Jest w tym coś uporządkowanego i przynoszącego ukojenie. „Poszerzajcie obszar miłości”.

Ona według tego żyje.

Każdego ranka wychodzi, żeby odwiedzić przyjaciół mieszkających w tej okolicy w domach opieki. Jest ich tak wielu, że nie ma jej w domu całymi dniami. Mówi ze smutkiem o tym, jak powoli wymierają. Powiada, że jest starsza niż jakakolwiek znana jej osoba. Manny ma już tak dosyć swojej pracy, że czasami napomyka o tym, że chciałby wrócić na północ, a ona od razu zamiera z przerażenia; widać to po jej twarzy. Nie chce, żebyśmy ją tutaj zostawili, mówi, że się do nas przyzwyczaiła, ale oczywiście jest to coś więcej niż tylko zwykłe przyzwyczajenie. Trzyma się nas kurczowo, naprawdę, nawet sobie tego nie uświadamiając. Jest tak spragniona naszego towarzystwa i zna tyle różnych historii; jest w tym coś rozpaczliwego, jakby obawiała się nawet chwili milczenia, przeraża ją, że w czasie takiej ciszy któryś z nas mógłby się zdecydować na wyjazd i powiedzieć to głośno. Wygląda na to, że ona właściwie boi się słów, jakby słowa miały jakąś moc wpływania na doczesną rzeczywistość. Wypowiedz słowo, a tak się stanie, i nie ma znaczenia, że jest to niemożliwe czy nieprawdopodobne.

W ostatnim tygodniu napędziła nam niezłego stracha. Zeszła na dół mniej więcej godzinę po udaniu się na spoczynek i nie poznawała żadnego z nas, wołając do nas imieniem jakiegoś chłopca, którego знаła dawno temu, kiedy była małą dziewczynką. Ten chłopak wyjechał i zginął w czasie pierwszej wojny światowej. Ubraliśmy ją w jedwabny szlafrok i zawieźliśmy na izbę przyjęć do Saint Thomas Hospital. Siedziała tam w białym świetle lamp i wyglądała na opuszczoną, zagubioną i smutną. Aż zacząłem się cały trząść. Byłem przerażony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jakby zimne, kościste palce jakiegoś ducha przesunęły się wzdłuż mojego kręgosłupa i ścisnęły mi żołądek.

Przyszli wreszcie lekarze, przyjrzeni się jej uważnie i zaczęli z nią rozmawiać. W tym czasie poczuła się już lepiej - zaczęła poznawać Manny'ego, a po chwili także i mnie. Stwierdzili, że miała trochę podwyższone ciśnienie, ale to nic szczególnego u osób w jej wieku. Serce pracowało w dobrym tempie i wszystkie inne ważne parametry życiowe także były w normie. Doktor powiedział, że to mogło być coś z mózgiem, jakiś nieduży wylew, jaki często zdarza się u starszych osób. Mówił też, że przepisałby środek na rozrzedzenie krwi, ale u kogoś tak wiekowego skutki uboczne mogłyby być gorsze niż efekty kuracji. W tym czasie poczuła się już zupełnie dobrze, więc ocenił, że najlepiej będzie mieć ją jakiś czas na oku i pozwolić jej żyć

własnym życiem, które z pewnością było bogate i długie, i że najwyraźniej szczęście jej sprzyja, kiedy ma dwóch takich młodzieńców jak Manny i ja, którzy będą o nią dbać. Zabraliśmy ją do domu, we trójkę usiedliśmy w niewielkim słupie zimnego powietrza sączącym się z okiennego klimatyzatora i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziała nam o tym, jak mieszkała w Irlandii aż do dziewiątego roku życia i jak potem przyjechała do Stanów Zjednoczonych. O tym, jak spotkała chłopca, który wyjechał i zginął we Francji w tysiąc dziewięćset czternastym roku, zanim jeszcze Ameryka zaangażowała się w wojnę. Miała szesnaście lat, kiedy machała mu na pożegnanie, myśląc, że jest strasznie i na całe życie zakochana. Wyznała nam, że ciągle na swój sposób go kocha i że nigdy nie spotkała innego mężczyzny, który wzbudziłby w niej takie zainteresowanie. Miała za to wiele przyjaciółek, powiedziała i uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem. Żałowała, że nie mogła mieć dzieci. Utrzymywała kontakty z tyloma swoimi uczniami, ale większości już nie ma - a wielu innych rzadko pisze albo daje znak życia. Niektórym sama pozwoliła się oddalić i teraz ma do siebie pretensję, że kontakty uległy zerwaniu. I kiedy opowiadała nam o tym wszystkim, zaczęła w końcu mówić, że jest pewien sposób, żeby wszystko zacząć od początku. Powiedziała to nam, płacząc, ale nie płakała ze smutku, raczej ze strachu. Z ogarniającej ją paniki. Ale potem bardzo powoli zaczęła się uspokajać i wrócił jej zwykły pogodny nastrój. Jej ogromny apetyt na życie. Czy dasz wiarę - chciała wyjść na miasto i zjeść trochę gumbo. To poszukiwanie stało się prawdziwym wyzwaniem. Miała chęć, prawie o piątej nad ranem, na gumbo, pasztet i whisky, i na to, żeby posłuchać trochę jazzu. Przyglądałem się jej przez tę całą noc i ciągle czułem własny strach, nawet kiedy ona już chyba zupełnie doszła do siebie. Ciągle powracała myślami do tego, co przeszła, i fakt, że była dzielna, nie umniejszył złych przeczuc, nawet odrobinę.

Zazdroszczę tobie i Tylerowi, że macie Mary. Ostatnio zacząłem się bać, że zostanę sam. Manny jest w porządku i wydaje się, że ciocia Violet jeszcze trochę pożyje, ale ja ciągle się przeraźliwie boję, że to nie może trwać w nieskończoność. Myślę wtedy o was i o wszystkich innych zaprzyjaźnionych ze mną ludziach, że jesteście dla mnie jak światełko w ciemności. Wybacz mi. Mogę nawet tego nie wysłać. Po prostu dawno nie miałem od was wiadomości i zastanawiam się, czy powiedziałem albo zrobiłem coś, co was do mnie zraziło.

Cóż, dość już na ten temat. Oboje, jako nowo upieczeni rodzice, na pewno jesteście zajęci, a ja jestem głupi i za bardzo dla siebie pobłażliwy, że o tym w ogóle wspomniałem. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę podtrzymywać przez jakiś czas tę jednostronną konwersację, dopóki nie uporządkujecie sobie życia i nie dostosujecie się w pełni do zmiany. A kiedy już to

się stanie, proszę, pamiętajcie, że ciocia Violet, Manny i ja strasznie byśmy chcieli, żebyście przyjechali do nas w odwiedziny, żebyśmy mogli zobaczyć dziecko i się nim pozachwycać. Ciocia Violet nie mówi o niczym innym, od kiedy powiedzieliśmy jej o tobie. Naprawdę.

Mam nadzieję, że koraliki będą ci się podobały. Zdobyłem je od Zulusów w czasie Mardi Gras. To niezłe osiągnięcie jak na pierwszy raz, tak przynajmniej mówi pani Beaumont. Daj je Mary, kiedy będzie już wystarczająco duża.

Całusy Dominik

Zbliżała się pierwsza rocznica ich ślubu. Millicent, która pilnowała takich spraw i zawsze wysyłała kartki z życzeniami oraz małe prezenciki do daleko mieszkającej rodziny i przyjaciół, zadzwoniła do Lily i powiedziała, że chciałaby z tej okazji wydać małe przyjęcie w piątek wieczorem, po którym mogliby wyjechać na parę godzin. Millicent w tym czasie zajmie się dzieckiem; nawet zarezerwuje dla nich pokój w jakimś hotelu w miasteczku.

- Wiem, że karmisz i nie będziesz chciała pojechać na całą noc, ale takie kilka godzin sam na sam może być naprawdę bardzo przyjemne.

- Tak - odpowiedziała Lily. - Moim zdaniem to dobry pomysł.

Kiedy mówiła o tym Tylerowi, czuła się trochę podenerwowana i na pewno było to po niej widać. Tyler o mały włos się nie zaczął śmiać, ale stłumił śmiech w zarodku.

- To świetnie - podsumował.

Tamtej nocy, w środę, dwa dni przed planowanym przyjęciem i wypadem na miasto, Tyler znalazł przypadkiem list Dominika.

Wrócił późno z salonu, z marynarką w ręku, a jego biała koszula, na której pod pachami widać było mokre plamy potu, była już rozpięta do połowy. Ściągnął ją z siebie i zarzucił na krzesło stojące przed jej toaletką. Zahaczył o notatnik, w którym Lily zapisywała postępy w tworzeniu sztuki; notatnik spadł na podłogę, a list wysunął się ze środka. Zobaczyła, co to jest, ale nie zdążyła się ruszyć, żeby go podnieść; Tyler pochylił się pierwszy i wziął kartkę do ręki. Stał w samym podkoszulku w przyćmionym świetle lampy i gapił się na list. Wpatrywał się w niego przez dłuższy czas, aż wreszcie odłożył list na blat. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale kiedy się odezwał, usłyszała, jak bardzo jest spięty. Ledwie nad sobą panował, a w jego głosie brzmiała tłumiona wściekłość.

- Masz jeszcze inne listy od niego?

- Nie - odparła prędko.

- Ten nie przyszedł dzisiaj.

- Nie chciałam ci go pokazywać. Bałam się.

- Ach tak? - Wyglądał, jakby miał zamiar się uśmiechnąć.

- My byliśmy... to znaczy sprawy... - Zająknęła się, bo nie wiedziała, jak mu to powiedzieć.

- Rozumiem.

- Tyler - zaczęła. - Nie chciałam mówić ci o tym przed weekendem, ale przecież w końcu bym ci go pokazała.

- Bardzo rozsądnie z twojej strony.

Poszła za nim do pokoju dziennego, gdzie Tyler od razu usiadł na sofie i zaczął rozglądać się za pilotem od telewizora. W telewizji puszczała akurat jakieś migawki z zamieszek na Bliskim Wschodzie oraz wspomniano, że w Związku Radzieckim lada moment mogą rozpocząć się rozruchy. Wszystkie stacje omawiały ten temat. Tyler naciskał guziki pilota, przeskakując z jednej do drugiej.

- Próbowałam mu odpowiedzieć, Tyler, ale nie mogłam.

- To dobrze. Może się wreszcie od nas odczepi. Usiadła obok i położyła mu rękę na udzie.

- Kochanie...

- Lily - przerwał jej - chyba nie chcesz mnie w to wciągać.

Siedziała bez słowa, podczas gdy on oglądał reportaże. Widać było zatłoczone ulice, ludzi powiewających flagami, wściekłe twarze, otwarte usta wykrzykujące antyamerykańskie slogany. Stojący na balkonie Saddam Husajn dumnie wypinał pierś. Tyler siedział, wpatrując się w ekran jak urzeczony. Wreszcie odwrócił się do niej.

- Popatrz, a mnie się wydawało, że ten problem mamy już z głowy - powiedział.

- Niczego nie mamy z głowy. Cały czas drepczemy w miejscu, obydwójce...

Wyłączył telewizor.

- W porządku, a teraz może zechcesz mi wyjaśnić, co właściwie chciałaś przez to powiedzieć. Czy jesteś nieszczęśliwa?

- Oboje jesteśmy - odparła. - Popatrz tylko na nas.

- Ja nie jestem. Prawdę mówiąc, jestem bardzo szczęśliwy. Szczęśliwszy, niż byłem kiedykolwiek w tym moim całym zmarnowanym życiu. Czeka mnie przecież uroczyście kolacja

w domu matki i uroczy wieczór z tobą w jakimś hotelu. Z moją ukochaną, z moją najdroższą żoną.

- I właśnie nie chciałam tego zepsuć. A jeśli bym ci pokazała ten list, to tak by się stało. Naprawdę tego nie rozumiesz?

- A co ty na to, żebyś może wyrzuciła go do kosza i nigdy o nim nie wspominała? Zdarzyło ci się pomyśleć o takim rozwiązaniu?

- Powiedziałam ci przed chwilą, co myślałam.

- No cóż, więc źle myślałaś.

- Nie możemy o tym spokojnie podyskutować?

- Dobrze - rzekł z morderczym spokojem. - Mów.

- Ja ciebie kocham.

- Co za ulga!

- Tak. I rozumiem, co w związku z tym czujesz. Naprawdę. Ale, Tyler, nie mogę pozbyć się tej okropnej myśli, że gwałcimy prawo natury...

- Nie! - przerwał. - To Dominik gwałci prawa natury!

- Boże, nie mogę uwierzyć, że mówisz coś podobnego! Czy wiesz, jak to głupio brzmi?

- Głupio? Naprawdę?

- Ciekawe, kiedy zaczniesz sobie hodować te pieprzone wąsiki. - Poszła do sypialni. Dziecko spało; malutkie paluszki jednej rączki wystawały spod kołderki. Zaczęła rozbierać się do łóżka. Tyler stanął za jej plecami i kiedy objął ją w talii, zaskoczyło ją to tak, że aż krzyknęła.

- Przepraszam - wymruczał jej do ucha. - To było okropne, co powiedziałem. I głupie. Sam nie mogę uwierzyć, że wyrwało mi się coś takiego. Mam nadzieję, że wreszcie zapomnimy o panu Johnsonie i jego cholernych piczkodrapkach.

Obróciła się przodem do niego.

- Ale jednak ty... jakaś część ciebie musi tak uważać, Tyler. Musi być w tym coś z tego, co naprawdę czujesz.

- Tak - odparł. - W porządku. Poczekała chwilę.

- Lily, nawet nie zamierzam udawać, że mogę tak całkowicie odrzucić kulturę, w której zostałem wychowany. Ani ja nie mogę, ani ty.

Milczała dalej.

- Niech będzie, że to ja zacząłem, dobrze? Ale niczego nie wyciągałem. To ty przypomniałaś pana Johnsona i jego wąsiki.

W odpowiedzi oparła głowę na piersi Tylera. Poczula się bezpiecznie, chociaż w jej duszy panował zamęt. Przesunął rękę w dół po jej plecach, a kiedy niemowlę kichnęło, rozdzielili się i oboje na nie popatrzyli.

- Problem w tym, że ja nie wierzę, że uda się nam utrzymać tę sprawę w sekrecie - powiedziała Lily, nie odrywając wzroku od małej - A ty uważasz, że tak.

- Owszem - odparł.

- Jesteś skłonny nigdy nie wspomnieć o tym ani jej, ani nikomu innemu... również Dominikowi.

- Tak. I nie rozumiem, komu miałyby to zrobić krzywdę.

- Chciałabym móc utrzymać to w tajemnicy - powiedziała, ciągle nie patrząc na Tylera - To znaczy jakaś część mnie by chciała. Ale sądzę, że nie możemy. Uważam, że ta sprawa wszystko zatruje.

- Widzę, że już zdecydowałaś, że mu powiesz.

- Wcale nie.

- To po co ta cała dyskusja? Na to nie znalazła odpowiedzi.

- Czy nie możemy z tym poczekać?

- Właśnie to robimy.

- I tak jest dobrze - odparł. - Prawda?

- To wszystko niszczy.

- Czy wiesz, czego się boję, Lily? Boję się, że zabierzesz dziecko i odejdziesz do Dominika. Ta perspektywa mnie po prostu przeraża. Z tego powodu robię i mówię rzeczy, które mogą do tego doprowadzić.

Teraz dopiero podniosła na niego oczy. Jakaś część jego osobowości potrafiła spojrzeć na wszystko obiektywnie i osądzić bez skrupułów własne wady. Przy tym oświetleniu był po prostu piękny, nawet mimo stresu, jaki przeżywał, oczy mu lśniły, a karnacja wydawała się ciemniejsza niż zwykle, kontrastując z bielą podkoszulka; jego świetnie umięśnione ramiona połyskiwały.

- Nie jestem zakochana w Dominiku - powiedziała.

- Ja - nie dokończył. Słowa uwięzły mu w gardle. - Ja... nie chcę stracić jej czy ciebie, czy też tej rodziny.

- To się nie zdarzy - zapewniła go.

Znowu oplótł ją ramionami i stali tak przez długi czas, a ich podwójny cień padał na uśpione niemowlę.

- To niczego nie zmieni w naszych wzajemnych stosunkach, jeśli powiemy prawdę - odezwała się wreszcie Lily. - Moim zdaniem właśnie to mogłoby nas uratować. Nie odpowiedział.

- Rozumiesz mnie?

- Lily - wyrzucił wreszcie z siebie - to po prostu będzie tak... no cóż, wyjdzie na to, że kłamaliśmy. Właśnie tak to zostanie odebrane.

- Ale dlaczego? Potrząsnął głową.

- Och, pomyśl tylko. Nie jesteś przecież aż tak tępa.

- To się zdarzyło przez przypadek, zanim jeszcze zdecydowaliśmy się być razem.

- Ale kłamaliśmy przez cały ten czas. Lily... okłamaliśmy moją rodzinę. Tę rodzinę. Nakłamaliśmy przed... przed Buddym, na litość boską! Przed wszystkimi. Jezu, naprawdę tego nie rozumiesz?!

- Rozumiem. Świetnie to rozumiem. Ale właśnie to kłamstwo nas boli, Tyler.

- Och, racja. Chryste, a prawda nas uwolni.

- Tak - gorąco powiedziała Lily. - Tak! Nie będziemy się więcej o to martwić. Ta sprawa nigdy nie będzie już nas dzielić.

- Dzielić... - powtórzył z niedowierzaniem. Lily milczała.

- A co będzie, jeśli Dominik zażąda czegoś w rodzaju prawa do odwiedzin?

- Może je otrzymać.

Tym razem oboje się nie odzywali przez chwilę. Wkrótce Lily przerwała tę ciszę.

- A nie może?

- Ja nie... ja nie mogę zrobić czegoś podobnego! To nie może... nie możemy... ja nie... O Chryste, zapomnij o tym!

- Nie, Tyler. Powiedz to głośno. W końcu raz szczerze porozmawiamy na ten temat.

W tym momencie niemowlę podniosło główkę, jakby chciało przypomnieć o sobie, i zakwililo cichutko.

- Czy nie możesz... - Urwał się wpół zdania. - Posłuchaj. Chcesz, żebym ja ciebie zrozumiał. Ja rozumiem, okay? A czy ty nie możesz zrozumieć, jakie to będzie dla mnie straszne, jeśli będę się musiał przyznać przed wszystkimi do czegoś podobnego? Jezu Chryste!

Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Prawda wyglądała tak, że ona go rozumiała, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów, żeby to wyrazić. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Dziecko znowu uniosło główkę; włożyło dwa paluszki lewej rączki do buzi i zaczęło je ssać, pojękując przy tym cichutko.

- Chryste - odezwał się Tyler. - Nawet nie wiesz, co jeszcze mogę zrobić.

Wpatrzyła się w niego z niepokojem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zmrużył oczy. Zdawał się przyglądać jej z dużej odległości, choć naprawdę dzieliło ich zaledwie pół metra.

- Próbuję ci wyjaśnić, jak to jest. I przez co muszę tu przechodzić. - Podniósł ręce w geście poddania. - Chcę jakoś zaznaczyć swoje terytorium.

- Nie potrafię żyć w taki sposób - odparła.

Niemowlę zaczęło płakać. Lily wzięła je na ręce i usiadła na łóżku, żeby nakarmić. Trzeba też było Mary przewinąć. Tyler stał z rękoma w kieszeniach i patrzył na nie bez słowa. Lily zajmowała się małą i widziała go tylko kątem oka jako niewyraźną plamę. Wreszcie ruszył w kierunku drzwi, mrużąc coś pod nosem.

- Co mówisz? - zawołała za nim. Zatrzymał się.

- Nic. Chciałbym, żeby nasze sprawy układały się inaczej.

- Ja także.

Poszedł do innego pokoju i resztę wieczoru spędzili osobno, rozdzieleni ścianami. Lily karmiła dziecko tak długo, aż zasnęła. Później przyszedł Tyler; przeniósł Mary do łóżeczka i sam się położył. Żadne z nich nie odezwało się słowem.

10

Atmosfera kolacji z okazji pierwszej rocznicy ślubu okazała się bardziej odprężająca, niż Lily sobie wyobrażała. Nick i Sheri byli czulsi w stosunku do siebie, niż można się było spodziewać. Nick trzymał dziecko na rękach i robił do niego śmieszne miny, na co Mary odpowiadała radosnymi uśmiechami. Był też Roger Gault; on też zaproponował uroczysty toast dla uczczenia pamięci Brendana Galatierre'a. Po tych słowach zapadła dłuższa cisza, a potem wszyscy zaczęli stukać się kieliszkami. W oczach Sheri wezbrały łzy i oparła głowę na ramieniu Nicka. Roger przyniósł jakąś płytę z nagraniami jakiejś australijskiej piosenkarki i

słuchali jej w czasie jedzenia. Artystka używała dziwnie brzmiących syntezatorów, ale jej piękny głos przyciągał słuchacza z magiczną siłą. Tyler robił wrażenie zainteresowanego, choć nie w pełni zaangażowanego. Lily obserwowała go przez jakiś czas, a kiedy objęła go mocno, odwzajemnił ten uścisk. Wszyscy inni zajmowali się przede wszystkim dzieckiem, choć wzniesiono także kilka toastów z okazji ich rocznicy. Ze wschodu nadciągnęły chmury burzowe, przesłaniając światło dnia. Nikt nie wychodził na zewnątrz. Kiedy kolacja dobiegła końca, wszyscy zaczęli wyganiać Lily i Tylera, dla żartu robiąc uwagi na temat miny, jaką będzie miał recepcjonista w miejscowym hotelu, kiedy zobaczy ich adres na blankiecie meldunkowym. Pod ciężkim od chmur niebem wsiedli do oldsmobila i pojechali w kierunku wyjazdu z posesji. Kiedy skręcali za rozwaloną bramą w kierunku autostrady, Tyler zatrafił, a wszyscy stojący na ganku zaczęli do nich machać.

Lily wystawiła rękę przed okno i także pomachała na pożegnanie. Kiedy dom Galatierre'ów zniknął jej z oczu, odwróciła się na fotelu i zerknęła na męża. Trzymał oburącz kierownicę i wydawał się tak spokojny, że aż nieobecny. W ogóle się nie odzywał. Niebo jeszcze pociemniało i kilka ciężkich kropli rozprysnęło się o przednią szybę. Tyler włączył wycieraczki, ale deszcz ustał. Czarne chmury wciąż nad nimi wisiały, ale więcej już nie padało, a wycieraczki przesuwają się równomiernie po szybie, piszcząc za każdym razem.

- Czemu włączyłeś wycieraczki? - spytała.

- Och, ale głupio zrobiłem - odparł i wyłączył je.

Po jakimś czasie wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego ramienia. Spojrzał w jej stronę.

- Urocze przyjęcie - zauważył.

Rozpięła pas bezpieczeństwa, przesunęła się w stronę środka fotela i położyła mu głowę na ramieniu. Tak upłynęła może minuta. Wkrótce Lily zobaczyła budynki na rynku.

- Kochanie? - powiedziała.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - odparł.

Wjechał na parking przed hotelem Hilton, znalazł wolne miejsce i zaparkował. Następnie wyłączył silnik, westchnął, zastanowił się sekundę i poklepał się po czubku głowy. Siedzieli blisko siebie, nic nie mówiąc. Światła samochodów przejeżdżających tam i z powrotem drogą rozpraszały co chwila mrok panujący wewnątrz samochodu. W końcu otworzył drzwi, a ona drgnęła i wysiadła. Tyler wziął z bagażnika ich rzeczy i poszedł w stronę recepcji. Kiedy podpisywał kartę meldunkową, ociągała się trochę, a potem we dwoje wsiedli do windy i drzwi

się za nimi zasunęły. Cisza zaczęła być przytłaczająca, a jej cały czas nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Tyler nacisnął przycisk siódmego piętra. W windzie była przeszklona ściana wychodząca na główny hol i Lily obserwowała, jak rzeczy i postacie ludzkie stają się coraz mniejsze i mniejsze, ale wzrastającą wysokość odbierała nieco nieprzyjemnie. Wzięła Tylera pod rękę. Drzwi windy otworzyły się i znowu musieli się rozdzielić. Poszli wzdłuż korytarza, a gruby dywan na podłodze tłumił odgłosy ich kroków. Pokój okazał się ogromny i słoneczny, z biurkiem, dwoma olbrzymimi łózkami i telewizorem schowanym w ruchomej szafce, której drzwi stały otworem. Tyler postawił bagaże na biurku i opadł na pierwsze z brzegu łóżko, splatając ręce na piersi. Lily usiadła więc na drugim, wzięła pilota z nocnej szafki i pstryknęła guzik włączający telewizor. Trafiała na reklamy: dwie kobiety rozmawiały akurat o higienie intymnej.

Przełączyła więc na następny kanał, potem jeszcze na następny i znów na kolejny. Widziała ludzi uwikłanych w konflikty albo idiotyczne sytuacje, a wszystkiemu towarzyszyła muzyka albo wybuchy śmiechu, albo jedno i drugie jednocześnie. Na jakimś programie dwóch mężczyzn goniło trzeciego po ulicach miasta. Ten film wydawał się jej znajomy.

- Chyba już to widziałam - odezwała się. Cisza.

Spojrzała na niego. Leżał ze wzrokiem utkwionym w telewizor.

- Chcesz to oglądać? - spytała.

- Może być.

- A musimy w ogóle coś oglądać?

Jego spojrzenie powędrowało z ekranu w jej stronę, a potem wróciło do telewizora.

- Tyler, dziś jest nasza rocznica.

- To ty włączyłaś telewizor - odparł.

Wyłączyła odbiornik. Cisza wstrząsnęła nią do głębi. Wstała i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Masz rację - powiedziała. Obserwował ją, jak się rozbiera.

- No więc? - spytała, kiedy jej spódniczka zsunęła się na podłogę.

Usiadł, kopnięciem zrzucił buty, rozpiął pasek, rozsunął suwak w spodniach, uniósł się na tyle, żeby móc je zdjąć i usiadł ponownie. Slipki zdjął razem ze spodniami. Patrząc na nią, rozpiął guziki koszuli. Odwróciła się do niego tyłem, kiedy zdejmowała majteczki, bo nie chciała, żeby zobaczył w tak jasnym świetle rozstępy, które zostały jej po urodzeniu Mary. Wreszcie znaleźli się w łóżku i on zaczął ją całować z zimną, mechaniczną fachowością - to było coś wykalkulowanego, pozbawionego uczucia i całkowicie technicznego. Na początku

starala się mu odwzajemnić, ale potem nie mogła się na to zdobyć; kiedy przetoczył się na nią i pchnął, aby wejść do środka, poruszyła się, żeby ułatwić mu zadanie i mieć to szybko za sobą. Udało się. Odwróciła od niego twarz, trzymając ręce owinięte kurczowo dookoła jego szyi. Rozluźnił się, opadł na nią całym ciężarem, a potem znowu przewrócił się na plecy, nie mówiąc do niej ani słowa. Czekala, co będzie dalej. W końcu usiadł, pochylił się nad nią i zaczął całować jej piersi; lizał je i ssał, i przez chwilę ogarnęła ją autentyczna rozkosz. Wyciągnęła rękę i chwyciła ciasno jego członek, przesuwala dlonią w górę i w dół. Tym razem pozostał na plecach i czekał, aż ona się podniesie i usiadzie na nim. Kiedy to zrobiła, jęknął cicho i zamknął oczy. Znowu starala się szybko doprowadzić go do końca, ale po chwili on położył rękę na jej ramionach, przesunął je na jej pośladki i powstrzymał jej ruch.

- Zaczekaj - powiedział.

Znieruchomiała, choć nie przestała nawet na chwilę napinać i rozluźniać mięśni wewnątrz pochwy.

- Teraz - zawołał, ponaglając ją. - Teraz, och tak. Tak!

Podnosiła się i opadała; i znów podnosiła i opadała. Poruszała przy tym pośladkami w przód i w tył, aż osiągnął orgazm, a i jej niewiele do tego brakowało. Zatrzymał się i tylko leżał pod nią bez ruchu; w końcu zrezygnowala, udając, że i ona osiągnęła pełną satysfakcję. Pragnęła, żeby wszystko potoczyło się inaczej, i nie tylko w tym momencie, ale również w te godziny i dni, które mieli przed sobą. Przekręciła się na plecy i leżała, wzdychając. Obydwoje milczeli.

- Dobrze było? - zapytał wreszcie.

- Tak.

- To nie było zbyt czule z mojej strony.

- Tyler, przestań.

- Poćwiczyliśmy na sobie wzajemnie. Nie odezwała się.

- Lekkoatletyka w poziomie.

- Przestań!

Pochylił się ponad jej ciałem, wziął pilota i włączył telewizor. Akurat były wiadomości. Lily poszła do łazienki, napełniła wannę i usiadła w ciepłej wodzie, starając się powstrzymać łzy.

Kiedy skończyła się kąpać, wróciła do pokoju; włożyła majteczki i biustonosz i usiadła na łóżku. Tyler oglądał telewizję.

Obserwowała go, jak leżał całkowicie odprężony, z oczyma utkwionymi w ekranie.

Wstała i włożyła spódnicę.

- Powinniśmy już niedługo wracać.

- Przecież chyba jeszcze nie minęła nawet godzina, co? Chodź, pooglądamy jakiś film albo inny program, a potem znów się pokochamy.

Dołączyła do niego, a on otoczył ją ramieniem. Leżała przytulona, z ręką na jego nagiej piersi, a jej palce bawiły się drobnymi włoskami. Nagle ogarnęła ją fala smutku i to tak gwałtownie, że o mało co nie zaszłochała. Tyler odetchnął głęboko, ale cały czas przeglądał kanały z programami, aż w końcu zatrzymał się na *Szajce z Lawendowego Wzgórza*, z Alekiem Guinnessem i Stanleyem Hollowayem, o parze przyjaciół złodziei złota. Ona ciągle się przytulała; pocałowała go w ramię i oboje zaczęli oglądać. Blisko końca, kiedy już wydarzyła się nieunikniona katastrofa i sympatyczni złodzieje zostali złapani, poczuła obrzydzenie do władz i przedstawicieli prawa, którzy ich schwytali. Tyler tymczasem zdążył zasnąć.

Kiedy obudził się mniej więcej godzinę później (ona także mogła w tym czasie uciąć sobie drzemkę), odwrócił się w łóżku i przywarł wargami do jej ust. Potem zaczął zsuwać się w dół, aż wreszcie rozdzielił jej nogi i zaczął ją tam lizać; rozsunął jej wargi i na przemian zaczął zasysać je i puszczać; włożył język do środka jej ciała, a potem przejechał nim przez całą długość sromu. Czowała się cudownie, toteż leżała tylko na plecach, wzdychając z rozkoszy, i pozwalała, żeby żar kochanka rozplynał się po całym ciele. Po jakimś czasie przekręcił się w łóżku i leżąc na boku, zbliżył dolne partie ciała do jej głowy. Natychmiast wzięła go do ust, podczas gdy on dalej ją lizał, i trzymała, tylko nieznacznie się poruszając. Czowała kwaśny smak jego ciała i słony pot, zmieszane z wonią ich intymnych wydzielin. W końcu przestał lizać i położył się na plecach, żeby mogła zacząć go ssać. Robiła tak przez chwilę, a potem pozwoliła, żeby się podniósł. Wspierając się nad nią na ramionach, wyszeptał:

- Włóż mnie w siebie.

Naprowadziła penisa na właściwe miejsce, a Tyler był tak podniecony, że przycisnął jej rękę między swoją a jej miednicą. Kiedy zdołała ją stamtąd wyciągnąć, wszedł w nią z brutalną siłą, raz i drugi, wysuwając się prawie całkowicie za każdym razem, zanim wbił się w nią znowu. Szczytując, chwycił ją mocno za ramiona, wygiął plecy w pałąk, odrzucając w tył głowę, a później, gdy się już rozluźnił, pozwolił, żeby opadła bezwładnie w dół, choć ciągle opierał ciężar ciała na rękach.

- Ty też miałaś orgazm, prawda? - spytał, wysunąwszy się z niej.

Nie mogła jeszcze złapać tchu.

- Tak.

Przysunęła się, żeby leżeć jak najbliżej niego, wtulając się w jego ramiona tak jak poprzednio. Telewizor ciągle grał. Ktoś właśnie mówił o upałach i jakości powietrza, i o wypadku ciężarówki wiozącej niebezpieczne materiały na międzystanowej drodze do Memphis. Teraz świat wydawał się jej katastrofalnym miejscem, pełnym hałasu i szaleństwa.

Tyler wyłączył telewizor.

- Czy wiesz, kim ja jestem? - zapytał. - Jestem duszą, która żyje chwilą. Jestem osobą, której całe życie upływa na doraźnych sprawach. Czy wiesz, co to oznacza?

- A powinnam wiedzieć?

- To znaczy, że nie mam poczucia odrębności - oznajmił. - Mam tylko pozory bycia sobą. Jestem tylko częstką wciągniętą razem z innymi w doczesność i ziemskość.

- Tyler, ja nie jestem filozofem i nie czytuję filozoficznych książek.

- A powinnaś. To było żywcem wyjęte z Kierkegaarda. I u mnie to się sprawdza. Żyję tak, jak żyją inni dookoła mnie i dlatego nie doświadczam niczego innego poza ich bliskością. Nie mam rzeczywistego „ja” i jestem zdesperowany, chociaż moje zdefiniowanie problemu sprawia, że jest to komiczne.

- Nie rozumiem - powiedziała Lily.

- Bo to jest absurdalne - ciągnął. - Nawet moje dążenia nie są niczym innym jak głupim, śmiesznym przedstawieniem, tak jak teatrzyk z marionetkami.

- Och, daj mi chwilę odetchnąć - zawołała. - Za dużo w tym wszystkim gównianego samozadowolenia z własnej przenikliwości.

- Ja tylko opisuję to z punktu widzenia Kierkegaarda.

- Ale właściwie co mi chcesz przez to powiedzieć? Że masz psychiczny dołek?

- Czyli to dostrzegasz? Nawet ubierając to w słowa, nie jestem sobą, bo większość zapożyczyłem od Kierkegaarda.

- Tyler, do czego zmierzasz? Jesteś w depresji?

Przez chwilę wydawał się zastanawiać nad tym pytaniem, aż w końcu pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Twoje następne pytanie będzie dotyczyło przyczyny mojej depresji. A ja tak daleko od tego odszedłem. Słowem nie da się opisać tego, gdzie jestem.

- A gdzie jesteś?

Jego uśmiech wydawał się autentyczny.

- Tutaj, z tobą.
- Wiesz, co miałam na myśli, Tyler.
- Nie potrafię dać na to odpowiedzi. Sam ciągle próbuję ją odnaleźć.
- W porządku - rzekła Lily. Podniosła się z łóżka i poszła do łazienki. Odkręciła kran i tym razem wzięła prysznic. Kiedy wróciła do pokoju, on był już ubrany i siedział na łóżku, oglądając *Jeopardy*.
- Powinniśmy wracać - powiedział bezbarwnym głosem.

11

Addison Road 100 w chłodny, wilgotny styczniowy dzień. Wiatr niesie popiół i pył, kręcąc nimi. Niebo ma barwę starego żelaza, napęczniałe ciemne chmury suną po nim wolno i ponuro, przepuszczając tak niewiele słonecznego światła, iż trudno stwierdzić, czy to już noc, czy jeszcze dzień. Ulicą przejeżdżają konne powozy; woźnice są okutani w ciemne płaszcze, znad postawionych kołnierzy widać jedynie nosy i oczy. Dla kogoś, kto szedł setki kilometrów przez dziewicze dżungle i miesiącami spał na statku, stukot końskich kopyt to zupełnie nowy, zadziwiający odgłos. Od czasu do czasu ulicą przemknie pies albo pojawi się jakiś przechodzień, również okutany po same uszy. Niekiedy można dostrzec ludzi korzystających z najnowszego krzyku mody w dziedzinie miejskiego transportu, mianowicie z bicykli. Nowinka jest wciąż tak świeża, że przechodnie zatrzymują się i odprowadzają cyklistów zaciekawionymi spojrzzeniami.

W dniu, kiedy Mary jedzie powozem do Soho, by doręczyć pakiet listów Dołokowa, miasto spowija lodowata mgła, która zdaje się wypełzać z ziemi. Jest nieprzyjemne, zimowe angielskie popołudnie. Mary siedzi przygnębiona w zamkniętym powozie z listami na kolanach i zerka na ulicę przez szparę w grubych zasłonach. Powóz mija miejsce wypadku z udziałem rowerzysty; Mary obserwuje scenę za oknem z mieszaniną rozbawienia i rozdrażnienia, zastanawiając się nad istotnością wiezionych listów. Zgodnie z obietnicą nie zajrzała do nich. Nazwisko na pakiecie brzmi Darnsley. Powóz zatrzymuje się przed wysokim domem z kamienia, z zamkniętą bramą i okiennicami. Widok tego domu przywodzi jej na myśl wspomnienia z Highgate. Kiedy woźnica otwiera jej drzwiczki i pomaga wysiąść, Mary niemal spodziewa się usłyszeć dobiegający z podwórza rwetes drobiu. Nad miastem wisi obłok smrodu wyziewów przemysłowych i śmieci. Przyciskając pakiecik do piersi, wchodzi w bramę i zbliża

się do drzwi, które uchylają się odrobinę - najwyraźniej mieszkańcy domu usłyszeli powóz i widzieli, jak się zatrzymuje. W drzwiach pojawia się wysoka postać rysująca się ostro na tle czerwonego poblasku, biała jak kość ręka wykonuje przyzywający ruch. Postać odwraca się i znika we wnętrzu. Mary wchodzi do środka. Nie pada ani jedno słowo. Mary podąża za postacią długim korytarzem, po czym skręca w lewo do pokoju, gdzie w kominku płonie ogień. Postać odwraca się do niej i okazuje się mężczyzną o groteskowo długiej twarzy, nosie i uszach. Oczy ma jak czarne dziury, bez choćby śladu białek. Na kanapie siedzi bardzo otyła kobieta w białych koronkach, z kościanymi grzebieniami we włosach.

- Otrzymaliśmy wiadomość od pani - mówi do Mary.

- Czy pani jest panną Darnsley?

- Panna Darnsley nie żyje.

- Jane Darnsley?

Kobieta z powagą kiwa głową.

- Tak - z bólem przytakuje mężczyzna.

Przez jakiś czas w pokoju panuje milczenie. Mężczyzna podchodzi do kominka i dokłada do ognia.

- Jestem jej matką - dodaje kobieta.

- Ogromnie mi przykro.

Mężczyzna zaczyna cicho jęczeć. Jest to tak niezwykły dźwięk, iż dopiero po chwili Mary orientuje się, skąd dobiega.

- Czy te listy napisał do niej rosyjski przyjaciel?

- Nie zaglądałam do nich, ale przypuszczam, że tak.

- Jest pani pewna, że ich nie czytała?

- Oczywiście.

Mary wręcza pakiet kobiecie, ta zaś podaje je mężczyźnie o pociągłej twarzy, który przygląda im się przez jakiś czas, a następnie wrzuca je w ogień.

- Co pan robi? - wykrzykuje Mary.

- Był złym człowiekiem - mówi kobieta. - Diabłem, który zatruwał jej umysł.

Mary spogląda na kobietę, mężczyznę i na listy od Dołokowa szybko czerniejące w płomieniach.

- Niech nas pani zostawi - ciągnie kobieta. - Niech pani wraca do swojego diabła i powie mu, że ona nie żyje. Połknęła truciznę i umarła, krztusząc się własnym plugastwem. Niech mu to pani powie. Niech wie, co zrobił.

- Pan Dołokow przypuszczalnie również nie żyje. Mogliście poinformować mnie o swoich uczuciach pocztą zwrotną. Sama spaliłabym te listy.

- Niech pani już idzie.

Mary wychodzi przy wtórze szlochania mężczyzny. Woźnica czeka na nią przy drzwiach.

- Proszę mnie zawieźć do domu - mówi Mary, ale szybko się poprawia: - Proszę mnie zawieźć na Addison Road.

12

W tropikach temperatura w mieszkaniu oscyluje w okolicach trzydziestu stopni Celsjusza. Mary cierpi na powracające co jakiś czas ataki malarii - będą ją dręczyć już do końca życia - i nawet wtedy, kiedy wraca do zdrowia, rozciągający się za oknem zimowy widok sprawia, iż jej drobnym ciałem zaczynają wstrząsać dreszcze. W mieszkaniu pełno jest pamiątek z podróży do Afryki: amuletów, masek, szklanych paciorków, bransolet, zawojów. Jest też tarcza z wysuszonej skóry z malowidłem wyobrażającym kobietę o przesadnie wielkich piersiach i ciężkich, niezgrabnych nogach krokodyla. Przy drzwiach stoi prawie metrowej wysokości drewniana rzeźba pokryta plamami zaschniętej krwi, o ustach szeroko otwartych w grymasie wściekłości lub przerażenia.

Widok tej właśnie rzeźby wywołuje okrzyk strachu gościa, którego Charley przyprowadza któregoś wieczoru w lutym 1894 roku. Idzie po schodach pierwszy, gadając bez przerwy, ale oczywiście w typowy dla siebie sposób zapomina, lub nie uznaje za stosowne, uprzedzić o niezwyklej ozdobie. Mary spodziewa się po tej wizycie wszystkiego najgorszego, ponieważ od jakiegoś czasu z najwyższym trudem znosi obecność Charleya. Brat ponownie zepchnął na jej barki troski o sprawy życia codziennego, sam zaś nie tyle mówi, ile przemawia na rozmaite „ważniejsze” tematy, zachowując się w taki sposób, jakby sam fakt, że raczył im poświęcić uwagę, znacznie przydał im wagi. Krótko mówiąc, zachowuje się jak rozpaskudzone dziecko, które nie zdołało się nauczyć, że trzeba ciężko pracować nad tym, by stać się intere-

sującym człowiekiem, i że bez trudów i wyrzeczeń niełatwo jest wydrzeć światu choćby naj-najdrobniejszą cząstkę jego bogactwa.

- Mary, przedstawiam ci najważniejszą osobę w Królewskiej Kompanii Nigru. Myślę, że powinnaś poznać sir George'a Goldiego.

Słyszała już tę nazwę, w Afryce kilkakrotnie miała do czynienia z handlarzami pracującymi dla Kompanii. Choć Królewska Kompania Nigru zajmuje się przede wszystkim interiozem oraz wiodącymi do niego drogami wodnymi, to od czasu do czasu dochodzi do tarć i zadrażnień z Nadbrzeżnym Protektoratem Olejowym MacDonalda. To właśnie Goldie skupił kilka niezależnych koncernów pod wspólnym szyldem Kompanii, w ten sposób znacznie zwiększając ich wydajność i nie dopuszczając do katastrofy, jaką byłoby pozbawienie plemion afrykańskich możliwości wytwarzania oleju palmowego oraz innych produktów pożądaných przez imperium. W nagrodę otrzymał tytuł szlachecki. Teraz stoi przed nią w obszernym płaszczu, mnąc w dłoniach kapelusz - raczej niemodną fedorę. Kiedy się kłania, ani na chwilę nie odrywa wzroku od jej twarzy. Jego oczy mają barwę niezmiernie dalekiej oceanii.

- I cóż? - pyta Charley, nieco zdziwiony przedłużającym się milczeniem.

Mary i Goldie zaczynają mówić niemal równocześnie, równocześnie też milkną, zachęcając się wzrokiem do zabrania głosu, po czym znowu oboje odzywają się w tej samej chwili. Wreszcie Mary przykłada palec do ust i daje mu znak skinieniem głowy.

- Przywożę pozdrowienia od Jamesa Henleya Batty'ego. Ale za pierwszym razem zaczął mówić coś zupełnie innego.

Mary uśmiecha się zachęcająco.

- Dziękuję i nawzajem.

Goldie koncentruje uwagę na swoim kapeluszu.

- Właściwie to chciałem powiedzieć, że ta postać przy wejściu jest zaiste przerażająca.

- To podarunek od emerytowanego szamana plemienia Fang.

W jej ustach brzmi to jak „Fong”, bo właśnie w ten sposób mówią wodzowie plemienni. Goldie uśmiecha się z uznaniem.

- Mieszkała pani wśród nich?

- Trochę. Chciałabym popłynąć dalej w górę Ogooué, żeby poznać tych, którzy jeszcze nigdy nie zetknęli się z Europejczykami.

- Podobno są zupełnie nieprzewidywalni, a przez to bardzo groźni.

- Tak właśnie słyszałam.

- Moja siostra robi wszystko, żeby jak najprędzej dać się zabić - wtrąca Charley z ironicznym uśmiechem.

- Jest mi niezmiernie miło, że mogę panią poznać - mówi Goldie.

- Mnie także - odpowiada Mary.

Ciałem Charleya wstrząsa dreszcz, jakby wracał do siebie po dłuższym zamyśleniu. Klaszcze w dłonie i woła:

- No, dobrze! Mamy ochotę na brandy. I na cygara, jeśli łaska. Są w kredensie.

Mary rusza zrealizować zamówienie, a mężczyźni pogrążają się w rozmowie. Mówi jednak przede wszystkim Charley. Poznał Goldiego po wykładzie, który ten wygłosił wieczorem. Tematem wykładu była niewydolność i nieefektywność królewskiej administracji terytoriów zamorskich - przede wszystkim chodziło o majstrowanie przy kulturze rdzennych mieszkańców wtedy, kiedy było to najmniej potrzebne, o całkowity brak ochoty i wysiłków zmierzających do lepszego ich zrozumienia, o uznanie ich prawa do ochrony i obrony tego, co w swojej kulturze uważali za najistotniejsze.

- Spodobał mi się pomysł, żeby zachowywać się tak, jakby dzicy tylko czekali na to, by dać sobie spokój ze swoimi wierzeniami i tradycjami - mówi Charley. - W ten sposób popycha się ich właśnie ku takiemu zachowaniu. Z tego, co wiem, gromadnie nawracają się na chrześcijaństwo. Szczerze mówiąc, trudno im się dziwić, zważywszy na ich barbarzyńskie obyczaje.

- Hm, no cóż... Jeśli zrujnuje się ekonomię i kulturową strukturę jakiegoś kraju, chyba nie bardzo jest czym handlować z jego mieszkańcami, prawda?

Ale Charley go nie słyszy.

- To niesamowite, ale akurat kiedy kończył pan wykład, przyszło mi do głowy, że wyświadczę mojej siostrze wielką przysługę, poznając ją z panem. I proszę, oto tu jesteście!

Mary nalewa brandy i przechodzi w drugi koniec pokoju. Mężczyźni dyskutują o wieczornym wykładzie. Boli ją, że jest przez nich ignorowana, choć jej uwagi nie umyka fakt, iż Goldie co jakiś czas zerka niepewnie w jej kierunku. Charley prosi o więcej brandy. Goldie uprzejmie godzi się, żeby również uzupełniła zawartość jego szklaneczki. Wkrótce Charley chce jeszcze więcej, ale kiedy Mary przynosi całą butelkę, rzuca jej karcące spojrzenie, wstawia więc butelkę z powrotem do kredensu. Przez jakiś czas słychać tylko cmokanie Charleya, który z ukontentowaniem sączy alkohol. Później zapala cygaro i zaczyna dzielić się z gościem swoimi napuszonymi przemyśleniami o ważnej roli białego człowieka w świecie ogarniętym

mrokiem i rozpaczą. Wszystko to jest niezbyt dokładnie zapożyczony z Kiplinga. Początkowo Goldie próbuje grzecznie podjąć dyskusję, ale szybko rezygnuje i tylko przysłuchuje się z pobłażliwym uśmiechem. Mary dochodzi do wniosku, że świadczy to raczej o jego dobrych manierach niż o słabości lub braku własnych ugruntowanych przekonań.

- Okropnie tu gorąco! - skarży się Charley, szarpiąc kołnierzyk.

- Doprawdy? Nie zauważyłam. Charley odwraca się do Goldiego.

- Jak pewnie pan spostrzegł, moja siostra uczyła się manier od naszej nieszczęsnej matki.

Goldie patrzy jej w oczy.

- James Henley Batty wyrażał się o pani w samych superlatywach, panno Kingsley.

- Rzeczywiście, niezłe z niej ziółko - wtrąca Charles. - Czy pan wie, że ona pisze książkę o tej przeklętej Afryce? W dodatku stary Macmillan zamierza ją wydać! Wydawał już książki naszego wuja Charlesa. Z pewnością czytał pan *Wodne dzieci*?

- Obawiam się, że nie - odpowiada Goldie, wyraźnie zadowolony, że nadarzyła się okazja do zmiany tematu. - Proszę opowiedzieć o swojej książce, panno Kingsley.

- Obawiam się, że to tylko zabawna farsa, ale myślę już o czymś znacznie poważniejszym, o pracy z dziedziny antropologii na wzór tych, jakie pisali Ellis, sir Alfred Lyall i Niemcy: Baumann, Buckholtz i Kohler.

- Znam Ellisa - mówi Goldie, uśmiechając z lekkim zażenowaniem, jakby się wstydził, że nie zna pozostałych.

- Mary doskonale mówi po niemiecku - informuje go Charley. - Dobra ta brandy.

Goldie z roztargnieniem kiwa głową.

- Zamierzam jak najszybciej wrócić do Afryki Zachodniej - ciągnie Mary. - Rozmawiałam już z ludźmi z British Museum. Obiecali mi poparcie i środki finansowe. Wkrótce znowu tam wyruszę.

- A ja wybieram się do Singapuru - oznajmia Charley. Mary nie odwraca wzroku pod bacznym spojrzeniem Goldiego.

- Najchętniej zostałabym tam na zawsze. W Londynie czuję się zupełnie obco.

- A więc ma pani Afrykę we krwi. Tak samo jak ja.

- Okropnie tam schudła - opowiada Charley. - Przywlokła też jakąś chorobę. Zdaje się, że tam nie ma nic poza chorobami. Nie mam pojęcia, po co miałybyś tam wracać. Przecież już prawie napisałaś książkę z tej podróży.

- To tylko notatki i listy, a mnie zależy na czymś poważniejszym. - Zwraca się bezpośrednio do Goldiego: - Zafascynowała mnie umysłowość tubylców. Odnoszę wrażenie, że postrzegają świat wyraźniej od nas. Którejś nocy rozmawiałam z szamanem zaraz po tym, jak pomogłam mu leczyć chorego. Ja korzystałam z wiedzy medycznej, on mamrotał zaklęcia i odprawiał czary. To było łagodne zatrucie pokarmowe, nic poważnego, ale potem rozmawialiśmy prawie do świtu. Szaman doskonale mówił po angielsku i wyjaśnił mi dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi. Chwilami czułam się tak, jakbym rozmawiała ze Spinozą. Wie pan, to ich widzenie świata zamieszkanego przez duchy i demony.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie podzielałem tego poglądu - przyznaje Goldie.

- Niechże pan powtórzy jej to, co mówił podczas wykładu - odzywa się Charley. - O zeszlórocznej śmiertelności w Kamerunie.

- Wiem o tym - mówi Mary. - Znam statystyki.

Goldie pochyla się lekko i jeszcze intensywniej patrzy Mary w oczy, jakby próbował odczytać jej myśli, ale jego słowa są skierowane do Charleya:

- Ma pan bardzo niezwykłą siostrę, panie Kingsley.

Trochę zirytowana tą wypowiedzią, a równocześnie odrobinę zbity z tropu baczным spojrzeniem, Mary wstaje i dolewa mężczyznom alkoholu. Tym razem napełnia również szklaneczkę dla siebie. Charley oczywiście protestuje, lecz czyni to po pijacku, bełkotliwie i bez przekonania. Pociąga tęgi łyk, po czym zapala cygaro.

- Nie zapomnij, że powinniśmy dokończyć dzieło naszego ojca.

Goldie spogląda na dagerotyp w owalnej ramie wiszący na ścianie nad biurkiem po drugiej stronie pokoju.

- Czy to wasz ojciec?

- W młodości.

Goldie z roztargnieniem kiwa głową.

- Chciałbym, żeby pani poznała moją żonę - mówi do Mary.

Mary kwituje tę uwagę uprzejmym skinieniem głowy, czując, jak jej policzki oblewa rumieniec zażenowania. Ze zdumieniem uświadamia sobie, że zainteresowała się tym mężczyzną jak głupia pensjonarka. Zrywa się i dolewa brandy nie tylko bratu, ale również sobie. Jest przekonana, że Charley zaaranżował spotkanie właśnie dlatego, że uznał tego człowieka za doskonałą partię dla niej. Charley przełyka jednym haustem niemal całą

zawartość szklanki, rozpięta się jeszcze bardziej w fotelu, kołysze naczyniem, patrzy pod światło na resztki złocistego płynu.

- Będzie nam bardzo miło.

Mówi to z takim opóźnieniem, iż jego słowa wydają się niemal całkowicie pozbawione sensu, zupełnie jakby uczestniczył w niesłyszalnej dla nich dwójga rozmowie.

Goldie wciąż nie odrywa wzroku od jej twarzy.

- Moja żona ma na imię Matylda. Podobnie jak pani jest po trosze nonkonformistką.

- Nonkonformistką? - powtarza Charley ze zdziwieniem.

- Chyba przyzna pani, że jej niedawna wyprawa do Afryki i plany szybkiego powrotu na ten kontynent nie są typowe dla kobiet jej wieku i pochodzenia?

- Nie myślę o tym w taki sposób - mówi Mary.

- Podobnie jak Matylda o wszystkim, co robi. Jestem przekonany, że przypadniecie sobie do serca.

- Będzie nam bardzo miło - powtarza Charley tępo, wysącza resztki brandy i podsuwa szklaneczkę siostrze, która natychmiast idzie do kredensu po butelkę. Sama już nie pije, tylko pyta gościa, czy ma ochotę na jeszcze. Goldie uprzejmie odmawia. Podaje szklaneczkę Charleyowi, a ten wykonuje ruch, jakby zamierzał wznieść toast, rozmyśla się jednak, upija niewielki łyk, po czym wzdycha głęboko. Mary nie ma żadnych wątpliwości - zresztą tak samo jak Goldie - że jej brat jest już mocno pijany.

Znowu odzywają się prawie równocześnie. Mary uśmiecha się, siada w fotelu i ponownie przyciska palec do ust.

- Tym razem pani kolej.

- Chciałam zapytać, gdzie widział pan ostatnio Batty'ego.

- Dzisiaj. Podczas wykładu.

- A ja z nim rozmawiałem - wtrąca Charley.

- Batty jest tutaj, w Anglii?

- Jutro z samego rana wyrusza do Sierra Leone. Podszedł do mnie po wykładzie. Kilka lat temu spotkaliśmy się w Afryce. To dobry człowiek. Pogadaliśmy chwilę, a potem zjawił się Charley i przedstawił się. Batty usłyszał, jak Charley mówi o pani, i poprosił, żeby przekazać serdeczne pozdrowienia.

- Chętnie bym z nim porozmawiała. Dwa lata temu dotrzymywał mi towarzystwa na Wyspach Kanaryjskich.

- A nie możesz przesłać mu pozdrowień? - dziwi się po pijacku Charley.

- Chyba już na mnie pora - mówi Goldie, podnosząc się z fotela.

Mary dopiero teraz dostrzega, jaki jest wysoki.

- Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Mija kilka sekund, zanim oboje orientują się, że Charley zasnął w fotelu.

- No cóż... - mamrocze Goldie z taką miną, jakby przepraszał za zachowanie gospodarza.

Mary odprowadza go do schodów, a on kłania się nisko srogiemu posagowi.

- Mam nadzieję, że nadal będziesz skutecznie odstraszał złe duchy.

Rusza w dół po stopniach, na parterze odwraca się i uchyla kapelusza. Mary powoli macha ręką, jakby żegnała kogoś wyruszającego na długą wyprawę. Goldie otwiera drzwi, do środka wdziera się zgiełk ulicy. Jeszcze raz podnosi wzrok.

- To jednak nie Afryka, prawda?

- Niestety. Chyba muszę to zmienić. Posyła jej konspiratorski uśmiech.

- Może będę mógł pani pomóc.

Rozdział 21

1

Zastanawiam się, jak robiłaś to wszystko. Opiekowałaś się nieodpowiedzialnym Charleyem. Zestawiałaś zapiski swojego ojca dla Macmillana, żeby wydać je w formie książki; urabiałaś Charleya, żeby napisał wspomnienie o nim, co mogłoby zakończyć ten projekt. I w tym samym czasie siedziałaś nocami do późna, w duchocie, walcząc ze snem i pracując nad własnym dziennikiem z pierwszej podróży na wybrzeże. Myślę o tym, jak odkrywałaś w sobie siłę do wyrażenia słowami tego, co widziałaś i słyszałaś. Naturalny talent, urodzona pisarka, tak każdy mówił. A ty mimo to odnosiłaś się do swojej pracy z rezerwą. Zastanawiałaś się i ciągle miałaś jakieś zastrzeżenia, nawet kiedy Macmillan, zobaczywszy rękopis Kęś Beninu, chciał go opublikować i nie tylko z tego powodu, by zbić majątek na kobiecie odkrywcy czy wydać jakąś nowość, ale dlatego że twoja proza była tak żywa i prawdziwa. Czy dlatego że na serio podchodziłaś do swojej pracy, nie do pisarstwa, lecz do odkryć, do poszukiwań, odmówiłaś mu zgody na zrobienie tego w ten sposób? Nie mogę zrozumieć, dlaczego

domagałaś się, żeby twoje zapiski opublikować anonimowo, jeśli nie chodziło o umniejszenie czegoś, co odczuwałaś jako piętno bycia kobietą.

Jak przeżywałaś czekanie przez tamtą zimę i wiosnę, i lato w Londynie, aż znów nadarzy się okazja, żeby wrócić w miejsca, które nazywałaś teraz swoim domem?

Ostatnio odkryłam, że ani ja, ani moja mała córeczka nie mamy prawdziwego domu. Nigdzie już nie czuję się jak w domu, a świat, który uważam za swój, wydaje się przez cały czas cofać do swoich korzeni, których ja nie pojmuję. Ta myśl nasunęła mi się ostatnio, kiedy stałam w maleńkiej kuchni i przygotowywałam szklankę kakao. Patrzyłam przez okno nad zlewem na linię drzew, na działki z tyłu budynku, na których stoją sąsiednie domy, i nagle poczułam, że nie jestem tutaj u siebie, odebrałam to jak cios w żołądek; to nie jest mój dom, nigdzie nie mam domu. Zajmuję się dzieckiem, wykonuję wiele czynności koniecznych do utrzymania w porządku tego miejsca, gdzie udajemy, że żyjemy naprawdę, i spędzam czas na nieudanych próbach napisania sztuki. Ale nigdy nie mam poczucia, że jestem we własnym domu.

W ciągu kilku następnych tygodni Tyler zamknął się w sobie, chociaż dla innych członków rodziny i wśród przyjaciół pozornie pozostał taki sam jak dawniej. Kiedy Lily wspomniała mu któregoś ranka, gdy akurat jadł śniadanie, że chce napisać do Dominika w sprawie wizyty w Nowym Orleanie, popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia. Wyszedł do pracy bez słowa. Na razie zachowywał się uprzejmie. Lily mogła postępować wedle własnego życzenia, jak powiedział jej tamtego wieczoru; tak czy inaczej i tak by to robiła. Kiedy spytała, czy jest na nią zły, odparł „nie” z wyrazem zaskoczenia, że mogła w ogóle tak pomyśleć.

Nigdy nie mówił niecierpliwym tonem ani tak naprawdę się z nią nie sprzeczał; był chętny do współpracy, stateczny, aż w końcu wydawał się nudny. To doprowadzało ją do szału. Zajmował się dzieckiem i pod każdym względem zachowywał się jak obowiązkowy ojciec rodziny, wychodząc co rano do pracy i wracając wieczorami. Kusilo ją, żeby powiedzieć mu coś, co go poruszy, co przełamie jego oczywistą apatię; ale potem wytłumaczyła sobie, że nie ma sensu znów zaczynać wojny. Na swój sposób pogodził się z sytuacją, toteż przekonała samą siebie, że któregoś dnia zaproponuje jej wyjazd do Nowego Orleanu, jakby cała sprawa była wyłącznie jego pomysłem. Wierzyła w inteligencję Tylera i jeśli nawet ciągle dręczył ją niepokój o niego, to była skłonna uwierzyć, że on w ten sposób przystosowuje się do sytuacji.

W trakcie którejś bezsennej nocy pomyślała, że tak naprawdę to wcale nie zna go dobrze. Leżała z otwartymi oczyma i starała się wyliczyć w myślach, co o nim wie: że był skrupulatny

w jednych sprawach, a niechlujny w innych; że miał w sobie przedziwną nieufność w stosunku do ludzi, która musiała się związać - tego była pewna - z najważniejszym faktem jego dzieciństwa, czyli opuszczeniem przez matkę; że niegdyś lubił polować; że był gorliwym, a ostatnio nawet obsesyjnym czytelnikiem; i że niezależnie od jego rosnącej erudycji powściągliwość powstrzymywała go od dyskusowania o różnych rzeczach w szerszym towarzystwie; że chociaż zwykle nie ponosił go temperament, to jeśli się zezłościł, miał skłonności do wpadania we wściekłość, a jego wściekłość potrafiła być gigantyczna, nawet przerażająca; i wiedziała, że był niedojrzały. Znała piosenki, które lubił, i filmy, które go bawiły; i aktorów bądź reżyserów, których preferował albo którym ufał; potrafiła wymienić niektóre jego ulubione potrawy. Została wtajemniczona w kilka jego nocnych koszmarów. Rozumiała, że jest on na ogół przyzwoitym człowiekiem, no i że ją kocha. Wszystkie te rzeczy dodane do siebie tworzyły w końcu jednorodną magmę. I podczas gdy on leżał przy jej boku pogrążony w śnie, pojękując od czasu do czasu z powodu tego, co mu się śniło, ona musiała odpędzać nachalne uczucie, że jest dla niej kimś obcym.

Napełniało ją konsternacją to, że inni tak mało rozumieli. Na zaproszenie matki Tylera spędzali trochę czasu z nią i z Rogerem Gaultem. Kilka razy wychodzili gdzieś na kolację. Nikt nie zdawał sobie w najmniejszym stopniu sprawy, że zaszła jakaś zmiana, że Tyler był w takiej depresji.

Spędzali weekendowe popołudnie w domu Galatierre'ów, wygrzewając się na słońcu przy basenie. Któregoś dnia Lily spróbowała zanurzyć dziecko w wodzie; niemowlęciu tak się to spodobało, że wydało z siebie cienki pisk i wszyscy zaczęli się śmiać. Spotykali się także z Sheri i Nickiem w Old Taylor Grocery na smażonym sumie. Wszyscy czuli się zupełnie swobodnie w ich towarzystwie. Ale zbyt często się zdarzało, że Tyler w jej obecności błędził myślami gdzie indziej; kiedy mówiła coś do niego, nie słyszał, a kiedy powtarzała nieco głośniejsze, odwracał się, jakby zdziwiony, że ktoś oprócz niego jest w pokoju i mówił: „Przepraszam, czy mogłabyś powtórzyć?”.

W towarzystwie swojej matki bywał jeszcze bardziej roztargniony. Wydawało się, że patrzy na nią z jakiejś zawrotnej wysokości, ledwie kontrolując własną równowagę; w jego spojrzeniu pojawiała się wtedy coś na kształt zdumienia. Jego matka zdawała się jednak tego nie dostrzegać.

Kiedy zostawał sam na sam z Lily, gdy już opuścili dom Galatierre'ów po popołudniu spędzonym przy basenie, wypowiadał się na temat Millicent tak, jakby była ona interesującą,

ale postronną osobą, kobietą w pewnym sensie zagadkową, której motywy postępowania trudno rozszyfrować. Powiedział Lily, że jego zdaniem Millicent należała do grona kobiet, w których duszach kryją się niezbadane lodowe jaskinie; że jest jedną z tych osób, które przechodzą przez życie z wdziękiem i pozorną elegancją, ale w rzeczywistości są zdolne do ogromnego egoizmu.

- A czy tego samego nie można powiedzieć o większości nas?

Nigdy nie wspominał o Dominiku. Nigdy o tym nie rozmawiali. Tyler spędzał samotnie całe godziny, siedząc w jednym czy drugim pokoju ich malutkiego domu, czytając albo udając, że czyta. Kilka razy, mijając otwarte drzwi, spostrzegła, że siedzi z rozłożoną na kolanach książką, gapiąc się na przeciwległą ścianę albo w podłogę. Stopniowo coraz trudniej było czuć się swobodnie i luźno w jego towarzystwie, chociaż on wydawał się zupełnie tego nieświadomy. Poza tym często wychodził. Trudno było zaprzeczyć prawdzie, że z dnia na dzień dystans między nimi się powiększał.

Stracił apetyt i źle sypiał. Oboje nie sypiali dobrze. Lily budziła się czasem ze złego snu, żeby zobaczyć, że Tylera nie ma w łóżku i że krąży gdzieś po domu. Dwukrotnie znalazła go śpiącego na kanapie w salonie. Innej nocy wstała akurat w momencie, kiedy wracał do domu z pobliskiego placu budowy, a jego cień odbijał się na oświetlonym blaskiem księżyca trawniku.

Powiedział wtedy, że miał nadzieję, że spacer pomoże mu zasnąć.

- Ja też nie śpię - odparła.

- Ach - uśmiechnął się - takie to już życie winowajców.

- A co ty na to, żebyśmy po prostu powiedzieli Dominikowi?

- I od razu powiedz też, jak do tego doszliśmy. Och, to przecież nic upokarzającego!

Na to nie miała żadnej odpowiedzi.

- Czy wiesz, jak to jest? - zapytał. - Wszystko jedno, w którą stronę się zwrócę, wszędzie widzę piekło. To jest to, co lekarze nazywają „nierozwiązywalnym konfliktem”. A tak naprawdę to oznacza pułapkę.

- Przestań - powiedziała. - Możemy przecież coś z tym zrobić. Coś wymyślić.

- Wiesz, co ja chciałbym wymyślić? Chciałbym znaleźć jakiś sposób, żeby to nie stało cały czas między nami. Żebyśmy nie musieli o tym mówić ani o tym myśleć, ani patrzeć na to, ani o tym słuchać. Chciałbym mieć rok całkowitego spokoju. Właśnie czegoś takiego bym pragnął.

Położył się do łóżka. Lily przemknęła myśl podobna do tchnienia śmierci, że czuje, jakby oboje postarzeni się o czterdzieści lat.

Następnego ranka Tyler przygotował sobie kawę i wyszedł do pracy. Na pożegnanie pocałował ją w policzek, a następnie pochylił się i dotknął wargami czubka główki dziecka. Lily patrzyła, jak wychodzi na zewnątrz, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Wiedziała, że kiedy wróci o zmierzchu, znów będzie zamknięty w sobie, spragniony świętego spokoju i będzie twierdził, że jest wyczerpany. Będzie apatycznie i sennie wpatrywał się w strony książki i przysypiał nad nią; człowiek, który szukał w życiu jakiegoś sensu, a znalazł tylko uporczywe i nieuniknione potrzeby cielesne.

Zabrała się poważnie do pracy nad sztuką, spędzała nad nią prawie wszystkie przedpołudnia, kiedy dziecko spało albo bawiło się w kojcu. Podjęła decyzję, że spróbuje zacząć od ostatnich godzin życia Mary Kingsley; od sceny w Simon's Town w Afryce Południowej, kiedy Mary majaczy w gorączce w ostatnim stadium żółtej febry, którą zaraziła się od jednego z pielęgowanych żołnierzy, ofiary wojny burskiej: Mary na przygotowanym naprędce łóżku, śniąca o powrocie do ukochanej Afryki Zachodniej i o swoich przygodach. Obrazy z jej życia będą się rozgrywały na innej płaszczyźnie sceny, na kształt wspomnienia albo halucynacji. Lily spędziła wiele czasu w teatrze i obok teatru, obserwując, jak jej ojciec razem z innymi członkami zespołu składa wszystko razem. Wtedy ta ich walka o ustawienie sztuki wydawała się tak nieskomplikowana i łatwa jak jakiś rodzaj dobroczynnych działań. Rozrywka dla obcych. Nawet jej się nie śniło, jak to może być trudne, ani nie podejrzewała, ile radości może czerpać ze złożoności pracy i wysiłku włożonego w rozwiązywanie problemów, kiedy uda się je pokonać. Nikomu nie pokazywała swoich zapisków. Każdego ranka, kiedy przed przystąpieniem do pracy odczytywała to, co już zostało napisane, czuła się na nowo podniesiona na duchu i nawet podekscytowana.

2

Czwartego lipca cała rodzina spotkała się na przyjęciu na wolnym powietrzu. Ogromną niespodziankę sprawiła wszystkim Rosa, która przyjechała z wizytą ze swojego nowego domu w Kalifornii. Była już, kiedy Tyler i Lily dotarli na miejsce; siedziała na ganku na jednym z brezentowych krzeseł ze szklanką mrożonej herbaty w ręku. Wstała i wyszła im na spotkanie, podczas gdy uwalniali Mary z fotelika samochodowego. Rosa ucałowała małą i zaczęła do niej gruchać, a potem razem weszli na ganek i stali cierpliwie, gdy Millicent ich witała. Tyler objął matkę albo raczej pozwolił się objąć i zgodził się, aby nalała mu szklaneczkę wina.

Był jasny, bezwietrzny, upalny dzień, taki sam jak kilka ostatnich, i trawa zaczęła już żółknąć na słońcu; stała się krucha i łatwo łamała się pod stopami. Przy każdym kroku unosił się obłoczek pyłu. Nick i Sheri siedzieli wewnątrz domu, w salonie, przy włączonej klimatyzacji, popijając ze szklaneczek do wina sok pomarańczowy. Lily ułożyła Mary w łóżeczku, które Millicent zainstalowała specjalnie na takie okazje, i zajęła miejsce obok Sheri. Tyler zaraz poszedł razem z Rosą do kuchni, żeby dostać obiecane wino i Lily słyszała, jak rozmawiają z Rogerem Gaultem - była to niezobowiązująca pogawędka o gatunkach win i upalnej pogodzie.

Nick pochylił się przez swoją żonę w stronę Lily.

- Wygląda na to, że by ci się to przydało - powiedział już trochę niewyraźnie, podnosząc szklaneczkę. - To mimoza: szampan z sokiem pomarańczowym.

Lily spostrzegła, jak bardzo zmienił się wystrój wnętrza. Ciągle czuła się jak w pułapce - zniknęły wszystkie trofea łowieckie i większość fotografii przedstawiających Buddy'ego z Millicent w trakcie ich rozmaitych podróży. Dokładnie obejrzała pokój. Olbrzymie okno za ich plecami ukazywało ten sam kipiący od zieleni krajobraz, który ujrzała wtedy, gdy przyjechała tu po raz pierwszy, trochę ponad rok temu. Nasłuchiwała głosu Tylera dobiegającego z kuchni i patrzyła, jak Sheri popija swój sok pomarańczowy. Zastanawiała się, co sama tutaj robi.

- Biznes idzie nam jak złoto - odezwał się Nick. - Chyba będziemy rozszerzać działalność.

Żadna z kobiet nie podjęła tematu.

- Wiem, że Buddy był temu przeciwny - mówił dalej. - Ale stracimy kupę kasy na podatkach, jeśli tego nie zrobimy.

Sheri wstała.

- Nie czuję się teraz na siłach rozmawiać o interesach. Przepraszam, Nick. Wybacz mi.

- Już kończę - zawołał, ale ona zdążyła wejść do kuchni i wygłaszała komentarze na temat hawajskiej koszuli Rogera.

Nick odchrząknął, pociągnął duży łyk ze szklaneczki i zerknął na Lily.

- Niektóre rzeczy trochę mnie wkurzają.

Lily nie odzywała się jeszcze przez sekundę lub dwie. Rozmowa w kuchni stawała się coraz głośniejsza; sprzeczali się na temat możliwości zjednoczenia Niemiec, jakby to były obrady na najwyższym szczeblu w korpusie dyplomatycznym. Lily usłyszała w głosie Tylera

zmęczenie i doszła do wniosku, że to znudzenie. Zaczął je okazywać przy niemal każdej okazji. Westchnęła ciężko i schyliła się, żeby zajrzeć do łóżeczka, gdzie spała Mary.

- Jaki jest Tyler w domu? - zapytał zniecierpliwiony Nick. - Oczywiście, jeśli moje pytanie nie jest zbyt wścibskie.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Bo już nie pracuje tak wydajnie jak kiedyś - mówił dalej. - Na początku był pełen entuzjazmu. Nawet kiedy Buddy... nawet po wypadku. Bardzo mu zależało, żeby dobrze pracować. Załatwiał masę spraw ekstra. I także był dobry. Klienci się do niego garnęli. A teraz siedzi w salonie przez cały dzień i dosłownie nic nie robi. Nie odbiera telefonów. Kiedy ludzie wchodzi do środka, wieki mijają, zanim ich zauważą. Odnoszę wrażenie, że jest ciągle jakby oszołomiony. A ludzie reagują na takie rzeczy. My... my tracimy klientów.

- Rozmawiałeś z nim na ten temat?

- Trochę. Przepraszał, obiecywał, że się poprawi. Powiedział, że ma pewne sprawy na głowie. Zresztą znasz te gadki.

- Cóż, Tyler musi przez to wszystko przejść, Nick. Tak samo jak ty.

- Więc uważasz, że to są skutki tego, co się stało?

- Tak.

Kiedy to mówiła, doskonale wiedziała, że kłamie. Nie mogła się zdobyć na to, żeby odwzajemnić jego spojrzenie.

- On chce stąd wyjechać - powiedział Nick. - Chce wynieść się tak daleko, jak to możliwe, i chce zabrać ciebie i dziecko.

- Wiem - odparła Lily. - Rozmawialiśmy o tym. O służbie w wojsku. O Niemczech. O Rzymie.

- Nie chcielibyśmy cię stracić, Lily. Jesteś jedną z tych osób, która wszystko rozumie. Nie sądzę, żeby spodobała mi się taka zmiana. I wiem, że Sheri też tak uważa.

Lily nagle poczuła, że za chwilę może się rozplakać.

- Nick, my... my zawsze będziemy utrzymywać z wami kontakt.

- Taak - odparł i pociągnął łyk ze szklaneczki.

W tym czasie pozostali zdążyli już wyjść na patio przy basenie i w domu panowała cisza. Nick zabębnił palcami o brzeg szklanki, a kiedy Mary zaczęła marudzić, odstawił drinka i pochylił się nad łóżeczkiem.

- Mogę?

- Jasne.

Sięgnął w głąb i z wielką ostrożnością wyjął dziecko z łóżeczka razem z kocykiem i zaczął kołysać je w ramionach, a w jego spojrzeniu skierowanym na małą, okrągłą buzię pojawił się pewien rodzaj smutnego zastanowienia. Lekko huśtał je na rękach, a kiedy popatrzył na Lily, jego oczy zwilgotniały, a na twarzy pojawił się wyraz zakłopotania zmieszanego ze szczęściem, jakby jego własne emocje były trudną do rozwiązania zagadką, której sam nie potrafił zrozumieć ani wytłumaczyć. Na ten widok serce Lily zadrżało ze współczucia. Podał jej niemowlę i odchrząknął, a potem wetknął ręce do kieszeni spodni i odwracając się nieznacznie, spojrzął na pola, daleką rzekę i wjazd na autostradę, widoczne za oknem.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że też mógłbym mieć dziecko - powiedział.

W tej chwili Sheri zawołała do nich z drzwi prowadzących do kuchni.

- Przynieście małą na zewnątrz. Już jest sporo cienia. A Mary może trochę popływać, jeśli nie śpi albo nie je.

Nick podniósł łóżeczko.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze, jeśli chodzi o Tylera. On tylko musi odzyskać dawną pogodę ducha.

- Pogodę ducha... - powtórzyła jak echo. - Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś użył tego sformułowania w tym znaczeniu

- Millicent mówiła tak do Sheri przez cały czas, kiedy Sheri była mała. A Sheri mówi tak do mnie. Ona... ona bardzo często mi to powtarza. - Zaśmiał się krótko, z dezaprobatą dla samego siebie, i znów pokręcił głową. - Wiesz, zastanawiam się czasami, czy twoja szwagierka naprawdę mnie lubi.

3

Kiedy słońce schowało się za drzewami i niebo zrobiło się szare, zaczął się pokaz ogni sztucznych. Z tyłu domu mogli dojrzeć dwie imprezy przygotowane dla szerokiej publiczności, a między rozrzuconymi domami w sąsiedztwie odbywały się prywatne pokazy: rakiety, miniwybuchy, rzymskie świece, świetliste smugi, ciągnące się ogniste pasma, rozwijające się na niebie kwiaty czerwieni, bieli i błękitu konkurowały z grzmiącymi deszczami iskier widocznymi w oddali. Eksplozje rozlegały się w ciężkim powietrzu, ale fajerwerki na ziemię

spadały już jako popioły, nawet jeśli przed chwilą płonęły tak olśniewająco. Z pewnej odległości wyglądały kiepsko, kiedy niepokojąco słabo świeciły, lecąc w górę. Ich widok uzmysłowił Lily istnienie grawitacji. Nie miała pojęcia, że tak bardzo się zmęczyła. Trzymała Mary blisko siebie; jedną ręką podpierała główkę, żeby zasłonić jej uszy przed hałasem.

W końcu Millicent spytała, czy może zabrać dziecko do środka. Miała już dość widowiska, a unoszący się w powietrzu smród dymu i prochu zaczął ją męczyć. Lily weszła do domu razem z nią i wtedy zauważyła, że Tylera nie było wśród oglądających pokazy. Przeszła wzdłuż korytarza aż do łazienki na piętrze - znalazła otwarte drzwi i wyłączone światło, skierowała się więc w stronę tej części domu, gdzie mieścił się gabinet Buddy'ego z pustymi miejscami na ścianach, i zeszła na dół do ich dawnego pokoju. I tam zobaczyła Tylera. Siedział na nieposłanym łóżku, na nagim materacu, a na kolanach trzymał jeden z karabinów Buddy'ego. Wpatrywał się w niego, gładząc jednocześnie ostrożnym ruchem lśniącą lufę.

- Tyler? - odezwała się. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Och... tak.

- Co... co ty robisz? Wstał i oparł broń o ścianę.

- Nic takiego.

- A co robiłeś?

- Ja... ja oglądałem jeden z karabinów Buddy'ego.

Podszedł do niej i po prostu czekał, patrząc jej prosto w oczy, jakby uważał, że przyszła tu, żeby mu coś powiedzieć.

Gdzieś w pobliżu drzwi wychodzących na patio rozległ się tak silny wybuch, że oboje podskoczyli.

- Tyler... - zaczęła, ale nie przychodziło jej do głowy nic mądrego.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Chciałem tylko popatrzeć na karabin.

Łzy napłynęły jej do oczu. Ale kiedy próbowała go objąć, odsunął się.

- Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podziewamy - powiedział. - Już tu przecież nie mieszkamy.

- Tyler, powiedz mi, co mam robić. Teraz wyglądał na znużonego.

- Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Jest Czwarty Lipca i niedługo będziemy wracać do domu.

Podeszła w kierunku drzwi prowadzących na patio.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Sam nie wiem. Może z powodu dawnych czasów? Zresztą czy muszę się tłumaczyć ze wszystkiego, co robię?

Obeszła go i skierowała się w stronę schodów, ale upewniła się, że poszedł za nią. Jej niepokój, wszechobecny mrok, który rozciągał się tak szeroko i który znosiła od tak dawna, że prawie przestała go zauważać, odnowił się i odzyskał nad nią władzę.

Trzymała Mary na rękę, kiedy mówiła wszystkim „do widzenia”, i przyjmowała pocałunki, życzenia, żarciki, uśmiechy i upomnienia, żeby uważali w czasie drogi do domu. Wreszcie wyszła na zewnątrz i przez chwilę układała ostrożnie Mary w foteliku samochodowym, a Tyler w tym czasie ładował do bagażnika kojec, torbę z butelkami, pieluszki i odżywki, i gryzaczek, starając się niczego nie przeoczyć. Usiadł za kierownicą, włączył silnik, popatrzył na stojących na ganku i kiedy pomachali na pożegnanie, odpowiedział w ten sam sposób, tak samo jak Lily, która wszystko to robiła jednak w jakimś oszołomieniu. Siedziała w samochodzie i patrzyła na Tylera, podczas gdy on wiozł ich do domu. W milczeniu obserwowała jego beznamiętną twarz. Kiedy zajechali przed mały dom, wyciągnęła Mary z fotelika, weszła do środka i położyła ją na łóżku, żeby zmienić pieluszkę i przebrać do łóżeczka. Tyler w tym czasie zniknął w którymś z pograżonych w ciszy pokoiów. Siedziała na swojej połowie łóżka i czekała cierpliwie na niego, a kiedy nie przychodził, zaczęła go szukać, skradając się po domu niemalże jak złodziej. Znalazła go siedzącego w fotelu przy drzwiach, z głową odrzuconą do tyłu i otwartymi ustami.

- Tyler? - odezwała się.

Poruszył się.

- Och, chyba zasnąłem.

- Kochanie, czy możemy porozmawiać o dzisiejszym wieczorze?

Jego oczy znowu zrobiły się pozbawione wyrazu.

- Lily, ja nie lubię ogni sztucznych.

- Właśnie miałam zamiar to powiedzieć - zaczęła, ale nagle zabrakło jej tchu.

- Chcesz jechać do Nowego Orleanu, zgadza się?

- Tyler, ja muszę wiedzieć, co ty robiłeś z tamtym... no, z tamtym... proszę, powiedz mi, co się dzieje! - Znow zaczęła płakać. Stała naprzeciw niego, drżąc.

Nawet się nie poruszył.

- Co robiłem z czym, Lily?

- Czy myślisz o... - Znowu nie mogła wyrzucić z siebie tych słów. - Tyler, pewne sprawy zawsze można ułożyć.

- Jezu - mruknął. - Idź już do łóżka, dobrze?

- Nie powiemy nigdy nikomu, zgoda? Nikt nie będzie o tym wiedział.

Kiedy padły te słowa, na jego ustach pojawił się uśmiech. Pomyślała, że nigdy nie widziała niczego równie przerażającego jak ten otwarty, bezlitosny uśmiech, ten chłopięcy grymas ukazujący wszystkie zęby - uśmiech z piekła rodem, który tylko wykrzywił usta.

- Ale my o tym wiemy, księżniczko.

- Przestań! - zawołała. - Przerażasz mnie.

- Wracaj do łóżka.

Zebrała się na odwagę, żeby poprosić, by poszedł razem z nią. Niemalże czuła, jak cała się spina.

- Chodźmy tam oboje. - To było wszystko, co zdołała wykrztusić.

- Nie jestem śpiący. - Ciągle wpatrywał się w nią, a ten okropny uśmiech nie znikał z jego ust.

Z całych sił starała się mówić swobodnie.

- Mnie też nie chce się spać. Nie mówiłam o spaniu.

Ale jej głos drżał i w dodatku cały czas nie mogła zapanować nad oddechem.

- Tyler, pojedźmy z kimś się zobaczyć. Wsiądziemy do samochodu i pojedziemy z powrotem do domu...

Podniósł rękę.

- Wpadasz w panikę

- Nie, ja... ja tylko uważam, że powinniśmy wrócić do domu...

- To jest nasz dom - przerwał.

- Tak - szepnęła, ale to słowo zabrzmiało niewiele głośniejszym niż oddech.

- To jest dom niewielkiej rodziny Harrisonów.

Nie mogła nic powiedzieć. Czuła na sobie jego wzrok, ale sama patrzyła w podłogę, czekając, aż on powie lub zrobi coś innego.

Powoli się podniósł, jakby kosztowało go to wiele wysiłku, jakby bolały go wszystkie kości. Był to ruch starego człowieka, kogoś znużonego i cierpiącego. Przeszedł na ukos przez pokój, a kiedy zrównał się z nią, zatrzymał się, ale tylko na sekundę, po czym wyszedł na

korytarz i skręcił w stronę sypialni. Lily poszła za nim. Tyler ściągnął z siebie koszulę i stanął nad łóżeczkiem, gdzie dziecko przekręciło się na bok i spało jak anioł.

Położyła mu rękę na ramieniu, a kiedy nie zareagował, zabrała ją.

- Nikt nigdy się nie dowie - powiedziała. Pokręcił głową, ale milczał.

- Uwierz mi, Tyler.

Obszedł łóżko dookoła i usiadł, żeby zdjąć sandały.

- Nie lubię ogni sztucznych - powiedział. - Czy ciebie nie denerwują te hałasy, podobne do strzałów z broni palnej?

Wstał, zdjął slipki, ułożył je starannie w kącie na krześle i wślizgnął się pod przykrycie, podciągając je pod brodę. Złożył ręce na piersiach i zamknął oczy.

- Ja nie pomyślałam o tym, Tyler. To musiało... to musiało być dla ciebie okropne. Ja nie widziałam żadnych... nie rozumiałam, jak to musiało podziałać na Nicka.

- Nick nie sprawiał wrażenia, że ma coś przeciwko. Moim zdaniem Nick już niczemu się nie sprzeciwia. Nick naprawdę wcześniej zaczyna dzień od małego drinka, a potem popija przez cały czas aż do wieczora, i wydaje mu się, że nikt tego nie zauważa. A przynajmniej jego klienci.

Rozebrała się i szybko wskoczyła w koszulę nocną. Kiedy leżeli obok siebie, Tyler odetchnął głęboko, jakby czynił to z wysiłkiem, i dźwignął się na łokciu, żeby pocałować ją w policzek. To był obcy, zimny pocałunek. Potem przewrócił się na bok, a ona wyłączyła lampę i zamknęła oczy, choć doskonale wiedziała, że nie zaśnie. Tyler leżał spokojnie, wcale się nie poruszając; wydawało się nawet, że nie oddycha. Cała ta noc przepełniona była ciszą jak śmierć. Po kilku minutach zaczął pochrapywać. Niemowlę wydawało z siebie jakieś posapywania, wzdychało cichutko, nabierało głośno powietrza, czasami zaszlochało i poruszyło się, i znowu zastygało w bezruchu. Jedynie Lily czuwała. Leżała w ciemności, mając przed oczyma obraz swojego męża siedzącego na nagim materacu w pokoju na dole z karabinem na kolanach.

4

Poderwała się, kiedy obudziło ją światło dnia; Mary, gaworząc, bawiła się obok, a Tylera już nie było. Minęła dziewiąta rano, ranek był mglisty i ponury. W kuchni znalazła na wpół zjedzoną gruszkę i szklankę ze śladami mleka na dnie. Nigdzie nie zauważyła żadnej karteczki.

Cały dom sprawiał wrażenie, że właśnie opuścił go ktoś, kto mieszka samotnie. Zadzwoiła więc do salonu, poprosiła Tylera do aparatu i czekała kilka minut. Kiedy nie podchodził, odwiesiła słuchawkę, wykręciła numer jeszcze raz i zapytała, czy może rozmawiać z Nickiem. Znowu musiała czekać i kiedy już miała przerwać połączenie, Nick podszedł do telefonu.

- Nick... muszę pomówić z Tylerem.

- Nie ma go, Lily. Jak się pojawi, powiem, że dzwoniłaś.

- I nie było go jeszcze?

- Nie.

Łzy pociekły jej z oczu. Sama nie wiedziała, jak udało się jej powstrzymać od szlochu.

- Kiedy przyjedzie... jeśli przyjedzie, to powiedz, żeby zadzwonił do domu swojej matki.

- Lily, co się stało?! Dlaczego on tu nie przyjechał?!

- Wyszedł z domu przed wschodem słońca.

- Dzwoniłaś już do Millicent?

- Zaraz do niej pojedę.

- Dopilnuję, żeby do ciebie zadzwonił, gdy tylko się zjawi. Zmuszę go, żeby zadzwonił.

Nakarmiła i ubrała Mary, a potem sama się przebrała. Zanosilo się na burzę; ogromne, ciemne chmury zbierały się na wschodzie, tuż ponad linią drzew. Ciężkie, naładowane błyskawicami i tak masywne, że wyglądały, jakby zaraz miały powalić na ziemię pobliskie drzewa. Lily wsadziła Mary do fotelika i pojechała do domu Galatierre'ów. Deszcz zaczął padać, zanim dotarła na miejsce; gwałtowne podmuchy wiatru zrywały z drzew liście. Przez kilka minut siedziała w samochodzie, czekając, aż deszcz ustąpi. W jednym z okien frontowych dostrzegła Sheri, która jej pomachała. Po chwili wyszła z parasolką Millicent i pomogła wnieść dziecko do domu.

Sheri była ubrana jak do pracy, ale okazało się, że czuje się zbyt kiepsko, żeby wyjść. Na powitanie cmoknęła Lily w policzek i opuściła pokój.

- Za dużo wypila wczoraj wieczorem, kiedy już pojechaliście - poinformowała Millicent.

- No i ma potężnego kaca. Powinna się wstydzić.

Lily udało się okiełznać panikę.

Z kuchni wyszła Rosa i przez pół sekundy Lily przemknęła myśl, że może dziewczyna znów zaczęła pracować dla Millicent. Ale Rosa tylko przyniosła sobie kawę. Usiadła na kanapie i upiła mały łyk z filiżanki. Dziecko wydało z głębi gardziółka jakiś wysoki dźwięk, a Millicent powiedziała do niego łagodnym tonem coś, czego Lily nie dosłyszała. Czekala, aż

Rosa się do niej odezwie. Zaczynała powoli żałować, że w ogóle tu przyjechała. Rosa podmuchała na kawę i głośno siorbnęła.

- Miałyśmy z Sheri pojechać do miasta - odezwała się w końcu - ale coś mi się zdaje, że nic z tego. Na zewnątrz jest fatalnie. Wewnątrz zresztą też. Przypomnij mi, żebym się nigdy nie upijała.

- Rosa - zaczęła Lily - ja... ja muszę porozmawiać z Millicent w cztery oczy. Czy nie obrazisz się, jeśli...?

Rosa odstawiła kawę i patrzyła to na jedną, to na drugą z wyrazem nieskrywanego zaciekawienia. W ten sposób reagowała na wszystko i nie było w tym nic osobistego; równie dobrze mogłaby się przypatrywać parze ptaków na gałęzi. Wreszcie zabrała filiżankę i poszła z powrotem do kuchni. Zanim zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się raz jeszcze.

- Jadę do miasta, gdy tylko pogoda trochę się poprawi. Przekażecie to ode mnie Sheri?

Millicent odpowiedziała, że oczywiście, a w jej głosie wyraźnie brzmiała niepewność.

Kiedy zostały same, zwróciła się do Lily:

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? Wyglądasz na zmartwioną.

Lily, kiedy już wciągnęła powietrze, żeby zacząć, stwierdziła nagle, że nie może swobodnie mówić. Czowała się jak sparaliżowana i trudno jej było zdobyć się na powiedzenie czegokolwiek. Gardło miała ściśnięte i walczyła ze łzami.

- Ja... och, to nic ważnego. Po prostu... Millicent czekała.

- Och, nic. Nic nie szkodzi - dodała szybko Lily.

- Coś jest nie w porządku - orzekła Millicent, odsuwając na bok pasemko włosów. - Macie jakieś kłopoty?

- Nie wiem - odparła Lily i kiedy wypowiadała te słowa, odżyły w niej nagle wszystkie niepokoje z ostatnich tygodni. Siedziała na kanapie i płakała, zasłaniając rękoma twarz. Słyszała, jak Millicent chodzi dookoła, po chwili usiadła obok niej i objęła ją ramieniem.

- To wszystko ma związek z dzieckiem - powiedziała do Lily. - Pamiętasz, mówiłam ci, że oni czasem mają problemy z zaakceptowaniem odpowiedzialności.

- To nie to - wykrztusiła Lily, ale nie mogła się zebrać, żeby mówić dalej. Była aż do bólu świadoma, że dalsze zwierzenia nieuchronnie doprowadzą do tej najważniejszej, głęboko ukrytej sprawy. I w tej chwili odniosła wrażenie, że powiedzenie drugiej kobiecie o przyłapaniu Tylera z bronią będzie poddaniem się własnej histerii i że pozwoli w ten sposób, by wszystkie jej obawy wzięły górę. Tak bardzo pragnęła uwierzyć, że opuścił ją rozsądek.

Millicent podała jej chusteczkę i poczekała, aż Lily się trochę ogarnie.

- Możesz o tym mówić?

Lily doskonale wiedziała, że potwierdzenie będzie oznaczać wyznanie wszystkiego, a na to nigdy nie powinna sobie pozwolić.

- Nick wspominał, że zauważył, że Tyler jest jakiś apatyczny... no cóż, może nawet chwilami nieobecny.

Lily przytaknęła.

- Och, ci mężczyźni i ich niemożność wyrażania uczuć.

- On opowiada mi o swoich uczuciach. Mówi, że nic nie czuje.

- Do ciebie?

- Do kogokolwiek. Czegokolwiek. Ogólnie do świata.

- Cóż, on cały czas myśli o tamtym zdarzeniu. Obaj będą mieć z tym problemy do końca życia. I Tyler, i Nick.

Lily znów skinęła głową.

- Nie możecie o tym porozmawiać we dwoje?

- My... my nie... to wszystko... och, nie powinnam zaczynać! To tylko zły dzień.

- Czego nie możesz mu powiedzieć?

Bała się spojrzeć na Millicent. Nerwowo przesuwiała chusteczkę między palcami.

- Nick miał dopilnować, żeby Tyler tu zadzwonił, gdy tylko dotrze do salonu.

Millicent milczała. Na zewnątrz rozległ się grzmot, błyskawica przemknęła przez wierzchołek nieba.

- To chodzi o mnie - szepnęła Millicent. - Prawda?

- Co? - nie zrozumiała Lily.

- O mnie... o to, co zrobiłam wiele lat temu.

- Nie! - zawołała Lily prawie niecierpliwie, choć tknęło ją, że może być w tym jakieś ziarno prawdy.

Piorun uderzył gdzieś blisko, tak że obie podskoczyły.

- Mam złe przeczucia - powiedziała Millicent. - Chciałabym, żebyśmy... chciałabym, żeby to odeszło. Od samego początku czułam, że byłoby lepiej, gdybyśmy współdziałali i przyzwyczaili się do siebie, i żeby nikt za dużo nie myślał o tamtych sprawach.

Rozległ się następny grzmot, poprzedzony oślepiającą błyskawicą. Strumienie wody spływały po dużym oknie, a po chwili dołączyły do nich uderzenia wiatru. Nadchodziły falami,

a wierzchołki drzew w oddali gięły się w tył i w przód w chaotycznym zameście, wśród tytanicznych wstrząsów.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - Millicent westchnęła. - Chcesz, żebym mu wytłumaczyła, że jestem grzeszną ludzką istotą, która zakochała się w drugim mężczyźnie, zaszła z nim w ciążę i nie widziała innego wyjścia z sytuacji? Bo dokładnie tak było i naprawdę nie istniało inne rozwiązanie. Bo gdybym wzięła... gdybym zabrała ze sobą mojego syna, musielibyśmy uciekać. Całe życie upłynęłoby nam na uciekaniu przed ojcem Tylera. Czy wiesz, jaki był jego ojciec?

- Tyler opowiadał mi o nim co nieco - powiedziała Lily.

- Chciałabym usłyszeć, co Tyler o nim mówi. Naprawdę bym chciała. Ale pozwól, że ja też ci powiem coś na temat Geoffreya Harrisona. Po pierwsze i najważniejsze - był zawsze dość wymagający w stosunku do wszystkiego, co należało do niego. Broń, samochody, wszelkiego rodzaju własność, urządzenia, kawałek pola i wszystkie patyki, które na nim się znajdują, jak zwykliśmy mówić. W stosunku do wszystkiego. Oczywiście uważał, że ja także do niego należę. I myślę, że gdybym wtedy została, nosząc dziecko Buddy'ego, a Geoffrey musiałby się zmagać z tym faktem każdego dnia, to w końcu może by mnie i zabił.

Lily wpatrywała się w Millicent i czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Och, nie w ten sposób... nie tak, jak myślisz, chociaż ojciec Tylera ze swoją zaborczością był gwałtownym, przerażającym człowiekiem, który niełatwo znosił, gdy coś szło nie po jego myśli. Nie, nie zrobiłby nic podobnego, żadna fizyczna przemoc nie wchodziła w grę - on zabiłby mnie swoim szlachetnym zachowaniem. Zabiłby mnie, wybacząc mi i przypominając mi o tym, że zostało mi wybaczone, w absolutnie każdej chwili mojego życia. A jeśli chodzi o biedną Sheri... ukarałby ją swoją uprzejmością, kiedy w rozmaity sposób dawałby jej odczuć, że nie budzi w nim zawiści. Byłoby to we wszystkim, co kiedykolwiek by z nią robił, i w każdym słowie do niej skierowanym. Bo Geoffrey miał w sobie taki rodzaj wyćwiczonej dobrotliwości, przez którą zawsze przeświecają pobudki tego, co akurat robi. Wiesz, o czym mówię? Prostolinijny, religijny, uczynny człowiek, który nie jest zdolny do pojedynczego aktu nieświadomionej wspaniałomyślności, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Czy wiesz, co zrobił, kiedy odkrył, że jestem zakochana w Buddym? Zabrał mnie w ustronne miejsce, do naszego pokoju, i poprosił, żebym uklękła razem z nim i zaczęła się modlić! A ja to zrobiłam, bo miałam wtedy tylko dwadzieścia trzy lata i byłam naprawdę przerażona tym, co mi się przytrafiło. Uklękliśmy w naszej małej sypialni i odmówiliśmy

„Zdrowaś Mario”, a potem on spojrzał na mnie i powiedział, że mi wybacza. Wybacza. Byłam zmieszana, częściowo mi ulżyło - bo wiedziałam, że potrafi wpaść w szal - ale w tej samej chwili dotarło do mnie, że muszę od niego uciec. Najdalej, jak tylko się da. Na całe życie. I jednocześnie wiedziałam, że jeśli zabiorę Tylera, będę musiała walczyć z nimi obydwojma... bo Geoffrey ścigałby mnie aż na kraniec świata, a Tyler byłby nieszczęśliwy i cały czas chciałby wrócić do ojca. Ponieważ Tyler tak naprawdę był jego dzieckiem. Należał do niego pod każdym względem, nawet jako niemowlę. Zawsze był synkiem tatusia. Więc go zostawiłam. Zostawiłam ich. Naprawdę nie miałam wyboru. Przez wszystkie lata, przy pomocy Buddy'ego, starałam się wiedzieć, co się dzieje z Tylerem, tak dalece, jak tylko mogłam. Dostawałam informacje, że jest szczęśliwy ze swoim ojcem i że obaj są ze sobą wyjątkowo związani. Serce mi pękało nie dlatego, że nie miałam go obok siebie, ale dlatego że wtedy to on nie chciał być z matką. Wybrał swojego tatusia, las, gry i męskie zabawy. W wieku czterech lat miał już swoją wędkę i sprzęt.

- I chciał także mieć ciebie - powiedziała Lily. Millicent nieco zeszywniała.

- To zupełnie coś nowego. Jeśli ci to powiedział, to znaczy, że zmienił zdanie. A może nie... może sam nie zdaje sobie z tego sprawy. On miał wtedy tylko pięć lat. I na pewno bardzo by tęsknił za ojcem.

- Boję się - szepnęła Lily.

- I ja też - odparła Millicent. - Witaj w gronie rodziców. Lily wytarła chusteczką łzy ciekące po policzkach.

- Posłuchaj, macie pewne problemy, jak to małżeństwa... a ty nie mówisz mi wszystkiego. Rozumiem, to sprawa osobista, ale ja nie mogę ci niczego radzić, jeśli nie wiem nic ponad to, że on... że ty masz zły dzień.

Obie spojrzały na Mary, śpiącą na brzuszku w łóżeczku. Szare, przyćmione deszczem światło wpadające przez okno rzucało na jej buzię i rączki niebieskawą poświatę.

- On ma w sobie coś z ojca - mówiła dalej Millicent. - Trochę to widać. Ja to widzę. Geoffrey w zasadzie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale był człowiekiem zdolnym do najbardziej zjadliwej słodyczy. To jedyny sposób, żeby to opisać. Doskonale potrafił gromadzić w sobie gniew z jakiegoś powodu, a potem dawał mu upust w postaci szlachetnych, miłosiernych uczynków, gestów pełnej cierpliwości tolerancji w stosunku do ciebie, skłonności do patrzenia przez palce na mnóstwo twoich drobnych niedoskonałości... To doprowadzało mnie na skraj szaleństwa.

Westchnęła głęboko.

- A potem spotkałam Buddy'ego. On miał tak cudowny sposób bycia... zresztą wiesz, jaki był Buddy... i, no cóż, w taki nieskomplikowany sposób okazywał mi swoje zainteresowanie. Na początku był po prostu przyjaźnie nastawiony. Taka jest prawda. Miły mężczyzna, w którym jest pewien rodzaj... nie wiem, jak to wyrazić... życzliwej szczerości. Czułam się bardzo dobrze w jego towarzystwie na długo przedtem, zanim zorientowałam się, co się dzieje. Ja mogłam... mogłam przy nim swobodnie oddychać. Mogłam być sobą, razem z moimi drobnymi dziwactwami, przewinieniami i grzeszkami; przy Buddym nie wymagały one wybaczenia, w każdym razie nie bardziej, niż wymaga go letni deszczyk. Nie potrafię nawet wyrazić słowami, ile to dla mnie znaczyło - uświadomienie sobie tej prawdy. Pamiętaj, że byłam młoda. Poczulałam się, jakbym odkryła, że na tym świecie coś może wyglądać inaczej, niż pierwotnie sądziłam. Że możesz być z kimś, nie czując przez cały czas nad sobą moralnego parasola; że możesz nie czuć się winna za te drobnostki, w których nie jesteś całkiem doskonała. Krótko mówiąc, jechałam kiedyś na spotkanie z Buddym, pełna radosnego oczekiwania, i wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że chcę z nim być przez cały czas. Wcześniej nawet się nie całowaliśmy. I równie dobrze mogę ci wyznać, że to ja zainicjowałam całą sprawę, niezależnie od tego, co Buddy mówił na ten temat. Doszłam do wniosku, że go pragnę, prawie w tej samej chwili, w której stwierdziłam, że nic, co mogłabym zrobić albo próbować zrobić, nie powstrzyma mnie od pójścia za nim. Zupełnie jakbym znalazłszy się w głębokiej wodzie, nagle ujrzała brzeg. Nie miałam wyboru. W drzwiach prowadzących do kuchni pojawiła się Sheri.

- Ach, to ta słynna opowieść o głębokiej wodzie i linie ratunkowej.

- No cóż, kochanie - odparła Millicent. - Możesz nie znosić tej historii, ale bądź wdzięczna, że się zdarzyła, bo w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

- Nie to miałam na myśli, mamo. Po prostu źle się czuję. Właściwie lubię tę opowieść. Bardzo. I naprawdę lubię jej słuchać.

- Rosa prosiła, żeby ci powtórzyć, że ma zamiar pojechać do miasta, gdy tylko przestanie tak padać.

- Ale wcale nie przestaje, a ona siedzi ze mną. Próbowałam zjeść coś słonego i rozmawiać z nią między atakami rzygania. Ależ te wymiociny na kacu cuchną!

- Może pomyślisz o tym następnym razem, kiedy będziesz miała chęć sobie pofolgować.

- Zachowam trochę z tego, co zwymiotuję następnym razem, żeby mi przypominało.

- Sheri jak zwykle przekracza wszelkie granice.

Sheri odwróciła się i weszła z powrotem do kuchni, pozwalając, żeby drzwi same się za nią zatrzasnęły. Millicent spojrzała na Lily.

- Lepiej nie mówmy Sheri o tym przez jakiś czas. Nie chcę jej denerwować. Ma teraz tyle swoich problemów.

- W porządku.

- Czy chcesz, żebym spróbowała pomówić z Tylerem? Lily nie wiedziała, jak ma zareagować.

- Sama nie wiem, co mogłabym mu powiedzieć. Lily poczuła się całkiem zagubiona.

- Nie - odezwała się wreszcie. - Proszę, nic mu nie mów. Millicent westchnęła.

- Jestem pewna, że nie ma się czym martwić. Jego ojciec też miał zwyczaj popadania w tajemnicze nastroje i raz czy dwa bardzo się o niego denerwowałam. Czasami... wierzę, że niekiedy biedny Geoffrey nie czuł się naprawdę szczęśliwy, jeżeli akurat nie cierpiał z jakiegoś powodu. Cierpienie mu imponowało. Było w nim coś, co dawało mu poczucie, że świat znów się naprawił, że znów wrócił na właściwe tory. Ten człowiek nie był stworzony do sukcesów. Nic go tak nie martwiło jak powodzenie. Taki typowy Irlandczyk ze skłonnościami do czarnowidztwa. Sądzę, że był z tego dumny. W każdym razie uważam, że znów powinnaś pomyśleć o zajściu w ciążę. Znam kilka kobiet, którym w ten sposób udało się odzyskać uwagę męża.

Lily nie ruszyła się z miejsca, podczas gdy jej teściowa podeszła do łóżeczka, żeby poprawić kocyk na ramionach niemowlęcia. Dziecko posapywało przez sen. Sheri chodziła po kuchni, pobrzękując naczyniami. Deszcz troszkę się zmniejszył, chociaż w dali ciągle słychać było pomrukiwanie grzmotów. Lily wstała, żeby wyjść. Czuła się bezradna i chora. Oczy napełniły się jej łzami, które szybko otarła wierzchem dłoni. Millicent stała obok, patrząc na nią uważnie.

- Powiesz mi, o co jeszcze w tym wszystkim chodzi, kiedy będziesz mogła - odezwała się. - Naprawdę wzięłam to sobie głęboko do serca, chociaż może odnosisz wrażenie, że jest inaczej.

Lily złapała się na tym, że kręci głową, mając poczucie bezradności i klęski. Podeszła do telefonu i wybrała numer salonu. Głos recepcjonistki był głęboki, chropawy od papierosów. Poinformowała Lily, że właśnie jest zebranie.

- Chciałabym poprosić Tylera Harrisona - powiedziała Lily. - To ważne.

- Proszę zaczekać - odparł głos.

Czekała przez dłuższy czas. W końcu usłyszała Nicka.

- Nie miałem okazji z nim porozmawiać, Lily. Zabrał jeden z nowych samochodów do jazdy próbnej i powiedział któremuś ze sprzedawców, że jedzie do domu.

- Do domu?

- Jezu, Lily, strasznie cię przepraszam! Nawet go nie widziałem.

- Nick... - zaczęła, ale głos się załamał.

- On pewnie jest w waszym domu. Dalej nie mogła wykrztusić słowa.

- Millicent i Sheri są z tobą, prawda? Nie możesz rozmawiać.

- Tak, Millicent jest ze mną. To znaczy ja jestem u Millicent.

- No cóż, ten sprzedawca mówił, że Tyler wydawał się całkiem w porządku. Dlaczego nie wrócisz do domu? On tam jest.

- Jak długo? - spytała.

- Piętnaście do dwudziestu pięciu minut. Na pewno jest w domu.

- Dzięki, Nick.

Kiedy odwiesiła słuchawkę, zobaczyła, że Millicent w tym czasie przeszła na ukos przez pokój i stała teraz odwrócona tyłem, ale w deszczowym świetle padającym z panoramicznego okna Lily widziała głównie zarys jej sylwetki.

- Tyler jest w domu - powiedziała.

- Wiem - odparła Millicent takim tonem, jakby wszystkie kłopoty zostały rozwiązane. -
Może zostawisz Mary tutaj?

5

Tylera nie było w domu. Nawet do niego nie zajrzał.

Dom zastała dokładnie tak, jak go zostawiła. Przeszła przez wszystkie pokoje, szukając jakiejś wskazówki, że tu był. Czekała przy dużym oknie w pokoju dziennym, spoglądając przez deszcz na drogę w nadziei, że zobaczy go, jak wjeżdża na podjazd. W końcu zadzwoniła ponownie do salonu dealerskiego.

- Może on pojechał do Millicent? - zastanowił się Nick.

Starła się więc dodzwonić do domu Galatierre'ów, ale nikt się nie zgłaszał. Po kilku próbach dała za wygraną i pojechała z powrotem. Deszcz znowu przybrał na sile, zmieniając się w ulewę. Kiedy dotarła do początku długiej drogi prowadzącej do domu Millicent,

zobaczyła, że nie ma tam samochodu Tylera. Zatrzymała się i przez strugi deszczu zaczęła przyglądać się werandzie, gankowi i oknom. Niewykluczone, że Millicent mogła już ją zauważyć i zacząć się niepokoić. Podjechała więc bliżej i pobiegła do wejścia, osłaniając głowę rękoma. Deszcz lał jak z cebra; tysiące malutkich kropli rozpryskiwało się o czarną powierzchnię podjazdu. Millicent otworzyła drzwi natychmiast, gdy tylko Lily do nich dotarła.

- I co? - spytała.

Lily weszła do środka, ociekając wodą. Usłyszała dobiegający z sąsiedniego pokoju płacz Mary.

- Sheri ją kołysze - dorzuciła szybko Millicent. - Na litość boską, co jest?

- Nie wiem - odparła Lily. - W domu go nie ma i pomyślałam, że mógł przyjechać tutaj. Próbowałam zadzwonić.

- Linia jest zerwana. To przez burzę.

Na twarzy Millicent pojawiło się zaniepokojenie albo usilne staranie, żeby się mu przeciwstawić.

- Posłuchaj, nie wiemy, czy cokolwiek się stało. Prawda? A kiedy Lily nie zareagowała, powtórzyła raz jeszcze:

- Prawda?

- Tak - wyrzuciła z siebie Lily.

- To nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Pewnie wstąpił gdzieś, żeby coś zjeść.

Lily skinęła głową. Burza zawróciła znowu deszcz w ich stronę, a pioruny uderzały częściej niż poprzednio. W pewnej chwili błyskawica zajaśniała na całym niebie i na moment zostawiła na nim swoje odbicie, zanim zniknęła na dobre.

- Może chcesz wejść i przeczekać? - zaproponowała Millicent.

- Muszę być w domu - odrzekła Lily. - Ja... ja pojadę do domu i tam będę na niego czekać.

Siedząc w samochodzie, patrzyła, jak wycieraczki usuwają z przedniej szyby ślady wody. Na zamglonym i ciężkim od chmur deszczowych horyzoncie dostrzegła nieśmiały przebłysk słońca. Weszła do domu i zajęła się składaniem prania, a później próbowała trochę popracować, jednak nie mogła się skupić. Deszcz znowu się zmniejszył, zmienił w mżawkę, a potem w opary mgły, aż wreszcie całkowicie ustąpił. Wyszło słońce, przedzierając się przez szczelinę w olbrzymich, masywnych, groźnych chmurach wiszących poza linią drzew. Szczelina poszerzyła się i ukazało się w niej błękitne niebo. Na każdej powierzchni skrzyły się

w promieniach słońca kropelki wody. W domu było cicho jak makiem zasiał. Nic się nie poruszało. Lily czekała, nasłuchiwała, a dzień tymczasem zmienił się w jasne, słoneczne, poruszane lekką bryzą popołudnie; chmury układały się w śnieżne kaniony, rzucając poruszające się cienie na całą krzywiznę Ziemi i na drzewa. Po zachodniej stronie pojawiły się dwie miodowożółte tęcze spinające cały horyzont, a powietrze pomiędzy równoległymi łukami przybrało ciemnosiną barwę. Obserwując to zjawisko, pomyślała, że to coś, o czym warto wspomnieć Tylerowi, kiedy wreszcie się zjawi. Mogliby we dwoje zachwycać się tęczą i dzięki temu zapomnieć, że coś ich podzieliło. To było takie małe, dziecinne marzenie, którego chwyciła się kurczowo, czekając na męża.

Ale on nie przyjechał. Nie było go także w salonie. Nie pokazał się ani w domu matki, ani u przyjaciela. Słońce schowało się za wzgórzami i nadciągnęła noc, jasna od blasku księżyca. Lily pojechała do domu Galatierre'ów, żeby przywieźć Mary. Millicent, Sheri, Rosa i Nick - wszyscy czekali na jakieś wieści. Było za wcześnie, żeby powiadamiać policję. Nie minęło jeszcze wystarczająco dużo czasu, jak twierdził Nick. Rosa sądziła, że widziała Tylera na mieście, kiedy skręcała z rynku. Rzecz jasna, nie była pewna na sto procent, ale ten ktoś wyglądał jak Tyler i wydawał się zrelaksowany, gdy prowadził samochód, opierając rękę o krawędź otwartego okna. Rosa nacisnęła klakson i pomachała, ale skręciła za róg, zanim zdążyła zauważyć, czy ten ktoś ją widział lub jej odpowiedział. Pozostało więc tylko oczekiwanie.

Ale żadne wieści nie dotarły.

Następnego dnia po południu włączyli do sprawy policję. Lily razem z Nickiem pojechali do miasta i wypełnili na posterunku stosowne formularze. Dzień później w domu pojawili się dwaj funkcjonariusze. Zadawali Lily mnóstwo pytań na temat zwyczajów jej męża, jego problemów i tego, co jej zdaniem mogło spowodować, że wyszedł z domu i nie wrócił. Nie zachowywali się niegrzecznie, ale pomimo to odbierała te pytania jako nieuprzejme i napastliwe. Nie mogła oczywiście wyznać tego, co - jak wiedziała - było jedyną przyczyną całego zdarzenia.

6

Częścią bezradności, która rodzi się, kiedy ktoś znika bez śladu, jest strach, który wnika w psychikę tak głęboko, że człowiek wzdraga się przed nim. Uporczywie wówczas liczy, że ta

osoba powróci lub znajdzie się inne niewinne wytłumaczenie jej nieobecności. Ten strach staje się trudny do zniesienia jak rozpacz; jest przyczyną wielkiego smutku, bo w nim zawiera się stale rosnąca obawa, że zaginiony nigdy się nie odnajdzie, a to umysł i serce odrzucają z całej siły.

Trzeciego dnia wszyscy spodziewali się najgorszego.

Między kolejnymi napadami zdenerwowania i niepokoju Lily ogarniała złość na Tylera - szalona wściekłość, która nie mieściła się w granicach rozsądku. Gniew wzbierał jej w gardle niczym fale mdłości.

Rankiem, ponieważ nie miała innego wyjścia, zabrała dziecko i pojechała do domu Galatierre'ów, żeby czekać ze wszystkimi. Millicent powitała ją nieprzytomnym, zdesperowanym spojrzeniem; pogaworzyła do Mary, a potem zaczęła krążyć po pokoju i przystosowywać go dla małej - założyła bramki w wejściu do kuchni i przy schodach i rozłożyła zabawki na miękkim dywanie. Weszła Rosa, niosąc na tacy śniadanie.

- Nie wiem, czy cokolwiek mogłabym przełknąć - powiedziała Millicent i zaczęła płakać. Rosa zabrała tacę z powrotem do kuchni.

- Gdzie jest Sheri? - spytała Lily. Millicent wydawała się zdezorientowana.

- Sheri?

- Poszła do pracy - wyjaśniła Rosa z drzwi prowadzących do kuchni. - A Nick pojechał na posterunek.

- Och, Boże - wyjęczała Millicent, załamując ręce. - Mój Boże.

Okolo południa zadzwonił Nick. Policja odnalazła samochód, którym Tyler wyjechał z salonu; był zaparkowany tuż nad rzeką, pod estakadą. Zjechał nim z drogi w dół nadbrzeża; kluczyki tkwiły w stacyjce. Najwyraźniej pozostawił go z włączonym silnikiem, bo zabrakło paliwa. Po Tylerze nie było śladu.

- Lily - powiedział łamiącym się głosem - policja chce przeczesać rzekę.

Lily płakała, trzymając mocno słuchawkę. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

- Lily? - odezwał się Nick na drugim końcu linii. - To niekoniecznie musi coś oznaczać. Tylera nie ma w rzece, Lily.

Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Lily, jestem tego pewien.

W napięciu czekali na dalsze wieści. Spędzali długie godziny w okropnym oczekiwaniu, bojąc się każdej myśli, czegokolwiek, co mogłoby ich prowadzić do rozmyślenia o niewyobrażalnej, stojącej pod znakiem zapytania przyszłości. Lily ciągle czekała na jakąś zmianę, a pragnienie, żeby wyjawić to, co było przyczyną problemów Tylera, stało się wręcz nie do zniesienia. Na razie powstrzymywała ją od tego myśl, że zawsze istnieje jakaś szansa, że on wróci do domu. Rozumiała także, że przynajmniej częściowo ta chęć wygadania się wynikała z samolubstwa, bo odczułaby wielką ulgą, wreszcie wyrzucając z siebie prawdę, bez oglądania się na konsekwencje. Co więcej - widziała, jak bardzo cierpi Millicent, i była przekonana, że informacja o wściekłości i rozpaczach Tylera z tego powodu, że nie był ojcem Mary, sprawiłaby ulgę tej kobiecie, która teraz siebie uważała za prawdopodobną przyczynę nieszczęścia. Ale w chwili gdy przyszło jej to do głowy, pojawiło się także drobne, acz nieprzyjemne spostrzeżenie, że pod wieloma względami Millicent właściwie była winna temu, co się stało. Gdyby w dzieciństwie nie opuściła Tylera, być może stałby się odporniejszy psychicznie. Były także inne sygnały - rzucane mimochodem uwagi na temat szczęścia małżeńskiego Tylera lub jego braku; ten, w którym pobrzmiwała niechęć, gdy odzywała się do Lily - świadczące o tym, że Millicent uważa Lily za odpowiedzialną za to, co zaszło. W Lily zrodziło się więc postanowienie, że jeśli Tylera odnajdą w rzece, to ona dla niego ich wspólny sekret zachowa aż po grób.

W pełni rozumiała, że znalazła się w potrzasku; na razie minęły tylko trzy dni. Tyler mógł po prostu chcieć ją ukarać i jeśli ona wyznałaby wszystko, a on potem wrócił, sytuacja bardzo by się pogorszyła. Ta myśl, zmieszana z obawą, że zrobił sobie coś złego, sprawiała, że Lily ciągle ogarniał gniew; uparcie powracało poczucie, że było to celowe działanie, wynikające z czystej złośliwości.

Wszyscy zebrali się w kuchni przy stole. Rosa przygotowała pikantne krewetki i sałatę, ale nikt nie jadł zbyt wiele. Na zewnątrz popołudniowe słońce płonęło na powierzchni basenu, drzewach i trawnikach. Powietrza nie poruszał najlżejszy podmuch wiatru; na doskonałym, bezlitosnym błękitnie nieba nie widać było najdrobniejszej skazy.

- On mówił o wstąpieniu do wojska - przypomniała Millicent. - Czy nie można tam zadzwonić?

- Ciekawe, czy można tak sobie po prostu przyjść i dostać się do armii? - powątpiewał Nick. - Porzucić samochód i wstąpić do wojska?

- A czemu nas o to pytasz? - dodała Sheri.

Rzucił jej pełne rozpaczy spojrzenie, ale nic nie powiedział. Jej wzrok skierowany na niego wyrażał skrucę i pokorną prośbę, wstał więc i podszedł do telefonu. Wszyscy słuchali w milczeniu, jak prosi telefonistkę o podanie numeru najbliższego centrum rekrutacji. Rozłączył się, wcisnął w aparacie kilka cyfr i czekał. Roger Gault siedział obok Millicent, trzymając ją za rękę. Lily nie mogła na nich patrzeć. Nie mogła patrzeć na nikogo. Karmiła Mary kandyzowanymi gruszkami. Mała wypluwała kawałki owoców, wydając przy tym rozkoszne piski, i uderzała o blat miniaturowego stolika pulchnymi rączkami.

Nick mruzczał coś pod nosem, jak ktoś w sali pogrzebowej, ale słyszeli go doskonale.

- Czy to wojskowe centrum rekrutacji? Zastanawiałem się... jeśli nie ma pani nic przeciwko... jeśli ma pani listę potencjalnych rekrutów, to czy byłaby możliwość rzucenia na nią okiem...

W ciszy, która nastąpiła, Mary wydała z siebie radosny okrzyk i złożyła razem rączki, splatając je tak ciasno, że musiała się sporo namęczyć, żeby je rozdzielić. To ją rozbawiło, więc powtórzyła raz jeszcze, kiedy znowu rozległ się głos Nicka.

- No cóż, prawdę mówiąc, to chodzi o policyjne śledztwo w sprawie... w sprawie zaginięcia.

- O, mój Boże - szepnęła Millicent.

- Nie, chodzi o dorosłego - rzekł Nick do słuchawki. - Dwadzieścia... proszę chwileczkę zaczekać. - Pochylił się w stronę obecnych. - Ile Tyler ma lat?

- Dwadzieścia osiem - odpowiedziała Lily. Nick powtórzył to osobie na drugim końcu linii.

- Och - westchnęła Millicent. Zabrzmiało to tak, jakby westchnienie wyrwało się jej przypadkiem.

- Rozumiem. - To był znów głos Nicka. - Jakie dokumenty trzeba mieć przy sobie, żeby się znaleźć na liście?

- Jezu, nie ma go w wojsku - jęknęła Sheri. Znowu dotarł do nich głos Nicka.

- Dziękuję. Bardzo nam pani pomogła. Odwiesił słuchawkę i podszedł do nich.

- Wszystko, czego wymagają, to czyste konto w kartotece policyjnej. I nie muszą kontaktować się z rodziną dorosłego mężczyzny, który decyduje się na wstąpienie do wojska.

- On nie jest w wojsku, Nick! Zostawił samochód przy rzece!

Millicent zerwała się na równe nogi i stanęła twarzą w twarz z córką.

- Przestań tak gadać, Sheri! Natychmiast przestań!

- Przepraszam - powiedziała Sheri, spuszczać głowę. Millicent przytuliła ją i obie zaczęły płakać, trzymając się w objęciach, podczas gdy Roger i Nick starali się je pocieszyć. W środku zamieszania nagle rozległ się pogodny śmiech dziecka, nadając tej scenie wyraz niewypowiedzianej ironii i Lily poczuła się zobligowana do uciszenia małej. W końcu wyjęła ją z wysokiego krzeselka i przeszła do salonu. Nick udał się za nią. Posadziła Mary na kanapie i zaczęła jej zmieniać pieluszkę, a Nick podszedł bliżej i wziął ją pod łokieć.

- Lily... - odezwał się. Jego twarz była szara, oczy podkrążone i otoczone ciemnymi obwódkami na skutek niewyspania i zmartwień. - Jeśli w czymkolwiek... - Urwał.

- Mieliśmy pewne kłopoty... - mruknęła w odpowiedzi.

- Wiem, że dręczyło go to, co stało się z Buddym.

- Właśnie.

Zdawał się czekać, co Lily powie dalej, lecz kiedy nie odzywała się, usiadł obok dziecka. Mary ciągle wydawała z siebie odgłosy zadowolenia i machała tłusciutkimi łapkami, kiedy Lily ją przewijała. Pieluska była tylko zmoczona. Lily wsadziła ją do plastikowego woreczka, a Nick podał świeżą.

- Mieliśmy pewne kłopoty - powtórzyła.

- Jakiego rodzaju?

- Po prostu kłopoty, Nick. Takie, jakie miewają małżeństwa.

Nie miała zamiaru nawiązywać do jego sytuacji, ale było jasne, że ostatnie zdanie odniósł do swoich relacji z Sheri. Potrząsnął głową, wbijając oczy w podłogę. Mogła to znieść. W jej sercu zapanował teraz jakiś bezwład, rodzaj znużenia, który pozbawił ją resztek silnej woli. Nie czuła się już na siłach, żeby decydować o czymkolwiek. Stać ją było tylko na reagowanie. Patrzyła, jak Nick bierze rączkę Mary i wkłada kciuk w środek malutkiej łapki, i jak paluszki dziecka zaciskają się dookoła jego palca.

8

Ósmego dnia odebrali telefon z biura rekrutacyjnego piechoty morskiej w Nowym Orleanie. Dzwoniono na żądanie Departamentu Policji w Oksfordzie z informacją, że Tyler C.

Harrison odbywa właśnie podstawowe szkolenie na Parris Island. Policja odkryła formularz z pytaniem na temat kryminalnej przeszłości zainteresowanego, przedstawiony przez rekruta. Została już wysłana notka do oficera prowadzącego jednostkę, że rodzina Harrisona prosi, by się z nią skontaktował. Ponieważ jednak Tyler miał dwadzieścia osiem lat, to dopóki nie wchodziło w grę porzucenie bądź zaniedbanie obowiązków rodzinnych, bądź nagły wypadek, policja mogła co najwyżej upewnić się, że wiadomość do niego dotarła.

Millicent, która odebrała ten telefon, podziękowała za informację, a potem zasłabła. Sheri na szczęście stała w pobliżu i pomogła jej dotrzeć do kanapy; Millicent opadła na miękkie poduszki, ogłuszona żalem i ulgą. Lily, która właśnie karmiła dziecko, podeszła wraz z innymi do kanapy, gdzie Millicent zalewała się łzami, wydając z siebie okrzyki pełne bólu.

- To przeze mnie! To wszystko moja wina! - łkała. - Zostałam ukarana!

Lily w milczeniu pokręciła głową. Oczekiwanie było tak trudne dla każdego, że z tą nową sytuacją tak szybko się nie oswoją. Szwendali się więc po domu, zjedli kolację i spędzili wieczór z Millicent, mamroczącą coś na kanapie, i brzęczącym telewizorem, w którym na okrągło podawano informacje o trwającym na Bliskim Wschodzie kryzysie. To szemranie odbierali jak coś nieokreślonego, co rozwijało się w tle, w samym środku odbiornika, jakby jakaś jego część niewłaściwie funkcjonowała. Telewizor cały czas był włączony, ale ledwie zwracali na niego uwagę; szum obcych głosów tylko wypełniał posępną ciszę. Lily jeździła tam i z powrotem między domkiem na Yellow Leaf Creek i domem Galatierre'ów. Tę ósmą noc miała spędzić właśnie tutaj, w pokoju, który niegdyś dzieliła z mężem. Oczekiwanie miało być teraz inne, choć ciągle było oczekiwaniem: tym razem wszyscy czekali na to, że Tyler się odezwie, zadzwoni albo napisze. Ale kolejne dni mijały i zaczęto mówić o wojnie, jakby cały świat zmówił się po cichu z Tylerem, żeby neodwołałnie go stąd zabrać. A może nawet zabić.

Żadna wiadomość nie nadchodziła.

Lily wróciła do domu i starała się postępować, jakby nic nie uległo zmianie. Życie musiało toczyć się dalej, nie było innej możliwości. Każdego ranka jeździła do Galatierre'ów i zostawała tam mniej więcej godzinę. Rosa też tam była - przez resztę lata miała pozostać w domu w charakterze gościa. Wszyscy niezwykle troskliwie odnosili się do Lily, teraz kiedy wyszło na jaw, że mąż opuścił ją i dziecko.

Frustrowało ją poczucie, że ludzie nie znają rzeczywistej przyczyny postępowania Tylera.

Dalej próbowała pisać. Pisanie sztuki się posuwało, ale skokami; dwukrotnie zdarzyło się, że Lily darła wszystkie zapiski i zaczynała od początku. Jej uwaga przez cały czas była podzielona pomiędzy pracę a myślenie o Tylerze, o jego samodestrukcyjnej ucieczce od niej, nawet jeśli pełna gniewu starała się w ogóle nad tym nie zastanawiać. Bo była na niego zła - doszła do tego wniosku, kiedy rozważyła swoje prawdziwe uczucia, choć nie ujawniała tego przed innymi.

Nie mogła tylko podjąć decyzji kiedy, w jaki sposób i czy w ogóle mogłaby wyjawic ich wspólną tajemnicę.

Którejś soboty przy końcu sierpnia przyjechał Nick, żeby się z nią zobaczyć.

- Zastanawiałem się, czy może poszłabyś gdzieś ze mną na lunch? - powiedział.

Wcześniej zdążyła już zjeść kanapkę, ale poszła z nim do kafejki na rynku. Był słoneczny, nieprzyjemnie parny dzień; niebieskawa mgiełka przysłaniała wszystko w oddali. Nick wydawał się jeszcze bardziej zamyślony niż zwykle, kiedy wpatrywał się w menu. Obsługiwał ich młody chłopak o jasnej karnacji i włosach przyciętych tak krótko, że całą głowę pokrytą miał szczecina. Nick zamówił kanapkę z kurczakiem i potem zapytał Lily, na co ma ochotę.

- Dla mnie mrożona herbata - poprosiła.

Kiedy kelner odszedł, Nick wziął głęboki oddech, oparł się plecami o krzesło i spoglądając na swoje ręce złożone na blacie stołu, powiedział:

- Tyler do mnie zadzwonił. Lily czekała na dalszy ciąg.

- Długo rozmawialiśmy.

- O mnie? - spytała.

Jego wzrok przesunął się po niej, a potem zdawał się błądzić po całym pomieszczeniu. W kafejce siedziało kilka osób i Nick skinął głową komuś znajomemu.

- O wszystkim - powiedział przytłumionym tonem.

- Powiedz mi.

- Opowiedział mi o wszystkim, Lily. Odwróciła wzrok.

- Nie chce wracać do domu.

- Powiedział ci to?

- W tak wielu słowach...

- I...?

Nick pochylił się w przód.

- No cóż, chce po prostu wiedzieć, co masz zamiar zrobić.
- Pewnie myśli, że wniosę sprawę o rozwód?
- Tego nie wiem.
- Nick, co on właściwie ci powiedział?
- Powiedział, że chce wiedzieć, co masz zamiar zrobić.
- W kwestii... Wzruszył ramionami.
- Sądzę, że miał na myśli rozwód.
- Co jeszcze mówił?
- No cóż, że... że wasz związek był pomyłką.
- Mów dalej.
- Lily... wspomniałem ci na początku, że opowiedział mi o wszystkim.

Poczuła w sercu narastający ból, że to nadeszło. Było tutaj. Do oczu napłynęły jej łzy, ale nie poruszyła się, żeby je otrzeć, więc pociekły po policzkach. Nick sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

- Wolałbym, żeby to ktoś inny ci o tym powiedział, nie ja.
- Kto jeszcze wie?
- Nikt - odparł. - Chyba nie sądzisz, że powiedziałbym o tym komuś jeszcze?
- Ale Tyler ci powiedział. - Pociągnęła nosem i zaczęła wycierać oczy.
- Chciał wiedzieć, co masz zamiar zrobić.
- Nie mógł do mnie zadzwonić i sam zapytać?! Nick spojrzał w dół.
- Powiedział, że nie chce... nie mógłby z tobą rozmawiać.

- Och, naprawdę? - Poczuła, jak ściągają jej się mięśnie twarzy, jakby ktoś ją spoliczkował.

- Według mnie to on jest świrem, Lily - odezwał się Nick. - Uważam, że jest kompletnie stuknięty.

- Nawet jeśli wiesz to, co wiesz?
- Tak. - Patrzył jej prosto w oczy.
- Więc on nie chce widzieć ani mnie, ani dziecka? Nick przytaknął.
- Według mnie to by go zabolalo. Ale odpowiedź brzmi „tak”. Wydawał się szczególnie

nieugięty... jeśli chodzi o dziecko.

- Cóż... to już dopełniło miary - załkała. - Właśnie to.
- Przykro mi, Lily, strasznie mi przykro.

- Nie! - zawołała. - Naprawdę.

- Jeśli ma to jakieś znaczenie... on nie pragnie także żadnego kontaktu ze swoją matką ani z Sheri. Albo ze mną, jeśli o to chodzi. Chce zerwać wszystkie więzi. To jego określenie: „wszystkie więzi”.

Lily popatrzyła na niego. Na jego twarzy ujrzała powagę i urazę. Przesunął ręką po czole, jakby chciał złagodzić umiejscowiony tam ból.

- Powtórz Tylerowi, że mam zamiar pojechać do Nowego Orleanu - powiedziała.

Do chwili gdy wymawiała te słowa, nie wiedziała jeszcze, co właściwie ma zamiar zrobić. Teraz, gdy zostało to nareszcie powiedziane, żadne inne rozwiązanie nie wydawało się już ani możliwe, ani słuszne.

- No cóż, jak mówiłem, on nie chce tutaj wracać. Wydawał się absolutnie zdecydowany.

- Nie spodziewałam się, że wróci. - Starła się odzyskać kontrolę nad sobą, walcząc z całych sił z napływającymi wciąż łzami.

- Jestem tak potwornie przygnębiony z powodu tego, co się stało - powiedział Nick. - Czuję się jak ostatni lajdak. Tyler chciał jeszcze, żebym wycofał jego udziały z salonu. To był jedyny powód, dla którego do mnie zadzwonił.

- Tak, wiem - odparła Lily. - Wszystko w porządku. Wiem.

Kelner przyniósł kanapki i drinki. Ręka Lily trzęsła się, gdy unosiła szklanekę, i Nick znów sięgnął przez stół, żeby przytrzymać ją za nadgarstek. Był to gest uspokajający i pełen współczucia.

- Chciałbym, żeby wszystko wyglądało inaczej.

- Nie. - Pokręciła głową. - Wszystko jest w porządku. Czuję się całkiem dobrze. Naprawdę.

Nie mogła jednak powstrzymać łez.

- On ci nie dorastał do pięt, Lily. Nie był cię wart.

Ludzie siedzący w kafejce zaczęli się im przyglądać. Lily przyłożyła chusteczkę do twarzy i odwróciła się nieco, łkając, choć próbowała się opanować.

Nick ugryzł mały kęs kanapki i odłożył ją z powrotem na talerz. Znowu dotknął przegubu jej dłoni, ale zaraz cofnął rękę.

- Lily, przekonałem go, żeby już teraz odłożył dla ciebie część pieniędzy - niezależnie od tego, co dostaniesz po rozwodzie. Udało mi się już to zrobić. Nie jest tego dużo, ale starczy na jakiś czas.

Nie mogła mówić. Miała wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się przedtem, było jak sen; jak ciąg prób, z których, jak wierzyła, wyjdzie mądrzejsza, silniejsza, przygotowana do kolejnych zmagania z losem, ale w zasadzie niezmienną, a jej życie pozostanie takie jak do tej pory.

- Chcę, żebyś to ty powiedział Sheri i Millicent - poprosiła. - Wolałabym sobie tego oszczędzić.

Nick skinął głową.

- Tyler chciałby, żebyś wniosła pozew o rozwód.

- Bez orzekania o winie - odparła zdecydowanym tonem. - Niezgodność charakterów albo coś w tym rodzaju.

- Powiedział, że możesz podać, że cię porzucił.

- Nie - odrzekła. - Niezgodność charakterów. Chyba jest coś takiego, jeśli się nie mylę?

- Wydaje mi się, że tak.

- No więc właśnie tego sobie życzę.

- Przypuszczam, że to zrozumie.

- Chciałabym cię jeszcze prosić, żebyś pomógł mi podnająć dom.

- Dobrze. Zajmę się tym.

- Jesteś teraz moim najbliższym przyjacielem - powiedziała. - A kiedyś wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

Skierował wzrok gdzie indziej, a wtedy dostrzegła, że pod powiekami zbierają mu się łzy.

- Nick... - zaczęła niepewnie. Odwrócił się w jej stronę.

- Jak prędko możesz mi dostarczyć te pieniądze?

Rozdział 22

1

Wiosną i latem w Londynie kwitnie życie towarzyskie. Można by odnieść wrażenie, iż zarówno rodzina, jak i nowi znajomi uważali za swój obowiązek wypełnić czas Mary po jej powrocie do kraju. Oczywiście nikt nie chce jej się narzucać i ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę, niemniej czuje na sobie presję i bardzo się stara, żeby nikogo nie urazić ani nie

zlekceważyć. Poznała Ethel MacDonald i Mathildę Goldie, niemal codziennie kontaktuje się z Macmillanem w sprawie swojej książki, z którą postanowiła jednak trochę zaczekać, czując, iż nie do końca wie, co chciałaby w niej tak naprawdę powiedzieć. Jej kuzynka, również o imieniu Mary, wydała pod przybranym nazwiskiem już dwie powieści; po lekturze trzech stron książki zachwala jej styl, lecz Mary, czytając powieści kuzynki, nabiera coraz silniejszego przekonania o swoim braku profesjonalizmu. Wreszcie oświadcza stanowczo Macmillanowi, że chwilowo rezygnuje z publikacji książki i że nie życzy sobie wracać do tego tematu.

Problemy finansowe nie maleją, ponieważ Charley nie zmienia swego postępowania i rozprawia o Dalekim Wschodzie i swoich badaniach nad praktykami religijnymi w tamtym rejonie świata takim tonem, jakby już zdążył tego dokonać. Tymczasem nic nie wychodzi ani z tych planów, ani z zamierzeń opracowania wspomnień ojca. Mary szczerze opowiada o swoich problemach Mathildzie Goldie, która jest dokładnie taka, jak opowiadał jej mąż: niezależna i mądra, z własnymi poglądami na niemal wszystko. Zdaniem Mathildy Mary powinna przestać przejmować się Charleyem i skoncentrować się na swoich planach. Kobiety spędzają w swoim towarzystwie liczne popołudnia, niekiedy razem z lady MacDonald oraz przyjaciółmi z Cambridge. Charley zauważa kąśliwie, iż Mary zachowuje się chwilami tak, jakby śniła na jawie, podczas gdy ona planuje powrót do Afryki. Kiedy staje się jasne, że lady MacDonald będzie musiała dołączyć do męża, który przebywa w Calabarze, Mary postanawia, iż odbędą wspólnie tę podróż.

Wyjazd odwleka się jednak w nieskończoność. Lady MacDonald ma mnóstwo spraw do załatwienia w Londynie, dodatkowo zaś na przeszkodzie stoi Charley, który wciąż odkłada swoją wyprawę. Między rodzeństwem panuje tak wielkie napięcie, że Mary zamiast w domu często spędza popołudnia w czytelni British Museum, nad dziełami największych autorytetów z dziedziny antropologii.

Któregoś popołudnia pod koniec października, wychodząc z szacownego gmachu, dostrzega Gladstone'a, zaledwie na siedem miesięcy przed jego ostatnim, jakże niebezpiecznym premierostwem. Gladstone ma na sobie długi czarny płaszcz, spod kapelusza sterczą długie, zmierzwiłe włosy. Towarzyszą mu trzej młodzi mężczyźni w mundurach. Idzie powoli, z widocznym wysiłkiem, opierając się na lasce. Wygląda na swoje osiemdziesiąt pięć lat. Spogląda na nią, a ona patrzy prosto w jego stare, przenikliwe oczy.

- Młoda damo...

- Proszę pana...

Chwilę potem wraz ze swoją świtą znika za drzwiami.

Mary wraca do domu podekscytowana jak mała dziewczynka, z takim uczuciem, jakby zobaczyła ducha. W mieszkaniu zastaje Charleya rozciągniętego na kanapie pod oknem.

- Widziałam Gladstone'a!

- Jestem głodny - mówi Charley, nie odrywając wzroku od gazety.

Mają dwie służące, które Mary chętnie by zwolniła, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy, ale on nawet nie chce o tym słyszeć.

Irytuje ją, że brat nie wykazuje nawet tyle inicjatywy, żeby czegoś od nich wymagać. Wszystko spycha na jej barki.

- W porządku - odpowiada spokojnie. - Doskonale. Jesteś głodny. A ja jestem Mary.

Dopiero teraz Charley podnosi na nią spojrzenie.

- Słucham?

- Nic takiego.

- Myślałem, że znowu narzekasz. Boże, jakie to denerwujące.

Mary idzie do małej kuchni, gdzie kucharka, niejaka pani Starrett, przygotowuje podwieczorek. Pani Starrett jest wysoką, mocno zbudowaną, kanciastą kobietą, odrażoną przez rodzinę za to, że wyszła za mąż za irlandzkiego katolika. Wieczorami czasem robi się gadatliwa i chętnie opowiada o poświęceniach, na jakie zdobyła się z miłości do męża. Oczywiście przy każdej okazji daje wyraz swojemu wynikającemu z głębokiej życzliwości przekonaniu, że Mary powinna jak najprędzej rozejrzeć się za jakimś życiowym partnerem.

- Słyszałam, psze pani. Pan jest głodny.

- Dziękuję - mówi Mary.

Idzie do swojego gabinetu, w którym przechowuje materiały zebrane przez ojca oraz mapy wybrzeża Afryki, a także jej rzek i rozlewisk. Przez jakiś czas pracuje nad notatkami, choć podjęła już decyzję o niepublikowaniu książki. Zdążyła się przekonać, jak powierzchowna była wiedza, którą zgromadziła podczas pierwszego pobytu w Afryce. Skromność, jaką prezentowała przed Goldiem, była ze wszech miar uzasadniona. Ma wystarczająco dużo samokrytycyzmu, żeby to stwierdzić.

Dlatego właśnie postanowiła tam wrócić. To nawet coś więcej niż zwykłe postanowienie: to niemal obowiązek, tym bardziej naglący, że jest niemal pewna, iż dłuższe pozostawanie w Londynie skończy się dla niej utratą zdrowych zmysłów. Charley biegnie z łomotem po schodach; widocznie znalazł w gazecie coś, co go zaintrygowało lub rozbawiło, i zapragnął jej

to pokazać. Pojawiły się domysły, że nieuchwytny morderca z Cheapside może być członkiem rodziny królewskiej.

Podekscytowany makabrycznymi spekulacjami czyta jej na głos tę zadziwiającą informację z chłopcym błyskiem w oku.

Mary kocha go, kocha nawet nieodpowiedzialne lenistwo stanowiące nieodłączną część jego charakteru. Nie czuje już wobec niego uczuć macierzyńskich - jeśli kiedykolwiek je czuła - ale mimo to pragnie choć w niewielkim stopniu ocalić jego niewinne przekonanie o tym, iż świat istnieje w znacznej mierze po to, by dostarczać mu rozrywki. Charley nie umie postrzegać rzeczy takich, jakie są, zawsze patrzy na nie przez pryzmat własnego apetytu na urozmaicenia.

- Wyobraź sobie, co będzie, jak królowa to przeczyta! Jak nic, dostanie apopleksji!

- Wątpię, żeby kiedykolwiek to zobaczyła.

- Co robisz? - pyta Charley.

- Przeglądam mapy wybrzeża. Studiuję podstawy nawigacji. Czytam notatki ojca o zwyczajach religijnych tubylczych plemion z Ameryki i porównuję je z własnymi obserwacjami z Afryki. A co ty robisz, bracie?

Przez chwilę patrzy na nią bez słowa, zupełnie nieświadomy ironii ukrytej w jej słowach.

- Szykuję się do kolacji - mówi wreszcie.

2

Wśród wielu rzeczy, o które trzeba zadbać podczas przygotowań, wcale nie najmniej istotne jest zdobycie niezbędnych funduszy. W British Museum Mary umawia się na spotkanie z antropologiem nazwiskiem Gunther, autorem znanej jej dobrze książki o afrykańskich rybach, zachwyconym przywiezionymi przez nią okazami. Życzliwie udostępnia jej znacznie lepsze słoje i preparaty do przechowywania zbiorów, dzieli się z nią też swoją wiedzą na temat ekwipunku. Będzie teraz wiedziała, o co prosić tych, którzy zechcą służyć jej pomocą. To wielkie szczęście, że lady MacDonald zapragnęła jej towarzystwa w swojej podróży do męża, kierującego olejowym protektoratem.

Czas od sierpnia do grudnia mija w szaleńczym tempie, wypełniony nauką i pracami organizacyjnymi, a mimo to Mary i tak czuje się przykuta do mieszkania przy Addison Road 100 i przytłoczona absorbującymi obowiązkami towarzyskimi. Kiedy Charley wreszcie

wyrusza do Azji, Mary zamyka dom na cztery spusty i koncentruje się na realizacji własnych planów. W przedświątecznym tygodniu, w wietrzną i deszczową pogodę, razem z lady MacDonald jedzie pociągiem do Liverpoolu. W tamtejszym porcie cumuje *Batanga*, duża jednostka czekająca na poprawę pogody, by wyruszyć do Sierra Leone i do Calabaru. Sztorm atakuje wściekle port i miasto. Wsiadają z pociągu w strugach kłującego, lodowatego deszczu i wchodzą do niewielkiej gospody, by przeczekać niepogodę.

Ethel MacDonald jest wzorową żoną gubernatora. Ani trochę nie rozumie, dlaczego Mary tak bardzo zależy na powrocie do buszu, i nawet nie traktuje serio jej zamiarów. Są sobie bardzo bliskie, choć zupełnie czego innego oczekują po tej wyprawie, tym bardziej że lady MacDonald prezentuje dość ograniczone poglądy: dla niej wszyscy mieszkańcy Afryki to dzikusy, a wszyscy muzułmanie to niewierni. Głęboko wierzy w zbawczą rolę chrześcijańskich misjonarzy i nie dostrzega niczego niewłaściwego w eksploatacji Afryki przez imperium. Akurat w tej kwestii Mary ma podobne zdanie, choć przynajmniej w dziedzinie handlu widziałyby to raczej jako wymianę między dwiema równoprawnymi stronami. Wszelkie różnice między dwiema kobietami tracą jednak znaczenie wobec ich wzajemnej sympatii; dobrze się czują w swoim towarzystwie i doskonale się bawią. Ethel MacDonald nie jest dogmatyczką, toleruje odmienne poglądy, a Mary często wprawia ją w dobry humor.

Już na samym początku znajomości wyznała bez ogródek, że właśnie autoironiczne poczucie humoru Mary ogromnie przypadło jej do gustu. Jest zdania, że gdyby Mary zdołała przelać je na papier, uszczęśliwiłaby wielu ludzi.

- Próbowałam pisać, ale bez powodzenia - wyznała Mary.

Wynajmują pokój, żeby przeczekać sztorm. Mary nie może uwolnić się od obaw, że statek odpłynie pod osłoną nocy, ale to tylko dziecinne wymysły - przecież opłaciły przejazd. Leżąc w łóżku, obserwuje tańczący na suficie poblask ulicznej latarni. Deszcz łomocze w szyby, coś rytmicznie postukuje w parapet. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ktoś prosi, by wpuścić go do środka. Lady MacDonald zbudowała istny szaniec z kołder i poduszek, na głowie ma ciasno zawiązany czepek. Trochę przypomina wielkie niemowlę. Nie wiedzieć czemu myśli Mary kierują się ku Lucy Toulmin-Smith i Paryżowi.

- Była pani kiedyś w Paryżu?

- Kiedy byłam mała, jeździłam tam każdego lata. A ty?

- Raz.

- Zakochałaś się w nim?

- Nie. Ale mi się spodobał.

- Spodobał ci się? Paryż?

- Byłam tam z kimś starszym. Z przyjaciółką, która chciała za wszelką cenę pokazać mi wszystkie atrakcje, więc oczywiście tak się złożyło, że nic nie zobaczyłam.

Lady Ethel MacDonald śmieje się najpierw cicho, potem coraz głośniej, wreszcie śmiech zamienia się w kaszel, który trwa kilka sekund. W końcu kaszel ustaje, kobieta wzdycha głęboko, wsuwa się głębiej pod kołdry i zamyka oczy. Mary nie może zasnąć; czeka aż deszcz i wiatr ustaną, i na świt, żeby rozjaśnił ciemność za oknem.

Zmiana następuje tak powoli, że prawie uchodzi jej uwagi. Tuż przed pierwszym brzaskiem Mary zapada w krótką drzemkę, ale jest już całkiem przytomna, kiedy meblom wyrastają cienie, a plamy ciemnej purpury i szkarłatu spływają na łóżko lady MacDonald.

Wstają wcześnie, ubierają się, po czym schodzą na dół do gospody, by posilić się herbatą i ciasteczkami. Są tam również inni pasażerowie; Mary nikogo z nich nie zna osobiście, choć podczas poprzedniej podróży miała już do czynienia z bardzo podobnymi ludźmi - misjonarzami, urzędnikami, wojskowymi.

Na mokrym po nocnej ulewie nadbrzeżu jest tłoczno i gwarno, w powietrzu wisi woń gnijących warzyw, ryb i martwego drobiu w klatkach - wszystko to miało być dostarczone na targ, ale szalejący sztorm uniemożliwił transport, powodując duże straty. Trwa załadunek towarów na statek. Mary wchodzi na trap przed Ethel; pierwszą osobą, jaką spotyka na pokładzie, jest kapitan John Murray.

Dostrzega ją i uśmiecha się szeroko. Jest to coś tak niezwykłego, że dwaj marynarze stają jak wryci i wytrzeszczają oczy.

To właśnie widok ich zdumionych twarzy sprawia, że Mary przystaje i rozgląda się w poszukiwaniu przyczyny tak wielkiego zdziwienia.

- Och! - wykrzykuje na widok kapitana, wypuszcza z rąk torebkę i rusza ku niemu z szeroko otwartymi ramionami, ale po dwóch krokach zatrzymuje się, opuszcza ręce i przechyla głowę. - Co za szczęście!

Oblicze dowódcy promienieje ukontentowaniem.

- Widzę, panno Kingsley, że udało się pani przetrwać Londyn.

Kochana Doris

Podnajęłam dom, pożegnałam się z Sheri i innymi i jutro wyruszam do Nowego Orleanu. Między mną a Tylerem wszystko skończone. On teraz jest gdzieś w Georgii, w szkole oficerskiej piechoty morskiej. Gdybyśmy grali parę głównych bohaterów w jakimś filmie, to nasz kraj powinien przystąpić teraz do wojny, a on wyjechać i zniknąć na zawsze w ogniu bitwy. Prawdopodobnie stanie się jednak inaczej: on osiedli się gdzieś daleko, spotka kogoś, ożeni się powtórnie i będzie wiódł spokojne życie z kimś, komu będzie ufał. Życzę mu tego z całego serca, tak samo jak chciałabym, żeby w jakiś sposób udało się nam wszystko odwrócić i żebyśmy znowu mogli być niewinni i szczęśliwi, jak wtedy gdy byliśmy dziećmi. Wiem, że to brzmi, jakbym była sterana życiem, i w dodatku pretensjonalnie „dorośle” i pewnie aż się zwinęłaś, czytając te słowa. Najgorsze w całej sprawie jest to, że cały czas coś do niego czuję i naprawdę nie mam pojęcia, jak to określić czy wytłumaczyć.

Mam zaledwie dwadzieścia trzy lata. Myślę, że ciągle go kocham - to nie uległo zmianie. Tęsknię za nim - a raczej tęsknię za takim Tylerem, jaki był, zanim wszystko się rozleciało pośród wzajemnych oskarżeń i podejrzeń, kiedy całymi tygodniami każde z nas zastanawiało się, co czuje to drugie; i z Mary w środku tego całego zamieszania, która tak naprawdę nie była niczemu winna i potrzebowała prostej, zwykłej miłości.

Chciałam, żeby Tyler mi ufał; czułam, że muszę postarać się odzyskać jego zaufanie. Nie myślałam o tobie ani o Scotcie czy Peggy - nigdy nie zaprzętałam sobie głowy tym, jakie to będzie miało dla ciebie znaczenie, kiedy odkryjesz, co się wydarzyło. Tak jak powiedziałam ci przez telefon, zawsze myślałam o tym, co to będzie oznaczać dla Tylera i Millicent, Sheri i Nicka, kiedy Buddy odszedł w taki sposób. Wszyscy oni noszą w sobie własne smutki; i jest jeszcze biedny Dominik, tam, w Nowym Orleanie, taki przerażony perspektywą samotności - podczas gdy ja wiem, że on ma dziecko, o którego istnieniu nawet nie wie. Jego dziecko. Ta świadomość, której nie mogłam wyrzucić z serca, zapomnieć czy zignorować, nie dawała mi spokoju. To właśnie poróżniło mnie z Tylerem - ta jedyna sprawa nas rozdzieliła, choć może (prawdopodobnie) z upływem czasu pojawiłyby się i inne.

Ciągle jeszcze nie powiedziałam Dominikowi.

Przez telefon zakomunikował mi, że pokój dla mnie i dziecka jest przygotowany, więc jadę tam, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Będę mieszkać razem z nim, Mannym i ciocią Violet Beaumont w jednym z tych szeregowych domów.

Uważam, że propozycja taty, żebym pracowała w jego teatrze, była absolutnie słodka, zwłaszcza że wiem, że musiał nieźle się namęczyć, żeby mi załatwić pracę i że pewnie zrobił sobie wrogów z kilku osób. Ale ja naprawdę nie chcę korzystać z jego dokonań czy pozycji. W ciągu kilku tygodni, możesz mi wierzyć bądź nie, powinnam skończyć sztukę o Mary Kingsley (cóż, właściwie jest to sztuka o waleczności - wyobraź sobie mnie piszącą utwór sceniczny o czymś takim) i jeśli tak się stanie, mam zamiar przedłożyć ją w kilku teatrach bez podpierania się jego nazwiskiem. On po prostu musi to zrozumieć. Tłumaczyłam mu, że sam, kiedy był w moim wieku, nie przyjąłby takiej pomocy, jaką teraz mnie proponuje.

Najbardziej zależy mi na tym, żebyście przyjęli do wiadomości, że u mnie wszystko w porządku. Cierpię, ponieważ rozpadło się moje małżeństwo, a chciałabym, żeby było inaczej. Mam zabrać siedmiomiesięczną niemowlę i jechać do miasta, gdzie byłam do tej pory tylko raz. Jednak czuję, że będzie to lepsze, przynajmniej w tym momencie, niż tkwienie tutaj czy powrót do Wirginii. Uważam, że to właśnie powinnam zrobić. Kiedy zadzwoniłam do Dominika, żeby powiedzieć mu, co się stało, zaproponował mi przyjazd, zanim jeszcze miałam okazję o to zapytać. Nasza rozmowa była bardzo trudna i dziwna, ponieważ on najpierw starał się mnie przekonać, że Tyler wróci do domu; że takie rzeczy zdarzają się w początkach małżeństwa i że Tyler ciągle jeszcze nie pogodził się z odejściem Buddy'ego ani nie przyzwyczaił się do myśli, że jest ojcem. Mówił to wszystko, co powtarzałam sobie na początku. No cóż, ja chcę zakończyć tę sprawę. Dominik jest ojcem mojego dziecka i muszę wymyślić jakiś sposób, żeby mu to delikatnie dać do zrozumienia, a wtedy zobaczę, jak zareaguje na tę wiadomość. Mam zamiar od razu go uprzedzić, że niczego od niego nie oczekuję; że mówię mu tylko dlatego, iż nie mogę pozwolić, by ta sprawa była dłużej trzymana przed nim w tajemnicy. Zatem na razie nie wybieram się do Wirginii i nie wiem, kiedy to zrobię. Może uda mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy, które Tyler przysłał mi ze swojego udziału w salonie samochodowym, i wtedy przyjechałabym na wakacje. Nie chcę, żebyście mnie odwodzili od tej decyzji, Doris, musisz więc jakoś przekonać Scotta, żeby to zrozumiał. Kiedy będę jechać do domu, chcę to zrobić na własny koszt.

Mary zaczyna już mówić: „ma-ma”, „da-da”, „nie”. Strasznie często mówi „nie”. Odpowiada tak na każde zdanie, które kończy się modulacją głosu taką jak w pytaniu. Na przykład Nick mówi do niej: „Mary, czy wierzysz w nieuchronną zmienność rzeczy widzialnych?”, a Mary odpowiada „nie” i czasami nawet kręci główką. Wtedy wszyscy przez chwilę patrzą na nią. On pochyla się w stronę jej troszeczkę pochmurnej buzi i pyta: „A

wierzysz w dyktaturę proletariatu, Mary?" A ona już w tym momencie kręci główką i woła: „nie”.

Nick jest bardzo pomocny, chociaż musi czuć się okropnie, służąc za pośrednika między Tylerem a resztą rodziny. Tyler nie rozmawia ani ze swoją matką, ani z siostrą przyrodnią, dzwoni wyłącznie do Nicka do salonu. Dał mu do zrozumienia, że kiedy zakończy już wszystkie sprawy związane z biznesem i ze mną, ma zamiar wynieść się tak daleko od nas, jak tylko zdoła. Nick bardzo mi pomaga, a mnie jest go żal, że musi dźwigać to, co dźwiga, i jeszcze pozostać przy tym mężczyzną.

Odnoszę wrażenie, że kiedy odszedł Buddy, cała moja potrzeba związania się z tą rodziną stopniowo się ulatniała, choć nawet nie miałam pojęcia, że tak się dzieje, jest możliwe, że to właśnie Buddy łagodził pewne konflikty i że to on wszystko scalał.

Nie wiem, o czym ci jeszcze powiedzieć. Kocham cię. Cały czas pracuję nad moją sztuką, prawie każdego dnia, przynajmniej przez dwie godziny. Mary rośnie jak na drożdżach. Sprzedałam albo oddałam biednym te trochę mebli, które mieliśmy, tak samo jak większość płyt i książek. Jestem już spakowana (Nick i Sheri bardzo mi pomogli), rano wsiałam do oldsmobila i kieruję się na południe, w stronę Zatoki. W nowe miejsca i do nowego życia. Oczywiście pewnie zadzwonię, zanim jeszcze otrzymasz ten list.

Całuję cię mocno. Lily

W tak arogancki sposób sobie ciebie wyobrażałam, jak wyruszasz do tamtego świata - w podróż w owych czasach równie trudną jak dzisiaj loty na Księżyc - a teraz sama jestem w podobnej sytuacji, czekam na wschód słońca, żeby wyruszyć w moją drogę na południe, gdzie przez jakiś czas będę mieszkać z ojcem mojego dziecka, który nie ma zielonego pojęcia o tym, że jest ojcem i na myśl o tym ogarnia mnie takie przerażenie, że ledwie mogę utrzymać pióro.

Wydaje mi się, że twoje życie można by rozważać jako prywatną walkę o poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o sens ludzkiej egzystencji - jak to sama kiedyś określiłaś - o naturę Boga. Odbierałaś świat jako dzieło stworzenia i jako tajemnicę. Odnoszę wrażenie, że twoja podróż zaczęła się od osobistego poszukiwania odpowiedzi na pytania dotyczące tej tajemnicy, a na końcu stała się sprawą publiczną, choć ty zdawałaś się prawie tego nie zauważać. Miałaś w sobie jakiś niezwykle magnetyzm, skoro udało ci się przywiązać do siebie tak wiele osób: Lucy Toulmin-Smith, Varleya, Corlissa, kapitana Murraya, MacDonaldów, Batty'ego, państwa Goldie, i tylu innych, zarówno misjonarzy, jak i ludzi zajmujących się handlem, członków rządu i Murzynów - a ty zawsze pozostawałaś sobą. Wszyscy oni na swój sposób wyrazili swoje zdanie

na twój temat, i nasuwa się wniosek, jaka byłaś w stosunku do nich: pełna energii i determinacji, zabawna, skromna aż do przesady, asertywna, zadufana w sobie, choć nie autorytarna, lojalna, łagodna, interesująca, nieustraszona - wszyscy podkreślali twój brak strachu i to, że nigdy, w żadnej sytuacji nie okazywałaś lęku. Nie, to nie tak - chciałam powiedzieć, że ponieważ nigdy go nie okazywałaś, wszyscy wierzyli, że go nie odczuwasz ani nie doświadczasz. Przypisywali ci śmiałość, która w moim mniemaniu deprecjonuje twoją odwagę. A to przecież właśnie była odwaga.

Chciałabym mieć trochę takiej odwagi właśnie w tym momencie. Nie jadę w żadne niezbadane dotąd miejsca, ale zabieram ze sobą dziecko, kłopoty z nim związane, odpowiedzialność za drugiego człowieka; za istnienie, które powstało z mojego ciała i mojej krwi - według mnie to także niezbadane pustkowia. A czy wyruszenie w świat i przecieranie własnego szlaku w gąszczu spraw oczekiwanych i tych już poznanych - czy to nie jest także pewnego rodzaju odkrycie?

Kiedy teraz piszę o tobie, mam wrażenie, jakbyś szeptała mi coś do ucha. Widzę, jak stoisz obok, z rękoma opartymi na biodrach, a na twojej twarzy maluje się łagodność, tolerancja, poczucie humoru, a może nawet pewne zniecierpliwienie. „No dalej, dalej”, słyszę twoje słowa.

Ludzie powiedzieliby, że pisanie liścików do ciebie to zwykle dziwactwo. Ale dla mnie to po prostu piękna tajemnica.

Tego dnia poranek był koloru stali, prawie nienaturalnie szary, a w powietrzu wisiała taka wilgoć, że w ciągu kilku sekund koszula przykleiła się Lily do ciała. Nick przyjechał o pierwszym brzasku, przywożąc paczkę duńskich ciasteczek i dwa kubeczki z kawą.

- Ta kawa to pomysł Sheri i Millicent - powiedział. - Millicent chce, żebyś była przytomna.

- Podziękuj im ode mnie - odparła. - Przyślę kartkę - dodała po chwili.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Popijała drobnymi łyżkami gorący płyn, czując, jak rodzi się w niej pragnienie, żeby się stąd wyrwać, żeby wyjechać jak najszybciej. Krótko mówiąc, intuicja jej podpowiadała, że stała się przyczyną cierpienia każdego z tej rodziny, choć każdego z innego powodu. Mimo to wszyscy zgodnie starali się interesować jej sprawami i pomagać. Było to tak dziwne - teraz kiedy wiedzieli, że jej dziecko nie jest w żaden sposób spokrewnione z ich rodziną i kiedy Tyler ich opuścił.

Zachowywali się w stosunku do niej sympatycznie, ale bez dawnego ciepła i nie jak prawdziwi przyjaciele. Było w tym coś wyćwiczonego, napiętego do ostateczności, z wyjątkiem sytuacji dotyczących Nicka. On jeden zdawał się wszystko rozumieć i za każdym razem dowodził, że jest jej oddanym przyjacielem, niezależnym od rodziny Galatierre'ów. Doskonale to wyczuwała.

Stali w kuchni wśród pootwieranych i pustych szafek. Mary bawiła się na podłodze: machała grzechotką we wszystkie strony, a potem usiadła prosto i starała się rozłożyć ją na części. Oboje obserwowali przez kilka chwil tę zabawę. Cały ranek wydawał się Lily jednym wielkim złudzeniem.

- Millicent prosiła, żebyś się odzywała - powiedział Nick.

- Ależ oczywiście - odparła. - Powtórz jej, że na pewno będę.

- Tyler jest nieugięty. To kompletne wariactwo.

Poczuła ukłucie w sercu na myśl, że oto jej małżeństwo należy już do przeszłości; ale teraz było w niej tyle samo strachu co i żalu.

- Wiesz, jeśli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić... Wzięła go pod rękę.

- Wiem - powiedziała krótko.

Dopił resztę swojej kawy, a następnie zgniół papierowy kubeczek.

- No cóż, muszę już jechać do pracy. Powinienem ci jeszcze powiedzieć, żebyś była ostrożna i dbała o siebie.

Odniosła wrażenie, że bardzo pragnęłaby jeszcze coś dodać; coś drgnęło jej w duszy, co ponagliło ją, żeby szybko mieć za sobą tę chwilę, żeby ją przegadać.

- Napiszę do ciebie, jak tylko dojadę do Nowego Orleanu. Zagląдай często na pocztę.

Zastanowił się, a potem zdawał się powracać do rzeczywistości od tego, co wcześniej zamierzał powiedzieć lub zrobić. Ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się, odwrócił i ukląkł obok Mary, biorąc w dłoń jej zaciśniętą piąstkę. Ucałował ją, a potem podniósł się i bardzo ostrożnie otoczył ramionami Lily.

- Uważaj na siebie - powiedział ze ściśniętym gardłem. Jej głos nie odmówił posłuszeństwa.

- Obiecuję - odparła, całując go w policzek.

- No cóż - odezwał się, uwalniając ją z objęć i odsuwając się kilka kroków. - Mam nadzieję, że my... mam nadzieję, że wkrótce cię zobaczę.

- Tak.

- I nie zapomnij się odezwać.

- Na pewno nie zapomnę. - Uśmiechnęła się, ocierając jednocześnie oczy.

Wyszedł w szarość poranka do swego samochodu, usiadł za kierownicą, popatrzył na nią przez przednią szybę, nie wykonując przy tym najmniejszego gestu, a potem włączył silnik i zaczął się wycofywać, spoglądając w tył przez ramię. Kiedy znalazł się już z powrotem na ulicy, ponownie spojrzął w jej kierunku, ale nie pomachał na pożegnanie, tylko dodał gazu. Podniosła rękę, ale on się nie obejrzał.

Pochyliła się, trochę popłakując, i wzięła na ręce dziecko. Nagle poczuła się zupełnie samotna i nieoczekiwanie bardzo przestraszona.

- Jesteś gotowa, dziewczyneczko? - spytała, spoglądając na Mary.

Dziecko spojrzało na nią z tym charakterystycznym wyrazem zapytania, który stale gościł na malutkiej buzi, i powiedziało „nie”.

Lily roześmiała się przez łzy, niosąc małą do oldsmobila, gdzie włożyła ją do fotelika umieszczonego na tylnym siedzeniu. Wilgoć docierała wszędzie. Lily usiadła za kierownicą, otworzyła okna i przekręciła kluczyk w stacyjce. Każda z tych czynności wymagała wielkiego wysiłku; każda była czymś nieodwracalnym; krokiem, którego nie można już było cofnąć. Ona naprawdę to robiła.

Apartamentowiec po drugiej stronie ulicy był już prawie ukończony. W mroku przesuwających się oparów mgiełki, na przesiąkniętym wilgocią lekkim wietrze łopotały zatknięte na budynku chorągiewki. Tego posępnego ranka mgła wciskała się wszędzie; grubym i prawie nieruchomym obłokiem okrywała całe miasto, choć kiedy Lily wyjechała na autostradę numer 55 prowadzącą na południe, po wschodniej stronie ujrzała karminowy odcień na gęstej, rozmokłej zasłonie z mgły - to słońce miało właśnie przebić się przez chmury. Włączyła radio, gdy Mary spała już w najlepsze w foteliku. Zaczęła śpiewać nadawane w radiu piosenki, głównie rockowe, pochodzące z czasów, gdy chodziła jeszcze do szkoły średniej, z roku osiemdziesiątego szóstego i siódmego. Poddawała się dziwnemu uczuciu, jakby cofnęła się w czasie i była znowu nastolatką, która wyruszyła na spotkanie przygody. Oczywiście miała swoje zmartwienia - przecież została porzucona - i kiedy pomyślała o Tylerze, złość i uraza odżyły w jej myślach; te uczucia nie słabły. Mimo to czuła się wolna i podekscytowana. Zerknęła w tył, na Mary śpiącą w foteliku, i poczuła zachwyt, że jest kobietą mającą dziecko, że jest matką. Czuła się tak, jakby nigdy dotąd nie uświadamiała sobie w pełni tego faktu i dopiero teraz dotarło do niej jego znaczenie. Droga przed nią wynurzyła się z pokładów mgły -

była prawie pusta. I kiedy mgła uniosła się na dobre - albo też Lily po prostu z niej wyjechała; nie wiedziała, jak było naprawdę - zaczęła śpiewać głośniej, z radosnym poczuciem, że oto jest wolna i właśnie ucieka tam, gdzie będzie mogła swobodnie oddychać.

4

Trzy godziny jazdy dzieliły ją jeszcze od Nowego Orleanu, kiedy zatrzymała się w małej miejscinie Harkley's Bend, w Missisipi, żeby coś przekąsić. Zabrała dziecko razem z samochodowym fotelikiem do knajpki przy parkingu dla ciężarówek i postawiła fotelik na stole w kącie. Mary na wpół spała: otwierała oczka i znowu je zamykała, skarżyła się łagodnie, po czym znowu się uspokajała.

Kelnerką była chuda, blada dziewczyna z długimi, prostymi, czarnymi włosami i pochmurnymi niebieskimi oczyma. Kiedy spojrzała w jej stronę, Lily zobaczyła, że ma wyraźną skazę na tęczęwce lewego oka, głęboko osadzonego w oczodole.

- Sama mam czwórkę - zwróciła się do Lily. - Mąż mówi, że najlepiej właśnie zostawiać je w fotelikach samochodowych, takich jak ten, i ja też tak uważam. On pracuje nocami w departamencie autostrad, więc zajmuje się nimi w dzień.

Lily skinęła głową.

- A co robi pani mąż? - zapytała kelnerka. Po króciutkim zastanowieniu Lily odparła:

- Sprzedaje auta.

- To musi być fajne zajęcie. Dostają nowe samochody do jeżdżenia, zgadza się? Mam szwagra, który sprzedaje lincolny.

Lily zamówiła jajecznicę dla Mary, a dla siebie kanapkę. Kiedy czekała na jedzenie, zaczęła rozmyślać, dlaczego właściwie skłamała na temat swojego męża. Coś w wyrazie twarzy kelnerki sprawiło, że Lily wyczuła, że powiedzenie prawdy będzie przykre albo też sprawi przykrość innym. Była już jednak tak zmęczona ciągłym mówieniem nieprawdy, że o mały włos nie przywołała tej kobiety z powrotem.

Zamiast tego czekała i nie ruszając się, obserwowała, jak Mary zaczyna się budzić.

Kelnerka przyniosła jedzenie, lecz nie odezwała się więcej. Lily nie mogła się powstrzymać od patrzenia na jej dziwacznie zapadnięte oko; a jednak ta dziewczyna miała męża i z mężem wybaczała sobie drobne niedoskonałości.

Złapała się na tym, że znów trochę popłakuje; jadła swoją kanapkę, karmiąc jednocześnie jajecznicą dziecko, które jednak nie wykazywało większego zainteresowania jedzeniem, i rozmyślając o Buddym Galatierze, Tylerze i tym, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Do knajpki weszli dwaj mężczyźni. Zamówili colę i usiedli, rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami. Cały czas zerkali na Lily i Mary, aż wreszcie wyższy z nich uchylił kapelusza i uśmiechnął się.

- Czy wszystko w porządku, panienko?

- Tak, dziękuję panu.

Wszyscy byli w stosunku do niej tak uprzejmi. Nie spodziewała się tego przygnębiającego poczucia osamotnienia i sam fakt, że coś takiego się wydarzyło, zaskoczył ją i równocześnie zniechęcił. Zapłaciła więc kelnerce, a potem podniosła Mary razem z fotelikiem i pochlipując, skierowała się do samochodu.

W Nowym Orleanie też to ją czeka; będzie musiała stawić czoło wysiłkom innych, którzy zapragną się nią opiekować, a nawet w części nie czuła się do tego przygotowana. Wiedziała, że dużo czasu minie, zanim pogodzi się z tym, co się stało. W końcu dojdzie do siebie i odzyska poczucie sensu życia, które próbowała sobie ułożyć, co niestety jej się nie udało. Pojawienie się w domu Violet Beaumont w takiej rozpacz, ze zranioną duszą i wszechogarniającym uczuciem paniki wydawało się zbyt samolubne, żeby się na to godzić, i teraz, gdy kierowała się na południe, przypadkiem pomyślała, że tak właśnie było: podjęła decyzję o wyjeździe, w pełni zdając sobie sprawę z własnego egoizmu, ponieważ w tym stanie nie była pożądanym towarzystwem. Wprawdzie Dominik nawet w tych okolicznościach robił wielkie zamieszanie z okazji jej wizyty, to jednak wiedział doskonale, co ona musi czuć. Należała do zranionych wędrowców i jej pobyt w Nowym Orleanie miał bardziej przypominać rekonwalescencję niż cokolwiek innego. Niewykluczone, że wiozła złe wieści dla Dominika; na jego barkach spoczną problemy, których mógł sobie nie życzyć, i odpowiedzialność, której przypuszczałnie nie pragnął.

Gdy dojeżdżała do Nowego Orleanu, nad miastem przetaczały się burze nadciągające od zachodu. Deszcz co prawda ją ominął, ale nawierzchnia ulic była mokra i skrzyła się w promieniach słońca. Skręciła na zjazd na Canal Street, obok cmentarza pełnego olbrzymich, błyszczących od deszczu kamiennych pomników, podobnych do zatłoczonego kompleksu ozdobnych miejskich kamienic, z gotyckimi gzymsami i fasadami. Lily wjechała na teren stacji Exxon. Wiał ciepły wiatr, a gdzieś daleko przetoczył się grzmot. Ujrzała w oddali wspianiały

zygzak błyskawicy przeskakujący między wałami chmur. Tutaj świeciło słońce, a ostre cienie kładły się na miniaturowym cmentarnym miasteczku rozciągającym się po drugiej stronie estakady. Lily pomyślała o Mary Kingsley płynącej parowcem na środku oceanu, kiedy cały jej dobytek mieścił się w jednej walizce, a egzystencja zależała od otaczających ją obcesowych nieznajomych.

Znajdowała się przy dystrybutorach z napisem „Samoobsługa”, wycofała się więc i objechała stację dookoła, do dystrybutorów z obsługą. Natychmiast jeden z pracowników podbiegł w stronę samochodu, rozchlapując znajdujące się na swej drodze kałuże, i stanął obok okna kierowcy. Wszystko zależy od tego, czy człowiek zdoła się ustawić we właściwym miejscu, pomyślała. Wydało jej się to strasznie zabawne, o wiele bardziej, niż mogłaby wytłumaczyć, toteż zaczęła się śmiać. Wyglądało to jak atak hysterii. Siła i natężenie śmiechu zaniepokoiły ją i poczuła, jak ogarnia ją panika, choć cały czas jeszcze się śmiała. Opuściła szybę, ale okazało się, że nie może wydobyć z siebie słowa.

- Bardzo przepraszam - wykrztusiła, starając się odzyskać kontrolę. - Może pan nalać do pełna?

Nie odezwał się. Mary zaczęła marudzić i Lily, cały czas próbując opanować wesołość - choć jednocześnie czuła się w tym samym momencie tak, jakby zaraz miała się rozplakać - sięgnęła w tył, żeby drżącą ręką podać dziecku grzechotkę. Mary pottrzymała ją, pociągnęła i upuściła. Grzechotka upadła na podłogę, a Lily odebrała to jak straszną katastrofę. Jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach, a nabieranie w płuca powietrza sprawiało straszne kłopoty. Daleko na wyczyszczonym przez deszcz południowym niebie zobaczyła drapacze chmur; postrzępione obłoki kłębiły się tuż przed nimi. Usiłowała za wszelką cenę wyrównać oddech, żeby nie zemdleć.

Pracownik stacji podszedł do okna, żeby zainkasować należność za paliwo. Nie mogła znaleźć pieniędzy ani w kieszeniach, ani w torebce - palce odmawiały jej posłuszeństwa. Wreszcie natrafiła na zwitek banknotów i podała przez okno. Przez kilka sekund przyglądała się karteczce, na której zanotowała wskazówki Dominika, próbowała się pozbierać.

- Czy jeszcze pani czegoś potrzebuje? - pytał pracownik stacji. - Może jakiejś wskazówki?

- Wszystko mam - odparła. - Bardzo dziękuję.

Kiedy wszedł z powrotem do budynku, wrzuciła pierwszy bieg i wyjechała na mokre od deszczu ulice. Strumienie wody mknęły rynsztokami i spływały do studzienek ściekowych. Z

oddali ciągle dobiegały pomruki grzmotów. Serce waliło jej jak młot, zaczynała ją boleć głowa i czuła, jak ogarnia ją panika. Dziecko już porządnie marudziło i nawet trochę zaczęło popłakiwać. Nie mogła odczytać nazw ulic, a na kilku skrzyżowaniach nie wiedziała nawet, gdzie szukać tabliczek. Kiedy udało się jej wreszcie dotrzeć do Canal Street, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że stało się tak przez czysty przypadek. Skręciła i zaczęła obserwować tabliczki z nazwami przecznic. Chodniki po obu stronach były pełne ludzi. Restauracje z olbrzymimi oknami, najwyraźniej otwarte, ciągnęły się wzdłuż ulicy. Na każdym ganku czy balkonie stały tuziny roślin, liści palmowych i wspaniale rozwiniętych kwiatów; ze wszystkich skapywały pozostałości niedawnego deszczu. Ujrzała rzędy podwójnych ganków, ozdobionych wyrzeźbionymi w drewnie koronkowymi ornamentami. Mijała przepiękne kościoły i wiktoriańskie domy, z rzędami krzeseł ustawionymi na werandach. Nie mogła sobie przypomnieć, czy byli wtedy z Tylerem w tej części dzielnicy. Tyler.

Zwolniła, trzymając kurczowo kierownicę, i mimo że rozpraszało ją marudzenie Mary, starała się dojrzeć coś przez przednią szybę, zalaną oślepiającym blaskiem słońca. Dziecko najpierw popłakiwało, potem zaczęło się bawić, a później znów zapłakało. Jej także pociekły łzy. Kierowcy znajdujący się za nią zaczęli trąbić.

- Chryste, uspokójcie się - powiedziała, jakby ktokolwiek poza Mary mógł ją usłyszeć.

Zjechała do krawężnika i pozwoliła kolejnym autom się wyprzedzać. Jadący w nich ludzie odwracali się, żeby spojrzeć na nią ze złością albo żeby uśmiechem wyrazić swoją wdzięczność, albo po prostu, żeby się jej przyjrzeć, ale ona prawie się nie oglądała. Przejeżdżali obok i widziała ich kątem oka. Kiedy trafiła na wolne miejsce do parkowania, zatrzymała się, wytarła twarz i przeglądając się w lusterku wstecznym, starła tusz z policzków, a potem nałożyła świeży makijaż i znowu włączyła się do ruchu. Jechała bardzo wolno, jak odrętwiała, odczytując nazwy ulic i ledwo zwracając uwagę na to, co się wokół niej dzieje.

W momencie gdy zajeżdżała przed wysmukły dom na rogu Burgundy i St. Philip, należący do Violet Beaumont, na zalanym słońcem niebie nie było już ani jednej chmurki. Gdzieś daleko rozległ się jeszcze odgłos grzmotu. Wysiadła z samochodu i kiedy wyjmowała Mary z fotelika, na ganek wybiegł Dominik. Zawołał do niej *cher* z kiepsko udawanym kajuńskim akcentem. Zbiegł i mocno ją objął, a ona stwierdziła ze zdumieniem, że płacze, opierając głowę na jego piersi. To był tylko moment, ale Dominik nie wypuszczał jej z objęć, gładząc uspokajająco po ramionach. Manny także zszedł i wyciągnął Mary z samochodu, gruchając do niej i mrużąc pod nosem jej imię.

- Taki jestem szczęśliwy, że cię wreszcie widzę, maleńka - powiedział.

- Pokaż mi ją - odezwał się Dominik, uwalniając wreszcie Lily, która stanęła obok i patrzyła, jak rozplývają się z zachwyty nad niemowlęciem.

Obaj upierali się, żeby weszła z dzieckiem do domu, a oni w tym czasie rozpakują bagaże, toteż posłusznie poszła w górę schodów i zatrzymała się w przedpokoju, gdzie zaczekała, aż do niej dołączą. Z głębi domu dolatywały dźwięki jazzu. Nie chciała spoglądać w stronę drzwi prowadzących do pokoiów, skupiła więc uwagę na tym, co dzieje się na ulicy. Z jakiegoś powodu czuła, że zwiedzanie tego domu na własną rękę nie byłoby właściwe, a poza tym znów zaczął ją ogarniać paniczny strach. Nieoczekiwanie ta cała wyprawa wydała się jej horrendalnym błędem.

W salonie rozległo się czyjeś pokasywanie; w ten sposób dowiedziała się, że tam, za tą ścianą, jest Violet Beaumont. W pierwszej chwili chciała wejść i przedstawić się, ale doszła do wniosku, że takie zachowanie byłoby absurdalne.

Dominik pojawił się u szczytu schodów, dźwigając jej walizkę i pudło z książkami.

- Wchodź dalej - powiedział. - Ciocia Vi ucięła sobie drzemkę.

- Wcale nie - rozległ się dźwięczny alt. - Wejdźcie, proszę.

Dominik postawił na podłodze jej rzeczy; następnie wprowadził ją, z Mary na rękę, do pokoju i przedstawił Violet Beaumont; a zrobił to w tak ceremonialny sposób, jakby zdejmował Lily welon z twarzy.

Lily odstawiła fotelik z małą i wyciągnęła rękę, aby uścisnąć drobną dłoń cioci Violet, która zacisnęła się łagodnie, zaskakująco mocno, a zarazem po przyjacielsku. Każdy fragment jej twarzy pokrywała siateczka zmarszczek, tak samo jak szyję, dekolt, przedramiona i dłonie - były to głębokie bruzdy, jak w spękanej dnie wyschniętej rzeki, a jej skóra przypominała kolorem spieczoną ziemię. Miała jasnobrązowe oczy, a włosy pokryte siwizną; rozdzielone pośrodku głowy przedziałkiem układały się miękko dookoła twarzy o całkiem ładnych rysach. Bez wątpienia ta kobieta za młodu była uderzająco piękna i nawet teraz jeszcze robiła wrażenie. Przeniosła wzrok z Lily na Manny'ego, który właśnie wszedł do pokoju, niosąc kilka pudeł.

- To jest mój przybrany siostrzeniec - powiedziała. - Znacie się?

- Tak - odparła Lily.

Brązowe oczy Violet Beaumont zwróciły się w kierunku niemowlęcia leżącego w samochodowym nosidełku.

- Ładniutkie dziecko - rzekła.

- Nie mogę się na nią napatrzeć - dodał Dominik.

- Ja... ja naprawdę nie wiem, jak długo tu zostaniemy - odezwała się Lily.

- Rozsądne dziecko - powiedziała Violet.

Lily uśmiechnęła się, niepewna, ile ironii kryło się w tej mimochodem rzuconej uwadze.

Na twarzy starej damy gościł krzywy uśmiezek.

- Istnieje taka możliwość, że nie zostaniesz? - spytał Dominik.

- Po prostu nie wiem na pewno, czy dam radę zostać - odpowiedziała Lily.

Starsza pani machnęła ręką.

- Ja także, *cher*. Ja także. Tak się czuję od czasu, gdy miałam trzydzieści lat, co było ponad sześćdziesiąt lat temu.

Dziecko wydało nagle przenikliwy okrzyk i zaczęło marudzić.

- Po prostu życie jest bardzo skomplikowane - dorzuciła, mrugnawszy do nich.

RS

Tego wieczoru wszyscy poszli do małej kajuńskiej knajpki zwanej „Daddy”. Była niewiele większa od kwadratowego pokoju: wewnątrz stały stoliki przykryte obrusami w kratkę i przeszklona lada, przez którą można było zobaczyć plastikowe pojemniki z gumbo, rakami i innymi potrawami podawanymi w lokalu. Knajpka należała do murzyńskiej rodziny Rachambois, która ją także prowadziła. Na ścianach wisiały zdjęcia sławnych muzyków jazzowych, stałych bywalców lokalu. Fotografie były podpisane i w dodatku zawierały kwieciste frazesy i słowa przywiązania skierowane pod adresem Daddy'ego Rachambois, który, jak wyjaśnił Dominik, zmarł zaledwie przed rokiem. Teraz szefem był jego syn. Jako kelnerka pracowała sympatyczna, wysoka dziewczyna o skórze w odcieniu cynamonu, ciężkich, połyskujących włosach splecionych w węzeł i z długimi paznokciami pomalowanymi na czerwono. Ciocia Violet przedstawiła ją jako jedną z siostrzenic Daddy'ego. Mówiła do niej po imieniu - Felicia. Felicia zebrała ich zamówienia i schyliła się, żeby spojrzeć na dziecko.

- Czo za miłe malensztwo - oznajmiła.

A dziecko w odpowiedzi cmoknęło i odparło „nie”.

Wszyscy zaczęli się śmiać. To była urocza chwila. Felicia zaraz dodała, że ma siostrzeńca, który nie skończył jeszcze roku, a już potrafi chodzić. Przez kilka minut rozmawiali na temat przedwcześnie rozwiniętych dzieci. Lily spostrzegła, że Violet Beaumont poruszała się zaskakująco płynnie i wdzięcznie jak na kogoś, kto ma prawie dziewięćdziesiąt dwa lata.

Zaczynała powoli rozumieć, że jej plan zamieszkania z Dominikiem i tymi, którzy tworzyli teraz jego rodzinę, mógł okazać się na dłuższą metę całkowicie niewykonalny. Manny i Dominik pracowali całymi dniami; Violet wyruszała na obchód znajomych w dzielnicy. Pieniądze Lily nie starczą na długo, a nie chciała obciążać swoimi potrzebami nikogo - ani swoich rodziców, ani tym bardziej tych dobrych ludzi, którzy wydawali się ledwo wiązać koniec z końcem.

I ciągle istniał problem, jak powiedzieć Dominikowi prawdę o Mary. Spoglądała na niego poprzez stół i czuła się całkowicie zagubiona.

A rozmowa toczyła się dalej. Violet wyjaśniła, że Lily jest przyjaciółką, która dopiero co przybyła z Oksfordu i że wszystko w Big Easy jest dla niej zupełną nowością.

- Czy już zdążyłaś zakochać się w Nowym Orleanie? - spytała Felicia.

Lily przytaknęła.

- Tobsze się czujesz? Jesztesz trochę blada.

- Ona po prostu się denerwuje, *cher* - odpowiedziała za nią Violet Beaumont. - Poznają to na pierwszy rzut oka.

- No tak, nowe otoczenie. Violet skinęła głową.

- Cóż, nie musisz się niepokoić - powiedziała Felicia, z promiennym uśmiechem spoglądając na Lily. - Jesztesz tu wśród przyjaciół. I masz to szliczne dziecko do kochania.

- Tak, masz rację - odparła Lily. - Dzięki.

Chwilę później Manny ruszył do szafy grającej, żeby zobaczyć, czy są tam ciekawe płyty, a ciocia Violet podeszła do lady, żeby przywitać się z synem Daddy'ego Rachambois. Dominik i Lily zostali przy stole sami.

- Wszystko będzie dobrze, Lily - powiedział, pochylając się w jej stronę. - Sama zobaczysz.

Dziecko coś zagruchało, zaśmiało się i znów zaczęło gaworzyć, bawiąc się rękoma matki.

- Muszę znaleźć opiekunkę i jakąś pracę - odparła. Dominik przysunął się bliżej.

- Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale... ale nie mogę uwierzyć w to, co zaszło między tobą a Tylerem.

- Już mi mówiłeś. Przez telefon.

- I ciągle nie mieści mi się to w głowie. Czy nie ma żadnej możliwości, że to się zmieni?

- Dominiku, nic się nie zmieni. To już koniec. Zostałam sama z dzieckiem i obawiam się, że na razie będziemy ci siedzieć na karku.

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnął się i skinął głową, żeby podkreślić znaczenie swoich słów.

Wzięła głęboki oddech, żeby powiedzieć mu to, co miała do powiedzenia - i nie mogła. Nie tutaj, nie w towarzystwie. Spojrzała na małą i powiedziała do niej kilka pieszczotliwych słów. Mary zaczynała powoli marudzić. Violet tymczasem wróciła do stolika i zanim zdążyła usiąść, zachwiała się; była to tylko sekunda, ale ta chwila zwróciła uwagę wszystkich.

- Jeszcze nie umieram, *cher* - powiedziała do Dominika, który zerwał się na równe nogi.

Usiadła i wpatrzyła się w Lily.

- Wyglądasz na zmartwioną.

- Jestem tylko trochę zmęczona.

- Rozwód - pospieszył z wyjaśnieniem Dominik. - Założę się, że właśnie to wyssało z ciebie całą energię.

- Nikt nie zakłada, że będzie nieszczęśliwy, kiedy bierze ślub - rzekła Violet. - Każdy uważa, że to wspaniały początek szczęścia, nawet jeśli wie, ile katastrof może się zdarzyć po drodze.

Dominik nie spuszczał oka z Lily.

- To przez śmierć Buddy'ego, prawda? - zapytał cicho.

- Częściowo tak - odparła Lily, dochodząc chyba po raz pierwszy do wniosku, że trudno będzie wyznać mu całą prawdę.

- Dominiku, czy nie widzisz, że ona nie ma ochoty o tym mówić? - odezwała się ciocia Violet.

Dominik ucałował pomarszczony policzek Violet i usiadł z powrotem na swoim miejscu. Po chwili wrócił także Manny. Na jego twarzy malował się spokój i radość. Ciocia Violet zaczęła opowiadać historię swojego związku z tym miejscem. Przyjechała do miasta przed pięćdziesięcioma laty; znała Daddy'ego, a wcześniej jego ojca, który otworzył ten lokal w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Nosił wówczas nazwę „Tap House”. Do „Tap House” nie można było się dostać ot, tak sobie - trzeba było kogoś znać albo zostać specjalnie zaproszonym przez ojca Daddy'ego. Raz, na początku swojej kariery, śpiewała tutaj nawet Billie Holiday. Ciocia Violet ją widziała. Ciocia Violet widziała prawie wszystko, tak twierdziła. Albo w każdym razie przynajmniej tak jej się wydawało. Manny'ego poznała dzięki jego matce, Inez, która przyjechała do Stanów w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku razem z dwiema młodszymi siostrami, żeby uciec przed maltretującym je ojcem i dwoma okrutnymi braćmi, którzy uwielbiali dręczyć członków rodziny. Nie znała nawet słowa po angielsku; zaczęła pracować u Violet, gdy ta przestała uczyć w szkole i przeszła na emeryturę. Violet poznała ją nieco wcześniej, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, w czasie wakacyjnego pobytu w Santiago. Przechodząc przez ulicę tuż przed swoim hotelem, upuściła torbę i wszystkie dokumenty wysypały się na jezdnię; obca dziewczynka pomogła jej dogonić jeden z nich, porwany przez podmuch wiatru, i Violet uparła się, żeby zaprosić ją na kolację do hotelu. Tak zaczęła się ich przyjaźń. Przez następne dwa tygodnie widziały się jeszcze kilkakrotnie. Kiedy Violet przygotowywała się już do wyjazdu, Inez zjawiała się pod hotelem z dwiema zaniedbanymi, raczkującymi dopiero dziewczynkami, swoimi siostrami, i błagała Violet ze łzami w oczach, żeby je ukryła i wywiozła ze sobą do Ameryki; chciała w ten sposób

zapewnić im możliwość ucieczki przed ich łatwo wpadającym w gniew ojcem. Poświęcenie tak głęboko poruszyło Violet, że starała się wymyślić jakiś sposób, żeby zabrać wszystkie trzy. To oczywiście nie wchodziło w grę. Violet i Inez wymieniły adresy i tuż przed wyjazdem Violet wśród łez przyrzekły sobie, że pozostaną w kontakcie. Do wymiany listów jednak nie doszło i Inez pozostała tylko czułym i bolesnym wspomnieniem.

Trzy lata później Inez zjawiała się w drzwiach domu Violet. Jej siostry pozostały, lecz teraz kiedy ich ojciec w końcu zapił się na śmierć, wychowywała je jedna z ciotek. Okazało się, że Inez nigdy nie porzuciła zamiaru odnalezienia swojej amerykańskiej przyjaciółki i zrobiła to natychmiast, gdy tylko osiągnęła pełnoletność.

To chrześniak Violet, Chandler Boudreaux, stał się sprawcą ciąży Inez i ojcem Manuela. Chandler chciał się ożenić z Inez, która miała wówczas dziewiętnaście lat, i na pewno by się o nią zatroszczył, ale w czasie pobytu w wojsku zaczął brać kokainę i pewnej nocy, w późnych godzinach wieczornych, na kilka tygodni przed planowanym weselem, doznał rozległego zawału po przyjęciu olbrzymiej dawki narkotyku. Sekcja zwłok wykazała, że jego serce po prostu pękło.

Violet zabrała do siebie matkę i dziecko i przez pierwsze lata życia Manny'ego powodziło się im całkiem nieźle. Inez pracowała gdzieś na mieście, a oprócz tego prowadziła ciągle dom, za co Violet jej płaciła. Violet mówiła biegle po hiszpańsku i uczyła chłopczyka angielskiego, choć ani on, ani jego matka nie byli zainteresowani opanowaniem tego języka. W domu mówiło się po hiszpańsku, niekiedy całymi tygodniami.

Od tamtej pory kilkoro członków rodziny Violet, którzy jeszcze żyli, przestało się do niej odzywać.

- Z powodu nieroztropności - powiedziała - ale głównie dlatego, że nie spełniłam ich oczekiwań.

Ponieważ znikąd nie można było oczekiwać pomocy, Violet, choć była już na emeryturze, na kilka lat wróciła do nauczania, żeby móc spokojnie płacić rachunki. Życie układało się prosto i w większości szczęśliwie.

Wówczas jednak matka Manny'ego znowu się zakochała; tym razem w kimś, z kim pracowała w biurze - w mężczyźnie pochodzącym z Chile, który uczęszczał do szkoły w Tulane. Kiedy Manny skończył sześć lat, wyjechał razem z matką i ojczymem, żeby zamieszkać w Chile. Przez te wszystkie lata Manny pozostawał w kontakcie z Violet, pisał do niej listy po angielsku, kiedy akurat miał czas, lub wysyłał kartki nabazgrane pośpiesznie po

hiszpańsku. Kiedy dorósł i jego matka odeszła na zawsze (zginęła w wypadku samochodowym w wieku pięćdziesięciu jeden lat), a ojczym doszedł do wniosku, że bycie homoseksualistą jest obrzydliwe i w związku z tym go wydziedziczył, Manny zaczął rozmyślać o powrocie do Ameryki. Najpierw osiadł w Wirginii, gdzie mieszkał jego daleki kuzyn, i tam poznał Dominika. Przez cały czas jednak chciał przyjechać do miasta, w którym się urodził.

- No i jest tutaj - zakończyła Violet. - Na osłodę moich ostatnich dni.

- Jestem nagrodą pocieszenia - oświadczył Manny. Lily spostrzegła, że mówił znacznie lepiej niż ostatnim razem. Najwidoczniej czas spędzony z Dominikiem pozytywnie wpłynął na jego angielszczyznę. Ta poprawa była dość subtelna - nie zauważyła jej dotąd, może głównie dlatego, że zachowanie Manny'ego było zazwyczaj niezwykle flegmatyczne. Manny mówił dalej, wskazując Dominika.

- Ale przywiozłem z sobą główną nagrodę.

- Kiedy będziesz już w pewnym wieku, młodzi geje będą się pchać drzwiami i oknami, żeby żyć z tobą. Za darmo - odparł Dominik.

- Spójrzcie tylko na to dziecko - zauważyła Violet, bawiąc się rączką Mary. - Kiedyś dorośnie i dla niej silni mężczyźni będą sobie podrzynać gardła.

Kelnerka przyniosła na dużej tacy jedzenie i przez kilka chwil wszyscy mówili naraz, starając się podzielić potrawy. Z szafy grającej wydobywały się głośne dźwięki piosenek wybranych przez Manny'ego, musieli więc krzyżeć, żeby się nawzajem słyszeć. Jedzenie okazało się mocno przyprawione, ale smakowało wyśmienicie.

Po skończonej kolacji wrócili spacerem do domu; szli zatłoczonymi ulicami wśród zapachów rozmaitych przypraw wydobywających się z mijanych po drodze restauracji i mieszających się dźwięków różnych gatunków muzyki - zydeco, bluesa i jazzu, które akurat były grane w kilku klubach. Dominik niósł niemowlę.

Gdy dochodzili do domu, na niebie znów pojawiły się chmury deszczowe. Weszli szybko do środka, a Lily została zaprowadzona do przeznaczonej dla niej części i z lewej strony na piętrze. Był to olbrzymi, wysoki pokój, z podwójnym łóżkiem, w którego nogach stała potężnych rozmiarów cedrowa komoda. Obok łóżka znajdowała się szafka nocna z lampką do czytania i rzędem książek. Na lewo od wejścia, pod dużym oknem o drewnianych ramach, wychodzącym na skrzyżowanie, stało biurko; długie lustro wisiało na tej samej ścianie, na której były drzwi - na pierwszy rzut oka wyglądało na kolejne okno. Na przeciwległej ścianie przeszklone drzwi prowadziły na werandę - Lily dojrzała tam liście palmowe i kilka wiszących

u sufitu roślin. Dominik gdzieś w sąsiedztwie pożyczył kołyskę dla dziecka; Lily włożyła tam Mary i okryła miękkim kocykiem ramiona maleństwa.

- Nawet nie przypuszczałem, że Mary mogła od lutego aż tak urosnąć - powiedział Dominik.

- Wyraźnie polubiła nowe łóżeczko - odparła Lily i po chwili dodała z wahaniem: - Dom...

- Tak?

Usłyszała, jak ciocia Violet z trudem wchodzi po schodach.

- To chyba najładniejszy pokój w tym domu - rzekła szybko. - Obawiam się, że przez nas wszyscy musieliście się przeprowadzać.

- To dawny pokój pani Beaumont. Rankami jest tutaj trochę głośno - zresztą sama zobaczysz. Ona ma najlepszy pokój, możesz mi wierzyć. To jest naprawdę duży i przytulny dom.

Ciocia Violet weszła do pokoju i skierowała się w stronę przeszklonych drzwi.

- Chodź - powiedziała do Lily. - Wyjdź na zewnątrz i popatrz.

Lily się zawahała.

- Dziecko przecież śpi. Jest mu tu całkiem dobrze.

Lily posłusznie poszła za nią na werandę. Stały tam wiklinowe krzesła, kanapa i fotel na biegunach. Violet usadowiła się w nim i gestem zaprosiła Lily, żeby zajęła miejsce obok niej. W powietrzu unosiła się woń jakiejś nieokreślonej przyprawy, a gdzieś w dali mruczały grzmoty. Jedyne światło padało z okien pokoju za ich plecami, rzucając łagodny, złotawy poblask i w pamięci Lily mimo woli pojawiło się wspomnienie balkonu w Charlottesville i pierwszych chwil z Tylerem. Niżej, na ulicy, ludzie spieszyli we wszystkie strony, aby zdążyć przed deszczem; przejeżdżały samochody, a ich opony szeleściły w kałużach stojących na jezdni. Cała dzielnica tętniła życiem; ogromny snop skroplonego światła wędrował w górę ku opadającym na miasto chmurom niosącym zmierzch, które przygnał orzeźwiający wiatr.

- Musiałam sprzedać swoją furgonetkę - odezwała się Violet.

- Ciągle wpadałaś na coś - przypomniał Dominik.

- Ciągle... jednak nienawidzę tego, że musiałam się z nią rozstać.

Dominik szturchnął Lily.

- To był ford rocznik trzydziesty szósty. Powinnaś go zobaczyć. Podwozie wyglądało jak skamieniałość.

- Ale jeździł - wtrąciła Violet.

- Gubił po drodze różne części. Jazda za tobą przypominała pilotowanie statku kosmicznego w pasie asteroid.

- Ale jeździł - powtórzyła tym samym tonem.

- Pani Beaumont dostała dwa mandaty w ciągu ostatniego tygodnia, kiedy jeździła swoją furgonetką - jeden za to, że jechała za szybko, a drugi, że za wolno. A dostała je od jednego policjanta i na tej samej drodze.

- Ten młody człowiek po prostu nie mógł się zdecydować, *cher*.

Gdzieś z dala dobiegły ich odgłosy wiwatującego tłumu; hałas przybierał na sile i można było rozróżnić pojedyncze głosy, a potem ucichł i dolatywał do nich w postaci szeptu, aż wreszcie zamarł zupełnie.

- Amatorski mecz baseballu - wyjaśnił Dominik.

- To mogły być także wyścigi konne - wtrąciła Violet.

- Za daleko jesteśmy.

Zapadła cisza i wszyscy zaczęli nasłuchiwać odgłosów tłumu, ale słyszeli tylko zgiełk dobiegający z ulicy.

- Wiesz co? - powiedziała ciocia Violet, dotykając nadgarstka Lily i zaraz cofając zimną, suchą dłoń. - Kiedy byłam jeszcze dziewczynką, spotkałam kogoś, kto spędził pewien czas w towarzystwie Mary Kingsley, o której piszesz książkę.

- To ma być sztuka - odezwał się Dominik.

- To jest słowo pisane. Zobaczysz, że ukaże się w końcu jako książka. Chyba publikują sztuki teatralne w formie książkowej, prawda?

- Oczywiście - powiedziała Lily z podziwem.

- No widzisz.

- Więc spotkała ciocia kogoś, kto ją znał?

- Ten ktoś przyjechał z wykładem o Afryce do szkoły, do której uczęszczałam. Masz pojęcie, który to był rok? Tysiąc dziewięćset trzynasty. Ten mężczyzna opowiadał nam o pewnej odkrywczyni, Mary Kingsley. Wówczas był w średnim wieku i na pewno od dawna nie żyje. Zapamiętałam to nazwisko. Kingsley. Pobrzmiewała w nim taka moc. Ten mężczyzna znał ją i znał także inne. Była tam też angielska misjonarka, która nazywała się Mary Slessor.

- Mary Kingsley ją znała - wtrąciła szybko Lily. - Były przyjaciółkami. Spędziły razem mnóstwo czasu w Domu Misyjnym Mary Slessor w Okyon, w czasie drugiej podróży Mary do Afryki

Zachodniej. Potrafiły siedzieć i rozmawiać przez całą noc, tylko we dwie. I tak daleko od Anglii.

- Ten człowiek znał je obie.

Lily oparła się o tył krzesła i chłonęła informacje.

- Kobiety wówczas nie miały żadnych praw, rozumiesz? Nawet nie mogły głosować. Ale w Afryce sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Mężczyźni mieli po kilka żon. A od kobiety wszyscy oczekiwali, że będzie zameżna. W przeciwnym razie nie było dla nich miejsca w społeczności. Ich narządy płciowe były wycinane - w ten sposób okaleczano je na całe życie. Jeśli kobieta urodziła bliźnięta, oznaczało to śmierć. Dla obu niemowląt i czasami również dla niej. Ten mężczyzna powiedział, że kiedy spotkał Mary Slessor i Mary Kingsley, ochraniały kobietę, która miała bliźnięta. Jej i jednemu z dzieci udało się przeżyć. Ta młoda dziewczyna była niewolnicą pochodzącą z plemienia Eboe, bardzo kosztowną niewolnicą - a być może nie wiesz jeszcze, że w tamtych rejonach niewolnictwo było bardzo rozpowszechnione trzydzieści lat po tym, jak tutaj utonęło w morzu krwi. Wiesz? W każdym razie, *cher*, ta dziewczyna należała do pewnej kobiety, która była wobec niej całkiem uprzejma. Według tego, co mówił tamten dżentelmen, w tej części Calabaru wszyscy niewolnicy byli dobrze traktowani. Ale kiedy urodziła bliźnięta, wszystko zostało jej odebrane, a ją wypędzono - gdyby nie miss Slessor, zgładzono by niemowlęta, a i tak jedno z nich zmarło, ponieważ musiało zostać ukryte w koszyku pod tym drugim i udusiło się. A potem we wsi, już po odejściu matki, ziemia, po której stapała, została przekopana i zagrabiona przez pozostałych członków plemienia. Ten dżentelmen opowiedział nam o tym wszystkim, a ja nigdy nie mogłam tego zapomnieć.

Pisał wówczas książkę o badaczach Afryki... no cóż, widzisz, nawet jeśli ją ukończył, to ja nigdy jej nie zobaczyłam. Ale ostatnio czytałam jej książki, książki miss Kingsley. I w tej poświęconej pierwszej wyprawie wspomina o tamtym zdarzeniu. Oczywiście mnóstwo ludzi czytało tę książkę, i on także mógł. Jej wspomnienia były bestsellerami. Możliwe, że po prostu przeczytał tę wzmiankę i potem ją wykorzystał do własnych celów. Ale wyglądał na prawdziwego mężczyznę - szorstki w obejściu, rumiany i solidny jak skała. Kiedy mówił o Mary Kingsley, jego twarz się rozjaśniała. Czy wiesz, jak nazywali ją w Afryce, *cher*? Nazywali ją „Tylko Ja”. Tubylcy. Kanibale. Szamani i wojownicy. Wkraczała do ich wiosek i

przedstawiała się w ten sposób. „To tylko ja”, mówiła, rozumiesz? Więc tak ją nazwali. Tylko Ja.

- Wydaje mi się, że gdzieś czytałam coś na ten temat - wtrąciła Lily.

Violet przytaknęła.

- W każdym razie wierzę, że ten mężczyzna, który przyjechał z wykładem do mojej szkoły tyle lat temu, naprawdę ją znał. Powiedział wtedy, że była przykładem wyjątkowo upartej kobiety i że lepiej się jej było nie sprzeciwiać. Twierdził, że dobrze ją znał. Mówił o niej tak, jak ty i ja rozmawiamy tutaj o Dominiku. O jej naturze. Opowiadał, że silni mężczyźni bali się, kiedy wpadała w gniew. Ale głównie ludzie robili to, co chciała, bo nie mieli pojęcia, co o niej myśleć. Wyobraź sobie, nie wiedzieli, co o niej myśleć, *cher*, bo nigdy tak naprawdę jej nie uznali. Miałam wtedy może ze czternaście lat. I nigdy o tym nie zapomniałam, przez tyle czasu! O tym, że oni właściwie jej nie znali. Jak to może być, pytałam sama siebie. Jak to się działo, że mężczyźni jechali za nią w miejsca, do których obawiali się jechać. I robili to wszyscy, biali i czarni. Dla kogoś, kto sam siebie nazywał Tylko Ja.

- Pisuję do niej listy - powiedziała Lily, zanim pomyślała, co mówi. - To znaczy... to jest taka forma dziennika... To... to pomaga mi myśleć o niej jak o żyjącej... pomaga mi pisać o niej.

Ciocia Violet nie odpowiadała. Wpatrywała się w dachy domów i kołysała wolno, prawie niezauważalnie.

- Ciocia czasami ucina sobie małą drzemkę - odezwał się po chwili Dominik.

Siedzieli w ciszy. W ciężkim powietrzu dobiegała do nich różnorodna muzyka, zmieszana z odgłosami ulicy. Ktoś coś krzyknął, a ktoś inny odpowiedział mu z dalszej odległości w ten sam sposób.

Violet poruszyła się, zakasłała i podjęła wątek.

- To jest właśnie życie, *cher*. To znaczy żyć pełnią życia. To najwspanialsze życie, rozumiesz? Ubierasz się, wyruszasz w świat i go oglądasz. I cokolwiek cię spotka, zachowujesz swoją godność, a także poczucie humoru.

Dominik wstał, ziewając, rozprostował ramiona, a potem westchnął i oświadczył:

- Idę do łóżka i postaram się zasnąć. Nareszcie będziemy mieć dzisiaj chłodną noc.

- Jesteś bardzo okrutnym chłopcem z tymi twoimi zachciankami.

Lily zdławiła ziewnięcie. Ciocia Violet wyciągnęła rękę i dotknęła jej nadgarstka.

- Jeszcze nie odchodź.

Dominik pochylił się, ucałował starą damę w policzek, później dotknął ramienia Lily i ją także pocałował.

- Rano zajmiemy się dalej rozpakowywaniem twoich rzeczy.

Lily podziękowała. Dominik wszedł do środka, przemaszerował przez cały pokój aż do korytarzyka, a kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła się i zobaczyła, że ciocia Violet znowu drzemie. Na ulicach nagle zrobiło się bardzo cicho. Siedziała bez ruchu, czując, jak ogarnia ją senność, i obserwując grę świateł na niebie. Deszcz już się skończył i w pułapie chmur zaczęły robić się dziury; jedna o ozdobnie wykrojonych brzegach lśniła w świetle księżyca barwami macicy perłowej. Ciągle jeszcze było słychać odległe dudnienie grzmotów i od czasu do czasu na ciemnym horyzoncie migotały błyskawice.

- *Cher* - odezwała się zniecka ciocia Violet. - Dlaczego właściwie tutaj przyjechałaś?

Lily poczuła się tak zaskoczona tym pytaniem, że aż odebrało jej mowę.

- Wiesz, objechałam dookoła cały świat. A teraz powoli zaczynam zapadać w sen. Ale nie tracę dużo.

- Bo ja... bo moje małżeństwo... ja i Dominik...

- Znam tę historię.

Lily przesunęła się nieco na krześle.

- W takim razie... nie rozumiem.

- Jest coś, co chcesz komuś powiedzieć.

- Tak - odparła po prostu Lily. Jak dobrze było móc to wreszcie wyznać. Odetchnęła głęboko, wpatrując się ze zdumieniem w staruszkę.

- Kiedy poczujesz, że jesteś gotowa, po prostu to powiedz.

Lily milczała, a chwilę później przekonała się, że ciocia Violet znowu przysnęła. Czekala, aż wreszcie odchrząknęła głośno, udając, że złapał ją atak kaszlu.

Starsza pani drgnęła, a następnie pochyliła się do przodu, żeby wyrzeć na ulicę.

- Chcę ci powiedzieć jeszcze coś na temat Mary Kingsley, *cher*. Stawiła czoło lwom, lampartom i innym okrutnym bestiom, przekraczała rzeki, których nikt wcześniej nie oglądał, ale odczuwała lęk przed miłością. Wiedziała o tym od początku, od chwili gdy usłyszałam o niej po raz pierwszy. I nie potrafię powiedzieć, skąd wzięła się ta pewność. Ale byłam pewna. Wiedziała, że opiekowała się swoją matką i przyzwyczaiała się myśleć, że to właśnie jest miłość. Uciekła od niej tak szybko, jak tylko mogła, i nic nie było w stanie skłonić jej do

powrotu. Nie, *cher*. To przerażyło ją do tego stopnia, że w pośpiechu przemierzała cały świat, tak samo jak jej ojciec.

- Ale przecież troszczyła się o innych! Pielęgnowała ludzi w gorączce. Umarła, opiekując się chorymi. Zajmowała się rannymi więźniami w czasie wojny burskiej. Oni nawet nie byli jej krajanami.

- Ale żadnego z tych ludzi nie kochała. Rozumiesz? To było ogólne poczucie miłosierdzia. Kiedy wybiła jej godzina, nie chciała mieć obok nikogo. Domagała się, żeby zostawić ją samą. Bo chciała umierać w samotności, tak jak umierają zwierzęta.

- Tak jak to się dzieje w naturze - powiedziała Lily. - I jak było wśród niektórych plemion, z którymi wędrowała.

- Ale nigdy nie przejęła całkowicie ich zwyczajów. W najgorętsze dni nosiła swoje suknie odpowiednie do salonu. Zawsze upierała się przy swoich angielskich przyzwyczajeniach - herbatce, lekturze i pogaduszkach. Nie, *cher*, możesz rozwikłać tajemnicę tej damy, ale musisz pomyśleć o miłości. Była nią przejęta aż do głębi swego serca i nic innego nie przerażało jej w podobnym stopniu. Nietrudno to zrozumieć, jeśli weźmiesz pod uwagę, gdzie i jak dorastała. Jeśli spojrzysz na jej przymioty w kontekście spraw, z którymi musiała cały czas się zmagać, może zrozumiesz, co to prawdziwe męstwo. Uparta, zdeterminowana, odważna, zabawna i tak dalej. Zabawna. Te dowcipy, w których przedrzeźniała samą siebie. Przez cały czas, rozumiesz? Bardzo bystra, o wiele bardziej niż ktokolwiek inny z jej otoczenia. Była przebiegła w tej swojej bystrości, *cher*. Dzięki temu sprytowi często inni uważali, że to, czego ona od nich oczekuje, jest właściwie ich pomysłem. A Afrykanie nazywali ją Tylko Ja, ponieważ sama siebie nigdy nie brała poważnie. Ani w swoich zapiskach, ani w życiu. Więc pomyśl o tym, a potem pomyśl o miłości, o byciu angielską starą panną w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, która płynie łodzią wiosłową w stronę progów na rzece Ogooué, a jej przewodnik pyta: „Nie ma mąż, madam?”. Ona odpowiada: „Nie, nie mam męża”, a on na to: „A gdzie mąż, madam?”, więc znowu musi mu odpowiedzieć. I tak w kółko. Narzekanie byłoby w złym stylu, prawda? Wtedy zaczynasz żartować.

Zapadła cisza. Violet siedziała z zamkniętymi oczyma, ale potem otworzyła je i ziewnęła.

- Kierujesz swoją uwagę na świat zewnętrzny. Na co chciałabyś się poskarżyć, *cher*?

- Na nic - odparła Lily. - Na nic się nie skarzę.

Stara dama oparła głowę na zagłówku. Westchnęła, a koniuszki jej pomarszczonych ust ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

- A ja uwielbiam uważać się nad sobą. Zawsze to lubiłam.

Obserwowały połyskliwy brzeg zwału chmur, który oddalał się na niebie, odsłaniając księżyc i przyćmione migotanie gwiazd.

- Pani także zastanawiała się nad życiem Mary Kingsley - zauważyła Lily.

Ciocia Violet spojrzała na nią uważnie.

- Mam dziewięćdziesiąt dwa lata. Z wyjątkiem tego chłopca, którego znałam dawno temu, a który wyjechał i zginął, nigdy nikogo nie kochałam i nigdy nikt nie kochał mnie.

Przez jedną niesamowitą chwilę Lily miała wrażenie, że oto rozmawia z Mary Kingsley. Z trudem łapała oddech.

- Masz zamiar u nas zostać, *cher*? - odezwała się ciocia Violet.

- Nie wiem... sama nie wiem.

Ciocia próbowała podnieść się z fotela.

- Bądź dobrą dziewczynką i pomóż mi - poprosiła.

Lily poderwała się na równe nogi i szybko chwyciła staruszkę za kościsty łokieć. Przez rękę cioci Violet przebiegało jakieś drżenie, które zdawało się powodować napięcie wszystkich mięśni nadgarstka i palców.

- Pomyśl o tym - powiedziała jeszcze. - Jeden jedyny raz rozmawiałam z dżentelmenem, w którego oczach odbijała się postać Mary Kingsley. Tej rzeczywistej, z krwi i kości. Sądzę, że on musiał być w niej troszeczkę zakochany, ale przypuszczam, że wielu mężczyzn było w niej zakochanych w ten czy inny sposób, i dziwię się, co ich powstrzymywało od działania. Ten człowiek nosił się z zamiarem napisania książki.

Jej lewa ręka powędrowała w kierunku brwi, żeby odsunąć stamtąd kosmyk włosów.

- No cóż, przynajmniej tak twierdził. Chyba ci już o tym mówiłam.

Wolnym krokiem przeszły przez pokój Lily aż do małego korytarza. Ciocia Violet wskazała drzwi w odległym końcu, naprzeciwko schodów. Szła nieco chwiejnym krokiem, toteż Lily odprowadziła ją aż pod próg. Violet chwyciła mocno framugę drzwi, a potem odwróciła się, żeby podziękować.

- Nie. - Lily pokręciła głową. - To ja dziękuję.

Stara twarz poorana zmarszczkami zniknęła w ciemności pokoju. Lily zobaczyła tylko kościste palce przytrzymujące drzwi.

- Powiesz nam jutro, z czym przyjechałaś?

- Słucham?

- Powodzenia, *cher* - odparła Violet. - A więc jutro. I zamknęła drzwi.

RS

6

W środku nocy niemowlę obudziło się i chciało koniecznie się bawić. Lily wzięła więc małą do swojego łóżka i kołysała tak długo, aż obie zasnęły. Rano ocknęła się pierwsza; ubrała się, przewinęła Mary i zeszła na dół. Mimo wczesnej pory było już gorąco i parno. Manny siedział w salonie obok małego klimatyzatora i czytał gazetę. Kiedy weszła, wstał i uklonił się z wdziękiem. - Dzień dobry.

Mary za wszelką cenę starała się zejść na dół, toteż Lily posadziła ją na podłodze, a mała natychmiast podpełzła do regału z książkami i podciągnęła się do pozycji stojącej. Manny szybko zabrał ze stolika z lampą kilka posążków i postawił je wysoko na półce. Dziecko chwiejnie trzymało się regału, ale nie straciło równowagi. Lily przesunęła krzesło z drugiej strony klimatyzatora.

W pokoju znajdowała się sofa, długi, niski stół z wiśniowego drewna, na którym leżały stosy czasopism i książek, oraz wygodny fotel, niewielka komódka i dwa tapicerowane krzesła ustawione po przeciwnych stronach dwóch wysokich okien wychodzących na ulicę. W najdalszym oknie, licząc od krzesła Lily, osadzony był mały klimatyzator. Opierając się plecami o tył krzesła nie można było widzieć osoby siedzącej w drugim kącie. Wzdłuż ściany poza wejściem z korytarza stały półki z książkami, sięgające od podłogi aż do sufitu, a na przeciwległej ścianie znajdował się nieczynny kominek, zaplombowany - jak poinformował ją Manny, widząc zainteresowanie Lily wyposażeniem pokoju - na długo przedtem, zanim Violet kupiła ten dom w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Z tego pokoju dębowe rozsuwane drzwi prowadziły do jadalni, gdzie w kącie stała naturalnych rozmiarów dziwaczna figura Dziewicy, a oprócz tego był tam masywny dębowy stół z krzesłami, kredens oraz gablota pełna posążków Maryi. Ciocia Violet najwyraźniej zbierała te figurki; jej kolekcja zawierała posążki chyba ze wszystkich stron świata, w różnych stylach i rozmiarach. Ten naturalnej wielkości przedstawiał smutną, postarzałą kobietę, taką, jaką musiała być w okresie, gdy umierał jej Syn; niewidzącymi oczyma wpatrywała się w przestrzeń pokoju, a po kamiennych policzkach spływały wiarygodnie wyrzeźbione kamienne łzy.

Z jadalni przez małe przejście przecinające pod kątem prostym główny przedpokój można się było dostać do kuchni.

Dziecko opadło na podłogę i na czworakach przemaszerowało przez całą jadalnię aż do wejścia kuchennego i z powrotem na korytarz, a Lily i Manny szli za nim krok w krok. Kiedy

znów znalazło się w jadalni, podciągnęło się do pozycji stojącej, używając do tego celu pierwszego z brzegu krzesła, a potem nagle klapnęło na pupę i znów popęzło w kierunku drzwi do jadalni.

- Gdybym to ja tak klapnął, na pewno wylądowałbym w szpitalu - rzekł Manny. Jego akcent był teraz prawie niezauważalny, za to ciągle dodawał mu uroku.

- Dzieci mają znacznie bliżej do ziemi niż my - zauważyła Lily.

- Nie - odpowiedział, a zaraz potem dodał: - Tak.

Lily postawiła małą i stała pochylona, trzymając ją za ramiona.

- Jesteś może głodna? - zainteresował się Manny. - Napijesz się kawy?

- Tak, poproszę o kawę.

Poszedł do kuchni, nalał jej filiżankę i przyniósł. Lily w tym czasie musiała walczyć z ciekawością dziecka i jego zainteresowaniem wszystkim, co znajdowało się w pokoju; a były tam przede wszystkim ręcznie wyrabiane zabytkowe naczynia, porcelanowe figurki, szklane bibeloty i tandetne gipsowe odlewy.

- Ciocia Violet jest dokładnie taka, jak opowiadał Dominik, a nawet więcej - wymruczała Lily, popijając drobnymi łyżkami kawę. - Chyba nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego.

- Ja też - przyznał Manny. - I bardzo się o nią boję.

- Ale ona wygląda na tak silną i zdrową.

- Tak. To prawda.

Przez chwilę obserwowali dziecko.

- Nie dałabym jej więcej niż sześćdziesiąt pięć.

- To samo powiedział jej lekarz - odparł Manny. - Że nie wygląda na jeden dzień więcej ponad sześćdziesiąt pięć lat. To było w zeszłym roku. Przyjęła to jak osobistą obrazę.

Zanim Lily zdążyła skończyć kawę, Dominik i ciocia Violet zeszli na dół.

Manny pogładził jasne włoski dziecka i wyszedł do pracy.

Dominik przygotował płatki zbożowe dla cioci, która wydawała się senna i zbyt zmęczona, żeby rozmawiać. Uśmiechnęła się do Lily i całkiem dobrze zdawała się znosić obecność dziecka, podając Mary pod stołem małe kawałki swojego tosta, jakby była szczeniakiem. Mary przeraczkowała dookoła kuchni, a potem powędrowała do jadalni, cały czas wydając radosne okrzyki, ciesząc się samym ich brzmieniem i powtarzając je jedynie po to, by usłyszeć, jak odbijają się echem od wysokich sufitów.

Cały ranek upłynął dorosłym na zajmowaniu się nią i na cichych rozmowach. Dominik chciał opowiedzieć Lily trochę o mieście i o dzielnicy, Violet poprawiła go raz i drugi, a potem powiedziała coś na temat Zatoki Perskiej i groźby wojny. We dwoje z Dominikiem zaczęli się łagodnie sprzeczać, czy Irakijczycy wycofają się, czy nie, i co się stanie, jeśli tego nie zrobią. Powietrze w pokoju stawało się coraz cięższe od upału, a mały klimatyzator w oknie salonu ledwie dawał sobie radę. Wszyscy bez słowa przysuwali się do niego coraz bliżej, żeby znaleźć się w słabym strumyczku chłodniejszego nawiewu. Raz czy dwa Lily się zorientowała, że Violet patrzy na nią badawczo, jakby próbowała odgadnąć, o czym Lily myśli albo jakiego tematu stara się unikać. Ale rozmowa nie zeszła na tematy osobiste ani intymne; równie dobrze mogliby ją prowadzić przyjaźnie nastawieni obcy sobie ludzie. Dominik trochę pobawił się z Mary, ale potem mała stała się marudna, i Lily zabrała ją na górę, żeby położyć do łóżeczka na przedobiednią drzemkę. W pokoju panował straszliwy upał. Gładziła delikatnie brzusek niemowlęcia, czekając cierpliwie, aż odpłynie w sen. Kiedy cel został już osiągnięty, pomyślała, że może warto by się przebrać w coś lżejszego niż dżinsy i bluza. Kiedy wyprostowała się i odwróciła, ujrzała stojącego w drzwiach Dominika.

- Przyszło mi do głowy, że może powinniśmy znieść to łóżeczko na dół. Tam jest odrobinę chłodniej.

- Ona już śpi - oznajmiła Lily.

Byli teraz w tym pokoju we dwoje. Z dołu dobiegał głos Violet, rozmawiającej z kimś przez telefon.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się zdecydowanym tonem.

Dominik uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku. Nie musisz się niepokoić o... to znaczy, chciałem powiedzieć, że wiem...

- Nic nie wiesz - przerwała mu. Czekaj, co powie dalej.

- Dominik, to jest coś naprawdę ważnego... To... to poważna sprawa.

- W porządku - odparł.

- Ja... jest mi strasznie przykro... Ja powinnam ci to powiedzieć na samym początku... kiedy tylko się dowiedziałam... - Urwała i spojrzała mu prosto w oczy. - Posłuchaj... teraz mam zamiar ci to powiedzieć, okay? Mary... Mary nie jest dzieckiem Tylera.

Patrzył na nią, najwyraźniej nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Tyler nie mógł być ojcem Mary. Jest bezpłodny od czasu, gdy miał siedemnaście lat.

Dominik wolno skinął głową, spojrzał na podłogę, a potem znów na nią popatrzył.

- Dlatego się rozstaliśmy - dokończyła Lily.

- Tak.

- To znaczy... że ja... on powinien...

Było jasne, że on ciągle za dobrze nie rozumie, o co chodzi.

- Dominik, ja nie byłam z nikim innym - powiedziała w końcu.

Kiwał potakująco głową, próbując w głowie złożyć to wszystko, co usłyszał.

- Czy teraz rozumiesz, co ci chcę powiedzieć? Uniósł w górę brwi.

- Poczekaj chwilę...

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń, jakby chciała podtrzymać go na duchu.

- Właśnie tak - powiedziała. - Pamiętasz, kiedyś ty i... ty i ja... a potem był Tyler. Nigdy nie byłam z kimś innym.

- Więc Mary... Ścisnęła jego rękę.

- Powinam ci to powiedzieć od razu, gdy tylko się dowiedziałam.

- Jezu Chryste! - wymamrotał, chwiejnym krokiem podążając w stronę łóżka. - Ja... Chryste! - Wpatrywał się w pusty korytarz, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie

- Z początku nie miałam o tym pojęcia - mówiła dalej. - Tyler nie powiedział mi, że jest bezpłodny... nie wspomniał o tym ani słowem. Przez długi czas trzymał to w tajemnicy.

- Ja nie mogę... To znaczy... Chryste, chcesz... chcesz powiedzieć, że to dziecko... że ja... że to ja jestem ojcem tego dziecka?! Ale przecież my nawet... my nigdy... - Urwał, kręcąc głową, zupełnie oszołomiony.

- Tyler nie życzył sobie, żebyśmy komukolwiek o tym mówili, nigdy, i przez to w końcu nasz związek się rozpadł.

Wstał, odetchnął głęboko i spojrzał jej prosto w twarz.

- Ja jestem absolutnie nieprzygotowany na coś podobnego.

Nic nie powiedziała. Patrzyła tylko, jak Dominik chodzi po pokoju tam i z powrotem.

- Jezu Chryste. To mnie kompletnie przerasta!

- A czy ktokolwiek kiedykolwiek czuje się na to przygotowany?

Zatrzymał się gwałtownie.

- Nie opowiadaj mi takich bzdur! Co, masz może zamiar zaintonować hymn pochwalny? To ma być jakaś apoteoza miłości czy co? Nawet się do końca za sobą nie przespaliśmy i z tego mamy dziecko?! Jezu, to przecież tak, jakby sam Pan Bóg przemówił: Cóż, zgoda, to jest

właśnie chwila, w której odkryjesz swoją prawdziwą naturę. Och, a tak przy okazji, abstrahując od tej upokarzającej katastrofy, którą przeżyłeś ze swoją przyjaciółką, i niezależnie od tego, że tysiące heteroseksualnych par latami stara się zająć w ciążę, ja mam zamiar sprawić, że to doświadczenie stanie się twoim udziałem za sprawą kilku kropli spermy, paru łez i sflaczałego kutasa! - Zorientował się, że posunął się za daleko i uniósł rękę. - Przepraszam.

I znów zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Ale Lily... Ja mam na myśli... niech to diabli!

- Wolałbyś, żebym ci nie powiedziała?

Rozważał przez chwilę jej pytanie, ciągle w podnieceniu chodząc tam i z powrotem.

- Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć, to wszystko. Co ty tam wtedy robiłaś, jak już sobie poszedłem, tańczyłaś jakiś cholerny taniec płodności czy co?

- To był po prostu przypadek - odparła spokojnie. - To nie jest niczyja wina.

Wreszcie się zatrzymał, zgiął wpół, objął rękoma kolana i ciężko oddychał.

- Niech to diabli porwą! Nie mogę... aż nie mogę normalnie nabrać powietrza.

- Wyjedziemy stąd od razu, kiedy tylko będziesz sobie tego życzył - powiedziała. - Nie przyjechałam tu, żeby ci narobić kłopotów. Po prostu uważałam, że masz prawo wiedzieć.

- Czuję, że zaczyna mnie boleć żołądek.

- Nie sądziłam, że zareagujesz w taki sposób.

- A myślałaś, że co zrobisz?! Och, tak nawiasem mówiąc, zapomniałem ci powiedzieć, że ciocia Violet jest twoją prawdziwą rodzicielką. No, i jak się czujesz?

Nic nie odpowiedziała.

- Dominik...

- Jak długo o tym wiedziałaś? - przerwał jej obcesowo.

- Jeszcze byłam w ciąży, kiedy Tyler zdradził mi prawdę. Gwałtownym ruchem podniósł obie ręce.

- Jezu! Więc wtedy, kiedy przyjechaliliśmy do was z wizytą... oboje już wiedzieliście?!

Przytaknęła, pociągając przy tym nosem.

- A ja myślałem, że po prostu o coś się posprzeczałyście.

- Bo tak było. Od razu zamierzałam ci powiedzieć, ale Tyler nie chciał tego za żadne skarby. Powiedział mi to wprost i dlatego bez przerwy się kłóciliśmy.

- O, cholera!

Chwilę później z dołu dobiegło ich wołanie cioci Violet.

- O czym tam rozmawiacie na górze? Zaczyna mi dokuczać samotność.

Dominik podszedł do schodów.

- Za moment schodzimy! - krzyknął, a potem zamknął drzwi i przeszedł przez pokój aż do łóżka. Usiadł i schował twarz w dłoniach.

- Straciłem czucie w rękach. I nie mogę normalnie oddychać.

- Wszystko w porządku? - spytała Lily ponieważ zauważając, że to absurdałne pytanie.

- Och, po prostu jestem miłośnikiem mocnych wrażeń - odparł. - Lubię mieć sucho w ustach, spocone ręce i jak z przerażenia nie mogę ruszyć ręką ani nogą. To niezwykle orzeźwiające, tak samo jak tych kilka ostatnich sekund przed plutonem egzekucyjnym.

- Powiedziałaś ci na początku, że nie przyjechałam tu po to, żeby o coś prosić. Nie chodzi o to, żebyś musiał coś robić, rozumiesz? To ja ją nosiłam, urodziłam i przed chwilą powiedziałam ci, że niczego nie oczekuję. I tak jest.

- Nie o to chodzi. To ja oczekuję czegoś od samego siebie. Chryste!

- Posłuchaj - powiedziała Lily, ledwo kontrolując brzmienie swojego głosu. - Możesz być wściekły, że nie zdradziłam ci tego wcześniej, ale starałam się po prostu ratować swoje małżeństwo.

Załkała, ale wzięła głęboki oddech i mówiła dalej:

- Możesz być zły właśnie za to. Ja to rozumiem. Ale nie możesz się wściekać z powodu dziecka. Tu absolutnie, bezwzględnie nie ma miejsca na takie uczucia. W żadnym wypadku.

Cały czas z niedowierzaniem kręcił głową.

- Dziecko. Dziecko. Moje dziecko.

- Nasze dziecko - poprawiła go Lily. - Przyjrzyj się tylko, jakie ma podobne do ciebie usteczka.

- Cóż, przecież razem stanowimy znakomitą parę. We dwoje wychowalibyśmy grono neurotyków.

- Dominik, nie proszę cię o to, żebyś kogokolwiek wychowywał. Uważałam tylko, że masz prawo wiedzieć. I to wszystko.

Wstał.

- Posłuchaj, wiem, że powinienem być szczęśliwy i mówić, że o nic się nie martwię. Ale to wszystko bardzo mnie niepokoi i wcale nie czuję się szczęśliwy. Ale także nie jestem

nieszczęśliwy, jeśli chcesz wiedzieć. Jestem... no, jak by to określić... jestem śmiertelnie przerażony. A taki rodzaj przerażenia nie pozostawia zbyt wiele miejsca na szczęście.

- Nie jestem tutaj po to, żeby pytać cię o szczęście, ani też nie mam zamiaru ci go odbierać. Na litość boską, czy ty w ogóle słuchałeś tego, co mówiłam?!

Dotknął jej ramienia, a potem jego ręka opadła bezwładnie.

- Przepraszam cię. Chryste, to wszystko jest dla mnie takie straszne.

- A nie przyszło ci do głowy, że może dla mnie także?

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Wyglądało na to, że szuka jakiejś sekretnej drogi wyjścia z kłopotliwego położenia, w jakim się znaleźli; kiedy się jednak odezwał, znów zarzucił ją potokiem słów na temat swojego przerażenia. W jego oczach zobaczyła rozpacz pomieszana z gniewem.

- A co, do kurwy nędzy, powiemy Mary, kiedy dorośnie?! „To prawda, kochanie, twój ojciec jest pedałem, a ty zostałeś poczęta w czasie nieudanej, żalostnej, poniżającej próby pieprzenia się w celu polepszenia nastroju i osiągnięcia odprężenia? Twoi rodzice są parą zupełnie do siebie niepasujących ludzi?”.

- Och, znakomicie! Dzięki tobie wszystko staje się o tyle prostsze! Co za odwaga i siła charakteru! Być może jednak to Tyler miał rację.

- Jestem w szoku. Mam wrażenie, że wszystko mi się w środku trzęsie.

- Weź się w garść - rzuciła oschle.

W jego uśmiechu spostrzegła ironię, ale także żal i rozpacz.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem dopuścić do głosu kobiecą część mojej natury?

- O Boże, Tyler lepiej sobie z tym radził niż ty!

- To miał być żart.

- Jak widzisz, wcale się nie śmieję.

- To już zauważyłem. Więcej żadnych kawałów, okay? Daj mi trochę spokoju.

Przez chwilę siedziała cicho.

Wreszcie Dominik podszedł znowu do łóżka, usiadł i skrzyżował ręce na kolanach.

- Naprawdę. Wiesz przecież, Lily. Co my jej kiedyś powiemy?

- Że ty i ja jesteśmy przyjaciółmi - odparła. - Po prostu przyjaciółmi. - Po chwili dodała z wahaniem: - Bo jesteśmy nimi, prawda?

- A uważasz, że musisz o to zapytać?

- Może trochę.

- No jasne, że jesteśmy - odparł z uśmiechem pełnym zakłopotania, marszcząc przy tym brwi.

- Przypuszczam, że to właśnie powiemy Mary. Jesteśmy przyjaciółmi. Tak się zdarzyło. Niektórzy żonaci heteroseksualni nie znają tego słowa. Niekiedy całe życie upływa im na szukaniu przyjaźni.

Nic nie powiedział.

- W końcu nam z Tylerem nie udało się tego znaleźć.

- A on chciał zawsze trzymać mnie od tego z daleka. Skinęła głową.

- Potrafię to zrozumieć. Naprawdę potrafię. Rozumiem, dlaczego tego pragnął.

- Wolałbyś, żebym ci tego nie powiedziała - doszła do wniosku Lily. - Zgadza się?

Pokręcił głową, patrząc w podłogę. Ten gest nie był odpowiedzią na jej pytanie; był rezultatem nurtujących go myśli. Podeszła i stanęła naprzeciw niego.

- O czym myślisz, Dominiku? Że przyjechałam skłonić cię, byś wypełnił swój obowiązek i ożenił się ze mną? Że chciałam, byś był ojcem mojego dziecka? Chcę, żebyś coś wiedział - coś w głębi duszy mówiło mi, że powinieneś znać prawdę. Straciłam męża i zniszczyłam swoje małżeństwo, ponieważ nie potrafiłam się zmusić do zachowania tego w tajemnicy przed tobą. Ale nigdy, przenigdy nie przyszło mi do głowy, że coś z tego mogłoby wyniknąć. Po prostu wierzę, że masz prawo znać prawdę.

Cały czas potakiwał, ale widziała, że myśłami błądzi gdzieś daleko.

- Zachowuj się choć trochę jak dorosły - poprosiła. - Naprawdę nie dasz rady?

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

- Zawsze mogę na tobie polegać, że będziesz mnie pouczać, kiedy zdarzy mi się zboczyć z właściwej drogi. Albo że powiesz coś, co wywoła odpowiedni skutek.

- Masz zamiar powiedzieć Violet i Manny'emu? Pomyślał przez chwilę, ale nic nie powiedział.

- A może wolałbyś, żebym to ja im powiedziała?

- Nie. Nie uwierzyliby ci. - Uśmiechnął się, kręcąc głową. - Sam ciągle nie mogę uwierzyć... nie mogę uwierzyć, że to żalosne przedstawienie... które zdarzyło się między nami w tamten zawstydzający wieczór... mogło zakończyć się twoją ciążą. Nie mieści mi się to w głowie. W życiu nie prowadziłem tak dziwacznej rozmowy.

Nie odezwała się słowem.

- Niewielkie seksparty między przyjaciółmi. Zasadnicze znaczenie ma słowo „niewielkie”.

- Nie deprecjonuj tak tego - powiedziała Lily.

- Cóż, było w tym nieco z farsy...

- W porządku - rzekła rzeczowo.

- Nie bądź na mnie zła.

- Nie jestem zła.

- Obiecujesz?

- Dominik, nie gramy w jakiejś cholernej sztuce. Ruszył w kierunku wyjścia, ale po chwili się odwrócił.

- Cały czas odnoszę wrażenie, że oczekujesz ode mnie jakichś słów...

- Niczego nie oczekuję.

- No cóż. Ciągłe jesteś moją przyjaciółką. Ale wtedy... nie, teraz też tak naprawdę nie jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Nie tak do końca. Jesteśmy... och, co to za słowo? Kiedyś słyszałem je bez przerwy, kiedy byłem mały i dostawałem kopniaki w dupę. Jak to było? Zaczynało się na literę r. Rodzice. Czy to właściwe słowo? Jestem w zasadzie pewien, że to słowo to „rodzice”.

Znów pokręcił głową, a potem otworzył drzwi i zaczął schodzić. Poszła za nim. Violet siedziała w salonie, w fotelu przy oknie, z zamkniętymi oczyma, przysypiając w strumyczku chłodnego powietrza wypuszczanego przez wentylator. Kiedy Dominik wszedł do pokoju, podniosła wzrok.

- Hej, ciociu Violet! - zawołał. - Zgadnij, co ci chcę powiedzieć?

7

Kochana Doris!

Siedzę właśnie na tej werandzie, która wychodzi na Burgundy Street albo, jak wymawia ciocia Violet, BurGUNDYStreet. Mary śpi w łóżeczku. Jest słonecznie i gorąco - ale tym razem przynajmniej nie czuje się wilgoci. Przebywamy tutaj od trzech tygodni; zaczęłam już szukać pracy i kogoś do opieki nad dzieckiem. Sympatyczna dziewczynka, która przychodzi z pobliskiej szkoły, żeby pomagać Violet, pomaga mi także przy Mary. Ma na imię Amy. I kiedy Violet wybiera się do pobliskich domów opieki, żeby odwiedzić przyjaciół, ja płacę Amy, żeby w te dni

także przychodziła. Ona nie ma nic przeciwko temu, ale ma dopiero osiemnaście lat i właśnie skończyła szkołę średnią, a ja wolałabym znaleźć kogoś z trochę większym doświadczeniem.

Byłam już ze czternaście razy na rozmowie o pracy, ale wszystkie oferty nawet trochę nie przypominały tego, co chciałabym robić. Nie ma to jednak znaczenia, ponieważ i tak nikt nie był zainteresowany moją osobą. Violet skłoniła ludzi w szkole Św. Augustyna, żeby pozwolili mi w zastępstwie poprowadzić zajęcia (prawie uzyskałam dyplom); poza tym mam pieniądze, które mi przysłałaś ze Scottem, chociaż prosiłam, żebyście tego nie robili. (Dziękuję!) Zresztą jeszcze trochę zostało mi z tego, no wiesz, z odszkodowania wypłaconego przez Tylera, jeśli tak to można określić.

Sądzę, że nie ma w tym nic niezwykłego, że on ciągle mi się śni. W tych snach jesteśmy szczęśliwi, a mnie w jakiś sposób robi się lżej. Nie mam oczywiście na myśli tego, że ważę mniej - ciągle wyglądam tak samo jak zwykle, ale mam wrażenie, że inaczej odczuwam siłę grawitacji. Mimo to, kiedy się poruszam w tym śnie, robię to wolno - nie mam na myśli tempa, tylko to, że wszystko mi przy tym skrzypi, jakbym była bardzo stara i lżejsza niż liść. Myślę o Tylerze także w dzień: zastanawiam się, gdzie on jest i co porabia, i cały czas czepiam się nadziei, że on się opamięta, że rozpoczniemy nowe życie i spróbujemy stworzyć rodzinę. Ale to tylko sen na jawie. Nie - to coś więcej niż rodzaj bujania w obłokach, ponieważ kiedy rozważam całą sprawę spokojnie, dochodzę do wniosku, że nie zgodziłabym się na jego powrót, nawet gdyby mnie o to prosił.

Czasami ogarnia mnie za nim dawna tęsknota, ale kiedy ostatnio mnie to dopadło, stwierdziłam, że tęsknię za tym mężem, którym był, zanim do głosu doszła złość i żal. Tak naprawdę nie winię go za to, co się stało, ponieważ był przerażony, bo pierwszy raz w życiu musiał stawić czoło czemuś, do czego absolutnie nie był przygotowany i nawet nie miał wokół żadnego przykładu, który mógłby naśladować. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak jakiś kiepski cytat, choć kiedy czytałam to zdanie, tak właśnie brzmi. Tyler sam powiedział pewnego razu coś podobnego. Teraz moja sytuacja wygląda tak, że jestem rozwódką z dzieckiem, mieszkam z dwoma mężczyznami żyjącymi w homoseksualnym związku i starszą panią, i przynajmniej dwa razy na tydzień - a czasem przez kilka dni w tygodniu - uczę angielskiego i historii w szkole św. Augustyna. Uczennice zawsze cieszą się na mój widok; w większości są to inteligentne i ciężko pracujące dziewczyny. Ja także lubię przebywać w ich towarzystwie, a to już coś. Zakonnice są dosyć odcytane i mają w sobie jakąś pogodę ducha, której im zazdroszczę - to znaczy większość

zakonnicy ma. Jest tu także kilka nowicjuszek, które wydają się dość spięte i najwyraźniej czują się niepewnie.

Dominik spędza z Mary mnóstwo czasu i wszyscy w domu się tym zachwycają. Wspólnie dźwigamy ciężar rodzicielstwa - a jest on niemały. Nie ma już między nami takiej bez troski jak wtedy, gdy byliśmy przyjaciółmi ze szkoły, a ponieważ nie angażujemy się w nasz związek tak jak małżeństwo, wytworzył się między nami bardzo dziwny układ, niepodobny w żaden sposób do dawnego, kiedy to on miał zwyczaj mnie rozśmieszać, a ja mogłam zwierzać mu się z różnych spraw. Teraz, kiedy jesteśmy w swoim towarzystwie, z Mary między nami, czujemy się trochę jak para, ale oczywiście parą nie jesteśmy. Łączy nas pewnego rodzaju przyjaźń albo raczej pewna skomplikowana forma przyjaźni, a pozostaje faktem, że dochodzi do spięć. Raz czy dwa wybuchła między nami sprzeczka - ale wszelkie krytykowanie jest w tym wypadku niezręczne i muszę uczciwie powiedzieć, że dużo było w tym mojej winy. Dominik wziął parę dni wolnego, żeby rozejrzeć się za dobrym żłobkiem, ale potem zdecydowaliśmy, że rezygnujemy z takiego rozwiązania. Więc zaczęliśmy zapraszać na rozmowę różne opiekunki, a w tym czasie dzieckiem zajmowała się Amy.

To miła osobka ta Amy, choć może trochę zbyt szybka, jak na mój gust. Zdaje mi się, że każdego dnia zabierają od nas inny chłopak, a ona bez przerwy gada, ile ten czy tamten dla niej znaczy - zawsze mówi, jakich to ma ukochanych przyjaciół - jeszcze się dla nich stroi, a i tak czasami wygląda jak prostytutka, chociaż nosi krzyżyk na cienkim złotym łańcuszku, mówi o kościele, a raz nawet, kiedy wróciłam do domu, zastałam ją uczącą Mary wymawiać słowo „Jezus”. Innym razem znalazłam ją śpiącą, z Mary zwiniętą na jej piersi. Mary najwyraźniej bardzo ją lubi i kiedy ją widzi, zawsze sprawia wrażenie uszczęśliwionej.

Dominik pomaga mi w karmieniu Mary, bawi się z nią na podłodze, kiedy jest niespokojna, i każdej nocy kołysze ją do snu. Nawet kilka razy zmienił jej pieluchę. Mary ciągle odnosi się do niego trochę nieufnie, choć czasami ma taką minę, jakby nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona, czy nie. Ale z dnia na dzień coraz bardziej się do niego przyzwyczajają. Kiedy Dominik bierze ją na ręce, nie próbuje się już wyrwać do mnie albo do Amy.

Wieczorami siadamy w salonie - czasami jest z nami nawet Amy - i patrzymy, jak Mary się bawi. To jest równie zabawne jak oglądanie komedii w telewizji. Zdarzają się chwile, kiedy odnoszę wrażenie, że jesteśmy niezwykłą rodziną. Wczoraj, w sobotę, pojechaliśmy nad rzekę do restauracji, żeby zjeść tam kolację i posłuchać trochę jazzu, a ludzie przyglądali się nam ze

szczerą ciekawością, starając się odgadnąć, co nas łączy. Nawet w takim miejscu jak Nowy Orlean jest to czymś niecodziennym; bo są Manny i Dominik - i wyraźnie widać, że to para - jest ciocia Violet, niemowlę, no i ja.

Nie mam pojęcia, jak długo tu jeszcze zostanę. Nie rozmawiamy o tym. Niemal unikamy tego tematu. Piszę każdego dnia i czuję, że robię postępy, choć ciągle jest jeszcze tak wiele dziedzin, o których zupełnie nie mam pojęcia. Chciałabym doprowadzić do końca to, co zaczęłam, i wypuścić w świat. Czasami zdarzają się dobre dni, kiedy czuję, że naprawdę jestem blisko celu. Byłam przyjemnie zaskoczona, gdy po raz pierwszy usiadłam do pracy po zamieszkaniu związanym z przeprowadzką i bez trudu wróciłam do dawnej rutyny.

Mary uczy się mówić różne rzeczy i zaczyna się podnosić. Rankami staje w swoim łóżeczku, wyciąga w moim kierunku rączki i woła „mama”. Uwielbiam takie przebudzenia.

Nie miałam za dużo wiadomości od Sheri, Millicent czy Nicka, od kiedy wyjechałam z Oksfordu. Nick przysłał mi trochę pieniędzy z tego, co dostał od Tylera, dołączył krótki liścik, w którym napisał, iż ma nadzieję, że u mnie wszystko w porządku. Ciągle nie otrzymałam jeszcze dokumentów rozwodowych i nie wiem, czy teraz powinnam się zająć załatwianiem sprawy na własną rękę. Dominik radzi mi czekać, bo Tyler może się zdecydować na powrót. Mówi, że żyje w oczekiwaniu na pojawienie się Tylera tutaj, w Nowym Orleanie. Nie wierzy, że Tyler jest typem człowieka, który mógłby tak zwyczajnie odejść.

Sheri dwukrotnie dzwoniła, za każdym razem domagała się, żebym wróciła. Kiedy rozmawiałyśmy, powiedziała, że Millicent jest niepokieszona i że Rosa pojechała z powrotem na wybrzeże. Sheri jest nieszczęśliwa w smutny, na wpół obrażony sposób. Nie miały żadnych wieści od Tylera; powiedziała, że Tyler przestał kontaktować się nawet z Nickiem. Biorąc pod uwagę sytuację na Bliskim Wschodzie, Millicent jest przekonana, że przystąpimy do wojny z Irakiem, a Tyler zostanie wysłany na front, żeby tam zginąć. Sheri mówi, że ta cała sytuacja jest śmieszna, ale ja sądzę, że ona też denerwuje się na swój sposób. Jeśli chodzi o Tylera, zawsze okazywała pewnego rodzaju ambicję. Tak było zawsze, zanim jeszcze zaczęły się kłopoty. Jak już pisałam, nie wiem, jak długo jeszcze tu zostanę i być może dość prędko zjawię się z powrotem w Wirginii. Nie wierzę, że Dominik wie, jak w końcu ułożymy sprawy dotyczące dziecka, ale mam zdecydowane poczucie tymczasowości - i tak zdążyłam przyzwyczaić się do tego uczucia, że czasami prawie go nie dostrzegam. Ciocia Violet mówi o nas wszystkich, że jesteśmy tu tylko przejazdem, całe to gospodarstwo jest tylko przystankiem na naszej drodze do innych miejsc. Jak dotąd Dominik wydaje się przywiązany do Mary; świata poza nią nie widzi,

a ona odpowiada mu tym samym. Ciągle jednak powtarza, że obawia się, iż nie dorósł do takich rzeczy.

W każdym razie wkrótce do ciebie zadzwonię, bo chciałabym usłyszeć twój głos. Proszę, pozdrów ode mnie tatę i Peggy, no i siebie, oczywiście. Zresztą wiesz.

Całuję cię mocno Lily

Noc. Jestem sama.

Ostatnio pracowałam nad sztuką o tobie i sprzeczałam się z ciocią Violet, która twierdzi, że przypuszczalnie twoje postępowanie można by wytłumaczyć jako wyolbrzymiony przypadek seksualnej hysterii. Ja uważam, że ty byś wyśmiała takie oceny.

Zwróciłam uwagę, że już we wczesnym dzieciństwie interesowałaś się odkrywcami, odkryciami i studiowałaś wierzenia ludzkości; przypominałam jej o twoich badaniach twórczości Spinozy i Goethego, o twoim panteizmie, o tym, że przez całe życie ciekawiło cię manifestowanie ludzkiej wiary i pewne pytania dotyczące właściwego znaczenia rzeczy; mówiłam o twoim dziedzictwie i o przykładzie ojca. Ona potakuje, spogląda na mnie z pełnym tolerancji uśmiechem, a potem wspomina, że na przełomie wieków obsesyjnie zaczęto mówić o doświadczeniu przez kobiety orgazmu lub ich chęci, aby go doświadczyć. I że w takiej atmosferze nadzwyczajnej, zdrowej, pełnej pasji inteligencji, jeśli czuje się presję, żeby wybuchnąć, to może skończyć się to samounicestwieniem albo ucieczką. Twierdzi, że ty wybrałaś ucieczkę. Znać było, że cię podziwiała, kiedy to mówiła; mówiła też o twojej wytrzymałości i odwadze. Upiera się przy tym, że męstwo nie zależy od wydarzeń czy też od obecności na świecie nadzwyczajnych ludzi, ale nadzwyczajne jednostki służą jako jego olśniewająca, ponadczasowa ilustracja. Dla większości kobiet wystarczającym dowodem dzielności było tworzenie rodzin i utrzymywanie własnych pasji w sekrecie.

Ona przyznaje, że w pewnym stopniu opisuje własne doświadczenia, ale nie wpływa to w żaden sposób na jej ocenę twojego postępowania...

Muszę iść do pracy. Teraz jestem nauczycielką.

Wrześniowy i październikowy upał ustąpił miejsca łagodnemu ciepłu nadciągającemu znad lazuruwej Zatoki; okres huraganów przyszedł i minął. Nad morzem zdarzały się sztormy, lecz nie gorsze niż szkwał przynoszący kilka ponurych, deszczowych dni. Lily prowadziła zajęcia w szkole, a potem wracała do domu, żeby zająć się Mary. Późnymi popołudniami siadała na werandzie w rozcapierzonym cieniu roślin i pisała, a czasami po prostu obserwowała

ruch na ulicy pod oknem albo ten kawałeczek jasnozielonej rzeki, który mogła dostrzec pomiędzy domami po przeciwnej stronie. Dość często zdarzały się jej noce, kiedy nie mogła zasnąć, siadywała więc na tym miejscu, jakby przewodnicząc niespokojnemu i wiecznie pobudzonemu miastu, z jego krzykami, zgiełkiem, piosenkami i niemilknącym hałasem różnorodnych ludzkich głosów.

Dominik przynosił jej z księgarni rozmaite książki, a Manny zawsze rano przygotowywał dla niej kawę. Ciocia Violet nieustannie miała jakieś sprawy do załatwienia poza domem, choć z coraz większym trudem się poruszała. Jej przyjaciele przebywali w różnych domach opieki, prywatnych i państwowych. Wciąż chodziła szybko, zupełnie jakby się dokądś śpieszyła; rzadko zdarzało się, żeby Lily jej towarzyszyła, ale wówczas miała pewne trudności z utrzymaniem tempa marszu.

Violet lubiła spacerować nad rzekę - siadała na ławce i obserwowała ruch statków na wodzie. Opowiadała wtedy związane z nią historie: na przykład o wielkich parowcach, które regularnie kursowały na północ, o straszliwych powodziach, które nawiedziły deltę Missisipi w latach dwudziestych i trzydziestych. Lubiała rozmyślać, jak to błotnista woda przebyła całą drogę aż z Minnesoty, w dół krzywizny ziemskiej, rozlewając się tak daleko i dzieląc kontynent.

- Pomyśl tylko, *cher*, że patrzysz na tę samą wodę, która wypłukała jezioro Itasca w północnej Minnesocie! To tak, jakbyś spojrziała na mnie i stwierdziła, że patrzysz na dziewiętnasty wiek. No, w każdym razie na jego ostatni rok. Jestem tak stara jak ta rzeka i nigdy nie umrę - dodała z krzywym uśmiechem. - Czy to nie brzmi jak bajka? Mądra stara dama z powieści o mądrej i starej damie.

Lily obserwowała, jak Violet patrzy na płynący nurt. Jej poorana zmarszczkami twarz była znacznie bardziej interesująca niż bagnista woda obmywająca brzegi. Życzyła sobie jedynie, żeby ciocia Violet mówiła dalej, ale ona opuszczała głowę i przymykała oczy, oddychając tak płytko, że z trudem można było ocenić, czy w ogóle oddycha. Kiedy młodsza kobieta dotykała lekko jej ramienia, Violet poruszała się i rzucała jej spojrzenie pełne nagany.

- Jeszcze nie, *cher*. Ciągle jeszcze jestem tutaj.

- Wolałabym, żeby ciocia nie mówiła w ten sposób - odpowiadała Lily.

Po pewnym czasie Violet wstawiała, wspinała się na skarpe i robiąc zamieszanie, żwawo śpieszyła na Burgundy Street. Zawsze zatrzymywała się przy jednym z małych sklepików, zaglądała do którejś z kafejek albo kupowała coś do jedzenia i kanapki w sklepie spożywczym

(mufaletki - specjalność tego regionu), które Lily niosła do domu. Kiedy Violet wychodziła sama, gdy padało albo było bardzo wilgotno, brała taksówkę i wówczas należało ją usadowić na tylnym siedzeniu, co nie było proste.

W pewnych sprawach dotyczących życia codziennego robiła wrażenie nieco zagubionej, zwłaszcza z powodu obecności małego dziecka, ale trwało to tylko kilka sekund. Jeśli zostawała w domu, często zapadała w drzemkę. Najwidoczniej ciocia miewała lepsze i gorsze tygodnie.

Nie należała absolutnie do prostolinijnych, dobrych istot o młodzieńczej żywotności, obdarzonych pogodną mądrością, za jaką brali ją ludzie; wieczorami siadała na werandzie na zewnątrz pokoju Lily i domagała się, żeby Lily dotrzymywała jej towarzystwa. Ale po prostu potrzebowała towarzystwa. Bez ładu i składu opowiadała o dawnych czasach, dawnym mieście, takim, jakie знаła, kiedy była dziewczynką; mówiła swobodnie, od czasu do czasu ucinając sobie krótką drzemkę po to, żeby zrobić przerwę, jak twierdziła. Budziła się z lekkim drżeniem i zaczynała się energicznie kołysać w przód i w tył, jakby ożywiło ją zdziwienie, że odpłynęła w sen. W ten sposób, na przemian drzemiąc i budząc się z drzemki, obserwowała nadejście nocy.

Miała w pamięci niewyczerpany zasób historyjek o ludziach, których znała, i miejscach, w których była, i uwielbiała się nimi dzielić. Najbardziej podniecały ją wszelkie opowieści o przemocy i wyrafinowanych zbrodniach; kiedy była młodsza, poświęcała na studiowanie takich historii długie godziny. Wykazywała niezwykle wyrafinowaną znajomość większości ważnych bitew, jakie rozegrały się w ciągu ostatnich dwóch stuleci. W swoim pokoju trzymała policyjny odbiornik i radio, żeby wiedzieć wszystko o zbrodniach popełnianych w mieście. To szczególnie ją fascynowało. Osoby wyjęte spod prawa cieszyły się jej niechętnym podziwem.

- Mary Kingsley także była osobą wyjętą spod prawa - mawiała. - Dlatego musimy rozszerzyć definicję tego słowa, uwzględniając także ją, zgadza się? Była banitą w krepie i w koronkach.

- Staram się patrzeć na nią w szerszym kontekście niż tylko jako na osobę, która miała świecić przykładem - odparła Lily.

- Och, to bardzo cenne.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Kogo to w ogóle obchodzi?

- Ciocię. Nas tutaj. Jeśli chcemy uchodzić za cywilizowanych ludzi.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda.

- No cóż.

- Cywilizacja jest przereklamowana, *cher*. Zdarzają się sytuacje, kiedy wszystko niweczy.

- Tak, wiem, wiem. - Lily pokiwała głową. - Każda cywilizacja jest zbudowana na zbrodni. Słyszałam o tym i czytałam. A teraz interesują mnie szczegóły.

- To godne pochwały - odparła ciocia Violet.

- Mary była opętana chęcią poznania istoty świadomości; poszukiwaniem wytłumaczenia rzeczy ostatecznych.

- I znów godne pochwały.

- Ja ciocię nudzę - rzekła Lily.

- Wcale nie.

Violet miała pewien rys charakteru, który wywoływał w niej pragnienie rzucania wyzwania każdemu, z kim przebywała. Lily zabrało to kilka tygodni, zanim zauważyła, że ta ciocia Violet przeżywa horror na myśl, że większość ludzi, z którymi pozostaje w kontakcie, postrzega ją przez pryzmat własnych stereotypów. Była stara i każdy przypuszczał, że to musi oznaczać, iż jest religijna i ma zbyt słabą osobowość, żeby wytrzymać jakiś konflikt, zmianę czy rewolucję kulturalną obecnych czasów. Jej nienawiść do bycia posądzaną o pruderię sprawiała, że Violet bezceremonialnie wypowiadała się w sprawach seksu i że opowiadała zarówno swoim, jak i Dominika znajomym, że dziecko zostało poczęte przez przypadek i jakie właściwie stosunki łączą Lily z Dominikiem.

- Dominik jest stuprocentowym gejem - mówiła, uśmiechając się szeroko jednym kącikiem ust. - A ta dziewczyna nie. Ale mają razem dziecko. Ciekawe, jakie będzie to dziecko, gdy dorośnie.

W takich chwilach Dominik udawał lekkie rozbawienie, ale Lily widziała, że w głębi duszy jest poirytowany. Ale nie mogła się zebrać, żeby zapytać go wprost, jakie są jego prawdziwe uczucia. Faktem było, że obydwójce unikali poruszania tego tematu.

W pierwszym tygodniu listopada Mary złapała przeziębienie, później nadeszła gorączka. Po drugim dniu temperatura wzrosła niepokojąco, a Lily i Dominikowi poradzono, żeby wykapać dziecko w zimnej wodzie. Okazało się, że to grypa. W tym czasie w mieście zanotowano wiele podobnych zachorowań. Lily i Dominik zmieniali się przy dziecku, ale nikt nie mógł zasnąć i wreszcie na dół zesłała także Violet. Ciocia robiła się coraz bledsza i

najwyraźniej męczyły ją jakieś przywidzenia. Położyli ją na kanapie w salonie, a Manny jej doglądał. Dominik i Lily usiedli z Mary, która rzucała się i przewracała na prześcieradle rozpostartym na łóżku Lily. Gorączka trochę spadła, ale okropny, głęboki kaszel wciąż nie chciał ustąpić i Mary nie chciała jeść.

- Zwykle nie mamy tu takich epidemii grypy - rzekł Dominik. - Nie przy takiej wilgoci. Nie powinna przebiegać tak ostro.

Lily gonila już resztkami sił i wszystko działało jej na nerwy. Czowała się przytłoczona ponurą obawą, że przywiozła swoje dziecko tutaj po to, żeby zachorowało i umarło. Niemożliwa zdawała się jakakolwiek wiara w jego powrót do zdrowia ani optymistyczne spojrzenie w przyszłość; i zdawało się, że tak już musi pozostać - że bez końca będą świadkami cierpienia dziecka, które nie miało pojęcia, dlaczego boli, ani nie potrafiło wyrazić gdzie i jak bardzo. Uwagi Dominika na temat grypy tylko zwiększały u Lily poczucie osamotnienia w tej niebezpiecznej sytuacji. Był w nich jakiś element skargi, jakby ta gorączka mogła w jakikolwiek sposób wynikać z winy niemowlęcia.

- Idź się przespać - powiedziała do Dominika. - Czemu nie idziesz?

- Nie jestem zmęczony.

Zapadła cisza. Z dołu dobiegała przytłumiona gadanina cioci Violet, która w gorączce plotła coś trzy po trzy, wyrzucając z siebie nieustanny strumień niedopowiedzianych słów i określeń.

- Tego już za wiele - odezwał się nieoczekiwanie Dominik. Lily odwróciła się w jego stronę.

- Idź lepiej do łóżka.

- Nie. Ja miałem na myśli tę... tę odpowiedzialność. Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony. Nienawidzę tego uczucia.

Milczała. Niemowlę zakasłało - głęboko, okropnie - a potem trochę popłakało. Lily sięgnęła w poprzek łóżka i pogładziła malutką po plecach. Płacz nieco przycichł, potem umilkł i Mary znowu zasnęła.

- Jezu - jęknął Dominik.

- Dominik, proszę, zostaw nas same. Wydawał się urażony jej sugestią.

- Jak mogłaś powiedzieć coś takiego?

- Miałam na myśli tylko to, żebyś poszedł się trochę zdrzemnąć.

- Nie mogę spać.

- Cóż, to może w takim razie idź na spacer. Złap trochę świeżego powietrza.

- Jest środek nocy, Lily. Nigdzie nie pójde.

Zdała sobie sprawę, że on cały czas nerwowo obejmuje kolana. Zakasłał i pociągnął nosem; może jego również dopadła choroba.

- Lily, kocham cię - powiedział nieoczekiwanie. Wyprostowała rękę i pogładziła wierzch jego dłoni.

- Pobierzmy się - dorzucił.

- Och, Dominik... - szepnęła.

- Nic na to nie poradzę. Cały czas nad tym rozmyślam. Ten kraj... to miasto... jakie życie ona będzie tutaj miała?

- Nie chcę teraz rozmawiać na ten temat. Proszę. Siedział dalej, nie przestając się gryźć.

Dziecko znowu zaniósło się kaszlem, a ten atak był tak paskudny, że Lily musiała ją podnieść i podtrzymać wysoko malutkie ramiona. Mary kasłała tak głęboko, że kiedy próbowała zapłakać, płacz nie mógł się z niej wydostać, i kiedy wreszcie kaszel ustał, płacz wybuchnął ze zdwojoną siłą. Lily trzymała ją, czując rozpaloną skórę i konwulsje, które wstrząsały drobnym ciałkiem. Każdy oddech wydawał się kosztować Mary wiele trudu; towarzyszyło mu rżenie, a flegma grała głośno w piersi dziecka.

- Nie mogę już tego znieść - powtórzył Dominik.

- Więc wyjdź - powiedziała mu Lily. - Chryste, wynoś się.

Wydawał się dotknięty do żywego. Wstał i ruszył w kierunku drzwi, ale w progu zawahał się, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć. Niemowlę znowu dostało ataku kaszlu i cała uwaga Lily była skupiona na nim, więc zostawił je i uderzając się o coś, zszedł na dół. Lily krążyła po pokoju, tuląc w ramionach niemowlę, aż znowu odpłynęło w gorączkowy półsen. Wtedy odłożyła je z powrotem na prześcieradło. Dziecko ciągle miało wysoką temperaturę, ale kaszel stał się luźny, zaflegmiony, co Lily uznała za dobry znak. Nastąpił przełom: napięcie w malutkiej piersi zaczęło ustępować, a oddech stał się nieznacznie lżejszy. Lily ponownie usiadła; zaczęła się lekko kołysać i czekała, nie spuszczać z maleństwa oka.

Dominik wrócił na górę i stanął w przejściu. Lily wiele trudu kosztowało, żeby pod tym względem nie porównywać go z Tylerem; tak samo nie było w nim żadnej tolerancji dla problemów, które niosła ze sobą rodzicielska miłość i których wymagało wychowywanie dziecka. Zamieszanie, jakie w życie wносиło rodzicielstwo, rozstrajało go zupełnie, ale może

było to coś, co działało w podobny sposób na każdego mężczyznę. Była zbyt zmęczona, żeby głębiej się nad tym zastanawiać, ale wydawało się jej to dość prawdopodobne.

- Przepraszam - powiedział, wchodząc do pokoju. Usiadł obok niej i ciasno oplótł dłońmi kolana.

- Już jest z nią lepiej - poinformowała Lily.

- Nie wygląda na to, kiedy oddycha.

- Tak, ale jest lepiej.

- Nienawidzę czegoś takiego.

- Zdaje się, Dominik, że już to ustaliliśmy. Jej także nie sprawia to żadnej radości.

Wydawał się nieco zaskoczony.

- Chciałem przez to powiedzieć, że nienawidzę tego, że ona musi przez to przechodzić - wyjaśnił, prostując się lekko i marszcząc brwi.

- Choroba ma lekki przebieg - rzekła Lily. - Wyjdzie z tego.

- Ludzie umierają na grypę, Lily. Mnóstwo ludzi. Miliony.

- Och, na litość boską, przecież tu nikt nie umiera!

- Wybacz mi - odezwał się po chwili. - Ale jestem śmiertelnie przerażony, rozumiesz?

Proszę.

Lily przyszło do głowy, że on tylko wypowiedział na głos jej obawy, które narodziły się w tę długą, złowieszczą noc. Dominik wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Violet jest zupełnie nieprzytomna - powiedział.

- To o nią właśnie powinniśmy się niepokoić.

Okazało się, że miała rację. Mary rano czuła się wyraźnie lepiej i odtąd jej zdrowie zaczęło się szybko poprawiać, u Violet natomiast grypa rozwinęła się w zapalenie płuc i ciocia musiała być hospitalizowana. Manny chodził jak błędny. Źle sypiał, a przez te parę godzin, kiedy był w domu, nie mógł usiedzieć na miejscu. Włóczył się z pokoju do pokoju ze zszarzałą twarzą i podsycał swój niepokój. Myślami wciąż wybiegał w przyszłość, a wtedy zatrzymywał się przed którąś z figurek Dziewicy należących do cioci Violet i zaczynał drżeć, i szlochać.

Z powodu niedawnej choroby dziecko nie mogło być wynoszone na zewnątrz, dlatego Lily zostawała w domu, gdy obaj mężczyźni jechali do szpitala, żeby posiedzieć przy Violet. Lily była więc całkowicie wyłączona z czuwania nad starszą panią, ale każdego dnia otrzymywała najświeższe wiadomości niczym biuletyny z innej części tego samego pola bitwy. W tym czasie sama przechodziła grypę - na szczęście dość łagodnie, miała tylko ból głowy,

kaszel i podwyższoną temperaturę. Zresztą musiała opiekować się dzieckiem i nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek czy przejmowanie się sobą.

Violet wróciła do domu dopiero w tygodniu poprzedzającym Święto Dziękczynienia.

Jej powrót do zdrowia był tak powolny, a ona sama tak słabowita, że rozwinęły się inne dolegliwości, z których każda wymagała dłuższego pobytu w szpitalu; u biednego Manny'ego spowodowało to bolesne urojenia i przypuszczenia, i nie można było go ani uspokoić, ani pocieszyć. Dominik opowiedział Lily, że przez kilka nocy musiał trzymać go w ramionach; przypominali wtedy parę dzieciaków skuloną razem w obliczu nadchodzącego podmuchu straszliwej burzy.

Święto Dziękczynienia upłynęło spokojnie. Manny przyniósł do domu gotowaną pierś indyka, a Dominik przygotował kolację - gotowany makaron z sosem, fasolkę szparagową z puszki i żurawinę. Nikomu jednak nie dopisywał apetyt. Ciocia Violet odmówiła modlitwę, najprostsze „Dziękujemy Ci”, podnosząc nieznacznie oczy ku wysokiemu, rzeźbionemu sufitowi. Dominik pokroił indyka. Wszyscy pokasływali - końcówka obłączenia, tak nazywała to Violet. Jej twarz znowu się zaróżowiła, a kiedy Mary zaczęła grymasić, ostrożnie przesunęła cienkim palcem po lewym policzku małej, okrągłutkiej buzi.

- Popatrzcie tylko na ten dołek w policzku - powiedziała. - Dziecko jest już zupełnie zdrowe. Zawsze można to stwierdzić po dołeczkach w policzku.

Po kolacji siedzieli jeszcze przez kilka godzin w salonie, ale nikt nie miał ochoty rozmawiać. Ciocia Violet włączyła przenośny telewizor i oglądała film. Dominik czytał, Manny uciał sobie drzemkę. Lily pomagała dziecku chodzić z jednego końca pokoju w drugi - Mary zaczynała stawiać już pierwsze

kroki. Lily chodziła z nią ostrożnie tam i z powrotem, a reszta domowników się temu przyglądała.

- Boję się! - zawołała nagle Violet. - Och, Boże, jak się boję.

Wszyscy natychmiast spojrzeli w jej kierunku.

- Opowiedz nam o tym - zaproponował Dominik.

- Nie ma tu nic do opowiadania. Po prostu poczułam, jak przeszywa mnie ten okropny strach.

- Może trzeba cioci coś podać? - spytała Lily. Violet potrząsnęła przecząco głową.

- A czego się przestraszyłaś? - drażył Manny. Violet odwróciła się w jego kierunku.

- Nie bądź idiotą, *cher!*

Lily pochyliła się, podniosła Mary i przytuliła ją do siebie. Czuła zaniepokojenie z powodu Violet, lecz jednocześnie rozkoszowała się chłodem małego czółka i rączek.

- Ty masz na imię Lily - powiedziała do niej Violet. Lily skinęła głową.

- Za żadne skarby świata nie mogłam sobie przypomnieć.

- Bo byłaś chora - przypomniała jej Lily.

- Nie o to chodzi. Patrzyłam na ciebie i na dziecko i nie mogłam przypomnieć sobie twojego imienia, nawet gdyby chodziło o zbawienie mojej duszy.

- To się czasami zdarza - odezwał się Manny.

- Nie to, *cher*. I nie w ten sposób. Przez moment wszyscy milczeli.

- Potrzymaj mnie za rękę - poprosiła nagle Lily.

Lily podeszła do krzesła obok i usiadła, sadzając sobie na jednym kolanie Mary, przyjęła wyciągniętą do siebie pomarszczoną, szczupłą dłoń. Palce Violet były zaskakująco ciepłe.

- Teraz lepiej? - spytała. Violet uśmiechnęła się.

- Nie. Ale teraz mogę to wytrzymać.

RS

CZEŚĆ 6

Ojczysty brzeg

Rozdział 23

1

Pierwsi misjonarze nazywali ją Rzeką Zagubionych Dusz. Podróżowali tą wielką równikową rzeką w głąb lądu, gdzie wśród nieoświeconych egzotycznych ludów, tęsknie wyglądających słowa Bożego, czekały na nich przemoc, choroby i śmierć. Przywieźli je ze sobą zapatrzeni w iluzje religijnego fanatyzmu, wyposażeni w odwagę i wiarę swojego miejsca i czasu. Byli rybakami ludzi, tak jak apostołowie Jezusa. Niestety, razem ze swoim zapalem i dobrą wolą zabrali również nieznaną w tej części świata choroby. W część świata, która - poza nielicznymi i szybko zapomnianymi wyprawami Portugalczyków - od stuleci była wolna od jakichkolwiek obcych wpływów. Wraz z przybyciem Europejczyków całe plemiona ginęły od chorób, które ani trochę nie szkodziły przybyszom, i odwrotnie: w tropikalnej gęszy Europejczycy padali jak muchy od chorób, z którymi do tej pory nie mieli okazji się nigdy zetknąć.

Poza nielicznymi wyjątkami Europejczycy przywozili ze sobą także brak woli zrozumienia ludzi, których starali się za wszelką cenę zbawić. Uważali Afrykanów za odrażających i gorszych od siebie. Oczywiście uprzedzenia były wzajemne i w wielu wypadkach fatalne w skutkach. W latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy Mary była jeszcze małą dziewczynką, kupcy zaczęli śmieiej korzystać z rzeki: budowali na jej brzegach faktorie, które odgrywały ważną rolę w handlu olejem palmowym, kością słoniową, kauczukiem, rumem, bronią, prochem, paciorkami i perkalem, choć wymiana handlowa na mniejszą skalę i nieco innego rodzaju odbywała się na tym szlaku już na długo przed pojawieniem się pierwszych Europejczyków, wiele lat przed rokiem 1880, kiedy w te rejony dotarły łupieżcze wyprawy Francuzów pod przywództwem Brazzy.

Rzeka Ogooué wypływa z Kotliny Konga, by po przeszło tysiącu kilometrów wpaść do Atlantyku. Łączą się z nią liczne duże dopływy. W ostatnich latach plemiona od wieków żyjące nad jej brzegami zaczął wypierać nowy lud, przybyły z nieznanymi - przynajmniej Europejczykom, a także zeuropeizowanym Afrykanom - ziem rozciągających się na północ i wschód od Ogooué. Nazywa się Fang albo Fan i budzi powszechny lęk. Ludzie ci podobno są kanibalami (z zapisków ojca i własnych lektur Mary wie, iż słowo to wywodzi się z Karaibów i jest zniekształconą wersją wyrazu *Caribel*, oznaczającego w tamtym rejonie świata tych, którzy nie gardzą ludzkim mięsem). Nieliczni Fanowie, których Mary spotkała podczas swoich podróży, sprawiali wrażenie dumniejszych i silniejszych od przeciętnych Afrykanów, choć i oni już byli, przynajmniej w jakimś stopniu, zeuropeizowani. Mary jest przekonana, iż tak naprawdę uda jej się poznać zwyczaje i wierzenia tych ludzi tylko wtedy, gdy znajdzie się między nimi tam, gdzie nie zostali jeszcze wystawieni na wpływ europejskiej cywilizacji.

Razem z lady MacDonalld zatrzymuje się w domu gubernatora w Calabarze. W mieście szaleje epidemia tyfusu, pomaga więc ze wszystkich sił, pełniąc nocne dyżury przy majaczących w gorączce mężczyznach, kobietach i dzieciach. Nawet w chwilach największego wyczerpania staje przy oknie, patrzy na miasto, w którym opiekuje się pacjentami, a wielu pomaga umrzeć, i marzy o tym, aby wyruszyć na południe, do Gabonu i wielkiej rzeki. Wyobraża sobie, że dociera do krainy Fangów i zamieszkuje wśród nich.

19 lipca 1895

Napisałam do domu kilka optymistycznych listów, w których udało mi się stworzyć wrażenie osoby rażno zmierzającej ku wytyczonemu celowi, pozbawionej jakichkolwiek trosk. Tymczasem prawda przedstawia się w ten sposób, że byłam całkowicie nieprzygotowana na trudy życia w tym zakątku świata oraz na to, żeby być świadkiem całkowitej klęski rozmaitych sposobów, jakich imają się Europejczycy, aby zapanować nad tymi ziemiami i mieszkającymi tu ludźmi. Z najwyższym trudem zdołałam uzyskać wszystkie zezwolenia niezbędne do kontynuowania podróży i mimo ogromnej pomocy kapitana Murraya i MacDonalldów musiałam mocno nadwerężyć moje i tak już nieduże fundusze, żeby posunąć się choćby odrobinę do przodu. Najpierw musiałam przebrnąć przez epidemię tyfusu w Calabarze, zaraz potem doszło do krwawych zamieszek w pobliskim mieście Brass. Lord MacDonalld wyruszył tam krótko po przyjeździe lady MacDonalld i moim. Przyczyną niepokojów był konflikt między niezależnymi kupcami a Królewską Kompanią Handlową George'a Goldiego. Ludzie Goldiego uniemożliwiali niezależnym handlarzom transportowanie towarów Nigrem. Kiedy wybuchła

epidemia ospy, mieszkańcom Brass, utrzymującym się do tej pory z handlu, zajrzał w oczy głód i stanęli w obliczu śmierci. Skrzyknęli się więc, zaatakowali faktorię kompanii w Akassia i wyrznęli wszystkich do nogi. Lord MacDonald pospieszył tam znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, lecz musi liczyć się z bardzo ostrą reakcją George'a Goldiego, którego ludzi w okrutny sposób pozbawiono życia, a część nawet zjedzono. Lubię ich obu. Najchętniej uciekłabym gdzieś daleko, jak najdalej od tej przerażającej sprawy, ponieważ nie chcę opowiedzieć się po żadnej ze stron. Nieszczęsna Ethel stara się być przydatna, nie może jednak zrozumieć mojej fascynacji tubylcami i wciąż ma zastrzeżenia do sposobu, w jaki się wystawiam, ale przedstawia je w formie przyjacielskich żartobliwych przygan. Od jakiegoś czasu - kto wie, czy nawet nie od Cambridge - nabrałam zwyczaju wzywania imienia Pańskiego nadaremno. Znacznie gorszy - przynajmniej zdaniem Ethel - jest mój zwyczaj używania słowa Allah w sytuacjach, kiedy chcę coś podkreślić lub dać wyraz niepokojowi. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że istotnie, używam słów „Jezus” i „Allah” niemal wymiennie i całkiem często nie w modlitwie. Ethel nie daje to spokoju, muszę więc nie tylko hamować swoją ciekawość i pragnienie bycia wszędzie, żeby wszystko widzieć i słyszeć, lecz również uważać na to, co mówię, niczym dziecko w kościele.

Tutaj, w Calabarze, poznałam kobietę, którą tubylcy zwą Matką Wszystkich Ludzi. Mary Slessor przebywa w Afryce od dwudziestu lat i jest wspaniałą kobietą. Spędziłyśmy wspólnie wiele wieczorów, rozmawiając o tym kraju i jego ludziach. Zna ich doskonale. Jestem pewna, że nadarzy się jeszcze okazja, bym ci o niej więcej opowiedziała. Na razie jestem nią oczarowana i wygląda na to, iż mam dar, który pozwala mi wprawiać ją w dobry nastrój. Tylko ona wie o moich planach opuszczenia z europeizowanych obszarów i dotarcia do ludów nieskażonych kontaktami z obcą cywilizacją.

Już niedługo powinnam dysponować ludźmi i środkami, by przedsięwziąć wyprawę w górę rzeki Ogooué, na tereny zamieszkane przez cieszącą się złą reputacją plemiona interioru. Nie będziemy podążać przetartymi szlakami handlowymi, choć zamierzamy również handlować. Nie ma żadnego powodu przypuszczać, że nie zdołamy tego uczynić. Wyruszam do serca Gabonu.

Pod koniec czerwca Mary wynajmuje czterech Ajoumbów (zwanych też Ajimbami albo Ajumbami), żeby towarzyszyli jej w wyprawie w dół rzeki Ogooué (zwanej też Ogowe albo Ogawe). Nazwy miejsc, rzeczy, a nawet imiona ludzi brzmią w rozmaity sposób, zależnie od tego, z kim i gdzie przebywa. Imiona Ajoumbów są do siebie tak podobne, że Mary nadaje im

własne. Przywódcą jest Szara Koszula, pozostali zaś to: Podkoszulek, Poganin, najczarniejszy ze wszystkich, z połyskującymi białkami oczu i wielkimi czarnymi źrenicami przypominającymi lśniące kamyki, oraz szczupły, najstarszy z całej czwórki, którego początkowo nazywa Hrabią Kentu, ale potem zmienia mu imię na Milczek. Są zadowoleni ze swoich nowych imion, najwyraźniej traktują je jako dowód szacunku i uznania z jej strony. Szara Koszula i Podkoszulek są chrześcijanami, Poganin i Milczek gorąco wierzą w czary i magię.

Wyruszają w drogę długim czółnem. Mary siedzi pośrodku, miejsca na dziobie i rufie zajmuje po dwóch wioślarzy. Na dnie leży jej waliza i worki z przedmiotami na handel. Mary jak zwykle ma na sobie czarną suknię z wysokim kołnierzykiem i długimi rękawami obrębionymi białą koronką. Siedzi wyprostowana w łodzi, obserwując zmieniającą się nieustannie feerię barw na obu brzegach: najczystsze błękity otoczone złotem tak lśniącym, jakby spłynęło razem z promieniami słońca przeciskającymi się między grubymi spletanymi konarami. Lęk i zniecierpliwienie z wolna ustępują. Dobiegające z gęstwiny odgłosy ostrzegają i informują o tym, że zbliżają się intruzi. Ostra woń męskiego potu wymieszana z odorem butwiejących liści i krokodylego łajna działa na nią ekscytująco. Docierają do niej także łagodniejsze zapachy, przede wszystkim te rozsiewane przez dzikie kwiaty, kołyszące się na brzegach niczym miękkie dzwonki.

Zatrzymują się w wiosce Arevooma, rodzinnej miejscowości Szarej Koszuli, który zaprasza ją do swego domu. Dom ma werandę i jest wygodnie urządzone: są tam krzesła i mały stolik nakryty obrusem. Mary pije herbatę za zasłoną z cienkiej białej tkaniny - w ten sposób Szara Koszula stara się zapewnić jej odrobinę prywatności, ponieważ wokół chaty zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy wioski. Niespodziewanie pojawia się człowiek, którego Mary poznała w Calabarze: to świeżo upieczony chrześcijanin imieniem Ndaka. Przybył tu, żeby zająć się pochówkiem brata. Jest wręcz niewyobrażalnie brzydki: ma nierówne wystające zęby, liczne blizny, a twarz tak nieforemną, jakby powstała z poskładanych byle jak fragmentów kilku innych twarzy. Mimo to Mary bardzo polubiła go w Calabarze, gdyż pomagał jej podczas epidemii. Przyszedł z lampą, aby zaprowadzić ją do swego zmarłego brata - poganina, twierdzi z miną pełną dezaprobaty. Mimo to chciałby, żeby odmówiła przy nim modlitwę. Wiele trudu kosztowało go przekonanie rodziny, żeby nie potraktowała zmarłego jak nieczystej ofiary złych czarów i by zgodziła się na chrześcijański obrządek.

Mary dokucza ból głowy. Obawia się, że to być może początek gorączki, niemniej idzie z Ndaką. Ceremonia odbywa się przed chatą zmarłego, światło lamp przyciąga tysiące dotkliwie kęszących owadów. Mpongwe i Igalwa śpiewają angielskie psalmy wysokimi, przeraźliwie skrzeczącymi głosami, jakich nigdy nie słyszano w żadnym angielskim kościele, a w tym samym czasie zebrani oganiają się niecierpliwie od napastliwych owadów.

Wreszcie Ndaka prowadzi ją do środka. Wewnątrz chata jest jeszcze bardziej okazała niż dom Szarej Koszuli. Bambusowa podłoga zdaje się lekko uginać pod stopami, jakby lada chwila miała się zarwać.

- Co jest pod spodem? - pyta Ndakę, pomna na swoją podobną przygodę.

- Nic, pani - odpowiada z uśmiechem. - Ona wytrzymać.

- Nawet ciężar tylu ludzi?

- Nawet bardzo dużo ludzi.

Wreszcie Mary wraca do domu Szarej Koszuli, gdzie prowadzą ją do czystego pokoju z lustrem, toaletką i wielkimi tykwami napełnionymi jakąś wonną cieczą. Zapach jest tak silny, że aż kręci w nosie. Mary zanurza czubek palca i ostrożnie zbliża go do ust; wiele afrykańskich trucizn ma silny zapach, te zaś, które nie pachną, działają nawet przez skórę. Ale po co ktoś taki jak Szara Koszula miałby trzymać w domu ogromne zapasy trucizny? To zapewne jakiś alkohol. Mary przełyka odrobinę; pieczenie w ustach i gardle jest nawet dość przyjemne. Pociąga jeszcze łyk, po czym kładzie się do miękkiego, wymoszczonego poduszkami łóżka, nad którym rozpięto moskitierę. Gdyby nie dobiegające z zewnątrz odgłosy i nieustające brzęczenie owadów mogłaby pomyśleć, że jest w jakiejś angielskiej gospodzie w pobliżu morza. Nadchodzi długa bezsenna noc. Trunek Szarej Koszuli uwolnił ją częściowo od bólu głowy, wypija więc jeszcze kilka łyków, lecz tym razem specyfik wywiera odwrotne działanie: ból głowy nasila się, pojawiają się nudności. Mary wstaje, przechadza się, próbuje czytać przy migotliwym blasku świecy książkę Gunthera o ptakach, ale to całkiem niemożliwe.

Mijają wieki, nim wreszcie nadejdzie świt. O brzasku Mary wstaje z łóżka i wychodzi z zamiarem odbycia przechadzki po buszu. Z werandy dostrzega Conklina w towarzystwie jeszcze dwóch białych mężczyzn; ręce ma wsparte na biodrach, za pasem dwa pistolety, na głowie hełm korkowy, a na ramieniu zwinięty bicz. Od strony rzeki nadciąga procesja Ajoumbów objuczonych skrzyniami i bukłakami, ponad wszelką wątpliwość zawierającymi whisky lub rum.

- Conklin! - woła Mary. - Ty stary przekupniu!

Słońce jeszcze całkiem nie wzeszło, więc Conklin wyteża wzrok i mruży oczy.

- Witam. Z kim rozmawiam, u diabła?

- Z panną Mary Henriettą Kingsley.

Zastanawia się przez chwilę, ale jej nazwisko najwyraźniej nie wywołuje żadnych skojarzeń. Przekrzywia głowę, zbliża się o kilka kroków.

- Kto to, u diabła?

- Masz papierosa, Conklin?

Na jego twarzy rozkwita szeroki uśmiech, podchodzi szybko z wyciągniętą ręką.

- Na Boga, toż to panna Kingsley! Oczywiście! Z *Lagos*. Co, u licha, robi pani w tym zakazanym miejscu?

Bierze go za rękę i mimo słabego oświetlenia od razu dostrzega, że Conklin albo dopiero co wyzdrowiał, albo lada chwila zachoruje.

- Badam ryby i bożków. No i trochę handluję.

- To cholernie nieroztropnie pętać się po takich miejscach.

- Ale tu właśnie jesteśmy.

Conklin wskazuje na ledwo widoczną w szarówce rzekę.

- Wczoraj straciłem tam dwóch ludzi. Cholerna gorączka. Jeden z nich utonął, bo w malignie wypadł za burtę.

- Widziałam Deerfortha - mówi Mary. Conklin patrzy na nią bez słowa.

- Byłam przy nim, kiedy umierał na gorączkę.

Na twarzy mężczyzny zachodzi ledwo zauważalna zmiana: policzki jakby się nieco zapadły, nadając mu jeszcze bardziej wynędzniały wygląd.

- Wątpię, czy mnie poznał - dodaje Mary.

- No cóż. Tak się tu umiera. W samotności. Chyba że ma się za towarzysza węża albo lamparta. Albo krwiożerczego dzikusa.

Wbijają wzrok w ziemię i poprawia jeden z pistoletów za pasem. Jego dwaj towarzysze wskazują Ajoumbom miejsca, w których należy złożyć towary. W jednym z czółen przy brzegu z szarówki wyłania się nieruchomy podłużny kształt.

- A dokąd się pani wybiera, panno Kingsley, jeśli wolno spytać?

- Do krainy Fangów.

- Nie wierzę. Nawet pani nie byłaby tak lekkomyślna.

- Może pan wierzyć, w co pan chce.

Mary ma zbyt mało czasu, aby sobie uświadomić, dlaczego tak bardzo zirytowała ją jego reakcja. Dostrzega zdziwienie na jego twarzy, a następnie powoli pojawiające się zrozumienie. Wreszcie Conklin kiwa głową, uchyla kapelusza i przenosi wzrok na werandę domu, z której przed chwilą zeszła.

- Zawsze darzyłem panią najwyższym szacunkiem. Z pewnością wie pani o tym.

- Tak mi żal Deerfortha. Przykro mi, że akurat ja panu o tym powiedziałam.

- Podejrzywałem coś takiego, kiedy nie pojawił się na Korsyce. Mieliśmy się tam spotkać.

Milkną na kilka sekund. Gdzieś z daleka dobiega gardłowy, mrozący krew w żyłach ryk lamparta.

- Naprawdę jedzie pani do Fangów?

- Owszem.

- Słyszała pani o Withersie?

- Nie. Czy wrócił już do Anglii?

Conklin bez słowa spluwa na ziemię, zaciera ślad butem, po czym kieruje spojrzenie na swoich ludzi i tragarzy rozkładających towary wzdłuż ścieżki prowadzącej znad rzeki do wioski. Słońce wspięło się już prawie do wierzchołków drzew na drugim brzegu. Dwaj tubylcy - jeden z nich to Szara Koszula - wynoszą z czołna podłużny kształt.

- Zabrał ze sobą żonę?

Conklin zerka na nią ponuro i kręci głową.

- Podobno skatował ją prawie na śmierć, a potem odebrał sobie życie. To drugie zrobił na pewno: włożył sobie do ust lufę cholernego pistoletu, pociągnął za cholerny spust i odstrzelił sobie czubek głowy. Ją znaleziono pobitą do nieprzytomności laską. Przeżyła i odpłynęła do Anglii pod opieką pielęgniarki wynajętej przez rodzinę. Nie chciała powiedzieć, kto ją tak urządził, ale poza nim nie było podejrzanych. Myślał, że załatwił sprawę, ale ona jakoś z tego wyszła.

- Gdzie to było?

- Nawet nie zdążyli wyjechać z Saint Paul de Luanda. Dość wcześnie się poddał i przegrał z kretelem. Najpierw pił na umór, bo bał się, że żona zapadnie na gorączkę. Potem bał się owadów. Potem węży. A potem po prostu się bał.

Mary milczy. W wiosce powoli zaczyna się ruch. Lada chwila pojawią się ci, którzy zajmą się pochówkiem, oraz inni, żeby handlować z nowo przybyłymi.

- Widziałem ich raz po zejściu z *Lagos*. Byłem akurat w Saint Paul de Luanda, żeby przygotować zapasy na wyprawę w górę rzeki. Stali na środku targowiska i okropnie się kłócili, ale jak tylko mnie dostrzegli, zamienili się w dwa rozkochane w sobie, gruchające gołąbki, i zasypali mnie pytaniami, co też się stało z uroczą panną Kingsley.

- Przeżyłam, jak widać.

- Rzeczywiście.

- W chacie Szarej... To znaczy, w chacie jest jakiś alkohol. Napije się pan mimo wczesnej pory?

Conklin z uśmiechem uchyla kapelusza.

- Brakuje nam tylko cygar Corlissa.

- Wie pan może coś o nim?

- Nic a nic. Nie miałem żadnych informacji.

Wchodzą po stopniach na werandę. Na ścieżce zrobiło się już niemal tłoczno. Mary dostrzega Szarą Koszulę, macha do niego i wskazuje na Conklina.

- Bardzo dobry kiedyś - mówi Szara Koszula, podchodząc do nich i błyskając olśniewająco białymi zębami, ale szybko poważnieje i macha ręką w kierunku rzeki. - Ten nieboszczyk bardzo zła rzecz, pani. Ci ludzie muszą zabrać go dalej w dół rzeka.

- Dobrze, więc pochowamy go gdzie indziej. Boże.

- Miej litość, pan.

- Dziękuję, Szara Koszulo - mówi Mary. Mężczyźni zawracają i niosą ciało z powrotem.

- Nie najlepiej się czuję - mówi Conklin.

- Wygląda pan tak, jakby miał gorączkę.

- Walczę z tym przez całą drogę.

W domu Mary czuje bijącą od niego woń potu, tytoniu i rumu, i nie wiedzieć czemu czuje się prawie szczęśliwa, choć przecież wieści są niedobre: Withers nie żyje, tak samo jak Deerforth, a w czóźnie leży trup, którego najprawdopodobniej trzeba będzie po prostu wrzucić do wody. Mimo to niemal radośnie podsuwa mu tykwę, z której piła minionego wieczoru. Conklin wacha zawartość, pociąga mały łyk, przymyka oczy i pije więcej.

- Robią to chyba z bananów. Cholernie mocne. I dobre. - Pociąga jeszcze jeden łyk. - Cholernie dobre.

- Zapomniałam zapytać, czy Kurschtler jest z panem?

Conklin pije tak łąpczywie, że po brodzie spływają mu dwie strużki. Wreszcie odsuwa tykwę od ust, z przymkniętymi oczami ociera usta wierzchem dłoni, po czym przygląda się Mary przez jakiś czas z takim napięciem, jakby była gdzieś bardzo daleko. Wreszcie mruga raptownie, uśmiecha się i mówi:

- Jest pani naprawdę wyjątkowo piękną kobietą.

- Mogę prosić?

Jest przekonany, że ona też chce się napić, i nie ukrywa zdziwienia, kiedy Mary odkłada tykwę na miejsce.

- Jak się nazywa pani gospodarz? - Z zainteresowaniem rozgląda się po chacie.

- Pytałam pana o Kurschstlera.

Zbыва ją machnięciem ręki, przez jakiś czas wpatruje się w lustro po drugiej stronie pokoju, aż wreszcie mówi cichym, zrezygnowanym głosem:

- Kurschstler też nie żyje.

- Jak to się stało?

- Coś go ukąsiło w twarz podczas snu. Obudził się z krzykiem. Miał na policzku trzy maleńkie ślady. Tubylcy wykrzykiwali nazwę tego czegoś albo coś, co mogło być nazwą tego czegoś. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Może chodziło o czarną magię, o jakieś zaklęcia, ale w każdym razie wszystko zaczęło się od trzech drobnutkich śladów na policzku, a te szybko utworzyły jeden większy, który wciąż rósł, mimo że Kurschstler mył go i szorował, aż pewnego dnia biedaczysko oszalał i pozostawał w tym stanie bardzo długo, aż przez miesiąc. Wył i krzyczał prawie bez przerwy, a to paskudztwo wciąż rozrastało mu się na policzku. Któregoś ranka znaleźli go martwego, z ustami otwartymi do krzyku, który trwał nieprzerwanie przez dwadzieścia trzy dni.

Mary spogląda na białych ludzi prezentujących przywiezione towary i otaczających ich ciemnoskórych mężczyzn, kobiety i dzieci. Nieco dalej, tuż poza zasięgiem fal chlupoczących o brzeg, leży ciało topielca. Patrząc na to wszystko, czuje bolesne ukłucie w sercu: tyle niewinnych dusz podekscytowanych widokiem pożądanых dóbr i błyskotek, a zaledwie parę kroków od nich ktoś, komu na tym wszystkim już na zawsze przestało zależeć.

- Wyruszamy dziś rano - mówi, odwróciwszy się do Conklina.

- Czy pani w ogóle mnie słuchała?

- Owszem.

Mija jeszcze trochę czasu, zanim Mary nabiera dość odwagi, by spytać o Jamesa Henleya Batty'ego, kapitana Murraya, Mary Slessor i MacDonaldów.

- Batty miewa się dobrze. Z tego, co ostatnio słyszałem, siedzi w Anglii.

- Już nie. Tuż przed moim wyjazdem wyruszył do Sierra Leone.

- Ja go nie widziałem.

- A co z innymi?

- Słyszałem, że MacDonald miał ostatnio mnóstwo problemów w Akassie. Strzelaniny, zabójstwa, trupy. Podobno mają go teraz wysłać do Indii, ale pewnie pani wie o tym więcej ode mnie. Podobno była pani w Calabarze z lady MacDonald.

- Opuściłam ją tam, zresztą wbrew jej woli.

- Kapitan Murray ma drugi statek.

- Owszem, właśnie z nim przyплыnęłam.

- W takim razie czemu pyta mnie pani o niego?

- Sądziłam, że widział go pan ostatnio.

- Pytała też pani o jakąś Slessor. Nie znam nikogo o tym nazwisku. Mary, tak?

Mary kiwa głową.

- Jakieś szaleństwo... - mruczy Conklin.

- Bardzo mi przykro z powodu Kurschstlera.

- Znała pani Dołokowa, prawda?

- Tak. Trochę. Dostarczyłam listy, które napisał do pewnej osoby w Londynie... To znaczy, próbowałam je dostarczyć.

- On też nie żyje.

- Tak myślałem.

Conklin zerka na tykwę i ociera usta wierzchem dłoni.

- Chętnie skosztowałbym jeszcze tego bananowego specjału...

Mary podaje mu tykwę, obserwuje, jak pije.

- Ten cholerny kraj pozabija nas wszystkich - mamrocze Conklin.

Mary uświadamia sobie, że pod wieloma względami jest teraz silniejsza i twardsza od niego - od człowieka, którego kiedyś uważała za nie do zdarcia.

- Naprawdę myśli pan o powrocie do Anglii?

Conklin powoli kręci głową, jakby z wielkim namysłem. Kiedy wreszcie odpowiada, w jego głosie słycać lekkie zdziwienie.

- Nie. A pani?

R S

Nazajutrz z samego rana Mary, Szara Koszula, trzech ludzi z jej wyprawy i trzech z grupy Conklina wyruszają w kierunku jeszcze niezbadanych meandrów rzeki Ogooué. Nowi członkowie ekspedycji to dwaj zeuropeizowani Fangowie i pochodzący z plemienia Mpongwe niejaki Obanjo, który niekiedy każe się nazywać kapitanem Johnsonem i mówi po angielsku, w dość specyficzny sposób dobierając słowa, za to z nienagannym akcentem. Płyną dwoma długimi czółnami: w pierwszym Mary z Poganinem, Milczkiem, Podkoszulkiem i Szarą Koszulą. Zaproponowała Conklinowi zastaw za drugie czółno i jego ludzi; wypisała czek, a on przyjął go bez słowa. Oznacza to ogromny uszczerbek w jej i tak już mocno nadszarpniętych finansach. Przy rozstaniu z trudem ukrywa irytację.

- Ciekawa jestem, jakiej opłaty zażądałby pan od mężczyzny i czy w ogóle jakiejś by pan zażądał.

- Może kiedy wyda pani całe złoto Hattona i Cooksona, przestanie pani zajmować się tymi głupotami i spróbuje zająć się ratowaniem swojego życia.

- Łajdak.

- A ja wciąż uważam, że jest pani niezwykle, wręcz zdumiewająco piękną kobietą.

- Powinnam była dać panu więcej tego bananowego specyfiku. Tyle, żeby padł pan nieprzytomny. Przynajmniej miałabym teraz jakąś satysfakcję.

- Mógłbym wtedy wykazać się mniejszym opanowaniem, młoda damo.

- To wcale nie jest zabawne.

Uchylił kapelusza i uklonił się z krzywym uśmiezkiem, jakby rozmowa toczyła się na londyńskiej ulicy, a nie w głębi afrykańskiego buszu.

- Być może spotkamy się na rzece, szanowna pani.

Dwa czółna suną obok siebie po wodzie, a napięcie, jakie panuje wśród załóg, najlepiej świadczy o tym, że z każdą chwilą zapuszczają się coraz głębiej w dziewiczy teren. Roślinność na obu brzegach gęstnieje z każdą chwilą, korony drzew stykają się nad ich głowami. Mijają wypalone zgliszcza faktorii, częściowo zwalone do wody, która cuchnie mokrym popiołem.

Po kilku kilometrach prąd staje się bardziej wartki, wzrasta odległość między brzegami, aż wreszcie można odnieść wrażenie, że znaleźli się na jeziorze. Mijają piaszczyste łachy, wysepki porośnięte drzewami, zagajniki mangrowców i kępy wysokiej trawy o żdźbłach przypominających ostrza długich, kołyszących się sztyletów. Widzą krokodyle wygrzewające

się na brzegu i sunące przez gęstą zieloną wodę niczym prawie całkowicie zatopione pnie, pozostawiające za sobą ledwo zarysowaną dwiema rozchodzącymi się falkami literę V. Niebo jest błękitnobiałe, zasnuwane smugami rozwleczonych przez wiatr obłoków; to wspaniały widok po wielu godzinach spędzonych pod prawie nieprzeniknionym baldachimem gałęzi i liści.

Szara Koszula mówi, że ta część rzeki nosi nazwę jeziora Ncowi. Wynurzające się z wody wiosła nie są już powalane piaskiem ani mułem; czyste krople spadają z nich rozbryzgami niczym płynne diamenty. Czółna płyną na północ-północny wschód. Po lewej stronie, nad grzbietami majaczących w oddali niskich wzgórz, zachodzi słońce, nasycając niebo barwami w zaskakujących odcieniach tęczy, które nadają zupełnie nowy sens pojęciom odległości i przestrzeni. Mary stwierdza jednak, że z całej wyprawy tylko ona dostrzega to nadzwyczajne zjawisko.

W miarę jak dzień dogasa, zagłębiają się coraz dalej w krainę samotności... i jeszcze czegoś. Niebo jest ciemnobłękitne, bez śladu chmur i choćby jednej gwiazdy. Wciąż otacza ich rozległa przestrzeń, ale w powietrzu zdaje się wisieć jakaś niepokojąca bladość. Mary wraca myślą na wybrzeże, do lasów kryjących w sobie śmierć i rozkład. Spogląda na pozostałych: wszyscy zdają się wyczuwać zmianę, rozglądają się z niepokojem, wiosłują ciszej i ostrożniej.

- Czuję krew - mówi niespodziewanie Szara Koszula, kiedy mijają małą wysepkę.

Mary wie, że w ustach Afrykanina oznacza to niepokój, lęk, a nawet przerażenie. Odpowiada mu wielojęzyczny chór, ale on tylko zaciska usta i wpatruje się przed siebie nieruchomo.

Kierują się ku drugiej, większej wyspie. Kiedy są już całkiem blisko, z szarówki wyłania się wioska - skupisko chat rozrzuconych nierównomiernie między drzewami. Plaża jest mała, piaszczysta, w kształcie półksiężyca. Sięga aż do niewielkiego urwiska, którego krawędzią prowadzi szeroka, wygodna ścieżka. W wiosce coś się dzieje, wyraźnie słychać hałasy, okrzyki i dudnienie tam-tamów. Czółna bezszelestnie zbliżają się do brzegu, przybijają do skał. Mężczyźni wyciągają pistolety, sprawdzają, czy są nabite i odbezpieczone. Mary wysłała naprzód dwóch Fangów wypożyczonych od Conklina za pieniądze Hattona i Cooksona. Choć Szara Koszula i Poganin twierdzą, że mają znajomych w wiosce, Mary jest zdania, że będzie rozsądniej, jeśli tutejsi Fangowie najpierw ujrzą swoich ziomków, nawet nieco odmienionych. Obanjo/Kapitan Johnson nie chce nawet słyszeć o opuszczeniu łodzi, ponieważ nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy wioski zauważyli ich przybycie. Ścieżką biegnie około pięćdziesięciu wrzeszczących, wymachujących bronią i robiących groźne miny mężczyzn,

którzy błyskawicznie otaczają intruzów półkolem, spychając ich niemal do rzeki. Przez jakiś czas trwa jeszcze rwetes i potrząsanie pistoletami, nożami i pałkami, po czym zapada złowróżbna cisza. Znosi się na walkę - krótką i o łatwym do przewidzenia finale. Wiedziona odruchem Mary występuje naprzód; może jej odmienny wygląd zaintryguje napastników na tyle, że wstrzymają atak. Daje na migi do zrozumienia, że chce handlować, po czym wskazuje gestem dwóm swoim Fangom, że mogą mówić, ci jednak milczą jak zakłęci. Są równie przerażeni jak Obanjo/Kapitan Johnson, który kryje się na dnio czółna i ani myśli wychylić nosa, lękając się - i słusznie - tego, co mogłoby go wtedy spotkać.

Szara Koszula i Poganin dołączają do niej z wyciągniętymi rękami, demonstrując w ten sposób, że są nieuzbrojeni. Powtarzają imię znajomego Fanga w nadziei, że ten mieszka akurat w tej wiosce.

- Kiwa... Kiwa...

Wśród Fangów wybucha dyskusja, znowu robi się gwarno i hałaśliwie. Korzystając z zamieszania, Milczek podchodzi do Mary i szepcze:

- Chyba nie być dobrze, jeśli ten Kiwa tu nie mieszkać.

- Wolałabym, żebyś bardziej zasługiwał na swoje przezwisko...

Wreszcie, po wydawałoby się nieskończeniu długim czasie, Poganin dostrzega w tłumie Kiwę i podbiega do niego, okazując taką radość i ciepłe uczucia, że wszystkim robi się aż trochę głupio. Zaraz potem Szara Koszula rozpoznaje innego znajomego i powtarza ckliwą scenkę. Atmosfera stopniowo się rozluźnia; Poganin przedstawia Kiwę Mary, chwilę później Szara Koszula przyprowadza swojego znajomego, który ujmuje Mary za łokcie swoimi wielkimi czarnymi rękami, jakby zamierzał ją podnieść, lecz jego uśmiech świadczy o tym, że nie ma żadnych złych zamiarów. Wreszcie wieśniacy otaczają Mary i jej ludzi, i prowadzą ich ku swoim domom. Na widok Mary pojawiają się także zaciekawione kobiety i dzieci, ale szybko z powrotem kryją się w cieniu chat.

W tej wiosce, inaczej niż w większości afrykańskich osad, są krzyżujące się ulice. Nowo przybyli trafiają do największej chaty, gdzie od razu rozpoczynają się negocjacje handlowe. Mary jest teraz ogromnie zadowolona, że w skład wyprawy wchodzi dwóch Fangów, ale i tak pierwsze skrzypce gra Szara Koszula.

Ogłasza, że potrzebują trzech ludzi, którzy poprowadziliby ich w górę rzeki Remboue. Natychmiast rozpętuje się ożywiona dyskusja. Co Mary może zaoferować w zamian za tę usługę? Mary doskonale zdaje sobie sprawę, że bez tych przewodników przypuszczalnie nigdy

nie uda im się dotrzeć do celu, ale oczywiście nie daje tego po sobie poznać. Za pośrednictwem Szarej Koszuli proponuje pieniądze, żywność, rum i herbatę. W pewnej chwili wódz wykonuje taki gest, jakby chciał chwycić słowa Szarej Koszuli w locie i cisnąć na klepisko.

Mary nie ustępuje, spokojnie ponawia ofertę, odrzuca to, co jej nie interesuje. Zdaje sobie sprawę, że takie negocjacje mogą się ciągnąć nawet tygodniami, ale ona nie ma aż tyle czasu. Najchętniej wyruszyłaby dalej już, zaraz, natychmiast. Wioska jest nędzna i potwornie zaniedbana, gdzieś w pobliżu rozkłada się jakaś duża padlina, przypuszczalnie słoń, hipopotam lub manat. W związku z tym panuje potworny smród, a od nieustającego bzyczenia rojów much aż szumi w głowie. Na gałęziach okolicznych drzew wiszą trupy ptaków i małych ssaków.

Mary spokojnie ponawia ofertę, aż wreszcie znajomi Poganina i Szarej Koszuli oraz jeszcze jeden człowiek zgadzają się wziąć udział w ekspedycji. Twierdzą, że znają drogę do wioski Efoua, której mieszkańcy jeszcze nigdy nie zetknęli się z Europejczykami, za to przetarli szlak do Remboue. Szybko udaje się osiągnąć porozumienie; zaraz potem zgłasza się jeszcze kilku kandydatów, lecz Ajoumbowie mają duże obawy przed zabieraniem w drogę więcej niż jeszcze dwóch Fangów, ponieważ ci znani są z tego, że zjadali czarnych kupców, którzy odważyli się zapaść na ich terytorium. Dlatego ostatecznie na wyprawę wyrusza tylko trzech nowo zwerbowanych przewodników: Kiwa, Fika i Wiki. Nadchodzi pora świętowania. Mary wysłała Poganina do łodzi po Obanjo/Kapitana Johnsona; ten, zjawiwszy się w chacie, podchodzi do niej i mówi:

- Dziękuję bardzo wielce bynajmniej za twoją łaskawą przychyłność, pani.
- Ależ bardzo proszę - odpowiada Mary. - Bynajmniej.
- Obawiałem się nieco trochę nieprzyjemnego przebiegu wizyty bynajmniej.
- Takie właśnie odniosłam wrażenie.

Kłania się w pas, nie odrywając od jej twarzy poważnego, nieco zawstydzonego spojrzenia.

- Dziękuję pani jeszcze raz pięknie bardzo.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wciąż zgięty w ukłonie cofa się dwa kroki, prostuje, sięga po tykwę z rumem, pociąga tęgi łyk i kłania się raz jeszcze.

- Najpokorniejszy sługa pani bardzo bynajmniej.

Mary kiwa głową i uśmiecha się przyzwalająco. Po niedawnych przejściach biedaczysko może pić na umór. Gdyby nie to, że w przyszłości najprawdopodobniej czeka na nich jeszcze

wiele niebezpieczeństw, przyznałaby mu się, jak bardzo sama bała się przez ostatnie dwadzieścia minut.

Jako dowódca ekspedycji zostaje ulokowana w najlepszej chacie we wsi - należącej do Kiwy - i tylko z najwyższym trudem może tam wytrzymać. Leżąc w paskudnym smrodzie na słomianym barłogu, czeka, aż harmider na zewnątrz nieco przycichnie, a kiedy wreszcie tak się staje - jest przekonana, że ani na chwilę nie zmrużyła oka - podnosi się i wychodzi na ulicę, wciąż otoczona smrodem rozkładającej się padliny i jednostajnym bzyczeniem much. Niespodziewanie w ciemności podrywają się dwa ociężałe sępy. Mary zmierza samotnie ścieżką nad rzekę, wchodzi aż po kolana do chłodnej wody, wdrapuje się do najbliższego czółna, chwytając wiosło, wypływa w główny nurt rzeki. Chociaż jest nieco chłodniej, w powietrzu wciąż unosi się odór śmierci. Woda szmerze cichutko, w ciemności majaczy kształt kolejnej wyspy. Mary kieruje czółno w tamtą stronę, wiosłując bez trudu po spokojnej powierzchni rzeki. Niebo nad jej głową jest usiane gwiazdami, które migotliwie odbijają się w delikatnie pomarszczonej wodzie. Kiedy zbliża się do drugiej, mniejszej wyspy, słyszy kilka donośnych pluśnień; najprawdopodobniej są to krokodyle, dlatego skręca, omija to miejsce sporym łukiem i wyteża wzrok, aż wreszcie dostrzega coś w rodzaju małej plaży.

To nie krokodyle, lecz hipopotamy. Dokazują tak gwałtownie, że woda pieni się mlecznie w blasku gwiazd. Mary zawraca i z niejakimi problemami płynie z powrotem na większą wyspę, przekonana, iż wysiłek sprawi, że po powrocie uda jej się bez trudu zasnąć. W pewnej chwili na tle ciemnego brzegu dostrzega trzy poruszające się niezdecydowanie światełka. Przekonana, że to jakiś gatunek ryb, kieruje się szybko w ich stronę, ale one rozplývają się na boki i wtedy okazuje się, że są zawieszane nieco nad powierzchnią wody. Niezależnie od tego, do którego z nich próbuje się zbliżyć, ono nieodmiennie odsuwa się na odległość uniemożliwiającą identyfikację. Kiedy wreszcie celuje dokładnie między dwa z nich, one rozsuwają się na boki, okrążają ją, i zbliżają się do siebie za jej plecami. Mary przestaje wiosłować; dwa światełka ruszają szybko przed siebie, coraz dalej od niej, wciąż tuż nad wodą, trzecie natomiast pędzi wprost na nią, jakby chciało się z nią zderzyć, po czym niespodziewanie zatrzymuje się gwałtownie, zaczyna jakby chwiać się, a może tańczyć i bezgłośnie zanurza się w wodę tuż obok czółna, oświetlając swym blaskiem ryby, rośliny i falujące kolumny mułu, wszystko to jakby przeniesione wprost ze snu albo z gorączkowych majaczeń, aż wreszcie niknie w bezdennej czerni.

W drodze powrotnej na większą wyspę Mary rozgląda się w poszukiwaniu kolejnych światła, ale nie dostrzega już ani jednego. W wiosce siada przed chatą Kivy, otwiera butelkę czerwonego wina od Conklina i wypija całą. Wino ma smak mokrych kamieni i wcale jej nie rozgrzewa; szczerze mówiąc, w ogóle prawie na nią nie działa. Nagle Mary uświadamia sobie, że już bardzo niedługo skończy trzydzieści dwa lata i chyba po raz pierwszy w życiu zastanawia się, z charakterystycznym dla siebie chłodnym obiektywizmem, co ją opętało, żeby zrobić ze swoim życiem właśnie to, co z nim zrobiła.

Rankiem opowiada Szarej Koszuli, co widziała na rzece, nie wspomina jednak ani słowem o tym, że wypuściła się tak samotnie czółnem. Szara Koszula powtarza to Fangom, a oni mówią z uśmiechem:

- Akom. Diabeł buszu.

4

Lipiec 1895

Gdzieś między rzekami Ogooué i Remboue:

Płynęłam w górę rzeki Ogooué, walczyłam z silnym prądem, wyskakiwałam na brzeg, kiedy zderzenie wydawało się nieuniknione, mokłam i schłam w palących promieniach słońca. Obecnie towarzyszą mi jeszcze trzej Fangowie z M'fetta, pierwszej wioski Fangów, jaką odwiedziliśmy. Podróżując rzeką, dotarliśmy do miejsc nietkniętych jeszcze stopą Europejczyka, a tym bardziej Europejki. Mimo to czuję się tutaj dziwnie swojsko, prawie tak jakbym już kiedyś tu była. Czuję się też tak, jakbym dotarła do kresu życia, które do tej pory było czymś w rodzaju ucieczki, i że wreszcie odnalazłam miejsce, gdzie zawsze powinnam była żyć.

Afrykanie mają pieśń, która o tym opowiada. Śpiewają ją wtedy, kiedy ktoś umrze.

Wróc tu. Wracaj tu, słyszysz? Wracaj tu, zobacz. Tutaj twoje miejsce.

Doskonale ją teraz rozumiem, choć oczywiście daleko mi jeszcze do pełnego pojęcia tych przedziwnych, zdumiewających, emanujących niezwykłą wewnętrzną siłą ludzi. Każdy ich gest, każde spojrzenie, każdy ruch, każdy uśmiech i każda łza dobitnie świadczą o ich człowieczeństwie. Mimo to wciąż są dla mnie „inni”, tym bardziej więc będą tacy dla Europejczyków.

Wyobrażam sobie, że ty, w jakiejś odległej przyszłości, dysponujesz znacznie bardziej wyrefinowanymi instrumentami pojęciowymi ode mnie i że moje problemy muszą ci się wydawać blahe i dziecinne, podobnie jak problemy i pytania moich afrykańskich przyjaciół. Wszystkie one biorą się ze skomplikowanych miejscowych wyobrażeń o świecie fizycznym i duchowym. Tu, w Afryce, każda rzecz żyje i ma swojego ducha, duchy te zaś rzadko kiedy są łagodnego usposobienia.

W wielu plemionach - a raczej we wszystkich - pokutuje przekonanie, iż każda śmierć spowodowana jest czarami lub złym urokiem. Bóg, który stworzył cały wszechświat, nie ma z tym nic wspólnego - on trzyma się na uboczu. Oprócz niego istnieje multum pomniejszych duchów i dusz, które należy bezustannie obłaskawiać, i podobnie jak w wierzeniach Greków (podobieństwa są liczne i uderzające) duchy te często zadają się z ludźmi i zachowują jak oni. Każdy człowiek ma trzy dusze, lecz tylko pierwsza odpowiada za jego normalne funkcjonowanie, dwie pozostałe nie ujawniają się, niemniej są stale obecne. Afrykanie budują chatki, które mają służyć za schronienie drugiej, trzecia natomiast służy do tego, żeby czynić szkodę innym - oczywiście przez rzucanie uroków.

W Afryce zła wola ma ogromną siłę.

Kiedy mężczyzna umiera, na jego niewolników, przyjaciół, znajomych i wszystkich członków rodziny, łącznie z żonami, pada podejrzenie o rzucenie czarów. Szamani znają specjalne obrzędy, które mają doprowadzić do zdemaskowania winnego. Znam przypadek, kiedy śmierć jednego człowieka pociągnęła za sobą śmierć jeszcze czworga ludzi; szaman biegł po wiosce, „wrzucając” do wiklinowego kosza imiona wszystkich mieszkańców, po każdym kolejnym imieniu zamykał pokrywę, a kiedy ta kilka razy nie przytknęła się całkowicie, nieszczęśnicy zostali zmuszeni do wypicia obrzydliwej substancji uzyskanej z kory jakiegoś drzewa - trucizny, która na miejscu zabiła troje, troje innych zmusiła do wymiotów (co zostało zinterpretowane jako oczyszczenie z demonów), na dwojgu zaś nie wywarła żadnego wrażenia (bo zapewne trucizna ta szybko traciła skuteczność wystawiona na działanie powietrza). Tych dwoje pechowców było potem przypiekanych na wolnym ogniu, po czym poderżnięto im gardła. Podobne praktyki stosuje się prawie wszędzie nad rzeką Kongo i kilkakrotnie niemal doprowadziły one do wyginięcia całych plemion. Wszystko jest w rękach szamanów, którzy dysponują ogromną władzą i już od najwcześniejszej młodości szykują się do wypełniania swojej misji. Oprócz walki z urokami zajmują się wytwarzaniem specyfików przeciwko reumatyzmowi i niezliczonym innym przypadłościom. Byłam świadkiem, jak szaman pomagał

jakiemuś biedakowi z otwartym złamaniem ramienia, wpychając bambus w ranę i obwijając ją jakimiś liśćmi o zapachu kakao. Kiedy jakiś czas potem znowu spotkałam leczonego w ten sposób dżentelmena, rana z zewnątrz już się zabiłiła, ramię jednak było potwornie zdeformowane. Widywałam też, jak szamani dosłownie w ciągu kilku godzin stawiali na nogi ludzi z potwornymi wrzodami albo pokąsanymi przez jadowite węże. A mimo to w kraju, w którym śmierć czyha dosłownie na każdym kroku, największe przerażenie i zgrozę wywołuje myśl o tym, że można stracić życie w wyniku złego uroku.

Nawet jeżeli ktoś zginie pożarty przez lwa albo krokodyla, wszyscy są przekonani, iż zwierzę zostało zaczarowane przez jakiegoś złoczyńcę, i natychmiast przystępują do poszukiwania winnego. Mówiąc inaczej, w tym miejscu, w którym zdaniem Europejczyków za nic ma się ludzkie życie, w rzeczywistości ceni się je tak bardzo, że każda śmierć jest postrzegana jako morderstwo i w związku z tym musi zostać pomszczona. Każda. A dusze są dosłownie wszędzie. Afrykanie czczą je, ucierając ziarna w moździerzach, polując na antylopy, spożywając posiłki. Widziałam, jak szamani piją coś z miseczki, po czym ich oczy stają się nienaturalnie błyszczące, na ustach pojawia się piana, i zaglądnają niemal do wnętrza człowieka - rozumieją twoje słowa, nawet jeśli mówisz w zupełnie obcym dla nich języku. Wiem o tym, ponieważ mówiłam do nich po niemiecku, a oni bez trudu mnie rozumieli.

Boję się nieustannie. Niezmiernie cierpię z powodu samotności i boleśnie odczuwam fakt, że jestem tu dla wszystkich zupełnie obca. Moją jedyną obroną jest maska opanowania i odwagi, poza damy, która przyjmuje gości w swoim salonie. Ciekawość jest dla mnie jak narkotyki; jeśli nie potrafię jej zaspokoić, czuję się martwa.

Tydzień później w Egaja, w Kongu Francuskim.

Piszę do lady MacDonald, do Lucy i przyjaciół w Cambridge, i do Gunthera, i do Guillemarda, do wszystkich pozostałych przyjaciół i znajomych, po czym piszę do ciebie, oddalonej bardziej niż ktokolwiek, a równocześnie jedynej, wobec której mogę być całkiem sobą. Wobec ciebie, która nigdy mi nie odpowie. Nawet zdając sobie doskonale sprawę z natury tych listów, nie mogę zmusić się do tego, aby myśleć o tobie jako o wielu osobach. Z pewnością te słowa zobaczy wiele par oczu, ja jednak przede wszystkim mam na względzie jedną jedyną parę.

W drodze do Remboue zatrzymywaliśmy się i handlowaliśmy w wielu wioskach Fangów. Najprzyjemniejszą chwilą była chyba ta, kiedy od jednego z wędrownych gawędziarzy całkiem przypadkowo uzyskałam informację o Corlissie. Obserwowaliśmy występ tego człowieka;

afrykański gawędziarz to również po trosze śpiewak i muzyk, którego jedynym życiowym zadaniem jest przekazywanie opowieści. Nie mają one jednak wiele wspólnego z historią w naszym rozumieniu tego słowa ani z religią, nie są też pouczającymi lub umoralniającymi przypowieściami; to po prostu opowieści wypełnione magią i tajemnicą, często brutalne i co najmniej równie zajmujące jak większość znanych mi utworów należących do literatury popularnej. Oczywiście usłyszeć je można dopiero po długich targach i zaofiarowawszy coś w zamian, ponieważ na tym kontynencie wszystko obraca się wokół handlu. W każdym razie w środku średnio kosztownej historii Obanjo/Kapitan Johnson, który jest bardziej angielski od niejednego Anglika, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Corliss, pani.

W pierwszej chwili nie pojęłam, o co mu chodzi, ale on powtórzył te słowa.

- Rozumie pani może, bynajmniej? Ten dżentelmen opowiada o pani i o osobie męskiej nazwiskiem Corliss.

- Tak?

- Corliss jest w tej opowieści. Wielki kapitan uśmiercił krokodyla maczetą. Ten człowiek mówi, że usłyszał to od Corlissa. Czy pani rozumie to, bynajmniej?

- Tak.

- Corliss siedział w małej łódce, która ugrzęzła na mieliźnie, bynajmniej. Uśmiercił groźnego krokodyla, broniąc osiadłej razem z nim damy, bynajmniej. To bardzo wielce przepiękna historia.

- Ach, więc tak było naprawdę?

Nie przypuszczałam, że w duszy Corlissa krył się kłamczuch i chwalipięta, ale też nie posiadałam się z ciekawości, skąd gawędziarz wiedział o Corlissie i o mojej z nim znajomości. Nagle odczułam brak Davida Corlissa jak niemal fizyczny ból, aż musiałam pochylić głowę.

- Ja widzieć Corliss - powiedział bazarz. - On mówić o pani jeden czas.

Co oznacza, że mówił o mnie bez przerwy.

Na myśl o tym, że David Corliss mówi ciągle o mnie, serce załomotało mi w piersi, jakbym była głupiutką dzierlatką, którą w porze podwieczorku odwiedził adorator. Sama się sobie zdziwiłam, co jednak nie przeszkodziło mi zapytać o wieści na jego temat; jednak Obanjo poinformował mnie, że gawędziarz nie zna żadnych wieści, tylko opowieści i pieśni o innych bohaterach.

Jednym z przykrych aspektów tułaczego losu, jaki obecnie stał się moim udziałem, jest to, że ustawicznie wchodzi się w czyjeś życiorysy tylko po to, żeby natychmiast z nich wyjść. Rozmowa z Conklinem wstrząsnęła mną na poziomie, o którym nawet nie chciałam myśleć. Tak czy inaczej coraz łatwiej przychodzi mi pogodzić się z myślą, że dokonam życia w tym kraju, a równocześnie bezustannie jestem przejęta autentycznym zachwytem. Niedaleko stąd przez cały cudowny wieczór dyskutowałam o fetyszach z misjonarzem Robertem Nassauem. Należy do nielicznych, którzy uważają, że ci ludzie mają prawo do swojej kultury; stał się kimś w rodzaju specjalisty od ich wierzeń i z radością służy im swoją wiedzą praktyczną. Wspomniałam mu o Mary Slessor i dowiedziałam się z przyjemnym zdziwieniem, że znają bardzo dobrze, że od lat ze sobą korespondują. Wydaje mi się, że - podobnie jak ona - jest już bardziej Afrykaninem niż Europejczykiem i że dlatego jest przez tutejszych traktowany jak brat. Zachował wiarę (choć przyznam, że zaskoczyło mnie, jak często odwołuje się do Boga, a niekiedy, zwłaszcza w chwilach zaskoczenia lub niepewności, do Allaha), nadal też sądzi, iż ci ludzie mogą osiągnąć zbawienie wyłącznie dzięki chrześcijaństwu, jest jednak jak najdalszy od myśli o siłowym nawracaniu. Jak już wspomniałam, świat rdzennych mieszkańców tego kontynentu wypełniają duchy i dusze, aktywne, słyszalne, a niekiedy nawet widzialne. Nawet nawróceni Afrykanie wolą nie zadzierać ze starymi duchami. W razie potrzeby uciekają się do Mojżeszowej klątwy i do milczenia.

Milczenie.

Tu nie ma innego milczenia. Kiedy ktoś zachoruje, rodzina łka i szłocha, przypuszczalnie z lęku przed podejrzeniami o sprowadzenie choroby. Plemiona zamieszkujące deltę Nigru wierzą, że jeśli umrze kobieta mająca ponadsześciomiesięczne dziecko, to prędzej czy później wróci po nie, w związku z czym odprawiają obrządek polegający na tym, że trzymają płaczące dziecko przy martwej matce, a potem krok po kroku odprowadzają je na bok, cały czas powtarzając, że i tak prędzej czy później do niej dołączy, inni zaś szybko przykrywają ciało liśćmi, aby nieboszczka nie widziała, dokąd zabierają jej potomstwo. Jeśli dziecko nie ma jeszcze sześciu miesięcy, wyrzuca się je w krzaki i pozwala mu umrzeć - tak samo jak czyni się z bliźniakami, a niekiedy nawet z ich matkami.

Kiedy razem z Mary Slessor przebywałam w Okyon niedaleko Calabaru, widziałam urocze czteroletnie dziecko, którego matka umarła w porożu. We wsi nazywano je Cudownym Dzieckiem, ponieważ przeżyło kilka dni, leżąc samotnie w buszu. Po śmierci matki, zgodnie ze zwyczajem, po prostu rzucono je w krzaki. W kraju, w którym głód jest czymś naturalnym, a

żywność często nie do zdobycia, takie postępowanie jest znacznie mniej okrutne, niż może nam się wydawać. Tak czy inaczej któraś z osób idących z obozowiska Mary Slessor na targ usłyszała dobiegające z gęstwiny kwilenie. Dziecko - dziewczynka - było słabe i wyczerpane. Drapieżniki je ominęły, podobnie jak zabójcze owady, choć w oczach, ustach, uszach i nosie roilo się od mrówek, które wyżarły także fragment górnej wargi. Mimo to dziewczynka przeżyła, rana na wardze szybko się zagoiła, pozostawiając niewielki ślad dodający jej jeszcze uroku. Gdybym kiedykolwiek zdołała ukończyć książkę, pragnęłabym oddać w niej hołd takiej właśnie pracy misyjnej jak ta, którą prowadzi panna Slessor oraz inni do niej podobni. To rzadkie wypadki, kiedy o ideałach chrześcijańskich nie tylko mówi się w kazaniach, ale także wprowadza się je w życie.

Problem z afrykańską osobowością wcale nie polega na tym, że jest ona prostacka albo prymitywna. Problem z afrykańską kulturą polega na tym, że jest tak bardzo zdominowana przez wiarę. Jeśli wśród tubylców jest choć jeden hipokryta, to ja jeszcze go nie spotkałam. Istotnie, są plemiona, gdzie człowiek oskarżony o rzucanie złych uroków może wyznaczyć niewolnika, który umrze zamiast niego, albo opłacić kogoś, kto w jego zastępstwie podda się kontrolnemu działaniu trucizny, co niemal zawsze kończy się śmiercią sprawdzanego, lecz wszyscy gorąco wierzą w to, że najważniejszą siłą sprawczą odpowiadającą za istnienie i funkcjonowanie świata są fetysze. Wszystko ma duszę, która wcale nie ulatuje zaraz po śmierci, lecz pozostaje na kilka tygodni albo miesięcy - właśnie dlatego niektóre plemiona umieszczają ciała zmarłych nad ziemią, niekiedy na widoku publicznym. W żadnym innym społeczeństwie, o jakim czytałam lub jakie poznałam, magia nie odgrywa równie wielkiej roli. Co prawda nierozzerwalnie wiąże się ze śmiercią i jest bardzo brutalna, ale z drugiej strony, gdyby ktoś bez żadnego przygotowania czy wiedzy wszedł w środek jakiejś naszej kościelnej ceremonii albo gdyby dowiedział się o surowości angielskiego prawa, o historii naszych wojen religijnych, o nawracaniu mieczem, o krucjatach, pogromach i zabójstwach, to z pewnością najpierw by się przeraził, a potem, być może, zadumałby się nad tym, jak nierozzerwalnie łączą się przemoc, zbrodnia i występki z naturą ludzką, i że ta kraina, w której można zostać pożartym przez lamparty, mrówki, węże i krokodyle, jest równocześnie jednym z najwspanialszych miejsc na ziemi. Ten, kto ją pokocha, będzie zawsze nosił ją w sercu, bez względu na to, gdzie go los zaprowadzi. Polubiłam tych ludzi, podziwiam ich, szczególnie tych najgroźniejszych i najbardziej zawziętych, czyli Fangów, a oni przyjęli mnie do siebie.

Dwa dni później, w wiosce Esoon.

Poszłam na wycieczkę w towarzystwie sporej grupy Fangów - kilku mężczyzn i ich żon (poligamia ma tutaj głębokie uzasadnienie, przede wszystkim ze względu na klimat i ogrom pracy, jaką trzeba wykonać po to, żeby utrzymać się przy życiu). Ale nie o tym chcę teraz mówić.

Było nas całkiem sporo w to przyjemne popołudnie i gawędziliśmy wesoło. Miałam za sobą już pięć dni oczekiwania, handlowania, odpoczynku i uzupełniania zbiorów, toteż dla odmiany postanowiłam wypuścić się gdzieś w towarzystwie. Wyszliśmy z wioski, wdychając suche, gorące powietrze i szukając wytchnienia w słabych, okazjonalnych podmuchach wiatru. Podziwiałam bujny las otaczający nas z trzech stron i nawet wtedy rozmyślałam o tym, jak bardzo oddaliłam się od smutnej monotonii życia w Anglii. Przez minione tygodnie często nawiedzała mnie podobna refleksja; przestawałam wtedy robić to, co akurat robiłam, i cieszyłam się świadomością, że tu jestem, że odbyłam tak długą podróż i tutaj jestem.

Niebo nad naszymi głowami było gładkie i nieskazitelnie błękitne, bez śladu najmniejszej chmurki. Weszliśmy w wysoką trawę o twardych źdźbłach, ostrych niczym noże; podążaliśmy szeroką ścieżką, śmiejąc się i przekomarzając. (Mало kto wspomina o poczuciu humoru tych ludzi, ja tymczasem, mimo tak słabej znajomości ich języka, miałam okazję wielokrotnie przekonać się o tym, jak jest subtelne i wyrafinowane, a zarazem wszechobecne. Z tej ziemi, gdzie na każdym kroku czyha tyle niebezpieczeństw, śmiech wciąż radośnie wzbija się ku niebu).

Dzień był naprawdę piękny, a my szliśmy niespiesznie przed siebie jak gromadka parafian szukających najlepszego miejsca na piknik, kiedy nagle coś jak błyskawica wypadło na nas z gęstwiny lasu. W pierwszej chwili naprawdę nie wydawało mi się możliwe, żeby było to coś innego niż uderzenie skoncentrowanej elektryczności. Tymczasem był to lampart. Przemknął przez ścieżkę nie dalej jak metr przede mną i rzucił się na wysokiego młodego mężczyznę imieniem Talouga, który właśnie przed chwilą po raz pierwszy bezbłędnie powtórzył angielskie słowo „suknia” i był z tego powodu ogromnie dumny. Zwierzę uderzyło z taką siłą i tak niespodziewanie, że nieszczęśnik w mgnieniu oka znalazł się na ziemi w chmurze kurzu i pyłu. Był to zaiste przerażający widok - człowiek i lampart spleceni w śmiertelnym uścisku. Jeden z mężczyzn miał maczetę, wszyscy usiłowaliśmy zwrócić na siebie uwagę zwierzęcia, lecz bez skutku - lampart zacisnął szczęki na szyi Talougi i ciągnął go w las, patrząc na nas z takim wyrazem ślepiów, jakby się dziwił, dlaczego chcemy pozbawić go posiłku. Talouga rozpaczliwie wierzgał nogami, my z krzykiem goniliśmy za drapieżnikiem, a ten wciąż sprawiał wrażenie

zaskoczonego całym tym zamieszaniem. Człowiek z maczetą - opowiedział mi wcześniej, że nazywa się Joe i że nawrócił się na chrześcijaństwo - wzywał na pomoc najpierw Chrystusa, a potem Allaha, wymachiwał bronią jak szalony i kilka razy zahaczył lamparta, tak że krew zwierzęcia opryskała mu tors i ramiona, lecz nie dało to żadnego efektu. Nieszczęsny Talouga charczał i jęczał, aż w końcu zamilkł. Ostatecznie udało nam się zmusić drapieżnika do porzucenia zdobyczy, po czym Joe zabił go ciosami maczety, ale było już za późno; głęboka rana zadana kłami lamparta okazała się śmiertelna.

Nie wiem, jak długo staliśmy przy ciele; kobiety płakały i zawodziły, mężczyźni uderzali kijami w zarośla, obawiając się kolejnego ataku. Patrzyliśmy na las tak, jakby nas opluł - w każdym razie ja na pewno odniosłam takie wrażenie.

Przez resztę dnia miejscowy szaman - ponury, wychudzony, obrzydliwy osobnik o spiłowanych na ostro zębach i długim wystającym podbródku upodabniającym jego twarz do ostrza noża - chodził po wsi, uderzając w płaski bębenek i wykrzykując imiona mieszkańców. Mogłam się temu tylko przyglądać, nie mając pewności, czy i ja nie znajdę się wśród podejrzanych. Okazało się jednak, że bardziej niż ja szamana on lękał się mnie - zerkał w moją stronę za każdym razem, kiedy wykrzykiwał imię kolejnej osoby, która mogła rzucić urok na lamparta, aby ten zamordował Talougę, i widząc grymas niezadowolenia na mojej twarzy, natychmiast przechodził dalej. W końcu okazało się, że rankiem tego dnia umarła stara kobieta, która wiele lat temu urodziła bliźniaki. Szaman skwapliwie skorzystał z okazji i ogłosił, że to właśnie ona jest odpowiedzialna za śmierć Talougi. Nie ulega wątpliwości, iż postąpił tak z obawy przed moją magią.

Jakże daleko odeszłam już od biblioteki ojca...

Posuwając się naprzód przez trzęsawiska i lasy, spotykają coraz więcej Fangów, którzy jeszcze nigdy w życiu nie widzieli na oczy żadnego Europejczyka. Wielu jest zafascynowanych jej włosami, lecz okazują to w bardzo łagodny sposób, przyglądając się im lub próbując ich dotknąć. Równocześnie nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż Mary jest dla nich kimś obrzydliwym, a to głównie za sprawą koloru skóry. Dostrzega litość w spojrzeniach kobiet, wszyscy zaś traktują ją jak kogoś, kogo spotkało okropne nieszczęście - są zaintrygowani, lecz przez uprzejmość starają się tego zbyt wyraźnie nie okazywać.

W jednej z wiosek otrzymuje do dyspozycji chatę wodza i ponieważ jest bardziej zmęczona, niż przypuszczała, że to możliwe, od razu zaczyna szykować się do spoczynku w blasku łożowej świecy rozsiewającej oprócz migotliwego przyćmionego światła także cuchnący

smród, szczególnie odczuwalny w tym ciasnym pomieszczeniu. Rozpięła już bluzkę i właśnie zamierza ją zdjąć, kiedy spostrzega, że przez szpary w ścianach obserwuje ją niemal cała ludność wioski, zapina więc z powrotem bluzkę, kuli się na łóżku w sukni i butach, i stara się zasnąć. Otula ją mrok, dobiegające z zewnątrz odgłosy cichną, w końcu zostaje sam na sam z brutalną leśną nocą. W takich warunkach trudno o prawdziwy wypoczynek; zwykle sen wypelza jak śpiączka gdzieś z dna wycieńczenia, lecz tym razem Mary nie może zasnąć. Dokucza jej wciąż przybierający na sile smród, który otula ją niczym śmierdzący koc. Wreszcie nie wytrzymuje, wstaje z łóżka i wyrusza na poszukiwania, sądząc, że być może coś dostało się do środka i zdechło w kącie pod ścianą. Ale źródło smrodu ponad wszelką wątpliwość znajduje się nad jej głową. Wspiąwszy się na palce, znajduje wiszące pod powalą niewielkie woreczki - to właśnie one stanowią źródło paskudnej woni. Zdejmuje je kolejno, ostrożnie otwiera i wysypuje zawartość na stół. Początkowo nie umie zidentyfikować ciemnych, miękkich kształtów, lecz po chwili ze stłumionym okrzykiem przerażenia rozpoznaje odciętą ludzką rękę, a chwilę potem także inne części ludzkiego ciała: cztery gałki oczne, trzy paluchy, dwoje uszu i sporo innych. Najbardziej przerażająca jest ręka - nie tylko dlatego, że chyba całkiem niedawno odcięta, lecz przede wszystkim z tego powodu, iż kojarzy się z aktywnością i działaniem, a nie z pasywnością i byciem poddawanych działaniu. Oko, ucho - oddzielone od ciała - mogą się wydawać czymś całkiem innym; ręka zawsze pozostanie ręką. Kiedy patrzy na nią oddzieloną od reszty ciała, mimo woli zaczyna myśleć o tym, do czego powinna służyć i co robić.

Mary podejrzewa, iż jej znalezisko ma coś wspólnego z kanibalistycznymi upodobaniami Fangów, i pospiesznie chowa wszystko z powrotem do woreczków, walcząc z mdłościami, po czym wybiega z chaty. Wioska jest pogrążona we śnie, dokoła słychać nocne odgłosy buszu. Mary krztusi się, zasłaniając usta ręką. W końcu mdłości ustępują i znowu może oddychać. Nie ma mowy o powrocie do chaty. Wierna swemu zwyczajowi, żeby prowadzić wszystkie poszukiwania w pojedynkę, podąża gładką ścieżką nad brzeg strumienia - tę drogę wskazały jej wcześniej kobiety. Jak wspaniale będzie splukać ten okropny smród z ciała i ubrania! To zaledwie sto metrów od wioski, codziennie chodzi tędy mnóstwo ludzi, nie powinno jej grozić żadne niebezpieczeństwo. Jest tak zmęczona, że mało ją to obchodzi, niemniej porusza się ostrożnie, jak najciszej, przystając co kilka kroków i nasłuchując.

W bezkسیężycowej ciemności błyskawicznie zrzuca ubranie, układa je na brzegu, a następnie powoli, myśląc z lękiem o tym wszystkim, czego nie widzi, a co może tam na nią czyhać, wchodzi do wody. Jest tak chłodna, że Mary natychmiast całkowicie przytomnieje.

Zanurza się cała, płynie, wykonując szerokie ruchy ramionami, czując ciężar mokrych włosów na głowie, doświadcza bardzo przyjemnego uczucia odświeżenia. Kładzie się na wznak, unosi się bez ruchu, wpatrzona w perłowe obłoki sunące na tle bezgwiezdnego nieba. Wychodzi na brzeg dopiero po godzinie, a kolejną godzinę spędza na próbach osuszenia się za pomocą swojego jedwabnego pasa. Od wielu dni nie czuła się równie dobrze.

Nie chcę wracać do Anglii, przemyka jej przez głowę niespodziewana myśl. Nawet po tym, co widziałam i czego się dowiedziałam. Nie chcę tam wracać. Już nigdy.

Jest zupełnie tak, jakby ktoś powiedział jej to do ucha. Mary idzie ścieżką ku wiosce, w wyobraźni zrzucając nie tylko mokry strój, ale i skórę. Staje się nową kobietą, stąd, która budzi się ze snu o zupełnie innym świecie i żałuje, że ten sen w ogóle jej się przyśnił.

5

Nazajutrz z rana, kiedy szykują się do wyruszenia w dalszą drogę, wódz, w którego chacie nocowała, chce z nią jeszcze handlować. Zaraz po przybyciu do wioski dała mu w zamian za kilka kauczukowych kulek swój ulubiony czerwony szal - podarunek od Lucy Toulmin-Smith, który miała ze sobą w Paryżu. Wodzowi ogromnie przypadł do gustu; nosił go przez cały wieczór, miał go na sobie także o świcie, kiedy podszedł do niej i zapytał z troską i współczuciem, dlaczego spędziła noc na zewnątrz, na kocu, zamiast w jego chacie.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

Wymamrotał coś w narzeczu Fangów; nie zrozumiała, ale doszła do wniosku, że lepiej będzie nie prosić o powtórzenie. Wyjaśniła, że do opuszczenia chaty skłoniła ją uroda okolicy i przyjemny chłód nocy. A teraz wódz jest gotów przewrócić całą wieś do góry nogami, żeby znaleźć choć jeszcze jedną rzecz, której ona mogłaby pragnąć. Oczekiwanie się przeciąga. Stoją gotowi do wymarszu, uginając się pod ciężarem ekwipunku, pocąc się w szybko narastającym skwarze. W końcu Obanjo, który akurat teraz używa swojego afrykańskiego imienia, mówi:

- Niewątpliwie i zapewne w grę wchodzi coś, co od dawna stanowiło bynajmniej jego własność, pani.

- Nie mam pojęcia, co mogłabym mu za to ofiarować. Czy to ma jakiś związek z religią?

- Niestety, bynajmniej nie umiem tego stwierdzić.

Czekają. Mary powtarza w myślach to, czego zdołała do tej pory dowiedzieć się o fetišach. Być może chodzi właśnie o coś takiego, o jakieś *juju*, które będzie mogła dołączyć do kolekcji.

Wreszcie przy wtórze triumfalnych okrzyków przynoszą bezcenny przedmiot starannie zawinięty w workowe płótno. Mary jest przekonana, że oto za chwilę ujrzy bezcenny skarb, który w znaczący sposób wzbogaci jej wiedzę o religijnych obyczajach tych ludzi. Wódz wpatruje się w nią z miną dziecka czekającego na urodzinowy prezent, ona zaś ostrożnie odwija płótno... i odsłania zwyczajną prostą brzytwę, taką, jaką posługują się angielscy dżentelmeni. Nie potrafi ukryć rozczarowania. Wódz widzi wyraz jej twarzy, robi mu się wstyd, sprawia wrażenie niemal załamanego. To bardzo przykre widzieć taką reakcję kogoś, kto do tej pory był tak dumny i wyniosły. Mary wyciąga z walizy pasek, z którego prawie nie korzysta, ale zachowuje się tak, jakby był to niezwykle cenny przedmiot; wodzowi natychmiast robi się różniej i we dwójkę idą na herbatę do chaty, u której powały wiszą worki z okropieństwami. Czy to światło dzienne sprawia, że smród wydaje się nieco mniej dokuczliwy? Przez półtorej doby, jaką z nimi spędziła, nauczyła ich pić herbatę. Okazali się pojętnymi uczniami, piją więc herbatę - Mary i jej przyjaciel, wódz Fangów. Mary wcale nie ma pewności, czy tak naprawdę brzytwa nie jest dla niego warta tyle samo co pasek dla niej, bo przecież oboje są doświadczonymi handlarzami, ale nie wracają do tego tematu. Piją herbatę w przyjemniej atmosferze, po czym rozstają się jak przyjaciele.

Ekspedycja z mozołem wspina się na wzniesienie, schodzi w dolinę, by zaraz potem powtórzyć wspinaczkę, a wszystko to w tropikalnej, przesyconej upałem zieleni. Nad ich głowami promienie słońca z trudem przeciskają się przez tysiące wąziutkich szczelin między gałęziami i liśćmi. Ścieżka staje się coraz węższa, w ruch idą maczety. Mary, w czarnej sukni, dotrzymuje kroku mężczyznom, stara się nie okazywać narastającego zmęczenia. Przy gigantycznej skale, która wygląda tak, jakby spadła z nieba, natykają się na czterometrową kobrę z uniesioną przednią częścią ciała i rozpostartym kapturem. Omijają ją z daleka. Można by odnieść wrażenie, iż kobra zjawiała się na ich drodze po to, żeby przerwać im wędrówkę, zmusić do zmiany planów, do zwrócenia. Mary prosi o maczetę, ale nikt jej nie słucha. Poganin celuje z pistoletu, lecz wąż nagle opuszcza głowę i błyskawicznie znika w szczelinie skalnej. Czekają przez jakiś czas, pilnie nasłuchując, a następnie ostrożnie ruszają dalej, torując sobie maczetami drogę przez gęstą, wysoką trawę. Mary także pomaga; szybko dostaje pęcherzy na dłoniach, a palce tak jej sztywnieją, że nie może ich rozprostować, potem zaś zacisnąć. Zwykle

poprawienie kołnierzyka u sukni urasta do rangi niezwykle skomplikowanego problemu, lecz ona stara się nie zwracać na to uwagi, wytrzymać, także teraz nie okazać słabości.

Wreszcie docierają do wierzchołka ostatniego wzniesienia, z którego roztacza się widok na płaski, dziki teren ciągnący się aż do brzegów rzeki Remboue. Po jej drugiej stronie widać kolejne wzgórza, zasnute błękitną mgiełką wczesnego poranka, spowite mgłą i poznaczone plamkami białych skał wyglądających tak, jakby spod warstwy ziemi wydobywała się na powierzchnię tajemnicza, kremowa substancja stanowiąca jestestwo nie tylko tej jednej, ale wszystkich okolicznych gór. A wszystko to pod niebem tak błękitnym, jak błękitne nigdy nie bywa niebo w Anglii, niezależnie od pory roku. Nie chcę wracać. Już nigdy.

6

Nawet jej samej trudno określić, kiedy wpadła na pomysł, żeby zarzucić badania nad rybami, fetyszami, florą i fauną, zebrać małą grupkę ludzi - „moich ludzi”, tak o nich myśli - i wspiąć się na wierzchołek góry Kamerun, czyli, jak nazywają ją Afrykanie, Mungo Mah Lobeh - Tronu Burzy.

Kiedy już po powrocie z Konga Francuskiego i krainy Fangów Mary widzi ponownie ten szczyt z pokładu *Nigru*, niemieckiego frachtowca, który dowiózł ją na północ do rzeki Kamerun, w głębi duszy wierzy głęboko, iż pragnienie odbycia tej wspinaczki zrodziło się w niej już podczas pierwszej wyprawy na południe w roku 1893, kiedy ogarnęło ją wymieszane z lękiem zdumienie i zachwyt nad niewzruszonym majestatem ozdobionym przepięknymi odcieniami barw i wariacjami kształtów, nad szczytem ginącym w śliwkowych obłokach, nad skalistą zachodnią ścianą poznaczoną plamami zieleni i brązu.

Stojąc na pokładzie *Nigru*, przyrzeka sobie, że podejmie próbę i natychmiast zaczyna namawiać Obanjo i pozostałych, żeby jej towarzyszyli. Odnoszą się do pomysłu bez większego entuzjazmu. Obanjo informuje ją, że chwilowo nie jest zainteresowany wdrapywaniem się na żadne góry ani uczestniczeniem w kolejnych ekspedycjach. Chce spokojnie siedzieć na werandzie, palić angielską fajkę, popijać francuską brandy i podziwiać zachody słońca. Inni mają na ten temat podobne zdanie.

To najbardziej luksusowy statek w tym rejonie; oprócz nich na pokładzie znajdują się misjonarze i tubylcy - handlarze z plemion Fjort i Ajoumba. Okazuje się, że Afrykanie niechętnie wystawiają się na działanie chłodnego powietrza na większych wysokościach.

Niektórzy patrzą na nią tak, jakby właśnie weszła w końcową fazę szaleństwa - to ci, którzy od początku uważali ją za niespełna rozumu.

Góra Kamerun ma dwa wierzchołki: niższy, wznoszący się zaledwie na tysiąc osiemset metrów, to lita skała. Tron Burz jest ponad dwukrotnie wyższy i o ile wiadomo, nie dotarła tam jeszcze żadna kobieta, Europejka ani Afrykanka. Niewielu mężczyzn zdołało tego dokonać. Wszyscy, którym się powiodło, wspinali się od zachodniej strony - nikt jeszcze nie odważył się zdobywać góry od wschodu. Gdyby udało jej się tam dotrzeć, mogłaby spojrzeć na afrykańskie wybrzeże jakby z samego nieba. Stałaby na jednym z najwyższych szczytów kontynentu. Czuje przypływ determinacji, wyobraża sobie radosne uniesienie i cudowną przyjemność, kiedy spojrzy z góry na kraj, po którym tyle podróżowała, który badała i w którym żyła.

Kiedy *Niger* zawija na krótko do portu Corsica, Mary schodzi na brzeg, by zdobyć trochę zapasów na wspinaczkę. Niewiele zostało jej na wymianę: wpycha do torebki kilka kostek angielskiego mydła, parę małych fetyszów oraz brzytwę ofiarowaną jej przez wodza Fangów. Rozpalone słońce wisi wysoko na niebie, panuje potworna wilgoć. Pora deszczowa zbliża się wielkimi krokami. W powietrzu unoszą się rzeczne wyziewy, chmury komarów tworzą ciemne chmury nad wodą. Po niedawnym ataku żarłocznych mrówek ludzie wciąż jeszcze tarzają się po ulicach. Mężczyzna i kobieta stoją przy jednej z chat, załamują ręce i rozpaczają głośno, jakby zostawili wewnątrz coś niezmiernie cennego. Mary zagląda do środka i widzi maleńkie dziecko przykryte ruchomą kołdrą żerujących mrówek. Rzuca się naprzód, chwytając dziecko, wyciąga je na zewnątrz, nie zważając na bolesne ukąszenia. Jest ciężkie, zimne, nieruchome. Mary patrzy z przerażeniem, jak matka wrywa jej dziecko z rąk i wpycha pod wodę. Mężczyzna i kobieta przyglądają się jej z wdzięcznością, ale i zdziwieniem. Mary żąda, żeby natychmiast wydobyli dziecko na powierzchnię. Oboje posługują się narzeczem Kuru i rozumieją ją, toteż ich zdziwienie jeszcze bardziej przybiera na sile.

- Nie, pani - mówią. - To nie być dziecko.

Wyjmują rzekome „dziecko” z wody. Mrówki potopiły się co do jednej, w rękach kobiety spoczywa sporych rozmiarów szynka. Mężczyzna dziękuje ruchem głowy, a następnie wybucha śmiechem. Po chwili dołącza kobieta, a potem inni; w tym chórze Mary bezbłędnie wychwytuje znajomy sarkastyczny rechot; odwraca się i dostrzega Jamesa Henleya Batty'ego w towarzystwie dwóch Fulani. Jest o jakieś pięć kilo cięższy niż wtedy, kiedy widziała go ostatnio, i znacznie bardziej zarośnięty, ale to bez wątpienia James. Rusza w jego stronę i nagle uświadamia sobie z bolesnym skurczem serca, że on jej nie poznał.

- James Batty.

- Panna Kingsley - odpowiada, nie przestając się śmiać.

- Wydawało mi się, że pan mnie nie poznaje.

- Nigdy nie zdołałbym pani zapomnieć, panno Kingsley.

W jego oddechu czuć woń rumu i tytoniu, nie golił się od wielu dni. Mary cofa się o krok, on zaś obraca się powoli, jakby chciał, żeby mu się dobrze przyjrzała, po czym mówi:

- Mam nadzieję, że wszystko u pani w porządku? Słyszałem o pani rozmaite rzeczy.

- Pisałam do pana. Wysyłałam listy przez kompanię Goldiego. Widziałam się z nim tego samego wieczoru co pan, w Londynie.

- Ach tak. O ile wiem, prosiłem, żeby przekazał pozdrowienia. Właśnie wyruszałem do Sierra Leone.

- Goldie przekazał pozdrowienia, ale mnie zależało na tym, żeby zobaczyć się z panem osobiście.

Kłania się jej w pas.

- Oto jestem.

Prowadzi ją do jednego z pawilonów na bazarze, prawie całkowicie opustoszałego w związku z atakiem mrówek. Informuje ją, że w Afryce Południowej szykują się poważne kłopoty i w związku z tym postanowił na dobre wrócić do Anglii.

- Czy miewa pani kiedykolwiek uczucie, że widzi pani przyszłość?

- Tylko wtedy, kiedy spodziewam się czegoś złego.

- No więc ja właśnie dobrze wiem, co tu się będzie działo. Ten nieszczęsny, piękny, cholerny kontynent jest jak ogromny tort, na który wszyscy mają chrapkę. Nie chcę patrzeć, jak dzielą go na kawałki nasączone krwią tych ludzi. Co prawda nie zgodziłbym się wskoczyć z nimi do kąpieli, ale ich lubię, lubię z nimi handlować, lubię ich szczone sztuczki i poczucie humoru. Ich największy problem polega na tym, że ufają draniom, którzy chcą im to wszystko odebrać. Tym cholernym, zaczytanym w Biblii sukinsynom.

- Będą walczyć - mówi Mary. - Ci, których znam, będą walczyć.

- Są na to za bardzo podzieleni. Za dużo plemion. Tamci o tym dobrze wiedzą. W końcu nie na darmo zbudowali imperium.

- Mimo to będą walczyć.

Batty kiwa głową, pogrążony w myślach, i chwieje się lekko na nogach.

- Skoro tak, to znaczy, że są głupszy, niż myślałem. Zapłacą za to krwią. Ci na wybrzeżu nauczyli się dostosowywać, mówią nowym językiem. Są z tego dumni. A tamci... Zapłacą krwią.

- Jest pan w jeszcze bardziej ponurym nastroju niż zwykle.

- Powodem problemów w Afryce Południowej nie są czarni, tylko biali. Holendrzy i francuscy hugenoci. Burowie.

- Słyszałam o nich.

Batty kręci z uśmiechem głową.

- Afrykanerzy - dodaje Mary.

- Tak, tak. Wojna wisi na włosku. Transwal i Wolne Państwo Oranje przeciwko Koronie. W Transwalu właśnie odkryto złoto, panno Kingsley. Już niedługo wszyscy będą się o nie zabijać.

- Nie dam się tak łatwo zniechęcić.

- No cóż, tylko jedno z nas może mieć rację. Oby była to pani.

Milczą przez jakiś czas. Batty obserwuje bez słowa, jak Mary usiłuje wymienić dwie kostki mydła na manierkę z wodą. Kobieta, z którą się targuje, jest czarna jak heban, ma pełne zmysłowe wargi i szerokie ruchliwe nozdrza. Mary w końcu proponuje jej brzytwę, a kobieta bierze ją i daje w zamian manierkę.

- Nie chcesz szynka? - pyta z uśmiechem na swoich niebywale mięsistych ustach.

- Nie - odpowiada Mary z przesadną godnością.

Batty parska śmiechem, wtóruje mu czarna kobieta, oboje rozmawiają w języku, którego Mary nie rozumie. Domyśla się jednak, iż rozmowa dotyczy jej, a konkretnie odwagi, z jaką pospieszyła na ratunek „dziecku”.

- No dobrze - sapie wreszcie Batty, ocierając oczy załzawione od śmiechu. - Dokąd się pani tym razem wybiera?

- Zamierzam zdobyć górę Kamerun.

Wpatruje się w nią na tyle długo, aby nabrać pewności, że to nie był żart.

- I to od wschodniej strony - dodaje Mary.

Batty poważnie unosi rękę, czyni w powietrzu znak krzyża, po czym mamrocze po łacinie:

- *In nomine patrias et filie et spiritu sancti, amen.*

Mary uśmiecha się i kiwa głową.

- Nawet dla pani.
- Nie rozumiem.
- To za trudne nawet dla pani, panno Kingsley.
- Wolałabym sama się o tym przekonać.
- Pycha nie jest dobrym doradcą.

Towarzyszy jej w drodze powrotnej do portu. Konwersacja, jaką prowadzą, jest bardzo sztywna i oficjalna. Rozmawiają o angielskiej elicie towarzyskiej, o wspólnych znajomych, o nieszczęsnym Dołokowie z pakietem listów miłosnych i zrujnowaną wątrobą, o Goldiem i jego żonie, o MacDonaldach, których Batty zna tylko trochę. Mary opowiada mu, jak dobrze czuła się w towarzystwie pani Goldie, on zaś dzieli się z nią planami rozpoczęcia pracy dla Towarzystwa Geograficznego. Na razie to jeszcze nic konkretnego ani pewnego, nic w rodzaju zamiaru zorganizowania wspinaczki na cholerną górę na najbardziej niedostępnym wybrzeżu na świecie.

Kiedy statek odbija od brzegu, Batty stoi na wilgotnych deskach pomostu i smętnie macha na pożegnanie.

- Kto to być, pani? - pyta Szara Koszula. Mary patrzy na przyjaciela, który wciąż macha.
- To być mój pierwszy przyjaciel daleko od dom - mówi.
- Dobry człowiek zawsze w jeden czas.
- Rzeczywiście. - Ku swemu zdumieniu czuje, że lada chwila może się rozpląkać. -

Dobry człowiek zawsze w jeden czas...

Jakiś czas potem zza obłoków na wschodzie wyłania się potężna sylwetka góry Kamerun.

- Idę tam - informuje Szarą Koszulę. - Bez względu na wszystko, co mówisz. Chcę zobaczyć stamtąd to miejsce na oceanie, w którym teraz jesteśmy.

Kiwa głową na znak, że jej wierzy, ale w tym geście jest też trochę pobłażania.

- Pójdiesz ze mną? Proszę...

Uświadamia sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu użyła tego słowa w rozmowie z innym człowiekiem. Czy to możliwe? Rozpaczliwie szuka w pamięci, może jednak już kiedyś, wcześniej ...

Szara Koszula kręci głową.

- Nie ma mowy, pani.

W Victorii musi wynająć zupełnie nową ekipę, co tak mocno nadweręża jej zapasy energii i środków finansowych, że w dzień wymarszu budzi się przed świtem z potworną migreną. Jeszcze bardziej gnębi ją jednak coś innego, coś, co pojawiło się podczas krótkiego spotkania z Battym i żeglugi na pokładzie *Nigru*. Czy to możliwe, żeby od wielu tygodni, a nawet miesięcy, była w gruncie rzeczy zupełnie sama? Odmowa Szarej Koszuli była jak ostre ukłucie w sercu. Poczowała to ukłucie powtórnie, kiedy spakował swoje rzeczy i pomachał jej na pożegnanie. Wygląda na to, że ona ostatnio wciąż się ze wszystkimi żegna.

Całe jej życie jest czymś w rodzaju pożegnania.

Dom misyjny w Victorii, w którym dostała pokój, prowadzą metodyści, pastorem jest Dennis Kemp. Jest ogorzały, o rumianej cerze i wysokim czole, ma łagodne zielone oczy i kasztanowe włosy z przedziałkiem pośrodku. Mary po raz pierwszy spotyka go z samego rana, kiedy przygnębiona i cierpiąca wychodzi na werandę, by kazać przewodnikowi obudzić pozostałych uczestników wyprawy. Nowym przewodnikiem jest ochrzczony Fulani używający imienia Tomasz - to dla uczczenia Tomasza z Akwinu, którego dzieła powoli czyta po niemiecku. Oprócz tego zna także angielski i kilka afrykańskich dialektów. Zachowuje się dość wyniośle, a czasem nawet impertynencko.

Mary mówi mu, żeby obudził pozostałych, a on odchodzi bez słowa, tak że nawet nie wie, czy na pewno ją usłyszał.

- Tomaszu?

- Właśnie idę, proszę pani.

Kemp wchodzi na werandę bocznym wejściem. Przed chwilą był z tyłu budynku, gdzie doglądał grupy małych chłopców niosących drewno. Na jej widok kłania się z szacunkiem.

- Panno Kingsley...

Ona również się kłania, zastanawiając się przy tym, czy wszyscy dokoła widzą potwornie bolesne pulsowanie w jej głowie.

Pastor przedstawia się, po czym odwraca, by sprawdzić, jak radzą sobie chłopcy z drewnem. Właśnie przechodzą na drugą stronę drogi, każdy z naręczem polan. Światło jest szare i bardzo słabe; to właściwie bardziej noc niż dzień, wszystko dokoła spowija mgła.

- Nie wiem, czy pani wie, panno Kingsley, ale stała się pani niemal legendą. Zewsząd docierają niezwykle opowieści na pani temat. Dzięki temu wiem, że nie ma pani zbyt wysokiego mniemania o misjonarzach.

- Trudno mi coś na to odpowiedzieć.

- Nie chciałem pani urazić.

- Ani ja pana. I nie czuję się urażona.

Pastor uśmiecha się, a ona od razu dochodzi do wniosku, że ten uśmiech to jego największy dar, a zarazem broń, którą potrafi każdego pokonać. Uśmiech jest piękny, jasny, przeistacza go w małego niewinnego chłopca.

- Przykro mi, że nie mogłem pani powitać wczoraj wieczorem.

- Prawie cały dzień spędziłam na poszukiwaniach ludzi, którzy zgodziliby się wziąć udział w wyprawie - mówi Mary, po czym wskazuje na widoczny w oddali masyw Kamerun.

- Tak, o tym też wiem.

- Zatem jest pan dobrze poinformowany.

Schodzi z werandy, ale nagle zatrzymuje się z dłonią zaciśniętą na poręczy.

- Czy coś pani dolega? Mary unosi dłoń do czoła.

- Tutaj...

Nim zdąży dokończyć albo cokolwiek zrobić, on chwyta ją za ramiona i prowadzi z powrotem na werandę. Stoją tam cztery drewniane fotele. Z pomocą pastora - nogi zupełnie nie chcą jej słuchać - siada w pierwszym z nich, na biegunach. Kołysanie fotela doskonale współgra z jej zawrotami głowy. Siła pastora jest zdumiewająca. Mary zamyka oczy, zdaje sobie sprawę, że minęło niezmiernie dużo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni czuła bliskość innej osoby. Nie ma pojęcia jak dużo. Wymawia w myślach słowo „proszę” i unosi rękę do oczu, próbując przypomnieć sobie swoje życie sprzed czasów, kiedy zaczęła podróżować. Nie wie, czemu, wydaje jej się bardzo ważne, żeby to sobie przypomnieć, ale nie może się skoncentrować, nagle jej myśli kierują się do dziecka, które objęło ją w Calabarze, i do uścisku dłoni kapitana *Nigru*. Wspomnienia stapiają się i mieszają w tyglu gorączki. Niespodziewanie przytomnieje, pastor podtrzymuje ją w fotelu, a ona nie ma pojęcia, kiedy ostatnio ktoś jej tak pomagał, kiedy ostatnio była tak blisko dorosłego mężczyzny. To wszystko jest bardzo niepokojące.

Pastor siada w sąsiednim fotelu, przez jakiś czas nic nie mówi. Na podwórku jej ludzie szykują się do wymarszu. Tomasz obserwuje ich, stojąc w rozkroku, z rękami na biodrach.

Zaczyna się dzień, pojawiają się kolory, niebo na wschodzie przybiera barwę żarzącego się węgla. Kemp zachowuje się tak, jakby oboje przyszli tu właśnie po to, by w milczeniu przyglądać się przygotowaniom i podziwiać wschód słońca.

- Dziękuję panu - mówi wreszcie Mary. - To bardzo miło z pańskiej strony. Czuję się już trochę lepiej.

- Proszę mi wybaczyć szczerość, ale wygląda pani okropnie.

Mary nie odpowiada.

- Sądzę, że powinna pani odłożyć tę wyprawę na później. Jak zwykle Mary jednak znajduje siły, żeby wstać. Ma wrażenie, że w mózg wbijają się jej ostre sztylety. Mruga raptownie i siada z powrotem, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Słyszy, jak pastor mówi Tomaszowi, żeby kazał ludziom odłożyć bagaże i poczekać, i jak Tomasz przekazuje polecenie tonem człowieka, który wiedział od samego początku, że tak to się skończy. Brakuje jej jednak energii, żeby protestować.

Nieco później pastor pomaga jej wejść do domu i wdrapać się po schodach na piętro. Mówi, że zaraz każe przynieść wody, i pyta, czy potrzebuje jeszcze czegoś. W domu misyjnym jest również lekarz.

- Mogę go sprowadzić dosłownie za minutę.

Stoją w holu przed otwartymi na oścież drzwiami jej pokoju. Hol jest długi, mroczny, na ścianie wiszą obrazy przedstawiające mężczyzn w eleganckich strojach, z wąsami, emanujących powagą i przekonaniem o słuszności tego, co czynią.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Więc może coś innego?

- Nic mi nie jest. Bardzo panu dziękuję.

Zaraz po wejściu do pokoju kładzie się w ubraniu na łóżko i natychmiast zapada w niespokojny, męczący sen. Budzi się zlna potem. Obok łóżka stoi miednica z chłodną wodą. Mary drżącą ręką moczy w niej ściereczkę, wyżyma, ociera twarz, szyję, kark. Przez okno wlewają się strumienie oślepiającego blasku, słońce jest jakby za blisko, płonie tuż nad postrzępionymi wierzchołkami palm.

Schodzi na dół, na werandę, na której siedzi Kemp w tym samym fotelu co poprzednio. Bujany fotel jest pusty, ale kiwa się lekko, i Mary przemyka przez głowę podejrzenie, że pastor dopiero co się przesiadł. Wachlując się i popijając herbatę, spogląda na nią z udawaną - tak jej się przynajmniej wydaje - obojętnością.

- Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej, panno Kingsley?

Mary siada w fotelu na biegunach. Przeczucie jej nie myliło: siedzisko jest ciepłe. Kemp obserwuje ją, czekając na reakcję, ale ona kołysze się w milczeniu.

- Pomyślałem sobie, że to pani miejsce - odzywa się w końcu pastor.

- Ja nie zgłaszam do niego żadnych pretensji - odpowiada Mary z lekkim skinieniem głowy, czując, jak na jej policzkach rozkwitają intensywne rumieńce. Pospiesznie odwraca wzrok. To niezwykle dla niej zawstydzienie sprawia, że nie potrafi wykrztusić ani słowa.

- Siedziałem tu i myślałem o pani - przerywa w końcu Kemp przedłużające się milczenie.

- Naprawdę czuję się już znacznie lepiej.

- Próbowałem sobie wyobrazić, jakie życie czeka panią po powrocie do Anglii.

Mary nie reaguje, Kemp zaś zaczyna opowiadać o Anglii i o tym, jak bardzo za nią tęskni. Owszem, kocha Afrykę, ale często ogarnia go nostalgia za domem. Czy jej także się to zdarza?

- Tylko wtedy, kiedy jestem w Anglii.

- A więc chce pani powiedzieć, że tęskni wyłącznie za Afryką?

- Owszem.

- Bardzo się różnimy, nieprawdaż?

To pytanie chyba nie wymaga odpowiedzi.

- A jednak nadal sądzę, iż oboje znaleźliśmy się tu po to, żeby pomóc tym ludziom zatroszczyć się o siebie.

- Wątpię, czy potrzebują naszej pomocy. Szczerze mówiąc, znacznie bliżej mi do poglądu, że najlepiej byśmy zrobili, zostawiając ich w spokoju.

- W Anglii takie myślenie nie przysporzy pani przyjaciół.

- W Anglii nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Resztę popołudnia spędzają na niespiesznej, przerywanej długimi okresami milczenia, rozmowie o kraju, w którym przebywają, jego ludziach i ich obyczajach. Nerwowość Mary ulatnia się bez śladu. Nabiera zaufania do rozmówcy, wyczuwa, że ten jest z nią całkowicie szczerzy i że nie stara się jej oceniać. Wie sporo o tajnych związkach i o roli, jaką odgrywają w upowszechnianiu wiary w magię, zdaje też sobie sprawę z ogromu problemów, jakie trzeba stopniowo rozwiązywać, myśląc o wprowadzeniu chrześcijaństwa w tych rejonach świata. Oczywiście jego zdaniem jest to zadanie ważne i szlachetne. Mary ma na ten temat - podobnie zresztą jak niemal na każdy - całkowicie odmienne zdanie, ale stwierdza, że pastor nie jest

głuchy na logiczne i jasno sformułowane argumenty i że przynajmniej podejmuje wysiłek zrozumienia poglądów rozmówcy.

- Nawet jeśli kiedykolwiek się nawrócą, to raczej na islam - twierdzi Mary. - Łatwiej go zaadaptować do ich stylu życia i przejście byłoby łatwiejsze.

- Czy trudność i łatwość to jedyne kryteria, jakimi powinniśmy się kierować?

- Chodziło mi o to, że przejście będzie mniej krwawe.

- Co nie zmienia sensu mojego pytania o kryteria.

- Oczywiście, że nie. W Europie kierujemy się również innymi kryteriami, nie widzę powodu, dla którego tutaj mielibyśmy postępować inaczej.

- Otóż właśnie.

Do obiadu siadają razem z innymi osobami przebywającymi na terenie misji: młodym lekarzem o niezdrowym ziemistym obliczu, zeuropeizowanym Fjortem bez przedniego zęba i paskudną blizną biegnącą przez usta - pamiątką po walce na maczety z niemieckim marynarzem przed dziesięciu laty, oraz dwoma starszymi kapłanami, przebywającymi w Afryce od końca lat osiemdziesiątych. Rozmowa dotyczy licznych porażek i nielicznych sukcesów w administrowaniu tymi terenami, szczególnie zaś represji i okrucieństw w Kongu Belgijskim. Jeden z kapłanów, wysoki i piegowaty dżentelmen o wyjątkowo chudej szyi, mówiąc o Afrykanach używa słowa „czarnuch”, co spotyka się z grzecznym protestem Kempa. Nieco później ten sam człowiek opowiada o jednym z miejscowych wiernych, który przestał uczęszczać na niedzielne nabożeństwa, a nie dalej jak tego ranka był widziany z amuletem przywiązanym do nadgarstka - był to skórzany woreczek z niezidentyfikowaną, ale na pewno odrażającą zawartością.

- Korzystają z każdej sposobności, żeby wrócić do dawnych praktyk. Te czarnuchy mają to po prostu we krwi.

- Jak się nazywa ten człowiek? - pyta Mary.

- Proszę?

- Chciałabym wiedzieć, jak się nazywa ten człowiek, ten od amuletu.

- Zdaje się, że na chrzcie przyjął imię fan.

- A do jakiego plemienia należy?

- Słucham?

- Jestem ciekawa do jakiego plemienia należy ten człowiek. Mende? Mpongwe? Fjort? Fulani? Ajoumba? Fang?

Pastor zerka na Kempa, po czym przenosi wzrok z powrotem na Mary.

- Nie mam pojęcia i nawet nie zamierzam się domyślać. Zresztą oni wszyscy są mniej więcej tacy sami, prawda?

- Skoro nie zamierza się pan domyślać, to czy tak samo mało uwagi poświęciłby pan różnicom między Niemcem i Holendrem, albo między mieszkańcem Yorkshire i mieszkańcem Dublina? Oni przecież też są mniej więcej tacy sami.

Mężczyzna ponownie spogląda na Kempa.

- Kemp, o co tu chodzi?

- Panna Kingsley jest adwokatem.

- Nie chciałam pana urazić, tylko zwrócić uwagę, że naprawdę będziemy mogli pomóc tym ludziom dopiero wtedy, kiedy ich poznamy takich, jacy są. Żeby tego dokonać, musimy przede wszystkim traktować ich jak ludzi.

- To niby powinienem uganiać się z nimi po buszu, tak? Wielkie dzięki, to nie dla mnie. Z tego, co wiem, również nie dla nikogo z tej misji. Tak przynajmniej było do pani przybycia, młoda damo. A poza tym, za pozwoleniem, nie przywykłem do tego, żeby wysłuchiwać wykładów od kogoś... hm... z pani klasy.

- Szczerze mówiąc, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę mieć do czynienia z kimś z wyższej klasy.

- Chodzi mi również o wiek, proszę pani.

- Ogromne doświadczenie, jakie zebrała panna Kingsley, daje jej wszelkie prawo do tego, żeby nas pouczać - wtrąca się Kemp. - Nie uważasz, Martin?

- Nie, nie uważam - odpowiada Martin. - Ani trochę.

- Nie chciałam nikogo urazić.

Mężczyzna wstaje, składa serwetkę i z godnością obciąga kamizelkę.

- Jeśli państwo wybaczą...

Zatrzymuje się przy szerokich drzwiach prowadzących na werandę, wyjmując z kieszeni marynarki fajkę, wkłada ją do ust, po czym wychodzi. W pokoju przez jakiś czas panuje cisza.

- Może pani wierzyć albo nie, ale ten Martin to w gruncie rzeczy dobry człowiek - przerywa milczenie Kemp. - To wszystko, co pani powiedziała, da mu dużo do myślenia. Będzie się zastanawiał i będzie się modlił, ale koniec końców i tak nie zmieni zdania.

Nazajutrz rano wraz z nową ekipą rozpoczyna wspinaczkę po wschodnim zboczu góry Kamerun. Już w chwili wyruszenia z Victorii zaczyna padać zimny deszcz, który towarzyszy im aż do pierwszego obozu w miejscu zwanym Buana, tam gdzie kończy się droga. Jest to obóz misyjny prowadzony przez dwóch afrykańskich dżentelmenów. Mary spędza tam bezsenność noc wśród gromady Afrykanów uczestniczących w czymś w rodzaju wędrownego seminarium biblijnego. W jej pokoju na ścianach wiszą małe obrazki z inspirującymi moralnie scenami, a na nocnym stoliku stoi dagerotyp przedstawiający mężczyznę i kobietę wpatrzonych w migoczący płomień latarni.

Odwraca go do ściany.

Nazajutrz deszcz objawia się jako gęsta, niemal lepka mgła. W związku z tym wyruszają później, niż zamierzała, ale i tak udaje im się dotrzeć do kolejnego obozu, tym razem posterunku rządowego. Kierujący nim człowiek nazwiskiem Liebert zaprasza ją do swego niewykończonego jeszcze domu: okna nie mają okiennic, wszędzie puste drewniane ramy czekające dopiero na obicie deskami. Wątpliwe to schronienie, a w dodatku nie mogłaby tam liczyć niemal na żadną prywatność.

Dni mijają powoli przy wciąż takiej samej pogodzie. Mary znowu cierpi na migrenę. Herr Liebert jest uprzejmy, bardzo zaintrygowany i chętny do konwersacji. Rozmawiają powoli po niemiecku, a potem on próbuje wycisnąć z siebie kilka angielskich zwrotów. Widać, że bardzo ceni sobie możliwość porozmawiania w ojczystym języku, ale Mary nie ma ochoty na dyskusje. Grzecznie, ale stanowczo informuje go, że musi odpocząć.

- Znudziłem panią - zauważa Liebert ze smutkiem.

Aż do tej pory Mary myśli, że ma dosyć męskiego towarzystwa, teraz jednak uświadamia sobie, że to zwyczajne zmęczenie, choroba i trudy minionego dnia. Pyta go, czy ma jakiś alkohol.

- Wino - odpowiada z niezbyt pewną miną.

- Czy może mnie pan poczęstować?

- *Ja*, oczywiście. Tak.

To francuskie wino, które dostał od przyjaciół. Otwiera butelkę, nalewa całkiem sporo do kieliszków. Najwyraźniej uznał, że oznacza to zaproszenie do dalszej rozmowy. Widać, jak bardzo ulżyła mu świadomość, że jednak jej nie znudził. Mary zastanawia się, czy tam skąd przyjechał, też by się tym tak przejmował. W rzeczywistości wcale nie sprawił na niej wrażenia

nudziarza. Podnosi kieliszek do ust, pije, prawie nie czując smaku, opróżnia go znacznie szybciej, niż uczyniłaby to w Londynie, prosi o następny. Gospodarz dolewa, kilkakrotnie przenosząc wzrok z kieliszka na nią i z powrotem. Ona pije, a on mówi. Zależy mu na podkreśleniu wysokiej jakości tego wina, co czyni, mówiąc w swoim języku długimi, złożonymi zdaniami. Mary kiwa głową i znowu podsuwa kieliszek.

- Może byśmy chlapnęli jeszcze trochę, co, kapitanie? - pyta w cockneyu, ledwo zdając sobie z tego sprawę.

Gospodarz dolewa, stukają się kieliszkami. Zewsząd dobiega zwykła leśna afrykańska wrzawa, deszcz pada bez przerwy, a ona przynajmniej jest w suchym miejscu, choć w mokrym i zabłoconym ubraniu. Wreszcie podnosi się z krzesła i od razu czuje działanie wypitego wina.

- Dobrej nocy, kapitanie.

Idąc do drzwi, czuje na sobie jego spojrzenie. Na chwilę opiera się o futrynę - nie w związku z wypitym winem, tylko z potwornym zmęczeniem.

- *Gute Nacht* - słyszy za plecami.

W swoim pozbawionym okiem pokoju siada na łóżku i czka głośno. Ogromnie ją to rozbawia. Kładzie się, podkula nogi, nie zdejmując butów, wsłuchuje się w bębnienie deszczu. Po chwili głęboko śpi.

9

Rankiem stwierdza, że większość uczestników wyprawy, w tym także Tomasz, nocą wróciła do Victorii. Został tylko jeden Fulani imieniem Kefalla i przewodnik z plemienia Fjort, niejaki Bum. Herr Liebert natychmiast ofiaruje jej pomoc i wypożycza trzech ludzi zatrudnionych na posterunku: Liberyjczyka Xenię, zeuropeizowanego Mpongwe imieniem Sasu oraz człowieka, którego Mary nazywa Jutrem, niepewnego pochodzenia, posługującego się niezrozumiałym językiem. Herr Liebert daje jej również składane łóżko polowe - bardzo zmyślny sprzęt skonstruowany dla wojska przez jego przyjaciela z Dusseldorfu, który zapewne przypuszczał, że Liebert będzie sypiał w Afryce pod gołym niebem. Spakowanie wszystkiego wymaga nie lada pomysłowości, a trwa to tak długo, że wreszcie zaczyna ją bawić. Z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Herr Liebert jest taki poważny, taki zaangażowany, tak bardzo stara się pomóc, a równocześnie widać, że się o nią niepokoi. Jest już późno, kiedy wreszcie są gotowi do drogi, a wtedy Kefalla uznaje za stosowne poinformować ją, że dzisiaj jest niedziela.

Z jego tonu jasno wynika, iż powinni spędzić ten dzień na odpoczynku. Mary dziękuje mu chłodno za przypomnienie i mówi, że zna się na kalendarzu.

Deszcz wciąż pada, posuwają się naprzód bardzo powoli. Przed wieczorem docierają do granicy lasu i rozbijają obóz. Mary idzie sama trochę naprzód, aby w gasnącym świetle obejrzeć czekające na nich skały. Nie ma jej zaledwie kilka minut, ale kiedy wraca, połowa ludzi zdążyła się upić zabranym w celach leczniczych rumem. Tylko Kefalla nie wypił ani kropli. Pogoda pogarsza się z każdą chwilą. Nie ma sposobu, by ochronić się przed deszczem.

- Chcemy wracać, proszę pani - mówi Kefalla.

Zdażyła się już przekonać, że kiedy mówi „my”, zawsze ma na myśli siebie. Pod tym względem przypomina Tomasza.

- Wrócimy, jak tylko zdobędziemy wierzchołek.

- Nic nie być widać z wierzchołek, duża za bardzo deszcz!

- Nie szkodzi. Dobranoc, Kefalla.

Kręci z niezadowoleniem głową, odwraca się i zaczyna otwierać konserwę, mamrocząc coś pod nosem.

10

Okazuje się, że Kefalla miał rację.

Mary wspina się samotnie w marznącej mżawce, a kiedy wreszcie dociera na szczyt, dokoła widzi tylko nieprzeniknioną biel, ścierające się żywioły, niemal jak na początku świata. Ostatni, oprócz niej, członkowie ekspedycji - Kefalla i Xenia - zostali w poprzednim obozie. Wyprawie od początku towarzyszyły opóźnienia, niesnaski i dezercje. Dwukrotnie musiała posyłać ludzi do Herr Lieberta po dodatkowy prowiant. Ludzie zmarkotnieli, stali się nerwowi i porywczy, kilkakrotnie o mało nie doszło do bójek. Mimo to jakoś udawało się zmuszać ich do posłuchu, aż wreszcie, po przepięknym dniu, podczas którego mogła podziwiać wspaniałe widoki z trzech czwartych wysokości góry, nastąpiło kolejne załamanie pogody. Kefalla i Xenia towarzyszyli jej do ostatniego obozu, ale kategorycznie odmówili dalszej wspinaczki. Musiała wyruszyć sama, w zamarzającym deszczu wymieszanym ze śniegiem.

Po tamtym wspaniałym, pogodnym dniu zostały jej oparzenia słoneczne, które teraz pieką nieznośnie, kiedy Mary chwieje się na nogach na smaganym wiatrem wierzchołku, zupełnie sama.

Sama.

Młoda kobieta stojąca samotnie na jednym z najwyższych afrykańskich szczytów. Mary Henrietta Kingsley, mól książkowy, niegdyś odludek, angielska stara panna bez żadnego formalnego wykształcenia, trzydziestodwuletnia, z Highgate, Cambridge, Addison Road i Londynu. Podróżowała tu afrykańskimi rzekami, przez niezbadane obszary, wśród ludzi, którzy nigdy wcześniej nie widzieli białego człowieka. I oto tu jest.

No, no.

Przyznaje, że spodziewała się czuć coś więcej niż to, co teraz odczuwa: owszem, jest uniesienie, ale wymieszane z rozczarowaniem i obojętnością. Pojawia się też wrażenie bezsensowności, przeświadczenie o istnieniu czarnej pustki w jej życiu. Ten wyczyn na nic jej się nie przyda, w żaden sposób nie wpłynie na jej los.

Zostawia na szczycie swoją wizytówkę. Jest za zimno, żeby przebywać tu dłużej niż minutę albo dwie. Na ziemi leżą rozmaite przedmioty zostawione przez innych Europejczyków, ale nie przez kobietę. Poparzona twarz pali chłostana lodowatym wichrem, krew sączy się z popękanych ust, na policzku jątrzy się niezagojona rana.

Mary doskonale wie, że bardzo szybko po jej wizytówce nie zostanie żaden, nawet najmniejszy ślad, ale jakoś się tym nie przejmuje. Toczy jeszcze raz wzrokiem dookoła po nieprzeniknionej lodowatej bieli, a następnie zaczyna powoli schodzić z góry.

Rozdział 24

1

Prolog

Scena: Królewskie Biuro Kolonialne Imperium Brytyjskiego. Ściany zaznaczone jedynie ramami. Po lewej stronie mapa, z przodu globus. W prawej części sceny biurko, a po obu jego stronach flagi; powyżej portret królowej Wiktorii. Naprzeciw krzesło z twardym oparciem, na którym siedzi Mary Kingsley. Miejsce za biurkiem zajmuje sekretarz kolonialny, lord Chamberlain. Wygląda dokładnie tak, jak każdy się spodziewa, że może wyglądać sekretarz.

Lord Chamberlain:

- Jestem jedną z wielu osób, która czytała pani książki, panno Kingsley. Ogromnie je podziwiałem. Uważam, że są cudownie zabawne i pouczające. Nie jestem nieświadom pani siły oddziaływania. Nawet byłem na wykładzie, który wygłaszała pani w Żeńskim Towarzystwie Geologicznym. Oczywiście posłałem po panią z tego właśnie powodu. Mam nadzieję, że zechce pani wysłuchać, co mną kierowało.

Mary:

- Mam taką samą na-adzieję w stosunku do pana, sir. *Pauza.*

Proszę wybaczyć. N-nadzieję.

Lord Chamberlain:

- Czy jest pani tu wystarczająco wygodnie?

Mary:

przesuwa się nieznacznie, rozglądając dookoła

- Wystarczająco. To bardzo miłe biuro.

Lord Chamberlain:

- Osobiście wolę o nim myśleć jako o centralnym miejscu sieci, panno Kingsley, a o sobie jako o pająku, który tylko czeka na swoje ofiary.

Mary:

- Dołożę wszelkich starań, aby to zapamiętać, proszę pana.

Lord Chamberlain:

odchrząkuje i przybiera służbowy wyraz twarzy

- Jak bez wątplenia pani wie, panno Kingsley, od pewnego czasu aż do chwili obecnej Korona nie uzyskuje wystarczających dochodów z Afryki Zachodniej. Protektorat jest w nieładzie, a wojny handlowe tylko pogarszają sprawę. Jest w angielskim prawodawstwie precedens dotyczący wykorzystania podatków w celu podniesienia dochodów. Mam wrażenie, że nałożenie podatku na każdą chatę w protektoracie zwiększy niezbędne dochody, a te następnie pomogą uzyskać pewne korzyści dla tych samych ludzi, którym chce pani pomóc.

Mary:

- Wcale im nie chcę p-pomagać.

chwilę milczy, a potem odchrząkuje

- Wcale nie chcę pomagać ludziom w Afryce Zachodniej. Chcę, żeby ich zostawiono samym sobie i jednocześnie kontynuowano handel wymienny. W pertraktacjach, które

prorowadziliśmy z przywódcami plemion Afryki Zachodniej, zagwarantowaliśmy zachowanie ich własności.

Lord Chamberlain:

z pewną dozą frustracji

- Tyle razy już powtarzałem - nikt nie ma zamiaru zabierać niczyjej własności. W statucie nie ma ani jednego słowa, które by się do tego odnosiło. Jeśli Afrykanów można było nakłonić do przyjęcia nauki Chrystusa, to dlaczego nie można im wytłumaczyć, że to nie jest nic innego jak zwykły podatek. Zaledwie podatek.

Mary:

cierpliwie

- W umyśle Afrykanina zażądanie pieniędzy w taki sposób jest równoznaczne z zagarnięciem przedmiotu, który chce pan opodatkować. Oni są właścicielami swoich ch-chat. Chat. Sami je budowali. Podatek nałożony na taką chatę oznacza jej odebranie. Według ich prawa, w myśl każdej zasady obowiązującej w ich religiach, instytucjach i zwyczajach, płacenie podatku komukolwiek jest równoznaczne z tym, że odebrane zostaje im prawo własności. Oni walczą z panem w obronie swoich d-domów. To właśnie jest przyczyną wszelkich zamieszek i pan nie zdoła im zapobiec. Może być tylko coraz gorzej.

Lord Chamberlain:

tak jakby chciał ją uspokoić

- Jest pani znakomitym przeciwnikiem. Jest w pani siła, panno Kingsley, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek pomyślała pani, że ta siła może być użyta w obronie interesów pani królowej.

Mary:

- Nie mam w sobie żadnej siły. Jestem tylko dostarczycielką rozrywkowej literatury o egzotycznym kontynencie. Napisałam książkę, która przyniosła mi niezwykle bogactwo, a potem sprawiła, że wyjazd tam, gdzie chciałabym przebywać, stał się dla mnie o wiele trudniejszy - a mam na myśli Afrykę. Nie mam czasu dla siebie ani nie mam prywatnego życia. Oczywiście nie pragnę zostać politykiem. Jedyne staram się ochronić Koronę i ludzi mieszkających w Afryce Zachodniej przed dalszą przemocą. Bo będzie pan mia-ał... Proszę mi wybaczyć.

Pan będzie mia-ał wojnę z powodu tych podatków od ch-chat. I nic temu nie zapobiegnie. Musi pan natychmiast unieważnić to zarządzenie.

Lord Chamberlain:

ze złowróżbną rezygnacją i westchnieniem, po którym znać, że jest świadomy swojej nieograniczonej władzy

- Imperium prowadziło już niejedną wojnę.

Mary:

- Obawiałam się właśnie tego, że pan powie coś takiego. Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, żeby wojna wybuchła, jeżeli akceptuje pan wojnę, to nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Lord Chamberlain:

podnosząc się zza biurka

- No cóż, pewnie moglibyśmy jeszcze niejedno na ten temat powiedzieć. W każdym razie to był prawdziwy zaszczyt poznać jedyną kobietę, która kiedykolwiek stanęła na wierzchołku góry Kamerun. Proszę mi powiedzieć, jaki widok rozciąga się ze szczytu? Musi być wspaniały.

Mary:

smutno

- Zobaczyłam przepiękny, zielony łąd, który ma zostać skąpany we krwi. Zobaczyłam moje... moje miejsce. Jeśli napiszę do pana memorandum w sprawie tych podatków, czy przeczyta pan?

Lord Chamberlain:

- Będę oczekiwał tego z wielką niecierpliwością. Wolę, żeby pani pisała do mnie niż do gazet i magazynów, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Mary:

teraz także wstaje; nad stołem wymieniają uścisk dłoni

- Dokładnie wiem, co pan ma na myśli, i napiszę zarówno do pana, jak i do gazet. Zamierzam wypowiedzieć się otwarcie w sprawie tego szaleństwa.

Lord Chamberlain:

- Taki jest pani przywilej. Przysłużyła się pani bardzo sprawie angielskich kobiet, panno Kingsley, a nawet pozwolę sobie powiedzieć, że sprawie wszystkich kobiet na świecie.

Mary:

ze znużeniem opuszczając rękę

- Nigdy nie mia-łam ambicji, żeby robić coś podobnego. Dbałam zaledwie o własne sprawy. Czy poza wszystkim nie postrzega mnie pan jako osoby doskonale znającej kraj, którym pan usiłuje zarządzać, w dodatku tak nieudolnie?

Lord Chamberlain:

z lodowatą uprzejmością

- Wezmę pod uwagę to, co mi pani powiedziała. Życzę miłego dnia, madam.

Światła przygasają. Punktowy reflektor oświetla Mary, która idzie ku środkowi sceny; potem podchodzi do przodu i wolnym krokiem, posuwając się wzdłuż krawędzi, kieruje się na lewą stronę, zwracając się do nas.

Mary:

- Kiedy nieco ponad trzy lata później grzebali mnie w morzu przy brzegach Afryki Południowej, zdarzyła się przedziwna rzecz. Moja trumna nie chciała zatonać. Odpłynęła od statku o nazwie *Drozd*, unosząc się na falach, i kilku mężczyzn musiało wsiąść do łodzi i wyruszyć w pościg. Następnie musieli zamocować sześć kotwiczek do mosiężnych uchwyty i spróbować jeszcze raz. Zabrało to im większą część popołudnia. Wyobraźcie sobie tylko. Nawet po śmierci ciągle żeglowałam po morzach. Wędrowałam w dal.

Potrząsa głową, przechodząc znów na prawą stronę sceny.

Moje dwie książki w większości zniknęły bez śladu. Książki historyczne o mnie zapomniały. Nie pracowałam dla feministek ani sufrażystek. Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano, zanim zrobiłam cokolwiek innego. Taki był czas i miejsce, w którym przyszło mi żyć. Ale nie pozwól im wmówić sobie, że nigdy nikogo nie kochałam. Kochałam. Raz.

Podchodzi do pustego krzesła i zatrzymuje się przy nim na chwilę, patrząc na biurko i portret królowej. Potem przysuwa sobie krzesło i siada na nim, zwrócona twarzą do nas.

Nazywał się Robert Nathan i w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku przysłał mi list, który potraktowałam jako uwerturę. Oczywiście nie miałam pojęcia o tych rzeczach, chociaż byłam powierniczką moich przyjaciółek, które nieraz prosiły mnie o radę w sprawie swoich miłosnych przygód. Byliśmy zaprzyjaźnieni. On cały czas wydawał się wyrażać swoje zainteresowanie moją osobą, a potem się wycofywał - albo może to ja tak interpretowałam jego zachowanie. Miałam tylko trzydzieści sześć lat, a potem trzydzieści siedem. Oczywiście według standardów moich czasów to było dużo jak na niezamężną kobietę. A moja pozycja jako osoby publicznej była mniej lub bardziej ustalona. Ostatniej nocy spędzonej w Anglii, kiedy już skończyłam okropną serię wykładów i pracę, i kiedy już zajęłam

się sprawami rodziny i pozostających w potrzebie przyjaciół, i kiedy zatroszczyłam się o moje-
mojego biednego, nieodpowiedzialnego braciszka Charleya...

gorzka nuta pojawia się w jej głosie

...na którego wykształcenie zostały wydane wszystkie nasze pieniądze...

Wzrusza ramionami, potem wstaje i odsuwa z powrotem krzesło; cały czas mówiąc, przechodzi na drugą stronę biurka i siada na krześle lorda Chamberlaina.

...po tym wszystkim i po tym, jak wiele razy pokrzyżowano moje plany powrotu do ukochanej przybranej ojczyzny - cóż, zdecydowałam się pojechać jako wolontariuszka do Afryki Południowej, gdzie właśnie zaczynała się ta brudna, mała wojna. Chciałam być użyteczna. Ale tej ostatniej nocy, po której opuściłam Anglię na zawsze, napisałam do Roberta Nathana i poprosiłam, żeby złożył mi wizytę. Czekałam na niego sama, ogarnięta panicznym strachem. Porywy serca nie mają nic wspólnego z polityką. Cały czas myślałam o tym, jak płynęłam po rzece z Corlissem i jak odpierałam ataki krokodyla. O ile bardziej przerażające było to czekanie na mężczyznę, o którym myślałam, że może mnie kochać. Ale oczywiście pan Nathan w ogóle się nie zjawił. To do niego napisałam ten długi, chaotyczny list, w którym obnażyłam całą swoją duszę. No cóż, zrobiłam to. Opanował mnie nieśmiały, przerażający rodzaj miłości, która nie potrafi się otwarcie zadeklarować, ale mimo to widać ją w każdym geście. Nic nie boli tak bardzo jak ignorowanie tych oznak. Tak jak wtedy. Biedny Nathan dalej żył sobie spokojnie ze swoją mamusią, podczas gdy mógł mieć miłość takiej kobiety jak ja. Ale może pochlebiam sobie, uważając, że za mną tęsknił. Zresztą teraz to nie ma już żadnego znaczenia.

Podnosi się zza biurka i obchodząc je dookoła, przesuwa palcami po blacie; potem idzie dalej aż do krawędzi sceny.

Przyjechałam do Kapsztadu w Afryce Południowej po to, aby umrzeć. Jak już zaznaczyłam, rzekomym celem mojej podróży była praca w charakterze pielęgniarki. Wojna burska. Rozumiecie, biali wyrzynali się nawzajem z sobie tylko znanych powodów. Frakcje - wydaje mi się, że nadal tak się nazywają - walczyły między sobą. Nie chodziło o tak prymitywne rzeczy jak czary czy zaklęcia; nie, to była cywilizowana wojna o terytorium i imperium. Ale na moich oczach umierało mnóstwo chłopców, a oczywiście niektórzy już nie żyli. Zostałam poproszona o pielęgnowanie burskich więźniów chorych na tyfus, na gorączkę tyfoidalną, a także na odrę. Pomagałam im umierać, podwiązywałam im szczęki, i dokładnie wiedziałam, kiedy nadeszła moja kolej. Poprosiłam, żeby mnie zostawiono, chciałam w tym

ostatecznym momencie być sama. Przypuszczam, że moje życzenie częściowo wynikało z zakłopotania. Ale to ja miałam wyruszyć w podróż, tak jak już wielokrotnie wyruszałam; wędrowałam samotnie tyle razy i do tylu miejsc, że takie zakończenie wydawało mi się właściwe i słuszne. Wyraziłam więc to życzenie i obiecano je spełnić, przynajmniej dopóki można się będzie ze mną porozumieć, jak powiedziano. Moje serce zatrzymało się całkiem spokojnie - biło coraz wolniej i słabiej, aż wreszcie - stanęło. Zapadłam w sen. Miejsce, w którym umarłam, nazywają Pałacem. Pomyślcie o tym. Umarłam młodo. Dlatego też, tak naprawdę, niewiele mam do powiedzenia.

Zatrzymuje się i wskazuje scenę za sobą.

- Proszę, przekonaj się sam.

Światła gasną.

RS

Pewnego łagodnego, niezwykle ciepłego jak na tę porę roku, wietrznego, grudniowego ranka, zaledwie kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, Lily ukończyła swoją sztukę. Siedziała na zewnątrz, na werandzie, pisząc w czasie, kiedy dziecko spało; układała scenę o gorączkowych majaczeniach Mary Kingsley, dotyczących zdobywania góry Kamerun. Mary wędruje samotnie w kierunku szczytu w białej, wietrznej mgle i zimnie, zostawiając tam swoją wizytówkę, jakby była gościem w angielskim salonie na Mortimer Street. Mary, której została odebrana możliwość ujrzenia panoramy ukochanego kraju właśnie przez pogodę panującą w tym kraju na tak dużej wysokości, ponad cztery tysiące metrów nad poziomem morza. To wydawało się odpowiednim miejscem do zatrzymania akcji i przeniesienia jej, ze zmianą rekwizytów i aktorów, z wierzchołka góry do procesji niosącej Mary na pomost statku, kiedy to opadła kurtyna. Lily już wymyśliła, jak wykorzystać lata świetności w Londynie, zaraz po tym, jak *Podróże po Afryce Zachodniej* stały się bestsellerem; w sztuce przeplatały się one ze scenami z krótkiego, ale intensywnego życia Mary Kingsley. Dramatopisarka skonstruowała wszystko wokół ostatnich chwil życia bohaterki w The Palace Hospital w Simon's Town, w Afryce Południowej, kiedy Mary leży na łożu śmierci i zdaje sobie z tego sprawę, i beznadziejnie tęskni za swoim ukochanym Zachodnim Wybrzeżem. Zmagania z pisaniem sztuki i rozpracowywanie jej problemów służyły temu, aby znaleźć pewne środki ukazujące najprawdziwiej cechy tej kobiety, takiej, jaka była w swoich czasach, z jej poglądami, i żeby przedstawić jej odwagę. Lily nie chciała przenosić historycznej postaci we współczesne realia; wolała unikać zbyt dosłowności w opisywaniu jej życia.

Kiedy później tego dnia próbowała napisać kolejny list do swojej nieżywej przyjaciółki, stwierdziła, że nie potrafi. Doszła do wniosku, że może teraz, gdy sztuka została już ukończona, nie zostało już nic, co mogłaby jej powiedzieć.

Opowiadałam ci twoją historię, choć zrobiłam to w może nieco dziwaczny sposób.

Dominik wrócił do domu w dobrym nastroju i Lily dała mu gotowy materiał do przeczytania. Zabrał wszystko do swojego pokoju, podczas gdy ona zajęła się przygotowywaniem czegoś na kolację. Tego dnia Violet poszła z odwiedzinami do domu opieki w innej parafii, a Manny miał późno wrócić z restauracji. Był właśnie w okresie poszukiwania innego zajęcia, bo ostatecznie zdecydował, że nienawidzi pracować w restauracji. W okolicy

znalazł dwie wakujące posady: jedną w charakterze stróża w pobliskiej szkole, a drugą jako recepcjonista w motelu. W obu wypadkach poszedł na rozmowę kwalifikacyjną.

Lily zagotowała zupę z puszki, a potem otworzyła mus jabłkowy i zrobiła hot dogi. Następnie wsadziła Mary w wysokie krzeselko, pokroiła hot dogi na małe kawałki i zaczęła karmić dziecko, które ćwierkało z radości, oblizując się głośno, klaszcząc i śmiejąc się bez powodu.

- Dobry hot dog, prawda? - powiedziała do niej Lily.

- Nie.

Lily zawołała do Dominika, że kolacja gotowa. Przez jeden krótki moment czuła się, jakby znów była zameżna - i było to naprawdę dziwne wrażenie. Już od kilku tygodni nie miała wiadomości od Nicka. Myślała, żeby zadzwonić do niego i podzielić się nowiną o ukończeniu sztuki; potem kusilo ją, żeby skontaktować się z Sheri i Millicent, ale to mogło zostać niewłaściwie odebrane, w końcu więc nasza ją refleksja, że rozdział jej życia spędzony w Oksfordzie został nieodwołalnie zamknięty. Ale nawet wtedy kilka razy dziennie myślała o Nicku.

Wyjrzała przez okno wychodzące na aleję z tyłu domu i zobaczyła grupkę kobiet i mężczyzn stojących w ogrodzie i popijających drinki; wtedy wydało się jej, że coś w jej sercu pęka i rozpada się na drobne kawałeczki.

Dominik zszedł na dół i usiadł przy stole.

- O nic mnie nie pytaj - uprzedził. - Jeszcze nie skończyłem.

W czasie posiłku zamienili zaledwie kilka słów. Lily nie spuszczała oka z twarzy Dominika, który jadł w pośpiechu i zaraz wrócił do siebie na górę. Lily wytarła buzię i rączki Mary, a potem wyjęła ją z krzeselka i pozwoliła chodzić po pokojach na parterze. Mary ciągle była zafascynowana figurą Dziewicy stojącą w jadalni i teraz, podciągając się do pozycji stojącej, używała kamiennej podstawy posągu jako podpórki. Spoglądała w górę na wyrzeźbione rysy i wydawała z siebie dźwięki, najwyraźniej domagając się odpowiedzi; a kiedy odpowiedź nie nadchodziła, stawała się jeszcze bardziej rozradowana i nieustępliwa.

Wrócił Manny z wiadomością, że zaproponowano mu obydwie posady. Wybrał pracę w motelu, chociaż to oznaczało, że czasami nie będzie go w domu w nocy. Zarobki co prawda były nieco niższe niż ewentualne pobory dozorczy, ale i tak lepsze niż w restauracji, a w dodatku ta praca go pociągała, bo zostawiała mu trochę czasu na czytanie. Usiadł w salonie z Mary na kolanach i zaczął mówić o swoich obawach związanych z wychodzeniem na noc, o

konieczności przyzwyczajania się do nowego rozkładu zajęć, a potem nagle w jego oczach pojawiły się łzy.

- Wiesz, Lily - powiedział. - Ciocia Violet zostawi mi trochę pieniędzy, kiedy... kiedy odejdzie. Na pewno nie umrę z głodu. To znaczy my nie umrzemy. Ale tak strasznie się boję, że kiedyś ją stracę. Kłopot w tym, że jestem tym przerażony, a ona ma już dziewięćdziesiąt dwa lata. - Wytarł oczy wierzchem dłoni i popatrzył na Lily. - Wybacz mi, proszę.

- Przestań. - Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie przegubu jego dłoni. - Rozumiem.

- Jest mi strasznie ciężko.

- Wiem.

Przez pewien czas oboje milczeli. Potem Manny wytarł głośno nos, a kiedy Mary podpełzła do niego i używając jego nóg, podciągnęła się do pozycji stojącej, uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku.

- Nie - oświadczyło dziecko takim tonem, jakby było to zakończenie jakiejś dyskusji.

Manny zaczął robić do niej pocieszne miny, a kiedy Mary się zmęczyła tą zabawą i raczkując, wróciła w drugi koniec pokoju, zapytał Lily, jak minął dzień.

- Chyba udało mi się skończyć sztukę - powiedziała.

Przez chwilę obserwowali Mary, która popełzła w stronę jadalni do figury Dziewicy.

- Czy nie powinniśmy tego jakoś uczcić? - zapytał, schylając się po Mary, która natychmiast głośno zaprotestowała.

- Dominik poszedł poczytać.

Znów byli cicho, jakby czekali na odezwanie się Dominika. W całym domu słychać było skrzypienie drewnianych elementów, jak zawsze kiedy temperatura na zewnątrz się obniżała. Usłyszeli dźwięk zatrzymującego się samochodu, toteż Manny wybiegł na zewnątrz, żeby pomóc wejść cioci Violet. Wtargnęła do pokoju ze wzburzoną miną i popatrzyła na Lily.

- Trzeba zapłacić za taksówkę - oświadczyła. Lily wstała.

- Ja to zrobię - powiedział Manny i wrócił na ulicę, żeby rozliczyć się z taksówkarzem.

Ciocia Violet usiadła w jednym z foteli obok okna i popatrzyła za nim, a potem zwróciła się ku Lily.

- Zupełnie o tym zapomniałam, *cher*. Nie wzięłam pieniędzy na powrót.

- Manny dostał pracę w motelu... - poinformowała ją Lily.

Starsza pani kiwnęła głową z aprobatą.

- ...a ja chyba wreszcie skończyłam sztukę.

- Więc wszyscy mamy jakieś powody, żeby świętować. - Violet się uśmiechnęła.

Manny wszedł do środka, zamykając starannie drzwi.

- Robi się zimno - zauważył.

- Chcę dziś wieczorem coś uczcić - rzekła do niego Violet. - Ty dostałeś pracę, a to dziecko ukończyło wreszcie swoją sztukę.

- Dominik jeszcze nie skończył jej czytać - wpadła jej w słowo Lily. - Może nie ma czego świętować.

Violet zamknęła na chwilę oczy, a potem otworzyła je i spojrzała na Lily.

- Wiesz, że tej nieszczęsnej dziewczynie popękały jelita? Od tyfusu. Zoperowali ją, ale jej biedne serce tego nie wytrzymało. Trzydzieści siedem lat. Urodziłam się rok przedtem, zanim umarła. Przeżyłam o tyle lat więcej od niej, we wszystkim miałam nad nią przewagę, a gównu zrobiłam w porównaniu z nią.

- Uczyła przecież ciocia tyle dzieci - zauważyła Lily. - To jest cioci życiowe osiągnięcie. To było naprawdę świetne.

- Nie prosiłam, żebyś się nade mną litowała, *cher*.

- To wcale nie jest litość - obruszyła się Lily.

- Wszystko, co robię, jest ostatnią rzeczą, którą robię, dopóki nie uda mi się zrobić tego znowu. - Violet zaśmiała się łagodnie - Już prawie, prawie jestem duchem, ale jeszcze potrafię cię zdenerwować.

Dominik zszedł na dół, trzymając w ręku zapisane kartki. Położył je na kolanach Lily, a potem stanął nad nią z założonymi rękoma.

- Wyjątkowo mi się podoba - powiedział uroczyście.

- Och, Dominiku, naprawdę?

Wziął rękopis z jej kolan, ułożył starannie na stole, a potem wziął ją za rękę.

- Uważam, że to jest wspaniałe. Po prostu piękne.

- No to świętujemy - zdecydował Manny. - Pieniądze nie grają roli.

- Nie mamy na nic pieniędzy - rzekła Violet. - Z wyjątkiem tego, czego potrzebujemy.

Chciała wstać, ale nie mogła.

- Pomóżcie mi się podnieść - poprosiła chłopców, którzy szybko podskoczyli z obu stron. Podnieśli ją za przedramiona, ale kiedy już stanęła, nogi przez chwilę odmówiły jej posłuszeństwa. Udało się jej jednak zachować równowagę, choć nieco chwiejną, dopóki Manny nie przyniósł laski. Podpierając się nią, skierowała się ku drzwiom.

- Idziemy do „Daddy's”.

Na zewnątrz, po jednej stronie olbrzymiego wału fosforyzujących chmur, gładkich jak nadbrzeżny piasek, migotały nieskazitelnie jasne gwiazdy. Księżyc skrył się tuż za chmurami, które przesuwały się niemal dostrzegalnie; około północy całe niebo będzie nimi zasnutę. Wsiedli do oldsmobila i pojechali do „Daddy's”. Powitała ich nieznana kelnerka; krewni Daddy'ego gdzieś wyjechali, prawdopodobnie na północ, doszła do wniosku Violet. Mieli w Chicago rodzinę, którą często odwiedzali w okresie Bożego Narodzenia.

Manny zamówił wino. Kiedy szklaneczki zostały już napełnione, Dominik wzniósł toast.

- Za Lily i jej sztukę - powiedział.

- I za nową pracę Manny'ego - dodała Violet.

- Amen - zakończył Dominik.

Wszyscy wypili do dna. Lily czuła się raczej dziwnie, choć starała się tego po sobie nie okazywać. Rozglądała się po lokalu, patrząc na małe grupki ludzi, rodziny i przyjaciół, którzy jedli albo właśnie skończyli swój posiłek. Przyszło jej na myśl, że tęskni za swoją matką i ojcem. I za Peggy także.

- Chyba pojedę do Wirginii, żeby spędzić Nowy Rok z rodzicami - powiedziała.

- Teraz w Wirginii jest strasznie zimno - zaproponowała Violet.

- A może potrzebujesz towarzystwa? - spytał Dominik.

- Myślę, że zabiorę Mary i po prostu pojedę - odparła Lily, a kiedy zobaczyła wyraz przygnębienia na twarzy Dominika, dodała prędko: - Zrobię sobie takie wakacje.

Podniósł swoją szklaneczkę.

- No to za wakacje, gdziekolwiek będziemy je spędzali. Violet pochyliła się w stronę dziecka.

- Ty też chcesz to jakoś uczcić, prawda?

W odpowiedzi maleństwo uśmiechnęło się, wydając z siebie radosny pisk.

Lily dotknęła ramienia Dominika i pociągnęła go za rękaw, tak żeby odwrócił się w jej stronę.

- Jestem taka szczęśliwa. Powiedz, naprawdę ci się podoba? Przytaknął i ujął jej dłoń.

- Nie. Po prostu ją uwielbiam. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Czy mogę z tobą pojechać? - szepnął. - Tylko na wakacje?

To pytanie ją zaskoczyło, bo prawdę mówiąc, zaczęła już myśleć o tym, jak znowu będą jechać we dwie, tylko ona i Mary. Dotknęła delikatnie jego policzka.

- Jasne - odparła tym samym tonem. Ale on zdążył zauważyć jej zaskoczenie.

- Jedź - powiedział ciepło, ściskając jej rękę. - W końcu my będziemy mieć ciebie i Mary przez Boże Narodzenie.

3

2 grudnia, 1990

Lily

Jak musi być boleśnie oczywiste, zdecydowałem się ostatni raz nawiązać z tobą kontakt, żeby wyjawić ci moje plany, a także nadać bieg pewnym sprawom. Chcę, żebyś wiedziała, że nie zarzucam ci złej woli. Naprawdę. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa, a jeśli nie, to że wkrótce odnajdziesz szczęście. Kiedy opuściłem cię tamtego ranka i jechałem do pracy, byłem bliski popełnienia jakiegoś szaleńczego czynu. Miałaś rację, martwiąc się o mnie wtedy, na przyjęciu z okazji Czwartego Lipca, bo myślałem dokładnie o tym, czego się obawiałaś, kiedy znalazłaś mnie z karabinem Buddy'ego. Prawda wygląda tak, że wtedy mnóstwo na ten temat rozmyślałem. W każdym razie pojechałem samochodem na brzeg rzeki i siedziałem tam długi czas, starając się wymyślić jakiś sposób postępowania. Nie mogłem już znieść ani chwili dłużej tej presji, żeby udawać, iż nic się nie stało. Między nami wszystko było skończone i doskonale o tym wiedziałem, nawet jeśli ty nie miałaś tej świadomości, ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, nie mogłem wyrzucić z pamięci pewnych faktów ani otrząsnąć się ze strachu, który narastał we mnie, ilekroć o nich pomyślałem. Miałaś rację, kręciliśmy się w miejscu, bez przerwy coś udawaliśmy, a mnie to po prostu zabijało. Próbowałem być dobrym ojcem, robiłem to najlepiej, jak potrafiłem, i naprawdę miałem jak najlepsze intencje, ale to się nie udawało i nic nie sprawiało mi radości, a przyszłość rysowała się w czarnych barwach i wyglądało na to, że z czasem będzie tylko coraz gorzej.

Kiedy podjąłem decyzję, żeby od was odejść, żeby zbudować swoje życie gdzie indziej - kiedy uderzyło mnie to, że tak naprawdę nic poza przypadkowymi więzami krwi nie trzyma mnie w Oksfordzie i że mogę sobie oszczędzić kłopotów i przestać się zamartwiać, co Sheri i moja matka, i Roger, i Rosa, i wszyscy pozostali będą myśleć na mój temat, i co pomyśli sobie twoja rodzina; kiedy stwierdziłem, jak bardzo mnie rani, że muszę być tu, gdzie umarł Buddy, wśród tych ludzi, których twarze, głosy, a nawet każdy gest przypominają mi o tym; kiedy stwierdziłem, że mogę wyjechać i że nic mnie tu nie trzyma - no cóż, poczułem się jak człowiek,

któremu wyrwano ząb po długim okresie cierpienia i niepokoju tym spowodowanego. Ten ząb był jego jedyną troską tak długo, że zapomniał, jak może wyglądać życie bez bólu; i kiedy z tego wyszedł, a ból wreszcie zniknął, ulga była tak wielka, że żadne słowa nie mogą tego opisać.

A już rozważałem popełnienie nieodwołalnego czynu tylko po to, żeby oszczędzić sobie upokorzenia. I nagle dotarło do mnie, że tym czynem może być po prostu opuszczenie wszystkiego i wszystkich.

To było łatwiejsze, niż możesz sobie wyobrazić.

Naprawdę chciałbym, żeby nasze sprawy ułożyły się lepiej; żebyśmy oboje lepiej sprawdzili się w tym wszystkim. Ale tak się nie stało. Żadne z nas się nie sprawdziło. Pozostaje faktem, że teraz kiedy wszystko wyszło na jaw dochodzę do wniosku, że życie z tą świadomością jest łatwiejsze, niż sądziłem, i zaczynam się powoli zastanawiać, co by było, gdybyśmy spróbowali jakoś to wszystko ułożyć. Gdybyśmy pomyśleli o znalezieniu wspólnej płaszczyzny, na której moglibyśmy się spotkać i poszukać drogi powrotu.

Teraz żyję jako samotny mężczyzna. Ale chcę, żebyś wiedziała, że nie wszcząłem jeszcze procesu rozwodowego, chociaż prawnik poradził mi, żebym z tym nie zwlekał, biorąc pod uwagę okoliczności. Radził, żebym się zachowywał tak, jakby druga strona usiłowała podjąć jakąś próbę zemsty. Oczywiście nie posłuchałem go. Tęsknię za tobą. Zresztą tęsknię strasznie za wami obydwoma. Nie mogę już znieść myślenia o tym, jak to będzie, kiedy Mary się dowie, kto naprawdę jest jej ojcem, i jak wtedy będzie na mnie patrzeć. Wiem, że to przejaw mojego egoizmu, ale nic na to nie mogę poradzić. Widzę teraz jasno, że nic nie okazało się aż tak złe, jak sobie wyobrażałem, a jedyne, czego się po tej lekcji nauczyłem, to to, że nie można zmienić za pomocą intelektu uczucia, które już raz ci się zdarzyło poznać. Ale głęboko wierzę, że ty możesz odmienić moje doświadczenia. Możesz znaleźć jakiś sposób, żeby nadrobić swoje wady i iść dalej.

Jak zapewne zorientujesz się po znaczkach, jestem teraz w Teksasie - w szkole oficerskiej. Wciąż mówi się tutaj o Zatoce Perskiej. Nie sądzę, żeby to miało większe znaczenie, ale nawet jeśli tak, to ja będę ciągle jeszcze tutaj, na szkoleniu. Stale odkrywam, jak bardzo odpowiada mi taki rodzaj życia, gdzie wszystko ma swoje miejsce i nikt ci bez przerwy nie zadaje pytań. Może powinienem pozostać na kursie wstępnym. W każdym razie ta wojna musiałaby się nieźle przeciągnąć, żeby ten problem zaczął mnie dotyczyć. Dlatego, jak widzisz, nie ma powodu do obaw. Działalem w pośpiechu, zrywając wszystkie moje więzy z ludźmi z Oksfordu, nie wyłączając Nicka, z którym moje stosunki były bardzo skomplikowane już od dłuższego czasu,

nawet zanim jeszcze umarł Buddy, a już zwłaszcza potem. Bardzo mi pomógł w procesie odseparowywania się od rodziny, a teraz mam nadzieję, że mogę znowu na niego liczyć, kiedy będę chciał nawiązać z nią pewne kontakty. Nie mam poczucia, że powinienem kogoś przeproszać za swoje czyny, ponieważ wierzyłem w słuszność tego, co robię, i działałem pod wpływem bólu. Sądzę, że zasłużyłem sobie, żeby skorzystać z prawa domniemania niewinności i mam nadzieję, że ty też będziesz myślała w ten sam sposób.

Chciałbym, żebyście razem z Mary mogły mnie teraz zobaczyć; tutaj, gdzie nie muszę się cały czas obawiać tego, co ludzie myślą na mój temat. Wiem, Lily, że nie byłem dla ciebie najlepszym mężem, ale mam nadzieję, że kiedy już wszystkie emocje opadną, uda nam się odnaleźć drogę powrotną do pewnego rodzaju wspólnego życia.

Kocham was Tyler

18 grudnia 1990

Drogi Tylerze

Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, że uwolniłeś się wreszcie od bólu zęba. Nie wydaje mi się, żebym jeszcze miała chęć cię oglądać, teraz lub kiedykolwiek. Jak wynika z twojego ostatniego listu, cały czas tylko musiałabym się obawiać, że następnym razem, kiedy pojawią się jakieś trudności czy kłopoty, znów dojdiesz do wniosku, że jedynym sposobem ich rozwiązania jest zniknięcie bez słowa. To doprawdy porywające widzieć, jak dalece jesteś skłonny wybaczyć mi moje zaniedbania. Nie, Tyler. To nie jest takie łatwe i nie mam pojęcia, skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł, że jest albo że może być. Zgodnie z prawdą oświadczam ci - czuję się szczęśliwa, że w ciągu ostatnich czterech miesięcy udało mi się przeboleć

Wydarła tę stronę z bloczka i zgmiotła. Teraz już niczego nie chciała od Tylera. Czuła, że jej wściekłość ustąpiła miejsca dumie, choć kosztowało ją to trochę wysiłku. Miała świadomość, że resztki dawnego gniewu pozostaną na dnie jej serca na zawsze, ale że w końcu będą całkowicie nieszkodliwe, tak jak nieszkodliwa jest zabliźniona rana. Można się do tego przyzwyczaić i wypracować jakąś metodę postępowania. Wytłumaczyła to sobie, choć nic nie mogło złagodzić ciosu, który trafił ją w czuły punkt.

Siedziała w salonie, na jednym z foteli przy oknach, z blokiem papieru listowego na kolanach, i starała się powstrzymać łzy. Ciocia Violet obserwowała jej zmagania z pisaniem listu, a potem poczłapała do kuchni, żeby zrobić sobie kawy. Zanim wróciła, Lily zdążyła już

zwinąć wyrwaną kartkę i wrzucić do kosza stojącego za jej plecami, a teraz ocierała oczy wierzchem dłoni.

- Przez ostatnich trzydzieści kilka lat przez większość czasu niepokoiła mnie tylko jedna sprawa - powiedziała Violet, sadwiąc się ostrożnie na fotelu przy drugim oknie. - Umieranie. - Zaśmiała się, jakby zdumiało ją własne przyznanie się do tego.

Dwie kobiety siedziały teraz w dwóch przeciwległych kątach salonu, rozdzielone wysokimi oknami, przez które do środka wpadały promienie słońca, zwrócone twarzami ku pozostającemu w cieniu wejściu do jadalni. Lily zamknęła na moment oczy, czując nieprzewartą chęć, żeby zasnąć. Za sobą miała długą, niespokojną noc, pełną złych snów i trosk. Dziecko znowu kilka razy zakasłało i wydawało się, że ma zapchany nosek, więc Lily bała się, czy nie nadchodzi kolejny atak grypy. Na szczęście rano Mary zachowywała się tak jak zwykle; najpierw była nadaktywna i marudna, a potem na zmianę pogodna i zabawna. Nawet jej wybuchy gniewu były tak urocze, że rozśmieszały Lily.

Teraz spała na górze w swoim łóżeczku.

Violet sączyła kawę, podtrzymując filiżankę spodeczkiem. Potem niespodziewanie odstawiła ją na stolik obok lampy i rozsiadła się wygodnie.

- Ale z nas dziwna rodzinka - zauważyła.

Lily popatrzyła na kościste kolana staruszki i na wytarte rękawy jej ciemnoniebieskiej sukni w małe białe grochy. Tego ranka Violet wyglądała mizernie: wyczerpana, z podkrążonymi oczyma. Oddychała z trudem i widać było, że mówienie kosztuje ją mnóstwo wysiłku.

- Nie musi ciocia ze mną rozmawiać. Piszę list.

- Może ci przeszkadzam?

- Ależ skąd.

- Myślałam, że może jeszcze dopisujesz coś tam do sztuki.

- Nie, tamto już jest skończone. Przynajmniej na razie.

- Ale jednak ci przeszkadzam.

- Nie przeszkadza ciocia. Tylko nie chciałam, żeby ciocia myślała, że koniecznie musi mnie zabawiać rozmową.

- Wcale o tym nie myślałam, *cher*. Powiedziałam tylko: co za dziwna rodzinka.

Lily nie przysłała do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc milczała.

Starsza pani spojrzała w jej kierunku.

- Mówiłaś coś?

- Nie.

- Myślałam, że coś mówiłaś.

Lily dalej się nie odzywała, tylko z uśmiechem przytaknęła. Popatrzyła na blok papieru listowego, który leżał na jej kolanach, i doszła do wniosku, że teraz niczego już nie napisze. Violet obserwowała ją spod półprzymkniętych powiek przebiegłym, wnikliwym spojrzeniem.

- Co to jest? - spytała.

- Piszę do mojego... do mojego wkrótce byłego męża.

- Jesteś na początku drogi, *cher*. Nie opuszczaj tak kącików ust, jeśli oczywiście możesz. Czy wiesz, jaki był najgorszy... najbardziej nieszczęśliwy okres w moim życiu? Kiedy miałam dwadzieścia kilka lat. I przez resztę życia zastanawiałam się, jak to się stało, że byłam wtedy taka nieszczęśliwa. Byłam zakochana, a potem to się skończyło. Żyłam w ciągłej panice, popadając z jednej skrajności w drugą. A to zawsze sprawiało, że czułam się godna pożałowania.

- Ze mną jest wszystko w porządku. - Lily się uśmiechnęła. - Naprawdę.

Ale zaraz pociągnęła nosem, choć sama na siebie była za to wściekła.

- Nienawidzę, kiedy dostrzegam, że jakaś młoda osoba jest nieszczęśliwa - powiedziała Violet. - Skończyłaś swoją sztukę i dlatego jesteś smutna.

- Nie jestem smutna.

- Ludzie pytają mnie czasami, czy czegoś żałuję - mówiła dalej, najwyraźniej chcąc zmienić temat. - A ja odpowiadam, że chciałabym dowiedzieć się, jak przestać ciągle zajmować się matematyką. To całe dodawanie, odejmowanie, liczenie, oparte na przypadkowych rachubach - kiedy to się skończy. Kiedy każdy z nas przestanie liczyć. Kiedy się zatrzymamy. Liczenie odbiera nam jakąś część radości życia.

- Ja nie liczę - odparła Lily.

- Nie mówiłam o tobie, *cher*. Nie siedzę tu po to, żeby ci robić wykład. Powiedziałam coś na temat nosa spuszczonego na kwintę, ale zrobiłam to ze względu na siebie, bo po prostu potrzebuję towarzystwa kogoś, kto jest w dobrym nastroju.

- Ciocia jest dla mnie nieustannym źródłem inspiracji - odparła po chwili Lily.

- Nigdy nie lubiłam przemówień, które miały zachęcać kogoś do działania, *cher*. Po prostu mam ochotę z kimś porozmawiać na jakiś ciekawy temat. Rozwesel mnie. Może w ten sposób uda mi się przestać liczyć.

Lily na próżno szukała czegoś, co mogłaby powiedzieć. Ale Violet zdążyła się już zdrzemnąć. Jej głowa opadła bezwładnie do przodu, a chude ręce z widoczną siatką niebieskawych żył leżały zaciśnięte na oparciach fotela.

Lily czekała. W pokoju panowała cisza. Gdzieś na zewnątrz, na ulicy, pies zaszczekał, a potem zaczął skowyczeć. Światło padające z okna zmieniło się - przesuwająca się chmura zakryła słońce i na kilka sekund cały pokój pograżył się w mroku, ale po chwili okna się rozjaśniły, a ukośne promienie znów wpadły do pokoju, ukazując oczom Lily drobinki kurzu tańczące w powietrzu.

Violet podniosła głowę i zaraz sięgnęła po resztę kawy. Upiła łyk i spojrzała na Lily.

- Na co my właściwie czekamy, *cher*? - zapytała. - Ty i ja? W jej wzroku Lily dojrzała coś na kształt chytrłości.

- Mary już niedługo się obudzi - powiedziała Lily.

- Budzenie się i zasypianie. Tak. Na tym upływa całe życie. Lily wstała.

- Może coś ci przynieść, ciociu?

Starsza pani zastanawiała się przez chwilę, a potem pokręciła głową.

- Nie.

- Mary na pewno rozweseli nas obie - zapewniła ją Lily.

- Zapominasz, że to popołudniowa drzemka - zauważyła Violet. - I Mary zwykle jest potem w złym humorze.

To rzeczywiście stało się już normą i dziecko tym razem również nie zawiodło oczekiwań. Mary siedziała na środku podłogi w salonie, marudząc i popłakując, i nic, co robiła Lily, nie mogło jej uspokoić. Violet dalej nie ruszała się z fotela - popijała kawę, co jakiś czas zapadając w króciutkie drzemki i budząc się z nich. Ale w miarę zbliżania się godzin wieczornych ożywiała się coraz bardziej. Wreszcie podreptała do kuchni i zaczęła przygotowywać gumbo. Od kiedy została zmuszona do rezygnacji z prowadzenia auta, zaczęła wymyślać różnorodne potrawy i gotować. To była sprawa, która fascynowała ją kiedyś, gdy była młodsza, tak koło pięćdziesiątki, jak mówiła. Zapach ostrych przypraw wypełnił pokoje na parterze. Dominik, gdy wrócił do domu, poszedł jej pomagać, zaraz gdy tylko przywitał się z Mary i odtańczył z nią dookoła salonu szalony taniec, wyśpiewując przy tym jakąś piosenkę o świętym Mikołaju. Lily nie mogła się zmusić do tego, żeby podzielić świąteczny nastrój reszty domowników. Ciągle myślała o liście od Tylera. Kiedy Manny wrócił z restauracji, okazało się, że także jest nie w humorze, dlatego przy kolacji on i Lily siedzieli z ponurymi minami,

podczas gdy Dominik i Violet tryskali radością i od czasu do czasu tylko wyrażali dezaprobatę dla swoich współbiedniaków. Dawali temu wyraz, odzywając się do Mary siedzącej w swoim wysokim krzeselku i poprzez wymieniane między sobą uwagi; Violet snuła opowieści o tym, jak w ciągu tak wielu przeżytych lat prawie nigdy nie zdarzało się jej jeść tak dobrej kolacji, a w dodatku nadchodziło Boże Narodzenie, tak odmienne od innych, które pamiętała, i jak cudownie by było, gdyby cały świat podzielał tę radość i cieszył się każdą minutą tego wieczoru. Z kolei Dominik mówił o tym, jak bardzo podoba mu się sztuka, choć jego zdaniem Lily powinna zatytułować ją *Wybrzeże nowej ojczyzny*, bo tytuł *Powitanie kanibali* sugeruje coś znacznie lżejszego kalibru niż opowieść o przedwczesnej, tragicznej śmierci wielkiej podróżniczki i pisarki, która, jak można by sądzić po jej własnym opisie swojej osoby, była strasznie samotną kobietą i która w końcu zakochała się w homoseksualiście i została odtrącona.

- W każdym razie są pewni ludzie, w Oksfordzie oczywiście, którzy już wyrazili zainteresowanie twoją sztuką - zakończył.

- Zaczekaj chwilę - zawołała Lily. - Przecież ona wcale nie jest o tym!

- Owszem, w pewnym sensie jest. Mam na myśli zdanie, które Mary wypowiada w prologu: „Nie pozwól im wmówić sobie, że nigdy nie byłam zakochana” albo coś w tym rodzaju. To przecież dotyczy właśnie tej sprawy, nieprawdaż?

- Ja nie tak postrzegam przesłanie mojej sztuki - zaproponowała Lily. - Chciałam, żeby była o tym, jak Mary korzystała z tego, co przyniosło jej życie, jak wyjechała i zrozumiała to, co zostało jej dane. Chciałam, żeby to była sztuka o męstwie. O odmiennym rodzaju męstwa. Zachowała je we wszystkim, co się jej przydarzyło.

- W porządku - odparł Dominik. - I dotyczy to również faktu, że nigdy nie kochał jej żaden mężczyzna.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że to tam jest. W sztuce, którą napisałaś. Lily pokręciła głową. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Nie bądź na mnie zła - kontynuował Dominik, śmiejąc się łagodnie. - Ona naprawdę mi się podoba. I moim zdaniem można ją rozpatrywać na wielu płaszczyznach; tej, o której ty mówisz, i tej, o której ja mówię.

Lily westchnęła.

- Jestem dziś w złym nastroju. Dostałam list od Tylera.

Uśmiech zniknął z twarzy Dominika. Pozostali po prostu przyglądali się jej, kiedy opowiadała im resztę.

- Masz zamiar do niego wrócić? - zapytał gwałtownie Dominik.

Zmarszczyła brwi i rzuciła mu spojrzenie pełne niedowierzania.

- Chcesz mi wmówić, że ta myśl wcale cię nie pociąga?

- Wiem dokładnie, co mam zamiar zrobić - oświadczyła mu Lily. - I wiem też, czego nie chcę. Nie chcę niczego od Tylera.

- Mogę rzucić okiem na ten list?

- Wyrzuciłam go do kosza.

- Gdzie? Chyba nikt jeszcze dziś nie wynosił śmieci, prawda?

- Dominik, daj sobie spokój. To był po prostu stek bzdur, żalosne wyjaśnienia.

Naprawdę.

- Ona przez cały dzień snuła się po domu z nieszczęśliwą miną - wtrąciła Violet.

Lily odwróciła się w jej stronę.

- Ze mną naprawdę wszystko jest w porządku, ciociu - oświadczyła ze wzburzeniem.

- Okay, *cher*. Przepraszam, że się wmieszałam.

- Ja jednak chciałbym zobaczyć ten list - nalegał Dominik. Lily odłożyła widelec.

- Po co, Dominiku? Już ci przecież powiedziałam, co w nim było. I nawet nie mam zamiaru odpisywać.

- Ty ciągle go kochasz.

- Och, na litość boską, a jakie to ma znaczenie?! Nawet jeśli byłaby to prawda?!

- Dla mnie to ma znaczenie.

- Dlaczego? Dlaczego akurat dla ciebie ma to mieć znaczenie? I w jaki sposób może to cię dotyczyć?

- Posłuchajcie, obydwójce - odezwała się Violet. - Już wystarczy.

Dominik wstał.

- Chciałem tylko, żebyś nie musiała tego znosić - powiedział. - Nie szukałem żadnych porównań.

- Chryste, nie mam zielonego pojęcia, o czym ty teraz mówisz! - zawołała Lily. - O czym, na litość boską? Jakie porównania, o co chodzi?!

- Zapomnij o tym - powiedział i odszedł od stołu. Poderwała się na równe nogi i złapała go za rękę.

- Nie, powiedz mi. Chcę wiedzieć, co miałeś na myśli.

Kiedy to mówiła, wyczuła jakiś ruch po swojej prawej stronie i nagle usłyszała trzaski. To Manny zaczął walić o stół końcem swojego widelca.

- Przestańcie, przestańcie, przestańcie - powtarzał.

Jego głos był beznamiętny, spokojny, ale słowa wymawiał pośpiesznie, polykając część spółgłosek. Ale to głośnie stukanie przeraziło Mary, która wybuchnęła płaczem. Lily podbiegła do niej i wyciągnęła małą z krzeselka, podczas gdy Manny mówił dalej:

- Nienawidzę tego dnia. Nienawidzę.

- W porządku - powiedział Dominik - Wszystko jest okay. Po prostu musieliśmy coś przedyskutować. A teraz uspokójmy się.

- To nie jest dobry dzień - mruzczał dalej Manny. - To bardzo zły dzień.

Wszyscy usiedli, a Lily trzymała Mary na kolanach.

- Wywalili mnie - oznajmił Manny. - Z moją pracą koniec. Szef odkrył, że... że jestem nosicielem.

Dominik przyjął to z wyraźną ulgą. Westchnął, pokręcił głową, a potem starał się pokazać, jak bardzo jest przejęty.

- Masz już przecież następną pracę. Po prostu zaczniesz wcześniej. Wszystko się ułoży - mówił. - I postaraj się mnie tak nie straszyć. Chryste, myślałem, że chcesz nam powiedzieć... następnym razem, Manny, rusz głową, zanim powiesz coś w rodzaju: „To jest zły dzień”.

Dziecko podniosło się na kolanach Lily, buzią zwrócone do niej. Chwiało się niepewnie, przenosząc niewielki ciężar z nóżki na nóżkę, uciskając kości Lily i starało się sięgnąć ponad ramieniem matki po figurkę stojącą na blacie. Lily odwróciła więc małą i posadziła z powrotem na kolanach, mocując się z nią trochę, ponieważ Mary koniecznie chciała zejść na podłogę.

- Musimy znaleźć sobie z Mary jakieś inne mieszkanie - oznajmiła, przytrzymując wierzące się dziecko i patrząc na pozostałych.

- Nie! - zaproponował Dominik. - To wcale nie tak. Manny potrząsnął głową.

- Ja nie chcę, żeby ktoś odchodził.

Ciocia Violet oparła się wygodnie na krześle i skrzyżowała ręce na podołku.

- Skończcie wreszcie jeść. Na razie żadne trzęsienie ziemi się nie zdarzyło. Wszystko jest w porządku.

- Nikt nie musi się stąd wyprowadzać - powtórzył z naciskiem Dominik. - Wypracujemy jakiś kompromis. Ostatecznie to także moje dziecko.

- Nikt temu nie zaprzecza - powiedziała Lily.

- To rozumiesz, że nie możesz samodzielnie podejmować takich decyzji, że się stąd wyniesiesz razem z Mary. Nie możesz się tak zachowywać, jakbyście były tylko we dwie, a ja nie miałbym nic do gadania.

- Wcale nie myślałam o tym w ten sposób.

- No już, uspokójcie się obydwójce - wtrąciła się Violet. - Zanim powiecie coś, czego będziecie potem żałować.

- Nikt nie musi się stąd wyprowadzać - powtórzył Manny. - Proszę.

Dziecko zaczęło marudzić i popłakiwać, toteż Lily posadziła je na podłodze i patrzyła, jak mała pełźnie w drugi kąt pokoju. Wszyscy patrzyli.

- Manny - odezwała się Violet. - Musisz chyba już iść do pracy.

- A co będzie, jeśli oni przez tych ludzi z restauracji dowiedzą się o mnie prawdy?

- Przecież w tym motelu będziesz pracował za biurkiem - zauważył Dominik. - To nie powinno im robić różnicy.

4

Następnego ranka Violet i Manny pojechali dokądś taksówką. Amy zabrała Mary, a Lily i Dominik wyszli do pracy. Dzień był szary i mglisty jak kolor pogrzebanych nadziei. Nie rozmawiali ze sobą dużo. Dominik ciągle jeszcze przeżywał wydarzenia poprzedniego wieczoru, a Lily zaczynała dopuszczać do siebie myśli, o których wiedziała doskonale, że są poniżej jej godności: że wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, że wszyscy są zaborczy i samolubni w ten sam sposób i angażują się emocjonalnie w sprawy własnych dzieci tylko pod kątem swojego ego. Pomyślała o własnym ojcu, jego romansie rozpoczętym w połowie życia i małżeństwie z dziewczyną młodszą od niego o połowę. Z dziewczyną, bo dokładnie tym była Peggy. I o mały włos mieliby ze sobą dziecko. Scott skończyłby pięćdziesiąt lat, zanimby się urodziło. Musiałby żyć równie długo jak Violet, żeby dać mu to, co od swoich rodziców dostają inne dzieci. To było bardzo samolubne, ale w całym kraju takie postępowanie mogło liczyć na pobłażliwość; cała kultura zbudowana została na chciwości i skąpstwie, i nie chodziło tu o pożądanie pieniędzy, lecz o beztrioskie życie i poczucie siły lub złudzenie poczucia siły, lub o puste uczucia. Takie myśli przepełniały ją, kiedy wysadzała Dominika pod księgarnią i rozmawiała z nim

chwilę na temat, w jaki sposób wróci on do domu. Miał go podwieźć jeden ze współpracowników.

- Świetnie - powiedziała, czując przepelniającą ją odrazę.

- Ciągle się jeszcze gniewasz? - zapytał.

- Nie - odparła po chwili.

Ale tak naprawdę chciało jej się płakać.

Jechała teraz oldsem w czymś, co zasługiwało już na miano ulewy, mijając wypełnione kamiennymi blokami cmentarze, z granitowymi pomnikami, figurami i wieżyczkami, okrytymi mokrą szarością, zmatowionymi przez deszcz. Pomyślała o George'u Kingsleyu, który przemierzał wzdłuż i wszerz całą kulę ziemską, aby tylko uniknąć wypełniania obowiązków wobec żony i dwójki dzieci. Jej niechęć wpędziła ją w ponury nastrój, który uniemożliwiał dopuszczenie do siebie jakiegś pozytywnej myśli. Sztuka została ukończona, ale nic dobrego z tego nie miało wyniknąć, a cała praca poszła na marne.

W szkole od razu na dzień dobry musiała się zmierzyć z przykrą sytuacją - czterech uczniów wdało się w bójkę; w dodatku w bójkę o podłożu rasowym, bo dwóch chłopców było czarnych, a dwóch białych, a w niektórych dzielnicach miasta ciągle jeszcze panowało napięcie z powodu zeszłorocznych protestów dotyczących różnych prywatnych towarzystw i Mardi Gras. Lily nie rozumiała tego w pełni, ale widziała już wystarczająco wiele zatargów na tle rasowym, żeby wiedzieć, że ta sprawa nie nadaje się do dyskusji. Dostała polecenie służbowe, żeby ją załatwić - dzwoniąc do rodziców, żeby sami ocenili sytuację, i rozmawiając z każdym z czterech zamieszanych w to chłopców.

To poranne zajęcie wyssało z niej całą energię. W dodatku wszędzie kręcili się uczniowie, którzy ozdabiali sale na Boże Narodzenie i przygotowywali w holu tablicę z biuletynem na wywiadówkę; poza tym chór miał próbę przed koncertem. Zmieszane głosy odbijały się od ceglanych ścian, sklepienia i dźwigarów starego budynku i nie było przed nimi ucieczki; emanowało z nich radosne przedświąteczne podniecenie. Pieśnią, nad którą tak ciężko pracowali, żeby doprowadzić ją do perfekcji, była skomplikowana aranżacja *Życzymy wam wesółych świąt*, pełna zawłości w głównej linii melodycznej i trudnych polifonicznych współbrzmień. Melodia ta dźwięczała w uszach Lily i wdzierала się w jej myśli, pogłębiając tylko przygnębienie.

Jechała z powrotem na Burgundy Street z radiem ryczącym na cały regulator i słuchała jazzu, ale nic nie mogło wymazać z jej pamięci tamtej pieśni. Miejsce, w którym zwykle parkowała samochód, było zajęte, musiała więc skrócić za róg St. Phillip Street i jechać jeszcze

spory kawałek w stronę następnej przecznicy. Wysiadła z auta w deszczu - padał ciągle, równomiernie, prosto, nieporuszany najłżejszymi podmuchami wiatru - i pobiegła w kierunku skrzyżowania i dalej, aż do wejścia do domu, czując, jak jej ubranie nasiąka wodą, a to w rezultacie tylko pogorszyło i tak już wystarczająco zły nastrój. Miotając pod nosem przekleństwa, zaczęła wspinać się po schodach prowadzących do drzwi frontowych.

I niemalże wpadła na Nicka.

Stał tuż przed wejściem - najwyraźniej przed sekundą naciśnął dzwonek. A potem zobaczył ją biegnącą po ulicy w jego stronę.

- Cześć! - zawołał niezobowiązującym tonem, który wydawał się nieco sztuczny. - Tak myślałem, że to ty.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zdołała tylko pomyśleć, że jest bardzo zadowolona, że go widzi, i cofając się nieco, wykrztusiła:

- Nick...

- Dzwoniłem przed chwilą - wyjaśnił, wskazując drzwi.

- Gdzieś w środku jest opiekunka z Mary. Uśmiechnął się.

- I zamknęły się przed tobą?

Ta chwila wystarczyła, żeby odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie, oczywiście, że nie.

Sięgnęła do torebki po klucze i przekręciła je w zamku, a następnie otworzyła szeroko drzwi, wpuszczając gościa do środka. Woda ściekała z ich płaszczy na solidną drewnianą podłogę w przedpokoju. Zawołała Amy i wskazała Nickowi drogę do salonu.

Amy zeszła z góry, gdzie właśnie ułożyła Mary do snu. Po wzajemnej prezentacji w delikatny sposób wymówiła się, twierdząc, że ma mnóstwo pracy w domu. Lily podziękowała i odprowadziła ją do drzwi, gdzie pomogła dziewczynie włożyć płaszcz. Patrzyła przez chwilę, jak Amy idzie ociekającym deszczem chodnikiem, trzymając nad sobą parasolkę.

- Hej, zdejmij wreszcie płaszcz - powiedziała, odwracając się do Nicka. - Posiedź ze mną trochę.

- Nie mogę długo zostać. Myślałem tylko, że... no wiesz... - spojrział na nią - że do ciebie wpadnę.

W jego głosie zabrzmiała tak fałszywa nuta, że cała sytuacja zaczęła wydawać się absurdalna. Lily już wciągnęła powietrze, żeby zapytać, co on właściwie robi w Nowym Orleanie,

ale doszła do wniosku, że takie pytanie tylko pogorszy niezręczność chwili, i w następnej sekundzie zdecydowała, że najlepiej będzie obrócić wszystko w żart.

- Po prostu przez przypadek byłeś gdzieś w pobliżu.

- Ja... ja wziąłem sobie wolny dzień... no wiesz... - Wzruszył ramionami, jakby Lily próbowała go na czymś złapać; widać było, jak bardzo jest zmieszany.

Postąpiła krok w jego kierunku.

- Tak się cieszę, że cię widzę. Natychmiast opuścił wzrok.

- Cóż - mruknął. - Wiesz, pomyślałem, że tu zajrzę. - A potem, spostrzegłszy na dywanie plamę, którą utworzyła woda ściekająca z jego płaszcza, dodał: - Chryste!

- Daj - powiedziała, sięgając po mokre okrycie.

Wieszając oba płaszcze w holu, poczuła wdzięczność za tę chwilę, w której mogła coś wymyślić.

Nick stał ciągle w wejściu do salonu, w szarym świetle padającym z okien.

- Skończyłam sztukę - oznajmiła, wracając do pokoju.

- Och... to... to świetnie! To pierwszorzędna wiadomość.

- Dominik już ją przeczytał i powiedział, że bardzo mu się podoba.

- No, no, nie uprzedzajmy wypadków. - Uśmiechnął się. W tym szelmowskim uśmiechu przez moment ujrzała dawnego Nicka. Ale zaraz potem podniósł się z krzesła i znowu wyglądał bardzo nieswojo, nawet żałośnie, jakby chciał cofnąć te słowa, które przed chwilą padły.

- Nie mam zamiaru wysłać tego mojemu ojcu - powiedziała.

- Nie?

- Jeszcze się nie zdecydowałam, gdzie ją wysłać.

- Nie chcesz go postawić w niezręcznej sytuacji.

- Trafieś w sedno. - Uśmiechnęła się. - Dalej chcesz to przeczytać?

Jego twarz się rozjaśniła.

- O tak. Bardzo.

- A co będzie, jeśli się okaże, że to coś okropnego? Uśmiechnął się szeroko, potrząsając głową.

- Jakoś przeżyję.

Światło przytłumione przez deszcz, padające z wysokiego okna, nadało wnętrzu malarski wyraz - łagodne kontrasty w połączeniu z przytłumionymi barwami zmieniły też stojącego tam Nicka.

- Właściwie to zasady gry są następujące: musi ci się spodobać, musisz głośno powiedzieć, że ci się podoba, i musisz tak naprawdę myśleć.

- Wszystkie akceptuję z chęcią - oświadczył.

W jego zachowaniu była jakaś rezygnacja, toteż podeszła do niego, ale zauważyła z lekkim rozgoryczeniem, że się cofnął o krok.

- Nick... - powiedziała. - O co chodzi? Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Oczywiście - odparł, automatycznie skinąwszy głową.

Zapadła cisza. Po chwili Lily ruszyła w stronę kuchni, mówiąc, że ma ochotę na filiżankę kawy. Zapytała Nicka, czy też się napije.

- Jasne.

Poszedł za nią i usiadł przy stole. Rozejrzał się po kuchni z tym samym łagodnym zainteresowaniem, niepozbawionym pewnej dozy ciekawości, i najwyraźniej starał się nie patrzeć w jej stronę. Palcami bębnił nerwowo po gładkiej powierzchni.

- Nick, powiesz mi, co tam u was słychać?

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę.

- Musiałem przyjechać, bo rysuje się pewna możliwość otwarcia tutaj salonu. Dealer Mazdy chce sprzedać swój lokal.

- Będziesz miał salon tutaj?

- Być może. Jeszcze nie zdążyłem rzucić na niego okiem. To zresztą był pomysł Millicent... To ona chciała, żebyśmy go obejrzel. Ona i Roger zaczęli się teraz bardziej interesować pewnymi rzeczami. - Uśmiechnął się półgębkiem, a kiedy się odezwał, mówił bardziej do siebie niż do Lily - To ja byłem tym, który chciał rozszerzać działalność.

- I co, przeprowadzisz się tutaj?

- Prawdę mówiąc, mam zamiar zrezygnować z tego biznesu.

Lily robiła właśnie kawę, ale kiedy to usłyszała, zatrzymała się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- A co będziesz robił? Pokręcił głową.

- Sam jeszcze nie wiem na pewno. Buddy zapisał mi trochę pieniędzy, jak zresztą pewnie wiesz, ale nie chcę ich ruszać. Rozglądam się tu i ówdzie. Na razie nic jeszcze nikomu nie mówiłem.

- Zostaniesz w Oksfordzie? - spytała, nie powracając do przerwanej czynności.

Znowu wzruszył ramionami.

- Może, zresztą nie wiem.

Lily nalala wody do ekspresu, wsypala do pojemnika kilka łyżeczek mielonej kawy i włączyła urządzenie. Nick oparł na dłoni policzek i tylko gapił się na blat stołu.

- Mam wrażenie, że jesteś jakiś przybity.

- Ależ skąd, u mnie wszystko w porządku.

- Naprawdę? Odwrócił spojrzenie.

- Bywało lepiej.

Czekała, żeby powiedział coś jeszcze, ale już się nie odezwał.

- A co słyhać u Sheri? - zdobyła się wreszcie na to pytanie.

- Zobaczmy... co tam u Sheri? Okazało się, że Sheri się z kimś spotyka. Przypuszczam, że zaraz powiesz, że Sheri sama nie wie, czego chce. Ale ona doszła do wniosku, że najlepszy sposób, żeby być dla mnie dobrą żoną, to zacząć się spotykać z innymi. W końcu mamy lata dziewięćdziesiąte. Ostatnio cały wolny czas spędza z jednym facetem. Ten gość to jakiś psychiatra. W Kalifornii jest mnóstwo gnojków o umysłowości dziecka. Widziałaś kiedyś listę „praw”, które ich zdaniem należą się każdemu? To powinno nosić nazwę „wewnętrznego Hitlera”. A przed Świątłym Doktorem Freudem, jak ja o nim mówię, był jeszcze jakiś profesor. Zresztą nie wiem. - Rysował na blacie stołu niewidzialne kółeczka, unikając spojrzenia Lily. - Ona... ona dokonuje niewiarygodnych wyczynów, żeby znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie swojego postępowania, a w dodatku jeszcze ma mnie i swoje przywileje, dzięki czemu upewnia się, że cały czas jest przy zdrowych zmysłach. Ten gnojek jest żonaty, nawiasem mówiąc.

Lily skupiła znowu całą swoją uwagę na kawie.

- I właśnie tak ma się Sheri. Ale ty już wcześniej wiedziałaś o większości moich rewelacji.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nienawidziłam tej swojej wiedzy. I powiedziałam jej o tym.

Zmarszczył brwi, składając ręce, jakby miał zamiar coś wyrecytować.

- Właściwie nie miałem zamiaru ci o tym wspominać. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że ten temat się nie pojawi. Chciałem się tylko z tobą zobaczyć. Z moją przyjaciółką. To wszystko.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało.

- Czy jesteś... czy bardzo jesteś na mnie zły, że ci o tym nie powiedziałam? - zapytała wreszcie.

Przez moment rozważał tę kwestię, nie odwracając od niej oczu, aż w końcu wbił wzrok w podłogę i przemówił.

- Nie.

A kilka sekund później, cały czas patrząc w dół, dodał:

- Jeśli mam być absolutnie uczciwy wobec siebie, to muszę się przyznać, że ja również nie dochowałem Sheri całkowitej wierności.

Lily nie odezwała się, żeby mógł mówić dalej.

- Nie mam na myśli tego, że byłem jej fizycznie niewierny.

- Ona mówiła, że w jej wypadku też nie było mowy o... Przerwał jej.

- To chodziło o ciebie, Lily - mówił tak cicho, że ledwo go słyszała. - Od samego początku mnóstwo czasu zajmowało mi myślenie o tobie.

Opadła na krzesło naprzeciw niego i oparła dłonie o stół. Nick starał się na nią nie patrzeć.

- Od początku? - spytała.

- Tak. Od pierwszej chwili.

Wstała i zabrała się do wyjmowania filiżanek i spodeczków z kredensu, i ze zdumieniem stwierdziła, że opowiada coś na temat tego domu, jego wysokich sklepień i starego kaloryfera, który ciągnął się wzdłuż całej ściany. Nalała kawy do dwóch filiżanek, postawiła je na stole i usiadła na tym samym miejscu co poprzednio. Deszcz bębnił jednostajnie o szyby, tworząc na nich falującą, moką poświatę, przypominającą topniejący śnieg.

- Tak czy inaczej znalazłem sobie inne mieszkanie - podjął Nick.

Lily milczała.

- Dalsze mieszkanie w tamtym domu, tak jak on teraz wygląda, zaczynało być śmieszne. Każda cegła, każdy kąt, korytarz, okno, narożnik, nawet bez tych wszystkich trofeów i obrazów przypominało mi o... ożywiało pamięć o tamtym zdarzeniu.

Lily poczuła, jak budzi się w niej coś, co wykracza poza granice współczucia, które miała dla Nicka od chwili śmierci Buddy'ego, albo nawet poza wdzięczność, jaką żywiła dla niego od czasu jej ostatnich dni spędzanych w Oksfordzie. Było coś w ostro zarysowanym łuku brwi, co nadało jego fizjonomii całkiem nowy wyraz, jakby jakiś aspekt jego osobowości niespodziewanie został przed nią odkryty, i zobaczyła tego człowieka takiego, jaki był naprawdę, niezależnie od rzeczy, które o nim wiedziała, i od swoich przemyśleń na jego temat. Pochyliła się bliżej w jego stronę, tak aby mógł nad stołem dosięgnąć jej ręki.

- Kiedy byłam dziewczynką - powiedziała - miałam zwyczaj zmagania się wieczorami modlitwą. „Boże, błogosław każdemu, na kogo dzisiaj spojrzalam, i każdemu, na kogo spojrzal ten ktoś”. Nawet nie wiem, skąd ją znałam albo gdzie się jej nauczyłam. Ale odmawiałam ją każdego wieczoru. A potem, kiedy miałam czternaście lat... w wieczór po moich czternastych urodzinach coś się wydarzyło... człowiek, który miał się mną opiekować, dotknął mnie w sposób, o którym wiedziałam, że jest zły... i stracił nad sobą kontrolę, a dla mnie wszystko... cały świat rozsypał się na kawałki. I już więcej nie potrafiłam odmawiać tej modlitwy. Wiesz, po prostu jej słowa straciły dawny sens. Ale ciągle ją lubiłam, lubiłam dźwięk tych słów. A teraz lubię ją każdego dnia coraz bardziej.

- Powiesz ją jeszcze raz? - spytał. Zrobiła, jak sobie życzył, a potem dodała:

- To strasznie głupie, wiem.

- To jest cudowne, Lily. To, za co się modlimy, mówi najwięcej o nas samych. Pamiętam, jak moja matka modliła się o piki w tym cholernym brydżu... Wiesz, o czym mówię?

Zaczęła się śmiać. A po chwili śmiali się już razem.

- Dominik, Violet i Manny niedługo już powinni wrócić do domu - powiedziała. - Może jednak zostaniesz?

Przyjemne, nieoczekiwane ciepło rozlało się po jej ciele, kiedy uświadomiła sobie, że naprawdę chce, żeby został.

- Naprawdę muszę już wracać - odparł i zamierzał dodać coś jeszcze, ale się powstrzymał. Jego rysy się ściągnęły.

- Nick! - zareagowała natychmiast. - Co się stało?

- Do diabła... nic.

- Chciałabym wkrótce znowu cię zobaczyć - powiedziała ciepło.

Podniósł się z krzesła, patrząc gdzieś poza nią, a potem na nią spojrzął.

- No cóż, to tak zrobimy... będziemy w kontakcie. Na pewno. - Wyciągnął rękę w jej kierunku. - Muszę przecież przeczytać twoją sztukę.

- Nick...

- Nie chcę, żebyś myślała... - Urwał. - Nie przyjechałem tutaj, żeby wykorzystywać swoją przewagę.

- A czy to właśnie robisz? Pochylił się lekko ku niej.

- Posłuchaj. Wiem, że oboje już przez coś takiego przechodziliśmy, i ja... ja chcę być z tobą całkiem szczerą. Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że już o tobie nie myślę.

- I ja myślę o tobie - przyznała Lily.

Stali przez chwilę, która obojgu wydawała się wiekiem, żadne z nich się nie poruszyło. W końcu Nick wolno skierował się długim korytarzem w stronę wyjścia. Jego płaszcz wisiał na wieszaku. Zdjął go i włożył. Lily szła za nim krok w krok. Odwrócił się w jej stronę.

- Z wielką przyjemnością znowu cię zobaczę... - powiedział.

W jego łagodnym uśmiechu kryło się coś z przedrzeźniającego samego siebie dawnego Nicka.

- ...kiedy znowu będę w pobliżu - dokończył.

- Och, moja sztuka! - zawołała. - Zaczekaj chwilę!

Pobiegła do schodów i na górę, do swojego pokoju, gdzie sprawdziła, co się dzieje z Mary. Dziecko ciągle spało, z rączką tuż przy buzi i kciukiem zamkniętym w zaciśniętej piąstce. Strony maszynopisu leżały na szafce nocnej. Zgarnęła je, raz jeszcze rzuciła okiem na Mary i pośpieszyła z powrotem. Przyszło jej na myśl, że chciałaby, aby Nick zobaczył także jej córeczkę; na podeście zawróciła więc i powędrowała znowu do pokoju. Wrzuciła maszynopis do szuflady szafki, a następnie przechyliła się przez poręcz schodów.

- Wejdz na górę, żeby zobaczyć Mary! - zawołała.

- Och, twoje maleństwo. Jasne, już idę.

Wszedł do pokoju i obydwójce stanęli nad łóżeczkiem.

- Prześliczna - szepnął.

Podeszła do szafki nocnej i wysunęła szufladę, czując, jak bezsensowne było jej zachowanie. Wręczając mu plik papierów, powiedziała:

- Przyszło mi do głowy... że może... że może chciałbyś ją zobaczyć...

- Ona jest naprawdę prześliczna - wymruczał. Nie ruszali się z miejsca.

- A jak radzi sobie z tym Dominik? Zastanowiła się.

- Na początku było mu ciężko, ale teraz idzie mu świetnie.

- Chyba dziwnie się czułaś, gdy mu o tym mówiłaś.

- Można to tak określić. - Zaśmiała się.

- Więc jesteście teraz rodziną.

- Raczej rodziną. Tak przynajmniej mówi o naszym gospodarstwie ciocia Violet.

- Chciałbym ją poznać. Dotknęła delikatnie jego rękawa.

- Więc zostań. Oni za chwilę powinni już być.

- Kiedy naprawdę nie mogę.

Wydawało się, że nie zostało już nic więcej, co mogliby sobie powiedzieć.

- Jak to przeczytam, przyjadę znowu i wtedy się z nimi zobaczę - oświadczył, biorąc maszynopis.

Powoli opuścili pokój i zeszli do drzwi wyjściowych. Nick szedł pierwszy. Przy drzwiach zatrzymał się raz jeszcze, już z ręką na klamce.

- Naprawdę chciałabym cię niedługo znów zobaczyć - powiedziała jeszcze Lily.

Przysunął się bliżej i oplótł ją ramionami, a ona ucałowała go delikatnie. Trzymał ją blisko siebie, dotykając swoim policzkiem jej twarzy. Odwróciła głowę i jeszcze raz go pocałowała, czując zapach deszczu w jego włosach i wilgotną szorstkość płaszcza. Po chwili odsunął się; popatrzyła na niego, walcząc ze łzami napływającymi do oczu.

- Kiedyś, kiedy akurat nie będą mieli wrócić - powiedział.

- Nie dbam o to, Nick.

- Wiem. - Wyciągnął rękę i delikatnym ruchem starł kciukiem z jej policzka łzę. - Przyjadę znowu, żeby cię zobaczyć. Niedługo.

- Obiecujesz? - wyszeptała.

Przytaknął z niemalże uroczystym wyrazem twarzy. Otworzywszy drzwi, zszedł jeden stopień.

- A ty nie wyjeżdżaj nigdzie tam, gdzie nie mógłbym cię odnaleźć.

Zszedł po stopniach i skierował się do swojego samochodu. Dopóki nie odjechał w dół ulicy i nie zniknął jej z oczu za zakrętem, nie zorientowała się, że deszcz przestał padać. Teraz nad miastem wisiała zadymiona mgła. Wkrótce do domu wrócą Dominik, Manny i Violet - pozostali członkowie tego gospodarstwa, tej rodzinki. Nie miała pojęcia, jak będą wyglądać jej układy z Nickiem ani też co zdarzy się za miesiąc, rok, dwa lata czy dziesięć. Nie wiedziała także, jak zostanie przyjęta dopiero co ukończona sztuka i na razie w ogóle nie chciała zaprzątać sobie tym głowy. Jeśli ta sztuka się nie spodoba, napisze następną. Już zawsze będzie coś pisać. Czowała się teraz gotowa do podjęcia każdego wyzwania - nie, czowała się pełna nadziei, niezależnie od tego, co ją czekało.

Usiadła przy oknie i wyjrzała na ulicę. W tym momencie nic nie musiała robić, nic nie wymagało jej uwagi. Jak wspaniale byłoby stworzyć wspólnie prawdziwą rodzinę. Przyszedł jej na myśl Buddy Galatierre, który zawsze zachowywał się tak, jakby właśnie spotkało go jakieś niezwykle szczęście. Manny i Violet wkrótce powinni być w domu, podobnie jak Dominik, jej

przyjaciel, który okazał się także ojcem jej dziecka. Kiedy wróci, będzie się starała być dla niego miłą, żeby się przekonał, jak bardzo jest mu wdzięczna.

Po pewnym czasie podniosła się z krzesła, stwierdzając ze zdumieniem, że czuje się fizycznie zmęczona, że bolą ją łydki i górna część ud. Pomyślała o swojej duchowej towarzyszce, która nie odstępowała jej od trzech lat; oczyma wyobraźni ujrzała ją na kołyszącym się, rzucającym falami statku, przemierzającym południowy Atlantyk, jako osobę publiczną, ubraną w brązowy uniform wojskowej pielęgniarki, opiekującą się chorymi żeglarzami i żołnierzami - ciągle jeszcze młodą kobietę przeżywającą właśnie zawód miłosny, zmagającą się z wyczerpaniem i własnymi fizycznymi ograniczeniami, daleko od jakiegokolwiek miejsca, które mogłaby nazwać domem, i koncentrującą całą swoją uwagę i starania na tych chłopcach, których wielu właśnie konało.

Mary wyruszyła w świat i szła swoją drogą, nie prosząc o żadne przywileje, wymagając jedynie tego, aby postępowano tak, jak sobie życzyła. Nigdy nie udawała, że jest kimś innym, niż była naprawdę. Lily wzięła książkę ze stolika stojącego przed nią i otworzyła ją na zdjęciu przedstawiającym Mary Kingsley; spojrzała w prześliczne, ciemne oczy, w których w gruncie rzeczy kryła się tak wielka odwaga. *Dusza drugiego człowieka jest nieznanym pustkowiem i zbadanie jej tajemnic wymaga także odwagi.* Odniosła wrażenie, że słyszy te słowa wypowiedane przez Mary, ale w tym momencie dotarły do niej odgłosy jakiegoś poruszenia piętro wyżej. Lily poszła w tamtą stronę, wspinając się po długim ciągu schodów - ból w nogach stał się niemal przyjemny - aż wreszcie dotarła do swojego pokoju, gdzie imienniczka Mary Kingsley już się obudziła i stała teraz w łóżeczku, wydając śpiewne dźwięki.

Broad Run, Wirginia, 1997-2000
